

Biblioteka
Warszawska

Mf 12440

Warszawa
1850 r.

t. 3-4

poz. Mf 12440

Biblioteka Warszawska

Warszawa 1850 t.3-4, og.zb.39-40(m-c VII-XII)
sp.treści

oryg.: Zbiór sygn.117.152

neg. Mf 12440

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1850.

Tom trzeci.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM XXXIX.



WARSZAWA.

W Drukarni Stanisława Strąbskiego,
przy ulicy Daniłowiczowskiej Nr. 617, w dawniej Bibliotece Załuskich.

1850.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE TRZECIM

Z R. 1850.

Materyały historyczne.

	Stron.
Kościół Śgo Andrzeja i Kanoniczki w Warszawie. Przez <i>Juliana Bartoszewicza</i> (dokończenie).....	1
Wiadomości historyczno-bibliograficzne. Przez <i>Z.</i>	173
Utamek z podróży archeologicznej po Galicyi, odbytej w r. 1849, przez <i>Józefa Łepkowskiego</i> i <i>Józefa Jerzmanowskiego</i>	193, 416

Numizmatyka.

O dwóch wykopaliskach starych monet w Galicyi.....	561
--	-----

Nauki społeczne.

Dziennik Ekonomistów z roku 1848. Przez <i>W. Ł.</i> (dokończenie).....	177, 364
---	----------

Opisy i podróże.

Podróż po Portugalii.....	385
---------------------------	-----

Literatura.

Stron.

Nowa epoka literatury historycznej polskiej. Przegląd przez <i>Juliana Bartoszewicza</i> (ciąg dalszy).....	95
Toussaint Louverture. Dramat <i>Lamartina</i>	253
Stan piśmiennictwa rosyjskiego w roku 1849. Przez <i>F. M. Sobieszczańskiego</i>	346
Nowe romanse niemieckie.....	568

Powieści.

Emeryt. Powieść, przez <i>Józefa Korzeniowskiego</i>	41, 273
Baulundur. Saga skandynawska. (Z dzieł <i>Adama Oehlenschläger'a</i>), p. <i>R. Z.</i>	66
Tankred de Montecute czyli nowa krucjata. Powieść przez <i>d'Israeli</i> napisana	475
Obrazki wiejskie. Karczma, przez <i>Jana Gregorowicza</i>	497
Indyanie północno-amerykańscy i kalifornijscy. Przez <i>Ad. Am. Kosińskiego</i> .	542

Poezye.

Tęskne chłopię, przez <i>F. F.</i>	124
Smutno mi, Boże! Przez <i>Henryka Cieszkowskiego</i>	266
Dziwne dziewczę, przez <i>F. F.</i>	271
Starość samoluba. Monolog, przez <i>Ludwika Niemojowskiego</i>	471
Do K. przez <i>Jerzego Laskarysa</i>	473

Sztuki piękne.

Kompozycje na fortepian. <i>S. Urbanowicz</i> , <i>K. Kraszewski</i> , <i>E. Jenike</i> , <i>A. Tausig</i> , <i>M. Dietrich</i> , <i>I. Nowakowski</i> , <i>I. Krzyżanowski</i> . Przez <i>J. S.</i>	167
Odpowiedź na wzmiankę pana <i>J. S.</i> o marszu na cześć <i>Szopena</i> , przez <i>E. Jenike</i>	363

Rozbiory.

Zdanie i uwagi nad dziełem: Prawo hipoteczne w królestwie polskim, objaśnione przez <i>Walentego Dutkiewicza</i> b. profesora prawa cywilnego, pomocnika naczelnego prokuratora w IX Departamencie Rządzącego Senatu. Warszawa. 1850. Rozbiór przez <i>Jana Chryz. Sławianowskiego</i>	125
Roczniki i kroniki polskie i litewskie najdawniejsze, przez <i>Wacława A. Maciejowskiego</i> . Warszawa. 1850. Przez <i>Juliana Bartoszewicza</i>	147
Gramatyka języka polskiego, przez <i>Dobromyśta Łazowskiego</i> . Kraków. 1848. Przez <i>T. Sierocińskiego</i>	315
Słownik malarzów polskich, tudzież obcych w Polsce osiadłych, lub czasowo w niej przebywających, przez <i>Edwarda Rastawieckiego</i> . Z dołączeniem szesnastu rycin, wizerunków celniejszych artystów. Tom Iszy, Warszawa, nakładem autora, w drukarni <i>S. Orgelbranda</i> księgarza i typografa. 1850. r. str. VIII, 334, lit. A.—Ł. Na końcu przydane są: 1) Ustawy cechu malarzy w Krakowie; 2) Projekt ustano-	

wienia akademii sztuk wyzwolonych, przełożony królowi Stanisławowi Augustowi; 3) Co stanowi szkołę malarską? rozprawa Antoniego Brodowskiego. Wreszcie przydatki i poprawki. Przez <i>F. Max. Sobieszczańskiego</i>	530
Tajne listy Zygmunta Augusta do Stanisława Hozyusza w r. 1549 i 1550, umówionemi znakami pisane, z oryginałów zachowanych w bibliotece uniwersytetu Jagiellońskiego, odczytał J. Łepkowski. Wiedeń. 1850. Przez <i>S. L.</i>	537
Chtopi arystokraci. Szkic dramatyczny w jednej odstonie, ze śpiewkami, przez Władysława Anczyc. Kraków, w drukarni Józefa Czecha. 1850. Przez <i>Wł.</i>	540

Nauki przyrodzone.

Mniemania o figurze ziemi i jój pomiarach. Historycznie przejrane przez <i>J. Lesisza</i>	455
Wiadomości na drodze postępu nauk przyrodzonych: Astronomia i fizyka kuli ziemskiej, przez <i>S. P.</i>	376

Korrespondencya.

Wyjątki z listów <i>A. Bielowskiego</i> do <i>A. Przędzieckiego</i> , o wydaniu roczników i kronik polskich	174
Wyjątek z listu pisanego z New-York.	564
<i>Kronika bibliograficzna</i>	186, 378, 572
Doniesienia literackie.	187, 379, 572
Wiadomości literackie.	563
Dostrzeżenia meteorologiczne, czynione w obserwatoryum astronomiczném warszawskiem:	
za miesiąc maj r. b.	189
— — czerwiec r. b.	381
— — lipiec r. b.	577

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE CZWARTYM

Z R. 1850.

Filozofia.

	Stron.
Początki filozofii krajowej. Przegląd, przez <i>A. Tyszyńskiego</i> (ciąg dalszy)..	277

Materyały historyczne.

Saragossa w roku 1809. (Wyjątek z niedrukowanych dotąd pamiętników).	1
Pomnik ks. Krzysztofa Kluka w Ciechanowcu. (Z 5 rycinami).....	128
Do dziejów budowy wielkiego ołtarza w kościele Panny Maryi w Krakowie, przez <i>Ambrozego Grabowskiego</i>	364
Sprostowanie. Przez <i>F. Bentkowskiego</i>	373

Biografia.

Rozbiór historyczny i krytyczny życia i prac naukowych Wiliama Herschla, przez <i>Fr. Arago</i> . Tłumaczył <i>Jan Baranowski</i>	98
Podróże i pamiętniki Tomasza Kajetana Węgierskiego, przez <i>L. S.</i>	474
Adam Oehlenschläger poeta duński.....	567

Opisy i podróże.

Podróż po Portugalii, przez <i>Dr. T. Tripplin</i> (dokończenie).....	18, 385
Wspominki z życia wojskowego w Afryce.....	154, 549
Ustęp z wrażeń artystycznej podróży, przez <i>Józefa Brzowskiego</i>	258

Literatura.

	Stron.
Nowa epoka literatury historycznej polskiej. Przegląd przez <i>Juliana Bartoszewicza</i> (ciąg dalszy).....	430

Powieści.

Tankred de Montecute, czyli nowa krucjata. Powieść przez d'Israeli napisana. Część II, III i IV.....	52, 302, 498
Obrazki wiejskie. Pan rządca, przez <i>Jana Gregorowicza</i>	189
Rezydent domowy. Zarys, przez <i>Leona Kunickiego</i>	357

Poezye.

Do Władysława Syrokomli, p. <i>Jerzego Laskarys</i>	96
Tęsknota do niebieskiej ojczyzny (tłumaczenie z Sarbiewskiego) przez <i>Jerzego Laskarys</i>	96
Fantazya, przez <i>Seweryna Kaplińskiego</i>	299
Czarodziejstwo Odina (ze starj Eddy).....	496
Margraf Gero (z czeskiego „Córy Stawy“, Kollara), p. <i>R.</i>	491

Sztuki piękne.

Koncerta małoletnich fortepianistów: Kamilli i Mirosława Marcinkiewiczów, dane w Warszawie w dniach 15 i 23 sierpnia r. b.; przez <i>J. Sikorskiego</i>	176
---	-----

Rozbiory.

O Pomorzu zaodrzańskim, przez D. Szulca. Warszawa. 1850. Przez <i>Juliana Bartoszewicza</i>	133
Opis Piotrkowa trybunalskiego pod względem historycznym i statystycznym, przez Oskara Flatt. Warszawa. 1850. Przez <i>F. M. Sobieszkańskiego</i>	140
Przy kominku, przez Wincentego Kottupajkę. Wilno. 1849. Przez <i>Wl.</i> ...	145
Broszury Emanuela Jastrzębczyka. Wilno. 1850. Przez <i>Wl.</i>	149
Opis historyczny trzech kęp na Wiśle pod Warszawą (Polkowska, Belk, Saska), od najdawniejszych czasów do 1850 r. Skreślił Alexander Wejnert, magister obojga praw i nauk administracyjnych, konserwator akt dawnych miasta Warszawy. Z ryciną. Warszawa. Nakładem autora, w drukarni Banku Polskiego. 1850 r. Przez <i>S. L.</i>	334
Statuta nec non liber promotionum philosophorum Ordinis in Universitate studiorum Jagellonica, ab anno 1402 ad an. 1849. Edidit Josephus Muczowski Bibliographiae Prof. et Bibliothecae Universitatis Praefectus. Cracoviae, typis Universitatis. 1849 r. Przez <i>Juliana Bartoszewicza</i>	339
Broszury Emanuela Jastrzębczyka. Płeć piękna na Litwie. Wilno. 1850. Przez <i>Wl.</i>	353

	Stron.
Historya Szaków w Koronie i W. X. Litewskiém od najdawniejszych czasów aż do r. 1794. Przez Józefa Łukaszewicza. Poznań. 2 tomy. 1850.	
Przez <i>X. I.</i>	526
Życiorysy znakomitych ludzi wstawionych w różnych zawodach. Warszawa. Tom I. 1850. Przez <i>T.</i>.....	542
Kile słow wo Kaszebach e jich ziemi, przez Wójkasena. Tudzież rzecz o języku kaszubskim, ze zdania sprawy Prajsa. Kraków. 1850.....	548

Nauki przyrodzone.

Odpowiedź p. Jakóbowi Wadze, na artykuł umieszczony przeciw mnie, w Bibliotece Warszawskiej na miesiąc maj r. b. Przez <i>L. Z.</i>.....	368
Odpowiedź na powyższą odpowiedź. Przez <i>J. Wagę.</i>.....	370
Wiadomości na drodze postępu nauk przyrodzonych:	
Fizyka, przez <i>S. P.</i>	374

Korrespondencya.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej od <i>T. K.</i>.....	178
Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej od <i>K. Mieleszki.</i>.....	180
Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej od <i>A. Bartoszewicza.</i>.....	568
Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej od <i>J. K. Wilczyńskiego.</i>.....	569
<i>Kronika bibliograficzna.</i>.....	182, 377, 572
Doniesienia literackie.....	183, 378 573
Uwiedomienie od redakcyi	576
Dostrzeżenia meteorologiczne, czynione w obserwatoryum astronomiczném warszawskiém:	
za miesiąc sierpień b. r.	185
— — wrzesień b. r.	381
— — październik b. r.	577

S P R O S T O W A N I E.

<i>Str. wiersz</i>	<i>zamiast</i>	<i>czytaj</i>
373 22	Gdy Mroziński	Gdy pewien wojskowy



Za pozwoleniem Cenzury Rządowej.



KOŚCIÓŁ
Ś^{go} ANDRZEJA I KANONICZKI
W WARSZAWIE.

PRZEZ

Juliana Bartoszewicza.

Część trzecia.

KANONICZKI.

Opisując dzieje kościołka św. Andrzeja, z kolei czasu przyszliśmy i do r. 1818, który nową zaczął w jego losach epokę. Dawną fundacją prymasa Potockiego zajęły teraz panny pobożne, znane pod imieniem Kanoniczek. Dlatego musimy i o Kanoniczkach w Warszawie rozpowiedzieć podania o ich przeszłości, celu, zawiązku, aż do naszej chwili. Kościołek św. Andrzeja za Kanoniczek stracił całe znaczenie swoje, jakie miał przedtém. Za piérwszej epoki, dzieje małej świątyni św. Krzyża były dziejami Jezuitów koronnych; za drugiej, dziejami proboszczów; za trzeciej, dziejami Kanoniczek. Ale że od roku 1818 żadne wspomnienia nie przywiązują się już więcéj do kościoła św. Andrzeja, że on zniknął odtąd dla Warszawy i wrócił do samotności zakonnój: cały już przeto jego obraz od roku 1818 zapełnią Kanoniczki, a my musimy zobaczyć to zgromadzenie w jego przeszłości, bo już odtąd do kościołka św. Andrzeja należy cała ta przeszłość Kanoniczek warszawskich. Mały, potulny i cichy, jedynie wspomnieniami już tylko może zwracać uwagę na siebie. A my téż ostatnie jego wspomnienia gromadzim w tém miejscu.

Nie zakon, a instytucya Kanoniczek powstała we Francyi. Tam w feudalnej Europie dużo się działo rzeczy, których Słowiańszczyzna, wzrosła na innych pierwiastkach, nie znała. Tam na Zachodzie powstały udzielne księstwa biskupie i stolice monarsze, przez duchownych elektorów osiadłe. Tam były dziedziczne urzędy i godności, tam wysoka powaga urodzenia i przodków. Majoraty, ordynacye, parostwa powstały na Zachodzie. Na Zachodzie więc zrodziła się i Kanoniczek instytucya, bo myśl, co ją zrodziła, była czysto arystokratyczną myślą.

Panowie Zachodu bali się, żeby majątki ich obszerne i bogate dla jednej osoby, nie były zamałe dla rodziny. Z rozdrobnieniem majątków, duma ich i majoraty upaśćby musiały. Jak królowie na tronach, tak oni panowali na zamkach w swoich ogromnych posiadłościach. Starszy syn dziedziczył po nich dobra, wpływy, nawet imię. Młodszym dzieciom bogactw i nawet imienia zazdrościli. Młodszy dziedzic wielkiej rodziny szli na dwór królewski, albo do seminarium, zarabiać sobie na stanowisko godne urodzenia i dziedzicznej sławy. Synowie szli na biskupów, dla córek wymyślono kapituły Kanoniczek.

Do zakonu szły wszystkie dziewice rodzin potężnych, które z prawa zwyczajnego nie mogły nawet mieć nadziei na posag siostr starszych. Poświęcone wbrew woli własnej na ciągłą modlitwę i samotność, umierały tęskniąc do świata, którego może nie znały, a może i nie żałując go wcale.

Ale pomyśleli panowie francuzcy, że niezawsze ludzkością jest biędne ofiary przywidzeń przemocą wpychać do klasztoru. Pomyśleli, że młodsza córka domu, chociaż nie ma posagu, może przecież pięknnością swoją i przymiotami, zająć serce człowieka także rodziny wielkiej, który ją i bez majątku poślubi. Ta myśl dała początek kapitułom Kanoniczek. Kanoniczka nie była zakonnicą, nie wykonywała ślubów żadnych, a jednak żyła pod karnością zakonną i miała władzę nad sobą. Mogła się bawić na świecie, wyjeżdzać w okolice, nawet w dalszą podróż, mogła brać udział we wszystkich uroczystościach obywatelskiego pożycia; ale musiała na to mieć pozwolenie swojej przełożonej. Mogła nawet iść za mąż jak każda kobieta, która losem swoim władnie i od siebie zależy. Była więc zakonnicą o tyle tylko, że mieszkała za kratą klasztorną, że miała stół wspólny z innymi towarzyszkami, że odmawiała pewne modlitwy, śpiewała pewne pieśni i przysięgała na posłuszeństwo Kanoniczki: byłto zakon zupełnie świecki,

czyli raczej byłoto zgromadzenie panien świeckich pod rygorem klasztornym.

Feudalne czasy świeciły z ustaw tych różnych kapituł Kanoniczek. W niejednym miejscu przełożona przybierała tytuł księżnej, i nawet tego tytułu udzielała bliższym krewnym. Były kapituły, co posiadały pewne prawa polityczne, co wysyłały szeregi zbrojnych na wojnę. Były kapituły, jak opactwa, bogate i potężne, co nawet do księży rozciągały swoją władzę. Tutaj Kanoniczki aż z trzydziestu dwóch pokoleń musiały wywodzić szlachectwo swoje z ojcowskiej i z macierzystej linii; tam znowu z tak odległych czasów, żeby się aż gubić umyślnie w pomroce dziejowej. Chodziły też Kanoniczki i w płaszczach długich, wlokących się po ziemi, gronostajami podbitych.

Kapituł takich w XVIII wieku było wiele we Francyi, ale najświetniejsza mieściła się w mieście Remiremont w Lotaryngii. Kapituła w Remiremont była jakby stolicą zakonu, złożonego z panien znakomitych rodów. Była bogatą i dobrze uposażoną. Miała prawdziwe feudalne wejrzenie, bo i zwyczaje, i cały w niej układ trącił duchem wieków rycerstwa i sławy. Ksieni w Remiremont była pospolicie księżniczka, a często i panującego rodu. Sam król francuzki był najbliższym opiekunem kapituły. I mógł być opiekunem Kanoniczek w Remiremont król francuzki, kiedy w XVIII wieku, bywało po 72 dziewic członkami tego zgromadzenia, a dziewic historycznych nazwisk. Miała też kapituła i feudalne swoje wspomnienia: przed wiekami zakładał tutaj, w Remiremont, opactwo św. Romarych, a w lat 300 po tém założeniu, zniszczyła mury opactwa powódź Hunnów pod dowództwem Attyli. Powiadają też wiele ciekawych rzeczy o prawach kapituły w Remiremont. Wassal jakiś, piérwszy śnieg zimowy miał obowiązek konno przywozić do klasztoru; byłoto nie dla potrzeby, a dla dumy dziewic, że mogą nawet na takie posunąć się żądania. I tych praw wiele, podobnych temu, służyło kapitułe w Remiremont. Nie dziwimy się temu: jak niegdyś opat w Clairvaux, tak w XVIII wieku ksieni Kanoniczek w Remiremont była panią stu wiosek i poddanych bez liczby (1).

Taką kapitułę panien zakonnych, nie mających przytulku u świata, a pod zasłoną furty szukających przyszłości i losu, chciała

(1) Ciekawe szczegóły o różnych kapitułach Kanoniczek we Francyi i Niemczech, czytaj w dziele ks. Benjamina, prowincyała Kapucynów: „Rys historyczny zgromadzeń zakonnych obojój płci”. Tom 2gi, str. 178—186.

do Polski zaprowadzić jedna z pobożnych matron naszych, których wiek XVIII był tak pełny. Na wzór sobie obrała kapitułę w Remiremont; ale biorąc z Lotaryngii ustawy, nie mogła przenieść do Polski feudalnych urzędzeń, i opatrzyć swoją kapitułę funduszami książęcemi, bo na Remiremont składały się wieki, królowie i książęta.

Ta pobożna pani była córką Stefana Zahorowskiego, który pochodził z dawniej rodziny wołyńskiej, i wnukiem był Heleny Poryckiej księżniczki, ostatniej swojego imienia pani, która bogaty posag wniosła w dom Zahorowskich. Stefan za Jana Higo piastował urząd starosty włodzimirskiego, a umarł kasztelanem wołyńskim, w roku 1685. Z dwóch żon: Saczkówny podkomorzanki mielnickiej i Anny Krasińskiej herbu Jelita, zostawił cztery córki i syna. Cały ten dom odznaczał się pobożnością. Ogromne fundusze poświęcili Zahorowscy na cele dobroczynne, na cześć bożą. Córki Stefana żyły jak zakonnice, modlitwą tylko się ciesząc, na modlitwie opierając swoje nadzieje. Jezuici wiele winni tym bogobojnym siostram. Ludzkość cierpiąca i sieroty także im wiele były winne.

Jedna poszła za Wojciecha Czackiego, a potem za Adama Olizara; druga była za Ludwikiem Pocijem, hetmanem W. L. podskarbidem i wojewodą wileńskim, a trzecia także za Pocijem, strażnikiem Wielkiego Księstwa. Jedna z nich, Antonina, córka Krasińskiej, zawarła naprzód śluby z Marcyanem Wollowiczem marszałkiem wielkim litewskim. Ta ostatnia z imienia Antonina, była fundatorką Kanoniczek w Warszawie.

Kiedy umarł pierwszy mąż w czasach wojny z Karolem XII, Antonina zawarła powtórne śluby z Tomaszem Zamojskim, starostą płoskirowskim, najstarszym synem Marcina podskarbiego wielkiego koronnego, który drugą zaczął dynastją ordynatów, inną od dynastji Jana kanclerza. Po śmierci ojca Tomasz był dziedzicem jego dóbr i władzy od roku 1689, a z kolei piątym ordynatem na Zamościu. Tomasz także był wdowcem po Teressie Potockiej wojewodziance braclawskiej, a wdowie znowu po Janie Gnińskim wojewodzie pomorskim, sławnym swojego czasu dyplomacie. Tomasz Zamojski umarł 26 grudnia 1725 r. i Antonina z Zahorowskich znowu została sierotą. W Zamościu inni jej miejsce zajęli.

Zwyczajem skromnych niewiast swojego czasu, pani Zamojska wdowa poświęciła się teraz zupełnie dewocyi, i, jak mówiono wtedy, praktykom nabożeństwa. W jej głowie przesunęła się myśl,

że w Polsce mogłaby ufundować zgromadzenie panien Kanoniczek, i dziwiła się, że nikt dotąd podobnego starania nie przedsiębrał; mogła być przecież jedna kapituła w Polsce, kiedy we Francyi było ich aż kilkadziesiąt. Może przytém i myśl wsławienia się w narodzie, że zaprowadziła do niego nieznaną dotąd instytucją, po-
 chlebiała dumie pani Zamojskiej. Z Francyi była wtenczas moda brać wzory, zwłaszcza w chwili, kiedy w Lotaryngii panował Stanisław Leszczyński. Z Francyi sprowadziła Marya Ludwika Wizytki i Missyonarzów; z Francyi niedawno do Polski zaszczerpiono panny Miłosierdzia. Trzeba zatém było i Kanoniczek. Najcelniejsze tego rodzaju zgromadzenie panien zakonnych było, jak mówiliśmy, w Remiremont, w państwie Leszczyńskiego. Cała Polska wtedy przebierała się na francuzką stopę, i więcej jak dwór zepsuty dwojga królowych Francuzek, więcej jak panowanie Ludwika XIV na to przywiązanie wpływał pobyt Stanisława w Lotaryngii, do którego wciąż, jakby do ziemi świętej, szły z Polski tłumy dawnych stronników i wielbicieli. Tém źródłem wpadła najpewniej i pani Zamojska na trop myśli, która już od-
 tąd stała się tajną tęsknotą duszy, myśli, żeby zaprowadzić do Polski kapitułę Kanoniczek.

Naturalnie, jedyne zgromadzenie tego rodzaju w kraju, mogło być tylko w stołeczném mieście.

Oto jak pani ordynatowa wyklada sama pobudki, które ją ku tój fundacyi skłoniły: „W tём się najbardziej wydaje mądrość i nieskończona Opatrzność Boska, że jako wybranych swoich do jednego końca różnemi drogami prowadzi, tak tész natchnieniem Ducha swego ludziom za wolą idącym do serca podaje rozmaite sposoby, któremiby chwala Jego na przyszłe czasy przymnożona, i bliźniemu do służby Boskiej pomoc dana być mogła. Niezliczona w chrześcijaństwie liczba klasztorów obojój płci, kościołów, szpitalów, akademij, szkół i innych fundacyj, między sobą cale się różniących, jako kościół Chrystusów różnością swoją wiele zdobi, tak tész dowodem jest osobliwej w nim Opatrzności Boskiej, rozmaitym potrzebom ludzkim przyzwoitemi sposobami przez pobożnych fundatorów, zabiegającej. Uważając od dawnego czasu wielkie dobrodziejstwa Boskie mnie niegodnej świadczone, i będąc z szcudrośliwości Jego opatrzona w dobra doczesne, z których sobie, według słów Chrystusowych, należy czynić przyjaciół, którzyby nas do wiecznych przybytków przyjęli: *Ja, Józefa Antonina z Zahorowskich ordynatowa Zamojska, grodecka, ziołowska & starościna,*

umyśliłam część fortuny mojej własnejłożyć na to, aby się chwala Boska przez osoby płci białogłowskiej w tém królestwie Polskiem pomnażała. Zważając zaś z jednej strony, że w tém królestwie jest dostateczna liczba klasztorów panieńskich; z drugiej zaś strony, że się znajduje niemało panien zacnego i szlchetnego rodu, które nie mając powołania do klasztoru, ani téż przyzwoitego w małżeństwie postanowienia, albo przeciwko inklinacyi i sercu swemu za mąż idą, albo przez małżeństwa nieprzyzwoite z osobami nierówniej sobie kondycyi, familiom swoim krzywdę czynią: umyśliłam założyć taki fundusz, na którymby takowe szlchetnie urodzone damy spokojnie i przystojnie żyć i panu Bogu służyć mogły, nie obligując się jednak do zakonnej klauzury, ani sobie drogi do przystojnego w małżeństwie, jeżeliby taka wola Boska była, postanowienia nie zagrządzając. Naradziwszy się zaś o téj intencji mojej z osobami duchownemi i świeckimi doświadczonemi, w obojém prawie świadomemi, nie znalazłam na to lepszego sposobu, jako przykładem tego, co się w innych narodach dzieje, fundować przy mieście Warszawie zgromadzenie albo kapitułę dam świeckich, pod tytułem: Kanoniczek od Niepokalanego Poczęcia Panny Matki Boskiej, przepisawszy im prawa na podobieństwo kapituły w księstwie lotaryjskiem, w mieście Remiremont będącej, z niejaką różnością, której obyczaje kraju polskiego wyciągają”.

Określiwszy pobudki, Zamojska tak bliżej określała cel swego dobrodziejstwa:

„Intencya fundatorki w postanowieniu tego zgromadzenia jest, aby damy narodu polskiego i prowincyj do korony polskiej należących, zacnie urodzone, do życia zakonnego powołania niemające, postanowienia zaś w małżeństwie tak prędko, albo wcale mieć niechcące, mogły z chwałą pana Boga, z honorem swoim i domów swoich, w tém zgromadzeniu życie bogobojne, pobożne i prawdziwie chrześcijańskie prowadzić; tudzież sposobić się i doskonalić w cnotach i przymiotach, wszelkiemu przeznaczonemu ich stanowi pożytecznych, nie obligując się do klauzury zakonnej, ani sobie drogi do przystojnego w małżeństwie postanowienia nie zawierając, a w cnotach chrześcijańskich, zwłaszcza płci i urodzeniu swemu przyzwoitych, pilno się ćwiczyć.”

„Dlaczego to zgromadzenie nie będzie nigdy miane, ani zwane klasztorem, lecz wiecznemi czasy będzie pod tytułem zgromadzenia albo kapituły Kanoniczek świeckich, od Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Matki Boskiej.”

Powziąwszy zamiar, trzeba było zaraz obmyśleć środki zapewnienia nadal bytu pobożnemu zgromadzeniu i przepisać mu prawa, o których robiła wzmiankę założycielka w wykładzie pobudek; bo żaden stan, żadne społeczeństwo bez prawa i władzy obejść się nie może.

Co do funduszków, Zamojska wyznaczyła z majątku swojego dwie summy kapitalne: jedną 200,000 złp. dobrej pruskiej monety, umieszczoną na dobrach Tygenhaff w województwie malborskiem, powiecie kiszberskim; drugą złp. 62,000 na dobrach Lipka w ziemi warszawskiej: razem gotówką złp. 262,000. Pierwsza summa była długiem, który ciężał na skarbie rzeczypospolitej, a warowały ją i inne jeszcze kapitały na Tygenhaffie, konstytucye koronne, a wreszcie i kommissya od Rplitěj wyznaczona z sejmu w r. 1676. Na powiększenie jeszcze funduszu, Zamojska zakupiła pałac zwany Marywill z przyległościami, z kaplicą założoną w nim przez Maryą Kazimierę Sobieską, do której kładł kamień węgielny Stanisław Witwicki biskup poznański, 12 września 1695 r. Część pałacu miała mieścić w sobie panny pobożne, a większa połowa tego ogromnego gmachu miała być podzielona na małe mieszkania, żeby łatwiej wypuszczać można było stancye w komorne, a z tego nowy pobierać dochód. Warowała sobie jednak pani Zamojska, że aż do śmierci i dobrami, na których kapitały Kanoniczek zabezpieczyła, i Marywilem sama na swoje imię zarządzać będzie, a pannom tylko opłaci procent potrzebny na utrzymanie. Za życia jeszcze przecież obiecała, podług przepisu praw koronnych, zapewnić zgromadzeniu donacją Marywilu i cessyą obu dwóch summ kapitalnych.

Zobaczmy teraz prawa pani Zamojskiej.

Kapituła składać się miała z 12stu dam zacnego urodzenia: jednej ksieni i 11stu Kanoniczek. Wybór wszystkich panien za życia założycielki, od niej samėj jedynie miał zależeć; tak dalece, że pani Zamojska była coś jakby generałem zgromadzenia. Nawet ksienią ona sama obierała, a kanoniczne przymioty nadawał jej biskup poznański, jako miejscowy pasterz; w jego téż ręce nowo obrana ksieni miała składać przysięgę na wieczną czystość, na dotrwanie w tém zgromadzeniu aż do śmierci.

Po śmierci Zamojskiej nowo-wstępujące Kanoniczki miała prawo przyjmować głosowaniem kapituła, za każdym zdarzonym wakansem, w razie śmierci jakiej panny, albo wystąpienia jej ze zgromadzenia. Żeby przyjętą być, potrzeba było udowodnić metryką, że nowo-wstępująca ma lat 15, potem że jest z urodzenia

szlachcianką polską, a następnie złożyć oświadczenie, że tylko stateczna wola własna, nieprzymuszona, wpłynęła na przyjęcie tego postanowienia, że nowo wstępująca chce żyć pod rządem zakonnym, i że ma zamiar nieporzucania klauzury, chyba dla dwóch powodów, to jest: dla wstąpienia do rzeczywistego zakonu, albo dla zawarcia przystojnego małżeństwa. Nadto obyczaje nowo wstępującej powinny być przystojne, imię dobre, skromność i inne cnoty dziewicze, a zamiar niewzruszony zachowania ile możności reguł i ustawy, nadanych przez założycielkę.

Dziewica, pragnąca wstąpić do Kanoniczek, naprzód oświadczała chęć swoje ksieni i konsyliarce; ksieni składała wtedy kapitułę, która przynajmniej równością głosów rozstrzygała kwestyę. Jeżeli wypadła odmowna odpowiedź, ksieni sama przez się, albo przez konsyliarkę winna była podziękować *postulante* za dobrą wolę. Jednakże nie było już ostateczna odpowiedź. Jeżeli żądająca wstąpić do zgromadzenia trwała wciąż w swojej myśli, a ksieni z konsyliarkami nie widziały w jej domaganiu się żadnej niesprawiedliwości, mogła powtórnie i potrzecie przedstawiać tę sprawę kapitule; ale wtedy już większość głosów, nie równość rozstrzygała. Gdyby i za trzecim razem kandydatka upadła w głosowaniu, już ani mowy być o niej nie mogło, dopóki żyła.

Przyjęta głosowaniem dziewczyna, naprzód wywieść powinna była swoje szlachectwo. Dokumenta tylko autentyczne do tego wywodu przypuszczane były, a żadne świadectwa autorów, czy pism, chociażby świeciły prawdą i szczerością, w tym razie przynajmniej żadnego nie miały znaczenia. Dowodami szlachectwa były: kontrakty małżeńskie, podziały, darowizny, przywileje i testamenta. Wywód odbywał się naprzód przed całą kapitułą Kanoniczek; jeżeli większa część ich przystawała na dowody złożone, wtedy sprawę odsyłało do kanclerza, albo podkanclerza koronnych, którzy albo razem, albo każdy z osobna, a choćby jeden z nich tylko rozpatrywali dowody. Jeżeli nie było żadnego z tych pieczętarzów w Warszawie, kapituła miała prawo zaprosić któregokolwiek z ministrów koronnych obecnych w stolicy, do ostatecznego postanowienia w tej sprawie. Przed pieczętarzami lub ministrem, dwóch ze szlachty uczonych znawców i prawników, powinno było przysiąc, że dokumenta podane mają całe swoje znaczenie i powagę. Nadto decydujący ostatecznie dygnitarz koronny, na piśmie miał dawać zaręczenie kapitule Kanoniczek, że dowody żadnej wątpliwości nie podlegają. Żądająca zaś wstąpić do Kanoni-

czek, miała powinność wywieść aż trzy pokolenia zupełne z ojców i z matek, to jest pokazać herbów nieprzerwanych ośm: cztery ojcowskie, a cztery macierzyste. Gdyby brakowało kolei, następstwa, lub najmniejszego dowodu, żadne wstawienie się, żadna dyspensa miejsca mieć nie mogła, i kandydatka upadała bez nadziei.

Widzimy, jak szlachecka myśl podyktowała pani Zamojskiej jej kapitułę Kanoniczek. Nie jeszcze same przepisy co do herbów; ależ trudnić rzeczą tak błahą kanclerzów i ministrów,— rzecz zdaje się niepodobna do wiary. A był wiek przecież, w którym te wszystkie przepisy i ostrożności uchodziły za piękne i godziwe!

Wywód szlactwa przyjęty, wpisywał się w księgę oddzielną kosztem nowowstępującej przez człowieka biegłego i wyznaczonego na ten cel od ksieni. Znaczący ten wymieniał w księdze każdy pokładany dokument i opisywał herby, z których się wstępująca wywiodła, malując je obok kolorami. Jeżeli na jeden wakans kilka było kandydatek, obrana bywała przez kartki ta, która najwięcej pozyskała głosów i jej imię z herbami i malowidłem wciągano do tej złotej księgi, jak imiona niegdyś szlachty weneckiej.

To były ogólne postanowienia. Zamojska przystępowała teraz do praw szczegółowych.

Rząd nad zgromadzeniem spoczywał w rękach ksieni i w samej kapitule Kanoniczek, do której należały wszystkie pobożne, ostatecznie już przyjęte dziewice.

Urząd ksieni miał być dożywotni: abdykować od niego nie mogła. Był wybieralny, i założycielka z najdrobniejszymi przepisami wchodziła we wszelkie przypuszczenia i wypadki, które przy zastosowaniu prawa wyboru zająć mogły, jak to niedługo zobaczymy. Prócz ksieni, władzę zgromadzenia stanowiły dwie konsyliarki: jedna ekonomka, druga przełożona kościoła i trzecia sekretarka kapitulna, których urząd był roczny tylko i co 12 miesięcy ponawiany być musiał.

Inne wszystkie urzędy domowe rozdawała ksieni. Były wyższe i niższe. Wyższe powierzano właściwym Kanoniczkom, niższe pannom chóru, o których później powiemy. Do pierwszych należały: zawiadostwo kościoła i fabryki, jeżeli jaka się trafiła, biblioteki, ogrodu i bielizny zgromadzenia. W kościele zaczyna-

ła godziny i nabożeństwo osobna, na to jedynie wyznaczona urzędniczka, a druga znowu uczyła nowo-przyjęte do zgromadzenia dziewice, i wskazywała im przyszłe obowiązki. Panny niższego chóru trudniły się dozorem zakrystyi, pomaganiem w gospodarstwie domowém ekonomce, pilnowały chorych, kuchni, spiżarni, kredensu, galeryi, wschodów, praczek: wszelkiego ochędóztwa i czystości w domu. Niepilne urzędniczki ksieni rzucać i na ich miejsce inne mianować mogła.

Nad Kanoniczkami rozciągała ksieni więcj dozór i opiekę, jak rzeczywistą władzę. Ale dla dziewic niższego chóru była prawdziwie panią, i rządziła nimi bez żadnych ograniczeń. Panien tych było ośm, musiały także pochodzić ze szlacheckiego rodu, ale prawo Zamojskiej uwalniało je od wywodzenia herbów po ojcu i matce. Metryką tylko dowodziły, że mają wiek zdolny do przyjęcia zakonnych obowiązków. Panny te nie miały, co za tém idzie, prawa nazywać się Kanoniczkami, ale były *pannam* *niższego chóru* (*inferioris chori*). Żeby zostać przyjętą na taką pannę, potrzeba było mieć lat skończonych 20. Za życia nawet i dziewice niższego chóru miała wybierać założycielka; po jój śmierci dopiero przechodziło to prawo na kapitułę. Stanowiła i tutaj większość głosów. Rok te panny były w nowicyacie, a potem jak Kanoniczki czyniły przyrzeczenie ślubów. Gdyby która z nich w czasie nowicyatu, za pozwoleniem ksieni wyjechała jako towarzyszka z Kanoniczką, nawet z Warszawy, czas spędzony w téj usłudze, miał się liczyć zawsze jakby rok nowicyatu. Akt przyrzeczenia tych panien do osobnej księgi, na to przeznaczonój, wpisywała sekretarka. Po przyrzeczeniu każda z nich nazajutrz po mszy zakonnej, ukląkszy przed ksienią w kapitularku, odbierała z jój ręki order srebrny Niepokalanego Poczęcia Najświętszój Panny Maryi. Panny niższego chóru nie miały żadnego głosu w kapitule i zależały zupełnie od niój. Za wykroczenie większój wagi, większością głosów kapituła wydalala je także ze zgromadzenia.

Kanoniczki zatém miały jakieś prawa, znaczenie, stanowisko, władzę. Panny niższego chóru zależały od nich pośrednio, a bezpośrednio od ksieni.

Ksieni była w kapitule, jakby król wpośród sejmu. To téż na wzór szlachecki, na wzór Rplitéj odbywały się te elekcye, wybory urzędniczek i nowych dziewic; a pani Zamojska wszystko chciała przewidzić, wszystkim zawikłaniom zapobiedz.

Kapituła stanowiła o wszystkich prawach wewnętrznych zgromadzenia, nie wykraczając jednak z za obrębu, jaki jęj pani Zamojcka zakresliła. Najcelniejszym bez wątpienia jęj przywilejem, były wybory. Przytoczym teraz ciekawe fakta, które charakteryzują i wiek sejmikowy, i ludzi ówczesnych.

Wybór ksieni odbywał się z nadzwyczajnemi uroczystościami, zupełnie jak rzymskie konklawe. W bezkrólewiu żadna z Kanoniczek nie powinna była obudzać żadnych niechęci i stronnictw, bo inaczej traciła głos na elekcyi: tak prawo wyraźnie mieć chciało. Każda miała poradzić się swojego natchnienia i głosować nie za namową, a w skutku przekonania, jakie w sobie wyrobiła. Naza jutrz zaraz po śmierci ksieni, najdawniejsza z Kanoniczek przytomnych w Warszawie, zgromadzała kapitułę, na której wyznaczano dzień elekcyi, najdalej w 6 tygodni po tęg śmierci, stosownie do tego, ile potrzeba będzie czasu do zawiadomienia nieobecnych Kanoniczek, właśnie o tęg dacie elekcyi. Prezydentka kapituły powinna była porozsyłać natychmiast listy.

Następuje pogrzeb ksieni po zabezpieczeniu jęj testamentu i po opieczętowaniu rzeczy. Zajmować się tęg miały: prezydentka, konsyliarki i sekretarka. Testament publicznie powinien być czytany w kapitularku i jeżeli nic przeciwnego prawu nie zawierał, Kanoniczki wszystkie miały go podpisać. Gdyby testamentu nie było, bez tych przygotowań następował pogrzeb. Dzwony wszystkich kościołów Warszawy miały się odzywać, a ciało wystawione w komnatach było, a w kościele odprawiało się nabożeństwo. W komnatach 8 świeć, w kościele 12 się paliło. Wszystkie Kanoniczki miały się znajdować na pogrzebowym obrzędzie i nabożeństwie, a potęg dwa dni jeszcze śpiewali księza pieśni żałobne. Pięrsza konsyliarka o śmierci ksieni donosiła natychmiast jęj krewnym. Po smutnych obrzędach, rzeczy wykonawcom testamentu oddawano, i odrywały się pieczęcie. Jeżeli nie było testamentu, cztery starsze urzędniczki, o których dopięro mówiliśmy, sporządzały inwentarz ruchomości i registr długów. Pozostałość po zmarłęg ksieni rozdzielała się na trzy części: jedna szła na jałmużny i msze, druga na kapitułę, trzecia na krewnych nieboszki, którzy jednak rachunków domagać się nie mieli prawa. Obicia jednak, krzesła i szafy dostawały się w spadku następnęg ksieni. Dorocznie w dzień śmierci swojęj przelożonęg, kapituła odprawiała za nią wigilie i żałobne nabożeństwo.

Tymczasem po odbytym pogrzebie aż do dnia elekcji, co dzień po mszy śpiewały Kanoniczki hymn: „Duchu Ś. Stworzycielu” i pieśń: „Wypuść ducha Twego” i modlitwę: „Boże, któryś serca” i odmawiały siedm pacierzy i siedm Zdrowaś Marya.. W przeddzień elekcji, prezydentka zgromadzała głosem dzwonka do kapitułarza Kanoniczki. Następowaly znowu te modlitwy i wezwanie do Ducha św. Poczém prezydentka zabierała głos i napomykała o ważności sprawy, zaklinając panny, żeby nie baczyły na koligacye, ani na wielkie urodzenie, ale na cnoty; i żeby miały jedynie na celu chwałę bożą i dobro zgromadzenia. Poczém odczytywały się ustawy.

W sam dzień elekcji o 7 rano, odprawiała się wotywa o Duchu Świętym, w ciągu której wszystkie Kanoniczki kommuikowały się i prosto z kościoła szły do kapitułarza. Stały tam już krzesła we dwa rzędy, a we środku dla prezydentki, przed którą znajdował się stół, a na nim kałamarz, papier, pióro i szkatułka z otworem podługowatym na wierzchu, jak skarbona. Sekretarka zawczasu przygotować była powinna karty albo drukowane, albo jednym charakterem pisane z imionami Kanoniczek, które obrane być mogą. Każda kartka ma być nastrzyżona, tak imię za imieniem, żeby łatwo oderwać można było nazwisko, za którym się głosuje. Głosowały tylko przytomne w Warszawie Kanoniczki; wybór ich zawsze był ważny. To zupełnie po rzymsku.

Zasiadały panny w kapitułarzu podług starszeństwa. Najdawniejsza po prezydentce w zgromadzeniu, zajmowała pierwsze miejsce obok niej na prawej stronie, druga, pierwsze po lewej, i tak aż do końca. Prezydentka znowu zagajała. Zgromadzenie zaczynało od wyboru sekretarki. Sekretarka kapituły rozdawała dlatego kartki z imionami Kanoniczkom, wydartszy jednak imię tej, której kartkę dawała; bo prawo zastrzegało, że za sobą dawać głosu niewolno. Wydarte imiona wrzucała w ogień palący się w kapitułarzu. Wtenczas zacząwszy od prezydentki, jedna po drugiej Kanoniczki wrzucały do szkatułki imiona, za którymi podawały głosy. Reszta znowu paliła się. Prezydentka wyrzucała kartki przed towarzyszką na prawej stronie, a ta przeliczywszy czy są wszystkie, czytała głośno imiona, które prezydentka z pierwszą Kanoniczką, siedzącą po lewej ręce, zaraz notowały. Ta, co najwięcej wtedy pozyskiwała głosów, zostawała sekretarką. Jeżeli dwie otrzymały równą liczbę głosów, wtedy miała pierwszeństwo dawniejsza w zgromadzeniu. Gdyby słabość

zmusiła jaką Kanoniczkę do pozostania w pokoju, dwie starsze siostry po prezydentce, szły do niej ze szkatułką głos odebrać. Prezydentka nie może być obrana za sekretarkę.

Sekretarka zajmuje wtedy pierwsze miejsce po prawej stronie, a druga Kanoniczka z kolei podług dawności w zgromadzeniu, przechodzi na pierwsze miejsce na lewo, i tak po kolei zmieniały panny wszystkie swoje miejsca. Późem obiera się podobnym sposobem skrutatorka, która zasiada pierwsze miejsce na lewo, i znowu następuje przesiadywanie się Kanoniczek, aż do ostatniej.

Elekcya ksieni odbywa się takimże samym sposobem, jak tych dwóch urzędniczek kapituły. Ale żeby ksieni zostać, potrzeba jeszcze pewne spełnić warunki. I tak: ksieni ma mieć lat 30 skończonych, ma przysięgać na czystość i na to, że nie opuści zgromadzenia aż do śmierci; ma posiadać skromność, pokorę i miłość bliźniego; ma surowość łagodnością osładzać; powinna była mieć serce wspaniałe i odważne, żeby nie lękała się lada trudności, a postanowienie raz powzięte, umiała statecznie przywodzić do skutku. Dalej ksieni powinna mieć rozum i rozsądek zdrowy i do rady zgodny, nie mogła razić oczu jakimś defektem, któryby jej do pełnienia obowiązków przeszkadzał; między swojemi i obcemi powinna była posiadać dobre imię i *estymacyą*, a naostatek kochać dobro pospolite zgromadzenia, żeby inne Kanoniczki i słowem i przykładem zachęcała do służby Bożej. Założycielka jednak zastrzegła, że bez pierwszych dwóch warunków, elekcya w żaden sposób prawną być nie może.

Ksieni musiała mieć koniecznie głosem więcej, jak połowa głosujących Kanoniczek. Gdyby króskowanie pierwsze nie miało stanowczego rozwiązania, następowało drugie i trzecie. Jeżeli i trzecie nie objawiło nic jeszcze, wtedy ksienią zostawała Kanoniczka ta, która najwięcej miała głosów, jeżeli wszystkie jej współzawodniczki miały tylko po jednym. Jeżeli zaś kilka takich było panien, na które się głosy rozdzieliły, wtedy raz jeszcze następowało wotowanie pomiędzy temi, które miały więcej jak po jednym głosie. Wtenczas sekretarka rozdawała pomiędzy towarzyszki białe i czarne gałki. Zaczynało się głosowanie od téj, co najbliższą była wyboru, a jeżeli dwie znajdowały się równe, to od dawniejszój. Sekretarka obchodziła wtedy z workiem, do którego wrzucano gałki: biała znaczyła za, czarna przeciw. Rachują potem gałki i jeżeli więcej białych,

ksieni obrana. Gdyby i tak jeszcze nie było zgody, ta, co najwięcej za sobą miała białych galek, odnosiła zwycięstwo. Nareszcie, gdyby i tutaj wadziła równość głosów, dawniejsza w zgromadzeniu zostawała ksienią, a jeżeli razem obiedwie wstąpiły, to starsza w latach. Nieobecna Kanoniczka mogła być obrana.

Prezydentka ogłasza wybór, a jeżeli sama została ksienią, wtedy pełni tę powinność sekretarka. Pyta się zatem obranej, czy przyjmuje elekcję, czy chce zostać Kanoniczką do śmierci, i przysięgać na wieczną czystość. W razie przyjęcia, zawiadomiony o wszystkim zostaje biskup, albo w jego nieobecności officyał warszawski. Biskup wyznacza dzień, w którym sam ma odebrać od ksieni przysięgę, zatwierdzić tém jej wybór i instalować ją w zgromadzeniu. Dzień ten miał nastąpić najdalej we dwa tygodnie po elekcji. Jeżeliby obrana nie zaraz przyjęła urząd, prawa pozwalały jej 12 dni do namysłu; przyjąwszy ostatecznie, w przeciągu trzech dni powinna była złożyć przysięgę. Gdyby po namyśle nowa ksieni nie przyjęła urzędu, albo przyjąwszy w trzy dni następne nie wykonała przysięgi, kapituła zaraz nazajutrz musiała przystępować do nowej elekcji, na której już powtórnie zwłócząca ksienią obrana być nie może, ale jednak głosować miała prawo. Gdyby nieobecna w Warszawie Kanoniczka ksienią została, kapituła natychmiast do niej listy wyprawić była powinna, a te 12 dni do namysłu i całe dwa tygodnie po elekcji dla dopełnienia przepisów prawa, liczyły się już od daty wręczenia listu.

Sekretarka wpisywała wtenczas akt elekcji w akta kapitulne, a wszystkie Kanoniczki podpisywały protokół. Niewolno wtenczas było robić sobie nawzajem wymówek i rozwodzić żalów; niewolno było pod żadnym pozorem niszczyć zaczętego dzieła, bo w takim razie, winna traciła głos na kapitułach. Po wpisaniu aktu elekcji, Kanoniczki szły rzędem do kościoła i tam śpiewały hymn św. Ambrozego i inne modlitwy.

W dzień przysięgi, biskup albo prałat od niego wyznaczony, przyjmowany był u drzwi kościelnych przez wszystkie Kanoniczki i wprowadzony następnie do kościoła. Odprawiał potem mszę przed wielkim ołtarzem, podczas której muzyka na chórze grała, a Kanoniczki w płaszczach modliły się, klęcząc w półkole. Nowa ksieni klęczała na przodzie w pośrodku ze świecą w ręku i pod koniec mszy przyjmowała ciało Pańskie. Biskup po nabożeństwie

brał kapę i przykląkłszy przed wielkim oltarzem, zaczął hymn do Ducha św. który grała kapela. Biskup potem inne śpiewał modlitwy stojąc, a nareszcie brał pastorał do ręki i infulę, zasiadał przed oltarzem, a ksieni w towarzystwie dwóch najdawniejszych Kanoniczek, przystępowała do niego. Starsza z tych dwójga nakłoniwszy się, mówiła:

„Zgromadzenie tutejsze, obrawszy sobie za ksienią N. N. pokornie uprasza, aby do zwykłej przysięgi przypuszczona i na urzędzie swoim potwierdzona była.”

Wtenczas biskup obracając się do ksieni, mówił:

„Gotowaś najmilsza córko, zwykłą przysięgę według praw tego zakonu wykonać?”

Odpowiedź była: „Gotowam.” Biskup mówił: „Przystąp!” Klękała wtedy przed nim i tak przysięgała: „Ja lubo niegodna, obrana na ksienią miejsca tego, w obecności majestatu boskiego, Najświętszej Maryi Panny i całego domu niebieskiego i przed tobą najwielebniejszy ojczy, przysięgam Panu Bogu w Trójcy stój jedynemu, że mam prawdziwą wolę zachować statuta i reguły zgromadzenia tego, że zachowam wieczną czystość i że w zgromadzeniu tém trwać będę aż do śmierci.” A kładąc wtenczas dwa palce prawej ręki na ewangelię, dodawała: „Tak mi Panie Boże dopomóż i ta sta Jego ewangelia.”

Biskup wtedy mówił: „Obiecujesz mnie i następcom moim poszanowanie i według ustaw tego zgromadzenia posłuszeństwo?” Ksieni obiecywała. Potem biskup dodawał: „Pokój Pana naszego niechaj będzie z tobą! Ja ciebie także jako należycie obraną za ksienią tego zgromadzenia potwierdzam, i całemu zgromadzeniu zalecam i przykazuję, aby ci od téj godziny należyte poszanowanie i posłuszeństwo oddawało.”

Potem biskup śpiewał modlitwy po łacinie, którym wtórzyła i odpowiadała kapela. Następnie zdejmował szaty, udzielał błogosławieństwo, jeszcze raz dziękował Bogu i wychodził z kościoła, odprowadzany aż do drzwi przez Kanoniczki. Następowало posiedzenie w kapitularku. Ksieni polecała się modlitwom i zapewniała raz jeszcze, że jedynie tylko dobro zgromadzenia mieć będzie na celu. Poczem oddawano jój na tacach pieczęci i klucze od archiwum i skrzyni, od kościoła, zakrystyi i skarbcu. Po téj ceremonii wszystkie Kanoniczki przystępowały z poszanowaniem do ksieni i całowały ją w rękę. Tém kończyły się obrzędy elekcyjne.

Prócz tego wyboru ksieni, który rzadko się trafiał, w kapitule co rok, dnia 31 grudnia, odbywały się elekcye urzędniczek, to jest sekretarki i konsyliarek. Wybory następowały zupełnie podług wyżej podanych przepisów o elekcji ksieni. Konsyliarka jednak musiała odbyć nowicyat; na sekretarkę i tego nie było potrzeba. Obrane, tegoż samego dnia elekcji razem z ksienią przeglądaly rejestra, do urzędów swoich należące, i pod inwentarzem odbierały od poprzedniczek wszystkie własności kapituły. Jeżeli obrane nie znajdowały się w Warszawie, wstrzymywano te czynności aż do 1go lutego. Poczém nowy następował obiór. Jeżeli dawne urzędniczki były zatwierdzone na swoich godnościach, zdawały tylko liczbę ze swoich godności przed ksienią i najdawniejszą siostrą.

Obowiązki ksieni ściśle oznaczyła pani Zamojska. Miała być matką łagodną i dobrotliwą. Miała prawo upominać raz i drugi, a trzeci raz już przy konsyliarkach, a wreszcie przedstawić sprawę kapitule. Co do zarządu gospodarskiego, miała przestrzegać dobra zgromadzenia i oszczędnie obchodzić się z dochodami. Wino z Węgier, korzenie z Gdańska, bydło na rzeź, gdzie tanie, miała skupować. Po elekcji konsyliarek zaraz rozdawała urzędy i wyższe, i niższe. Mianowała wtedy dwie Kanoniczki kantorkami. Nie mogła wynosić się nad inne siostry, ani żyć od nich wygodniej i wykwinniej. Okiem swoim wszędzie miała zaglądać, i wszędzie dawać z siebie przykład.

Konsyliarki składały przyboczną, nieustającą radę ksieni. Miały z nią incyatywę i rząd naczelny. Dlatego nigdy obiedwie z Warszawy oddalać się nie mogły, a tylko jedna, która w takim razie zostawiała po sobie następczynią. Starsza konsyliarka, ekonomka czyli podskarbini, była gospodynią zgromadzenia, niby ministrem skarbu. Skrzynię miała u siebie na pieniądze, zamkniętą na dwa klucze, z których jeden był w rękach ksieni. Więcej nad 2,000 nie mogło być w téj skrzyni na potoczne wydatki. Dochód i rozchód zapisywała podskarbini w księdze oprawnej. Miała pod swoim dozorem i archiwum kapituły. Z poradą ksieni skupowała rzeczy do spiżarni, kuchni, piwnicy, opał także i światło. Miała do pomocy ekonoma i szafarza. Bez pozwolenia ksieni, nie mogła robić żadnych nadzwyczajnych wydatków, a jeżeli wydatek ten przechodził 3,000 złp., bez pozwolenia kapituły. Ona też przyjmowała i oddalała służbę. Wyplacała pensye, rozdawała Kanoniczkom drzewo na opał i światło na zimę. Druga konsyliarka,

przełożona kościoła, pilnowała nabożeństwa, świąt zgromadzenia, napraw potrzebnych, księży i kaznodziejów.

Sekretarka miała klucz od kapitułarza i prowadziła bieżącą korespondencją zgromadzenia. Jeden akt wpisywała za drugim do oddzielnej księgi; a kiedy zapisała jedną księgę całkowicie, oddawała ją podskarbinie do archiwum. Ona pisała listy imieniem kapituły i utrzymywała inną księgę, w której notował się dzień wyjazdu i powrotu każdej Kanoniczki, bo na tém zależało wiele zgromadzeniu: w końcu roku podskarbinie podług téj księgi urywała pensye Kanoniczkom.

Nie chciała pani Zamojska, żeby ksieni składała kiedy swój urząd. Zastrzegła jednak, że gdyby ksieni popełniła jaki występki przeciwko prawom duchownym, albo rozpraszała dobra kapitułne, wtedy mogła być zmuszoną do złożenia urzędu. Ale wtedy na zaskarżenie kapituły, jedynie tylko i ostatecznie biskup poznański wyrokował. Za pozwoleniem także biskupa, mogła i dobrowolnie złożyć ksieni swój urząd.

Raz w tydzień przynajmniej, ksieni z konsyliarkami odbywała radę, na której rozbierać się miały sprawy, dotyczące dobra pospolitego i szczególnych osób. Jeżeli ksieni nie ma co powiedzieć na radzie, zawsze ją zwołać powinna, bo ze strony konsyliarek zająć mogą powody, żądające tego zwołania. Jeżeliby i tak nie jeszcze nie było do nadmienienia na téj radzie, i stan zgromadzenia był zupełnie zaspokajający, miały przynajmniej odczytywać postanowienia całej kapituły, żeby się przekonać, czy są przeprowadzone do skutku. Prócz tego, jeżeli powód jaki zmuszał, nie czekając tygodnia, ksieni za każdą razą powinna była zgromadzać radę konsyliarek.

Kapituła zbierała się pierwszego dnia każdego miesiąca na zwyczajne posiedzenia. Stanowiła, jak mówiliśmy, władzę najwyższą prawodawczą, i bez jęj wiedzy żadne postanowienie tyczące się ogółu, albo dobra zgromadzenia nie mogło nastąpić. Kapituła przyjmowała nowo-wstępujące Kanoniczki, usuwała je, stanowiła o sprzedaży dóbr nieruchomych, albo o ich nabyciu, o ulokowaniu summ kapitułnych, o naprawach, jakie w gmachu marywilskim przedsiębrać trzeba było, a które summę 3,000 złp. przechodziły. Kapituła stanowiła o odjęciu głosu jakiej Kanoniczce, zatrzymywała jęj pensją i t. d. O nadzwyczajnych posiedzeniach kapituły, np. dla obrania ksieni i urzędniczek, jużesmy mówili. Pomimo tego, za każdą razą, kiedy ksieni z konsyliarkami albo

z jedną z nich widziała tego potrzebę, mogła zgromadzić kapitułę nadzwyczajną.

Ciekawe téż są szczegóły o ceremoniach przyjęcia nowowstępujących Kanoniczek do zgromadzenia, które téż w obec kapituły odbywać się musiało. W dzień przyjęcia, ksieni składała posiedzenie nadzwyczajne, poprzedzone przez nabożeństwo w kościele. Ksieni uwiadamiła kapitułę o celu zebrania. Wprowadzono wtedy nową siostrę. Wstawały wszystkie Kanoniczki, a ksieni przemawiała do wstępującej, zalecając ją zgromadzeniu, a jéj zgromadzenie. Objawiała nadzieję, że nowa siostra będzie chlubą swoich spółtowarzystek. Następują uściski. Wstępująca ksienią całowała w rękę, a towarzyszki ją po twarzy. Przy tym obrzędzie cała kapituła powinna być w uroczystém kościelném ubraniu. Ksieni wyznaczała nowéj dziewicy pomieszkanie w gmachu kapitulnym i dodawała jéj starszą Kanoniczkę do towarzystwa w przeciągu 6ciu piérwszych tygodni. Towarzyszka ta uczyła nowowstępującą. Kanoniczki oddawały po kolei wizytę młodéj siostrze, która podług zwyczajów światowych, znowu do starszych od siebie po kolei chodziła. Jeżeli wstępująca chciała uraczyć towarzyszki, mogło to zaraz nastąpić, nazajutrz po przyjęciu.

Nowo wstępujące odbywały rok nowicyatu, w czasie którego ani wyjeżdżać nie mogły z domu, ani téż opuszczać żadnego nabożeństwa. Gdyby konieczność zmusiła nowicyantkę do opuszczenia domu, musiała już na nowo zaczynać rok cały. Po roku dopiero odbywała 5-dniowe rekolekcyje i spowiedź nazajutrz; poczem w czasie mszy składała przysięgę i brała komunię. Na piérwszój wtenczas kapitule, sekretarka wpisywała akt przyrzeczenia, a nowo wstępująca stwierdzała akt ten swoim podpisem; kłękała następnie przed ksienią, która kładła na nią order Niepokalanego Poczęcia, płaszcz i jedwabnicę, wszystko poświęcone poprzednio. Kanoniczki wszystkie, które znajdowały się przy téj ceremonii, wyjąwszy ksienią, przybrać się były powinny w białe suknie, z kościelnym strojem na wierzchu, tojest: z jedwabnicami i płaszczami błękitnymi, biało podszytymi. Kolor tych szat wystawiał stan niewinności. Ksieni wtenczas ubierała nowo wstępującą w ten strój kościelny, a młoda dziewica przyjąwszy z nabożeństwem tę suknię, całowała w rękę ksienią i zasiadała swoje miejsce w kapitule. Odtąd była już Kanoniczką.

Na kapitule zawsze prezydowała ksieni, albo w jéj zastępstwie podskarbini zgromadzenia, wyjąwszy jednak chwile po śmier-

ci jednej, a przed elekcyą drugiej ksieni; bo wtenczas rządziła Kanoniczkami administratorka, to jest najdawniejsza dziewczica w zgromadzeniu, i prezydowała na wyborach, jakieśmy to już powiadali. Krzesło ksieni stało na podwyższeniu, na pół ćwierci łokcia wysokiem, w kapitularku, a przy niej w jednęże linię stały krzesła konsyliarek. Prostopadle do nich stały dwa rzędy krzesel dla Kanoniczek. Na stole przed ksienią znajdowały się materyały piśmienne, krucyfix duży, dzwonek i statuta zgromadzenia w oprawnej księdze. Pierwsze miejsce na prawo zajmowała sekretarka, a inne Kanoniczki siadały kolejną dawności w zgromadzeniu, pomimo tytułów i godności, jakie nosiły po ojcu. Głosowanie odbywało się jawnie: przeważała większość, a równość głosów rozstrzygała ksieni. Prezydująca zagajała, i przedstawiając sprawę jaką, rozjaśniała ją tylko, nie wyjawiając jednakże swojego zdania. Poczem kolejną jak siedziały, inne panny odzywały się ze swoją myślą, w słowach krótkich, jasnych i uczciwych. Kiedy wszystkie już przegłosowały, zaczynała się rozprawa, w której spierały się zdania przeciwne; a kiedy przedmiot należycie był zgłębiony, wolno było Kanoniczkom jeszcze raz dawać swoje zdania i zmieniać je nawet. Wtenczas stanowczo i swój głos podawała ksieni.

Do zachowywania ścisłej tajemnicy tego, co się działo na obradach, obowiązane były Kanoniczki. Prezydująca kierowała rozprawami. Na jej rozkaz każda z Kanoniczek ustąpić powinna była z kapitularku, jeżeli o niej głosowało co zgromadzenie. Przełamanie tajemnicy karało się odsądzeniem od głosu na kapitule przez rok cały.

Między kapitułami zwyczajnemi, dwie nazywały się *generalne*. Zaczynały się 31 grudnia i 30 czerwca. Pierwsza mogła trwać do 3ch Króli, druga też dni kilka. W grudniu po elekcyi urzędniczek, kapituła rozbierała naprzód sprawy kościelne i duchowne, które należały do czci Bożej, potem naradzała się o poprawieniu tego, co z karbów prawnych wyszło, o wprawieniu w *klubę i regularność*, coby z niej wypadło, o skaraniu występków znaczniejszych, lub win niewypełnionych, o przyjęciu nowych panien lub wyłączeniu dawnych ze zgromadzenia; potem o porządku i ochędźtwie w kościele, w zakrystyi, chórze, o pomieszkaniu i rachunkach rocznych, o kontraktach dóbr i sprawach przed sądami, o czynszach, procentach, kapitałach, naprawie budynków. Na kapitule czerwcowej, prócz elekcyi zajmowano się temiz samemi

przedmiotami. Gdyby wtenczas przed posiedzeniem Kanoniczka nowowstępująca, dokończyła nowicyatu, przedewszystkiém wtedy do kapitułarza przyjętą być miała.

Kanoniczka, mająca chęć zwrócić na jaki przedmiot uwagę kapituły, powinna była zawczasu wymotywować w krótkich słowach swoje żądanie na piśmie i złożyć na ręce ksieni, która projekt ten dawała poznać zgromadzeniu. Wtenczas prawem dozwolony głos naprzód w obronie swojej myśli zabierała Kanoniczka, autorka projektu, a ksieni dawała zdanie, czy projekt ma być roztrząsany, czyli téż odrzucony. Jeżeliby trzy Kanoniczki były tego zdania, że projekt roztrząsany być miał, następowały rozprawy i zwykłe głosowanie, od którego zależało przyjęcie, albo nieprzyjęcie projektu.

Zakończymy ten rys praw o kapitule kilku ogólnemi postanowieniami założycielki. Kanoniczki miały się schodzić na te swoje obrady w ubiorze kościelnym, jakiego używały podczas nabożeństwa. W innym stroju nie miały ani miejsca, ani głosu na kapitule. Dla ważności postanowień, konieczny był komplet 6ciu Kanoniczek. Każda kapituła mogła nowicyantki przypuszczać do kapitułarza, ale tylko generalna mogła roztrząsać sprawy względem rugowania panien na czas jakiś, albo nazawsze ze zgromadzenia. Uchwały kapitułne miały już wagę, kiedy je podpisała ksieni i sekretarka, a w razie słabości ksieni, lub innej jakiej przeszkody, kiedy je podpisały konsyliarki i sekretarka.

Co do powinności jakie na Kanoniczki wkładała pani Zamojska, te stosowały się do nabożeństwa w kościele i do obyczajów. Trzy msze czytane codziennie odprawiać się miały dla panien: o 6tej rano, o 8ej i 10tej. Co dzień jedna z tych trzech odprawiała się za fundatorkę. Co do innych zaś, jedna w tydzień za rodziców, krewnych i przyjaciół założycielki, druga za konających i grzeszników, trzecia za dusze niemające znikąd ratunku, czwarta za zmarłych dobrodziejów zgromadzenia, piąta za samo zgromadzenie i dobrodziejów żyjących. Inne msze odprawiali kapłani Kanoniczek podług własnej intencji. Kapłanów tych obierała ksieni za wiedzę kapituły. Na święta, kaznodziejów także zapraszała ksieni. Umowy zaś z jednemi i z drugimi zawierała konsyliarka, przełożona kościoła.

Panny niższego choru były obowiązane słuchać piérwszej mszy, a co niedziela winny były śpiewać koronki o Trójcy stój. Dlatego musiały na to poranne chodzić nabożeństwo, żeby po-

tém wolniejsze były i użyte do posług w klasztorze. Gdyby jednak która zajęta była pracą obowiązkową o 6tej, mogła być na mszy i o 8mej. Szeroko zaś rozpisala się pani Zamojska w przepisach swoich o nabożeństwie, do którego zobowiązywała same Kanoniczki: wyznaczała im godziny wstawania, porządek modlitw i pacierzy; przepisywała zupełnie jak dla klasztoru, godziny śpiewu, nabożeństwa i zajęcia się domowego. Niektóre przepisy przytoczymy w treści ich główniej:

Kanoniczki miały wstawać o 6tej i zaraz serce swoje Bogu ofiarować powinny były; potem intencją na cały dzień uczynić i rozmyślać pół godziny przy modlitwach porannych. O godzinie 8mej po raz pierwszy dzwoniono na jutrznią, o wpół do 9tej powtórnie uderzano 30 razy w dzwonek kościelny. Wtedy Kanoniczki w chórze zaczynały odmawiać officjum o Najświętszej Pannie po polsku, powoli, na dwa chóry. Po jutrzni szły *laudes* i *prima*. Następowala msza o 10, a po niej tercyja, sexta i nona. Tego nabożeństwa słuchały i modlitwy odmawiały Kanoniczki ciągle w chórze. W post, msza ta ostatnia kończyła całe nabożeństwo, a zaraz po niej odprawiano nieszpory. Zresztą w inne dni, nie w czasie postu wielkiego, nieszpory następowały o 4tej. O 8mej wieczorem Kanoniczki na głos dzwonka odprawiały ostatnie już dzienne modlitwy: wtenczas co środa i sobota odmawiały litanie o Najświętszej Pannie, co piątek o Imieniu Jezus, a w inne dni o Wszystkich Świętych, zalecając Bogu panią Zamojską i modląc się za nią za życia, a po śmierci za jej duszę. Naostatek po tych nabożeństwach, odmawiały psalm: „Z głębokości”; potem pięć pacierzy i pięć „Zdrowaś Marya” za wszystkich zmarłych. Na tych wieczornych modlitwach, całe zgromadzenie i kapituły, i pannen niższego chóru znajdować się winno. Przed 9tą kończyły się pacierze, a wtedy panny iść mogły spać, ale kwadrans przynajmniej z całego dnia winny były zrobić sobie rachunek sumienia.

Surowe kary przepisywała ustawa na Kanoniczki, niedopełniające swoich powinności co do modlitw obowiązkowych. Nawet te, które za pozwoleniem ksieni wyjeżdżały z Warszawy, przepisane nabożeństwo musiały odprawiać, gdziebykolwiek się znajdowały.

Pobożna założycielka osobne stanowiła przepisy względem nabożeństwa w ciągu wielkiego tygodnia, albo świąt uroczystych. Od wielkiej środy zaczynał się szereg nieustannych prawie modlitw. W wielki czwartek w czasie jednej mszy o 10tej godzi-

nie, Kanoniczki przystępowały do sakramentu ołtarza, a po niej ksieni starym niewiastom publicznie umywała w kościele nogi, do czego posługiwały jej konsyliarki, a towarzyszyły wszystkie kapitulne panny. Następnie w swoim pokoju, ksieni w podobnymże orszaku usługiwała do stołu podeszłym w wieku staruszkom. W wielki piątek zaczynało się nabożeństwo o 10. Kiedy kapłan krzyż Chrystusowy położył niby w grobie, przystępowała do niego naprzód ksieni, a potem inne Kanoniczki w parach, z rozpuszczonymi płaszczami, bosy i całowały krzyż, przyklękając trzy razy. Od końca mszy w wielki piątek aż do soboty wieczorem, godzinami, po kolei, klęczały Kanoniczki i panny niższego chóru przed Najświętszym Sakramentem, a los oznaczał bliżej tę kolej. W wielką sobotę po mszy następowały nieszpory i kompleta wieczorem. Rezurekcyi nie miały Kanoniczki w swoim kościele, tylko w pierwszy dzień Wielkanocny ciało Pańskie wyjmowano z grobu i na zwyczajne przenoszono miejsce.

Przez całą oktawę Bożego Ciała, Kanoniczki, panny chóru i służące, parami także klęczały przed Najświętszym Sakramentem, zmieniając się co godzina. Los znowu kolej oznaczał.

Ale najuroczyściej obchodzone być miały przez Kanoniczki w ich kościele święta Matki Boskiej, patronki zgromadzenia, a z tych świąt, Zwiastowanie. Na Gromniczną rozdawano wszystkim Kanoniczkom i pannom chóru, świece na ten dzień umyślnie przygotowane i poświęcone, a to już z funduszków zgromadzenia. Wystawiano wtedy Przenajświętszy Sakrament, była msza śpiewana i kazanie. Ale w dzień Zwiastowania odprawiały się podwójne nieszpory, msza wielka i dwa kazania spadały na lud pobożny z kazalnicy.

Jeżeli sejm się odbywał w Warszawie, czy w Grodnie, nabożeństwo u Kanoniczek przez cały czas trwania obrad, odbywało się także okazaliej jak zwykle. Po mszy kapitulnej wystawiono znowu Przenajświętszy Sakrament, przed którym w półkole uklakłszy Kanoniczki, nuciły uroczystym głosem hymn: „Duchu śty Stworzycielu”; po pieśni następowały modlitwy o Duchu śtym i pacierz za króla, za pokój, za radę dobrą i zgodę. Nie koniec jeszcze. Po tych modlitwach szły suplikacye, potem modlitwa: „Fiant Domine” i nareszcie chowano Przenajświętszy Sakrament. Nabożeństwo to odbywało się codziennie i publicznie dla wszystkich.

Za wszystkich zmarłych, modliły się Kanoniczki w dzień Zaduszny, a w pierwszy dzień powszedni potem za siostry, co przestały żyć w zgromadzeniu. Prócz tego nabożeństwo żałobne odprawiało się za panią Zamojską i za każdą w szczególności zmarłą Kanoniczkę w dzień jej śmierci.

Do spowiedzi przystępowały jedenaście razy: na Boże Narodzenie, Wielki Czwartek, Wniebowstąpienie, Zielone Świątki, Boże Ciało, Niepokalane Poczęcie, Oczyszczenie, Zwiastowanie, Wniebowzięcie, Narodzenie, Ofiarowanie N. P. i w dzień stój Barbary. Spowiadać się mogły i częściej, i w innych kościołach, za pozwoleniem ksieni, ale w te dni koniecznie u siebie.

Rekollekcyje duchowne odprawiały się raz do roku, ale najmniej co 5 dni, w ścisłym odosobnieniu się od świata, pod kierunkiem Jezuitów koronnych.

Była jeszcze jedna w zgromadzeniu uroczystość. Na pamiątkę zwycięstwa pod Wiedniem, Kanoniczki odprawiały processyą doroczną w niedzielę między oktawą Narodzenia Najświętszej Panny. Królowa Marya Kazimiéra spełniając ślub swój, wtedy ofiarowany Bogu, wystawiła kaplicę w Marywilu, która teraz była własnością Kanoniczek, skutkiem darowizny pani Zamojskiej. Dla obchodzenia tej pamiątki, z kaplicy wychodziła processya. po Marywilu, na której wszystkie Kanoniczki, przytomne w stolicy, parami w płaszczach, postępowały w uroczystym orszaku ludu. Ksieni miała obowiązek wszelkimi sposobami podnosić tę uroczystość. Zaproszony jaki dostojnik kościelny, miał prowadzić processyą. Msza śpiewana i kazanie miały lud gromadzić na to święto. Zdaje się, że nawet o jakiéjś fundacyi na ten cel myślał ktoś dla zgromadzenia i zapisywać chciał fundusze, jak to można wnosić ze słów ustawy, gdzie mowa o tej processyi. Pani Zamojska obiecywała nawet jakieś osobne rozporządzenia względem obchodu tej pamiątki. Nie wiemy, czy te rozporządzenia były wydane i czy weszły w życie.

Przepisy i karność zajmowały następnie założycielkę. Kanoniczki wstawszy i zaleciwszy sprawy swoje Bogu, codziennie jednej mszy miały słuchać, nabożeństwo przepisane i modlitwy odprawiać, a kazania, jeżeli było w kaplicy klasztornej, słuchać z pilnością. Do dzwonka zawsze i wszędzie stosować się musiały i bez szemrania, natychmiast stawić się na rozkaz, albo na czas nabożeństwa, które dzwonek obwieści. Ulegały ksieni i kon-syliarkom, a między sobą miały być grzeczne i ani dla rodu, ani

dla wieku, ani dla żadnych innych pobudek jedna przed drugą pierwszeństwa sobie nie przywłaszczać. Zresztą, jeżeli jaki wzgląd o pierwszeństwo na uwagę zasługiwać powinien, to czas wejścia do zgromadzenia, a nie nazwisko, lub dostojenstwo rodziców. Te przepisy ściągaly się tylko do Kanoniczek, co bawily za furtą zakonną, bo na świecie każda brała pierwszeństwo przed drugimi podług tytułów i godności. Kanoniczkom zabraniało się strofować panny niższego chóru, bo te nie były ich sługami.

Wreszcie wychodząc z zasady, że „zacie urodzone damy”, pobożnie i z chwałą Boską, ze zbudowaniem bliźniego, i z honorem powinny prowadzić życie, Zamojska wniosła, że powinna wyznaczyć skuteczne sposoby „na zabezpieczenie defektom, żeby za czasem dobrej sławie tego zgromadzenia szkodzić, a przeto i ruiny jego za sobą pociągnąć nie mogły.”

Ztąd Kanoniczki wykraczające przeciw statutom, naprzód ksieni miała prawo strofować i upominać z łagodnością, a kiedy nie pomagała ta łagodność, z surowością w obec konsyliarek. W wykroczeniach większej wagi, winna miała być przez ksienią, albo inną kanoniczkę zaskarżana przed kapitułą.

Kary od zarządzenia kapituły, były następujące: naprzód odsądzenie na czas dłuższy lub krótszy od głosu i miejsca na posiedzeniach; powtóre: wytrącenie z pensyi nie więcej jednakże nad część kwartalną; potem zabronienie nawet na czas znaczny wyjeżdżania z Warszawy i z domu, nareszcie areszt w stancyi, odłączenie od towarzystwa i rozmowy z drugimi, posty, nabożeństwa, rekolekcyje, klęczenie publiczne przed Najświętszym Sakramentem i t. d.

Występek tak wielki, że za zdaniem większości kapituły, zasługiwał na zupełne usunięcie ze zgromadzenia, miał iść pod roztrząśnienie i wyrok biskupa poznańskiego. Biskup rozpatrzywszy okoliczności, mógł ostatecznie sprawę tę załagodzić, i albo zatwierdzić zdanie kapituły, albo je zmienić, stosownie do własnego w tej rzeczy przekonania. Obrazy wstydu panińskiego, sam biskup wstawiennictwem swoim zatrzyć nie potrafił. Kapituła prócz tego jednego wypadku, rugowania Kanoniczki ze zgromadzenia, zawsze wyrokowała ostatecznie. Apellacyi do biskupa inaczéj być nie mogło od tego najwyższego sądu, a szukająca sprawiedliwości poza obrębem zgromadzenia Kanoniczka, podlegała dwa razy większym karom. I w ogólności wszystkie te apellacye i skargi od wyroku, albo na wyrok kapituły, gdziekolwiekbądź i do kogokol-

wiekbądź zanoszone, zakazane były surowo i dla Kanoniczek, i dla panien chóru, jeżeli te kary podług ustaw zasądziła kapituła.

Kanoniczki nie wyrzekały się towarzystwa, przestępując za furte zgromadzenia. Mogły więc odwiedzać znajomych swoich na mieście i mogły same przyjmować gości. Jednakże odzwrotna nie każdego puszczała za furte. Ludzie znowu *podlejszej kondycji* (co do słowa, z ustawy), jakoto: rzemieślnicy, kupcy i przekupki, mieli tylko wstęp do izby gościnniej. Mężczyźni *godni* wpuszczani bywali do komnat ksieni, i tam dopiero mogli się widywać z Kanoniczkami, albo jeżeli tego nie chcieli, czekali w izbie gościnniej na znajomą, która zawsze z towarzyszką nadchodziła dla rozmowy i załatwienia interesu. Jeżeli która Kanoniczka chciała pobierać lekcyje języków albo muzyki, nauczyciel przychodził do komnat ksieni, i tam odbywały się konferencye. Kobiety mogły jednak za pozwoleniem ksieni odwiedzać Kanoniczki w ich pokojach. Co do mężczyzn, wyjątek był tylko dla spowiednika, doktora, cyrulika, lub aptekarza, którzy dla chorój Kanoniczki przynosili albo duchowną pociechę, albo uzdrowienie ciała.

Co do wyjazdów na miasto i z Warszawy w dalsze okolice, Kanoniczki miały powóz swemu stanowi przyzwoity. Za każdą jednak razą, prosić się musiały ksieni o pozwolenie, i w tym celu przedstawić jej powody, które nagliły do tego kroku. Ksieni odmówić mogła, jeżeli na jej sąd powody te nie zasługiwały na uwagę. A miała to prawo na odpowiedź Kanoniczkom, które chciały unikać modlitw w chórze, albo innych powinności w zgromadzeniu. Ztąd, jeżeli dla słabości Kanoniczka nie była w kościele rano któregokolwiek dnia, ksieni już miała prawo i obowiązek nie puszczać jej wtedy na miasto. Jeżeli ksieni pozwoliła, Kanoniczka chcąc wyjść na miasto, musiała szukać wtedy sobie towarzyszki, chociażby między pannami niższego chóru; jednakże ile możności powinna być towarzyszką Kanoniczka. Wtedy obiedwie razem wychodziły, obiedwie razem wracały do domu, a panna niższego chóru odprowadzała tylko pannę kapitulną na miejsce, i zaraz wracała z raportem do ksieni. Odwiedziny te nie ulegały zresztą żadnym formalnościom więcej, jeżeli oddawane były matce, albo najbliższej krewniej: w innym razie, Kanoniczka musiała się długo i szeroko rozwodzić z powodami przed ksienią, a potem opowiadać wszelkie szczegóły tych odwiedzin. Przed nabożeństwem ranném jednak żadna Kanoniczka ruszać się z domu nie mogła. Wieczorami zaś podczas zimy, od św. Mateusza aż do

Wielkiéjnocy przed 7mą, a w lecie, tojest w drugiej połowie roku, przed 9tą wracały do domu: bo o téj godzinie zamykano już furte. Kanoniczka wyjeżdżająca z Warszawy, brała także z sobą towarzyszkę podróży; chyba, że opuszczała zgromadzenie pod opieką matki, albo rodzonej ciotki. Dłużej bawić nie mogła wtedy nad 3 miesiące, i chociaż na jeden dzień przed wyjściem pozwolenia, stawić się musiała z powrotem w zgromadzeniu. W przeciwnym razie, czwarta część jéj pensyi szła na oszczędność, a potem jeszcze w ciągu całego roku, za każdą wycieczką strącano jéj pensyą, w stosunku do nowéj nieobecności w kapitule. Połowa z tych wytrąceń szła na obecne ciągle Kanoniczki, a połowa na skarbiec ogólny. Gdyby zdarzyło się, że Kanoniczka rok cały bawiła gdzieś i nie wracała do domu, wtedy kapituła wzywała biskupa, w którego dyecezyi zostawała winna, a ten ją aż klątwą kościelną miał prawo zmusić do powrotu, i winna wtedy już całą pensyą traciła. Jeżeliby jeszcze pół roku zostając w klątwie, nie usłuchała biskupa, wtedy rzeczy jéj będące w domu, konfiskowano, a dekret kapituły wydalal ją nazawsze ze zgromadzenia. Tak wyłączona szkodziła nawet swojemu nazwisku, bo przez lat 30 żadna z jéj rodziny przyjęta być nie mogła do kapituły, nawet i za najusilniejszymi prośbami. Nadto winna obowiązana była wtedy wynagrodzić kapitule wszystkie wydatki, łożone na nią przez cały czas pobytu w zgromadzeniu, jakoto: wydatki na żywność, mieszkanie, pensyą, odzież i inne, jeżeli jakie się znalazły potrzeby. Towarzyszka Kanoniczki w podróży, musiała się także we wszystkiém do tych ustaw stosować; jeżeli się spóźniła, musiała przytoczyć powody tego opuszczenia się i dowodzić, że miała szczerý zamiar powrotu, ale że stanęły jéj na przeszkodzie okoliczności. Ksieni wtenczas z kapitułą rozbierała to usprawiedliwienie się, i od wyroku, zapadłego na radzie zgromadzenia, zależała niewinność towarzyszki, albo jéj występki. Panna niższego chóru, towarzyszka, mogła i w rok nawet powrócić z podróży; ale jeżeli wyjechała sama we własnej potrzebie, za każde opóźnienie się, ulegała całej surowości prawa.

W udzielaniu pozwoleń Kanoniczkom do wyjazdu, ksieni powinna to mieć była na względzie, żeby koniecznie komplet, ustawą przepisany znajdował się w kapitule, tojest sześć Kanoniczek ciągle miało być w Warszawie. Z panien niższego chóru tylko trzy mogły bawić za obrębem zgromadzenia. Ustawa dalej przepisywała dla ksieni prawidła postępowania w takim razie, kiedy liczba Kanoniczek za furte zmniejszała się do koniecznego

kompletu. Za wyjście lub wyjazd choćby do miasta tylko, bez pozwolenia ksieni, następował sąd kapituły. Ustawa zastrzegła jednak wyraźnie, że Kanoniczki będące za furtą, nie mogły znajdować się na żadnych balach, uroczystościach, zabawach, wieczorach. Prawo zabraniało im nawet tańcować. Inaczej następował znowu sąd kapituły. Prawo mieć także chciało, żeby na dwie generalne kapituły, styczniową i lipcową, zjeżdżały się wszystkie Kanoniczki, chociażby nie wyszedł im termin 3ch miesięcznego urlopu. Każda, która nie zjechała na początek obrad, traciła pewną część pensyi, za uznaniem kapituły; Kanoniczka zaś, która wcale nie przyjechała, w skutku prawa, traciła płacę za 4 miesiące.

Co do ksieni, ta nigdy bez rady i pozwolenia kapituły, nie mogła opuszczać na czas nawet najmniejszy murów zgromadzenia, i to jedynie wtenczas wyjechać mogła z Warszawy, kiedy sprawa wielkiej wagi jój rodzinna, lub dobro całej kapituły, koniecznie tego wymagało. Jednakże do dóbr dla wydania rozkazów, dla rozporządzenia własnością zgromadzenia, mogła wyjeżdżać dwa razy do roku, i bawić tam po dwie albo trzy niedziele.

Ciekawe jeszcze o stroju Kanoniczek szczegóły czytamy w ustawach pani Zamojskiej. Założycielka przepisywała pannom kapitulnym strój dwojaki: kościelny i zwyczajny. Zastrzegła jednak, że jedynie przystojność i czystość, mają ubranie Kanoniczek oznaczać. Nie pozwalała się jednej przesadzać nad drugą. Suknie w ogólności być miały z materyi gładkiej, jedwabnej, koloru czarnego, bez złota i srebra, nawet na trzewikach, bez koronek i klejnotów. Szyja miała być osłonięta. Wolno było pannom stosować się do mody, ale z przyzwoitością wszelką. Chciała założycielka, żeby Kanoniczki ubierały się ile możności jednakowo. Na mieście białych sukni używać mogły. Co do formy ubioru, w tém stosować się miały panny *do pospolitego innych dam zwyczaj*. Mogły nosić manty i sołtany, rodzaj salop dzisiejszych. Jeżeli na pokojach królewskich znajdować się przyszło, ubierały się Kanoniczki w kabaty, albo inaczej w roby, jakich światowe niewiasty w takich zdarzeniach używały. Muszek dla ozdoby, ani malowideł nosić, pani Zamojska nie pozwalała. Strój głowy miał być także zastosowany do zwyczaju poza furtą klasztorną. Można było ubierać się we wstążki, ale znowu nie można było zdobić się w koronki i drogie kamienie (1).

(1) Ubiór Kanoniczek warszawskich w rycinie, widzieć można w dziele wyżej przytoczonym szanownego księdza Benjamina, tom 2gi, str. 187. Jest tam i rycina, wystawiająca order panien niższego i wyższego chóru.

Wszystkie Kanoniczki od rana do wieczora nosić miały order złoty Najświętszej Panny Niepokalanego Poczęcia, pod którym to tytułem założone zostało zgromadzenie. Order ten zawieszal się na wstędze pasowej szerokiej, leżącej na szyi, a na piersiach we środku związanej z fontaziem, i wiszącej z rozpuszczonemi końcami. Orderem tym miały się różnić od światowych niewiast, a było to dla Kanoniczek pamiątka, że na każdym miejscu, według stanu swojego, pobożnie i uczciwie zachować się były powinny.

Widzimy, że panny zupełnie się światowo stroiły, dlatego, że zgromadzenie ich nie było klasztor, i jedynie wśród nabożeństwa przywdziewały skromne, więcej zakonne ubranie. Strój kościelny składał płaszcz z ogonem, z materji jedwabnej gładkiej, u którego ogon podczas uroczystości w kościele, włócił się po ziemi. Z głowy zwieszała się jedwabnica biała. Na innym stroju płaszcz był błękitny z podszewką błękitną. Ksieni dla odróżnienia się od Kanoniczek, w stroju zwyczajnym i światowym, mogła używać tylko czarnego koloru i płaszcz jej był także czarny.

Nie mogła żadna Kanoniczka wyjść nawet z pokoju swego bez przepisanego ubioru i orderu na piersiach. Strój kościelny przywdziewała wtenczas, kiedy znajdowała się na modlitwie w kaplicy, albo w kapitule na obradach, albo na przyrzeczeniu nowej siostry, albo na pogrzebie jakiej Kanoniczki, albo wreszcie na przyjęciu jakiego monarchy, gdyby chciał zwiedzić zgromadzenie. Po stracie drogich osób, mogły jeszcze nosić żałobę.

Co do panien chóru, te miały chodzić w materji wełnianej, gładkiej, szafirowego koloru, w kamizelkach krótkich; w święta jedynie wolno im było chodzić w sukniach jedwabnych, gładkich, także szafirowych i długich, byleby nie były powłóczyste. Nosily także order, ale srebrny Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Panny, przypięty na lewej stronie, na czarnej wstędze. Na głowie miały korneciki zwyczajne, kwef jedwabny czarny, bez klejnotów, złota, srebra i koronek.

Przepisy mody nie znaczyły nic dla każdej pojedynczo Kanoniczki, bo tylko kapituła miała w tym razie głos stanowczy. Jeżeliby zwyczaj ogólny zrobił jaką zmianę w pospolitym stroju i okazała się tego potrzeba tę zmianę nawet za furtą zakonu zaprowadzić, wtedy i ten przedmiot mógł być wzięty pod narady. Zresztą kościelny strój nigdy żadnym zmianom nie ulegał. Światowego jedynie ubioru mogła postanowieniami swojemi dotknąć kapituła.

Stół Kanoniczek był wspólny w pomieszkaniu ksieni. Do obiadu dzwoniło o 12tej w południe, na wieczerzę o 7mej. Chore jadły u siebie w pokoju. U stołu nie było żadnego starszeństwa; jak która Kanoniczka przychodziła, takie po kolei, jedna za drugą, zajmowała miejsce. Jeżeli ksieni miała gości, wtedy sama urządziła starszeństwo. Spóźniająca się do stołu Kanoniczka nie mogła narzekać, że jej nic nie zostawiono; niewolno też było brać potraw z sobą do pokoju. Prócz stołu u ksieni, mogła jednakże każda panna kapitulna mieć u siebie herbatę i kawę dla siebie albo dla gości; ale kawę, herbatę i cukier kupowała z własnych funduszków. Panny niższego chóru miały stół oddzielny. Zasiadały do niego i szlachcianki, zostające w prywatnej usłudze pańien kapitulnych, jeżeli miały na to pozwolenie zgromadzenia.

Wolno było i Kanoniczkom, każdej mieć stół oddzielny, swój własny, jeżeli ze wspólnego nie była kontenta. Ale trzeba było prosić o to kapituły. A prosić o to mogła jedynie panna trzydziestoletnia, która lat już najmniej 10 przeżyła w zgromadzeniu. Ksieni jednak i konsyliarki, dopóki piastowały swój urząd, oprócz choroby, pod żadnym pozorem od stołu pospolitego oddzielać się nie mogły. Przy stole czytano kwadrans przynajmniej księgę jaką duchowną, a potem wolno było bawić się przystojną i przyjemną rozmową. Ale w post wielki, wigilie, suchedni i piątki przez cały rok, powinno było u stołu panować milczenie, a Kanoniczki słuchały czytania, do którego zawsze jedna z pańien chóru wyznaczana była przez ksienią. Do stołu nigdy żaden mężczyzna przypuszczony nie był, a damy mogła tylko zapraszać ksieni, tak jednak, żeby to nie robiło jakiego uszczerbku funduszom zgromadzenia, bo wtedy wdać się już w to mogła kapituła generalna.

Posty zachowywano te jedynie, które kościół wyznaczył. Inne mogły nastąpić tylko za wspólnym przyzwoleniem Kanoniczek. Dla usługi przy stole, oprócz téj, co kredens miała pod swoim dozorem, była obowiązana i każda panna niższego chóru, którą po kolei w tygodniowym następstwie wyznaczała ksieni. U niższego chóru posługiwała jedna z pokojowych, także co tydzień insza.

Ale najciekawsze będą zapewne szczegóły finansowe o dochodach Kanoniczek i pensjach, jakie im wyznaczyła pani Zamajska. Wszelkie dochody odbierała pierwsza konsyliarka. Wystarczyć były powinny na potrzeby całej kapituły; a gdyby brakło funduszków, wtedy na posiedzeniu nadzwyczajnym stanowiąc miało zgromadzenie, przejrzawszy listy przychodów, zkąd niedosta-

tek zastąpić. Nadzwyczajnych tych środków w nadzwyczajnym razie używano, i wtedy albo zaprowadzono oszczędność co do wydatków, albo zatrzymywano się z przyjmowaniem panien na wakujące miejsca, albo nawet odciągano jakąś część z pensyi Kanoniczek, aż póki brak zastąpiony nie został. Byłyto jednak tymczasowe jedynie środki, bo wakansów nie można było długo bez obsadzenia pozostawić, a obcięcie pensyi obrażało wszystkich członków kapituły interes. Gdyby w żaden sposób na deficyt innego środka radykalnego znaleźć nie można było, wtedy sprawa miała iść pod zawyrokowanie biskupa poznańskiego, i natenczas za poradą i zgodą którego z pieczętarzów koronnych, albo liczba Kanoniczek zakreślona ustawą, musiałaby się zmniejszyć, albo pensye stanowczo i nieodwołalnie biskup miał prawo poobcinać i nowe w tym celu wydać rozporządzenia, zmieniające pewne artykuły ustawy, nadanej zgromadzeniu przez założycielkę.

Mógł być i drugi wypadek, że dochody kapitulne przewyższały wydatki. W takim razie przewyżka dochodów szła na oszczędność i chowała się w skarbcu zgromadzenia aż do chwili, dopóki oszczędzona summa nie doszła do wysokości 10,000 złp. Nowy ten kapitał miał służyć na wszelkie nadzwyczajne wydatki, któreby się trafić mogły. Jeżeli summa 10,000 złp. nienaruszona zbierze się w skarbcu, a przewyżka dochodów zawsze się pokazywać będzie, wtedy z niej drugi tworzył się kapitał; ale tą razą szedł już na powiększenie dochodów kapitulnych, lub na powiększenie liczby Kanoniczek, a dla pewności miał być lokowany ze wszelkimi formalnościami prawnymi na jakich dobrach ziemskich. Mogła jednakże kapituła generalna tę drugą summę obrócić na ozdobę kościoła.

Troszcząc się nawet i po śmierci o los swojej kapituły, Zamajska zastrzegła wyraźnie w ustawie, że fundusze, które stanowią uposażenie Kanoniczek, nigdy i w żadnym razie podnoszone być nie mają i na innych dobrach umieszczane. W takim jedynie razie przypuszczała wyjątek, gdyby summy te Rplita miała kiedy chęć spłacić właścicielom. Wtedy biskup poznański i spółczesny temu spłaceniu pieczętarz koronny, koniecznie ksiądz, mieli prawo odebrane pieniądze natychmiast umieścić na innych dobrach nieruchomości i pewnych; ale na jaki procent, czy na taki jak wprzód, zostawiła to założycielka do ich woli, żeby działali stosownie do okoliczności. Ale nie było nadziei, żeby

długi spłaciła kiedy Rplita, i pod tym względem mogła być zupełnie spokojną pani Zamojska.

Gdyby ktoś, wiedziony uczuciem założycielki, chciał później rozwijać jej fundacyą, i jedną albo drugą Kanoniczkę kapitule przyczynić, wtedy zgromadzenie starać się było powinno, aby wyznaczył ten nowy dobroczyńca pewny i niezawodny kapitał, z któregoby rocznie 4,000 złp. procentu pobierać było można, to jest tyle, ile kosztowało utrzymanie jednej Kanoniczki. Nowo fundowane miejsca w kapitule, podlegać miały prawom dawniej nadanym: panny, które z późniejszego uposażenia brały swój fundusz, nie miały żadnych więcej przywilejów i we wszystkim równe stawały się dawnym Kanoniczkom. Cztery tysiące procentu rocznego, było funduszem dla jednej osoby; ktoby więc chciał więcej fundować miejsc, musiał dać na zapewnienie kapitał, stosownie do ilości swojego dobrodziejstwa. Mógł być i taki wypadek, że nowy zapisodawca pragnął mieć kilka lub jedno miejsce dla panien swojej rodziny albo imienia; wtedy już wybór nie służył kapitule, chybaby dwie, albo trzy osoby na jedno podawały się miejsce. Gdyby po zawakowaniu posady, żadna z dam imienia albo rodziny nie starała się, wtedy rok cały kapituła miała na nią czekać, a fundusz tymczasem szedł do ogólnego skarbcu kapitulnego. Gdyby jeszcze po roku nie zjawiała się żadna, wtedy miejsce mogło być obsadzone przez wybór kapituły, i ma się rozumieć, fundacyą rodzinną mogła natenczas zająć osoba inna jakiegokolwiek nazwiska, która przedstawiła potrzebne na Kanoniczkę dowody i herby.

Gdyby się takim sposobem liczba panien kapitulnych pomnożyć miała, według możności i funduszków, za zdaniem większości kapituły, mogła być powiększona i liczba panien niższego chóru, skutkiem zapisów nowego dobroczyńcy.

Kanoniczki, prócz mieszkania w domu kapituły i stołu u księżni, pobierały jeszcze oddzielnie pensyą dla utrzymania się przyzwoitego w 2ch ratach do roku: raz w dniu 1 lipca, drugi raz 31 grudnia. Księżni brała pensyi 3,000 złp., konsyliarka pierwsza, to jest podskarbini 2,000 złp., konsyliarka przełożona nad kościołem na rok miała 1,800 złp.; inne Kanoniczki po 1,500, a panny niższego chóru po złp. 300 tylko. Takim sposobem na starszyznę szło rocznie 6,800 złp. na 9 pozostałych Kanoniczek złp. 13,500, a na panny chóru 2,400: razem na całe zgromadzenie li tylko w pensyach wychodziło złp. 22,700. Jeżeli nie dru-

gie tyle, to przynajmniej bardzo blisko téj summy musiały iść wydatki na stół, wygołę i inne potrzeby. Dochód zatém roczny Kanoniczek, podług uposażenia pani Zamojskiej, wynosił około złp. 45,000. Rachując po 8 od 100, procent zwykle używany w tych czasach i pobierany od summ umieszczonych na dobrach ziemskich, z samych kapitałów, ofiarowanych przez Zamojską, mogło wpływać tylko złp. 20,960 rocznie. Resztę więc niedostającej summy pobierały Kanoniczki z czynszów marywilskich. Stosunek ten był jeszcze większym, jeżeli 4,000 złp. kosztowało utrzymywanie roczne jednej osoby; wtedy same Kanoniczki potrzebowały 48,000 złp. Na panny zaś chóru rachując bardzo mało, bo 1,000 złp., dojdziemy do summy złp. 56,000. Tyle pieniędzy potrzeba było li tylko dla utrzymania członków zgromadzenia. Teraz obliczmy potrzeby duchowne kapituły, nabożeństwo, służbę i t. d., a przekonamy się, że etat roczny Kanoniczek mógł wynosić do 80,000 złp., a może i więcej. Summa zapewne niezmierna. Kapitał zatém, czyli całe uposażenie Kanoniczek, po 8 od 100 rachując, miał wartości 1,000,000 złotych. Z tego sądzić możemy, chociaż przybliżonym sposobem, i o cenie ówczesnej gmachów marywilskich.

Do pobierania jednak pensyi, wtenczas dopiéro miały prawo panny kapitulne, kiedy odbyły rok nowicyatu, a później, kiedy spełniały wszystkie włożone na siebie obowiązki. Ta, co kończyła rok swego nowicyatu w styczniu, lutym i marcu, brała już pensyą za 3 kwartały ostatnie: jedną część w lipcu, dwie części w końcu grudnia. Panna, co w trzech następnych miesiącach skończyła nowicyat, brała za pół roku tylko; kończąca tę epokę w czasie od lipca do ostatniego września, brała za kwartał, a która w ciągu 3ch ostatnich miesięcy roku, nie miała już prawa do żadnej pensyi za cały czas, chociażby w pierwszych dniach października z nowicyantki rzeczywistą została Kanoniczką. Panny chóru były pod tym względem więcej uprzywilejowane; zaraz od wniścia do zgromadzenia pobierały swoją małą pensyą, nawet przez cały czas trwania nowicyantu. W pierwszym kwartale roku przyjęta, brała za 9miesiący jak Kanoniczki, z tą różnicą, że pensya liczyła się jój zawsze od dnia przyjęcia, a nie od ukończenia nowicyatu.

Pensye wypłacała pierwsza konsyliarka, bo ona była jakby ministrem skarbu w kapitule. Na początku każdego kwartału, drugiej swojej towarzysze wypłacała także na potrzeby kościoła

po złp. 625. Tak więc samo nabożeństwo kosztowało Kanoniczki do roku złp. 2,500. Konsyliarka pierwsza prócz wypłacania pensyi, miała jeszcze obowiązek zaopatrywać zgromadzenie w drzewo i światło. Pod tym względem wielce bojna była pani Zamojska. Zima rachowała się 6 miesięcy: od 1 października do 1 kwietnia. Podskarbini co miesiąc dostarczała każdej Kanoniczce zosobna po sążniu drzewa olszowego na opał dobrój miary, na troje szczepanego. Ta opłata odbywała się regularnie co miesiąc po 21 września i tak dalej, aż do 21 marca. Ksieni brała po dwa sążnie miesięcznie. A zatém Kanoniczka każda po 7 sążni paliła rocznie, a ksieni 14 sążni. Prócz tego powinnością konsyliarki było posyłać drzewo do izby stołowej, oratorium, kapitułarza, do panien niższego chóru, pralni, oficyn i kuchni. Co do światła, podskarbini około św. Michała rozdawała każdej Kanoniczce po kamieniu świec lojowych pięknych, konsyliarkom i sekretarce po półtora kamienia, a ksieni 2 kamienie.

Z kolei mówićby wypadło o pannach niższego chóru, które piastowały dlatego niższe urzędy w zgromadzeniu. W krótkich słowach powiemy o pannach chóru.

Zakrystyanka miała pilnować ochędóstwa w kościele na ołtarzach, ławkach, posadzce i szafach. Ornaty i ubrania święte sama miała wydawać do nabożeństwa i strzedz od zniszczenia i skazy. Miała powinność starać się o wino do kościoła, zawsze świeże, dobre i czyste, o wodę i hostye niezastarzałe, o naczynia do ołtarza, o kielichy i ampułki chędogie. Dzwonek od jój rozporządzenia zależał. Na Anioł Pański trzy razy we dnie, na msze i na kazanie dzwoniło tylko za jój rozkazem. Pilnowała, żeby światło w dzień i w nocy przed Najświętszym Sakramentem nie wygasło. Dziadek przy kościele pomagał jój we wszystkiém. Miał być ten dziadek ubogim, jaednak ile możności, szlachcicem.

Szafarka pilnowała spiżarni, kupowała zapasy, i dbała, aby się nie zepsuły. Zależała zupełnie od ekonomki, bez której wiadomości, rzeczami zgromadzenia rozporządzać nie mogła. Powinna była wystrzegać się wielkich wydatków, a w miarę zużycia rzeczy, donosić o wszystkiém ekonomce albo ksieni.

Przełożona izby stołowej miała pod swoim kluczem obrusy, serwety, kredens, szkło, naczynia. Musiała być zawsze przy nakrywaniu stołu i przy zbieraniu z niego. Dzwonkiem dawała znak do obiadu i wieczerzy. Utrzymywała registr rzeczy, powierzonych jój dozorowi, i kończąc swój urząd, zdawała liczbę, przed

wyznaczoną od ksieni Kanoniczką. Do niej należał i dozór piwnicy.

Kuchmistrzynie miała do pomocy kucharki. Od niej żądano tylko czystości i stołu na czas wyznaczony, oraz wygodzenia dla chorych. Drzew miała oszczędzać i niepotrzebnych zbytków. Potrawy powinna była dobrze przyrządzić, nie grube a delikatne, nie proste: zgoła, aby na żadnej wygodzie pannom kapitulnym nie zbywało. Jedna kucharka i kuchmistrzynie o stole dla panien niższego chóru pamiętały.

Przełożona chorych miała także przepisy dla swojego postępowania. Nie mogła odstępować od łóżka cierpiącej, a musiała pilnować rozkazów lekarza, sama podawać o naznaczonej godzinie lekarstwa, przestrzegać obiadu i wieczerzy, kupować to, co potrzeba, zawczasu, żeby i dobre było i dobrze zrobione: słowem, o najmniejszej pamiętać wygodzie. Starać się też powinna była, aby za pozwoleniem ksieni, inne panny chorą nawiedzały i cieszyły, a gdyby konała która, wtedy przełożona od słabych powinna była dać znak dzwonkiem; schodziły się wtenczas wszystkie Kanoniczki do łóża konającej i klękały wkoło niej i modliły się do Pana zastępów za jej duszę, która opuszczała ciało. Ztąd cała służba zdrowia do przełożonej nad choremi należała: mogła sama do lazaretu przyjmować panny, skoro w nich słabości jakiej dostrzegła, nawet bez pozwolenia ksieni. Była odpowiedzialną wtenczas, jeżeli choroba wyglądała na zarazę i jeżeli przez naczynia, albo szaty udzielała się jeszcze komu innemu. Ona też i przygotowaniami do pogrzebu zajmowała się.

Nawet pilnująca furty miała swoje prawa, którym ulegała. Powinna była dla wszystkich być grzeczną i uprzejmą, dla swoich i obcych. Przy furcie przyjmowała skromnie, słowami wdzięcznemi, poważnemi *bez cholery, lub innej passyi*. Cichość koło furty i spokojność do niej należała. Przestrzegała, żeby nie było hałasów przy drzwiach, które zawsze miały być zamknięte, a klucz zawsze nie w zamku, ale w kieszeni furtyanki. Osób podejrzanych wpuszczać nie mogła, a gdyby kto u furty miał jaki pilny interes do której Kanoniczki, wtedy powinna była opowiedzieć to ksieni, i wtedy prowadziła obcego do jej komnat, a potem dawała znać osobie, do której była sprawa. W nocy nikomu otwierać nie mogła, chyba za wyraźnym ksieni rozkazem. Co dzień też idąc spać zdawała ksieni raport, czy kogo zostawiła w domu. Furta zamykała się o 9tej wieczorem. Klucze całą noc leżały u ksieni.

Pannom niższego choru zalecano jeszcze pobożność i ćwiczenie się w cnotach, również jak i Kanoniczkom.

Co do służby prywatnych panien kapitulnych, ustawa zastrzegła, że tylko jedna pokojówka każdej Kanoniczki, mogła zostawać na wikcie zgromadzenia. Inne powinny być wynagradzane podług umowy, z funduszów prywatnych. Lokaj, lub jakikolwiek służący płci męskiej, nigdy nie miał prawa wchodzić do komnat Kanoniczki, której służył; miał gdzieindziej gospodę i stół, a rozkazów swojej pani tylko u furty oczekiwał. Dozór i nad tą służbą prywatną, należał do konsyliarek i ksieni.

Co do prawa wyjścia zupełnego ze zgromadzenia, stanowiła pani Zamojska, że Kanoniczka, która chce stan zmienić albo iść do klasztoru, albo za mąż, powinna była opowiedzieć ksieni o nowych swoich zamiarach na miesiąc przynajmniej przed wyjściem. Ksieni na pierwszej kapitule zwyczajnej zawiadamiała o tém całe zgromadzenie, i wykladała powody. W miesiąc dopiero potem Kanoniczka mogła wystąpić na świat i zrobić z sobą co zamierzyła. Jeżeli kapituła wątpiła o tém, że występująca chciała sobie stan jeden albo drugi obrać, wyznaczała z grona swojego deputacją, która poznawała bliżej te powody złożone zgromadzeniu, i starała się nawrócić występującą. Te wszystkie ostrożności dlatego przedsiębrała kapituła, że Kanoniczka mogła myśleć o ślubach nieprzyzwoitych dla siebie, z człowiekiem *nierównéj kondycji*. Jeżeli tak było, kapituła dawała znać o tém najbliższemu krewnym, a ksieni podwajała bacność, żeby podejrzana o straszny występki, nie opuściła pokryjomy murów zgromadzenia. Jeżeli nie potrafiła upilnować, wtenczas przez lat 30, żadna panna tegoż nazwiska, co występująca, do kapituły przyjętą być nie mogła. Zaręczyny odbywały się u ksieni bez muzyki i tańców, jeżeli zawierano się *przystojne* małżeństwo, i wtedy narzeczoną wracała na świat, do krewnych. Kanoniczkę zaś przechodzącą do rzeczywistego klasztoru, sama ksieni odwoziła, albo odwozić polecała dwóm innym pannom kapitulnym. W jednym i drugim razie następowało uroczyste pożegnanie się wychodzącej z towarzyszkami w kapitułarzu, a na samym wyjeździe, opuszczająca zgromadzenie Kanoniczka order oddawała ksieni. Dla nowicyantek nie było tych ceremonij. Jeżeli nie podobał się jój pobyt za furką, albo starsze Kanoniczki nie kontente były z jój *humoru i fantazyi*, w każdej chwili drzwi domu stały dla niej otworem. Panny téż niższego chóru opuszczały z łatwością klauzurę.

Życie doczesne człowieka, śmierć kończy. My też na koniec zachowaliśmy szczegóły z ustaw Kanoniczek, o ich ostatniej chorobie i śmierci. Nad chorą bezustannie czuwała opieka. Koszta jednakże kuracy, każda Kanoniczka osobno ze swoich funduszów podejmować musiała. Kiedy do chorąj niesiono wiatyk, wszystkie panny kapitulne miały powinność towarzyszyć kapłanowi, który otwierał dla konającej podwoje nowego życia, w stroju kościelnym, ze świecami zapalonemi, z rozpuszczonemi ogonami. Kiedy olejem świętym kapłan namaszczał chorą, Kanoniczki odmawiały w jej pokoju siedm psalmów pokutnych, a potem modlitwy za konających. Kanoniczki mogły robić testament i zapisywać swoje majątki i ruchomości, tak jednak, żeby 500 złp. zostało na pogrzeb i na zaspokojenie lekarzy. Szafami, krzesłami i obiciami jednak rozrządzać nie mogła; te sprzęty stawały się własnością zgromadzenia. Jeżeli zostawiała długi, chociaż ich bez pozwolenia ksieni zaciągać nie można było, te naprzód płaciły się z pozostałości. Po śmierci starsze zgromadzenia pieczętowały wszystkie rzeczy zmarłej siostry. Następował pogrzeb za pieniądze kapituły tymczasem, a potem w radzie zwyczajnej przedewszystkiém czytano testament, który jeżeli nic przeciwnego nie zawierał przepisom, podpisywała ksieni i sekretarka. Następnie czyniło się zadosyć rozporządzeniom testamentu, a spadkobiercy zwracali kapitule koszta pogrzebu. Jeżeli testamentu nie było, inwentarz z konsyliarkami spisywała ksieni. Kanoniczki, które nie zostawiały rozporządzenia, gdzie i jak pochowane być mają, takim porządkiem grzebała kapituła: ciało dzień jeden wystawiano w kościele zgromadzenia w trumnie, około której sześć świec i krucyfiks, a dwie świece w głowach na stołku. Od 7mej z rana do 7mej wieczorem, dwie Kanoniczki kolejną u ciała śpiewały psalmy, a przełożona kościoła konsyliarka spraszala księży na pogrzeb i dzwoniła umarląj. Trumna była z drzewa dębowego, nieobita. Ciało wnoszono processjonalnie do kościoła. Na czele orszaku postępowała za ciałem ksieni, a potem w parach Kanoniczki w stroju kościelnym, ze świecami zapalonemi i rozpuszczonemi ogonami. W dzień pogrzebu, podczas mszy wielkiej, Kanoniczki zawsze w tém samém ubraniu, śpiewały officya za umarłych, każda trzymając świecę zapaloną w ręku. Wtedy koło ciała paliło się świec 8, na wielkim oltarzu 6, a mszy wychodziło czytanych ile możności najwięcej. Jeżeliby zmarłą chować przyszło, stosownie do jej woli, w innym kościele, to w Warszawie szły za ciałem

Kanoniczki w żalobném jak wyżej odzieniu, a jeżeli dla złej lub dalekiej, drogi prywatnie przewożono tam ciało, **Kanoniczki** jechały w karetach, a w dzień dopiero pogrzebu, odprawivszy we własnym swoim kościele officyum za umarłych, jechały znowu tam w karetach i odprawiały wszystkie obrządki aż do końca konduktu. Order zwracany był zawsze zgromadzeniu po zmarłej, i oddawany następczyni, która miejsce opróżnione zajmowała w kapitule. Jeżeli order zginął, to z majątku zmarłej, kapituła kazała robić drugi podobny. Przy ciele panny niższego chóru, tylko cztery i sześć świec gorzało. Pogrzeb ten kosztował przynajmniej 200 złp., a ciało towarzyszyły tylko panny niższego chóru. O pogrzebie ksieni jużśmy rozpowiadali.

Prawa te wszystkie i przepisy pani Zamojska zawarła w 26 artykułach, z których każdy dzielił się jeszcze na szczegółowe postanowienia. Przytoczym treść ich po kolei, jak wyszły spod ręki prawodawczyni, założycielki.

Art. 1. Mówił o celu, jaki sobie założyła pani Zamojska i o funduszach. Art. 2. O liczbie Kanoniczek i o rządach zgromadzenia. Art. 3. O powinnościach Kanoniczek w kościele i o nabożeństwie. Art. 4. Przestrogi o pobożności i dobrych obyczajach. Art. 5. O przyjmowaniu do zgromadzenia, o wywodzie herbów, nowicyacie i przyrzeczeniu. Art. 6. O kapitule. Art. 7. O poprawie i karaniu występków. Art. 8. O dochodach i wydatkach. Art. 9. O stroju i stole Kanoniczek. Art. 10. O pensjach Kanoniczek i pannach chóru. Art. 11. O klauzurze i przyjmowaniu gości. Art. 12. O wyjeżdżaniu Kanoniczek z rezydencji, albo nawet z Warszawy. Art. 13. O występowaniu Kanoniczek ze zgromadzenia. Art. 14. O chorobie, testamentach, śmierci i pogrzebie Kanoniczek. Art. 15. O elekcji ksieni. Art. 16. O przysiędze i potwierdzeniu nowój ksieni. Art. 17. O elekcji konsyliarek i sekretarek. Art. 18. Ustawy dla ksieni. Art. 19. Ustawy dla konsyliarek. Art. 20. Ustawy dla ekonomki. Art. 21. Ustawy dla przełożonej nad kościołem. Art. 22. Ustawy dla sekretarki kapitulnej. Art. 23. O pannach niższego chóru. Art. 24. Zawierał przepisy dla niższych urzędniczek, zaczawszy od zakrystyanki, a kończąc na furtyance. Art. 25. O służących i czeladzi zgromadzenia. Art. 26. Zamknięcie ustaw.

Z treści tutaj przytoczonej tych ustaw pani Zamojskiej widzimy, że układał to prawo jakiś mężczyzna, który znał się na wszystkich formalnościach, a starał się wszystkie zdarzenia prze-

widzieć, tak, żeby kapituła miała zawsze artykuł prawa na każdą swoje potrzebę. Widzieliśmy, jak nieraz schodził prawodawca do drobnych okoliczności, mnożył artykuły i postanowienia. W bardzo wielu postanowieniach przebija sejmikowość szlachecka. Jednakże tak mało obchodzący kraj wypadek, jak ta ustawa, dowodził przecież, że byli już wówczas w Rplitej ludzie, którzy potrafili pisać prawa, ustalać porządek prawny, a nawet elekcye i obrady podciągnąć pod przepisy formulek i obrzędów.

Dodajemy tu jeszcze wypadków kilka, poczerpniętych z ustaw.

Prawem zwyczajowém wprowadzono, że ksieni dawał się tytuł Jaśnie Wielmożnej. Sama pani Zamojska używa wszędzie tego tytułu, kiedy mówi o ksieni, w swoich ustawach nadanych.

Pani Zamojska zastrzegła także prawem, że jedno miejsce Kanoniczki w kapitule wyraźnie ma służyć dla rodziny Załuskich, tak, że po wyjściu jednej ze zgromadzenia, następowała zaraz druga. Załuski referendarz koronny, podawał pani Zamojskiej plany, myśli i wnioski przy zakładaniu kapituły. Ordynatowa te wnioski przyjmowała, albo odrzucała. Drugi Załuski kanclerz i biskup potem krakowski, chętnie całym wpływem swoim popierał myśl zapisodawczyni. I Teodor Czartoryski biskup poznański wpływał wiele radami swojemi na całe to pobożne przedsięwzięcie. Ostrzegała zatem założycielka, że za życia swego o zmianach, jakie w tych prawach nastąpić będą mogły, sama wyda wyrok ostateczny, a po śmierci jej żadna siła ustaw, raz uchwalonych, przyjętych i potwierdzonych, odmienić nie będzie mogła. Tak zazdrośną była o swoje kapitułę.

Przez wdzięczność jednak dla obudwu Załuskich, Zamojska dla całej ich rodziny ustanowiła w kapitule Kanoniczek, jakby majorat dziedziczny, jakby dziedziczną kommandoryą maltańską.

Obawiając się, żeby panny nie nudziły się, Zamojska myślała dla nich o bibliotece: bo w jej ustawach jest artykuł o formalnościach, jakich używać było potrzeba przy pożyczaniu książek z biblioteki. Nie wiemy przecież, czy pani Zamojska w samej rzeczy zebrała mały księgozbiór dla swojej kapituły, czy też chciała, żeby ta biblioteka powstawała z ofiar, za staraniem wszystkich Kanoniczek. Kazała im jednak odczytywać na sali, na ogólném zebraniu, historią powszechną, kroniki, prawa polskie, a nawet i cudzoziemskie księgi, byle tylko pozwolone były w kraju przez zwierzchność duchowną. Mogły tam na sali bawić się panny na-

wet śpiewaniem, byle ze skromnością taką, żeby nic na ulicy sły-
chać nie było.

W interesach doczesnych kapituła miała zawsze zasięgać ra-
dy, pomocy i zdania biskupa poznańskiego, kanclerza i podkan-
clerzego koronnych, marszałka wielkiego i starosty stołecznego
grodu rzeczypospolitéj. W następnych wyrazach, któremi koń-
czy zbiór ustaw, poleca dzieło swoje pani Zamojska opiece tych
znakomitych senatorów i panów (art. 26).

„A lubo tę fundacyą czynię jedynie dla chwały Pana Boga
i jakiegokolwiek przysługi publicznej, z przysposobionych i sta-
rannie oszczędzonych summ, nie z ojczystej ani z macierzystej
fortuny, bo te w całości i z przysposobieniem jeszcze zostawu-
ję successorom moim; że jednak z codziennego doznawam do-
świadczenia, że najgruntowniejsze i najmocniejsze ubezpieczone
fundusze, częstokroć po śmierci fundatorów niszczenia i upadają
z różnych przyczyn i okoliczności: przeto, ktokolwiekby ją wzru-
szać, niszczyć, odmieniać lub ujmować, albo w najmniejszym
punkcie i artykule, bądź co do funduszu i zapisanych przezemnie
summ, miejsca, bądź co do postanowienia reguł wyżej wyrażo-
nych i porządku wyżej wyrażonego nadwerężyć usiłował, i ważył
się czyli zaraz po zejściu mojem z woli Najświętszego Boga,
czyli w późniejszym czasie, czyli z bliższych lub dalszych kre-
wnych moich i successorów, czyli z obcych osób, swojej to ja-
kiej w tém naruszeniu i odmianie upatrywać chcąc prywaty, ta-
kowych wszystkich na straszny sąd i sprawiedliwy Pana Boga
Wszehmogącego powoływam, nadzieję nieplonną zakładając w su-
rowej sprawiedliwości Boskiej, że i na tamym i na tym skarał-
by świecie nieomylnie, psujących świątobliwe to dla chwały Je-
go świętej i pożytku, oraz pomocy zacnej i szlachetnej krwi uczy-
nionej, postanowienie i fundacyą moję wzruszających, o co Ma-
jestatu Jego teraz w życiu i w szczęśliwej za miłosierdziem Jego
wieczności błagać nie przestanę. Znając zaś pobożność i niepo-
równaną ku czci i chwale Pana Boga żarliwość, Najjaśniejszego
królestwa Ichmościów Państwa naszego Miłościwego, oraz wro-
dzone całego królestwa Polskiego i W. X. L. ku pomnożeniu
onej przywiązanie, osobliwej łasce i protekcyi, i w utrzymaniu
opiece oddaję tę fundacyą moję, Najjaśniejszego Państwa, teraz
i napotem po długoletniem ich życiu Następujących całej Koron-
ie Polskiej i W. Księztwu Litewskiemu, osobliwie zaś opiece
JW. Jmci księdza nuncyusza apostolskiego, i następców jego, JO.

książęcia Jego Mości Czartoryskiego biskupa poznańskiego, JW. marszałka koronnego Franciszka Bielińskiego, JW. Załuskiego kanclerza Wielkiego, JW. Małachowskiego podkanclerza koronnych, i JO. księcia Augusta Czartoryskiego wojewody ruskiego, jako starosty warszawskiego i następujących na te godności sukcesorów."

„ A dla większej tego postanowienia, funduszu i statutów, wagi, trwałości i nieodmienności, podpisawszy je ręką własną, przy przyciśnieniu pieczęci mojej zwyczajnej, uprosiłam Jaśnie Oświeconych, Jaśnie Wielmożnych senatorów, ministrów, dygnitarzów koronnych i W. Księstwa Litewskiego duchownych i świeckich, naówczas w Warszawie przytomnych, aby się także na nie podpisali i pieczęci swoje przyłożyli."

(Dokończenie nastąpi).



EMERYT.

POWIEŚĆ

PRZEZ

Josefa Horzениowskiego.

(Dalszy ciąg).

VII.

Pan Roman musiał ciotce opisywać bal ze wszystkimi szczegółami. Jeszcze ją interesowały toalety, z których naturalnie sprawy zdać nie umiał; a jeżeli, dla dogodzenia jej ciekawości, wdał się w szczegóły, i dokończonywał to, czemu się dobrze nie przypatrzył, lub nazwać nie mógł, takiego z niejednej damy robił koczkodana, że p. Winicka ruszała ramionami niedowierzając, lub śmiejąc się mówiła:

— Ależ mój kochany! to być nie może. To kobiéta z gustem, a ty z niéj robisz cudaka, któregoby można w grochu postawić. Widać, żeś na nią nie patrzył.

P. Roman trochę się zaczerwienił i odwrócił. Staruszka postrzegła to, i niby od niechcienia zapytała:

— A Krzysia byłaż ładna?

— Przyznam się cioci, żeś także niebardzo uważał.

— Otóżto biedne kobiety—rzekła wówczas—stroją się dla was, męczą się i przemyślają, jakby sobie dobrać strój do twarzy, i wszystko to, jak groch na ścianę. Patrzycie, a nic nie widzicie.

— My patrzymy na ogół, kochana ciociu, na całość i na efekt; szczegóły są właściwe dla kobiet, które się na tém lepiej znają.

— Więc w ogólności—zapytała staruszka—pięknaż była Krystyna? czy była tam która od niéj szykowniejsza i lepiej ubrana?

P. Roman chciał utrzymać, że była—i nie jedna; ale to oczywiście kłamstwo stało mu jakoś w gardle i wyjść nie chciało. Gdy się tak nim krztusił i nic nie odpowiadając patrzył w okno, wbiegł na dziedziniec rączym klusem Kozak, którego po błękitnym kontusiku i błękitnym worku przy czapce poznał, że to był posłaniec Krystyny. Zamiast więc odpowiedzieć na dane sobie zapytanie, rzekł:

— Ma ciocia zapewne list od kogoś. Jakiś Kozak w błękitnej liberyi zsiada z konia i z ładownicy swojej depesze wyjmuje.

— To zapewne od Krzysi. Od niej pewnie więcej się dowiem, niż od ciebie.

P. Roman nic na to nie odpowiedział, ale przypomniawszy sobie, że obiecała zegnając się z nim, iż i list jej miał być także długi, pewnym był, że cały będzie o nim. Gdy więc p. Winicka zaczęła czytać cienki, wielki półarkusz, na wszystkie cztery boki drobno zapisany, p. Roman stał zdaleka, polykał wzrokiem te litery tak śliczną ręką kręślone, i zapewne o nim mówiące; puszczał się na domysły coby zawierać mogły: czerwienił się na te wymówki, jakie mu tam czynić musiała; radował się temi skargami, które pewnie zanosila przed trybunał ciotki, za doznane od niego opuszczenie, za to zajęcie się jakąś dziewczyną nieznaną, za te wszystkie lekceważenia, któremi starał się jej na złość robić. Widział on w tém wszystkiém dowód, że się nim seryo zajęła, i wyobrażając ją sobie piszącą, patrząc jak od serdecznego gniewu płonęła jej twarz, jak ukradkiem ocierała łezkę, którą z ocz jej i rodząca się skłonność i złość wyciskała: uśmiechał się i popuszczał wodze próżności, dumie, a może i tajemnemu, silniejszemu zajęciu.

— Otóż teraz, to wiem już wszystko—rzekła składając list p. Winicka.—Próżno się chwalicie waszym darem postrzegania. Kobiety patrzą lepiej.—To powiedziawszy, spojrzala jeszcze raz na zakończenie listu, uśmiechnęła się i położywszy go na stolyczku, zajęła się swoją robotą.

P. Romana zaintrygował niezmiernie ten uśmiech, paliła go ciekawość, ale nie śmiał się wydać i nie chciał wprost poprosić o zakomunikowanie sobie listu. Gdy jednak widział, że staruszka nie spieszy się sama, i jakby mocno zajęta robotą milczy, rzekł złożywszy pychę z serca:

— Wiem moja ciociu, że kobiety patrzą lepiej, ale tylko na nas. O nas zaś na balu niema co powiedzieć. Na każdym ten sam frak, jednakowo przystrzyżone włosy; a przy terazniejszych wąsach i brodach, nawet i twarze prawie podobne. Ale na inne kobiety patrzycie

panie przez rozmaite szkła: to powiększające, to zmniejszające. I dlatego ciekawym byłbym opisów i uwag, a zwłaszcza osoby tak dowcipnej i przenikliwej, jak p. Rożewska.

— To przeczytaj — odpowiedziała obojętnie p. Winicka, poglądając na niego ukradkiem.

Przystąpił p. Roman do stoliczka i drżącą od niecierpliwości ręką wziął list, obrócił się niby do okna, żeby mu lepiej widać było, i zaczął czytać. Na pierwszej kartce były ubolewania nad stanem zdrowia babuni i szerokie wynurzenie żalu, że na wieczorze nie była, że zatem nie mogła widzieć, jak jej ulubiona rusalka wyglądała i jak jej powszechnie zazdroszczono. Potem następowało szczegółowe opisanie jej stroju, jej sukni, z jakiej była matteryi, gdzie robiona, jakimi ozdobiona koronkami, jak były podpięte, jak cudna była berta, jak świeże kamelie, jak dobrze wyglądał pierzasty wachlarz. Dalej historia tego wachlarza, jak on dawniej służył znanej i sławnej ukraińskiej czarodziejce, która już dziś stara, i zmienivszy nazwisko i porzuciwszy świat, pozbyła się tej miłej sobie i pełnej pamiątek elegancji. Na drugiej kartce było opisanie urządzenia salonów, z dowcipnemi uwagami i wytknięciem niektórych śmieszności i pretensyj. Dalej zjawienie się niespodziewane, zjawienie się księżnej i hrabiny z rojem księżniczek i hrabianek; potem szczegółowo toalety najładniejszych kobiet; dalej oryginalne i cudaćkie upiększenia wszystkich ex-piękności, a ztąd żarciki pełne złościwości i dowcipu. Na ostatniej kartce była kolej mężczyzn, ale tu mówiła tylko o starych, o łysych i siwych. Cały list kończył się temi słowy: „Masz tedy droga babciu wierne i szczegółowe opisanie całego balu, jak gdybyś sama na nim była. W ogólności muszę ci powiedzieć, że był ładny, wesoły i żeśmy się bawili ochoczo i mile. Ach zapomniałam dodać, że na nim był także i pan Osinowski!!!”. Potem następowało ucałowanie rączek i podpis; a o p. Romanie ani wzmianki, ani jednego słowa, ani jednej, choćby najuboczniejszej aluzji, jak gdyby go na świecie nie było.

Złożył p. Roman list, rzucił go lekko na stolik ciotki, i nic nie mówiąc przechadzać się zaczął. Widziała dobrze p. Winicka, że siostrzeniec jej był niekontent, że się zatem zupełnie czego innego spodziewał; ucieszył ją ten znak widoczny zajęcia się, i już po głowie jej, czynnej i lubiącej projekta, chodziły plany oświadczenia, zaręczyn, ślubu i wszystkich uroczystości, jakie są konieczną tak ważnego aktu konsekwencyą. To przemilczenie o p. Romanie wcale ją nie zmieszało. Znała ona dobrze Krystynę, widziała, że się jej

młody człowiek podobał i pewną była, że umyślnie i przez właściwą sobie swawolę tak szeroko rozpisala się o szczegółach wcale nie interesujących, i Bóg wie z kąd naciągniętych, jak np. o wachlarzu, aby jój miejsca nie stało pisać o tém, co by obiedwie daleko więcej zająć mogło. P. Roman tymczasem przechadzał się zły i zawstydzony. Ile razy szedł ode drzwi ku stolikowi ciotki, spuszczała ona oczy na robotę i zdawała się całkiem jój oddaną; ile razy szedł od niej ku drzwiom, podnosiła za nim wzrok z miłością i ukontentowaniem, i uśmiechała się tym rodzicielskim uśmiechem, który objawia najczystsza radość ziemską i najgodniejsze spełnienia nadzieje. Po niejakiem czasie, gdy p. Roman znowu przystąpił do stolika i niby bawiąc się od niechcenia listem Krystyny, jakby przez roztargnienie znowu go rozwinął i przebiegając jego karty, imienia swego szukać zdawał się: p. Winicka opuściła robotę swą na kolana i patrząc na to zajęcie młodzieńca, zapytała:

— Jakże ci się podoba styl Krzysi?

P. Roman wstrząsnął się, jakby ze snu na to zapytanie, odsunął od siebie list i odpowiedział:

— Lepiej mówi, niż pisze; w jój słowie więcej zwięzłości i życia—tu gawęda.—Uśmiechnęła się p. Winicka i zapytała znowu:

— Tańczyłeś?

— Tak, dosyć—odpowiedział p. Roman.

— Krystyna tańczy lekko i zgrabnie, nieprawdaż?

— Że zgrabnie, to widziałem. Czy lekko, nie wiem, bom z nią nie tańczył.

— Jakto? nie tańczyłeś z nią?—rzekła zadziwiona staruszka podnosząc głowę i otwierając na p. Romana oczy.—A toż dlaczego?

— Odmówiła mi—odpowiedział zagryzając wąsy.

— Musiałeś się spóźnić z zamówieniem jój.

— Nie, kochana ciociu; ale widać, że p. Rożewska była jeszcze przed balem zaangażowana do wszystkich tańców.

W téj chwili stanął w myśli naszego bohatera p. Władysław, patrzył nań z kąta i spokojnie gładził brodę. P. Winicka zamysliła się trochę i po chwili rzekła:

— Z kimże tańcowała Krystyna?

— Z jakimś paaem Iskryckim.

— Przez cały bal?

— Przez cały bal—odpowiedział p. Roman i odwrócił się od bystrego spojrzenia ciotki, chcąc ukryć wyraz, jaki twarzy jego wspomnienie téj okoliczności i obraz p. Władysława nadały. P. Wi-

nicka położyła obie ręce na kolanach, schyliła głowę i seryo zamyśliła się. Tymczasem p. Roman przysunął sobie krzesło, usiadł i zaczął się bawić kutasem od sukienego nakrycia, które leżało na stoliku. Po niejakiem milczeniu i jakby od niechcienia zapytał:

— Proszę też cioci, kto jest ten p. Władysław Iskrycki?

P. Winicka ocknęła się tém zapytaniem i patrząc na siostrzeńca, jakby wybadać chciała, jak dalece interesuje go poznanie tego człowieka i jego stosunków z Krystyną, rzekła:

— I z nim tylko jednym tańczyła?

— Z nim jednym — odpowiedział p. Roman. Chciał on jeszcze dodać, że z nim prawie razem wyjechała; ale czy nie był pewnym, że to była rzecz ułożona, czy nie życzył sobie w oczach ciotki okazać się plotką i sądzącym z pozorów, czy mu się żal zrobiło Krystyny i nie chciał jój kompromitować — umilkł i czekał, co mu staruszka odpowie.

— Coto za dziwne stworzenie, ta Krzysia! — rzekła po chwili p. Winicka, biorąc się znowu do swojej roboty i nie patrząc na p. Romana. — Sądziłam, że już o nim zapomniała, i nie zechce się kompromitować dla człowieka, którego zapewne przestała kochać.

— Przestała kochać? — zapytał p. Roman błędąc. — Więc kochała go dawniej?

— Musi mieć jakiegoś natrętnego konkurenta — odpowiedziała p. Winicka — którego tym pozornym powrotem do p. Władysława chce odstraszyć i pozbyć się. To zwyczajny manewr, którego używa, jeżeli nie chce komu wprost powiedzieć: idź pan sobie i daj mi pokój.

— Ależ mówiła ciocia, że go kochała — rzekł p. Roman żywiej i czerwieniąc się; a gdy w téjże chwili p. Winicka podniosła nań wzrok, młody człowiek spuścił oczy i dodał: — I któż jest ten p. Władysław, że pozwala tak używać się za stracha przeciw konkurentom?

— Władysław Iskrycki, odpowiedziała, jest daleki krewny Krzysi ze strony jój matki. Ma majątek, chociaż go już nadszarpał; ma rozum, chociaż głowa jego zdaje mi się cokolwiek skrzywiona, i stanął podobno na czele tutejszych krzykaczów, z których więcej ryku niż mléka. Krzysia miała wtenczas siedemnasty rok, kiedy wrócił z zagranicy, gdzie parę lat bawił. Podobała mu się śliczna kuzynka, bo i komużby się była wówczas nie podobała dziewczyna żywa, rozkwitająca jak pączek róży, a do tego jedynaczka. Ale i pan Władysław był także przystojny, miły i mógł zyskać serce i chęci każdej rozumnej pani. Krzysia pokochała go bardzo, piérwszą i bodaj czy nie jedyną miłością. — Tu p. Winicka zatrzymała się. P. Ro-

man patrzył w ziemię, ale miał twarz bladą i usta mocno zaciśnięte. Postrzegła to staruszka, i żal się jój zrobiło młodego człowieka, chociaż w duchu cieszyła się, że opowiadanie jój taki wywiera skutek. Nie dawszy jednak poznać, że widzi wewnętrzną walkę p. Romana, tak mówiła dalej:

— Gdyby była żałoba nie przeszkodziła, kto wie, możeby teraz była szczęśliwą żoną, i p. Władysław wcale innym, niż jest człowiekiem. Ale w kilka dni po deklaracyi i przyjęciu nastąpiła śmierć ciotki Krzysi, bogatęj i bezdziejnej kobiety, którą niezmiernie kochała i po której znaczny odziedziczyła spadek. I jój żal i przyzwyczajenie nakazywały odwłokę. Tymczasem p. Władysław znudził się, wpadł w złą kompanię, i popuścił wodze skłonności swęj do kart i kawalerskich hulanek, w czém powstrzymywał się jak mógł, póki nie był pewnym ręki Krystynki i póki żyła ciotka, która go dobrze znała, czuwała nad nim zblizka i której bał się jak ognia. Biedna Krzysia po trzech miesiącach żałoby zaczęła się dowiadywać to złąd, to zowąd o różnych excessach swego narzeczonego. Zachorowała z żalu i z płaczu, tak mocno była do niego przywiązana, tak silnie zranił jój młodą duszę w najpiérwszém i najszczerzszym uczuciu. Przez miesiąc cały widziéć go nie chciała. Nareszcie ulegając natrętnym prósbom kochanka, pozwoliła mu przyjechać. Ze była zawsze żywa, śmiała i otwarta, powiedziała mu wprost co wie, wyrecytowała wszystko to, co usta panny wypowiedziéć mogły i kazała się wytłumaczyć. P. Władysław przyznał się do winy, oddał swój los i swoje obyczaje pod straż kochanki, przyrzekł że się pokona, a jeżeli mu się zdarzy uledez pokusie, że przyjdzie z korną głową do nóg swego anioła stróża i pod sąd jój się odda. Dumna dziewczyna rojąc, że uratuje gubiącego się człowieka, poczytała sobie za obowiązek przebaczyć, czuwać nad nim i dopełnić swęj missyi na ziemi, jak mi to mówiła, gdym ją ostrzegała i odradzała. Biedna! ona go nigdy więcéj nie kochała, jak wtenczas. Ale p. Władysław już zadaleko zabrął, aby dla miłości i pokoju kochającęj go kobiety, odstąpił kolegów rozpusty. Ojciec Krzysi dowiedział się o wszystkiém. Przyznaje się, że w znacznym wpłynęła i na jego determinacyą i na uspokojenie Krystyny, której serce pękało z żalu, że kochała tak mocno człowieka, który nie miał żadnej władzy nad sobą, a zatém nie dawał jój szczęściu i pokojowi najmniejszęj rękojmi. Długośmy nad nią pracowali; ale nareszcie udało się ojcu i mnie wyrobić w niéj postanowienie, które coraz jawniejsze postępkii p. Władysława czyniły koniecznym. Nim więc żałoba skończyła się, p. Władysław odebrał

zupelne i niepowrotne odmówienie. Tymczasem, skoro się ta pogłoska rozeszła, zjawili się nowi konkurenci, i w siedm czy ośm miesięcy potem, Krystyna była już żoną p. Rozewskiego, a p. Władysław pocieszał się kartami, winem i jakąś Włoszką, którą sobie wywiózł z Odessy, i z którą się publicznie afiszował. Zdawało się, że ten widok wyleczył ją zupełnie; wszakże ile razy zdarzyła się mowa o życiu młodzieży naszej, a w owym czasie nie można było o tém nie mówić, bo przeszli granice wszelkiego umiarkowania, uważałam, że Krystyna bladła, drżała i tylko dziwną energią swego charakteru pokonywała wielki ból, który tkwił na dnie jój serca.

Tu p. Roman głośniej jakoś westchnął i urwał kutas od nakrycia stolika, którym się bawił, a p. Winicka wypocząwszy chwilę, tak dalej mówiła:

— P. Rozewski nie był wcale mężem dla takiej jak Krystyna kobiety. Nie odznaczał się on niczém: ani na dobrą, ani na złę stronę. Wprawdzie nie pił, nie przegrywał wielkich summ w karty, nie brudził się w garderobie żony, jak inni nasi panowie robią; ale téż niczém nie umiał jój zająć, niczém okazać delikatnego uczucia, niczém téj wyższości, której każda rozumna kobieta od męża oczekuje, którą się pyszni i za którą właśnie najwięcej go kocha. P. Rozewski był to sobie najzwyczajniejszy hreczkosiej, który, jeśli nie wydawał dyspozycyi i nie objeżdżał konno swoich łanów, to jadł śniadanie, obiad, podwieczorek i kolacyą, a między jednym i drugim jedzeniem siedział w swoim krześle i trzymając w gębie ogromny bursztyn, pracował nad wydaniem różnych figur z dymu: to kótek najregularniejszych, to drzewek różnogałęzistych, to innych jakich dziwołagów. Nie dziw więc, że młoda, piękna i tak żywa kobieta, nie mając żadnego serdecznego zajęcia w domu, szukała rozrywki za domem: to na kontraktach w Kijowie, to u wód morskich w Odessie, to na odwiedzinach i balach u licznych naszych i bogatych sąsiadów. Nie miała przytém dzieci. Gdy więc nic nie budziło w jój sercu poważniejszych uczuć żony i matki, gdy dawniejsza silna miłość dla pierwszego kochanka niby przymarła: ocknęła się próżność ładnej kobiety—i wtenczasto wyrobiła się w niej owa śmiała, żywa, szyderska prawie kokieterya, i owo zamięłowanie wszelkiego rodzaju elegancyi, do której teraz prawie tyle przywiązana, co do swoich książek, do swoich obrazów, do pędzla, do igły i do innych zajęć, którym się z dziwném pomieszaniem płochości i powagi najgorliwiej oddaje.

Tu p. Roman powstał, podszedł ku kominkowi, gdzie w srebrnej wanience stała w lodzie karafka z wodą, wypił szklanke wody,

i wróciwszy na miejsce, usiadł. P. Winicka zaś wycząwszy chwilę, tak dalej mówiła:

— P. Władysław tymczasem nie spuszczał jęj z oczu. Wiele razy była w Kijowie, on był na kontraktach; wiele razy była w Odessie, on kąpał się w morzu. Kronika tutejsza utrzymywała, że ją to prześladowanie nie gniewało. Ja wiem z pewnością, że jęj tém robił przykrość, że obudzał w nięj dawno przygaszoną boleść, że litowała się nad jego poniżeniem i rozpasaniem się na wszelką swawolę. Jednego razu, gdy ojciec jęj już nie żył, gdy przykrząc sobie coraz bardziej w domu i z mężem, zaczęła się jeszcze więcej roztrzepywać, jeździć, kompromitować się, tracić na coraz wykwintniejsze elegancye i stroić i ubierać dom ojcowski, jak gdyby miała zamiar porzucić zupełnie męża i tam osiąść; pojechałam do nięj, i macierzyńskie zaczęłam jęj robić uwagi. — „Cóż chcesz, rzekła mi, moja droga babciu! Ja z tym kłocem wytrzymać nie mogę. Wiele razy patrzę na niego, zdaje mi się, że mam dyby na nogach, które moje kroki pętają. Nic mi on złego nie robi, żadnej od niego nie doświadczam przykrości, niczego mi nie broni, w niczém nie upomina: i to właśnie przyprowadza mię do największej niecierpliwości. Czasem mówię mu umyślnie o tak szalonych przedsięwzięciach, miewam niby takie zachcenia, że na innym mężu sierćby się najeżyła i warknęłby przynajmniej. Ten nic — puszcza z flegmą dym z gęby, robi kółka albo drzewka, i czeka spokojnie, czy téż ja doprawdy to zrobię, czy nie. Nieraz bierze mię ochota wleźć na komin, z postanowieniem rzucenia się na ziemię, dla przekonania się, czy téż patrząc na mnie wyjmie bursztyn z gęby; ale jak pomyślę, a nuż nie wyjmie, i ja jak niepyszna będę musiała zleźć z komina tą samą drogą, którą wlażłam, to mi się płakać chce ze złości. Mów co chcesz babciu, ja muszę się rozwieść. I mnie się téż cokolwiek szczęścia należy na tym świecie”. Nie było co mówić. P. Rozewskiego nikt nie mógł przerobić; trudno téż było perswadować upartęj kobiecie i żądać od nięj, aby się poświęciła dla człowieka, któremu to było ni ciepłe ni zimne. Staralam się przynajmniej nakłonić ją, aby była uważniejsza, aby unikała pozorów, gubiących młode kobiety, a zwłaszcza Polki, które się na nie tak chętnie narażają. Śmiała się swawolnica, ścisłała mię i mówiła: „Ty wiesz, droga babciu, że ja z nimi wszystkimi gram w ślepą babkę. Nibyto z zawiązanymi oczami idę i łapię; ale zpod chusteczki widzę dobrze, i właśnie unikam tego, który się nadstawia. Ty wiesz, że to swawola, że w tém nie ma ani zajęcia, ani grzechu; że to robię ze śmiertelnych nudów i bawię się jak mogę. A że głupie baby i paskudne za-

zdrośnice będą szarpać moje imię, co mi to szkodzi. Mężczyźni wiedzą najlepiej, gdzie się można tylko sparzyć i trzeba odskoczyć, a gdzie się można dobrze ogrzać i zostać. Pomów z którym o mnie babciu, i z takim, co mi najwięcej nadskakuje, a obaczysz, czy ci co złego powie. Zepsuci oni wszyscy bardzo, to prawda, jeden większe ładaco niż drugi; owszem, za punkt honoru położyli sobie hultajstwo. Czy to ich wina czy czyja, to inna kwestya; ale przynajmniej tyle mają uczciwości, że żaden nie pochwali się rzeczą niepodobną do prawdy. Otóż do tych rzeczy niepodobnych do prawdy, należy serduszko twojej ślicznej rusalki. Żeby niejeden z nich żył sobie przyprowadzić mię do grzechu, o tém nie wątpię; ale każdy wie, że to niepodobna. Dlatego moja droga babciu oni mnie tak lubią, bo muszą szacować i boją się jak ognia. Żaden ksiądz z ambony nie pali im tak ostro słowa prawdy, jak ja; i właśnie wtenczas, gdy którego z nich wyzwę wabiącym uśmiechem na osobność, gdy i on i inni sądzą, że mu tam Bóg wie jaki raj się otworzy, ja go łaję na piękne za jego złe życie, za próżniactwo, za utracyszowstwo, i tak mu nieraz nakiwam, jak rodzona matka, że skruszony i z nosem na kwintę wraca do kolegów”.

Tu p. Roman odetchnął, jakby jaki wielki ciężar spadł mu z piersi, a p. Winička odpocząwszy chwilę, tak dalej mówiła:

— Inną razą, gdym do niej przyjechała i pierwsze kroki do rozwodu już były zrobione, zastałam ją nadzwyczajnie wesolą. Usta się jęj śmiały, oczy się iskrzyły; widziałam, że ma coś na sercu, z czémby chciała jak najprędzej się wynurzyć.—Czy rozwód tak dobrze idzie, zapytałam, żeś tak wesola i kontenta.—„O! wcale nie to, odpowiedziała, ściskając mię. Jestem szczęśliwa, jak królowa; odniosłam wielki tryumf, dokonałam wielkiego dzieła, i mogę się niém przed tobą, moja jedyna babciu, pochwalić.” Postrzegłam zaraz, że do tego dzieła wmieszało się coś, co serce jęj do gruntu wzrusza; gdyż w takich tylko razach nazywała mię swoją jedyną babcią.—Cóż to takiego? zapytałam niespokojna. „Mówiłam ci, droga babciu! odpowiedziała przybrawszy poważną minę, że mam wielką missyą na tym świecie naprowadzania na drogę obyczajów i moralności tych naszych *nic dobrego*, których nam biednym Ukrainkom P. Bóg na kochanków i na mężów przeznaczył. Wprawdzie z p. Rożewskim nie mogłam wskórać. Bo téżto nie był prawdziwy ładaco; nie był to marmur zakopcony i zarzucony błotem, czém są po większej części nasi młodzi, ale istny kloc z mokrej dębiny, coto ani na warsztat, ani do pieca. Dlatego téż dałam z téj strony za wygraną, opuściłam

ręce i rozwodzę się. Za to, zkaład P. Bóg mi błogosławił. Wyobraź sobie, moja jedyna babciu, że się zjechała przed kilku dniami u pani Osinowskiej z p. Władysławem. Zwykle unikałam go; a jeśliśmy z sobą mówili, to wśród wielu rozmawiających i o rzeczach obojętnych. Tą razą nie wiem jakim sposobem znaleźliśmy się na boku od całej kompanii, i nie wiem także jakim sposobem przyszło do poufalszej rozmowy. Stopniami p. Władysław zaczął mi się spowiadać ze wszystkich swoich grzechów. Co tam tego! aż mi włosy na głowie powstały. Ale musiałam słuchać: bo wiesz babciu, przyczyną i powodem do tych wszystkich zdżożności byłam ja. Biedny! on z rozpaczj że mię obraził, że mnie utracił, oddał się kartom, pijanństwu i rozpuście. Uśmiechasz się droga babuniu!—mówiła dalej czerwieniąc się, z czego poznałam, jak to ją mocno zajmowało—i ja uśmiechałam się także: bo nie myśl, żebym była taką gąską, iżbym odrazu i bezwarunkowo uwierzyła jego wyznaniu; ale gdym postrzegłszy w jego oczach, gdym usłyszała głos żalu, głos prawdziwej miłości wychodzący z serca; gdy mię zaczął błagać, abym stojącemu nad brzegiem przepaści podała rękę, że ja tylko jedna mogę go z niej wydobyć i mogę go w nią wepchnąć: zadrżałam w głębi duszy, moja missya stanęła mi w myśli, odezwało się sumienie, i podawszy mu dłoń opiekuńczą, którą on ścisł i łzami wdzięczności skropił, obiecałam czuwać nad nim i żądać rachunku z kaźdój jego myśli i z kaźdego kroku”.

Tu p. Winicka zatrzymała się. P. Roman, który siedział z nachyloną głową pogrążony w myślach, porwał się z miejsca, poszedł do okna i otworzył je, żeby zachwycić trochę świeżego powietrza. Gdy powrócił i usiadł, p. Winicka wypoczawszy chwilę, tak dalej mówiła:

— Gdym jój zaczęła perswadować, że się wdaje w grę niebezpieczną dla swojej reputacji, jeżeli proces rozwodowy przeciągnie się; dla swojego szczęścia i pokoju, jeżeli po skończeniu procesu zechce zostać żoną p. Władysława: odpowiedziała mi śmiejąc się: „Ja też o tém ani myślę, moja droga babciu. Podziękuję P. Bogu, jeżeli się zbęde z głowy p. Rożewskiego; a na cóż mi inny? Ale tu idzie o obyczaje i moralność! dodała z komiczną powagą. I patrz droga babciu! już zbieram owoce mojego poświęcenia się dobru ludzkości”. Tu wydobyła z za szlafrocza list i dała mi go do przeczytania. Był to list p. Władysława, w którym obszernie i ze wszelkimi pozorami prawdy i szczerości opisuje jój, jak swój dom i swoje życie urządził, jak swoje wydatki zredukował, jak Francuzkę jakąś, która miejsce Włosz-

ki zastąpiła, wyprawił do Odessy; przesyła registr dzieł, które sobie już sprowadził i które wypisał; dziękuje ze łzami w oczach i na kolanach swojej anielskiej opiekunce za pierwszy tryumf, który nad sobą odniósł: bo gdy koledzy opadli, aby z nimi do Berdyczowa na jarmark jechał, odmówił wprost, oparł się wszelkim naleganiom, szyderstwom i pogrózkom — i został w domu, oddany rozmyślaniu dawniejszego swego życia, obrazom szczęścia, które utracił, gospodarstwu i nauce. Kończył się list tak rzewną prośbą o dalsze nad nim czuwanie, tak szczéremi i tkliwemi oświadczeniami nie miłości, nie nadziei, ale bezwarunkowego poddania się kierunkowi i woli jedynéj dla niego kobiety, która ani na chwilę z myśli i z serca jego nie wyszła, a do której nie śmie podnieść ani skalanéj myśli swojej, ani zabrudzonego serca, że ja sama czytając wzruszyłam się i zmięklam. Gdy skończyła i podniosła wzrok na Krystynę, postrzegłam, że śledziła z mocném zajęciem wrażenie, jakiegom doznała, i że dwie łzy, jak dwie perły stały na jéj długich i czarnych rzesach. — Ty go kochasz jeszcze Krysiu! rzekłam wówczas. Ona schowała za gors list pół śmiejąc się, pół płacząc, i całując moję rękę odpowiedziała: — „Nie mówmy o tém, babciu!” — Rozwód wkrótce potém nastąpił. Krystyna zamieszkała w swoim własnym domu, ustrojonym z całą kokieterią, na jaką się tylko zdobyć mogła. Łatwo wniesiesz, że taka młoda, ładna i bogata rozwódka, stała się przedmiotem zabiegów ze strony mężczyzn, plotek i gadaniny bez końca ze strony kobiet. Co moment wydawano ją za mąż to za tego, to za owego. Tymczasem pokazało się zawsze, że to nieprawda, że już nie idzie ani za p. Piotra, ani za p. Pawła, bo zawsze jakoś p. Władysław przeszkodził. P. Władysław tymczasem podlegał wielokrotnym recydywom szuleryi i rozpusty. Ale zawsze umiał wyprosić sobie u niéj przebaczenie; i wiele razy jaki nowy konkurent nacierał na nią zblizka, lub przez siebie, lub przez przyjaciół, wtenczas pozwalała mu zbliżyć się, była dla niego uprzejmą, na kompaniach, u wód zdawała się nim tylko zajętą, tak, że w sąsiedztwie już naznaczano dzień ich ślubu, już przyrządzano suknie i stroje na bal w Myszowcach, który miał być huczny i świetny. A tymczasem i to nieprawda; rzeczy zostawały, jak były. Krystyna bawiła się, a p. Władysław hulał. Takito stosunek, mój kochany Romanie, łączy tych dwoje ludzi, dodała p. Winicka, wyraźnie zafrasowana. Na czém się to skończy, to Bóg raczy wiedzieć. Dobrze jednak, żeś mi to powiedział. Muszę do niéj napisać.

— Niech ciocia nie pisze, proszę cioci — rzekł żywo p. Roman, nie myśląc, że się zdradza.

— Dlaczego?—zapytała, patrząc ciekawie na siostrzeńca.

— Dlatego—odpowiedział po chwili—że p. Rożewska domyśli się, że to ja cioci mówił. A nie chcę w jej oczach uchodzić za plotkarza, lub za człowieka, któregooby to obchodziło lub raziło, że przez cały bal z jednym tylko mężczyzną tańczyła.

— Więc poproszę ją, żeby tu do mnie przyjechała: albo raczej—rzekła namyśliwszy się—pojadę do niej sama. Mam się daleko lepiej, pora piękna i winnam jej wizytę. Pojedziesz ze mną Romanie?

— Obaczę—odpowiedział p. Roman czerwieniąc się lekko, pokręcił się jeszcze po pokoju i wyszedł.

Całą tę noc p. Roman nie spał. Rozmaite w głowie jego krzyżowały się myśli. Ze wszystkich uwag, które nad opowiadaniem ciotki czynił, wniósł, że Krystyna kocha zawsze p. Władysława, że mu nie przystoi stawać w szrankach, gdzie go dawny i obeznany z polem tém szermierz łatwo zwalczyć może. A gdy przytém zgłębił grunt swego serca, postrzegł, że silna skłonność, dziecko próżności i światowych stosunków, leżała tam obok skromnego i głębszego uczucia, i wyzywała je niejako z pychą i pewnością do walki zawziętej i niebezpiecznej. Postrzeżenie to dręczyło go mocno i poniżało go w jego własnych oczach tém bardziej, że nie czuł w sobie dosyć sił wyrwać się stanowczo z tych sidła, któremi widział się coraz cieśniej obejmowanym. Jak w każdej takiej walce, grzeszna słabość szuka podpory w argumentach uczciwych, i na jakichś świętszych obowiązkach oprzeć się usiłuje: tak i tu p. Roman rodzącą się swoją skłonność dla Krystyny i zapomnienie Kasi starał się uzacnić posłuszeństwem niby woli i zamiarom ciotki, której winien był wdzięczność za jej przywiązanie i dobrodziejstwo, jakie dla niego gotowała. Wtenczas badając siebie i rozbierając stan swego serca przekonał się, że jeżeliby do tego przyszło, niebardzoby się zdragał, a możeby nawet chętnie podał rękę i poprzyściągł miłość ślicznej i wabiącej go kokietce, z zapomnieniem dziewczyny biédnej, skromnej, pięknej i oddanej mu całą myślą, wszystkimi siłami swój duszy. Takimto sposobem noc ta bezsenna, rozważanie i karmienie się myślą, która z początku zdawała mu się tylko igraszką, zapędziło go głębiej jeszcze w sidła, w które wstąpił mocny świętością swego pierwszego uczucia, a których teraz już nie mógł, a co gorsza, że nie chciał rozerwać.

W kilka dni potém nastąpiła wizyta p. Winickiej w Myszowcach. Staruszka nie uprzedziła Krystyny o swoim przybyciu, jak to zwykle czyniła, spodziewając się, że zjechawszy ją znienacka, może

tam zastanie p. Władysława i będzie miała powód do explikacji i do stanowczego jakiego rozwiązania téj kwestyi. P. Roman perswadując sobie, że życzeniu ciotki nie powinien się przeciwieć, że w stanie jój zdrowia należało mu jój towarzyszyć, że przytém nie jedzie, aby doznał przyjemności, ale owszem, że upokorzony i odstręczony do reszty widokiem p. Władysława, którego także zastać tam spodziewał się, zbędzie się raz nazawsze téj bolesnej walki, pojechał także.

Okolo godziny szóstej wieczorem stanęli przed domem, jaśniejącym czystością i niezbyt widać dawnym. Otaczał go ogród, któremu świeże jeszcze i zielone trawniki, jesienne w wielkiej obfitości kwiaty, i pięknie ugrupowane drzewa, różnokolorowym już liściem umalowane, dodawały powagi i piękności. Na ganku siedział ten sam młody i dorodny Kozak, który przywiózł list Krystyny. Poskoczył on do karety skoro stanęła, i otwierając drzwiczki, oświadczył, że pani jest w domu, ale poszła na folwark, i że w ten moment pobiegnie i o przybyciu gości uwiadomi. Weszli do sieni widnych, obszernych, mających marmurową posadzkę i ozdobionych kilku rzezbami, które z pomiędzy krzewów i kwiatów wyglądały. Tam zastali dwóch lokajów, w ładnych błękitnych surducikach, ale bez galonów. Jeden trzymał już za kłankę od pokojów, a drugi przystępując z grzecznością do p. Winickiej zapytał, czy każe znosić rzeczy, i czy życzy sobie zająć zwykle swoje pokoje.

— Jeżeli wolne — odpowiedziała staruszka umyślnie, chcąc się dowiedzieć, czy jest jaki gość i kto taki.

— Nie mamy teraz nikogo — odpowiedział — i pokoje gościnne niezajęte.

— To ulokujesz mnie tam — odpowiedziała. — Ja tymczasem w sali na panią zaczekam. — Weszli więc na lewo, gdzie były dwa spore salony, pełne świeżości i najwykwintniejszej elegancji. Obie były materyalne, także firanki i portiery. Oba zasłane były całkowicie pięknymi kobiercami, w obu były marmurowe kominki, a na ścianach świeciły ogromne zwierciadła. W pierwszym z nich wisiały niezmiernie kosztowne i wielkie sztychy, w drugim zaś jak najstarszanniej dobrane, bardzo symetrycznie ułożone, chociaż nie w wielkiej liczbie, obrazy olejne. Meble były doborne, zachęcające do odpoczynku, rozstawione z symetrią i bez natłoku, a pod względem materji i formy, świadczące o dostatkach i gęście gospodyni. Fortepian stał w drugim salonie, w obu zaś stoły przedkanapowe zawałone były najkosztowniejszemi wydaniem dzieł illustrowanych. Z każdego z tych salonów były drzwi do dwóch oddzielnych pokojów. W je-

dnym z nich znajdował się budoar Krystyny. Był on niewielki, zaciszny, bogatą portierą od drugiego salonu oddzielony, ale co tylko wygoda i elegancja ładnej rozkosznisi wymyśleć i zebrać mogli, wszystko się tam znajdowało. Szeslong dla przedrzémiania się, kozetki dla dwojga rozmawiających, szafki i etażerki z różnemi cackami, najdogodniejsze sztory i firanki dające tyle światła, ile było potrzeba, takie reflexa na twarz i pokój, jakie mieć chciała, przytém miękki jak puch kobierzec, taburety i stołeczki wyższe i niższe, stoliki i stoliczki, ogromne stojące i ruchome zwierciadło, kominek i t. d. zdobiły to miejsce dumań, dąsania się i rozkosznych gawędek. Drugi pokój daleko obszerniejszy, mający drzwi z pierwszego salonu także portierą zasłonięte, służył właściwie za gabinet do rozmaitej pracy dla téj osobliwej, próżnej, dowcipnej, ale lubiącej zajęcie kobiety. Był on prostszy, ale ozdobnie przybrany. Znajdowały się tam szafy kosztowne i kształtne, pełne książek najstaranniej oprawionych i błyszczących złotem i safianem przez kryształowe szyby. Przy jedném oknie były sztalugi, a przy nich wszystkie przybory do malowania olejno; przy drugiem biurko z papierami, książkami i rysunkami. Na kanapie pod boczną ścianą leżała kanwa, a przed nią stół obszerny, na którym wzory, włóczki, szydelka, igielki i t. d. Tam także leżało cieniutkie płótno, rozłożone do skrojenia na bieliznę. W innym kąciku stały eleganckie krośna, przy nich zgrabniutki kołowrotek ze lnem wyczesanym delikatnie jak jedwab', a przy kołowrotku był stolik, na rozestanej lamparćej skórce stojący, na którym leżał kastrowy kapelusik z białym piórem, szpicrózgi, pudełko z sygaretami, para małych pistoletów; nad nim zaś na ścianie wisiały cudnie oprawne lekkie i zgrabne suzyjki, jedwabne torby, ładowniczka i tym podobne myśliwskie elegancye, a wszystko w porządku, tak czyste, jakby tylko co wyszło ze sklepu. P. Winicka obszedłszy z p. Romanem cztery te pokoje, usiadła w pierwszym salonie na wygodnym fotelu, a pan Roman, oparty o średnie drzwi, rzucał jeszcze okiem na wszystkie strony, oddychał tém trującym, chociaż świeżém i wonném powietrzem, i w téj ciszy czarownego ustronia, gdzie z każdego kąta zdawał się do niego szeptać głos: strzeż się, bo to czarodziejka! słuchał echa jój głosu, i upatrywał na kobiercach śladów téj delikatnej i cudnej nóżki, którą najpierw obaczył, a z którą imaginacya jego rozstać się nie mogła.

W kilka minut weszła Krystyna prawie zadyszana od pośpiechu. Gdy postrzegła naprzeciw stojącego p. Romana, oparła się także o drzwi, jakby odpoczywając po prędkim biegu, i żywy rumie-

niec na piękną twarz jęj wystąpił. Strój jęj składał się z sukni opiętej pod szyję, z delikatnego czarnego sukna, krojem krótkiej amazonki; w ręku miała szpicróżę i czapeczkę aksamitną jasno błękitnego koloru, z dużym daszkiem, który mógł twarz jęj osłaniać. Włosy gładko zaczesane z warkoczem cokolwiek na tył opuszczonym, lśniły się zwykłym połyskiem i odpowiadały błyszczącym oczom. Gdy się zatrzymała we drzwiach otwartych, stanął przy nięj chart ogromny, czarny jak kruk i lśniący, jakby miał sierć jedwabną. W tém ubraniu, z tym towarzyszem, i w téj postawie pół męskiej, wyglądałyby jak jaka średniowieczna heroina, powracająca z łowów; ale na sznurze jedwabnym, który otaczał jęj talią, wisiał z boku ogromny pęk kluczków, zdradzających zatrudnienie, od którego ją oderwano. Milczenie i to przyglądanie się sobie wszystkich obecnych, trwało tylko krótką chwilę. Wkrótce Krystyna przystąpiła do p. Winickiej, i całując jęj rękę, rzekła:

— Aj! babciu! babciu! czy się tak godziło nie ostrzedz mię o swoim przybyciu! Jeżeli babcia zastaniesz mię nieprzygotowaną, wszystko do góry nogami bez ładu i porządku, to nie moja będzie wina.—Pótem nie czekając odpowiedzi, przystąpiła do p. Romana, trzymając zgrabnie swoją czapeczkę; a gdy i on parę kroków podstąpił, ukłoniła mu się z męzkim akcentem i wyciągając do niego rękę, którą on uchwycił i jakoś bez myśli i chęci mocno ścisnął, dodała:— Witam pana u siebie; masz pan szczęście, żeś przyjechał, inaczęj... Ale jak pan obaczysz mój arsenał, będziesz ostrożniejszym.

— Już widziałem—rzekł p. Roman uśmiechając się.

— I cóż?—zapytała patrząc nań niby groźnie.

— Przeląknęłam się—rzekł p. Roman kłaniając się. Zaśmiała się głośno i wróciła do p. Winickiej.

— Chodź, droga babciu, do tego pokoju, tam ci będzie wygodnięj, a mnie pozwól chwilę pogospodarować.

— Dobrze mi i tu—odpowiedziała p. Winicka.—Ale usiądź i ty trochę, już tam wszystko zrobi się i bez ciebie.

— Gdzie tam, gdzie tam—zawołała dzwoniąc kluczami.—Trzeba wszystko własnęm okiem widzięć. I teraz byłam na solwarku i pełniłam funkcyą ekonoma i klucznicy.

— Przez swawolę, dla zabawki—rzekła staruszka uśmiechając się—i dlatego przystroiłaś się w ten pęk kluczków, jak gdybyś niemi co otwierała i zamykała.

— Już to prawda—odpowiedziała Krystyna—że klucze były więcéj dla powagi gospodarskiej, niż z potrzeby. Jednak dobrze, że

poszła, bom miała za co i połać i pochwalić. I teraz jak nie pójdę, to babcia nie będzie miała wygody w swoim pokoju. — To powiedziawszy zwróciła się ku drzwiom, potem raptem zastanawiając się podbiegła ku p. Winickiej i składając ręce zawołała: — Wszak cały tydzień darujesz mi babciu droga! nieprawdaż?

W piersiach p. Romana serce się zatrzęsło, gdy usłyszał te słowa i ton serdecznej prośby, z którym były wymówione. P. Winicka pokiwała głową i rzekła:

— Bój się Boga, kobiéto! gdzież ja mogę tak długo.

— To sześć dni.

— Ani sześć.

— To pięć, moja jedyna babciu! — P. Roman przypominał sobie w jakich okolicznościach nazywała ją jedyną babcią, i jeszcze mu się milój zrobiło.

— Jeśli tak koniecznie chcesz, to cztery. Ale więcej nie mogę — rzekła staruszka.

— Cóż robić — odpowiedziała niby z rezygnacją. — Niech już będzie i cztery. Ale jeśli się okroi piątemu dniowi, to nic się tam w domu złego nie stanie. Wstaw się pan przecie za mną — dodała obracając się do p. Romana i czerwieniąc się. P. Roman chciał coś odpowiedzieć, chciał się dobrze znaleźć, ale mu w tej chwili ni ztąd ni zowąd p. Katarzyna przesunęła się przed myślą. Zacerwienił się więc i milczał. Krystyna uśmiechnęła się widząc jego zamieszanie, obróciła się szybko i gładząc w przelocie charta, który jej ruchów nie spuszczał z oka i za nią poskoczył, znikła z pokoju.

Łatwo czytelnicy odgadną, co się działo w głowie p. Romana; domyśla się także, że ani go p. Winicka nie radziła się, czy zostać czy nie; ani on nie wstawiał się jak mu było polecono i nie perswadował ciotce, żeby jeszcze i piątego dnia nie wyjeżdżać. Milczeli oni oboje, ale oboje podobno jedno i to samo myśleli, jednemi się karmili projektami.

W kwadrans potem Krystyna powróciła w lekszym, pełnym elegancyi szlafroczku, a za nią wniesiono stolik, na którym była kawa, herbata, delikatna zakąska i różne przysmaczki dla posilenia się po drodze. Nie będziemy opisywać szczegółowo całej tej wizyty, boby to była rzecz trudna, a co gorsza tęskna i nudząca. Ustawiliśmy szachy i przyprowadzili grę do pewnego punktu, z którego dalsze poruszenia może sobie wyobrazić każdy, co ma cokolwiek wprawy i imaginacyi. Wydobędziemy tylko z tego tła kilka momentów ważniejszych, które może nie będą bez interesu, i lepiej dadzą poznać wzajemne względem siebie położenie grających.

Z drugiego salonu były wielkie drzwi szklane, prowadzące na wystawę, dającą widok na najpiękniejszą część ogrodu. Wystawa ta, podniesiona na kilka schodków nad ziemią, zajmująca całą szerokość domu, osłoniąca była cienistą markizą, a równie jej boki, jak i schody ubrane były mnóstwem najrzadszych i najrozmaitszych kwiatów. Tam, po skończonym podwieczorku, zaprowadziła gości swoich Krystyna i tam oddychali świeżym powietrzem; a przypatrując się cudnym barwom zachodu, rozmawiali wesoło i poufale. Krystyna była daleko poważniejszą, niż zwykle, ale tak naturalną i uprzejmą, z tak braterską życzliwością traktowała p. Romana, tak dobrze prowadziła rozmowę to o rzeczach potocznych, to o literaturze, to o sztuce i jej zbiorach, które posiada, to wreszcie o położeniu naszym, o kierunku jakiego nabierają u nas młode głowy, o burzach, jakie zagrażają całemu światu: że p. Roman oczarowany i miejscem w którym się znajdował, i postawą i głosem tej, co rozkoszemu ustroju temu umiała nadać pulsa i życie; co jak prawdziwa czarodziejka mogła z siebie zrobić wszystko co chciała, i swawolną dziewczynkę, i wabiącą kokietkę, i pełną gustu, rozumu i prawdziwego obywatelstwa kobietę: przyszedł już późno do naznaczonego sobie pokoju, z szumem jakimsiś w głowie, rzucił się jak był ubrany na przygotowane łóżko, i zakrywszy oczy dłonią, leżał tak z parę godzin, przechodząc myślą wszystko co widział i słyszał, wbijając niejako w głowę i serce te obrazy, co go olśniły: a chociaż czuł, że go to truje, smakował w tej truciznie i odtrącić jej od ust swoich nie mógł i nie chciał.

Przy śniadaniu mówili o gospodarstwie. Krystyna tak dobrze знаła stan swoich interesów, możność i donosność swego majątku, przymioty i zasoby każdego prawie chłopka, słowem, na wszystkie pytania p. Winickiej odpowiadała z taką pewnością, z taką precyzją, że p. Roman zadziwiony rzekł:

— Teraz nie dziwię się, żeś pani wczoraj z tak wielkim pękiem kluczków była na folwarku; widać, że panią i to szczerze interesuje i że umiesz używać czasu.

— Ja też czas niezmiernie szanuję — odpowiedziała — i to z wielu względów. Najprzód, jako najlepszego lekarza na wszystkie męki ciała i duszy; powtóre, jako najlepszego doradcę we wszystkich trudnościach życia; potrzeci, jako największego wroga każdej ładnej kobiety. Mam go teraz w pełnej mierze, okazuje się on dla mnie dość grzecznym, korzystam więc z jego obecności i łaski, abym sobie nie musiała powiedzieć: szkoda! już zapóźno.

— Pojmuję ja — rzekł p. Roman — że pani czytasz, malujesz, haftujesz, szyjesz bieliznę, strzelasz i polujesz, a nawet — dodał uśmiechając się — przedziesz na kołowrotku, bom przybory wszystkich tych zajęć widział w gabinecie pani; ależ gospodarstwo, a zwłaszcza folwarczne, męskie gospodarstwo, to męka, to kłopot nie rozrywka, i nie może wcale posłużyć do zabicia czasu.

— A któż panu powiedział, że ja go chcę zabijać? ja go pragnę używać z korzyścią dla siebie i z pożytkiem, a przynajmniej przyjemnością dla drugich. Wprawdzie marnuję go czasem, jak np. zmarnowałam go wiele na balu u p. Osinowskiej — dodała poglądając na p. Romana i czerwieniąc się — na wizytach u naszych sąsiadek i w tym podobnych zdarzeniach; ale w domu, gdy jestem sama, staram się przeprosić mego dobroczyńcę i wroga, wstaje o siódmój i kładę się o jedénastój, i położywszy się, i przebiegając myślą dzień cały, jeszcze sobie nieraz mówię: szkoda! ta i ta chwila przeszła mi na niczém; daruj panie czasie, i nie mścij się za to, rysując zmarszczkami twarz moję przedzój, niż myślałeś.

— Widzisz — rzekła wówczas p. Winicka — jak się sama sobie przeciwisz. Tak oszczędna jesteś i gospodarna ze swojemi godzinami, a zaprosiłaś nas na tak długo. Może się twój pan czas rozgniewać.

— Nie rozgniewa się moja babciu — odpowiedziała żywo i prawie ze wzruszeniem — nie, mam ja z nim swoje rachunki. Dał mi on wiele chwil gorzkich, winien mi więc wiele miłych. I gdybyś tu u mnie i miesiąc cały siedziała i gdybym ciągle tak szczęśliwą była, jak teraz jestem — dodała całując rękę staruszki — jeszcze byłby mi dłużnym.

P. Roman wziął to do siebie, i także był szczęśliwym. Po obiedzie, kiedy staruszka położyła się na godzinkę odpocząć, p. Roman i Krystyna zostali na wystawie. Dzień był pogodny i ciepły. Było coś rozkosznego w powietrzu w owych dniach kończącego się lata i zaczynającej się jesieni. Krystyna w lekkim szlafroczku, z twarzą jaśniejącą i ożywioną, leżała prawie w wygodnym, niskim fotelu, i wypytywała p. Romana o matkę, o siostrę, o ich sąsiedztwo, o sposób jakim ludzie żyją i bawią się w Królestwie. Mówiąc i patrząc na młodego człowieka, bawiła się bukietkiem świeżych i wonnych kwiatów, który przykładła do ust, którego wonią się poila, którego listki odgryzała ząbkami. Przy fotelu stał stoliczek, który ją oddzielał od p. Romana. Wśród rozmowy, na tym stoliczku położyła swój bukietek i mówiła i wypytywała się dalej. P. Roman odpowiadając,

przez roztargnienie zapewne wziął go w rękę i sam nim bawić się zaczął. Widziała to Krystyna i zdawała się nie uważać. Bukiecik został w ręku p. Romana, i grabież ta, tak jawnie dokonana, milczeniem niejako uprawniona, podała mu słodkie marzenia.

— Jeszcześ pan mego ogrodu nie widział. Przejdźmy się trochę, nim się babcia obudzi—rzekła podnosząc się i biorąc parasolik.

P. Roman powstał, chciał jęj podać rękę ze schodków; ale ona zeskoczyła jak sarneczka, pobiegła między stojące rzędem wazonny, i nowych sobie narwała kwiatków. Zrozumiał p. Roman, że tamte może sobie przywłaszczyć i schował je za kamizelkę, aby były bliżej serca. Chodzili długo. P. Roman, który także miał ładny ogród w Gostyńskim, lubił to zajęcie i znał się na tém; mówił więcj niż zwykle, dawał niektóre rady, na które się Krystyna chętnie zgadzała; a gdy obeszli wszystkie ulice, przypatrzyli się wszystkim widokom na wieś, na niezmierzone łąny, które ją otaczały, wracali napowrót już bliżej siebie, i p. Roman podał ręce sfatygowanej Krystynie, a ona przyjęła chętnie tę pomoc, wspierała się mocniej na jego ramieniu, zwłaszcza, gdy przyszło iść pod górę, i słuchając jego światłych uwag o ugrupowaniu drzew, o doborze krzewów do nowych klombów, które zasadzić radził, patrzyła mu w oczy.

Nazajutrz przyjechała z wizytą sąsiadka niegdys p. Romana przy obiedzie u p. Osinowskiej, z córką Modestą, i zostały tu na obiedzie. Znała Krystyna dobrze p. marszałkową, i jęj dla siebie usposobienie. Nie na rękę więc jęj były te odwiedziny, tém bardziej, że pani ta była pełna pretensyj, wymagała ciągłego sobą zajmowania się i obrażała się za każde w tęg mierze uchybienie. Ale Krystyna znalazła i na to radę, bo kobięcie, która ma pewny plan, nic nie przeszkodzi, i właśnie przeszkody zamieniają się w środki.

Krystyna zaproponowała po obiedzie podwieczorek w pasiece. Propozycja została przyjętą. Gdy się zbliżyła godzina wyjazdu, zaszedł powóz otwarty, zaprzężony parą pięknych anglezów; wyprowadzono oraz dwa konie wierzchowe. Pod siodłem damskim był śliczny koń anglezowany, spokojny i wytresowany jak dziecko; pod męzkim siodłem był Arabczyk kary, niewielki, ale ogień pryskał z jego ocz i nozdrzy, i nóżka lotna grzebała od niecierpliwości ziemię i odrzucała ją daleko. Wkrótce wyszła Krystyna w ciemno-błękitnej sukni, ozdobionej na piersiach dwoma rzędami guzików; kapelusz z białem piórem leżał zgrabnie na jęj głowie: w jednej ręce miała szpicrózgę, a na drugiej niosła ogon swęj sukni tak udrapowany, że jęj tylko dodawał zgrabności i nic do chodu nie przeszkadza-

dział. P. Winicka pokiwała głową i uśmiechała się zmiarkowawszy ten manewr, a marszałkowa zacisnęła wargi i pomyślała sobie: rozumem, ciągnie go w sieci; ale zobaczmy.

Gdy panie, które miały jechać powozem, zajęły swoje miejsca, Krystyna mile spojrzawszy na p. Romana, rzekła ciszej:

— Czyś pan kontent?

— O! dziękuję pani — odpowiedział podobnie.

— Pomóżże mi pan.

P. Roman podał jój rękę, sprowadził z ganku, przystąpił śmiało do jój konia i uderzył go dłonią po siodle. Wyuczony rumak wyciągnął się, zniżył i czekał jak wryty, aż poczuje na sobie lekki swój ciężar. Krystyna wsiadając postawiła nóżkę na dłoni masztalera, czego mu p. Roman serdecznie zazdrościł, ale za to ręką oparła się na jego ramieniu, i tak podniosła się i usadowiła na siodle. Gdy opuściła fałdy swojej sukni, a masztalerz podał jój cugle, koni jój podniósł głowę, ożywił się i podnosząc się lekko przednimi nogami, zdradził swój ogień i zręczność amazonki, co nim władała. Nie uważał tego p. Roman, że Krystyna patrzyła ciekawie, jak téż weźmie się do dzieła, i że oczy jój zaiskrzyły się od radości, i na ustach pokazał się uśmiech ukontentowania, gdy postrzegła, że nim Arabczyk zdołał żywość swą okazać, już p. Roman na nim siedział, silném ścisnął go kolanem i zapął jego umiejętnie powściągnął.

Wielkieto szczęście naszego bohatera, że był Mazur, lubił konie i umiał dobrze jeździć. Inaczéj byłby nieborak w wielkim ambasie, bo to była i na niego zastawiona łapka i takiego examinu wcale się nie spodziewał. Z tego pokazuje się, jak po mężku trzeba wychowywać mężczyznę, gdyż żaden nie zdoła przewidzieć, co mu się zdarzyć może i jak i gdzie nauki swojej użyć mu przyjdzie.

Spacer odbył się szczęśliwie. Krystyna była w najlepszym humorze: i że się jój udało nie zajmować się marszałkową, i że prawie była sam na sam z p. Romanem, któremu nieraz dostało się słodkie wejście, słodszy jeszcze uśmiech, czarujące słówko uspokojenia lub podziękowania za troskliwość, jaką jój okazywał, gdy zaczęła prawie szaląc na koniu i zbyt śmiało go zażywać. Starła się ona ciągle prawie być zdaleka od powozu, a zatém od ocz marszałkowej. Ale raz gdy go dopędziła w pełnym galopie, a p. Winicka składała ręce prosząc, aby była ostrożną, rzekła Krystyna śmiejąc się:

— A co babciu! wyglądasz teraz jak kura, która wysiedziała kurczęta, i z brzegu biędna patrzy jak swawolą na wodzie. Nie bój się droga babciu! mój towarzysz nie da mi krzywdy zrobić. — To po-

wiedziawszy poskoczyła naprzód szeroką drogą pod górę, zostawiwszy daleko za sobą powóz, a zwracając się do p. Romana, który tuż był przy niej, dodała:—Czy prawdę powiedziałam?

— Radbym życiem przekonać, że tak jest istotnie — odpowiedział p. Roman, zapomniawszy o całej Europie, a zatem i o Warszawie.

— To jedźmyz stępa—rzekła nagle Krystyna wstrzymując konia—boby to była wielka szkoda, gdyby się pokazało, że to coś pan powiedział, jest tylko ładny frazes.

P. Roman zawstydzil się i umilkł, a ona jadąc zwolna zaczęła zupełnie inną rozmowę.

Pasieka, gdzie był przygotowany podwieczorek, byłato zwyczajna ukraińska pasieka, tojest: w prześlicznym lasku, złożonym z lip, klonów, brzoź i dębiny, wielki, ogrodzony wysokim płotem kwadrat, w którym stało ze dwieście ulów, pełnych już białego i wonnego miodu. Do jednego rogu tego kwadratu przypierała chata, pokryta słomą, z wielką sienią, komorą, z izbą obszerną i czystą, i z dalszém zabudowaniem potrzebném na chronienie ulów i przygotowywanie nowych. Pod dachem wystającym nad ścianą frontową wisały krobki do zbierania rojów, suszyły się korytka do karmienia pszczół, kłateczki z oczeretu do przenoszenia matek i inne pasiecznicke narzędzia. Przed chatą był plac równy, zarosły niską trawą i ocieniony kilku starami dębami. Tam stał już stół nakryty, zastawiony prostym przyborem, i otoczony ławkami lipowemi, czysto i jakby świeżo zheblowanemi. Krzątały się około stołu dziewczęta młode i ładne, w szarych spodniczkach, w kwiecistych fartuszkach, w koszulkach cienkich, wyszywanych na ramionach i zawiązanych pod szyją, ozdobioną jednym lub dwoma sznurkami koralu. Ich usta odpowiadały téj ozdobie szyi, tak były świeże i rumiane; gęsty warkocz z czerwoną wstążeczką spadał na plecy, a we włosach gładko uczesanych tkwiły astry, lub zielenił się bukiecik rezedy. Do pasieki od chaty prowadziła udeptana ścieżka, a przy niewielkiej furtce, którą się pasieka otwierała, stał gotów do przyjęcia pani i jój gości starzec wysoki, czerstwy, z białą długą brodą, w czystej koszuli na wiérzch spuszczonej i przepasanej czerwonym pasem.

Wszyscy byli kontenci, weseli; nawet marszałkowa udawała uprzejmość i niby rozweseliła się. Krystyna zrzuciła kapelusz, odpięła fałdzisty ogon co jój zawadzał, i zostawszy w kaftaniku, w białej skromnej sukience, którą pod amazonką miała, z odkrytą głową i śmiejącą się twarzą, krzątała się i gospodarowała. P. Roman przy-

patrywał się, i w tém poetyczném miejscu, wśród natury tak szczerój i bogatěj, przy balsamicznym oddechu pasieki, przy lekkim szumie dębów i lip, przy wymowném brzęczeniu miliona pracowitych pszczołek, marzył, zapominał się, nie brał miodu i mléka, którém go Krystyna częstowała, ale patrząc na nią w milczeniu, błogosławił téj ziemi mlékiem i miodem płynącėj.

Już było szaro, gdy opuścili pasiekę, i wieczór zupełny zaskoczył ich prawie na pół drogi od domu. Szedł więc powóz zwolna, a oni oboje jechali stepo o paraset kroków naprzód. Cichość otaczała ich zupełna; noc zsuwała się na obszerne pola i płaszczem swym obejmowała ich niezmierne obszary. Gwiazdy coraz liczniejsze wyrzucały się od wschodu i północy, iskrzyły się i grupowały na ciemniejącém tle, jak robotnicy, występujący do oznaczonej pracy; a światły, złoto-czerwony rąbek na zachodzie coraz się zsuwał, zwiężał i szarawą pociągał się barwą. Nie mówili do siebie poglądając to w głębie pola, to na niebo, i przysłuchując się tym głosom tajemniczego życia, które dniem wrzawa ludzkich zachodów przytłumia, a które rozpoczyna się i odzywa wtedy, kiedy człowiek śpi i drapieżna ręka jego odpoczywa. Konie szły równo i słyhać było każde ich stąpienie. A gdy czasem jeden chrapanął, i nastawił uszy, niby coś postrzegłszy, gdy i drugi podnosił głowę, strzygł uszami i przypatrywać zdawał się: wtedy i konie zbliżały się do siebie i p. Roman wyciągał rękę gotową do obrony, którój delikatna i drżąca rączka z bojażnią już nieumyślną i nieudaną dotykała.

Jeżeli któremu z czytelników naszych zdarzyła się taka podróż, o takiěj porze i w takiém towarzystwie, niech powie, co p. Roman myślał, i jeżeli może, niech potępia naszego bohatera, że nie myślał o tém, o czém według dawanych sobie stokrotnie obietnic, jedynie myśleć był powinien.

Piątego dnia, do którego wizyta przeciągnęła się, miała już p. Winicka po rannym obiedzie wyjeżdżać. P. Roman smutnym był, Krystyna zamyślona, a staruszka patrząc na nich, radowała się w duszy, że rzeczy tak dobrze zdają się układać, że niewiele potrzeba już będzie z jój strony usiłowań, aby najdroższy jój plan pomyślnym uwieńczony był skutkiem. Siedli do stołu, ale czy że jeszcze nie przyszedł im apetyt, czy że inne myśli go odpędzały, nic prawie nie jedli. Potrawy schodziły zaledwie dotknięte. Przy końcu obiadu p. Winicka odebrała posłańca z domu w pilnym interesie, na który natychmiast odpisać musiała, i tegoż samego posłańca z odpowiedzią swą plenipotentowi wprost do miasta powiatowego odprawić. Gdy

wstali od stołu, poszła staruszka do biblioteki Krystyny, i tam usiadła do pisania i wyexpedyowania listu. Młodzi ludzie przeszli do drugiego salonu, a ztamtąd rozmawiając o pogodzie i drodze, do buduaru Krystyny. Karetą upakowana i zaprzężona już stała przed ganikiem, trzeba się było pożegnać, i p. Roman sam nie wiedział od czego zacząć i jakiego użyć słowa, któreby odmalowało, co myśli. Gdy się nad tém zastanawiał, gdy stojąc oparty o stół z założonemi rękami grzebał niejako w swém sercu i głowie, gdy rozważał stan swój obecny, powaby i obchodzenie się z nim Krystyny, a kolejną cofając się w tył, przebiegał myślą i swoje przeszłość i jęj przeszłość: tak się splątał, tak się w dumania pogrążył, że Krystyna, ułożywszy się z gracyą na swoim fotelu i patrząc długo na biednego młodzieńca, parsknęła głośnym śmiechem. P. Roman zbudzony tym głosem, którego się wcale nie spodziewał, rzucił się i odskoczył na bok, jak gdyby się sufit na niego walił.

— Przestraszyłam pana—rzekła wówczas z słodkiem wejrzeniem i wyciągając do niego rękę, jakby żałowała tego niewczesnego śmiechu, którym go zraniła.

— O! bynajmniej—odpowiedział po chwili młody człowiek nie przystępując wcale i nie biorąc podawanęj sobie ręki.—Tylko mię pani zadziwiłaś—dodał zaciskając usta.

— Usiądź pan tu—mówiła dalej, kładąc rękę na blizkim taburecie. Głos jęj był tak słodki, wejrzenie tak pociągające, że p. Roman, powolny tęg nitce czarodziejskięj, dał się przyciągnąć, przystąpił i usiadł.

— Prędkoż się obaczymy?

— Teraz nie wiem—odpowiedział, krzepiąc się jak mógł.

— Teraz?—powtórzyła z wyrazem, który pokazywał, że go rozumiała—a przed chwilą wiedziałeś pan?

— Postanowienia nasze zależą od chwili—odpowiedział p. Roman.

— Znudziłam pana przez te kilka dni. Przepraszam cię mój drogi p. Romanie! ale cóżem ja temu winna? robiłam co mogłam.

P. Roman podniósł na nią oczy i kombinując ten głos i to nazywanie siebie po imieniu, które się jęj po raz piérwszy wymknęło, z wyrazem jęj twarzy spokojnym i jakby ironicznym; sam nie wiedział, czyto kobięta zdolna czuć cokolwiek, czyto kokietka zręczna, piękna, ale zimna jak lód, i niebezpieczna jak syrena.

— Czy pan kochałeś kiedy?—zapytała go nagle i patrząc mu bystro w oczy. P. Roman zagadniony tak niespodziewanie, posta-

wiony w konieczności lub powiedzieć prawdę lub się zaprzéć, i czując, że pierwsze byłoby niebezpieczném, a drugie poniżającém; schylił głowę, pocierał ręką czoło i milczał. Krystyna kładąc lekko rękę na jego ramieniu, dodała:—Szacuję pana za to milczenie. Ani fałszu, ani frazesów nie lubię.

Wdzięcznym jój był p. Roman, że go tak sama wyprowadziła z trudnego położenia, wziął więc jój rękę, którój mu nie bronila i do ust przycisnął. Już byłaby rozmowa inay tok wzięła, już p. Roman stawał na téj ślizkiej pochyłości, na którój tak trudno utrzymać się młodemu mężczyźnie, gdy go tyle powabów ciągnie i potrąca: gdy się zdarzył drobny wypadek, który myślom jego zupełnie inny nadał kierunek.

W salonie dało się słyszeć tupanie szybkie, mierzone, i nagle do buduaru wpadł ów chart czarny, z którym się Krystyna piérwszy raz pokazała, i który wybiegłszy wówczas za nią, znikł, i teraz dopiero się zjawił. Wszedł on przez otwarte parapetowe drzwi od ogrodu, obiegł pędem salon i po śladach widać jój nóżki, trafił do buduaru. Radość psa była wielka, ale i na twarz Krystyny wystąpił dziwny jakiś rumieniec. Gdy chart do niój przybiegł i kręcąc jedwabną swą kitą, lśniącą i gładką głowę na jój kolanach położył, karesując go ręką i przychylając twarz swoję do jego czoła, zawołała pieszczotliwym głosem:

— Jak się masz Wichrze! pędziłeś do mnie pewnie lotem strzały; biédny piesku! Patrz pan, coto za piękne stworzenie! nieprawdaz? — dodała gładząc go i pieszcząc.

— Widzę, że piękny — odpowiedział p. Roman, zły, że mu pies przerwał takie chwile, poplątał myśli, które się już może związać nie dadzą. A gdy Krystyna nie przestawała głaskać go i śliczne do niego minki robić, dodał:—Ale widzę także, że nie napróżno tak do pani przywiązany.

— Ale jak przywiązany! — zawołała — tak się do mnie przyzwyczaił, tak mię polubił, że wyobraź pan sobie, po lada dobre słówko, po lada kares cztery mile drogi jednym pędem robi, i co tydzień mnie a czasem i parę razy na tydzień odwiedza.

— Czyżżeto pies? — zapytał p. Roman blednąc i drząc.

— To wierny i nieodstępny towarzysz p. Władysława Iskryckiego — odpowiedziała Krystyna, schylając twarz do głowy psa i klepiąc go rączką po grzbiecie.

P. Roman postrzegł w téj chwili kolumny ganku p. Osinowskiej i pod jedną z nich stojącego mężczyznę w płaszczu i z syga-

rem w ustach, posłyszał hurkot koczka, w który ten mężczyzna wszedł i uczył wyraźnie, jak wartkie jego koła szybkim i łamiącym pędem przez piersi mu przejechały. Sam nie pamiętał, jakim sposobem znalazł się we drzwiach salonu, i ocknął się dopiero, gdy postrzegł przed sobą p. Winicką z listem zapieczętowanym w rękę, która mu rzekła:

— Co cito Romanie? jesteś bardzo blady!

— Nic, droga ciociu! jedziemy.

— Jedziemy—odpowiedziała strwożona. — Ale gdzie Krzysia?

P. Roman nie odpowiedział, tylko wybiegł i kazał zajeżdżać. Gdy w godzinę potem siedząc w kącie karety rwał rękawiczkę, a łza toczyła się po jego twarzy, p. Winicka patrząc na to, kiwała głową i mówiła:

— Dzieci! dzieci! sami nie wiecie, co wam przyszło do głowy. Marnujecie dni najpiękniejsze, których wam nikt nie wróci.

(Dalszy ciąg nastąpi).



BAULUNDUR.

SAGA SKANDYNAWSKA.

(Z dzieł Adama Oehlenschläger'a).

Fionia, jestto niezmiernie zimna w głębokiej północy położona kraina, nad którą tylko wśród lata wznosi się nieco słońce na widnokręgu nieba. Świt i zmierzch następują tutaj wnet po sobie; i kiedy gdzieś indziej purpurową bramą swoją otwierają i zamykają długi, ciepły dzień, tu blade i przyćmione, zaledwie zdołają nieco rozerwać smutną jednostajność. Przeto téż i świat roślinny nie rozwija tu zwykłego bogactwa: nikczemne tylko iglaste drzewa, czepiając się opoki, rosną po stromych górach, przez największą część roku śniegiem i lodem pokrytych. Ludzie są drobni i zsiadli w sobie, a ren jedyném zwierzęciem, żyjącém wśród obumarłej przyrody. Przez pół roku nie widać zgoła słońca, i jeno jasne smugi przeświecają na północy mdłym blaskiem, naksztalt żył kruszcowych, znaczących się na ścianach pieczar podziemnych. Czego jednak téj ziemi na powierzchni pozazdrościła przyroda, wynagrodziła jój hojnie zawartém w głębi gór bogactwem.....

Krajowcy tutejsi, dziwnój i niemiłej z pozoru postaci, są krzepcy i silnie zbudowani, i w ogólności obdarzeni trafnym rozsądkiem i dowcipem, jak, że wewnętrzne ich zalety wynagradzają powierzchowny niedostatek: zupełnie jak ich góry. Jedynym ich przemysłem i zajęciem jest wydobywać na jaw, ku podziwieniu południowszych mieszkańców, skarby w twardej ukryte ziemi: są wybornemi górnikami i kowalami. Sposób ich życia prosty, w zjednoczeniu i zbliżeniu się z głęboką i tajemniczą przyrodą, otwiera ich duchowi osobliwe, cudowne, innym ludziom nieznanne rzeczy; posiadają sztukę znachorską i wieszczbiarską.

Król tego narodu, którego imię przez dawność zaginęło, i nie daje się w starych odszukać sagach, miał trzech synów: Slagfidura, Eigila i Baulundura. Wszyscy trzej byli silni, rozumni i zręczni. Jak to się zazwyczaj dzieje, że ludzie w dostatkach wzrosli, którym na niczym nie zbywa, lepiej od biednych wyglądają; tak też i trzej wymienieni bracia wzrostem i siłą przewyższali innych, i w ogóle z resztą Fiończyków niewiele zdawali się mieć wspólnego, prócz zwykłej temu ludowi przebiegłości i dowcipu, i zwykłego również kunsztu topienia metali, ich wynajdywania, dobywania i czyszczenia.

Jednego razu zdarzyło się, że dobywając w górach żelazo, natrafili na złotą minę; uradowani dołożyli usilnej pracy, ażeby do czystego dobyć się kruszcu. Jakoż udało się im znaleźć wielką bryłę złota najczystsze, odznaczającą się przytém dziwną kształtnością, wśród której tkwiły trzy wielkie kamienie: jeden czerwony, drugi zielony, trzeci niebieski. Wzięli ją z sobą do domu i pokazali matce, biegłej w wieszczbiarskiej nauce. Skoro królowa bryłę obejrzała, poczęła wnet gorzko płakać, a od żalu i smutku długo się ukoić nie mogła. Gdy wreszcie przyszła do siebie, poczęli pytać jój synowie: co by znak ten miał oznajmiać, i czyli jój lub jój rodowi nieszczęściem jakim nie grozi? „Ach! kochane moje dzieci! — odpowiedziała królowa — on wam szczęście wielkie zapowiada”. Gdy więc synowie nalegając badali, dlaczego płakała, jeśli złego nic nie było a dobre do spodziewania, rzekła: „Drodzy synowie! wybaczcie lzy me i smutek! to mnie tak jedynie boli, że pożegnać się będzie z wami trzeba, kiedy ja sobie zawsze myślała, że nas tylko śmierć rozłączy”. I nie czekając odpowiedzi synów, obejrzawszy raz jeszcze złotą bryłę z trójbarwnymi kamieniami, poczęła śpiewać:

„Trawa się zieleni,
Niebo błękitnieje;
Czerwienieją róże,
Złotem są dziewczyny.
Dalej! precz ztąd, precz!
Norna was przyzywa,
Gdzie niebo błękitném

Sklepieniem nakrywa
Zieleniące niwy.
Kwitnące dziewice
Z włosami złotemi,
Do serc was przycisną
Ramiony białemi”.

Skoro to Slagfidur, Eigil i Baulundur usłyszeli, jeszcze żywsza była ich radość: oddawna już bowiem radzili nieraz między sobą, jakby znaleźć sobie stosowne do pragnień żony. Niewiasty krajowe były niskie i niedorodne, im zaś zachciało się tak pięknych, jakie w południowszych mieszkają krajach, o których opowiadała im nieraz matka, córka szwedzkiego króla. To też po wiele kroć chcieli się już byli puścić w tamte strony, ale rodziców wstrzymywały ich prośby.

W sam czas przyszło to losu wezwanie, bo żądza trojga braci wzmożła się niezmiernie, i aż smutno było widzieć ich błakających się wśród bezsennych nocy po zimnych, śnieżnych górach, z obielonemi szronem kędziorami, z obliczem zalaném łzami, w których błada północna zorza się odbijała. Gdy teraz matka głębokim umem przewidywała oczekujące jój synów szczęście, i oboje rodzica uznali w tém wyrok Norn, które pod konarami jesionu Yggdrasil w Asgardzie siedząc, losy ludzkie stanowią (1), poddali mu się cierpliwie, chociaż matka gorzkie łzy wylewała.

Trzej bracia przywdzieli zatém lekkie pancerze, przypasali do bioder ciężkie miecze, a głowy okryli hełmami złotemi, które z owęj znalezionej bryły ukowali, osadziwszy na każdym hełmie po jednym z drogich kamieni, co dziwny sprawiało urok i podnosiło tém więcej jeszcze ich naturalną urodę. Slagfidur dostał zielony, Eigil błękitny, Baulundur zaś czerwony kamień. I tak, zaprzęgliszy do sań lotne reny, odjechali nareszcie. Cudny był widok tych trojga młodzieńców, płonących ogniem młodości i żądzy, w promieniejących pancerzach, z pieśnią na ustach, lecących jak nawałnica przez zimne i ciche śniegi, wskroś tumanów, miotających jakby z zawiści białemi szrony, na pióra ich hełmów.

Pędzili tak długo. Nareszcie przyszła jasna północ i gwiazdy wyiskrzyły się na niebie, jakby ciekawie im się przyjrzyć chciały, kędy się obróca. Kiedy przejeżdżali równinę popod górą, w której pierwój kruszce kopali, ujrzeli przy blasku księżyca gromadę drobnych człowieczych postaci, z góry naprzeciw siebie zgielkliwie biegnących, tak lekko, że żaden ślad po nich nie zostawał na śniegu. Miały one na sobie szare suknie, czerwone czapki, czerwone oczy, i czarne języki, któremi w ustach melody. Były to Alfy (2), które, skoro się do sań zbliżyły, poczęły wkoło nich tańczyć i śpiewać:

(1) *Norny, Yggdrasil, Asgard.* Asgard, Asgardur, gród Assów, gdzie zamieszkują bogowie i ich potomstwo. Jestto niby nasze niebo, a raczej raj, podług wyobrażeń gminnych. W pośrodku tego raju stoi święty jesion Yggdrasil, co znaczy: wilgoć kropląca. Jestto największe w świecie drzewo; jego gałęzie rozchodzą się po świecie całym i sięgają nieba. Pod jednym ze trzech jego korzeni wytryska źródło Urdarbrun (źródło-przeszłości), przy którym zasiadają bogowie na sądy, i mieszkają także Norny, polewające jesion wodą przeszłości. Norny te są trzy panny, nazywające się: Urd (przeszłość), Werande (teraźniejszość) i Skuld (przyszłość), które stanowią o losach ludzi. Prócz tych, jest jednak jeszcze znaczna liczba innych Norn; jedne pochodzą od bogów, inne od karłów; są też dobre Norny i złe Norny, szafujące szczęście i nieszczęście.

(2) *Alfy*, sąto istoty niższego od Assów, czyli bogów rzędu, zbliżające się do Wanów i Dwergów, czyli karłów. Alfy, podobnie jak Wany i Dwergi, są białe lub czarne.

„Slagfidur, Eigil, Baulundur!
 Królewscy synowie!
 Opuścić nas chcecie?
 Fiońscy rodacy,
 Górnicy rodzeni!
 Nie jest-li szmaragd
 Nad trawę zieleńszy?

Nie jest-li rubin
 Czerwieńszy nad różę?
 Nie piękniejszyż szafir
 Nad niebo błękitne?
 Czemuż uciec chcecie
 Od fiońskich gór?”

Na to Eigil uderzył swojego rena, tak, że ten poskoczywszy powalił jednego z czarnych Alfów na ziemię; ale cała gromada karłów wstrzymała go w biegu i śpiewała znów:

„Pod ziemią głęboko
 Jest świat Fiończyka,
 Fiończyka szczęście.
 Nie szukajcie w dali,
 Co tu posiadacie.
 Nie gardźcie małemi
 Czarnemi Alfami.
 My wam wskażem żyły

Żelaza i złota,
 I drogich kamieni.
 Najlepsze jest w głębi,
 Nie na wierzchu ziemi.
 Pod ziemią głęboko,
 Jest świat Fiończyka,
 I szczęście dla niego.”

I znowu teraz Slagfidur popędził swojego rena; ten skoczywszy, obalił znowu jednego czarnego Alfa: lecz znowu go wstrzymała pozostała gromada, i śpiewała:

„Tak więc, kiedy Eigil
 Renem na nas skoczył;
 Kiedy i Slagfidur
 Renem na nas skoczył,
 Nienawiść wam nasza!
 Czarna na was dola,

I boleść i śmierć!
 A gdy i Baulundur
 Zimno nas porzuca,
 Królewscy synowie!
 Synowie Fionii!
 Jedźcież gdzie wam wola!”

Po tym śpiewie, cała ta zgraja rozbiegła się po białej równinie. Głos ich zdaleka miał osobliwe brzmienie: jak szum słabego powiewu nocnego, dmiącego wpośród śniegów w sienie drzew; a taniec był podobny, jak gdyby suche liście w powietrzu unosiły się i gonily z sobą. Trojgu braci dziwnie po tém zjawisku zrobiło się na sercu; ale woleli ufać przecie wieszczbie złotój bryły i wykładowi matki swój, niżli ciemnemu i trudnemu do pojęcia śpiewowi czarnych Alfów. Biegli więc dalej ku Południowi. Matka każdemu dała na drogę własnymi rękoma przyrządzone napoje i jadło, któremi żyli; a skoro się znużyli, spali jadąc w saniach, okryci skórą renów. Takim sposobem przybyli po kilku dniach jazdy do Szwecyi, do miejsca, z powodu mnóstwa gnieździących się w niém wilków, *wilczą doliną* zwanego. Tu zbudowali sobie ponad rybnym jeziorem mieszkanie, i żyli przez zimę całą z rybołówstwa i łowów na wilki i niedźwiedzie, z których skór odzież i pościegi mieli.

Skoro przeszła zima, osłupieli, widząc słońce tak wysoko na niebie, a gdy do tego ujrzeli drobne kwiatki z ziemi wschodzące, zachwyceni pomyśleli sobie, że wróżba ich wnet się spełni; osobliwie, że i niebo nad niemi było tak czyste, i czystsze nawet, niżli szafir. Przywykli od dzieciństwa pracować w górach około kruszców, nie mogąc zapomnieć dawnego nałogu, poszli dnia jednego kopać i szukać wśród skał otaczających *wilczą dolinę*. Niedługo znaleźli pokład kruszcowy i jęli się wesóło do pracy, radując się, że tu nie było tak zimno jak w Fionii, choć za to żyły, zwłaszcza żelaza, nietyle co tam były bogate. Ukończywszy pracę, gdy obciążeni kruszczem wracali do domu, ujrzeli, za przybyciem w dolinę, dziwne i zachwycające zjawisko. Nad jasną jak zwierciadło wodą, siedziały trzy dziewczęta, które len przędły. Płaszcze ich jak śnieg białe, leżały na stronie. Włosy delikatniejsze i jaśniejsze od lnu, który przędły, związane były u góry jedwabnemi wstęgami, i w powiewnych kędziorach sływały na śnieżną szyję i barki. Postać ich była smukła i ulotna. Wielkie błękitne ich oczy mile zwracały się na nadchodzących braci, których widok ten przejął niewypowiedzianą lubością, a zarazem podziwieniem. Te bowiem trzy dziewczęta, odziane jedna w zieloną, druga w błękitną, trzecia w czerwoną szatę, siedzące na łące, całkiem pokrytej żółtymi kwiatkami, przypomniały im owę znaną bryłę złota, tylko że w tém teraz zjawieniu wszystko o wiele było wspanialsze i piękniejsze. Nie wątpiąc, że teraz spełni się wróżba matki, szli ku dziewczętom, badać je i poznać się z niemi; lecz gdy zbliżywszy się stanęli przed niemi, olśnieni niewypowiedzianą ich urodą, słowa przemówić nie mogli. Dziewczęta zaś nucić poczęły:

„Szlachetni królewiczowie!
Słagfidur, Eigil, Baulundur!
Witajcie, bohaterowie!—
Svanhrydę, Alrunę, Alwilde,

Norny nas tutaj posłały,
Nieś wam miłości rozkosze
Fiońscy królewiczowie!”—

Gdy to bracia posłyszeli, uścisnęli owe dziewczęta, wiedli je do domu swego, gdzie wnet sprawiwszy wesele, żyli razem długo w zadowoleniu i szczęściu. Słagfidur miał za żonę Svanhrydę, Eigil Alrunę, Baulundur Alwilde.

Lecz kiedy już tak ze sobą szczęśliwie blisko dziewięć lat żyli, jednego dnia żony blade i z wyrazem rozpaczki na twarzach, przyszedłszy do mężów, rzekły:

— Jakkolwiekbyśmy pragnęły, nie możemy dłużej pozostać z wami. Jesteśmy Walkyrye (1). Przeznaczenie pozwala nam dzie-

(1) *Walkyrye*, dziewczęta nieśmiertelne, przywołujące w bojach. Oneto w Walhalli są towarzyszkami bohaterów, nalewają im piwo i podają jadło. *Wal-*

więć lat tylko używać szczęścia z mężami naszymi; przez drugie zaś lat dziewięć, musimy iść walczyć w bitwach. Losu naszego, którym rządzą wyższe mocy, odmienić nie możemy: poddajemy mu się więc cierpliwie. I wy dla waszego dobra, uczynicie toż samo. Po dziewięciu leciech wrócim znowu do was, i znów we wszystkiem ulegać wam będziemy, jak dobrym żonom przystało.

Trzej bracia bardzo przerażeni i zasmuceni tą mową, odpowiedzieli: „Za dziewięć lat najlepsza młodość przeminie, i ani wy za naszymi, ani my za waszemi tęsknić nie będziemy już uściskami.”

—„My się nie starzejemy—odrzekły Walkyrye— a i ludzie téż tak silni jako wy, nie starzeją się tak rychło. Żeby się zaś wam nie nudziło w nieobecności naszej, macie oto te trzy klucze, któremi otwierać możecie wnętrza gór wszystkich i kruszce dobywać. Nie zabraknie wam kruszców do kucia, i tak możecie przez czas ten stać się możnemi, czczonemi i słynnemi.” To rzekłszy, położyły na stole trzy klucze, i pocałowawszy mężów, znikły.

Trzej bracia od téj chwili pozostali w zasmuceniu; ciemno i głucho było tu teraz we *wilczej dolinie*. Wychodzili tylko, żeby znaleźć sobie pokarm, a o mroku wieczornym siadali milcząc każdy w swoim kącie, i nawzajem milcząc patrzeli na siebie, aż dopóki nie nadeszła północ; wtedy, kładąc się w zimne łoża swoje, westchnął każdy za lubą żoną. Nareszcie Slagfidur i Eigil umyślili iść w świat, odzyskać swe żony.

Najmłodszy, Baulundur, odezwał się do nich z rozumną radą, mówiąc: „Cóż wam szukanie pomoże? Na któryż kraniec świata pójdziecie je szukać, kiedy one niewidzialne na powietrzu ulatują. Napróżno będą wasze tułania i trudy, a może przez nie straciecie na zawsze szczęście odzyskania żon waszych, które pragnęły, abyście cierpliwie dziewięcioletnią nieobecność ich znosili.”

Ale bracia jego nie uważali na te rady, trawieni miłością i tęsknotą. Napełniwszy żywnością sakwy, i nalawszy dwa złote rogi miodem starym, opuścili mieszkanie swoje. Baulundur w żalu za niemi przelewał łzy rzewne, jak gdyby przewidując, że nigdy już ich nie ujrzy; raz jeszcze prosił, ażeby zostali, lecz oni odrzekli mu: „Nie

halla, jestto przybytek poległych w boju rycerzy. Stara Edda (księga Grimmsmal) tak opisuje jego powierzchowność:

„Idący mieszkać pomiędzy Bogi
 Snadno rozezna przybytku progi:
 Od tarcz a grotów ściany się jeżą,
 Po długich ławach pancerze leżą.

Idący mieszkać pomiędzy Bogi
 Snadno rozezna przybytku progi:
 Przed zachodniemi skowany drzwiami
 Wilk, grozi orlu ostremi kłami.”

możemy dłużej znosić ucisku, który nam w dzień i w nocy spokoju nie daje”. Prosil go więc, żeby miał o domu i o własności ich staranie. Baulundur widząc, że ich żadną nie zatrzyma prośbą, życzył im szczęścia w podróży, i ażeby w razie spotkania gdzieś jego Alvildy, do domu ją z sobą przywiedli, gdyż sercem całym tęskni za nią, jakkolwiek nie tak nieroztropnie, aby przeto miał zapominać na ostatnie jej życzenie. Potém odprowadził ich jeszcze aż za las, gdzie raz jeszcze się żegnali. Wtedy najstarszy, Slagfidur, rzekł: „Jakkolwiek pełen jestem dobrej otuchy i wiary, że cię znowu zobaczę, bracie kochany! zostawię ci tu jednak znak, któremu proszę niech bogi dadzą własność, żeby ci o życiu mém albo śmierci świadczył.” I wycisnąwszy w ziemi głęboki ślad swój stopy, dodał: „Dopóki znak ten niezatarty i wyraźny trwać będzie, póty ja będę bezpieczny; jeżeli ujrzysz go zalany w wodą, znak to będzie zem utonął; zobaczysz krew, że poległem w boju; jeżeli zaś zajdzie mulem, wtedy umarłem z choroby”. Eigil, naśladując brata, pozostawił o kilka kroków dalej podobnyż znak po sobie. I wyrznąwszy w lesie kije podróżne, odeszli... Baulundur spoglądał za nimi, póki ich mógł dojrzyć; a gdy zniknęli za wzgórkim, odwróciwszy się, odszedł wolnym krokiem do domu.

Dwaj podróżni bracia przybyli nad wieczorem pod gaj zielony, obok którego strumień wił się pomiędzy skałami; tutaj posilili się i przepili do siebie z ogromnych złotych rogów. Był to wpośród lata: wieczór był ciepły i jasny, liście lasu, poruszając się ponad ich głowami, wydawały szmer miły i upajający; ptaki skacząc po gałązkach, szczebiotały z radości serca. Bracia zdjęli dla ochłody z głowy złote swe hełmy, kosztownymi ozdobione kamieniami, i położyli je na stronie. Slagfidur, skoro na swój hełm spojrział, zdało mu się, że jego szmaragd nigdy jeszcze tak cudnie nie wyglądał, jak w tej chwili; promienie klejnotu mieszały się tak dziwnie z zielonością świeżej trawy i młodego liścia, że trudno było powiedzieć, czy kamień im, lub one jemu świetności dodają. Eigila hełm leżał zaś nad brzegiem strumienia, a szafir w nim oprawiony cudnie zléwał swój blask z jasnością błękitnej wody, i odbitego w niej czystego nieba. Posiliwszy się, utkwili rogi we dwie kretowiny, i jęli z sobą gwarzyć a żartować, rozweseleni miodem i pięknnością wieczora. Pomału stało się ciemno, i księżyc pełny zajaśniał wprost przed nimi, odbijając się w złocie dwóch rogów. Wtém Eigil nagle spowaźniał, i przerażony rzekł: „To dziwna, że ten księżyc patrzy mi w oczy, niby krwawy

oprawca". Slagfidur prosił, by zostawił na stronie podobne myśli, lecz Eigil odezwał się znowu: „Nie widzę szafiru na moim hełmie.”.

—Jest on tam —odpowiedział Slagfidur—lecz go mrok nocy i cień gałęzi zakryły.

—Tak więc, nie jestem samym sobą, ale zależę od księżyca i nieba!—rzekł, zamyśliwszy się Eigil. —Toż samo stało się oto z kamieniem na twoim hełmie: zielony blask jego zniknął w barwie trawy i drzew. Lecz księżyc, to czerwony rubin Baulundura; ten nas obu przejdzie i przetrwa!

Slagfidur nie wiedząc co na to odpowiedzieć, odrzekł jeno, że ma w sercu tak zieleniącą nadzieję, jak szmaragd na jego hełmie.

—Ja nie mam żadnej nadziei—mówił Eigil—tylko dręcząca żądza za czémś lepszym, goni mnie gdzieś w świat daleki. Dlatego puściłem się w drogę, dlatego oko moje przez całe godziny tonie w czczości błękitnej powietrza, dlatego téż i kamień błękitny tkwi w moim hełmie, i szata mojej Alruny błękitna była. Niepewna, mglista, pożerająca żądza jest Walkyryą moją.

Slagfidur wstrząsnawszy głową, podał mu róg miodu pełen, który wychyliwszy Eigil, do lepszej powrócił znów myśli. Z kolei napił się Slagfidur. I tak pili obadwa naprzemian, aż zapomnieli zgoła o wszystkich przeciwnościach, i ślubowali nie piérwój spocząć, aż póki nie odzyskają żon swoich. I mówił Slagfidur:—Nieszczęsnym na zawsze, jeżeli mojej nie znajdę Svanhrydy; najpiękniejszy to łabędź, jaki kiedy w powietrzu się unosił. Żadnego łabędzia pierś nie wznosi się tak lubo i młodzieńczo. Ona jest najpiękniejszą kobietą, jaką słońce widziało i człowiek kiedykolwiek uściskał.

—Łiesz—odmówił mu Eigil—znam ja piękniejszą: Alruna jój imię. Odyn w uściśnieniu Fryggi (1) nigdy tyle nie dozna rozkoszy, ile w jój uścisku Eigil doznawał.

—Nigdy jeszcze nie zelgałem, i nieszczęście tego spotkać może, kto mi to raz jeszcze powie—przymówił Slagfidur.

—Eigil, jak drzewce tego w ziemi utkwione, nie drży przecież, choć ci raz jeszcze, żeś zelgał, powtórz.

Tak swarząc się bracia, dobyli nareszcie ogromnych swych mieczów i bić się oburącz poczęli. Niezadługo Slagfidur roztrzaskał hełm Eigila, tak, że szafir z niego wypadł, a sam Eigil ogłuszony, potoczywszy się, wpadł w potok. Widząc to zmieszal się księżyc, i stał się z czerwonego bladym jako trup.... Slagfidur długo

(1) *Oddyn, Fryga*. Oddyn, Bóg najwyższy; Frygga, jego żona.

prerażony, na mieczu wsparty, stał wpafrując się w wodę, w której brat utonął; aż naraz w lesie zaszumiało, i zdało mu się, że słyszy cichym i chrapliwym głosem nucone słowa:

„Czarna na was dola!
I boleść i śmierć!”

Slagfidur wspomniał sobie na czarnych Allów i obejrzał się gniewny za siebie; lecz już wszystko przeminęło. Teraz, wróciwszy znów do rozwagi, rozmyślał, jako jeszcze przed chwilą brat, zdrów i rzeźwy całe, siedział mu przy boku, i przypominał sobie jego słowa. „Niezawodnie—mówił zcicha do siebie—w całej mowie Eigila wiadać było jakąś ciemną, niepewną, niezgruntowaną żądzę, niewiedzącą czego chce, niedającą pokoju we dnie ani w nocy; wiecznie ruchomą i niespokojną jak błękitna fala, bez końca i kresu jak przestrzeń błękitna. Błękitny też był kamień w jego hełmie!.. I oto teraz leży on w głębinie wód! Zaiste, jest cudowne powinowactwo we wszystkiem w naturze:—i czemużby tylko ludzkie myśli, duch i losy wchodzić w nie nie miały? Tento sam umysł niepohamowany popchnął go i obalił renem swym czarnego Alfa;—i mnie uwiódł przykład jego, a to niedobrze z tych istot nieprzyjaciół zjednać sobie!”—I znów, po małej chwili, myślał dalej: „Otóż zabiłem własną ręką brata; żona odbiegła odemnie, i teraz zupełnie samotny ciągnę między obcych, w nieznajome kraje.... Mamże powrócić do Baulundura? lub raczej, raz czyniąc koniec troskom i smutkowi, w ten oto potok się rzucić?.. Nie! Norny nie wskazały mnie na nieszczęście!.. Zieleniejaczej ziemi bezpieczniej zawierzać, niżli powietrzu, niż wodzie.... Silnie ufam, że znajdę mą żonę i nie dam się niczém odwieść od zamiaru”.

Tak rozmyślając wzniosł oczy ku niebu. Noc była jak węgiel czarna i tylko jedyna gwiazda błyszczała niezwykłym światłem, i zdawała się zbliżać coraz bardziej. Oparty na mieczu oczekiwał końca zjawiska. Gwiazda zbliżała się w istocie, a gdy już nieopodal była, poczęła tracić kształt swój gwiazdzisty: zarysy jej rozciągały się i zmieniały, aż nareszcie wysunęła się z nich ludzka postać—i Slagfidur ujrzał swą szukaną żonę Svanhrydę, błyszczącą zielonym blaskiem, krążącą nad swoją głową. Niezdolny słowa z radości przemówić, wyciągnął ku niej ramiona; zjawisko zaś dzikiemi tony, tak śpiewać poczęło:

„Zdradne są wody!
Bezpieczen szkody
Ziemi raczej się zwierz!
Po drodze śmiało,

Którą wybrało
Własne twe serce, bież!
Ze ślepym losem
Jednać się chroń!

Za moim głosem
 Odważny goń!
 Skarb gór posiadać,
 Nad karły władać
 Wyrok ci losów dał;
 Ty nim wzgardziłeś,

W świat się rzucicieś,
 Boś lepsze posiąść chciał.
 Trudu się chronić,
 Za lepszym gonić,
 Dla ziemi syna
 Mądrość jedyna!.....

Slagfidur uczuł się opanowanym niezwykłą odwagą i nadzieją zuchwałą, które wraz z tonami śpiewu w serce jego wstąpiły. Jasna, przezroczysta postać wzywała go z sobą: odrzuciwszy więc pancerz z piersi i miecz od boku, pewny że jęj dosięgnie, z całym natężeniem sił dążył za ukochaną na oślep do góry. Kilkakroć jednak koczyło go w myśli i coś jakby ciągnęło nazad w dolinę; a gdy się raz odwróciwszy spojrzął za siebie, zdawało mu się, że cień matki jego stał w bieli i śpiewał:

„Synu! miej zadość
 Szcześnie i radość,
 Jakich ci nieba dozwolą;
 Nie walcz z Nornami,
 Nie walcz z losami,

Z mądrego Odyna wołaj!
 Wróć! zdradne nim tony,
 W sen ujmą-ć szalony;
 Ścigając cień marny
 Nim padniesz w grób czarny”.

Slagfidur na to, przystanąwszy zamyslił się; ale widziadło Svanhrydy, bujając wśród powiewnych ruchów, zanuciło ujmującym głosem:

„Słaby! ty stajesz?
 Ty się poddajesz
 Pod zwodną rozumu władzę?
 Gdy tęczy wroty
 W kraj szczęścia złoty

Ja cię prowadzę?
 I ty-ż się boisz
 Iść, gdy masz wołaj?
 Kędy ukoisz
 Tęsknoty, bóle!....

I tak nucąc, zjawisko ulatywało dalej, i Slagfidur znów, z iskrzącym wejrzeniem, postępował za niem dalej, przepływając huczące z gór potoki, pnąc się po stromych urwiskach, przeskakując przepaści szerokie, które jak smoki porwać go łakome, rozwierały paszcze swe czarne. Im wyżej byli, uważał Slagfidur, tém bardziej postać blask traciła świetny, i jęj oblicze mienić się zaczęło; ogarniony dziwnym smutkiem chciał się wrócić—ale już było zapóźno!... Nieprzeparta jakaś władza ciągnęła go mimo woli coraz wyżej... Nakoniec dosięgnął najwyższego szczytu góry; a wtedy, przy szarym świetle, ujrzał obok siebie czarnego Alfa. Na tej niewypowiedzianej wysokości opanował go zawrót... Pod nim w dole rozciągała się nieogarniona zielona równina, okryta błękitniejącą mgłą rannęj rosy: niepoohamowana ogarnęła go żądza rzucić się na to miękkie łoże. Alf czarny nagle zwrócił się ku niemu i rzekł: „Czas umierać!”... W tej-

że chwili Slagfidur runął z wierzchołka skały w przepaść, gdzie jego ciało w sztuki się rozbryzgnęło.

Baulundur wstawszy nazajutrz rano, oglądał klucze, które im Walkyrye zostawiły: jeden z nich był miedziany, żelazny drugi, a złoty trzeci. Wziąwszy pierwszy lepszy który mu wpadł w rękę, a było właśnie miedziany, poszedł z nim w góry. Długo błądząc między skalami, natrafił nakoniec na miejsce, gdzie góra prostopadłą tworzyła ścianę; wtedy dobywszy klucza, dotknął nim opoki. Natychmiast rozskoczyła się skalista ściana, i w głębi jej zielona otwarła się grotą. Czysta miedź, ściany jej pokrywająca, wydawała prześliczny zielony blask; naokoło tkwiły w niej drogie kamienie różnej wielkości, ale wszystkie byłyto zielone szmaragdy, podobne temu, jaki tkwił w helmie Slagfidura. U sklepienia wisiały téjże saméj barwy, lecz w tysiącznych rozlicznych kształtach, kryształy: tu sopłom długim lodu podobne, owdzie tworząc zupełne do ziemi słupy, a w samym środku w gwiazdziste schodzące się łuki. Baulundur odrąbawszy kawał miedzi jaki unieść zdołał, odszedł z pieczary; a ledwie wyszedł, góra zawarła się za nim tak szybko i cicho, że z zadziwienia nie nie mogąc pojąć, byłby wszystko za sen uważał, gdyby nie bryła kruszcu, którą w ręku trzymał. Przyszedłszy do domu, oczyścił kruszec z niepotrzebnej ziemi i rudy, i wyrobił z niego wielki helm miedziany, w którym osadził trzy najpiękniejsze szmaragdy.

Dzielo to niemalo zabralo mu czasu; kiedy je skonczył, wzial znowu klucz zelazny, poszedl w gory, dotknal nim skały, i ta, jak przedtem, otwarla się znowu. Widok przecie, jaki tu oczy jego zachwycil, byl zupełnie odmienny. Ściany z samego zelaza, wydawaly błękitny stalowy połysk, jak płomień migocący. Wpóśród nich tkwily mnogie błękitne szafiry, osadzonemu w Eigila helmie podobne; w głębi spadał szumiący potok, odbijający jasną barwę nieba, które jak namiot rozpięty wisiało nad rozwartą u góry jaskinią; brzegi potoku pokryte były niezapominajkami i niebieskimi fijołkami. Długo Baulundur przyglądał się cudownemu temu widokowi, nim wreszcie nasyciwszy wzrok, odrąbał bryłę wielką kruszcu, w której najpiękniejsze były kamienie. Wziąwszy ją na barki, wyszedł; i znów się skała za nim, jak przedtem, zawarła. Z przyniesionego zelaza ukował Baulundur miecz, którego rękojeść błękitnymi szafirami przepysznie osadził; był zaś miecz ten tak wybornie kuty, że nim dokoła ciała opasać się było można, a tak ostry, że kamień krajał jako glinę.

Skoro tę pracę ukończył, wziął znów Baulundur klucz złoty, i poszedłszy w góry, uczynił jako poprzednio; lecz co poprzednio oglądał, niczem było w porównaniu z tém, co mu w tej chwili się ukazało. Skala tą razą nie rozwarła się, jak wtedy, rozpadliną od góry do dołu, ale szerokim łukiem, przez który widać było dalekie morze i niebo. Wnijście do groty oplatały młodocianne róże, w ścianach jęj błyszczało najczystsze złoto, poprzerywane żyłami rozlicznych innych kruszców; mnóstwo czerwonych rubinów tkwiło naokoło, obok koralu i kryształów wszelkiej barwy. Pomiedzy rozpadlinami opoki pięła się w górę przepyszna latorośl winna, okryta dojrzałemi gronami, czerwonych jak rubin najczystszy jagód. Słońce, właśnie w głębi z łona morza się wznosząc, oświecając wszystko purpurową jasnością, dopełniało uroku całego obrazu... Baulundur odrąbał sobie wielką bryłę złota; długo jednak jeszcze trwało, nim nasyciwszy się słodkimi winogronami i widokiem cudnym, opuścił wreszcie jaskinię, która się za nim zawarła. Ze złota wydobytego ukuł pancierz wspaniały, który jak najbogaciej rubinami przyozdobił, co mu niemało zabrało czasu.

Ukończywszy to nowe dzieło, pomyślał sobie dnia jednego, jak się téż braciom powodzi? a wspomniawszy na znaki, które po sobie na kraju lasu zostawili, szedł je zobaczyć. Przyszedłszy do miejsca, gdzie Eigil wycisnął swą stopę, znalazł ślad cały zalany wodą, w której błękitne przeglądało się niebo; nieco dalej, znak Slagfidura cały był mułem zabiegły, z którego młoda, bujna, rosła trawa. Na pobliskiej białej brzozie siedział drózd, który, ilekroć wiatr powiał wodą i trawą, odzywał się czule i smutnie..... Baulundur widząc, że bracia już nie żyją, z ściśnioném sercem odszedł do domu, myśląc po drodze: „Ach! wszak im mówiłem”!..... Łzy bez przestanku biegły mu po twarzy, a od smutku i zgryzoty nie mógł jeść ni pić przez dzień cały.

Nazajutrz szedł znowu w góry, a przyniósłszy więcej złota, pracował dalej. Kuł najpiękniejsze klejnoty, zbroje, tak, że wkrótce sławnym stał się na kraj cały przez swą umiejętność i bogactwo. W chwilach wypoczynku od trudniejszej pracy, sporządzał złote pierścienie, które potem na długi sznur nawlekał i na podłodze składał. Ilekroć nowy zgotowawszy pierścień do drugich wiązał, wspominał żonę swą Alvildę, myśląc, jakby on się pięknie wydawał na białych i krągłych jęj palcach! Pierścieni takich miał wkrótce gotowych pełna siedmset.

Pod owe czasy panował był w Szwecyi Nidudr. Byłto mały, szczupły, z bladą twarzą i głęboko wklęsłemi oczyma, człowiek, znany w całym kraju z nikczemności i złościwości. Nie mógł on przemieść, gdy kto z sąsiadów jego wsławił się przez czyn niezwykły. Trzech czcigodnych Skaldów (1) zabił ręką własną, za to, że mu otwarcie liche pieśni jego ganili; o ile bowiem Nidudr pozbawionym był dzielności i siły, i wszelkich innych szacownych darów, o tyle pełen był niewieściej próżności: tak, że jakkolwiek ni ciałem ni duszą nic nieznaczący, pragnął przecież uchodzić za potężnego i mądrego mocarza. Skoro doń dosięgła sława skarbów Baulundura, poczerwieniał zrazu i pobladł, wszystkie członki drżały w nim z zazdrości, i szybko umyślił sobie pozbawić go wszystkiego mienia. Lecz że był tchórzem, nie mógł ważyć się na to przedsięwzięcie ukoić swęj trwogi; dopiero po pewnym czasie, nieco ochłonawszy, wezwał k'sobie jednego z pomiędzy pierwszych dworzan i rzekł: „Dowiaduję się, że w państwie mojem mieszka niejaki Baulundur, sławny skarbami srebra i złota, z których zbroje i inne klejnoty wyrabia. Wiem, że do kraju mojego przyszedł ubogim górnikiem: więc tylko przez rabunek lub fińskie czary (2) mógł bogactwa te zgromadzić. Dlatego masz, zabrawszy z sobą najdzielniejszych, w żelazne pancerze okrytych żołnierzy moich, iść w nocy skrycie do domu jego, i pojmannwszy przywieść mi go, wraz ze wszystkiem, co posiada”.

— Że ty, panie! — odpowiedział dworzan — chcesz czarodzieja albo zbójcę pochwycić, nie przeciwko temu rzecz nie można; to tylko dziwna, że przeciw jednemu człowiekowi hufiec cały wysyłasz. Jeśli on przyrodzoną moc tylko posiada, dość na niego kilku twych ludzi; jeśli zaś jest czarownikiem i nieczłowiecze ma po sobie siły, to choćby nas Bóg wie ilu było, rady mu nie damy.

Nidudr nic na to nie odpowiedział, jeno pochwyciwszy oburącz za miecz, ciął nim w czoło dworzanina; lecz że ramię króla słabe, a dworzanina czoło twarde było, miecz więc ugodził bez wielkiej szkody. Widząc to, porwał rozjątrzony za włócznię i przeszył nią piersi sługi, tak, że ten martwy padł na ziemię. To spełniwszy Nidudr, zawołał swych dworzan, opowiedział im swój zamiar, a wskazując na zabitego zwłoki, groził równymże losem każdemu, kto by się przeciw jego śmiało odezwać woli. Słudzy, po największej części na podobieństwo

(1) *Skaldy*: wieszczowie skandynawscy, w powszechniej czci u narodu będący.

(2) Kraje północne słynęły z czarodziejstwa: najgłośniejszą była z tego względu Fionia.

pana swego, trwoźni i nikczemni, ułękli się srodze i do ostatniej krwi kropli posłuszeństwo mu przysięgli.

Jak tylko słońce zaszło, osiodławszy swe konie, ruszyli odziani w żelazo, ogromne dźwigając w rękę spisy, ku domowi Baulundura w *wilczej dolinie*; Nidudr, ilekroć księżycą odbłaskiem zamigotały ostrza drzewców, drżał po drodze z obawy zdrady. Tak nareszcie przybyli przed dwór Baulundura, i pokryjomu weszli do pustego domu. Król, olśniony mnóstwem nagromadzonego kruszcu, kazał sobie ze ziemi podać owe siedmset pierścieni, i przyjrząwszy się im, najpiękniejszy na palec wdział sobie, a resztę na dawne kazał złożyć miejsce; a potem ukryli się wszyscy, oczekując przybycia Baulundura.

Niezdługo na podwórzu dał się słyszeć tętent silnych stąpań ludzkich, i król Nidudr odezwał się:—, „Oto nadchodzi Baulundur. Kroki te zwiastują ogromnego i silnego męża, strzeżcież się, żeby was nie odkrył, i niech mi się żaden, komu życie miłe, nie śmie pierwej ruszyć aż ja dam znak”.

Po chwili we drzwiach ukazał się Baulundur, ze zbroszoną we krwi spisą w rękę, niosąc na barkach niedźwiedzia. Po całodziennych łowach, o północy dopiero wracał dziś zgłodniały i strudzony wieczerzać. Zaszedłszy bowiem do lasu, wspomniał był sobie żonę swą Alwidę i utraconych braci, i usiadłszy na skale, z opartą na rękę głową, tak długo w tęsknym tonął dumaniu, aż go zbudził niedźwiedź, z zarośli nagle wyskakujący. Zabił go zatem, i obciążony łupem wracał do domu. Obciągnąwszy z niego skórę, nałożył na ognisko gałęzi i drzewa, rozniecił węgle, aż buchnął płomień ogromny; potem nalawszy krwią złoty róg, wylał ją w ogień na cześć Odynowi i Thorowi (1). Zdjąwszy następnie z hełmu wieniec z brzozowych gałęzi, czerwonymi szyszkami świerku przepleciony, ofiarował go Frei (2). Nareszcie odciąwszy szynkę niedźwiedzią, zatknął na włócznię i piekł aż póki nie była gotowa. Nim się jednakże zabrał do jadła, wypił jeszcze, jakto zawsze zwykł był, czarę miodu ku wspomnieniu braci swych Slagfidura i Eigila. Po wieczerzy rozpiąwszy na wietrze skórę niedźwiedzią hy wyschła, począł liczyć pierścienie na sznurze nawiązane. Zdziwił się bardzo, że najpiękniejszego brakło; mieszkał bowiem wśród gór odludnie, a myślał sobie, gdyby łupieżcy naszli, byłiby wszystkie zabrali.

— Miałaby tu być Alvilda?—myślał— i znak mi ten o sobie daje, żebym ujrząwszy ją nagle nie skonał z radości? — W tych

(1) *Thor* (znaczy piorun) bóg sity, syn Odyna.

(2) *Freja*. Najmilsza z bogiń—bogini miłości; miesza się też do wojny i poległemi z Odynem się dzieli.

lubych myślach legł na łożu, oczekując; lecz gdy nic nie było widać, rzekł: „Więc dopóki mi Freja nie powróci na pociechę swój rajskiej dziewicy, ty mnie miej w swój opiece, o miękkołonna Siofu” (1). To rzekłszy, usnął.

Skoro Nidudr spostrzegł, że Baulundur twarzo zasnął, zbliżywszy się z ludźmi swojemi kazał go spętać w ciężkie żelaza, tak, że gdy śpiący się zbudził, zgoła poruszać się nie mógł. Zdziwiony, widząc co się z nim działo, i tłum zbrojnych którzy go otaczali mając za zbójców, zawołał: „Jeśliście przyszli po moje złoto i mienie, bierzcie je sobie, lecz mnie puście wolno; nie myślę ich wam bronić, i sami widzicie, że choćbym chciał nie mogę, gdy was tylu a ja sam jeden.” Na to odezwał się Nidudr: „Nie jestem ja żaden rabuś ani zbójca, za jakiego błędnie mnie bierzesz, ale jestem Nidudr twój król i pan!”

— Wielką to mićszć i zaszczyt przynosi, że tak wysoki gość nawiedził chatę mą, o panie! ale dlaczegoż zamykasz mnie w pęta i żelaza, jak jakiego złoczyńcę?—odparł Baulundur. Na to mu Nidudr: „O! znam ja cię dobrze, Baulundurze! Ubogi przyszedłeś tu z Fionii, a dziś masz czary i klejnoty, jakich sam Nidudr nie ma w swoim zamku. Zkąd ich dostałeś?”

— Jeśli przekonany jestem o łupieztwo i rozbój—rzekł Baulundur— słusznie czynisz, że mnie do więzienia skowanego wieść chcesz; ale gdy tak nie jest, dlaczegoż mnie krzywdzisz?

— Bogactwa same nie przychodzą — odpowie król — i jeśli ich nie nabyłeś rozbojem, musisz być czarownikiem, w którego sprawy baczenie wdać się muszę.

— Jeslibym był czarownikiem, snadno by mi było porwać kajdańy te — mówił Baulundur — Nie wiem, abym kiedy co komu miał wydrzeć; ale jeśli tak mniemasz, chcę ci za to stokrotnie nagrodzić. Co zaś do łaski osobliwej bogów i ich darów, nie godzi się nikomu mnie za nie potępić, gdyż one ani nabyć same przez się, ani wydrzeć się nie dadzą. Mniemam więc o królu! żebyś mnie wolno puścił, a ja mą wolność okupię drogo jak sam chcesz.

Lecz Nidudr odwróciwszy się do swych ludzi, zawołał: „Nie chcę dłużej słuchać mów jego podstępnych. Precz z nim!” Na ten rozkaz żołnierze wywiedli Baulundura, który widząc, że się oprzeć nie może, milcząc poddał się losowi. Zabrano także ze sobą złoto i drogie kamienie, które król do królowej zanieść rozkazał. Baulundura zaś wrzucono na dno wieży, piętnaście sążni pod ziemią.

(1) *Siofu*, *Siöfna*, *Siöna* bogini opiekuńcza małżeństw.

Na widok tylu bogactw i blasku rozlicznych kamieni, osłupiała królowa; król dał jej niektóre z kosztowności w darze, córce zaś swojej, Bauwildzie, darował pierścień na palec wzięty. Sam radował się najbardziej z miecza Baulundura, którego rękojeść, wyrobiona w kształcie młota bojowego boga Thóra, najdroższymi błękitnymi kamieniami nasadzana była. Jednego dnia wieczorem, gdy królowa w komnacie swój na harfie grała, przyszedł do niej król z pytaniem, eoby z więźniem uczynić radziła? Sam był tego zdania, że zamiast zabić, lepiejby go było użyć do wyrabiania kosztownych sprzętów. Królowa odpowiedziała śpiwając przy harfie:

— „Serce będzie mu się rwało z bólu,	Niech mu podetną
Gdy przy twym boku zobaczy swój miecz;	W kolanach żyły:
Kiedy na palcach Bauwildy	Potém go zamkną
Ujrzy złoty pierścień swój!	We Sävarsted.”

Ta rada dobrą się królowi zdała. Sävarsted było na niedalekiej wyspie, stara od niepamiętnych czasów warowna, czerwona, mchem i zielskiem porośla wieża. Do niej, pierwój mu podług woli królowej przeciąwszy żyły u nóg, wtrącili słudzy królewscy Baulundura. Tu dano mu jego kowalski warsztat i skrzynię zrabowanego złota, z którego musiał od rana do wieczora kuć dla króla drogie czary, helmy i tym podobne rzeczy. Prócz króla nikomu niewolno było na wyspę płynąć, gdyż ten się obawiał coś z skarbów utracić.

Rok tak już cały siedział Baulundur w więzieniu, pracując bezustannie, gdyż przy pracy tylko zapominał o pożerającej boleści i troskach. Król Nidudr polecił mu być teraz wygotować zupełny z czystego złota rynsztunek. Jednego dnia Baulundur pracował właśnie nad tarczą, na której wyobraził różne dawne dzieje. Tu widać było Odyna z stolicy swój Hlidskialf (1) na świat patrzącego; owdzie znów Fryggę, wstępującą do Walhalli między bohaterów, którzy siedząc wokół na ławach dębowych, piją z ogromnych złotych rogów; indziej kunsztownie było wyryte rybołówstwo Thora, gdy wyciągając z morza potworę Jormungarder swą wędą, przestrasza olbrzyma Ymera (2).

(1) *Hlidskialf*—wysoka stolica w państwie Odyna, na której siadłszy, widać wszystko co się dzieje w świecie.

(2) *Rybołówstwo Thora. Ymer-olbrzym. Jormungarder-wąż.*—Oto jest saga opowiadająca wzmiankowane rybołówstwo: „Thor ruszył pod postacią młodzieńca, odwiedzić olbrzyma Ymera. Z rana, gdy się ubrali, Ymer wybierał się na połów ryb i wzbraniał się młodzika, jako nieużytecznego, do zimna nieprzywykłego, do spółki przypuścić: ale Thor upewniając, że się zna na rybołówstwie, pobiegł i jedném cięciem odciąwszy największemu w trzodzie olbrzyma bykowi Himeubriotur zwanemu, głowę, użył ją na wędę, i siadłszy z Ymerem do łodzi,

Lecz gdy dalej wyobrażając Freję, w Folkvangur (1) między kochankami siedzącą, w obliczu jej rysy swej drogiej żony Alviðy wyraził, iż nagie puściły mu się z oczu, tak, że nie mogąc widzieć, rylec musiał odłożyć. Skoro nieco przyszedł do siebie i łkanie mu już nie tłumilo głosu, zawołał: „O piękna moja! droga nadewszystko żono! bądźże mi dane, jeżeli nie pierwój, przynajmniej po śmierci uściśnić cię u Frei w Folkvangurze? Gdzież jesteś, o Walkyryo moja? Mogłażbyś mnie kochać jeszcze w moim nędznym stanie? O nie, pewno! bo z silnego i dorodnego wojownika stałem się lichym i skaleczonym niewolnikiem!... Siedzę tu oto, czarny od węgla i dymu, z czerwonymi od ognia oczyma, z rękoma od pracy obwisłymi, z przeciętymi żyłami, przykuty do kamienia!.. i z boleścią patrzeć muszę, jak nikczemny Nidudr zabiera owoc krwawej pracy i pyszni się skarbami memi... Jedną nadzieję zemsty krzepiła dotąd siły moje, lecz i ta znikła mi coraz bardziej. Niechże raz się wszystko skończy!... I porwawszy świeżo ukuty miecz, zwrócił ostrze ku szerokiej piersi swojej. Ale wtem zpoza kraty więzienia dał się słyszeć śpiew ptaka rozkoszny i dźwięczny; wieczór letni był cichy i jasny, a zachodzące słońce rzuciło, jakby na pożegnanie, czerwony promień swój wskrós grabych murów wieży. Baulundura przejęła chęć żywa raz jeszcze przed zgonem przyjrzeć się pięknej naturze, i wstąpiwszy na kamień do którego był przykuty, stanął w oknie. Wśród morza, które podchodziło tuż pod mury więzienia, widać było w dali klin ziemi, a na nim chatę wiestiaczą, przed której wrotami siedziała cała rodzina... Słońce zapadało w morze, a zimne bałwany grzały się i grały w purpurowém, tubém jego świetle... Ptuszek w oknie wieży wciąż nucił.. Baulundurovi dziwnie w sercu się stało. Otóż miał przed sobą owę

uchwycił na środku za dwa wiosła i tak niemi robił, że szybko płynąc, choć Ymer wołał, że dąszyć, że zadaleko, i dalej niebezpiecznie z powodu Midgradowego węża, jednakże Thor jeszcze godzinę drogi upędził i cisnął linę z wędą. Wąż Midgradowy niezwłocznie potknął byczy łeb, ale utkwili mu w podniebieniu haki wedy; począł się tedy ciskać, a Thor trzymając się kotków, między którymi wiosło leży, i silnie węża ciągnąc, gdy się nogami o spód łodzi opiera, dno łodzi pęka, tak, iż Thor wlozami dna morskiego dosięgnął. Jednak wydobyl z wody węża głowę; przerażał ją swoim wzrokiem, ona truciznę nań parskala. Już Thor za swój obuch chwycił aby węża zgruchotać; wtem przerażony wodą do łodzi walącą się olbrzym Ymer, nożem swym linę przeciął, zaczęł wąż zapurzył się w wodę. Cisnął wprawdzie za nim swój obuch Thor; ztąd utrzymują niektórzy, że Midgradowy wąż zabity, ale więcej do prawdy podobna, że żyje jeszcze i w morzu leży. Ymer dostał pięścią w ucho i do morza wpadł, sam zaś Thor brnął aż do lądu i powrócił.”

(Edda. Nowa: Edda. Damesaga 42.) *Jormungarder*, wąż Midgradowy, potwór niezmierny morski, otaczający sobą ziemię całą. Ymer, olbrzym, pierwsza istota ludzka na ziemi. Z potu rąk jego powstałi ludzie, a z nóg olbrzymi.

(1) *Folkvangur*, mieszkanie Frei, bogini miłości.

ładną okolicę, której szukając, i on i bracia jego tak smutnego do-
czekali się końca!... Głowa zwiła mu na ramie, i długo niepy leżał
w oknie, z wlepionemi w nieskończone morze oczyma; gdy się zaś ocknął
z głębokiej zadumy, zdawało mu się, że dusza jego odbyła tymczasem
jakąś cudowną podróż, której przecież największą część zapomniała.
Rzucił znów w okiem na morze; fale jego nie były już więcej czerwone,
lecz srebrne, gdyż miesiąc wisiał z nieba ponad niemi. W dali, gdzie
najmocniej błyszczało morze, widział jakiś przedmiot poruszający się
i płynący coraz bliżej ku sobie: nareszcie, gdy już był blisko, poznał,
że to była morska dzieweczyna, której ciało do pasa z wody widne, ja-
śniało urodą i młodością. Oczy jej błękitne były jak woda morza,
włosy czarne przeplatało zielone sitowie, a bujne łono wznosiło się
i opadało lubo jak dyszająca fala. W białym rękę trzymała lutnię, na
której grała, a której cudny dźwięk brzmiał z szumem fali, pięciem
ptaka i blaskiem księżyca. Baulundur stał nieporuszony; ona zaś sko-
ro tuż u okna jego była, chwile stała cicho, a następnie zaśpiewała:

„ Mezu! coś od młodu
Był Norą ulubieniec,
Zkąd trosk czarnych czolo
Otacza ci wieniec?
Wiara w blask czerwony
Twojego kamienia,
Nie zdolaż rozjaśnić
Myśli twoich cienia?

Piękny jest, wesoly
Blask świeżej zieleni;
Lecz błędnie, i wiednie,
I ginie w jesieni.
Piękny błękit nieba,
I wód błękit szklany;
Lecz blask to pozorny,
Blask to pożyczany!

Lecz wiecznie jednaki
Świeci ogień krąsny;
Nie odbłyśk w nim cudzy,
A blask świeci własny.
On tchnie światu życie
Od końca do końca;
Spi skryty w kamieniu,
Promienieje z słońca.

Z twojego kamienia
Blask ognia jasnieje:
Rzuć skargi i zale,
Weź w serce nadzieje.
Zaufaj miłości,
Ona wróci wernie,
I w róże wesela
Zmieni bolu ciernie ”

Tak śpiewając Syrena patrzyła w okno Baulundura, śmiejąc się
do niego mile; wreszcie odpłynęła, białemu labedziowi podobna, na
otwarte morze i w dali znikła pod wodą. Płaszek śpiewny odleciał
od wieży, i księżyc zaszedł za chmury; Baulundur wzmocony śpie-
wem Syreny i zupełnie uspokojony, udał się na spoczynek.

Jednego dnia Nidudr do więzienia przyszedłszy, zobaczył u Bau-
lundura trzy klucze, i do czego by służyły pytał; gdy zaś ten nie
chciał odpowiedzieć, pochwylił siekiere i chciał mu głowę roztrząs-
kać. Musiał więc Baulundur wyznać ich nieoczekiwany przymiot, czém

bardzo uradowany król, wziął z sobą klucze, i odszedł, pragnąc jak najspieszniej o rzeczy się przeświadczyć. W kilka więc dni zaraz zrobił wyprawę w góry. Przybywszy w miejsce, które mu Baulundur wskazał, podzielił orszak swój na trzy oddziały, z których dwa na stronę odesłał, z trzecim zaś szedł próbować własności miedzianego klucza. Wybrawszy najmężniejszego z zaufańców swoich, rozkazał mu dotknąć kluczem ściany, która się zaraz, z niesłychanym potrzęcych podziwieniem, od dołu do góry rozwarła. Lecz gdy na rozkaz królewski wchodzić tam poczęli, wnet im to na złe wyszło. Co bowiem im się wydawało ziemią, zielonemi poroślą zieleń, było niezgruntowanem trzęsawiskiem w które wielu powpadało; inni, którzy przepaści unikli, nędzniej jeszcze poginęli, gdyż jadowite węże, w kształcie sopłów ze ścian wiszące, prysnęły na nich swym jadem, który przetrawiwszy żelazne pancerze, na miejscu ich zabił. Król z kilku tylko ludźmi, którzy zdaleka zostali, ledwie z trudnością ujęć zdążył.

Zdarzenie to tak nastraszyło króla, że zasłabł i musieli go aż słudzy pod drzewem na mchu położyć, gdzie pomału przyszedł wreszcie do siebie.—Dobrze się stało — przemówił — że tamci drudzy zostali na stronie i o niczym nie wiedzą; bo choć sam za wszystkie skarby świata nie naraziłbym już więcej mego królewskiego życia na te czarodziejskie zdrady, muszę się jednak przekonać, co się stanie za użyciem dwóch drugich kluczy. Przyjacielu Grossbärze! oto masz te oba klucze, idź i każdemu oddziałowi oddaj z nich jeden, aby z nim postąpili jak należy; ale urządź tak rzeczy, ażeby ostatni nie mogli wiedzieć, co pierwszym się stanie.—Grossbär odpowiedział na to: — Daj mi tylko królu klucze, a będę wiedział jak począć sobie; choćby zaś tam straszniejsze jeszcze niż tu były czary, nie boję się ich, i sam patrzeć pójdę.—Z zadowoleniem królewskim odszedł Grossbär do dwóch pozostałych hufców, a pozostawwszy jeden, z drugim z nich ruszył pod górę. Stanąwszy u skał, dał jednemu ze sług klucz żelazny, by nim dotknął ściany, która gdy się natychmiast, jak zwykle, otwarła, wchodzić do jaskini rozkazał. Lecz za ledwie połowa ich tam wstąpiła, naraz potok błękitny z góry gwałtownie spadając, zalał ich i potopił. Grossbär odesłał pozostałych do króla, by mu wypadek opowiedzieli i przy boku jego pozostali; sam zaś udawszy się do trzeciego oddziału, prowadził go znów pod ścianę skały, i stanąwszy sam opodal, kluczem złotym dotknąć jej rozkazał. Za otwarciem się góry, polecił sługom wniknąć do niej; co gdy wykonali, nie znaleźli tam nic strasznego, ale owszem ściany całe złotem i drogiemi kamieniami błyszczące. Grossbär nie widząc żadnego niebezpieczeństwa, a zaśle-

piony widokiem skarbów, wszedł téż za drugimi do pieczary. Wtém odrazu z niezmiernym grzotem buchnął ze ziemi płomień czerwony z dymem czarnym, i podobien zięjącemu smokowi. pożarł wszystkich, z wyjątkiem jednego slugi, który był wejść nie śmiał. Ten poszedłszy opowiedział królowi co się zdarzyło: zaczął Nidudr kazać sobie podać konia, i z uszczuplonym niezmiernie orszakiem, na łeb na szyję do domu powracał.

Tymczasem Baulundur siedział spokojny w swém więzieniu, pracując dzień i noc, ażeby stosownie z królewską wolą, wykończyć do jego powrotu zbroję ze szczerego złota; jakoż wykończył wreszcie: pancerz, helm, tarcz i nagołenniki, jakich równych szukać. Król jeszcze poprzednio na dzień powrotu swego sprosił na biesiadę wielu najznakomitszych panów, obiecując sobie oślepić ich blaskiem przyniesionego łupu; na tęto biesiadę postanowił przybrać się w ów złoty rynsztunek. Zaledwie przybył do domu, wybiegły przeciw niemu królowa z córką Baudwildą, zwiastując, że już na sali pełno najznakomitszych gości, i pytając, jaki łup z wyprawy przynosi; dodały, że złoty rynsztunek gotów leży w zbrojowni, gdzie go wdziać na się może nim do gości pójdzie. Król był skąpy w odpowiedziach, polecił im wrócić do sali, gdzie sam wkrótce nadejść i dokładną o wszystkiem powieść dać obiecał. Wróciły więc obie na salę, goście częstować. Król zaś odszedł do zbrojowni, oblekl zbroję i włożył helm, pod którego ciężarem ledwie głowę dźwigał; do boku przypasał miecz Baulundura, błękitnemi kamieniami ozdobny, i tak wszedłszy na salę, zasiadł wśród gości na tronie. Jarlowie (1) i rycerze osłupieli widząc go, i mieli, że to sam Thor schodzi z miazgaczem (2) swoim z Trudvangeru (3); lecz drugie spojrzenie wywiodło ich z błędu: licha bowiem postać króla, nie prócz ubioru nie miała podobnego z potężnym Bogiem wojny. Niemało jednak wszyscy się zachwycali pysznym jego ubiorem, jako téż i klejnotami, któremi się przystroili królowa i jéj córka. Osobliwie ostatnia robiła wrażenie; była bowiem istotnie piękną, choć równie jak matka dumna i okrutna. Po doskonałej wieczery, przy której wychylono wiele rogów miodu, wszczęła się rozmowa, i goście prosili króla, by im chciał sprawę tylu wspaniałych kosztowności ukazać. Nidudr, dobrze podpoiony, zapomniał nieco swój podejrzliwości, a chcąc się napoić rychłą zemstą za nieszczęście,

(1) *Jarle*: hrabiowie, wolni baronowie, z rodu dawnych króli i wodzów skandynawskich.

(2) *Miazgacz* (Miölner) młot Thora bojowy.

(3) *Trudvanger* (mieszkanie sity) stolica Thora.

jakie sługi jego spotkało, powierzył klucz więzienia jednemu z Jarłów, Eywied zwanemu, ażeby wzięwszy z sobą dwóch ludzi, Baulundura mu dostawił, ostrzegając, że gdyby się jutro o gran mniej złota znalazło, drogo mu to przypłaci.

Posłani siedli do łodzi i popłynęli ku wieży. Po drodze jeden z nich, który był pijany, upadł z czołna w wodę; lecz pozostali nie tracąc czasu, płynęli dalej do wyspy, gdzie znaleźli Baulundura, pracą, jak zwykle, zajętego. Związawszy mu ręce i nogi rzucili go w czołno, i spiesznie wracali do zamku; tam, czarnego jako był od węgla i kurzu, zaniósłszy, posadzili na widoku gości. Wtedy Eywied, Jarl, wystąpiwszy rzekł:— Teraz, gdyśmy twą wolą spełnili, o królu! pozwól nam wrócić, wyciągnąć z morza towarzysza naszego, któregośmy dla pośpiechu zaniechali! — Nidudr odrzekł:— Dajcie mu już pokój! jeśli dotąd nie utonął, to już wcale nie utonie. Za waszą zaś wierność i skwapliwość, weźcie te dary.— I to mówiąc zawiesił złoty łańcuch każdemu na szyi. Przytomni wydziwić się nie mogli widząc brudnego niewolnika, który tak piękne może tworzyć rzeczy. Nidudr uragał:— Ten oto karzeł, był niegdyś dzielnym i urodym królewiczem, lecz jamu na całe życie oszczędziłem trudu stania.— Królowa z Baudwildą gorzej zeń jeszcze szydziły, mówiąc:— A co Baulundur! nieprawda? żeby przyjęły fińskie dziewczyny tak niedołęznego zalotnika, i niesładno też byłoby z podciętemi kolany do walki się stawić.— Baulundur siedział cicho, znosząc wszystko spokojnie, lecz gdy jeden ze synów królewskich cisnął mu od stołu kость na głowę, rozzłoszczony podniósł ją i cisnął w Nidudra, tak, że trafiwszy w pióra helmu, rzucił mu go z głowy. Goście w tym czynie kaleki uznawali dzielność i prosili króla, by go spokojnie nazad do więzienia odesłał. Lecz Nidudr powstawszy, rzekł:— Złego nabroił on już dosyć i bez tego, za które ukarany być musi.— Tu opowiedział wyprawę swą w góry i czary, które go tam potkały i o stratę tylu ludzi przywiodły; co usłyszawszy, wszyscy przyznawali, że tak złośliwy i szkodny czarownik w istocie na karę zasłużył.— Mógłbym go zabić— mówił Nidudr— lecz to lekka bardzo kara, gdyż taki nędzny niewolnik śmierć za szczęście uważać musi. Prócz tego, mając nagromadzony znaczny zapas złota, daruję mu życie, żeby mi był użytecznym. Ażeby jednak nie mógł się chlubić, że mnie o wstyd i szkodę bezkarne przyprawił— hej! słudzy! wyprowadźcie go i wykolcie mu jedno oko, bo jednego dość do pracy.

Wszystkie uniewinnienia Baulundura na nic się nie zdały; córka zaś królewska Baudwilda była tak okrutną przeciw niemu, że mu

sama oko wyjąc się podjęła, gdyż znalazła się na lekawli i ranach. Zaniesiono go więc do innej izby, związano, tak, że nie mógł poruszyć głowy, i Baudwilda zbliżyła się doń z rozpalonem żelazem, oka go pozbawić. Widząc to, odézwał się: — Zauście nieszczęśliwy jestem od chwili, jak wpadłem w ręce ojca twego Nidudra; nie to rzecz naturalna, gdyż podlejszego łajdaka nie znajdzie nikt na całej ziemi, i sama przyroda naznaczyła go też strasznem i ohydnyem obliczem; ale tobie dziewczyno, nie wstydzę ci Freii? tobież przy twojej urodzie, brać na się urząd brzydkiej czarownicy? Ręce twe białe i delikatne, stworzone są do zrywania róż i kwiatów polnych, nie do prowadzenia morderczego żelaza, którem mnie oślepić zamierzasz. Daj się wzraszyć prośbą moją (bo ciebie prosić mi nie wstyd), i nie krzywdź mnie więcej jeszcze, jak już pokrzywdzony jestem. Żem szkód dzisiejszych twego ojca niewinien, możesz wierzyć méj przysiędze. — Słowa te, najsroźszego niedźwiedzia łosów rozczulić i poruszyć do łitości zdolne, a cóż dopiero kobietę, nie uczyniły żadnego wrażenia na okrutnej królownie, która podobna do jadowitej zmił, zbliżyła się ostrém żądłem zadać mu bolesną i szpecącą ranę. Nie mogąc zmieść jego ostrego i przeszywającego wzroku, kazała słudze dłonią zakryć jedno jego oko, gdy tymczasem sama drugie wydlubawszy, do złotój puściła je czary, którą, obwiązawszy ranę skałeczonemu, do króla zaniosła. Od téj chwili Baulundur zatopiony w sobie, milczał ponuro; aż go nareszcie słudzy napowrót do wieży odnieśli.

Skoro Baulundur ujrzał się znów w samotności swojej, o jednem oku, z krwawą na miejscu drugiego raną, rzekł wzdychając: „Dziesięćkroć dzisiaj mi gorzej, niżeli dotychczas było. Z dniem każdym coraz srożej mią poniewierają, a bezskuteczna złość moja trawi się sama w sobie, podobna bezsilnej złości niewieściej. Pieśń Syreny ożywiła niedawno upadłego mego ducha jakąś nadzieją; lecz niegodziwość Nidudra i córki jego srogość, znowu mi ją zgasiły. Jedynem mojem życzeniem — śmierć, coby mnie prędko do Walhelli Odyra, lub Thorowego Trudwangeru przeniosta. Lecz piérwój jeszcze, o trzy nieśmiertelne dziewice: Urdo, Witrando i Skuldo! zomsta! zemsta! nad Nidudrem i jego całym domem!”

Po niejakiem czasie, zdarzyło się dnia jednego, gdy Baulundur wpośród nocy siedział pogrążony w czarnych myślach, które sen mu odganiały, że ujrzał z okna na morzu dwa światła czerwone, zbliżające się ku wyspie, i pomyślał sobie, że to pewnie znowu jakieś widmo bledzie nocne, przychodzące tajemniczym śpiewem zachęcać go do znoszenia życia i nieszczęść. Kiedy tak dumół, posłyszał

zgrzyt klucza, obracanego w drzwiach wieży, i rozmowę dwojga ludzi, w których po głosie poznał Grama i Skulę, synów Nidudrowych. Skula tak mówił do brata:—Najpiérwój dać nam musi klucz od skrzyni ze złotem, a gdy sobie do woli weźniemy, zabijemy go, by nas za powrotem ojca nie zdradził.—Usłyszawszy to Baulundur, pochwycił topór ostry i ukrył go za siedzeniem swoim. Wtém téż weszli do więzienia obadwaj królewiczowie, a starszy z nich Gram, przemówił:—Ojciec nasz, król, wyjechał w podróż po kraju. Ponieważ z łakomstwa swego i chciwości nie chce nam, prawym swym dziezicom, nic z własności swój udzielić, udaliśmy się tu skrycie sami, wziąć część z jego skarbów. Podaj więc nam klucz od nich, i zaprzysiąż, że nas nie zdradzisz, jeśli nie chcesz, żebyśmy cię zabili.—Baulundur odpowiedział:—Mili panowie i królewiczowie! jakkolwiek praca i nędza złamały me ciało i duszę, nie zrobiły mnie jednak do tyla bezrozumnym, ażebym się miał sprzeciwić waszemu sprawiedliwemu żądaniu, coby się téż zresztą na nic nie zdało. Daję wam zatem chętnie ten klucz od skrzyni, i jako chcecie, przysięgam na bogi, że was nie wydam.—Królewiczowie klucz odebrawszy, otwarli skrzynię ze złotem; a oślepieni bijącym z niój blaskiem, aby się lepiej skarhom przyjrzyć, oparli szyję o krawędź i ku dołowi pochylili głowy. Baulundur wtedy szybko schwycił za siekiere, podniósł ją i gwałtowném cięciem odrąbał im głowy, tak, że do środka skrzyni wpadły, kadłuby zaś potoczyły się na podłogę, krwią żygając.—Nasyćcież teraz oczy swoje złotem! — zawołał Baulundur, zamykając głowy w skrzyni; potém wykopawszy dół głęboki pod podłogą, pogrzebł w nim obadwa ciała. Z powieści zabitych wiedząc, że król w daleką odjechał drogę, z której nierychło powróci, że go więc teraz nikt natchodzić nie będzie, pomyślał sobie: Chociaż to jaszczurcze plemię pozbawiło mnie piękności i siły, uczyniło ze mnie brudnego niewolnika i szyderstwem mnie raniło, przecież ja w niemocy mojej, napoje się okrutną teraz zemstą. Wydobywszy ze skrzyni dwie głowy, odpiłował z nich czaszki, wysuszył je na słońcu, a potém osadziwszy je w złoto, zrobił z nich dwie ozdobne i drogie czary. Zrenice z ócz królewiczów zabartował tak umiejętnie, że stały się podobne kosztownym kamieniom, i ozdobił nimi piękny naramiennik. Zęby zaś utoczywszy okrągło jak perły, naszyjuik z nich sporządził.

Gdy król Nidudr powróciwszy z podróży, nawiedził swego więźnia, ten podarował mu dwie czary, mówiąc, że je zrobił z dwóch osobliwych muszli, które woda pod same okno jego przyniosła, tak, że je dosięgnąć ręką zdołał. Dla królowój posłał naramiennik ze

irenie, a naszyjnik z zębów dla Baudwily. Wszyscy troje obdarowani cieszyli się z posiadania tak osobliwych klejnotów.

Skoro Skula i Grama długo nie było widać, a rybacy na morzu pustą ich łódź znaleźli, mniemał król Nidudr, że na wypławie wodnej potoneli, i wyprawił po nich stypę, na którą najznakomitsze kraju osoby sprosili. Królowa wystroiła się na tę ucztę w otrzymany świeżo naramiennik, a Baudwilda naszyjnik i pierścień, który jej niegdyś ojciec z łupu Baulundurowego darował, wdziała. Goście podziwiali wspaniałe stroje królewskiej rodziny, a pili i jedli aż w noc późno. Ku końcowi uczt król kazał podać obie nowe czasze. Lecz o północy nagle przerwała się biesiada: król bowiem Nidudr, który właśnie pił z jednej czaszy, uczuł nadzwyczajny ból głowy; królowę, która miała na sobie naramiennik, zabolaly niesłychanie oczy, a przy posępnym blasku nieobjaśnionych pochodni, mniemane jej kamienie tak dziwnie jaśniały, że na nie patrzeć nie mogła; królownę zaś, ustrojoną w naszyjnik, napadł straszny ból zębów. Goście więc rozjeść się musieli, a królewska rodzina udała się do łóżek, gdzie w bólach do rana samego jęczała.

Za nadejściem dnia powrócili znów wszystko troje do zdrowia; mniemali więc, że ich bóle poszły z przedłużonego nadzwyczaj w noc czuwania. Ale dla Baudwily dzień cały był smutnym. Wczoraj, kładąc się z pośpiechem do łóża, zapomniiała była zdjąć z ręki pierścienia, a w nocy, gdy dręczona bólem uderzyła ręką o ścianę, skruszyła w nim ozdoby. Że to robota była wiele kosztowna, bała się o szkodzie powiedzieć złym i porywczym rodzicom swoim. Wieczorem, przechadzając się w gaju ponad morzem, z kądem widać było więzienie Baulundura, pomyśliła sobie: — Ach! żebym mu nie była krzywdy wyrządziła, mógłby mi teraz dopomóc. — Lecz i tak, będąc odważną, umyśliła w nocy skrycie się sama udać w łodzi do Baulundura, ażeby jej pierścień sporządził. Gdyby nie zechciał, obiecywała zemścić się, pewna, że ze spętanym co zechce zrobić zdoła. Jakoż, gdy już było dobrze ciemno i nikt jej nie mógł dojrzeć, wykradłszy z ręcznie klucz, ojcu, siadła do czółna, odwiązała go od pała i niepostrzeżona odплыnęła od brzegu. Kiedy była napwół drogi, z morza ukazała się ponad wodą głowa starego morskiego boga, z długą strzepiastą brodą, który wstrzymując łódź, tak się odezwał:

„Zdradne jest morze,
Ale zdradniejsze
Nad nie serce niewolnika!
Zanim naprawi-ć

We stroju szkodę,
Raczej przyprawi-ć
O droższą szkodę.”

Ale Baudwilda, która równie jako i jej rodzice, nie wierzyła w bogów ani wróżby, któremi ciż ludzi przestrzegają, uderzyła go wiośłem w głowę, mówiąc: „Dalej na dno, długa brodo!”

Skoro Baulundur zobaczył Baudwilę przybywającą do swego więzienia, powziął natychmiast zamiar, mający zaspokoić jego srogą zemstę. Dlatego mówił z nią bardzo przyjaźnie, prosił ażeby siadła, i jak najspieszniej pierścień naprawić obiecywał. Dla pospiechu, prosił aby dać miechem zechciała. Baudwilda pytała go, zkad miech tak krwią obryzany? Na co on jej odpowiedział, że to krew dwojga psów morskich, których mu się schwycić udało. Skoro królowna dęciem strudzona i spragniona usiadła, Baulundur podał jej dzban piwa, do którego wrzucił odurzające zioła. Baudwilda wypiwszy je usnęła twardo, — a kiedy się zbudziła, ujrzała się w objęciach Baulundura.

— Wracaj teraz — zawołał on — do ojca twojego i powiedz, że Baulundur spokojnie już umrzeć może. Choć bowiem on tak podle uwięził mnie i unikczemnił, i wszystko dobre mi zabrał, ja jednak, w nędzy mojej, zemściłem się okropnie nad nim i rodziną jego. Powiedz mu, że obie czary, które on miodem wychyla i w kolej wśród gości puszcza, są z czaszek lubych synów jego Grama i Skulla, których ja, własną ręką zabiwszy, tu pod podłogą zagrzebałem. Ichto krew była na miechu!... Lecz ci obaj nie byli mu tak drodzy, jako ty jesteś, i śmierci ich nie uważałbym za dostateczną pomstę méj krzywdy i wstydu. Teraz przecie jestem dostatecznie i w dziesięćkroć pomszczony, bo ty, coś mnie jednego pozbawiła oka, droższą dziś straciłaś ozdobę. Któryż teraz z możnych królów, w których ojciec ci narzeczonych upatrywał, chciałby się ożenić z tobą, uprzędzony od wzgardzonego niewolnika!...”

Baudwilda dziko rozśmiawszy się, rzekła na to: „Te grube mury nie mają oczu ni języka. Co się stało, gdy ty zginiesz, moją zostanie tajemnicą. Tajemna zemsta, żadna zemsta!.. Idź więc do piekła, przekłety!” Przy tych słowach chciała go przebić włócznią, ale Baulundur cios odbiwszy, schwycił ją, związał jej ręce i nogi i wyrzucił z wieży do czółna. Potem zawarłszy drzwi, wziął ogromną złotą blachę, wrył na niej wszystko, co mszcząc się sprawił, i postawił na widoku. Następnie włócznią oparłszy o ścianę, chciał się na nią rzucić i przebić.

Ale wtém zaleciał go zdaleka szmer luby i śpiew, z muzyki dźwiękiem zmieszany. Chociaż już ranek zaświtał i niebo jasne, bez chmur, widać było, ujrzał na wschodzie gwiazdę wielką, której

słońce zaćmić nie mogło. Nagle, na większe podziwienie jego, ukazała się ogromna, świetna, tysięcznobarwna tęcza, która łukiem swym, wskrósł bezobłocznego nieba, sięgała od najdalszego wschodniego widokregu aż po samą wieżę. Dziw zwiększał się z każdą chwilą. Widział na przeciwnym brzegu morza, zawiązane dopiero po zimie pączki młode kwiatów, jak się nagle zwiększały, rosły i rozwijały, gdy ku nim się zbliżała jasna owa gwiazda; a choć znaczna była odległość od wyspy, zalaływa go już woń słodka róż świeżych, które się w tej jasności rozwiły.... Skoro nareszcie zbliżyła się ku końcowi tęczy, poznał, że owa mniemana gwiazda było Freii promienny wóz złoty. W wozie siedziała sama bogini, w całym blasku swym, po bokach mając dwie młode dziewice. Sama Freja miała na sobie błękitną, długą, powiewną szatę, która unosząc się za nią z wiatrami, ginęła w błękitnie nieba. Dziewica po lewej jej stronie cudownie przybrana była w strój z powiązanych świeżych liści zielonych i wieńców, na prawicy zaś stojąca odziana była w czerwieni. Serce Baulundura biło gwałtownie, gdyż, jako niegdyś owe trzy dziewice wśród kwitnącej łąki, tak teraz te trzy postaci na złotym woze, przypomniały mu bryłę złota, którą niegdyś w ojczyźnie społem z braćmi znalazł. Obłok mnogich białych Alfów unosił się nad rydwanem bogini; ci grali, śpiewali drudzy, inni zaś wiali wachlarzami z piór łabędzich. Wóz ciągnęły dwa ogromne koty, wzrostem i barwą panterom podobne.

Kiedy się powóz cudowny zbliżył na sam koniec tęczy, i Baulundur drżał z obawy, ażeby w morzu nie zniknął; ponad falami ukazał się sędziwy mąż i niewiasta morska, otoczeni zgrają pięknych Syren: byłto Aigir, bóg morski, żona jego Ran i ich córki. Ran'a nie miała tą razą ze sobą sieci, którą łowi topielców, lecz owszem wyglądała mile. Młode; dorodne dziewice morskie, których włos długi, przepleciony sitowiem, wił się wokół smagłych kibici, prowadziły młodego wieloryba. Na jego grzbiet wstąpił wóz Freii z tęczy. Nad nim ulatywały Alfy, a naokoło płynęły Syreny, grając na harfach i nucąc; co brzmiało, jak gdy wiosną morze na brzeg wystąpiwszy, rozcieka się szemrząc wśród drobnych zwirów i kwiecica.....

Freja wraz z towarzyszkami stanęła tuż w otwartym oknie Baulundura, i on w dziewicy czerwono odzianej poznał teraz ukochaną swą Alwidę. Nie mogąc słowa przemówić, wyciągnął tylko ku niej ramiona i lży zalały mu twarz blądą. Bogini wiodąc za rękę Alwidę, zeszła z wieloryba i wstępując do wieży, rzekła: „Czas two-

ich cierpień skończony, Baulundarze Fiończyku! Wstyd swój i hańbę samęś pomścił, szczęście zaś ja ci przynoszę. Przepowiadała ci to niegdyś morska dziewica; przypomnij co śpiewała o barwach, miłości i różach wesela! Róże te teraz ci zakwitną; teraz jasny, purpurowy twój kamień zaświeci grą wszystkich barw swoich. Oto masz swoją Alwidę, którąć Odyn na me prośby na całe już oddaje życie; skoro zaś umrzesz, ona cię w miłosném swém objęciu zanieśie do przybytku błogosławionych, gdzie bogom i bohaterom rogi do picia i pancerze jasne kuć będziesz.” Bogini dała znak dziewicy w zieleni jasnych liści ubranéj; ta w jedném ręku niosąc korzeń świeżo ze ziemi wyjęty, a w drugiej nóż ostry, ukrajała z korzenia kilka cienkich listków, które przyłożyła do przeciętych nóg i wylupionego oka Baulundura, i przykryła świeżemi ze swojej odzieży liśmi. „Cauję teraz—rzekł on, że sam Eyr (1) mnie uzdrawia przez tę piękną rękę.” A Freja błękitno-szata uśmiechając się, odrzekła:—„Kto przestać umie na istotnej miłości, tego Eyr uleczyć, a Freja uszczęśliwić może; ale dla serc, które nią zadowolić się nie mogą, dziewice moje zostają okrutnemi Walkyryami, jak Svanhryda i Alruna.” I znów z orszaku jéj wystąpiła miła niewieścia postać, z zamrużonemi w połowie oczyma, z wieńcem makowym na ciemnym włosie, i dotknęła palcy swemi powiek Baulundura, który natychmiast wpadł w sen luby. Wtedy Alfy przenieśli go i położyli w zielonym szalasiu w gaju, ponad brzegiem; Baudwidę zaś rozwiąawszy z pęt, odepchnęli z łodzią na morze.

Baulundur spał słodko. Przed obudzeniem samém śniło mu się, że gdy leżał w objęciu żony swéj Alvildy, bracia jego Slagfidur i Eigil przystąpili do łoża, i z blademi twarzami nad nim stanęli; a widząc szczęście jego uśmiechali się życzliwie. Slagfidur pochylał się ku niemu, chwiejąc głową, jakby co przypominając; Eigil zaś usiadł na kamieniu przed szalasiem i mówić coś począł, ale tak cicho, prędko i niewyraźnie, że go nie można było zrozumieć.... Wtém się Baulundur obudził, i ujrzał się istotnie w objęciu swéj żony; skoro zaś spojrzal ku górze, ujrzał w miejscu, gdzie śnił brata Slagfidura, gałąź zieloną szalasiu, opadającą i chwiejącą się nad sobą; Eigila niewyraźna i skwapliwa mowa brzmiała mu wciąż jeszcze w uchu, lecz gdy spojrzal za drzwi szalasiu, poznał, że to mały strumyk szemrał tak nieopodal. Na to oczy zaszyły mu łzami; dotąd miał bowiem w sercu swoich braci, którym życzyłby szczęścia, jakie sam wreszcie posiadał.

(1) Eyr, bóg leków.

Obudziła się téż i Alwilda, a uściskawszy męża, rzekła: „Niewątpliwie sen ten cię pokrzepił i do dawnéj wrócił moey. Wstań więc i idź na dwór Nidudra, który spi dotąd, nie wiedząc co zaszło. Ażoby cię nie poznano i wstępnie broniono, okryj się w płaszcz ten, a weźmą cię za domownika króla. Powiedz mu, że Baulundur uszedł z więzienia i pytaj, co nato powie?” Baulundur, któremu się podobala rada żony, wdział na się zbroję i okryty płaszczem, zaszedł do sypialni królewskiej. Przystąpiwszy do łoża, zawołał na śpiącego: „Obudź się królu Nidudrze!” Nidudr zbudził się i rzekł: „Kto mi śmiał przerwać królewski mój sen?”

— Wybacz królu — odpowiedział Baulundur — ale mam ci zwiastować co się osobliwego stało. Żebyś był oddawna Baulundura zabił, nie stałoby się, co teraz przyszło.

— Nie wspominaj mi tego nazwiska! — zawołał Nidudr. — Boję się go w jego nędzy. Od chwili jak mi darował dwie czary, napadła mnie ciężka drżączka, która nie chce ustąpić; głowa mi drętwieje i zęby o zęby dzwonią.

— Muszle, z których są te czary — mówił Baulundur — nie ustępują nic perłom, które z nich wyjąłem: byłyto zęby synów twoich panie! Ciała ich obu leżą zagrzebane pod warsztatem Baulundura; córka zaś wasza tuła się teraz po morzu, którego wszystka woda hańby jój zmyć nie jest w stanie. — Tu opowiadał dalej wszystko jak się stało; a nakoniec rzucając płaszcz i dobywszy miecza, krzyknął donośnie: „Teraz zaś, ja sam przychodzę, zbrodniarzu, śmierć tobie zadać.” I wzniosłszy miecz uciął głowę Nidudrowi, który już przecież od strachu piérwéj skonał, a dusza jego odeszła do piekła, wziąć zapłatę swych zbrodni.

Baudwilda przyszedłszy do siebie, rzuciła się w morze; a królowa dowiedziawszy się o wszystkiém, zażyła truciznę. Lud obwołał Baulundura na miejsce Nidudra królem. Panował on lat wiele, równie mądrym rządcą, jak dzielnym wojownikiem. Umarł w późnej starości i leży pogrzebion pod pagórkim w Wilczej dolinie, gdzie stał dom jego. Na pagórku tym dotąd widne cztery ściany z ogromnych głazów; a na jednym kamieniu jest wyryty człowiek, spętany na nogach, który miecz kuje. Po śmierci Baulundura czczono go za boga, wierząc, że żona jego Alwilda, stosownie do obietnic Freii, do Walhalli go zaniósła. Dotąd wszyscy kowale przy trudnej pracy wzywają pomocy Baulundura, a dawnemi czasy był w Szwecyi, w królewskiej zbrojowni miecz przez niego uku'y, w błękitne kamienie sadzony. Póki miecza tego stało, zwyciężał on w każdej bitwie; ale już dawno zaginał....

Tak kończy się powieść o Baulundurze. Radbym, ażeby tak stara i szacowna saga, której dalekie i nawpół umarłe tony ja w duszy mój zebrałem i dopełniłem w czém ją ręka czasu uszkodziła, mogła wam posłużyć za zwierciadło, ukazujące w cudownej grze życia: że na dno idzie, kto złe sam w sobie nosi; ale przeciwnie, kto jest sam ze sobą w mirze i jeno zewnątrz ma nieprzyjaciół, ten zwycięża naostatek, jeśli wytrwale i cierpliwie przetrwa chwile doświadczenia.

Urywek z tragedyi Oehlenschläger'a:

OLAF SAMOZWANIEC.

(Z aktu II, sceny I).

RAGNHILD.

(W uniesieniu, sama do siebie).

Tak, stać się musi!—Dobędą spełnienia
 Mnogich niespanych nocy mych marzenia,
 Kiedy przed chaty rozwartemi wroty
 Gwiazd tajemnicze śledziłam obroty...
 Gdy zórz północnych błyski, niy rój
 Widm, dziki taniec zawodziły swój:
 To jako miotły rosochate, krwiste,
 To jako mieczów główne przezroczyście,
 Wskrós wycia wichrów głos duchów brzniał mi:
 Do dzieła! pomścij znieważonej czci
 Dawnych mocarzy!.. Nie daj zniewieściałym,
 We srebrnych blachach, kartom tym zuchwałym
 Zaćmić, i strącić w zapomnienie mocnych
 Postaci starych olbrzymów północnych!..
 Zdeptaj próżności południowy kwiat,
 Na skałach naszych nie dla niego świat!..
 Precz z rycerzami na toczonych koniach!
 W łodzi, na burzę rozbukanych toniach
 Jaśnieć mężowi!...Precz lance, rapiry!
 Dość bohaterskiej, trzaskać tły, siekiéry!..
 Precz jedwab', szkarłat, drogie złotogłowy!
 Dość zgrzebna szata i pancerz stalowy!..
 Silny jak niegdyś, z stromego urwiska
 Skał, Thor swym strasznym dotąd młotem błyska...
 We gnuśnym grobie nie zaginać nam!
 Z gruzów nowego, zmartwychwstanie chram
 Czci dawnej!...Dłonią niewiasty zuchwałą
 Co legło,—drugiej wzniesić to znów zostało.

R. Z.



NOWA EPOKA LITERATURY HISTORYCZNEJ POLSKIEJ.

PRZEGLĄD

PRZEZ

Juliana Bartoszewicza.

(Ciąg dalszy).

Dla dziejów kościoła ciekawe są jeszcze urządzenia, które w roku 1410 wydał Jan Kropidło książę opolski, biskup, względem dochodów kapituły i kanoników kujawskich (dypl. 352); ale najciekawszy a wielkiej wagi dokument jest z r. 1418 Władysława Jagielly, w którym kościół kujawski porównywa w prawach z metropolitalnym kościołem w Gnieźnie (dypl. 362). Powód do tego postanowienia użył Jagiełło z tej okoliczności, że biskupstwo kujawskie położone na granicach kraju, cierpiało wiele od nieprzyjaciół napaści, uszczerbek, gwałtów, potwarzy. Przywilej nowy miał uwolnić biskupstwo od tych nieprzyjaciół. Zdaje się więc, że tu o jakąś kwestyą i zasadę prawną chodziło, o prawo wyższej klątwy lub coś podobnego. Nie objaśnia przywilej królewski bliżej tych okoliczności, nie mówi nawet do jakiego nieprzyjaciela odnoszą się jego kroki; zewnętrzny, Krzyżacy byli już pogiębieni bojem pod Dąbrowną, mogli zresztą pogranicze łupieżyc; ale cóż za wagę miało dla Krzyżaków postanowienie królewskie, że Kujawy mają metropolii władzę? Nic to widać jednak nie szkodziło prerogatywom gnieźnieńskim, skoro przywilej z r. 1418 wydany

został na sejmie łęczyckim, a podpisał go prymas Mikołaj Trąba, sławny z tego, że właśnie wówczas zawarował prawami na soborze w Konstancyi, pierwszeństwo swoje w kościele polskim.

Stosunki Kujaw z Pomorzem i Krzyżakami wyjaśniają się coraz bardziej. Wisław biskup, tyle razy już wspomniany, pozwala w r. 1284 budować kościoły Krzyżakom w swojej dyciezyi, zapewne na Pomorzu. Na przywilój drukowany u Voigta w *Codex Diplomaticus Prussiae*, wskazuje nasz Dyplomatarjusz. Potém spotykamy się często w Ryszczewskim z braćmi Lubiszowskiemi zakonu krzyżackiego. Zbrojne mnichy na Pomorzu dzielili się jeszcze na prowincye, i od ziemi brali swoje nazwiska. Lubiszowscy bardzo dokuczali Kujawom; napadali, łupieżyli, niszczyli dyciezyą i miasta książęce. Widać ciężkato była plaga, bo ich kroniki dość obszerne w Dyplomatarjusz. Ale jest pomiędzy innemi w tych starych aktach zapozew do nich z Brześcia, wydany przez kommissarzów stolicy apostolskiej, Janisława arcybiskupa i Domarata biskupa z Poznania w r. 1321 (dypl. 237). Sprawa ta zagodzona raz, tyle razy się odradzała bez początku, bez końca.

Pomorska ziemia i gdańskie wybrzeże, skutkiem tych ciągłych stosunków biskupa kujawskiego z Krzyżakami i z panującemi w tamtych stronach książęty, coraz jaśniej także wykrywają swoje dziejowe oblicze. W ogromnej massie dyplomatów, spotykamy ogromnie wiele nazwisk czysto polskich w tamtych okolicach. Pojmujemy teraz, jak łatwo było Dominikowi Szulcowi okazać narodowość polską dawnego Pomorza, kiedy tu pojawia się coraz większa liczba nadszwyczaj ciekawych i uderzających faktów. Dziwimy się nawet zarozumiałości Voigta. Mając pod ręką tyle źródeł, sam nadrukowawszy tyle dyplomatów, których znaczenie i treść nie były zagadką, w których spotykał co krok ślady słowiańskiego życia: jak mógł Voigt pleść o niemieckiej narodowości Pomorza? Doprawdy, Voigt był człowiekiem złej wiary. Przed wydaniem jeszcze Dyplomatarjusza ogłosił Szulc swoje piękne badania o Pomorzu; dzisiaj massa źródeł i nowych faktów stoi dla niego otworem. Biskup Chrystyan Rawa, o którego rodowodzie polskim przekonał nas wszystkich niezbitemi dowodami, coraz więcej interesującą osobą staje się w obliczu dziejów. Kilkanaście wzmianek znaleźliśmy o nim w Dyplomatarjusz. Wspominany już jako biskup pruski jest pod r. 1228 (T. I dyp. 19), a w r. 1252 powraca kościołowi sulejowskiemu wieś i kościół w Dobrowie, ze wszystkiemi do tego kościoła należąciami

dobrami, które dzierżał będąc Cystersem jeszcze, i nawet w roku 1252, kiedy był już od lat kilkudziesięciu biskupem. Dla żywota Chrystyana Rawy fakt to nowy i ważny; możnaby z tego ostatniego przywileju wnosić, że biskup pruski był poprzednio opatem w Sulejowie. Widzimy z tego, że podanie Długosza o jego śmierci, która niby nastąpiła w r. 1245, jest bez zasady. Przekonywamy się również, że tytuł biskupa pruskiego znaczył coś więcej, jak biskupa chełmińskiego Chrystyana liczone zawsze do chełmińskich pasterzy, dlatego, że miał w Chełmnie stolicę. Tymczasem w roku 1246 jest w dyplomatarjuszu pruskim Voigta wspomniany Heidenricus biskup chełmiński (patrz Rzyszczewskiego T. I 62). Jestto zapewne Henryk, co koronował Mendoga. Chrystyan Rawa, pokazuje się z tego, nie był biskupem chełmińskim, a siedząc tylko w Chełmnie, miał jurysdykcją *in partibus infidelium*, to jest w miarę postępów krzyżackich w zdobytym na Prusakach kraju, miał rozszerzać i władzę stolicy apostołskiej. W części polskiej Pomorza, w ziemi chełmińskiej, na półwyspie gdańskim, nowo stanowieni biskupi brali swoje nazwiska i tytuły od miast, i Chrystyan był nad całą ziemią pruską, *super terram Prussiae consecratus Episcopus* (T. I, str. 62, 63, Rzyszczewskiego). Dowód mamy na biskupstwie pomezzańskim. Idąc za śladem Niemców, od których, powiedzmy prawdę, uczyliśmy się czas długi historyi Pomorza, myśmy ten kraj cały, których Kwidzyn stolicą, nazywali Pomezanią, wyrazem obcym a nie polskim, a biskupa także pomezzańskim. W Dyplomatarjuszu Rzyszczewskiego nie napotykamy nigdzie tego nazwiska i tego tytułu. Tam pod r. 1264 wspomniany jest kwidzyński biskup (dypl. 88 T. 2), a pod r. 1273 spotykamy, pomiędzy świadkami Gosława dziekana kwidzyńskiego. Gosław ten był oczywiście Polakiem, a nie synem Germanii; a że Kwidzyn jest polskie nazwisko, tego nam p. Voigt nie zaprzeczy. Ten szczegół godzien tém więcej uwagi, że miasto Kwidzyn, o ile wiemy, winien swój początek Krzyżakom, a oni z taką skrętnością niszczyli narodowość polską w ziemiach zawojowanych.

Kiedy już mówimy o Pomorzu, powrócić raz jeszcze musimy do kwestyi, którąśmy dopiero rzucili, — o kasztelanach. W senacie Rplitej z ziem pomorskich, trzech tylko kasztelanów zasiadało, t. j. chełmiński, elbląski i gdański. Musiało być jednak nierównie więcej kiedyś koronnych, to jest państwa kasztelanów

w całej ziemi pomorskiej. Że były tam i kasztelanie w znaczeniu dóbr i ekonomii, tośmy już widzieli, a Dyplomatarjusz moc dowodów nam ku temu twierdzeniu dostarczy. Ale i kasztelanij senatorskich było więcej jak trzy, to rzecz niezawodna. Kiedy Kazimierz Jagiellończyk po przyłączeniu do korony połowy ziem nadbaltyckich, formował senat pruski, wtedy już na nowo trzeba było porządek narodowy ustanawiać na Pomorzu, a ślady dawnych pamiątek jeżeli nie zaginęły, to już nie były tak widoczne, żeby je jako zasadę, do swoich działań mógł wziąć Kazimierz Jagiellończyk. Takim sposobem trzy kasztelanie większe pomnożyły senat polski, a o mniejszych zapomniano, i to właśnie w chwili, kiedy prawie każde znaczniejsze miasteczko w wielkiej Polsce miało swoje grody i swoich senatorów. Wspominani są często w Dyplomatarjuszu kasztelanowie gdańscy, świeccy, starogrodzcy, ducy i słupscy, którzy zapewne nie byli rządcami dóbr, a należeli po rady książęcej. W Dyplomatarjuszu znajdujemy nawet i wojewodów Świeckich. Było więc wtedy Świecie znakomitą miastem, bo i stolicą osobnego województwa. Wojewodów gdańskich znaleźliśmy także kilku. Byli to poprzednicy wojewodów później pomorskich w senacie Rplitej. Jest i pod r. 1277 wspomniany Wajsil wojewoda Tresseu; wydawcy domyślają się, że Trzechowski (dypl. 108). Tenże sam zdaje się Wajsil, był wojewodą gdańskim Wajsilem w r. 1283 (dypl. 119). Mamy więc i starszeństwo pomiędzy wojewodami na Pomorzu.

Po Kujawach najwięcej zapewne wydaniem IIgo tomu Dyplomatarjusza zyskały nie dzieje Mazowsza, jakby się tego można było spodziewać, a Pomorze. Kiedy z czasem za pomnożeniem się w druku tych bogactw narodowych, spisemy wszystkich kanoników, prałatów, urzędników ziemskich i panów rad; kiedy w porządnym chronologicznym systemacie ułożymy wszystkie nasze historyczne wiadomości: będzie się można wziąć wówczas do monografii, do historyi pojedynczych prowincyj, do układania kronik miast i powiatów, a wtenczasto dopiero przeleje się na całą przeszłość nasze błogosławione światło, przez które prawdziwe cudy dla rozkoszy i naszej nauki, zobaczym.

Jeden z najwięcej interesujących szczegółów, czytamy tu w dyplomacie 120. Zawiera się w nim nadanie Mestwina księcia Pomeranii pod d. 25 lipca 1283 r. dla Wojciecha herbu Wieniawa biskupa kujawskiego, w którym władca Pomorza polskiego nadaje biskupowi prawo utrzymywania zawsze dwóch wolnych

okrętów w jego porcie, nazwiskiem Przewłoka (Prevloca). Otóż mamy i ślad, jeden z najdawniejszych, dla dziejów floty naszej na morzu Bałtyckim. Żeby nie zbieg fatalnych okoliczności, mogłaby Rzeczpospolita utrzymywać w tamtych stronach kilkadziesiąt, a może kilkaset okrętów i zasłynąć w dziejach Europy żegluga, kiedy już w XIII wieku biskup kujawski miał także flotę małą na brzegach. Bo trzeba przypuścić, że ją miał; a Mestwin gdyby chciał dla wyjednania swojej duszy miłosierdzia Bożego, nadawać przywileje nowe kościołowi włocławskiemu, byłby mu podarował jakie dobra, uwolnił od jakich ciężarów publicznych, a nie pozwalał utrzymywać okręty na morzu. Śnać prosił go o to biskup, a kiedy prosił o to, niezawodnie chciał budować flotę i żeglować za handlem może do Szwecyi, może do Danii, a może do Inflan, które już nawracali krzyżowi rycerze. Fakt ten dowodzi zarazem i potęgi i bogactw kujawskiego biskupa w XIII wieku. Jak na nieszczęście umarł Wojciech w końcu r. 1283, albo w początkach 1284, bo w Dyplomatarjuszu już we wrześniu 1284 czytamy na katedrze kujawskiej Wisława biskupa. Niewiadomo zatem, czy miał czas Wojciech spuścić przed śmiercią okręty na morze, albo czy Wisław myślał tak w tym względzie, jak jego poprzednik. Książę Mestwin okręty biskupa uwalniał od wszelkiej opłaty przywilejem swoim, i pozwalał łowić ryby w porcie. Był to zapewne wielka łaska, z której biskupi korzystać nie zaniechali. Jakż dopiero flotę mógł mieć w owym czasie sam książę Mestwin, kiedy miał już i porty na morzu? Okrętów 10, 15, 20 było wtedy zapewne potęgą.

Pod względem prawnym i towarzyskim dla domowego życia przodków naszych, ważnym jest także dypl. pod Nr 63 i kilka innych podobnej jemu treści, bo o jednej wciąż mówią sprawie. Zdzisław (Sdeslaus) kasztelan kujawski, z pobudek religijnych, za pokój duszy swoich rodziców i dla uproszenia dla siebie miłosierdzia Bożego, za zgodą żony swojej, darował kościołowi kujawskiemu trzy wioski dziedziczne. Zrobił to prawnie w obec świadków, panów ówczesnych. Ale przeciwko tej darowiznie zaprotestował brat Zdzisława, Bogusław kasztelan bydgoski, dowodząc, że żaden szlachcic ani wojskowy (*nobilis sive miles*) nie może oddawać na wieczną własność kościołowi żadnej włości dziedzicznej, bez zezwolenia swoich spółkrewnych (*consanguineorum*). Sprawa wytoczyła się przed księcia panującego w Łęczycy i na Kujawach Kazimiérza, w r. 1254. Zwołał książę pięciu panów rady, których dyplomata wylicza, żeby wydać wyrok w tej sprawie. Po rozpo-

znaniu pretensyj stron obojga, jednomyślnie postanowili panowie rady, że mocen jest każdy żołnierz czy szlachcic rozdawać dobra swoje na własność dla kapitul i biskupstw: czyto darowizną między żyjącymi, czyli też przekazywać je dziedzictwem przez testament, nie pytając się o to wcale swoich spółkrewnych. W lat potem cztery tenże Zdzisław kasztelan wydał drugi akt prawny na ręce biskupa Wolimira, którym przyznaje, że te trzy wioski, o których mowa, a które darował kościołowi kujawskiemu, bierze od téjże kapituły niby w dzierżawę aż po dzień swojej śmierci (dypl. 75). Sprawa ta objaśnia wiele dawne majątkowe stosunki i zasady, któremi się przodkowie nasi rządzą. Widzimy także całe postępowanie sądowe ówczesnych Polaków; widzimy, jak się formował trybunał najwyższej instancyi pod przewodem księcia, który jednak sam przez się nie mógł wydawać wyroku, kiedy panów używał do rady i roztrząsania prawa stron obojga.

Wojskowy u przodków naszych nazywał się poprostu żołnierzem, *miles*. Dzisiaj wyraz ten oznacza najniższy stopień w hierarchii wojennej, a dawniej był widać pięknym, zaszczytnym tytułem: kasztelanów i wojewodów nazywano *miles*. *Nobilis* oznaczał tylko szlachcica, co nie walczył w boju z nieprzyjacielem. Wiele uczące można także robić spostrzeżenia nad tytułami innymi dawnych Polaków. Nieustalony jest w dyplomatach zwyczaj, tytułowania świadków obecnych przy spisywaniu aktów; pisano po prostu z początku; później znakomitszym i biskupom dodawano tytuł *domini*, później pojawiły się *honesti et clari*, a bardzo późno, już za Jagiellów, *magnifici*. Jednakże z tytułów, które sobie sami panowie w dyplomatach nadawali, możemy wnosić wiele i o charakterze samych osób. Janisław np. arcybiskup gnieźnieński pisał się zawsze z *politowania* albo z *miłosierdzia Bożego* (*providentia, miseracione divina*). Jego następcy nazywali się z łaski Bożej czasami; a dumny np. Domarat Grzymalczyk poznański biskup, osoba w swoim czasie znakomita, zawsze się łaską Bożą szczycił przed innymi; pobożni znowu opaci pisali się w dyplomatach *motu divino* (ze skinienia Bożego).

Z ciągłego także utrzymywania się zwyczaju, że u spodu dyplomatów załączano zawsze nazwiska świadków, widać jak tworzyły się w Polsce kolejną czasu urzędy i cała hierarchia tytułów, któremi się potem pokryła nawet w powiatach Rzeczpospolita. Urzędy grodzkie dobrze już później nastąpiły za rozwojem towarzyskiego życia. Za czasów Piastowych w Polsce były tylko urzędy ziem-

skie, i starostów nie znali ówczesni książęta, a gród i ziemstwo znaczyło jeszcze wtedy jedno, bo rozdwojenia obowiązków i samej zasady nie było. Instytucją starostów grodowych możemy dopięro od Czechów przejąć, kiedy królowie z tej dynastji gubernatorów swoich po Lechii stanowili. Nie zawadzi jednak zrobić tu uwagę, że generalowie wielkopolscy byt swój urzędowy, jak sądziliśmy dotąd, i jak się przekonywamy z Dyplomatarjusza, dopięro za Wacława Czeskiego w Polsce rachować poczeli (1).

Byłito zapewne gubernatorowie kraju z rozległą sądową i administracyjną władzą, jako namiestnicy króla, który przesiadując w Czechach, nie mógł sam czuwać nad Lechią. Kraków i Poznań byłyto dwa ogniska, do których zbiegało się życie dawnego państwa stworzonego gienuszem Bolesława Chrobrego. Nie wiadomo jeszcze było na początku XIV wieku, czy Poznań, czy Kraków zostanie stolicą nowego królestwa. W Poznaniu Przemysław I przyjął *insignia* monarchiczne; właściwa zatém Polska królestwem była, a Kraków odznaczał się tylko, jako stolica księztwa, które przodkowało niegdyś całej Lechii. Do Krakowa i historia i zadawniały zwyczaj ciągnęły książąt; ale Poznań teraz wzniosł się nad Kraków i było w Lechii rzeczywiście, dwa, trzy, pięć może udzielnych państw połączonych z sobą li tylko przez władzę jednego monarchy. Unia księztw lechickich osobistą była jeszcze i nieprawną. Ważności Poznania między innymi i ta okoliczność dowodziła, że cała Lechia od czasów Łokietka dopięro zaczęła się stanowczo nazywać Polską. Kraków jednak utrzymał się przy pierwszeństwie. Może dlatego samego, ściślejsza unia księztwa polskiego z ziemiami Chrobatów pod Krakowem przysła z większą łatwością do skutku. Państwu Bolesława W. które z rozdrobionych części napowrót zaczęło się zrastać, Poznań wprowadzie dał imię, ale to państwo w chrobackiej części swojej znalazło stolicę.

Królowie czescy więc dla utrzymania Poznania, do którego korona była przywiązana, stanowili namiestników swoich w ojczyźnie Piasta. Byłito kraj świeżo, bardzo niedawno przyłączony do Lechii. Namiestnicy królewscy mieli tutaj władzę zupełną z początku; ale potém, za ustaleniem się na tronie dynastji Ja-

(1) Rzecz dziwna jednakże, że jedynie w Wielkopolsce przechował się do ostatnich chwil rzeczypospolitej urząd generalnych starostów. Z wydanych akt mamy częste ślady, że w kilku innych miejscach kraju rządili podobnie czescy gubernatorowie; np. pod r. 1303 czytamy Tassę de Wissenbruch starostę Kujaw i Pomeranii (dypl. 180).

giellońskiej, generalowie wielkopolscy reprezentując w swojej osobie jedność państwa Przemysławowego, zostali tylko przy sądowniczej władzy: gubernatorów, rządców wtedy już niepotrzeba było. Nam się zdaje, że wtedy zaczęła się kształcić w Polsce cała instytucja grodów. Kasztelanowie z rządców ziem i powiatów przeszli do senatu, stracili władzę administracyjną, zyskując na godności: bo znaczenie senatora większe było w Jagiellońskiej Polsce, jak w Piastowej, a na ich miejscu po grodach zasiedli starostowie z juryzdykcyą, po królewskich zaś tytułarni tylko starostowie bez juryzdykcyi. Początek grodów takim sposobem sięga epoki czeskiej w dziejach naszych.

Wszystkich zatem sędziów, podsędków, pisarzów, z Dyplomatarjusza wyjętych z epoki Piastów, możemy za urzędników ziemskich poczytywać. Starostowie (Capitanei), pierwszy ślad grodzkich urzędników, pojawiają się dopiero w XIV wieku, jeżeli już ówczesni starostowie znaczyli to, co późniejsi.

Podkomorzych już bardzo dawno znajdujemy po ziemiach i powiatach. W początkach XIII wieku już napotykamy na ich ślad. Był jednakże czas, zdaje się, że urzędy bez tego przyimka *pod* należały do starszych, jak w ostatnich czasach do młodszych. *Camerarius* (komornik) był przed wiekami i bardzo naturalnie czémś wyższém, jak *subcamerarius*. Jeden tylko kanclerz zachował i następnie swoje znaczenie i był starszym urzędnikiem jak podkanclerzy. Tymczasem podkomorzy był pierwszym w powiecie, w województwie obywatelem, kiedy komornik leżał niżej jak miecznik, jak wojski, jak skarbnik nawet. W Polsce Piastowej byli starszemi urzędnikami: kanclerz, skarbnik, komornik, sędzia, a za niemi już szli: podkomorzy, podsędek, podkanclerzy, podskarbi. Na ślad komorników nadwornych natrafiamy już w r. 1285. Był wtedy komornikiem księżnej, żony Leszka Czarnego, niejaki hr. Mścigniew (str. 108 T. II). Ale po ziemiach i powiatach rychło podkomorzowie otrzymali nad komornikami pierwszeństwo, i w r. 1412 widzimy już w Dyplomatarjuszu, że posługują się niemi w sprawach granicznych, jakby swojemi ofycyalistami (dypl. 356).

Urzędy dawne rzeczywistemi były, nie jak później tytułarnemi. I rzeczywiście, kiedy Lechia na mnóstwo księstw się rozdzieliła, musiał każdy panujący potomek Piasta dla pomocy w rządach mieć swojego skarbnika, coby mu rachował dochody i wydatki; swojego podkomorzego, coby w jego imieniu rozstrzygał

spory graniczne; swojego wojewodę, żeby mu dowodził wojskiem; swojego kanclerza, żeby mu pieczętował dyplomata; pisarza, żeby mu pisał; sędziego, żeby godził w jego imieniu zwaśnionych. W miarę zlewania się księstw w jedną całość wielkiego królestwa, ustawała ważność tych urzędów, bo na ich miejsce były już w Krakowie godności koronne dla całej Polski. Tak z dostojników książęcych, zjechali urzędnicy kujawscy, mazowieccy, sieradzcy na prostych tytułarnych bez żadnego znaczenia cześników i wojskich. Cała Rplita pokryła się tytułami, a tytułowanie stało się wadą narodową.

Pojąć jednak nie możemy, dlaczego, kiedy wszystkich dawnych urzędów pamięć zachowała się po ziemiach i powiatach, kiedy niejeden wyraz oznaczający godność, zmienił nawet swoje znaczenie, jak np. kasztelan, wojewoda, ale zawsze we wspomnieniu pozostał; czemu, kiedy skarbnika miał każdy powiat; godność kanclerzów ziemskich tak prędko wygasła? W XV wieku już nie znajdujemy kanclerzów po powiatach w dawnych księstwach. Może to wynikało z polityki panów, którzy w tym czasie dzierżyli pieczęć koronną. Kanclerze znajdujący się przy boku króla w Krakowie, może zniszczyli zabiegami swojemi ślad swoich współtowarzyszów po ziemiach, zazdroszcząc im władzy, a może rzeczywistego znaczenia; tém bardziej, że Jagiellonowie w tytułach swoich pisali się książętami osobno łęczyckimi, sandomierskimi, sieradzkiemi; unia więc osobista księstw może wciąż trwała. Skarbiec był już wspólny dla całego państwa, i nie mogło być inaczej; skarbnik więc powiatowy błyszczał tylko tytułem. Ale rozkazy, przywileje, dyplomata królewskie dla Sieradza np., może potrzebowały pieczęci kanclerza sieradzkiego, i w tém, zdaje się nam, kryje się właśnie cała tajemnica niczém nieobjaśnionego faktu, czemu kanclerze zniknęli w tłumie urzędników powiatowych.

Za pomocą jednakże Dyplomatarjusza, będziemy mogli ułożyć dokładne spisy tych kanclerzów po księstwach, przed epoką Jagiellońską, i spisy innych urzędników, np. skarbników, sędziów, podkomorznych. Spisy kasztelanów, wojewodów w Niesieckim będą już teraz mogły być o drugą połowę zwiększone, w epoce zwłaszcza Piastów. Znaleźliśmy nawet wiele błędów w Niesieckim, co do tych dostojenstw koronnych, wcale nie pod względem osób. Błędy te będą mogły być teraz poprawione. Niesiecki np. mówił, że w dawnych latach był w dzielnicy warszawskiej wojewoda czerski i że potem, kiedy Warszawa wzniosła się nad inne miasta,

w tej okolicy Mazowsza, kiedy Czersk i tytułu stolicy i kollegiaty nawet Warszawie ustąpić musiał: i wojewoda przeniósł się do nowego grodu i nastąpił tytuł mazowieckich wojewodów. Mazowieccy zatem czerskich następcami byli, podług Niesieckiego. To fałsz dziejowy. Jak był kiedyś książę całego Mazowsza, tak był i wojewoda całego Mazowsza. Książę płocki za stolicę Mazowsza uważał Płock, a czerski Czersk. Raz więc wojewodą mazowieckim być musiał czerski, drugi raz płocki wojewoda. Nie wskazujem tutaj wcale na większą jeszcze różnicę, jaka pod tym względem zachodzić mogła. Mazowieccy wojewodowie wspomniani są już bardzo dawno w dyplomatach, dawniej jak wojewodowie czerscy; nie mogli zatem mazowieccy być następcami czerskich. Błąd ząd poszedł, że Niesiecki mazowieckich wojewodów uważał za warszawskich. Był to w samej rzeczy w późniejszych czasach, ale nie było tak za Piastów. Z dyplomatów odkryliśmy wiele miast kasztelańskich, o jakich nie wiedzieliśmy; w dyplomatach znaleźliśmy i województwa, o jakich ani się śniło Niesieckiemu. My więc nie będziemy w jego położeniu: on błędził przez niewiedzę, płał osoby i rzeczy, mybysmy błędząc jak on, błędzili przez brak nauki i małe zgłębienie pomników, które leżą przed oczami. Tak samo cały systemat, całe rozumowanie autora *Korony*, zabiłaby wiadomość, że myśmy na jednym dyplomie, czytali razem pomiędzy świadkami wojewodę czerskiego i warszawskiego. Stolica zatem województwa nie mogła być przeniesioną z Czerska do Warszawy, i obadwa te miasta Mazowsza starego, były udziałem przed sobą stolicami. A z tego wypada, że i późniejszy kasztelan czerski w senacie nie był kasztelanem późniejszego mazowieckiego województwa, — on był kasztelanem województwa zgaśłego, tak, jak przed Stanisławem Augustem kasztelan gnieźnieński.

Niesiecki poplątał także ogromnie województwa kujawskie. Przywykliśmy wierzyć mu na słowo, i dlatego wierzyliśmy uczonemu Jezuitcie, że Inowrocław, Brześć Kujawski, należały kiedyś do wojewody kujawskiego; że około r. 1400 nastąpiło rozdzielenie się, i że od tego czasu nowe województwo inowrocławskie z początku nazywało się gniewkowskim. Wierzyliśmy także Niesieckiemu, że gnieźnieńskie województwo zmieniło się jakoś od roku 1300 w kaliskie. Wszystko to są fałszywe dziejowe. Spisy wojewodów w ziemiach kujawskich, w *Koronie*, muszą być do szczeru przerobione, bo im nic wierzyć nie można, z tego powodu, że Niesiecki domysły swoje wziął za fakt nieodwołalny. Myśmy w jednym

dyplomacie znajdowali i wojewodę kujawskiego i wojewodę brzeskiego; Brześć zatem nie był stolicą województwa kujawskiego (dypl. 330). W inném miejscu czytaliśmy jednocześnie wojewodę brzeskiego i władysławskiego (dypl. 370 i kilka innych). Widzieliśmy rozmaicie tytułowanych tych urzędników wysokich: de Vladislavia, de Vladislavia antiqua, de Junevladislavia, de Juvene-Vladislavia, de Brestia, de Cuyavia. Zawikłanie jeszcze większe co do kasztelanów, bo tam przybywa i kasztelan inowłodzki; pytanie teraz jak tłumaczyć te tytuły: kto będzie np. kujawski, kto inowłodzki, kto władysławski, kto inowrocławski kasztelan? Niesiecki spis kasztelanów inowrocławskich zaczął Janem Rogalą od roku 1402, a myśmy jeszcze pod r. 1262 w Kodexie Rzyszczewskiego (dypl. 33) znaleźli Bogusława kasztelana de Juvene-Vladislavia. Tenże sam Bogusław wspomniany jeszcze w dypl. 75 pod r. 1258. Z kasztelanii bydgoskiej posunął się na tę wyższą. Przecież to widocznie Juvenis Vladislavia, Inowrocław. A zatem i województwo inowrocławskie mogło być oddzielne i było oddzielne od gniewkowskiego, kiedy w Gniewkowie była także stolica księżęcia. Ten Bogusław jestto już wspomniany przez nas kasztelan bydgoski, który nie pozwalał Zdzisławowi robić darowizny na rzecz kościoła kujawskiego.

Wydzie zatem na domysł nasz, wyrażony poprzednio o Mazowszu. Kujawski wojewoda nie był w Brześciu, Włocławku, Inowrocławiu, a on w swojej osobie przedstawiał jedność całej kujawskiej ziemi, i mógł po kolei zasiadać w każdym z tych trzech miast głównych. Jeżeli zatem Niesiecki opierając się na tém, że Brześć był stolicą późniejszego wojewody kujawskiego, wojewodów brzeskich za kujawskich policzył: popełnił błąd, którego wprawdzie nie widział, ale który nas już razi. Jak później Kraków został ogniskiem dla całego ogromu Jagiellońskiego państwa: tak widać już w XIII i XIV stuleciu tworzyły się na mniejszą skalę centralizacye w kraju Piastów. Wojewodowie mazowieccy i kujawscy reprezentowali jedność Mazowsza i Kujaw, jak były przed rozpadnięciem się na drobne księstwa, i byli to już urzędnicy całego kraju mazowieckiego albo kujawskiego. Wojewodowie czerwski, płocki, warszawski, gniewkowski, brzeski i t. d. byli już względem nich prowincjonalnemi urzędnikami. Tego zdaje się uczy nas Dyplomatarjusz Rzyszczewskiego.

Co do Kalisza, to także fałsz dziejowy, żeby dopióro w roku 1300 został stolicą udzielnego województwa. Była dzielnica wła-

ściwie polskich książąt na Kaliszu. Ci książęta mieli swojego bema-
mana, a więc i wojewoda ich nie potrzebował nazywać się gnie-
źnieńskim; kaliskim był niezawodnie. Istotnie też już pod r. 1253
czytaliśmy w Rzyszczewskim Erkenbolda kaliskiego wojewodę
(dypl. 41, t. 1), a u Stronczyńskiego we Wzorach pism dawnych,
Jana syna Olbrachta także kaliskiego wojewodę pod r. 1252.

Nie potrzebowało zatem województwo gniewkowskie zamie-
niać się winowrocławskie, a gnieźnieńskie w kaliskie. *W dawniej
Lechii tyle było województw, co księstwo udzielnych.* Jak zaginęły
księstwa, tak zaginęły i województwa; niema poco szukać innego
klucza do rozwiązania zagadki. Ale kto weźmie za zasadę pó-
źniejszy senat polski, i policzywszy wojewodów i kasztelanów
w senacie, tylko im odpowiednich szuka kasztelanów i wojewo-
dów w czasach Piastowych, jak to zrobił Niesiecki: pewnie do la-
du nie trafi. Gdyby wszyscy wojewodowie i kasztelanowie Pia-
stowi weszli do senatu, nie byłoby ich zasiadało w ciele prawo-
dawczém rzeczypospolitej stu trzydziestu kilku, ale około trzystu;
liczba to wcale nieprzesadzona.

Wspomnijmy jeszcze, że znajdziemy w Dyplomatarjuszu
Rzyszczewskiego bogate źródło dla dziejów rodzin znakomitych
w dawniej Polsce, dla dziejów miejsc i dla samego prawa. Na-
zwiska zupełnie już wykształcone spotykamy z początkiem XVgo
wieku. W roku 1404 czytaliśmy już Bentkowskiego, Grabkow-
skiego, Kozielskiego, Welewskiego i Kroskiego, prócz wielu in-
nych. Tak chwytny na gorącym uczynku rodzący się zwyczaj,
przez który przodkowie nasi od włości dziedzicznych brali swoje
nazwania. Z rodzin polskich, genealogie i dzieje Kościeleckich
i Oporowskich domu, wiele zyskały ciekawych faktów. Te rodzi-
ny już wygasły; dobrze więc, że mnożą się źródła do ich historii,
która kiedyś napisaną być musi. Górkowie i Łascy mają także za
co dziękować. Biografie Mikołaja Trąby i Wojciecha Jastrzębca
prymasów, że nie wspomnim innych historycznych osób, zyskały
także wiele. Tu wspomnimy to, cośmy mówili wyżej o historii
miast. Miasta zyskały przez same daty dyplomatów, ludzie zy-
skali przez same te spisy świadków u dołu dyplomatów. Teraz
krok za krokiem możemy ich śledzić; wiemy gdzie byli o tej,
a o tej porze; wiemy czém się zajmowali, przy jakim politycznym
czy administracyjnym znajdowali się akcie. Takim sposobem po-
chody królów, podróże, dobrze kiedyś wyznaczyć będzie można.
Wziąwszy to, co podali o tém Długosz i Wapowski, za zasa-

dę wzięwszy dyplomata, ledwie nie co dzień będziemy wiedzieli gdzie bawił i co robił Władysław Jagiełło, albo syn jego Warneńczyk, że nie wspomnimy o poprzednikach. Warneńczyk kilka dyplomatów zbioru Rzyszczewskiego datował w Węgrzech. I tam mu do Węgier towarzyszyli panowie polscy. Wiemy teraz kto, wiemy gdzie i wiemy po co? W licznych podróżach po kraju Władysława Jagiełły także mu towarzyszyli panowie; wiemy także, gdzie byli i jacy. Któż nie widzi, że te urzędowe podania mogą wyświecić błędne podania kroniki? Więcej takich źródeł, a doprawdy będą u nas możebne życiorysy historycznych osób i rodzin.

Z tego powodu, nie mówiąc już wiele o tém, ile zyskały na wydaniu tych dyplomatów dzieje miast znakomitszych w kraju, wspomnimy o kilku mniejszej wagi osadach, których tém samém historia interesowniejszą będzie. W okolicach Warszawy bardzo starożytne miejsce Ujazdów, znalazło nowe w tomie II wspomnienia. Powsin jest dwa razy wspominany pod r. 1261 i 1282 (dypl. 83 i 118). Nie powiadamy nic o Rawie, w której nawet dość ważne zachodziły wypadki. Rawa jako stolica książąt, już warta szczegółowej historii. Mówiliśmy o Raciążu, wspomniemy teraz o Bobrownikach. Stary ten gród starościński zajaśniał teraz żywym interesem. Cierhocinek sławny wodami, wspomniany jest pod r. 1379 (dypl. 320). Łódź, zdaje się tak niedawna osada, dzisiaj miasto pełne przyszłości, już w r. 1428 brało uposażenie swojego kościoła od biskupów kujawskich; dokument bardzo ważny dla dziejów miejscowych (dypl. 379). Brześć Litewski nazywał się w początkach XV wieku Brześciem Ruskim (dy. 379). Mamy także lokacyą Warty, wydaną jeszcze pod r. 1255 (dypl. 64). Znajdujemy także dwa dyplomata Władysława Jagiełły, na lokacyą miast, których śladu dziś niéma, chyba zachowały się jako wioski. Mówimy w przywileju z r. 1410, mocą którego wieś Mazów, należąca do uposażenia kustosa archikolegiaty łęczyckiej, na prośbę Kielcza z Brzowa kustosa i kapelana królewskiego, zamienia się na miasto Mazów Kielcza (dypl. 358). Musi to być parafia Mazów w Łęczyckim. Drugi dyplomata z r. 1425 w Checinach wydany, mocą którego Władysław Jagiełło każe w lasach pod nazwiskiem Drzewe wykarczować miejsce dla nowego miasta Drzewe, któremu nadaje prawo magdeburskie. Czy to nie ma co wspólnego z Drzewicą w Sandomierskim? W przywilejach Władysława opolskiego napotykamy często nadania pustych pól i lasów do wykarczowania, dla założenia nowych osad w ziemi kolo-

myskiej. Nie będziemy się zastanawiać nad tém więcej, bo wielka ilość faktów odwodzi nas od tego przedsięwzięcia.

Jeden z większych i najważniejszy może pod względem prawnym dyplom, jest wyrok wydany w Rzymie w sprawie między Piotrem z Lubstowa a Janem biskupem kujawskim w r. 1426. Ten Piotr z Lubstowa udający się za kustosza katedry poznańskiej, przemocą zajął wieś Orle, należącą prawem własności do kapituły. Piotr dowodził, że to jego własność. W dyplomacie bardzo z tego powodu ciekawym, widzimy, jak sprawa przechodziła wszystkie instancje aż do Rzymu, jak Rzym zlecał rozpoznanie rzeczy swojemu delegatowi Piotrowi biskupowi elekteńskiemu; widzimy wszystkie pełnomocnictwa, formalności prawne, używane w XV wieku. Takich dyptomatów ściśle prawnej treści, mieliśmy i poprzednio kilka, może kilkanaście, a jednak szczegóły te wszystkie zajmują, chociaż powtarzane tyle razy. Wyrok Rzymu odsądził od pretensyi Piotra z Lubstowa. I widzimy zaraz w następnym dyplomacie (nr. 376 i 377) z Włocławka datowanym w r. 1427 Jakóba z Jezierska proboszcza z Uniejowa, jak się bierze do spełnienia wyroku zatwierdzonego w trzech instancjach. Że Piotr z Lubstowa upierał się jeszcze, Jakób go poddał pod cenzury duchowne, i znowu świadkami jesteśmy wielkiego aktu, jak się wykonywały podobne wyroki. Na dyplomacie czytamy podpisy kilkunastu proboszczów i wikarych sąsiednich okolic Piotra z Lubstowa, którzy wyrok Rzymu o klątwach duchownych czytali w swoich kościołach dla wiadomości parafian. Nas dziwi ten spór niby prałata z wyższém duchowieństwem w kraju. Nie możemy pojąć, jak on potrafił tak długo, tak nierówną wytrzymać walkę. Drugą klątwę cisnęło wtedy duchowieństwo kujawskie na Mikołaja z Krassowa, i kilku innych obywateli w kraju mieszkających w okolicach Rawy, którzy napastowali ciągle i łupieżyli dobra stołu biskupiego. Fakt to bardzo ciekawy dla historyi, ta banda panków, co się puścili na rozbój. W dyplomacie 378 patrzemy na wszystkie formalności ówczesnej klątwy. Władza dycecezalna rozkazała kilku proboszczom w stronach, gdzie zamieszkiwali napastnicy, uroczystie ją ogłosić. Każdy proboszcz miał przy wielkiem zgromadzeniu ludu, przybyłego na święto i modlitwę, z uroczystością zapalić świecę, odczytać wyrok klątwy, a świecę o ziemię rzucić. W ogłoszeniu z tego powodu mieli przestrzegać lud, żeby z Mikołajem Krassowskim nigdy nie znosili się, żeby z nim nie jedli, nie pili, nie mówili, nie kąpali się, nie

dawali mu ani ognia, ani przytulku; żeby na drodze nie jechali z nim razem; w sądzie, w rynku, w młynie i wszędzie przed nim uciekali. Szczegóły te znane, a jednak zawsze straszne i zawsze nowe dla tych, co szukają w przeszłości.

Przyglądamy się też w dyplomatach działaniom mecenasów dawnych, i widzimy, jak się tworzyła cała ta hierarchia obroncza, to grono urzędników publicznych. Dyecezye, województwa już w początkach XV wieku miały swoich notaryuszów i pisarzy, gatunek dzisiejszych rejentów. Instytucya ta brała źródło swoje w prawie rzymskiem; za nastaniemto zapewne akademii krakowskiej i za większym rozwinięciem się w narodzie ukształcenia prawnego, nastali u nas wszędzie ci *notarii publici*, którzy działali wszędzie z ramienia cesarskiego (*imperiali auctoritate*). Obok tego jesteśmy świadkami nierównie też ważnego dla prawa i dziejów kościelnych faktu, i widzimy, kiedy i jak tworzyła się władza officyałów biskupich. W roku 1403 officyałem kujawskim był Michał z Jassony kanonik (dypl. 342). Kilka aktów w Dyplomatarjuszu, w których sprawy o dziesięciny, rozsądzałi officyałowie (dypl. 342, 344, 380). W XIV wieku officyałów po kapitułach polskich nie znajdujem. W czas jakiś potem, kiedy się coraz bardziej rozwijało życie, nastają po naszych biskupstwach suffraganowie. Tak śledzim krok za krokiem rozwój prawa i zwyczajów publicznych w Polsce.

Podobny spór do sporu Piotra z Lubstowa z kapitułą, znajdujemy pod r. 1423 o wieś Mirosławice, pomiędzy Piotrem Bolestą proboszczem łeczyckim, a kollegiatą tegoż kościoła. W sprawie wyrokował Strzesko kanonik poznański, proboszcz łowicki, jako sędzia polubowny. Wyrok padł na stronę kapituły. Ta sprawa mniej miała rozgłosu, bo oparła się tylko o arcybiskupa Mikołaja Trąbę (dypl. 364).

Największy dyplomata (nr. 384) zawiera ciekawą sprawę biskupa kujawskiego z Gdańskiem, toczoną już od lat 12, a ukończoną wyrokiem rzymskim w r. 1432. Szło o dom, jaki biskupi posiadali w tém mieście, dom przez Gdańszczan zburzony. Rzecz zdaje się małej wagi, ale nadzwyczaj interesująca dla bogactwa szczegółów. W tym jednym akcie jest kilkanaście innych aktów; listy, dokumenta urzędowe, wyroki, które objaśniają wielce stosunki biskupów w owym czasie z Gdańskiem, i przedstawiają znowu cały tryb ówczesnego postępowania sądowego. Szczegóły te jeszcze tém więcej interesują, że była ta sprawa na bardzo nie-

wiele przed powstaniem Prus i obaleniem jarzma krzyżackiego, a towarzystwo jaszczurkowe i jej córki działały pokryjomu na Pomorzu.

Znajdują się i dokumenta dotyczące się podatku Świętopietrza dla stolicy apostolskiej (dypl. 323, 332).

Z aktów politycznych co interesowały ogół kraju, mamy tutaj znowu kilka dyplomatów księcia Władysława opolskiego. Najważniejszy pod r. 1393 (nr. 329). Mocą tego przywileju Zygmunt brandeburski król węgierski, niedoszły król polski, już w lat 7 po ślubie Jagielly z Jadwigą, pozwalał księciu sprzedać Kujawy i Dobrzyń. Ciekawy jest także dyplomata Jagielly w r. 1396, którym żonie swojej Jadwidze nadawał dożywociem ziemię kujawską i ruską (dypl. 333). To wyświeca stosunki familijne protoplasty Jagiellonów naszych i pokazuje, że Jadwiga chętnie się pod wolą męża oddawała, chociaż czuł Władysław, że jej tylko winien był koronę. W dyplomacie jest, że król nadaje to na wano (wiano) Jadwidze. Pod rokiem 1404 spotykamy akt, wydany w Korczynie przez króla, mocą którego zobowiązał się Jagiello, że na przyszłość wcale obowiązywać nie będzie i ściągany być nie ma podatek świeżo uchwalony na wykupno dobrzyńskiej ziemi, po pięć skotów czyli 10 groszy polskich, do którego się panowie dobrowolnie zobowiązali. Podatek więc Ludwika po dwa grosze od lanu, miał i nadal cały fundusz publiczny stanowić (dypl. 349).

Nadzwyczaj też nas zająć mogą starania Jagielly dla zapewnienia po swojej śmierci tronu polskiego synowi Władysławowi. Wiedzieliśmy już o królewskich chęciach. Sprawę tę jednocześnie rozbięły sejmy i zjazdy, którym król przewodniczył. Panowie i szlachta obiecywali młodego królewicza uznać za przyszłego władcę losów narodowych, ale za to targowali się o większe swobody. Jagiello jednak czy nie wierzył panom, czyli też chciał większego zapewnienia, udał się do miast z prośbami. Starał się ująć dla siebie stan miejski. Ta okoliczność pokazuje nawet, jak wielkie jeszcze wtenczas było znaczenie stanu miejskiego w Polsce. W Dyplomatarjuszu mamy kilka aktów, przez które mieszczanie zobowiązywali się królowi i przysięgali, że po jego śmierci uznają za monarchę syna jego Władysława i Zofię matkę jako opiekunkę, a gdyby Władysław umarł, córkę królewską Jadwigę, jeszcze pannę. Zobowiązanie takie na piśmie w r. 1425, 23 kwietnia złożył Radziejów; 9 maja Dobrzyń; 12 maja Bobrowniki; 31 maja Inowrocław. Te trzy miasta ostatnie, przy Zofii matce, i Witolda W. księcia litewskiego uznają za przyszłego

opiekuna królewicza. Kazimierz Jagiellończyk jeszcze się wtedy nie narodził. Król zaraz po narodzeniu starszego syna, rozpoczął swoje starania. Widzimy tutaj tylko cztery kujawskie miasta: ileżto innych takich zobowiązań się, mógł wyjednać dla dynastji Jagielloj! Ale jest nadzieja, że znajdą się i inne podobnej treści dyplomata, dlatego, że i te cztery są drukowane z archiwum metryk koronnych. Stan miejski należał zatém w XV wieku do elekcji królów. Zrobimy tutaj uwagę, że Jagiello zabiegał skrzętnie koło dobra dzieci, jako czuł ojciec. W tymże dyplomie znajdziemy pod r. 1429 zobowiązanie się Jana ze Szczekocina kasztelana lubelskiego, który także za pozyskane z łaski króla starostwo dobrzyńskie, poprzysięgał również, że po śmierci Jagielly służyć będzie synom jego Władysławowi i Kazimierzowi, a gdyby pomarli, córce jego, jeszcze niezasłużonej nikomu Jadwidze (dypl. 382).

Jagiello zatém ujmował sobie sejmy, rozszerzaniem ich prawodawczej władzy; szlachtę, pomnazaniem przywilejów; pojedynczych panów, starostwami; mieszczan obywatelami może, bo w dyplomatach miejskich powodu wdzięczności nie widzimy. Jagiello działać umiał, a te starania wyświecają jego dobre serce i charakter poczciwy.

Syna jego Warneńczyka uwiódł zapach młodzieńczy. Zostawszaj potém królem węgierskim, nawet w dyplomatach dla Polski i pod polską pieczęcią, pisał przed swojemi ojczystemi, węgierskie tytuły. Mybyśmy mieli prawo dziwić się Warneńczykowi, ale widzimy z Dyplomatarjusza, że do Polski sięgał znakomicie wpływ węgierski. Z czasów Ludwika bardzo wiele Węgrów osiadło w Polsce. Spotykamy imiona węgierskie po kapitulach, nawet już pod r. 1426. Wpływ ten rozszerzał już po Ludwiku Władysław opolski i zły duch narodu, luxemburski Zygmunt, mąż Maryi, siostry Jadwigi. Jednakże nie mógł być wpływ ten tak znakomity, żeby aż umiał uczucie narodowe. Mógł Warneńczyk klasć swoje tytuły węgierskie przed polskimi na aktach i dokumentach węgierskich, ale nie powinien był tego robić na polskich, a zwłaszcza, kiedy kancelerzów koronnych miał przy swoim boku. Nam się zdaje, że to wpływ pojęć ówczesnych. Dawniej, przed wiekami, było starszeństwo pewne pomiędzy panującymi w Europie. Cesarz oczywiście stał na czele, za nim szedł król francuzki, dalej inni monarchowie; król węgierski miał już wtedy tytuł apostolskiego króla, i koronę nosił z wiedzy i pozwolenia pa-

pieza właśnie wtenczas, kiedy o nią prosił napróżno Mieczysław I. Królowie polscy, zacząwszy od Bolesława Wielkiego koronowali się prawem przywłaszczenia, bo nie otrzymali wcale korony z Rzymu, i dlatego w oczach legitymizacji ówczesnej, byli dobrze niżsi i młodszy od węgierskich, bo zaczęli właściwie być prawni od Przemysława poznańskiego i Wacława czeskiego. Jednakże to pierwszeństwo, zdaje się, zginąćby zupełnie powinno za czasów Jagiellońskich, kiedy Węgrzy brali od nas swoich królów i sami szukali sojuszu z Polską; a przecież w Górnickim jeszcze znajdujemy wzmiankę, że na weselu Izabelli, która szła za męża za Jana z Zapola króla węgierskiego *in partibus infidelium*, taż sama Izabella córka, siedziała przy bankiecie wyżej od matki swojej królowej Bony. Warnieńczyk zatem widać dla tych samych powodów, dla swojego tytułu w Węgrzech apostolskiego króla, kładł w dyplomatach na końcu tytuły i księstwa polskie.

Rzucmy jeszcze kilka uwag o wydaniu Dyplomatarjusza Ryszczewskiego.

W dziełach takiego rodzaju powinna koniecznie kierować ręką wydawcy krytyka historyczna. Wydać można cudzy poemcik albo powieść, a niekoniecznie do tego potrzeba zasobu obszernego wiadomości; ale wydawać Dyplomatarjusz, akta urzędowe, dokumenta prawne, które dla historyi, dla obyczajów, dla sporów wreszcie są nadzwyczajnej wagi zabytkami, musi i może tylko człowiek uczony, obeznany z tego rodzaju pracą. Trudno szukać w jedenastym, dwunastym, trzynastym i dalej wiekach ludzi uczonych tak, jak ich wiek nasz pojmuje. Najświatlejsi w owych czasach byli nie książęta, a kapelani, pisarze, notaryusze, kanclerze użyci po dworach, których tak wiele było w ówczesowej Lechii do układania aktów i pisania przywilejów. A przecież znajdujemy nieraz błędy w dawnych aktach wszelkiego rodzaju. Nawet język łaciński urzędowy brzmi nieraz dziwacznie pod ich piórem. Myśmy już przywykli do średniowiecznej łaciny, do leoninów i barbaryzmów, a przecież i tak jeszcze nieraz znajdujemy w dyplomatach zagadki niełatwe wcale do odgadnienia. Jeden wyraz rozmaicie pojmują dawni pisarze i kanclerze. *Patruus* jest stryjem i bratem stryjecznym; *filiaster* czasem pasierb, czasem synowiec, albo syn przyrodni. Są tam i wyrazy bez znaczenia; np. co znaczy *Antipater*? ojciec, dziad czy pradziad? Przykładów podobnych możnaby wiele przytoczyć. A potem zważmy i niejedność ortografii. Mamy przykłady jeszcze z czasów

łotój Zygmontowskiej literatury, w czasie tak wysoko posuniętego umysłowego życia, dziękuj i niepojętej dla nas pisowni; i dziwić się teraz, że przodkowie nasi nie tak oświeceni, nie mając dobrze ułożonego abecadła, nie mając filozoficznych zasad za oznakę swojej ortografii, dziwić się, że pisali dziwnie: np. *Meduna*, za *Miedza*, *Sarnou* za *Żarnów*. Są przykłady, że i polskie imiona tłumaczyli na łacińskie, bo w *Meduna* i *Sarnou* jest tylko złagodzenie głosek polskich, żeby nazwiska miały kształt łaciński; a jakże te nazwiska polskie mogły wyglądać w tłumaczeniu? Otóż właśnie dla objaśnienia textu, dla objaśnienia tych nazwisk, rzeczy i osób, potrzebna przy wydaniu krytyka historyczna. Znakomity uczony krakowski Helcel, miał sobie polecone objaśniać text dla Dyplomatarjusza, ale pracę swoją dociągnął jedynie do dyplomu 107 tomu Igo, a tom IIgi wyszedł bez wszelkich objaśnień. Helcel poprawia krytyką daty śmierci biskupów, naprawia błędy kronikarzy, ale niezawsze godzi z sobą źródła. W oznaczeniu wsi i miasteczek jest nadawczy i nieszczęśliwy. Naciąga tu fakta i przekręca myśl dyplomatów, bo w inném miejscu wyznacza komuś pole działania jak było rzeczywiście; raz taki błąd postrzeżony, robi czytającego ostrożniejszym. Gdyby Helcel objaśnienia swoje tam, gdzie nie był pewnym prawdy, podawał prosto za domysły, niemilibyśmy nic przeciw temu; ale on słowo swoje kładzie na wagę, jak *Brennus* żelazo. A przytém znajomość miejscowości nieraz całe to satuczne rozumowanie obalić może. Pamiętamy np. w tomie Iszym jest dyplom z r. 1364, w którym Eloryan kanclerz łeczycki rozrządza dobrami swojego urzędu (dypl. 128). Datowany jest w *Kazanowie*, a ktoś z wydawców, bo już nie Helcel, objaśnia, że to *Kazanów* miasteczko w powiecie radomskim. Kto zna miejscowość pozna zaraz, że blichtr udają za prawdę. Świadcami na tym dyplomie podpisani są *Dobiesław* dziedzic *de Conyskaje*, *Stefan* dziedzic *de Redno*, *Wojśław* dziedzic *de Pomorzana* i t. d. *Końskie*, *Belno* i *Pomorzany*, wioski w XIV wieku, dziś są wioskami jeszcze, ale pod miasteczkiem *Końskie* i w powiecie opoczyńskim; a zatém i *Kazanów* w którym datowany dyplom, nie będzie to miasteczko w *Radomskim*, ale wioska także o pół mili od *Końskich*, w której stoi kościół bernardyński, założony za *Zygmunta III*. Wydawcy objaśniając, rzecz zaciemnili, a pełno takich zaciemnień i domysłów na wiatr rzuconych w przypiskach Helela. Nazwiska osób zostawił on zupełnie bez objaśnienia, a *Mstivojus*

i Mstivuj, Benya i Benjamin, mogą być jedną i tą samą osobą. Dyplomatarysz Rzyszczewskiego, który najwięcej przysłużył się dotąd dziejom kościołów, kapituł i osób historycznych i miejsc, nie potrzebował takiej pomocy, co mać tylko źródło, a nie czyści. Bo Helcel pomimo wielkiej nauki, nie miał widać wielkiego rozczytania się w dziejach Polski; nazwiska swojskie podaje często za cudzoziemskie i nie zapoznaje wiele imion pospolitych rodowych. Przy objaśnieniach Helcela mógłby Voigt dalej jeszcze jak do Pomorza rozciągnąć narodowość niemiecką: możebyśmy i Mazurów pod Warszawą uznać musieli za pokolenie dawnych Teutów. Trzeba patrzeć okiem najwięcej polskiem na odległą starożytność i dogrzebywać się śladów dawnych przodków. Objasnić Dyplomatarysz Rzyszczewskiego to praca Szulca, nie Helcela.

Przyznajemy chętnie, że im się więcej zajmujemy tym szacownym Dyplomataryszem, tém bardziej nie mamy ochoty rozstać się z nim tak prędko. Im więcej przyglądamy się jego treści, tém większa miłość rodzi się w nas dla téj grudy, jakby cudem od zatracenia wyrwanych pamiątek. Gdybyśmy chcieli w krótkich chociaż słowach skreślić już ten pożytek, jakiśmy z czytania tego Dyplomatarysza zyskali, my, co piszemy ten przegląd, jużby nam przyszło długo i szeroko o tém rozprawiać. Nie ma w tym zbiorze akt, prawie żadnego dokumentu, któryby nam powodu do nowych poszukiwań nie nastreczył i nie zmusił do mnożenia dawnych historycznych notat. Przekonani, że spisy porządne dostojników w narodzie, senatorów i dygnitarzy, tudzież biskupów i członków kapituł, suffraganów, a potem urzędników ziemskich, ułożone chronologicznie i na zasadzie aktów urzędowych, mogą być wielką przysługą dla ludzi zajmujących się badaniem przeszłości naszej, myśmy oddawna i starannie układali te spisy. Niesiecki długo nam był wzorem, bo podał pierwszą myśl do pracy i pierwszą treść. Nasza myśl jednakże o wiele ogromniejsza od Niesieckiego pracy przyjęła rozmiary, bo myśmy zbierali prawie wszystkich utytułowanych, np. starostów grodzkich, podkomorzonych ziemskich, chorążych i marszałków powiatowych na Litwie, kiedy autor *Korony* spisywał tylko senatorów. Niesiecki wciągał w listy swoje wszystkich, o jakich tylko mógł słyszeć: wojewodów, kasztelanów, jakich tylko znalazł po książkach i kronikach; myśmy nie przyjęli nic do swoich spisów, czegoby nie potwierdziły urzędowe akta. Niesiecki pisał senatorów tylko, a myśmy nie pominęli i porządku województw i kasztelanij zapomnianych, np. wojewodów wrocławskich

i sądeckich, kasztelanów świeckich i starogrodzkich. U Niesieckiego senat jedynie; w naszych spisach urzędnicy całej Lechii. Z naszych dopiero list, będzie można widzieć rozwijanie się w Polsce hierarchicznego porządku od najniższego stopnia dostojństwa, aż do hetmańskich buław i kanclerskich pieczęci. Myśmy zwrócili uwagę na tak zwanych pisarzy dworu (notarii curiae nostrae), któremi za czasów Piastowskich posługiwali się książęta. Ci *notarii* byli publicznymi urzędnikami; ich znaczenie i powaga na kanclerski urząd wyglądały. Tak cały rozwój tych szczeroszla-
checkich godności widoczny będzie w spisach naszych.

Dyplomatarysz Rzyszczewskiego, prawdziwe morze wiadomości rzuciwszy pomiędzy nas, spisy urzędników ogromném zasilil bogactwem. Piastowskich czasów nie poznałby Niesiecki, gdyby jego listy z dopełnieniami i objaśnieniami wydrukować. Tam faktów przybyło o połowę, a może i więcej nad połowę. Nie powiemy już nic o tém, że jego podania co do daty śmierci tych lub owych osób, co do daty postąpienia na wyższy urząd, w wielu bardzo miejscach uległy zmianie, a widnokrąg historyczny rozwidnił się przez to. Postaci dziejowe zyskały wiele przez te sprostowania mimowolnych może Niesieckiego błędów. Wszystkie stare i dawne zbiory aktów mogą w podobnej rzeczy wiele objaśnić, ale Dogiel znajomy już i dlatego ześmy się z nim otrzaskali, nie obudził tyle w nas radości, co Dyplomatarysz Rzyszczewskiego. W tym ostatnim każdy fakt nowością, każdy fakt skarbem; kiedy w Dogiela dyplomatach znajduje się albo Niesieckiego potwierdzenie, albo wyciągną się z nich już znajome przedtém Niesieckiego poprawki. Co do urzędów litewskich, autor *Korony* szereg ich ciągnął od ostatniej lubelskiej unii 1569 r. Każdy widział, że przez to spisy Niesieckiego nie mogą być w żaden sposób zupełne. Marszałków tak bardzo wielu było w dawniej Litwie za Jagiellów, a marszałkowie wtenczas byli troszkę hetmanami. Toż samo mówić o innych urzędach, o namiestnikach, z których wojewodowie powstali, o kasztelanach np. w Połocku, Smoleńsku i Mścislawiu. Najwięcej pod tym względem dla Litwy położył zasługi Niesiecki. Koniecznie zatem musiał ktoś zająć się przerobieniem tych list ciekawych w tomie I *Korony* i dopełnieniem ich; światło wieku, wiele naprzód posunięte poszukiwania, i ogrom materiałów zmuszały do tego. Myśmy podjęli się tej pracy, a Rzyszczewskiego Dyplomatarysz z bogacił nas, wyznajemy to z wdzięcznością. Co do Litwy, i w nim także niewielkie bogactwo. Zawsze to zbiór aktów do r. 1506, kiedy wciąż prawie jeszcze Litwa z koroną szły

oddzielnie; ale przecież i tutaj znajdujemy już pod r. 1457 Kieżgajłowicz z Dawiltowa kanclerza litewskiego (tom I dypl. 188), kiedy Niesiecki spis swój rozpoczął Mikołajem Radziwillem wojewodą wileńskim dopiero w r. 1508, wspomnianym także u Rzysszczewskiego pod r. 1492 (tom I dypl. 194).

Spisy nasze wydrukujem kiedyś, ale jeszcze nieprędko, bo-
byśmy chcieli rzeczywiście zrobić przysługę dla dziejów naszych,
i dlatego staramy się, żeby przedewszystkiem te spisy były zu-
pełne. A tutaj dzień każdy może przynieść pożytek. Im więc
później wydanie nastąpi, tém będzie dokładniejsze. Ze spisami
recz się tak ma, jak z regestrami dyplomatów już drukowanych,
które układał Rzysszczewski; im późniejsze, tém większą zapewniają
korzyść dla całkowitego pojmowania dziejów.

Wskazaliśmy na jeden tylko skutek, jaki już sprawiło wy-
danie Dyplomatarjusza; na jedną z tego korzyść, jakąśmy sami od-
niesli. Rozwodzić się dłużej nad tém nie będziemy: bo powta-
rzamy raz jeszcze, wszystko w tym zbiorze uderza nas nowością.
Raz tylko jeszcze napomkniemy o Mazowszu, żeby wskazać, jak
wiele mogą zyskać tak zapomniane w ogólnym widoku dziejów
Lechii, dzieje krainy Konrada i Ziemowitów, przez wydanie takich
aktów np., jaki spotykamy w tomie II Dyplomatarjusza pod r.
1236, w którym książę Konrad oznacza granice księstw dwóch
synów swoich: Bolesława mazowieckiego i kujawskiego Kazimié-
rza (dypl. 20).

Stronczyńskiego Wzory i inne dyplomatarjusze.

Na lat kilka przed Rzysszczewskiego przedsięwzięciem, wy-
daniem także kilkudziesięciu dyplomatów przysłużył się dziejom
naszym Kazimiéř Stronczyński. Właściwie mybyśmy od Stron-
czyńskiego zacząć powinni nasz przegląd, bo pośród ogólnego
uspienia literackiego, dyplomata przezeń wydane były przykładem,
wzorem, a może i zapowiednią. Zaczęlibyśmy od Stronczyńskiego,
gdybyśmy szli porządkiem chronologicznym. Ale Dyplomatarjusź
Rzysszczewskiego był przedsięwzięciem więcej uczoném, był dzie-
łem większego znaczenia dla dziejów, miał przed sobą przyszłość,
zdumiewał ogromem, wtedy, kiedy Stronczyńskiego *Wzory pism
dawnych w przerysach wystawione*, miały więcej na celu dać poznać
wzory tych pism dawnych, jak zapoznać ze źródłami. Dzieló

Stronczyńskiego było wydane niby dla tych, coby chcieli nauczyć się czytania dyplomatów. Wprawdzie i ono miało przyszłość: bo Stronczyński wydawszy część *piérwszą*, już tém samém pokazywał chęć swoją że ma zamiar i dalsze części drukować. Ale skończyło się li tylko na przedsięwzięciu; nikt nie odmówi pierwszeństwa *Wzorom pism dawnych*, ale każdy przyzna, że *Codex Diplomaticus* ma większe zasługi do wdzięczności naszej. Stronczyński drukował *Wzory*, wpośród wielkiego uspienia umysłowego; nie pamiętamy, żebyśmy gdziekolwiek czytali wzmiankę, a tém bardziej rozbiór tego wydania: bo słów kilka Biblioteki Warszawskiej, która akt jeden przedrukowała, za recenzją i przegląd uważać nie można. Będzie więc nową zupełnie praca nasza, która da poznać treść *Wzorów*. Bo te *Wzory* zawierają w sobie 90 pomników z przeszłości: nabytek, jak widzimy, dla dziejów Polski nieszczupły.

Stronczyński tłumaczył się w przedśłowiu, że znajomość dawnych charakterów i zręczność ich dokładnego wyczytywania, zagraża zupełném u nas zaginieniem. Wiadomość ta przechodziła z jednego pokolenia palestry na drugie, a pominiętą zupełnie została w naszym kształceniu prawników. Dzisiaj jest udziałem szczupłej liczby osób, którzy ją w spuściznie po przodkach otrzymali. Archiwa jednak dawne są bardzo ważnym składem dla wszelkiego stanu osób. Dlatego Stronczyński przedsięwziął ułatwić archiwaryuszom czytanie pism dawnych, zebrał wzory, i piśmem tegoczesném chciał je objaśnić. Otoż mamy pokrótce wyłożony i cel wydania: cel zapewne szlachetny, tém bardziej, że do *Wzorów* użyto aktów ściśle historycznej treści. Takim sposobem dzieło uczące czytania, stało się źródłem historyi.

Miały być dwie części tych *Wzorów*: piérwsza dyplomata, druga pisma metryki publicznej, czyli notaryalne, miała dać poznać. Ta część Isza wyszła i obejmuje dyplomata od r. 1228 do 1536. Jak na nieszczęście *Wzorów* tych odbito tylko 40 exemplarzy, to jest tyle, ile potrzeba było dla użytku archiwów dawnych w królestwie. Dzieło Stronczyńskiego jest zatem już w naszych czasach rzadkością bibliograficzną. Wyszło w drukarni Kommissyi Rządowej Sprawiedliwości w r. 1839. Lubo Stronczyński obiecywał w miarę przybycia materiałów wydrukować dodatek do téj części, obietnice skończyły się na niczém: bo nawet część druga, mająca zawierać akta notaryalne, do dziś dnia niewydana.

Jest we *Wzrach* Stronczyńskiego dyplomatów kilka już znanych, wydrukowanych przez Dbgiela, którego błędy poprawił

teraźniejszy wydawca. Zsyła się na *Wzory* i Rzyszczewski w dyplomatarjuszu kujawskim. Są tu więc rzadkości także, ale całe wydanie nie doszło nigdy dokładności dyplomatarjusza. Bo téż i cel Stronczyńskiego nie był drukować akta, a tylko ułatwić czytanie. Mamy powód uważać się na to, bo wydanie *Wzorów* stało się tym sposobem czysto mechaniczną, a nie uczoną pracą; a dyplomata znajdujemy w Stronczyńskim *in crudo*, bez żadnych objaśnień, bez krytyki historycznej, która wydaniu takiemu towarzyszyć powinna, jeżeli z tego dzieje mają odnieść rzeczywistą korzyść.

Kujawskich i mazowieckich dyplomatów we *Wzorach* także najwięcej. Sąto darowizny Konrada i innych książąt dla Krzyżaków, np. chełmińskiej ziemi, Orłowa i Dobrzynia. Darowizny te nastąpiły r. 1228, a już we dwa lata później, sam dawca Konrad musiał zeznawać darowiznę chełmińskiej ziemi i oddać Krzyżakom jeszcze Nieszawę ze czterema wsiami. Tych aktów z Krzyżakami, rozejmów, ugód, jest tutaj kilkanaście; powtarzają się znowu zobowiązania, rezygnacye dóbr na rzecz zakonu ze strony Guntera biskupa plockiego i Chrystyana Rawy. Widzimy po kolei, jak nie tylko książęta i biskupi, ale panowie i prałaci muszą pokazywać się hojnemi dla zakonu. Widzimy, jak następcy książęta muszą zatwierdzać darowizny poprzedników swoich. Przekonywamy się, że bracia zakonni niezawsze wierzyli w prawo swoje, kiedy je ciągle nowemi zobowiązaniami, przysięgami i aktami chcieli wzmacniać. Widzimy nawet stosunki prywatne, w jakie wchodzili Polacy z zakonem, np. kiedy Jan proboszcz kruświcki, i Henryk kapelan śgo Wincentego w kaplicy przy tymże kościele, brali jakby w dzierżawę od mistrza pruskiego wieś Młyn w roku 1265 (dypl. 7).

Pod tym względem stosunków książąt z Krzyżakami ważne są dyplomata z r. 1238 Kazimiérza kujawskiego, w którym zakon bierze pod swą opiekę (dypl. 9); i tegoż Kazimiérza drugi akt z r. 1257, mocą którego przyrzeka Krzyżakom, posiadanie zdobytych na Prusakach i dobrowolnie przez książąt mazowieckich odstąpionych dziedzin; przyrzeka, że nigdy do nich o to żadnej pretensyi mieć nie będzie. (Dypl. 11).

Znamy z historii tego książęcia charakter: dziki i chciwy umysł, popychał go do ciągłych zamieszek i kłótni. Kazimiérz posuwał się aż do okrucieństwa w stosunkach z innemi książętami Lechii, działał podstępem i złą wiarą. Przy takim charakterze, Kazimiérz był bojaźliwy, i małego ducha, i tylko słabszych od siebie

przestraszał. Jego pochlebstwa dla załonu rażą zatem, tak są nieszczemne. W r. 1263 miał spór z Hannonem mistrzem. Z największą zatem układnością zezwalał na sąd polubowny: on wybrał Sambora księcia pomorskiego i Wolimira biskupa; mistrz dwóch braci i Henryka biskupa chełmińskiego, a Kazimierz oświadczył na piśmie, że gdyby sędziowie na coś jednego zgodzić się nie mogli, spuści się zupełnie na wyrok biskupa chełmińskiego. Oczywiście zatem przyznawał już zawczasu zwycięstwo mistrzowi, bo dwaj bracia mogli umyślnie na wnioski nie przystawać, ażeby wyrok oddać w ręce biskupa (dypl. 12).

Na ziemię michałowską są tutaj aż trzy zapisy Leszka księcia kujawskiego dla Krzyżaków z r. 1303, 1304 i 1317. W r. 1312 Jan biskup płocki godził się z mistrzem Karolem z Trewiru o zamek Kxenite (dypl. 24), a Wacław książę płocki w r. 1326 zawierał przyjaźń i ścisłą zgodę z zakonem (dypl. 28). Jest wreszcie i dyplomata, mocą którego Kazimierz Wielki wybrał za sędziów polubownych w sprawie swojej z Krzyżakami Karola węgierskiego i Jana czeskiego królów w r. 1336 (dypl. 31).

Co do dziejów wewnętrznych Lechii, zwracają uwagę np. rozjem zawarty w r. 1332 pomiędzy Łokietkiem a Bolesławem kłęczym szląskim na Lignicy. Obiecali sobie wzajemnie obaj panujący, że napadać się nie będą, że zbiegów wydawać sobie będą, a napastników ukarzą (dyp. 29). Ziemowit mazowiecki wyznaje dalej w r. 1355, że Warszawę, Sochaczew i t. d. ma prawem lenności od Kazimierza W., że Zakroczym z Wizną wziął tylko na 3 lata, (dyp. 35, 36). Dalej ciekawy jest dokument, którym w r. 1390 Władysław opolski obiecuje księciu litewskiemu Alexandrowi swemu szwagrowi (Witoldowi) przyjaźń i pomoc; oczywiście przeciw Jagielle, chociaż tego nie ma w dyplomacie, (dypl. 40). W roku 1403 widzimy, że Bogusław szczeciński książę przyjęty został do grona familijnego Jagielly z płacą roczną 800 marek; za co książę obiecał stu żołnierzom z dzidami mieć na każde zawołanie królewskie. Tenże Bogusław w roku 1409 zawarł pokój z Jagiellą (dypl. 43). W r. 1410 Władysław król dał Zygmuntowi węgierskiemu pismo na wolny przejazd przez ziemie polskie do Prus, w celu rokowań z zakonem, dla których ten Brandeburczyk ofiarował swoje pośrednictwo (dypl. 44), i podobne pismo na wolny przejazd dane było przez Jagiellę Henrykowi de Plauen (dypl. 45). W roku 1423 Jagiello o Drahim upominał się u Krzyżaków (dyp. 47), a w dwa lata później Ziemowit i Ka-

zimiérz mazowieccy z woli ojca zeznają, że złożyli królowi przysięgę wierności (dyp. 49). Co się tyczy Mazowsza, widzimy, jak prawem wykupu przechodziły te ziemie z rąk prawdziwych dziedziców i łączyły się z koroną. Konrad Oleśnicki, który przez żonę Małgorzatę miał prawo do Rawy, dostał 5000 złotych węgierskich w złocie w r. 1466, i zrzekł się swoich pretensyj. Napotykaemy przytém zdarzeniu na ciekawe szczegóły, które pomnożą życiorys Rzeszowskiego, potem biskupa krakowskiego. Kwitów Konrada jest kilka w Wzorach Stronczyńskiego. Spłacał księcia Rzeszowski, który jak wiadomo służył wprzód wojskowo, nim się poświęcił modlitwie. Tutaj mamy jego tytuły. W r. 1466 był kanonikiem krakowskim i starostą nowomiejskim (w Korczynie). Natrafiliśmy zatem na chwilę, kiedy Rzeszowski szablę zamieniał na brewiarz. W r. 1466 już miał myśl zostania księdzem, kiedy był kanonikiem; ale jeszcze i w świeckiej chodził sukni, kiedy był i starostą. Byłto widać taki jeszcze kanonik jak Kochanowski prałat, albo Jan Kazimiérz kardynał. Rzeszowski nosił wtedy i godność sekretarza królewskiego. Ale w r. 1471 był już scholastykiem i kanonikiem krakowskim i podskarbin wielkim koronnym. Szczegół zupełnie nieznanym Niesieckiemu nawet, który pod r. 1469 położył podskarbin Rafała Leliwę z Jarosławia, a w r. 1471 Tomasza Topor Trąbczyńskiego.

Ostatnią ratę z ogólnej summy 20,000 zł. węgierskich, odebrał Konrad Oleśnicki w r. 1473 (dyp. 63).

Ciekawe są także kwity i zobowiązania się na lenność Mazowsza Anny Radziwiłłowej, matki ostatnich warszawskich książąt Stanisława i Janusza. Król Alexander dał jej w zarząd państwo zmarłego Konrada z obowiązkiem opłacania 30,000 złotych. Anna spłacała króla częściami. Miał Alexander dług u brata Zygmunta księcia głogowskiego, dochodzący wysokości 15,000, i jedną ratę pięciotysięczną Anny, w r. 1501 odstępował a conto brata (dypl. 74). Szczegóły te do życia Zygmunta, mają dla nas nadzwyczajną wartość. Przed swoim wstąpieniem na tron, nie odznaczył się w dziejach wcale ten znakomity Jagiellończyk; poważną surowością oblicza, poważny był nawet w postępowaniu z braćmi: nie mieszał się widać wiele do rządów, które nie do niego należały. Tém więc droższe są dla nas szczegóły, które na jego życie przed r. 1506 rzucają pewne światło. Prócz tego dyplomatu o którym mówiliśmy, znajdujemy we Wzorach nadanie Jana Olbrachta, dla Zy-

gmunta cel, poznańskich i kościańskich w roku 1405; ciekawyy szczegóły.

Co do nadań i lokacyi miast, *Wzory* nie mają takiej obfitości wypadków, jak *Dyplomatarjusz*: i nie dziwimy się temu wcale. Jednakże znajdziemy i w nich niejednen szczegóły, któryby się przydał dla Starożytnej Polski. Tak w r. 1278 Przedpełko wojewoda poznański otrzymał pozwolenie od księcia Przemysława na osadzenie Gostynia prawem magdeburjskiem (dyp. 15), a Henryk szlązki z Głogowy dał dwa przywileje dla Wschowy w r. 1290 i 1310 (dyp. 19 i 23). Jan książę ze Scinawy pomnażał te przywileje w r. 1332 (dyp. 30), a Konrad Oleśnicki pomnażał prawa w r. 1339 (dyp. 32). Władysław opolski w r. 1380 pozwalał w Inowrocławiu sukiennikom sprzedawać swoje wyroby, (dyp. 41). Dalej, napotykamy ciekawe szczegóły o sprzedaży Falent pod Warszawą, pod r. 1434 (dyp. 51). Innych nadań i przywilejów nie wspomnim.

W liczbie 90 dyplomatów, które wydrukował Stronczyński, są dwa niemieckie, jeden polski i dwa ruskie; reszta wszystko łacińskie. Ruskie są z r. 1510 i 1342; w pierwszym Zygmunt Stary pozwala Mikołajowi Radziwiłłowi wojewodzie wileńskiemu w jego włości Boguszewie brać myto na moście, który sam wojewoda zbudował; drugi zawiera w sobie zatwierdzenie pokoju Olgierdowego przez książąt litewskich Kiejstutę, Lubartę i innych, z Kazimierzem królem polskim i książętami mazowieckimi. Jedynyto dyplomata ruski na pergaminie spisany, a w główném archiwum koronném znajdujący się w Warszawie. Znalaziono go niedawno przypadkiem pomiędzy stosem dawnych papierów, z poddasza pałacu Krasieńskich przeniesionych. Jest zatem rzadkością pod niejednym względem. Polski dokument z roku 1511 zawiera cedulę czyli zapis na sądy Boże, między Michałem Turskim a Mikołajem Smolikowskim: dokument tyle ciekawy, że go przedrukowała Biblioteka Warszawska.

Tyle powiemy o *Wzorach*: pomnożyły one istotnie liczbę źródeł, ale nie zbogaciły wiele samego skarbcu przeszłości. Albo przedruki i tęp samym rzeczy już znane, albo mniej ważne, chociaż zawsze ciekawe; jak np. kwity dla Anny mazowieckiej i Konrada Oleśnickiego dały nam *Wzory*. Najwięcej co zrobiły, to dla Mazowsza. *Wzory* mają kilka dyplomatów, za które podziękuje przyszły historyk Mazurów. Myśmy w nich tylko zna-

leżli ciekawe fakta dla spisu urzędników mazowieckich. Według nas, Stronczyński więcej się zasłużył dziejom naszym przez współudział w wydawaniu *Dyplomatarjusza Rzyszczewskiego*, jak przez te *Wzory*. Co dał do *Dyplomatarjusza* to nierównie więcej ma znaczenia, jak to, co we *Wzorach* pomieścił. Zarzucimy jeszcze wydawcy tych pamiątek brak indexów. Bez tych indexów, książka jego prawdziwie zdała się dla palestrantów, co potrzebują się uczyć czytać w aktach dawnych; ale nie służy dla nauki dziejów, nie przynosi ulgi uczonym w poszukiwaniach. A wystawićże sobie ten jego kłopot, kiedy mu przyjdzie po *Wzorach* szukać jakiego szczegółu, tyżącego się jakiej osoby lub miejsca: praca ogromnie zmusna, a co większa, odrywająca uwagę od pilniejszych może robót, od więcej interesujących poszukiwań. Aleć prawda, 40 tylko exemplarzy wyszło tych *Wzorów*, i to dla archiwów królewskich, dla kopistów, przepisowaczy, nie dla uczonych; p. Stronczyński nie miał celu wesprzeć nauki i badania.

Prócz tych dwóch kodexów, które Rzyszczewski i Stronczyński wydali, nasza literatura historyczna wiele jeszcze innych pozyskała dyplomatów, drukowanych po księgach i po pismach peryodycznych. Łabęcki wydał w dziele swoim cały kodex górniczy; Wiszniewski wydrukował kilkanaście w *Historji literatury i w Pomnikach*; Muczkowski w broszurach ciekawych a licznych o akademii krakowskiej; Wejnert w *Starożytnościach Warszawy*; Maciejowski odkrył dyplomata tynieckie z czasów Bolesława Chrobrego, a więc najdawniejsze ze znanych nam dokumentów historycznych. Zarzucał wprawdzie Szulc dyplomatom tym, że są późniejsze, że należą do czasów Bolesława Krzywoustego, wystawiając przez to na sztych złą wiarę tynieckich mnichów; ale położone przez niego dowody zbić łatwo, a sprawa jednak zostaje w zawieszeniu. Prócz tego drukował kilka dyplomatów dawnych ksiądz Piasecki w opisie klasztorów franciszkańskich w prowincji polskiej. O tych wszystkich pracach wspomnimy na właściwem miejscu.

Wiele dyplomatów wydrukowały pisma peryodyczne, ale pod tym względem najmniej zasług położyła Warszawa. Jedyne prawie u nas pismo literackie, rozleglejsze i treścią i obszernością, jak Biblioteka Warszawska, wydrukowała tylko kilka mniejszej wagi dokumentów. Usunęła nawet bibliografią, która przed kilku laty ciekawymi stronicami zajmowała pismo, chociaż zaprawdę dzisiaj wszyscy tak tęsknimy za podaniami przeszłości. Nie jesteś-

my w ogóle stronnikami zwyczaj, który się teraz tak rozpowszechnił, że pisma peryodyczne drukują dyplomata i pomniki dziejowe: bo te pomniki tak giną w otchłani pism peryodycznych, że są jak krople w morzu, i uczonej musi albo mieć te wszystkie pisma pod ręką, co niepodobna, albo po upływie lat kilku, znowu nie wie gdzie czego szukać. Przy drukowaniu dokumentów przez pisma peryodyczne potrzeba, żeby w lat kilka, peryodycznie, wydawały się rejestra tych już wydrukowanych materyałów. A gdy to być nie może, korzyść w znacznej części z wydania pomników ginie. A jednak pismo peryodyczne niezawodnie zyskuje na tém, kiedy drukuje te dawne akta i pamiętniki. Podwaja się interes, a i publiczność może być wdzięczną, że materyały drukują się, że przybywa coraz więcej historycznych wiadomości. Biblioteka Warszawska powinna by naśladować Athenaeum, które dzisiaj stało się dla wszystkich badaczów w przeszłości polskiej, prawdziwą skarbnicą drogich pamiętek.

W naszych czasach, około tysiąc dyplomatów polskich wydrukowano w różnych miejscach. W samej Warszawie do 600 widzieliśmy. Pod tym względem Warszawa nie ma czego żadnemu z miast prowincjonalnych zazdrościć. Jakieżto skarb dla dziejów, jakieżto światło dla przeszłości!

Kiedy nam przyjdzie mówić o innych stronach naszej ziemi, zastanowimy się i nad dyplomatami, które podrukowały; i jak to zrobiliśmy z dziełem Rzyszczewskiego, wskażemy na treść tych dyplomatów, albo powiemy, w czém nowe dane zmieniają dotychczasowe nasze wiadomości. Dzisiaj zwracając uwagę na samą treść i ilość, możemy z chlubą powiedzieć, że w Warszawie najwięcej znalazło sięuczonych, co rzucili się do ratowania dyplomatów, i że to, co uratowali z téj powodzi, jest prześliczne i cudowne.

30 stycznia 1850 roku.

(Dalszy ciąg nastąpi.)



TEŃSKNE CHŁOPIĘ.

Brzegiem jeziora chłopiec szedł,
Z zielonéj wierzby skręcił flet,
I grał tak smutno—teŃskno—łzawo,
Jakby liś zwiędły gwarzył z trawą;
Jakby już Boży świat,
Wskrósł więdnał, marzył i bladł.

Z dąbrowy słowik przestał śpiew,
Stały uchem listki drzew;
Tonące echo, piosnkę całą
Z upodobaniem powtarzało.
Na brzegi, szklana toń,
Plusnęła w dźwięk i woń.

Bracie!—rzekł młodzian tłumiąc łzy—
Jakże zazdrosczę pieśni twój!
Sobie wesoły, ludziom wesoły,
Na zagłach piór twych hujasz z anioły,
Wśród sfer powietrznych król,
Wielbiony wieszcz wśród pól.

Gdybym miał myśl i lot jak ptak,
Bujałbym tak i śpiewał tak.
Biednaż! o biedna myśl—ptaszyna!
Na szatę uczuć, wżgardy ślina,
Na serce pada kał,
Nadzieję wichur zwiął.

Sercu do burzy po co drżéć,
Sercu dla ludzi po co bić;
Po co się myśli rwać tak rano.

.....

I wzrok zatopił w mglistą dal,
I myśli puścił z biegiem fal,
I jakoś wkoło zmierzchno, zbladło:
Wietrzyk pomarszczył wód zwierciadło,
A echo brzmiało w ślad,
Biednyś ty! biedny brat!

F.

ZDANIE I UWAGI NAD DZIEŁEM:

PRAWO HIPOTECZNE W KRÓLESTWIE POLSKIEM,

objaśnione przez Walentego Dutkiewicza b. profesora prawa cywilnego, pomocnika naczelnego prokuratora w IX Departamencie Rządzącego Senatu. Warszawa, w drukarni Stanisława Strąbskiego, 1850 r. I Tom, str. XXXIII i 585.

Ostatnie ubiegłe dwa lata zwiększyły literaturę naszą prawną dwoma dziełami rzeczywistej potrzeby i wartości. Wykłady prawa karnego Franciszka Maciejowskiego, oraz prawa handlowego Jana Szymanowskiego, dobrą objawiły wróżbę dalszych prac w zawodzie naszym, tyle przez ogół pożądaných. Rok bieżący obdarzył nas dziełem, na czele powołaném. Mile podobne dzieło witamy. I słusznie: nie byłoby bowiem wielkim zaszczytem dla literatury naszej prawnej, że wśród tylu różnorodnych przepisów prawa cywilnego, wśród tylu prawoznawców z powołania i takiej potrzeby naglącej, nie mieliśmy dotąd żadnego wykładu tychże praw. Zarzut ten i brak dziś w niemaléj już części usunięty i zapełniony.

Lecz co ważniejsza, przedmiot rzeczzonego dzieła odsłania nam dźwignie umysłowe przodków, myśli ich górującą, upłodnioną korzystnie czasem i doświadczeniem. Tak jest: naród nasz na dwa blisko wieki wyprzedza wszystkie narody europejskie zasadniczym swym i świetnym pomysłem, tworzy stałe podstawy instytucji tyle bogatéj w następstwa, która jest ozdobą, dobrem dla wielu już prawodawstw, dla reszty oczekiwaniem, nadzieją. W innej epoce i bliższych nam czasach, niewykończone przodków dzie-

ło podejmuje (1818 r.) w puściznie tenże sam umysł narodowy (1), i oględny na czas, co wszystko kształci, daje krajowi odpowiednią dzisiejszym potrzebom i miejscowości, pełną już instytucją hipoteczną. Myśl więc główna, naczelna, żywotna téj instytucyi, jój tło, zasady; - to szczerze nasze; oddział buchalteryjny, porządkowy i to w niejakiéj części; - to germańskie. Z życzliwém przeto uczuciem zajmiam się rozbiorem prac pisarza, który je rozpoczął od domowych wspomnień, mądrości i czci domowej; poważając zaś jego zasłużone imię i ceniąc piękną jego duszę, którą nie już od wczoraj poznaliśmy bliżej: dołożym usilności, iżby rozbiór ten i odznaczyć się mógł ścisłością, i zarazem wskazać i rozjaśnić zdołał niektóre wątpliwe strony nauki. Będzie więc ostatecznie swobodném porozumieniem się w duchu miłości prawdy, na jój pożytek i dobro.

W ogóle oświadczamy: że autor wydaniem swego dzieła dopiął celu, jaki sobie zamierzył. Ogół przepisów do prawa hipotecznego naszego odnoszących się wyjaśnił należycie (z zastrzeżeniem tego, o czém niżej się powie); wielu kwestyj subtelniejszych, dużo praktycznych, a nawet z przedmiotem głównym odleglejszą styczność mających nie pozostawił bez rozwiązania; niektóre zboczenia praktyki naszej dotykalnie udowodnił i sprostował; kilka fałszywych powszechniejszych mniemań skierował na drogę właściwej opinii i sądu, wspierając niekiedy zdanie swoje jurysprudencej senatu: wreszcie nieraz trafne rzucił uwagi nad niedostatecznościami obowiązującego prawa. Pragnący przeto, lecz z pewném już usposobieniem prawném, poznać z dobrym skutkiem naszą instytucją hipoteczną, jój naturę, cel, środki: znajdzie w dziele autora wyborną w téj mierze pomoc i świadomego przewodnika.

Wykład, zdaniem naszym, niezawsze jasny, nie zmniejsza wszakże wartości dzieła, lubo je w użytku i dostępności do mniejszej liczby czytelników ogranicza. Dzieło to autora czysto-elementarném nazwać nie można: jestto podnioslejszy wykład nauki. Powód tego leżyraz w wyższości umysłowej autora, powtóre w naturze samegoż wykładu, w którym pośrednie objaśnienia

(1) Autorem projektu do prawa był ś. p. Antoni Wyczzechowski b. tajny radca, senator i dyrektor prezydujący w Kommissyi Rządowej Sprawiedliwości. Mąż państwa, chlubnie przyświecał wyższym talentem i światłem swoim sądownictwu polskiemu; w trudnych kolejach swego publicznego żywota, zachował stale godność samego siebie, wiarę w obowiązki. Dość żył dla pełności swych zasług, za krótko dla nas. Te słów kilka potrzebą są naszej duszy. Najrzetelniejsza, najpiękniejsza ze wszystkich, jestto cześć człowieka pogrzebowa; interes, stronność jój nie kłamią, zasługa jedynie jak ją tworzy, tak ją przechowuje.

i prawdy nieraz pomijane, nietylę go dostępnym dla nieusposobionych czynią. Poglądów, rysów i pojęć ogólnych mało; widocznie niewiele smakuje w nich autor. Obrat też sobie formę wykładu swego porządkiem artykułów i rozporządzeń prawa; opiera się zwykle na ścisłości zasad, w wątpliwościach przechyla się prawie zawsze na ich stronę, rozwija je najchętniej praktycznie i udowadnia. Potęgą talentu autora mieści się w sile jego rozumowania w indukcji, analogii w trafnym użyciu i szyku dowodów: oręż to, którym walczy przeważnie i zwyciężko. I to tak dalece jest prawdą, iż kiedy popiera teorią, chociaż niekiedy zdaniem naszym nieodpowiednią prawu (o czém również niżej), umie ją tak zręcznie bronić, tak niejako zharmonizować z innymi przepisami prawa i przeprowadzić przez wszelkie jęj następności, iż baczny być trzeba na ten szereg rozumowań niewolących jakoby prawdą i ścisłością prawną, kiedy tymczasem jest ona tylko utworem iluzyjnym, bez podstawy i tła, na której wszakże piętno jego talentu jaśnieje. Słowem, mimo to dzieło jego u nas w rodzaju swoim pierwsze, dobrém, znakomitém jest: zaradza potrzebie powszechniej, dla młodych prawników bardzo pożądane, dla wytrawniejszych przydatne, zawsze niemal zasila szczupłą naszą literaturę prawną.

Przystępujemy do szczegółowego rozbioru.

We wstępie dzieła zamieszcza autor wiadomości i przepisy z dawnego prawa polskiego, do przedmiotu swego odnoszące się, jak równie głównejsze zasady dotyczące hipoteki pruskiej, tabuli austriackiej i hipoteki francuzkiej.

Przedewszystkiém wszakże pragnęlibyśmy byli czytać we wstępie ogólny rys hipoteki, na podstawie historycznej skreślony, to jest: jasny i dostępny wywód, obejmujący w sobie różnice praw osobistych i rzeczowych, wydatnie uchwycone, rozwinięcie o ile wypada zasady: „Więcej jest pewności, bezpieczeństwa na rzeczy, niż w osobie” „plus est cautionis in re quam in persona”, przy względzie zarazem na naturę, moc i rozciągłość osobistej rękojmi, której moralne i fizyczne siły człowieka zasadą; różne koleje w dawniejszych i znajomszych prawodawstwach téj pewności zobowiązań ludzkich, jaką nieruchoma własność nadaje, i do jakiej jest zdolną; dzisiejszy stan, przynajmniej u oświeceńszych narodów, więcej wykształconej już instytucji hipotecznej, i najnowsze w téj mierze pomysły i proponowane zmiany, mianowicie przez pisarzy francuzkich i pruskich. Wywód podobny obejmowałby pełność

przygotowawczych do głównego przedmiotu wiadomości, a będąc ogólnym i zarysowym, skutecznieby ułatwiał pojęcie całości nauki. Broń Boże, iżbyśmy tu myśleli o erudycyi jakowej: téj niepotrzeba: fakta i to ważne tyle tylko na przytoczenie zasługują, ile tego konieczność wymaga. Talent i rozsądek podałyby miarę, żeby nie było w rysie tym czego bądź ani zawiele, ani zamało. Dzisiejszy autora wstęp jest za obcessowy, i potwierdza to, cośmy w téj mierze o jego wykładzie powiedzieli.

W oddziale prawa dawnego polskiego zachowujem sobie na iany czas rozwinięcie niektórych uwag i spostrzeżeń, co do sposobu nabywania praw rzeczowych wedle tegoż prawa; przedmiot to ważny, wymaga oddzielnego i obszerniejszego wywodu.

Pominąć jednakże tu nie możemy trafnej i szczęśliwej uwagi autora, o niestosownej i mylnej nazwie hipoteki dawniej polskiej (1), oblatami. Nietrafna nazwa pociąga za sobą najczęściej i fałszywe o rzeczy wyobrażenia i pojęcia, odciąga pospolicie uwagę naszą od tego punktu widzenia, na który ją zwracać bacznie winniśmy. Praktyka sądowa niejednokrotnie nas o tém przekonała.

1. Na stronnicy 10 pisze szan. autor:

„Posiadacz zastawny (obligatorius) zamieniał się w właściciela 30letniem posiadaniem, jeżeli zastawa nie była odnawiana.”

Jestże to bezwarunkową, i bez zrobienia różnicy w czasie prawdą? byłże podobny przepis ciągle w wykonaniu i w życiu narodu? Godzi się, i należy o tém powątpiewać.

Nie ulega zaprzeczeniu, iż jedynie dwa przepisy dawnego prawa polskiego o przedawnieniu prawa zastawy wyrzekły: pierwszy za Kazimierza W. z roku 1347 (2): *De praescriptione obligatae hereditatis redimendae vel non redimendae*; drugi za Władysława Jagiełły z roku 1420 (3): *de praescriptione possessionum*. Obu tych praw celem było zachowanie jawności; pierwszy dla przetrwania przedawnienia, nakazał czynienie formą wskazaną publicznych obwieszczeń i doniesień o zastawie; drugi odnowienia zastawy w aktach już tylko (*coram iudicio in actis*) wymaga. Zkąd ta różnica w przepisach? Widoczna. Za czasów Kazimierza W. dla zachowania jawności, masiano wymagać publicznych obwieszczeń i doniesień formą obraną; księgi bowiem, w któreby podobne akta

(1) Wyrażenie to pojmować należy w znaczeniu, w jakim je i autor pojmuje.

(2) Vol. Legum I, str. 19. (3) Vol. I, str. 75.

zastawy wpisywanemi być mogły, jeszcze uformowanemi nie były; w czasachto dopiero Władysława Jagielly i następnych panowań, takowe się właściwie formowały (1). Kiedy przeto przez zaprowadzenie ksiąg ziemskich i grodzkich i konieczność wpisywania doń wszelkich aktów, zwyczaj nakazany statutem Kazimierza W. czynienia obwieszczeń i doniesień o zastawie wyszedł z użycia, co i pisarze dawniejsi poświadczają (2); prawa zaś krajowe zapisom w księgach ziemskich z zasady *vim perpetuitatis*, a wyjątkowo do czasu w księgach niektórych grodzkich zdziałanym *robur perpetuae firmitatis* nadaly; rygor więc przedawnienia zastawy do nieponawiania takowej i niedbałości panów w zamiarze prawodawcy przywiązany (3), upadał i upść musiał, co tém pewniej twierdzić się daje, że konstytucya z roku 1533 „o ważności zapisów” (4), ważność takowych *in universum* zadeklarowała, i różnicę co do zapisów między księgami ziemskimi a grodzkimi, dotychczasowie w tego rodzaju aktach zachowywaną, zupełnie zniósła. Datę więc tej konstytucyi uważać można za epokę już ustania w obowiązującej mocy rozbieganych na czele przepisów.

Jakoż od roku 1420 żadnego już w Voluminach Legum nie czytamy i nie znajdujem prawa, któreby o powyższych przepisach wspominało lub je reasumowało. Przeciwnie, pod r. 1496 za Jana Alberta „*de Authoritate Notarii et Camerariorum absente Iudice*” (5), i za Zygmunta Igo w przepisie „*de redemptione honorum*” dla Wielkiejpolski, środki ułatwiające wykupno zastawy postanowione (6).

W exceptach zaś Mazowsza pod rokiem 1576, „o wwiązaniu” (7), najwyraźniej zastrzeżono:

„a ktobykolwiek na dobra nowém prawem albo tytułem nabyte nie miał w wiazania, chociażby te dobra istotnie dzierzał i używał ich, tedy mu nie idzie preskrypcya ani dawność ziemska w onych dobrach, które zawždy mogą być wykupione przez blizkie, jakoby téz były zastawne”.

(1) Vol. I, str. 76 de Clausura et reservatione actorum judicialium seu libri terrestris. Vol. I, str. 250 de libro iudiciorum. Vol. I, str. 257 de Inscriptionibus Castellansibus. Vol. I, str. 369 de Resignationibus et inscriptionibus coram Capitaneo Majoris-Poloniae. Vol. I, str. 391 de Inscriptionibus honorum.

(2) Zawadzki, Załaszowski. Jus Regni Poloniae str. 389.

(3) Vol. I, str. 19. De praescriptione haereditatis petendae „Cum praescriptio propter segnitatem et pigritiam Dominorum sit instituta.

(4) Vol. II, str. 1219. (5) Vol. I, str. 259. (6) Vol. I, str. 563. (7) Vol. II, str. 941.

Excepta te Mazowsza widocznie wywarły wpływ i na prawo pospolite: wpływ ten dostrzedz się daje w uchwałach sejmu z roku 1588, porządek ich bowiem objawia myśl sejmujących, zamienienia niektórych zwyczajów Mazowsza w toż prawo. Zamiar ten przebija się w uchwałach: 1. Bona nullo jure recepta. 2. O posażeniu sióstr. 3. O wykupnie dóbr zastawnych. 4. O niedopuszczeniu preskrypcyi na dobrach posażnych i w przezyskach wziętych. Brak zaś wyraźnego przeciwnego przepisu rozbieranym na czele, dowodzi, że już nie był potrzebnym.

Na niemłą więc uwagę zasługuje, co Ostrowski pisze: jestto wiarogodny świadek z czasów jeszcze żyjącego prawa.

„Należy tu ostrzedz, iż prawa powyższe o dawności czyli przemilczeniu, albo po części zaniedbane, albo nowemi ustawami uchylone: jakoż są przykłady, że zastawnicy od niepamięci dobra trzymający, wolnej podpadali exempcyi, ani lat 30 dawnością pretendowanego dziedzictwa upoważnić nie mogli.”

I lubo tenże pisarz zaraz dodaje:

„Wszakże prawo pisane przez żadną czasu dawność mocy nie traci, póki moc prawodawcza wyraźnie go nie uchylili lub przeciwnym nie obali wyrokiem” i t. d.

sądzimy wszakże, iż uwaga ta w ogólności słuszna, w niniejszej kwestyi powierzchownie gruntowna. Większa część przepisów prawa dawnego, jak np. znaczna część praw Kazimierza Wgo, popadła w niepamięć, wyraźnie wszakże uchyloną nie została; pośredniemi przecież przepisami, stosunkiem innego stanu rzeczy i milczącą wolą prawodawcy, utraciła moc swoją, i wyszła z użycia.

Spuścić również nie można uwagi z tych właściwości i odrębności, jakimi prawo dawne się odznaczało. Prawodawca ten zawsze czujnym być musiał na swoje przepisy, bo opinia ogólna, zwyczaje szybko powstające, praktyka sądów, przeważny wywieraly wpływ na jego postanowienia. Ztąd liczne w tém prawie były i być musiały reassumpcyje przepisów: potwierdzał gdy milczał, reassumował przepisy, kiedy pomimo ich zaniedbania, wykonywanemi je mieć chciał. Równoległe działanie i niejako zapasy dwóch tych obok siebie prawodawców, w całym biegu ustaw dawnych polskich prawie dotykalne. I rzecz szczególna, jak były nieprzeparate te pojęcia ogółu niekiedy. Wówczas glos prawodawcy głosem był wołającego na puszczy. Najlepszym tego do-

wodem jest korektura pruska w rzeczy sukcesyjnej; prawo to z serca narodu wyjęte i całą duszą polubione, powszechnie i prawie bez wyjątku urządzało stosunki szlachty spadkowe. Wołał prawodawca, iż nie jest prawem korony, wołał napróżno: do ostatnich czasów dawnego stanu rzeczy było to prawo wyrocznią dla sędziów, normą ich postępowania. Prawoznawcy kontuszowi, którzy nie tak dawno nas opuścili, ani słyszeć chcieli, co uczony Bandtkie z ścisłością prawną o korekturze pruskiej publicznie dowodził; niezłomnym było ich przekonanie. Nic w tym dziwnego, światły professor zapatrywał się na rzeczy przez szkło nauki, grozę jej zasad i systematów; tamci z życia w pełni i wierniejszej pamięci ubiegłych wspomnień, czerpali dla siebie przeświadczenie; ten śledził martwą literę prawa; tamci jedynie zapytywali się tego ducha minionych czasów, który ich samych poruszał i ożywiał. Ten wypadek w rozbieranej kwestyi nie zachodzi; dążność tu ogółu objawia się i przechyla na stronę tych „osobliwych niektórych zwyczajów księztwu Mazowieckiemu bardzo potrzebnych, a dla zachowania ubogiej szlachty pożytecznych, które im były lekciejsze i znośniejsze” (1). Prawodawca dążności tej się nie sprzeciwia, milczy i sprzyjać jej się zdaje, a ogólna opinia narodu dociera do tych najpopularniejszych podstaw budowy prawa dawnego w epoce pośredniej, to jest: do pojęć niedopuszczających w innych wypadkach „obrazy prawa natury,” w obecnym słuszości przyrodzonej (*Laesio juris naturae-aequitatis naturalis*).

2. Str. 16. Badając autor konstytucyą z r. 1775, między innymi nakazującą wszystkim grodom w Koronie i Litwie uformowanie protokołu osobliwego (oddzielnego), w któryby tylko długi obywatelów województwa, ziemi, lub respective powiatu przyjmowanymi były, wyraził się:

„Nowe to postępowanie, ile nam wiadomo, nie upowszechniło się w kraju.”

Podobne powyższemu, zdanie objawił wprzód uczony Władław Alexander Maciejowski (2) w słowach:

„Wiadomo powszechnie że to rozporządzenie prawa nie wzięło skutku, i że ksiąg takowych grody nasze nie utrzymywały, chociaż im to polecono.”

(1) Słowa konstytucyi za Stefana Batorego w roku 1576 uchwalonej. Ob. Vol. Leg. II, str. 927.

(2) *Historja prawodawstw sławiańskich*. Tom IV, str. 471.

Dotychczasowe przez nas w téj mierze czynione poszukiwania, wprawdzie tylko w archiwum akt dawnych gubernii warszawskiej w Warszawie znajdujących się, inny stan rzeczy wykryły. We wszystkich grodach województw, ziem, i powiatów poniżej (1) wyszczególnionych, których akta w powyższém archiwum się znajdują, pozakładane są oddzielne księgi, pod tytułem „Debitorum,” a to od roku 1777; niektóre wszakże oprawne są łącznie z innymi księgami, i dlatego nadpisu oddzielnego na grzbiecie ksiąg nie mają, jak się o tém z niektórych ksiąg ingrossacyjnych przekonać można. Akta te kończą się po największej części w latach 1792, 1793, 1794. Nie we wszystkich księgach powyższych jednakowa za-

(1) Oto jest spis akt dawnych z wymienieniem województw, ziem i powiatów, w archiwum tychże akt gubernii warszawskiej w Warszawie znajdujących się:

- I. Akta dawnego województwa brzesko-kujawskiego, składające się z akt:
 - a. Powiatu Brzeskiego.
 1. Grodzkich.
 2. Ziemskich.
 - b. Powiatu Przedeckiego.
 1. Grodzkich.
 2. Ziemskich.
 - c. Powiatu Kowalskiego.
 1. Grodzkich.
 2. Ziemskich.
 - d. Powiatu Radziejowskiego.
 1. Grodzkich.
 2. Ziemskich.
- II. Akta dawnego województwa łęczyckiego, składające się z akt:
 - a. Grodzkich całego województwa.
 - b. Ziemskich powiatu Łęczyckiego.
 - c. „ „ Brzezińskiego.
 - d. „ „ Orłowskiego.
- III. Akta dawnego województwa rawskiego, składające się z akt:
 - A. Ziemi rawskiej.
 1. Grodzkich całej ziemi.
 2. Ziemskich powiatu Rawskiego.
 3. „ „ Białskiego.
 - B. Ziemi sochaczewskiej.
 1. Grodzkich całej ziemi.
 2. Ziemskich powiatu Sochaczew.
 3. „ „ Mszczonow.
 - C. Ziemi gostyńskiej.
 1. Grodzkich całej ziemi.
 2. Ziemskich powiatu Gostyńskiego.
 3. „ „ Gąbińskiego.
- IV. Akta ziemi czerskiej, składające się z akt:
 - a. Grodzkich całej ziemi.
 - b. Ziemskich powiatu Czerskiego.
 - c. „ „ Wareckiego.
 - d. „ „ Grojeckiego.
 - e. „ „ Garwolińskiego.
 - f. „ „ Białskiego.
- V. Akta powiatu Kamienieckiego, składające się z akt:
 - a. Grodzkich.
 - b. Ziemskich.

Dlatego akta ziemskie różnych ziem i powiatów wymieniliśmy (co ściśle nie byłoby potrzebném; w ziemstwach bowiem księgi „Debitorum” utrzymywanemi nie były i czynność ta grodom jedynie przez powyższą konstytucyą nakazana), aby dać wyobrażenie i pojęcie o zakresie i rozciągłości działań grodom w województwie lub ziemi.

Intitulacye na czele założonych tych ksiąg (z których, ich naturę poznać można, chociażby były z innymi oprawne) są następujące:

1. Z grodu rawskiego roku 1777. „Liber Inscriptionum simplicis debiti ad dispositionem legis novissimae suscipiendarum.”

Z roku 1778. „Protocollon Dispositionum quo ad simplicia debita et roborationes ac alias transactiones juxta ordinationem Sacrae Regiae majestatis Domini Clementissimi suscipiendarum”.

Z roku 1779. Protocollon Inscriptionum Debitorum, obligationum, Quietationum de praetio ac aliarum Dispositionum mente Ordinationis Sacrae Regiae Majestatis Domini Clementissimi suscipiendarum.”

chowana jest ścisłość; zdaje się iż przyczyną tegoż może niejednako przez utrzymujących też księgi zrozumienie i tłumaczenie przepisów konstytucyi. Twierdzenia więc powyższych autorów nie okazują się być dotąd prawdziwemi, przynajmniej co do grodów przez nas wyliczonych. Szacunek, jaki się prawdziwie pomarłym i zeszcłoci naszym należy, nakazuje nam takowe sprostować. Zresztą w każdej nauce, szczególny każdy winien być wysłedzonym należyćie i ocenionym sprawiedliwie.

Str. 18. Hipoteka pruska jako najwięcej nas obchodząca, zasługiwała już nawet w planie autora na obszerniejsze jęj w jedném miejscu skreślenie; rapsodyczne wiadomości, jakie szan. autor tu zamiescił, nie dają roźróżnionego pojęcia całości. Prawdą jest, iż w wielu miejscach ją powołuje i prawie zawsze na czele główniejszych paragrafów; szczegółowy, wydatniejszy wszakże jęj rys, ułatwiając porównanie, więcjby przyniósł uczącym się i czytającym pożytku.

2. Z grodu łęczyckiego r. 1777. „Prothocollon Inscriptionum Debitorum anni 1777 in quo suscipi debent oblatae et Roborationes omnium scriptorum manualium atque literarum cambialium, contractuum obligatoriorum”.

3. Z grodu przedeckiego r. 1777. „Protocollo transactionum simplicis debiti vigore Universalis per Serenissimum Poloniae Regem Dominum nostrum Clementissimum praecedente Consilio ad latus Regium permanente editi ad suscipiendas transactiones eodem Universali praescriptas, comparatum”.

4. Z grodu kowalskiego. „Protocollo transactionum Debitorum a. 1777 novella constitutione Regni laudatum”.

5. Z grodu brzeskiego r. 1777. „Inchoatur Prothocol: in ordine dispositionis lege sancitae. In hoc Prothocollo complectentur oblatae et roborationes omnium scriptorum manualium, collybiorum, contractuum obligatoriorum in sigillata papyro confectorum tum oblatae inscriptionum per extractum ex actis alienis de promptarum”.

Z powyższych intytulacyj i poszukiwań przez nas czynionych wykazuje się, że księgi „Debitorum” nie na same tylko zapisy lub oblatay długów, skryptów lub wexli przeznaczano, lecz zarazem i dla tranzakcyj z tychże długów wynikających, np. cessyi summ zapisanych, manifestów do summ odcasujących się zastaw. W ogóle oświadczyć należy iż po założeniu ksiąg „Debitorum” z początku większa okazuje się troskliwość zamieszczania w tychże księgach samych długów; później zaś zwiększa się w tej mierze nieściśłość.

Dodać jeszcze i to wypada, iż cząstka tylko znajduje się w archiwum akt ziemi-gostyńskiey tak ziemskich jak grodzkich, bo reszta w roku 1809 w pamiętnym pożarze spalona została. Staranne i ścisłe w archiwach kraju dalsze poszukiwania, doprowadziłyby mogły do wyjaśnienia całego tego szczegółu jak równie i innych z nim nierozdzielnie połączonych, między innymi tej ważniejszej kwestyi:

„Czyli niewciągnięcie zapisu, skryptu lub wexlu do protokółu oddzielnego grodowego „Debitorum”, pociągało za sobą utratę summy lub nieważność samegoż dokumentu?”

Za zyczliwą i pomoc w ułatwieniu poszukiwań, publiczne podziękowanie składamy p. Łukaszowi Piśkorskiemu archiwisćie akt dawnych gubernii tutejszej. Z sercem to człowiek i dobrej chęć urzędnik.

Str. 19. Nie zawadziłoby, mówiąc o tabuli austriackiej, zawiadomić i przestrzedz czytelnika: jakąto małą część kraju naszego prawo to obowiązywało, a wielu o tém nie wie.

Str. 20. Hipoteka francuzka ściśle i jasno skreślona; właściwości jój uwydatnione.

W interesie użytku powszechniejszego, należało autorowi wyrazy techniczne, jakiemisą: *borderau*, akcja hipoteczna, małemi przypiskami objaśnić. Uwagę podobnego rodzaju jedną tylko i to na całe już dzieło robimy.

3. Str. 33. Rozwiązuje szan. autor kwestyą: odkąd prawo hipoteczne w dniu 20 lipca 1818 r. ogłoszone, tak pod względem przepisów czysto hipotecznych, jako téż innych, w szczególności o stosunkach majątkowych między małżonkami, i o opiekach obowiązywać zaczęło.

Wypadek tu rzadki i szczególny. Litera prawa wyraźna i formalna, a przecież rozwiązanie kwestyi wprost téjże literze przeciwne.

Nie przeczym, iż usprawiedliwienie przepisu art. 163 prawa hip. nie jest łatwém, przynajem, że powody przez szan. autora przywiedzione; na niemalą zasługują uwagę. Za śmiałą to wszelako ta interpretacya, gdy się zważy, że i ona ma swój zakres, granice, poza które przestąpić jój się nie godzi; że prawdą to zawsze i wszędzie, że *lex jubet non disputat*; że wolę prawa wyraźną, wola jedynie prawodawcy zmieniać może i powinna. Wielki cel poszanowania prawa nakazuje krytyce bacznój i niepodległej objawić życzenie, aby podobne wypadki jak niniejszy, w prawie nie ponawiały się naszym i rzeczą jest władzy czuwającej nad praw wykonywaniem, przedsiębrać ku temu zawczasu właściwe i zaradcze środki. Każde dobro niech z właściwego źródła i w właściwej formie dla ogółu wypływa.

4. Od str. 50 § 35 do str. 68 § 42.

Nową tu teorią autor rozwija ze wszystkimi jój następnościami. Twierdzi, iż własność nieruchomości wedle dzisiejszych przepisów, nie inaczej, jak tylko aktem urzędowym, nabytą być może; że umowa na piśmie między sprzedającym a nabywającym zawarta, przeniesienia własności skutkować niezdolna. Z założeń tych wywiódł szan. autor cały szereg następstw tak pod względem przypadku (*Casum sentit dominus*), jak równie pod względem nadniszczeń i akcessyi czyli przybycia i następstwa te odpowiednio powyższym założeniom rozwiązał. Doradza w koń-

cu porzucenie raz dwuznacznego systemu, jako zawsze najszkodliwszego, najwięcej trudności i sprzeczności w sobie mieszczącego.

Prawodawca nasz wśród trwania i powagi obowiązującego prawa, postanowiwszy nadać krajowi nową instytucją i czynności hipoteczne otoczyć najwyższą jawnością (publicité), iżby takowe przybrać mogły znamię wiary publicznej, na którejby poledz można było: nie mógł i nie spuścił z uwagi tych rozporządzeń obowiązujących, któreby główny cel instytucji jego hipotecznej zakreślony, w czémkolwiek nadweręzać mogły. Przepisy podobne jedne wyraźną literą nowego prawa usunął, drugie przeciwnym odwołał lub zmodyfikował przepisem; innych wszakże choć związkowych niewywierających wszelako bezpośredniego wpływu na cel powyższy, usuwać nie miał powodu i nie usunął. I sądzimy, że nie myli nas to zdanie. O tyle przepisy dotychczasowego prawa w przedmiocie hipotecznym i w zachodzącej wątpliwości przestały być obowiązującymi i odwołaniu uległy, o ile nadwerężają jawność hipoteczną i wypływającą z niej wiarę publiczną; o ile zaś poza obrębem tym działają, obowiązywać w swym zakresie i mocy nie przestały. Nieprzeparta tylko konieczność dopięcia głównego celu, zmianę tych przepisów skutkowała.

Ztąd płynie, iż zgodzić się nie możemy z szan. autorem, żeby art. 1582 w ustępie 2gim kodexu, został przez prawo hipoteczne odwołany. Przepis ten w niczém nie osłabia jawności i wiary publicznej. Wszyscy trzeci działający z właścicielem w wykazie hipotecznym jawnym i na zasadzie tegoż wykazu, zasłonięni są jasną literą hipotecznego prawa od strat i zawodu; umowa zaś między sprzedającym a nabywającym nieruchomości, choć nie hipotecznie i nie urzędowo, lecz na piśmie zawarta, skutkiem li cywilnym téjże umowy ulega i związane między stronami temi stosunki, o ile jawność hipoteczna i wiara publiczna nie stoi im na przeszkodzie, przepisy tegoż prawa urządzają i rozstrzygają.

Na poparcie zdania naszego dosyć nam się odwołać do przepisu art. 3, 20, 21, 30 pr. hip. Z ich osnowy każdy przekonać się może, że umów na piśmie o własność nieruchomą zawieranych prawodawca nie zabrania, lecz skutków jedynie hipotecznych im odmawia; że akt hipoteczny przez zwierzchność hipoteczną zatwierdzony, przybiera znamię wiary publicznej względem każdego trzeciego, mającego czynność z właścicielem gruntu lub prawa

hipotekowanego; że zatwierdzenie téjże zwierzchności będąc tylko rękojmią wiary publicznej względem trzecich osób, nie nadaje aktowi większej mocy w stosunkach między samemi stronami, które go zawierają; że wreszcie po zapisaniu treści tytułu do wykazu hipotecznego, nabywa uważanym jest w czynnościach z trzecim za istotnego właściciela. Sąd wyrazi prawa, nie nasze.

Przepisy te w zupełności niweczą illuzyjną teorią szan. autora, a tém samém najodleglejsze jej następstwa i decyzje, tyle w skutkach swych ważne, jako podstawy i tła prawnego pozbawione, upadają. Być może, iż system ten prawa nie jest pełnym; lecz w różnorodnym prawodawstwie naturalny to bieg rzeczy i trudno w niém szukać przepisów jedynychże widoków, kierunku, zasad i barwy.

W takim położeniu rzeczy obowiązek pisarza wykładającego jedynie wola prawa w pewnej gałęzi przepisów, nie może być inny, jak tylko ścisłe skreślenie obecnego stanu rozporządzeń wzajemnego ich stosunku między sobą, ich zgody, mocy i rozciągłości. Wszakże wszelkie pomysły do zmian prawa w formie życzeń objawione, mile zawsze widzieć będziemy, byleby tylko nie za zasady prawa i jego wolą przedstawianemi były.

5. Str. 69. Rozwiązuje szan. autor pytanie: jak rozumieć przeniesienie własności nieruchomości, niemającej wcale hipoteki? i rozstrzyga je jak następuje:

„Zdaniem naszym w przypadku rzadko się zapewnie wydarzyć mogącym, aby nieruchomość nie miała hipoteki; trzeba iść za analogią ruchomości i podług posiadania pierwszeństwo w nabyciu rozstrzygnąć, z zachowaniem zawsze warunku dobrej wiary; bo nie można iść za art. 1138 kodeksu, który w skutku dyspozycji art. 163 prawa hipotecznego ustępu 2go, przestał być obowiązującym.”

To zawiele — tu już nie ma nawet pozoru do podobnej decyzji; hipoteki niéma; jawność hipoteczna i publiczna wiara dla których tyle ofiar prawodawca z przepisów obowiązującego prawa uczynił, nie stoją na zawadzie; prawo wyrażne w przepisie art. 1138, poco tu analogia? Jakież więc kosztowną jest dla szan. autora ta jego wola utrzymania i obronienia w swój mocy, całości, teorii, którą poprzednio rozhierałismy, gdy dla niej i przez nią najwidoczniejszej dowolności dopuszczać się musi.

6. Str. 75. W materji darowizn między żyjącymi i odwołanie takowych z przyczyny niewykonania warunków, wyraża się sz. autor:

„artykuły 952 i 954 kodexu cywilnego, jako przeciwne jawności hipotecznej na skutek art. 163 prawa hipotecznego ustępu 2go, przestały u nas obowiązywać”.

Sądzymy, iż ścisłej byłoby i odpowiedniej prawu wyrazić się, iż artykuły powyższe kodexu cywilnego, uległy tej modyfikacyi, jaką prawo hipoteczne z powodu jawności hipotecznej uczyniło; wszakże warunków, ich natury prawo hipoteczne, nie zmieniło, sposób tylko ich wykonania wedle przepisów tegoż prawa nastąpić winien.

7. Str. 83, obacz również str. 521.

Rozstrzyga autor kwestyą: Czy ostrzeżenie co do należności osobistych sposobem illacyjnym uzyskaném być może? i po obszernym wywodzie, twierdząco kwestyą tę rozwiązuje. Gdy wszakże ważne to pytanie z obu stron z całą ścisłością rozzebraném zostało, kwestya, zasady wzajemnej obrony zdań, publicznie już rozjaśnione: nie widzimy potrzeby nad samą kwestyą dłużej się zastanawiać. Ogół czytelników ma już to wszystko, co mu do zdecydowania się, gdzie się ma przechylić, potrzebném. Przekonanie każdego do tego czasu już zapewne ustaliło się, i że tak się wyrazimy, skryształizowało. Co do nas jesteśmy przeciwnego zdania i na tém oświadczeniu przestajemy. W takim położeniu i stanie kwestyi jak jest niniejsza, trzeba uszanować swobodę przekonania i coś pozostawić powszechniejszemu uznaniu.

Lecz wystąpić musimy przeciw autorowi (str. 524) twierdzącemu, iż prawo tu odnoszące się jest jasne i tłumaczenie takowego prawodawcze jest zbyt czułym. Jest-li to jasność, o której tyle sporu, tyle pism, a zgoda między walczącymi tak daleka! Zdaniem naszym prawo to, jak i całe o ostrzeżeniach, nowego przejrzenia prawodawczego silnie się domaga. Trzydziestoletnie tego prawa w kraju naszym wykonywanie, niemałe jego niedogodności i niedostateczności wykryło. Zbiorowo je przedstawimy, ho przyszłość niemniej ważna jak i obecna chwila, a troska o przyszłą szlachetniejsza.

a. Prawo to, raczej dzisiejsza jego praktyka, zaradzając w jakiejś części rzeczywistej potrzebie, zrodziło w sądach masę ostrzeżeń jedynie na naganych widokach opartych. Kasta spekulantów powstała; dawne preteusye, procesa, dokumenta, szpargały, podniecają jej chciwość i ożywiają nadzieje. Niefortunnie sądy nasze zbyt łatwém udzielaniem tego środka zwiększyły zło: w ogólności jestto prawda, że kto tylko przychodził przed sądy z podobnym żądaniem, temu nie odmawiano. Ztąd liczne wynikły ciężenia właścicieli, zmuszanych oku-

pywać się ludziom chciwym, od środka silnego tyle ograniczającego rozrząd ich własności; dotknęły ich niepokój, straty często, i upadek wprzód, nim jeszcze prawem pokonanymi zostali. Sprawiedliwość zarówno obiedwie strony w swój opiece mieć powinna.

b. Nieograniczenie mocy i skutków jakichbądź ostrzeżeń co do czasu, ważna to całego tego prawa niedostateczność. W hipotece naszej od czasów jeszcze pruskich liczne ostrzeżenia zalegają wykazy hipoteczne; rzeczy to zadawnione, trudne i kosztowne dla właścicieli wzięcie się do nich, i na dzisiejszych cięży tenże sam brak przepisu. Zwłoka w działaniach podobnych szczególnemu i ogólnemu dobru szkodliwa. Trzeba temu zapobiedz.

c. Przepisy o wynagrodzeniu szkód z zapisanego bezzasadnie ostrzeżenia, niedostateczne; brak zasady dla sędziego *ad hoc* widoczny.

Byłoby zatém do życzenia, zdaniem naszym, aby:

Ad *a.* Ograniczyć dowolność sędziego w dopuszczaniu ostrzeżeń, a to warunkami i formami ściślejszemi.

Zabronić w zasadzie tychże, co do należności osobistych; w najgorszym wypadku, gdyby wszakże była wola ich utrzymania, to wyjątkowo tylko z nowemi formami i z ściśłym oznaczeniem w prawie ich jakości.

Ad *b, c.* Wydać w téj mierze odpowiednie przepisy i postanowić środki: z nich niektóre już podane, inne jak np. stawienie kaucyi, w mądrości swój prawodawca wynajdzie.

8. Str. 97. Na rozwiązanie pytania:

„czyli nabywca może przepisać kontrakt za życia z właścicielem zawarty, wtedy, kiedy już kto z interesowanych do spadku, ogłosił postępowanie spadkowe?

zgodzamy się zupełnie z szan. autorem. Tak jest: może — lecz w tém wydarzeniu okazuje się potrzeba przepisu, nakazującego publicznie odwołać postępowanie spadkowe i zawiadomić o tém powszechność, aby się ludzie nie zawodzili; sądowe bowiem doniesienie, nikogo na stratę kosztów i czasu narażać nie powinno.

9. Str. 108. Mówi autor:

„Dział I przeznaczony do oznaczenia i opisanania nieruchomości”.

Szemat urzędowy mieści w sobie nadpis: „Wymienienie nieruchomości i opisanie granic.” O granicach należało coś więcej powiedzieć, jakoto: O prawie normalném, o rozgraniczeniu, jego losach, dzisiejszym sposobie czynienia i gdzie wpisów co do granic; o korzy-

ści przepisu prawa, którego oddawna brak oznaczającego termin prekluzyjny, co do ostrzeżeń hipotecznych o sporach granicznych.

10. Str. 111. Nie podzielamy zdania szanownego autora w kwestyi przez niego stawionėj.

„Gdyby warunek przez sprzedawcę zastrzeżony że nabywcy nie będzie wolno zbyć dóbr bez jego (sprzedawcy) zezwolenia, nie był w ułożonėj treści zamieszczony, czy mógłby wydział hipoteczny na niego mieć wzgląd, dlatego że się znajduje w kontrakcie?

Szan. autor rozstrzyga kwestyą *negative* z powodów, że skoro warunku tego strony nie chciały zamieścić w wykazie albo od niego odstąpiły, albo też sprzedawca spuszczał się na osobiste słowo nabywcy.

Nie zdaje nam się, iżby taką była wola prawa. Każdy na to zgodzić się musi, iż warunek ten ważny o którym mowa, jest niepoślednią częścią treści i miazgi rzeczowego zobowiązania, pada na główną, składową, żywotną stronę tegoż prawa: słowem, jest prawem rzeczowém. Gdy tak jest, art. 17 prawa hipotecznego rozporządza:

„Osnowa jednėj umowy lub dokumentu może w sobie zawierać zobowiązania dwojakie: jedne, które obowiązują osobę tylko; drugie, które się stosują do gruntu i praw hipotekowanych. Treść zobowiązań drugiego rodzaju, powinna być wniesioną do wykazu hipotecznego i t. d”.

Któż ostatecznie pilnuje téj woli prawa? I to jasne i dowodu nie wymaga, że nie kto inny, tylko zwierzchność hipoteczna (art. 20) p. h.

Zład płynie, że gdy z samego prawa ciąży też zwierzchność wyraźny powyższy obowiązek; w braku przeto zupełnego przekonania o stanie rzeczy, domniemania przez szan. autora jój poddawane, nie mają zasady.

Str. 116. Szacowną, praktyczną jest autora uwaga, że zwierzchność hipoteczna w razie odmawiającėj decyzyi:

„winna wszystkie niedostateczności objąć, aby nie narażała się na niewłaściwą potrzebę wydawania w jednym interesie kilku decyzyj zawieszających”.

My jeszcze, co jest ważniejszą rzeczą, dodajemy: „i nie narażała strony niepotrzebnie na stratę czasu i kosztów”. Uwaga ta autora zasługuje, aby w instrukcyi hipotecznėj (o którój niżej) w formie przepisu zamieszczoną została.

11. Str. 117. Nie radzi i nie z miłym uczuciem odczytaliśmy § 68.

Już samo na czele stawienie kwestyi niebardzo podobać się może, cóż dopiero rzecz o wywodzie. Ta gimnastyka z niepewnym siebie wnętrzem człowieka, te subtelne interogatorya słabiej jego strony i poddawanie jej usprawiedliwiających powodów, na wypuszczenie zasługują z dzieła tak niezaprzeczonej użyteczności.

Str. 161. Trafną jest uwaga autora, iż przy nabyciu nieruchomości na publicznej licytacji, okazuje się w prawie naszym dotkliwy brak przepisów, któryby zapelnąć należało; tym bowiem sposobem wzmogłoby się współubieganie do kupna, które dotąd z wielu względów jest kłopotliwe. Miło nam jest widzieć, że myśli autora z naszymi zgodne, które przed kilku już laty w niniejszym piśmie: „O nabywaniu nieruchomości” ogłosiliśmy.

12. Str. 182. Pytanie to:

„jeżeli kto nabeździe jaką część i połączy ją z swoją hipoteczną własnością, czy na tej przyhylej i przyłączonej części, wierzyciele przed nabyciem hipotekowani, mają hipoteczne bezpieczeństwo?”

szanowny autor w ślad przepisów prawa pruskiego negative rozwiązuje. Podzielamy to zdanie; lecz dodajemy, iż należałoby przepis w instrukcyi hipotecznej zamieścić, iż w razie powyższym, mapy ubikujące grunt przyłączony, jego rozległość i już posiadany, winny być do zbioru dowodów dołączanemi; ostrożność ta liczne spory i złąd wynikać mogące straty usunie.

13. Str. 197, 198. W przedmiocie kaucyj za urzędnikami hipotecznie stawianych, nie podzielamy zdania autora i dotychczasowego postępowania.

Twierdzi szan. autor, na co zgoda, że zapisane na hipotecznej kaucyi ostrzeżenie, nie nadaje poszukującemu pierwszeństwa; lecz na to zgodzić się nie możemy:

„że każdy z pretendentów mając przywiliej równego prawa, dotąd żądać jest mocen, dopóki pierwszy czystej subintabulacyi mieć nie będzie”.

Pojmujem rzecz tę w sposobie: wpis kaucyi hipotecznej jest już z prawa samego i natury swojej ogólnym ostrzeżeniem dla wszystkich prawnie do niego interesowanych; w następstwie tej prawdy twierdzim, że żadne ostrzeżenia, intabulacye, subintabulacye na tymże wpisie miejsca mieć nie powinny. Działania takie przeciwnie uważamy istocie i przeznaczeniu tego hipotecznego wpisu, prawom

już ostrzeżonym dalszych interesowanych. Cały bieg czynności tych rozpoczynać się i kończyć winien między władzą a sądem, który rzecz tę wedle wydanych rozporządzeń i w ostatecznym terminie załatwić zostaje w obowiązku.

14. Str. 208. Nie podzielimy również zdania autora:

„że klauzula, *de non amplius oppignorando*, to jest umowa między wierzycielem a dłużnikiem, żadnego w tym względzie nie może mieć znaczenia”.

Jakto! właściciel nie miałby prawa siebie ograniczyć i to ze skutkiem dla uzyskania funduszu, dania większej pewności zwrotu takowego swemu wierzycielowi, który najlepiej i ocenia i zna swoje prawa i ograniczenia tego żąda? Byłoby to zaprzeczać mu najwłaśniejszego prawa, jakie własność nadaje, to jest: prawa rozrządzenia. Czynność to jest, dobrowolna, niczyich praw nie obraża, przepisy zakazu nie stanowią, zwierzchność hipoteczna reflektować ją może i powinna. Samo się rozumie, iż wpis podobny hipotekom sądowym i prawnym ubliżać nie może.

Str. 228. O służebnościach mielibyśmy do zrobienia kilka uwag i spostrzeżeń, lecz ze przedmiotem tym, jak nam wiadomo, wyłącznie inne pióro się zajmuje, pomijamy takowe.

Str. 290. Ogólny rys stosunków prawnych co do majątku między małżonkami, adznacza się bogactwem wywodu, prawdą poszukiwań, kilka widokami nowemi; przedmiot to starannie, należycie przez autora obrobiony.

15. Str. 392. We wspólności na przypadek śmierci, żonie wolno nie połączyć swojego majątku, czyli wolno zrzec się wspólności. (art. 230 kod. pol.) Czy służy to prawo sukcesorom żony?

Takie szan. autor zadaje sobie pytanie i wywodzi: że wedle redakcyi prawa, im służyćby mogło tylko prawo zrzeczenia się spadku, coby pociągnęło ten skutek, iżby nie z majątku po żenie nie otrzymali i od ciężarów wolni byli. Czy taka była myśl prawodawcy? dalej zapytuje się autor i odpowiada:

„Pobudka (racya) nie nastrocza się żadna, któraby taką myśl, jak redakcyja, przypuszczać dozwalała”.

Wykażemy, sądзим, iż nie inną była myśl prawa, tylko jaką redakcyja przypuszczać dozwala:

Wedle kodexu cywilnego francuz. artykuła 1,122

„*On est censé avoir stipulé pour soi et pour ses héritiers et ayant-cause à moins que le contraire ne soit exprimé ou ne résulte de la nature de la convention*”

wywodzim, iż jakkolwiek poczytuje się, iż obowiązujem się dla nas samych, następców naszych lub mających prawo; wszelako natura umowy jaką zawieramy stanowić może w téj mierze wyjątek. Że tak jest, mamy na to dowód w témże prawie i w stosunku majątkowym dużo do wspólności naszej na przypadek śmierci podobnym, to jest w oddziale:

„De la faculté accordée à la femme de reprendre son apport franc et quitte.”

w art. 1,514 t. p.; czytamy bowiem w nim rozporządzenie takie:

„Ainsi la faculté accordée à la femme ne s'étend point aux enfans”.

Pisarze francuzcy, mianowicie Duranton (1), za przyczynę całego tego stosunku naznacza następującą:

„il a paru trop dur que le mari, qui a seul l'administration de la communauté, pût, en la chargeant de dettes par ses profusions et ses mauvaises spéculations, obliger la femme au delà de ce qu' elle en retirerait, ainsi on n'a pas voulu qu' il pût, en dissipant les biens, la rendre sans utilité pour la femme, en même temps que celle-ci perdrait par le fait tout ce qui y serait entré de son chef. Du moins si tel serait l'effet du droit commun (art. 1,492) on a pensé qu'il serait raisonnable que la femme pût s'y soustraire par ses stipulations”.

Za przyczynę zaś rozporządzenia wyż powołanego, przedmiotem kwestyi będącego, naznaczają: że prawa żony są tu osobiste, wyjątkowe i że jest przeciwném duchowi kodexu rozciągać umowy podobne do innych osób, zwłaszcza, gdy umowy te (du droit étroit) są poza obrębem ogólnych rozporządzeń prawa (du droit commun).

Prawodawca nasz w urzędowych motywach do prawa z r. 1825 (art. 230) k. p. wybitnie objawił swą myśl (2) i sposób widzenia jego w téj mierze, tenże sam, co i prawodawcy francuzkiego.

Dla ważności przytaczamy takowe:

„W projekcie obecnym, majątek żony, gdy niemasz wyrażej przeciwnéj umowy, podług prawideł w oddziale IIgim oznaczonych, podlegać będzie użytkowaniu i zarządowi męża. Chcąc przeto równowagę przywrócić, a szczególniej zasłonić majątek żony od niebezpieczeństwa straty, zastrzega się żonie prawo przyjęcia lub zrzeczenia się wspólności; gdyby bowiem

(1) Cours de droit Civil p. M. Duranton. Bruxelles. Str. 307 ed. 1841.

(2) Dyaryusz senatu z r. 1825. Tom II, str. 98.

mąż, który mocen był strwonić cały majątek ruchomy, mieszkańców miast najczęściej jedynym funduszem będący i tym sposobem pozbawić żonę lub prawa jój reprezentujących udziału z wspólności oczekiwanego, sam lub jego następcy od odpowiedzialności prawem zastłonięni byli na podobny wypadek: wówczas żona ponieśćby mogła w swym majątku wielką krzywdę.

Jeżeli żona przyjmuje wspólność, z natury rzeczy wypływa, iż tylko to do podziału należeć będzie, co po potrąceniu zobopólnych długów, z ogólnego tak żony jako i męża majątku wspólności poddanego, czystą masą okaże się; przepis ten w ustępie piérwszym (prosta omyłka; być powinno drugim, porównaj z prawem) art. 230, podany, ściąga się również do męża, gdy ten przeżyje żonę.

Jeżeli zaś żona rzeka się wspólności, wedle prawideł w ustępie drugim (również prosta pomyłka; być powinno trzecim) tegoż artykułu oznaczonych, odbiera swój majątek, tak, jak gdyby wspólność wcale zastrzeżoną nie była. Dobrodziejstwo to prawa służy jedynie żonie”.

Z tego wszystkiego cośmy powiedzieli okazuje się: że prawo to zrzeczenia się wspólności jest osobistém prawem żony, że jest dobrodziejstwem prawa najściślejsemu tłumaczeniu ulegającym, że w jój osobie zawiązane, z zgonem jój się kończy, że ona tylko jedynie a nie kto inny wyrzec może i powinna, czyli chce z dobrodziejstwa tego korzystać, czy zatém sumiennie uważać może administracyą majątku wspólnego za szkodliwą i z jakiej przyczyny swym prawom lub nie, a tém samém czyli zrzec się ma wspólności lub ją przyjmując. Motywa tu zgadzają się z redakcyą samego prawa.

16 Str. 354. W przedmiocie téjże wspólności pisze szanowny autor:

„Jeżeli małżeństwo rozwiedzione zostało, w tym przypadku, gdyby oboje małżonkowie byli winni, wspólność za niedoszłą się uważa: gdy jedno z nich jest niewinne, niewinnemu, bez względu czyby nim był mąż lub żona, wybór służy czyli chce połączenia majątku i podziału, lub zatrzymania tylko własnego. To jest szczególny przypadek; nie może więc być decydowany podług ogólnego prawidła art. 230 kodexu, ale podług szczególnego w art. 264 t. p. postanowionego.”

Nie zgadzamy się z szan. autorem, iżby mąż, dajmy niewinny, miał prawo zrzec się wspólności, czyli, co na jedno wychodzi, zatrzy-

mać swój własny majątek; dobrodziejstwo wyłącznie żonie służące, nie przechodzi i przejść nie może na jego osobę. Tego w art. 264 k. pol. niema; to się sprzeciwia naturze rzeczy, motywom prawa z roku 1825 wyż przywiedzionym w przedostatniej kwestyi i woli samegoż prawa z jego redakcyi wypływającój.

Str. 355. Ważna znana kwestya o prawach małżonka przy życiu pozostałego, do majątku współmałżonka zmarłego skreślona i zdecydowana, zdaniem naszym przewybornie. Podziela również i tu szan. autor nasze zdanie, któreśmy dziesiątek lat upływa, w tém piśmie objawili.

17. Str. 454. Píše szan. autor:

„Na wykreślenie musi zezwolić wierzyciel.”

Niezawsze to prawdą: wiele jest wypadków, w których wykreślenie legalnie nastąpi, chociaż nie będzie zezwolenia wierzyciela na toż wykreślenie. Pokwitowanie urzędowe z wierzytelności całkowitój, urzędowe dowody wyexekwowanój w całości przez wierzyciela summy, upoważniają na wniosek dłużnika, jako strony interesowanój, zwierzchność hipoteczną do wykreślenia wpisu. Obacz art. 119 oraz 1 i 2 prawa hip.

18. Str. 474.

„Pisarz kancelaryi wyda obwieszczenie o otwarciu spadku.”

Drobiazg to, lecz i ten sprostować należy. Zdawałoby się bowiem z powyższego wyrażenia autora, że władza ta jedynie pisarzowi kancelaryi służy; wszakże wszyscy pisarze kan. hip. oraz regenci też władzę posiadają.

19. Str. 485. Wyraził się autor:

„Zwierzchność hipoteczna ma obowiązek przestrzegania praw trzecich wiadomych z ksiąg hipotecznych, a tém samém nie ma obowiązku przestrzegać z kądinąd jój wiadomych. Kto przychodzi z testamentu o przepisanie tytułu własności, a zwierzchność hipoteczna znajduje w tymże testamencie jakowe ciężary na successora testamentowego włożone, wykonania ich pilnować nie ma obowiązku: nie może nakazywać, wpisywać legatów, jeżeli się legataryusze nie zgłaszają i hipoteki nie żądają.”

Nie zgadzamy się z szan. autorem, iżby testament na zasadzie którego własność nieruchomości się przepisuje i któren do zbioru dowodów się składa, uważać można za wiadomość z kądinąd czerpaną, a tém samém, iżby zbiór dowodów nie był nierozdzielną częścią ksiąg hipotecznych. Pojąć nie możemy również, jakim sposobem legataryusze zgłaszać się mają, kiedy może o legatach na ich rzecz

uczynionych nie nie wiedzą. Sądźmy, iż kto chce korzyści, ciężary wprzód zaspokoić winien; jestto prawdziwe *aes alienum*.

Dlatego nie będąc za hipotekowaniem legatów, przekonani jesteśmy, iż rzeczą jest zwierzchności hipotecznej zażądać przed uregulowaniem własności dowodów z opłaconych legatów, a w najgorszym razie, zawiadomić legataryuszów o położeniu rzeczy.

W zakończeniu swego dzieła, autor podawszy ogólny obraz naszej hipoteki, przedstawia niedogodności i niedostateczności w dzisiejszym prawie hipotecznym. Zlekka tylko ważny ten przedmiot i to ogólnie dotyka. Gdy wszakże rozliczne uwagi w tej mierze jużto przez sądy, już przez inne osoby Kommissyi Rząd. Sprawiedliwości złożonemi zostały, między którymi i nasze się znajdują, i magistratura ta, ma róg obfitości takowych: dłużej się nad tym przedmiotem zastanawiać nie będziemy. Mocno tylko zwracamy uwagę władzy na potrzebę dokładnej, pełnej instrukcyi hipotecznej; cokolwiek tyloletnie doświadczenie wskazało, a ważnością się zaleca, objęciem być powinno tąz instrukcją. Dla zachowania jednostajności w czynnościach hipotecznych jest onaniezmiernie potrzebną. Do miejsc i ludzi miejscowości przyczepiają się pewne pojęcia, jak gniazda jaśkółcze do strzech domów naszych; dobra instrukcyja hip. i jej na początku samym staranna kontrolła, zaradzić mogą niejednostajnościom, z tego źródła wypływającym.

O jednej korzystnej nowości wspomnieć mi należy. Ułożona przez autora tabella, wykazująca w których paragrafach znajduje się wiadomość o szczególnych artykułach hipotecznego prawa, a w których główny rozbiór artykułów, ich objaśnienia i wiadomości dodatkowe: zarówno dla czytelnika i uczącego się jest dogodna i pożyteczna. Tabelle takie we francuzkich pisarzach prawnych zawsze mile były widziane. Zasługuje nowość ta na upowszechnienie, ile w dziełach prawnych większego rozmiaru.

Dla całości sprawozdania należałoby donieść, co nam wiadome. Wysokie imię, wyższe jeszcze cnotami, ułatwiło materyalnie wydanie dla publiczności tego użytecznego dzieła; lecz gdy pragnie być w ukryciu, wymowniejszym milczeniem składamy hołd tak szlachetnej woli.

Teraz poczytujem sobie za miły obowiązek wynurzyć publicznie szanownemu autorowi po tak nużającej, kilkoletniej pracy, serdeczną wdzięczność w imieniu nauki, w imieniu ubogiej literatury naszej. Przy nagrodzie, jakiej z wyświadczonego drugim dobra w swém ser-

cu doznaje, niech mu pocieszyć się godzi tą błogą myślą: iż zobowiązał swoich i pozyskał ich życzliwość. Na ziemi, która Dresnerów, Herbutów, Zawadzkich, Załaszowskich wydała, od chwili zaprowadzenia dzisiejszego sądownictwa, wśród własnych i obcych pomocy, trzebaż pół blisko wieku czekać na pierwszy rodzimie swojski wykład części, dziś obowiązujących praw cywilnych? Przecież na zdolnościach w kraju nie zbywa, znakomite talenta zasiadają krzesła sądowe: górujące umysłowości zdobiją naszą linią obrończą...

Kończymy. Cokolwiek krytyka przez usta nasze wyrzekła i cokolwiek jeszcze wyrzec zechce, zawsze to jest i będzie prawdą, że autor jest znakomitością naszą umysłową, ozdobą literatury naszej, z liczby prawników kraju, pierwszój mocy i światła.

Jan Chryzostom Sławianowski.



KRONIKA LITERACKA.

Roczniki i kroniki polskie i litewskie najdawniejsze, przez Wacława A. Maciejowskiego. Warszawa, 1850. Str. V i 281.

Postrzegamy fakt, że już od niejakiego czasu wszystko, co tylko z pod pióra p. Maciejowskiego wychodzi, ma prawo w najwyższym stopniu interesować publiczność polską. Mówiąc tak, nie utrzymujem wcale, żeby interesu tego nie było zaraz od pierwszego ukazania się *Dziejów Prawodawstw słowiańskich*, kiedy autor na nową zupełnie wstąpił drogę dla siebie; ale od kilku lat, p. Maciejowski porusza tak ważne, tak żywotne dla narodu naszego kwestye, obudza badaniami swojemi taką ciekawość, że doprawdy, widzimy, jak ten interes dla prac jego wzrasta w oczach naszych, co chwila silniejszy, większy, uroczystszy.

Bo prawda, że miło nam błędzić po czasach Piastów i Jagiellonów, zbierać pamiątki chwil tamtych, tak zdaje się ubiegłych niedawno, przed kilką ledwie stuleci; miło nam obradować z Kazimierzem chłopków królem w Wislicy, z Łokietkiem ucierać się pod Płowcami, z Bolesławem Chrobrym budować państwo słowiańskie; a jakże dopiéro miło być musi, zanurzać się w pomrokę przedhistorycznych, bajecznych chwil naszej ziemi, kiedy ta ziemia dopiéro czekała przyszłości, kiedy po niej błędzili już nie ojcowie nasi, nie naddziadowie, a ojcowie tych ojców, a naddziadowie tych naddziadów, nosząc w biodrach swoich całe pokolenia potomków odległych aż do dni dzisiejszych! I któżby z nas nie chciał rzucić okiem w jak najgłębszą starożytność słowiańskiej ziemi, żeby aż dojrzał, jak się tworzyły, rosły, rządziły te plemiona dawne, co potem złożyły naród polski? I któżby nie chciał rozwidnić pomroki dziejowej, żeby aż dojrzał, jak pokolenie jedno walczyło z drugim, jak odpierało napaść obcych, żeby utrzymać własną narodowość? Długośmy zaczęli historią

Polski z Mieczysławem: znakomity badacz, poprzednik p. Maciejowskiego w poważnej pracy, pomknął tę epokę w głąb ku Chrystusowi o wiek cały i zaczął ją od Ziemowita; nasz uczonej pewność tę posuwa jeszcze o trzy wieki naprzód, pomimo tego, że wskazuje na ślady Polanów już w drugim stuleciu ery chrześcijańskiej. Badania te rozjaśniają całą odległą przeszłość Słowiańszczyzny, zachodniej przedewszystkiém, i jakże dla nich nie mieć najwyższego interesu?

P. Maciejowski, żeby nam więcéj wyjaśnić dzieje pierwotne Polski, a raczéj plemion słowiańskich, które ją złożyły, przedsięwziął po kolei opowiedzieć nam dzieje tych wszystkich plemion. W książce, którą wydał przed kilką laty, a w której rozwinał już dawniej nieco porozrzucone po swoich rozprawach pomysły o pierwiastkach narodu polskiego, p. Maciejowski dotknął właściwie tylko ogólnych dziejów narodu. Że zaś ogół ~~razsze~~ ~~lepiej~~ się wyjaśnia przez szczegóły, że badania cząstkowe mogą najwięcéj rzucać światła na przedmiot główny; p. Maciejowski postanowił, mówimy, zapuścić się głębiéj w ten las kronik, podań, domysłów, zwiedzić wszystkie części niezmiernego obszaru, z pochodnią krytycznej wiedzy błąkać się po słowiańskich plemionach, śledzić ich początki, powodu nazwania, wreszcie dobadywać się pojedynczych czynów. Zbiór prawd z tej mozolnej wędrówki wydobytych, jak miał stanowić dzieje pierwotne każdego w szczególności plemienia, tak miał dopełnić obrazu, jaki autor skreślił opowiadając nam przed kilką laty dzieje pierwotne całego narodu. To, co w tamtém dziele było w napomknięciu, w zawiązku — w szeregu kronik, z których jedna ma następować za drugą, ma znaleźć swoje zupełne rozwinięcie.

Dla tej mozolnej pracy, p. Maciejowski na bok odłożył nowe badania swoje w celu wykończenia dawnego dzieła o dziejach prawodawstw słowiańskich. P. Maciejowski nad tém ubolewa i w istocie my czujemy to sami dobrze, jak niemiło jest, chociaż na chwilę oderwać się od pracy, która nas całkiem zajmuje, dla jakiejś drobnej przyczyny; ale p. Maciejowskiego nie rzecz drobna odciągnęła od dziejów prawodawstw, a przedmiot może największej wagi dla całej rodziny Słowian: — to tajemnica, jak się tworzyły te wielkie społeczności słowiańskie, jak się łączyły z sobą, zlewały, jak potem urastały w naród, związany jedną historią, jednym językiem, jedném uczuciem. Kiedy p. Maciejowski w badaniach swoich szuka zawiązku społeczeństw polskich i narodu, przekonani jesteśmy, że nie dla dziejów naszych pracuje wyłącznie; owszem, pośrednio p. Maciejowski objaśnia przez to dzieje Słowiańszczyzny: bo jeżeli już między wschodnimi i zachodnimi plemionami inniéj dojrzymy powinowactwa i związku, jeżeli inniéj podobieństwa spostrzeżem w fak-

tach zewnętrznych, któremi te plemiona zdradzały już swoje odrębne, kształtujące się życie: to zapomnieć nam nie należy, że na całym Zachodzie, i w Czechach i w Polsce i w Serbii, ogromną rolę grają Leszkwie. My sądzim, że prace p. Maciejowskiego dla dziejów pierwotnych, większym promieniem zasługi otoczą jego skronie, jak Dzieje Prawodawstw słowiańskich. Wszakże badaniem nad początkami narodu polskiego, p. Maciejowski wiele objaśni i dzieje samych prawodawstw. Uczony autor narzeka, że oderwał się od pierwiastkowej a głównej swojej pracy; a my dziękować mu powinniśmy, że miał siłę porzucić ją na chwilę dla badań tak ogromnego interesu.

P. Maciejowski więc, żeby poprzeć swój systemat rozwinięty w Dziejach Pierwotnych, żeby mocniej odpowiedzieć na zarzuty, jakie czyniono jego badaniom, chce nam, jak powiedzieliśmy, skreślić szereg kronik prowincjonalnych. Kronikę Polanów i Lechitów mamy w dziełku, o którym właśnie mówić zamierzamy. Za temi kronikami mają pójść latopisy Chrobatów, Łęczycanów, Mazurów, Rusi halickiej, jaćwieżskiego Podlasia: zgoła wszystkich krain, które tylko weszły w skład późniejszego państwa polskiego. Sam autor jeszcze nie wie, na jak wielki zakres rozciągnie się ta praca. P. Maciejowski będzie dochodził źródłostwu każdego nazwiska historycznego, każdej ziemi; będzie wskazywał na ślad tego nazwiska w drukowanych kronikach; będzie zbierał fakta odnoszące się do dziejów każdej miejscowości i prowincyi; będzie, jednem słowem, budował całość, o jakiej nikt z uczonych przed nim nie pomyślał, o jakiej nikt z nas dotąd nie marzył; będzie rozwijał swój piękny pomysł, prowadząc nic wypadków dziejowych przez lata, pokolenia i wieki. Zapewne snuć on tam będzie nieraz i hipotezy, domniemania: boć gdzie dowodzie potrzebą, tam niema prawdy jasnój jak słońce. Gdyby Polanie z VI—VII wieku ery chrześcijańskiej pisali swoje kroniki i zostawili nam pewną powieść o swoich czasach, mybysmy dzisiaj nie domyślali się wielu rzeczy i nie dowodzilibysmy tego, o czémby nas uczyły te kroniki. Ale, że na nie szczęście nasze, tak dawnych zabytków języka słowiańskiego, zapewne nie odkryjem nigdy, a pytania wielkiej wagi, jak np. o początku narodu, o jego rządzie, teraz właśnie wychodzą na scenę: szczęśliwi jesteśmy, że choć przynajmniej mamy rząd kronik obcych i późniejszych własnych cokolwiek, na mocy których snuć możemy domysły nasze w odpowiedzi na te żywośne dla nas pytania. Dlatego z radością i radością żywą przyjmujem badania p. Maciejowskiego, i ten cały szereg kronik, który teraz się rozpoczął; tém bardziej, że pomysły naszego uczonego ugruntowane są na krytyce i podaniach drukowanych kronik. P. Maciejowski stworzył cały systemat, wyrozumował cały rys dziejów zawiązku plemion polskich i na-

rodu, wystawił nam jak pojmuje te początki narodu. Wolno mu przeczyć, ale także na zasadzie podań; wolno obalać jego systemat krytyką dziejową, ale nie można mu przecież powiedzieć, że zupełnie się myli, że w jego badaniach wcale niema prawdy historycznej. Kiedyć w świecie fizycznym były, są i będą hipotezy, które czasami zmieniają się i w pewność; jakże w historii, tam, gdzie brak źródeł, gdzie tylko dowodzić można, nie ma być przypuszczeń i domysłów? Mogą więc być rozmaite systemata (bo co głowa, to rozum) o tworzeniu się plemion polskich i całego narodu; ale ten systemat będzie najbliższy prawdy, który zbuduje najtrafniejsza krytyka historyczna. P. Maciejowskiego systemat tém właśnie celuje nad innemi, że wiele objaśnia nastroczających się wątpliwości, że ten systemat ma za sobą i podania i powagę jednego z największych erudyków naszych, a tém samym już i wiele powodów, które za nim walczą. Uczony autor może błądzić, to prawda, jak każdy człowiek może błądzić; ale jednak w jego pomysłach znajduje się i wiele takich rzeczy, które dzisiaj wcale się za błędy nie wydają, i nigdy zapewne przez krytykę w szereg błędów nie będą odepchnięte.

Jeżeli zatém w kronikach późniejszych p. Maciejowski snuć będzie dalej szereg domniemań swoich, my te domniemania poparte cytacyami, rozważać będziemy w sumieniu historycznym, ile przypadają do naszego przekonania, i podług tego sąd utworzymy, ile ta wielka praca przyczyniła się do wyjaśnienia dziejów pierwotnych Polski. Jakikolwiek los zresztą spotka te badania, myśmy przekonani mocno, że szereg kronik p. Maciejowskiego otworzy nam świat nowy, zupełnie nieznanym, i że ten szereg kronik będzie pochodnią prawdy, właśnie dla dziejów pierwotnych Polski.

W Rocznikach, które mamy przed sobą, znaleźliśmy dwie kroniki: jedną Polski przedlechickiej, drugą kronikę Lechów i Lechii. Pierwsza była już znana publiczności z drugiego tomu Album Literackiego i z odbitek Album. Kronika Lechów i Lechii jest nową zupełnie pracą.

Imię Polski dostrzegł p. Maciejowski w Ptolomeuszowych Boulanes, jeszcze w II wieku ery chrześcijańskiej. Odrąciwszy końcówkę grecką, wskazującą pierwszy przypadek liczby mnogiej, p. Maciejowski znalazł, że mieszkaniec ziemi Bulenów, sam pojedynczo nazywał się Bulen, to jest Pulen, od wyrazu *pule*, nie *pole*, bo do dziś dnia lud wielkopolski częściej *u* mówi zamiast *o*, a rzecz zdaje się jasna, że wyraz *pole*, *pule*, wyraźnie wskazuje na powód naszego nazwiska jako narodu. P. Maciejowski dalej przekonywa, że Boulanes Ptolomeuszowi z IIgo wieku żyli właśnie w témże samém miejscu, gdzie w sześć, siedm potem wieków pokazują się Polanie, to jest w okolicach dzisiejszego Gniezna i Kruszwicy. W samęj rzeczy ten fakt uderza, a podobieństwo dwóch wyrazów rodo-

wych, nie może być przypadkowém. Szło tylko o przekonanie, czy rzeczywiście Boulanes a Polanie są jedno? Żeby tego dowieść, p. Maciejowski cytuje z kronik Pertza całe wypisy, mające nas przekonać, że w istocie Niemcy, *b* brali za *p*, i zwali nas rozmaicie, jak rozmaicie pisać nazwisko nasze — umieli. Jedném słowem, p. Maciejowski wyliczył aż 22 imion, jakimi nas chrzcili kroniki niemieckie, gdzie *b*, płacze się bezustannie z *p*, a samogłoska *o* z *u*. Wszystkie te imiona odnoszą się w samej rzeczy do dzisiejszej Polski, i o przodkach naszych tam mowa w kronikach niemieckich, z kąd p. Maciejowski wybiera te wzmianki o Bulena albo Pulena. Ale te wszystkie imiona są już późniejsze. Dlatego więc zarzucim autorowi, że przeciąg czasu jest zbyt ogromny pomiędzy wzmianką Ptolomeusza (z r. 138—161 ery chrześcijańskiej), a wiekiem IX, w którym już Polskę i Polaków, glossy niemieckie dochowane w rękopisie i niedawno wynalezione, pod imieniem Bolana, Polana oznaczać mają.

Właśnieby życzyć sobie potrzeba, żeby te wzmianki znalazły się wcześniejsze od 800 r., bo toby zbliżyło odległość niezmierną czasu, jakimi Boulanes Ptolomeuszowi, oddzieleni są od Polan Piastowskich. Zresztą, ten brak wcześniejszych wiadomości od r. 800 nie znosi wcale jedności między narodem opisanym przez Ptolomeusza, a ludem, nad którym panował Ziemowit: bo powiadamy, takie podobieństwo imion dwóch ludów i w jednym miejscu nie może być w żaden sposób ślepém zrządzeniem losu. Boulanes II wieku i Polanie z IX wieku muszą być jednym narodem i tylko dziwić się trzeba, dlaczego, kiedy już Ptolomeusz słyszał o tém nazwisku, wzmianki o niém sąsiadów naszych Niemców, są tak bardzo późne.

Ale za to druga trudność. Ptolomeuszowi Boulanes mieszkali w Sarmacyi; tymczasem Polanie Ziemowitowi siedzieli na lewym brzegu Wisły około Gopła i Kruszwicy, to jest w miejscach, gdzie według uwagi innych badaczy, była już Germania, nie Sarmacya. Jeżeli zatem Bulanes II wieku siedzieli w Sarmacyi, Polanie IX wieku w Germanii, więc Bulanes i Polanie nie byli jednym i tymże samym narodem? Żeby zbić ten zarzut, p. Maciejowski wdaje się w rozprawy, które mają na celu objaśnić text Ptolomeusza, dosyć w tém miejscu ciemny, gdzie geograf bliżej oznacza granice Sarmacyi i Germanii. Wywody naszego autora mówią zupełnie do naszego przekonania. Granica szła od ujścia Wisły, aż do okolicy dzisiejszego Chełmna albo Torunia, a potem granicę tę między Germanią a Sarmacyą stanowiła linia poprowadzona od początku Wisły, to jest: od okolic dzisiejszego Krakowa aż do Torunia i Chełmna. W istocie, jak nie widzieć, że to oznaczenie granicy ma za sobą logiczną pewność? Nigdy ludy, jedne z drugimi nie stykały się nad rzekami i nie odgraniczały się wodą, chyba morzem. I w najgłębszej starożytności i teraz, spostrze-

gamy, że pomiędzy narodowościami nie rzeki, a jakieś trwalsze zapory stanowią granice. Zaporami temi są łańcuchy gór, wąwozy, ciasne przejścia. Dlatego nigdy przypuścić nie możemy, żeby Wisła w całej długości swojej od początku aż do ujścia była w II wieku granicą dwojga różnych narodowości. Tych narodowości ustalonych, osiadłych w II wieku ery chrześcijańskiej jeszcze nie było; a jak za Wisłą na zachód, tak i przed Wisłą na wschód, była mozajka ludów, pomieszanych jedne z drugimi. Jak Germania, tak i Sarmacya musiała być wtenczas rzeszą ludów jedno- i różnoplemiennych, każdy innego pochodzenia, innego języka. Wszakże na tę myśl wpadali i dawniej badacze nasi. Czacki mówił: *że nie znała Sarmacya innych granic od Germanii, jak wzajemną bojaźń; że nie zamykano wtenczas krajów, a uspy graniczne, które z ginących za ojczyznę ziemiaków świadeczne ich mężstwa wzniosły mogiły* (str. 29), wskazywały, gdzie kończyła się Germania, a zaczynała Sarmacya. Owszem, sam Pliniusz starszy powiadał, że wschodnią część Germanii Scytowie i Sarmatowie zamieszkują (str. 29). A jeżeli tak jest, to pocóż Wisłą całą koniecznie odgraniczać jedną połowę Europy od drugiej w II wieku ery chrześcijańskiej? Pocóż Ptolomeusza robić odpowiedzialnym za spory dzisiejszych uczonych? Nam się zdaje, że to w najwyższym stopniu słabość, przywiązywać się ślepo, bez żadnej rozwagi, do jednego podania jakiegś kroniki. Ptolomeusz pisał jak wiedział i jak słyszał; czyż to dowód zaraz, że wiedział dobrze, że słowo jego przeważy jak żelazo na szali? Wierzyć można dokumentom urzędowym, nie kronikom. Słowo kroniki podlega zawsze tłumaczeniu, wyjaśnieniu. Gdyby Ptolomeusz wiedział, że niejasne jego wyrażenie się da powód jednemu do tworzenia systematów, drugim do ich obalania, możeby się z większą dokładnością tłumaczył. To tak zupełnie, jak my, gdybyśmy pisali coś o ziemi Oregonu, albo o wewnętrznej Brazylii, tak, jak o tych ziemiach coś wiemy z podania, gdybyśmy zakreślali tam granice, i ład dzielili; to tak samo, jak gdyby potem w lat trzysta, czterysta, albo więcej po nas, uczeni zawodzili spory o tamte kraje, i nasze podania cytowali jako świadectwo. Czyż nasze wiadomości usprawiedliwiłyby spory późniejszych amerykańskich uczonych?

Gdyby ta ziemia na granicach dawniej Sarmacyi i Germanii była tak zaludnioną w II wieku jak teraz; gdyby wtenczas na tej ziemi były takie miasta jak teraz: byłby Ptolomeusz lepiej oznaczył miejscowość. Nie przywiązując się do szczegółów, których nie miał, oznaczył Ptolomeusz tę granicę zbyt ogólnie, i możnaż każde słówko jego brać za pewnik matematyczny? Dobrze jest oprzeć się na podaniach dawnych, ale ślepo im wierzyć? Kiedy zatem granice Sarmacyi i Germanii oddzielał

Ptolomeusz rzeką Wisłą, nie można tu w żaden sposób brać Wisły w całej rozciągłości, a potrzeba, jak to bardzo sprawiedliwie uważa p. Maciejowski, poprowadzić i granicę suchą od Krakowa aż do Torunia. A i ta granica sucha nie będzie południkiem, tylko wyginać się musi: bo dzisiaj tylko kraje niezamieszkałe Ameryki można krojąc na kąty proste, bo tylko na morzu, mógł papież wyznaczyć linię, za którą wszystko było Hiszpanów, przed którą wszystko należało do Portugalii.

Przypuszczamy zatem, że granice wzajemne Germanii i Sarmacyi, dobrze odznaczył p. Maciejowski, objaśniając po swjemu text Ptolomeusza; ale pytamy się, do czego służą te wszystkie rozumowania? Szło o to, żeby dowieść, że Sarmacya rozciągała się po lewém nadbrzeżu Wisły, że Boulanes Ptolomeuszowi, osiedli w Sarmacyi, mogli mieszkać na zachód tegoż lewego nadbrzeża. A jednak, jeżeli w krainie zamkniętej południkiem poprowadzonym od Krakowa do Torunia i Chotłna, mają koniecznie siedzieć Boulanes: to zawsze p. Maciejowski nie wyjdzie na swoje, bo okolice Gopła i Kruszwicy jeszcze na zachód zostaną poza tą linią. P. Maciejowski południkiem swoim odgraniczając Germanią od Sarmacyi, wywalczył tylko sarmadzkość Sieradzanom, Kujawianom, Łęczycanom, ale wcale nie Boulanom Ptolomeuszowym. Chyba p. Maciejowski przypuści, że ci Boulanes mieszkali troszkę więcej na wschód i południe w Ilm, jak późniejsi Polanie w IXtym wieku? Ale sąto wszystko dystynkcyje scholastyczne, które pochodzą z tego, że zbyt przywiązujem się zawsze do słowa kroniki, nawet wtenczas, kiedy na nią krytycyzmem swoim uderzamy. My bez wszelkich dowodzeń przypuszczamy, że jedno są Boulanes i Polanie, a słowa p. Maciejowskiego, nasze przekonanie własne, jakie sobie w téj sprawie wyrobiliśmy, więcej dla nas znaczą, jak wszystkie Ptolomeuszowe wywody. Kto chce inaczej nas przekonać, musi naprzód zbic, dlaczego Ptolomeusz w Ilm wieku w tychże samych okolicach umieszcza Boulanów swoich, i dlaczego w IX, a nawet wcześniej, w téjże saméj stronie występują Polanie? Musi zbic te dowody z Pertza, że raz Niemcy nas zwali przez *p* i przez *b*, przez *o* i *u*, że pisali Buloni, Boleni, Puleni i Poloni, co ma przecie związek z Boulanes Ptolomeusza; musi dowieść, że w Ilm wieku ery chrześcijańskiej nie było jeszcze zupełnie Słowian w Europie: bo jeżeli byli, chociaż jedno nazwisko, chociaż jeden ich ślad w kronikach obcych powinien się dla nas przechować, i podaniem przejść aż do naszych czasów.

Zresztą w głębi przekonania i wielu obcych badaczów, nietylko naszych, spoczywa myśl, że Boulanes IIgo wieku mieszkali na lewéj stronie Wisły. Wspomnieliśmy już o Czackim. Przed blisko dwustą laty utrzy-

mywał to Hartknoch, który Boulanów miał za Polaków (str. 57). I jakiegoż jeszcze potrzeba dowodu, kiedy nawet Niemcy, nieprzyjaciele wszystkiego, co słowiańskie, jak np. dzisiejsi badacze Zeuss i Ukert, przyznają, że słowiańskie plemię Boulanów Ptolomeuszowych mieszkało na lewym brzegu Wisły, w dzisiejszém W. ks. Poznańskim, chociaż późniój, jakby żałując, że się zdradzili, usiłują naprawić błąd pominięty (str. 31).

Więszato nierównie trudność objaśnić, jak Boulanes otoczeni zewsząd w IIIm wieku sarmackimi ludami, siedząc jakby w ostępie, pomiędzy hordami Gitonów, Finnów, Frugundionów i Awarenów, potrafili utrzymać swoje rodowe nazwisko aż do IX stulecia? Ludności te zapewne były napływowe. Ludności te zapewne panowały nad Słowianami, osiedlonemi w téj części Europy; i p. Maciejowski słusznie mówi, że panując nad niemi, zatarty ich niezawistość i nazwisko samo; a Ptolomeusz pisząc o Finnach, Gitonach i t. d., i Niemcy późniejsi pisząc o Wendach i Gotach, nie wiedzieli wcale, że pod niemi zostają w jarzmie małe narodki słowiańskie. Ale dlaczego nie wiedzieli? Dlaczego zatarty się inne nazwiska słowiańskie? dlaczego napływowa ludność nadawała swoje imię zajętej przez siebie krainie, a nazwisko Polanów błyszczy w IIIm i IXm wieku? Dlaczego Awarowie mogli panować nad krakowskiemi Chorwatami i zatrzeć nazwisko Chorwatów, jak Wandalowie później? Dlaczego inne ludy sarmackie zatarty imiona Wiślan, Mazowszan, Kujawian, a dlaczego Polanie temuż samemu losowi nie ulegli? Więc na ziemi Boulanów nie panowały żadne plemiona sarmackie w IIIm wieku? więc Finnowie i Frugundionowie oparli się aż w pochodach swoich o ziemię Boulanów, otoczyły ją wieńcem, a do jój wnętrza przeniknąć nie mogły? Wszystko to są pytania, które zaraz nastęrczają się myśli, i albo wskazują na dzielny opór Boulanów napływowym ludnościom w głębokiej bardzo starożytności, albo do wyszukania innych powodów posuwają badawczy umysł krytyczny. Wreszcie i sami Boulanes giną jakoś przed wzrokiem dziejopisa w IIIIm wieku ery chrześcijańskiej, żeby potem w lat 700 wystąpić pod imieniem Polanów. Ale jeżeli istnieli już Polanie w IX wieku, to na mocy sprawiedliwej uwagi p. Maciejowskiego, biorąc tylko trzy pokolenia w tył: istnieli już i w VII stuleciu. Dla téjże samój przyczyny, jeżeli giną w pomroce dziejów w IIIIm wieku, to już najprędzej ostatnią ich zagładę przypuścićby można w V wieku. Zatem lat dwieście, nie więcej jest przedziału, pomiędzy Boulanami Ptolomeusza a Polanami Piastów. Dlaczego zaś inne nazwiska słowiańskich ludów nie błyszczą tak, jak tych Boulanów, Polan, p. Maciejowski nam to zapewne wykaże w kronikach poszczegól-

nych tych plemion. Wtenczas i rzecz się cała wyjaśni, przedmiot zaokrągla, a my będziemy już wtenczas coś budowali na całym systemacie p. Maciejowskiego. Bo dzisiaj widzimy jednych tylko Boulenów, którzy utrzymali się przy swoim rodowym nazwisku, kiedy wokoło nich sarmackie ludy szły, ginęły, wlewały się w Niemcy, albo wsiąkały, otaczały ziemię Boulenów jak wyspę, a jój samój nie zajęły. Bo dzisiaj wierzymy tylko na słowo panu Maciejowskiemu, że wyczytał Wiślan w latach 871-901 (str. 89) i Mazowszan, których ślad już się napotyka w IV wieku (str. 55). Dla nas, jedni tylko Polanie mają dotąd znaczenie historyczne pomiędzy tych ludów, co dawną Polskę utworzyły. A że mają to znaczenie, p. Maciejowskiemu musimy za to podziękować.

Musimy przejść do Roczników i kroniki Lechów i Lechii.

Jak poprzednio uderzył nas fakt, że w II gim wieku i IX, w jednych okolicach, a w dwóch epokach różnych od siebie, pokazał się naród jednego nazwiska, i jak mocno przekonani jesteśmy, że to w żaden sposób nie może być przypadkowe zbliżenie się imion: tak w kronice Lechów uderza nas również fakt drugi, nieobjaśniony, dziwny, tajemniczy, a od którego rozwiązania wiele zależy pierwotnym dziejom polskim. Myśmy długo nie mieli zwyczaju zastanawiać się nad tajemnicami rodzinnej ziemi, tajemnicami, w których jój cała przeszłość spowita. U nas, kto pierwszy coś powiedział, ten razem powiedział i najlepiej. I dlatego rosły błędy, kształciły się przesady dziejowe, które teraz przecie krytyka zbija. Tak powtarzaliśmy baśni, które długo drukowały się na czele każdej książki, mówiącej o historii polskiej, baśni przewane dziejami bajecznymi. Tak powtarzaliśmy fakta, jeden za drugim, a nie zastanawialiśmy się długo, dlaczego tak było, a nie inaczej, i dlaczego inaczej być nie mogło. Każde dziecko, co się uczyło historii wie, że rząd Słowian był gminowładny, patryarchalny, że ojciec rodziny najwyższą w rodzinie sprawował władzę, że starszyzna z ojców tych złożona, była węzłem łączącym całe społecznie w jedną całość; że nie było u przodków naszych żadnych stanów, kast, nierówności towarzyskich, że wszyscy jednych praw obywatelskich używali, i jak w pokoju radzili dla jój dobra, tak w czasie boju z narażeniem życia własnego, bronili ziemi zlanój ich potem i uświęconój nadziadów kościami. Gmina, powtarzają to i dzisiaj wszyscy, była zasadą słowiańską od niepamiętnych czasów. Obok tego każdy z nas uczył się, że Bolesław Chrobry objeżdżał kraj wymierzając wszędzie prawdziwie po monarchicznemu sprawiedliwość; że przybrał sobie dwunastu starców do boku, jakby jaką wielkoradę; że społeczeństwo polskie sam urządzał podług swojego widzimisię; że sam stanowił prawa, nie pytając się nikogo o zdanie; że prowadził wojny zaczepne, a więc wbrew duchowi sto-

wiańskiemu, który nigdy cudzego nie pożądał; że miał w swoim ręku wcalem tego wyrazu znaczeniu wykonawczą władzę, a potęgi téj władzy to właśnie dowodzi, że kraj pod jego rządem w całkiem nową przyoblekał się postać, a nikt nie śmiał się mu sprzeciwić, bo król Wielki hardych panów do łaźni z sobą zapraszał i tam ich karciał po ojcowski. Jeżeli pany mu tak ulegali, jakże ulegał lud, który pracował przy roli?

Powtarzaliśmy wszyscy i jedno i drugie, a nikt z nas nie zastanowił się, że właśnie przyznając Bolesława za wszechwładcę, tém samym rzucaamy cień podejrzenia na całe gminowładztwo przed-Chrobrowe. Trzeba jedno z dwojga przypuścić: albo Polanie, z których się rodził Bolesław, różnili się w tém od całej ogromnej rzeszy Słowian, że nie przyznawali zwierzchnictwa gminy, czcząc prawo jakiegoś uprzywilejowanego rodu, któremu kazali panować nad sobą; albo właśnie uznawali to zwierzchnictwo gminy. Na pierwsze przypuszczenie nikt nie zezwolił; a więc jeżeli mieli Polanie kiedyś rząd gminowładny, patryarchalny, ojcowski, a za Bolesława czasów widzimy ten rząd zogniskowany już w ręku jednego z całą władzą monarchy: potrzeba znowu domyślać się, że jakaś ważna przyczyna wpłynęła na tę zmianę, i obaliła narodowy systemat, dla dobra obcej, nie słowiańskiej zasady. Anomalij, przypadków oderwanych bez związku z drugimi, bez związku jakiegoś z przeszłością, nie ma wcale w historyi, która wskazuje ciągły rozwój, a więc z przyczyn skutki, a ze skutków przyczyny. Bolesław Chrobry nie wyrzucił jednak gminy u Polan, bo taki wielkiej wagi wypadek nie mógł zajść bez wstrząśnienia. Polskę już dobrze znano w X wieku, żeby kronikarze niemieccy nie zostawili w kronikach swoich pewnych podań o takim wypadku, gdyby natenczas właśnie zaszedł systemat nowy; zatém musiał sięgać nierównie więcej oddalonych czasów, czasów jeszcze przedchrześcijańskich Polski. Za Bolesława spostrzegamy już w kraju stanowisko wcale nie słowiańskie. Więc i ta stanowisko musiała wziąć kiedyś początek. Więc ta stanowisko nastąpić musiała razem ze zmianą całego systematu, bo to dwa kółka jednej maszyny, wspierające się nawzajem. Był więc czas, kiedy polskie (polskie) plemię zmuszone było wyrzec się dawnych podań rodzinnych, narodowych, i przejść pod obcą chorągiew. P. Maciejowski objaśnia to zjawisko, wskazuje czas i powody. Powodem zmiany było do nas przybycie Lechów. Czasem téj zmiany był wiek V—VI. W tém właśnie tkwi cała myśl główna Roczników i kroniki Lechów i Lechii.

Żeby dowieść, że zmiana wyobrażeń społecznych nastąpiła w plemienu Polan za wpływem Lechów, p. Maciejowski musiał naprzód dowieść, że Lechowie mieli w samej rzeczy bytowanie dziejowe; potem, że z temi wyobrażeniami byli oswojoni; nareszcie, że przybyli do Polan i zmiau-

nili ich stosunki społeczne, wnosząc pomiędzy gminy słowiańskie stano-
wość, jaką już zastał, ale tylko w duchu narodowości polańskiej rozwinął
Bolesław Chrobry.

W Pierwotnych Dziejach szeroko rozwiódł się p. Maciejowski nad
pierwszém pytaniem. W kraju później saskim, a w którym poprzednio
jeszcze, przed nadejściem Niemców, mieszkali w gminach swoich Słowia-
nie, napotkał pierwszy ślad Lechów, w nazwiskach często podawanych
przez kroniki niemieckie, Lasów, Lazzów, Lassów i t. d. Wykazał da-
lój, że nazwiska te pochodziły od *lechy*, wyrazu znaczącego li tylko po
słowiańsku pewny obszar ziemi. Rozumowania p. Maciejowskiego były
tak prawdopodobne, że nawet przeciwnicy jego systemu, w Lazach,
Lasach i t. d. widzieli pierwiastek słowiański, i lud, oznaczony tém imie-
niem, wzięli za słowiański. Nie przestając na tém, co podał w Pierwo-
tnych Dziejach, p. Maciejowski z rozmaitych kronik i naszych i ruskich
wskazuje dowody, że nas, Polaków, od lat bardzo dawnych nazywano
Lachami, Lechami. Lechów znajduje i w Czechach w IX wieku, powo-
łując się na króloworski rękopis. Nawet z Eginharda kroniki cytuje
pod r. 805 jakiegoś Lecha, co wojował broniąc ziemi słowiańskiej prze-
ciw Karolowi W. Na potwierdzenie tego wywodu, znajduje w kronice
Boguchwały sformułowane podania o przybyciu do nas Lechów; a i przed
Boguchwałą jeszcze, Wincenty, syn Kadlubka, Mateusz herbu Cholewa
i rocznik przywiedziony od Paprockiego, prawią o Lechach i Lechitach
z podania. Podają w tym względzie takie jest mnóstwo, że nie wiadomo,
które brać pierwsze.

Więc nazwisko Lechów musiało coś znaczyć. Więc były powody,
dlaczego plemię właściwie polskie, a potem i inne plemiona, nad które-
mi tamto panowało i rozpościerało wpływ tak wielki, że nawet zatarło
czas jakiś w ogólnej nazwie państwowej imiona plemion pojedynczych;
więc były powody, dlaczego do Polanów przyplątało się i nazwisko La-
chów. Boguchwałą aż do swojego czasu, w państwie podzieloném na
rozmaite gałęzie jednej rodziny Piastów, widział ciągle obok Polanów
i Lechitów, i skrzętnie ich odróżniał. Więc coś innego znaczył wtenczas
Polania, co innego Lechita. I w jego właśnie czasach ustawała ta róż-
nica; Lehowie powoli sływali w laszą Polskę, a wreszcie utonęli
w niej, wsiąkli w lud polski.

Dalej uważa p. Maciejowski, że Niemcy nigdy państwa Piastów
nie zwali lechiakiem, a zawsze mówili o Polanach i Polsce. Przeciwnie,
Ruś zawsze nas przezywała Lachami. Cały zachód europejski
znał na ziemi naszej tylko Polskę i Polan; cały wschód europejski rozpo-
wiadał o Lachach i Lechii. Raz tylko jeden wyczytał p. Maciejowski

w dawnym dyplomacie, że papież Eugeniusz IV Izydora metropolitę kijowskiego nazwał w r. 1439 *Lechii* arcypasterzem; raz to jeden, piśmienny zachodu pomnik, ziemię naszą *Lechią* przezywał. I dlaczegoż znowu taka różnica w wiadomościach historycznych wschodu i zachodu Europy względem narodu Bolesława Chrobrego i Łokietka? Uderza i to, że Ruś w postaci Lacha wystawiała sobie djabła; a gdybyć przez Lachów rozumiała Polan, Słowian nadgoplańskich, byłaby to znowu rażąca historyczna dziwaczność. Polanie kijowscy zaparliby się powinowactwa z Polanami z okolic Kruszwicy, gdyby ich za djabłów uważać mieli.

W tém więc samém nazwaniu Lechów już dowód jest, że Lechowie istnieli. Bo gdzie wyraz, tam jest pojęcie. Kto ma nazwisko, ten przecie żyć musi. Któż zatém był Lech? Byłto rycerz osadzony na lesze. Lechowie istnieli nie jako naród, a jako stan; nie byli narodowością, a kastowością. Ojczyzna ich pierwiastkowa była w dzisiejszej Saksonii. Kiedy Niemcy ten kraj zawojowali, urządzili go podług swoich feudalnych wyobrażeń. Zaprowadzili więc stany. Lechów słowiańskich postawili u spodu wielkiej piramidy kast, utrzymali dla nich wolność osobistą, zobowiązali do służby wojskowej; ale odebrali im wszelkie prawa obywatelstwa, zostawiając cały zaszczyt władzy uprzywilejowanym Edlingom i Frylingom. Lesi zatém czyli Lechowie, rycerze słowiańscy, zawojowani przez Niemców, obrócenie prawie w poddaństwo, stracili wszystko, bo narodowe prawa zwyczajowe, i tęsknili do ziomeków, którzy od nich więcej na wschodzie mieszkali, a do których nie dosięgła jeszcze niemiecka ręka. Od tego czasu zaczynają się wychodztwa Lechów z pierwotnej swojej siedziby na wschód i południe do braci. Bo tylko w Polsce i w Czechach, w krajach słowiańskich na zachód graniczących z Niemcami, spotykamy Lechów. Niemcy nie sprzeciwiali się tym wędrówkom: bo naprzód spodziewali się, że wędrówki te powiększą ich wpływ, na dalszych Słowian, kiedy Lechowie wpośród braci zaniosą duch niemiecki urządzeń społecznych; a potem nie tracili na tém wiele, bo te wędrówki nie odbywały się masą, a powoli, jeden za drugim Lech opuszczał ziemię rodzinną i wracał na Wschód, z którego kiedyś praojciec jego posunął się naprzód. Wędrówek w masie nie pozwoliliby Niemcy. Taki jest systemat p. Maciejowskiego.

Systemat ten, powiedzieliśmy, objaśnia wiele tajemnic, których bez niego rozwiązać niepodobna. Że Lechowie przybywali do nas, dowodem są podania zachowane po naszych i czeskich kronikach łacińskich. Boguchwała, Mateusz, i Dalemił, opowiadają o Lechach, a każdy inaczej. Nawet Długosz w XV wieku do dziejów swoich wtrącił powieść o przybyciu Lecha, a opowiada odmiennie te szczegóły, jak poprzedni kronikarze.

Nie powtarzał zatem jeden drugiego, a każdy notował podania, o jakich zasłyszał, albo o jakich w starych rękopisach wyczytał. Gdybyśmy przypuszczali, że późniejszy kronikarz poprawiał poprzedniego powtarzając go tylko: to i tak coś usprawiedliwiać musiało tę poprawkę, bo dlaczegoż Długosz lepiej miał wiedzieć jak Boguchwała, Dalemił jak Mateusz? Podług jednego był Leszek szwagrem Cezara, podług drugiego żył jakiś Leszek za czasów Alexandra W. bo z nim krwawe prowadził wojny. Lech podług jednego miał przybyć do Polski z Pannonii, to jest z Węgier, podług drugiego z serbskiej Chorwacyi. Długosz przechodzi w śmieszność, kiedy opowiada o Lechu, który był prawnukiem Jafeta, a w VI dopiero wieku przywędrował do Polski. Więc ten Lech miał jeszcze przedpotopową naturę, kiedyto ludzie żyli po tysiącu lat. Lech Długoszowy żył dłużej jak Matuzal, bo lat kilka tysięcy. Powiadają kronikarze o trzech braciach: Lechu, Czechu i Rusie; ale stopień pokrewieństwa bardzo między nimi niepewny. Jeden mówi, że Lech było nazwisko, drugi, że Czechem nazywał się lech (rycerz). Raz polski Lech starszy, drugi raz czeski. Raz to synem, to bratem jest Lecha. Z tego wypada, że Lech był nie jeden; a podania, które tym Lechom rozmaite epoki przyjścia naczynają, nie myślą się, tylko każde mówi o swoim Lechu.

Podania nie myślą się, powiedzieliśmy. Czyż doprawdy, teraz przybyli do nas znad Łaby, z saskiego kraju lechowie?

Pan Maciejowski wskazuje na gniezna, jako na ślad pochodzenia Lechów. Bytowanie ich niewątpliwe, uznał już i przed nim znakomity autor Ksiąg Bibliograficznych. Ale nie objaśnił pytania, z kąd się wzięli i co znaczyli Lechowie, dlaczego imię ich przywiązało się do polskiej ziemi. Wszystkie te ważne pytania objaśnia p. Maciejowski.

Lechowie szli z zachodu na wschód, od Łaby i Sali ku Noteci i Warcie; dalej nad Wisłę, a w stronę południa ku czeskiej Motławie. Pochód swój znaczyli gnieznami, czyli raczej knieznami. Surowiecki zwrócił już na to uwagę badaczów, że fałszywie wywodzimy rodowód tego wyrazu: Gniezno. Gniezno nie pochodzi od gniazda. Gniezno miasto nie powstało od słów pierwszego Lecha, który miał przybyć do Polski i osiadłszy nad jeziorem Lednicą, miał powiedzieć do towarzyszków: „gnieźdźmy się tutaj.” Gniezno ma bliższy związek z tym wyrazem *knieszno*, niby kniaziowskie, książęce miasto. Kniezno to dwór, dom, mieszkanie książęce; powiedzieliśmy po naszymu, to pałac monarszy. Na ten wywód źródłosłowy przystał dawno i upowszechnił go autor Ksiąg Bibliograficznych. P. Maciejowski zauważył teraz, że tylko tam, gdzie spotyka się ślad Lechów, są i ślady gniezn czyli książęcych osad. Przytoczył w tym celu kilka ubikacyj, które chociaż dziś już zniemczone i zepsute, wskazu-

ją na pierwiastek słowiański i wyraz *kniezno*. Te ubikacye znajdują się tylko z zachodu na wschód, i w północnym pasie środkowej Europy, i w południowszym cokolwiek na Szlązku; ale ani śladu ich niéma nigdzie z południa na północ. Więc Lehowie nie szli z południa na północ, lecz z zachodu na wschód.

Nadzwyczaj są ciekawe szczegóły, jakie p. Maciejowski podaje o gnieznach polskich. Najznakomitszy taki gród książęcy, zbudowany został pod górą nad jeziorem Jeleń (dzisiejsze miasto), ale drugi dawniejszy od niego stał na wyspie w środku jeziora Iednickiego. W tém gnieźnie zbudowano i pierwszy kościół chrześcijański, przeniesiony potem do pierwszego gniezna. W Kruszwicy było także gniezno, to jest dwór książęcy za jeziorem. Piast ugościł księcia swojego Popiela w samém miasteczku Kruszwicy, ale Popiel nie w Kruszwicy mieszkał, a w dworku swoim za miastem, t. j. w gnieźnie. Inni Lehowie postępując dalej na wschód i południe aż ku ludom, które później ruskiemi nazywano, nie budowali gniezn: bo widać, dworzec najstarszego pomiędzy Lechami mógł się gnieznom nazywać. P. Maciejowski wspomina pomiędzy innymi dwóch znakomitych Lechów: Walcerza i Wisława. Walcerz panował za czasów Popiela w Tyńcu, Wisław w Wislicy; a przecież lubo i Tynec i Wislica były mieszkaniem knieziów, książąt, knieznami się dlatego nie nazywały ich książęce dworce. Lehowie posuwając się wreszcie coraz dalej na wschód ku południowi, zajęli może jeszcze przed IX wiekiem czerwieńskie grody, które później zdobył na nich Włodzimierz książę kijowski, i tak o Ruś się oparli. Na Ruś dalej nie przeniknęli Lehowie, bo tam znaleźli już społecznie słowiańskie urządzone przez Waregów na sposób normański. Żeby się zagłębić, potrzebaby podbijać, wdawać się w nużące wojny, których nie było potrzeba, bo od Łaby aż po Bug i Dniestr prawie, dosyć przestronne było pole do działania Lechom.

Przez takie rozumowanie, p. Maciejowski wiele objaśnia i samą historią grodów czerwieńskich. Widzieliśmy z Nestora, że od Lachów wzięt te grody Włodzimierz. Lachów braliśmy zwykle za Polaków, a pojąć nie mogliśmy, jakim sposobem Polanie znad Noteci i Warty tak daleko rozciągnęli swoje siedziby. Żeby prowadzili wojny zaczepne, naprzód tego niéma śladu w dziejach; zresztą nie byłoto i w charakterze Słowian, żeby podbijać inne ludy, zwłaszcza spółplemienne. Mieczysława chrześciana panowanie do Rusi przecie nie sięgało. Teraz widzimy jaśniej cokolwiek te stosunki. Polanie byli wciąż Polanami nad Notecią i Wartą, ale w całej przestrzeni od brzegów Łaby aż za San i Bug, siedzieli Lehowie, to jest rycerze słowiańscy z Niemiec, którzy opuszczając siedziby dawne, szli z orężem w rękę do braci, przejęci duchem niemieckim, osia-

dali u nich broniąc tychże braci od Awarów, Gotów, Wandalów, Niemców, ale za to gruntując w nową ojczyznę i swoje panowanie. Ztąd nie Polanie, a Lechowie dali się we znaki plemionom ruskim, ztąd też i Ruś w postaci Lacha widziała djabła. Zachód europejski znał Polan, i dlatego chociaż w ziemi polańskiej panowali Lechowie, zawsze tę ziemię polską nazywał od narodu; a Ruś, że zetknęła się z Lachami, całe późniejsze państwo Bolesława Chrobrego Lechią, a obywateli tego państwa Lachami przezwala.

Przed wyniesieniem się zatem na władztwo rodziny Piasta, dwojakiego imienia ludzie późniejsze królestwo polskie zamieszkiwali: Lachowie i Polanie. Do pierwszych należeli rodowici majętni, wychodźcy, albo potomkowie wychodźców niemieckich; do drugich ludzie gminnego stanu, to jest Słowianie osiedli oddawna na swojej ziemi. Pierwsi byli ludnością napływową, drudzy tuteczną. Pierwsi reprezentowali przywilej, drudzy prawo równości obywatelskiej i gminę. Od Lachów pochodzi szlachta, od Polanów lud wiejski. Idąc za duchem wieku, ludy polańskie kształciły się zwolna w księztwa, żeby odeprzeć zbrojnie napaść Niemców; i dlatego pilnując roli wdzięczne były, że spółbratymcy ich, rycerscy Lechowie, dobrze bronią robić umieli. Ale za to poddali się dobrowolnie pobratymcom tym w niewolę, którzy wynosząc się nad gmin, zaszczytliwostwo w polańskiej ziemi i tworzyli kasty. P. Maciejowski w swoim systemacie doszedł do tegoż samego wypadku, co i dawni badacze nasi. Już niejeden zastanawiając się nad tém, że lud wiejski polski nigdzie czysto zgłosek *cz* i *sz* wymówić nie może, domyślał się, że lud polski był najechany przez gromadę jakąś zdobywców, i że szlachta nasza ma inne pochodzenie jak lud. Mówili inni, że to pomieszanie się dwóch, trzech plemion w jedno i stopienie się ściśle dwóch różnych pierwiastków w jednym, cechuje właśnie tworzenie się wszystkich ludów europejskich w nowoczesnej historii po upadku państwa rzymskiego: tak np. Francuzi dzisiejsi zlewkiem są dawnych Gallów z plemieniem niemieckim; tak Włochy dzisiejsze pochodzą od dawnych Rzymian i od pół tuzina przynajmniej plemion niemieckich, które na ziemi włoskiej osiadły, nie rachując już tych narodów, które przesunęły się po powierzchni ziemi, jak błyskawica i hurza. Tak tworzyli się Grecy, tak samo Niemcy, tak Słowianie.

Panowanie Lachów i ostatnich ich książąt Popielów, obalił Ziemowit, syn Piasta, kołodziej z Kruszwicy, w drugiej połowie IXgo wieku. Odtąd pierwiastek rodzimy słowiański, odzyskał siłę; ale jarzmo Lechów już całym ciężarem na lud padło, bo Ziemowit nie mógł, nie chciał zapewne powrócić do gminy, kiedy niebezpieczeństwo wciąż było jednakiem od Niemców; a choćby chciał, sprzeciwiłby się jego widokom potężnie

już wtedy urządzony i usadowiony w Polsce stan szlachecki, który składał się z owych Lachów panujących jeszcze przed Ziemowitem. Syn Piasta nie był już panem swojej woli; nadał więc stanowości charakter wię-
cej miejscowy, swobodny, a myśl jego rozwijał dalej Bolesław Chrobry. Bolesław był w całym znaczeniu tego wyrazu monarchą. Wnuk polańskiego Piasta, umiał radzić sobie z Lachami. I teraz dopiero dobrze rozumiemy znaczenie dziejowe Bolesława. Teraz dopiero przychodzimy do rozwiązania wielkiej zagadki, dlaczego w gminie polańskiej, Bolesław miał samowładzę. Teraz widzimy, gdzie podziła się patryarchalność słowiańskiej rodziny nad Gopłem.

P. Maciejowski prześlicznie rozwija prawo rycerskie, które obowiązywało u nas, a które miało modyfikować wyobrażenia niemieckie, przeniesione nad Wisłę przez Lachów. Z opolów słowiańskich wypro-
wadzał rycerstwo do boju Bolesław Chrobry, bo każdy, kto miał kawałek ziemi, musiał razem i służyć wojskowo. Ale znakomity król, idąc w tym za duchem feudalnym czasu, zaczął z obcych, z przybylców, z Niemców nawet, tworzyć udziałny stan, wyłącznie poświęcony wojnie. Lubo zatem rolnik był równym szlachcicowi obywatelem, przecież dostąpić się nie mógł stopnia i znaczenia, razem ze szlachcicem na równi. W zasadzie prawo słowiańskie uznał Bolesław, ale nie w praktyce. Ztąd powstanie ludu po śmierci Mieczysława Gnuśnego. Lud zyskał walcząc za sobą, bo już Kazimierz przewany Mniczem, uszlachcał na nowo rycerzów gminnych. Nastąpiło raz jeszcze rozprzężenie powszechne. Po Krzywoustym, szlachta na nowo pokazywała swoją dumę i chęć władzy; Kazimierz Wielki potem znowu bratał ziemianina ze szlachcicem i chciał koniecznie ożywić dawne rycerskie prawo; ale trup już był bez życia. Król wielki silił się napróżno. W r. 1494 szlachta pod pozorem, że gmin miejski i wiejski wytłumuje się zpod wszelkiej służby wojskowej, postanowiła na sejmie, że ona tylko jedna ma prawo posiadać dobra ziemskie i wyznaczyła termin właścicielom gminnym do wyprzedania się z dóbr, jeżeli jakie mieli. Tak ostatecznie uorganizowała się szlachta w stan oddzielny, z krzywdą miast i wsi, z potarganiem wszelkich zasad dawnego rycerskiego prawa.

W ciągu tej rozprawy p. Maciejowski tyle pięknych i postępowych rozwinął myśli, że doprawdy cieszyć się przychodzi z prac tak sumiennych i znakomitych. Kiedy historyk, historyk tak zimny, tak nieskłonny do zapatu, jak p. Maciejowski, faktami wskazuje na rozwój pewnej zasady, myśli; kiedy faktami przekonywa nas, że w życiu jest ruch ciągły, że iść musimy za duchem czasu i jego potrzebami, a zasada sprawiedliwości zawsze, chociaż długo błąkać się będzie po manowcach, przeważy nare-

szenie w stosunkach ludzkich; powtarzamy, że prace takiego historyka mają wysoką i historyczną i ludzką wartość. Nie w marzeniach tylko, ale i w nauce widzimy, że jest rzeczywisty postęp.

U Niemców szlachcicem był, powiada p. Maciejowski, kto od bogów wywodził swój początek i miał wyłączny przywilej obranym być na króla; kto posiadał prawo utrzymywania drużyn, tudzież żenienia się tylko w swoim rodzie, biorąc kilka żon na raz; kto posiadał ziemski majątek wolny od wszelkich ciężarów, spadający prawem dziedzictwa na dzieci; kto miał większą od ludzi główszczyznę, to jest za którego głowę, jeżeli był zabity, więcej się jak za pospolitego człowieka według tary płaciło. U nas przeciwnie, żaden człowiek od bogów nie wywodził swojego rodu. Ztąd też u nas i rozwinąć się nie mogła rodowa szlachta, a tylko uprzywilejowana, i to jednak już za poddmuchem niemieckich wyobrażeń. Taka też szlachta uprzywilejowana powstała na ziemi polskiej, polegając a rycerskiem prawie. A zasadą prawa tego było, że kto miał majątek ziemski, wielki czy mały, i służbę wojskową z niego odbywał, już tém samym stawał się szlachcicem. Mieszczanin więc i kmieć nawet był szlachcicem w Polsce. P. Maciejowski powiada, że dla tego powodu i stan średni nie rozwinął się nigdy pomiędzy Słowianami i nie rozwinie się, kiedy zasadą naszą, zasadą słowiańską, jest dla każdego równość obywatelska. I dlatego wszystko, co pisze p. Maciejowski o prawie rycerskiem, dzieląc historją tego prawa na epoki i wskazując na główne chwile tego prawa w rozwoju przez lata, jest ważnym dla dziejów naszych nabytkiem. Widzimy, że sejm wielki niszcząc dobrowolnie różnicę stanów, wracał do dawniej słowiańskiej zasady, przed-Bolesławowskiej jeszcze. P. Maciejowski w tych badaniach swoich rozbierając to ważne pytanie, tłumaczy się nawet wymownie, malowniczo, jakby z natchnieniem. Rzadka to bardzo cecha stylu w uczonym naszym erudycie. Widać, przedmiot go zapalił.

Taką jest treść Roczników i kronik polskich i lechickich świeżo wydanych.

Zebrawszy fakta, które rozumowaniem swoim starał się p. Maciejowski wyświecić, to jest opuściwszy dowodzenia, któremi drogę sobie torował, tęk streścimy prawdę historyczną, jak ją uczony nasz autor pojmuje, prawdę li tylko wskazaną w dzisiejszych rocznikach.

Jeszcze przed Chrystusem, kiedy na bursztynowych pobrzeżach Bałtyku siedzieli nad dolną Wisłą Gotowie, a u górnej Wandale, panując nad plemionami słowiańskimi, które cały ten obszar ziemi pomiędzy Karpatami a morzem pokryły; stała na wysokim stopniu oświaty społeczność nasza towarzyska, kiedy jej kształty naśladowali i do swoich sto-

sunków politycznych zastosowywali zwycięzcy nasi, Niemcy (str. 156). Polanie w IIim wieku ery chrześcijańskiej odznaczyli się więcej nad inne plemiona pobratymcze, kiedy odpierali napasć narodów sarmackich. Nad ludami innemi, które potem złożyły Polskę, panowali obcy zwycięzcy, a Polanie ugiąć się nie dali. Sarmaci szeroko nawet z władztwem swoim zachodzili w Germanią. Być może, zajęli nareszcie ziemię polską, kiedy kroniki nagle zamilkły o Polanach. Ale z postępem czasu, z lewego brzegu Wisły na brzeg prawy ustąpili Sarmatowie popędzeni przez ludy germańskie, i powoli coraz dalej usuwali się na wschód, parci od przeważnego plemienia niemieckiego Gotów, które nad dolną Wisłą zamieszkiwało. W IV wieku Sarmatowie znikają zupełnie z dziejów europejskich, i szczątki ich tylko pod imieniem Jadźwingów pozostały w dzisiejszém Podlasiu. W miarę ustępowania Sarmatów, Gotowie wstępują w ich władztwo; rozciągają się w IV wieku po Chrystusie aż w okolice rzeki Pilicy, gdzie spotkali się z Wandalami. Wandalę wywędrowali dalej; wtedy na pozostałe ich resztki i Słowian u górnej Wisły, zaczęli wpływ wywierać Hunnowie, zagrażając Gotom na północy. Hunnów miejsce zajęli Awarowie, którzy prząc Niemców przeważną siłą, zniszczyli całkiem ich potęgę w tych stronach, a sami osadowali się przy Karpatach. Wtenczas i Lechy, to jest rycerze, właściciele ziemi, uciskani od Niemców zza Łaby i Sali przenosili się powoli, jeden za drugim, do plemion pobratymczych nad Wisłę. Doświadczeni w boju, prowadzili orszaki wychodźców i nazywali się kniaziami, a ślad swój gnieznami znaczyli. Przyszedszy nad Wisłę Lechy, wdali się w bój z Awarami, i po długich bojach znękali ich władztwo, zwłaszcza, kiedy i Karol W. przeciw tym zdobywcom prowadził silne wyprawy. Około roku 630 pokonali ich Czesi, a co mówi podanie o Leszkach polskich, że wojowali z Alexandrem W. to się słusznie odnieść może do wojen z Awarami. Karol W. dokonywając zwycięstwa nad tą hordą z Azji wypędzoną, zaczepił w r. 805 i Czechy, bo doszedł źródła Wisły i walczył z Lechami polskimi. Zastłonięci od zachodu przez Czechów, a z północy od Gopła, prowadząc szeregi zbrojnych za sobą, dowódcy Lechów od r. 630 już na południu bili się z Awarami, aż wreszcie złamali ich od Krakowa aż do grodów czerwieńskich, które zajęli i spotkali się z Rusią. Gniezno było wtedy stolicą W. księcia, Tyniec i Wiślica stolicami mniejszych państw leskich.

Lechowie stanowili stan zwierzchni w plemionach słowiańskich, które zawojowali, przyszli do nas jak Waregowie do Rusi. Jako władcy urządzili nas po swojemu. Księstw ich wiele być mogło, ale założyciele tych księstw, nie potrafili uwiecznić dynastji. Dzielnie się bili przeciw

Karolowi W. który chciał wznowić dawną Germanią, to jest rzeszę różno-plemiennych ludów poddanych berłu swojemu, ale nic poradzić nie mogli przeciw ludom, którym panowali: bo te ludy już niejednę oparły się burzy i zawsze zwycięzko wychodziły z przesilenia, ratując własną narodowość. Tak było i z Lachami. Polanie zrzucili u siebie władzę panów mieszkających w Gnieźnie; za tym przykładem poszły inne uciśnione plemiona. Tak więc znikli Popielowie w Gnieźnie, Starzowie w Tyńcu. Plemiona odzyskały wprawdzie niepodległość, ale zawsze pomiędzy nimi pozostał lechizm. Skutkiem ducha wieku i ówczesnego usposobienia chwili. nie można już było wrócić do gminy; plemiona zatem uwolnione spod władzy Lechów, zyskały tylko narodową dynastją, a zresztą prawem rycerskiem modyfikowały feudalne urządzenia dawnych panów swoich. Plemię polskie niedługo otrzymało pierwszeństwo pomiędzy temi wszystkiemi plemionami, i rozciągnęło władzę swoją po całym dawnym władztwie Lechów, którzy teraz przejąwszy się duchem rodzinno-słowiańskim, szlachtą zostali, nie oddzielając się jeszcze zupełnie od gminy, jako stan odrębny.

Taka jest prawda historyczna, podług wyrozumienia p. Maciejowskiego. Dalsze kroniki zapelniają brak, jaki dzisiaj jeszcze spotrzągać się daje w dziejach pierwotnych Polski.

Wszakże gdyby samo wielkie prawdopodobieństwo, jakieśmy już widzieli, w tym całym wywodzie uczonego badacza, nie świadczyło, że to wszystko, co on teraz podał w kronikach jest prawdą: to już sam jego systemat, misterny zlepek podań rozjaśnionych krytyką; podań, które tak dobrze z sobą się godzą w całej rozprawie: zasługiwałyby na ścisłe, dokładne w całej swojej treści zgłębienie. Systemat ten i tę ma wysoką wartość, że godzi się z badaniami innych uczonych. Autor Ksiąg Bibliograficznych zastanawiał się długo nad pochodzeniem szlachty polskiej i rycerskiego prawa, i wbrew Naruszewiczowi, który zwyczajnie Niemców chciał szczepić u nas, odezwał się za gniazdem rodzinnem. Tenże autor Ksiąg Bibliograficznych i bytowanie dziejowe Lechów i Leszków uznał za niewątpliwe. Surowiecki z Gniezna stworzywszy knieźno, dał znowu powód do myślenia, że ile tych knieźnów było, tyle mogło być i panujących książąt. Systemat zatem p. Maciejowskiego nie jest w sprzeczności z żadnym pomysłem dwóch znakomitych badaczy, a tylko, ich pomysły rozwija. P. Maciejowski tylko w sprzeczności stoi z p. Kaczkowskim, który zarzeka się Niemców i ciska nawet pioruny na to, co Niemcy o nas pisali, bo im wcale nie wierzy. My jednakże sądzim, że p. Maciejowski dobrze zrobił, kiedy wertował kroniki Pertza. Myśmy mocno przekonani, że Niemcy wiele pierwiastkowe dzieje nasze objaśnią. Zresztą możemy ostrożnie brać ich powieści, ale dlaczegoż ich nie brać?

Wykład Bielowskiego, że Ruś nazwała nas Lachami dlatego, że pierwszy raz poznała nas wtenczas, kiedy Leszek książę zajął grody czerwieńskie, jest śmieszny. Większe jeszcze dziwactwo popelnia znakomity zkadinał autor, mówiąc, że gdyby za Ziemowita nastąpiło to zetknięcie się Polan nadgoplańskich z Rusią, Kijowianie nazwaliby kraj nasz Ziemowicyą. Bielowski formuluje tak swoje pomysły, jak sformułował podanie o Lechach Boguchwała w XIII wieku. To tak samo, jak w historii rzymskiej przed Niebuhrem, Romulus Rzym założył. Młodociana to krytyka, która nazwisko ludu wyprowadza od bohatera, albo tworzy imię bohatera z imienia ludu. Tymczasem historia wbrew świadczy takim wywodom, bo dotąd niema jeszcze przykładu, żeby naród jakiś zwał się imieniem wielkiego męża. Nim wielki mąż wstanie, już naród być musi, bo i gdzieżby ten mąż pokazał się wielkim? A kiedy naród jest, toć musi być i imię. Imię to nadaje położenie, grunt, to jest ziemia, a nigdy zatrudnienie się, praca. Narody nie byłyby jednostkami rozumnymi, gdyby od fantazyi zmieniały nazwiska, stosownie do tego albo drugiego wypadku w swoich dziejach. Tak też oczywiście, do namacania są bajki, które prawią o Lechu, który założył Lechią. Przypuściwszy Lecha, Czecha, Russa, przypuścimy także Polana, Kujawa, Mazura i t. d. Bez Lecha mogą się obyć Lehowie i Leszkowie, jak Rzym bez Romulusa.

Uczonego autora zwrócimy jeszcze uwagę na to, że podług nas wcale niepotrzebnie wdaje się w etymologiczne wywody, tłumacząc z hebrajskiego, ormiańskiego i innych języków wyraz *lech*. P. Maciejowski osłabia w tém wiare słowiańskiego Lecha. Lepiej go już zostawić przy jego roli rycerskiej i lesze, a nie szukać nazwiska jego po księgach azyatyckich ludów. Ale p. Maciejowski widać lubi zbliżenia i porównania dziejowe, to jego excentryczność. Nam się zdaje, że i wyraz Lechita niepotrzebnie wykreca. Jak Boulanes, zakończenie *es*, jest końcówką grecką, tak w Lechita, Lechici, ten dodatek *ta* jest spolszczony końcówką łacińską. Do téjże kategorii należy i dowodzenie, że w XVI wieku Niemcy pochlebiali Polsce, w nadziei, że ją wciągną do swojej rzeszy, kiedy chcieli odnowić ją za Lutrą, jak chciał niegdys Karol W. Ale to zresztą nie ma nic wspólnego z przedmiotem kronik i roczników.

Z najwyższą niecierpliwością oczekujemy dalszego ciągu tych kronik, bo przyznamy się w prostocie ducha, że z p. Maciejowskiego dzieł chcemy się uczyć co najwięcej pierwotnych dziejów naszej ziemi, dopóki kto nas lepiej z przeszłością téj ziemi od niego nie zapozna. Chcielibyśmy, żeby ten szereg kronik snuł się dla nas nieprzerwanym rzędem, bez początku, bez końca, równie interesujący jak ważny. P. Maciejowski odwalił nam kamień grobowy, pod którym spoczęła nasza przed-Ziemowitowa, przed-Piastowa przeszłość, a skutkiem tych olbrzymich usiłowań dojrzelśmy już Leszków, jak się wiją tu i owdzie po ziemi dawnó słowiańskiej od Warty i Noteci aż po Tatry, i jak boje zawodzą z okolicznymi ludami; przy świetle krytyki dziejowej widzimy ich dzikie, marsowe, a jednak piękne dla nas postaci.

Julian Bartoszewicz.



ROZMAITOŚCI.

*Kompozycje na fortepian. S. Urbanowicz, K. Kraszewski, E. Jenike,
A. Tausig, M. Dietrich, I. Nowakowski, I. Krzyżanowski,*

Przeszło dziesięć prac wymienionych autorów mamy tu przed sobą: są to prace Polaków lub w Polsce mieszkających. Z samej liczby wynika, że różnice w dziełach być muszą: o tych niżej wspomnimy; tutaj dodamy, że większa ich liczba i ważniejszych, rozwinięciem i stylem bardzo się do siebie zbliża: o tém podobieństwie zaraz powiemy. Aby przytém właściwie naznaczyć miejsce między kompozycjami prac tych ogółowi i być zrozumiałym oceniając rodzaj do których należy, musimy wyszukać porównanie z tém, co więcej niż muzyka, a raczej jój rodzaje, jest znaném i rozważoném.

Ktokolwiek się zastanawiał nad odrębnością i podobieństwem sztuk pięknych, musiał dostrzedz, że muzyka i poezya najwięcej są do siebie zbliżone. Począwszy od znaków konwencyonalnych w które obojga pomysły się składają, od wykonania wymagającego w obudwóch dźwięku i czasu, do koniecznej obojgu symetryczności w budowie, do podobieństwa, tożsamości niemal form, a nakoniec aż do treści je wypełniającój, to jest przez wszystkie rodzaje i odcienia, podobieństwo to ciągle się wije, choć i różnice także. Zajmującą byłaby rozprawa nieliczne różnice i mnogie podobieństwa poezyi z muzyką wykazująca; już nawet strona metryczna obudwóch wszędzie opracowaną została: u nas piórem Królikowskiego i Elsnera, że tylko tych, jako najrozleglejszych, wspominamy. Reszta stosunków poezyi z muzyką, ile nam wiadomo nietknięta jeszcze, a w niej potężniejsze są tego podobieństwa dowody; ale nie tak wydatne, trudniejsze do pochwylenia i przedstawienia, te szczególniej, które z fantazyi i czucia wynikają, a więc są natury duchowój. Zdolność wiel-

ka obudwóch tych sztuk do tłumaczenia poruszeń serca, powszechnie jest wiadomą; ztąd i rozumienie obudwóch, prawie znawstwo niektórych rodzajów bardzo upowszechnione: i to jest powodem wielkiego bogactwa liczebnego tych rodzajów, dlatego tylu poetów i kompozytorów. Jednych i drugich tysiące wprawdzie przepada: bo rozumieli, że dosyć jest umieć pisać i rym złożyć, by być poetą; że dosyć umieć pomysł muzyczny w nuty spowinać i możebnie do wykonania przygotować, by być kompozytorem.

Wyrazów tych: poeta i kompozytor, pozornie co innego, a w istocie jedno, bo artystę znaczących, nie uważamy tu jako oznaczenie zawodu, ale jako określenie szczególnego stosunku, w którym się człowiek chwilowo do sztuki znajduje, w którym rozwija twórczość. Twórczość, jeżeli godną ma być wyobrażenia, jakie o niej mają ludzie, powinna być na *prawdzie* opartą, to jest z prawdy wewnętrznie (uczuciowo) pojętą, wysnutą. Prawdę tę chwyta artyzm i światu ją w pewnej mniej więcej determinowanej postaci oddaje. Nadając jej formę jaką sobie sama przyniosła, zwykł ją urabiać do pojęć świata, któremu ją przedstawia. Że się te pojęcia zmieniają, (bo wszystko jest w ciągłym ruchu, mniejsza o to w tej chwili, postępowym czy wstecznym), więc i urabianie owo się zmienia. Biada, gdy w formułkowość przechodzi: co było wynalazkiem, staje się naśladowaniem i manierą; co było uderzające i naiwne, staje się śmieszne i wyszukane. Tak np., gdy jeden poeta powiedział: „a kto dziewczyna? ja nie wiem”, nuż ten i ów się pytać, a każdy nic nie wiedział. W muzyce tego nie brakuje; niemal w każdej nowożytniej pracy się to znajdzie; co tém nudniejsze, że bez względu nawet na rozległość formy.

Z różnych formy przypadłości, rozległość jej najwięcej bezpośrednio z natury *prawdy*, z treści wynika; niemal zawsze forma nie rozwinięta, treść drobną zwiastuje:—wielka, zmieścić się w niej nie może. Do prawd najmniej potrzebujących rozwinięcia, najmniej nawet do niego zdolnych, należy jeden błysk uczucia, chwila liryczna, bez poprzednika i następcy. Takie oderwane chwile, jak błyskawice strzelające z ducha człowieka, najczęściej się w poetycznym sercu rodzą, a w formach poezji i muzyki stają się *pieśnią*. Rodzaj to choć skromniejszy rozmiarem, niemniej zacny jak wszystko, co z *prawdy* się rodzi; ale niestety! przy tylu pieśniach, ileż pieśni zdolnych w słuchaczu tę samą chwilę liryczną odtworzyć, która je stworzyła? O święta prawdo, jakżeś rzadka!..

Aby ktoś nie mniemał, że to stosujemy tylko do prac o których niżej będzie mowa, winniśmy dodać, że i za granicą (co znaczy tutaj wię-

kszą część Europy) mimo niezmiernéj liczby kompozytorów, dziewięć dziesiątych prac muzycznych do pieśni należy. Świat muzyczny jak i polityczny zmienia swój sposób widzenia, ma także swoje mody; pierwszy nieraz poklask wymusza, drugimi gardzićby powinien każdy umysł wznioślejszy, gdyby go do holdów, zależność towarzyska nie zmuszała, a to twarde jarzmo! Tak mocno ono tłoczy, że gieniuszom prawie samym tykoudaje się wyswobodzić z jego owładnień, czyli, że niemal wszystko jest modne. Tak przybrane *prawdy* porównańby można do ludzi różnego wzrostu, wieku i stanu, którzyby z magazynu zamożnego brali sobie suknie na jeden rozmiar i krój zrobioné; nie dziwnego, że jednemu pół łokcia rękawów braknie, drugi miałby ich tyleż zawiele, a rzadki w miarę należyta. A nietylko ubieranie pieśni jest modne; sama pieśń jest dzisiaj modną, tak przynajmniej powszechną, że dzisiejszą epokę muzyczną pewnie przyszłość epoką *pieśniarstwa* nazwie. Niezupełnie to moda owo rozszerzenie pieśni muzycznój sprowadziła; zdaje się to być koniecznym następstwem różnych przyczyn, którym już każda literatura holdowała; teraz na muzykę kolej. Z przyczyn wydatniejszych jedna, którą psychiczną nazwiemy, działa ciągle; druga naukowa, mniemy, że z czasem ustanie. O każdéj kilka wyrazów na objaśnienie.

Natura uczyniła człowieka wrażliwym; poddany przeganiającym się wzajemnie wpływom walących się tłumnie okoliczności i uczuć, w obec wrażenia jednego, zapomina o drugim. Gdy to wrażenie tak jest przemożne, że zmusza człowieka do wylania swych uczuć sztuką, bywa samotne, oddzielne, najwięcej jeśli stopniowane: jest chwilą liryczną i rodzicielką tych właśnie tworców, które pod ogólną kategorią pieśni podciągnąć się dadzą. Praca występująca z tych granic, powstaje wpływem kilku lub większéj liczby chwil lirycznych, które, by sobie wzajemnie nie szkodziły i w jedną zlewały się całość, potrzebują koniecznie rozwagi, mającój ukryć sztukę artysty, zastąpić ile można niedługo goszczące natchnienie, wskrzesić je nawet. Rzeczy prostsze, łatwiejsze są niż złożone; więcej téż prac artystycznych szczyptych, niż rozległych: na jeden poemat, tysiąc pieśni. Każda nieumiejętność się ich chwytta, bo prostotę odgadując, i w łatwość wierzy. Każde młode serce pieśnią się tłumaczy, bo w niém na poemat zwykle zamta przeświadczenia, stałości,—burz zanadto. Uczucia są mu jedynym światem, zastępują myśli i pojęcia. Nawet myśl dojrzałsza, stateczniejsze uczucia, jaśniejsze pojęcie, wykształceńsza wprawa, rade się w pieśń wylewają, bo to odmładnia poniekąd, mała kosztuje pracy, a jako najprostsze, najłatwiej zrozumianém być może.

Wzgląd naukowy bezpośrednio się tu łączy; do drobnego utworu mniej w ogóle potrzeba sztuki, a sztuka w pospolitem tego wyrazu znaczeniu, zdobywa się nauką; więc mniej potrzeba nauki. Dowodzić tego byłoby zbyt zbytecznym, jak i tego, że rozleglejsza nauka, drobiazgi nawet lepiej robi (widać to nawet z kompozycji, które mamy przed sobą). Kto by zład chciał wydobyc wniosku, że autorowie zbyt się oddający temu drobnemu rodzajowi niewiele umieją, niebardzoby się mylił. Wyjątków nie brak wprawdzie, ale i te przy lada sposobności zapominają, że się czegoś uczyły, czują podobno, że się nie douczyły jeszcze. To niezawodne, że dzisiejsza Europa muzyczna, co się tyczy kompozycji szczególnie na fortepian, na bardzo lekki chleb się puściła. Na ten kierunek prac artystycznych i względy towarzyskie mocno wpływają. Kto chce wielką myśl zrozumieć, rozległą objąć całość, bogactwo jej obejrzyć, musi mieć stosowne przygotowanie, stosowną naukę. Biorąc przykład z poezji, czy nie lepiej zrozumieć rozległy poemat, kto słuchając go umie wyróżnić położenia, iść w trop za charakterem, stosowność ustępów i dążność ich pojąć, nawet sztukę artysty ukrytą zgadywać: słowem, na pojedyncze części rozłożyć całość i dostrzedz, w jakim stosunku na złożenie jej wpływają;—niż ten, kto tylko bryłę jakąś widzi, jakieś chaos niezgodne, całość jego objęciu zaogromną? Zastosujmy to do muzyki i policzmy jej miłośników, którzy się nią zajmują, a rozumieją czém jest tempo, tonacja, rytm, modulacja, położenie miejscowe na skali głosu; czém są ustępy, co jest treścią istotną i t. d.! Im kto to lepiej rozważał, tém więcej rozumieć; musi się zbliżyć do autora, by go pojąć. Przy ubogiém i jednostronném kształceniu muzycznym, jakie powszechnie za dostateczne uważają, możeż to często mieć miejsce? Do pojęcia pieśni muzycznej bardzo mało tego wszystkiego potrzeba; osłuchanie się w tym rodzaju, już wystarczy; chwila krótka, to i samo uczucie ją obejmie. A więc bywaj ukochana pieśni!...

Pierwsza, która tu na wezwanie staje, nie jest pieśnią; czém jest więc „*Fantaisie-caprice pour le piano-forte par Simon Urhanowicz*” (op. 3 Warsz.)? Tytuł już nadmienia; że jednak zbyt ogólnie, porównaniem objaśnimy. To tak wygląda, jak oda złożona przez kogoś, kto nie zna języka, to jest ani znaczenia istotnego wyrazów, ani składni, ani wymawiać nie umie, i dlatego *piec* i *pies* rymuje; o ortografią nie pytaj. Nadto, podobne to do człowieka, który widząc, jak za mądrych i zacnych uchodzą ludzie mogący się kosztownościami obładować, nazbierał żką mógł świecidełek, od stóp do głów na sobie je rozwiesił, i poszedł między ludzi rozkoszować się efektem, jaki robi; pewien, że mu się wszyscy klaniać będą. Z jego oczu wygląda zapytanie: *a co?*... odpowiedzą mu

liczne wykrzykniki: *a to!*... i urośnie dyalog w stylu szarambaramburycznym, jak go jakiś bies nazwał, według zapewnienia barona Brambeusa (Posłuchanie u Lucypera).

Do pieśni należą: *Improwizacya*; melodya: *Aime-moi*, i *Polka-mazurka* (mazur nie polka) Kajetana Kraszewskiego, wyszłe z litografii Flecka w Warszawie. Treść pierwszej chciał autor objaśnić wierszami:

O mój aniele! pójdziem połączeni,
Przez świat i życie... i t.d.

wyjętami z powieści J. I. Kraszewskiego: *Świat i Poeta*. Dla objaśnienia drugiej, tytuł tylko służy. Czy tam i tu jest to, co chciał mieć autor? dojrzyć nie możemy; widać tkliwość, gdzieś tam zapal błysnie; ani wątpić, że chwila *prawdy* drobne te prace stworzyła. To wszystko wygląda z licznych usterków i braków, pokazujących, że autor samo tylko bujne uczucie i niemniej bujną imaginacją za przewodnika i sędziego pracy obrał, i wziął się do niej bez przygotowania. Prostota, zupełny brak pretensyi, a nawet oryginalność chwilowa z której nie umiano korzystać, dobrze rokują o przyszłości muzykalnej autora, jeśli o niej myśli. Wydziérające się słowo zachęcenia powściągamy, pewni, że go nie potrzebuje, jeśli rzetelne czuje w sobie powołanie. Raczej słowo rady tu położymy: niech się uczy. Nauka nie jest znów tak trudna, ani zabija uczucie, jak wielu mniema; ona je tylko porządkuje. A jeśli zabije, to widać tak słabe było, że go nie szkoda.

Commémoraison de Chopin, par Jenike, jest pieśnią żalobną z rytmem marsza. Napisana porządnie, zdaje nam się mieć mało istotnego uczucia; związku z Szopenem żadnego dostrzedz nie umiemy.

Berceuse Tausig'a op. 8; *Valse, Tarantelle* i *Choeur des matelots* opp. 20, 21, 22, Dietricha; *Chant d'amour*, nokturno i *Ballada* opp. 33, 34, Nowakowskiego, wydane nakładem Friedleina w Lipsku, są w stylu tak modnym, że się czasy dawniejsze do nich przyznać nie mogą, przyszłe może nie zechcą; jestto cecha każdej mody. Żadna z tych prac nie zdoła autorowi zapewnić imienia, lubo z każdej widać, że to nie pierwsza praca. W każdej melodya płynna, harmonia poprawna, prowadzenia porządne, rozwinięcie stosowne, w tarantelli i balladzie za obręb prostej pieśni wybiegające; wszędzie elegancya, zręczność, dowcip umiejący sobie radzić słowem, wszystkie przymioty wytrawnego pisarza. Gdyby nam kazano koniecznie wyróżnić korzystnie jedną z tych prac od drugich, wskazałibyśmy podobno tarantellę dla charakteru wydatnego; nokturno dla tkliwości melodyi; w balladzie ustępy: od *poco presto* str. 5 dla silniejszego uczucia, następujący po nim str. 7 (wiersz

3ci) i 8ma dla wynalazku; kolysankę, dla szczęśliwej figury, nadającej nazwę tej pracy, i chór majtków dla elegancyi. A więc każdy autor na wyróżnienie zasługuje. Każdemu też można coś zarzucić; spytać się np. co znaczy ten chór, chórem majtków nazwany? dlaczego nie chór rolników, żołnierzy, biesiadników i t. p.? Któż tu zgadnie, jaką sytuacją majtków autor miał na myśli, skoro charakter tego chóru zbyt ogólny? Jeśli zaś jest wzięty z jakiej opery, to należało na tytule wymienić. Walec bez świeżości; w kolysance figura owa wyżej wspomniana tylko do połowy wytrzymała, a więc od połowy znikła cecha charakterystyczna, a w balladzie spotykamy kilka miejsc pokazujących niebaczność autora. Na jej to karb kładziemy podobieństwo wstępu, do wstępu jednego z nocturnów Szopena (op. 32 ner. 2), tożsamość początkowych dwóch taktów melodyi, z dwoma drugimi taktami znanej pieśni Dobrzyńskiego: *Partenza*; ustęp zaczynający str. 5, a przypominający silnie jedną z ballad Herza; powtarzamy, to niebaczność. Ogólna wada tych prac jest: brak oryginalności w wielkiem pojęciu tego wyrazu, brak głębokości, z braku rzetelnej *prawdy* pochodzący.

Niepodobna zrobić tych zarzutów czterem mazurom Ignacego Krzyżanowskiego (op. 2, Wiedeń u Müllera i Kraków u Biasion); wprawdzie i jego oryginalność niezawsze z bliższej próby zwyciężkoby wyszła, i u niego znać niekiedy wyszukanie; ale w ogóle tyle tam świeżości, dobitności, głębokości, charakteru, potoczności, ileśmy ich oddawna nie spotkali pod chorągwią nieznanego jeszcze nazwiska. Nie są to mazury do tańca, bo w rodzaju stworzonym przez Szopena. Z licznych jego naśladowców, Ignacy Krzyżanowski jednym z najgodniejszych nam się zdaje; a jeśli przymioty w tych mazurach widoczne i do innych rodzajów znakomitszych przeniesie, świetną będzie miał przyszłość.

Niestety! powodzenie w sztuce Polaka między Polakami przez Polaków? to coś na ironią zakrawa! Możnaż bowiem przypuścić, że u nas coś dobrego, wielkiego się narodzi?—to niepodobna! Tak jest, prawie niepodobna, albo jeśli się urodzi, to nie wzrośnie; bo u nas sympatya się nie garnie do pracy i zasługi, ale do imienia, najczęściej kuglarstwem rozgłoszonego; nie do tego, co nasze, ale co zagraniczne. Głośno mówią ci i owi o potrzebie poznania się wzajemnego, i dlatego też książki z Wilna lub Lwowa tak późno do nas przychodzą; nut ani poświęć prawie, a więc mówią, że u nas talentów nie ma. Księgarz nie chce ryzykować kosztów transportu, bo publiczność żałuje parę złotych; tyle już musi wydawać na zagraniczne rzeczy! Tylko bowiem zagraniczne zdolne są sprawić przyjemność i nauczyć. Gdyby wiedziano, jakato najczęściej fabryczna robota w tém, co do nauki grania na fortepianie do nas z zagranicy przy-

chodzi! gdyby uwierzono, że kompozycje miejscowe równie dobre do nauki jak z dalekich stron sprowadzone. że niezawsze mają mniejszą wartość wewnętrzną, że zdolne są przyjemność sprawić grającym i słuchaczom: możeby wtenczas i u nas liczba pracowników wzrosła, znakomitościby się znalazły, i uznane zostały. A więc kto masz wiarę w domowe talenta dzisiejsze lub przyszłe, ułatwiał drogę pierwszym, by ją dla drugich uutorowali.

J. S.

Wiadomości historyczno - bibliograficzne.

P. Ludwik Vivien członek towarzystwa geograficznego w Paryżu, wydał w r. 1841 wstęp historyczny i geograficzny do podróży odbytej w Kaukazie przez Bella. We wstępie tym dając wiadomość o podróżnikach, którzy zwiedzili w różnych czasach te mało znane strony, drugim z kolei po Genuńczyku Interjano, wymienia Dominikana Jana de Luca czyli Jana z Łukki, wysłanego w r. 1637 przez króla polskiego do Krymu, Nogajców i Czerkiesów. Niewiadomo, jakie powody lub jakie widoki skłoniły dwór polski do szukania stosunków aż w odległych zakątkach Azji. Cóżkolwiekby, opis Jana z Łukki krótki ale treściwy, odznacza się prawdą, i tém większego był znaczenia, że długi czas po naszym Dominikanie żaden z podróżnych osobiście kraju Czerkiesów nie zwiedził.

Opis Jana z Łukki wydany został po raz pierwszy w Thevenot'a: „Rélations de divers voyages curieux qui n'ent point été publiés. Paris 1664”. 2 tomy, in fol. w części pierwszej p. t. „Relation des Tartares Percopites et Nogais, des Circassiens, Mingreliens et Georgiens, par Jean de Luca, religieux de l'ordre de St. Dominique”. Przedrukowano ten opis w dziele: „Recueil des voyages au Nord”. Amsterdam, 1725. Tom VII str. 89 i następne.

Z tegoż pisma p. Vivien dowiadujemy się, że Czerkiesi sami nazywają swój naród Adighe, którato nazwa począwszy od Strabona znajduje się u wszystkich pisarzy starożytnych i wieków średnich, w lekko zmienionym kształcie, Dzyghe, Zyghé, Zihki, Zeckhi, Zekhi. Do szeregu tych przeistoczeń odnieść trzeba, być może, imiona kessek, keszeh, kazakh, które Mingrelczycy i Ossetyńcy dają Czerkiesom. Wreszcie sama nazwa Czerkiesów, jakkolwiek dziś nieużywana, musiała kiedyś oznaczać jeśli nie cały naród, to przynajmniej jeden z jego szczepów, gdyż u Skylaxa, Strabona i Pliniusza znajdujemy *kerketów* w siedzibach głównego dziś plemienia Czerkiesów, Natukajów czyli Notuaczów (od ujścia Kubanu aż do Vardanu, rzeczki o półpiętej mili na północ od Gagry).

Kilka tylko mil wybrzeża na południe Adigów zajmuje różny od nich językiem i postacią naród Abazów, któremu dawniej i dziś jeszcze wielu, lubo błędnie, obszerniejsze naznaczają siedziby. U Aryana i innych pisarzy znani są pod nazwiskiem Abazgi.

Nareszcie od rzeki Hamisch aż do granic Mingrelii, panuje język zwany Azra; pierwszy dał o tém imieniu wiadomość Masudi, geograf arabski z X wieku, pod kształtem Kb-azra. Właściwa nazwa Mingrelii jest Hadzarya. Wojownicze plemiona Lazów, rozciągające się na południe Imercyi aż do Trebizondu, same zowią się także Kadzar, Adzar, co zdaje się naprowadzać na myśl wspólnego tych narodów początku.

Taki jest, wiele zapewne pozostawiający do życzenia stan wiadomości o etnografii brzegów wschodnich morza Czarnego. Cóżkolwiek bądź, myłka Naruszewicza, który w nazwach Lazów, Zyków i Kozaków szukał początków Lachów, Czechów i Kozaków, już nie byłaby dzisiaj podobna.

Z.

Wyjątki z dwóch listów A. Bielowskiego do A. Przezdzieckiego, o wydaniu roczników i kronik polskich.

23 marca 1850 r.

... Istotnie jest już od kilku lat myślą moją wydać krytycznie, choćby jeden lub dwa tomy źródeł do dziejów Polski. Dziś kto taką pracę podejmuje, powinien się obejrzyć na stan krytyki w Europie i rozpatrzeć się w tém, co w Niemczech lub we Francyi w tym rodzaju wychodzi. Pertza *Monumenta Germanice* mogą być wzorem w tej mierze; ale to praca mnóstwa uczonych, i nakład, który prócz mnogiej publiczności zaliczającej subskrypcye, wspierany jest od kilkunastu książąt panujących. Nasze *Monumenta* mogłyby skromniejsze być, co do powierzechności; wszakże co do krytyki i czystości wydania, ustępować germańskim dziś nie powinnyby. I nam wypadaloby zacząć od roczników, i iść porządkiem chronologicznym. Roczniki tedy zebrać, i ile możności rozklassyfikować, było usilném mojem staraniem, i jest dotąd. Postarałem się i mam już roczniki z kodexów petersburskich, królewieckich, niektórych berlińskich; sam przepisałem krakowskie, część warszawskich, sieniawskie i lwowskie, a liczba ich dotąd wynosi około *trzydziestu*; od pana spodziewam się ważnego w tej mierze uzupełnienia. Po rocznikach należałoby przystąpić do kronik, a tu *Gallus*, czyli jak go nazywam *Gawel* (bo to jest *Monachus Sancti Galli*), zajmuje je-

dno z miejsc pierwszych. Kodex jego *Santhona* czyli Sędziwoja, mam pod ręką; warianty najwierniej i najstaranniej przepisałem w Warszawie, z pergaminowego rękopismu biblioteki Zamojskich; *fac-simile* też dokładnie przywiozłem: a kolega mój *Jan Szlachtowski* zostawił texta, i całkowitą kronikę tę w poprawniejszej niż Bandtkiego recenzji do druku przygotował. Za *Gawłem*, musiałby następować *Nestor*, polskich właśnie dziejów źródło nader ważne; mam go całego przełożonego na język polski, a przepisanego na czysto już, do druku, w oryginale głoskami łacińskimi. Znajdą się i objaśnienia, jakich nie mają ani *Szlecer*, ani wydawcy petersburscy. Tak tedy przekład polski w drugiej kolumnie, obok oryginału drukowany, a opatrzone objaśnieniami, zajęłyby już znaczną część sporego tomu. Dopiero szedłby *Kudlubek*, za nim *Bogusław* (jeśli się znajdzie), wreszcie *Baszko*, a za nim *archidyakon gnieźnieński*, *Jan z Czarnkowa* (1), których Pan Dobrodziej z rzymskiego i willanowskiego kodexów zestawiając, bardzo ważną uczyć możesz ziomkom przysługę.....

.... Teraz drukuję *Wstęp krytyczny do dziejów Polski*, obejmujący przeszło 30 arkuszy druku. W pierwszej księdze starałem się obejrzeć najdawniejsze źródła naszych dziejów, gdzie dużo nowego powieździeć mi wypadło.... W tej pierwszej zwłaszcza księdze, (bo dwie następne, z których tom ten składa się, samém roztrząśnieniem textu i wynikami roztrząsań zajmują się), oznaczone ściśle następstwo źródłowych pisarzy naszych, okazane zalety, wytknięte wady, mogą panu dać lepsze wyobrażenie o układzie, w jakim *Pomniki* nasze wydać pragnąłbym, niżli to w kilku listach moich skreślić potrafiłbym....

21 kwietnia 1850 r.

... Długi czas w *Rocznikach* naszych rozpatrując się, przekonałem się, że przy właściwych kronikach w których chronologiczna ścisłość była rzeczą podrzędną, dopisywano zwykle *roczniki*. Trzy rękopisma znane mi kroniki, którą niewłaściwie dotąd kroniką Dzierzwy nazywają, mają jeden i tenże sam rocznik po kronice. *Żywot ś. Stanisława*, który zwykle Galla kronice towarzyszy, ma tak w papierowym, jak i w pergaminowym kodexie bibl. Zamojskich rocznik przy sobie pisany, a raczej dopełniany przez niejakiego *Tratkę*, który towarzyszył *Kazimięrzowi W.* w wyprawie na Lwów (2). *Archidyakon* nakoniec

(1) Ob. *Codex Diplomaticus* Rzysszczewskiego, I p. 236.

(2) *Thratka et fuit ibidem*, oto są ostatnie słowa roczników, tą samą ręką XIV wieku pisane, którą i cały rękopism; kiedy dopełnienia są ręki XV wieku, o cały wiek późniejsze. *Thratka* zatem musiał być *autorem* Roczników, albo przepisywaczem Roczników i kroniki.

ma najobszerniejszy zbiór roczników przy sobie; a że te roczniki nie są częścią kroniki jego, to najlepiej okazuje się z odkrycia pańskiego przy Oltobońskim kodexie. Na wszelki więc wypadek odłączyć je trzeba i zamieścić między rocznikami. W wydaniu roczników, przekład ich polski tylko by zawadzał; wszakże sama archidyakona kronika z korzyścią mogłaby być rozczytywana w polskim przekładzie. Pomnikiem najstarszym historyi są niezawodnie roczniki, tak u nas, jak i u Niemców; ale Niemcy mają autentyki, my tylko kopie, późne najczęściej. Zestawieniem w czterech kolumnach, obok siebie idących, roczników np. krakowskich, gnieźnieńskich, miechowskich, lubiążskich i t. p. wydobyć można krytykę faktów; a z krytycznym textem roczników, do kronik przystąpiwszy, znaleźć podstawę do ocenienia najpiérwszych naszych kronikarzy. Panu, który znasz zbiór Pertza, wiadomo, że w zamierzonym przezemnie wydaniu źródeł, muszą iść dwojakiego a czasem trojakiego rodzaju przypiski; najprzód zawierające warianty kodexów, powtóre prostowanie faktów historycznych, i różnych dat porównywanie, a niekiedy uwaga uboczna. Przy tak wielostronném rozrywaniu bacności czytelnika, pocóż jeszcze słów polskich, które mu nie więcej nie powiedzą jak to, co już w łacińskich widział. Jeśli o popularyzowanie historyi idzie, upowszechniajmy ją z dzieł krytyczniejszych; kroniki piérwsze, a osobliwie roczniki, same jeszcze krytyki surowej potrzebują. Kto nie zna jeszcze historyi, tego kroniki zbałamucą; kto ją zna i do jój krytycznego zgłębienia zabiera się, musi umieć po łacinie, choćby miał ojczystą literaturę tak zamożną, jak angielska lub téż francuzka. Wdzięk, który staremu kronikarzowi bywa niekiedy właściwy, jego szczerota i prostota, jest rzeczą podrzędną tu. Skoro raz utwierdzimy historyą naszą umiejętnie, znajdą się opowiadacze, którzy z większym jeszcze wdziękiem, a bez przymieszku fałszów, wysnuć ją potrafią ludowi, czyli raczej większości narodu. Co umiejętnie, na podstawach krytyki utwierdzone nie jest, tego upowszechnienie, popularyzowanie niczawsze pożyteczném być może. Wszakże co do kronik niektórych robię wyjątki, jak to już pan z *Nestora*, którego oryginał łacińskimi głoskami z zachowaniem brzmień nosowych, bułgarskich (ą, ę) drukować myślę, a obok, przekład polski; miarkować mogłeś.... *Widukind*, *Tietnar* wyszli w dwukrotném Pertza wydaniu *in folio* i *in 8vo*; upowszechnienie ich, nie robi wydanie ich (na dziś przynajmniej) gwałtownie potrzebném. Wszakże, gdyby się siły odpowiednie znalazły, możnaby ich częściowo umieścić w naszych *Monumentach*, w porządku chronologicznym, zaraz po rocznikach, równie jak później niektóre ustępy z *Koźmy Prugskiego* (1).

(1) Odpowiadając na ten list szanownego korespondenta, zwróciłem uwagę na wydanie najdawniejszych *Żywotów Świętych polskich*: np. *ś. Wojciecha* z XI wieku, *ś. Stanisława* i *ś. Jadwigi* z XIII wieku, *ś. Jacka* z XIV wieku, *ś. Salomei* i *ś. Kingi* z XV wieku; a nareszcie na wydanie popularne *Długosza* dziejów polskich, z wariantami i piękném tłumaczeniem polskiem, wraz z przypisami krytycznemi, jak *M. Malinowski Wapowski* kronikę tłumaczy.

KRONIKA ZAGRANICZNA.

Dziennik Ekonomistów z roku 1848.

(Ciąg dalszy).

II.

Słynny publicysta angielski p. Ryszard Cobden podał do Dziennika Ekonomistów dwa listy (posyty z marca i z 15 kwietnia), rozwijające główne zasady systematu, którego jest wyobrazicielem, to jest wolności handlowej. W pierwszym z nich stara się dokładnie określić, co w handlu zwać się ma wolnością, a co protekcyą:

Wolność zamiany, mówi on, jest uznaniem prawa wszystkich ludzi do wzajemnej wymiany płodów pracy, rozumu, kapitałów. Nie idzie za tém zniesienie granic celnych, lub dochodów skarbowych; owszem, zasada ta pozostawia możność oparcia wedle potrzeby, wpływów rządowych na opłatach pośrednich lub bezpośrednich. Uznaje tylko niesłużność posługiwania się cłami na korzyść wyłączną właścicieli gruntowych lub przedsiębiorców fabryk. Trudniej odpowiedzieć w krótkości na pytanie, co jest *protekcya*.

Systemat protekcyjny nie był znany ani w starożytności, ani w kwitających rzeczach pospolitych włoskich w średnich wiekach. W Medyolanie i Florencyi powstały fabryki wyrobów wełnianych bez żadnej protekcyi; podobnież w Genui wyrób aksamitów, w Wenecyi huty szklane, zakłady wyrobów jedwabnych i złotniczych. Dopiero za czasów upadku świetności Włoch, a mianowicie za panowania Karola Vgo, prohibicye i ograniczenia wprowadzone zostały do handlu we Włoszech. Miasta hanzeatyckie, flamandzkie, holenderskie nigdy o systemacie protekcyjnym nie pomyślały.

Ala w XVI wieku, gdy po odkryciu Ameryki, Hiszpania nietrwale zajaśniała blaskiem, powstały w całej Europie błędne wyobrażenia o ważności i potędze drogich kruszców; wszelkimi siłami, każdy kraj starał się je do siebie przyciągnąć. W tym celu rządy zachęcały wywóz wszelkich towarów, a utrudniały wchodzenie wyrobów obcych, w nadziei, że przewyżka wartości wywiezionych wpłynie w gotowiznie. Okładanie tedy wysokimi cłami towarów zagranicznych, spowodowało pozorne zachęcenie wewnętrznej produkcji, i tymto sposobem systemat zakazowy, protekcyjny rozwinął się.

Dzisiaj wprowadzie nikt już nie utrzymuje, aby złoto i srebro stanowiły wyłącznie bogactwo; lecz nie odstąpiono dotąd twierdzeń, na dawnych wyobrażeniach XVII wieku opartych, tylko je przybrano uludnym nazwiskiem *zachęty krajowej pracy*.

Wszelakoż błędem byłoby sądzić, że systemat protekcyjny za naszych czasów jest tém samym, co dawniej. Wtenczas *protekcyja* znaczyła objęcie w urzędzenia wszystkich najdrobniejszych szczegółów handlu i fabryk: *Colbert* minister Ludwika XIV nie szczędził wprowadzie ani starań, ani pieniędzy do wprowadzania i zakupywania wszelkich wynalazków zagranicznych w rzemiosłach chemicznych i mechanicznych. Ale wykonywanie ich było poddane najsurowszym prawidłom. Wyroby niedokładne stawiano na targu z nazwiskiem winowajcy; a w razie powtórnego uchybienia, sam rzemieślnik ulegać mógł podobnej karze. Myślano wówczas, że tkacz, farbiarz lub inny przedsiębiorca o tyle tylko dobierać może i używać dobrych materiałów i narzędzi, o ile przez rząd jest w téj mierze pilnowany. Dlatego *Kolbertyzm* nie był tém samym, co dzisiejszy systemat protekcyjny, bo dzisiaj największą karą dla przemysłowca jest opuszczenie go przez kupujących, zręczniejszym współubieganiem spowodowane. Za naszych zatem czasów *protekcyja* nie używa już sposobów dawniejszych, ale posiada jeden właściwy jój środek, do osiągnięcia wyłącznego także celu. Powszechnym tym środkiem jest, że systemat protekcyjny podaje producentom możność przedawania drogo płodów w gorszym gatunku, a to przez zakaz przywozu z zagranicy towarów tańszych lub lepszych. Skutkami takiego systematu musi być życie droższe, a gorzej zaopatrzone. Dlatego przedmiotem drugiego listu p. Cobdena jest taniać życia.

Handel płodami pierwszej potrzeby, a mianowicie zboża, bydła i żywności, jest szczególnie ważny, dlatego, że wywiera ostatecznie mniej lub więcej wyraźny, ale zawsze silny wpływ na wszelkie inne czynności zamienne między ludźmi. To więc, co się do tego handlu stosuje, odnosi się także i do innych jego gałęzi.

Obrońcy cel protekcyjnych na zboże i bydło przyznają, że celem takich opłat jest utrzymanie w kraju cen wyższych od tych, jakie istniałyby przy wolnym wchodzie z zagranicy. Ponieważ protekcyoniści osiągnąć chcą cenę sztucznie wyższą, muszą więc *umniejszać ilość płodów żywności na targ wystawianych*. Innego na to środka nie ma; bo *drogosc i rzadkosć*, tak jak *taniosć i obfitosc*, to wyrazy jednoznaczne. Zobaczymy skutki dla konsumentów, to jest dla ogółu ludności, bo mała tylko jej część (w Anglii 5%, we Francji 10%) należy do rzędu *przedających* płody żywności; największa zaś część jest *kupującą* pożywienie, a do niej szczególnie liczą się wyrobniicy.

Zarobek tygodniowy prostego wyrobniicy w Europie, wynosi około 10 fr. Przy średnich ciężarach rodzinnych, człowiek ten wydać powinien połowę dochodu na żywnosć, to jest na chleb, mięso i jarzyny, bo to stanowi pierwsze potrzeby życia. Podnosząc cenę żywności o 20%, nakłada się 10% ciężaru na dochód. Ponieważ zaś konsumpcya płodów pierwszej potrzeby, nie stosuje się wcale do majątków, zatem zwiększanie ceny tych płodów o 20% jest nie nieznaczącem dla majątków większych; dlatego podatek na żywnosć nazwałoby można angielską taxą dochodową (income-tax), zwiększającą się w stosunku odwrotnym zasobów kontrybuenta. A choć ma służyć za zachętę dla krajowych właścicieli i uprawiaczy gruntu, natury swój jednak błędnej nie zmienia.

Nie mogąc tego oczywistego odeprzeć zarzutu, protekcyoniści, uciekają się do drugiego twierdzenia, że *cena zarobków stosuje się do ceny żywności*.

Widzieliśmy już że jedynym sposobem utrzymania wyższej ceny płodów jest utrzymanie ich rzadkości. Jakimże więc sposobem ludność potrzebująca żywności otrzymać jej może równą ilość, wtedy, gdy ilość ta zostaje zmniejszoną? Cena zarobku stanowi się wedle stosunku ofiarowania do żądania pracy, cena zaś żywności nie wchodzi bynajmniej jako bezpośredni warunek umowy. W Irlandyi parobek gospodarski płaci się pojedaym franku na dzień: przewieźmy go przez ocean, a gdy nad brzegi Ohio przybędzie, odbierze za tę samą pracę 4 fr. dziennie; a wszakże cena żywności jest tam zaledwie półtora raza wyższa, jak w Irlandyi. Ceny żywności mają wprawdzie wpływ pośredni na cenę pracy, ale w sposób zupełnie przeciwny temu, jaki wynikałby z twierdzeń protekcyonistów.

Długie doświadczenie dowiodło, że cena najmu skłonną jest do podwyższania się przy obfitości zboża, a do niżania się przy drożyznie. Przyczyna łatwa do odgadnięcia, mianowicie co do okolic fabrycznych.

Gdy żywność tania, pozostaje z dochodów ludności większa część do użycia na kupno innych, jak żywność, towarów. Ztąd większe żądanie wyrobów służących do ubioru, ozdoby, pomieszkania; przedsiębiorcy więc mając więcej produkować, więcej też potrzebują robotników. Ci zaś łatwiej zaspokajając potrzeby rodziny, mniej są wystawieni na wymagania kapitalistów, tak co do wysokości najmu, jako i godzin pracy. Przeciwnie w razie nieurodzaju, robotnik głodem przyciśnięty, tanio najem spuszcza, a nawet pragnie powiększyć godziny pracy dla otrzymania koniecznego zarobku.

Toż samo stosuje się i do robotników w rolnictwie użytych.

Utrzymują wprawdzie niektórzy, że chociaż cena żywności nie stanowi ceny najmu w każdym roku, jednak w dłuższym czasie zjawisko to uważając, okazywać się ma, że ludność powiększa się tylko do granicy oznaczonej przez środki wyżywienia, że zatem zarobki zmierzają tém samém do ograniczenia się na koniecznych wydatkach utrzymania. Lecz gdy się zważy na to, że jeszcze połowa kuli ziemskiej jest nieuprawna; że nadto postęp rolnictwa jest ciągle do spodziewania; możemy śmiało połączyć się ze zdaniem p. Thompson, że obawa w tej mierze ledwie za tysiąc albo półtora tysiąca lat jest do przewidzenia.

Nie mogąc przeciwnicy wolności handlowej, zaprzeczyć wyraźnym faktom ani doświadczeniu, wystawiają przyszłość w czarnych kolorach. Co do Anglii niemają, że w razie wojny, zatamowanie przywozu zboża z zagranicy, wystawi ją na niebezpieczeństwo głodu. Lecz zapominają, że kraje używające największej swobody handlowej, jak na przykład Holandia, zawsze czy w pokoju czy w wojnie, najlepiej były zaopatrywane. Wreszcie położenie teraźniejsze, jest odmienne od dawnego stanu, bo obecnie kraje zamorskie, silnie wpływają na dostawy do starego lądu.

Inni przeciwnie straszili, że otworzenie portów angielskich spowodzi zalanie kraju tego towarami i zbożem zagranicznymi. Lecz już dotychczasowe doświadczenie przekonywa o bezzasadności tych twierdzeń. Widzieliśmy, że skutkiem dozwolonego do Anglii wprowadzania bydła, były znaczne korzyści dla hodujących bydło w tym kraju.

Wielkie zmiany w systemacie handlowym Anglii w ostatnich latach zaprowadzone, uzupełnił ważny krok uczyniony przez lorda Dalhousie gubernatora generalnego Indyj Wschodnich, i poprzedził nastąpione później zniesienie sławnego aktu nawigacyi.

W dniu 4 marca 1848 r. (patrz poszyt 1 czerwca), lord Dalhousie zrównał cła opłacane przez wszystkie zagraniczne okręty tak przy wchodzie, jak i wywozie towarów; zniósł nadto wszelkie opłaty pobierane od

przewożenia towarów z jednego portu do drugiego w posiadłościach kompanii wschodnio-indyjskiej. Tylko opium i sól wyłączone zostały spod téj amnestyi fiskalnej. Do owego czasu towary okrętami zagranicznymi do Indyj sprowadzane, płaciły cło podwójne od tych, które na okrętach angielskich wchodziły. Dawniej same tylko okręty kompanii miały przystęp do Indyj. Zakaz ten zwolniono naprzód dla statków amerykańskich, następnie dla francuzkich. W r. 1809 okręty portugalskie przypuszczone zostały do tych samych korzyści, a okręty innych kilku narodów później. Lecz pozwolenia te były prawie zwodnicze, dopóki towary żegluga zagraniczną sprowadzane, opłacały cło podwójne.

Przepis znoszący opłaty przy przewożeniu towarów z jednego portu w Indjach do drugiego, jest jeszcze daleko ważniejszy dla mieszkańców samych Indyj i dla handlu angielskiego. Dotąd okręt przybywający do Kalkuty, ponosił też same opłaty czy płynął z Bombaj lub z Londynu. Handel nadbrzeżny ulegał zatém tym samym warunkom, co handel zewnętrzny.

Pomimo takich zalet, postanowienie lorda Dalhousie znalazło między handlującymi w Indjach wielu przeciwników, mianowicie ze strony krajowców. W raporcie urzędowym do gubernatora w Bombaj, kommissarze wyznaczeni do wysiedzenia przyczyn upadku uprawy bawełny w Indjach, wynurzają obawę, że przez zniesienie cła podwójnego dla okrętów amerykańskich, statki te wywozić będą z Bombaj do Chin bawełnę po cenach tak niskich, że monopol handlu tego osiągną. Jednak jest do spodziewania, że przy nadzwyczajnie niskiej cenie zarobków w Indjach, zawsze przewóz bawełny krajowemi okrętami będzie tańszy, od transportu jój statkami Stanów Zjednoczonych z tak wielkiej odległości przybywających.

Drugim zarzutem handlujących indyjskich jest niejednostajność urzędzeń co do zbierania i utrzymania ludności okrętowej, w marynarce angielskiej i indyjskiej. W Indjach dostawa i ugośa majtków, odbywa się przez pośredników posiadających wielką siłę z powodu wpływu lichwiarskiego, jaki nad ludnością morską osiągnęli. To sprawia, że tak właściciele statków i ładunków, jako i sami majtkowie, zostają na łasce tych przebiegłych, a najczęściej niegodziwych spekulantów. Plaga ta która po części w charakterze Indyan spoczywa, niełatwą jest do odwrócenia. I w téj wszakże mierze, rząd indyjski znakomitych dokłada usiłowań do polepszenia stanu rzeczy.

Wiadomo, że już oddawna narody europejskie usiłują znieść handel niewolnikami, i że przed laty kilkunastu układ między Anglią, Francją

i kilku innemi mocarstwami zawarty, zaprowadził znakomite floty przy brzegach Afryki, krążące w celu przeszkadzania temu handlowi.

Zdawało się, że ten środek zamiarowi odpowie. Skutek jednak prawie zupełnie przeciwny nastąpił, bo im przeszkody były większe, tém handel murzynami stawał się czynniejszy i okrutniejszy.

Komitet w Anglii ustanowiony do zgłębienia najwłaściwszych środków ku zniesieniu handlu niewolnikami, nie zdołał jeszcze tych środków z dostatecznością obmyślcć; lecz w raporcie swoim przedstawia dokładnie skutok terażniejszego postępowania. (Poszyt 1 września).

Sprawozdawca p. W. Smith utrzymuje, że dopóki zachodzić będzie żądanie niewolników, dopóty zawsze na targ dostawiać ich będą. Żądanie to zaś w Indjach Zachodnich i w Ameryce południowej nie ustaje, a zapas towaru znajduje się w Afryce niewyczerpany. Teraźniejsze urządzenia zmieniając handel ten na handel kontrabandowy, zwiększyły tylko podniecie przez ogromne zyski, jakie dowóz murzynów zapewnia. Stało się to teraz niby grą hazardową, otoczoną całym urokiem wielkich korzyści dla istot łakomych, nielekających się używania środków najbardziej oburzających.

Niewątpliwe dowody przekonywają, że jeszcze w r. 1795 okręty do handlu niewolnikami używane, bardzo były starannie urządzone, z największą troskliwością o zdrowie i wygodę murzynów. Od czasu zaprowadzenia urządzeń zabraniających tego handlu, budowa okrętów do tego tylko zmierza, aby jak największą ilość ludzi na nim przewieźć. Środki do tego używane są najokropniejsze, a śmiertelność dochodzi do stopnia zatrważającego.

W istocie bowiem od czasu nastania popędu do wywozu ludności afrykańskiej, żaden systemat nie zdołał go powstrzymać. Bezskuteczni okazali się usiłowania Fryderyka Wielkiego, Napoleona, Rosyji. Po wprowadzeniu zaś w wykonanie ostatniego układu, w latach od r. 1839 do 1842, nagle handel ten wstrzymał się. Narody też zniszczeniem handlu tego zajęte, podwoiły gorliwość w nadziei zupełnego zmożania téj plamy na kuli ziemskiej. Ale brak dowozu sprawił nadzwyczajne podniesienie cen i coraz śmielsze przedsięwzięcia. W r. 1847 już więcej jak w r. 1846 wprowadzone niewolników do Brazylii. Kontrabandziści zaczęli używać najgorszych i najmniejszych statków; widziano szalupę zaledwie 7 tonns wiość mogącą, naładowaną 37 Murzynami. A ponieważ handlarze wystawieni są na konfiskaty za znalezieniem na statku wielkiej ilości wody i beczek, doszli więc rachubą przebrzydłej ścisłości do wypadku, że filizanka wody na trzy dni dla jednej osoby przy życiu utrzymać ją może. Przez tego pakują 450 Murzynów na okręt, mogący ich tylko

ponieważ 300, bo wiedzą, że znaczna część umrze przez w pierwszych 48 godzinach.

Dr. Cliff, mający zupełnie dostateczną w tej mierze wiadomości zapewnia, że na 65,000 niewolników do Brazylii wylądowanych, wywozi się ich z Afryki 100,000. Z liczby przywiezionych w ciągu dwóch miesięcy umiera 3, 4 do 5 tysięcy. Ponieważ znaczniejsza ilość żywności na okręcie znaleziona, wystawia także handlarzy na podejrzenie, dają więc pożywienia Murzynom tyle tylko, aby z głodu nie pomarli. Murzyni pakowani są razem i kładzeni na bok, tak, że w tej massie rąk, nóg i głów żaden prawie osobno poruszyć się nie może. Na jednym okręcie urządzają czasem dwa a nawet trzy pomosty, nie wyższe od półtoręj, czasem od *jednej stopy*. Mają więc Murzyni zaledwie miejsce do leżenia, bo i dziecko usiąsoby nie mogło żywi ich człowiek podający w dzbanku wodę i odrobiny jadła. Większą połowę ładunku wymiera, a nawet były przykłady, że na 160 Murzynów, zaledwie 16 podróz przetrwało. Wyczyszczenie okrętu staje się niepodobnym, i dlatego często po odbytej podróży, zupełnie staje się niezdatny, a nawet te, które zostają oczyszczone, zachowują szkaradną woń, przeznaczenie ich pierwotnie strażującą. Po jedno lub dwumiesięcznej podróży, nieszczęśliwi ci tak są osłabieni, że się utrzymać nie mogą; wielu z nich okrytych jest ranami i wrzodami.

Trudno sobie wystawić coś bardziej oburzającego i przykrego. A wszakże ludzie najlepiej przedmiot ten znający są zdania, że te straszliwe skutki pochodzą właśnie z usiłowań do ich odwrócenia lub pomniejszenia. W długim szeregu dziejów rycerskich, spraw najczystsza dobroczynnością kierowanych, nie pewnie nie przewyższa szlachetności, z jaką środki do zniesienia handlu niewolnikami zostały przedsięwzięte; ale widzimy skutki. Jakkolwiek więc przyszłość rodu ludzkiego i droga, którą przebiegać może, jest głęboką tajemnicą: to jednak spełnienie usiłowań do zatamowania handlu murzynami przekonywa tylko, że systemat prohibicyi i ograniczeń we wszystkiem, co do bytu materialnego i moralnego ludzi odnosi się, choćby nawet tryumf cnoty był celem jego, sprowadza tylko opóźnienie w ogólnym rozwoju ludzkości.

Trzy posyty Dziennika Ekonomistów (marcowy, 15 kwietnia i 1 maja), obejmują rozprawę Humboldta o produkcji złota i srebra. Ten sam przedmiot, mianowicie co do produkcji złota, już był podany czytelnikom Biblioteki Warszawskiej. Bliższą więc wiadomość o pracy Humboldta pomijamy, zwłaszcza dla tej uwagi, że rozwijające się dopióro kopalnie złota w Kalkofonii, podać mogą nader ważne w tej mierze wypadki, dotąd ocenić się nie dające.

Zpomiędzy wielu podań statystycznych w Dzienniku Ekonomistów napotykanym, ciekawym jest dla historyi handlu obraz kursów na giełdzie paryskiej w ciągu ostatnich lat 50 (poszyt 1 kwietnia). Przytaczamy tu wiadomość co do kursu renty 5procentowej.

W styczniu 1797 r. kurs tej renty przy otwarciu wynosił 8 fr. 5 c.; w grudniu spadł na 6 fr. 16 c.

W r. 1800 kurs najwyższy 44 fr., najniższy 17 fr. 38 c.

W r. 1804 po ogłoszeniu cesarstwa 59 fr. 75 c.

W r. 1812 w czasie wielkich wojen, kurs najwyższy 83 fr. 30 c., najniższy 76 fr. 50 c.

W r. 1814 od najniższego wyrazu 45 fr., kurs podniósł się w sierpniu do 80 fr.

W r. 1815 od 81 fr. 65 c. kurs w grudniu spadł na 52 fr. 30 c.

W r. 1816 kurs doszedł w lutym do 64 fr. 40 c., a w grudniu spadł znowu na 54 fr. 30 c.

Od tego czasu kursa najwyższe i najniższe w każdym roku były następujące:

	Najwyżej	Najniżej		Najwyżej	Najniżej
1817	69 fr. — c.	55 fr. 5 c.	1833	105 fr. 50 c.	99 fr. 55 c.
1818	89 „ — „	60 „ — „	1834	107 „ — „	103 „ 70 „
1819	73 „ 15 „	64 „ 85 „	1835	110 „ 30 „	106 „ 40 „
1820	79 „ 70 „	70 „ 10 „	1836	110 „ 30 „	103 „ 20 „
1821	90 „ 60 „	73 „ 75 „	1837	111 „ — „	106 „ 25 „
1822	95 „ — „	83 „ 35 „	1838	111 „ 83 „	107 „ 25 „
1823	93 „ 65 „	75 „ 50 „	1839	112 „ 80 „	108 „ 25 „
1824	104 „ 80 „	93 „ 60 „	1840	119 „ 40 „	100 „ 30 „
1825	106 „ 25 „	90 „ 50 „	1841	117 „ 5 „	110 „ 45 „
1826	101 „ 5 „	96 „ 80 „	1842	123 „ 10 „	116 „ — „
1827	104 „ 70 „	98 „ 50 „	1843	123 „ 70 „	119 „ 60 „
1828	109 „ — „	101 „ 40 „	1844	126 „ 30 „	118 „ 20 „
1829	110 „ 65 „	106 „ 50 „	1845	122 „ 85 „	116 „ 45 „
1830	109 „ 40 „	84 „ 50 „	1846	123 „ — „	116 „ — „
1831	98 „ 30 „	74 „ 80 „	1747	119 „ 10 „	113 „ 35 „
1832	99 „ 85 „	92 „ 40 „			

Dnia 22 lutego 1848 r. kurs renty 5-procentowej był 116 fr. 75 c., a dnia 7 marca 89 fr.

Szczególne wiadomości statystyczne, znalazły pomieszczenie w Dzienniku Ekonomistów nie tylko w mniejszych doniesieniach, ale także w obszernych artykułach, z których ważniejsze są: obraz statystyczny szkół początkowych we Francji z dniem 1 czerwca 1848 (poszyt 1 czerwca); historia i stan obecny wielkiego zakładu dla ociemniałych w Paryżu, znanego pod nazwiskiem *Les Quinze-Vingts* (poszyt 15 września); wykład

historyczno-statystyczny reformy pocztowej w Anglii (poszyt 15 listopada); wiadomość o darach i zapisach na instytut dobroczynny we Francji (poszyt 15 listopada). Autor tego ostatniego artykułu, p. Ad. de Watteville, słusznie uważa, że ze wszystkich sposobów wykonywania dobroczynności, najłatwiejsze dla egoizmu naszego są dary pośmiertne, bo to jest jeszcze sposób przedłużenia niejako życia, utrwalenia pamięci, dalszego wykonywania woli, a bez osobistej już ofiary. Popęd więc do darów w takich był zawsze wielki, choć już w XVIIym i XVIIIym wieku we Francji surowe i ścieśniające w tej mierze wydawane były urządzenia. Pomimo tego, donacje na rzecz kościołów, klasztorów i zakładów miłosiernych, doszły we Francji do kilku miliardów. W r. 1790 wszystkie te fundacye uległy konfiskacie na rzecz skarbu, a dalsze zapisy wstrzymały się. Dopiero kodex cywilny urządził na nowo w art. 910, 937 stosunki z darów tego rodzaju wynikające, i określił prawidła, w których obok względu na cierpienia ubóstwa, obmyślane zostały środki zabezpieczenia interesu rodziny, zastępa wdów i sierot przeciw zbyt wygórowanej szczodroblivości. W ogólności w kodexie cywilnym przebija się raczej zamiar ukrócenia i położenia tamy zapisom, jak ich zachęcenie; wszelako skutek przekonał, że od początku wieku, uczucia dobroczynne znakomite złożyły fundusze na szpitale i inne podobne zakłady. Pominąć więc możemy zapuszczanie się w rozbiór i wnioskowanie względem pobudek, które kierowały pojedynczymi osobami dary zapisującemi, skoro widzimy wypadek ogólne dobro bliźnich zwiększający. Nie jestże to jednak jedną z najgłębszych zagadek ludzkiej społeczności, iż nie wszystkie przyczyny chwalebnych skutków, równie mogą być chwalebne, jak nie wszystko złe społeczne, z samych złych czynów powstaje? W ciągu lat 45 od 1800 do 1845, dary i zapisy dla szpitali, domów przytułku i opieki, wyniosły we Francji przeszło 122 miliony franków: nie wchodzi zaś w tę sumnę wszelkie zapisy niższe od 300 fr., tudzież dary ręczne i kwesty corocznie po miastach odbywane, które w samym Paryżu przeszło 200,000 na rok wynoszą. Summa powyższa 122 mil. dzieli się wedle trzech epok w sposobie następującym:

Za konsulatu i cesarstwa od r. 1800 do 1814	14,921,000 fr.
Za restauracyi od 1815 do 1830	51,020,000 —
Za monarchii lipcowej do 1845	56,561,000 —

W tém, samych zapisów nieruchomości było: w epoce pierwszej 5 milionów, w drugiej 12½ milionów, w trzeciej także przeszło 12 milionów: razem 30 mil. To są wszystko liczby urzędowe; jakżeż znacznie powiększyłyby się one obrachowaniem darów prawdziwie chrześcijańskich, które urzędom nieznanym, cierpiący tylko łzami wdzięczności liczą. Prócz tego wielka ilość stowarzyszeń dobroczynnych, których w samym Paryżu przeszło 120 istnieje, ciągle bardzo ważne zbierają kwoty na zaspokajanie celów przez siebie obranych.

W. Ł.

(Dokończenie nastąpi).

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1848.

L W Ó W.

118. **Pojedynek na Kaukazie.** Z pamiętników oficera rosyjskiego Lermontowa (.) przez L. B. 16ka. Lwów. 1848. Nakładem K. Jabłońskiego. Str. 167. Złp. 2.

119. **Krawiectwo damskie** (.) przez Tomasza Kulczyckiego. 12ka. Lwów. 1848. Drukiem Pillera. Str. 23. (Z 3 tablicami). Złp. 2 gr. 10.

1849.

BOCHNIA.

82. **Historya naturalna** ułożona przez Zygmunta Kaspra Fischera, doktora medycyny i chirurgii... przełożona na język polski, dla młodzieży szkolnej, przez X. Ludwika Lewartowskiego. 7 zeszytów. Bochnia. 1849. 8ka. Nakładem i drukiem Wawrzyńca Pizsa. Str. 436. Złp. 7 gr. 15.

W I L N O.

83. **Kartuz. Powieść prawdziwa** z drugiej połowy ośmnastego wieku. Przez Loym d'Ambroise. Tłumaczył z francuzkiego K. Przyalgowski. 12ka. Wilno. 1849. Druk M. Zymelowicza. Str. 72. Złp. 2.

1850.

WARSZAWA.

46. **Iskierka wiedzy dla młodocianego wieku**, czyli nowy abecadlnik, obejmujący w sobie: litery wielkie i małe drukowane i podręczne z rycinami ułatwiającymi ich pamiętanie..... ułożony przez M. S. 12ka. Warszawa. 1850. Nakład M. Rodzyna, druk Jaworskiego. Str. 103. Złp. 2.

47. **Wspomnienia sandomierskie i opis miasta Sandomierza**, w dwóch częściach, przez Jana Nepomucena Chądzyńskiego. 8ka. Warszawa, 1850. Druk Kaczanowskiego. Str. 181. Rejestru karta 1. Złp. 6 gr. 20.

KRAKÓW.

48. **Chłopi arystokraci** (.) Szkic dramatyczny w jednej odsonie ze spiewkami (.) przez Władysława Ludwika Anczyc. 16ka. Kraków. 1850. Druk Józefa Czecha. Str. 80. Złp. 2 gr. 10.

49. **Wpływ kobiet na nasze uczucia** (.) **Obrazek z życia** (.) Napisał J. Ł. 12ka. Kraków. 1850. Nakład i druk Czecha. Str. 54. Złp. 2 gr. 10.

50. **Wstęp do anatomii ciała ludzkiego dla uczniów poświęcających się umiejętności lekarskiej** (.) napisał Ludwik Bierkowski professor wszechnicy Jagiellońskiej. (Urywek z rękopismu anatomii podręcznej od wielu lat do druku przygotowanej). Z ryciną przedstawiającą popiersie Rafała Czerwiakowskiego. 8ka. Kraków. 1850. Druk uniwersytetu Jagiellońskiego. Str. LX i 100. Złp. 6 gr. 20.

POZNAN.

51. *Cantionale Locupletissimum nec non Processionale Ecclesiasticum continens ea omnia Cantica, quibus Ecclesia Catholica per annum praecipue in Provincia Polonica uti solet; ex veteribus hujusmodi operibus per Poloniam usitatis fideliter desumpta per Mathiam Dembiński..... Proprietas Auctoris. 8vo. Posnaniae. Typis Schirmeri (Woykowski). MDCCCL. Str. VI, 317 i 178. Złp. 20.*

WILNO.

52. Nauki o bierzmowaniu (,) rozłożone na każdy dzień sześciu tygodni poprzedzających jego przyjęcie..... skreślone przez X. Regnault'a, tłumaczył z francuzkiego języka X. S. S. D. 12ka. Wilno. 1850. Nakład Rubena, druk Zymelowicza. Str. 256. Złp. 5.

53. Wielki dzień się zbliża (,) albo listy o pierwszej komunii świętej. Ułożone przez X. Gaume. Tłumaczył z poprawnego raz czwarty wydania w języku francuzkim X. S. S. D. 12ka. Wilno. 1850. Nakład Rubena, druk Zymelowicza. Kart 4 i str. 212. Złp. 5.



Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

Tom pierwszy „Życiorysów znakomitych ludzi” już ukończony został. Tomu 2go część pierwsza wydana.

Nakładem S. Merzbacha wyjdzie drugie wydanie dzieła p. n. „Obraz świata” poprawne i powiększone.

„Pamiętnika sztuk pięknych”, pod redakcją B. Podczaszyńskiego, zeszyt pierwszy, wkrótce ma wyjść z pod prasy drukarskiej.

W Wilnie wyszły następujące dzieła:

Gospodarstwo postępowe na Litwie, p. Tomasza Dybowskiego.

Następujące artykuły drukowane w Athenaeum Kraszewskiego, oddzielnie odbite wyszły:

1) Wspomnienia z podróży do Syberyi i pobytu w Berezowie, spisane przez Ewę Felińską. Wilno 1850 r.

2) Litwa za Witolda, opowiadanie historyczne, J. I. Kraszewskiego.

Przedruk z Gwiazdy kijowskiej: „List Zofii K. Brzozowskiej do Benedykta Dołęgi, z powodu krytyki p. Kraszewskiego na Rocznik literacki”.

Rocznika literacko-naukowego tomu 2go zeszyt pierwszy.

W księgarni W. Stefańskiego w Poznaniu, wyszło drugie wydanie dziełka: *Von Renten-Papieren und Papier Geld ohne Renten. Ein Wort zur Beherrigung in der jetzt allgemein gefühlten Geldnoth, von Heliodor Stanislaus Johann Graf v. Skórzewski.*

W Wrocławiu ukazały się niedawno dzieła: 1) Warmbrun i okolice jego w 38 obrazach, zebrane w 12stu wycieczkach przez pielgrzymkę w Sudetach. Druk i nakład W. B. Korna. 1850 w 12ce, z ryciną.

2) *Studien in der Geschichte des Polnischen Volkes.* (Badania nad historią narodu polskiego) przez Weissenhorsta w Zurichu, 1850. Tom Iszy. Treść tego tomu dzieli się na cztery oddziały: I. Stan społeczeństwa: szlachta. II. Chłopi i mieszczenie. III. Kształt rządu. Król. IV. Reprezentacja narodowa.

Lwów.

P. Witowski, znany autor powszechniej historii naturalnej, przygotowuje do druku tłumaczenie romansu Bernardina de St. Pierre: *Paweł i Wirginia*. Zamierza wydać to dzieło z temi samemi rycinami, któremi jest ozdobione francuzkie wydanie.

W drukarni Stauropigialnej wytłoczono dziełko, pod tytułem: *Die ruthenische Frage in Galizien von Anton Dąbcański, Landrath zu Lemberg; beleuchtet von einem Russinen.*

Wyszły tu jeszcze następane dzieła:

Wiadomość historyczna o najdawniejszych biskupstwach w Polsce. Na korzyść wydania dobrych książek. W 12ce. Lwów 1850, (gr. 20).

Książka do nabożeństwa ułożona według nauki kościoła św. rzymsko-katolickiego, szczególnie dla użytku młodzieży wiejskiej, za aprobacją zwierzchności duchownej. W 16ce. Lwów. 1850. (Zł. 1 gr. 10).

Kurs praktyczny języka francuzkiego bez uczenia się reguł na pamięć, przez D. F. Ahn. Podług 12go wydania. Lwów. Drukiem Stockmana. 1850, w 8ce. Część II, XXIV i 126. (Złp. 2 gr. 10).

Przewodnik praktyczny we francuzkiej rozmowie potocznej D. F. Ahn. Z niemieckiego przetłumaczony. Lwów. Drukiem Stockmana. 1850, w 8ce, str. 137. Złp. 3 gr. 6).

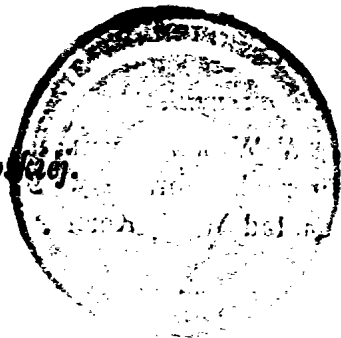
Chiromancya czyli sztuka wrózenia z ręki. Z niemieckiego przez S. Krawczykiewicza). Z ryciną litogr. Lwów. Drukiem Pillera i spółki. 1850, w 12, str. 60. (Złp. 1 gr. 10).

Igiel Dr. Lazarus Elias. *Variae interpretationes criticae et gramaticales de biblia veteris testamenti et de Onkelosi, quibus accedunt alia scripta hebraica et chaldeica.* Leopoli. M. F. Poremba. MDCCCL, in 8vo p. 29.

† Dnia 19 kwietnia b. r. w skutek apopleksyi zmarł w Poznaniu Antoni Wojkowski. Obdarzony znakomitym talentem muzycznym, biegły fortepianista, ułożył kilka pięknych kompozycji, a mianowicie narodowych tańców i śpiewów, i pierwszy zwrócił uwagę publiczności na znaczenie i wartość Chopina. Znany był także w zawodzie literackim.

† Dnia czerwca b. r., we Lwowie rozstał się z tym światem Franciszek Xaw. Beldowski w 33 roku życia. Człowiek ten ubogi i pracowity, stracił siły w zawodzie piśmiennictwa.

Redakcja Biblioteki Warszawskiej.



DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE
w Obserwatoryum Astronomiczném
WARSZAWSKIÉM.
Maj 1850.

	mm.	c.	f.
Średnia wysokość barometru miesięczna	748.460	27	7.789
Najwyżej dochodził — d. 11 o g. 10 r.	756.18	27	11.212
Najniżej — — d. 1 o g. 4 w.	741.29	27	4.611
Średnia zmiana dzienna barometru	2.71		1.20
Największa zmiana dzienna barometru d. 10—11 o g. 6 r.	11.25		4.99
Średnia wysokość barometru jest niższa o od stanu normalnego z 24 lat poprzedzających	0.853		0.381
Średnia temperatura Maja wynosi:	+ 15 ^o .12 C.	+ 12 ^o .10	R.
i ta jest wyższa o	1.53 „	1.23 „	
od stanu normalnego z 24 lat po- przedzających	+ 13.59 „	+ 10.87 „	
Największe ciepło dochodziło d. 18 o godz. 4 wiecz.	+ 26.8 „	+ 21.4 „	
Największe zimno dochodziło d. 3 o godz. 6 rano.	— 0.4 „	— 0.3 „	
Termometrogram wskazał:			
Maximum: + 24.0 ^o R. d. 21 i 24 w.			
Minimum: — 1.8 „ d. 3 r.			
Średnia zmiana dzienna temperatury	3 40 „	2.72 „	
Największa zmiana dzienna	12 0 „	9.6 „	
Wody z deszczu spadło wysoko na 31,8 milim., czyli 14,09 lin. par., to jest: o 18,64 mil. czyli 8,26 lin. mniej, jak w stanie normalnym.			
Średnia wilgotność powietrza miesięczna wynosi: 66,3; biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo 7,25 gra- mów, na jednym metrze sześciennym powietrza. Wilgo- tność ta jest o dwie setne mniejsza jak zwykle.			
Dni pogodnych było 4; napót pogodnych 20, pochmurnych 7.			
— deszczu 9 (d. 5, 7, 9, 10, 18, 25, 26, 29, 30).			
— śniegu 1 (d. 3).			
— grzmotów 4 (d. 22, 23, 25, 27).			
— mgły 1 (d. 8).			
Wichrów 3, t. j. PdW=2; Z=1.			
Wiatr panujący: Południowo-Wschodni.			
Maj r. b. był pogodny, suchy o 1,23 stop. R. cieplejszy jak zwykle; pierwsze pięć dni były chłodne; przeciwnie, pięć dni od d. 20 do 25 gorące; średnia temperatura tych dni dochodziła blisko 17 stop. R. Trzy dni t. j. d. 11, 12, 13 Św. Mamerta, Pan- kracego i Bonifacego zwykle w Maju chłodne, w tym roku cie- plejsze były od dni początkowych. Susza trwała prawie przez ca- ły miesiąc, dopiero przy końcu, osobliwie d. 26, 29 i 30 deszcz pa- dał obficie.			
Dnia 12 między 10 a 11 godz. wieczór pokazała się <i>Zorza północna</i> w świetnych kolorach.			
D. 19 między 4 i 5 godz. po połud. wicher gwałtowny PdW.			
D. 22 o 7½ godz. wieczór grzmoty i błyskawice powtarzane.			
D. 25 między 7 a 8 godz. wieczór grzmoty i deszcz.			

UŁAMEK

Z PODRÓŻY ARCHEOLOGICZNEJ PO GALICYI,

ODBYTÉJ W R. 1849

PRZEZ

Józefa Lephowskiego i Józefa Terzmanowskiego.

Okolice Podkarpacka. Obwód sądecki.

Archeologia w innych krajach tak już pracowicie i szczegółowo obrabiana, u nas jeszcze nauką się nie stała: bo zaledwie dopiero od czasów wydania pierwszego opisu Krakowa (A. Grabowskiego, 1822 r.) gorliwiej starożytnościami zajmować się poczęto. Nie zbywa nam wprawdzie na geografiach i opisach ziem dawniej Polski; ale pierwsze, z dzieł po większej części krajowych lub niemieckich czerpane, wiele fałszywych umieszczają wiadomości—drugie znów pełne romantycznych opisów: szemrzących strumyków, szumiących gaików, świszczących ptaków i t. p., ani do utworów poezyi, ani do prac archeologicznych policzone być nie mogą. Rzecz to naturalna: nieszczęścia tylekroć kraj nawiedzały, puszczanie się w podróż, by naocznie wszystko obaczyć, było niemożliwem; trudno téż, by niezamożny literat mógł wystarczyć na kosztą podobnej podróży, a wiele jeszcze czasów upłynie, nim u nas powstaną archeologiczne towarzystwa, któreby podobnym chęciom, wsparcia materialnego udzielić mogły. Gdy udało nam się zwiedzić w celu naukowym pewną część Galicyi, 'ułamek niniejszy jako próbę podajemy na obiatę, na ołtarz świeżo u nas budującej się świątyni zabytków starożytnych. Odbywając L.

niejszą podróż razem, w jéj wypracowaniu podzieliliśmy się tak, iż ja obrabiałem głównie część archeologiczną, mój zaś towarzysz J. Jerzmanowski pracował głównie nad częścią bibliograficzną, heraldyczną i dziejową. Uwag i spostrzeżeń nad charakterem i stanem obecnym góralszczyzny nie spuszczaaliśmy z oka, i podajemy je tu w każdym miejscu, gdzie się sposobność nadarza.

Przedewszystkiém jednak, jak średniowieczni pątnicy, zmierzaliśmy do świątyni; sam bowiem kościół jest żywym przeszłości świadkiem. Dom boży, mimo burz politycznych i postępu, został przy swoich grobowcach, powagą świętości okrytych obrazach, przy swoich obrzędach, obyczajach, a nawet wiekowych przesądach.

W dworcu szlacheckim, naśladownictwo, cudzoziemszczyzna, wreszcie pojęcia postępowe, zmieniły nawet zewnętrzną postać budynków. Zaczawszy od stroju szlachcica, domowego wychowania i zwyczajów, a skończywszy na sprzętach gospodarskich, znajdziesz tam zwierciadło terażniejszości, które za każdą polityczną zmianą i pożogą, nowy ukazuje ci obraz. Kościół więc tylko jeden umie opowiedzieć przeszłość. Koło jego to chrzcielnicy przechodził każdy mąż na drogę, którą miał postępować, w nim w obrazach i pamiątkach zostawiał ślady swych czynów; sklepienie wreszcie téjże świątyni odbijało o swe łuki śmiertelne *requiem*, a kościelny grób przyjmował zwłoki dziedzica. Szukając więc przeszłości i zabytków sztuki, najpiérwój odwiedzaliśmy kościoły, i ich tu opisem głównie czytelnika zajmiemy.

Za najwyższą nagrodę podjętych przez nas trudów, poczytywać sobie będziemy światłe zdanie krytyki, jeżeli na nie zasłużyliśmy; a mniemamy, że niniejszy urywek z naszej podróży dowodnie okazuje, że tylko przez podobne pielgrzymki, przez założenie towarzystw archeologicznych, do porządnej geografii historycznej kraju naszego przyjść możemy.

Mszana, wieś, 8 mil od Krakowa w przeciwnym kierunku biegu rzeki Raby, 4 mile od Nowegotargu, 6 mil od Nowego-Sącza: poczta, jarmarki, targi. Przez wieś tę przechodzi główny podkarpacki, piękny, z granitowego żwiru usłany gościniec, od ludu zwykle *cesarskim* zwany. Bita ta droga prowadzi na wschód przez Tymbarg, Limanową do Nowego-Sącza i t. d. na zachód zaś przez Jordanów, Żywiec (Zeubusz) do Białej. W pobliżu, od wsi Skomelny, bieży znów trzecia droga przez Myślenice, z kąd się w dwa ramiona rozchodzi: do Gdowa i Krakowa. Położenie wsi piękne, a i pod względem rolniczo-przemysłowym

nader korzystne, bo leży w kotlinie kilku odnóg, zniżających się do równiny Karpat. Pod kościołem wielki drewniany most na rzece górskiej Mszance, dodaje okolicy malowniczego widoku.

Pod nazwą Mszany, rozumie się Mszana dolna nad Mszanką, i Mszana górna powyżej położona, postępując brzegiem rzeki. Obie te wsie stanowiły wraz z przyległościami starostwo mszańskie niegrodowe, którego ostatnim posiadaczem był Ignacy Zboński kasztelan połocki, opłacający w 1772 r. kwarty złp. 2,135 gr. 11 den. 9. Starostwo to przez cały XVIII wiek było w posiadaniu rodziny Terakowskich: naprzód Jana stolnika zakroczymskiego, potem syna jego Gabryela pisarza grodzkiego krakowskiego. Część zabudowań koło kościoła: plebania, karczma, tak zwany ratusz, poczta, szkoła i t. p. zwią „Mieścisko”; słuszność tej nazwy potwierdza inwentarz i przywileje kościelne, gdzie przy wyliczeniu należnych do parafii włości, wspomniano na czele: „Msana v. Rosenberg oppidum per Suedos devastatum”. Nazwa Rosenberg nawsuwa domysł, że tu Niemcy kolonią mieć mogli.

Kościół drewniany, z takąż wieżą; z kilku przybudowań złożony, stanowi całość niezmiernie oryginalną i niesymetryczną; dziś w nader złym znajduje się stanie. Przywilej erekcyjny tego kościoła, w oryginale złożony w konsystorzu tarnowskim; w inwentarzu jednak przy kościele od r. 1594 dochowanym, znajduje się wierzytelny tegoż odpis, z którego dowiadujemy się, iż kościół tutejszy zbudował i uposażył Kazimierz W. r. 1345. Przy akcie nadania obecnymi byli: *Venerabilis Joan. Wolbran, J. U. D. Praepositus Ecclesiae S. Nicolai extra muros civitatis Cracov.* „*Gustaw Ziemian Scholast. Msticoriens. in Paienczno Praebendarius Eccl. s. Geronidis (1) ad Cracoviam*”. Według słów inwentarza, do parafii „in oppido Msana”, w 1595 r. należały wsie: Mszana górna, dolna, Mieściska, Słomka, Łostówka, Łentowe, Witów, Niedźwiedź, Konina, Poremba, Olszówka, Raba, Glisne, Kasinka. Z czternastu tych wsi, dziś tylko siedm przy parafii Mszany pozostało, a inne rozdzielone między trzy probostwa: w Porembie, Kasinie i Olszówce, w wieku już XVII powstałe.

Probostwo tutejsze otrzymywali znamienici w zawodzie naukowym i politycznym mężowie, a mianowicie akademicy krakowscy,

(1) Byłto może kościół św. Gertrudy, prebenda kollacji rajców krakow. który stał na wale na wejściu z ulicy Siennej za Nową-bramą, zburzony za rządu austr. Przy nim grzebano ciała wyrokiem świętych (Krak. i Okol. A. Grab. 1844, str. 290). Może też istniał przy Krakowie inny jaki kościół św. Geronidy, o którym opisujący Kraków zamilczają.

o ile pamięć ich dochowała się w metrykach i aktach kościelnych, dochodzących XVI wieku. Pierwszego proboszcza napotykamy pod r. 1546 Mateusza de Jasło. Frączkowicz Joannes *praep. s. Leonardi Casmiriae et plebanus in Lubień*, 1602—1612. Skrobkowicz Joannes *phil. Doct. ab a. 1622*. Morenda Gabriel (1) *J. U. Doct. Górski Jacobus J. U. D. (2) Can. Cat. Cra. Decanus Skalensis Colleg. Om. SS. Crac. Canon. Prothonotarius apostol. 1642 resignavit*. Jodłowski Stanislaus (3) *J. U. Doc. Can. Cat. Praemysl. Curatus in Krzywocza (w cyrk. przemyśl.) et Strachocin in Mszana, Regalin et Olszówka 1684—1710*. Belza Casimirus sekr. króla Władysława IVgo, kapelan królewski, *Praepo. in Mysłnicze*, tutaj proboszcz od 1642—1683. Josephus de Zakliczyn Jordan *Can. Crac. Cat. Archidia. Sandecen. in Padegrodzii Niegowic praepo. in Mszana parochus ab 1710—1718 resignavit*. Markiewicz Josephus de Słupnice natus *Casmiriae J. U. D. et Philo. Can. Coll. Sandecensis et Cielecens. Decanus Tymbar. Paroch. in Mszana 1757-1801 (4)*.

Wielki ołtarz kościoła ozdobny w rzeźby, mieści piękny, w sposobie bizanckim na złoconym tle malowany obraz: „Zaśnięcie Marii”. U spodu tego obrazu nad mensą, widzimy wyobrażenia dwóch klęczących księży: pierwsze po lewej, z siwą brodą, przedstawia J. K. Belzę, jak to możemy wnosić z liter J. C. B., P. A. P. M. S. R. M. S. a. 1681. Głoski te położone naokoło herbu, oznaczają jego wymienione wyżej tytuły. Drugie wyobrazenie po prawej, wnosząc z podobnychże głosek J. Z. P. N. C. M. r. 1681 około herbu Poraj, poczytujemy za portret Józefa Zbłudzkiego (z tytułem: Parochus Niedzwiedzensis). Zamieszczenie tu postaci tych obu księży, domyślać się każe, iż oni przy końcu XVII wieku obraz ten i ołtarz sprawili.

Godne tu jeszcze uwagi obrazy: „Trzej królowie”, obrazek mały w rodzaju bizanckim, po prawej stronie wielkiego ołtarza; także podobny obraz w bocznym ołtarzu: „Chrystus na krzyżu”, wraz z ołtarzem wzięty z istniejącej w Mszany przed r. 1813 kapli-

(1) Później proboszcz kątski, wielu biskupów audytor, zmarł 1644 r. (Nies. T. VI).

(2) Był professorem prawa; około r. 1651 rektor, i na téj godności w roku 1652 zmarły. Niemile on po sobie wspomnienie zostawił w dziejach akademii krak., przez mnożone w zgromadzeniu niezgody i kłótnie z władzą biskupią (Solt. O stanie ak. krak. str. 326).

(3) Pisarz panegiryków wierszem łacińskim.

(4) Napisał panegiryk dla 4 kandydatów łacińskim wierszem: *Fasciculus laureati honoris*, w Krak. druk. ak. 1737 in fol.

cy ś. Anny, którą wylew zniszczył. Nową chorągiew, przedstawiającą górali u stóp Maryi, malował Stolarski z Myślenic; przedzój koloryt, anizeli rysunek, za zaletę tego malowidła poczytać można. Nad zakrystyą znajduje się wielki skład: rzeźb, obrazów, chorągwi i innych aparatów kościelnych, które przez czas zniszczone, tu złożono. Proboszcz obecny, zacny kapłan obiecał nam, iż każe odczyścić i zawiesić w kościele niektóre z tych pięknych starożytnych obrazów.

Między aparatami kościelnymi piękny, przerabiany nicią złotą i srebrną, i dosyć dobrze jeszcze zachowany ornat, mienią być darem Kazimiérza W.

Większy dzwon kościelny nosi następne na sobie napisy:

„M. Jacob Frlicher vixi: nunc auctus mors mihi facta bona est.”

Na wieszadle dzwonu na miedzianej blaszce wyryte: *„Anno Dni MDCX die XVIII Januarii benedicta in honorem beatissimae Virg. Mariae. parcho. Rdo. Jacobo Górski i. u. d. ecles. coltae. om. SS. Crac. custode. Na drugim dzwonie mniejszym, legenda: Ave Maria gratia etc.*

Wspomniona kaplica św. Anny niedaleko dworu położona, przy której oddzielnie od kościoła utrzymywany był kapelan dworski, miała zapisany fundusz na utrzymanie w całości budowli i na nabożeństwo 12,000 złp., które, jak stwierdza przywilój w kopii z r. 1728, Roman de Bogusławice Sierakowski *vexilifer vice Capit. et Judex Castr. Cracov.* na wsiach Rokicianie i Przybyłowie zapisał.

W mieszkaniu ks. proboszcza widzieliśmy olejno na płótnie malowany obraz „Sąd Salomona” pędzla A. Grzymańskiego. Jest to lichy malarz z Kalwaryi, lecz widać, iż w ukształceniu postępuje, gdyż obraz ten 1836 r. malowany jest bez porównania lepszy od tych jego malowideł, które w okręgu b. rzeczypospolitej krakowskiej w okolicy Jaworznia, widzieć można w kościołach. Gdy kilka razy musieliśmy kościół odwiedzić, nie mogąc w nim czynić poszukiwań dla nabożeństw; przeto co nas uderzyło w te chwile, jako obrazek obyczajowy podajemy.

Karpackie echo, zbudzone mszańskimi dzwony, smętnym, przeciągłym tonem rozległo się w okolicy. Niedługo potem ukazał się orszak pogrzebny, ciągnący do kościoła. Nie uroczystym, powolnym krokiem, jak to w dolinach bywa, ale szybko postępując smagli górale, nieśli na marach sześć trumien z trupami zmarłych na cholere włóścian. Ciekawość, z jakimi narodowemi

obzędami odbywa się w téj okolicy ów stanowczy akt życia ludzkiego, zaprowadziła nas do świątyni. Nigdybyśmy się jednak nie spodziewali, aby ta pełna uroczystego smutku chwila, co nas mimowolnie strachem i bojaźnią przyszłości przejmuje; aby ta mowę chwila, rozśmieszyć mogła. Rzeczywiście byłto komiczny widok. Ślepy na jedno oko kramarz, wychudły, obdarty dzwonnik, w uroczystej postaci z ogromnemi waltorniami postępowali naprzód. Niestrojnymi głosy, najpodobniejszymi do myśliwskich lub pasterskich zwolywań, napełnili świątynię. Za nimi szedł organista z bębniem, wybijając marsz, jakby do ataku. Wreszcie ksiądz i kondukt z trumnami zakończyły pochód. Po ustawieniu zwłok na miejscu, trąby i bęben założyły swą rezydencyą na chórze, gdzie się od czasu do czasu odzywały.

Narzędzia te muzyczne, przy każdej większej kościelnej paradzie koniecznie użyte być muszą; a biedny chłopiec więcej płaci za pogrzeb, byleby tylko owa trąba z bębniem dodawała parady przy odniesieniu zwłok nieboszczyka na miejsce wiecznego spoczynku. Wina zaiste wielka spada na kapłanów, że pozwalają, by obrzęd religijny mógł się na sposób komedii odbywać, z towarzyszeniem niestrojnych waltorn i bębnow. Zwróciliśmy także uwagę naszą na babieniec, którego drewniane ściany, są całe utkane zębami ludzkiemi. Jestto zabobon, w skutku którego dla uratowania się od bólu zębów, wyrwane w przedsiönku kościoła, Bogu, jakby jakiemu pogańskiemu bóstwu składają w ofierze. Po nabożeństwie, jak wszędzie, tak i tu udają się włościanie do karczmy. Pijaństwo nie jest tu tak, jak w dolinach pospolitém. Karczma jest dla włościan i dworskiej służby gazetą. Z natury swój położona przy gościńcu pocztowym, zdolną jest jak gąbka do wsysania w siebie nowin od przejezdnych. Jestto niejako wędka, na którą karczmarz łowi grajczarki. Przy kieliszku gorzałki, lub tańszego tu niż gdzieindziej wina węgierskiego, skąpo udziela on nowin, aby gości dłużej zabawił. Snują się téż plany i domysły po głowach wiejskiej inteligencji. Kończą się one zwykle prorokowaniem nowój jakiej wojny; np. cesarz pójdzie z wiosną na Francuzą; a wreszcie z zwykłym wnioskiem: „przecieto da Bóg, że będzie lepiej”, rozchodzą się dyplomaci. W ogóle góral mało o polityce rezonuje; ani panu, ani urzędnikowi nie wierzy, na nic podpisać się nie chce, i przy staréj wiedzy uporzyciwie zostaje. Młode jednak pokolenie, obfitszy zapewne

owoc dla krajowej oświaty przyniesie; gdyż liczne grono młodych chłopców widzieliśmy w kościele modlących się na książkach, czego przed kilkunastu jeszcze laty nikt w tej okolicy nie widział. Z funduszu gminy 104 r. c. k., utrzymuje się tutaj nauczyciel trywialnej szkoły, która w półroczu zimowém bywa otwartą; do 70 wyrostków i dzieci uczęszcza do niej.

Państwo Poremba Wielka. Wieś Niedźwiedź nad Porombką. Mila od Mszany, bliżej podgórze Karpat: ma targi i jarmarki. Sebastyan Lubomierski miał szyb w wielkich salinach, zwany (jak Siarczyński mówi) Lednica i Mierziaczka. Szyb ten za czasów żupnictwa Prospera Prowany, około r. 1569 zamienił za dobra królewskie Porębę Wielką i Niedźwiedź, które to wsie dobra Lubomierskich zaokrągliły. Konstytucya z r. 1607 (str. 850) potwierdziła tę zamianę; a mimo to, wnukowie Sebastyana Lubomierskiego posiadali rzeczony szyb, o co z nimi długi spór wiodła Rplita (1). Kościół ma drewniany, r. 1606 wystawiony przez Sebastyana Lubomierskiego hrabiego na Wiśniczu, kasztelana wojnickiego, sandomierskiego, spiskiego i dobczyckiego starosty (2). Pierwszy proboszcz był Mikołaj Żydowski; był tu także proboszczem St. Foltanski *Colleg. major. S. Florian. Canon. Dr. Fil.* r. 1766. R. 1695 spalił się kościół i tegoż roku nowy z drzewa stawiać poczęto. Znajduje się przy kościele, między metrykami, spis wydatków na stawianie nowej świątyni, z kąd się wiele ciekawych wiadomości dowiedzieć można:

„Pod r. 1697 do odlewania dwóch dzwonów i sygnaturki, ciągnął ks. proboszcz zpod Muszyny (3) ludwisarzów dwóch; robili tedy formy i piec niedziel 14: wzięli od roboty piwo, wódkę i zł. 100... (4). Materya z Wiśnica, co dał JMć pan mar-

(1) Wieliczka przez dra F. Boczkowskiego, 1843 r. Siarczyński Obr. wiek. panow. Zygm. III. T. I. str. 287—288.

(2) Ten Sebastyan otworzył był źródło bogactw i dostojenstw dla domu tego imienia. Nabył Wiśnicz z przyległościami po Kmitach i otrzymał od Rudolfa cesarza niemieckiego jego tytuł dziedzicznego hrabi na Wiśniczu. Żywot i zasługi jego w pokoju i wojnie opowiadają Niesiecki i Siarczyński. Pochowany przy kościele ks. Dominikanów w Krakowie, w odbudowanej przez siebie kaplicy, jak świadczy napis grobowy. Umarł d. 22 czerwca 1613 r.

(3) Muszyna, miasto w obw. sandeckim nad samą granicą węgierską, którą Poprad tuż płynący odgranicza. 2,000 mieszkańców. Na wysokiej górze panował zamek; dziś zaledwo szczątki widać. Muszyna wraz z jedenastu przyległościami i zamkami była aż do podziału kraju własnością biskupów krak. Władysław Jagiello w r. 1391 darował tę majątność Janowi Radlicy bisk. krak. † 1392. (Świadczy kopia donacyi na miejscu).

(4) Według Czackiego tablicy ewaluacji monet, licząc podług stopy 1786 r. wynosił 1 złoty ówczesny, złoty 1 gr. 11 szel. 2.

szalek z działą, centnarów 2; kosztem ks. plebana z Wiśnica przez puszkarów zniesione zostało za złp. 20. Do dzwonów y do spiżu z działą, kupił ks. pleban cyny za zł. 90. Cegła na piecz z Krakowa y robiona w domu, kosztowała zł. 30. Kowal co dzwony kował kosztuje zł. 10.... Kupił ks. pleban ołtarz od św. Anny z Krakowa, ornatów, antepedia, mszał, chorągwie stare, dał zł. 100..... JWJM. pan marszałek nadworny koronny, jako kollator y patron (1) dał zł. 300 na dzwony”....

„Ołtarz św. Antoniego malował malarz z Myślenic z chłopcem niedziel 4; dostał za to 70 zł.... Szymon Skibski robił kościelną robotę. Wyzłacał ołtarze pan Say malarz myślenicki.... P. Jan Dynieński malarz, począł malować zakrystyą. Wojciech Gliński z Zębrzyc robił rzeźbę do ambony y lichtarze.... Od pozłoty y malowania tychże dało się panu Szymonowi Chraczewiczowi malarzowi myślenickiemu y jego synowi zł. 40.... Jan Ogiński malarz, pod dzwonnice malował niedziel 5; od roboty zł. 40.”

Na okładkach téjże księgi metryk, zapisano: „R. P. 1716 ziemia się trzęsła pod Tatrami w Dunayeckiej farze; znowu 1717 r. d. 11 marca także się ziemia trzęsła pod Tatrami; trzęsły się Tatry tak, że aż rozumieli ludzie, że budynki upadną w farze Czarno-Dunayeczkiej y w Orawie.”

Przy kościele, w połączeniu z główną nawą, domurował w r. 1846 terazniejszy proboszcz pięknie w rotundę sklepioną kaplicę. Alfresca w téj kaplicy i obrazy malował J. Rejtarski, wędrowny malarz w cyr. sandeckim; alfresca jeszcze niezgorsze, ale obrazy sklecone z głów kopiowanych z różnych obrazów. Między obrazami kościelnymi nie ma zasługujących na uwagę. Dwa dzwony noszą następne napisy; dzwon mniejszy:

„*Ad laudem Dni collatoris et fundatoris Josephi Caroli Lubomirski 1696*”.

Dzwon większy legendę: *Gloria in excelsis* etc. „Wiek i lat dziewiętnaście był ten dzwon użyty od pierwszego lania, lecz jak go niedozorem spēkano i rozbito, ofiarami i pracą dobrej téj tu poremskiej fary, tenże nowy za bożemi dary został ulany. Bagiński Jerzy lał ten dzwon z Szczyziscieszana (2) rodem, zmó-

(1) Józef Karol Lubomierski koniuszy kor. marsz. nad. w końcu 1702 r. marsz. w. k. starosta sandom. zator. lubaczew. niepołomic. lubomski, rycki † 1703 r.

(2) W odpisie niniejszym nie zachodzi żadna pomyłka. Bagiński, jak wiemy od niego, urodził się w Cieszynie.

wiony z przodem A. D. 1815". Na dzwonie w odlewie św. Sebastyan i św. Franciszek. Przy kościele utrzymuje się tak zwana urzędowym językiem, szkoła trywialna.

Niedaleko wsi Niedźwiedzia, postępując przeciw biegowi Mszanki, napotykamy wieś Lubomierz, niegdyś Lubomierskich własność, a może i kolebka; wraz z siedmioma innymi włościami stanowi ona państwo Wielkiej Poręby. We wsi Lubomierz jest kaplica, w której się czasem odprawia nabożeństwo, i huta szklana, której produktem góralskie szklane naczynia. Czacki (wyd. Rac. t. III str. 500 przypis 33) wspomina o mniemanym najdawniejszym zabytku dyplomatyki polskiej, podział majątku Szreniawitów w r. 1188 zawierającym, gdzie już wieś Lobomir Joachim odbiera. Dyplomata jednak ten w wątpliwość jest podany.

Kaszyna czyli Kasina, wreszcie Skrzyldna wieś, zwykle Skrzylna, a nawet Skrzylna przez złe wymawianie zwana, i Szczyrzyc, leżą na jednej linii, na północ Mszany, ku dolinie Raby i Stradomki. Spuszczając się od Mszany, o dwie mile do Szczyrzyca, spostrzedz się daje odmiana w stroju włościan. I tak, w okolicy Mszany górale chodzą w małych kapeluszach, w krótkiej na plecach zawieszonój burce brunatnej barwy, w koszuli cienkiej, w pasie skórzanym szerokim, i w zgrabnie z kawałka skóry zesnurowanym *chodaku*; góralki najczęściej w czerwonej na głowie chustce, w ciemno-niebieskiej spodnicy, przyodziane białą płachtą, obrusem zwaną, w sposobie, jak nam pomniki i obrazy, matrony polskie z zakwefioną głową przedstawiają, a jak to do dziś jeszcze, stare po miastach żydówki nosić zwykły. Spuszczając się już ku nizinom w okolicy Szczyrzyca, widzimy szerszemi rondami opatrzone kapelusze, białe gunie, bóty zamiast chodaków, a u kobiet kształtniej na głowie upiętą białą chustkę, dłuższą spodnicę, nawet gorset, czego w górach nie widać. Grube sukno na gunie i burki, dreluchy na spodnice, płótno, słowem, materyał do ubioru potrzebny, jest dziełem rąk samychże włościan. Nawet używane na zimę kożuszki krótkie baranie, sami sobie przygotowują.

Trzy rzeczne wsie mają kościoły:

Kasina. Szkoła parafialna. Kościół drewniany. R. 1611 albo świątynia ta była na nowo wystawioną, albo reparowaną, jak to dowodzi napis, wyryty na zrebie przy drzwiach głównych: „Puczynowsky A. 1611”; było zapewne majster cieśla, który świątynię tę budował. Tenże r. 1611, za rok budowy kościoła po-

twierdząją akta kościelne. Wieś ta wraz z przyległemi wsiami: Jodłownika i Stróża, należała do ks. Dominikanów krakowskich; po podziale kraju, wieś te przeszły na własność rządu, a następnie w ręce prywatnych. Kościół należał jako filia do probostwa Skrzyldny, zostając pod zarządem ks. Dominikanów krakowskich do r. 1811; odtąd bowiem odłączony i zamieniony został w probostwo, którego parafią składają dziś wieś Przywiarki i Kasina (1).

Wielki ołtarz kościoła, zdobią piękne rzeźby i starożytne obrazy w guście bizanckim. Boczne ołtarze są dziełem lichego malarza z Oświęcima, Slebarskiego. W pierwszym: „*Madonna de la Sezia*”; w drugim: „Chrystus na krzyżu”: oba kopiowane z znanych artystycznych utworów. Pod obrazem Chrystusa piękna rzeźba na drzewie: „Bóg Ojciec”. Godny też uwagi, zawieszony na ścianie obraz w rodzaju bizanckim: „Biskup (może Iwo) przedstawia Chrystusowi klęczącego Dominikana (zapewne św. Jacka)”; z ust Dominikana średniowiecznym charakterem z wstęgi wysnuwają się głoski: „*miserere mei Domine, a. 1577*”: tło złote. Po prawej stronie wchodząc w prezbiterium, wisi wysoko obraz wielki, na którym olejno na płótnie wyobrażona w naturalnej wielkości postać Przeclawa Niewiarowskiego, mianego tutaj za fundatora kościoła. Piękny ten obraz odnieść należy do utworów z XVII wieku. Niewiarowski wspaniałej postaci, strojny w kontusz i delią, u spodu napis:

„Ja wasz był przyjaciel kochani ojcowie,
Niech każdy z was przed Bogiem to powie,
Grzechy me tym tytułem niech będą pokryte,
A od was włości me niech będą pożyte”.

Powyżej herby Półkozie i Odrowąż, obok których litery P. N. (2). Po lewej stronie wielkiego ołtarza stary obraz w sposobie bizanckim na tle złoconym: grupa świętych, między nimi Maryja, przedstawia-

(1) Rozróżnić tu należy nazwy: Kasina, a Kasinka; Kasinka bowiem jest to wioska o ½ mili od Kasiny na prawym brzegu Raby położona, która, jak wyżej widzieliśmy, należy do parafii Mszany, a niegdyś własność królewska. Dzierżawa (tenuta) została w posiadaniu Kazim. Wykowskiego kaszt. czerwogr. Płaciła w r. 1772 kwarty 1,457 zł. 8 gr. 5 den.

(2) Przeclaw Niewiarowski herbu Półkozie, którego wyobrażenie oglądaliśmy, nie był fundatorem tutejszego kościoła, ale był wielkim dobroczyńcą ks. Dominikanów krak. Będąc bezżennym zapisał im wieczną darowizną dobra: Jodłownik, Kostrzą, Ryje, i Markuszową z przyległościami. † 1599 r. pochowany w kaplicy Ligenzów, swych przodków, w kościele dominikańskim w Krakowie. Brat jego młodszy, Jan, legował tymże Dominikanom wieś *Kasinę* 1596 r. On też może był i założycielem niniejszego kościoła (Niesiecki T. 6, p. 562. Pruszcz Klejnoty krakow. Świątnica Pańska ks. Mikołaja Sicykowskiego 1743 r.)

ją Chrystusowi klęczącego u stóp jego mężczyzną, w polskim stroju; na dole herb Doliwa, u spodu napis gocki, z wielką szkodą do niewyczytania zniszczony. Napis nad chórem: „r. 1760” oznacza zapewne rok odnowienia. Dzwony tutejsze są dziełem Jerzego Bagińskiego z Krakowa.

Skrzydlna. Szkoła parafialna, jarmarki. W wieku XIV i XV własność Ratuldów, którzy się pisali po imieniu téj wsi ze **Skrzydlna**. Majetność ta przeszła w XVI wieku do Pieniżków, przez zamęcie ostatniej tego domu Ratuldownej za Jana Pieniżka herbu Odrowąż, sędziego krakowskiego, starosty sandeckiego i nowotar. (1). Kościół drewniany, część nawy wokół wielkiego ołtarza murowana. Oryginalne przywileje erekcyjne i uposażeń, są złożone w archiwum konsystorza tarnowskiego. P. Jarzyna zbudował ten kościół 1315 r. Prokop Pieniżek zmarły 1567 r. kościół ten dobudował, i jego to dziełem jest część murowana. Do parafii Skrzyldny należały wsie: Skrzyldna, Przenosza czyli Glince, Kasina, Wola, Iwanowice, Raciborzany, Jodłownik, Kostrza czyli Reje, Markuszowa, Gruszów. Dzisiejsza rozległość parafii jest ta sama, z wyjątkiem zamienionej w probostwo filii Kasina, o czém mówiliśmy wyżej.

Po lewej stronie wielkiego ołtarza, wielki pomnik z piaskowca: rycerz w zbroi, pięknej rzeźby, w postaci leżącej, u góry herb Odrowąż, u dołu Szreniawa; nad postacią napis: „*Hoc positus tumulo Procopius illustr. quiescit Pieniżek clarus dexteritate sua, dotibus ingenii valuit tum corpore praestans, tum fortunae, prosperitate sua. In vultu gravitas, in verbis maxima virtus. Huic fuit et verae religionis amor.*

Gratus erat cunctis, mitis comes et pius. Illum pavida mors properans sustulit an. die m. V unbra. Quamvis in medio vitae morior, tamen inde vitam habeo aeternam, mortua vita vale. Mortuus lae Aprilis anno 1567, aetatis suae 43”. Na krawędzi pomnika napis zatarty (2).

W wielkim ołtarzu piękny obraz w guście bizanckim: św. Mikołaj, św. Stanisław, w pośród nich Marya. Na zasuwie św. Mikołaj, pędzla samoucznego malarza Nanke, z miasteczka Limano-

(1) Niesiecki t. 8, kar. 96 wyd. lipskie.

(2) Był on synem wyżej wspomnianego Jana starosty nowotargkiego, dziedzica Skrzyldny; żona Anna Pukarzewska her. Szreniawa, który na nagrobku widzimy. Zwłoki jego spoczywają tutaj, jak świadczy Niesiecki (w Herbarzu t. VII kar. 290).

wy. W bocznym oltarzu: „św. Józef piastujący Chrystusa”; u dołu podpis: „*pinxit A. D. 1718 die 26 Septembris. Martynus Zajac.*”

Dzwon wielki z napisem u góry: „A. D. 1765. *Pater celestus sanctificetur nomen tuum*”. W środku:

„*Campana haec rupta et fracta denuo noviter refusa est, sub patrocinio Beatae Mariae ss. Michaelis archangeli, Annae et Josephi, cura et studio perillustrissimi Magn. ac generosi Dni Josephi de Krompach Swiecicki Burgrabii arcis crac. nec non Rdni. Michaelis Błaszyńskiego parochi loci. Casparus Kramnitz goss mich von Krompach (Krompach, miasteczko na Spizu) in Ciritz (zapewne Szczyrzyc)*”. Dzwon ten zdobią pyszne odlewy: św. Michał, Marya i Chrystus na krzyżu. Dzwon drugi z napisem:

„A. D. M. G. B. M. V. H. (*ad majorem Dei gloriam Beatae Mariae Virginis honorem*) sub patricinio ss. Nicolai, Stanislai et Josephi. *Josephus Ulanowski P. S. (Parochus Skrzyldnae) fieri procuravit, A. D. 1707.* Odlów „Marya” (1).

W księdze *Liber memorab.* znajduje się spis komendarzy i proboszczów od r. 1601. Gdy najczęściej pierwszych napotykaemy, należy wnosić o hojnym uposażeniu tutejszego kościoła, którego naczelnikami musieli bywać znakomici w hierarchii duchownej prałaci; tém więcej mniemanie to zdają się potwierdzać dowody, pokazujące, jak liczne kościół ten posiadał dawniej dziesięciny, gdy do niego oprócz dzisiejszego uposażenia, płacono datki z Topoli (wsi w obwodzie miechowskim król. Pols.), a nawet z Słonkowiec pod Warszawą leżących.

Szczerzyc, Ciritz, Monasterium Cirnense. Wieś (2), jarmarki, targi, niegdyś stolica powiatu. Zkąd włość ta do zaszczytu tego przyszła, nie da się nic pewnego powiedzieć. Dawniej opactwo, dziś klasztor, z kształtu podobny do zabudowań opactwa Cystersów w Mogile pod Krakowem. Budowle wraz z kościołem rozłożone w bagnistej dolinie. Mimo starożytnych przywilejów, budowę kościoła tego i klasztoru do wieku XIII na tém miejscu odnoszących, z stylu budowy w sklepieniu półkolistém to tylko wnioskować można, iż gmachy te pożarem zniszczone, w wieku XVII na nowo zbudowano. Domysł ten potwierdza się, gdy zważymy: iż korytarze i kościół noszą na sobie co do budo-

(1) W każdym kościele, nieraz z niebezpieczeństwem i narażeniem zdrowia i życia, staraliśmy się o zdjęcie napisów z dzwonów, i sądzimy, iż odkrycie gis-serów, niebłahym będzie nabytkiem do dziejów sztuk i zakładów ludwisarskich w Polsce starożytnej.

(2) *Starowolski in vita Episcopo Cracov.* zowie miejsce to *Maria vallis.*

wy piętno jednego wieku, a w mieszkaniu przeora, widać na murze r. 1644.

Wszedłszy do kościoła drzwiami bocznymi, uderza ponad nimi zawieszony piękny olejno na płótnie malowany obraz, wyobrażający wspaniałą postać pobożnego założyciela, otoczonego gronem dworzan, gdy oddaje przywilég fundacyi kościoła i opactwa stojącym przed sobą braciom zakonnym. U spodu obrazu podpis:

„*Theodor Cedro de domo Gryphonum comes in Ruszcza (1) palat. Cracov. fundator monachorum Cisterciensium Imo in Ludzimirz A. 1231 ac tandem post decennium eosdem monachos transtulit in Szczyrzyc. Obiit a. 1288*”. Obraz ten malowany niezawodnie dopiero XVII wieku, gdyż w ubiorze Cedrona popełnione anachronizmy naocznie zdradzają, że w wieku XIII żyjący, nie mógł używać stroju z wieku XVII. W wielkim ołtarzu pysznej snycerskiej roboty, na zasuwie piękny obraz olejno na płótnie: „Wniebowzięcie Najśw. Maryi Panny” przedstawiający. Ugrupowanie świętych i aniołów, rozkład całego obrazu i pyszny pędzel, oznaczają i cechują to dzieło artysty. Pod tym obrazem: „Chrystus na krzyżu”: obraz w sposobie bizanckim na desce, grunt gipsowy, tło złoczone.

Gdy budowla kościoła jest w kształcie krzyża, przeto boczne ołtarze stanowią jakby kaplice. Oba w te ołtarze osadzone pięknie rzeźbionych i nader odległej starożytności sięgających ramach, w wielkie kwiaty i lilie srebrne wyrabianych. Godne w nich uwagi piękne obrazy św. Benedykta i św. Bernarda. Sklepienie malowane al fresco, wystawia dzieje ŚŚ. zakonu, jak się zdaje pędzla A. Radwańskiego Krakowianina. Po bokach w prezbiteryum są piękne stale; na nich zawieszono orły białe: jeden z nich trzyma w szponach herb Gryff, drugi herb jednego z opatów tutejszych, jak to widzimy z ozdób, godła opackie wystawiających. Oprócz pomnika zmarłego niedawno dziedzica tego miejsca ś. p. Kajetana hr. Sierakowskiego kaszt. król. Pols. i małżonki jego z hr. Dzeduszyckich, są tu jeszcze trzy kamienie nagrobne w posadzce przed wielkim ołtarzem; z tych napisy na jednym zupełnie zatarte, na drugim odczytać się daje: „*Stanisl..... Drosowski abbas.....*; trzeci ku pamięci Fr. Ge-

(1) Ruszcza, wieś w okręgu b. Rplitej krakow. 1½ mili od Krakowa w stronie wschodniej. Po Cedronach dziedzicami téj wsi byli Wierzbietowic, po których w rusieckim kościele piękne zostały pamiątki.

rard de Hirtemberg *Abbatis circensis* † 1752. Na dzwonie napis: „Lell mnie Gasparus Kramnitz maister dzwonar obywatel Krompachsky”. „*Post conflagrationem quae accidit XXI Januarii 1765 efformata sum in Szczyrzyć impensis huius monastery. A. D. 1767*”. Herb opactwa gryf. Oprócz pięknych ozdób, zdobią jeszcze ten dzwon śliczne odlewy: P. Jezus, Marya, św. Jan Nepomucen.

Jest tu jeszcze w pobliżu mały kościółek we wsi Góra św. Jana, o którym mówi podanie, iż pierwiastkowa jego budowa istniała już przed fundacją opactwa. W bliskości wieś Żegartowice, z zachwycającą grupą skał, u podnóża których wykute mieszkanie, przez długi przeciąg czasu było siedzibą pobożnego pustelnika, zbrodniczą ręką w 1829 r. zamordowanego. W lesie mają się znajdować ślady zamczyska Tarłów.

Zacni i światli zakonnicy: ks. przeor Wiktoryn Bycan i proboszcz ks. Kajetan Hruszka, rodem Czesi, dzisiejsi przełożeni klasztoru, okazali nam z niezwykłą grzecznością pięknie dochowane przywileje klasztorne od r. 1234 aż do obecnych czasów; gościnnością zaś i współudziałem dla naszych poszukiwań, miłą w sercach naszych zostawili pamięć. Ostatni obdarzył nas krótkim rysem dziejów klasztoru w niemieckim języku, w 1827 roku przez nieznanego członka zgromadzenia spisany.

Dzieje klasztoru i opactwa Cystersów.

Dlaczego królowie i możni panowie zakładali klasztory i mnichów do Polski sprowadzili, rzecz ta nie jest dotąd, mimo powagi wielu uczonych, którzy domysły swoje w tym względzie podali, tak rozstrzygniętą, aby o niej orzec stanowczo. Cokolwiek bądź, czy fanatyzm, czy religia, czy myśl wychowania młodego narodu podług woli i widoków swoich, powodowały ręką hojnych założycieli klasztorów; zawsze jednak skutek tych zakładów był błogim i zbawiennym dla kraju. Najpierw w tych wiekach widzimy Benedyktynów. W rozległym kraju, mgły ciemnoty unoszą się nad umysłami, a w celach benedyktyńskich klasztorów, oświeceni zakonnicy pielęgnują nauki, spisują kroniki, i z sprowadzonych do Polski rzymskich autorów dobywają zpod pyłów rozum i oświatę. Ależ Benedyktyni przybyli do Polski wtedy, gdy we Francji zakon ich do upadku się chylił; przynieśli z sobą dobre, ale i niemało

złych ziarn w dobre nasienie się wmieszało. Rozwolnienie karności zakonnój, zły zarząd powierzonymi ich pieczy dobrami upadek zakonu przyspieszyły (1). Miejsce ich zajęli w Polsce Cystersi, zakonnicy św. Bernarda (2). Janik arcybiskup gnieźnieński pierwszy osadza ich w Jędrzejowie. Od téj chwili, w piérwszój połowie XIII wieku, Cystersi z Jędrzejowa jakby pielgrzymi z ziemi świętej, rozchodzą się w promienie po całej Polsce (3). Wreszcie i Teodor hrabia na Ruszczy, herbu Gryff, wojewoda krakow. syn Sulisława, od gminu Cedrem (Czadrem) zwan (jak świadczy Długosz) (4), zakłada klasztor Cystersów w Ludzimierzu r. 1234. Biskup krakow. Wisław z Kościelca potwierdza i umacnia swoją duchowną powagą tę wolą fundatora (5). Wśród dzikiej okolicy buduje modrzewiowy kościółek i klasztor, osadza zakonników (6), nadaje im przyległe Ludzimierzowi dobra: Nowy targ, Dębno, Ostrowicz, Ostrowsko, Wilczepole, Wachsmund, Długopole, Klikuszową, Szaflary, Porębę, Niedźwiedź, Podobin, Olszówkę, Mszanę, Kasinę, Ogonówkę, i dochody z źródła solnego we wsi Rabce (7).

Od téj chwili pod szczytami śnieżnych Tatrów, wśród lasów niecludnej puszczy, widzimy przez mgłę dziejów, uwijających się Cystersów. Wśród ciemnego boru migają białe habity, czarną przepasane wstęgą, a gdzie stąpi noga Cystersa, wałę się pod toporem odwieczne drzewa, lasy się przerzedzają, chaty tu i owdzie wychylają poddasza wśród dzikiej przed chwilą, mroźnym tatrzańskim wiatrem owianej okolicy. Ludzie znęcani nadzieją pomysłności, gromadzą się około zatrudnionych rolnictwem Cystersów. Dzwonki chrześcijańskie tu i owdzie echem odbijają się w głuchych lasach. Jak jasność dnia białego wstąpiła w ciemne bory, tak

(1) Szczygielski: *Tinacia*, *Pharos Benedictina*.

(2) Cystersi są odłamkiem Benedyktynów Kluniackich, których kolebką był klasztor Cîteaux w ziemi burgundzkiej, z kąd Cystersami nazwani zostali.

(3) W Mogile (1229 r.), w Bledzowie nad Obrą (1238), w Konarowie (1253), w Obrze (1231), w Ołoboku nad Prosną (1213), w Paradzicu (1234), w Przemęcie nad Obną (1278), w Peplinie w diecezyi pomorskiej (1267), wreszcie (1220 r.) w Żarnowcu, Chełmie, Toruniu, Henrykowie, Kamiechcu, w Cyrycu pod Wrocławiem, Nowocelniu, Jemielniku i Wieloradzu w Morawie.

(4) *Histor. Polon.* edit. Dobromil. p. 586.

(5) Że przed tą datą istniał już w Ludzimierzu kościółek, o tém opierając się na r. 1229 wyczytanym na dzwonku, przy opisie Ludzimierza wspominamy.

(6) Cystersów tych sprowadził z Włoch i z Jędrzejowa; do Jędrzejowa zaś Cystersów sprowadził Janik arcybis. gnieźnieński z klasztoru *Morimont* z Burgundy 1140 r.

(7) Świadczą dzieje tego klasztoru, na miejscu spisane z dawnych dokumentów.

i cywilizacja rozjaśnia barbarzyństwo, i z dzikich dzieci przyrody, ze sprowadzonych kolonistów, tworzą się rozległe wsie i osady. Tak więc miejsce pępnego, pochylonego nad księgą Benedyktyna, zastąpił w te wieki Cysters, co z pługiem w jednej, a krzyżem w drugiej ręce, ukazuje się w połowie XIII wieku u stóp wierzchów tatrzańskich. Ależ cień i noc zawsze złe okrywać zwykły. Zpśród owych lasów występują rozbójnicy, i od tych chwil do niedawna, bo do końca zeszłego wieku, stają na zawadzie spokojnego rozwoju, rzuconych przez Cystersów myśli. Ludzimirz kilkakroć, jak dzieje świadczą, ogląda w skromnych celach zakonników, rozbójniczy topór i zniszczenie. Widząc założyciel, że dzieło jego w samym zawiązku tyle przeszkód znajduje i przeznaczeniu swemu nie odpowiada; gdy dłuższy pobyt zakonników w okolicy rozbojami zagęszczonej, był niepodobnym: zakupił więc Cedro od Jana Sulisława kantora plockiego, kanonika krakows. r. 1237 za 100 *grzywien srebra* (1) wieś Czyszycz czyli Górę, później Górą ś. Jana nazwaną, *na czém teraz (1586) jest wsi sześć* (2), i zbudował klasztor z wspaniałym kościołem. Poczém w dziesięć lat od pierwotnego założenia, przeniósł z Ludzimierza Cystersów do nowo zbudowanego klasztoru Szczyrzyckiego, roku 1245. W ten sposób przeniesiony i założony klasztor w Szczyrzycu, poświadcza erekcyja przez Cedra, nadana osobnym dyploma-tem pod r. 1244 (3). Do powyższych włości dokupuje nadto wojewoda Cedro w 1237 r. od synowca swego wieś Rogoźnik *za dwa woły, za sześć łokci sukna brunatnego, i za kilka skórek lisich*, a w następnym r. (1238) wieś Krzyszkowice od szlachty Lewosa i Krzyska, *za dwadzieścia grzywien srebra i za dwie sukni* (4). Wisław z Kościelca bisk. krak. klasztorowi cysterskiemu świeżo nateczas założonemu przyczynił funduszów, oddając mu dziesięciny ze wszystkich wsi, w posiadaniu jego dotąd będących (5). Bolesław Wstydlivy przywilejem r. 1254 wydanym, zatwierdza wszystkie nadania, jakie poczynił Cedro wojew. krak. klasztorowi w Szczyrzycu; ze swój zaś strony dodaje: „*si aliquod metalli in territorio eodem a bonis dicti monasterii poterit reperiri, medias ejus ad ducale dominium, abbati medias residua sine hoestitatione semper reddit*” (6).

(1) Podług tablic Czackiego, grzywna w r. 1300 wynosiła dzisiejszych złp. 64.

(2) Paprocki *Herby rycers. pols.* str. 71.

(3) Dyplom ten dochowuje się na miejscu.

(4) Paprocki *Herby rycers. pols.* l. c.

(5) Długosz in *Hist. polon.* edi. Dobromil. l. c.

(6) Dyplom ten i dwa następne są na miejscu.

Drugi przywilój tego króla z r. 1251 odkrywa ciekawy szczegół do dziejów kolonizacyi w Polsce. Ten bowiem król, odnosząc się do przywileju Henryka księcia krakowskiego i szląskiego (1) z r. 1234 *datum in Danczew*, gdzie tenże książę koloniom niemieckim, z wyrąbanych lasów powstałym: Ostrowno, Dunajecz-czarny, Rożnik (Rogożnik), Lipetnica (Lepietnica), Słona, Ratajnicka (Ratajniki), Nedelska (Niedzieliska), Stradomia, prawo magdeburskie nadaje, toż prawo zatwierdza i na nową kolonizacyą zezwala, polecając zaludnienie Szlązakami (2). Trzecim przywilejem z r. 1255 Bolesław Wstydlivy potwierdza donacye poprzedników, i ze wsi Krzyszkowic dziesięciny opactwu nadaje. Prandota z Białaczowa biskup krakowski, za którego rządów dyecezyą, Cedro przeniósł Cystersów do Szczyrzyca (3), osobnym przywilejem z roku 1264 potwierdza klasztorowi wszelkie duchowne wolności, przez poprzednika swego nadane, i dziesięciny ze wsi Poznachowice, Goszczachowa, Dlichowa (Glichów) i Czarnego-lasu (4), do stołu królewskiego należące, za pozwoleniem kapituły krakowskiej odstąpił, oraz sto łanów frankońskich z téjże wsi nadał (5).

Dekret Jana biskupa krakowskiego (6) z 1296 r., godzący zakonników z rycerzem (cum milite) Ratuldem, który przywłaszczone sobie *jus patronatus*, ustępuje opatowi szczyrzyckiemu do kościoła św. Jana we wsi Góra (7). Kazimierz Wielki przywilejem wydanym w r. 1368 potwierdza darowizny i przywileje poprzedników swoich (8).

(1) Henryk I Brodaty książę wrocławski panował natenczas jako przywłaszczyciel opieki nad małoletnim Bolesławem. † 1238. Urządzał Polskę na sposób niemiecki.

(2) Wnosić należy, że ci koloniści musieli być Szlązakami a nie Niemcami, gdyż nazwy tych włości nie zdradzają germańskiego pochodzenia, a osadzenie tych okolic cudzoziemcami, dawno już przed Henrykiem Brodatym znane było.

(3) Prandota z Białaczowa wstąpił na biskupstwo krak. po śmierci Wisława roku 1242. † 1266.

(4) Nazwisko téj włości zupełnie już znikło.

(5) Przywilój ten jest na miejscu; przy nim pięknie dochowana pieczęć wyobraża katedrę krakowską. Nakielski in *Miechovia* p. 40 przytacza powyższy dyplom jako z r. 1244.

(6) Jan Muskata II b. k. † 1320.

(7) Ratuldowie byli wówczas właścicielami sąsiedniej wsi Skrzyldnej, a do patronatu kościoła w Górze św. Jana mogli mieć prawo jako wnukowie wojew. Cedra lub bliźcy krewni. Niesiecki bowiem twierdzi w t. II str. 275, 276 (wyd. Lips.), iż Zdystaw i Ratuld byli wnukami Teodora Cedra, z syna jego Jana hrabi, zwanego Żyła. Przywilój Jana bisk. kr. znajduje się na miejscu.

(8) Dyplom ten znajduje się na miejscu.

Klasztor szczyrzycki aż do r. 1379 zostawał w spokojnym posiadaniu dóbr wyżej wymienionych w okolicy Nowegotargu, które Cystersi przy założeniu klasztoru w Ludzimierzu od swego dobroczyńcy i założyciela otrzymali. Opaci, we wsi Szaflarach należący do klasztoru, zbudowali zamek, a to w celu zabezpieczenia dóbr klasztornych do rozbojów, któremi ta okolica przepelnioną była. Zamek ten opat Begis wypuścił w posiadanie jakiegoś przechrzcie, któren tamże za panowania Ludwika króla polskiego i węgierskiego założył mennicę i bił fałszywą monetę. Gdy fałszerz został odkryty, król przebywając wówczas w Węgrzech, rozkazał opatowi ująć go i w więzieniu osadzić. Opat zwlekał z niewiadomych przyczyn rozkaz królewski, a gdy nakoniec do spełnienia jego się zabierał, przechrzta stawił zbrojny opór. Okoliczność ta była powodem, iż Sędziwój z Szubina wojewoda kaliski, starosta krakowski († 1401), z rozkazu królewskiego podstąpił z wojskiem pod zamek, zdobył go i do szczytu spustoszył, mennicę zniszczył, a fałszerza monety żywcem spalił. Z powodu udziału, jaki miał klasztor w tém całym zajściu, zabrano mu wszystkie dobra od początku założenia nadane, i na skarb królewski zajęto roku 1380. Wyrokiem tym dotknięty opat udał się za królem na Węgry, błagając przebaczenia i zwrotu zabranych dóbr. Zagniewany król zezwolił na zwrót wsi Ludzimierza i Krauszowa; względem zaś reszty, kazał opatowi być cierpliwym dopóki sam nie wróci do Polski. Opat Begis nie doczekał się przybycia królewskiego, gdyż w powrocie z Węgier w klasztorze szczawnickim Cystersów (1), ze zmartwienia życia dokonał. Król zaś nie odwoławszy zajęcia, we dwa lata po nim pożegnał ten świat.

Władysław Jagiello wstąpiwszy na tron polski, majątki szczyrzyckiego klasztoru rozdał częścią w dożywotne posiadanie, częścią w wieczyste rycerstwu polskiemu; a pomiędzy nimi Nowy-targ i Szaflary miały być za lichą summę puszczone w zastaw (2). Po takowém rozproszeniu majątku klasztornego, zostały mu się tylko dobra Ludzimierz, Krauszów i Szczyrzyc, czyli Góra św. Jana. Ówczesny atoli duch religijny nie dozwolił klasztorowi długo w ubogim stanie zostawać. Szlachta wstępująca jeden za drugim do tego zakonu, zapisywała klasztorowi nowe dobra i dziesięciny, tak, że w r. już 1386 posiadał dziesięciny ze wsi: Krzy-

(1) Dziś w komitacie spiskim.

(2) Tak podają spisane na miejscu dzieje w rękopiśmie.

szkowic, Mogielan, Głogoczewa i Włosani, a później zyskał takowe z okolicznych wiosek: Wiśniowy, Jerzmanowy, Kobielnika, Lipnika, Poznachowic, Raciechowic i Glichowa, a następnie otrzymał w dziedzictwo dobra: Porębczyn, Abramowice, Godusza, Smykoń, Krzyszkowice (powtórnie), Kurdwanów, Bonbasów, Mogilany, Głogoczów, Czysów, Szczyborzyce, Niedzielsko, Droginia, Brzączowice i Popowice, intratną karczmę w Wieliczce. W roku 1502 zamieniono wieś Droginie na sołtystwo Głogoczów, w 1551 wzięto Janowice za Szczyborzyce, a w r. 1560 zamieniono dobra Magielany, Włosan i Głogoczów za Wilkowisko, Markuszową i część Porąbki.

Zwyczajem następnych wieków, wszyscy niemal opaci przemieszkiwali w stolicy, wieszając się dworu królewskiego. Przebywanie opatów szczyrzyckich w stolicy, wystawne i kosztowne życie, nachylało do ubóstwa klasztor, a z czasem i do nędzy; z tego powodu w r. 1642 za panowania Władysława IV, opat Joachim z Mstowa Mstowski († 1655 r.), zajął się oddzieleniem dochodów zakonnych od opackich. I tak, dobra: Raciborzany, Janowice, Dobroniów, Gruszów z Goduszą i Porąbka, wraz z dziesięcinami z dóbr Głogoczowa, Włosani, Wiśniowy, Jerzmanowy, Kobielnika, Lipnika, Poznachowic, Raciechowic i Glichowa, na utrzymanie klasztoru oddzielił; resztę zaś, jako opackie, na własne dochody zostawił. Po nastąpieniu w ten sposób oddzieleniu (*de mensa et amictu*), konwent z *dziesięciu* tylko składać się był winien osób, a to w myśl statutu przepisanego przez ówczasowego generała i wizytatora Edmunda *a Cruce*. Opat Domiechowski za rządów swoich (1), liczbę braci zakonnych do *dwunastu* powiększył. Przez takowe oddzielenie dóbr i dziesięcin od dochodów opackich, została raz na zawsze ustaloną dotacja klasztoru, i przez ówczesnego generalnego kommissarza i wizytatora klasztoru szczyrzyckiego Leonarda Rembowskiego opata peplińskiego (2) przyjętą, a przez Władysława IVgo po-

(1) Ks. Domiechowski Przeclaw, najprzód przeor mogiński (1646), a potem opat szczyrzycki w r. 1672, liczy się pomiędzy kaznodziejów naszych. Ogłosił drukiem cztery kazania pogrzebowe: *Matka Bolesna*, *Raj Zabaw*, *Rumacya do Naroznika*, *Praktyka żywój Wiary*, 1647 r. w 12ce. Nadto: *Zebranie przywilejów łask i odpustów bractwa Szkaplerza św. błogos. P. Maryi z góry Karmelu*; w Krakowie, w drukar. Lenczewskiego Bertutowicza, 1650 w 4ce.

(2) Opactwo peplińskie w diecezji pomorskiej, nad rzeką Wierzycką, założone r. 1267. Niesiecki (t. 8 str. 105 wyd. lips.) wspomina o Rembowskim, iż blisko lat 40 był kommissarzem zakonu Cysterskiego; ojczyźnie dobrze zaśluzony. † 1649.

twierdzoną w r. 1644, jak przywilój oryginalny świadczy. Według téj dotacyi, utrzymuje się klasztor do dziś dnia z funduszem na dwunastu zakonników.

Podanie mówi, iż klasztor wraz z kościołem pożar kilka razy dotykał; ostatni raz w r. 1774. W następnym jednak zaraz roku, Onufry Grzymisławski naówczas opat, wspólnym funduszem odnowił go i do dawnego stanu przywiódł.

Ostatnim opatem tego klasztoru był wspomniony Grzymisławski (1), który po wprowadzeniu stanów Galicyi, na sejmie we Lwowie jako magnat Galicyi i Lodomeryi, po biskupach następane zajmował miejsce (2). Umarł 1794 r., a z jego śmiercią dobra opackie przez b. starostę sandeckiego Tschirsch v. Siegstätten na rzecz C. K. skarbu zajęte (3) zostały, klasztor zaś szczyrzycki pod dozór zakonny opata jędrzejowskiego oddany.

Zabrane dobra opackie przez publiczną sprzedaż przeszły w ręce prywatnych, a większa część, klasztorowi przyległa, dostała się w r. 1806 przez zamianę żup solnych do spadkobierców rodziny hr. Dzieduszyckich (4). Po odpadnięciu Galicyi zachodniej w r. 1809, przeszedł klasztor Cystersów, jedyny w całej Galicyi, pod władzę biskupów tarnowskich.

Klasztor w Szczyrzycu oprócz kościoła, zabudowań klasztornych i gospodarskich, jako téż ogrodu, nic więcej nie posiada w miejscu swego istnienia. Nabywcy dóbr opackich osiągnęli zarazem prawo do mieszkania opata, i odtąd bezprzykładnym sposobem, zakonnicy wspólnie z dziedzicem w klasztorze mieścić się muszą.

Wspomniana tylekroć własność klasztoru: Dobroniów, Markuszowa, Janowice, Raciborzany, Gruszów z Goduszą i Porąbką, stanowią państwo Janowice, a przeorom służą prawa i ciężary dziedziców.

Według pierwotnych urządzeń klasztoru, księża byli wolni od pełnienia obowiązków, do probostw zwykle przywiązanych. Wsie w okolicy klasztoru położone, jakoto: Mstów, Lassowice,

(1) Jedyną pamiątką po opatach tutejszych jest portret Grzymisławskiego, zdołający mieszkanie dzisiejszego przeora.

(2) Kuropatnicki w *Geografii Gal. i Lodom.* Przemyśl., 1786.

(3) Archiwum opackie zabrane i do Lwowa przewiezione; dziś téż żadnego w klasztorze nie można znaleźć pisemnego śladu do życia tutejszych opatów: nawet nazwiska ich są dziś zakonnikom obce.

(4) Posiadał następnie te dobra Kajetan Sierakowski kaszt. król. polsk.; ze śmiercią jego i małżonki z domu hr. Dzieduszyckiej, dostały się spadkiem Eugeniuszowi hr. Dzieduszyckiemu, znanemu z cnót obywatelskich.

Słupie, Dąbrówka, Krasne, Gruszów, część Sawek, Góra św. Jana (Johannisberg), Szczyrzyce, Krzesławice, Żegartowice, Dobroniów, Porębczyn, Abramowice, Smykoń, Pogorzany, Kwasowice, należały do parafii Góra św. Jana, która była samoistnym probostwem i ma osobną erekcyą. Ostatnim proboszczem był ks. Tomasz Wilczewski, po śmierci którego kościół parafialny pod względem budowy znajdował się w najgorszym stanie; a gdy gromady należące do parafii przyczynić się nie chciały do zbudowania nowój świątyni, gdy ani nadziei nie było podniesienia funduszu, przez zmarłego proboszcza zapisanego na odbudowanie nowego kościoła: zakonnicy kościół własnym nakładem odnowili, i dla dogodności parafian nabożeństwo w niedzielę i święta odprawiali, parafią zaś do klasztoru w Szczyrzycu przenieśli. W skutek tego, gubernium krajowe poleciło konsystorzowi biskupiemu tarnowskiemu (1): aby przeorowie miejsce proboszcza Góry św. Jana zastępowali. W późniejszym atoli czasie, gdy niektórym gromadom i państwowom odległość w uczęszczaniu na nabożeństwo do Szczyrzyca zdała się być uciążliwą; zanesiono prośbę do władz, na którą też odpowiedziały rozporządzeniem, aby zakonnicy napowrót w Górze św. Jana probostwo utrzymywali z funduszków własnych (2).

Szkola.

Na wniosek zakonu, gubernium krajowe zezwoliło roku 1793 na zaprowadzenie szkoły (tak zwanój trywialnej) (3), i zamianowało nauczycielem Dąbrowskiego, który według przyjętej organizacyi był płatny z funduszu składkowego przez gromady i państwa w kwocie 103 fl. k. m. 12 gr. Wr. 1801 nauczycielowi Janowi Wnękowskiemu pensya o 20 fl. k. m. podwyższoną została przez ówczesną administracyą kameralną szczyrzycką. W siedm lat później, oświadczył zakon rządowi gotowość odebrania na siebie szkoły trywialnej i obsadzenia jój zdolnemi z grona swego członkami. W skutek tego, rząd wydał dekret wcielenia szkoły do klasztoru (4). Uchwała ta weszła natychmiast w życie, a szkoła składała się z dwóch klass, i liczyła w r. 1811 uczniów

(1) Dekretem z d. 3 marca 1789 r. (L. 12,324) do konsystorza tarnowskiego

(2) Dekret z 15 października 1813 (L. 33,409).

(3) Dekret 31 lipca 1793 (L. 21,356).

(4) Dekret z d. 5 sierpnia 1808 r. (L. 28,217).

48; przycém dzieci ubogich rodziców otrzymywały w klasztorze bezpłatne mieszkanie i codzienne pożywienie. W r. 1812 przychodzi zgromadzenie w pomoc ogólnej oświacie z własnego popędu i funduszków, bez przyczynienia się z czyjéjbądź strony, i tworzy szkołę normalną o trzech klassach. Chwalebny ten zakład istniał tutaj aż do roku 1820.

W r. 1818 rząd założył gimnazjum w mieście obwodowym Nowym-Sączu i do współuposażenia zaprosił klasztor szczyrzycki, aby się wnioskiem 3300 złr. corocznie przyczyniał. W ten sposób projektowaną summę zobowiązał się klasztor wnosić; gdy jednak nie mógł zadosyć uczynić zobowiązaniu, rząd summę powyższą do 1,000 złr. w m. k. zmniejszył (1). I teraz jeszcze, mimo chęci, zakon nie był w stanie urzeczywistnić zobowiązanego wniosku, albowiem dochody z dóbr klasztornych przez zły zarząd nie pokrywały wydatków. Przez uiszczanie dopłaty gimnazyalnej do takiej przyszedł zakon nędzy, iż zakonnicy trudniący się wychowaniem młodzieży, zmuszeni byli szukać utrzymania poza murami klasztoru, jako zastępcy opróżnionych w kraju probostw. Z oddaleniem się ich upadł zarazem instytut naukowy. Dziś utrzymuje się przy klasztorze, jako téż przy kościele w Górze św. Jana, zaledwo szkoła parafialna.

W latach 1822 i 1823 doszedł klasztor do takiego ubóstwa, iż zaledwo dwóch a najwięcej trzech utrzymywało się zakonników, i to pozbawionych środków do życia, gdyż dobra klasztorne z przyczyny zaległych podatków i niewypłacalności dopłaty gimnazyalnej, rząd w r. 1822 zajął w sekwestr. Summy klasztorne wyczerpnięte, dochody zabrane na rzecz skarbu, kościoł, klasztor i pobudynki gospodarcze zrujnowane, a zakonnicy w ostatecznej nędzy. Ówczesny przeor Tesselin Henkel, znalazłszy w tak smutnym stanie klasztor, udał się przez władzę biskupią z prośbą do panującego natenczas cesarza Franciszka, o zniesienie uciążliwej dla zakonu dopłaty gimnazyalnej, od której téż na rok 1823 i następne, przez uchwałę gubernialną (2) uwolnionym został.

Przeor Gerard Zimowicz lepszym zarządem majątek klasztoru podźwignął, tak, że w roku 1827 zakon liczył księży dziewięciu i dwóch kleryków; z pierwszych niektórzy kolejno jeszcze

(1) Dekret z d. 15 października 1819 r. (L. 50,783).

(2) Dekret z d. 2 stycznia 1822 r. (L. 52,589).

tyczasowe zastępstwo w opróżnionych probostwach pełnili. W tym roku polecił rząd sporządzenie inwentarza majątku klasztorowego (1).

Roku 1834 zarząd klasztoru szczyrzyckiego przeszedł w ręce zakonników z Czech sprowadzonych, którzy do obecnej chwili zakon, jeżeli nie w świetności, to przynajmniej w porządku i dobrym bycie utrzymują. Gdy ostateczną odpowiedzią w roku 1848 przez ministerium Pillersdorfa, spełzła na niczém otrzymana obietnica przez ś. p. cesarza Franciszka zwrotu dóbr opackich klasztorowi, zakonnicy czescy nie widząc więcej skutku swych usiłowań, wracają do ojczyzny, a zarząd klasztoru oddają napowrót w ręce Polaków.

Położenie klasztoru w środkowym punkcie miast obwodowych, sprzyałoby wielce w utrzymywaniu szkół, któreby zakonowi prawdziwą chlubę, a krajowi pożytek przyniosły.

Biblioteka.

Gdy nie mamy żadnych śladów piśmiennych o tworzeniu się i wzroście biblioteki klasztornej, nic przeto o jej dziejach powiedzieć nie możemy. To tylko jest pewne, że dawniej nie była w tym stanie jak dzisiaj, gdyż ze śmiercią ostatniego opata, w r. 1794 wywieziono znaczną część książek do Lwowa, i wcielono wraz z innemi po zniesionych w całym kraju klasztorach do biblioteki uniwersyteckiej, którą d. 2 listopada 1848 r. spalono. Część także przewieziono do dyecezalnego seminaryum, będącego dziś w Tarnowie. Obecnie bibliotekę w Szczyrzycu obejmuje jedna mała cela o jednem oknie, w której się mieści zaledwo 1101 dzieł. Czesi uporządkowali tę ksiąźnicę, i katalog sporządzili. Dzieł treści historycznej znajduje się 110. Są tu jeszcze: Szczygielskiego, *Aquila Benedictina*; *Miracula B. M. V. Tuchoviensæ*; Bzowskiego, *Dzieje kościoła*; Kordeckiego, *Gigantomachia Częstochovi.*; Załuskiego, *Inwentarz praw i Listów tom 2gi*. Najobszerniejszy dział wymowy kaznodziejskiej, w pięknie dochowanych exemplarzach: *Postylla katolicka ks. Wuika, Krak. 1592 r. 2 tom.* Starowolskiego, *Świątynia Pańska*. Wreszcie: Kazania ks. Rychlewicza, Młodzianowskiego S. I. Waler. Gutowskiego, Powalskiego, Piskorskiego, Chojnackiego, Gorzeńskiego,

(1) Dekret guber. z d. 12 kwietnia 1827 r. (L. 15,035).

i Jacka Liberyusza, prob. Boż. Ciała w Krakowie, u Kupisza Łukasza. Krak. 1650, Salarowskiego, Stryjewicza, Ponińskiego, Skargi, Białobrzeskiego i t. d.

Ku południowo-zachodowi od Mszany, postępując w górę rzeki Raby, dojdziemy aż do jej źródeł w Rabce Wyżniej. Na tej drodze są następne wsie z kościołami:

Olszówka, wieś, niegdyś z przyległościami starostwo olszowskie, którego ostatnim posiadaczem będąc Roman Sierakowski, płacił w r. 1772 kwarty złp. 2,216 gr. 19, den. 11. Szkoła parafialna, kościół drewniany, z przymurowaną 1836 r. do cmentarza kaplicą grobową, rodziny Fr. Baranowskich. Erekcya kościoła tego ma sięgać 1388 roku; oryginalne przywileje przechowuje konsystorz tarnowski. Między tym rokiem erekcyi a r. 1744, kościół ten był filią Mszany; odtąd dopiero samoistne Olszówka posiada probostwo. Wiadomość ta o fundacyi i losie kościoła, zapisaną jest pod portretem kardynała Jana Alexandra Lipskiego, bisk. krak. († 1747 r.), zawieszonym ponad drzwiami zakrystyi. W księdze *Liber Memorabilium* są kopie późniejszych już przywilejów, jakoto: August IIgi potwierdza przywileje swoich poprzedników; sprawa rozdziału Olszówki od Mszany 1744 r. aktów sześć; zapis Romana Sierakowskiego na rzecz kaplicy, przez siebie tutaj zbudowanej r. 1798. Dochody kościelne są dziesięciny z Olszówki i Raby.

Wielki ołtarz, pysznemi rzeźbami starożytnych czasów sięgającymi okryty, wiele kościołowi dodaje ozdoby. Chrystus na krzyżu, cyboryum, ołtarz śtój Trójcy, piękne drewniane lwy, pelikany, ryba Jonasza i inne pomniejsze ozdoby kościelne, są dziełem samoucznego snycerza Andrzeja Czesacza ze wsi Waksmund. Ze względu na autora wielkie tym utworom zalety przyznać należy. Pułap kościelny okryty alfreskami; alfresca te piękne co do rysunku, lecz z barw już teraz obleciałe, są dziełem p. Dwornickiego, który je 1753 r. malował, jak to świadczy napis nad chórem. Alfresca te w oryginale dochowały się tylko w babińcu, w kościele bowiem odnawiał je w r. 1841 Wiszniowski, lichy malarz z Sącza. W całość budowy kościoła wchodzi jeszcze drewniana kaplica św. Jana Nepomucena, którą r. 1734 Roman Sierakowski dobudował, jak tego, prócz zapisu, dowodzi pięknie wyrabiane votum srebrne, na ołtarzu téjże kaplicy zawieszone. Mąż w stroju polskim klęczy przed ukazującą się z obłoków postacią św. Jana Nepomucena, poniżej napis: „*Romanus a Bogusławice Siera-*

kowski, Vexilifer Palatinatus Cracoviens. cum hoc voto se, uxorem, et totam familiam sub protectionem S. Johannis Nepomucen. praecipui sui patrono offert et commendat"; u dołu r. 1774. Dzwon większy, legenda; r. 1765. Dzwon mniejszy: „A. 1743 *Gottfred Schnelrad me fecit Vratislaviae*”.

Rabka, wieś, targi, jarmarki, szkoła parafialna. Włościanie trudnią się tkactwem i handlem płótna. Kościół drewniany; oryginalnych aktów niema, tylko *Liber Memorabilium* zawiera o fundacyi kościoła niektóre wiadomości. Piszący też księgę mówi: iż wiadomo mu z akt dominikalnych, że już 1570 r. ks. Wojciech Nayemnik był proboszczem parafii rabskiej, 1605 r. był nim Szymon Petrycy; Józef Aloizy Putanowicz S. T. D. prof. akad. krak. kan. kat. plockiej, kolleg. WW. SS. prob. w Krak., piastował probostwo od r. 1765—1768. Według domysłu tegoż pierwotnego autora „*Liber Memorabilium*”, Jordan Spytek kasztelan krakowski fundował ten kościół, i farę do niego z Skomelnéj przeniósł (1). Przed rokiem 1634 świątynia spłonęła, a nowo wystawioną tegoż r. Tomasz Oborski biskup laodycejski, suffragan krakow. poświęcał (2). Parafią Rabki składają wsie: Stone, Rabka i Habowka. W kościele nad tęczą zapisana data odnowienia kościoła, z kąd się dowiadujemy, iż proboszcz tutejszy ks. Andrzej Antalkiewicz malował pułap al fresco r. 1802. Malowidło lubo niewyborne, jednak na uwagę znawcy zasługuje; portret tego księdza malarza zawieszony jest nad drzwiami w zakrystyi. Lepsze z lichych tutejszych obrazów są: św. Józef, św. Anna, św. Jan Kanty i przenośny ołtarz z pięknie rzeźbionemi ramami: „Marya”, na tle złocóném w sposobie bizanckim. Wit Nanke, malarz naturalista z Limanowy, malował tu chorągiew.

Przed wielkim ołtarzem w kamiennéj posadzce tkwi zatar-ty nagrobny głaz, z którego ledwie wyczytać można: „*Obiit 1628 an. Godney pamięci zacnie urodzony P. St. Sienkowicz*”...

(1) Byłto jeden z téj familii, który do najwyższych godności w kraju doszedł. Pisał się on Wawrzeniec z Melsztyna Spytek Jordan; był kasztelanem sądeckim i podskarbisem w kor., później wojewodą sandomierskim, następnie krak. W r. 1565 otrzymał kasztelanią krak., na której umarł 1568 r., pochowany u św. Katarzyny w Krakowie. Słynął z biegłości w prawie koronném i z gładkiéj wymowy. (*Starożytności krak. J. Ł. zeszyt I. Paprocki str. 473, Niesiecki*).

(2) Głośny z licznych sakryfikacyj; poświęcił kościołów 143, ołtarzów 705, kapłanów 2185 i t. d. † r. 1646 (Kukliński Stanisław S. J. *Virtutes Th. Oborski Ep. Laod. etc. Cracoviae, 1664 in 4to*).

Dzwon wielki, napis: „*Jesus Chrystus, rex Judaeorum, Maria Magdalena, Barbara orate 1558 anni*”. Dzwon średni, legenda: „*Veni creator etc.* Dzwon najmniejszy napis: „*Omnis spiritus laudat Dominum.* P. S. C. L. Andreas Skomelski F. F. A. D. 1610”.

Przy wchodzie do kościoła za kropielnicę służą dwie kule kamienne z piaskowca; kształt owalny, podłużny, w formie jaja: na oko wysokości 2½ łokcia, szerokości 1 łok. Kule te tak już obrobione, wykopano przypadkowo z ziemi w czasie orki r. 1835 we wsi Rabce Wyżniej. Jakie mogło być przeznaczenie pierwsiastkowe tych ogromnych bomb? W pobliżu kościoła ku wschodowi, w plebańskim gruncie jest źródło solne (1). Podobne źródła mają być: przy Jordanowie, we wsi Naprawie i pod Babią górą.

Skomelnia biała, wieś, kościół drewniany, *excurrenda* do Rabki, na górze obok gościńca wśród starych lip. Przy kościele szkółka przed pięciu laty przez b. ks. proboszcza z Rabki Żubrzyckiego zaprowadzona. Szkołkę tę gromada ze składki bardzo szczupłej, bo rocznie 50 zlr. walutą utrzymuje.

Z kopii aktu oryginalnego, dochowanego w parafii Rabki, dowiadujemy się co następuje:

Teodor Cedro herbu Gryff, dostał r. 1204 (2) przywilej królewski na wykarczowanie lasów i osadzenie kolonii; osadził więc: Nowy targ i Ludzimierz. Nie mając Cedro potomstwa, fundował w Ludzimierzu klasztor dla Cystersów i te osady im w dziedzictwo oddał. Gdy jednak łotry z Węgier nachodziły klasztor, przeniósł ich do Szczyrzyca, gdzie im korzystanie z przywileju kolonizacji zalecił. Cystersi mało dbali o zaludnienie pustych i lesistych okolic. Jordan Spytek kaszt. krak. postarał się o odebranie Cystersom owego przywileju i sam kolonizacją rozpoczął (3). Roku więc 1550 około swój wsi Łętowni, która miała kościół i farę, osadził wieś Skomelnią (białą) i kościółek zbudował. Kościółek ten był filią parafii Łętowni dotąd, dopóki tenże we wsi Rabce kościoła nie zbudował; odtąd kościo-

(1) Patrz wzmiankę o tém źródle w *Roczn. wydziału lekar.* krak. tom IV. od. II.

(2) Data powyższa zdaje się być fałszywie położoną, jak to czytelnik przekonać się może, przejrawszy rzecz o Szczyrzyczu.

(3) Ztąd się pokazuje, iż, gdy Skomelnia leży o trzy mile od Nowegotargu, a prawo kolonizacji i tu sięgało, więc rozciągłość tego przywileju była nader obszerną.

łok św. Sebastyana w Skomelněj stał się filią probostwa Rabki, dziś *excurrenda*. Czas spustoszył budowlę téj świątyni; roku dopiero 1776 Wojciech Olechowski organista, rajca nowotarski, swoim i parafian kosztem kościół odbudował, a ks. proboszcz z Rabki Andr. Antalkiewicz alfrescami ozdobił. Powyższą wiadomość o restauracyi kościoła tego czytać także można za wielkim oltarzem na ścianie zapisaną. Kopią aktu, z którego wiadomość tę czerpaliliśmy, uczyniono w roku 1833.

W kościółku tym jest godny uwagi pięknie rzeźbiony oltarz z starożytną figurą ś. Sebastyana, która według słów rzeczzonego aktu, jest pozostałością z pierwsiastkowo zbudowanej świątyni. Kropielnica tegoż kształtu co w Rabce, i z tegoż samego miejsca wykopana.

Sygnaturka z napisem: „A. D. 1615. G. R. L. C. S.” Druga większa bez napisu.

Habówka, wieś. Ztąd już nowy otwiera się krajobraz. W skutku zmiennego klimatu, jeszcze w końcu września zieleńią zboża, i rośliny dojrzałości nie dościgły; ostre powietrze zwiastuje bliskość śnieżystych Tatr, które wreszcie ukazują się na widnokręgu z następnej góry Obidowy. Kościół Ś. Krzyża na wyniosłej górze (1956 stóp par. nad powierzchnią morza Bałtyckiego) (1), jest *excurrenda* Rabki. Początek pierwsiastkowej jego budowy odnosi podanie do odległej starożytności. Szlachcic otoczony przez rozbojów nie widział przed sobą nadziei życia; oddaje się więc w opiekę nieba, i cudownym sposobem wolność i życie odzyskuje: na cześć więc krzyża Chrystusowego, którego znak uczyniony na piersiach udarował go życiem, buduje na tém miejscu świątynię. Dzisiejszy drewniany kościółek niezaprzeczenie jest zabytkiem najwcześniejszym z XVII wieku. U proboszcza Rabki tylko inwentarz téj świątyni z r. 1765, podaje wiadomość o jej istnieniu. Na chórze w kościele r. 1775 zapisany za datę restauracyi. Godne tu uwagi malowidło w wielkim oltarzu „Chrystus na krzyżu”, zalecające się pięknym wykonaniem. Są także niezłe drzewo-rzeźby w bocznych oltarzach; zapewne dzieło samoucznego wiejskiego artysty.

W bliskości ztąd leży wieś Sieniawa, z której lasku *Rabica*, wypływa źródło rzeki Raby. Rzeka ta szybkim prądem, osobliwie w czasie burzy, wielkie zrządza szkody, zabierając wszystko, co-

(1) *Badania rzeczy przyr. w Galicyi. Lwów. 1845 str. 21.*

kolwiek jęj na zawadzie staje (1). W niedalekim téż ztąd lesie ze wsi **Spytkowice**, wypływa rzeka **Skawa**.

Klikuszowa, wieś, filia do Nowegotargu, szkoła parafialna. Rok budowy drewnianego tutejszego kościoła niewiadomy. Rok 1787 zapisany jest nad drzwiami zakrystyi za rok restauracyi. Piękny tu starożytny rzezbiony oltarz; godne także uwagi rzeźby, roboty Czesacza z Waksunda i stare wyobrażenie św. Marcina, na chórze zawieszzone, które do utworów malarskich z wieku XVII bezsprzecznie należy. Większy dzwon kościelny napisem swym dowodzi, że świątynia ta w XVI już wieku zbudowaną była. Napis ten jest: „*Molitor fundavit, Martin Jedrek fieri fecit, A. D. 1579*”.

Drugi dzwon nosi napis: „*Nakładem gromady y staraniem wóyta Jana Kantego, Józef Szwanderski magister, Jan Raszka, Jan Długi r. p. 1829.*”

Nowy targ, *Neoforum, Novum-forum, Neumarkt*. Miasto to otwiera wstęp do doliny rzek *Czarnego i Białego Dunajca i Bialki*, doliną nowotarską zwaną. Liczy 3000 mieszkańców, 530 domów, wzniesione jest na 1735 stóp nad poziom morza Bałtyckiego, a nad poziom Dunajca 20 stóp (2). Magistrat, szkoła normalna, apteka, obszerny czworokątny rynek, na środku murowany ratusz. Mieszkańcy prowadzą handel bydłem, dębiankami, winem, a największy przedzą i płótnem. Nowy targ wraz z okolicznymi wsiami, rozłożonemi na owęj równinie, stanowił obszerną królewszczyznę czyli starostwo niegrodowe. Ostatni starosta Fran. Richter podstoli krakow. ożywił przemysł urządzeniem kuznie i zaprowadzeniem fabryk (3); opłacał do skarbu król. w roku 1772 kwarty złp. 17,094 gr. 14 den. 6.

Miasto samo leży już w dolinie, w miejscu, gdzie Biały Dunajec do Czarnego wpada. Werchy (grzbiety) Tatr śnieżnych zakończone ową piękną podhalańską doliną (4). Odmienne budową, śpiczastymi dachami okryte chaty, lud obyczajem i mową różny od mieszkańców dolin, wcale nowy, i zajmujący przedstawiają obraz.

W magistracie tutejszym dochowały się następne przywileje, o losach i przeszłości tego miasta dokładną podać mogące wia-

(1) Raha od źródła swego do Wisły, do której wpada niedaleko *Ujścia-Solnego*, przebiega mil 16. Szerokość jęj od 4—40 sążni (*Badania rzeczy przyr. w Gal. str. 179*).

(2) Według obliczeń p. L. Zejsznera w Bibliotece Warsz.

(3) *Kuropatnicki Geogr. Galicyi. 1786 r., str. 33.*

(4) Hale znaczy u ludu Tatr.

domość, których oglądanie expon. kommiss. p. Košel z niezwykłą grzecznością nam ułatwił:

Bolesław książę krakowski i sandomierski nadaje opatowi cysterskiemu w Szczyrzyczu okolice: Białego Dunajca, rzeki Ostrówki, Rogoźni, Łepetnicy, z wolnością karczowania lasów i osadzania kolonij; nadaje im także w posiadanie (Castrum) Szallary. Przywilój ten nadany r. 1251 dochowuje się tylko w kopii.

Teodor Cedro nadaje Cystersom kolonią Neumarkt r. 1238. Przywilój ten także w kopii dochowany dowodzi, że Nowytarg był najpierw niemiecką kolonią i pierwotkowo Neumarkiem się zwał.

Kazimiérz Jagiellończyk 1487 r. urządza sądy podług prawa magdeburskiego.

Jan Albert 1493 nadaje magistratowi nowotarskiemu prawo patronstwa.

Zygmunt Iszy r. 1523 nadaje przywilój na jarmarki na św. Jakób i św. Katarzynę. Te trzy dyplomata oryginalne, zdobią pięknie dochowane pieczęcie większe.

Zygmunt August r. 1549 w celu poparcia zamożności zubożalego miasta, nadaje prawo pobierania cła od towarów z Węgier lub do Węgier, nowotarskim gościńcem prowadzonych. Oryginalny ten przywilój zdobi pieczęć mniejsza.

Zygmunt August r. 1559 za kanclerstwa Ocieckiego przeznacza fundusze na naprawę gościńca do Węgier wiodącego; urządza także opłatę cła.

Zygmunt August r. 1559 potwierdza przywileje miastu od jego poprzedników nadane.

Stefan Batory r. 1578, na mocy przywileju Jana Albrechta godzi sprzeczkę, powstałą między rządcą zamku w Szaflarach. M. Ratholdem (zamek ten przeszedł wtedy od Cystersów w ręce królewskie) a magistratem nowotarskim o prawo patronstwa, i toż prawo magistratowi przyznaje.

Zygmunt IIIci r. 1591 potwierdza przywileje, przez poprzedników miastu nadawane.

Zygmunt IIIci r. 1594 w skutku uchwały ludu (plebiscitum), dochód z cła przeznacza na utrzymanie urzędników magistratu i ławników; w tymże przywileju włączona jest owa ludowa uchwała (1).

(1) Taka uchwała tycząca się wewnętrznego stanu miasta, nazywała się *wielkierzem*, i służyła miastom osadzonym na prawie magdeburksiém. (Czacki tom I, str. 296).

Zygmunt IIIci r. 1603 urządza odbywanie sądów na zasadzie prawa magdeburskiego.

Zygmunt IIIci r. 1630 nadaje przywiléj na skład soli i ołowiu.

Władysław IV r. 1634 potwierdza szczegółowe nadania i przywileje miasta.

Michał Korybut r. 1669 potwierdza nadania swych poprzedników; toż samo Jan IIIci r. 1676.

Jan IIIci r. 1680 ustanawia w Nowymtargu skład: soli, glejty, ołowiu i innych towarów, w celu poparcia zamożności miasta.

August IIgi potwierdza prawa i przywileje miejskie r. 1698. Dwa pięknymi odciskami pieczęci ozdobne dyplomata: piérwszy potwierdzenie ogólne, drugi szczegółowe; oba z pieczęciami większemi.

August IIIci potwierdza przywileje miasta r. 1748; toż Stanisław August r. 1768 i 1772. Prócz tego, w kancelaryi magistratu dochowują się akta wójtowskie i ławnicze od r. 1604 do 1698. Przywileje te, równie jak i szczyrzyckie, zasługują na uwagę i rozbiór szczegółowy, aby je ogłoszono na pożytek dziejów piérwéj, nim je czas lub niewiadomość zniszczy (1).

Herb miasta: S. Katarzyna z mieczem, u jéj stóp orzeł biały ze skrzydłami do lotu. Prócz tego orzeł biały dwugłówny z literą O na piersiach (Oświęcim), i orzeł czarny jednogłówny z głoską Z(Zator); trzy złote korony w białém polu i szachownica.

Kościół w Nowymtargu jest murowany, piękny i obszerny, nad brzegiem Czarnego Dunajca. Oryginalny przywilej erekcyjny Kazimiérza W. z r. 1343, dochowuje się u miejscowego proboszcza, z kąd wkrótce miał być odesłany do archiwum konsystorza tarnowskiego. Dzisiejsza budowa świątyni nie sięga tego

(1) PP. Baliński i Lipiński w *Starożytnéj Polsce* tom II str. 225, przytaczają jeszcze następane przywileje, których tu nie znajdujemy: Kazimiérz W. r. 1346, Dytrykowi v. Teodorykowi Sija pozwala założyć miasto Novum Forum na 150 łanach frankońskich, nadając mu wiele wyliczonych w wspomnioném miejscu przywilejów. Zygmunt I r. 135 wyznacza za drogę do Węgier gościniec do Orawy idący. Wreszcie oprócz małoważnych stanowień, znajdujemy tu obszerną treść przywileju Zygmunta III z r. 1619, w którym zawiązanemu towarzystwu nadaje prawo dobywania miedzi, srebra i innych kruszców, w okolicy Nowego-targu i Czorsztyna odkrytych. W ciekawych szczegółach określa tu Zygmunt III należne jemu i towarzystwu korzyści. Władysław IV r. 1647 pozwolił każdemu poszukiwać kruszce w téj okolicy. Rozważając piérwszy przytoczony tu z *Starożytnéj Polski* przywilej ten, któryśmy jako najdawniejszy w kopii oglądali; powstaje sprzeczność, któraby tylko dokładne przekopiowanie i porównanie obu przywilejów usunąć mogło.

czasu, gdyż roku 1794 i 1804 miasto i kościół szkodliwemu pożarowi uległy.

W zakrystyi wiszą portrety ks. Stawickiego i Gaździckiego proboszczów i dobrodziejów tego kościoła. W wielkim ołtarzu wypukło-rzeźba „Chrystus na krzyżu”, obok na tle malowana postać klęczącego kapłana, u dołu podpis: „ks. Szymon Zamoy-ski dziekan y pleban nowotarski, 1795 r. restaur”. Na zasuwie piękny, ale poprawianiem nieco zeszpecony obraz: „ś. Katarzyna”, dzieło znanego artysty naszego Fran. Lexyckiego (1). Godne też tu uwagi: „Marya w wieńcu” (rozenkranz) piękna drzewo-rzeźba, zawieszona nad drzwiami zakrystyi. „Chrystus na krzyżu, przed nim kapłan klęczący” płaskorzeźba na drzewie, pod nią napis: „Joan. Fran. Strzyżański P. N. (pleban nowotarski) 1719 r.”. Wielki ołtarz pięknymi starożytnymi rzeźby ozdobiony. Boczne ołtarze wszystkie prawie 1797 r. restaurowane, zdobią niezłe obrazy: „Przemienienie Pańskie i ś. Walenty” pendzla Jana Jurczyk (jak świadczy podpis), malowane około roku 1830. Ów Jan Jurczyk miał umrzeć w Kalwaryi. Nanke malował też wiele do tutejszego kościoła; jego jednak roboty na uwagę nie zasługują. Czesacz z Waksmunda wieloma pięknymi drobiazgami rzeźbionymi, ozdobił świątynię.

Wieża zegarowa murowana r. 1766 panuje szeroko i okazale w okolicy.

Dzwonnica murowana 1794 r. służy za bramę na cmentarz kościelny; pięknymi słynie dzwony, na których napisy nie mogliśmy odczytać z utrudnionego na nią przystępu. Szanowny jednak ks. Wańczyk administrator z Klikuszowy, na prośby nasze udzielił nam listownie następującej wiadomości:

Dzwon wielki przelany 1785 r. za staraniem Wojciecha Olechowskiego, przez Jana Jerzego Knoblocha. Drugi, dzieło tychże z r. 1795. Trzeci, lany r. 1715. Czwarty nosi nazwiska: Mikołaj Klocek, Floryan Litarski i rok 1828.

Na drugim brzegu Czarnego Dunajca, ku północy, na wzniosłym pagórku, przy którym cmentarz parafialny otoczony murem, stoi mały modrzewiowy *kościółek ś. Anny*.

Kościółek ten, co do swój tradycyjnej erekcyi, ma być jednym z najstarszych w całej Galicyi. Lud prawi, iż rozboje pustoszyli okolicę; apostołowie wiary ś. pracowali nad ich nawróceniem:

(1) *Starożyt. Krakow. J. Ł. zeszyt 7.*

zmiękły serca rabusiów, odmienili życie i w zamiarze przebłagania Boga za swe zbrodnie, wystawili ową świątynię, a obraz św. Anny skradziony z jednego kościoła na Węgrach, w wielkim ołtarzu umieścili. Modrzewiowa ta świątynka, jak to świadczy napis na tarczy, erygowana r. 1219, odnawiana r. 1772. Dziś znacznie opustoszała, ma jeszcze tak zdrowe drzewo, iż przez długie lata niszczącemu wpływowi czasu oprzeć się może. Obecnie zajęto się jej restauracją w sposób zupełnie nieodpowiedni potrzebnie. Ściany kościółka okrywały al fresca, lecz dziś obleciałe barwy rozpoznać ich nie pozwalają. Godne tu uwagi stare, rzeźbione ozdoby ołtarzów; także nowe wyroby Czesacza z Waksmunda.

Na obu pięknie odlanych dzwonach jednaki napis: „*Mathiae Weidner me fecit. Cracoviae, 1781*”.

(Dokończenie nastąpi).



KOŚCIÓŁ
Ś^{go} ANDRZEJA I KANONICZKI
W WARSZAWIE.

PRZEZ

Juliana Bartoszewicza.

Część trzecia.

KANONICZKI.

(Dokończenie).

Zostaje nam teraz powiedzieć jeszcze słów kilka o losach, jakie przeżyło na ziemi polskiej zgromadzenie panien Kanoniczek warszawskich.

Pani Zamojska jeszcze dobrze przed zaprowadzeniem kapituły, myślała już o swojej fundacyi, bo skupowała przedtém gmachy marywilskie. Gmachy te zbudowane przez królowę Sobieską, po śmierci żony Jana III. długo jeszcze należały do téj rodziny. Dopiero w roku 1735 przywilejem datowanym w Żółkwi, sprzedał je królewicz Jakób Sobieski Joannie z Bethunów Jabłonowskiej wojewodzynie rawskiej, żonie Jana Stanisława, syna kasztelana krakowskiego i hetmana wielkiego. Joanna, Marywil w 3 lata potém, pod d. 5 listopada 1738 r., sprzedała Andrzejowi Stanisławowi Załuskiemu, który właśnie z ordynatową Zamojską plany fundacyi układał. W lat 4 potém niespełna, 6 lipca 1742, biskup kanclerz Załuski sprzedał Marywil pani Zamojskiej, która już miała gotowe fundusze i szczére postanowienie. Wtenczas ordynatowa zaczęła przerabiać gmachy na użytek zgromadzenia.

Cała stolica zajmowała się wtedy fundacją pani Zamojskiej. Już w r. 1743, ksiądz Florenty Potkański Pijar, drukował i wydał swoje wiersze na przywitanie nowój kapituły Kanoniczek, pod tytułem: „Na applauz”. Wiersze te znamy jedynie z podania i ze spisów bibliograficznych. Musiały to być wierszyki na ćwiartce (1).

W tymże r. 1743 wyszło w Warszawie dziełko w 8ce, pod tytułem: „Zabawa duchowna, z francuzkiego, i Traktat o szczęśliwości Kanoniczki, która pełni powinności swoje”.

Nareszcie dnia 2 maja 1744 r., pani Zamojska zaprowadziła kapitułę w Warszawie. Nie było jeszcze kapituła w komplecie. Była improwizacya tylko: bo dotąd, prócz fabryki i funduszów, jakie zebrała, nie jeszcze dla kapituły nie mogła zrobić pani Zamojska, kiedy jeszcze zatwierdzenia Stanów i biskupiego nie było. 18 września podpisała ustawy dla Kanoniczek pani Zamojska, ustawy, któreśmy w treści wyżej przytoczyli. Kapituła nie miała jeszcze urzędowego bytu; a jeżeli istniała, to nie w komplecie, a prywatnie tylko, jakby bez wiedzy Rplitéj.

Ale kroki już poprzednio porobione były, i widać, że już na uprawnym gruncie posiała swoje ziarno pani ordynatowa. Dotąd naradzała się z przyjaciółkami, z biskupem, z kanclerzem Załuskim i księżmi, a potem już przystąpiła do gotowej rzeczy. W czasie jeszcze nadania ustawy, budowała w Marywilu: to przysposabiała mieszkania i pokoje dla panien, ta ozdabiała kaplicę i kupowała sprzęt potrzebny i dla domu, i dla nabożeństwa. Widać to z samego textu ustaw.

Na dniu 10 listopada 1744 r. król August IIIci, przywilejem swoim, zatwierdził zgromadzenie.

W pół roku potem, dnia 2 maja 1745 roku, uroczyste zainstallowaną była kapituła w gmachach marywilskich, i Kanoniczki zajęły nowe budowle, albo stare mieszkania przerobione z dawniejszych murów, założonych przez Maryą Kazimiérę. Tegoż roku, 7 maja, dekret konsystorza warszawskiego, zatwierdził erekcyą kapituły. Miały zatem Kanoniczki uznany już swój byt urzędowy. Potrzebowały tylko zatwierdzenia stanów Rplitéj.

Chcielibyśmy zamieścić tutaj, opis zaprowadzenia kapituły, i wprowadzenia ksieni na jój dostojność. Opisy te szczegółowo

(1) Juszyński: *Dykcyonarz poetów pol.* T. 2.

zapewne zamieszczane były w ówczesnych gazetach, ale brak nam właśnie gazet z téj epoki; tak wielką rzadkością dla bibliotek nawet zamożnych, są pisma ówczesne peryodyczne: w aktach zaś kapituły Kanoniczek nie znajduje się żaden także opis tego rodzaju. Będziemy zatem musieli wstrzymać się od podania tych szczegółów, dla braku wiadomości. Dla herbarza tylko Niesieckiego i przyszłych jego dopełnień, bo dzisiejsze jeszcze i w setnej części nie wyczerpały przedmiotu, załączymy tylko spis nazwisk, który także nie będzie bez interesu.

Pierwszą ksienią, zainstallowaną w dniu 2 maja 1745 roku, była Zofia Galecka, córka Franciszka, niegdyś kuchmistrza W. K., potem towarzysza wyprawy wiedeńskiej króla Jana. Był później ojciec Zofii kasztelanem kaliskim i poznańskim. August Mocny, zaraz po objęciu tronu, za to, że stronę jego przyjął Galecki przeciw Kontemu, mianował kasztelana w r. 1697 wojewodą inowrocławskim, dalej w r. 1703, kaliskim, a w r. 1705 poznańskim, przeciw Leszczyńskiemu, który właśnie wstępował na tron polski. Umarł Galecki w r. 1709. Żonę, a matkę Zofii, miał Rozalią Dzieduszycką, córkę Franciszka, kasztelana kijowskiego, a potem w r. 1704 zmarłego wojewodą podolskim. Zofia była jedynaczką, a licząc od 14 lutego 1683 (1), kiedy ojciec jój zenił się w Warszawie podczas sejmu, mogła mieć w epoce zaprowadzenia kapituły, lat najmniej 36, a najwięcej 61. Zofia Galecka zapewne nie potrzebowała się szeroko wywodzić z herbów. Na ojczystym jój domu, Junosza świeciła.

Pod przewodnictwem Galeckiej, kapituła w pierwszym roku swojego urzędowego bytu (1745), tylko 5 Kanoniczek liczyła. Składały ją wtenczas: Joanna Dzieduszycka, bliska krewna ksieni, córka Franciszka chorążego lwowskiego; Maryanna Nowosielska, córka także Franciszka, podkomorzanka lubelska; Specyoza Szembek, starościanka budziszewska, córka Stanisława; Barbara Krasieńska z ojca Antoniego, cześnikówna płocka i Rozalia Kandyda Lipska herbu Grabie, córka Antoniego Józefa, kasztelanka bełzka, daleka krewna kardynała biskupa krak. Widzimy same historyczne imiona. O historyczne też na pierwszy raz postarała się pani Zamojcka. Nie wiedzieliśmy jednak powodu, dlaczego założycielka tylko 5 Kanoniczek wybrała na początek zgromadzenia? Dziwiliśmy się jój skrupułom w tym względzie, kiedy w ustawie zastrzegła wy-

(1) Swada druga, Danejkowicza, str. 33.

raźnie, że kapitułę ma składać 12 osób. Zaczyna dama, której zawdzięczamy kilka ciekawych szczegółów do tej pracy naszej, mówiła nam, że jestto tajemnica, którą założycielka z sobą do grobu zabrała. Może z wolna chciała się pani Zamojska rozpatrzyć w swojej fundacyi i przekonać, czy przeznaczone przez nią fundusze, mogą wystarczać na zamierzoną liczbę? Może wczesna śmierć ją zabrała, przed uzupełnieniem zamiarów? Może w chwili założenia nieznanéj jeszcze w Polsce instytucyi, nie było wiele kandydatek? Może zżymało się sumienie dawnych Polaków na ten niby zakon, a nie zakon? Może woleli córę swoje ojcowie nasi, jeżeli je Bogu poświęcali, oddawać do rzeczywistego klasztoru? Może zresztą sama pani Zamojska była trudną w wyborze? A może to wszystko razem złączone? Sąto wszystko wnioski i domysły, które tworzyć możemy, odgadując przyczyny i powody; ale nie godzi się wniosków tych za pewniki historyczne podawać.

Ten rok 1745 pamiętny dla Kanoniczek, zaprowadzeniem kapituły, pamiętny był jeszcze wydaniem ustaw i dziełka samej ksieni, które wytłumaczyła z francuzkiego.

Rzadkie bardzo w druku prawa, nadane kapitule przez założycielkę, wyszły pod tytułem: *Konstytucye, albo ustawy JJW. W. J. Mciów Panien Kanoniczek pod tytułem Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Panny w Maryewilu fundowanych. Do obserwacyi podane roku pańskiego 1745.*

Jestto książka w 8ce, o 228 stronnicach, prócz karty napisowej z początku i na końcu drugiej karty, zawierającej modlitwę do Najświętszej Panny, za którą idzie registr księgi bardzo dokładny i szczegółowy na 12tu nieliczbowanych stronnicach. Druk wyraźny i piękny, litery wielkie. Nie ma porządku w tych instytucjach, jakieśmy to już uważali. Przedmiot za przedmiotem, nie ciągnie się w tych ustawach w logicznym i systematycznym układzie. Dlatego wszędzie chaos i artykuły porozrywane, nie jeden leży daleko chociażby jego miejsce było gdzie bliżej dla związku i treści. Dlatego założycielka nie mogła zapobiedz licznym niedogodnościom w samej redakcyi ustawy: jedna rzecz dwa i trzy razy powtarza się. Wszelako autor tych ustaw wiedział dobrze, jak zaprowadzić porządek w zgromadzeniu. *Konstytucye* te wyszły bez oznaczenia miejsca, zapewne jednak w Warszawie. Piękny ten druk warszawski, uderza na pierwszy rzut oka: mało książek tak ładnie wydanych mamy z czasów Augusta III.

Dzielko ksieni, o którym wspomnieliśmy, wyszło tegoż roku pod tytułem: *Traktat o szczęśliwości Kanoniczki, która pełni powinności swoje, przez księdza Franciszka Tervenusa, doktoru teologii, plebana parafii świętego Rocha w Nancium, roku 1736 wydany, a roku 1745 po polsku wytłumaczony. W Warszawie, w drukarni J. K. Mości i Rplitej kolegium Soc. Jesu, 1745.* Książka w 8ce, kart nieliczbowanych 84, czyli stronnic 168. Pozwolił *Traktat* drukować na dniu 7 października ksiądz Piotr Hyacynt Śliwicki misyonarz, proboszcz świętego Krzyża w Warszawie, a po nim Antoni Grzegorzewski doktor obojga prawa, archidyakon poznański i officyał warszawski.

Książkę tę napisał Tervenus dla Kanoniczek w Remiremont. Ztąd i tłumaczenie na język polski, bo kapituła w Remiremont, dla warszawskiej była wzorem. Ksieni podała więc księgę do druku „tą intencją, żeby czytanie jej pokazało, jakim się duchem Kanoniczki w inszych krajach, Bogu i kościołowi służące, rządzą, i w naszym rządzić powinny”. Nie wszystkie wprawdzie artykuły książki Tervenusa do warszawskich Kanoniczek zastosowane być mogły: bo kapituła w Remiremont miała większe nierównie przywileje, i prawa, i władzę, jak zgromadzenie pani Zamojskiej; przeciw tłumaczenie wiernie dawało znać oryginał.

W tym *Traktacie*, Tervenus opisuje naprzód powinności Kanoniczki względem Boga i kościoła. Każe im budować kościół dobrym przykładem, a wiernych budować miłosierdziem. Dalej rozbięrał autor rzecz, która się warszawskich Kanoniczek nie tyczyła, jak kapituła w Remiremont starać się powinna o powierzanie dobrym pasterzom plebanij, do których miała prawo kollacyi. Szedł dalej rozbiór powinności Kanoniczek względem kapituły własnej: jak m usiały bywać regularnie w kościele na nabożeństwie, zachowywać jedność z towarzyszkami i pokój w zgromadzeniu kapitulnym; potem jak miały wybierać siostrzenice do kapituł, — rzecz także, która u nas nie miała żadnego zastosowania. Następowaly powinności Kanoniczek względem siebie, to jest: pisał Tervenus o szacunku dla czystości, o pokorze, o dobrém używaniu czasu, o zebraniu wewnętrzném Kanoniczek i o rozmowach, jakie prowadzić powinny; dalej rozprawiał, jak się ma zachować dama kościelna w utrapieniach swoich. *Traktat* kończyło dowodzenie, że Kanoniczka powinna pragnąć doskonałości.

Książka ta, nastrzępiona częstemi cytacyami z pisma ś., jest nawet dosyć ciekawą dla rysu obyczajów społecznych we Francyi,

a przynajmniej w zgromadzeniach świeckich Kanoniczek. Teraz te zwyczaje chciała nad Wisłę przeszczepić ksieni Gałęcka. Tłumaczenie dobre, język polski bardzo czysty, nawet w tych czasach makaronicznych. Jeżeli to tylko ksieni robota, a nie literata jakiego, przyznać musimy, że nie zepsuła się Gałęcka cudzoziemszczyzną, bo dobrze wcale pisała po polsku. Zapewnia nas wprawdzie Janocki, że w samej rzeczy tłumaczyła ksieni ten *Traktat*; a Janocki znał najlepiej ówczesne stosunki i wszystko, co tylko miało związek z literaturą (1).

Wspomnieliśmy wyżej, że pod rokiem 1743, jeszcze przed zaprowadzeniem kapituły, wyszło dziełko: *O szczęśliwości Kanoniczki*. Czy wydanie z roku 1745 jest przedrukiem tego ostatniego, czyli téż jest to nowe tłumaczenie,—powiedzieć trudno. A może jedno wydanie, na dwa rozdzielili pisarze nasi bibliograficzni, z których o tém dziełku czerpiemy wiadomość. Zastępuje jednakże na uwagę, że wydanie z r. 1743 miało albo inakszy cokolwiek tytuł, albo zawierało coś więcej w sobie nad dzieło księdza Franciszka Tervenusa.

W roku 1746 wyszło w Warszawie nowe dziełko: *Wielki tydzień, tojest wszystkie nabożeństwa, jakoto: msze, pacierze kapłańskie i inne ceremonie, które w każdy dzień tego tygodnia, nawet w sam dzień Wielkanocny od kościoła Bożego odprawują się. Dla wygody JJ. Panien Kanoniczek warszawskich, ojczystym językiem wydane*. Ta książka przedrukowana w Wilnie tegoż 1746 roku. Trzecie wydanie *Wielkiego tygodnia*, wyszło za Stanisława Augusta w Wilnie także, u Pijarów 1777 w 4ce. Każde wydanie zawierało po 277 stronnic. Nie ma nic ciekawego w téj książce: same modlitwy (2). Pierwszą aprobatę do druku wydał w Lublinie 26 grudnia 1745 r. Jan Alexander Trębiński proboszcz i officyał chełmski.

Ani pani Zamojska, ani ksieni Gałęcka nie doczekały uzupełnienia swojej kapituły. Nam się zdaje, że niewiele miały chęci dziewice polskie wstępować do tego zgromadzenia. Naszego twierdzenia widzimy w tém dowód, że pomimo zawarowania prawem jednego miejsca w kapitule dla Załuskich rodziny, żadna przecież Załuska nie została Kanoniczką. Nie śmiemy mówić z pe-

(1) Jocher nie znał *Traktatu*, a raczej znał go z dzieła Janockiego, bo tytuł w nawiasie zacytował po łacinie. Patrz. *Obraz bibl. historycz. literatury i nauk w Polsce*. T. III, str. 66.

(2) Bentkowski. T. II str. 570.

wnością, ale nam się także zdaje, że i sama pani Zamojska albo ochłodziła cokolwiek ze swojego przywiązania dla kapituły, albo, co może więcej prawdopodobne, rzuciła zupełnie świat i oddała się dewocyi, tak, że nawet o Kanoniczkach nie myślała. W ustawie zastrzegała sobie do śmierci prawodawczą władzę nad zgromadzeniem, a jednak zdaje się, że zupełnie zapomniała o dawnych swoich zamiarach. Jednakże miłość nie gaśnie tak prędko i tak bez przyczyny. A zresztą, choćby gasła miłość, to sam interes, duma, nawyknienie, przywiązuje człowieka do swojego dzieła. Tymczasem życie pani Zamojskiej upłynęło tak cicho, w oddaleniu od gwaru stołecznego, że nawet kraj nie spostrzegł jej zgonu, że nawet kapituła Kanoniczek nie widziała téj śmierci. Jeszcze w r. 1746 jest ślad w aktach zgromadzenia, że uciekały się do swojej założycielki Kanoniczki, radząc się jej, jak mają postępować w różnych trudnościach domowych. Ale po r. 1746 już nie widać pani Zamojskiej w zgromadzeniu. Świat ją zapomniał, ona świat zapomniała.

W roku 1746 weszły do kapituły Antonina Wollowiczówna, córka Alexandra, starosty mściśławskiego i kasztelanka sędziecka, i Anna Zakrzewska, córka Jędrzeja, która potem ksienią została; zgromadzenie więc z końcem roku 1746, składało się dopiero z 8miu Kanoniczek. Zakrzewska wstępując do kapituły, miała lat 36. W następującym roku (1747), powiększyła grono rodzinne Kanoniczek, jedna tylko Barbara Wollowiczówna, pisarzówna ziemską słonimską, wstępując do zgromadzenia w roku życia 24tym. W roku 1748 wstąpiły: Zofia Teressa Aniela Komorowska i Antonina Grzybowska. Kapituła takim sposobem była już prawie w zupełnym komplecie: liczyła z ksienią 11 Kanoniczek i jedno tylko jeszcze miejsce zostawało do zajęcia. Ale właśnie téj chwili nie doczekała żadna z przewodniczek zgromadzenia, ani pani Zamojska, ani ksieni Galecka.

Zdaje się nie ulegać żadnej wątpliwości, że założycielka zgromadzenia panien Kanoniczek warszawskich, zakończyła życie zdala od stolicy, i bardzo późno o téj stracie kapituła uwiadomioną została. 24 lutego 1748 r. umarła pierwsza ksieni zgromadzenia Zofia Galecka. W skutku téj straty, nie tylko nabożeństwem za duszę przełożonej, ale żałobą w ubiorze, Kanoniczki dowiodły żalu swojego i smutku. Postanowiły aż do elekcyi nowéj ksieni nie przyjmować u siebie żadnych odwiedzin, ani téż oddawać wizyt na mieście. Dotrzymały słowa. Jakieżby zatém wrażenie zro-

biła na kapitule śmierć pani Zamojskiej, gdyby Kanoniczki na jej zgon patrzyły, lub rychłą otrzymały wiadomość o tej dotkliwej dla siebie stracie? Mimo to jednak, nie znać było żałoby w zgromadzeniu. I mamy przyczynę znowu się dziwić, i mamy znowu powody, domysły nasze o dewocyi pani Zamojskiej uważać za bardzo prawdopodobne. Ówczesny *Kuryer Polski*, jedyna gazeta, którą czytano w Rplitej, żył dla panów. Pomiędzy wiadomościami swojemi pomieszczał najczęściej tylko nowiny o związkach rodzinnych panów, o świetnych wjazdach, o pogrzebach i śmierci. *Kuryer Polski*, nie zamieściłby więc na swoich kolumnach smutnej treści o śmierci pani Zamojskiej, gdyby o tém cośkolwiek zasłyszał? A jednak Kanoniczki długo nie wiedziały o tém, że założycielki duch już je opuścił, unosząc się w górne, niebieskie krainy. 1 lutego 1749 roku ofiarowała kapituła monstrancyą do ubożego kościoła stoczkowskiego, za którą ksiądz Felix Swiszulski kanonik warszawski, przyjął dobrowolne zobowiązanie się, odprawić exekwie i mszy 44 za duszę pani Zamojskiej. Musiała zatem założycielka warszawskich Kanoniczek umrzeć w r. 1747, albo 1748 (1).

Nie wiemy, czy jeszcze za życia Galeckiej, czyli téż po jej śmierci, zaszedł smutny wypadek dla zgromadzenia, który nawet jakby zachwał bytem kapituły. Warszawa zdaje się, miała z początku jakiś interes dla nowozaprowadzonej u siebie kapituły Kanoniczek. Ale niedługo to trwało. Znaleźli się źli ludzie, a raczej języki, co sławę zgromadzenia szarpały. Rzecz się tak miała.

Jakaś panna Magnuska wstąpiła do Kanoniczek na pannę niższego chóru. Czy z własnej woli to robiła, czyli téż namówiona przez kogo, dosyć, że panna Magnuska postanowiła przejść do pierwszego szeregu i zostać właściwą Kanoniczką. Praw na to jednak żadnych nie miała, podług ustaw założycielki. Na ośm herbów, trzeba było całej paki dokumentów, a z kąd ich wziąć biédnej szlachciance? Panna Magnuska nie mogła zatem przełamać praw zgromadzenia, a odepchnięta z pogardą, wkrótce zbrzydziła sobie klauzurę i Kanoniczki, rzuciła Marywil i pojechała gdzieś daleko do rodziny. Bawiła tam rok cały bez wiedzy zgromadzenia, a na wezwanie ksieni powrócić nie chciała. Owszem zaczę-

(1) Portret Józefy Antoniny z Zahorowskich Zamojskiej, posiada w szacownym zbiorze swoim p. Tomasz Zieliński w Kielcach. Co do Galeckiej, o dacie jej śmierci dowiedzieliśmy się z akt kapituły Kanoniczek; lubo Mizler w *Acta literaria*, śmierć tę oznacza na luty 1758 r., w czém widocznie się myli, bo Komorowska już była ksienią 19 marca 1749 r.

ła narzekać na kapitułę, czernić instytucyę, powstawać na założycielkę, opowiadać szeroko wszystkim, co jęj tylko słuchać chcieli, o dumie panien kapitulnych. Wtenczas ksieni publicznym wyrokiem, na mocy ustaw, wyłączyła ją ze zgromadzenia. Dużo jednak osób wzięło stronę panny Magnuskięj, ipo całym kraju przelatywały wieści ublizające kapitule. Musiały te wieści mieć rozgłos szeroki i wielu zapewne im wierzyło, kiedy Kanoniczki postanowiły także wystąpić w obronie swojej. Żeby zatęm obmowie zamknąć usta, drukowała wtedy kapituła broszurkę w 4ce, zapewne w Warszawie, pod tytułem: *Wypis z ustaw oryginalnych JWV. Jmość Panien Kanoniczek, na okazanie niestusznosci zarzutów, które Anonimus i inne nieprzyjazne pisma im zarzucają. Str. 42.*

Z tego widać, że aż w literaturze odbiły się utyskiwania panny Magnuskięj. Możem wnosić z samego tytułu broszurki, że drukowano nawet paszkwile na Kanoniczki. Możem nawet domyślać się, że temi sporami zajmowało się wiele osób, że przeciw i za niemi, walczyła cała literatura. Wielka szkoda, że ta nasza broszurowa literatura tak rozrzuciona po tysiącach rąk; wielka szkoda, że zupełnie jest prawie dla nas nieznaną. Ileżto ciekawych rzeczy znaleźlibyśmy w broszurach i do dziejów naszych, i co ważniejsza, dla poety i powieściopisarza, do dziejów obyczajów przodków naszych! Czasem sam przedmiot sporu jest nieważny i nikczemny, a wielką jednakże wartość ma spór dla dowodów, jakimi popierają się dwie walczące strony. W zapale nieraz szermierzowi wymknie się wyrażenie starodawne, dziś zapomniane, a czasem i szczegół dziejowy, i szczegół do życiorysu znakomitego człowieka, i szczegół objaśniający nam coraz lepiej pokłady towarzystwa polskiego. W tęm np. zdarzeniu żałować nam przychodzi, że nie znamy treści tych sporów, a byłyby zapewne wielce interesujące. Widzielibyśmy, jak u nas nowa instytucya z tomem porządnym ustaw w ręku, przyjmowała chrzest obywatelstwa, przez walki wzajemne, nieraz pochwały, a nieraz i potwarze. Mamy teraz fakt, że znaleźli się w Rplitej nieprzyjaciele Kanoniczek. Pisząca szlachta, bo szlachcic wtenczas był i literatem i wszystkięm, gniewała się przecięż na zgromadzenie szlacheckie, które czystości swojego pochodzenia, herbami i starymi aktami dowodziło. Zdaje się, że szlachta w kapitule Kanoniczek widziała jakieś dążenia możnowładne, i dlatego drukowała swoje

broszury na zgromadzenie, w obronie panny Magnuskiej. Bo na pannie Magnuskiej nie spełniało się tą razą utarte w Rplitej przysłowie, że szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie. Jeżeli więc z czasem odkrywają się gdzie w zamkniętej dla świata ludzkiego księżnicy, broszury i pisma anonimów, o których tutaj wzmianka, zyskają przez to wielce dzieje Kanoniczek warszawskich, a zapewne przybędzie z nich niejedyn jeszcze ciekawy szczegół dla rysu charakterystycznego epoki.

Co do *Wypisu z ustaw oryginalnych*, wypis ten, jak sam tytuł pokazuje, dla obrony zgromadzenia przytacza treść z praw, nadanych kapitule przez panią Zamojską. Cel wypisu jest dowieść, że panna Magnuska spotwarza zgromadzenie przez obrażoną miłość własną, i że Kanoniczki rządzą się czystą moralnością, pilnując służby Bożej i kościoła. Ale jeżeliśmy odgadli, że opozycją obudziła zazdrosna myśl drobnej, zagonowej, niewielkiej szlachty; to kapituła niewiele zyskała wydaniem tej broszury, bo owszem jeszcze podawała broń na siebie. *Wypis* zajmuje w skróceniu *Konstytucye*. Dlatego wiele artykułów w nim opuszczonych, jak np. wiadomości o elekcyi ksieni, o pogrzebach i testamentach, że nie wyliczym innych postanowień pani Zamojskiej. W dwóch przypiskach żywo drażnięta panna Magnuska. A z tych właśnie przypisków i z tytułu samej broszury wnosim, o zawziętości walki, jaką na zaraniu swojego życia staczać musiało zgromadzenie Kanoniczek.

Po śmierci Gałęckiej, z prawa przypadające sobie rządy, pod tytułem administratorki i prezydentki w kapitule, objęła najstarsza Kanoniczka Joanna Dzieduszycka, zmarłej ksieni krewna, synowica stryjeczna, bo i Gałęcka z Dzieduszyckiej się rodziła. Elekcyja nastąpić była powinna w 6 tygodni, a więc najdalej w pierwszych dniach kwietnia 1748 r. Tymczasem zdaje się, że bezkrólowie przewlekło się czas ogromny, bo rok przeszło. Tymczasem do zgromadzenia wstąpiły na miejsce dawniej zmarłych Kanoniczek nowe dziewice, jakoto: Magdalena Podoska, Maryanna Zofia Bratoszewska chorążanka gostyńska, Barbara Zofia Komorowska stolnikówna bełzka i Franciszka Gniazdowska. Działo się to w r. 1749. Nam się zdaje, że znowu Komorowska była uproszoną przez zgromadzenie do przyjęcia dobrowolnie ślubów, bo kapituła oddawała jej nad sobą zwierzchnictwo. Rok cały zgodzić się nie mogły Kanoniczki, którą zpomiędzy siebie obrać na ksienią. Trudno przypuścić, żeby niezgoda i jakieś stronnictwa dzieliły zgromadzenie,

kiedy ustawy pani Zamojskiej ułatwiały wszelkie trudności, i kiedy w myśl tego prawa, Kanoniczki wyczerpawszy wszelkie sposoby do otrzymania większości głosów na jedną z pomiędzy siebie, w skutku zrządzenia samego losu, zawsze ze szkatułki wyborczej musiały wyciągnąć imię następnej ksieni. Widać zatem, że albo obierane na godność naczelną w zgromadzeniu, zrękały się tej godności po kolei, albo nie zachowywały ustaw. Ostatnie trudno przypuścić w chwilach dziecinnych, bo tak niedawno jeszcze zawiązanego zgromadzenia. Tymczasem na dniu 19 marca 1749 r. z urny wyborczej wywołano imię Barbary Zofii Komorowskiej (1). Ta okoliczność dała nam właśnie powód do mniemania, że nowa ksieni wstępowała do Kanoniczek prawie z pewnością przyszłego swojego wyniesienia. I w samej rzeczy, od czasu przysięgi na wierność ustawom kapituły, kiedy Komorowska zajęła miejsce po odbytym nowicyacie pomiędzy Kanoniczkami, aż do dnia 19 marca, mógł upłynąć jeden, najwięcej dwa miesiące. A przecież urząd ksieni należał się więcej dawniejszym Kanoniczkom, jak jój, nowowstępującej za klauzurę.

Galecka zatem lat 3 blisko rządziła w kapitule. Teraz jój miejsce zastępowała druga ksieni, Zofia Komorowska, nie stara jeszcze, w roku życia 32gim. Córką była Wojciecha stolnika bełzkiego. Rodziła się w r. 1717 w czasach konfederacyi tarnogrodzkiej.

Długoletnio to były rządy i szczęśliwe. Blisko pół wieku prezydowała ksieni w kapitule. Kochały ją Kanoniczki i służba, i wszyscy, co z nią żyli. Umiała bowiem obudzić dla siebie szacunek i poważanie powszechne. Ksieni hojną była dla biędnych i świadczyła im wiele. Chwalili ją też wszyscy i zarząd wewnętrzny zgromadzenia, oględny, gospodarczy i pracowity.

Za niej w roku 1751 wstąpiła do kapituły Hilarya Felicya Cieszkowska, córka Ignacego, starościanka kleszczelewska, a w r. 1752 Ewa Ożarowska córka Jerzego, który był oboźnym W. K. Dalej w roku 1753 wstąpiły: Jadwiga Rozdrażewska, Ludwika Załuska i Konstancya Maryanna Oskierzanka cześnikówna litewska. Widzimy, że kapituła ciągle była w komplecie, że wakans jeden zajmowany był zaraz. Imię Załuskich napotykamy teraz dopiero, po raz pierwszy. Ludwika córką była Karola kuchmistrza W. L. i liw-

(1) Wyrwicz, *Kalendarz Warsz. na r. 1762*, gdzie jest lista dam kapituły marylilskiej.

skiego starosty, a blizką krewną dwóch znakomitych nauką i cnotami biskupów.

W roku 1755 wstąpiły do zgromadzenia: Maryanna Franciszka Szoldrska chorążanka smoleńska i Anna albo Maryanna Puławska starościanka warecka, córka znakomitego ojca, siostra Kazimierza. W dwa lata później, zostały Kanoniczkami w 1757 r.: Teressa Dąbska chorążanka inowrocławska i Magdalena Ewa Tyzenhauzówna starościanka szmelyńska. W r. 1759 wstąpiła Eleonora Skarbkówna Ważyńska, córka wojskiego oszmiańskiego. To była już ostatnia Kanoniczka, która zajęła miejsce w kapitule za czasów Augusta IIIgo. Skład téj kapituły w r. 1762 podaje Wyrwicz w *Kalendarzyku warszawskim* (1).

Właśnie w tym czasie napotkaliśmy po gazetach naszych, w stolicy wychodzących, ślady, że Kanoniczki z poza klauzury zakonnej wychodziły za mąż. Hilarya Cieszkowska 30 listopada 1756 r. zawarła śluby ze starostą grójeckim Załuskim, synowcem kanclerza biskupa, a poradnika pani ordynatowej Zamojskiej; a później cokolwiek z kuchmistrzanką litewską Załuską ożenił się Kolumna Czosnowski starosta salnicki, zaręczony w marcu 1758. (*Kuryer Polski*, 1756, nr. 177, i 1758 nr. 51). O Wollowiczównie wspomina tenże *Kuryer*, że była u księcia Michała Radziwiłła w Nieświeżu na imieninach, pod koniec września 1757 (*Kuryer Pol.*, nr. 41). Oczywiście, związane stosunkami rodzinnymi, Kanoniczki bywały wtedy na dworach panów i zamku królewskim, i same przyjmując gości u siebie, łatwo zmieniały strój czarny przepisany przez panią Zamojską, na ubiór więcej światowy i weselny. Nie było wtedy rodziny w Polsce, któraby w kapitule Kanoniczek nie miała albo bliższej albo dalszej krewnej. Koronni i litewscy panowie, ich córki i żony, wszyscy mogli bywać za furtą zakonną. Szczególniej uderzyło nas zbliżenie dwóch nazwisk. Kanoniczkami, były w jednym czasie Barbara Krasińska i Maryanna Puławska. Starościanki nowomiejskie, Barbara i Franciszka Krasińskie mogły tutaj odwiedzać krewną swoją, cześnikównę płocką. Z Franciszką, ożenił się książę Karol kurlandzki królewicz. Obiedwie siostry jakoś bardzo krótko, jedna po drugiej poszły za mąż: Barbara dnia 25 lutego 1759 r. za Michała

(1) W tym kalendarzyku jest pomiędzy innymi i Ewa Bratoszewska, siostra rodzona Maryanny Kanoniczki, bo także chorążanka gostyńska. Ewy niema jednak w spisie kapituły, któryśmy dostali do naszego użytku. Z nią byłoby do dziś dnia Kanoniczek w kapitule 68.

Świdzińskiego, starostę radomskiego, a Franciszka niewiele później. Pamiętamy jeszcze z rozkoszą jeden z najpiękniejszych utworów autorki „Rozrywek”, pod tytułem: *Dziennik Franciszki Krasieńskiej*, gdzie na każdej stronnicy, wieje taka woń staropolskiego życia. Późniejsza królewiczowa opisuje szczegóły ślubu swojej siostry, opisuje z wdziękiem i z miłością. Jeżeli Franciszka później królewiczowa bywała tutaj u Kanoniczek na Marywilu, spotykała zapewne i to nieraz w komnatach kapituły młodego starościca wareckiego. Bo bywał tutaj wtenczas i Kazimierz Puławski, kiedy za kratą zgromadzenia miał siostrę rodzoną. Kazimierz dla Franciszki pielegnował wtedy w sercu uczucie, które świat dzisiejszy nazywa miłością, a wiek zamarły, świat nasz dawny, nazywał serdecznym affektem. Może się nieraz wspomnienia, marzenia tych dwojga szczęśliwych dzieci, plątały u furty Kanoniczek.

Miała ksieni zmartwienie o fundusze zgromadzenia pod koniec rządów króla Augusta III. Dobra Tygenhaff, na których kapitały swoje umieściła pani Zamojska, zostawały pod rządem jakiejś kamery pruskiej, która Kanoniczkom dosyłała procent, jako własność kapituły. Z początku szło to jakoś dosyć regularnie, ale niedługo zaczęła zawodzić kamera w wypłatach swoich zgromadzenie. Od r. 1758 procent albo nie dochodził, albo dochodził w tak szczupłej ilości, że kapituła w samej rzeczy obawiać się mogła o swoją własność. Ksieni zaczęła się krzątać o zabezpieczenie własności Kanoniczek, ale wiele jeszcze upłynęło czasu, nim mogła otrzymać jaki skutek; uratowała wprawdzie fundusze, ale znacznie już umniejszone.

Pilnowała też ksieni i nabożeństwa w kościele zgromadzenia. Kaplica marywilska, wzniesiona jeszcze przez Maryję Kaziemię Sobieską, po zmianach uczynionych w niej przy naprawie gmachów przez panią Zamojską, pięknie wyglądała. Była ośmiokątna, a oświecała ją z góry szklana kopuła. Kamień węgielny do téj kaplicy położył jeszcze w dniu 12 września 1695 r. ksiądz Stanisław Witwicki, biskup poznański. Po oddaniu Marywilu Kanoniczkom, nabożeństwo w kaplicy odprawiali naprzód Karmelici, a za ksieni Komorowskiej w r. 1753, Jezuci koronni od ś. Krzyża upraszali kapitułę Kanoniczek, żeby ich także do posługi duchownej w kaplicy przypuściła. Księża Jezuci siedzieli wprost gmachów marywilskich i mogli służyć na każde zawołanie. Teraz chcieli tylko miewać kazania w kaplicy dla panien i dla ludu co niedzielę i święta uroczyste. Nie chcieli za to żadnego

wynagrodzenia. Ksieni téż przypuściła ich do kaplicy. Następnie, kiedy z Karmelitami zerwane zostały stosunki, ksieni od roku 1763 zaprosiła na kapelanów zgromadzenia Bernardynów i Reformatów.

Jakoś powoli pod rządami Komorowskiej, zaczęła powszechność coraz się więcej przyzwyczajać do zgromadzenia Kanoniczek. Zgromadzenie to urosło w znaczeniu. Widzieliśmy, jak skwapliwie teraz miejsca w kapitule zajmowane były. Niedosyć na tém. Wielkiej wagi wypadek zajmował podówczas Warszawę. Znakomity Frank był w Warszawie. Posłuszne jego skieniom czarodziejskim, massami chrzcilo się żydowstwo. Władza duchowna wyznaczyła podówczas kościół Missyonarzy dla nawróconych, którzy się tam, w świątyni Pańskiej, katechizmu katolickiego uczyli. Stolica wrzała od nienawiści żydów przeciw reformie, która się tak nagle i tak cudownie pojawiła. Interes w ogóle był obudzony. Właśnie w tym ruchu ogólnym, nieposlednią rolę grały Kanoniczki. Co dzień prawie ktoś z żydów z rodziną i krewnymi przyjmował wiarę katolicką. Panowie polscy brali na swoje opiekę i utrzymanie, nowonawróconych; trzymali ich do chrztu, uposażali w pieniądze. Królewiczowie, ministrowie, książęta, znakomici obywatele nie wyłączały się od téj braterskiej postugi. Kanoniczki także ofiarowały się do tego ze wszelką gotowością. Trzymając do chrztu, wspierały neofitów. W tém piękném dziele odznaczały się pilnie trzy panny kapitulne: Barbara Wołłowiczówna, Maryanna Szoldrska i Magdalena Tyzenhauzówna, (1760) (1).

Za czasów już króla Poniatowskiego, zacząwszy od daty śmierci króla Augusta, w r. 1764 wstąpiła do Kanoniczek Józefa Godlewska, w roku 1765 Julianna Ołędzka, Justyna Radzyńska i Agnieszka Wilkońska, a w roku 1766 Florencya Oskierczanka.

Ksieni podała wtedy przez ręce przychylnych dla zgromadzenia prośbę do stanów rzeczypospolitėj o zatwierdzenie fundacyi pani Zamojskiej, bo dotąd oprócz zatwierdzenia królewskiego, nie było na dziele pobożnej założycielki sankcyi sejmu, jako ciała prawodawczego. Sankcyja ta nastąpiła w roku 1768 na sejmie konfederacyjnym Radziwiłła i Brzostowskiego, w następnych słowach.

„Approbacya fundacyi panien Kanoniczek warszawskich”.

(1) Kuryer Polski 1760. nr. 11, w marcu i nast.

„Na okazanie wdzięczności fundatorce urodzonych panien Kanoniczek warszawskich, urodzonej Annie z Zahorowskich Zamojskiej ordynatowej, która córkom szlacheckim edukacji, poloru bez kosztu rodziców całej swojej fortuny obmyśliła dostateczny sposób, tę fundacyą we wszystkich swoich opisach i zapisach, nie tylko pod protekcyą naszą bierzemy, ale i mocą sejmu terażniejszego approbujemy” (1).

Tak więc we 24 lat dopięro po swoim zaprowadzeniu, kapituła zyskała opiekę Rplitéj.

Tenże sejm z r. 1768 wyznaczył komisyją do rozsądzenia sprawy o posag, jakiego Julianna Olędzka Kanoniczka domagała się od rodzonych swoich braci, posłów sejmowych. Prezesem komisyji był z ramienia króla wyznaczony Teodor Szydłowski, kasztelan mazowiecki (2). Ustawy pani Zamojskiej mówiły w artykule Vtym, że: „Damy do tego zgromadzenia wstępujące, tak przez przyjęcie do tego zgromadzenia. jak przez następujące przyrzeczenie, do posagowej sukcesyi, któraby im prawem naturalném należała, prawa żadną miarą nie tracą. I owszem pensye, któreby im od rodziców lub krewnych, na dostateczniejszą w tém zgromadzeniu wygodę naznaczone były, brać i zażywać mogą”. (str. 61, 62). Z tego widzimy, że panna Olędzka miała prawo upominać się o posag od braci.

W roku 1770 znowu druga Załuska, Anna imieniem, wstąpiła do zgromadzenia, a po niej w roku 1771, Teressa Walicka, której ojciec Bazyli kasztelan sochaczewski, później wojewoda rawski, był prezesem komisyji *Boni ordinis* dla Warszawy. Walicka wystąpiła później i poszła za mąż za Jana Rzeszotarskiego sędziego ziem. rawskiego. Załuska długie lata przeżyła w zgromadzeniu i umarła w późnej starości.

Po długich latach starań i zabiegów o zabezpieczenie dla kapituły funduszków, umieszczonych na Tygenhaffie, Komorowska ostatnią już utraciła nadzieję, kiedy w roku 1772 całe Prusy polskie przeszły pod panowanie Fryderyka W. Żeby nic sobie nie wyrzucać, ksieni ostatnich jeszcze użyła sił i na króla Stanisława nasadziła znakomite, potężne w Rplitéj osoby, żeby o fundusze zgromadzenia upominał się u rządu pruskiego drogą dyplomatyczną. W skutku tych nowych przedstawień, kapituła odebrała w r. 1775 na rachunek należytości opartej na Tygenhaffie duka-

(1) Vol. Leg. VII. 814. (2) Vol. Leg. VI. 547.

tów 5,510, przez bankiera Blanka wypłaconych Fryderykowi Moszyńskiemu, referendarzowi W. L., który tę summę na dobrach swoich zabezpieczył. Byłato oczywiście strata dla kapituły, bo rachując dukat po złp. 20, Kanoniczki ze swojego kapitału na Tygenhaffie 200,000 złotych, odebrały najwięcej tylko 110,200. Strata zatem koło 90,000 wynosiła. Prywatnemu człowiekowi uszczerbek tak znaczny, przyniósłby ruinę spokojności i majątku; ale Kanoniczki, które i w kraju miały fundusze i w stolicy ogromny Marywil, niebardzo poczuły tę stratę. Zresztą i tak ocalony kapitał nie w najlepsze wpadł ręce. Referendarz litewski należał do panów wieku Stanisława Augusta, co zachowywali wprawdzie miarę w wydatkach, ale byli zbyt łakomi i mocni. Można się było zatem obawiać i o stratę reszty, jakby z rozbicia wydzwigniętego kapitału. Ale sam Moszyński oświadczył się po kilku latach, że chce spłacić tę summę, która obciążała jego własne dobra. Szło zatem znowu o zabezpieczenie summy, którą oddawał referendarz. Kapituła wahała się, i nie dziw: jój szło o pewność, nie chciała tracić ostatka swoich nadziei. Wtedy wielu zacnych ludzi, jak nam mówiono, nalegało na zgromadzenie, żeby powierzyło ten kapitał Protowi Potockiemu, który znakomity w stolicy bank posiadał. Kapituła uwierzyła nazwisku i uznanej powszechnie reputacyi. Prot Potocki został więc dłużnikiem zgromadzenia.

Oczywiście nikt tracić swojego nie chce, chociażby i najbogatszy człowiek; Kanoniczki także tracić nie chciały, a traciły jednak fundusze, które złała na nich łaska największej dobrodziejki. Gdyby całe fundusze Kanoniczek spoczywały tylko w kapitałach, to takie częste przenoszenie summy, z miejsca na miejsce, a zawsze obciętej, zawsze zmniejszonej, zgubiłoby zgromadzenie. Mądra przeczność pani Zamojskiej, prawdziwe bogactwo kapituły umieściła w Marywilu. Ztąd ciągle dochody szły do skarbnicy zgromadzenia. A byłyto zapewne dochody niemałe, kiedy zwrócim uwagę na stan ówczesny Warszawy. W Marywilu było ognisko handlu i przemysłu. W sklepach tutaj siedzieli i księgarze, i kupcy, i rzemieślnicy; tutaj i żydki szachrowali i przekupki się kłóciły. Hałas nieustanny i turkot panował ciągle na Marywilu. Snuli się tutaj i panowie, i szlachta, i mieszczenie. Przed marywilskie gmachy zajeżdżały i karety, i powozy, i ciężkie ładowne bryki. Dostać tutaj można było wszystkiego, a nawet i ptasiego mléka. Od roku 1764 do 1771 jeden pawilon da-

wnego Marywilu był zajęty na pocztę przez władze koronne. Przybyło zatem dla tutejszych gmachów jeszcze jedno ognisko ruchu i życia. Pocztylioni przejeżdżali tam i napowrót około tego jarmarku, który się równo ze świtem, a może i wcześniej jeszcze zaczynał, a trwał do późnego zmroku. Służbą pocztową kierował wtenczas w całej Koronie i Litwie sławny pan saski Marschall de Biberstein, który nam z Bryłami i z Flemingami pozostał, jako pamiątka niemieckich Augustów. Sama poczta, za jeden pawilon w Marywilu płaciła komornego zgromadzeniu 11,000 złp. rocznie, co już samo wystarczało na utrzymanie trzech Kanoniczek. Oprócz tego, miały panny kapitulne zapewnione sobie wielkie dobrodziejstwo: kontrakt dzierżawny z rządem zawarty, uwalniał wszystkie ich listy prywatne i urzędowe od opłaty portoryjnej, a i to przecież za pewny fundusz uważać należało.

Jeżeli przypomnim sobie to, cośmy wyżej powiedzieli, że ogólne uposażenie Kanoniczek do miliona złotych dochodziło; łatwo teraz pojmemy, że gdyby kapituła straciła i całe 200,000 złp., zabezpieczone na Tygenhaffie, to zawsze z kapitału, który o większą swoją połowę, sumę pół milionaz złotych wynosił, mogło aż nadto dobrze utrzymać się całe zgromadzenie panien Kanoniczek, z pannami chóru i ze służbą.

Nam tylko trudno pojąć, jak w takim harmidrze, mogły zebrać ducha potrzebnego do modlitwy i nabożeństwa panny Kanoniczki. Wprawdzie zakonnice nie były, ale zawsze przecież z przeznaczenia swojego, więcej jak światowe niewiasty, powinny się były oddawać rozmyślaniom pobożnym.

Po długiej zwłoce, lat znowu 5ciu, w roku 1776, podwoje zgromadzenia otwały się dla trzech nowych dziewic. Nastąpiła właśnie spokojność w Rplitej, a myśmy z liczb uważali, że w latach zaburzeń i wojny, jakby Janusa kościół, zamykały się te podwoje. Nowe kandydatki były: Antonina Dembowska kasztelanka czechowska, Marcella Walchnowska i Teressa Kurzeniecka aż z Polesia, córka Józefa, marszałka pińskiego. Z trzech nowych Kanoniczek, jedna została Sakramentką i może pierwszy dała przykład zgromadzeniu; druga doczekała się urzędu ksieni, trzecia nareszcie poszła za mąż, i nazywała się potem Zawistowską. Była sędziną grodzką i cześnikową bielską na Podlasiu.

Za temi trzema, następowała w r. 1782 Anna Popielówna, a w r. 1785 Wiktorya albo Helena Suffczyńska chorążanka lu-

kowska. Poezya uczciła ostatnią w dzień jej uroczystych przyrzczeń. Karpiński, obecny wtenczas w Warszawie, przytomny obrzędowi, taki do Heleny zanucił rym, w którym wyniósł i nową Kanoniczkę, i zgromadzenie:

„ Ty nie przechodzisz za te drzwi stalone,
Gdzie w ustronności głuchój porzucone,
Między żądzami w walce nieustannój
Jęczą, łajane od natury panny.

Gdzie przy oltarzu poskładane wieńce,
O które niegdyś zaczepni młodzieńce
Ubiegali się; jak je drząc składała,
Tak dziś niejedna odebraęby chciała.

Lecz taśmą z kwiatów uplecioną całą,
Jedną ci rękę Bóstwo przywiązało,
Drugą masz wolną, ażeby z kim w czasie
Dozgonnych związków ślubem złączyła się.

Heleno! spojrzeć chciój tylko do góry,
Oto widząc cię wśród nas Bóg natury,
Z uśmiechem, którym światy rozwesela,
Przyjmuje imię twego przyjaciela.

Niech się kto świętym oddziela uporem,
Bogiem od krewnych, od świata klasztorem,
Twój wybór razem za najlepszy wyzna:
Bóstwo, pokrewni, ten dom i ojczyzna”.

W roku 1786, dnia 9 września, uroczyste pożegnała kapitułę Kanoniczek Anna Dembowska, która lat już 10 żyła w Marywilu z towarzyszkami, za kratą zakonną. Dembowska rzuciła zupełnie świat ten i poświęcała się Bogu na nowe życie w klasztorze Sakramentek. Wielka moc gości, krwią z nią połączonych i przyjaciół ojca, odprowadziła ją z Marywilu Sobieskich do kościoła także Sobieskich, i modliła się na akcie przyrzeczyn nowój zakonnicy. Na czele innych, stał i ojciec jej Stefan kasztelan. Kazanie miał ksiądz Tomasz Grodzicki. Dembowska pierwsza przeszła z pomiędzy Kanoniczek, do rzeczywistego klasztoru (1).

Za ksieni Komorowskiej, wstąpiły jeszcze do zgromadzenia trzy Kanoniczki: w roku 1787 Elżbieta Poniatowska i Modesta Dzieduszycka, a w r. 1789, Joanna Horain.

Z panien niższego chóru, dwie przedewszystkiém zwróciły naszą uwagę na siebie. Jedna i druga pomarły za ksieni Komorowskiej. Jedną była Joanna Szymanowska, córka Antoniego miecznika dobrzyńskiego i Apolonii Horodyńskiej. Urodziła się

(1) Gazeta Warsza. 1786 nr. 74.

w r. 1709, weszła do zgromadzenia bardzo dawno, bo jeszcze przed zawiązaniem samej kapituły, to jest dnia 3 sierpnia 1743, a umarła 7 sierpnia 1779 w drodze do Drażgowa, i tamże w kościele parafialnym pochowana. Chwali ją Wyrwicz w aktach zejścia Ś. Andrzeja za to, że zostawiła piękne wzory cierpliwości wpośród chorób długich, a prawie bezustannych; że była wzorem pokory, miłości i nienaruszonej czystości serca, którą zachowała do ostatniego tchnienia. Tym może przymiotom, a chyba najwięcej pokorze przypisać potrzeba, że Joanna Szymanowska należała do pannen niższego chóru. Rodzina jej nie należała wprawdzie do świetnych i bogatych rodów magnackich, ale zawsze była szeroko znaną w rzeczypospolitej i zasiadała nawet po krzesłach kasztelańskich w senacie. Inaczey, nie możnaby nawet i rozumieć jej stanowiska u Kanoniczek. Szymanowscy mogliby się obrażać. A zresztą może i sierotą była; może dla losu, utrzymania się, weszła za furtę Kanoniczek, a pani Zamojska, ubogą szlachciankę, pomiędzy pannami chóru umieściła. Szlachta w samej rzeczy gniewać się mogła na takie nieuszczepienie swojego stanu, i pojmujemy teraz, ile złego mogła sprawić kapitule rozmowami swojemi panna Magnuska. W półtora roku po Szymanowskiej, umarła 8go lutego 1781 r., Konstancya Kołudzka sędzianka ziemska inowrocławska, w roku życia 75tym. Musiała świadczyć jakieś dobrodziejstwa kościołowi św. Andrzeja, kiedy w akcie erekcyi Okęckiego, biskup kazał modlić się za nią proboszczowi, i nawet urządził wieczyste za jej duszę nabożeństwo. Kołudzka zatem zostawiła fundusz dobroczynny. I zdaje nam się, że znowu pokora i skromność kazały pannie Kołudzkiej pozostać między dziewicami niższego chóru. Rodzina jej mogłaby zapewne także znaleźć dowody, dla pokazania 8miu herbów. Uważajmy, że w Polsce szlachta, już mająca dobra i własności ziemskie, ubierała się w tytuły. Być najniższym urzędnikiem w powiecie, już znaczyło wiele. Przed stu laty łatwiej było każdemu szlachcicowi wywieść rodowód swój i wiele herbów ojczystych i macierzystych, jak dzisiaj dowieść szlachectwa. W kapitule Kanoniczek było prawo, żeby nawet i dziadek kościelny, był ile możności szlachcicem. Takiemu dziadkowi trudno było zapewne dowieść znakomitych związków; ale miecznikówna dobrzyńska i sędzianka inowrocławska mogły bardzo łatwo zdobyć się na kilkanaście urzędowych dokumentów. Przynajmniej panna Kołudzka, która zostawiła fundusz kościołowi, nie wstępowała do Kanoniczek dla 300stu złotych pensyi. Rozdział na dwa chóry obrażał, bo wprowadzał

za jedną furtę zwyczaję, jakich nie było w życiu szlacheckim Rplitéj. Pani Zamojska w tym razie popełniła błąd wielki. Samo postanowienie prawa, że panny chóru nie były obowiązane składać dowodów szlactwa, już ubliżało tym pannom. Bo między panny chóru wkraść się takim sposobem mogła nieszlachcianka, udawszy się za szlachciankę. Takim sposobem i na wszystkie panny chóru mogło padać podejrzenie, że ich klejnot nie świeci blaskiem prawdziwym. Dla dawnych Polaków i Polek ciężki to był zarzut, któryby mógł wywołać albo długie procesa prawne, albo nawet nienawiści i walkę sejmikową. Uniknęłaby zgorszenia pani Zamojska, gdyby powiedziała, że panny chóru, jako niższy stopień i prawie służebniczy zajmujące w zgromadzeniu, mogły być wybierane ze stanu nieszlacheckiego. Bo nam się przynajmniej zdaje, że te wszystkie przeciwności, jakich doznało, walki jakie stoczyło zgromadzenie i jakie jeszcze wtenczas w przyszłości wiślały nad kapitułą, z tego jedynie pochodziły źródła, że pani Zamojska rozszczepiała rodzinę szlachecką na dwoje. Zapewne, jedna kapituła Kanoniczek w całej Rplitéj, znaczyła tak mało, miała tak słaby rozgłos, że ginęła jako kropla w morzu, bez znaczenia i wpływu. A przecież szlachta mogła się gniewać na mimowolne może pani Zamojskiej pretensye.

Ten gniew przeciw zgromadzeniu, pojawił się znowu i silniej jeszcze jak wprzódy, na sejmie wielkim. Jakiś ziemianin podał wtedy stanom w Rplitéj pewne projekta względem Kanoniczek warszawskich. Musiały te projekta godzić na zgubę zgromadzenia, albo przynajmniej na jego fundusze, bo nawet zawiązała się z powodu projektu polemika literacka, jak wprzódy z powodu panny Magnuskiej. Kanoniczki broniły znowu sprawy swojej przed sądem powszechności. Powstawały wtenczas głosy, zawistne losom zgromadzenia. Mówili jedni, żeby cofnąć approbacyą stanów z roku 1768; mówili drudzy, żeby całkiem skasować kapitułę.

Pismo przeciw Kanoniczkom podczas sejmu wielkiego drukowane, nosiło tytuł: „Nota Anonima do najjaśniejszych stanów względem fundacyi i sprzeciwienia się onéjże panien Kanoniczek warszawskich, dnia 28 lipca, 1789 r. wydana”.

Kanoniczki drukowały, nie wiadomo w którym roku, ale zaraz niezawodnie po wyjściu poprzedniego pisemka, obronę swoje pod tytułem: „Odpowiedź na pismo pod tytułem: Nota” (1).

(1) Jocher, tom III, str. 509. z Ludwika Sobolewskiego.

Broszurek tych, a więc i treści ich nie znamy.

Zamiary nieprzyjaciół kapituły nie wzięły jednakże skutku, i Zofia Komorowska, druga ksieni, mogła umrzeć spokojnie. Dwa dni tylko chorowała śmiertelnie. Przedtém nękała ją starość jedynie. Ostatnią słabość znosiła z zupełném poddaniem się woli Bożej. Było to w r. 1793. Dnia 21 lipca przyjęła ostatnie olejem śtym namaszczenie, a 26 tegoż miesiąca o 1szej po północy, umarła w domu kapitulnym, w Marywilu. Żyła lat 76. Zgromadzeniu przewodniczyła lat 45.

Komorowska w czasach bardzo burzliwych, niesprzyjających takim fundacyom jak marywilska, rządziła zgromadzeniem umiejętnie i potrafiła aż do zgonu swojego, zachować w całości fundusze kapituły. Po jój dopięro śmierci nastaly czasy krytyczne.

Pochowano ją na cmentarzu św. Jana za miastem, tojest na Powązkach. Zostawiła siostry rodzone i przyrodnie, bo z innój matki, a z jednego ojca. Z brata Jakóba kasztelana sądeckiego, zostawiła wnuki i wnuczki (1).

Po śmierci Komorowskiej, w czasie bezkrólewia w kapitule, obowiązki administratorki pełniła zapewne Anna Zakrzewska, i ona téż była wybrana trzecią ksienią z kolei, może prawem starszeństwa. I wiekiem, i dawnością w zgromadzeniu, Anna Zakrzewska miała pierwszeństwo przed Zofią Komorowską. Urodziła się albowiem w roku 1711, a w gronie kapituły była jedną z najpiérwszych i dobrze jeszcze znała ksienią Galeckę. Tak więc Zakrzewska o 6 lat była starszą wiekiem od swojój poprzedniczki, a o lat 3 dawniejszą od niój w zgromadzeniu. W chwili swojego wyboru, już lat 82 żyła na świecie, i oczywiście dla tego szanownego wieku ksienią wybraną została. Ojciec jój Zakrzewski, był kasztelanem sądeckim.

Była również trzecia ksieni, jak Komorowska, litościwą dla biédnych. W takiej starości zdawało się, że i lat kilku nie przeżyje, a przecież lat jeszcze 9 rządziła zgromadzeniem i kontente z niój były Kanoniczki. Ale chwila jój władzy na cierpkie i złe czasy dla kapituły przypadła. Dzień za dniem przybywało ruiny i dla kreju całego, i dla majątków prywatnych. Bankructwo Tepera i Piotra Potockiego, pociągnęło za sobą wiele nieszczęść dla rodzin i stowarzyszeń. Powiedzieliśmy już wyżej, że cały kapitał zabezpieczony na Tygenhaffie, ocalony ledwie w połowie, umieszczony został na banku Tepperowskim. Rzucili się prze-

(1) Akta zejścia św. Andrzeja w r. 1793.

rażeni wierzyciele do swojego dłużnika, rwać szczątki ogromnej kiedyś jego fortuny. Kanoniczki z 5,510 dukatów, ocaliły tylko małą summę złp. 39,000, które umieściły na dobrach prywatnych, w dawnym płockim województwie, to jest na Rydzewie i Chotomiu. Tak więc z tej pięknej summy, zostawionej przez panią Zamojską, zginęło przez pół wieku 160,000 złp. Ze szczątków tego kapitału, po 8 od 100 rachując procent, mogły już teraz paniny kapitulne najwięcej pobierać złp. 3,120; fundusz niewystarczający na utrzymanie jednej nawet Kanoniczki, podług ustaw pani Zamojskiej, kiedy dawna summa 200,000 złotych mogła na utrzymanie aż czterech panien wystarczyć.

Mogły myśleć Kanoniczki, że nowy rząd pruski będzie względem nich sprawiedliwszym, i że im powróci summy, zaległe jeszcze na Tygenhaffie. Gdyby się te zaległości odzyskać dało, mogłaby jeszcze kapituła znaczną gotówką rozporządzać. Z Tygenhaffu można by jeszcze dostać do 90,000 złotych, a może i więcej, bo pani Zamojska ubezpieczając na tych dobrach swój kapitał, mówiła, że te 200,000 są dobrej pruskiej monety. Druga summa 62,000, ubezpieczona w ziemi warszawskiej na Lipkach, mogłaby się połączyć ze szczątkami summy Tygenhaffowskiej. Takim sposobem mógłby powstać nowy kapitał, do 200,000 wynoszący. Ale byłyto próżne marzenia. Nowy rząd nie był tak hojny. Nakazał on regulacją majątków wszystkich zgromadzeń duchownych, a więc i kapituły Kanoniczek: zabierał jednak wszystkim tym zgromadzeniom nieruchome dobra. Tygenhaff był teraz skarbu pruskiego własnością. Pokazało się, że Kanoniczki nie miały dóbr nieruchomych, tylko jedynie kapitały, które rząd naturalnie uważał za własność prywatną, a takim sposobem zabierać ich nie miał prawa. Ale za to Kanoniczki wyrzec się musiały wszelkich nadziei odzyskania czegośkolwiek na Tygenhaffie. Z kapitałów więc pani Zamojskiej, które gotówką wynosiły złp. 262,000, za czasów Zakrzewskiej zostało się zgromadzeniu tylko złp. 101,000.

Kanoniczki cieszyły się tém przynajmniej, że zostały przy swoim Marywilu.

Znać było jednak po wszystkiem upadek zgromadzenia. Rodziny dawniej Polski, straciły już widać wiarę do kapituły. Przez lat 16 od r. 1789 żadna z dziewięć szlacheckich nie powiększyła grona kapitulnego. Kanoniczki, zmniejszone w komplecie, myślały już wtenczas o ścieśnieniu swojej fundacyi. Wiele artykułów z pierwotnych ustaw założycielki, straciło zupełnie swoje

znaczenie, skutkiem wypadków czasowych. Może i dlatego nie było kandydatek do zgromadzenia, że kapituła nie wiedziała, komu jeszcze w ostatniej instancyi powierzyć wyrokowanie w sprawie wyvodu herbów. Pieczętarzów koronnych już nie było. Przez stratę kapitałów, zmniejszyły się i roczne fundusze. Procent już nie wystarczał dla utrzymania kapituły w dawniej świetności. Przeto wchodząc w myśl ustaw założycielki, zgromadzenie zniosło jedną posadę Kanoniczki, tak, że teraz z ksienią być miało razem 11 miejsc w kapitule. Nie było znowu kanclerzów, ani marszałka koronnego, ani warszawskiego starosty, którzy mieli prawo wejść w te żądania Kanoniczek, usankcyonować je swoim pozwoleniem i stosownie do obowiązujących przepisów pani Zamojskiej, załatwić rzecz całą na stronę zgromadzenia. Był wtenczas z opiekunów Kanoniczek jeden biskup już nie poznański, ale warszawski, Józef Miaskowski; ale nie sądzim, żeby ijemu do zatwierdzenia swoje uchwały podawał rząd pruski w tém, co się tyczyło funduszków zgromadzenia.

Nareszcie w dniu 11 września 1802 r. umarła w Marywilu w roku śmierci Grodzickiego, którego zapewne przyjaciółką była, i trzecia ksieni Kanoniczek, Anna Zakrzewska. Ostatnią chorobę swoją zniosła z chrześcijańską cierpliwością. Zaczęła właśnie 92gi rok życia. Pochowaną została w katakumbach śgo Krzyża za miastem.

W najokropniejszych czasach dla swojej kapituły, przeżyła i te czasy. Była już ostatnim szczątkiem, ostatnią cegielką gmachu, który postawiła pani Zamojska. Po Zakrzewskiej, Kanoniczki już tylko z podania o tych dawnych swoich czasach wiedziały. 56 lat przepędziła w kapitule wtenczas, kiedy ta kapituła sama 58 lat życia liczyła. Za czasów ksieni Zakrzewskiej, umarła w Marywilu także, rokiem od ksieni młodsza w zgromadzeniu, a także z kolei jedna z najstarszych Kanoniczek, bo ósma z porządku po Galeckiej, żywe także podanie dawnych czasów, Barbara Wołłowiczówna. Skończyła życie w sam Nowy Rok 1go stycznia 1798 roku, o 3ciej po północy; żyła lat 75.

Po Zakrzewskiej nastąpiła czwarta ksieni, Marcella Walchnowska, która już od lat 26ciu była członkiem kapituły, obrana mimo Anny Załuskiej, starszej o lat 6 w zgromadzeniu. Walchnowska przeżyła całą epokę księstwa warszawskiego i pierwsze chwile królestwa. Umarła wtedy właśnie, kiedy nowy rząd przenosząc parafią śgo Andrzeja do kościoła Reformatów, dawny kla-

szturek ęgo Krzyża, fundacyi Potockiego prymasa, oddawał Kanoniczkom. Działo się to w roku 1818. Była zatęm Walchnowska ksienię lat około 16.

Za jęj czasów, po latach 16stu przerwy, w r. 1805 po raz pierwszy, za nowęj już epoki, wstępiły do zgromadzenia dwie siostry rodzone, Ludwika i Konstancya Piwnickie. Przyjęciem tych dwojga dziewic siostr kapituła złała ustawy pani Zamojskiej; ale w owym czasie, prócz kilku zapewne małoznaczących przepisów, nie już z tych ustaw nie było w życiu zgromadzenia. W roku 1806 wstępiła do Kanoniczek Anna Jelska. I znowu nastęje przerwa lat 8miu. W r. 1814 dopięro weszły do kapituły: Maryanna Karska, Teresa Karsznicka i Konstancya Walewska. W r. 1816: Teodora Barbara Suchodolska; w r. 1818 Zofia Młocka, Apolonia Stadnicka, Adelajda Dunin i Ludwika Walewska. W roku nareszcie 1819 Joanna Węgodzka. Zdaje się, że na Węgodzkiej zakończyła się dawna kapituła jeszcze marywilska.

Ksieni Walchnowska umarła właśnie wtęczas, kiedy rząd zagaił z kapitułą układy o ustępienie na rzecz skarbu marywilskich gmachów. Rząd chciał obalić te stare mury i kłitki, które w tęm miejscu zanieczyszczały stolicę, a na miejscu dawnych sklepów i rozwalin, postawić gmach wspaniały, przeznaczony na teatr. Wiemy z podania, jak się tęm projektem podówczas zajmowało miasto i kapituła Kanoniczek. W kapitule dwa stronnictwa stanęły silnie naprzeciwko siebie: jedno stronnictwo zachowawcze, które nie chciało ustępić z Marywilu, i chciało dalej wegetować w gmachach napół obalonych i zniszczonych przez wojny; drugie stronnictwo młode, stronnictwo zmiany i niespokojne, które chciało przystać na projekta rządu.

I oczywiście, te projekta rządowe mogły wypać na korzyść Kanoniczek. Zostawał do zajęcia kościół ęgo Andrzeja, a więc już nie kaplica w Marywilu. W gmachach pojezuickich mogły się same Kanoniczki mieścić; w Marywilu mieściły się ze stękiem ludzi różnego rodzaju. W Marywilu były wposród zgiełku, a u ęgo Andrzeja zyskałyby na samotności i odosobnieniu, które im więcęj przystawało do twarzy. Nie mówim już o tęm, że oprócz tych korzyści, jakie zyskiwało zgromadzenie na przeniesieniu się kapituły do ęgo Andrzeja, zyskiwało miasto całe. Okolica Marywilu miała w nowę i pięknę przyoblec się postać. Warszawa już rzeczywiście chciała zostać stolicę kraju. Dlatego nie pojęliśmy tego stronnictwa oporu w zgromadzeniu. Rząd zaręczał Kano-

niczkom fundusze i nie uszczuplał ich własności; owszem, nową pannom obiecywał pomoc i opiekę. Cóż więc było do stracenia? Nic, oprócz pamiątek. Jest zawsze coś w naturze ludzkiej, co ku przeszłości ciągnie człowieka, nawet całkiem zatopionego w przyszłość.

Z tego stanowiska rozumiemy walkę, jaką toczyło, w chwili pełnej znaczenia, w łonie swoim, zgromadzenie Kanoniczek na Marywilu. Miały opuścić panny kapitulne gmachy, poświęcone wspomnieniami założycielki i pierwszej ksieni? Miały porzucić miejsca, na których gnieździło się pierwsze ich siedlisko na ziemiach Rplitej? Miały zapomnieć i królowej Maryi Kazimiéry i pamiątek księżnej Jabłonowskiej i biskupa Załuskiego? Młodość, niedoświadczenie mogły się na to odważyć; ale starszym pannom kapitulnym zdawało się, że tym krokiem obrażą pamięć pani Zamojskiej, znieważą godność własnych pamiątek.

Ale nie stało się zadosyc myśli zachowawczej. Marywilu broniły starsze Kanoniczki, a na ich czele panny Piwnickie; do św. Andrzeja chciały się przenieść młodsze, a na ich czele stała Teresa Karsznicka. W bezkrólewiu nie było ksieni, któraby stanowcze zwycięstwo jednej, albo drugiej stronie przyznała. Poszło na większość głosów, i młodsze Kanoniczki przeważyły szalę na stronę św. Andrzeja. Marywil dawny upadł.

Cesarz Alexander przy zamianie gmachów, zbudowanych przez Sobieską, a odnowionych przez panią Zamojską, na terazniejsze zabudowania Kanoniczek, pochwalił i zatwierdził byt kapituły, w swoim i następców swoich imieniu. Zatwierdzenie to nastąpiło pod dniem 23 listopada, 1819 roku. Pragnąc jednak dla panien Kanoniczek zachować drogą pamiątkę, chociażby w jednym tylko imieniu, cesarz Alexander chciał, żeby i cała posada gmachów św. Andrzeja, nosiła odtąd i nazawsze nazwisko *Nowego Marywilu*, niby na pamiątkę dawnego. Ale Marywil dawny był rzeczywistym miasteczkiem, był targiem nieustającym, a nazwisko chociaż cudzoziemskie, już charakteryzowało pewną stronę przedmieść warszawskich. Dla téjże saméj przyczyny o nowym Marywilu zapomniano prędko.

Przy zamianie gmachów dawnych na nowe, rząd królestwa zabezpieczył wyznaczone przez siebie fundusze zgromadzenia, na dochodach miasta Warszawy. Jest więc poręka spokojności dla Kanoniczek.

Nową ksienią, 5tą z kolei i w Marywilu jeszcze, obraną była Teressa Karsznicka. Ona przeprowadziła zgromadzenie do nowo wyporządkowanych murów św. Andrzeja, i aż do obecnej chwili dzisiejszym Kanoniczkom przewodniczy. Tymczasem gmachy dawnego Marywilu zajęte zostały na użytek publiczny; i kiedy je rozbierać zaczęto, dla wzniesienia w tém miejscu okazałej budowy, nowój i wielkiej, w roku 1825 znaleziono kamień węgielny kaplicy marywilskiej, założonej przez królowę Sobieską. Doniósł o tém w swoim czasie „Monitor Warszawski”.

Przez lat przeszło 30 rządów ksieni Karsznickiej, niewiele zmian zaszło w wewnętrznym składzie kapituły.

Zmian tych, my sami jużśmy świadkami byli. Od piérwszój ksieni Galeckiej, aż do 1843 roku, w ciągu lat 100 przeszło, kapitułę składało tylko 67 Kanoniczek. Dzisiaj ledwie przepisany w ustawach pani Zamojskiej, znajduje się komplet zgromadzenia.

Co do dawnych Kanoniczek, nas dziwiła okoliczność, że ich tak mało umierało w Warszawie. Przeglądając akta zejścia św. Andrzeja, my pod tym względem znaleźliśmy mało faktów. Fakta te jednak wszystkie zebraliśmy w kronice osób, przez pamięć przyszłego herbarza. Zdawałoby się więc, że wiele Kanoniczek umierało nie za furtą klasztorną, a poza obrębami zgromadzenia, w domu rodzinnym, albo przyjacielskim. Inaczej akta św. Andrzeja nie opuściłyby żadnego zejścia, gdyż Marywil leżał w nowój parafii. A Wyrwicz był tak nawet skrupulatny, że kiedy był proboszczem, mótował w aktach nawet datę śmierci osób, które umarły gdzieindziej, a należały do jego parafii, albo mieszkały w niej kiedykolwiek.

Jeszcze kilka wspomnień—i koniec. Pamięć kilku znanych osób, przypomnim jeszcze w tém miejscu. Mówiliśmy, że od czasów ksieni Komorowskiej, nabożeństwo w kaplicy Kanoniczek odprawiali Bernardyni i Reformaci. Kiedy i to się niedogodném pokazało, kapituła uciekła się do świeckich kapelanów. W czasie przeniesienia się pańien do nowego Marywilu, takim kapelanem był ksiądz Jan Marcelli Gutkowski, były kapelan nadwiślańskich pułków w Hiszpanii, a potem biskup podlaski. Po nim objął to miejsce ksiądz Wojciech Ossoliński, później professor uniwersytetu, archidyakon podlaski i rektor akademii duchownój w Warszawie. Po Ossolińskim znowu nastąpił Paweł Straszyński, kanonik metropolitalny i aż do roku 1832 kapelan Kanoniczek, niedawno zmarły biskup augustowski. Od tego czasu Bernardyni

i Reformacji znowu odbywają nabożeństwo w kościółku panien Kanoniczek.

Z funduszków zgromadzenia jeszcze grosz ginął za groszem. W r. 1841 sprzedano przez subhastacyą dobra Rydzew i Chotom, na których umieszczone były szczątki summy Tygenhaffowskiej. Przy téj okoliczności kapitał zgromadzenia, zabezpieczony na tych dobrach, z 39,000 złp. spadł na 18,000.

Nie mamy nic już dodać do kroniki Kanoniczek warszawskich. A i tak kronika ta, nie w opowieści naszej, a w spisaniu ustaw pani Zamojskiej, może najciekawszą była, bo dała nam poznać duch zgromadzenia i myśl pobożnej założycielki. Zresztą zapełniły opowiadanie nasze, często ponawiane kwestye funduszków i częstsze jeszcze wzmianki o wstępowaniu dziewic do zgromadzenia. My wiemy, że kronice naszej niedostaje życia. Dla różnaitości, dla nadania właśnie tego życia, usiłowaliśmy położyć w kronice życiorysy księń, przewodniczących zgromadzeniu. Ale zacna dama, do której o to udaliśmy się z prośbą, odpowiedziała nam poprostu: „Życiorysy osób, których nazwiska w dziejach się zapisały czynami, są ciekawe, zajmujące i poszukiwane; ale życiorysy kobiet, których przymiotami musiała być pobożność, rozsądek, dobroć i cierpliwość, kiedy zostały wybrane przez swoje towarzyszki na zwierzchnictwo, nie mogą zawierać wypadków, obudzających ciekawość. Gdyby nie były posiadały wyżej wzmiankowanych zalet, byłyby zatargi wewnętrzne miały miejsce, byłby świat o nich wiedział, i jak prawie o każdym zgorzeniu, w jakich pamiętnikach zachował o tém wspomnienie. Żyły spokojnie i cicho, zgasły nieznane po dopełnieniu tych codziennych powinności, religią i moralnością wskazywanych, o których świat nie mówi, lekce je waży, niemal pogardza, bo powszednie; zapominając, że powszednie, najpotrzebniejsze i najtrudniejsze do wykonania, bo bezmyślnie powtarzamy tę piękną modlitwę, w której prosimy o *chleb powszedni*, nie o paszety i łakocie”. Miała słuszość zacna dama: wewnętrzne dzieje zgromadzenia, dla samego zgromadzenia miały wartość; zewnętrzne, ledwie się w kilku odbitych pamiętkach, któreśmy tutaj skrzętnie zebrali.

Tak więc o kościele św. Andrzeja, w którym prymas Potocki mszę odprawiał, o gmachach tych, w których modlili się Jezuita koronni, i do których zbierali się pobożni mieszkańcy warszawskich przedmieść, w których mieszkał Wyrwicz, Grodzicki

i Barszcz, a w których mieszczą się teraz Kanoniczki, nie ma już co powiedzieć. Kościółek cichy i skromny, zwracał na siebie naprzód uwagę przez to, że był własnością przeważnego zakonu, który nawet miał swoje dzieje polityczne i który interesował całą Europę. Potem patrzano na kościółek św. Andrzeja jako na siedlisko proboszczów, ognisko religijnego życia pewnej części Warszawy. Dzisiaj, zamknięty sam w sobie, oddany pobożnemu zgromadzeniu, wrócił do stanowiska, jakieby od urodzenia się swojego na świat zajmował, gdyby nie Jezuita i nie Wyrwicz. Dowód jak o nim zapomniała Warszawa jest ten, że w lat 100 po jego poświęceniu, w roku jego jubileuszowym, a zatem wielkim, nie znalazł się nikt w stolicy królestwa, coby tę jego uroczystość przypomniął pobożnym Warszawianom. Jubileusz ten przypadł pod koniec 1822, albo na początku 1823 r.

Dzisiaj kościółek ten ma lat 128, a parafia św. Andrzeja żyła od lat 75ciu. Epoka jezuicka kościołka trwała lat 52, parafialna 44, a epoka Kanoniczek liczy już lat 32. Parafii św. Andrzeja kościółek nie nie dawał przez te lat 30 przeszło, chyba jedno imię, jako historyczną pamiątkę po Stanisławie Augustie, po Młodziejowskim i Wyrwiczu. Dzisiaj kościółek Kanoniczek, nawet imienia parafii nie daje. Przeżył sam sławę swoje i świętość.

Kapituła Kanoniczek w r. 1844 obchodziła stuletnią rocznicę swojego bytu na ziemi polskiej. W chwili obecnej, zgromadzenie Kanoniczek ma już do 108 lat życia, bo pani Zamojska od czasu kupienia od Żaluskich Marywilu, zaczęła już powoli tworzyć kapitułę. Nie winą zgromadzenia, a skutkiem wypadków, wstrząsających krajem stało się, że z pierwiastkowych ustaw założycielki, nie prawie nie zostało na dawnym miejscu. Znikli- bo też i stróże, i opiekunowie praw tych. Rozproszyło się wszystko po świecie; bo według praw natury, wieczność i trwałość nie może być cechą znikomych, ludzkich rzeczy. Zbiór ustaw pani Zamojskiej, jest może najciekawszą pamiątką po tym wieku istnienia; ileśmy potrafili i mogli, przedstawiliśmy te ustawy i te pamiątki w skromnym wykładzie i treści, a powieścią o Kanoniczkach i o pobożności dawnych prababek naszych, zamknąć chcieliśmy i dzieje kościołka św. Andrzeja.



TOUSSAINT LOUVERTURE.

DRAMAT LAMARTINA.

Chcąc dokładnie zbadać charakter Toussain'a Louverture, należy zwłaszcza zastanowić się nad jego postępowaniem w przeciągu lat dziesięciu przed wyprawą generała Leclerc. Bez tego trudno pojąć, jakim sposobem osobliwszy ten człowiek, zdołał ogarnąć i wykonywać władzę dyktatorską w Saint-Domingo. Natura jego afrykańska odznaczała się chytrą i zdradą, obok wytrwałości i wielkości, przez które zjednał sobie przychylność i uwielbienie swoich współtowarzyszów niewoli. Gdy Francya ogłosiła usamowolnienie murzynów, Toussaint liczył lat czterdzieści ośm. Z najniższego stopnia został nasamprzód dozorcą, dalej pasterzem trzody, a naostatek woźnicą u pana de Noé. Skoro tylko nauczył się czytać i podpisać własne imię, zdawało się, iż odgadywał wysokie przeznaczenie, jakie mu los gotował. Podczas gdy wybuchła rewolucya francuzka, stan jego jakkolwiek skromny, pochlebiał przeciw jego dumie, gdy go porównywał z przeszłością. To wyjaśnia, dlaczego nie odezwał się przez lat kilka za sprawą, którą miał bronić stale i zacięcie. Toussaint służył w wojsku hiszpańskiem, przeciw rzeczypospolitój francuzkiej, i nie opuścił swój chorągwi, dopóki mu generał Lavaux nie przyrzekł w francuzkiem wojsku stopnia pułkownika, jaki posiadał w hiszpańskiem. Zachęcony takowem przyrzeczeniem, Toussaint przeszedł na stronę Francuzów z częścią swego pułku; przykład jego niebawem naśladowany został, a Lavaux nagradzając tak ważną posługę, mianował go generałem brygady. Po tak niespodziewanem powodzeniu, Toussaint przemyślać począł, jakim sposobem pozbyć się swego dobroczyńcy. Lavaux odgadując myśl Toussain'a czuwał nad nim z obawą; lecz gdy za wybuchnięciem powstania, generał ten dostał się w ręce

czarnych, Toussaint wówczas stanąwszy na czele kilkuset ludzi odważnych, stłumił bunt i uwolnił generała. Lavaux skutkiem tego mianował Toussain'a generał-porucznikiem, i odtąd przypuścił go do rządów. Takowy podział nie zadowolnił dumy Toussain'a, pragnącego najwyższej władzy. Chcąc ją ogarnąć całkowicie, sprawił, że generała Lavaux mianowano reprezentantem kraju, i tym sposobem opanował Saint-Domingo. Pozbył się kommissarzów konwencji i dyrektoryatu, zarówno, jak się był pozbył generała Lavaux: albo jednając na ich korzyść głosy wyborców z kolonii, lub też przedstawiając im, że ich obecność szkodliwą jest dla bezpieczeństwa publicznego. Chytróść jego, jak widać, połączona z odwagą, przyczyniła się do pomyślnego losu Toussain'a. Jakakolwiek byłaby jego śmiałość na polu bitwy, jakakolwiek moc i stałość w niebezpieczeństwie, nigdyby samą siłą oręża nie był dostąpił najwyższej władzy. Ów murzyn nieoświecony, który pisując do generałów francuzkich, pożyczał pióra od hiszpańskiego księdza, równie był przebiegły, jak najpiérwszy dyplomata, posiwiwały w europejskim gabinecie. Scigając baczniém okiem wypađki zachodzące we Francyi, nieustanne przemiany rządu, stosował własne postępowanie do odbieranych wiadomości. Nie lękał się konwencji ani dyrektoryatu, udawał, że przyjmuje rady i kontrolę kommissarzów przysyłanych z Francyi; ale pozostawiał ich przy tytularnej władzy. Dowiedziawszy się o upadku dyrektoryatu, a zarazem o utworzeniu konsulatu, Toussaint odgadł natychmiast, że wkrótce przyjdzie mu zdać sprawę przed nowym panem Francyi.

Wszelako widok zapalającej się wojny, zaspokoił go chwilowo. Piérwszy konsul nazbyt miał wiele do myślenia, aby się zajmować wyspą Saint-Domingo. A potém morze było pokryte nieprzyjacielskimi okrętami; francuzkie więc statki nie mając wolnego przepływu, nie mogły przynosić rozkazów piérwszego konsula. Podpisanie pokoju w Amiens, zmieniło nagle postać rzeczy; otwierając morze okrętom francuzkim, poddawało znów wyspę pod władzę rzeczypospolitęj. Pojął to Toussaint odrazu, a dowiedziawszy się o zawarciu pokoju w Amiens, począł się gotować do obrony. Bądź co bądź, pragnął powstać piérwszy, i pomimo uwag swych doradców, pomimo ostrzeżeń przyjacielskich, postanowił stać nie ustąpić z wywalczonęj władzy.

Ale jakąż była owa władza? Według wiarogodnego świadectwa była nieograniczoną, i mogła się zaledwie równać z władzą monarchów azyatyckich. Gdy razu jednego karcąc wszczęty bunt, wyłączył z szeregów najwinniejszych żołnierzy, oraz wydał im rozkaz, aby

się nawzajem rozstrzelali; ci uchylając się pokornie, z założonemi na piersi rękoma, oddalili się w milczeniu, dla wypełnienia wyroku. A jednakże moc samowładna Toussain'a nie była chwilową igraszką losu: nie da się wytłumaczyć wyższością jego umysłu, w porównaniu z umysłem jego współtowarzyszów niewoli, a teraz poddanych.

Owa moc na silniejszej wspierała się zasadzie—na sprawiedliwości. Jakoż rzeczywiście, jeżeli Toussaint przebierał niekiedy miarę w surowości, nigdy nie okazał się niesprawiedliwym. Obdarzony siłą Herkulesa, wskrzepiony jeszcze życiem czynnym i wstrzemięźliwym, sypiał zaledwie parę godzin i około mil dwudziestu objeżdżał konno codziennie. Spiesznie i surowo zwykł był karać najmniejsze przewinienia: ztąd jego wyroki, miały w sobie coś nadziemskiego.

Pomiędzy przestępstwem a karą tak mało zwykle upływało czasu, że murzyni uwierzyli naostatku, że oko pańskie ściga ich nieustannie, bez względu na odległość miejsca. Sam własnemi słowy utwierdzał ową wiarę. Nieraz zwykł był mawiać, wiodąc okiem po słuchaczach: „Oddalam się, ale pamiętajcie, że zostawiam wpośród was oko moje i ramię; oko, aby czuwało nad wami, ramię, aby wymierzało zasłużoną karę”. Chcąc nadto dodać uroku swój powadze, Toussaintogłosił się wnukiem jednego z królów afrykańskich; a rodowód prawdziwy czy zmyślony, znalazł wiarę pomiędzy murzynami. Toussaintprzyjmując usamowolnienie rasy murzynów w koloniach francuzkich, nakłaniał przecież dawnych współniewolników do zajęcia się na nowo uprawą roli, zapewniając im przez lat pięć czwartą część dochodu. Murzyni zadowoleni pozorną wolnością, weszli dobrowolnie pod jarzmo, a nowa władza Toussain'a ostrzejsza jeszcze od dawniej, ale jednego z niemi rodu zdawała im się łatwiejszą do zniesienia. Pochlebiali to ich dumie narodowej, i bez szemrania znosili najwyższą władzę nowego pana.

Koloniści odzyskawszy własność, błogosławili rządy Toussain'a, czując zbawienny wpływ jego opieki. Nie pragnąc bynajmniej pośrednictwa rzeczypospolitej w rządach Saint-Domingo, radzi byli z dyktatury, która przywróciła wyspie pokój, swobodę, dostatki.

Potrzebaby żelaznego ramienia, aby utrzymać w spokojności 400,000 murzynów, oraz zmusić ich, nadając im wolność, do pracowania na 20,000 białych i tyłuż mulatów! Żaden zapewne z Europejczyków nie dokazałby tego, co dokazał Toussaint. Nigdy stan kolonii nie był pomyslniejszym. Wypędzając Anglików i Hiszpanów, zmocnił i wzbogacił osadę francuzką. Za to téż Toussaint otoczony był licznym dworem, a pomimo jego wieku i szpetnej powierzchowności

wności, kobiety białe, nie pogardzały wyprawianemi przez niego uctami.

Człowiek tego rodzaju, posiada w sobie niewątpliwie zasób dramatyczności. Rozpocząwszy życie na najniższym szczeblu społeczeństwa, wznosi się do szczytu, a poznawszy w najwyższej władzy upojenie, w walce dumę z otrzymanego zwycięstwa, gaśnie zwolna w warowni, zdala od własnej ziemi. Takie położenie przedstawia pocie niezliczone warunki sztuki.

Uważając Toussain'a jako człowieka politycznego, można już znaleźć w jego życiorysie, skreślonym naprędce, materyał do wzruszenia, do zdziwienia, do ujarzmienia uwagi czytelnika. Dodawszy do tego stronę jego osobistą, której rys opuściłem z umyśłu, dla jaśniejszego wykazania politycznego jego stanowiska, jeżeli obok dumy, głównej namiętności Toussain'a, postawimy miłość rodzicielską, której pierwszy konsul przyzwał na pomoc w układach swoich, dla tém pewniejszego ujarzmienia dyktatora z Saint-Domingo; jeżeli rzucimy w objęcia sześćdziesięcioletniego wojownika dwóch jego synów Izaaka i Placyda, wysłanych do Francyi, powierzonych dyrektoryatowi jako zakład przez pułkownika Vincent, a sprowadzonych przez generała Leclerc, w charakterze pojednawców i zwiastunów pokoju: zdaje się, że sprzeczność uczucia rodzicielskiego z namiętnością polityczną, charakter ojca w sprzeczności z charakterem wojownika i człowieka stanu, nadają przedmiotowi nową wartość dramatyczną.

Toussaint zanim ujrzał własnych synów, walczył już z uczuciem rodzinném, w mniej drażliwej wprawdzie okoliczności, o której wspomnieć należy. Poznawszy pomiędzy buntownikami synowca swego Mojusza, jednego z najdzielniejszych swych dowódców, złożył sąd wojenny i potwierdził bez wahania wydany nań wyrok śmierci. Poświęcił Mojusza, dla tém pewniejszego ustalenia swój władzy. W obecności synów jakkolwiek wzruszony, nie zmienia przecież postanowienia. Wysłuchawszy w milczeniu ich prośb, jako téż mowy pana Coisonn ich nauczyciela, rzekł im: „Wybierajcie moje dzieci pomiędzy Francją a ojcem”. Wiele było w jego naturze bohaterstwa, obok tkliwszego uczucia. Jakkolwiek duma głośniej w nim przemawia, niżeli miłość kraju; jakkolwiek wiedział, że generał Leclerc nie przybywa w celu przywrócenia niewoli, ale jedynie dla poddania osady pod władzę rzeczypospolitej: nie pozostaje przecież głuchym na głos ojcowskiéj miłości, bo jeżeli synowie jego byli zakładnikami na ziemi francuzkiéj, w Hajty są tylko posłańcami. Cokolwiek bądź ojciec postanowi, życie jego dzieci nie może być wystawione na niebez-

pieczeństwo. Toussaint nie wątpi. Przez łatwe do pojęcia złudzenie, interes osobisty połączył z interesem krajowców, i wzbrania się przyznać lenności Francyi. Prośby dzieci nie zmieniają bynajmniej jego postanowienia; ale opór jego nie drażni w niczém świętości rodzinnego węzła, albowiem życie dzieci nie podlega niebezpieczeństwu. Cokolwiek postanowi, będą oni ocaleni. Jeżeli im każe wybierać, to nie dla braku uczucia względem nich: oto dlatego jedynie, że się ludzi co do rzeczywistego celu swój dumy, że widzi w osobistój sprawie, sprawę całego narodu; oto, że ma przekonanie, iżby nie dopełnił własnego posłannictwa, iżby znieważył otrzymaną od Boga władzę, gdyby się poddał ulegając namowom.

Walka tak pojęta, ma w sobie prawdziwie poetyczną wzniosłość.

Jaką chwilę z życia Toussain'a wziąć za cel dramatu? Jakkolwiek troista jedność Arystotelesowa wyszła dziś z użycia, zdaje się, że właściwie byłoby trzymać się jedności czynu. Pomijając jedność czasu i miejsca, mniemam, że jedność czynu zachować należy, albowiem ta wypływa z rozwagi, z rozsądku, z konieczności. Zdaje się zatem, iż należałoby wybrać z życia Toussain'a Louverture chwilę najwyższej jego potęgi, to jest epokę konsulatu. Dla zaostrenia ciekawości powszechniej, co jest głównym celem terażniejszych dramatów, możnaby wziąć także pierwsze lata jego życia, i okazać go naprzód w niewoli, a następnie w hiszpańskim wojsku. Nie sędzę jednak, aby to było zgodne z prawdziwie dobrym smakiem. Jakikolwiekby poeta wynalazł do tego barwy, uległby zawsze krytyce: albowiem biografia nie zgadza się z poezją. Podejścia Toussain'a w celu zjednania sobie najwyższej władzy, stanowią najwydatniejsze zarisy jego charakteru, których nie należy pomijać. Wszelako poetanie jest obowiązany stawiać nam przed oczy wszelkie jego zdrady; niech o nich sam pamięta, i z ich pasma stworzy właściwy charakter bohatera.

Teraz zachodzi pytanie, czyli autor może utworzyć pięć aktów dramatycznego poematu z samój jedynie walki pomiędzy Toussain'em, a generałem Leclerc, nie przyzwawszy na pomoc żadnego odrębnego ustępu? Zdaje się że można. Nie potrzebuję dodawać, że nie liczę bynajmniej do ustępów, walki dumy z miłością rodzicielską, albowiem ta stanowi: główną treść akcji. Dobrzeby było ujrzeć naprzód Toussain'a w całym blasku potęgi, wpośród dworu. Dla wierności historycznej, należałoby umieścić wśród murzyńskiego dworu, kobiety białego plemienia. Mniejsza o to, chociażby duma europejska obrażoną była takowém pomieszaniem. Jestto konieczność przedmiotu, od której nie godzi się uchylać. Przy końcu uczy za pierwszym pro-

mieniem wschodzącego słońca, możnaby zwiastować ukazanie się francuskiej eskadry, a Toussaint mógłby naprędce, zgromadzonym swoim dowódcom i sztabowi, objawić swą odpowiedź na nalegania generała francuskiego. Trzebaby, ażeby widze dostrzedz mogli *Dessalin'a*, *Laplumo*, *Maupas*, oraz słyszeć wydawane im rozkazy. Inaczej trudno będzie pojąć dziwny opór Toussain'a.

Nie zdaje się jednak, aby właściwem było wprowadzenie na scenę wszystkich dowódców; dosyć będzie wybrać z pomiędzy nich naj-srozszeo i najdzikszeo, *Dessalin'a*. Cóż było powierzone *Dessalin'owi*? Oto spalenie miasta Cap, w chwili, gdy stopa francuska miała dotknąć wyspy. Trudno pojąć dramat z życia Toussain'a, bez pożaru w Cap. Straszne to postanowienie zbyt spiesznie dokonane, jest nieuchronnym rysem w obrazie obrony Saint-Domingo. Pożar w Cap, powtarzam, powinien być widzianym; potrzeba, aby publiczność słyszała trzaskające pod płomieniem dachy; trzeba, aby wiodła okiem za nieszczęśliwemi matkami, ratującemi drobne niemowlęta, w walących się gruzach płonącego miasta.

Spotkanie Toussain'a z dziećmi po spaleniu Cap, przenosi widza w świat niepojętych wrażeń. Tu należy, ażeby charakter ojca odkrył się całkowicie z niepokojem i obawą właściwą ojcowskiemu sercu; a jednak trzeba, aby dumą pod maską patryotyzmu odniosła zupełne zwycięztwo. Trzeba, aby pan de *Coison* oddał Toussain'owi list Napoleona, zaczynający się od pochlebstwa, a kończący pogrozką; aby obok tego dał mu imieniem Bonapartego rozliczne przyrzeczenia, tak dla niego, jako i dla synów; ażeby dzieci błagały ze swęj strony ojca, wskazując mu niepodobieństwo oporu: aby nakoniec po ostateczném odmówieniu Toussain'a, Placyd powrócił do obozu francuskiego z panem de *Coison*, Izaak zaś pozostał z ojcem w Hajti.

Tu mimo woli nasuwa się wspomnienie Mitrydata. Stary Toussaint pomiędzy Placydem i Izaakiem, równie jak Mitrydat pomiędzy Pharnacem i Xyfaresem, powinien objawić synom swoje widoki i nadzieje. Anglicy ofiarowali mu królestwo Hajti. Jakkolwiek odmówił im dla nienaruszenia swęj niepodległości, dla zachowania zdobytej krwi władzy, może się przecieo cofnąć, a w takim razie, eskadra angielska przybędzie mu niebawem na pomoc. Pokój w Amiens, wiecznie trwać nie będzie: jestto tylko zawieszenie broni. Anglia z Francją poróżnią się znowu, a stary Toussaint z pomocą eskadry angielskiej, może być królem Hajti.

Toussain, pozostawszy sam z Izaakiem, zgromadza radę wojenną. Ponieważ ani pożar Capu, ani spalenie żywności wojskowej, nie zdołały

wstrzymać pochodu Francuzów; ponieważ czarni nie dotrzymają pola europejskim zastępom: pozostaje jeszcze jedyny środek, to jest zamknąć się wśród skalistych wąwozów Chaos, tam zająć stanowisko obronne, ukryć w wąwozach i rozpadlinach strzelców niewidzialnych z pewnym okiem, i ręką posłuszną oku. Niechajby każdy z dowódców wezwanych do rady, objawił głośno swe zdanie, wskazywał miejsca najwłaściwsze do obrony, najpewniejsze zasadzki, najgłębsze jary i wąwozy, a widzowie słysząc przerażającą naradę, pojeliby dokładnie, że dla Toussain'a idzie o ostatnie wysilenie, o śmierć lub życie. Niechby Izaak pomimo spokojnego usposobienia, uczył w sobie naówczas nadzwyczajną podniecie, i poprzysiągł umrzeć przy boku ojca.

Toussaint nakoniec chroni się pomiędzy skały Chaosu. Warownia ta zbudowana ręką Boga, oddala wszelką myśl niebezpieczeństwa. Jakieżby wojsko było dość śmiało zapuścić się w owe otchłanie, których końca oko nie doszedzi? A jednak generał Leclerc nakazuje szturm. Odparty kilkakrotnie, powraca zawsze z równą gwałtownością. Toussaint i jego wodzowie walczą bohatersko; ale zimna krew i karność wojskowa z jednej strony przemagają, z drugiej dzielność i oburzenie. Toussaint pragnie umrzeć z bronią wręku, ale zmuszony jest poddać się nieprzyjacielowi.

Nie było tu bynajmniej naszym zamiarem kreślić planu poematu dramatycznego. Szło tylko o wykazanie poezji zawartej w życiu Toussain'a Louverture, i zastosowanie jej do potrzeb dramatycznych. Porównajmy teraz historią, do dramatu p. Lamartina. *Zdaje się*, że historia nie powinna tu wyłącznie rządzić poezją. Gdyby albowiem poezya miała się okazać niższą od historyi; gdyby zamiast poetyzowania i podnoszenia prawdy, miała podawać środki czcze i niedołężne: naówczas byłaby niegodną wysokiego swego posłannictwa.

Pierwszy akt nowego dramatu podobny jest do rozpoczęcia opery. Tańce i śpiewy służą za ramy ustępowi lirycznemu, nakształt murzyńskiej Marsylianki wypowiedzianej jak lekcya, a której z niewiarą słuchamy. Powtarzana z chórem zwrotka, daje hasło do tańca. Śpiew wprowadzie w niektórych ustępach dramatycznych ożywie nader wystawę; w takim przecieź razie trzeba, aby śpiewy mało zajmowały czasu, i nie odwracały uwagi od głównego celu. Ale w pierwszym akcie Toussain'a śpiew równie ma znaczenie z deklamacją: zatem strofy nowej Marsylianki, zachęcające do zgody i przebaczenia, mało budzą zajęcia w rozerwanjej uwadze słuchacza. Temat wybrany przez p. Lamartina do lirycznego ustępu, w dziwnej jest

sprzeczności z dalszym postępowaniem akcji. Poeta zaleca w nim przebaczenie, zgodę, a przecież za chwilę ma wybuchnąć wojna. Tu wypada nam uczynić dwa ważne spostrzeżenia ze stanowiska historycznego.

Gdy Bonaparte wysłał generała Leclerc do Saint-Domingo, usamowolnienie czarnych już było dokonane od lat dziesięciu; a jeżeli murzyni nie używali zupełnej wolności, jaką im nadała konwencja, nie mieli prawa obwiniać o to rzeczypospolitą. Powtóre, naczelnik kolonii wiedział dobrze, że wyprawa francuzka nie miała na celu przywracać zniesione niewolnictwo. Owa zatem Marsylianka, mogła być stosowną przed dziesięciu laty, za zgromadzenia prawodawczego, ale za konsulatu nie przypada bynajmniej w porę.

Po ukończeniu ostatniej strofy, słyszymy skargę bolesną młodej mulatki. Adryanna synowica Toussain'a Louverture, kocha miłością namiętą starszego syna dyktatora, któremu pan Lamartin w miejsce Placyda nadał imię Alberta. Jest zapewne wiele wdzięku w słowach Adryanny, a jednak skarga jej byłaby nierównie tkliwszą, gdyby nie zbyteczna jej rozwlekłość.

Czyż była potrzeba przyczynienia do głównej historycznej osnowy, miłosnego romansu? Zdaje się że nie: albowiem dalsze wypadki są tak wielkie, tak przerażające, że historia musi je zatrzyć koniecznie. Miłość Adryanny do Alberta, jakkolwiek umiejętnie przez poetę prowadzona, mało jest znaczącą wpośród walki, w której pada kilka tysięcy ludzi.

W drugim akcie widzimy Toussain'a otoczonego wojskiem. Już zdala spostrzegają eskadrę. Za kilka godzin wojsko francuzkie zajmie Saint-Domingo. Należy stawić opór; Toussaint nie waha się ani chwili: postanowienie jego zdawna jest nieodmienne. Wojsko z poddaniem słuca jego rozkazów. Wszelako z kilku słów, których on nie słyszy, łatwo odgadnąć, że wojsko nie ma w nim zupełnego zaufania, że zazdrości jego wyniesieniu, i lęka się jego dumy.

Dyktator pozostawszy sam, rozpoczyna monolog dziwny, niestosowny ani do miejsca, ani do czasu, ani do osoby. Rozczuła się, lituje nad bolesnym swym posłannictwem, jak Mojżesz u stóp Synaj, zanim odebrał tablice prawa. Drży przed straszną ciężką nad nim odpowiedzialnością, i z przerażeniem patrzy na ogrom swego powołania. I jakby niedość było poprzestać na czterechkroć stu tysiącach murzynów, których los rzeczywiście spoczywa w jego ręku, mówi o milionach dusz, które może ocalić rozumną przecznością, lub też zgubić nierozważnym zuchwalstwem.

Tu należy koniecznie zapytać: czyli podobna, aby Toussaint nie znał liczby swoich poddanych? Ów monolog, przypominający obrazami biblijnymi prawodawcę Hebrajczyków, jest niewłaściwym w ustach murzyńskiego wodza.

P. Lamartin chcąc podnieść osobę, pozbawił ją właściwej barwy. Nie wymagając nawet ścisłego prawdopodobieństwa, niepodobnego czasami w poezji, zapytam się tylko, czyli Toussaint, człowiek chytry i wytrwały, może tak dalece w marzeniu odstąpić od rzeczywistości? Niechaj murzyn nieuczony mówi ile sanu zechce, niech obwija myśl swoje w rozmaite obrazy—zgoda; ale niech owa myśl wypływa z jego charakteru.

Mnich, którego nauki wyrwały umysł jego z ciemności, i z niewolnika uczyniły człowiekiem, schodzi go w chwili niepokoju i trwogi. Toussaint myśli właśnie o swych dzieciach, zabranych jako zakład, i z przerażeniem pogląda na wojnę, której pragnął dopięro. Mnich dziwném zastosowaniem katolickiej zasady, zwraca go do pierwszego przedsięwzięcia. „Drżysz o twe dzieci—mówi on, wskazując na ukrzyżowanego Chrystusa—czyliż Bóg nie poświęcił własnego syna za zbawienie ludzkości?—Jeżeli Toussaint pamiętał dawne nauki mnicha, mógł uważać porównanie za niewłaściwe. Bóg albowiem poświęcając jedynego syna, wiedział, że jedném słowem może go zwrócić do życia; a któryż ojciec posiadał kiedykolwiek podobny przywilej?

Toussaint jednakże daje się przekonać wymowie mnicha, i pada u stóp krzyża. Widok ran Zbawiciela wzmacnia jego wiarę i odwagę, gdy w téjże chwili nową napotyka sprzeczność. Za chwilę walczyć ma z białymi, a teraz modli się do ich Boga. Nie jestże to szaleństwem? Ów skrupuł jest wielkim zarzutem przeciw chrześcijaństwu. Nie wchodząc w mniemanie dzisiejszych uczonych o pierwiastkach rodu ludzkiego, wiadomo, że *Genesis* wyprowadza wszystkich z jednego szczepu. Bóg białych jest zarazem i Bogiem czarnych, ponieważ wszyscy ludzie są synami Adama. Sprawiedliwość boska nie patrzy na kolor skóry błagającego. W próżnej obawie i gniewie Toussainta, jest drobiazgowość trudna do wytłumaczenia. Jakże p. Lamartin, który pysznemi słowy opiewał tylokrotnie chwałę Zbawiciela, mógł się do tego stopnia poniżyć, wymyślając takie nikczemne drobnostki? Wtém Adryanna nadchodzi, a Toussaint dla rozpoznania planu generała Leclerc, przebiera się za ślepego żebraka; Adryanna ma prowadzić nowego Belizaryusza.

Trzeci akt opiera się cały na owym nędznym wybiegu. Jeżeli środki tego rodzaju mogły uchodzić u starożytnych, stają się śmieszne w zastosowaniu do obecnego czasu. Trzebaby przyznać generałowi Leclerc dziwną nieznamość wojennego rzemiosła, aby przypuścić, że nie znał z dokładnego opisu, oblicza swego przeciwnika. Generał Leclerc dobrowolnie wpada w zastawione sidła. Nie wie sam gdzie szukać nieprzyjaciela. Pisze więc do niego list na ręce ślepego żebraka. Generał zapytuje starca, czyli zna Toussain'a? Żebrak odpowiada: że w przeciągu trzydziestu lat sypiał z nim pod jednym namiotem. Czy Toussaint kocha własne dzieci? Gdyby go sam Bóg zapytał, jeszczeby się wahał z odpowiedzią.

Dalsza rozmowa w tymże samym postępuje duchu. Dzieci dyktatora siedząc obok generała Leclerc, słyszą głos ojca, ale go nie poznają. Spostrzegają jakieś ogólne podobieństwo, ale łachmany żebraka budzą w nich wątpliwość. Ojciec stoi przed nimi, ale oni nie rzucają się w jego objęcia. Żebrak mówiąc o swym przyjacielu dyktatorze, wprawia w podziwienie sztab generała. Nikt przecież nie ma w podejrzeniu żebraka, który przyrzeka oddać wodzowi czarnych list Leclerca.

Niepodobna okazać się łatwowierniejszym, grzeczniejszym i z większym wdziękiem wspierać zamiary przeciwnika. Toussaint nie korzysta ze swego stanowiska, nie zadaje żadnego pytania. Przebrał się za żebraka dla zbadania planów wojska francuzkiego, a mimo to, nie szuka żadnego objaśnienia. Generał Moise uwiedziony równie jak Albert i Izaak przebraniem Toussain'a, zdradza przed generałem francuzkim, plany murzyńskiego wodza. Toussaint przebija go, i wśród poświstu kul, rzuca się w morze; Adryanna zostaje uwięzioną.

Pomysł całej téj sceny, godzien jest dzieciennych czasów sztuki.

Adryannę przykuwają do murów więzienia. Szczęściem, dozorca doprowadza do niej dwóch synów Toussain'a. Tu następuje czuła scena, która mogłaby nieco zająć, gdyby nie była zbyt długa i niestosowna. Jakim sposobem synowie Toussain'a dostali się do więzienia Adryanny? jakim sposobem oddalili się od boku generała? — autor nie wspomina o tém wcale. Żołnierze przytrzymują synów dyktatora, a dozorca wraca wolność Adryannie. Dowiadujemy się z kilku słów niewyraźnych, że Adryanna jest córką generała Leclerca i jednej z siotr Toussain'a, urodzona podczas pierwszego pobytu generała na wyspie Saint-Domingo. Ztąd wynika nowe i zupełnie niepotrzebne powikłanie. Ten wypadek nie przy-

spiesza ani na chwilę postępu akcji, nie obudza najmniejszego zajęcia.

Nakoniec jesteśmy w skalistych wąwozach Chaosu. Toussaint otoczony wojskiem, postanowił drogo zaprzedać życie, jeżeli nieprzyjaciel zdoła się przedrzeć do niego. W tej stanowczej dopiero chwili, podobano się poecie umieścić pierwsze spotkanie ojca z synami, i odczytanie listu pierwszego konsula. W tej scenie wdzierają się niekiedy słowa niezaprzeczonej prawdy; cóż! — kiedy giną w potoku zbyt wielu wyrazów. Miłość rodzicielska głęboko jest uczuta, a autor umiał ją przybrać w godne przedmiotu barwy. Gdyby się umiał zatrzymać w porę, gdyby nie psuł wrażenia własnych słów zbyt wielką, zachwyciłby nas niewątpliwie. Ojciec walczy długo, zbyt długo, przeciw dumnemu wodzowi, a zwycięstwo dumy nad miłością ojcowską, niewiele sprawia wrażenia, albowiem było zbyt wiele czasu na przygotowanie się do niego. Charakter Alberta i Izaaka za ledwie jest odszkiecowany, a miłość synowska nie tak dobrze oddana, jak uczucie ojca dla dzieci.

Okrzyk Izaaka po wysłuchaniu listu pierwszego konsula, nie zgadza się z wychowaniem, odebranym we Francji. Izaak oswojony z europejską nauką, nie mógł tak dalece trzymać się przesądów swego rodu. Jeżeli przed chwilą Toussaint zdziwił nas nazywając Chrystusa Bogiem białych, Izaak równie niewłaściwie mówi do Alberta, zachęcając go, aby pozostał przy ojcu i nie wracał do Europy: „Bonaparte jest białym”.

W oczach Izaaka, który własnymi oczyma patrzył na chwałę konsulatu, Bonaparte nie może być prosto białym, ale raczej człowiekiem wyższego pojęcia, niezłomnej woli, rzadkiej rozwagi, stworzony do panowania. Jeżeli miłość synowska odrywa go od Francji, nie może zaprzecć odrazu wrażeń odebranych wpływem wychowania. Izaak pomimo młodości, zbyt wiele ma rozumu i światła, aby miał uważać Bonapartego za nieprzyjaciela czarnych. Jeżeli przechyla się na stronę ojca, powinien to uczynić z poświęcenia, powinien znać niebezpieczeństwo, daremność oporu, a nie działać na oślep, jak nieoświecony murzyn. Niechaj radzi się własnego serca, a nie dziwnego uprzedzenia względem białych.

Powrót mnicha, podniecającego w końcu gniew i oburzenie dyktatora, nie należy bynajmniej do szczęśliwych pomysłów. Nowa deklamacja o świętości praw czarnych, nie tylko że nie podnosi osoby wodza murzynów, ale nadto czyni z niego mimowolną sprężynę. Każdy łatwo pojmie, że Adryanna na widok oddalającego się Alber-

ta, oddaje się rozpacz; ale nikt nie zrozumieć, dlaczego Toussaint powierza jój czarną chorągiew: żałobne godło rozpaczliwej walki. Stary wódz nie może bez okrucieństwa wystawiać siostrzenicy na kule nieprzyjacielskie. Przeciw temu oburza się zdrowy rozsądek. Adryanna pada ugodzona śmiertelnie. Na tém zakończy się dramat.

Niechże czytelnik zechce porównać dramat pana Lamartina, z historią odszkiecowaną poprzednio; niech porówna rzeczywistość z poematem, a osądzi sam, z której strony przeważy zajęcie, wzniosłość, wrażenie!

Pozostaje jeszcze wspomnieć o stylu. Słyszałem chwalących styl Toussaint Louverture, ale mniemam, że pochwały nie były szczerze. Jeżeli idzie o złożenie hołdu gieniuszowi pana Lamartin, któż nie uczi *Dumań*, *Harmonii*, *Jocelina*; trudno jednakże wielbić układ i styl Toussain'a Louverture. Jeżeli styl *Dumań* nie jest bez zarzutu ze względu czystości, ma przecież niezaprzeczone zalety. Obrazy rodzą się z myśli, myśl wywołuje obrazy. Jeżeli styl *Harmonij poetycznych* nie jest zawsze dosyć jasny i przejrzysty, nieraz samo zawikłanie tłumaczy się daje zbytciem uczuć, przepelniających duszę poety. Jeżeli *Jocelin* jest raczej pięknym szkicem, aniżeli wykończonym obrazem, za to styl *Jocelina* łatwy jest i niewymuszony.

W Toussaint Louverture nie widzimy żadnej ze wspomnianych zalet. Zbytek obrazów maskuje częstokroć ubóstwo myśli, i nie zdoła go nawet pokryć dostatecznie. Porównania niekiedy niewłaściwe, niezgodne z naturą wyrażonego przedmiotu; olśnią wprawdzie na chwilę, ale nie pozostawią żadnego stałego wrażenia. Czyż wolno naprzykład powiedzieć, że uprawa trzciny cukrowej wydobywa miód z łona ziemi? W czémże praca pszczół dobywających słodycz z kielicha kwiatów, podobną jest do pracy murzyna? Czyż wolno powiedzieć, że praca niewolników plami krwią skibę i serce? Czyż Toussaint, dowiedziawszy się o przybyciu synów, może mówić, że każą beczkę jagnięciu dla przynęcenia wilka? Odkądże jagnięta bywają dziećmi wilków?

Pan Lamartin, równie jak każdy człowiek wyższym obdarzony gieniuszem, otoczony jest pochlebcami powtarzającemi mu codziennie: że nic złego utworzyć nie jest w stanie. Lepiejby się nie łudził śmiesznymi pochwałami. Jeżeli pan Lamartin chce pisać dla teatru, powinien się wyrzec wszelkich dawnych nawyknień. Gdyby nawet cudownym sposobem odzyskał dawny styl *Dumań* i *Harmonii*, i to byłoby niedosyć; albowiem ów styl właściwy elegii, nie odpowia-

da potrzebom dramatu. Styl dramatyczny powinien być zupełnie odmienny od lirycznego; ponieważ natura poezyi zupełnie jest odmienną, a zatem i forma równie odmienną być musi. Dla duszy wyśpiwującej swe wrażenia w harmonijnych westchnieniach, treściwość nie jest konieczną, gdy tymczasem człowiek działający w walce z namiętnością, nie może być rozwlekłym.

P. Lamartin nie pojmuje, jak widać, tój różnicy, i zarówno w dramacie, jak w elegii, wyraża myśl swą podług upodobania.

Od lat trzydziestu pan Lamartin dziedziczy niezaprzeczoną sławę; niewłaściwie zatem szuka nowych wieńców, niewłaściwie porzuca utorowaną drogę, i zapuszcza się w ciemne bezdroża. Ktokolwiekby go zachęcał do nowego przedsięwzięcia, znieważylby tém samym dotychczasową jego sławę. Trudno zaprawdę rzec się trzydziestoletniego nawyknięcia. Sława jego przeszła dosyć jest świetną, może więc na niój poprzestać. Niechajby raczej nie rozpoczynał nowego zawodu, nie porzucał marzenia dla czynu, nie zapominał samotnych dumań, a postępując dotychczasowym torem, nowym liściem okryje natchnione swe czoło.

(Revue des Deux Mondes. Tom deuxième. 1850).

Gustaw Planche.



SMUTNO MI, BOŻE!

Niepojętym ludzkość torem,
Do swych skrytych celów bieży;
A człek wierzy—duszą wierzy,
Że idący ród za rodem
Postępowym idzie chodem;
Że z popiołów téj idei,
Którą każdy wiek z kolei,
W poczet wielkich prawd swych stawia,
Fenix wzleci—i zaświeci
Słońcem prawdy, co świat zbawi.
I przed prawdy téj aniołem,
Pokolenia biją czołem,
Łzy, krew płynie, bój się wzmacza;—
Aż na czasu zmiennój fali,
Rzeczywistość staje naga,
I wzniesiony gmach idei,
Cnotą wiary i nadziei,
Własną ręką człowiek wali....
I powstaje potem głucha
Noc zwątpienia w głębi ducha,
I marzące ziemskie dziecię,
Gorzko ze snów świętych budzi,
Marę prawdy w popiół miecie,
Serce omgli, myśl wystudzi:
Bo czyż prawda jest na świecie?
Bo czyż prawda jest dla ludzi?...

* * *

Zabłąkany w ziemskiém kole,
Obcy wszystkim, sam w rodzinie,

Któżto z gwiazdą tą na czole,
 A zpod gwiazdy łza mu płynie?
 Dwie korony mu na skronie
 Bóg położył od powicia:
 Jedną sławy—lecz po zgonie,
 Drugą męczeńską—za życia!

Bo on czuje za miliony,
 A głos każdy przyrodzenia,
 Odbija się w nim na tony:
 To rozkoszy, to cierpienia.—
 I wnet z lutni, której struny
 Bóg nawiązał w jego duszy,
 Śpiew wychodzi Orfeuszki;
 Śpiew wychodzi—i jak echo
 Podstuchanych z nieba pieni,
 Płynie wonią po przestrzeni,
 Gra to żalem, to pociechą;
 To znów burzą na pierś spada,
 Grzmi piorunem—znów wolnieje,
 I w czułości akord wpada,
 Jakby we łzach, które leje,
 Czerpał wiarę i nadzieję.
 Tak on śpiewem opowiada,
 Wszystkie uczuć swoich dzieje.
 Tłum zdziwiony pieśni słucha;
 Ale wie-ż kto, co się dzieje
 W natchnionego głębi ducha?
 Ile przeżył burz, katuszy,
 Nim wyłonił ten śpiew z duszy!
 Jakim ogniem wprzód go spali
 Myśl gorąca i uczucie,
 Nim na słowa wyjdzie fali,
 W rzewnej piosnce się skryształi,
 I w niebieskiej zabrzmiał nucie!

Bo on cierpi za miliony,
 I w cierpienia rośnie dymie.
 A duch Pański weń wcielony,
 Przez ust jego dźwięczne tony,
 Sieje wyższej prawdy siów;
 A co piękna nosi imię,
 Co wysokie i olbrzymie,
 To wnętrzości jego krew.

Gdy on na świat ten przychodził,
 Słowik czułą pieśń zawodził,
 I wlał w niego ten swój śpiew.
 Gdy więc lutnię swą poruszy,
 Płynie taki śpiew od duszy,

Że aż słodki chwyta dreszcz,
I oddychasz jakby rajem:
Pieśń mu życiem, ludzkość krajem,
A na imię jemu—wieszcz!

Biédny wieszczu, orle plemię!
Żal się Boże twego głosu,
Dla tych ludzi, na tę ziemię!
I ty boskich krajów dziecię,
Nie takiegoś warte losu;
Wiatr od ludzi chłodem miecie,
Zimno tobie na tym świecie!

Gdyby kto—z tych słów miliona,
Którę rzucasz pośród gminu,
Podjął z ziemi czystą dłońią,
I w głąb swego zamknął łona;
Światby zakwitł cnoty wonią,
A każde słowo z miliona,
Co przepada dziś śród gminu,
Zabrzmiałoby hymnem czynu!

Bo ty kochasz za miliony,
A twój lutni każde słowo,
Gra miłością Chrystusową;
Bo ty jesteś naznaczony,
Czuć za wszystkich najboleśniej,
A sam zbierać życia głów:
Miłość nutą twojej pieśni,
A miłością twoją—Bóg!

I tak zejda twoje lata,
Niepoznany pośród gminu:
Bo nie z posad tego świata,
Twe królestwo, orli synu!
Aż po długim lat okresie,
Gdy snem wiecznym duch twój zdrzymie,
Brzmiące chwałą twoje imię,
Echo na grób twój zaniesie....

* * *

Szczęście, szczęście!—słów muzyka,
Gra cudowném w duszy echem.
A pogoni człek z pospiechem,
Za tą błędną skrå płomyka:
Płomyk w oczach jego znika,
I znów błysnie mu gdzieś w dali;
W licu pięknej się zapali,
Na laurowym listku mignie.
Człek znów goni—lecz wietrznika
Nie dogoni, nie doścignie!

I niejedon wiek przeciągnął,
 Po ludzkości starym rodzie;
 A ilekroć człek wyciągnął
 Dłoń po szczęście — i chciał dostać
 Nikłą widma swego postać:
 Przyszedł zawód po zawodzie,
 I w zdobytym wskazał łupie,
 Miasto szczęścia — kości trupie!

Po cóż, po cóż więc pojęcie
 Szczęścia, rajy i swobody,
 Gdy nie przyjdzie w niebo więcie?
 I nic z ziemskiego odmetu
 Nie popchnie życia okrętu,
 Na błękitne, lepsze wody?

A przecież człek panem świata!
 Jego woli wszystko służy:
 I blask słońca, i woń róży,
 I co ma ziemia bogata,
 U jego składa podnóży.
 Lecz on więcej, więcej łaknie,
 Trawiony żądzy chorobą;
 A czego mu w sobie braknie,
 Szuka daleko — za sobą.

Póki jeszcze chce śród szału,
 Na urojeń skrzydle kruchém
 Gonić za szczęścia podmuchem,
 I podkłada proch zapału
 Pod swe skrzydła — by doptynać,
 Lub wysadzić się w powietrze
 Własnym duchem,
 I tak zginać:
 Ha! przynajmniej tu czyn zetrze
 Winę błędu; a z dóbr życia
 Dostyc jeszcze mu zostało,
 Kiedy z ruin i z rozbicia,
 Uniósł cnoty skarb na cało.

Ale — gdy świat samoluby,
 Wieku swojego posłucha,
 I z mylnój szczęścia rachuby,
 Na materyą stopi ducha,
 I tym w życiu pójdzie torem;
 A myśl bożą tak wystudzi,
 Że i liczbą i rozbiorem
 Zrodzi kupców a nie ludzi:
 Szczęście ztamtąd precz ucieka,
 I rumieńcem wstydu płonie,

Że go chciano w głazie—człeka
Marmurowém zamknąć łonie.

Ab! bo szczęście—to dar święty,
Dar najświętszy z rozsypanych
Na tę ziemię; a podjęty
Tylko sercem, przez kochanych.
Nie postępu przywian ruchem,
Nie idea, ale duchem.
W ciszy, w cieniu żyje chętniej,
Wiążąc w pary serc ogniwa;
A na ludzkość się rozléwa
Tam, gdzie duch się roznamiętni,
Tak, że z mogił aż grobowych,
Pulsem życia w czyu zatętni,
I w płomień żar rozdmucha:
Na praoców płynie z ducha,
A na dzieci, z cnót ojcowych.

Gdyby człowiek raz otworzył
Wzrok na światło prawdy czystej
I na sercu myśl położył,
I na sercu myśl postawił:
Do tej pracy promienistej,
Sam Bóg rękęby przyłożył,
A drugąby błogosławił.

Wtenczas, wtenczas—na tém polu,
Gdzie dziś ludzkość we łzach, w bólu,
Rzuca w ziemię puste ziarno,
Nie byłoby już kąkolu,
Nie zeszłoby nic na marno:
Ale z ziarna kwiat—a z kwiatu
Zszedłby owoc tak wysoki,
Żeby strzelił pod obłoki,
Chwałą Bogu, szczęściem światu!

1 maja 1850 r.

Henryk Cieszkowski.



DZIWNE DZIEWCZE.

Mgłą zachodzi dni mych zorza,
 Blaski życia bledną:
 Cóż mi młodość?... co twarz hoża?...
 Z Jasnej Góry Matko Boża!
 Módl się za mnie biedną!

Biednaż, biędna ja wśród świata,
 Boże mocny mój!
 Tęskność głazem pierś przygniata,
 Ledwie ptaszkiem myśl skrzydlata.
 Weź mię, weź mię, weź mię z ziemi,
 Bom tu nie jest między swemi....
 Weź do siebie twą dziecinę,
 Bo się z żalu w łzy rozplnę,
 Niby szklanny zdrój.

* *

Jam szalona, albo chora.
 Sama się już dziwię....
 Dzisiaj tęsknię, żal mi wczora,
 Jutra strach mnie, jak upiora;
 Dziwnam ja prawdziwie!

Jabym rada być ptaszyną,
 Śmigającą w dal,
 Łzami chmur, co w tęczę spłyną,
 Muszką, rybką, źdźbłem, rośliną,
 Tchem, promieniem, dźwiękiem, listkiem,
 Próżnią, pełnią, niczém, wszystkiém,
 Jasnym dzionkiem, nocną dobą,
 Byle tylko nie być sobą,
 Bom ja łza i żal.

* *

Knę was ptaszki w imię Boga,
 Powiedz mi téż który,
 Czy was ziemską pędzi trwoga?
 Czy wam z chmur wskazanych droga,
 Na świat patrzeć z góry?

O mój Boże! mój jedyny!
 Kędyż w niebo ślad?...
 Ptaszkomżeto w gwiazd krainy,
 Nie nam—dzieciom twój dziedziny?
 Nie nam—światłom twego łona?...
 O jam dziwna.... jam szalona....

Tęsknoź, dziwnieź myśl ma wzlata:
 Albow ja jest nie dla świata,
 Lub nie dla mnie świat.

* * *

Biedna matka, łzawa, blada,
 Tuli swą niebogę,
 Płacz jój serce wskrós przejada;
 Jabym inną stać się rada,
 Cóż kiedy nie mogę.

Pięknieź ma być na tym świecie,
 Kto się wpatrzeć chce:
 Woń, harmonia, blaski, kwiecie;
 Nie płacz, baw się ziemskie dziecię....
 Tylko, komu łza wzrok mroczy,
 Temu cieniem blask uoczy,
 Temu trupem obraz żywy.
 Nie, nie dla mnie ziemskie dziwy,
 Świat nie dla mnie, nie!

* * *

Dla mnie sen chłodnego łoża,
 Myśl, wspomnienie jedno,
 Skromny krzyżyk u rozdroża....
 Z Jasnej Góry Matko Boża!
 Módl się za mnie biedną!

F. F.



EMERYT.

POWIEŚĆ.

PRZEZ

Józefa Korzeniowskiego.

VIII.

Z licznego szeregu wad, którym ulegamy, najbardziej uderzającą wadą jest zupełny brak krytyki i zdrowego osądzenia wiadomości, które do nas dochodzą. Wada ta jest tak powszechną, że nie tylko ludzie prości, nieoświeceni, ale nawet osoby ukształcone, i w tak nazwaném wyższém towarzystwie żyjące, zarówno jój ulegają. Nie masz plotki tak niedorzecznej, nie ma banialuki tak niepodobnej do prawdy, któraby nie znalazła wiary i rozgłosu. Przechodzi ona piorunem całe miasto, całą okolicę, cały powiat i gubernią; jak grudka śniegu tocząca się, nabiera objętości i tuszy, i wraca do miejsca, gdzie się urodziła, z kąd ruch swój rozpoczęła, w postaci bałwana mającego już formy straszące i potworne. Wprawdzie zawsze i wszędzie ludzie mieli i mieć będą tę samą słabość. Ztąd opis Wirgiliusza *wieści*, którą on *najszybszém złem* nazywa, będzie wiecznie prawdziwym. Ale nigdzie podobno złe to nie było i nie będzie szybszém i gorszém, jak u nas. Przyczyną tego są inne cztery główne wady, które w najwyższym stopniu posiadamy, to jest: *łatwowierność*, która zgoła nic nie rozbiiera, *gadulstwo*, które potrzebuje koniecznie mieć materyał, *próżniactwo*, które przeszkadza do nabycia zdrowego i pożywnego do wygadania się materyału, nareszcie *improvizowanie*, w którém prawda niezmiernie podrzędną gra rolę. Otóż, nie chce się nam

pracować i nabywać wiadomości, a chce się nam nadewszystko gadać; porywamy więc pierwszą lepszą wiadomość i o niej gadamy: lecz rzadko ta wiadomość jest taką, aby dostarczyła wątku do sporój gadaniny i aby w swojej nagości zajęła. Ubieramy ją więc różnemi przydatkami, i tak przystrojoną puszczaemy na dalszą wędrówkę i na dalszą maskaradę. Byłoby to jeszcze nic, gdyby się na tém kończyło. Ale wieleżto razy dlatego tylko, żeśmy pracować nie chcieli i nie mieli o czém gadać, narażamy na szwank gadaniną naszą honor ludzi uczciwych, reputacyą niewinnych kobiet, pokój domowy małżonków; wieleżto razy podajemy w podejrzenie opinie i sposób myślenia ludzi zacnych i dobru ziomków oddanych; wieleżto razy, durząc płochą i potwornie przystrojoną gadaniną głowy słabe i niedoświadczone, zanosimy łzy i nieprzetrawioną boleść na łono familii, rozdieramy serca matek i okrywamy przedwczesną siwizną głowy ojców! Wirgiliusz nazwał to złém najszybszém; mybyśmy śmiało mogli nazwać to samo naszym najzgubniejszym i najśmiertelniejszym grzechem. Ale dajmy pokój postrzeżeniom moralnym, zwłaszcza, jeżeli mają się kończyć tak gorzkimi prawdami. Tyle się u nas rzuca grochu na ścianę z ksiązek i z ambon! Spodziewamy się więc, że i powyższe nasze uwagi także na nic się nie przydadzą, i dlatego wolemy powrócić do powodów, które nam je natchnęły, i nie przerywać sobie więcej ciągu opowiadania.

W kilkanaście dni po owój wizycie, które przeszły p. Romanowi smutno i na filozoficznych rozmyślaniach, rozeszła się po okolicy pogłoska, że p. Roman przesiedział u pani Rożewskiej półtora tygodnia; że przez cały ten czas zręczna kobieta rozmaitemi sposobami najoczywistszej zalotności wciągała go w swoje sieci; że p. Winicka, której to jest najgorętszém życzeniem, aby złapać p. Rożewską dla swego synowca, patrzyła na ich postępowanie przez palce, umyślnie szła wcześniej spać, aby młodzi ludzie mogli przesiadywać z sobą do pierwszej i do drugiej w nocy; że gdy się zdarzył kto z gości, wtenczas p. Rożewska wymyślała przejażdżki, dla gości powozem, a sama z p. Romanem jeździła zawsze konno, i spacer przeciągała zwykle do późna, aby mogła z kawalerem swym jechać w nocy; że raz w czasie takiej przejażdżki, gdy się koń p. Rożewskiej spłoszył, przestraszona rzuciła się w objęcia p. Romana, i trzymała się jego szyi póty, póki się koń nie uspokoił, co wszyscy goście na własne oczy widzieli i pod słowem honoru upewniali; że w skutek téj wizyty, już po-

dobno p. Rożewska będzie musiała pójść za p. Romana; że gdy się o tém wszystkiém dowiedział p. Władysław, którego tyle razy obietnicami swemi łudziła, w taką wpadł złość, zwłaszcza, że źle stoi w interesach, które przez to ożenienie spodziewał się poprawić, że wyzwał p. Romana, ale ten wyzwania nie przyjął.

Wszystkie te wieści, w najdrobniejszych szczegółach, doszły do ucha osób interesowanych rozmaitemi drogami: przez uczynnych przyjaciół, którzy przyjeżdżali winszować, a winszując wygadywali się przez głupstwo z tém wszystkiém, co wiedzieli; przez złośliwych, którzy umyślnie i niby nie wiedząc zapytywali, czy to prawda, czy to podobna? przez listy winszujące Krystynie wyjścia za mąż, p. Winickiej ożenienia się siostrzeńca; zamykające, przy najszczerzych życzeniach dalszego szczęśliwego pożycia dla tak miłej pary, ubolewania nad złośliwością ludzką, która rzecz tak prostą, jak skłonność wzajemną dwojga młodych i niezależnych ludzi, wykrzywia i stroi dodatkami, które im ubliżają. Bo naprzykład, czy to podobna....pisze jedna pani w swym liście, i tu wypisuje niby najniewinniej całą banialukę, którą za rzecz najpewniejszą słyszała. W podobnym guście był list p. marszałkowej. Tak się on kończył: „Łatwo droga pani wniesiesz, że nikogo bardziej baśnie te nie rozgnicwały, jak mnie, która przecież byłam w Myszowcach, i nie zapomnę ani chwil miłych, jakie tam przepędziłam, ani uprzejmości p. Rożewskiej, i atencji p. Romana. Widziałam ja wprawdzie dobrze, na czém się to skończy; ale cóż to dziwnego? czyż oni oboje nie młodzi? nie urodziwi? nie godni siebie? To zazdrość, nic więcej. Chociaż byłam oburzona temi kłamstwami, ucieszyłam się z drugiej strony, że p. Roman wyzwania p. Władysława nie przyjął. Bardzo rozumnie zrobił. P. Władysław wprawny do pojedynków i nie ma nic do stracenia, bo wkrótce ostatki pójdą na dwójkę. Szkodaby więc była młodego człowieka pełnego nadziei, który przy tak piękném ukształceniu, zdaje się być łagodnego i spokojnego charakteru. I pocóż wreszcie miał narażać życie, a z niém szczęście i swoje i drogiej mu osoby, dla kaprysu utratnego zucha, który nie umiał zachować łaski i przywiązania kobiety, co go kiedyś tak mocno kochała”.

P. Winicka aż zachorowała od tych wszystkich przykrości, tak niezastużonych i dotkliwych; a p. Roman, przeczytawszy chytry list marszałkowej w taki wpadł gniew, że mu przychodziło na myśl najprzód wyzwać p. Władysława, a potem z kolei każdego,

coby się ośmielił jakimkolwiek jeszcze doniesieniem zakłócić ich pokój. To oburzenie młodego człowieka złagodził list Krystyny, który w tymże czasie p. Winicka odebrała. Zartowała sobie ona z głupich plotek, które po okolicy biegały i do niej ze wszystkimi szczegółami doszły. Tak się on kończył: „Słowem, uśmiełam się serdecznie ze wszystkich manewrów mojej kokieteryi, których do zwabienia p. Romana używałam. Usmażyła je w swoim tyglu marszałkowa, i receptę na nie po innych garkuchniach plotkarskich rozesała. Są one tak niesmaczne, tak niezgrabne, że bym się ich doprawdy wstydziła. Mam ja cokolwiek więcej zręczności, i gdybym była potrzebowała użyć kokieteryi, umiałabym się na coś lepszego zdobyć. Ale czyż mi ona potrzebna była, aby zyskać przychylność i szacunek takiego człowieka, jak p. Roman? Zdaje mi się, że do tego było dosyć pokazać mu się taką, jaką jestem. Z całej téj banialuki najwięcej mię obraziło posądzenie mojego konia, że płochliwy, i że ja nie byłam w stanie dać mu rady. Świadcze się p. Romanem, który jest tak znakomitym jeźdźcem, czy widział konia lepiej ujeżdżonego, i czy znał kobietę, któraby śmieliej i zręczniejsz użyć go umiała? Pojedynek ów jest kłamstwem najpociesniejszém ze wszystkich w całej téj niedorzecznej historyi. P. Władysław nie ma żadnego prawa wyzywać kogokolwiek za to, że u mnie bywa, i że ja mu się okazuję grzeczną i zycliwą. Wié on bardzo dobrze, coby na tém zyskał i moge cię upewnić droga babciu, że ten biędny utracyusz, którego mi serdecznie żal, żadném słówkiem, żadnym giestem nie przyczynił się do téj plotki, którą na jego rachunek skomponowano. Co się tyczy pana Romana, takie mam przekonanie o jego przyjaźni dla mnie, chociaż się ze mną prawie nie pożegnał, tak pewna jestem jego determinacyi i odwagi, że gdybym zażądała jego ramienia na obronę mojego honoru, upomniałby się o moje sławę nietylko u p. Władysława, ale i u każdego, coby się odważył targnąć na moje imię. Tymczasem pozdrów go odemnie serdecznie, moja jedyna babciu! Przypomnij mu nasze spacerki, nasze gawędki, których wspomnienie nie byłoby zapewne ani mnie, ani jemu tak miłe, gdyby kronika, co ten list spowodowała, miała racyą. Powieź mu jeszcze droga babciu, że zakład przegra, bo ja gorliwie przędę na kołowrotku i motek nici mojej własnej industrii będzie prędzej gotowy, niż się zobowiązałam. Nade wszystko zaś proś go odemnie, aby był spokojnym, i dla dowiedzenia że odważny, nikogo nie wyzywał, i téj mniemanój krzywdy

nie poszukiwał. Żaden mężczyzna o tém nie wątpi, i ja nie wątpię. Posądzenie to wykomponowały złe kobiety, a z kobietami walczyćby musiał tylko językiem. Czyż to broń dla niego?" Przypisek był taki: „Żałuję moja droga babciu! że cię odwiedzić nie mogę. Powiedziałabym ci jeszcze dużo ciekawych rzeczy, ale w téj chwili wyjeżdżam do Kamieńca. Mam interes bardzo ważny i muszę go dopilnować”.

Jaką pociechę, jakim balsamem był dla p. Romana ten list, łatwo pojąć. Wykradł on go ze szkatuleczki ciotki, gdzie się składała korespondencya, wziął z sobą, i w ciszy nocy kilkanaście razy odczytał. Cieszył go ten ton spokojny i żartobliwy, który mu pokazywał, jak pewną jest siebie ta szczególna kobiéta, jak zatém musi być wierną swojemu honorowi i swym zasadom, kiedy tak szczerym, tak naturalnym uśmiechem odpiéra złość i potwarze. To, że za p. Władysława ręczyła, znalazł z jéj strony szlachetném i łatwo słowu jéj uwierzył, gdyż sam, pełen honoru i skromności, po gruntowném dopięro przekonaniu posądzał drugich o fanfaronadę i nikczemność. Zabolalo go wprawdzie to miejsce, w którym Krysztyna pisze, jak jéj serdecznie żal miłego niegdyś utracyusza; ale po głębszój rozwadze przekonał się, że i ten żal, tak naturalny, dowodzi tylko dobroci jéj serca. Reszta listu rozbroiła go zupełnie. To jéj przekonanie, że stanąłby w jéj obronie i poświęciłby dla niéj swoje ramię i życie; to lekkie i bez gniewu napomknienie o zimném i prawie niegrzeczném pożegnaniu; to tklive nakierowanie jego myśli na ich przechadzki, na ich gawędki, na ten czarowny spacer do pasieki i z niéj powrót przy cichém świetle gwiazd; to przypomnienie mu zakładu, które dowodziło, że o nim jeszcze myśli i nieobecny nawet zajmuje się: wyjęło wszystkie żądła, które tkwiły w jego piersiach, i rozmarzyło go do tego stopnia, że przebiegając myślą każdy zakąt jéj domu, wyobrażając ją sobie wszędzie, powtarzając wszystkie chwile z nią przebyte, zasnął, widząc gwiazdy na ciemném niebie i słysząc furczenie kołowrotka, które mieszało się z jednostajném stąpaniem idących równo koni.

Jakkolwiek obudził się wesół i daleko spokojniejszy, gdy się jednak zastanowił nad swoim położeniem w kraju, którego mógł zostać obywatelem, gdy wspomnienie Myszowiec, którym jakby się był upił wczoraj, wyszumiało cokolwiek z jego głowy, przekonał się, że nie powinien połykać obelgi choć mniemana i kłamliwa, aby się ktokolwiekbaż na rzeczywistą nie ośmielił. Czytał p. Roman

Montenia i przypomniał sobie, jak trafnie ten filozof powiedział: że potwarz na uczciwego człowieka rzucona, jestto błoto padające na marmur. Zmyć je można, ale zmyć należy; inaczej zawsze zostanie brud, nawet na marmurze. Tém przekonaniem umocniony, postanowił w części sprzeciwić się ostatniej prośbie Krystyny, i ułożył sobie plan swojej rehabilitacyi w opinii mężczyzn, o którym wszakże ciotce ani słowa nie wspomniał.

Był w okolicy dwudziestoletni młodzieniec, który niedawno uniwersytet kijowski porzucił, i po zmarłym nagle ojcu majątek objął. Nie miał on matki, tylko siostrę starszą, już wyposażoną. Używał więc wielkich dochodów bez żadnej kontroli, po młodemu, po studencku. Prędko bardzo znalazł kolegów, którzy się do niego z przyjaźnią, z nauką wszystkich tajników kawalerskiego życia, z gotowemi przykładami, z nabytą już praktyką, a niektórzy i ze znaczonemi w kieszeniach kartami hurmem zbiegli. Nie mógł im wdzięczny młodzieniec wyrównać wąsami i brodą, bo te w żaden sposób rość nie chciały; ale użyciem dwudziestoletnich sił we wszelkiego rodzaju excessach, nie dał się nikomu wyprzedzić. Otworzył więc im swoje serce, swoje kieszenie, swój dom i piwnicę, grzbiety swoich koni, cnotę swoich poddanków. Nie dali się téż prosić przyjaciele i czerpali w tém wszystkiém pełną ręką.

Wiedział p. Roman, że w tym domu, który wystawiła oszczędność i umiarkowanie, a z którego rozpusta już po jednej cegiełce wyjmować zaczynała, bywały co sobota i środa kawalerskie uczy, i że p. Władysław nigdy ich nie opuszczał. Tam więc pojechać postanowił.

Pierwszej tedy środy wybrał się niby na dalszą przejażdżkę, uzbroił się listami marszałkowej i Krystyny, a chociaż nie miał zamiaru robić burdy i szukać niebezpieczeństwa, wziął jednak z sobą pistolety, gotów śmiało zajrzeć w oczy wszelkiej przygodzie, jeżeli się z toku sprawy wywiąże i sama go wyzwie. Znał p. Roman gospodarza domu, miał nawet od niego zaprosiny, ale ani razu jeszcze nie był. Nie sądził więc, aby przybycie jego, kogobądź zadziwić mogło. Gdy przybył i postrzegł przed bramą kilka dziewcząt w czystych koszulkach, w nowych spódniczkach, z grabiami, rydelkami, gracami i koneweczkami w ręku, które zwołane widać zostały niby do pracy w ogrodzie, i z którymi kluczniczka jakaś, czy innéj funkcyi baba, w czépcu na bakier, z woreczkiem w ręku i z zatraconą fizyonomią coś szeptała; gdy obaczył

na dziedzińcu różnego kalibru i formy kocze, koczyki, najtyczanki i bryczki: domyślił się, że środa jest, i że dom pełen gości, których szukał. Jakoż, gdy się przedarł w sieniach przez zgraję lokajów, kozaków i kozaczków miejscowych i obcych, którzy śmiejąc się i hałasując, upędzali się za jakąś figlarną kawiarką, co się im próżną tacą jak tarczą zasłaniała, i rozpuszczoną serwetą nacierających biła; gdy minawszy parę pokoi zastawionych nakrytymi stolami, wszedł do sali, zastał całą kompanią w komplecie, i odrazu postrzegł znaczącą twarz i brodę p. Władysława.

Goście otaczali trzy zsunięte zielone stoły w rozmaitych pozycjach: to siedząc, to stojąc, w najrozmaitszych kostiumach, to z odkrytymi głowami, to w najoryginalniejszych myckach i czapczkach. Wszyscy zaś patrzyli na stoły zarzucone złotem, srebrem i papierami, każdy miał w ustach cygaro lub fajkę, a w ręku karty. Obraz to zwyczajny, aż nadto znany, i na opisanie nie zasługuje. Zostawiamy go więc imaginacyi niektórych czytelników, gorzkiemu może wspomnieniu innych, a powtarzaniem drobniejszych jego rysów i ożywiających go rozmów, nie chcemy kalać ucha i oka pięknych czytelniczek naszych.

Odrazu uczuł p. Roman, jak dobrze zrobił, że przyjechał. Gospodarz, który go u p. Osinowskiej tak gorąco zapraszał, przyjął go dość zimno, ukłoniwszy się zdaleka i prosząc aby usiadł. Znajomi podobnież kiwnieniem przywitali go, i udawali mocno zajętych; nieznajomi nachylając się do sąsiadów swoich, z zapytaniem widać: kto to? i dowiedziawszy się, podnosili głowy i wołali nie żenując się: A! Najuprzejmiej ze wszystkich skłonił mu się i uśmiechnął się do niego p. Władysław, co go jeszcze mocniej dotknęło i podało tę myśl, że sobie z niego żartuje.

Łatwo sobie wyobrazić uczucia i myśli pełnego honoru i szlachetności młodzieńca, kiedy się znajdzie w podobnym położeniu. Wszystka krew napłynęła mu do serca, zaciskały się usta, iskierki jakieś latały mu przed oczami; i gdyby nie wspomnienie na prośbę Krystyny, na bolesć ciotki, byłby może uderzył w twarz pierwszego, który obok siedział, i z uśmiechem na milczącego poglądał. Milczał zaś p. Roman przez chwilę, bo go przyjęcie to zanadto wzburzyło. Całą więc siłą, do jakiej był zdolnym, starał się ostudzić w sobie krew, aby postąpić według planu, jaki sobie ułożył i nie przekroczyć granic umiarkowania i rozsądku. Gdy mu się zdało, że ten moment przyszedł, gdy dłuższe nieobjawienie powodów przybycia, zwłaszcza, że nikt go o to nie pytał i nikt

do niego nie mówił, mogłoby go podać w podejrzenie, że przyjechał tylko brawować opinią, lub jej doświadczać, przysunął się z krzesłem i rzekł:

— Widzę, że panowie tak mocno jesteście zajęci, że nawet grzeczny gospodarz nie ma czasu zająć się cokolwiek nowym gościem, którego tak uprzejmie zapraszał. Bardzo więc panów przepraszam, i gospodarza także, że ja was zajmę, i zatrudnienie wasze na chwilę przerwę.

P. Władysław, który trzymał talią, położył ją natychmiast przed sobą, przykrył obiema rękami i zaczął słuchać z uwagą.

— Co tam!—zawołał jeden z grających, zaginając kartę.— Ciągnij Władziu, moja szansa; posłuchamy tego pana potem.

— Sądzę—rzekł p. Roman zimno i wyraźnie—że p. Iskrycki pana nie usłucha; a panu radzę, abys go o to drugi raz nie prosił.

Słowa te wyrzeczone były tak stanowczo, że wszyscy zwrócili uwagę, i młody człowiek zmieszał się i innym tonem dodał:

— Bo widzi pan, dobrze mi idzie i boję się przerwy. Sprobuj i pan, talia wyborna.

— Pan Wyżopolski hazardów nie lubi—odezwał się z boku jeden z grających, poprawiając na głowie mykę i nasuwając ją na ucho.

P. Roman spojrział na niego obojętnie i odpowiedział:

— Rzeczywiście nie lubię hazardów, ale tylko w karty. Jeżeli pan zechcesz się o tém przekonać, to do znajomego już panu mojego nazwiska dodaję, że mieszkam w Bykówce, w majątku ciotki mojej Winickiej, że dwa tygodnie jeszcze tu bawię, potem wyjeżdżam do Kijowa, gdzie zapewne zostanę do kontraktów.

To powiedziawszy, odwrócił się od owego jegomości, który spuścił oczy, poruszył wąsami, lewą ręką czapeczkę swą na drugi bok przesunął, ale nic nie odpowiedział. Korzystając z powszechnego milczenia i widząc się już na dobrej drodze, p. Roman dodał:

— Ponieważ panowie raczyliście zwrócić na mnie cokolwiek uwagi, chcę korzystać z téj ich grzeczności, i pragnę uwiadomić panów o celu mojego tu przybycia. Mówią tu w okolicy, że byłem wyzwany i nie przyjąłem wyzwania. Czy panowie słyszeliście o tém?

— Naturalnie, żeśmy słyszeli—odpowiedział jeden z obecnych.

— I panowie słyszeliście to z ust p. Władysława Iskryckiego, którego wyzwaniu odpowiedzieć nie chciałem?

— Tego nie mówimy—odpowiedziało kilka głosów po długim milczeniu, wśród którego p. Roman nie spuszczał z oka twarzy p. Władysława, co ten znosił spokojnie gładząc brodę i patrząc mu nawzajem w oczy.

— Wiedziałem o tém—mówił dalej p. Roman—żeście panowie téj bajki z ust p. Iskryckiego słyszeć nie mogli, bo mam tu zaręczenie na piśmie, któremu uwierzyłem, któremu zapewne pan Iskrycki nie zaprzeczy, o którego prawdziwości, jak się spodziewam, żaden z panów nie będzie śmiał powątpiewać.—Te ostatnie słowa wymówiwszy z przyciskiem i patrząc po wszystkich spokojnie, ale z determinacją, która wywołała powszechne milczenie i uwagę, dobył p. Roman list Krystyny i dodał:—Jestto list p. Rożewskiej do mojej ciotki. Przeczytam panom z niego następujące słowa: „Pojedynek ów jest kłamstwem najpociesznieszem ze wszystkich w całej téj nedorzecznej historii. P. Władysław nie ma żadnego prawa wyzywać kogokolwiek za to, że u mnie bywa, i że ja mu się okazuję grzeczną i życzliwą. Wié on bardzo dobrze, coby na tém zyskał, i mogę cię upewnić, droga babciu, że żadném słówkiem, żadnym giestem nie przyczynił się do téj plotki, którą na jego rachunek skomponowano.”—Czy pan temu nie zaprzeczasz?—dodał p. Roman zwracając się do p. Władysława.

— Nietylko nie zaprzeczam — odpowiedział p. Władysław powstając i wyciągając rękę do naszego bohatera—ale najprzód, dziękuję panu, żeś tym wyrazom uwierzył; potem upewniam pana, że każda litera, którąś nam tu przeczytał jest prawdą; nareszcie wszystkim tu obecnym oświadczam, jako człowiek ceniący honor swój i cudzy, że nigdy p. Wyżopolskiego nie wyzywał i wyzywać nie myślał.

P. Roman powstał, ścisnął podaną sobie rękę p. Władysława, i patrząc na otaczających go spokojnie, tak dalej mówił:

— Jeszcze tu jest kilka słów w liście p. Rożewskiej, które mam sobie za obowiązek panom zakommunikować. Idzie w nich o powstrzymanie mnie od poszukiwania téj mniemanéj krzywdy. P. Rożewska twierdzi, że o odwadze mojej żaden mężczyzna nie wątpi—i ona nie wątpi. „Posądzenie to, pisze ona, wykomponowały złe kobiety, a z kobietami walczyćbym musiał tylko językiem”. Otóż—dodał p. Roman składając list—jeżeli tu jest kto

między panami, co nie podziela zdania téj zacnej i pięknej damy, raczy powątpiewanie swoje ogłosić. Gdybym musiał walczyć językiem, zapewne przegrałbym. Będę obowiązany temu, kto mnie od użycia téj niewłaściwej mi broni uwolni.

— Niech żyje Mazur! — krzyknął ktoś z kompanii, zamiast odpowiedzi.

— Niech żyje! — powtórzyli wszyscy chórem, i przystępując do p. Romana, podawać mu ręce i ścisnąć go zaczęli.

— Wina! — zawołał gospodarz. Gdy podano wino, wszyscy spełnili z zapalem zdrowie młodzieńca, który dał dowód równie determinacyi, jak i rozsądku i umiarkowania. Zaczęła się więc huczna rozmowa, otwierały się serca; wśród strzelających butelek mnożyły się wiwaty; a gdy przyszło do zdrowia cudnej ukraińskiej rusalki, w której każdy z kolei kochał się, o której nikt ztego słowa nie mógł powiedzieć, nie szczędzono gardła, pochwalnych wykrzykników i wina gospodarza.

Gdy się ten pierwszy impet wiwatowy skończył, p. Roman hojnie się, aby się na wielką pijatykę nie zaniosło, rzekł:

— Dziękuję panom za ten znak ich ufności i wiary. Stół was czeka, a mnie pozwólcie pożegnać się i powrócić do domu. Wyjechałem nic nie mówiąc dokąd jadę, i boję się, aby moja ciotka, domyślając się jakiej honorowej ekspedycyi, nie była niespokojna.

Pożegnawszy więc gospodarza, podawszy rękę p. Władysławowi, którą ten serdecznie uścisnął, wyprowadzony przez wielu, wsiadł do koczynka i pojechał. Gdy już był w polu i przechodził myślą wszystko co zaszło, gdy rozważył złe i dobre w tak dziwnej mieszaninie, które się oczom jego przedstawiło, westchnął głęboko i zawołał mimowolnie: Co tu zdrożności! a jak złote serca! Któż za to wszystko przed Bogiem odpowie?

Wiść o tym postępku p. Romana prędko się rozbiegła i reputacyą naszego bohatera ustaliła. Cała młodzież go uwielbiała, wszystkie młode kobiety admirowały; marszałkowa tylko i te panie, które miały podchodzone cokolwiek córki na wydaniu, twierdziły, że Krystyna, która ma nieograniczoną władzę nad p. Władysławem, przyzwalała go do siebie, kazała zaprzecć się pojedynku, i całą tę komedią odegrać.

Gdy p. Roman w tydzień potem wybiérał się już do Kijowa w interesie ciotki niezmiernie ważnym, i wymagającym dłuższego chodzenia i dobrego dopilnowania się, i czekał tylko na pleni-potencyą, która jeszcze nie nadeszła, przyjechał do Bykówki ojciec

Józi, owój tancerki p. Romana na balu u p. Osinowskiej, i pragnął się z nim widzieć.

P. Roman ucieszył się razem i zmieszał, gdy go obaczył. Nie mógł się on domyśleć, jaki miał powód zacny emeryt do tych odwiedzin, dorozumiewał się jednak, że Józia do tego wpływała, a ją mogła skłonić jakaś komunikacya z Warszawą, jakaś wiadomość od p. Katarzyny. Krew uderzyła na twarz jego, gdy obaczył staruszka wchodzącego skromnie i nieśmiało, a pierwsza i głęboka miłość zagnana na dno serca przez nowe a tak mocne upodobanie, ocknęła się w jego piersi, i żywotne ciepło swe po całym łonie jego rozlała.

— Czemuż mam przypisać tę przyjemność—rzekł p. Roman witając uprzejmie emeryta—że Pana Dobr. tu widzę.

— Byłoto moim obowiązkiem, panie łaskawy—odpowiedział stary, siadając na ukazaném sobie krześle—bo mam panu memu złożyć podziękowanie. Ale nim powiem za co, pozwól mi pan wynurzyć radość, że widzę pana całym i zdrowym.

— A dlaczegożto nie miałbym być całym? —zapytał p. Roman uśmiechając się.

— Nam powiedziano, żeś odbył pojedynek, żeś ciężko ranniony—rzekł nauczyciel.

— Widzisz pan, że to bajka—odpowiedział p. Roman powstając i wyciągając do niego obie ręce, na znak podziękowania za troskliwość i na znak, że są zdrowe.—O żadnym pojedynku nie myślałem, żadnego nie było, i nigdy się nie czułem zdrowszym i spokojniejszym, jak teraz.

— Chwałaż Bogu, chwała Bogu!—rzekł stary—że to są kompozycye ludzkie. Ale wszędzie ludzie są ludźmi:—byle paplać. Trudno ich od tego oduczyc, chociaż w klasie mówiło się im zawsze: Pamiętajcie chłopcy, że trzech rzeczy nigdy człowiek nie żałował: kiedy rano wstał, kiedy z domu nie wychodził i kiedy milczał.

— Mądre były nauki Pana Dobr.—rzekł p. Roman.

— Szkoda, że się na nic nie zdały, panie łaskawy—odpowiedział pedagog—ale przystępuję teraz do właściwego powodu mej wizyty. Oto przyjechałem tu złożyć moje podziękowanie Panu Dobr. jako ojciec. Moja Józia idzie za mąż.

— Dlaczegoż Pan Dobr. mnie za to dziękujesz—zapytał p. Roman zdziwiony.

— Właściwie Pan Dobr. ją wydałeś—rzekł pedagog uśmiechając się.

— A toż jakim sposobem? Doprawdy, mocno mię pan zadziwiasz.

— Panie łaskawy! ludzie są ludźmi—odpowiedział emeryt. Patrzą, a nie widzą; chodzą koło perel i depczą je, a nie poznają się na nich, póki im kto nie powie: patrzcie! oto perły, a wy je depczecie. Tak było i z moją dziewczyną. Nie uważam ja jęj wprawdzie za perłę; ale dzięki Bogu wychowała się na miłą, zgrabną i dorzeczną panienkę. Widział ją ten i ów, gdy tu przybyła z Warszawy, i nikt w nięj nie dojrzał tych przymiotów, które ojcowskie oko cieszyły. Aż dopiero gdyś ją Pan Dobr. na tym balu u p. Osinowskiej na pierwsze niejako miejsce wyprowadził i w dobrém świetle postawił, patrzaj! i ten i ów postrzegł się, że był dotąd ślepym i nic nie widział. Pan Stanisław bywał nawet u nas dosyć często, bo to nasz sąsiad, i ojciec jego łaskaw na mnie; radzi mi czasem w gospodarstwie, do którego mi logarytmy i sekcyje koniczne nic a nic nie pomagają. Ale z tego bywania nicby nie było, gdyby nie Pan Dobr. Dopiero jak moja Józia pokazała się tak dobrze w takiej znakomitej kompanii, kiedy, dzięki panu memu, obaczył i jęj talią i jęj zgrabność, gdy sam z nią potęm natanczył się, gdy młodzież zaczęła ją chwalić: otoż i jemu zasłona spadła z oczu. Ludzie są ludźmi, łaskawy panie, nie dowierzają sobie i boją się ze zdaniem swojém wyrwać. Aż dopiero, gdy i ztąd i zowąd usłyszą: jakie to piękne! jakie to dobre! wtenczas i oni mówią: a prawda! Tak tóż i p. Stanisław uwierzył Panu Dobr. i innym; potęm przypatrzył się sam, i zaczął bywać z początku co drugi dzień, potęm co dzień, a nareszcie i nie wychodził z domu. Postrzegłem to, pomówilem z córką, potęm pomówilem z ojcem p. Stanisława. On mi odpowiedział: „Więm o tēm. Nie patrzę ja na to, żeś ty uboższy odemnie. Twoja córka będzie dobrą żoną, a moja część Berezówki wystarczy dla obojga.” Osądźże Pan Dobr. teraz, jak nie mam panu z całego serca dziękować; zwłaszcza, że i moja Józia przypisuje to wszystko łasce pana i przesyła mu serdeczne podziękowanie.—Tu rozrzuwniony stary powstał, niebieską chustką, którą otrzepywał bóty wysiadając z bryczki, otarł oczy i zbliżył się do p. Romana. Nie było w tēm opowiadaniu starego nauczyciela matematyki, matematycznej ścisłości, ale szczerosc i prostoduszność jego ujęły naszego bohatera. Ściskając więc uszczęśliwionego ojca, rzekł:

— Mój dobry panie! nie przypisuję ja sobie bynajmnieć tak szczęśliwego wypadku, ale wierz mi pan, że się serdecznie cieszę.

Da p. Bóg, że to będzie dobrze. Panna Józefa warta szczęścia i potrafi je sobie wyrobić. Jeżeli jeszcze p. Stanisław jój się podoba, jeżeli go kocha, to winszuję panu z całej duszy.

— Dziękuję panu memu—odpowiedział emeryt znowu powstając—zdaje się, że moja córka dosyć zajęta swoim narzeczonym. Dobry-bo chłopak, skromny i przystojny; nie tęgi prawda z niego matematyk.....

— Za to będzie lepszy gospodarz, niż pan—przerwał p. Roman uśmiechając się.

— A prawda, prawda—rzekł stary.—Maie logarytmy na nic się w gospodarstwie nie przydały; a ludzie są ludźmi, każdy ma swoje przeznaczenie i swego pilnować powinien.

Pogadali jeszcze przez czas niejaki. P Roman wypytywał się z interesem o niektóre szczegóły dotyczące się młodej pary, chcąc się przekonać, czy Józia nie dała mu jakiego jeszcze zlecenia. Ale nie dowiedział się nic w tym względzie. Gdy nadeszła pora obiadowa, p. Roman zaprezentował nową swoje znajomość ciotce, i starego pedagoga na obiad zaprosił. Staruszek kontent z przyjęcia, jadł cudzy obiad pedagogicznie; nie zapomniał przy zdarzonej okoliczności o tém, że ludzie są ludźmi, i pożegnawszy pokornie p. Winicką, która prosiła, aby ją czasem odwiedzał, a serdecznie ścisnąwszy za rękę p. Romana, którego za dobrodzieja swego uważał, pojechał.

Po wyjeździe emeryta, p. Roman zaczął coraz częściej myśleć o Warszawie, brał się co wieczór do swojej książeczki, i serce jego, jakby znuzone i zbite walką, którą od kilku tygodni staczało, zapragnęło odetchnąć czystszym, zdrowszym uczuciem, zapragnęło odnowić w sobie pamięć téj, której obraz w niém tkwił i wyrugować się nie dawał. Trzeciego więc dnia pojechał oddać wizytę staremu pedagogowi, i z Józją o Warszawie się nagadać.

Cząstka Berezówki, którą emeryt miał w dzierzawie, leżała na samym brzegu téj wielkiej wsi, mającej kilku dziedziców. Dworek w którym mieszkali, był drewniany, pod wysokim dachem słomą pokrytym, z gankiem opartym na dwóch słupkach i mającym ławeczki i poręczę. Wielki dziedziniec, oddzielony ode wsi dość głębokim rowem, na którego nasypie rosło licyum, ograniczony był z dwóch drugich stron zabudowaniami gospodarskimi, za któremi z tyłu była stodoła i otaczające ją gumno. Za dworkiem rozciągał się ogród, którego największą ozdobą były wiśnie, agrest i pożyczki, rosnące bujno, i ograniczające uliczki i kwadraty

pełne kapusty, buraków, kartosli i ogórków; a za stajnią, na miejscu wystawioném zupełnie na południe i ogrzaném odbijającemi się od tego budynku promieniami, był mały inspekcyk pod oknami, złożonemi z najrozmaitszych kawalków szyb, niegdys potłuczonych i przepalonych: a dalej plac, na którym rosły melony, kawony i na którym ogromne dynie wygrzewały swe brzuchy. Wszystko to bujało na tej błogosławionej ziemi bez wielkiego trudu i nakładu; szło tylko o to, aby rośliny użyteczne oczyszczać, pléć i chronić od gluszącego je, ogrodowego proletaryatu, który wyłaził wszędzie z urobionego ladajako, ale bogatego gruntu, na najlepszych rozlegiwał się miejscach, rosząc sobie także prawo do tej ziemi, z której go jój urodzajność, dészcz i słońce wywoływały. Ale biédny ex-matematyk nie miał dosyc sily i dosyc rąk do pokonania tej pasożytnój gawiedzi.

Wewnątrz domek miał parę pokoików, czysto i skromnie przybranych. Krzeselka były dębowe, przykryte kwiecistym perkalem; takż kanapa i franki z białemi, włóczkowemi frendlami. Na oknach w pokoju bawialnym stało duzo wazoników z kwiatami, które Józia pielęgnowała, a na ścianach wisiało w czarnych ramkach kilka rycin różnej wielkości, między innymi portret Napoleona z czasów konsulatu, Kościuszko z pałaszem w ręku, feldmarszałek Witgenstejn na koniu, i na miejscu honorowém litografia Kopernika, siedzącego z systematem słonecznym w ręku, którą Józia w prezencie ojcu matematykowi z Warszawy przywiozła.

Niewypowiedziana była radość ojca i córki, kiedy p. Romana postrzegli. Nie wiedzieli na jakim miejscu go posadzić, czém utraktować. Przyjmował młody człowiek ich uprzejmość i serdeczność równém sercem, i kilka godzin przeszło mu najweselój. Józia czerwieniła się jak róża, gdy jój winszował, i ściskając jego rękę ze łzą w oku, dodała:

— Panu to będę winna, jeżeli mi Bóg da szczęście.

Napróżno pan Roman wymawiał się, że się niczém nie przyczynił do skłonienia ku niój serca p. Stanisława, że powinna to przypisać jedynie sobie, że się podobać umiała. Nie mógł jój tego wyperswadować, i rad nie rad musiał przyjąć wdzięczność dobrej dziewczyny.

P. Roman obchodził cale gospodarstwo matematyka, i nie w jednym kącie stary nauczyciel, patrząc na źle wykonane swoje rozkazy, mówił:

— Otóż i tu wstyd mi przed panem; ale ludzie są ludźmi, łaska wy panie: wtenczas tylko słuchają, kiedy kto umie rozkazywać. A ja tylko żaków umiałem trzymać w rygorze, a z nimi poradzić sobie nie mogę.

Po kawie, przy której panienska krzątała się z całą energią młodej gospodyni, przyjmującej drogiego sobie gościa, interes jakiś gospodarski wywołał starego, a oni zostali sami. Wtenczas Józia zbliżając się do pana Romana i patrząc mu mile w oczy, rzekła:

— Nie uwierzysz pan, jakem się ucieszyła, gdy mój ojciec wrócił i uspokoił mię w mojej trwodze. O! bo gdybyś pan wiedział, co téżto ludzie nagadali! I żal mię dręczył i złość brała, gdyż pewna byłam, że to wszystko nieprawda.

— Wiem co mówiono—odpowiedział z uśmiechem p. Roman—i dziękuję pani, żeś temu nie wierzyła.

— Bo czyżto było podobne do prawdy—mówiła dalej panienska z energią.—Gdybym nawet pana nie znała i nie była mu tak obowiązana, jak jestem, to dość mi było wiedzieć, żeś pan urodził się i wychował na téj ziemi, gdzie serce w piersiach mężczyzn a nawet kobiet dość mocno osadzone; na téj ziemi, na której i ja wychowałam się i którą serdecznie Kocham, abym nie wierzyła.

P. Roman przez patryotyzm ścisnął mocno rękę zarumienionej panny; myśli jego przeniosły się na piaski Mazowsza, zaczęły się błąkać po jego sosnowych lasach, słuchać szumu Wisły, a ztamtąd zabiegłszy pod kasztany ogrodu Krasieńskich, na Śto-Jerską ulicę i przed kościół na Leszno, wywołały zamyślenie na jego czoło i łzę do jego oka. Postrzegła to ucieszona Józia i po chwili rzekła:

— Powiedz mi pan, czy i reszta téj historyi równie prawdziwa?

— Cóż pani nazywasz resztą téj historyi?—zapytał p. Roman czerwieniąc się.

— Czy to prawda, że pan się żenisz z panią Rożewską?—dodała patrząc mu ciekawie w oczy.

— Mogę panią upewnić—rzekł po chwili p. Roman jakając się i spuszczać oczy—że w tém jest tyle prawdy, co i we wszystkim.

— O jeżeli tak—mówiła dalej Józia, patrząc ku drzwiom, czy ojciec nie wraca—to mogę panu jedną rzecz pokazać.—To powiedziawszy, pobiegła do drugiego pokoju.

P. Roman zadrzał, patrzył z nateżeniem za odchodzącą, i z niecierpliwością i ze ściśnioném sercem powrotu jój oczekiwał. Za kilka chwil wybiegła Józia z listem w rękę, i trzymając go przed usteczkami swemi, które się uśmiechały, dodała:

— Przed kilku dniami odebrałam ten list, który się długo błakał i zdaleka przyszedł.

— Z Warszawy?—zawołał p. Roman wyciągając rękę. Józia kiwnęła główką i mrugnęła oczami na znak potwierdzenia.—Czy mogę go zobaczyć—zapytał p. Roman.

— A dlaczegoż go wyniosłam—odpowiedziała z wyrazem figlarnym.

— O pozwól pani—rzekł p. Roman i wziął list, który ona delikatnie w dwóch paluszkach trzymała.

Otworzył go drżącemi rękami i przebiegając najprzód cały lotem błyskawicy, spojrział nakoniec, gdzie był podpis: Katarzyna. Pierwszy raz p. Roman widział ten podpis i przypatrywał mu się długo, nim się wziął do przeczytania samego listu. Dziwny jakiś powab był w tych literach, które się zbiegły w tak drogie mu imię, i nakreślone były tą samą ręką, która przy ostatniém pożegnaniu w dłoni jego zadrzała. Byłby je do ust przycisnął, ale wstyd mu było Józii, która położywszy palec na ustach, wzrokiem go śledziła.

List był dość długi i zamykał następujące słowa:

„Piszę do ciebie moja droga Józii! smutna i znękana; dlatego wybacz, jeżeli w tém co napiszę, nie będzie ani ład, ani składu. Ale wolę pisać, choćbyś miała się na mnie rozgniewać za niepotrzebną i nudną gawędę, niż siąść w kąciку i płakać; a Bóg widzi, jak łzy cisną się do oczu, jak chce się położyć głowę na takiej piersi jak twoja, i wyszlochać się do woli, ażby sercu zrobiło się lżej, ażby dusza świat boży obaczyła. Nie wyobrażaj sobie jednak, żeby mi się jakie wielkie nieszczęście zdarzyło. Bynajmniej; jestem zdrowa, dziwię się nawet, że ani schudła, ani zmizerniała; mój ojciec także zdrów, pobiera swoje emeryturę, oddaje mi zawsze całą swoje pensyą, z której ja jak mogę staram się wylatać miesiąc, aby mu na niczém nie zbywało i aby mu wystarczyło na najrozmaitsze gatunki tabaki, które zawsze miesza, kombinuje i w swoje słoiki układa. Dobry mój ojczysko! nieraz mi się serce ściska i coś nakształt sumienia poczuwam w mojem łonie, gdy siedząc w swoim pokoiku, położę robotę na kolanach, oprę głowę na rękę i myślę, a on wejdzie cichutko, stoi przez chwilę patrząc na mnie i potém zapyta nieśmiało: Kasiu! czemu

ty nie śpiewasz! Bo dawniej moja droga Józiu! zawsze śpiewałam przy robocie; a teraz serce nie śpiewa, to i głosu w piersiach nie stało. Dla ucieszenia mojego ojca, który się nudził, dla przypomnienia mu jego ulubionych lekcyj, zaczęłam po wyjściu z pensyi uczyć się po łacinie. Czy wiesz, że nawet dużo w tym pięknym języku postąpiła. Pokazuje się, że nie święci garnki lepią, i że i my możemy wziąć się także do czegoś poważniejszego, byle była taka pobudka, jaką ja miałam. Jak szczęśliwym był mój poczciwy ojciec, kiedy wyłożył mi jaką regułkę z życia Attyka, a ja powtórzyłam ją odrazu bez zająknięcia, i nie zrobiłam ani jednej myłki w prozodyi! — Teraz już mu i téj pociechy przynieść nie mogę. Łacina mię nudzi, robiłam się roztargniona i niepojętna. Ale Bóg dobry czuwa nademną i zesłał mi z kądiną pociechę. Mój ojciec dostał ucznia, z którym się z całą gorliwością zajmuje. Ma więc zajęcie, ma rozrywkę; już nie zważa teraz, że ja nie śpiewam i wykładu jego nie rozumiem. Ale bo téż to szczególny uczeń mu się dostał. Wyobraź sobie młodego, dwudziestu dwóch lat chłopaka ze wsi, najkompletniejszego gburą, na którego głupowatość, a raczej nieokrzesanie, nie mogłam z początku patrzeć bez politowania. Otóż w przeciągu trzech miesięcy przekształcił się zupełnie, wyprzystojniał, wyrozumniała twarz jego, wyjaśniło się czoło, oczy nauczyły się patrzeć, a usta mówić. Jak żyje nie widziałam takiego postępu. Zosia Przyrębowska, pamiętasz, o której mówili u nas, że to cud pojętności, niczem jest w porównaniu z tym chłopakiem, którego serce i przywiązanie do mego ojca, odpowiada głowie. Co to jest gorliwość i umiejętność ze strony nauczyciela! — Jeszcze więcej czczę mojego ojca, jeżeli to być może, że zdołał natchnąć duszą rozumną tę chodzącą bryłę. Ale téż trzeba widzieć i radość mojego ojca; ma on czasem teraz takie momenta, jakieby miał snycerz, gdyby posąg jego raptem zaczął gadać i chodzić. — Zresztą cóż ci powiem o Warszawie, którą ty tak kochasz. Zawsze taż sama, zawsze ruchawa, wesola, gadająca, brudna i wystrojona, pełna ludzi i hurkotu. Na naszej ulicy tego wszystkiego nie widać, ani słyhać; ale ja ci nie mówię o naszej ulicy, ale o tych, na któreś ty lubiła patrzeć, i które cię tak serdecznie bawiły. Ja bywam tylko w kościółku naszym na Lesznie, i czasem idę z ojcem do ogrodu Krasieńskich, gdzie mi tak miło przechadzać się: — bo go ojciec nad inne przekłada. Na pensyi u p. S*. rzadko teraz bywam, chociaż ona za-

wsze dobra, kocha nas, wspomina o tobie i o wszystkich naszych koleżankach, mówiąc, że takiego egzaminu jak nasz, nie było i nie będzie. Patrzno, co to my za gieniusze! Może pani S^a dlatego tak mówi, że wtenczas otrzymała pochwałę za nasze postępy w naukach. Ma ona zawsze dużo panien, i téj wiosny dostała nową uczennicę na całą edukacyą. Śliczna to dziewczynka i mam w niej wielką przyjaciółkę; a przecież wiele razy jestem u pani S^a ciężki smutek mię opada i ból jakiś ściska serce, tak, że prędko uciekam i jak najrzadziej przychodzę. Ale dość już o tém. Chciałabym wiedzieć coś o tobie. Tyle słyszałam, że podobno mieszkasz na wsi i gospodarujesz. Twój ojciec także ma emeryturę i odpoczywa po pracy. Szczęśliweśmy obiedwie, że mamy pocziwych ojców, którzy całe swe życie przepracowali i na starość mają zdrowie i spokojny kawałek chleba. Aleś ty stokroć szczęśliwsza odemnie, moja droga Józiu!—tyś na Ukrainie!—Dałabym połowę życia, żebym mogła być na twojem miejscu.—Bądź zdrowa. Twoja nazawsze. Katarzyna”.

Gdy p. Roman skończył, łzy mu się strumieniem z ocz potoczyły. Odwrócił się więc i złożywszy list, zaczął chodzić po pokoju, aby potłumić w sobie gwałtowne wzruszenie, które go ogarnęło. Gdy cokolwiek przyszedł do siebie i uspokoił się, stanął przed Józią, w której twarzy widać było radość i rozrzewnienie, i schylając oczy, rzekł stłumionym głosem:

— Daruj mi pani ten list.

— O! weź go pan, weź—odpowiedziała ze łzą w oku—wszak on do pana należy, choć tam o panu nie ma ani słowa.—P. Roman podziękował niemém ściśnieniem ręki i list schował.

Nadszedł ojciec Józi, a bohater nasz, który potrzebował samotności, pożegnał się i pojechał.—Miał on do domu dobre dwie mile. Skoro się ujrzał na czystém polu, dobył list, w którym było tak niepodejrzané świadectwo stanu jéj serca, jéj smutku i głębokiej i żadną nadzieją niekarmionéj miłości; patrzył na te wyrazy, wśród których zdawało mu się widzieć ślady łez, i zamgłonym od rozrzewnienia okiem zaczął znowu czytać. Gdy konie stanęły przed gankiem w Bykówce, zdziwił się p. Roman, że przeleciały tak prędko tę przestrzeń, której on nie widział, i że jeszcze całego listu nie doczytał. Ale który to był raz—to niech piękne czytelniczki nasze powiedzą.

Dziwna jest różnica między prawdziwém i głębokiém uczuciem, a pociągającym i niebezpiecznym upodobaniem; między świę-

tém uniesieniem serca, które daje pokój, wyjmując ciernie z każdego kwiatu, jakie życie człowiekowi podaje, przyprowadza całą naszą istotę do zgody i cały świat zewnętrzny do harmonii: a gorączkowym zawrotem głowy, najeżającym drogę naszą kłocami róż zdradzieckich, przytykającym do ust naszych napój czarowny, ale który upaja i truje, wprowadzającym zamęt, zamieszanie i fałszywe brzmienia w nas i we wszystko co nas otacza. Jeden tylko nasz język, w filozoficznej i głębokiej budowie swojej, oznacza wybitnie tę różnicę dwoma wyrazami, które sam jeden tylko, ze wszystkich znanych nam języków, na odmalowanie tych dwóch stanów duszy posiada. Bo też rzeczywiście doświadczenie przekonywa, że oba te wyrazy są w mowie ludzkiej potrzebne, gdyż jeden i tenże sam człowiek może się jednocześnie w obu tych stanach znajdować. Biedny nasz bohater stał właśnie na tém rozdrożu, i nie wiedział jeszcze, jak się z niego wydobędzie i którą drogą pójdzie. Korzystając z bogactwa naszego języka, oznaczymy i my temi dwoma wyrazami jego krytyczne położenie, bo nareszcie trzebaż powiedzieć prawdę, że p. Roman *kochał* pannę Katarzynę, ale podobno i *kochał się* w Krystynie.

Że taki stan nie mógł mu dać pokoju i téj swobody umysłu, z której się rodzi dobry humor i łatwość życia; że często oddychał jakby zaduszonym powietrzem, nie mógł sobie znaleźć miejsca, ani rozrywki, i przez to martwił kochającą go ciotkę, zwłaszcza, że się nie domyślała jego przyczyny: to łatwo pojąć. Z tych powodów i ona przyspieszała jego wyjazd do Kijowa, i on rad był, gdy już nastąpił. Był to w czasie ostatnich dni października, które tam najczęściej piękne; kiedy droga jeszcze sucha, powietrze pełne świeżości, a w dzień nawet ciepłe; kiedy niezmierne lany żyta i pszenicy ozimój zaczynają już zielenić, a przygotowane pod wiośnianą siejbę role, czernieją jak aksamit, i rozlegają się ile oko zasięgnąć może. Jechał więc p. Roman szybko, i starał się czém mógł odrywać myśli swe od swego obecnego położenia. Wszakże trudno mu to było, zwłaszcza, gdy minął Białocerkiew, i obaczył przed sobą step równy, jednostajny, jak morze zielone, i gdziekolwiek tylko jaskrawemi kolorami liści bodiaków upstrzony. Ratowała go tylko szybka jazda po téj równinie, gdzie żaden rowek, żadna grudka nie wpadnie pod koło, i widok niezliczonych stad, to owiec, to koni, to rogatego bydła, które spokojnie tuczyły się na bogatej jeszcze paszy, aby człowieka nakar-

mić, lub go odziać, lub niepokojowi jego usługując, z miejsca na miejsce go przenieść.

Gdy minął Wasylków, a zwłaszcza Wetę, ostatnią stacją przed Kijowem, inne miejsca i widoki zmieniły bieg jego myśli. Wjechał w głębokie piaski, postrzegł wzgórze sośniną pokryte, po bokach widział wydmy piaszczyste zamiast zielonych dolin, a w niektórych przerwach z prawej strony, okryte siwiejącym zdaleka lasem wyniosłości, które bieg wielkiej rzeki okazywały. Widok ten przypomniawszy mu rodzinne strony; zdawało mu się, że za temi wzgórzami, za temi wydmami ujrzy szerokie łono płowej Wisły, że usłyszy nagle witający go głos: *Niech będzie pochwalony*, i wyobrażenia te uspokoiły go, nastroiły jego myśli na ton melancholiczny, ale łagodny i słodki, i zaniósły jego skołatanę serce pod skrzydło prawdziwej miłości, aby się tam utuliło i we wzruszeniu swém usatkowało.

Wkrótce ukazał się przed oczami jego starożytny Kijów, i nowy ten zupełnie widok, odmienne kształty budowli, inne uprząże koni, inne stroje ludzi i głosy mowy ludzkiej, uderzyły go i zastanowiły. Więcej niż na półmilorowej rozległości, na wzgórzach naddnieprowskich, ujrzał on rozrzucone budynki i wznoszące się kopuły licznych cerkwi. Z prawej strony obaczył piękne pagórki, zarośnięte najrozmaitszym lasem, i zpośrodku jego liści, umalowanych jaskrawemi farbami, jakimi jesień ubiera lasy, białeły zdaleka ściany Wydobyckiego monasteru; wprost przed sobą miał masę murów fortecy, coraz powiększającą się, a zpośród nich wmykała się w górę wieża Ławry, na sto kilkanaście łokci nad ziemię, i w tej wysokości połyskała zdaleka złotonęm nakryciem swęj głowy i jaśniejącym na niej krzyżem. Dalej szły rzędem rozmaitej wielkości budynki na Peczerskiem, z pomiędzy których sterczały rzędy topoli i błyszczwały okna świeżo wzniesionej eleganckiej części miasta, zwanęj Lipki; a ku lewej stronie, za ciemną masę drzew ogrodu Cesarskiego, na wzgórzu starego Kijowa, widać było obszerną kopułę katolickiego kościoła, za nią wyższą i złotą głowę Michajłowskiego monasteru, bliżej zaś i wyraźniej piękne formy, wysmukłe, chociaż mające piętno starożytności, wieżyczki, i kształtną, pokrytą lazurem i obsypaną złotem gwiazdami kopułę klasztoru świętej Zofii. Całe to panorama zamykało się nowym, okazałym kwadratem uniwersytetu, wystawionego na czystym polu, i ku któremu, jakby przysuwały się zwolna i nieśmiało dworki i domki nowo wyrastającego miasta. Ale dotąd p. Roman widział dopiero połowę tego obszernego

i rozrzuconego grodu. Część drugiej połowy skryła się w dolinie między Peczerskiem i starym Kijowem, w dolinie historycznej, bo tam Ruś chrzest przyjęła, i dlatego téż i nazywa się *Kresczatik*; a reszta jój przerzuciła się za górę nad brzeg Dniepru, rozległa się tam obszernie, regularnie zabudowała, i po większej części z domów murowanych złożyła. To jest właśnie ów *Padół*, spizarnia całego miasta, gdzie od czasu do czasu handel wre, i gdzie od połowy stycznia huczą kontrakty.

Okazały ten ogół zmalął naturalnie i rozdrobił się na wiele szczegółów, gdy p. Roman wjechał do miasta i postrzegł przy wielkich gmachach rządowych, małe drewniane domki, ulice wprawdzie szerokie i równe, ale niektóre niewybrukowane, niektóre mające więcej parkanów niż domów. Wszakże te niedostatki nagradzał zawsze widok fortecy, wyglądająca zpoza wałów piękna budowa arsenału, kopuły złocone Ławry, wieża biała, sosemna i chodząca niejako za widzem, gdzie się kolwiek obróci, krzyże siedmiu mniejszych cerkwi, które jakby się pod opiekę matki Ławry zbiegły, a nadewszystko Dniepr, odkrywający się przez parów malowniczo pokrajany, i jaśniejący w dole szeroką, błękitną jak niebo wstęgą, która spokojnie i jakby z uczuciem swój siły i użyteczności, sunie się poważnie i ociera się dumnie o brzegi, które karmi i zdobi.

Nie będziemy opisywać długiego pobytu p. Romana w Kijowie. Jeżeli który z czytelników naszych miał interesa i przyjechał do miejsca, gdzie się one rozstrzygają, po to, aby je popierać i koło nich chodzić, to wie dobrze, czém się p. Roman zajmował i jak się bawił. Stał on w hotelu przy zakładzie wód mineralnych, aby był bliżej domu, gdzie się mieściło sądownictwo i inne władze gubernii, aby miał oraz pod bokiem piękny Cesarski ogród, który miał być całą jego rozrywką. Rozmówił się z adwokatem, który z reputacji uczciwości i rzetelności znanym był powszechnie, i oświadczywszy się gotowym do konferencyi, ile razy tego będzie potrzeba, objechał miasto, zwiedził fortecę, był w Ławrze i pieczarach; widział grób Jarosława i starożytne mozaiki w Sofijskim soborze; modlił się gorąco w kościele katolickim i westchnął za duszę pobożnego człowieka, który w tych czasach cukrowni i fabryk sukiennych, wznosił z własnych funduszków dla licznych współwyznawców swoich tak wspaniałą świątynię; obejrzał uniwersytet, i w jego bibliotece wspominał o Czackim i o Krzemieńcu; wracając zamtąd na stary Kijów, zatrzymał się przy złotej bramie, widział złocone litery

napisu, i wzięwszy do kieszeni kawałek odwiecznej i zeszklonej przez czas cegiełki, usiadł tam odpocząć i podumać przez chwilę; stał długo w głębokich rozważach nad brzegami Dniepru, przy tej kolumnie, gdzie pierwszy raz w Imię Ojca i Syna spłynęła święcona woda z czoła ukorzonego i boskim światłem odnowionego ludu; był na galerii otaczającej cerkiew świętego Andrzeja, z kądem widział głęboko u stóp swych rozłożony Padół, i szeroki Dniepr, od szczątków mieszkania Olgi płynący, i za nim czerniejącą puszcę czernichowską, za którą rzekłbyś, że już nie ma ziemi: tak szeroka, tak ciemna, tak tuż za nią zdaje się zapuszczoną nieskończona niebios firanka; ztamtąd spuścił się na Padół, w tej porze głuchy i pusty, i wyglądający niecierpliwie stycznia, polskiej wrzawy i polskich dukatów.

Wszystkie te wędrówki zajęły mu dni kilka, po których nastąpiły nudy i karmienie się myślami i rozdzieranie się wewnętrzną walką. P. Roman w ogólności nie był wielkim przyjacielem wizyt, i przez właściwą sobie skromność, niechętnie wchodził do obcych sobie domów, niełatwo zawiązywał nowe znajomości. Tém bardziej trudno mu to było wówczas w Kijowie, gdzie nikt z osób mu znajomych nie mieszkał, gdzie towarzystwo wyższe i wykształcone składało się z ludzi innych nawyknień, innego języka, i którym w tęsknym usposobieniu swoim nie chciał się narzucać. Chodził więc samotny po ulicach, przypatrując się nowym dla siebie zwyczajom i obyczajom czysto ruskiego miasta, jednolitego we wszystkich warstwach od najwyższej do najniższej, i admiraował charakter narodu, który przez tyloletnią podległość sąsiedniemu państwu, zachował swoje rodzinne piętno i chrztu pierwotnego z czoła nie starł. Wśród takichto chwil samotnych i nudnych, wśród przykrości jakich doznał, zmiarkowawszy, że interes pójdzie ciężko i z oporem, odczytawszy raz list p. Katarzyny, uniesiony tęsknotą do domu, do Warszawy i do niej, napisał owe słowa kilka do Heluni, które dziewczynka swojej cioci Kasi pokazała, i które ożywiły tęskniącą, i sercu jej dodały wytrwania i cierpliwości.

Dopiero w ostatnich dniach grudnia zdecydował się interes p. Romana. Szło o znaczną sumę w Prykazie kijowskim złożoną, pani Winickiej należąca, i przez różne wybiegi i wykręty dłużnika zakwestyonowaną. Chodzenie p. Romana i starania gorliwego i sumiennego adwokata wyrobiły przychylną decyzją. Summa ta na początku stycznia do rąk jego wypłaconą być miała. Pan

Roman uwiadomił o tém natychmiast sztafetą ciotkę, donosząc jęj oraz, że musi jeszcze święta przebyć w Kijowie, a potem, chociaż nie ma już żadnego interesu, ale jedynie dla ciekawości, zostanie jeszcze na kontraktach. Wkrótce odebrał od ciotki list następujący:

„Mój drogi Romanie! List twój odebrałam z wielką radością. Nietyle mię cieszy odzyskanie własności, którą miałam za straconą, jak to, że m ją odzyskała przez twoje starania i że mogę zaraz sercu memu dogodzić. Ponieważ te sto dziesięć tysięcy, które masz odebrać, są owocem mojęj wieloletnięj oszczędności i zupełnie do mnie należą, proszę cię więc mój drogi, odeślij z nich sto tysięcy do banku moskiewskiego lub do banku polskiego na swoje imię, i jako zupełnie i wyłącznie należące do ciebie; a pozostałe pięćset dukatów użyj w czasie kontraktów na swoje przyjemności, na jaki prezencik dla matki, dla siostry i dla Heluni. Utrzymania twęgo teraz i w czasie kontraktów w to nie liczę; na to masz osobny fundusz, którego nie żałuj, bo dzięki Bogu mamy dosyć: ja już niewiele potrzebuję i cała moja próżność i duma w tobie. Bywaj zdrów mój drogi! baw się dobrze, bądź wesołym i nie takim, jakim byłeś przed wyjazdem. Jeżeli mnie kochasz i pragniesz, abym była spokojną, wesołą, a nadewszystko zdrową, to mnie usłuchasz, i najgorętsze życzenie mojęgo serca pojmiesz. Ściskam cię po tysiąc razy i błogosławię. Twoja na zawsze”.

W postskryptum było: „Krzysia będzie niezawodnie na kontraktach”.

Wzruszył p. Romana do głębi serca dowód przywiązania dobrej staruszki, a koniec jęj listu i przypisek sprawił, że z wielką niecierpliwością kontraktów oczekiwał. Nie miał on wprawdzie żadnego postanowienia; ale pragnąc dać jęj dowód swojej wdzięczności i przywiązania, perswadując sobie, iż świętym jest dla niego obowiązkiem, aby tak nieoceniona ciotka była spokojną, wesołą, a nadewszystko zdrową; skłaniał się coraz bardziej do usłuchania jęj, i jakoś codzien lepiej i wyraźniej owe najgorętsze życzenia jęj serca pojmował. Przypisek jęj listu, na którym często oko jego spoczywało, dużo go w pojmowaniu tych życzeń objaśniał. Gdy w tym czasie przerzucając raz swój pugilares napadł na list p. Katarzyny do Józi, który znalazł się przypadkiem między listem Krystyny, wykradzionym dawniej ciotce, i owym świeżo odebranym listem z przypiskiem, p. Roman

wyjął go, i zważywszy, że tam być nie powinien, chciał go na innym bardziej utajonym miejscu schować. Ale te tkliwe słowa: „Tys stokroć szczęśliwsza — tys na Ukrainie” i t. d. uderzyły go. Złożył więc pugilares, usiadł sobie wygodnie i zaczął znowu list ten czytać od początku. Lecz tą razą zastanowiło go to najprzód, czego pierwój nie uważał, że papier był niezbyt cienki, nie listowy, nierówno obcięty i cokolwiek przybrukany; dalej postrzegł kilka przekreśleń, poprawek i niby myłek ortograficznych; potem zdawało mu się, że przecinki, średniki i linijki oddzielające nie tam stoją, gdzie należy; a nadewszystko uderzyło go obszerne i z takim widać zajęciem zrobione opisanie tego ucznia, którego ojciec jój kształci, i z którego postępów p. Katarzyna jest mocno rada, kiedy aż o tém odległą przyjaciółkę uwiadamia. Zdziwił się p. Roman, że dotąd na tak ważną okoliczność nie zwrócił uwagi. Położył więc list na stole nie czytając już dalej, i długo, długo chodząc po pokoju, zapuszczał się w domysły, jak mógł ów młody człowiek wyglądać, jak dalece już do téj pory postąpił w ukształceniu swoim, a może i w sercu p. Katarzyny. Ta ostatnia myśl, nietylko że go nie napełniła goryczą lub gniewem, ale owszem, uchwycił się jój jak deski, na której mógłby sam wypłynąć, jak argumentu, którymby się sam przed sobą usprawiedliwił, jak światełka, któreby mu pomogło do jaśniejszego jeszcze pojęcia owych gorących życzeń ciotki. Do tego obrazu, który obowiązek nasz i miłość prawdy skreślić nam nakazała, dodajmy wszakże, że bohater nasz, przyszedłszy niespodziewanie do tak niepokojącego rezultatu w téj konferencyi z sobą samym, gdy stanął raptem przed stołem, na którym biędny ów list leżał, zawstydził się, zarumienił, i schowawszy go z uszanowaniem w najpiérwszój przegródce pugilaresu swego, nie kontent sam z siebie, porwał kapełusz, narzucił na ramiona lekkie futerko, wybiegł, i kilka godzin, wystawiony na zamieć kijowską, po ulicach zasypanych śniegiem brodził.

IX.

Minęło wreszcie Boże Narodzenie, i skończył się ten rok stary, tak obfity w zasięg przyszłości dla p. Romana, i w którym i nasz bohater znacznie się zestarzał, jeżeli starością nazwiemy nietylko przybył lat, ale i obfitość wrażeń, bogacących myśl, i światło doświadczenia, pod którym rozwija się serce, i pod którego ciepłem dojrzewa

satmopoznanie. P. Roman wcześniej przeniósł się na Padół, aby mając dogodniejsze mieszkanie i być bliżej kontraktowego ruchu, który wkrótce miał ożywić to miejsce, dotąd puste i milczące. Chciał także widzieć zblizka uroczystość święcenia wody na Dnieprze w dzień Trzech Króli, uroczystość okazała, w której celebrytuje metropolita kijowski i halicki, w towarzystwie kilku biskupów, kilkunastu archimandrytów, i przeszło stu księży z mnogich monasterów i cerkwi kijowskich; przy której obecne są wszystkie władze, cywilne i wojskowe; która przesuwa się poważnie pomiędzy milczącymi szeregami żołnierzy z błyszczącą bronią i odkrytą głową; którą otacza kilkanaście tysięcy ludu, wspominającego pobożnie pierwszą chwilę ochrzczenia, i stojącego zbitą masą na ściętych głębiach tegoż Dniepru, z którego wodą spłynęło nań światło wiary i zlała się łaska odkupienia.

Od 10 stycznia zaczął się ruch niezwyčajny na ulicach Padołu; zadzwoniły kółka krakowskich chomątów, powiały przy nich flanelki białe i błękitno-czerwone, i rozkwitły jak maki różnokolorowe. Co dzień częściej dawał się słyszeć grzmot bicia, który klaskał nad głowami dzielnej piątki siwoszów lub czwórki gniadój lub pstrokatój, który radował serca gospodarzy domów, jak echo zwiastujące dukaty, i wywoływał uśmiech ironiczny na usta ruskich kuczerów, którzy wychwalali swój krótki batozek, wiszący więcej dla formy na ich wyciągnioném ramieniu, i którym czasem tylko, ale zawsze cicho i zniechęca zacinają leniwego lub krnąbrnego konia. Co dzień więcej i więcej przesuwało się przed oknami p. Romana to poszóstnych karét, osadzonych na grendzioly i wiozących poważne matki z córkami na wydaniu; to pełnych gustu sanek w formie karety, lando lub kocza, jeżeli należały do młodych elegantek, które niemi miały robić wizyty; to ogromnych sani z budą skórzaną i fartuchem, zpoza którego wyglądały rozczochrane wąsy szlachcica kapitalisty, który siedział na tłumoku pełnym rewersów i wexli, a trzymał nogi na szkatule okutej, pełnej dukatów i assygnat. Pomiedzy temi cięższego kalibru ekwipazami, przesuwały się leksze sanie mężów, którzy zdołali wyperśwadować zonom, aby zostały w domu, i pomknęli się sami; lub osadzone na sanicach nejtyczanki młodych obywateli, ciągnione dzielną czwórką i przesuujące się szybko, jak intrata ich panów. Wszędzie na kozłach widać było wąsatych furmanów, w płaszczach z futrzanemi kołnierzami, w niedźwiedzich lub baranich czapkach; wrzała ulica z Peczerskiego na plac Samsona wiodąca, wzmagał się coraz krzyk i wołanie, a miejscowe: *beregisia* i jego skrócenie *gisia*, ustę-

powołał napływowemu: *hou!* lub energiczniejszemu klaśnieniu z biczem, i wyrazom: *a umknijże się bestyo!* Tę wrzawę, ten natłok uliczny powiększały szeregi sanek ruskich, dowożących towary z Moskwy i z Petersburga; także budy brodzkie na kołach oblepionych śniegiem, które wioził żyd w kłapouchym kapeluszu, i z których wyglądały lisie czapki, siwe albo rude brody lichwiarzy; z których także wyzierała kiedyniekiedy z ciekawością i nadzieją młoda głowa z długimi włosami, spadającymi na ramiona, czarne wąsiki i zadarta bródka jakiego fortepianisty lub skrzypka, który z Niemiec, gdzie go nikt słuchać nie chciał, spieszył do Kijowa, gdzie dobrzy ludzie mają gotowe uszy i pełne kieszenie.

Począwszy od 10go stycznia natłok ten wzrasta. Padół wre coraz gwałtowniej, coraz gęściej się zaludnia. Około 22go dochodzi on do najwyższego szczybla ruchu, wrzawy, jeżdżenia, chodzenia, klaśkania z biczów, klątw różnemi językami, poważnych rozmów ruskich, krzykliwszego wywnętrzania się polskiego z sercem i interesami, szwargotania niemieckiego i żydowskiego. szeptów tureckich, gardłowego pisku zakaukaskiego, nosowych ormiańskich mrużeń i tatarskich gestykulacyj. Po 26tym i 7mym fala ta usuwa się, geste i pełne nadziei miny nikną; szlachta, która miała rzeczywiste interesy, spieszy do domu, dłużnicy uciekają, kupcy zaczynają powoli pakować niewyprzedane towary; zostają tylko z zafrasowanemi twarzami: wierzyciele, którzy nie odebrali jeszcze kapitału i czekają na obierany pod słowem honoru procent; matrony, które nie doczekały się zięciów i jeszcze mają nadzieję; elegantki, które czekają na jaki zapóźniony bal lub na kochanka, który się zgrywa; literaci, którzy jeszcze nie wyprzedali biletów na prenumeratę, a nadewszystko grająca młodzież, która się najpóźniej rozjeżdża, najmniej śpi, najmniej gada, ale za to w przeciągu tych kilkunastu dni przeżywa kilka lat życia, i nieraz całkowity swój fundusz. Tak wygląda Padół kijowski, w czasie kontraktów, zewnątrz. Po 30tym stycznia wraca on do zwykłej ciszy i grobowego milczenia, i znowu kiedyniekiedy tylko przesuwają się saneczki wiozące policyjnego urzędnika w stosowanym kapeluszu, lub jaką gospodynią z Peczerskiego, która jedzie do Babajewa dla zaopatrzenia domu w cukier, herbatę i inne zapasy, lub jakiego księdza, który siedząc poważnie, gładzi brodę i trzyma w ręku długą swą i błyszczącą galką ozdobioną trzcinę.

Obaczmy teraz, co się tam dzieje-wewnątrz. Z długiej, pochyłej i brukowanej ulicy, łączącej Padół z Kreszatikiem i Peczerskiem, wyjeżdża się na plac wielki, zwany placem Samsona. Ztamąd na wszyst-

kie strony rozchodzą się ulice równe, dość szerokie i zabudowane bliżej placu murowanemi, piętrowemi domami, a dalej drewnianemi domkami, które prawie wszystkie mają podobne formy i jednokie rozmiary. W czasie kontraktów, wszystkie domy bliższe owego placu są nie tylko zajęte, ale prawie natłoczone przyjezdnymi. Na samym środku placu jest wielki kwadrat sklepów, niby dwór gościnny, który się nie wynajmuje przyjezdnym kupcom, i gdzie miejscowi wykładają swoje co najlepsze towary, złożone z samych ruskich płodów, a po większej części z cukru, herbaty, kawy, rozmaitych korzeni, żelaza i wszelkich wyrobów tulskich ze stali i mosiądzu. Za tym kwadratem, nazwanym *rzedami*, w samym rogu placu, bliżej Dniepru, stoi ogromny dom kontraktowy, z wielką piętrową oficyną. Dom ten jest własnością prywatną, i należy do p. Kisieleckiego, zamożnego mieszczanina, głowy miasta Kijowa i naczelnika jakoby gwardyi miejskiej, która do 1836 roku w kontuszach, przy szablach, konno i pieszo występowała przy święceniu wody na Dnieprze, i przy uroczystości miejskiej, zwanéj *Makowyje*. Budynek ten, ozdobiony gankiem o sześciu potężnych kolumnach, ma niezbyt wielką sien, z której schody prowadzą na piętro, gdzie są dwa pokoiki dla służby policyjnej, z tyłu zaś trzy także pokoiki dla sądu głównego, czyli trybunału, który się tam w czasie kontraktów przenosi i tam posiedzenia swoje odbywa, aby mógł na miejscu załatwiać i kończyć interesa kupna i sprzedaży majątków. Resztę gmachu w całą długość i szerokość zajmuje ogromna sala kontraktowa, a jéj rozległy sufit wspiera się na dziesięciu kwadratowych słupach, we dwa rzędy, po pięć w każdym, stojących. Piérwsze piętro ma zupełnie taki sam rozkład; z tą tylko różnicą, że sala, gdzie się dają koncerty i bale, równie obszerna, jak dolna, wyższa jest, ozdobniejsza i wspiera się na dziesięciu kolumnach korynckiego porządku. Otóż, począwszy od drzwi wchodowych, aż do drzwi prowadzących do trybunału, równie w sieniach, jak i w sali kontraktowej, nie ma ani jednéj piędzi na ścianach, na schodach, między oknami, przy słupach podpierających sufit, któraby nie była zajęta, otaxowaną, najętą i zapłaconą. Zaraz przy drzwiach na lewo wabią przychodnia suche konfitury, ciasteczka, pierniczki, cukierki w różno-kolorowych papierkach i w groźnej dla wszelkiego zdrowia masie; dalej siedzi Nastusia z renetami, z gruszkami różnogatunkowemi, a jéj bery, panny i baby ułożone w piramidy, zawstydzają nieraz rumieńcem, świeżością i tuszą przyjezdne panie i miejscowe piękności. Dalej uśmiécha się ładna szewcowa z Mińska, a za nią na pułkach od ziemi do sufitu stoją szeregiem trzewiczki damskie, począwszy od

drobniutkich wymiarów dzieciennój i swywolnėj nóżki, aż do kalibru, zdolnego iść o lepszą z kirysyjskim botfortem. Na prawo ku oknu, cała ściana ubrana w kosztowne sztychy, kolorowane litografie, a na stołach pod schodami leżą stopy nut, rysunków, litografij i litochromii, około których uwija się Włoch bakenbardzisty, z grubą francuzką pronuncyacją, wabiąc czasem okiem pełnəm wyrazu młodych obywateli i szepcząc im, że posiada *des beaux sujets équivoques*. Wszystkie ściany na schodach obite są wzorami kanwowemi; co dziesięć stopni inny je zajmuje przedawca, a każdy wyższy dziesiątek schodów płaci się drożej: bo tam można umieścić stół i na nim wzory te rozłożyć: bo im wyżej, tém mniejszy natłok, tém dłużej przebierają je tam piękne damy, tém swobodniej mogą rozmawiać z towarzyszącymi im, i dodającymi gustu mężczyznami, tém więcej zatem kupują.

W sali pod wszystkimi ścianami naokoło są tu pułki idące od dołu do góry, owdzie szafy dobrze zamykane, dalej stoły wąskie i długie, lub wywrócone dnem do góry paki, a na wszystkich stopy różnego rodzaju towarów. Obok Szczepańskiego, który się tam ze swoją księgarnią rozłożył, siedzi poważny Pers z szalami i kobiercami; obok czarnego berdyczowskiego żydka, którego pułki bieleją jak śnieg od webowych płócien, zwija się pstry Gruziniec i wabi jaskrawymi farbami swoich kanausów; nawet każdy bok dziesięciu owych słupów podpierających sufit jest zajęty, należy do innego przedkupnia, i tę samą przedstawia rozmaitość. Pod jednym siedzi w czarnych barankach i rogatėj czapce berdyczowski ex-zakrystyan i sprzedaje kalendarze, książki do nabożeństwa, obrazki świętych, a nade wszystko wizerunki Matki Boskiej berdyczowskiej; obok niego Grek z Odessy ma w żółtych workach turecki tytuń, w słojach stambulki, z boku pęki antypek, a na pułkach czerwone bóty, zielone meszty i papucie; dalej p. Romański z Lubaru traktuje szlachtę Kraśzewskim, a panów, szczególniej panie, Balzakiem; nareszcie, przy czwartym boku, stary Niemiec wabi dzieci grzechotką, pokazując im to tańcującego pajaca, to nieodziane lalki z irchy, z malowaną maszczką i w czerwonych trzewiczkach. Wszędzie ta sama rozmaitość; a wszystkie te różnokolorowe, różnokształtne z najodleglejszych stref i klimatów zgromadzone do kupy płody, rekomendowane i sprzedawane najrozmaitszemi językami, najdziwszym i najdziwaczniejszym akcentem, rozchodzą się, nikną, zostawiając tylko w kieszeniach ich właścicieli polskie dukaty.

W oficynie kontraktowego domu nie taki natłok, nie taka mieszanina, nietylko pstra rozmaitość, ale za to elegancya tak pełna po-

wabu i blasku w towarach, grzeczność tak wyrafinowana w przedających, ceny tak wysoko podniesione nad rzeczywiste i sumienne, że się tém najzupełniej dogadza i próżności dorobkowiczów i dumie najdoskonalej urodzonych panów, i pretensjom matek, które nie żałują dla swych córek, i rozrzutności pięknych wabicielek, które nie żałują dla siebie. Tamto między innymi Szafnagiel, zajmujący na dole środkową salę, ma brzozy, zegary, zwierciadła, malowidła, najkosztowniejsze sery i wina, najwykwintniejsze przyprawy i przysmaki, najdroższe szkła i porcelany; tam czarownik ten zgromadza u siebie najlepsze towarzystwo, hawi, częstuje, zamawia, zachwala, i ściany jego coraz się obnażają, a grubieją kieszenie. Na górze pani Szafnagiel króluje wśród materij paryzkich, wśród koronek, wstążek i kwiatów, wśród kapeluszy i strojów najcudniejszych co do formy, najświeższych co do mody. Taki sam karuzel odprawia ona tam z damami, po jakim mąż na dole mężczyzn przepędza. A wszyscy kontenci, bo rzeczywiście wszystko piękne i gustowne, bo etykiety na każdej rzeczy są najoczywiściej francuzkie, a ceny wszystkiego tak pociągającym sposobem spotęgowane!

Łatwo z tego wnieść, że wszystkim, którzy przyjeżdżają na kontrakty, dni i nocy zchodzą szybko i prawie gorączkowie. Od godziny dziewiątej sala kontraktowa już jest pełną, a między jedynastą i pierwszą taki tam natłok, taki ścisk, że zaledwie przejść można. Wówczas wśród najrozmaitszych fizyonomij, strojów i rozmów przekupniów, widzisz masę szlacheckich twarzy, z jasnym okiem, z zawieszonym wąsem, z uśmiechem i słowem honoru na ustach, w paradnych niedźwiedziach, w ciepłych szopach, w delikatniejszych tumakach, a niekiedy w wytartych lisach, w czarnych i siwych barankach. Cała ta masa jest w ustawicznym ruchu. Ci przychodzą, ci wychodzą i znowu wracają, a wszyscy rachują głośno lub w myśli, wszyscy mówią, wszyscy zajęci. Tu sprzedają i kupują, tu jeden wychwala i liczy na palcach ogromne dochody, drugi w téjże samej rzeczy znajduje mnóstwo niedogodności, i dochód o połowę zmniejsza; tam wierzyciel przeciska się przez tłum, ścigając swego dłużnika, a tam tenże sam dłużnik, postrzegłszy pogoń, zmyka poza filarami, zastawia się jakim Turkiem lub żydem, i znika w tłumie, kontent, że dzień jeden zarobił. W znajomym już kącie, na pace od towarów siedzi szlachcic kapitalista, z twarzą spokojną i uśmiechającą się, a ku niemu płyną ze wszech stron przyjaciele, ściskają go za rękę i umizgają się do jego szkatułki. W innym miejscu przechadza się poważnie Halperyn berdyczowski, i ze skinie-

niem jego głowy, zapewniającym kredyt, tu majątek przechodzi z rąk do rąk, tu krocie przelewają się z jednej kieszeni w drugą. Wszystko to odbywa się prędko, wśród chodzenia i szukania, wśród rozmów, przysiąg, zaklęć, wykrzyków, rachowania cyfr najrozmaitszych, wśród targowania fajek i majątków, dusz męzkich i pantofli, wśród spokojnego liczenia miliona i kłótni o dziesięć groszy. Kto nie widział téj giełdy wąsatéj, miniastéj, wrzawliwéj, ten zaiste z opisu naszego, słabe tylko poweźmie wyobrażenie. Żeby go jakkolwiek dopełnić, dodamy, że tam przeszło dwa tysiące osób razem kupuje, sprzedaje, wydzierzawia, najmuje, oddaje w zastaw, wypożycza, upomina się, wykręca się od oddania, obiecuje oddać jutro, liczy kapitał z procentem, liczy procenta bez kapitału; a wszystko głośno, bez względu na sąsiada, który także targuje się, zaklina się, lub liczy.

W tymże samym czasie, kiedy się to dzieje na sali kontraktowéj, damy obecne w Kijowie, w eleganckich rannych strojach sejmikują u pani Szafnagel, wybierają materye u rywalizującego z nią Matiasa, przerzucają sklep Witepaża, targują srebra petersburskie lub przeglądają się we Frazetowskich wyrobach. Wszakże oddać im trzeba tę sprawiedliwość, że wśród tych kosztownych wędrówek nie zapominają o księgarniach Zawadzkiego i Glücksberga, którzy w téjże saméj oficynie kontraktowéj obok siebie mieszcząc się, z ukosa czasem lub ironicznie na siebie poglądają. Tam piękne Ukrainki i Podolanki zostają zwykle sejmikujących z swoim dworem literatów: jednych dumnych swą wartością i przerzucających niedbale nowe publikacye, innych skromniejszych z załajonym rękopismem w kieszeni, innych zupełnie polegających na przyszłéj sławie, a niepewnych jutrzejszego obiadu. Tam także po godzinie piérszéj przychodzą z sali kontraktowéj mężowie, bracia, kochankowie tych protektorek literatury i rodzących się talentów, i wówczas pułki Zawadzkiego i Glücksberga oczyszczają się, a galonowani lokaje z ciężkim do domu wracają ładunkiem. Nakupienie bowiem książek, należy szczęściem do dobrego tonu kontraktowego. Zawadzki mógłby ułożyć ciekawą statystykę rozchodzących się dzieł równie polskich jak obcych, i ochoty do ich nabywania. W niéj na piérszém miejscu stanęłaby Ukraina, potem Litwa, dalej Podole; po Podolu następowałaby dawniej Galicya, a potem dopiero królestwo i Wołyń. Dlaczegoż w téj mierze Ukraina jest piérszą, a Wołyń ostatnią? Oto dla téj prostéj przyczyny, że piérszą zamieszkuje dorobiona bogata szlachta, a Wołyń składa się po większój części z obszerniejszych wprawdzie majątności, ale z samych historycznych imion.

Huczne są zwykle obiady w czasie kontraktów, bo damy, które tam przyjechały, przyjechały po to, aby wydać wiele pieniędzy, aby się pokazać, aby się ustroić i ubawić, aby dogodzić i próżności, do jakiej je upoważniają wdzięki i rozum, i aby zaspokoić tę wrodzoną polską gościnność, która lubi uprzejmie przyjąć i suto ucztować. Każdy więc z mężczyzn ma gdzieś zaproszenie, i nie ma domu ozdobionego obecnością gospodyni, w którymby przy stole nie siedziało kilka, a najczęściej kilkanaście osób.

Każdy wieczór rozpoczyna się zwykle koncertem. Wszystkie znakomitości muzyczne europejskie znają Kijów i wiedzą dobrze, jak miłe są tam oklaski, bo sala ogromna bywa zwykle pełna, a bilety nie placą się inaczej jak złotem. Po koncercie zaczynają się dopiero kontrakty serdeczne; powtarza się to wszystko, co było rano na sali w kółkach domowych, w salonikach naprędce przybranych; i tu bywają także targi, umowy, i tu wabią się i szukają, obiecują i zawodzą, gniewają się i dają; i tu robią się niekiedy kupna i sprzedaże, niekiedy chwilowe ustępstwa i dzierżawy. Ta tylko różnica, że się to wszystko odbywa nie w szubie i w czapce, ale we fraku i w żółtych rękawiczkach; nie głośno i bez względu na sąsiada, ale okiem, uśmiechem i często ledwo dosłyszonym szeptem; i że się już tu nie mówi o duszach odzianych w siermięgi, ale o jednej tylko pełnej tkliwości duszy, owianej gazą i obleczonej w jedwabie.

Noc w czasie kontraktów, ma także swój oddzielny charakter. Kto skończył szczęśliwie interesa, śpi i chrapie, aż się okna trzęsą. Chodzi ubrany po izbie, kogo zawiódł dłużnik, kogo w kupnie ubiegł przyjaciel, kogo sąsiad oszukał, kto nie dostał dzierżawy i z dobytkiem i dziećmi nie będzie się miał gdzie podziąć na wiosnę. Nie śpi także, kto ma jutro termin; biegnie do okna i przypatruje się, jeśli jaki bicz kłaśnie, kto oczekuje ekonoma z intratą, dłużnika z kapitałem, lub wierzyciela z wexlem, mającym mu się jutro zaprezentować. Panie czytają nowo kupiony romans, lub powtarzają w myśli żalosne tony wiolunczeli Serwego lub akordy Liszta i Talberga, albo co najczęściej, spojrzawszy jeszcze w lustro przed układzeniem się, i marząc o tém, co mówiły i słyszały, zasypiają z jakimś drogiem słówkiem na ustach, z jakimiś wąsikami w myśli, z jakąś nadzieją lub trwogą w sercu. Ale są domy, gdzie nikt o śnie i nie marzy. Tam świece dopalają się niepostrzeżenie na zielonych stołach; tam w wazach kurzących się wre bez ustanku poncz; tam dym cygar i fajek unosi się nad pochylonemi głowami, a w każdej piersi zużywa się tyle życia, ileby wystarczyło dla dziesięciu istot ludzkich, spokojnie

i po bożemu żyjących. Tam nie ma zgiełku i rozmów. Monosylaby wystarczają, bo resztę tego dzieła zatracenia dopełnia hieroglif zgubny, na podłużnych karteczkach odmalowany, oko zapalone i zapadłe, i ręka drżąca, która odsuwa, lub przygartuje pieniądze.

Tak wyglądają kontrakty kijowskie wewnątrz. Trwają one krótko, ale zostawiają długie ślady w życiu kilku tysięcy ludzi, którzy mają w nich czynny udział. Zjazd ten, jedyny w swoim rodzaju, z bogaca miasto, wprawia w wielki ruch handel; wszystkim zaś, którzy mają interesa dotyczące się majątków, a często i bytu, naznaczając pewny, stanowczy termin, daje czas do zebrania się z siłami, do odpowiedzenia zobowiązaniu. Jak każda rzecz ludzka i ziemską, mają kontrakty dobrą i złą stronę. Przesiewają one, że się tak wyrazim, i translokują mnogie miliony, i jeżeli zapewniają jednym spokojność, dochód i exystencją na lat kilka lub na zawsze: to często także rujnują mienie, a honor i pokój innych na resztę życia niweczą.

P. Roman, bezinteresowny świadek tego krztałania się, tych gorączkowych zabiegów, bawił się nowym dla siebie widokiem i z każdej rzeczy użyteczne dla swojego doświadczenia wyprowadzał wnioski. Wszakże gdy szesnasty i siedemnasty stycznia minął, przestała go interesować ta wrzawa, ten ruch coraz wzrastający, i dziwna jakaś opadała go tęsknota. Ośmnastego od rana siedział w oknie, wychodzącym na główną ulicę, trzymał w ręku list ciotki, i patrząc to na przypisek, to w okno, niecierpliwil się, i smutnym oddawał się myślom. Gdy tak z godzinę posiedział, czy tknięty jakim przecuciem, czy znużony tym stanem swojej duszy, zerwał się i zaczął się ubierać. Dla rozrywki zapewne i dla rozpedzenia tęsknych dumań, p. Roman chciał dziś ubrać się ładnie, i lepiej niż zwykle wyglądać. Dobierał więc haluski i kamizelki, przymierzał je i zrzucał, co wielce zdziwiło poczciwego Bartosza, który do tych wymysłów swego pana nie był wcale przyzwyczajony. Wdział wreszcie p. Roman tużurek, i stanąwszy przed zwierciadłem, przeczesywał melancholicznie swoje wąsy; wtém na ulicy rozległ się trzask z bicia. Głos ten odbił się nie wiedzieć dlaczego w piersiach p. Romana; rzucił więc grzebyk, poskoczył do okna, i spojrzawszy w nie, jak stał, bez czapki, wybiegł pędem na ulicę.

Właśnie wprost drzwi jego domu stała ciemno-błękitna karéta na niskich sanicach; piątka dzielnych i zgrzanych siwoszków wyrzucała głowami cugle, i parskając na znak, że jój tu będą radzi, chciała już ruszać dalej i dostać się czém prędzej do stajni. Ale sanki zwoszczyków, zapóźnionych z dostawą, zbiły się tak, że nie można było postąpić. Wołał młody Krakowiak, krzyczał lokaj, ale nie pomogło.

Trzeba było poczekać. Gdy p. Roman stanął we drzwiach swego mieszkania, w oknie karety zajaśniała twarzyczka rumiana i drobna; delikatny nosek dotknął się szyby, piwne oczy błysnęły radością, na ustach koralowych pokazał się uśmiech tak ujmujący, tak słodki, że pan Roman zupełnie zapomniał, że jest tylko w lekkim tużurku, i nie ma czapki na głowie. Przystąpił więc do karety, nie zważając na śnieg sypki i głęboki, jak piaski Mazowsza, i w téjże samej chwili okno zapadło, a rączka biała i ciepłutka, dobywając się z sobolowego rękawka, dotknęła jego drżącój ręki.

— Tak późno—rzekł wreszcie stłumionym od radości głosem.

— Czyż mnie tu kto czekał? — odpowiedziała Krystyna, i widząc, że się pan Roman zaczerwienił, uśmiechnęła się i dodała: — Pan tu mieszka?

— Od dwóch przeszło tygodni, a od tygodnia wyglądam przez to okno.

— Pan wygląda? Czy był kto zapowiedziany?

— List mojej ciotki zapowiedział mi przybycie Pani.

— Więc to pan mnie wyglądał przez to okno?—A gdy p. Roman jakoś nie znalazł się, ona dodała:— Ale pan zamoczy nogi i przezięb się. Idź pan, weź płaszcz i czapkę.

— Pani się chcesz mnie pozbyć?

— Bynajmniej, chcę, żebyś pan był zdrow—odpowiedziała rumieniąc się: bo mi pan tu przez cały czas kontraktów będziesz potrzebny; mam dużo sprawunków.

— Więc dla sprawunków tylko—rzekł nasz bohater żartem, a jednak przypomniał sobie sprawunki, które robił na Krakowskiem-Przedmieściu. Gdy ta assocyacya wyobrażeń przyprowadziła go do milczenia, Krystyna obracając się do swego lokaja, rzekła:

— A cóż, jedziemy?

— Gdzie tam, nie można ruszyć—odpowiedział sługa.

— Pójdźże na górę—dodała—i przynieś panu płaszcz i czapkę.—Lokaj pobiegł, a p. Roman uśmiechając się, rzekł:

— Dziękuję pani za tę troskliwość, choćby dla miłości sprawunków.

— Pamiętajże pan, żeby mię tu nikt nie oszukał—rzekła Krystyna.

— W takim razie—mówił p. Roman, już niby pewniejszy swego—będę musiał pani wszędzie towarzyszyć, i wiedzieć o każdym pani kroku.

— Ma się rozumieć — odpowiedziała. — Bo chociaż nie z mojej woli, ale z woli babci jestem tu pod specjalną opieką Pana Dobrodzieja. — Gdy to mówiła, minka jej była tak figlarna, wyraz oczu taki, że p. Roman zadrział. Tymczasem służący przyniósł płaszcz. Gdy się p. Roman odział i chciał zapytać, gdzie mieszkać będzie, konie ruszyły, a Krystyna wychylając główkę z karety, zawołała:

— *Au revoir Monsieur!*

Został więc nasz bohater w śniegu w lakierowanych bótach. Wyskoczywszy na trotoar i otrzepawszy nogi, pomyślał chwilę, i bojąc się, aby mu jeszcze dzień jeden napróżno nie przeszedł, gdyby przyszło do głowy wymyślniej kobiecie nie dać mu znać, gdzie zamieszka, postanowił dojść natychmiast, do jakiego domu zajedzie. Szczęściem, nawinęły się sanki; wskoczył w nie, i gdy wjechał na plac, obaczył konie Krystyny na prawo ku Dnieprowi dążące; kazał więc pędzić za ujeżdżającym powozem, i wkrótce postrzegł, że na Borysoglebskiej ulicy, przed porządnym piętrowym domem kareta zatrzymała się, i gdy otworzono bramę, znikła w dziedzińcu. Zaspokojony więc z tego względu, dla rozrywki udał się do sali kontraktowej; ale gdy wstępował na stopnie ganku, postrzegł pod ostatnim filarem mężczyznę, obwiniętego w płaszczu i gładzącego spokojnie brodę. Chociaż twarz była w przeciwną stronę odwrócona, cała ta postać i ruchy uderzyły bohatera naszego niemiło, jak przykre widziadło. Postąpił jednak parę kroków bliżej; w téjże chwili ów mężczyzna obrócił się. Był to p. Władysław.

Niepodobna było udać, że go nie widzi, jakkolwiek wielką miał do tego ochotę. P. Władysław pierwszy do niego uśmiechnął się, i postąpiwszy kilka kroków, podał mu rękę.

— Jak się pan masz — rzekł uprzejmie. — Widać, że pana nasze kontrakty niebardzo bawią: masz twarz znudzoną i niewesołą.

— Owszem, owszem — odpowiedział p. Roman — zajmuje mię mocno wszystko co widzę; możebym tu drugi raz nie przyjechał, ale na pierwszy raz rzecz jest ciekawa i godna widzenia. Pan tu bywasz co rok?

— Mam interesa — odpowiedział p. Władysław.

— A jednak pan spóźniłeś się trochę — mówił p. Roman z wolna i patrząc mu przenikliwie w oczy. P. Władysław uśmiechnął się i odpowiedział gładząc brodę:

— Nie mogłem wcześniej.

— Dawnoż pan przyjechałeś? — zapytał p. Roman, którego twarz bladła i serce ścisnęło się.

— Przed godziną — odpowiedział zapytany, podniósłszy oczy i spojrzawszy niby na południe, niby na wschód.

— Żegnam pana — rzekł wówczas prędko p. Roman, kiwnął głową i odszedł, ledwie dosłyszawszy słów: „do widzenia”, które pan Władysław za nim niedbale rzucił. Gdy wszedł do sali, wydała mu się dziwnie brudną, natłoczoną, krzykliwą i nieznośną. Uciekł stąd prędko i zaszedł do Zawadzkiego. Tam kazał sobie odłożyć wszystko, co w przeciągu ostatnich trzech lat u niego wyszło; wziął w rękę pierwszy lepszy wolumen, usiadł w kącie i zaczął go przerzucać. Zamiast liter, widział p. Roman szereg sanek ładownych, które zawały ulicę, i wśród nich ciemno-błękitną karete, a przez jęj polerowaną szybę błyszczące oczy, uśmiechające się usta i tę rączkę białą i ciepłą, która jego palców dotknęła. Winiety zdobiące to dzieło przemieniały się w siwe, niecierpliwące się konie, a z majuskułów, któremi wypisany był rozdział, zrobiły się w oczach jego kolumny kontraktowego domu, a pod ostatnią z nich ujrzał mężczyznę w płaszczu i gładzącego brodę. Wówczas gorzkie myśli przesuwwały mu się przez głowę; a gdy przyszedł do tego rezultatu, że prawie razem przyjechali, że mogli odbywać popasy w tychże samych karczmach, a może i noclegi w tychże samych miasteczkach: rzucił książkę, porwał się z krzeselka i wyszedł. Z godzinę jeszcze błąkał się po różnych miejscach, nie znalazłszy nigdzie ani rozrywki, ani uspokojenia. Nareszcie sfatygowany, znękany i w najgorszym humorze, wrócił do domu. Gdy wszedł do salki i chciał się rzucić na kanapę, żeby odpocząć i podumać, postrzegł na stoliku swoim bilecik biały, zgrabny i misternie złożony. Były tam następujące słowa: „Jeszcze się nie roztasowała; ale przychodź pan, pomożesz mi i dodasz konceptu, żeby było lepiej. Jeżeli łaska Pana Dobrodzieja, będziesz mi potem towarzyszył do Szafnaglowej, u której muszę się trochę odświeżyć i odnowić. Proszę się nie wykręcać, bo poślę zaraz sztafetę do babci, że pan jęj nie słuchasz. Mieszkam na Borysoglebskiej ulicy pod nr. 91.” Krystyna.

P. Roman wziął na kiel, zmiął bilecik i zaczął chodzić po pokoju. Po jakimś czasie wyjrzawszy oknem i widząc, że słońce świeci i że dobrze będzie przejechać się, przebrał się, naciągnął nowe paliowe rękawiczki, wziął kapelusz, i kazawszy sobie podać piękne futerko, które niedawno kupił, wsiadł do sanek i pojechał. Kazał się wieźć na Kreszczatyk. Po jakimś jednak czasie zmiarkowawszy, że góra wielka i konie się napróżno zmęczą, gdyż jechet bez interesu, zawrócił napowrót na Padół. Tu zatrzymał się przy

studni Samsona, od którego cały plac bierze nazwisko. Ale że posąg bohatera biblijnego nieszczerólny, i że mu przytém przyszła na myśl zdradziecka Dalila, ruszył dalej ku akademii duchownej. Tam znalazłszy jakąś przeszkodę, i nie widząc potrzeby jechania ku Dnieprowi, gdyż był zamarznięty i nie przedstawiał ciekawego widoku, udał się na prawo, i wjechawszy przypadkiem na Borysoglebską ulicę, przed nr. 91 stanął.

Nie będziemy nudzić czytelników naszych dalszemi szczegółami. Powiemy tylko w ogólności, że resztę dni kontraktowych p. Roman przebył prawie tak, jak owe czarowne dni w Myszowcach, których zapomnieć nie mógł. Krystyna była dla niego równie miłą, równie uprzejmą, i sprzedającą. Raz na zawsze był do niej zaproszonym na obiad, a jeżeli sama była gdzieindziej wezwaną, to i p. Roman wezwanie odbierał. Z nią chodził po magazynach, odprowadzał ją na koncerty i z nią wracał; na wieczorkach u niej, nadzwyczajnie miłych i animowanych, odbierał często te słodkie dla mężczyzny oznaki poufałości, te polecenia drobne w domowym zakręcie, które wszystkim obecnym mówią, że ten człowiek wchodzi w prawa, których mu każdy zazdrościł. P. Roman pysnił się temi względami i tém jaśniej pojmował życzenia ciotki, że porównawszy teraz Krystynę z dystygowanemi nawet kobietami, które się do Kijowa zbiegły, znajdował ją najpiękniejszą i najmiłą ze wszystkich. I ta kobieta jawnie mu okazywała swoją przychylność, nie przeszła mimo niego w kompanii, żeby nie kiwnęła główką, nie uśmiechnęła się, nie powiedziała jakiego pamiętnego słówka; gdy wsiadała do powozu, on tylko podawał jej rękę, gdy szła piechotą, wspierała się na jego ramieniu, i tak wchodziła na wschody wybierać wzory kanwowe, tak do pani Szafnagiel kupować stroje, tak do księgarni Zawadzkiego i Glücksberga zaopatrywać się w książki i sprzeczać się z literatami. Któryż mężczyzna nie dałby się odurzyć? i któryż z czytelników naszych zdziwi się, że p. Roman przez cały ten czas ani razu nie zajrzał do téj tajemnej przegródki swego pugilaresu, gdzie leżał list Kasi, ani jednę modlitwy na jej książeczce nie odczytał, i podobno ani razu pacierza nie dokończył.

Dwudziestego ósmego stycznia był ostatni u Krystyny wieczór. Chociaż wiele już osób wyjechało, jednak sala jej napelniła się tém wszystkiém, co tylko najcelniejszego pozostało w mieście. Krystyna nigdy nie była tak piękną, tak wesołą, tak dobrą i prawie tkliwą dla p. Romana. Po drugiej dopiero rozeszli się goście, p. Roman wychodził ostatni. Gdy już był przy drzwiach, odwrócił się jeszcze

i obaczywszy, że sama w pokoju, wyciągnął do niej ręce zdaleka. Krystyna, z łagodnym wejrzeniem pokiwała główką, jakby mu chciała powiedzieć: nie trzeba. P. Roman uwikłany nieprzewycięzonym wdziękiem, z nadzieją i namiętnością w oku, chciał powrócić—ale ona uprzedziła go, podbiegła ku niemu, i kładąc prędko dłoń swoje na jego ustach, szepnęła:

— Idź pan już sobie—dobranoc—kolega pański tam czeka w przedpokoju.

Rozmarzony i jakby pijany wrócił do domu. Ale wszedłszy do salki, zdziwił się niepomału, gdy zastał tam jakiegoś mężczyznę, który siedział tyłem do drzwi, łokcie miał oparte na stole, i zanurzony w myślach. Za stuknięciem drzwi i na odgłos kroków p. Romana, gość ów powstał i ku niemu się obrócił. Był to p. Władysław. Twarz jego była niezmiernie blada, oczy zapadłe, wąsy i broda rozczochrane, kłapa od surduta naddarta, a na rozpiętej kamizelce i pomiętej koszuli, wisiała chustka czarna, która widać dławiała jego szyję i którą rozwiązał. Widok ten przeraził p. Romana, a ten spadek gwałtowny od cudnego stworzenia, pełnego wdzięku, życia i przyszłości, do tej odrzuconej istoty, za którą zdawała się stać zguba i zatrać; to nagłe przejście od miłości i szczęścia, do nienawiści może i jakiego kroku rozpaczy, odurzyły go tak, że nie wiedział, co sen a co prawda: czy to niebo, które się przed nim zamknęło, czy to piekło, które miał przed oczyma.

Nie miał p. Roman żadnej niechęci do p. Władysława. Od przybycia Krystyny rzadko go widywał, a u niej nigdy. W obcych domach, na koncertach i miejscach publicznych nie zbliżał się do niej p. Władysław wcale. Bywał wprawdzie w niektórych kompaniach, ale zaledwie pokazał się, wkrótce zniknął i bynajmniej p. Romanowi nie zawadzał. Nie mógł więc bohater nasz zmiarkować, po co o tej porze i w takim okropnym położeniu do niego przyszedł. Po kilku minutach milczenia, p. Władysław pierwszy się odezwał:

— Dziwisz się pan zapewne, że mnie tu widzisz.

— Nie taję—odpowiedział p. Roman—że mię to mocno zastanawia.

— Nie dziw się pan i daruj, że ci może miłe marzenia przerwę. Czekam tu na pana od godziny. Ale pozwól mi pan usiąść, bo nogi drżą podemną—dodał głuchym głosem.

P. Roman ukazał mu krzesło i sam usiadł.

— Wracasz pan od niej?—rzekł pan Władysław, trąc ręką czoło.

— Wracam z wieczoru od p. Rożewskiej—odpowiedział p. Roman, i wymówił dobitniej to nazwisko.

— Nie obrażaj się pan—mówił dalej p. Władysław—że ją tak nazywam. Jest moją krewną, była moją narzeczoną, kochała mię, i ja ją kochałem. Ten więc sposób mówienia w niczém jój nie ubliża, jakkolwiek rzeczy się zmieniły.

— Cieszę się mocno—rzekł p. Roman—że mię pan uwalniasz od przypominania mu, że nie masz żadnego powodu mówić z lekceważeniem o takiej kobiecie, jak pani Rożewska.

— Z lekceważeniem?—odezwał się p. Władysław z gorzkim uśmiechem.—Nikt więcj odemnie nie czuje i czuć nie może, ile ona warta czci, na jaką zasługuje miłość. Ale nie wiem, czy mię pan dobrze rozumiesz, i czy panu wiadome nasze stosunki.

— Wiem o wszystkiém od mejj ciotki—odpowiedział pan Roman.

— Tém lepiej—dodał kiwnąwszy ręką—nie będę potrzebował pana nudzić długim opowiadaniem; dodam tylko, czego może panu nie powiedziano. Gdybym był chciał, przed rokiem, przed dwoma laty Krystyna byłaby moją żoną. Nie sądz pan, że się chwale. Mam wiele wad, ale faufaronadę uważam za najniższą ze wszystkich, bo się rodzi z głupstwa i idzie brat za brat z kłamstwem. Mówię więc panu, że ja nie chciałem, bom ją kochał, bom czcił jój wspaniałość, szanował jój odwagę. Kochająca i szlachetna, ona wierzyła w obietnice poprawy i statku, którem jój w uniesieniu wdzięczności czynił! Ale ja sam im nie wierzyłem; ja sam nie chciałem wciągać za sobą anioła, co mi podawał rękę nad przepaścią, nad którą, czułem, że stoję, i czułem, że mię w nią jakaś niepojęta i zgubna siła popycha.

Powstał p. Władysław, przeszedł się parę razy po pokoju, potem stanąwszy przed p. Romanem, tak dalej mówił:

— Zapewne panu dziwno, na co ta spowiedź! Oto chcę, żebyś mię pan poznał zupełnie, nim powiem, po co przyszedłem. W tém, coś pan dopiéro co słyszał, jest bez wątpienia dobra strona mojego charakteru, jest może cokolwiek wspaniałości, zem ja, szuler i rozpustnik nie chciał zostać panem takiego majątku, który mogłem przesiąć, i wyrzekł się posiadania tak cudnej kobiety, i takiej, co mi się oddawała z miłością. Ale teraz uważ pan, do czego doprowadza droga, na jakiej mię fatalność jakaś postawiła. Przed dwoma laty zgrałem się; dowiedziała się o tém; dług był znaczny, i zapłaciła go. Drugi raz w Odessie przegrałem kilkadziesiąt ty-

sięcy. Ci, co mnie ograli, byli cudzoziemcy, uwierzyli mojemu honorowi na trzy dni. Trzeba było uiścić się, lub sobie w łeb palnąć. Kredytu już nie miałem. Ale spodlony pierwszą jalmużną, której nie myślałem oddać, udałem się po drugą. Nie miała pieniędzy, oddała mi swoje brylanty—i ja wziąłem je. A chociaż była na nich łaża, która spadła z jej oka wtenczas, kiedy mi je oddawała—sprzedałem. Teraz pan wiiesz, z jakim człowiekiem masz do czynienia. Tym, co go kochają, płaci on bólem i ranami; tych, co mu przebaczą, obraża nowym i cięższym jeszcze grzechem; tych, co się nim opiekują, obdziera i grabi. Przed panem szuler w całym, okropnym znaczeniu tego wyrazu, przed panem hultaj, zdolny oddać tylko dług kartowy, ale w każdym innym względzie nie godzien kredytu na trzy grosze. Czy pan chcesz teraz, żebym dalej mówił?

— Mów pan—odpowiedział p. Roman, tknięty do żywego tak dziwną rozpaczą.

— Skończę więc—dodał p. Władysław, rzucając się na krzesło.—Przynajmniej tę oddasz mi sprawiedliwość, żem cię nie chciał podejść. Otóż nigdy w życiu nie byłem tak nieszczęśliwym, jak teraz. Od sześciu dni, nie śpię i nie jem prawie. Ciągłe gram, i przegrywam. Dziś przegrałem resztę. To moje szczęście, że wieś, z której żyję, jest dożywociem mojej matki. Inaczey i ten krwawy zarobek mojego ojca, tę piękną spuściznę, na której mógłbym pędzić dni bez troski, zmarnowałbym. Ale trzechletnia dzierzawa poszła. Wziąłem ją całkowicie z góry przed tygodniem, i w kilka dni już jej nie było. Przegrałem wszystkie sprzęty, wszystkie książki, przegrałem sanie i konie, któremi tu przyjechałem; nawet tego wiernego towarzysza, tego przyjaciela, którego i ona tak kochała, mojego psa postawiłem na kartę, i przegrałem. Teraz nie mam nic, tylko ten surdut rozdarty ze złości, i trzydzieści tysięcy długu; ale nie takiego długu, który można nie oddać, nie takiego, którybym zaciągnął u brata, u przyjaciela, u kochanki. Te trzydzieści tysięcy winienem szulerom takim jak ja, i zapłacić je muszę jutro o ósmej rano. Gdybym do niej się udał, onaby mię wyciągnęła i teraz z tej kałuży brudu i nieprawości. Ale tego nie uczynię: wolę zginąć jak ostatni łajdak, wolę skończyć ten obrzydły żywot jaką desperacką burdą, niż jeszcze raz zranić to serce, którego mi nie wart. Widzisz tedy pan, że mam tylko dwie szanse do wyrwania się z tego piekła. Pierwsza jest pistolet. A drugą...tu p. Władysław zatrzymał się, zasadził obie ręce we włosy, i cisnął mocno głowę.

— Czemuż pan nie kończysz? jakaż druga? — zapytał p. Roman, patrząc nań z politowaniem. P. Władysław zerwał się z miejsca i chodząc szybko po pokoju, zawołał:

— Ha! zdawało mi się, że mi to przyjdzie łatwiej wymówić.

— Chcesz pan, żebym za pana zapłacił? — rzekł wówczas pan Roman z wzniosłą prostotą szlachetnego serca. P. Władysław przystąpił do niego, położył rękę na jego ramieniu, i patrząc mu w oczy z niedowierzaniem, rzekł:

— Człowieku! tybyś to zrobił! Ale prawda — dodał odstępując — musisz być szlachetnym, musisz być zacnym i dobrym człowiekiem, kiedy ona dla ciebie zapomina o nieszczęśliwej słabości swojej dla mnie. O! staraj się — dodał biorąc obie ręce p. Romana — staraj się, niech cię pokocha. Żadna kobieta na świecie nie da ci tyle szczęścia. — Tu biédak, złamany tą burzą, która od tylu dni wrzała w jego łonie, usiadł, zakrył obiema rękami twarz, i łzy obfite, łzy ulgi, a może i szczerego żalu potoczyły się z jego oczu. Pan Roman, wzruszony tym widokiem, rzekł łagodnie:

— Uspokój się pan, p. Władysławie. Widać, że ta oplakana namiętność, która cię gubi, nie zagłuszyła jeszcze w tobie dobrej natury. Lepszym pewnie jesteś, niż sam siebie odmalowałeś. Dlatego nie ryzykuję nic, jeżeli ci pomogę, a pomogę ci chętnie, bo pewny jestem, że głębokie uczucie tego poniżenia, w jakie wpadłeś, podniesie cię; że honor, właściwy takiemu sercu, jak twoje, przypomni ci tę chwilę, w której podałem ci rękę ratunku.

— Więc to nie jałmużna? — zawołał ocierając oczy pan Władysław.

— To pożyczka p. Władysławie — i niebezwarunkowa.

— Więc pan jeszcze wierzysz, że ja zdolny jestem jakiegobądź warunku dopełnić?

— Powiedziałem panu, że się wyobrażasz gorszym, niż jesteś — rzekł nasz bohater.

— O! teraz nie dziwię się, że ona pana kocha — mówił smutno p. Władysław, oparł głowę na rękę i zamyślił się. Ten smutek, to zamyślenie dało miarę p. Romanowi, jak głębokiem musiało być jego uczucie dla Krystyny, i jak straszną i potężną namiętność do gry, kiedy pierwsze powstrzymać jęj nie mogło. I serce jego opanował także jakiś dziwny smutek, i ta myśl, że może i jęj przywiązanie, jęj pierwsza miłość jest równie głęboką, napęłniła go jakimś drżeniem, które mu uczyniło chwilę tę nieznośną. Chciał więc co prędzej zbyć się tęg sprawy, sądząc, że z jęj ukończeniem wróci do tych słodkich

marzeń, z jokiemi przyszedł do domu. Zbliżył się więc do siedzącego jeszcze w zamyśleniu p. Władysława, i rzekł:

— Więc pan przyjmujesz mój warunek?

— Przyjmuje wszystkie—odpowiedział tamten słabym głosem.

— Siadaj pan tu—mówił p. Roman, ukazując mu miejsce przy biurku, i napisz mi rewers na trzydzieści dwa tysiące. Tylko nie kładź pan terminu oddania, bo możesz nie dotrzymać, a jabym nie chciał, żebyś mi chybił.

P. Władysław spojrział na niego, potarł ręką czoło, usiadł i napisał. Gdy Pan Roman przejrzał rewers i schował, mówił dalej:

— Teraz pisz pan, co będę dyktował.—P. Władysław milcząc wziął pióro do rąk, i czekał, a bohater nasz zaczął mu dyktować, jak następuje:

„Upoważniam pana Romana Wyżopolskiego do wypłacenia należących mi od niego trzydziestu tysięcy, panu”—tu napisz pan nazwiska osób, którym winienes i ilość, wieleś winien. Gdy było napisano, p. Roman dyktował dalej: „razem trzydzieści tysięcy złp. Po ukazaniu mi kwitów od wyżej wymienionych osób, rewers panu Wyżopolskiemu zwróconym i dług jego skasowanym zostanie”.

Gdy p. Władysław skończył i podpisał się, rzekł:

— Więc pan mi pieniędzy do rąk dać nie chcesz?

— Czy źle robię?—zapytał p. Roman, wyciągając do niego rękę.

— Owszem dobrze robisz—zawołał ściskając podane sobie dłonie.—Gdybym je miał przy sobie, i obaczył światło w ich oknach, wszedłbym—i przegrałbym.

— Dlatego jeszcze jeden warunek, panie Władysławie—rzekł pan Roman, dobywając z biurka trzysta rubli.—Napisałeś mi rewers na trzydzieści dwa tysiące, a ja zapłacę jutro tylko trzydzieści.

— Czy napisałem na trzydzieści dwa?—rzekł, przypominając.—A prawda. Więc mi dajesz dwa tysiące gotowizną?

— Żebyś sobie najął konie, miał na drogę, i jutro, po odebraniu zakwitowania od tych panów, wyjechał.

— Dziękuję ci p. Romanie—rzekł, i wziął z rąk jego pieniądze i gdy ścisnął w dłoni zdradzieckie papierki, oko jego ożywiło się i błysnęło życiem i blaskiem. P. Roman zadrżał, a on dziękując mu raz jeszcze, poszedł spieszenie ku drzwiom. Przy drzwiach jednak zatrzymał się, postać chwile i wracając zwolna do p. Romana, oddał mu pieniądze.—P. Romanie! rzekł—najmij dla mnie konie sam; ja pójdę tymczasem spać. Niech twój dobry uczynek będzie całkiem dobry i skuteczny.

— Widzisz pan — rzekł wówczas p. Roman — dobrzem wiedział, że z panem nic nie ryzykuje.

— Pieniądze ci oddam, Bóg mi świadkiem—zawołał wtedy pan Władysław ze łzą w oku — ale czy kiedy będę miał czém zapłacić ci za tę chwilę, o tém wątpię. Byłoby to nadto szczęścia, a jam go nie wart.

To powiedziawszy ścisnął rękę naszego bohatera, narzucił na siebie płaszcz i poszedł. P. Roman chodził długo jeszcze po pokoju, wreszcie położył się — i nigdy nie spał spokojnie i ciszej.

Nazajutrz, gdy sprawa kartowa załatwioną została, i p. Władysław wyjechał z miasta, poszedł p. Roman około godziny dwunastej do Krystyny. Powiedziano mu, że pani chora i nie kazała dziś nikogo przyjmować. Te proste i zwyczajne słowa dotknęły go boleśnie; wrócił więc do domu, zamknął się i nigdzie nie wychodził. Jak mu ten dzień przeszedł, łatwo pojąć. Niezdolny do zajęcia się czémkolwiekby, chodził tylko po sali i za każdym stuknięciem w przedpokoju, czyszczotka upadła z rąk służącego, czy wywrócił się lub posunął stół, czy drzwi skrzypnęły, wzywał i pytał się, kto przyszedł. Tak licząc i czując każdą minutę, wyglądał wezwania. Sciemniło się wreszcie i minęła zwolna i leniwo ósma, dziewiąta i dziesiąta. P. Roman jeszcze nie rozbierał się, jeszcze czekał. Około jedenastej dopiero posłyszał w przedpokoju rozmowę, porwał się z miejsca i wyjrzał. Był to lokaj Krystyny z bilecikiem. Pochwycił nasz bohater pożądany papier z rąk jego, wszedł do sali i czytał następujące słowa:

„ Nie przyjełam pana, bom była brzydką i zapłakaną. Wiem o wszystkiem; nie dziwię się, żeś pan tak postąpił. Takim cię marzyłam. Jutro jadę prosto do Bykówki, do nóg mojej jedynéj babci. Czy pan tu jeszcze zostajesz? ” Krystyna.

P. Roman podniósł się, wyprostował tak, iż mu się zdało, że głową sufit przebije. Potém wybiegł do przedpokoju, i gdy jéj lokaja już nie został, krzyknął na starego sługę swego, który patrzył nań z podziwieniem:

— Pakować rzeczy natychmiast; jutro rano jedziemy!

Niech teraz czytelnicy nasi dopełniają reszty. Zostawiamy ich z bohaterem naszym na Pobereżu, pozwalamy im na tém tle, któreśmy tu podali, budować, co się im podoba; a sami powracamy do Warszawy i na Żytną ulicę, którą usunęliśmy tak długo z ich uwagi, ale o której nie zapomnieliśmy wcale.

KRONIKA LITERACKA.

Gramatyka języka polskiego przez Dobromysła Łazowskiego.
Kraków. 1848 r.

Już tedy od dwóch lat wyszła z druku Gramatyka p. Łazowskiego, i obok niej skrócona tegoż autora *Gramatyka dla uczniów*, a następnie wyjść musiała i zapowiedziana na pierwszej kartce napisowej *Gramatyka dla dzieci*; lecz dla utrudnionych lub zaniedbanych od niejakiego czasu związków księgarskich między Warszawą a Krakowem obszerniejszą tylko Gramatykę miałem pod ręką, nie mogąc się doczekać sprowadzenia dwóch skróconych Gramatyk.

Autor na drugiej kartce napisowej umieścił za godło słowa Mrozińskiego: „*Nie możemy mieć Gramatyki Polskiej, dopóki nie będzie poznana część filozoficzna języka czyli jego wewnętrzna budowa.*” Warunek wszakże w tej zapowiedzi Mrozińskiego podany dotychczas nie został spełnionym ani przez samegoż Mrozińskiego, ani przez Deputacyą Tow. Warszaw. Przyj. Nauk, której Mroziński był prezesem, ani przez późniejszych grammatyków wileńskich, poznańskich, warszawskich i lwowskich; ani nareszcie przez pana Łazowskiego autora jednej z najnowszych podziś-dzień Grammatyk polskich. Bo poznanie *części filozoficznej* czyli wewnętrznej budowy naszego języka zależy głównie na upatrzeniu i zbadaniu związku samorodnej myśli polskiej z mową; a po takim dopiero zbadaniu wymagającym wieloletniej pracy, dostojny grammatyk czy filozof stałby się u nas zdolnym wyświecić i podać najwłaściwsze sposoby wyrażania się w swojej mowie ojczystej, zgodnie z duchem i charakterem naszego narodu. Wspomniona zaś *Deputacya*, której głównym zadaniem było sprostowanie i ustalenie pisowni polskiej, jak się to pokazuje z wydanych przez tęż *Deputacyą Rozpraw i Wniosków*, zajmowała się prawie wyłącznie rozpoznaniem i zgłębieniem zewnętrznej budowy naszego

języka. Podobnież i wszyscy grammatycy nasi tak dawni jako i późniejsi nie starali się bynajmniej zgłębić ducha mowy szczeropolskiej, nie wyłączając nawet Kopczyńskiego, co tak żarliwie w imieniu ducha językowego do rodaków przemawiał, i w przypisach do swojej Grammatyki elementarnej, i w *Poprawie błędów* osobno wydanej, i w Grammatyce pozgonnej. Toż Mroziński, którego *Piérwsze zasady Grammatyki języka polskiego* i *Odpowiedź na recenzję* stanowią epokę w dziejach naszego piśmiennictwa grammatycznego, skład zewnętrzny wyrazów i ich odmiany grammatyczne mając jedynie na względzie, nawet nie tknął *składni*, w której najlepszą miał sposobność zgłębić część filozoficzną języka. A cóż innego powiedzieć można o Maxymilianie Jakubowiczu i o Muczkwskim (1), których Grammatyki w drugim wydaniu, lubo znacznie powiększone, nie zalecające się jednak wcale czystym i jasnym wykładem, a jeszcze przepelnione drobiazgowymi postrzeżeniami i uwagami, daleko niższe są pod względem elementarnym od ichże własnych Grammatyk piérwszego wydania. Toż samo rozumić mamy i o panu T. K., którego piérwsza część Grammatyki w Wilnie wydana nierównie jest lepszą od drugiej wydanej po latach kilkunastu w Warszawie; i o panu Felixie Ż., któremu przed kilką laty *Ocena grammatyki Deszkiewicza* większą zjednała zasługę niż dawniej wydane własne dzieło pod napisem: *Części mowy odmieniające się przez przypadki*; jako też i o samymże Deszkiewiczu, co tak wiele i tak szumnie zapowiadał i obiecywał w napchanych erudycją wielojęzyczną i upstrzonych nowatorskimi błyskotkami *rozprawach*, które poprzedziły jego nędzną Grammatykę. Toż samo nareszcie powiedzieć można i o wszystkich Grammatystach polskich, którzy pisali dla Niemców, a z pomiędzy nich największy w niektórych względach nowator Suchorowski niżej nawet stoi od Bandtkiego, co idąc ubitym torem, wiele wszakże błędów Kopczyńskiego powszechnie przyjętych poprawił.

Najelementarniej bez wątpienia wygląda Isza część Grammatyki wileńskiej pana T. K., jeszcze w 1832 r. wydana na szarój bibule dość poprawnie u T. Glücksberga, tudzież późniejsza nieco Grammatyka także wileńska Krasieńskiego, której prawdziwie elementarna krótkość jest największą i jedyną zaletą; nareszcie Grammatyka wydana w Trzemesznie pod rokiem 1848 bardzo niedokładna, zwłaszcza co do nomenklatury

(1) Jakubowicz w wydaniu drugim swojej Grammatyki z r. 1826 nie przejął nawet pisowni Mrozińskiego jakby o niej nie wiedział, a Muczkwski 300 przeszło §§ Grammatyki poznańskiej do blisko 700 podniósł, jak gdyby i tu równie jak w innych rzeczach nie chodziło więcej o jakość niżeli o ilość; zapomnieli tedy oba, że *obfitość nie jest bogactwem* i namnożyli drobiazgowych podziałów, zamiast coby je mieli obmyślić gruntownie i umiarkować.

przejętej po większej części od Muczkowskiego; a o Grammatyce polskiej po niemiecku wydanej niegdyś przez Vatera zaledwo tu wspomnieć warto. Pomijam oraz różnoczesne Grammatyki polskie, których ani teraz ani dawniej nie mogłem mieć pod ręką; o moich zaś nieudatnych, a bardziej jeszcze niepopłatnych pracach grammatycznych niech mi będzie wolno wspomnieć z całą szczerością przekonania, dopiero aż przy końcu niniejszego pisma; tu tylko po sumiennem wyznać winienem, że w nagłym razie pisząc do druku Grammatykę polską, jedynie dla użytku uczących się inłodzięży, nie tknąłem prawie części filozoficznej naszego języka.

W takim u nas stanie pismiennictwa grammatycznego uważmy pilnie, co też uczynił niespracowany zbieracz i prawie zwolenniczy naśladownik Muczkowskiego, a razem w niektórych względach wielki nowator pan Łazowski. Następujący rozbiór obszerniejszej Grammatyki tego autora okaże najdowodniej: jak on niewymiernie i niesystematycznie na 4 części podzielił i niby rozciągnął aż na 685 §§ swoją książkę, którą przeznaczył nietylko za przewodnią dla uczących i uczniów, ale oraz za poradniczą dla wszystkich miłowników mowy ojczyściej. Nieraz tedy obok kilkowerszowych czczemi i jałowemi ogólnikami wydętych paragrafów ponasadzał wiele przepisów sążnistych, przeładowanych mnóstwem uwag i przykładów, nawet nickiedy dobrze i starannie wybranych; a dążąc zawsze do większego jeszcze złagodzenia i, że jego własnych słów użyję, do *upięściwienia naszych głosek, brzmień i wyrazów*, doradza i podaje zmiany niezgodne ze zwyczajem narodowym i z duchem języka już dość złagodzonego. Cóż gdy niemal wszędzie zaciemnia, gmatwa i mąci swoje przepisy, odsyłając zawsze czytelnika na przód i na tył; przez co wyprzedza niejako lub cofa sam siebie. Nawet grzeszy czasem sprzecznością, a zawsze suchym, zawikłanym i ciernistym wykładem; dążąc zaś do pozbycia się *nieprawidłności*, kuje wszakże nowe prawidła albo raczej więzy na mówiących i piszących. Wreszcie bardzo nieszczęśliwie w jednych razach utrzymuje, a w drugich zmienia nazwy grammatyczne wprowadzone przez Kopczyńskiego i Muczkowskiego, a szczególnież co do wymawiania i pisowni narzuca nowości, których nikt nie przyjmie oprócz nader małej zapewne liczby jego zwolenników.

A najprzód rozważmy pierwszy zarzut ściągający się do układu samegoż dzieła. Wadliwym jest podział Grammatyki pana Łazowskiego na 4 części, z których w pierwszej wyklada naukę o ogólnych zasadach budowy języka polskiego, w drugiej o *częściach mowy*, ich odmianach i użyciu; w trzeciej o składni, a w czwartej o *pisowni*. Można było bezpiecznie i należało część 1szą złączyć z 2gą; bo ogólne zasady budowy naszego języka krótko i jasno podane właściwie do elementarza należą, a ich na-

leżyte rozwinięcie czyli gruntowny wywód jest rzeczą uczonych badań, i najlepsze na to miejsce byłoby w osobnych rozprawach albo w systematycznóm dziele przeznaczonóm nie dla dzieci, ale dla ludzi umiejących już myśleć. W takich rozprawach lub w takiém systematycznóm dziele dałyby się rozjaśnić a nawet usunąć wątpliwości zachodzące w wymawianiu i pisaniu szczególnych wyrazów, na których wymawianie i pisanie niemasz dotąd powszechnój zgody. Można więc było tę naukę elementarzną albo opuścić i odesłać do elementarza, albo jak najstaranniej skróconą umieścić we wstępie przed pierwszą częścią Grammatyki, jak to uczynił pan T. K. w swojej Grammatyce wileńskiej. Należało znowu Część 4tą, lubo niezupełnie przyłączyć do 3ciej; bo nauka łatwa i prawie mechaniczna o pisaniu pojedynczych wyrazów bez żadnego wywodu podana, właściwie do elementarza albo do piérwszój Części Grammatyki, a najtrudniejsza bez wątpienia dla uczącój się młodzieży nauka o używaniu znaków przestankowych, wymagająca już większój uwagi i znacznie rozwiniętego umysłu, jako wywiedziona z rozważenia składu zdań i okresów, oczywiście należy do Składni. Tak więc rozdzielając autor to, co powinno być w połączeniu, nie mógł należycie rozgraniczyć 4ch części swojego dzieła, a ztąd jedne w granice drugich zachodzą, ztąd też wyniknąć musiały częste powtarzania się i w każdym niemal paragrafie przywodzenia liczne paragrafów poprzedzających lub nawet następných. Przypatrzmy się jeszcze bliżej Grammatyce tak nienależycie podzielonój, aby ją piérwój w ogóle jak najdokładniej ocenić, nim się do rozhioru szczegółów przystąpi.

Dwie 1sze i najobszerniejsze jój Części, które do 290tój strony dochodzą, oraz najwięcej zapewne pracy i mozółu kosztowały autora: to istny labirynt, z którego wyjść trudno, a wyuczanie się dokładne drobiazgów tam zawartych i natłoczonych byłoby prawdziwą męczarnią nawet dla obeznanego już z grammatyką polską. Część 3cia, najważniejsza pod względem treści, a w której granice nieraz Część 2ga zachodzi najmniej zdaje się być wypracowaną; bo tu autor ciągle się waha i jakby pociąga między nowym własnym systemem i systemami już dawno wprowadzonemi w grammatykach łacińskich i polskich. Część 4ta nic nowego w sobie nie mieści, prócz błędów osobliwszój pisowni nasianych już praktycznie czyli przykładowo mianowicie w 2ch 1szych częściach, a w tój ostatniej Części powtórzonych i w prawidła ujętych.

Tu jest miejsce rozważyć, że autor wbrew przyjętemu przez siebie godłu nigdzie nie starał się zgłębić wewnętrznój budowy naszego języka. Mówi on albo raczej wspomina o tém, jakby o głównym swoim zamiarze, w dwukartkowej zbyt wysadzonej *Przemowie* i na 2ch początkowych

stronicach Wstępu; lecz już od 3ciej stronicy swojego wstępu najdłużej się zajmuje wyszczególnieniem i rozgatunkowaniem głosek, tudzież podaje elementarzną naukę o składzie wyrazów i rozdzielaniu ich na zgłoski, a rozróżniwszy wyrazy jednozgłoskowe i wielozgłoskowe, pierwotne i pochodne, niezłożone i złożone, mówi zawczasie azalém bez potrzeby o *pierwotniku*, *przedpierwotkach* i *popierwotkach* czyli *zgłoskach pochodnych*, które osobliwym sposobem odróżnia od zgłosek *względnych*, nareszcie mówi o *główniku* i *określniku* jako częściach składowych wyrazów złożonych: co wszystko nie należy wcale do części filozoficznej języka, ale tylko do zewnętrznej jego budowy. Toż na str. 78miej na początku rozdziału 2go pod wiele obiecującym napisem: *Duch języka*, jest mowa tylko o różności brzmień w naszym języku, które z czasem znacznie złagodzone zostały, i tam więc również uważa się język co do swojej zewnętrznej budowy, nie zaś co do wewnętrznej. Wprawdzie autor tu i owdzie w Części 2giej, a niemal wszędzie w 3ciej, uważa wyrazy pojedynczo lub w połączeniu między sobą pod względem ich wewnętrznego znaczenia i użycia; lecz duch języka nie wydaje się jeszcze tak wybitnie, a przynajmniej nader słabo się objawia w odosobnionych wyrazach, wyrażeniach i zdaniach lub nawet okresach. A jeżeli niegdys w *Czasopiśmie Lwowskim* Jan N. Kamiński z samego wyrazu *jest* wyprowadzał filozoficzność naszego języka: to były po większej części mazenia, w których wiele jest prawdy jeszcze nie wynurzonej z odmetu i zawitéj; prawda zaś powinna być jak słońce jasną i dotykálną, przynajmniej dla rozumów do jej uznania przygotowanych.

Rozważywszy już 1szy zarzut, któremu podpadł krakowski grammatyk przez niewymierny i niesystematyczny układ swojego dzieła, a przytém okazawszy, że nie odpowiedział przyjętemu przez siebie godłu, będzierny uważali dalsze zarzuty ryczałtowo, jako mające się okazać sprawiedliwemi w szczegółowym dopięro całego dzieła rozbiorze. Tu i recenzent, idąc niejako w ślad za autorem, musi być drobiazgowym; musi bowiem często z jednej stronicy kilka błędów przywozić, z których każdy innemu podlega zarzutowi. Trzeba się uzbroić w cierpliwość, i najprostszym sposobem przywozić błędy osobliwszego wymawiania i pisowni, tudzież błędy wykładu, drobiazgowości, powtarzania się, sprzeczności, zawiłania, nietrafnie wprowadzonego technicyzmu, źle dobranych przykładów i niepotrzebnych przywożeń: a to wszystko porządkiem stronic, zaczynając od *napisu książki i przemowy*, gdzie zaś i co dobrego się znajdzie, wskazać nie zaniedbamy

Zaraz na pierwszej kartce napisowej uderza nas wyraz *Gramatyka* wydrukowany przez jedno *m*; należało wszakże w tym wyrazie zostawić

śląd pochodzenia i odróżnić go od wyrazu również cudzoziemskiego *Dramatyka* a piszącego się już etymologicznie przez jedno *m*, jako też odróżnić od rzadko dziś używanego wyrazu swojskiego *gramatku* znaczącego bardzo prosty pokarm z chleba rozdrobnionego w wodzie lub piwie.

W 6tym wierszu *Przemowy* natrafiamy na osobliwsze wyrażenie: *zajźrawszy w głąb jego przyrody*; tu autor ma wprawdzie za sobą etymologią, lecz tej nowości sprzeciwia się zwyczaj narodowy i harmonia, która musiałaby w tylu rozrodzonych wyrazach być naruszona; trudnoż się do stariej sławiańszczyzny wrócić i mówić: *ujrzyj, spojrzuj, spojrz* zamiast *ujrzyj spojrzuj* albo nawet *spojrz*.

W téjże *Przemowie* czytamy na str. 4tėj *owe Cycerona* zamiast *owo*; tu zachodzi znowu błąd w rodzajowaniu zaimka *ów, owa, owo*, które w Gramatyce jest należycie podane. Tuż zaraz uderza nas wyraz nowotny *zwidzić* zamiast *zwieźć*, a więc podług téj pisowni trzeba pisać i wymawiać *nawidzić chorego* zamiast *nawieźć, odwieźć*, chociaż *nawidzić* znaczy *lubić, upodobać sobie*, a ztąd wyniknie rażąca dwuznaczność. Na téjże str. 5tėj: *z napowietrznymi żeglarzami*, zamiast, jak być powinno *z napowietrznymi*, bo przypadek 6ty l. m. przymiotników naszych w rodzaju męzkim kończy się na *emi* nie zaś na *ymi* lub *imi*; co bardzo dowodliwie okazał i przykładami objaśnił Feliński, a po Felińskim Mroziński.

Jeszcze w *Przemowie* na str. 6tėj czytamy: „Zbiór owych zasad ściśle gramatycznych nazwałem jedném mianem: *prawidłnością*; uważam wszakże piękność brzmień *za wyższy wzgląd i za przeważający samę prawidłność*”. Sam tedy autor pogwałcił przyjętą przez siebie zasadę w wyrazie *zajźrawszy* tak nieznośnie brzmiącym. Nie mogę też pominąć, że tu opuszczone jest znamię ściśnienia nad *e* w wyrazie *jednem*; lepiej więc już było napisać *jednym mianem* przez wzgląd na zgodność z wymawianiem, odrzucając wprowadzone przez Kopeczyńskiego rozróżnienie rodzaju męskiego od nijakiego w przypadku 6tym l. p. Nietylko zaś w przymiotnikach nijakich ale oraz w przysłówkach i spójnikach, słowem ledwo nie wszędzie widzimy opuszczone znamię ściśnienia nad *e* np. *potem* zamiast *potém, zatem, a zatem, z tem wszystkiem*, chociaż tak nikt prawie u nas nie wymawia i nie pisze. Uczynmy jeszcze uwagę, że przysłówek *potem* napisany bez znamienia ma wyraźną postać rzeczownika pochodzącego od *pot*, z czego wynika dwuznaczność, której nasz język pozbyć się usiłuje podług przyznania samegoż autora w dalszym ciągu grammatyki. Również zachodzi dwuznaczność w słowie *niema* za- zamiast *nie masz* wziętém nieosobiście, które ma postać przymiotnika żeńskiego pochodzącego od *niemy*; należało tedy pisać rozdzielnie *nie ma*

lub *nie masz*. Zachodzi też gruby błąd w pisaniu rozdzielnie wyrazu *na ostatek* użytego zamiast *nakoniec* zapewne dla uniknięcia zbiegu 2ch samogłosek w jednym wyrazie, które wszakże jak łącznie się wymawiają, tak i łącznie pisać się powinny: inaczéj bowiem wypadłoby pisać rozdzielnie na *uku* zamiast *nauka*, a nawet *ga-ik* zamiast *gak*. Tyle błędów zwłaszcza co do pisowni widzimy już w saméj *przemowie*, a jeszcze nie wszystkie wymienione, w dalszym tedy ciągu przedsięwziętego rozbioru będę wiele pomijał, przywodząc po większój części bez żadnych uwag, co tylko będzie najbardziej rażącego.

Na str. 7mój umieszczony jest *wstęp* z napisem: *o potrzebie nauki języka polskiego*, a pod tym napisem godło następujące wzięte na ślepią wiarę z J. N. Kamieńskiego: „Tylko w języku narodowym może kwitnąć nauka i umiejętność dla narodu (to wielka prawda); ale wszelką umiejętność powinien poprzedzać język umiętny, jako środek i klucz do umiętności.” Jak może wszelką umiejętność poprzedzać język umiętny, kiedy właśnie w uprawie nauk kształci się i z bogaca język; a dopokąd nauki są na niskim stopniu nie podniesione na stopień umiętności, język musi być ubogim i niewykształconym.

Na str. 8mój oprócz słabego wysławienia razi samochwalstwo grammatysty albo raczéj przechwalanie rodowitego języka w następującym ustępie kończącym paragraf 1szy:

„Wszystkie zalety ma język nasz w zarodzie swoim, ale jeszcze niezupełnie uprawiony; gdy dojdzie do zupełnej ogłady i uprawy, śmiało twierdzić można, że go nam obce narody zazdrościć będą”.

Na téjże str. 8mój czytamy w § 2gim.

„Duch języka jest zasadą wewnętrzną jego budowy i objawia się:

A. W dążeniu do złagodzenia brzmień.

B. W upojedynczeniu i uproszczeniu odmian wyrazów.

C. W unikaniu dwuznaczności.

D. W rozróżnianiu wewnętrznego znaczenia wyrazów w odmianach.

E. W rodzinnej właściwości wyrażeń (w składni). Te są ogólne zasady, na których całą naukę języka oprzemy”.

Te ogólne zasady ciemno i niesystematycznie są podane; a niektóre z nich ściągają się raczéj do zewnętrznej budowy naszego języka, mianowicie pod literami A, B, a nawet C.

Na str. 11stój w przypisku użyty jest obrót mowy niemiecki w następujących słowach: „*Jeżeli wyraz złożony ma być dobry*, powinien być krótki i t. d., zamiast *aby był dobrym*. W tymże przypisku nieco wyżéj umieszczony niepotrzebnie nowy wyraz; *przytocznik* zamiast powszechnie u nas przyjętego *cudzysłów*; a poniżéj znowu *skłonniejszy*

zamiast *skłonniejszy*; tu zachodzi błąd przeciwko pisowni podobny jak na innej jakiejś stronie w wyrazie *zakonnik* zamiast *zakownik*. Jeszcze tu i owdzie napotykamy rażące błędy pisania i wymawiania w wyrazach: *ze samogłoskami*, *ze żadnych*, *ze sobą* zamiast *z samogłoskami*, *z żadnych*, *z sobą* i inne tym podobne.

Na str. 12tej czytamy: „Nauka odmian wyrazów, ich należytego użycia i łączenia ze sobą dla oddania naszych myśli nazywa się gramatyką (mownią) a nauka należytego pisania wyrazów i całych myśli nazywa się pisownią”. Wcale nietrafnie tu użyty wyraz *mownia*, zamiast poradzonego przez Deszkiewicza wyrazu *mownictwo*; a więc i *gwiazdowaznia* lepszy byłby wyraz niż *obserwatoryum*, i *sluga* albo *posługacz oświecenia* lepszy niż *minister*. Wreszcie trudno pojąć jak można *pisac całe myśli!*

Na str. 13tej posadzony gruby błąd albo raczej fałsz w samym napisie rozdziału Igo. *Prawidła harmonji głosek podstawą pisowni i Gramatyki*”. Nie szczególne, niektórym tylko językom służyć mogące prawidła harmonii głosek, ale ogólne prawidła mowy ludzkiej uważanej jako obraz myśli, wyłożone w grammatyce powszechnej, są podstawą wszystkich grammatyk szczególnych; pisownia zaś jest tylko częścią grammatyki, zatem jej prawidła co do pisania pojedynczych wyrazów są właściwe każdemu z osobna językowi, a co do używania znaków przestankowych wspólne wszystkim językom. Daro tu na usprawiedliwienie tak opaczego napisu, umieścić pod nim autor godło wzięte z Kwintyliana zaczynające się od słów: „Uchowaj Boże, aby kto lekce sobie ważył tę początkową naukę i t. d.” Tenże Kwintylian na inném miejscu rozważniej i bez żadnego uniesienia tak mówi: „*Aliud est latine, aliud grammaticae loqui*”.

Na téjże str. 13tej: „Prawidła harmonji *glosek* wypływają ze sposobu wyrabiania *ich* narzędziami mownemi czyli z ustroju głosowego” Tu nie zważał autor, że głoski nie mają żadnej *harmonji* oddzielniebrane, ale tylko w połączeniu z sobą (1);

(1) Nie mogę pominąć téj uwagi, że w wyrazie *harmonji* są dwa błędy przeciwko pisowni, bo autor musiał wprowadzić miękczące znamię nad *n* przed *j* użytém nienależycie zamiast miękczającej samogłoski *i*, a w zbiegu spółgłoski *j* z końcową samogłoską *i* powinien był to *j* opuścić podobnie jak w wyrazie *szyja*, *szyi*, *zmija*, *zmi*. Lecz w § 84 na str. 48ej i 49tej wprowadzone jest jeszcze hałamutne odróżnienie wyrazów *Anglija* *Austryja* od *Dańja* *Franćja*, z których pierwsze podług tego odróżnienia mają przypadek 2gi *Anglii*, *Austrii*, a drugie *Franćji*, *Dańji*; bo w pierwszych przed *j* stoi samogłoska, a w drugich spółgłoska. W tymże § 84tym każe nam autor inne wyrazy cudzoziemskie zgodnie z owém odró-

Na str. 14stėj powiada autor, że należałoby *ą* przez *o* z ogonkiem wyrażać: to nowość niegdyś jeszcze zjawiona w *Orle Białym*, którą téż słusznie rodacy odrzucili; bo u nas *a* zniżone wpada w *o*, i dlatego *a* z ogonkiem czyli *ą* wymawia się jak *o* nosowe, czego mamy przykład na wyrazie *pan* wymawianym dotąd *pon*, a nawet *pun* przez prostych Mażurów i Wielkopolanów.

Na str. 15stėj prawdziwie chaotyczny jest podział spółgłosek na *otwar-te* czyli *twarde*, *średnie* czyli *łagodne*, *głębokie* czyli *łagodno-przesad-ne* i *ściśnione* czyli *pieściwe*, a do tego jeszcze na czysto lub nosowo *odbite* i *nieodbite*, *zębowo odbite* przy zębach, nosowe lub *drgające*, *wargowe*, *podniebienne*, *słabe*, *mocne* i *płynne*. Uczyńmy tu uwagę, że w grammatyce dla uczącej się młodzieży, gdzie największą jest niedorzecznością wdawać się w wywody fizjologiczne, dwa tylko podziały spółgłosek są potrzebne, jako będące podstawą należytego wymawiania i pisania: piérwszy podział na *twarde* i *miękkie* foremne lub nieforemne, drugi zaś na *słabe*, *mocne* i *płynne*. A jednak w skróconej nawet *Grammatyce dla uczniów* podał autor następujące oznaczenia samogłosek i spółgłosek:

„Jeżeli tchnionemu powietrzu nie czynimy żadnego oporu, powstają głoski wyraźne czyli same o sobie, które dlatego samogłoskami (samogłosami) nazywamy.

„Jeżeli zaś tchnionemu powietrzu czynimy opór wargami, zębami, językiem lub ściśnieniem gardła; wówczas powstają głoski mniej wyraźne, które dlatego spółgłoskami (półgłosami) zowiemy, iż *jeno* za dodaniem do nich samogłosek zupełnie wyraźnemi się stają”.

Nie jestżeto wyraźnie obalamować i odurzać uczniów, zwracając niepotrzebnie ich uwagę na *organa* czyli *narzędzia mowne* przy wydawaniu brzmień samogłoskowych lub spółgłoskowych; zamiast coby mieli najlepiej rozpoznawać te brzmienia za pomocą ucha?

(Str. 18). „Jak przywróciliśmy już właściwe brzmienie i pisownię wyrazom: *zdząć*, *zgjąć*, *zjeść*, *zjem zjesz*, *zje*, tak należałoby i te sprostawać, pisząc: *objad*, *wzjąć* albo *wźjąć*, *ńjego*, *ńjej*, *njemu*, *nje*”. Tu

znieniem tak pisać: *biblijoteka* *bijografja* *giejometryja* *pojezja* *ideja*. Jak można było tak pofalszować wyrazy cudzoziemskie na wzór swojskich. *szyja*, *nadzieja*, *pija*, *truja*. Przecie już dla samego odróżnienia wyrazów cudzoziemskich od swojskich nie należy w wyrazach cudzoziemskich rozdzielać dwóch samogłosek po sobie idących wtrąconą między nie spółgłoską *j*; a w zbiegu spółgłoski *j* z następującą samogłoską *i* nie odrzucać *j*: jestto istne kazirodztwo grammatyczne, pomimo nie uznanej przez rodaków powagi F. Żochowskiego popartej w grammatyce wydanej przez Suchorowskiego.

autor odwołuje się do pisowni *Kraińców, Kroatów i Sławońców*, aby upoważnić niesłychane w naszym języku *ńjemu, ńjej* zamiast *niemu, niej*, *wzjęć* zamiast *wziąć*.

Na str. 19tej dobrze i należyście każe autor pisać wyrazy użyte z przyrostkami osobowemi: *choceś, kmićem* zamiast *choć jesteś, kmićć jestem*; ale zawczasie, azatém niepotrzebnie tu mówi o *zakończeniach osobowych oderwanych od czasowników*, gdy o czasownikach będzie mowa dopiero aż od str. 195tej.

Na str. 20stiej niepotrzebnie wprowadzone z z ogonkiem czyli *ż* w wyrazach: *Podżamecze odżyć nadżuć, podziemny marżnąć mierżić*, a nawet w wyrazach *dzierżawca, drżić, rżec*; lepijby już było pisać rozdzielnie z łącznikiem wyrazy *pod-ziemny z-iścić z-orać*; a *dzierżawca* i w łącznym pisaniu bez *z* z ogonkiem żadnej wątpliwości co do wymawiania nie podlega.

(Str. 21), *wspomnie* zamiast *wspomni*, *takę pisownię* zamiast *taką*. Na téjże str. 21szej wprowadziwszy już w użycie *z* z ogonkiem czyli *ż* wynurza autor żale swoje, że przodkowie nasi nie zaprowadzili kropkowanych *crs* na wzór Czechów i innych Sławian i nie połączyli tych samych znami on z głoską *d*; powiada jednak w przypisku: „Nie jestem bynajmniej tego zdania, aby to był czas zaprowadzenia téj poprawki; chciałbym ją tylko potomności przekazać”. Po takim zaś oświadczeniu znowu na następnej str. 22giej radzi wprowadzić w używanie zaokrągloną postać głoski *h* lub niemieckie *h* zamiast *ch*.

Prawda, że przez przyjęcie tych poprawek oszczędziłoby się papieru na druk, ale za to druk byłby zaćmiony, zapstrzony i nieczytelny, a cóż dopiero pismo ręczne. Wszakże i bez zaprowadzenia tych nowości w pisaniu liter oszczędzimy wiele papieru drukowanego, zyskamy nawet wiele czasu do innych pożytecznych zatrudnień: tylko nie piszmy i nie drukujmy dzieł niewartych pisania i druku.

Na téjże str. 22giej pod napisem: *Ogólne własności samogłosek. Czczość samogłosek* § 38my jeden z bardzo sążnistych, bo więcej niż trzy kartki zajmujący, tak się zaczyna: „Spółgłoski są treścią czyli duszą naszego języka, samogłoski zaś są ich ciałem czyli zewnętrzną powłoką, służącą do łatwiejszego wydawania brzmień spółgłosek, i do wyrażenia różnych względów (odmian), same przez się są czczeni brzmieniami jak ciało bez duszy jest martwe”. Jabym sądził, że raczej spółgłoski są ciałem mowy ludzkiej, a samogłoski jój duszą, jako opuszczane u niektórych wschodnich narodów czyli domyślne i niewidzialne, jak dusza w połączeniu z ciałem. Wielką prawdę w tém pięknym porównaniu wydał Brodziński: „Samogłoski w towarzystwie głosek są tém, czém kobiety

w towarzystwie ludzkim. One wyobrażają uczucia i są węzłem harmonią stanowiącym. Bez nich spółgłoski są niczém, i gdzie, jak u dawnych Polaków nie mają praw żadnych, gdzie się przed spółgłoskami wschodnim zwyczajem niewolniczo pochylać muszą, tam i spółgłoski są dzikie i twarde. Powinny więc samogłoski obok uległości spółgłoskom mocniejszym mieć swoje pewne prawa i poszanowanie". Godziź się tak upośledzić samogłoski i przypisywać im *czczość, martwość, zmienność*? Co aby poprzec i usprawiedliwić, odwołuje się krakowski grammatyk do mo wy staroświeckiej jeszcze nieokrzesanój, albo do prostackiej, w której dotychczas używane są wyrazy: *Jadam, Jewa, hareszt, harmata* zamiast *Adam, Ewa, areszt, armata; opiekun, pram* zamiast *opiekun, prom*. Takie przywodzenia służą raczej ku obronie samogłosek. Fałszem tóż jest a przynajmniej ślepém niedostrzeżeniem, że u nas tylko w wyrazach złożonych następuje samogłoska po samogłosce. Wszak nietylko wyrazy *raić, taić, gaić*, są niezłożone, ale także i *rozmaity, uścić, nauczyć*, na pozór tylko złożone do niezłożonych rzeczywiście należą; ani zgłosek początkowych: *roz, u, na* nie można w nich uważać za przyimki połączone z wyrazami niezłożonemi.

(Str. 24) „*ony wszystkie* zamiast *one*."

(Str. 26). Tu i na następnych stronicach występują dziwnie pisane wyrazy: *balja, Sarmacja, rękojm'ja, utracjusz, pretensja, Dańja*; tudzież mnóstwo przywodzeń i odsyłaczów na tył i na przód, wskazujących też same lub podobne błędy, na tych samych lub podobnych cudzoziemskich i swojskich wyrazach powtarzane.

(Str. 29—30) „*niosła i niesta; chmura i chmara; widzimy widzimy; słyszymy słyszemy słyszecie; jak wiemy, umiemy, wiecie, umiecie; dni i dnie; nocy i noc*". I na cóż mieszać dobre pisanie i wymawianie ze złém na dowód urojonój czczości samogłosek.

(Str. 36) „*Tymi synami bożymi*". Już Mroziński i Brodziński aż do oczywistości dowiedli, że odróżnianie zakończeń męzkich na *ymi imi* w przypadku 6 l. m. przymiotników od żeńskich i nijakich na *emi* jest całe niepotrzebne i opaczne.

(Str. 37 § 61). „Samogłoska *ó* ścieśnione nie ma właściwego sobie brzmienia, wygłaszamy ją zupełnie jak *u*, np. *Bóg* jak *Bug*". Pokazuje się jednak najwidoczniej nietylko w tych, ale i w innych, zwłaszcza jednogłoskowych wyrazach, że *ó* wymawia się krótko, a *u* długo: np. *Pan Bóg; Bóg dał, Bóg wziął; pójdziemy za Bug*. A jeżeli w wyrazie gminnym *dalibóg* *ó* jest długie, to należy uważać albo za błąd wymawiania, albo za wyjątek od prawidła ogólnego; podobnie jak w wyrażeniu: *zmówmy Ojeze nasz* czyli modlitwę, zgłoska *eze* jest długa, lubo w osobnym wy-

razeniu *Ojciec nasz* nie przenośnie ale właściwie wziętém, taż sama zgłoska *cz* jest krótka. Mówi się także: *patrzeć na róg ulicy, a potem na bruk; nie wyjść za próg, dać dla służ.* Podobnie *é* w wyrazach jednozgodzkowych wymawia się krótko, a *i* *y* długo: np. *daj mi chléb, dój-dzimy do lip, nie drzój papieru, nie drzyj ze strachu.* Podług tych więc postrzeżeń rugować z naszego pisma *é* albo zamieniać samowolnie na *e*, czego w wielu razach się dopuszcza nasz grammatyk, byłoby równą niedorzecznością, jak zamieniać *ó* na *o*; nareszcie zamieniać *é* na *y* lub *i* również opacznie byłoby, co zamieniać *ó* na *u*; bo nie tylko zatartyby się przez to ślady pochodzenia wyrazów, ale oraz nadwężałoby się czyste i należyte wymawianie.

(Str. 37). „*Okrótny* zamiast *okrutny*; trudno *okrutnego* *ukrócić* te więc dwa wyrazy mają odmienny źródłosłów i dlatego już *okrutny* powinno się pisać przez *u*, kiedy *ukrócić* pisze się przez *ó*, zwłaszcza gdy wyraz *krótnieć* znaczy *łagodnieć*, nie zaś sroższym się stawiać.

(Str. 43). „Przy największém złagodzeniu języka naszego może stać się regułą: Przed pięściwą spółgłoską wymawia się poprzedzająca także pięściwie; ale nie kreskujemy pięściwej spółgłoski przed *i* stojącą.” Podług tego reguły, które dopiero kiedyś, jak nam wróży autor, ma być wprowadzone w użycie, niepotrzebnie na poprzedzającej stronie przed pięściwami spółgłoskami kreskuje *b, p, m*, w wyrazach *goleb'nik, wąp'liwy, karm'nik*; a nawet kreskuje spółgłoski *f, g*, w wyrazach *tref'niś, g'wizdać*; jak gdyby te spółgłoski kreskowane dały się wymówić pięściwie.

Na str. 47miej; „*gjąc, gnę* zamiast *gję*”; lepiej może byłoby pisać *gjąc* jak *piąc, pnę, miąc, mnę, ciąc, tnę*, ani jest błędnie pisać *gięty* podług wskazania na str. 50tej, kiedy sam autor pisze *spięty, zmięty, ścięty*, lecz gdzieindziej znowu doradza nam pisać: *wzięć* lub *wźjęć*; a zatem *wzięty* lub *wźjęty*.

Jeszcze na str. 47 opacznie a nawet przeciw właściwości spółgłoski *j* rozdzielony jest na zgłoski wyraz *Da-njel* (prorok) zamiast jak być powinno *Da-ni-el*; niktby wszakże dobrze i należycie napisanego proroka Daniela nie wziął za zwierzę, bo Daniel prorok jest imieniem cudzoziemskiem i własnym, pisze się tedy przez wielkie *D* i rozdziela na trzy zgłoski, a *daniel* (zwierzę) jest imieniem swojskiem i pospolitem, pisze się tedy przez *d* małe i rozdziela się na dwie tylko zgłoski *da-niel*.

Również opacznie rozdzielone są na str. 48miej wyrazy *kosy-ńjer* zamiast *kosyni-er*, *wa-rjat* zamiast *wa-ry-at*.

Na str. 49tej uznając autor powinowactwo albo raczej pokrewieństwo blizkie między spółgłoską *j* a samogłoską *i*, powiada, że w wyra-

zach *stoi, stój* przemienia się *i* na *j*; na str. zaś 48mój powiedział, że *j* jako połowa brzmienia *i* przed niém ostać się nie może, i przez powinowactwo w całe brzmienie *i* spływa np. *gaik, stoi, moi*. Czemuz dopuścić się kazirodnego połączenia *j* z *i* w wyrazie swojskim *rękojmji*, uformowanym od fałszywie napisanego *rękojmja* zamiast *rękojmia*; jako też w wyrazach cudzoziemskich *Dañji Francji* tak niezręcznie odróżnionych od *Austrii* i *Anglii*.

Na str. 51szej znowu niepotrzebnie zamienione są wyrazy cudzoziemskie *exemplarz, maxyma* na *egzemplarz, maksyma*; bo w takim razie ginie ślad pochodzenia, i te wyrazy wydają się jakby swojskie albo ze słowiańskiego języka pochodzące.

Na str. 56tej błędnie napisane są wyrazy *szczesać, szczytniac*, zamiast *szeszać, czyniac* (zboże), gdy wyraz *zczynki* pochodzący od *zczyniac* należałoby pisać podług autora *szczyunki*, a ztąd powstałaby rażąca dwuznaczność.

(Str. 67 § 125). „Według prawidła powinowatości sycznych należałoby pisać od *czesć, ćsci, ćsciciel, počsiwy*; albo raczej podług § 136 *tsci, tsciciel, potsciwy*.” Dalej w tymże § 125tym powiada autor, że powinniśmy pisać *tsci, tszczę, tszczą*, zamiast *czci, czczę, czczą*. Podług tej poprawki *czesć* musielibyśmy chyba zamienić na *cieść*, a *czesci* na *cieści*. Dalej posuwając autor swoje poprawki powiada: „Wyraz *tscina* piszemy zwykle przez *trzc*, atoli w innych mowlach słowiańskich pisze się *terst, tarst, torst*, my łagodzimy *st* przed *i* na *śc*, lecz *r* nie powinno łagodnieć na *rz* przed *śc* (§ 136), należałoby pisać więc *trscina*, *r* można wyrzucić (§ 179) *tscina*; podobnież od *chrzest* po wyrzuceniu *e* *chrzścić* według § 109 *chrzścić*, według § 124 *chrzścić*, a według § 136 *chrścić, chścić, chszczę* (§ 124 b). Tak też właśnie brzmią te wyrazy z ust ludu prostego.”

Na str. 68mój każe autor pisać na wzór ludu prostego *podeźreć, podeźrenie, podeźrany, podeźrywy*, zamiast *podejrzyć, podejrzliwy*.

Na str. 70tej niepotrzebna jest kréska nad *n, z, s* w wyrazach *pańnie, ojczyźnie, w piśmie* pisanych zamiast *pannie, ojczyźnie, w piśmie*.

Na str. 73ciej lubo autor chwali wprowadzone przez Kopczyńskiego wyrazy *foremny, foremność*, pomimo to jednak niepotrzebnie wprowadził a raczej zaswoił wprowadzone przez T. K. wyrazy *prawidelnóść, prawiäinenie i t. d.*

Na str. 82giej i 83ciej każe nam autor popierać wymawianie i pisanie wyrazów: *zamię, zamietą, niesę, niesą, więz, więzą, bierę, bierą*, na wzór prostackiego wymawiania wyrazów: *mietła, pomietło* zamiast *miotła, pomiotło*; a podług tego i wyrazy *przedmiot, przymiot* wypadaloby zamienić na *przymiet, przedmiot* wbrew prawidłu albo raczej

wywodowi podanemu w § 118tym, podług którego pisać mamy: *widziesz, widzieć, widzimy, widziacie, leżesz, leżeć, leżemy, leżecie, słyszysz, słysze i t. d.* brzmie, *grzmie* zamiast *brzmi grzmi*, a to dlatego, że w słowie nieforemaném *umieć* są dalsze osoby *umiesz, umie, umiemy, umiecie*. Tak więc § 155ty zostaje w sprzeczności z § 118tym, ale tę sprzeczność znoszą albo upoważniają prawidła podane w § 147tym.

Na téjże str. 83ciej powiada autor, że teraz mówimy i piszemy *roz-wiozłość*, a nawet *rozwiezłość*, zamiast *rozwiązłość*; a przyjdzie kiedyś do tego: że pisać będziemy: *z wielko ciekawością przypatrują się*; mamy jeszcze mówić i pisać *wiezać, wiezka* zamiast *wiązać, wiązka*?

Na str. 84tój samogłoska *ą* podana jest do zamiany na *ę* nie tylko w przypadku 4tym l. p. rzeczowników *gospodynię, kuchnię, zbrodnię* ale i w przypadku 4tym przymiotników *np. czułą matkę* jest podług autora łagodniejsze niż *czułą matkę*. Tak więc z mowy naszej zniknęłaby rozmaitość zakończeń, a na jej miejsce nastąpiłaby nudna jednostajność.

Na str. 87mój nie dla nauki czytelników ale dla popisania się ze swoją erudycją wrywa autor z Wróbla, Reja, Grzegorza z Żarnowca, a nawet z *Rozmowy Salomona* wyrazy *wielkimi, człowieczymi, otejami* zamiast *odejmięj*.

Na str. 88mój podane są wyrazy *umią, śmią* zamiast *umieją, śmieją*. Czemuż tak niezgodnie z sobą samym autor pisze wszędzie *umiejętność* zamiast *umiećność*?

Na str. 92giej w § 173 czytamy tak osobliwym sposobem wyrażone prawidło: „Gdy się zejdzie syczna spółgłoska mocna z odpowiadającą jej słabą, niknie słaba w syku mocnej”.

Na str. 94tój powiada autor, że w słowie *poszedł* nie wymawiamy *d* przed *ł* gdy dotychczas jeden tylko Ad. Krz. opuszcza *d* przed *ł* i pisze *poszeł, wyszeł* zamiast *poszedł*; wypadaloby więc mówić i pisać: *szlem, poszłem, wyszłem, szłeś* i t. d. jak nawet Ad. Krz. nie pisze.

Na str. 97mój powiada znowu autor, że lepiej po prostaku pisać i mówić: *tścić, utściwy, tszczość, tszczy*, niż *czcić, uczciwy*; na str. zaś 99tój, że lepiej pisać *Radziwił, Jagieło*, nareszcie na str. 100nej, że lepiej *Narusiewicz* niż *Naruszewicz*. Godziż się tak preistaczać imiona własne a do tego jeszcze rodowe?

(Str. 101). „Wrzucamy z postępem łagodnienia języka coraz częściej *e* dla rozbrojenia twardego brzmienia spółgłosek *np. zezuć, zeżąc, zertzynać, zesunąć* zamiast *zżuć, zżąc* i t. d.; toż *ze zamku, ze żonę, ze żartu, ze ziemi* zamiast *z żonę* i t. d.” Osobliwsze łagodzenie języka!

Na str. 102giej pod dziwnym napisem: „*Upojedyńczenie i uproszczenie odmian wyrazów*” czytamy znowu już tyle razy powtórzoną nie-

prawdę, że rzeczowniki zakończone na *ia* z poprzedzającą łagodną lub pięściwą spółgłoską, coraz częściej w przypadku 4tym liczby pojedynczej przybierają *ę* zamiast wyjątkowego *a*, a w przypadku 1szym l. m. przybierają *e* zamiast *y* i np. *Hiszpanię, nocę, nicie* zamiast *Hiszpanią, nocy nicy*; więc i *pani* mieć powinno w przypadku 4tym *panię*, czemu w Części 2giej samże autor zaprzecza.

Na str. 104tej czytamy, że jak *skubł, grzebl* zamieniły się na *skubał, grzebał, gnał na gonil*; tak *któl, kolę na kłul, kluję; pról, porę, rozparam* na *prul, pruje, rozpruwum*; *umieją, umiejący* na *umią, umiący*; *pleć, piekę* na *plewić, plewię*". A więc podług tej zamiany trzebaby mówić: *wygoniec, klujka* albo *kluwka rozprujek* albo *rozpruwek umiejętność* zamiast używanych powszechnie *wygnaniec, kolka, rozporek, umiejętność*; tu autor okazał się niezgodnym nietylko ze zwyczajem powszechnie przyjętym ale nawet sam z sobą.

Na str. 110tej w § 199tym od którego się zaczyna Część 2ga czytamy: „Wszystkie wyrazy, z jakich język polski się składa, dzielą się na dziesięć części”. Tu autor nienależycie oddzielił *przymiotnik* od *rzeczownika* zwłaszcza że w naszym języku z wielu rzeczowników formujemy przymiotniki a z przymiotników rzeczowniki, niektóre zaś rzeczowniki przypadkują się zupełnie jak przymiotniki. Nienależycie też wbrew wszystkim grammatykom umieścić liczebnik po zaimku i z pomiędzy części mowy wyłączyć imiesłów, o którym jednak mówi przy odmianach słów, a nazwawszy słowo z niemiecka *czasownikiem Zeitwort* powinien być i imiesłów inaczej nazwać, zwłaszcza gdy go uważa za przymiotnik lub przysłówek czasowny na wzór Wostokowa. Nareszcie przysłówek najopaczniej zamieścił między częściami mowy czyli wyrazami odmieniami, przyznając mu nietylko odmianę przez stopnie, ale i przez przypadki (1), a przyrostek załączył do wyrazów nieodmiennych chociaż w naszym języku przyrostki nigdy się osobno nie wymawiają ani piszą, azałém za oddzielne wyrazy uważane być nie powinny, i tylko co do znaczenia swego miejsce wyrazów niekiedy zastępują.

Na str. 111tej wprowadzony nowy i niesłychany u nas wyraz *tworzynone* (imiona) uformowany zapewne z wyrazu *tworzywo* użytego w jakimś dziele filozoficznym, pełnym najdziwaczniej ukleconych wyrazów.

(1) Odmiana przysłówek przez stopnie jest raczej etymologiczną a niegrammatyczną, bo nawet niektóre rzeczowniki podług naszego grammatyka wypadłoby uważać za odmieniające się przez stopnie np. *wysokość, wyższość, najwyższość, wielkość, więszość, największość, małość, mniejszość, najmniejszość*.

Na téjże str. zachodzi błąd w wyrażeniu *imiona duchownych istot* zamiast *duchowych* albo podług Kopczyńskiego *imiona duchów*.

Na str. 113 pofalszowane w pisaniu wyrazy cudzoziemskie *gubernijum, gimnazjum*, jak gdyby w łac. ińskim lub greckim języku kończyły się te *v* yrazy na *jum*.

(Str. 115). „Przy imionach osób pytamy się *kto?* przy imionach rzeczy *co?*” Czemu tu nie masz wzmianki o imionach zwierząt, które wszakże autor-powyzj odróżniał od imion osób i rzeczy.

Na str. 126 uważa autor w 1, 4 i 5 spadku l. m. dwojakie zakończenie: *pochopne i obojętne*; tak zaś dziwaczne nazwania zakończeń nie usprawiedliwia poniżej umieszczonym wywodem i przywiedzionymi przykładami.

Na téjże str. 126 u dołu czytamy: „Zdarza się, że podmiotowi (1mu spadkowi) dodajemy zakończenie obojętne dla przyłączonego doń pomysłu poniżającego, a orzecznikowi (przymiotnikowi lub czasownikowi) zakończenie pochopne dla przyłączonego doń pomysłu udzielnosci, i na odwrot np. Śpiegi są takomsi zysków niż sławy. Z dorobku pany (są) twar dzi na sługi. To mi zuchy, bili się jak lwy.” Możeż być powyzszy wykład zrozumiały dla czytających, kiedy oznaczenie *podmiotu i orzecznika* nastąpi dopiero aż na str. 292?

(Str. 135). „*Wiernych sługów* zamiast *sług*.”

Na str. 136 podane jest opaczne zakończenie przypadku 4go l. p. *historję, Francję* z tą uwagą, że tylko *pani* przybiera jeszcze najczęściej *ę*, a to w brew dawniej podanemu prawidłu, iż rzeczowniki żeńskie na *i* mają przypadek 4ty l. p. na *ę*. Tu także niewłaściwie zakończony przypadek 4ty l. p. na *ę*, *myszę*, i podane do sprostowania w przypadku 1szym l. m. rzeczowniki żeńskie: *mdłości, kości, ości, ciemności, marności*, a to na wzór podobnych rzeczowników podług autora kończące się na *e*: *włości, własności*; także do sprostowania następujące: *ćwierci, piersi, chęci, gęsi, pieśni, myśli, nici, drzwi*, które mamy zamienić na *ćwiercie, pierście, chęcie, myśle, niecie, drzwi*.

(Str. 137). „W wyrazie *zbrodnia* wypadaloby nie spieszczać *d* przed *ń* i mówić w 2gim spadku l. m. *zbrodeń* dla uniknienia dwuznaczności” Nie lepićże w przypadku 2gim l. p. i m. mówić *zbrodni* jak mówimy w obu liczbach *słodyczy, myszy, pieśni*.

Na str. 143 w § 258 wykład nieznośny napchany przywodeniami §§ i przykładami bez ładu natłoczonymi, które wybrakować i z błędów oczyścić należało. Oto są niektóre z tych przykładów: *Bije się w piersi. Jęj dwie piersie jak dwa ostrokregi. Sprzedają na ćwierci. Trzeba ćwiercie dębowe okuć. Skład kapeluszy. Skład kapeluszków paryżkich. Wkroczył w kilka tysięcy wojska. Bohater się tysięcy nie lęka.*

Nie mam już pieniędzy. Nie mam już tych pieniędzy starożytnych, które znalazłem. Zjechało się wiele gości. Pozhyłem się tych nieproszonych gościów.

Na str. 145 wydrukowane są łącznie wyrazy: *Bożeciało, Bożegociąta, Zieloneświętki, Zielonychświętek*. Według tego więc wzoru pisacby wypadało: *Bożenarodzenie, Bożegonarodzenia, morzeczarne, morzaczarnego, przyładekzielony, przyładkazielonego*. Nie wiem też dlaczego autor pisze rozdzielnie z łącznikiem wyrazy: *pan-młody, panna-młoda, pana-młodego*.

Na str. 149 błędnie podane wyrazy: *okręglejszy, czerniejszy, cieśniejczy, skępszy*, a to na zasadzie prawideł podanych w §§ 111, 129, 116, 119 jako też wyrazy wcale nieużywane (§ 135 — 118) *cierpszy, tudszy* (§ 139), *krewszy*, a według § 133 *krewoćniejszy, płasciejczy*; według § 175 *rześciejczy, gorzciejczy, dziarsciejczy* § 111.

(Str. 162). „Z imion wszelkiego innego zakończenia urabiarny imiona żon na *owa* np. *Skarbek, Skarbkowa, Badeni, Badeniowa*. Tu autor przepomniał, że toż samo zakończenie na *owa* służy nietylko żonom ale i wdowom, a nawet *Królowa* znaczy albo żonę króla albo wdowę po królu albo pannę królującą, którą autor radzi w nocy nazywać *królini*.

Na str. 163 niewłaściwie są nazwane zaimki rzeczowne *istotnemi*: lepiej już było nazwać je *istotowe:ni*, jak znowu niżej na tej samej stronie zaimki osobiste osobowemi. Bo i zaimki przymiotne, jako mające właściwe sobie znaczenie w mowie, są *istotnemi*, chociaż nie zastępują się przez nie imiona istot; zaimki zaś osobowe, które wyrażają osoby, nie mogą się nazwać osobistemi, jak czasowniki czyli słowa odmieniające się przez osoby. Niepotrzebnie też zaimki przymiotne nazwane są inaczéj *określnemi*, gdyż te nawet nie wszystkie służą do określenia rzeczowników, do których należą jak np. zaimki przymiotne pytające i względne. Dość tedy było nazwać jedne zaimki rzeczownemi, a drugie przymiotnemi, tudzież wskazać cechę zewnętrzną odróżniającą tak imiona jako i zaimki rzeczowne od przymiotnych, że tylko drugie odmieniają się przez rodzaje a pierwsze nie podlegają téj odmianie, lub odmiana ich jest jedynie pozorną, gdyż z odmianą zakończenia zmieniają i znaczenie np. *piękny piękna, piękne; mój, moja, moje; król, królowa, królestwo; on, ona, ono*. Tak ważną cechę odróżniającą imiona i zaimki rzeczowne od przymiotnych autor pominął przy nauce o *imieniu* albo raczéj o *rzeczowniku* i *przymiotniku*, tu więc należało owo opuszczenie zastąpić. Nawet na str. 164 w § 311 wyraźnie jest powiedziano, że zaimki *ja* i *ty* nie odmieniają się przez rodzaje, jak gdyby rodzajowanie zaimka rzeczownego *on* było rzeczywiście nie pozorne.

Na str. 167 jest mowa o zaimku zwrotnym *się*, lubo w podziale dwolistym zaimków nie było ani wzmianki o zaimkach zwrotnych, z których tu jeden tylko skrócony zaimek *się* wzięty jest pod uwagę, a *swój* uważa się dopiero aż na str. 172 nazwany *zwrotno-dzierżawczym*. Nie są zaś niemczyzną a przynajmniej nie zawsze wyrażenia: *proszę do mnie, proszę za mną* zamiast *do siebie z sobą*, bo tak się mówi często dla dobitności albo o dwóch oddzielnych osobach np *proszę iść ze mną a nie z kim innym, do mnie a nie do mego brata*. Mówi się także: *moje książki prze-dałem ja, nie twoje*.

Na str. 168 błędnie jest podane prawidło o zaimku niepewno-osobistym *się* i na str. 169 toż samo prawidło źle objaśnione przykładem: *łędy się nie chodzi* zamiast: *łędy nikt nie chodzi*; bo są przejścia i drogi, któremi tylko domowi chodzą, a można o takich drogach obcym ludziom powiedzieć: *łędy się nie chodzi*.

Na str. 170 w § 326 ciemno i zawile wydanym przedwcześnie mówi autor o wyrażeniu *zwrotno - bierném i niepewno - osobistém*; bo to należało odłożyć albo tam, gdzie będzie mowa o słowach używanych w znaczeniu bierném lub nieosobiście, albo odłożyć do *składni*.

Na str. 172 tak dziwnie mówi o zaimku zwrotno-dzierżawczym: „Ponieważ już podmiot osobę, rodzaj i liczbę wskazuje przeto, zaimek ten zwraca rzecz podmiotowi bez względu na jego osobę, rodzaj i liczbę; jako zaś zaimek przymiotny zgadza się z imieniem rzeczy dzierżonej w rodzaju, spadku i liczbie.”

(Str. 175). „*Kiż kaduk? kiegoż kaduka? kiż djabli?*” na cóż przy-wodzić takie prostackie i nieużywane sposoby mówienia?

Na str. 177 dobrze podane prawidło na użycie *gdzie* zamiast *w którym*.

Na téjże str. 177 jest przywiedziony błąd M. Wiszniewskiego przeciwko grammatyce, a w przypisku samże przywodzić cudzego błędu tak niegrammatycznie i nawet nieprawdziwie się wyraził: „kto się nie uczył grammatyki lub ją zapomniał” bo przecież znakomity autor Historji literatury polskiej nie mógł zupełnie zapomnieć grammatyki, a tém bardziej nie uczyć się jój wcale.

Na str. 178 wprowadzony podział liczebników na *dokładne i nie-dokładne* zamiast na *oznaczone i nieoznaczone*.

(Str. 182). „*Dla pięćdziesiątu robotników*” zamiast *dla pięćdziesięciu*, a to dlatego że się mówi *czterdziestu* nie *czterdzieściu*; a więc *i pięciu sześciu* trzeba by zamienić na *piątu, szostu*.

(Str. 184ta). „Z liczebnika *jeden* urabiamy *jedenka*” trzeba by tedy podług autora dla dźwięczności mówić *jedeny, jedenie, jedenak* zamiast *jedyny* i t. d.

Na téjże str. 184 wywód historyczny w długim § 372gim podany nie objaśnia ale raczej zaciemnia użycie liczebników, i autor nienależycie uważa *stu, pięciu, siedmiu*, za przypadek 1szy. przywołując na to przykłady: „Czego wy pięciu stoicie jak czopy? Oto są pięciu synowie moi”. Należy raczej mówić: *Oto jest pięciu synów moich*: tu przypadek 2gi pięciu synów używa się zamiast 1go, jak w wyrażeniu *dwóch uczniów zachorowało* zamiast *dwaj uczniowie zachorowali*.

Na str. 194tj w § 400nym taki jest przykład: „I z wiele ludźmi nic nie dokazesz” zamiast *z wielką*.

Na str. 192giej liczebniki *podwójny, potrójny* osobliwszym sposobem nazwane są *pomnożnemi, a dwójsty, trojsty, podzielistnemi*.

Na str. 195tj zaczyna się nauka o czasownikach, których zbyt rozdrobnione podziały i szczególne oznaczenia osobliwszemi wywodami nieobjaśnione ale bardziej jeszcze zaćmione pomijam. Przeszanę też na samém tylko wspomnieniu, że odmiany grammatyczne czasowników są tu bardzo zagmatwane, a więcej jeszcze jest zawiłania w urabianiu tychże czasowników jednych z drugich. Z tego wszakże prawdziwego lasu grammatycznego wybiorę i przywiędę niektóre przynajmniej szczegóły na dowód: jak nieraz najmoźolniejsze badania nie odpowiadają celowi nauki, i jeszcze do błędów prowadzą.

W § 420stym od str. 215tj próżne są usiłowania o dokładne wyszczególnienie i opisanie znaczeń, jakie mają przyimki w składzie z czasownikami albo raczej czasowniki w składzie z przyimkami; bo tu często rozliczne znaczenia jednegoż przyimka wchodzącego w skład wielu czasowników nie mają żadnego związku z sobą lub nawet jedno z drugimi są w sprzeczności lub przeciwieństwie, jak się pokazuje na następujących przyimkach:

Na oznacza *kierunek* na miejsce lub do pewnego celu albo *dostatek*—jestże jaki związek kierunku z dostatkami?

„*Od*” znaczy oddalenie i wykonanie czynu lub stanu z pozbyciem się: np. *nie mógł się odjeść odchwalić*?. Gdzież tu zachodzi to oddalenie, kiedy kto jadł co ze smakiem albo chwalił z upodobaniem? ani w tych dwóch czasownikach *od* nie wyraża *pozbycia się* zwłaszcza gdy powieśmy w czasie terażniejszym *nie może się odjeść odchwalić*.

Prze znaczy to samo co *przed* t. j. względ przodu np. *przekładał* zamiast *przedkładał*.

„*U*” znaczy częściowe wykonanie czynu ze względu na podmiot lub przedmiot; uważmyż to na czasownikach nawet przywiedzionych przez samego autora *ubrać* (kogo), *ustał* (o idącym, który już dalej iść nie może) *ukradł* (zegarek), *uczynił* (przysługę), *ubył* (już go niéma), *uszedł*, *uje-*

chał (trzy mile). Podobne lubo właściwe sobie mają znaczenie *ukryć*, *umieć*, *uczyc*, *utaic* i wiele innych. Oznacza tu *u* częściowe wykonanie czynu. Lecz autor nieustraszony jeszcze dalej tak mówi w uwadze: „*Urodziła* znaczy także częściowe wykonanie czynu; bo kobieta przyczyniła się tylko do zrodzenia, którego mężczyzna pierwszą jest przyczyną np. *Abraham srodził Izaaka*”. Dalej znowu czytamy: „*kto upadł, nie padł jeszcze zupełnie, może się wkrótce podnieść; kto utonął nie koniecznie satonął na zawsze, kto umarł jeszcze nie zmarł*, t. j. śmierć jego może być tylko pozorną”.

A jeżeli kto się urodził np. w Warszawie, czy także jego urodzenie może być tylko pozorne albo nie cały jeszcze wyszedł z łona matki? nie można zaś mówić *srodził się*, jak zwykle nie mówi się *zmarł*, ale tylko *umarł*. Otóż to takie bywają marzenia i brednie grammatyczne.

Na str. 221szej niepotrzebnie i nienależycie wziął autor czas przeszły zagłówny czyli pierwotny na wzór zapewne grammatyki poznańskiej J. Muczkowskiego, który wszakże w później wydanej przez siebie grammatyce krakowskiej swój przed kilką laty wyrozumowany plan formowania czyli urabiania czasów i trybów jako niedogodny zarzucił. Nierównie porządniej, prościej i jaśniej jest uważać tryb bezokoliczny *za pierwotny* bo tryb ten samże autor na początku w formach czasowania zamieścił, a wszystko na jedno wychodzi, czy powiem: od *mdléc* formuje się *mdlal* odrzucając cechową spółgłoskę trybu bezokolicznego, a przydając natomiast cechową spółgłoskę czasu przeszłego, przy czym zamienia się *é* będące przed *ć* na *a* przed *ł*, czy odwrotnie od *mdlal* formuje się *mdléc*. Trudności zaś, jakie zachodzą w formowaniu niewielu czasowników *grześć*, *skuść* i t. p. nie są tak wielkie, iżby dla nich zmieniać porządek w układzie trybów i czasów; wreszcie czasowniki te autor prawie wyrugował ze swojej grammatyki i radby je uchylić nawet z mowy polskiej, a przywodzi tak troskliwie w nocie u dełu, aby odgrzebaną przez siebie nowość usprawiedliwić.

Na str. 225tej w § 446tym niepotrzebnie autor występuje z trybem łączącym, którego wbrew wywodowi podanemu przez M. Jakubowicza nie masz w naszym języku. Powiada zaś zaraz na początku tego §: „że ten tryb oznacza stan niepewny” a w uwadze sam siebie zbija mówiąc, że „stan pewny lub niepewny po łącznikach *iż*, *że* zależy od słowa poprzedzającego.” Czemu nie od czasownika? wszak słowo u autora znaczy to samo co u nas wyraz. W tymże § przywiódłszy przykład *dopomagam ci, abys się dorabiał*, powiada, że czasownik połączony ze spójnikiem *aby* jest w czasie teraźniejszym; bo poprzedzające *dopomagam* jest w tymże samym czasie, lecz tu w pierwszym zdaniu jest czas teraźniej-

szy a w drugim przyszły. Wyraźniej jeszcze takie następstwo czasów pokazuje się w przykładzie *chcę, abyś jutro do mnie przyjechał*.

Na str. 228miej w § 449tym tryb warunkowy zaćmiony jest rozróżnieniem bezpotrzebnym warunku bezwzględnego i względnego, przez co za wikławszy się autor w tym rozróżnieniu, tryb oznajmujący ze spójnikiem *jeżeli jeśli* błędnie uważa za warunkowy. Jeszcze jakby na dopełnienie zawikłania wprowadza w Uwadze zdanie *zawarowane*, które powinien był przywieść w uwadze do § 446, gdzie przykład: *czy podobna, by to kobieta zrobiła?* można inaczej tak wydać: *kobietaby tego nie zrobiła*.

Na str. 227miej prawidło tak proste na urabianie trybu rozkazującego ciemno i zawile podane.

Na str. 230tej pomieszane imiesłowy z przymiotnikami i przysłówkami. Bo niewłaściwie autor przyznaje imiesłowom stopniowanie, gdy właśnie w tym zachodzi ich różnica od przymiotników, że się nie odmieniają przez stopnie np. *i najoświeceni ludzie pobłądzić mogą*; nie można zaś powiedzieć *i najoświeceni ulice nie zabezpieczają od przypadku*, ani *najwięcej oświecone*, ale *najlepiej* albo *najjaśniej oświecone*.

Na téjże str. 230tej słusznie nauka o użyciu imiesłowów odesłana do § 583go i następnych, podobnie i prawidło ściągające się do użycia czasów i trybów należało odłożyć do składni.

Jeszcze na téjże str. w § 465tym sterczy gruby błąd grammatyczny *robiwszy*; bo u nas słowa niedokonane nie mają imiesłowu na *szy*, jak dokonane imiesłowu na *ąc*. W 2giej zaś uwadze tego § dla ujednostajnienia formy radzi autor wbrew powszechnie przyjętemu zwyczajowi mówić i pisać: *ukradwszy, zgniótwszy, wytłukwszy* zamiast *ukradłszy*, ostrzegając nas pierwój, że „zakończenie *wszy* nie razi ucha naszego i nie robi dwuznaczności w imiesłowach.”

W § 467mym, gdzie jest mowa o imiesłowach czasowników przymiotnych i nijakich, napotykamy subtelnostkowe odróżnienie przymiotników na *ty* niewłaściwie branych za imiesłowy od niezaprzeczonych imiesłowów np. *skamieniały, wyrozumiały, ociężały*; tu także zbija sam siebie autor wskazując, że należałoby mówić prawidłownie *czas upłynęły* zamiast *upłyniony*; *zjawiły* zamiast *zjawiony*; a nie zważa na to, że zachodziłaby w takim razie dwuznaczność, której duch naszego języka o ile tylko można wystrzegać się każe.

W § 471szym dobra i na swoim miejscu umieszczona uwaga, że z trybu bezokolicznego słów złożonych ze słowa *ić* urabiają się rzecz-

wniki, tylko niepotrzebnie było na to przeznaczać osobny §, który należało załączyć do § 469go rozdzielonego aż na trzy §§.

W § 473cim nienależycie wzięte są pod uwagę aż dwa słowa posiłkowe *być* i *mieć*, bo w naszym języku jedno jest tylko słowo posiłkowe *być*, które „służy do *oddania* czasu zaprzeszłego (czas przyszły słów niedokonanych jest tu pominięty) i do odmiany biernej.” A więc formę bierną przypuszcza autor w czasownikach naszych, z czém się jednak dotychczas nigdzie nie oświadczył wyraźnie. O czasowniku zaś *mieć* powiedziawszy „że służy do *oddania* czynnego i biernego imiesłowu przyszłego”, mówi dalej że „ten czasownik *częstokroć* wyraża chęć, zamiar, powinność, przeznaczenie, niepewność, a wówczas odpowiada niemieckiemu *sollen*”. Lecz niemieckie *sollen* nie jest czasownikiem posiłkowym, podobnież i nasze *mieć*, bo inaczej były by posiłkowemi *módz*, *musieć*, *chcieć*, które wszakże równie jak *mieć* właściwe sobie mają znaczenie.

Na str. 235tej w § 474tym podając autor formę czasowania słów *być*, *mieć*, musiał obok trybu oznajmującego umieścić niepotrzebnie i tryb łączący, a warunkowy podzielić na dwa gatunki, gdy rzeczywistość *czy jestem*, *jeżeli jestem*: to tryb oznajmujący ze spójnikami *czy*, *jeżeli*. Niedosć na tém; jeszcze w czasie przeszłym i przyszłym dokonanym wprowadzone tu są dwa słowa *wybyć* i *pobyć*, mające wprawdzie blizkie, ale niejednakowe i wspólne ze słowem *być* znaczenie: *wybyłem*, *pobyłem*, *wybędę*, *pobędę*. *Wybyć* znaczy *przetrwać do końca*, *odbyć przebyć*; a *pobyć* znaczy *pobawić* jakiś czas. Po cóż mieszać z czasownikiem *być* czasowniki innego znaczenia i pod jedną formę trzy słowa podciągać.

(269). *Sam się ćwi, kto drugiego ćwi.*”

Na str. 271szej w § 509tym mówiąc bałamutnie o czasownikach czynno-nieprzechodnich i nijakich, jako oznaczających stan nie mogący przejść na przedmiot, powiada, że „tak można użyć i czynno-przechodnich np. *sobie śpiewam* nie *komu*. Odróżnić tu należy wyrażenie niepewno-osobiste np. *w chłodsie śpi się bardzo przyjemnie*: tu bowiem *się* nie jest zwrotnym zaimkiem, ale jako podmiot użyty”. Czy można uważać czasowniki *grać*, *śpiewać*, *tańcować* za czynno-przechodnie, chociaż czasem i tylko wyjątkowo używają się jak czynno-przechodnie z przyp. 4tym? A wyrażenie niepewno-osobiste *czy jest* w przykładzie *jemu się śpi smacznie* albo *spać mu się*, albo w tym: *chciało ci się ja-gódek*, i czy może w tych obu przykładach zaimek *się* być uważanym za podmiot?

Na téjże str. w § 510tym zaogólnie jest powiedziano, że czasowniki nieosobiste używają się tylko z zakończeniem osoby 3ciej l. p., a w czasie

przeszłym tylko w rodzaju nijakim. Prawda, ale należało uczynić tu uwagę, że niekiedy czasowniki nieosobiste wzięte osobiście używają się w liczbie mnogiej i w rodzaju żeńskim np. *grzmią pioruny; grzmiąta muzyka noc całą*.

(273). *Wstyd mię, cię, go, ją* zamiast *mi, ci, mu, jęj*.

Na str. 275tej dobrze objaśnione przykładami przysłówki, które ze zmianą zakończenia znaczenie swoje zmieniają.

Na str. 277mej w § 525 podana jest bałamutna nauka o odmianie przysłówek przez spadki np. *do jutra, na jutro*: tu *jutro*, wyraźnie jest rzeczownikiem jak *ciepło zimno* bywa już rzeczownikiem już przysłówkiem, a *zdaleka, zbliżka, oddawna*: to wyrażenia przysłówkowe jako też *za młodu, po królewsku, po grubiańsku*.

Na str. 278mej mówiąc autor o wyrażeniach przysłówkowych sam zbija podaną przez siebie naukę o odmianie przysłówek przez spadki; bo powiada, że ze znikłego rzeczownika *dał* powstały przysłówki *zdała opodał, nadal, w dali*; z przymiotnika zaś *dawny, pijany* powstały przysłówki *po dawnemu, po pijanu* albo *po pijanemu*; tu więc nie przysłówki odmieniają się przez spadki, ale rzeczowniki i przymiotniki, toż samo rozumieć się ma o przywiedzionych w § 525tym przysłówkach *zdaleka, po prostu, za młodu* i t. d.

(Str. 285 § 544). „Następujące przyimki rządzą w rozmaitych znaczeniach wnet 4tym wnet 6tym spadkiem” a powinno być 7mym; tu się wkradła pomyłka druku niepodana wszakże w *sprostowaniu omyłek* przy końcu książki umieszczoném. Pod tymże § w nocie u dołu umieszczona jest mądra uwaga, ale dziwnie i niedbale wyrażona: „Gdy znaczenia te są bardzo liczne, a w użyciu tych przyimków się nie mylimy, pomijam dla krótkości ich orzeczenia w tém przekonaniu, że więcej nas tu przykłady niż określenia oderwanych pojęć nauczyć mogą”. Czemuż na str. 114tej niepotrzebnie wdał się autor w określania znaczenia przyimków, które wchodzą, w skład czasowników?

Na str. 288mej spółnik nazwany łącznikiem, i odwrotnie łącznik spółnikiem; a téj osobliwszej nowości wprowadzającej tylko zamieszanie w naukę nie usprawiedliwia wcale przypisek zamieszczony u dołu; bo jednakowo wymawiamy panna młoda bez łącznika jak panna-młoda z łącznikiem przez autora niepotrzebnie tu wprowadzonym.

Na str. 289 i 290tej kończącej część IIgą nienależycie przyrostek podany jest za oddzielną część mowy, kiedy nigdy się oddzielnie nie pisze, ale tylko się zrasta ze wszystkimi częściami mowy, jak to sam autor powiada: Wreszcie pomiędzy wyszczególnionemi przyrostkami nie należało pominąć *by*.

Na str. 291szej zaczyna się część Ilcia pod napisem *Składnia*. Tu autor w nocie u dołu stara się dowieść niewłaściwości wyrazu grammatycznego *słowo*, gdy podług niego każda część mowy powinna się nazywać *słowem* nie zaś wyrazem. Bardzo trafnie jednak do grammatyki wprowadził Kopczyński *słowo* jako główny pierwiastek zdania, a rozszerzył znaczenie *wyrazu* do wszystkich części mowy. Co pokazuje się w samych przykładach przywiedzionych przez autora czyniącego zarzut nie trafności Kopczyńskiemu, wyjąwszy jeden tylko przykład *słowo w słowo*, gdzie *słowo* jest użyte za *wyraz*. Lecz *dałem słowo*, znaczy to samo co *wyrzekłem zdanie przyszekające; nie dał mu dobrego słowa*, zamiast *nie wyrzekł o nim zdania chwalącego*. Nie można zaś mówić *dałem wyraz*, *nie dał mu dobrego wyrazu*; bo *wyraz* daleko mniej znaczący niż *słowo* nie może znaczyć ani *zdania przyszekającego* czyli *przyszekania*, ani *zdania chwalącego* czyli *pochwały*. Toż samo się pokaże i na innych przykładach w nocie przywiedzionych, a nawet podnosi i usprawiedliwia znaczenie *słowa* wyraz *słownik* tak szczęśliwie użyty na oznaczenie *zbioru* czyli składu wszystkich części mowy nie tylko najważniejszych, jakimi są *imiona* i *słowa*, ale i mniej ważnych, jakimi są *zaimki* zastępujące miejsce *imion*, imiesłowy rodzące się ze słów i w zastępstwie ich używane, tudzież przyimki posługujące *imionom*, spójniki posługujące *słowom*, *przystawki* służące do określenia *imienn* i *słów*, nareszcie *wykrzykniki* nie należące nawet do składu zdania. Wreszcie jak można było, powtórzwszy już tylkrotnie na 290ciu str. swojej grammatyki wyraz w znaczeniu użytym przez Kopczyńskiego, teraz dopiero cofać się przy końcu drogi, potępiając jeszcze więcej i słuszniej siebie niż swego przeciwnika. Wszak na str. 9tej czytamy: „*mowa składa się z wyrazów a nie ze słów; wyrazy składają się ze spółgłosek*, na str. 10tej *pięciogłoskowymi wyrazami*”. W każdym wielogłoskowym wyrazie „a na str. 11tej” *do odmiennych wyrazów „wyrazy pochodne, trzech wyrazów*”. Wyraz i t. d.

(Str. 292). „Myśl dokładnie słowami wydana nazywa się zdaniem.” Lecz *myśl* często z kilku *sądów* czyli *zdań* się składa, a niedokładność w wydaniu myśli zachodząca nie zmienia albo raczej nie niszczy istoty zdania. Zdanie może być mylne, błędne, fałszywe, jak *myśl*, a raczej *sąd*, którego toż zdanie jest obrazem. Przywiedzione zaś przez autora w nocie u dołu zdania grammatyczne tylko a nie logiczne, które wyrażają pytanie, żądanie, życzenie, rozkaz, tak się inaczéj dadzą wyrazić: *nie znam cię, kto jesteś; nie wiem, czego sądasz; śyczę ci, żebyś był szczęśliwy; rozkazuję ci albo proszę cię, abys poszedł do mnie*, i tak wyrażone zdania są już nie tylko grammatyczne ale i logiczne. Wreszcie jeżeli *myśl dokładnie słowami oddana, nazywa się zdaniem*, jakże oznaczyć okres? chyba

że jest ciągiem dwóch lub więcej myśli będących z sobą w ścisłym związku i połączeniu; lecz może być jedna myśl panująca w okresie, a nawet w ustępie z wielu okresów złożonym lub w całej mowie złożonej z wielu ustępów. Nazwijmy tedy sądem myśl albo tylko część myśli jeszcze nieuzupełnionej; bo jeżeli mówiąc, nie zawsze o tém sędzimy ostatecznie co mówimy, tedy zawsze dążymy do sądenia i objawiamy to dążenie w mowie składającej się ze zdań, okresów i ustępów.

Na téjże stronicy wprowadzony przez Muczkowskiego i innych *podmiot* nierównie gorszy niż *przymiot*, który u nas w XVIstym wieku znaaczył *przysrusł* albo najobydniejszą zarażliwą chorobę, a potem został użyty i przyjęty powszechnie w inném dzisiejszém znaczeniu; *podmiot* zaś najopacniej do grammatyki wprowadzony albo raczej przeniesiony niezgrabném przepolszczeniem z łaciny i niemieczyzny. Lepiej już było zostawić *subjekt*, albo zamienić *subjekt* na *podmiotnik*: bo podmiot, o którym mówimy, jest w myśli naszej a nie w mowie; wyraz tedy oznaczający podmiot nazwać należało *podmiotnikiem* jak *przymiot* nazwany został *przymiotnikiem*. Nie lepszym jest od podmiotu *orzecznik*, wzięty jakby żywcem z Muczkowskiego zamiast *orzeczenie*; i tę ma chyba wyższość nad podmiotem i orzeczeniem, że ma stosowniejsze zakończenie na *nik*. Również nieszczęśliwie uklecony wyraz *ślączka* na wzór łacińskiego *copula* z zakończeniem żeńskim, nad który lepiej było przenieść *ślącznik* tak niepotrzebnie użyty za *spójnik*.

(Str. 293). „Zdanie zawierające w sobie podmiot i orzecznik nazywa się *gotém*.” Wadliwy jest podział zdań na *goté* i *określone*, bo wyrazy, które autor uważa za określniki, są rzeczywiście *dopełnikami* np. próżnowanie jest początkiem wszystkiego złego; tu *złego* jest wyrazem dopełniającym czyli dopełnikiem a nie *określnikiem*. Toż w tém zdaniu: „*On obiecuje mi gruszki na wierzbie*” wyrazy *mi gruszki* są dopełnikami nie zaś określnikami. Te więc dwa dopiero przywiedzione zdania raczej dopełnionemi nazwać należało a nie *określonymi*, bo w nich obu jeden jest tylko określnik *wszystkiego*, który się zgadza z dopełnikiem *złego*. Cała tu wina autora, że nie umiał dobrze odróżnić określników od dopełników, a ta właśnie nauka pominięta jest w Grammatyce krakowskiej Muczkowskiego; odsyłam tedy winowajcę do Grammatyki warszawskiej, w której ten przedmiot dobrze jest wyłożony.

Jeszcze na téjże stronicy takie sobie autor zadaje pytanie: *Kiedy jedno słowo (a raczej wyraz) może być zdaniem?* W odpowiedzi daje następujące przykłady zdań jednowyrazowych *spałem, czytaj, uważajcie*, nie zważając na domyślne wyrazy *ja, ty, wy*. Posuwając dalej jeszcze niedorzeczność niezważania na domyślne wyrazy, uważa wyraz *na*

przód za zdanie jednowyrazowe, choć ten wyraz jest tylko dopełnikiem opuszczonego albo raczej domyślnego orzecznika *postępujcie!* Podobnież *wina* jest zdanie z domyślnym orzecznikiem *dajcie!*

(294) „*Kobiety, trzeba im to wybaczyć* (zamiast *ej to są kobiety*): to przykład nieprzyzwoity, bo niesprawiedliwie upośledzający płęć niewieścią.

Na téjże str. poniżej: „*Trudniej matce z córkami, niż monarsze z ludami*” znowu przykład nieprzyzwoity; bo i to nieprawda, i choćby było prawdą względną, tedy nie dla podrostków uczących się grammatyki, a zwłaszcza nie dla panienek, które Bóg wie co sobie pomysła i gotowe zbyt łagodnej matce lub ochmistrzyni swojej głowę przewrócić.

(295). „*Był mu na zdradzie*” tak się nie mówi.

(297). „Tryb bezokoliczny osobliwie po czasownikach niedokładnych *kazać, musieć, chcieć* i t. d. Jak można słowa wymagające dopełnienia nazywać *niedokładnymi*, a tryb bezokoliczny do takich słów należący *określnikiem* nie zaś *dopełnikiem!*

(Str. 298 § 573). „*Młodzi wesoło czas przepędzają, bo nie znają trosk wieku dojrzałego.... Żeś białogłową z kości stworzył, Panie, niejednemu téż kością w gardło stanie.*” Oba te przykłady są źle dobrane: w pierwszym niemasz prawdy ściśle oznaczonej, bo są i inne przyczyny bliższe, dla których *młodzi wesoło czas przepędzają*; drugi przykład rażącym sposobem jest nieprzyzwoity, zwłaszcza w grammatyce. Cóż gdy jeszcze zważymy, że to są przykłady na zdania główne i podrzędne, a podrzędne inaczej nazywają się *poboczne*. Zdania zaś główne podług słów autora *wyrażają myśl główną*, a podrzędne *służą do wyjaśnienia myśli głównej*. Jabym sądził, że tu w pierwszym i drugim przykładzie, również jak pierwszy, dwuzdaniowym, przyczyna wyjaśnia skutek, a skutek dowodzi przyczyny; w obu więc przykładach niemasz zdania *podrzednego* czyli *pobocznego*, ale jedno i drugie zdanie za główne uważać należy. Wszak pierwszy przykład bez żadnej zmiany i nadwerężenia myśli można by inaczej tak wyrazić: *Młodzi nie znają trosk wieku dojrzałego, a przeto wesoło czas przepędzają*: w takim tedy przekładzie zdań, pierwsze z nich samże autor uznałby za główne, a drugie za poboczne; oba więc zdania są rzeczywiście główne, nawet podług autora niezgodnego z sobą samym. Toż samo się pokaże i na drugim przykładzie, gdy bez zmiany i nadwerężenia myśli tak go inaczej wyrazimy: *Kobieta już z natury ma skłonność do stania się dokuczliwą mężczyźnie, nieraz też srodze mu dokuczy*; tu znowu w pierwszym zdaniu wyrażona jest myśl główna, którą autor w danym przez siebie przykładzie uważał za podrzędną. Któreż znowu ze zdań przez autora przywiedzionych tak w pier-

wszym jako i w drugim przykładzie uważać mamy za główne i *rozszerzone*, a które za wyjaśniające, kiedy z nich jedno służy do wyjaśnienia lub udowodnienia drugiego? wszystkie tedy zdania są główne, i żadne z nich nie może się uważać za rozszerzone. Toż samo okazać można aż do oczywistości na przykładach ze str. 299 pod nr. 5. „*Byłem słaby, nigdzie tedy nie wychodziłem*” gdy ten przykład inaczéj tak wyrazimy: „*Nigdzie nie wychodziłem, bo byłem słaby*. Toż samo jeszcze okazać można i na wielu innych przykładach ze str. 299 i 300, w których dwa zdania główne ale *niespółrzędne* zostają z sobą w ścisłym związku i połączeniu. Cała tedy nauka o zdaniach głównych i pobocznych podana i objaśniona licznymi przykładami na blisko 3ch stronicach jest bałamutną, zdolną tylko zawracać głowy uczniów i uczących z książki.

Niemniej bałamutną jest nauka podana o zdaniach określających, dopełniających i nawiasowych na str. 300, 301 i 302. Na dowód czego przywiedziemy tylko same oznaczenia zdań, o jakich tam mowa.

(Str. 300 § 575). „Zdania określające zaczynają się od zaimków względnych lub od przysłówków miejsca: *gdzie, skąd, dokąd*, i służą do bliższego określenia podmiotu, określnika lub orzecznika zdania głównego albo pobocznego.”

(Str. 301. § 579). „Zdaniem dopełniającém to się nazywa, którego po usłyszeniu zdania głównego lub określającego, jako dopełnienia myśli oczekujemy. Takie zdania wiążą się z poprzedzającemi za pomocą zaimków względnych, przysłówków miejsca i czasu lub łączników.” A więc zdania tak określające jako i dopełniające zaczynają się od zaimków względnych lub przysłówków miejsca, a różnica pomiędzy niemi nie jest dobrze i jasno oznaczona, gdy autor, jakeśmy to już powyżej uważali, dopełnik bierze za określnik; zdanie zaś określające również służy do uzupełnienia czyli *dopełnienia myśli* jak dopełniające. Wreszcie zdanie określające nietylko służy *do bliższego określenia podmiotu, orzecznika lub określnika zdania głównego albo pobocznego*, ale i do określenia samegoż zdania głównego służyć może np. „*Rodzice moi starannie mnie wychowali, za co im dożygonnie wdzięczny będę*”. Czemuż autor nie połączył § 577 z § 575? Toż w przykładzie: „*Chciwy człowiek, choćby miał najwięcej, nie przestaje na tém co ma*” tu zdanie *choťby miał najwięcej* nie jest poboczne ale włączne.

(Str. 302, § 580). „Zdaniem nawiasowemi te się nazywają, które bez żadnego połączenia pomiędzy wyrazy zdania głównego wsuwamy, a dlatego w nawiasie umieszczone i bez nadwerczenia myśli opuszczone być mogą.” Należało tu właśnie wskazać różnicę między zdaniem nawiasowém a włączném, które nienależycie autor bierze za poboczne.

W §§ 583, 584 i następnych aż do § 589 wiele jest uwag gruntownych i nawet postrzeżeń całe nowych, które uszły przed okiem nader pilnego i niespracowanego w badaniach grammatycznych Jakubowicza.

Na str. 306tój w § 589tym bardzo niedokładne jest oznaczenie okresu; należało bowiem tak powiedzieć: Dwa zdania główne niespórzędne w ścisłym związku i połączeniu z sobą nazywamy *okresem*. Zdanie zaś główne połączone z dopełniającym stanowić może tylko poprzednika lub następnika okresu, ale nie okres. W rozwinięciu tegoż § zachodzi sprzeczność, jak się to pokaże w dosłownym przytoczeniu wykładu będącego pod tym zarzutem: „Poprzednik jest częstokroć zdaniem służącym do wyjaśnienia myśli głównej, jednakże używamy go w składzie okresu za zdanie główne, ponieważ przez poboczne, określające, dopełniające i nawiasowe wyjaśnionym być może; następnik zaś wyraża myśl główną np. *Gdzie karności niema, tam nierząd i swywola panuje*” jak gdyby nie można było i tak powiedzieć: *Tam nierząd i swywola panuje, gdzie karności niema na występnych*. Wreszcie przykład ten wzięty z Jana Kochanowskiego, nie godziło się tedy zmieniać go i obcinać: „*Jeżeli karności na występnych nie masz, tam bez pochyby nierząd, i swawola panować musi*”.

Na téjże str. w § 591szym podana jest znowu bałamutno nauka o dwóch lub więcej poprzednikach i następnikach w okresie, *które członkami okresu nazywamy*; nie może bowiem być w okresie więcej nad jeden poprzednik i jeden następnik, jak to łatwo okazać na przykładach przywiedzionych przez samegoż autora, z których jeden tylko przywiedziemy: „Bogactwa żądze nasze łechcą, sława nas mami, ponęta wdzięków nas zdradza, a wszystko to z czasem przemija: na tak złomnej podstawie nie powinniśmy zatem nic pewnego budować” tu oczywiście jest jeden tylko poprzednik połączony z następnikiem za pomocą spójnika *zatem*, a w poprzedniku są cztery zdania główne spórzędne; nie można tedy uważać tego okresu za pięcioczłonkowy.

Od str. 308tój składni sztyku nic w sobie nowego nie zawiera: sam autor wyznaje w nocie u dołu, że niektóre ustępy wziął ze składni Kurhanowicza i z rękopisu Mecherzyńskiego; zapewne tedy wziął i niepotrzebne ustępy o *samienni*, *wyrzutni* i *dodatni*, które do składni sztyku wcale nie należą.

Na str. 315 niepotrzebnie razem są podane prawidła zgody orzecznika i określnika przymiotnego, tudzież orzecznika czasowego z podmiotem; jak gdyby określniki zgadzały się jedynie z podmiotem, chociaż one zgadzają się tak często i z dopełnikami wymagającymi określenia.

(Str. 327 § 630). „Składnia rządu uczy nas, jak należy słów (wyrazów) używać ze względu na zależność jednych od drugich”. Owoż jeden z §§ jałowych, można go tedy było i należało opuścić.

(Str. 328) „Szczebiotania *dziecińskie*, suknie *mężowe*, rzędy *męzskie*; toż *moc mężowa* (jednego męża), *mężoska* (każdego męża), *męska* (pleci męskiej). W tym sążnistym czterokartkowym § pełno przykładów i dobrze wybranych; ale wykład wszędzie prawie nieznośny i objaśnienia bardzo niedokładne.

Na str. 331szej dobrze wprowadzie sprostowany błąd *w wieczór*, ale dlaczego autor nie powiedział po swojemu *we wieczór*?

(Str. 337). „Przy wyrażeniu wieku używamy czasownika *być* nieosobiście, imię istoty kładziemy w 3cim, a czas w 4tym spadku *np.* *babie było przeszło lat ośmdziesiąt*”. Gdzież tu *czas* w 4tym spadku? wszak że lat jest w 2gim, a ośmdziesiąt w 1szym spadku. Tenże błąd powtórzony i w następnych przykładach; „*Jest temu lat trzy*” tu trzy jest w 1szym spadku a nie w 4tym. „*Właśnie godzinę temu, jak ją widziałem zamiast godzina*”.

Na str. 195tėj pod nr. 2 wykład bałamutny tak się kończy: „a jeżeli zdanie jest tym sposobem podmiotu pozbawione, musi czasownik nieosobiście być użyty: *np.* *było na stajni furę siana; skisło kwartę śmietanki* zamiast *była fura, skisła kwarta; było u mnie parę osób* zamiast *była para osób*, chociaż nigdy się po polsku nie mówi *para osób* zamiast *kilka*.

Na str. 339tėj chociaż jest błędny wykład wynikający z niedokładności w odróżnieniu określników od dopełników, ale przykłady dobrze podobierane.

Na str. 340stėj pod napisem: *Przemiana formy czynnej na bierną*. Znowu wykład zawikłany i bałamutny, a dane przykłady nie zawsze popierają prawidło, ale najczęściej je znoszą, *np.* *drzewo od wiatru złamane, człowiek od piorunu zabity, Goliat od Dawida zwyciężony*; tu sam skutek pokazuje, że ani drzewo swoją wewnętrzną siłą nie mogło się oprzeć sile wiatru, ani człowiek uniknąć piorunu, ani Goliat nie mógł oprzeć się Dawidowi; a jednak tu używa się spadek 2gi z przyimkiem *od*. Cóż gdy się mówi zarówno dobrze: *Arka została zbudowana od Noego albo przez Noego*.

W § 639tym dobrze wskazana *odrzućnia* (czemu nie wyrzućnia) w tych dwóch przykładach: *słowa wyjęte z Ewangelii dopiero* (odemnie) *przeczytanej. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus* (od wszystkich.)

Na str. 341szej w § 640ym dziwnie podane prawidło o czasownikach używanych nieosobiście: „Gdy przy nich nie ma ani wyraźnego ani domyślnego podmiotu osobowego ni rzeczowego, ale tylko wskazują, że samo się coś dzieje lub coś jest, co się w niemieckim języku przez *es*, we francuzkim przez *il* wyraża, np. *było na co patrzeć*. Lecz w przykładach: *śnieg pada, grad pada*, słowo *pada* używa się u nas osobiście wbrew podanemu prawidłu, chociaż w niemieckim i francuzkim języku mówi się nieosobiście *Es schneyet, il neige*.

(Str. 353) „*niedopełniający*” dwa wyrazy napisane łącznie, chociaż nie dopełniać pisze się rozdzielnie.

(§ 354). „*O znakach przestankowych*” jestto skrętna zbieranina z różnych grammatyk, gdzie przykłady po większej części dobrze podobierane, ale i tu zachodzą liczne uchybienia w wykładzie. Tak na str. 361 czytamy: „*Kropka jest znakiem skończonej myśli*”; nie zawsze, bo myśl jedna często się rozwija w 2ch lub więcej okresach, a przy końcu każdego okresu lub zdania okresowego kładzie się kropka.

(Str. 367—368). Na tych dwóch ostatnich stronicach liczbowanych nie wszystkie omyłki druku sprostowane. Po *sprostowaniu omyłek* następuje *Spis rzeczy* na 2ch kartkach nieliczbowanych, jeszcze niedość szczegółowo podany; bo w tym spisie §§ nie są pooddzielane i oznaczone.

Kończąc już rozbiór dzieła nie wolnego wprawdzie od błędów, ale z największą pracą, mezołem i sumiennością wykonanego, nie mogę przemilczeć, że autor wśród tylu drobiazgowych postrzeżeń i uwag, należących raczej do elementarza albo do słownika, niektóre ważne rzeczy w swojej Gramatyce pominął, jakoto: *użycie orzecznika* albo raczej części przymiotnej orzecznika w zdaniu nieosobistém, tudzież *użycie czasownika osobistego z podmiotem zbiorowym*; mówiąc zaś o składni szyku, nie wspominał, że niekiedy przez samo przełożenie czyli zmianę miejsca wyrazów zamienia się orzecznik na wyraz określający, a zdanie czynne na bierne lub odwrotnie; np. *Bóg jest sprawiedliwy*; tu wyraz *sprawiedliwy* jest częścią przymiotną orzecznika. *Jest Bóg sprawiedliwy, co słych karze, a dobrych nagradza*; tu wyraz *sprawiedliwy* służy tylko do określenia podmiotu *Bóg*, a zatem jest określającym. *Romulus założył Rzym*; tu jest zdanie czynne tak co do swojej formy, jako też i co do znaczenia; a gdy powiemy: *Rzym założył Romulus*; zdanie to jest wprawdzie czynne co do formy, ale bierne co do znaczenia.

Cóż powiem z kolei o moich własnych pracach grammatycznych? Oto przestanę tylko prawie na samém ich wyszczególnieniu, zostawując osądzenie znawcom, a mianowicie uczącym, którym szczególniej starałem się przyjść w pomoc. Piérwszą moją pracą grammatyczną było oce-

nienie dziełka Szopowicza, które autor w rękopiśmie złożył jeszcze w r. 1811stym, Towarzystwu Warszawskiemu Przyj. Nauk, a później wydał drukiem w Krakowie. Ocenienie to wyszło w *Dzienniku Warszawskim* z roku 1826. Osądziłem téż różnocześnie na drodze urzędowej: *Części mowy odmieniające się przez przypadki* F. Żochowskiego, *Grammatykę krakowską* J. Muczkowskiego, i 2gą część *Grammatyki* T. K. a przychodząc w pomoc nauczycielom szkół elementarnych, wydałem w r. 1836tym: *Pierwsze zasady Grammatyki polskiej*, i ze skrócenia tego dziełka powstały wydane w r. 1846tym: *Zasady poprawnego czytania i pisania po polsku*. Część 1sza ułożonej przezemnie *Grammatyki polskiej* wyszła w r. 1837tym i doczekała się już 4go, a jój skrócenie 5go wydania. Nareszcie w r. 1847tym wydałem część 2gą *Grammatyki polskiej z załączeniem nauki o stylu, tudzież wypisów z dzieł różoczesnych naszych pisarzy*. Przy nowych wydaniach części 1szej starałem się w nią wprowadzać coraz nowe ulepszenia przez niektóre zmiany w jój układzie, a bardziej jeszcze przez ujmowanie mniej potrzebnych paragrafów, aby ją uczynić elementarniejszą. W tymże celu wyszła i Część 2ga skrócona bez żadnych załączonych dodatków w r. 1848. Śmiało teraz i najsumiennie j wyznać mogę, że korzystałem o ile można było, ale nie ślepo i zwolenniczo z Jakubowicza i Mrozińskiego, jako téż z *Rozpraw i Wniosków Deputacyi Towarzystwa Przyjaciół Nauk* i ze wszystkich *Grammatyk* polskich od r. 1830 wydanych. Z największą téż szczerością nacechowaną mocném u siebie przekonaniem wyznaję, że się nie tylko starał uniknąć, ale pewnie uniknął tych przynajmniej błędów, które innym grammatykom różnocześnie sam zarzucałem; przy nowém zaś wydaniu mojej *Grammatyki*, jeżeli to jeszcze nastąpi, korzystać nie zaniedbam i z ocenionego przez siebie w niniejszym piśmie dzieła p. Łazowskiego. A co do rozważenia języka naszego pod względem jego *ducha* czyli *wewnętrznej budowy*: pracę tę wielką i jój wykonanie odkładam do zamierzonej *Grammatyki porównawczej*, w której głównie język nasz rodowity, a przydatkowo inne języki, najwięcej u nas upowszechnione, wezmę pod ścisły rozbiór i ocenienie.

T. Sierociński.



ROZMAITOŚCI.

Stan piśmiennictwa rossyjskiego w roku 1849.

Podawszy w zeszycie marcowym Biblioteki Warszawskiej krótki przegląd piśmiennictwa rossyjskiego z roku 1848, zapatrywałem się na przedmiot bardziej ze względu statystyki, niż nad rozwojem po szczególe; w obecnym artykule od poprzedniej formy odstępuję, pragnąc, zanim w oddzielnych częściach stan każdej ważniejszej nauki w Rosyi przedstawię, dać znikom moim obszerniejszy i dokładniejszy obraz postępu literatury, która ze wszech miar na bliższą znajomość zasługuje.

Zaczynam od teologii, w której najlichniesze prace corocznie w Rosyi wydają; postęp tém szczególniejszy, iż zagraniczne piśmiennictwo coraz mniej w tym przedmiocie obfituje. Jakoż w r. 1849 pomiędzy stu kilkudziesięciu dziełami w rozmaitych oddziałach teologicznych w języku rossyjskim drukowanych, tak oryginalnych jako i tłumaczonych, wyszło samych książek liturgicznych i do modlitwy 45, w teologii dogmatycznej 84, w kaznistyce 35, a w historii kościelnej 30, oprócz trzech czasopismów, wszystkim tym oddziałom poświęconych, jakimi są; w Petersburgu: Czytelnia chrześcijańska (Христианское Чтение); w Moskwie: Pisma ojców świętych z dodatkami duchownej treści (Творения Св. Отцевъ съ Прибавленіями духовнаго содержания); w Kijowie: Czytelnia niedzielna (Воскресное Чтение). Niektóre z tych dzieł osobno wydawane, już w kilkunastu edycjach powtarzają się. Literatura kaznodziejska ma słynnych mówców i pisarzy, jakimi są: Filaret metropolita moskiewski, Ignacy arcybiskup chersoński i taurycki, Grzegorz arcybiskup kazański i wielu innych. Zaś historia kościelna szczególnie w opisach cerkwi, monasterów lub miejsc cudownych, interesowne ogłasza pomniki.

Po teologii najbogatszą jest historia, bo też jest najbardziej w Rosyi upodobaną; a w roku zeszłym w dzieła tego rodzaju, pod wielorakimi względami odznaczające się, niezwykle była obfita. Wprawdzie dążność do rozszerzenia obszaru nauk historycznych, głównym jest dotąd zadaniem naszego stulecia; nigdzie atoli tak hojnie przez rząd nie jest wspierana, jak w Rosyi. Dowodem tego są owe osobne kommissyje archeograficzne, do zbierania, wyszukiwania i drukowania materiałów historycznych, po rozmaitych częściach państwa ustanowione, a które wielkim kosztem niemniej już wielkie prace dokonały, i ciągle, czynnie, z gorliwością dotąd postępują. Ustanowienie tych kommissyj, założenie i wspieranie uczonych towarzystw krajowych, które z naukami historycznymi łączą się, zaiste jest dziełem wielkiem, a sławę narodową wysoko podnoszącem.

W ogóle w przedmiocie historii rosyjskiej, dzieła w roku zeszłym wydane dzielą się na: 1) materiały historyczne, 2) badania krytyczne, 3) wykłady pragmatyczne. Pierwszy oddział jak zawsze był najliczniejszy. Zbieranie albowiem pomników krajowych, piśmiennych, lub jakichkolwiek innych, szczególnie w nowszych czasach, powszechnym jest w Rosyi. Jakoż w zadumienie niemal wprawiają owe gorliwe i kosztowne pod tym względem przedsięwzięcia, przez rząd, towarzystwa naukowe i prywatnych przedsiębrane, tak. iż śmiało można powiedzieć, że nie masz strony życia narodowego, którąby archeolodzy tameczni nie dotknęli, ani oddziału materiałów historycznych, któryby mógł ująć ich uwagi. W zeszłym tedy roku, do rzędu takowych przedewszystkiem należały wydania kommissyi archeograficznej, która w końcu 1848 r. wydrukowała trzeci tom dopełnień do akt historycznych, (Дополнения къ Актамъ Историческимъ); dwa tomy akt zachodniej Rosyi tyżących się (Акты относящіяся къ Западной Россіи); nakoniec pierwszy tom dopełnień do akt w obcych językach (Дополнения къ актамъ на иностранныхъ языкахъ), które stanowią dalszy ciąg znanego zbioru dyplomatów, przez p. Turgieniewa wydanych, a w archiwach zagranicznych odkrytych. Wszystkie te dzieła, nader ważnych dostarczyły materiałów do prac, które na przyszłość w historii rosyjskiej przedsiębrane będą; mianowicie obfite one są w fakta, tyżące się wewnętrznego stanu dawniej Rosyi, jej handlu, administracyj rządowych, zdobycia Syberyi, stosunków politycznych Polski i Litwy z Rosyą i p. t. Oprócz tych kosztownych wydań, rząd nowe a ogromne przedsięwzięcie dla dobra historii narodowej rozpoczął, zamierzając drukować swoim kosztem i staraniem dawne archiwum monarchów do Piotra W. tak zwanych Разрядныхъ и статейныхъ списковъ, które dostarczą nader licznych i rozmaitych do wielu nauk objaśnień

i dopełnień; zwłaszcza całe urządzenie administracyjne państwa, do końca XVII stulecia, stosunki rodzin bojarских, związki zewnętrzne Rusi z zachodnią Europą, wreszcie stan wewnętrzny całego narodu, począwszy od XVIgo do końca XVIIgo wieku: słowem, wszystko to w najdrobniejszych szczegółach zostanie objaśnione. Będą to zatem materiały nie- skończenie ważne dla historyi w ogóle, a dla dyplomacyi i archeologii w szczególe.

Niemniej zajmują archeologów, starożytności państwa rossyjskiego (Древности Россійскаго Государства), przez osobną, na ten cel przy zbrojowni cesarskiej ustanowioną kommissyą wydawane, których już trzeci zeszyt z druku wyszedł. Każdy z tych zeszytów zawiera znaczną ilość ślicznych rysunków, przez p. Sołncewa wykonanych, a przedstawiających starożytne ruskie ubiory, zbroje, rozmaite naczynia i tym podobne rzeczy; text zaś do nich napisany jest przez panów Sniegirewa, znanego starożytnika moskiewskiego i Weltmanna. Całe to przedsięwzięcie, ogromnego kosztu wymagające, tylko rząd krajowy mógłby być przedsiębrać, z takim bowiem przepychem i dostatkim to dzieło wychodzi. Oprócz tych dzieł kosztem skarbu wydawanych, i towarzystwa naukowe przysłużyły się historyi, a mianowicie: towarzystwo historyi i starożytności rossyjskich w Moskwie, wydało w roku 1849 cztery tomy swego Wremiannika (Временникъ), który cel i charakter, poprzednio przez toż towarzystwo wydawanych Czytań (Чтений) zachowuje; w mniejszej tylko objętości i mniej ma urozmaicenia, równie atoli jest interesującym i pożytecznym. Towarzystwo archeologiczno-numizmatyczne w dalszym ciągu drukuje swoje Pamiętniki (Записки), zawierające rozprawy w rossyjskim i innych obcych językach (niemieckim i francuzkim) pisane, gdzie umieszczali swoje prace znany z Berlina numizmatyk Bernard von Köhne, p. Saweliew, i inni. Towarzystwo historyi i starożytności w Odessie wydało drugiego tomu oddział pierwszy swoich Pamiętników (Записки Одесскаго Общества Исторіи и Древностей), obejmujący ciekawe pod względem miejscowości artykuły i t. d.

Z prywatnych prac, osobno i po pismach czasowych znajdujących się, szczególnie odznaczały się: Przysłowia i przypowieści (Пословицы и притчи), zebrane przez p. Sniegirewa, znanego oddawna z licznych i sumiennych prac archeologicznych pisarza. Zbiór pieśni ukraińskich (Сборникъ Украинскихъ Пѣсень) przez p. Maksymowicza, profesora uniwersytetu śgo Włodzimierza w Kijowie, który poprzednio już kilkakrotnie ciekawe pieśni tamiecznego ludu ogłaszał. Zresztą pan Sacharów wydał drugi tom swoich Powieści narodu ruskiego (Сказанія Русскаго Народа), księgę piątą do ósmęj zawierającą, w których wydrukowane są

starożytne ruskie słowniki, obrzędy weselne monarchów w XVI i XVII wieku, zbiór podań i guseł ludu, a nakoniec podróże Rusinów do Carogrodu, Jerozolimy, Indyj i Chin, do panowania Piotra W. odbywanych. Pan Sacharow, odznaczający się starożytnik, którego trafne porównanie z naszym p. Kaz. Wł. Wojcickim uczony Maciejowski przed laty uczynił, wydał nadto w osobnych dwóch zeszytach swoje badania o starożytném ruskiém malarstwie obrazowém, Ikonopiśmie (Изслѣдованія о Русскомъ Иконописаніи), z których korzystając p. Popow, napisał osobną rozprawę o historyi tego rodzaju malarstwa, i w 9 numerze dziennika Przegląd północny (Сѣверное Обозрѣніе) umieścił. P. Martynow wydał także siódmy poszyt w arkuszowym formacie ruskich starożytności w zabytkach kościelnego i świeckiego budownictwa (Русская Старина въ памятникахъ церковнаго и гражданскаго Зодчества), któreto dzieło i osobno w mniejszym formacie w ósemce drukuje, a text do niego p. Sniegirew daje. Nakoniec w Kijowie wydano Kronikę Wieliczki, historyi Małorossyi tyżącą się, nader ważną ze względu, iż ułożona jest za czasów Piotra W. ze źródeł dziś zatraconych, a wiele nowych szczegółów do dziejów tego kraju zawiera.

Dzieła historyczne, opracowane krytycznie, w porównaniu do liczby zbioru materyałów mniej są znaczne, i nikną niemal w obec coraz bardziej i obficie nagromadzonych faktów, stosownego obrobienia i osądzenia wymagających. Wymieniamy jednak znakomitsze, jakimi są: Badania nad historyą i starożytnościami Chersonesu tauryckiego przez Bernarda Köhne (Изслѣдованія объ исторіи и древностяхъ Херсониса-Таврическаго); Podbicie Syberyi, badanie p. Niebolsyna (Покореніе Сибири, историческое изслѣдованіе П. Небольсина), wydane naprzód w dzienniku Pamiętniki ojczyste, a potem osobno; Krytyczne badania nad historyą Bułgarów (Критическія изслѣдованія объ исторіи Болгарь) przez Jerzego Wenelina; nakoniec dwie rozprawy o skórzanych piędzicach i Prawdzie ruskiej, przez Michała Kaczenowskiego b. profesora uniwersytetu moskiewskiego i t. d.

Oddział pragmatycznego wykładu historyi bardzo był ubogi; tu wszakże należą: Historya kościoła ruskiego przez Filareta biskupa rzyńskiego; Historya o sektach w kościele rossyjskim (Исторія о Расколахъ въ Церкви Россійской), przez Ignacego arcybiskupa woroneżskiego i załośkiego; Myty pogańskie u Słowian, przez Szeppinga i t. d.

Do historyi prawa wydane były: Historya utworzenia i rozwoju systematu sądownictwa cywilnego ruskiego do r. 1649 (Исторія образования и развитія системы Русскаго Гражданскаго судопроизводства до Уложенія), doskonała rozprawa p. Michajłowa. Przedewszystkiemi atoli prawo kryminalne najlepiej było opracowane, a w tym oddziale wyszły

trzy znakomitej wartości dzieła, jakimi są: **Rys badań historycznych o sądownictwie kryminalném w Rossyi** (Опытъ историческихъ розысканій о слѣдственномъ уголовномъ судопроизводствѣ въ Россіи), przez p. Linowskiego; **O karach istniejących w Rossyi, do panowania cara Alexego Michajłowicza** (О наказаніяхъ существовавшихъ въ Россіи до Царя Алексѣя Михайловича) przez p. Depra, i **Początek sądów kryminalnych w państwie Moskiewskiém** (Устройство Уголовныхъ Судовъ въ Московскомъ Государствѣ), rozprawa p. Popowa, umieszczona w numerze 1 i 3 Przeglądu północnego. Nakoniec: **Zewnętrzny przegląd historii prawa ruskiego** (Обзоръ внешней Истории Русскаго Законодательства) przez p. Roźdestweńskiego.

Niemniej liczne a obszernie rozprawy były po piśmie czasowych umieszczane, z których wiele potem osobno wydrukowano. Takimi są rozprawy profesora Sołowiewa, p. t.: **Rys historii Małorossyi, do poddania się jej carowi Alexemu Michajłowiczowi** (Очеркъ Истории Малороссіи до подчиненія ея царю Алексѣю Михайловичу), którego początek w r. 1848, a koniec w 2 numerze Pamiętników ojczystych był umieszczony. Tegoż autora: **Przegląd wypadków historii rossyjskiej od śmierci cara Fedora Iwanowicza do wstąpienia na tron dynastji Romanów** (Обзоръ событій Русской Истории отъ кончины Царя Феодора Іоанновича до вступленія на престолъ Дома Романовыхъ); którego początek podobnie w r. 1848, a koniec w numerach 1, 2, 3 i 11 we Współczesnym znajdował się. Pan Niebolsyn w numerze 2 tegoż dziennika, wydrukował rozprawę o żołnierzach ruskich i o innych wojskowych stopniach do czasu Piotra W. (О Русскихъ солдатахъ и другихъ военныхъ чинахъ до Петра Великаго); zaś w numerach 4, 6, 8 i 11 Pamiętników ojczystych umieścił spostrzeżenia, czynione w podróży z Petersburga do Barnaulu, (Замѣтки на пути изъ Петербурга въ Барнаулъ). P. Smirnow tamże w numerze 12 wydrukował doskonałą biografią, pod tytułem: **Wojaryn i wojewoda kniaź Dymitry Michajłowicz Pożarski**; rozprawa sumienną pracowitością odznaczająca się. Wreszcie w siódmym numerze dziennika Współczesny znajduje się rozprawa p. Turyna, pod tytułem: **Śmierć Jaropełka Izaślawicza** (Смерть Ярополка Ізяславича). W Moskiewiczaninie, czasopiśmie literackim w Moskwie wydawaném, kilka nader ciekawych prac historycznych było umieszczonych, mianowicie w nr. 7 i 8: **Przysłowia ruskie prawne**, zebrane przez Sniegirewa; w nr. 7 i 11: **Dwór carów moskiewskich do Piotra W.** (Дворецъ Московскихъ Царей до Петра Великаго), rozprawa przez p. Zabelina doskonale i pracowicie napisana, w której autor objaśnia całe wewnętrzne urządzenie mieszkania monarchów ruskich i znaczenie starodawnych w tym przedmiocie nazwisk. W nr. 19: kniaź Andrzej Ju-

niewicz Bogolubski, a w nr. 22: książę Wasilko Rościstawicz Trebowski; obie monografie, napisane przez p. Pogodina byłego profesora uniwersytetu moskiewskiego, znanego z licznych prac historycznych. W Przeglądzie północnym oprócz wielu innych rozpraw, znajdował się szczególnie polskiej historii dotyczący artykuł, pod tytułem: Poselstwo polsko-litewskie do Moskwy w r. 1678, przez Tannera opisane; zaś w nr. 11 Biblioteki do czytania była rozprawa p. Tiuryna, pod tyt.: Życie społeczne i stosunki ziemiańskie w starożytnej Rusi (Общественная жизнь и земскія отношенія въ древней Руси); artykuł dobrze i z wielką erudycją napisany.

Mówiąc o historii rosyjskiej, niepodobna nie wspomnieć o nieukończeniu pod tym względem ważnych dziennikach gubernialnych (Губернскихъ ведомостяхъ) z powodu, iż w nich od pewnego czasu najwięcej materiałów historycznych umieszczanych bywa. Jakoż dążność tych pism prowincjonalnych po całym ogromnym obszarze cesarstwa rozsianych, a w każdej gubernii kosztem rządu wydawanych, coraz większej nabiera wartości. W niektórych albowiem miejscowi pisarze lub gorliwi miłośnicy wszelkimi sposobami część zamieszkałego przez nich kraju poznać starają się, a znajdujące się tamże zabytki, w dziennikach tych w oddziale felietonu ogłaszają. Śliczne i chwalebne dążenie; tym bowiem sposobem piśmiennictwo krajowe rozszerza się, ukryte zdolności na jaw wychodzą, a niejeden storożytny zbytek uratowany zostaje. Jakoż nieraz umieszczane są tam ciekawe dawne dyplomata, w cerkwiach lub prywatnych zbiorach przechowywane, opisy kościołów, miast lub całych powiatów i gubernij. Starożytne podania, zbiory pieśni ludu, przysłowia lub filologiczne szczególności języka prowincjonalnego, nakoniec materiały do statystyki i geografii jakiej części kraju lub miasta.

Materiały te tém są droższe, iż częstokroć bez żadnej do nauki pretensyi wychodzą, a za wierność ich sam interes miejscowości zaręcza. Pomiędzy kilkudziesięciu takimi dziennikami, ze swój treści i doboru artykułów odznaczały się szczególnie w r. 1849 nowogrodzki, a jeszcze bardziej archangielski, oddawna już pod tym względem znany, gdzie corocznie nowi i dzielni współpracownicy w przedmiocie miejscowej historii zjawiają się; tak, iż jakkolwiek gubernia ta jest obszerną, wkrótce nie będzie tam i kawałka ziemi, któryby w najdrobniejszych szczegółach nie był opisany. Z jaką zaś dokładnością to robią, dość powiedzieć, iż sami zecery dodatki i uzupełnienia do składanych przez nich artykułów czynią: szczególność może jedyna w całej Europie. Z kolei niemniej interesujące i ważne są dzienniki gubernialne: kazański, gdzie istniejący uniwersytet łatwość i wybór współpracowników dostarcza; orenburski,

saratowski, jarosławski i czernichowski; któreto dwa ostatnie zbieraniem i ogłaszaniem miejscowych pieśni ludu odznaczają się.

Co się tyczy dzienników w obu stolicach wydawanych, oprócz wyżej już wymienionych, z doboru swoich artykułów słynie Dziennik ministerstwa oświecenia narodowego, pomiędzy wszystkiemi przez rząd wydawanemi piérwsze a słuszne miejsce zajmujący. Jest on nadto jedyném czasopismem, w którym dokładne są sprawozdania, co we wszystkich innych pismach peryodycznych w Rossyi wychodzących ważniejszego napisano i drukowano. Przegląd ten treściwy a zupełny, użytecznym jest wielce i nadzwyczaj ciekawym, bo zmudne i częstokroć niepodobne poszukiwania ułatwia. Oprócz tego, co kwartał układanego przeglądu, pomiędzy artykułami w zeszłym roku tamże umieszczonemi odznaczały się: Kronika bractwa Stauropigii we Lwowie, ułożona podług starodawnych dokumentów przez Dyonizego Zubrzyckiego, znanego polskiego autora Kroniki miasta Lwowa w r. 1844 z druku wydanej; artykuł ten ważnych i nieznanych tak do historyi ruskiej, jako polskiej dostarcza szczegółów; równie jak i drugi pod tytułem: Historyczno-krytyczna kronika Rusi Czerwonój czyli Halickiej.

W dzienniku Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, szczególnie w oddziale geografii i statystyki celującego, pomiędzy innemi odznaczały się artykuły: Jarmark w Niżegorodzie w r. 1848, i Rys historyczny rozszerzenia i urzãdzenia władzy rossyjskiej na Kaukazie i t. d.

Na tém kończę przegląd ważniejszych prac po dziennikach rossyjskich drukowanych, dotykając zaledwie tego, co tam znajdowało się; trzeba albowiem wiedzieć, iż w roku zeszłym wychodziło w ogóle 110 pism czasowych w języku rossyjskim, włączając już w to dzienniki i gazety polityczne i literackie, z których 49 w Petersburgu, a 13 w Moskwie było wydawanych; zaś wszystkich w rozmaitych językach w całym państwie 150 wychodziło.

Działalność zatem historyczna w Rossyi w ostatnich latach, a szczególnie w roku zeszłym, przedstawia zjawisko zupełnie od poprzednich różne. Dawniej albowiem większa część pisarzy historyą krajową zajmujących się, starali się o to, aby napisać całą, zupełną lub skróconą historyą, potem dopiero przystępowano do krytycznego obrobienia materyałów i zbierania tychże. Lecz gdy w skutek poważniejszego poglądu na te naukę, zaczęto wymagać od dzieł historycznych nietylko samych kompilacyj; wtedy zjawiła się naprzód krytyczna ocena materyałów, obrobienie oddzielnych części, a do zupełnego pragmatycznego wykładu nie ośmielono się tak, jak wprzód z małym zapasem faktów i z powierzchowną nauką. Wszakże usposobienie to w całej prawie Europie jest po-

dzielane, i nietylko do samój literatury rossyjskiej odnosi się. Nasz więc czas albo oddawniejszego jest skromniejszym, albo téż większe są wymagania nauki, która im bardziej się rozszerza, tém więcej znajomości faktów potrzebuje. W Rossyi nawet krytyczne badania do drugiego rzędu zeszyły, a na pierwszym celu i miejscu są zbiory materyałów, chociażby w najsurowszym stanie ogłaszane, byle wierne a historyczne. O pragmatycznym wykładzie zupełnie prawie tam nie myślą, i długi czas zapewne upłynie, zanim pisarze rossyjscy śmiało i ochotnie do niego się wezmą.

W przedmiocie filologii niewiele dzieł w r. 1849 w Rossyi wyszło; godną jest atoli pochwały praca profesora Sreźniewskiego, pod tytułem: Myśli o historii języka ruskiego; umieszczona naprzód w n. 11 i 12 Biblioteki do czytania, a potém oddzielnie; rozprawa doskonale i z wielką znajomością rzeczy napisana. Dalej idą: Słownik kieszonkowy łacińsko-ruski, który wyszedł w Moskwie, tudzież maleńki słowniczek do 6 pieśni Odyssei, pod dozorem prof. Kossowicza, przez jego uczni ułożony. W ogóle oddział ten dlatego w przeszłym jako i poprzednich latach nie był liczny, że filologią jeszcze niebardzo w Rossyi zajmują się, a wszyscy prawie, którzy dotąd w tym przedmiocie pracowali, wyjąwszy kilku prawdziwie uczonych, a dobrze po temu usposobionych, byli to pisarze bez wyboru, ze spekulacyi księgarskiej do tego użyci. Po dziennikach zarówno niewiele było rozpraw filologicznych; zasługują jednak na wspomnienie w Pamiętnikach ojczystych w nr. 1 artykuł p. Ordyńskiego, pod tytułem: Arystofan. i Bogactwo starożytnego Rzymu, tudzież stosunki jego z Grecyą i Wschodem (Богатство древняго Рима и знакомство его съ Грецією и Востокомъ) przez p. Kronenberga we Współczesnym, wreszcie w Bibliotece do czytania rozprawa pod tytułem: Rzeźba i malarstwo u Greków.

Oddział nauk przyrodzonych wzbogacony został kilkoma dobrymi i pożytecznymi dziełami. Liczba ich zapewne nie jest znaczną; lecz gdy w Rossyi nauki tego rodzaju nie są jeszcze także rozszerzone, to i te nadzwyczaj były pożądane. Zważając jednak na istnienie kilku pism czasowych tak w języku rossyjskim, jako i francuzkim i niemieckim tam wychodzących, jak np. *Bulletin de l'Académie Imperiale des Sciences* w Petersburgu, a *Bulletin de la Société Imperiale des Naturalistes de Moscou* w Moskwie, tudzież *Beiträge zur Kenntniss des Russischen Reiches* i innych; przekonywamy się, iż nie brakuje ani naukowych w tym rodzaju towarzystw, ani uczonych w tym przedmiocie pracujących. Gdy atoli dzieła powyższe nie w krajowym wychodzą języku, widoczną więc jest rzeczą, iż uczeni nie mają wpływu tyle, ile potrzeba na krajowców, i na zewnątrz

tylko działają. Nie wspominał tedy o pracach tam umieszczanych, pomimo, iż są one nader ważne, a przystępuję do dzieł wyłącznie w języku rosyjskim pisanych.

Zatém w przedmiocie mineralogii, geognozy i geologii, nie prawie w zeszłym roku nie wyszło, lubo tameczne towarzystwa naukowe, szczególnie mają na nie zwrócone oko. Jedynym prawie rosyjskim organem w tym względzie jest Dziennik górniczy, (Горный Журнал), w którym rozmaitej treści rozprawy są umieszczane, mianowicie w badaniach geologicznych o Uralu i Altaju. Pomiedzy artykułami w innych dziennikach znajdującymi się, odznacza się praca p. Kutorgi, pod tytułem: Rys geologiczny drogi do wodospadu Imatra (Геологический очеркъ дороги къ водопаду Иматра), w nr. 8 Biblioteki do czytania drukowana.

W nauce botaniki najlepszym było wydanie Setni zasuszonych roślin Flory Moskiewskiej, wychodzącej dotąd pod tytułem: *Flora Mosquensis exsiccata curante N Annenkoff, Centuria I et II*. Wszakże oprócz tytułu i nazwisk łacińskich nie w niej zresztą po łacinie niema. Przedsięwzięcie to wybornie wykonywane, pożytecznym jest również dla początkujących jako i uczonych, a służyć może do porównania z innymi roślinami, w całym państwie rosnącymi. Drugim niemniej odznaczającym się dziełem jest Botanika ułożona przez p. Dala, którą chwałą z żywości wykładu, wybornego stylu i innych zalet; jedną zaś tylko ma mieć wadę, iż napisana jest podług systematów Dekandolla, Riszarda i innych dawniej szkoły botaników. Utrzymują zaś powszechnie, iż gdyby był autor poszedł za systematem Schleidena, mianowicie według znakomitego jego dzieła pod tytułem: *Grundzüge der Wissenschaftlichen Botanik, 2 tomy* w Lipsku w r. 1845 i 1846 wyszłego; praca ta byłaby wzorową, a łączyłaby popularność, prostotę i lekkość z całą systematycznością tej nauki. A ponieważ wspomniałem o Schleidencie, winienem dodać, iż w czasopiśmie Współczesny umieszczona była w zeszłym roku jedna z jego publicznych prelekcji, pod tytułem: Roślina i jej życie (Растение и его жизнь); rozprawa z doskonałego swego wykładu znana. Pomiedzy tłumaczonymi artykułami zasłużyły na uwagę: Historia naturalna chininy, przez Weddela, w 9 nr. Pamiętników ojczystych umieszczona; a w nr. 10 tamże: O trzcinnie cukrowej, przez Kassaseka i t. d.

Oddział zoologii był nieco od botaniki obfitszym, jeżeli nie co do doskonałości, to przynajmniej co do liczby. Przedewszystkiem celuje pożyteczne i nader sumiennie opracowane ogromne dzieło, p. t. Ruska Fauna, przez p. Simaszko wydawana, pomimo to iż jest napisane bez planu, z niedostatkami, i żadnej do ścisłej naukowości nie ma pretensyi. Oprócz tego wyszło jeszcze kilka przewodników w téjże nauce, które w ogóle

wszystkie na swój tytuł nie zasługują, bo wcale tego co obiecują nie uczają. Najlepszym z nich ma być *Historya naturalna* przez Annę Daragan; zresztą *Biblioteka dziecinna wiadomości pożytecznych*, wydana przez p. Olchina i *Historya naturalna dla młodzieży*, wydana przez Korabliewa i Syriakowa; mają to być kompilacye niedostatków i błędów pełne. Co do rozpraw po dziennikach w tymże przedmiocie drukowanych, wprawdzie oryginalnych nie było, lecz za to wszystko ważniejsze odkrycia za granicą, w swoim czasie natychmiast tłumaczono i umieszczano; największa część takowych w *Pamiętnikach ojczytych* znajdowała się, takimi były np. *Spostrzeżenia mikroskopiczne nad poczęciem i stopniowym rozwojem rodzaju Lerneja*, Wan Benedena (Микроскопическія наблюденія надъ зародженіемъ и постепеннымъ развитіемъ Лернеи-Ван-Бенедена), umieszczona w nr. 3 *Ojczytych pamiętników*; *Badania o mięczakach* przez Diuwerlua (Исслѣдованія Дюверлуа о Моллюскахъ), tamże; *O aklimatyzowaniu lamy i alpaki*, przez Zofrua Sen Hilaire, tamże w nr. 4; a *Historya śledzi* p. Walansena w nr. 7 *Biblioteki do czytania*, i wiele innych.

Nauka gospodarstwa wiejskiego ze wszystkimi innemi łączącemi się przedmiotami, coraz bardziej w Rossyi rozwija się. Głównymi jej organami są następane dzienniki, wyłącznie téjże nauce poświęcone, t. j. *Dziennik ministerstwa dóbr skarbowych*; *Prace wolnego ekonomicznego towarzystwa*; *Gazeta rolnicza*; *Dziennik towarzystwa moskiewskiego gospodarstwa wiejskiego i owczarstwa*; *Pamiętniki towarzystwa gospodarstwa wiejskiego w południowej Rossyi*; *Dziennik leśnictwa*; *Pamiętniki towarzystwa lebediańskiego gospodarstwa wiejskiego*; *Ekonom*; *Pośrednik*; *Dziennik pożytecznych dla ogółu wiadomości* i t. d. Nadto we wszystkich prawie czasopismach urzędowych i prywatnych literackich i nieliterackich w całej Rossyi wychodzących, bardzo często mieściły się rozprawy lub artykuły, w tymże przedmiocie mniej lub więcej odznaczające się, a ostatnią wcale w niewielu tomach część stanowiły książki osobno wydane. Zważając tedy na ową liczbę pism peryodycznych, na liczne rozprawy i dzieła, możnaby zaiste mniemać, iż w Rossyi literatura gospodarstwa krajowego znakomicie jest rozwinięta. Rozpatrzywszy się jednak w treści tychże dzieł i prac, według wewnętrznej ich wartości, przekonamy się, iż panującą tam dążnością są badania i poszukiwania; zatém większa część zajmuje się opisem miejscowości, uprawą rolnictwa w téj lub owój stronie państwa, urządzeniami, oraz zbieraniem statystycznych wiadomości. Sąto prace wprawdzie sumienne i pożyteczne, wszakże nie stanowią one żadnej całości w jakimkolwiek oddziale nauki, tak, aby mogły być dla poczynających użyte. Wreszcie w dziennikach tych brak jest krytyki, którą już mają w Rossyi wszystkie inne,

a krytyka w każdej nauce i umiejętności jest konieczną i niezbędną. Nie wszystko bowiem co wydrukowane jest prawdziwe, i nie każdy jest w stanie prawdę od fałszu odróżnić.

Pomimo to, w oddziale rolnictwa zasługują na uwagę: rozprawa pod tytułem: Aforyzmy gospodarskie, w Pamiętnikach ojczystych w nrach 1 i 3 umieszczona; O zasiewie, w dzienniku ekonom. w nr. 2 i 3; nakoniec: O rolnictwie, przez Preobrażeńskiego, w Moskwićianinie i t. d.

Nauka ogrodnictwa w ogóle na niższym stoi stopniu niż inne oddziały, a o Dzienniku ogrodniczym niema co mówić, tak mało jest znaczącym i bez żadnego prawie pożytku wychodzi; jednak rozprawa p. Boborykina o Ogródnicztwie, umieszczona w nr. 7 Dziennika moskiewskiego towarzystwa gospodarstwa wiejskiego, lubo nie nowego nie zawiera, jest przecie ze wszystkich najlepszą.

W leśnictwie, jakeśmy wyżej mówili, wyłączny swój dziennik mającym, znaleźliśmy kilka bardzo dobrych rozpraw w roku 1849 tamże umieszczonych; napisano np. O odnowieniu lasów, w nr. 2 i 5, O wygubieniu szkodliwych owadów i t. d.

Nierównie była szczęśliwszą nauka chowu bydła; pod tym bowiem względem wyszło doskonale i bardzo pożyteczne dzieło p. Ławrowa, pod tytułem: Dokładny przewodnik około chowu bydła rogatego (Полное руководство къ уходу за рогатымъ скотомъ) umieszczone naprzód w Dzienniku ministerstwa dóbr skarbowych w nr. 2, 3 i 4, a następnie wydrukowane osobno. Daléj: O karmieniu bydła na pastwiskach i oborach przez Rudolfa, tamże; nareszcie: O chowie bydła, przez Preobrażeńskiego i t. d.

Jedwabnictwo, będące w szczególnej opiece towarzystw gospodarskich w Moskwie, które już wiele pod tym względem zrobiły i robić zamierzają, wzbogacone zostało dziełem pod tytułem: Nauka o chowie jedwabników, tudzież rozprawą p. Markowicza, p. t. Próby rozmaitych w jedwabnictwie wynalazków, w nr. 9 Dziennika moskiew. Tow. gosp. wiejskiego umieszczoną.

Najważniejszym atoli oddziałem w tych dziennikach są sprawozdania rządowe; przedstawiają albowiem całkowity obraz wszystkich czynności i rozporządzeń tak rządowych, jako i prywatnych towarzystw, a tym sposobem nawierniej postęp nauki wykazują. W tym względzie szczególnie odznaczającą jest rozprawa pod tytułem: Przegląd działań departamentu gospodarstwa wiejskiego w ciągu ostatnich lat pięciu, w Dzienniku ministerstwa dóbr skarbowych w nr. 5, 6, 9 i 10 umieszczona; oraz Zdanie sprawy towarzystwa gospodarstwa wiejskiego w Moskwie za rok 1848, tamże w nr. 1 i 2.

W przedmiocie matematyki wyszło wszystkiego 14 dzieł: z tych naukowej treści 3, reszta książki szkolne (Учебники) dla początkowych i podrzędnych zakładów przeznaczone. Do pierwszych należą: Teorya porównań praw, p. Czebyszewa (Теорія Сравнениій); i Meteorologia powszechna przez Pietruszewskiego i t. d. Zresztą brak jest książek matematycznych nietylko w Rossyi, lecz w całej prawie Europie, wszystkie albowiem prace uczonych matematyków, w dziennikach i pamiętnikach akademij mieszczą się; tak też było i w Rossyi, gdzie ważniejsze i lepsze rozprawy matematyczne, w Pamiętnikach cesarskiej akademii nauk w Petersburgu znajdowały się. Za granicą jednak wychodzą książki szkolne wyższej matematyce poświęcone, gdy w Rossyi dotąd prawie ich niema, a w przeszłym roku wyszła jedna tylko niewielka książka p. Berensa, pod tytułem: Kurs rachunku różniczkowego, podług lekcyj prof. Ostrogradzkiego ułożony (Курсъ Дифференціального Исчисления).

Prace w oddziale pedagogiki oddawna już w Rossyi są uprawiane i corocznie większego nabierają interesu; dowodzi tego owa ogromna liczba przewodników, któremi dotąd wszystkie tameczne księgarnie są przepelnione. Bo był czas, iż wydawcy i spekulanci literaccy korzystając z powszechnej po temu dążności, wszelkiego rodzaju przewodniki pisali, gdyż z początku doskonale je przedawano; lecz skoro powstała surowa krytyka i sumienne tychże po dziennikach rozbiory, wnet publiczność umiała je stosownie do ich wartości ocenić. Zasluga zatem pod tym względem krytyki rossyjskiej, nieubłagalnej i żadnemi względami niewstrzymywanej jest wielką, bo liche przewodniki upaść musiały, tak, iż z kilkudziesięciu przedtém corocznie wydawanych, zaledwie ich kilka w r. 1849 wyszło, a na przyszły rok może żadnego nie będzie.

Popularny i dostępny dla ogółu wykład jakiej nauki również nie jest w Rossyi nowym, lecz dokładne pojęcie rzeczy i znaczenie wyrazu *popularność* są obce; dotąd bowiem powszechnie tam mniemano, iż żadnej nauki systematycznie i krytycznie nie można popularnie wyłożyć, któreto zdanie i u nas przez niektórych uczonych jest podzielane. Mniemanie to teraz niknie, zwłaszcza gdy przekonano się, że chcąc to uczynić, trzeba tylko znać swój przedmiot gruntownie. I pod tym więc względem wielką zasługę dzienniki rossyjskie położyły, umieszczając próby rozpraw w podobnym rodzaju napisanych, jakimi są: praca p. Chotyńskiego p. t. Niebo gwiazdziste (Звѣздное Небо), i Rys znajomości i podziału gwiazd w ich obszarze i wzajemnej odległości (Очеркъ знаніи о распредѣленіи звѣздъ въ пространствѣ и ихъ взаимныхъ разстояніяхъ), oraz jako dopełnienie mappa nieba gwiazdzistego. Sąto najlepsze w tym rodzaju artykuły, w zeszłym roku napisane. Tu także należą: doskonale wykonane tłu-

maczenie p. Al. Maksymowicza chemii początkowej Stekhardta, i lekcye chemii Heymana. Dotąd wszakże ani tłumaczonego, ani oryginalnego zupełnego kursu chemii w języku rossyjskim niemasz, bo dawniejsza p. Szczegłowa już jest starą, zaś tłumaczenie chemii Hessa tylko dla początkujących jest dobrą. Zjawiają się wprawdzie czasem rozprawy uczone, np. w przedmiocie chemii, astronomii i t. p., które pozwoliłyby domyślać się, iż dzieła całkowite lub początkowe w téjże samej nauce istnieją; tymczasem rzecz zupełnie ma się przeciwnie. Dzienniki także były pod tym względem ubogie, nie tak jak w latach 1847 i 1848, w których rozpraw tego rodzaju podostatkiem napisano. Jedynym tylko wyjątkiem są dwie rozprawy we Współczesnym znajdujące się, jakoto: o Wulkanach, przez p. Perewoszykowa, i Alexander von Humboldt i jego Kosmos, przez p. Frolowa; ta ostatnia praca nader pięknie i doskonale jest wykonaną.

Co do stanu prac geograficznych, przedewszystkiém celują dwa europejskiej sławy dzieła, jedno pod tytułem: *Versuch eines Quellen-Anzeigers alter und neuer Zeit für das Studium der Geographie, Topographie, Ethnographie und Statistik des Russischen Reiches*. Tom pierwszy. Drugie: *Hydrographie des Russischen Reiches* szósty i ostatni tom; obadwa niezmqordowanego p. Stuckenbergga. Zarówno ważnym jest 13 tom: *Beiträge zur Kenntniss des Russischen Reiches und der angränzenden Länder Asiens*, przez panów Beer i Helmersena. W przeszłych latach bywały często ogłaszane opisy geograficzne i statystyczne pojedynczych rozmaitych gubernij lub powiatów; w r. 1849 tylko jeden podobny wyszedł osobno, to jest: Rys gubernii archangelskiej, napisany przez p. Wereszczagina, zaś w Bibliotece do czytania umieszczono Pamiętniki o Rosyji i Przemysł w guberniach wielkorossyjskich, które ogromną ilość faktów statystycznych dostarczyły.

Mówiłem już, iż organem nauki geografii i statystyki w Rosyji jest Towarzystwo geograficzne, oraz wydawane przez niego: Pamiętniki i wiadomości geograficzne (Географическія Извѣстія). Co do prac członków tego towarzystwa nad któremi teraz zajmują się, szczególnie ważne mają być A. Lewszyna: Atlas statystyczno-gospodarski cesarstwa rossyjskiego (Хозяйственный статистическій Атласъ Россійской Имперіи); Etnograficzna mapa Rosyji europejskiej, przez Keppena. Wreszcie p. Sztukenberg pracuje nad kartą hydrograficzną, a całe towarzystwo zabiera się do wydania Przeglądu wewnętrznego handlu w Rosyji i Zbornika statystycznego tudzież do układu terminologii geograficznej; nakoniec przedsiębrane są rozmaite w tychże przedmiotach podróże dla rozstrzygnięcia kwestyj lub wątpliwości naukowych. Z tego wziąć można miarę, jak

ważne i gorliwe są tego rodzaju czynności członków Towarzystwa geograficznego w Petersburgu.

Niejednokrotnie czyniono już spostrzeżenie, iż w Rosyi wzrost jakiej nauki po liczbie wychodzących przewodników poznać można. Tak się też dzieje i z geografią, w roku albowiem 1849 wyszły: 1. Przegląd ziemskiego globu, przez A. Obodowskiego; 2. Geografia powszechna skrócona, przez tegoż; 3. Kurs przygotowawczy geografii, przez Kuźniecowa; 4. Krótki fizyczny i matematyczny przegląd kuli ziemskiej, i wiele innych. Wszystkie zaś te przewodniki noszą tytuł przeglądu albo krótkiego, albo przygotowawczego, jak gdyby dokładność nauki na krótkości lub przeglądzie zależała. Zresztą panowie Danilewski i Ossowski wydali w przeszłym roku drugi tom swego dzieła p. t.: Czy jest gdzie koniec świata? którego pierwszą część zanim druga wyszła, już w powtórnej edycji rozkupiono. Zresztą p. Langer wydał w Petersburgu ogromne mapy wszystkich pięciu części świata, skrócone zaś w mniejszej objętości, p. Naliwkin w Moskwie. Wyszły także mapy cesarstwa austriackiego i dwie mapy Węgier, a w Bibliotece do czytania umieszczono rysy Węgier, które potem i w osobnym odbiciu w handlu znajdowały się. W ogóle czasopisma mało dotąd geografią zajmują się, za to literatura podróży, nadzwyczaj była obfita. I tak wyszły: Podróże wewnątrz Afryki przez Kowalewskiego; Dalszy ciąg listów o Hiszpanii, przez Botkina; Listy o Wenecyi przez Jakowlewa; w Bibliotece do czytania umieszczono Rys etnograficzny Konstantynopola przez Rafałowicza; a Opis podróży do Persyi przez Sałykowa w Moskwicjaninie, i niemniej zajmujące Listy o Indyi tamże. Pomiedzy tłumaczeniami z ważniejszych godną jest wspomnienia obszerna praca z angielskiego Wiliama Preskotti, Podbicie Peru, jednocześnie w dwóch dziennikach, t. j. w Ojczystych Pamiętnikach i we Współczesnym umieszczona.

Cóż powiedzieć o stanie statystyki? Ogromna ilość materiałów w tym przedmiocie rozrzucona jest po rozmaitych czasopismach tak rządowych, jako i prywatnych; brakuje atoli zupełnie dzieł i rozpraw, w którychby fakta te w całość były zebrane i uniejętnie a naukowo przedstawione. Wszelako oprócz tych, co staraniem rządu były drukowane, można wspomnieć: Przegląd statystyki ekonomicznej przez Gorłowa; z osobnych zaś po dziennikach najobfitszą była Biblioteka do czytania, gdzie umieszczone zostały: Poszukiwania statystyczne o handlu zbożem: jedna z najlepszych pod tym względem rozpraw, tak z licznych i nowych faktów, jako i szczególnego dla kraju interesu. Dalej rozprawa pod tytułem: Tytuń i tabaka pod względem przemysłowym w Europie i Ameryce, a szczególnie w Rosyi, podobnie dobrze napisana; na-

koniec: Drogi żelazne w Europie i Ameryce w r. 1848, którą tłumaczyłem na polskie i w Gazecie handlowej przy Gazecie Codziennój wycho-
dzącej w roku zeszłym umieściłem. W Ojczystych Pamiętnikach znaj-
dował się ważny artykuł, p. t. Jarmark w Irbitsku i Wystawa peter-
sburska wyrobów rękodzielniczych; oba w zajmującym sposobie napi-
sane. Nakoniec Moskwićianin wydrukował rozprawę p. Gorłowa. Prze-
gląd statystyczny rolnictwa w Rosyji, która wielością liczb odznacza się.

Przystępuję teraz do piśmiennictwa belletrystycznego; pierwsze tam
miejsce zajmuje tłumaczenie Odyssei, przez znanego poetę Żukowskiego.
Jestto praca wysokości, o której wiele po rozmaitych dzienni-
kach pisano, chwalono i krytkowano, jak się to zwykle dzieje w Rosyji,
gdy jakie ważniejsze dzieło wyjdzie. Po tém tłumaczeniu znakomitém,
ważném przedsięwzięciem jest ciągle od lat kilku wydawanie zupełnego
zbioru dzieł pisarzy rossyjskich przez znanego księgarza p. Smirdina; lubo
krytyka zarzuca, iż brakuje mu planu i jedności, gdyż niektóre dzieła dru-
kuje z przydatkiem życia autorów, inne są bez nich, a na to dobrój przy-
czyny nie ma; brak chronologicznego porządku: nareszcie niektóre mają
noty objaśniające, przy innych zupełnie opuszczone i t. d. Pomimo to,
przedsięwzięcie jest wielkiej wartości, a wydawca nową i znakomitą li-
teraturze rossyjskiej czyni przysługę.

W podobnym sposobie drugi nakład podjął p. Perewlewski w Mo-
skwie, który wydaje w nieoznaczonym czasie: Wybór znakomitszych
pisarzy rossyjskich, przyłączając do nich wszystko to, co gdziekolwiek
o tychże było napisane, ich życie, wizerunki, podobizny podpisów i t. d.
Wydanie nadzwyczaj, mianowicie dla uczących się pożyteczne. Co do
poezyi, oprócz trzech tomów Żukowskiego, nic szczególnego prawie nie
wyszło; pochodzi to zapewne ztąd, iż teraz w całym literackim świecie
brak jest poezyi i poetów, wreszcie i obszerniejsze są wymagania, które
już mierności podźwignąć się nie dają. Co do romansów i powieści,
tylko Rusini w początku ośmnastego stulecia, przez Zagoskina i Areta,
powieść Raicza, są jedynemi prawie, które nie w czasopismach wyszły.
Oba jednak tylko dowodzą jak trudno teraz postępować na drodze ro-
mantyczno-poetycznej, jaką sobie ci autorowie wybrali. Pomiędzy tłu-
maczeniami najważniejsze są dzieła: Szekspira, których już 16 poszły
z druku wyszedł: szlachetna i gorliwa praca p. Ketczer, który w wy-
borném i wierném tłumaczeniu najlepsze utwory genialnego tragika an-
gielskiego podaje. Równie dobrze tłumaczył p. Kronenberg Tomdzona
Fieldinga i t. d.

W oddziale historii i krytyki języka i literatury, odznaczała się roz-
prawa p. Biliarskiego, pod tytułem: Losy języka cerkiewnego (Судьбы Цер-

ковнаго Языка), za którą autor nagrodę Demidowską otrzymał. Dalej gramatyka języka islandskiego przez protojereja Sabinina, i Święty Dymitry metropolita rostowski; uczone a pracowite badanie o życiu i piśmich tego męża, przez p. Górskiego profesora seminarjum duchownego w Moskwie. Zresztą p. Zieleniecki wydał Historią ruskiej literatury, dla uczących się; praca niewielkiej objętości, lecz wcale niezła; zaś p. Galachów w 3 tomie Ruskiej Chrestomatyi w wydaniu czwartém, umieścił wierną i dokładną charakterystykę pisarzy narodowych. Pan Starczewski napisał dzieło pod tytułem: Mikołaj Karamzin; wydrukowane na-przód w Bibliotece do czytania, a potem osobno, lubo są to tylko wypisy wszystkich zdań o tym historyku, bez rozbioru i krytyki. Nakoniec w tymże samym oddziale powieścio-pisarstwa, następne po czasopismach ukazały się prace. „Sen Obłomowa”, wyjątek z nowego romansu Gonczarowa i trzy nowe opowiadania myśliwego (Розказы Охотника) przez Turgieniewa. Pierwszy chociaż jest urywkiem, piękną i zajmującą przedstawia całość. P. Gonczarów już w poprzednich romansach niepospolitego dowiódł talentu, a powieści jego pełne prawdy, z upodobaniem są czytane; szczególnie też jego Jan Sawicz Podżabrin i Zwyczajna historia. Są to psychologiczne studia, w których autor przekonał, iż posiada wielką znajomość serca ludzkiego, lubo w obrobieniu utworów swoich, stronę artystyczną nieco zaniedbywał. Lecz w Snie Obłomowa i ten niedostatek zniknął, a poeta z całą świetnością żywej wyobraźni przedstawia kawałek ziemi w raju, który we śnie swemu bohaterowi maluje, i od początku do końca zainteresować czytelnika potrafi. Zupełnie innego rodzaju są opowiadania myśliwego; a chociaż autor tychże podobnie obdarzony jest twórczym i poetycznym talentem, lecz o ile charakter zimny i spokojny prace p. Gonczarowa: o tyle ironia i humor wesoly p. Turgieniewa odznaczają. Pomiedzy innemi romansopisarzami w czasopiśmie Współczesny, p. Drużynin wydrukował romans w 2 częściach, p. t. Julia; zaś panowie Nekrasów i Stanicki napisali Trzy strony świata, który niczym innym nie jest, jak francuzkich Hugo i Dumasa naśladowaniem. Powieści płodnego Grygorowicza pod tytułem: Przygody Nakatowa, czyli krótkotrwałe bogactwo (Полождения Накатова или Недолгое богатство), są w rodzaju naszego Skotnickiego lub Boguckiego; są tam piękne miejsca, lecz w ogóle brakuje im celu, obrobienia i poważniejszej treści. Nakoniec powieść p. t. Waryńka przez p. Awdiejewa, jest pierwszym płodem młodego pisarza, który stara się znane powieści księcia Odojewskiego i Lermontowa naśladować.

Po tych wszystkich i innych dość zresztą licznych płodach imaginy mężczyzn, z przyjemnością czytać się dają romanse przez Rosyanki

pisane, z których trzy dotąd szczególnie odznaczają się; mianowicie pan Pawłow, w poezyi żywością i meką siłą odróżniającej się; autorka powieści *Lydia i Markiza Luidzi*, od jednych z zapalem od drugich z urąganiem przyjętych, a które podług zdania mniej uprzedzonych, ani na jedno ani na drugie nie zasługują, bo autorka ma istotny i prawdziwy dar pisania, tylko z fałszywej strony na świat rzeczywisty zapatruje się, a ideały ze świata niebyłego sobie tworzy. Najlepsze atoli są powieści nowego kobiecego talentu pani *Eugeniei Tur*, która pierwszy raz w r. 1849 wystąpiła z romansem pod tytułem: *Omyłka (Omyłka)*, obmyślanym dobrze, spokojnie, i bez nadzwyczajności, z prostotą przedmiotu, prawdą: owszem z gruntowną znajomością serca ludzkiego, co wszystko jej wziętość na przyszłość wróży.

Co do poezyi, tylko jeden Moskwićianin ciągle prace tamiecznych poetów umieszcza, pomiędzy którymi odznaczyli się panowie *Dmitriew*, *Berg* i *Miller*; ostatni mianowicie jest szczęśliwym i wiernym tłumaczem. *P. Berg* pisze gładko, lecz podobnie najlepsze są jego tłumaczenia, jakimi były *Sonety Mickiewicza* i poezye innych polskich pisarzy, które mu wybornie udały się. Najważniejszą jednak publikacją w tym dzienniku jest romans *p. Weltmana*, pod tytułem: *Dziwak (Чудотвѣ)*, napisany jak wszystkie prawie tego płodnego autora, dziwacznie, lecz z wielkim talentem. Nakoniec pomiędzy tłumaczeniami godną jest wzmianki sumiennej praca *p. Kossowicza* to jest pierwszy akt dramy indyjskiej *Wasantase*, która była w nr. 17 Moskwićianina umieszczona. Dalej tłumaczenie *Pamiętników pogrobowych Szatobryana*, *Zwierzeń Lamartina*, w kilku czasopismach jednocześnie wykonane. Nadto w ojczystych *Pamiętnikach* znajdował się wyborny romans *Dzenny Eyr.* i *Pamiętniki pogrobowe Pikwikskiego klubu*, najlepsze dzieło *Dickensa*, zaś we *Współczesnym* drukowano tłumaczenie *Getego*: „*Dichtung und Wabrheit.*”

Owoż taki był jednoroczny stan piśmiennictwa rosyjskiego, które mając ciągly szereg zabytków przeszłości, w nieprzerwanym na przyszłość jest postępie, rodową myśl wyrabia i ze słuszną dumą wielkie sobie rości nadzieje. Poznać więc ten postęp i związek z poprzednią całością, jeżeli komu, to nam zaiste należy; tém bardziej, iż pożytek z tego i niezbędną konieczność już wielu uznają.

F. Max. Sobieszczański.



*Odpowiedź na wzmiankę pana J. S. o marszu na cześć Szopena,
przez autora tegoż marsza.*

W zeszycie 115 Biblioteki Warszawskiej, na stronie 171, pan J. S. tak się wyraża: „*Commémoraison de Chopin par Jenike, jest pieśnią żalobną z rytmem marsza. Napisana porządnie, zdaje nam się mieć mało istotnego czucia; związku żadnego z Szopenem dostrzedz nie możemy*”.

Dziękując panu J. S. za rzut oka na moją pracę, nie mogę pominąć niektórych w jego zdaniu sprzeczności. Pan J. S. nazwał marsz mój *pieśnią żalobną z rytmem marsza*. Odpowiadam mu na to, że *ja* uważam rzeczoną kompozycją za *marsz*, z czego widno, że zdania nasze pod tym względem się nie zgadzają. Podług mnie jednak, pochlebniejszą tylko opinią dał pan J. S. o *marszu* żalobnym, mieniając go *pieśnią*; bo najprawdziwszą formą w którą się żalność obleka, jest właśnie pieśń. Jakoż, *commémoraison* tłumaczy się wprost: *uczczenie pamięci zgasłych ubóstwianych*, a „*pieśń żalobna z rytmem marsza*” dobrze takowe, jak sądzę, wyraża.

Co do pochwały *porządnego napisania*, téj p. J. S. w zupełności mógł sobie oszczędzić: dla znawców bowiem w takiem rozumieniu objaśnień nie potrzeba, dla innych zaś, i dla mnie, podobne opiekowanie się jest obojętne.

Daléj p. J. S. mówi: „*zdaje nam się mieć mało istotnego czucia*”. *Zdawać się*, mojem zdaniem, może nam się tylko w rzeczach, których nie znamy dostatecznie; jeżeli więc p. J. S. marsza mego jeszcze należycie nie poznał, życzę, by mu się lepiej przypatrzył. Prócz tego nie pomnę, iż recenzent nie powinien się nigdy *wahać*, ale *stałe* objawiać zdania. Wreszcie uznanie artystów i publiczności, łaskawszy już pod tym względem sąd wydało.

Co do *niemożności dostrzeżenia żadnego związku z Szopenem*, przyznaję, że nie wiem dlaczego p. J. S. tak się wyraził, i jakiego żąda związku. Prawda, święta prawda! powtarzam, że marsz mój nie ma i *nie może mieć* nic wspólnego z Szopenem; ale cóż w tém dziwnego? Żal po osobie czczonej zawsze nosi na sobie cechę istoty *żałującej*, a nie *żałowanej*: każdy *w swój* sposób żałuje, każdy *swemi* płacze łzami. Gdyby Szopen np. był napisał podobną muzykę na uczczenie Beethovena, nie byłby w nią zapewne wlał ducha tego wielkiego mistrza, ale swego własnego. Szopen byłby zawsze pisał jak Szopen, i ja także pisać będę zawsze w własnym, a nie w przyswojonym rodzaju.

E. Jenike.



KRONIKA ZAGRANICZNA.

Dziennik Ekonomistów z roku 1848.

(Dokończenie).

III.

Dziennik Ekonomistów obejmuje wiele rozpraw w przedmiotach odnoszących się do kredytu i finansów; a choć największa ich liczba wywołana czasowemi i miejscowemi okolicznościami, mniej już teraz może być zajmująca: niektóre z nich jednak nader ważne i ciekawe, zalecone są już podpisem znanych znakomitych autorów, jak Horacy Say, Leon Faucher, Józef Garnier, K. Coquelin, L. Wołowski i inni.

Pierwszy z tych pisarzy, w poszycie styczniowym poświęcił kilka kart ciekawemu przedmiotowi o bankach pożyczkowych na fanty, czyli o tak zwanych lombardach. Będąc mniemania, że natura tych instytucyj nie jest w ogólności właściwie oceniona i zastosowana, sądzimy za rzecz właściwą obszerniejszy z pracy téj przytoczyć wyjątek, zwłaszcza, że zdania p. Horacego Say, we wszystkich prawie szczegółach podzielamy.

„Jedna z najbardziej zakorzenionych sprzeczności ekonomicznych, mówi p. H. Say, polega na usiłowaniach rozwijania ile możności kredytu i ułatwiania kapitałom czynności przemysłowej, obok zachowywania dawnych wyobrażeń, które w ogólności przedstawiają wierzyciela jako ciemną, osięgającego nieprawie korzyści, dłużnika zaś jakby ofiarę, ciągłej publicznej opieki potrzebującą. Ztąd ograniczenia stopy procentowej i kary na lichwę, choć nigdy znaczenie tego wyrazu i karygodność czynu, dostatecznie nie były określone. Dopóki nie poznano prawdziwej produkcyjnej natury kapitału, i mieszano ją z sumą pieniężną, chwilowo kapitał wyobrażającą, dopóty prawa kościoła procent potępiały, a później prawa cywilne, jako złe konieczne, ograniczały. Prostém tego na-

stępstwem było ścieśnienie kredytu i podniesienie jawne lub ukryte stopy procentowej. Z drugiej strony, władza zostając w ręku właścicieli ziemi, przywiązywała szczególne do jej posiadania przywileje, a podawanie jej wartości za rękojmię wierzycielom, stawało się prawie tylko nominalnym zabezpieczeniem.

Wreszcie ruchomości łatwiejsze do przenoszenia i do zbycia, większe przedstawiały trudności, co do zastąpienia dłużników od wymagań wierzycieli. Zrazu więc zabraniano zupełnie pożyczek na zastaw ruchomości, a później urządzano w tym celu publiczne zakłady. Lombardy są w istocie prawdziwymi bankami, których cel dobroczynny często wątpliwy, a główny zamiar zmonopolizowanie pożyczek na fanty.

Pierwszą ważną zmianą w urządzeniu kredytu, powinno być zniesienie wszelkiego ograniczenia procentu; nie należałoby oznaczać prawnej lub nieprawnej stopy najmu kapitałów, tak jak niema stopy tej dla najmu ziemi lub domów. Można by tylko utrzymać w prawie wysokość procentu, na przypadki nieoznaczenia go prywatnymi umowami. Już Turgot w r. 1769 tego żądał. Nazwisko lichwiarza, mówi on, przyznawane jest albo pożyczającym na krótkie terminy za wysokim procentem, albo dającym na fanty biednym rzemieślnikom, albo wreszcie tym niegodziwcom, którzy na ogromne procenta dostarczają synom rodziny, sposobów zaduszenia i rozrzutności. Właściwie jednak ten tylko ostatni rodzaj lichwiarzy, zwać się może rzeczywistą plagą społeczeństwa; że tamte dwa rodzaje pożyczek nie są tak szkodliwe, najlepszym dowodem, że tacy na mały wymiar lichwiarze, są raczej przedmiotem wdzięczności, jak nienawiści mieszkańców.

Od czasów tego ministra, a prawdziwą miłością bliźniego przejętego filozofa, utworzony lombard paryzki zamierzył wyłącznym wpływem tej instytucji zasilić kredyt na zastawy, tak, jak urządzenia hipoteczne rozwinęły kredyt na nieruchomości. Lecz zapomniano o stanowczej między temi dwoma rodzajami kredytu różnicy. Hipoteka nie przeszkadza w niczem dłużnikom do ciągnięcia korzyści z nieruchomości, i owszem, pożyczka produkcyjnie użyta, korzyści te zwiększa. Przeciwnie, zastaw ruchomości, pozbawia właściciela możliwości użytkowania, to jest pozbawia go jedynego procentu, jaki ruchomość przynieść może; ztąd pochodzi rzeczywista strata wartości dla społeczeństwa, a biorący pożyczkę ponoszą większą jeszcze ofiarę, jak sami sądzą. I tak: przyjmując, że lombard paryzki posiada w składach za 40 milionów wartości rocznie, i uważając, że procent wyobrażony użyciem przedmiotów ruchomych, porównany być może z dochodem dożywotnim, okazuje się roczna strata dla ogółu prze-

szło dwóch milionów, do których należy dodać drugie dwa miliony opłaty, od pożyczających ściągniętej.

Ważne nadto spostrzeżenie dostarcza lombard paryzki, to jest, że pożyczki ciągle się powiększały, bez żadnego prawie na nie wpływu lat nieszczęśliwych, nieurodzajów, przesileń handlowych, wypadków politycznych, a w roku 1844 doszły do ogromnej summy, przeszło 25 milionów franków. Wynika ztąd, że instytucya ta nie przychodziła rzeczywiście w pomoc prawdziwej potrzebie, lub godnej litości nędzy, ale, jak sam rząd lombardu paryzkiego przyznaje, jest prostym bankiem do wypożyczania na zastaw ruchomości wszystkim bezwzględnie, tak rozrzutnym lub rozpustnym, jak skromnym i oszczędnym. A wszakże ten sam lombard wychodzi z zasady, iż powinien wszystkim udzielać pożyczki dla ochronienia ich od lichwiarzy, do których tacy potrzebujący niewątpliwieby się udawali; i wyraźnie zapiera się, jakoby był instytucją przeznaczoną dla samych nieszczęśliwych i ubogich. I tak jest w istocie. Szczegółowe wypadki liczebne przez p. H. Say przedstawione o tém przekonywają, a nadto wspomina on o nadużyciach, od lombardu nieodłącznych. Ustanowieni urzędowi pośrednicy do czynności pożyczkowych przy lombardzie paryzkim, mają interes w pobudzaniu popędu do takich pożyczek; a prócz tego, mnóstwo szynkarzy okolicznych w tajemnym pośrednictwie tego rodzaju, własne tylko osiągają korzyści. Gorszące, a wszakże niepodobne prawie do ukrócenia są zmowy pokątnych handlujących przy sprzedażach zastawów lombardowych, wynagradzane korzystniejszym spieniężaniem przedmiotów za bezcen przysądzonych. Wszystkie też złe namiętności znajdują wyobrazicieli, i krążą ciągle w bliskości banku pożyczkowego na fanty. Jednym z największych nadużyć jest także sprzedaż dowodów zastawu w lombardzie. Przy ruchomościach, posiadanie zastępuje tytuł własności; toż samo więc dzieje się z papierem poświadczającym złożenie przedmiotu ruchomego w lombardzie: kto go ma w ręku, posiada prawo albo odebrania fantu, albo otrzymania w razie sprzedaży przewyżki ceny. Często więc zastawienie jest tylko sposobem nadania urzędowej ceny przedmiotowi, i ułatwieniem jego sprzedaży; a ta przewyżka ceny nad pożyczkę, staje się przedmiotem bardzo rozgałęzionego, a pełnego podstępów handlu, tak, że w lombardzie paryzkim zaledwie połowę fantów odbierają ci, co je złożyli.

Najczęstszy zaś sposób wyłudzenia wielkich przy nabyciu dowodów zastawu zysków, jest ten: że kupujący nie chce wchodzić w układ bez widzenia fantu; udaje się więc z jego właścicielem do lombardu, bierze od niego dowód, i własnym kosztem zastaw wykupuje. Wtedy już jest zupełnym panem naznaczenia ceny, bo nieszczęśliwy właściciel przedmio-

tu, nie ma pieniędzy na pokrycie już zrzadzonych kosztów, a tém bardziej na wykupno.

Takito surowy sąd wydał p. Horacy Say co do lombardu paryzkiego, a tém samym i co do wszystkich tego rodzaju zakładów. Czyliż jednak bezwzględnie potępić się godzi przedsięwzięcia, których pierwszą i główną myślą było przyniesienie pomocy cierpieniom; nie zaiste: badać złe i podać środki zapobieżenia onemu, jest właśnie zadaniem godnym ekonomisty. A że zadanie to jest ważne i rozwiązanie onego potrzebne, przekonywa z jednej strony uwaga na znaczne upowszechnienie się lombardów, z drugiej strony szereg niekorzystnych obrazów, towarzyszących dotychczasowemu ich urządzeniu, znacznie powiększający liczbę zarzutów, przez p. H. Say dotkniętych. Chcąc zaś w ogólności wskazać drogę, która mogłaby zdaniem naszym zmienić lombardy w korzystniejsze dla ogółu instytucje, należałoby się tylko zwrócić do zasadniczego ich celu, to jest do poratowania w duchu prawdziwego miłosierdzia, nie tylko środkami materialnym, ale także, i to szczególnie, wpływem moralnym. Zasitek dla prawdziwej nędzy jest świętym obowiązkiem; ale poddanie żywiołu rozpuszcieniu, a często występnej nierozwadze, to prawdziwy grzech społeczny. Wtedy więc tylko ułatwienie pożyczek na fanty, chrześcijańskiemu celowi byłoby odpowiednie, gdyby znać można dostatecznie: położenie, pobudki, sposób życia, skłonności każdego pożyczki takiej żądającego. Tylko ojciec synowi, brat bratu, przyjaciel przyjacielowi, może z prawdziwą czystością sumienia taką wyświadczyć przysługę. Zagadką jest więc podobno dotąd nierozwiązana, czy instytucja może tym warunkom sercowych uczuć odpowiedzieć. W każdym jednak razie sądzimy, że zakłady pożyczkowe na fanty, nie powinny być liczone do instytucyj kredytowych, lecz należeć wyłącznie do zakresu działań dobroczynnych; do czynności takich, których dopełnianie z zupełnego poświęcenia dla dobra nieszczęśliwych wypływa. Kierujący taką instytucją nie powinni by udzielać pożyczek, tylko po istotnym przekonaniu się, że ją dają nędzy potrzebującej. A wtedy sam obrót finansowy, zamiast zamierzenia jakowych korzyści, byłby tylko kierowany mniejszym lub większym zakresem ofiar, dla nędzy składanych.

Różne myśli i projekta podawane we Francyi do oparcia kredytu publicznego na nowych podstawach, wywołały niejedną odpowiedź w Dzienniku Ekonomistów, prostującą zbyt nierozważne albo od zasad naukowych oddalone twierdzenia. P. A. Clement zebrał (patrz poszyt 15 września) ogólne uwagi, wykazujące prawdziwe warunki, jakim kredyt odpowiadać winien; przedstawił, że wymagają często od kredytu te-

go, czego dać nie może, i że niezawsze kredyt jest korzystnym. Zapewnia on korzyści wtedy tylko, gdy sprowadza kapitały do rąk używających onych produkcyjnie. A wszakże zdarza się, że nie tylko pojedyncze osoby na złe kredytu używają, ale nawet całe ludności dają się w tej mierze uwodzić zgubnym popędem. Zjawisko takie okazywało się nieraz w Anglii; we Francji widziano to szczególnież za owych głośnych operacyj finansowych Lawa i świeżo na akcyach i promessach kolei żelaznych. W Stanach Zjednoczonych przed kilkunastą laty, szkodliwe skutki zwoźniczego kredytu rozwinęły się na wielką stopę, przez nierozważne wypuszczenie w obieg biletów rozlicznych banków tego kraju. Nie jest także prawdziwym dla kredytu i bogactwa krajowego zasiłkiem, tworzenie pieniędzy papierowych, wyobrażać mających wyłącznie taką ilość monety kruszcowej. Również błędnym był projekt wypuszczania we Francji biletów rządowych, na hipotece dóbr prywatnych opartych. Wszystkie więc sztuczne sposoby tworzenia kredytu są niebezpieczne i zawodne, bo zawsze warunki kredytu sprowadzić się dają do jednego prostego wyrazu: *bezpieczeństwo*. Wtedy tylko kredyt jest produkcyjny, gdy wierzyciel i dłużnik równie są pewni: pierwszy, że w czasie naznaczonym odzyska kapitał z ceną jego użytkowania; drugi, że będzie mógł użyć pożyczki wedle swych widoków, i że zdoła wartość jej powrócić z zyskiem przez przemysł zarobionym. Dlatego niedość jest, aby oba wzajemną do siebie mieli ufność; powinni jeszcze móż na to rachować, że nikt im nie przeszkodzi w wykonaniu tego, co dla uzupełnienia powziętych zamiarów wykonać pragną.

Co się tyczy szczególnych kwestyj kredytowych, oddawna już we Francji zajmują się przyprorowadzeniem do skutku systematu kredytu ziemskiego, którego szczęśliwe wzory w Niemczech, w Anglii, a szczególnież w naszym kraju, zawsze z chlubą są przedstawiane. Przedmiotowi temu poświęcił artykuł p. L. Wołowski, w poszycie 15 listopada, powiększając tylko tém pismem bogaty szereg głębokich prac, jakie i w oddzielnych dziełach, i w rozlicznych rozprawach w tej mierze nagromadził. Popieranie tej myśli z niezmordowaną gorliwością, stanowi jedną z najgłówniejszych zasług p. L. Wołowskiego. Już w r. 1839 czytał on na posiedzeniu Akademii nauk moralnych i politycznych w Paryżu obszerną w tej mierze rozprawę, która znakomite zrobiła wrażenie, i przez p. Rossi pochwalnie rozebraną została. W artykule, który teraz wspominamy, autor zamierzył sobie głównie odeprzeć podany wówczas we Francji projekt wypuszczenia przez skarb bezprocentowego papieru hipotecznego, z kursem przymusowym. Ponieważ twórcy projektu przed-

stawiali go za prawdziwe ziszczenie systematu kredytu ziemskiego, pan L. Wołowski zatem starał się wykazać błędność tego mniemania. I u nas zdania tego rodzaju wielokrotnie słyszeć można było: dotąd nawet w różnych wracają się postaciach. Równie więc i dla nas rozbiór tego przedmiotu jest ważny.

Dwa stanowcze cele założyć sobie powinien, właściwie urzędzony kredyt ziemski: to jest ulżenie stopy procentowej, i zwolnienie właściciela od ciężaru wypłaty jednorazowej kapitału. Wypuszczenie biletów hipotecznych, jest zaś tylko prostym utworzeniem nowych papierowych pieniędzy. Popierający myśli te, zawsze wychodzą z błędnego przypuszczenia, jakoby pomnożenie monety zwiększało bogactwo; a nie mogąc pomnożyć pieniędzy kruszcowych, usiłują zastąpić to przybytkiem monety papierowej. Lecz pieniądz kruszcowy jest zarazem *towarem*, wartość więc z sobą nosi: papier hipoteczny nie mógłby być trzymanym z korzyścią, ani zbytym bez straty. Już sami projektujący bilety hipoteczne dla Francyi uznają, że ilość ich ograniczyć należy, i taką na dwa miliardy oznaczają; ale same długi hipoteczne wynoszą przynajmniej 10 miliardów: środek więc proponowany byłby tylko częściowym i niezupełnym; a jeżeli papier hipoteczny ma być tém samym co kredyt ziemski, powinien być nieograniczonym.

Chciano by przywrócić sławne zdanie Lawa, że rząd powinien udzielać kredyt, nie zaś z niego korzystać. Ależ gdyby taki cudowny środek był możliwy, czyliż rządy nie pospieszyłyby się z użyciem onego na zaspokojenie własnych potrzeb, zamiast obracania go dla interesu prywatnych. Podatek gruntowy jest niewątpliwie najczystsza częścią dochodu z ziemi: a wszakżeż oparcie na nim papierów publicznych jest prostym marzeniem, bo kapitały dowolnie się nie stwarzają; praca tylko i oszczędność nagromadzić je może. Pieniądz jest cieniem, jaki kapitał czynny rzuca w swym przebiegu; zatem praca stanowi skazówkę jego potrzeby, i ogólna ilość znaków pieniężnych zależy najglówniej od wysokości rocznej produkeyi kraju. Ale im bardziej bogactwo rzeczywiste powiększa się i cyrkulacya pomnaża, tém ilość monety kursującej zmniejszać się może: bo prędszy obieg udziela coraz nowego znaczenia przechodzącym z rąk do rąk pieniądzom. Dlatego też kredyt nie polega na powiększaniu znaków obiegowych, ale raczej na obywanu się bez nich.

Prawdziwém czarodziejstwem kredytu, nie jest ani pomnażanie monety, ani nawet tworzenie kapitałów, bo ten szlachetny przywilej praca tylko posiada; cuda jakie kredyt sprawia, wypływają ztąd, że za jego pomocą kapitały dostają się do rąk korzystniej użyć je umiejących.

Moneta jest niejaką *miarą* wartości: powinna być przede wszystkim *stałą*, i mieć *cechę urzędową*. Kruszcze drogie, własności te posiadać mogą, zwłaszcza, że powiększanie ich ilości od woli nie zależy. Rzecz się ma przeciwnie z pieniędzmi papierowymi.

Własność ziemską kredytu potrzebuje; ale chcąc *zmonetyzować*, jeżeli tak rzecz można, ziemię, czyż się ten cel osiąga? Piędz sam nie konsumuje się, nie użyznia gruntu: takie użyznienie ziemi tylko przez zetknięcie z narzędziami pracy dokonać można. Zatem moneta papierowa bezprocentowa, nie jest prawdziwem wyobrażeniem wartości gruntowej; chcąc zmobilizować własność ziemską, należy znakom ją przedstawiającym zachować naturę gruntowi właściwą, to jest produkcyjne przynoszenie dochodu.

Oprócz téj głównej wady papieru hipotecznego bezprocentowego, zwrócić jeszcze należy uwagę na to, że największa zachodzi potrzeba znaków pieniężnych przy drobnych codziennych wypłatach. Aby więc pieniądze papierowe były równie dogodne jak kruszczowe, należy dzielić je na bardzo drobne kwoty. Jeżeli zaś papiery hipoteczne nie będą mniejsze od 50 fr., jak projektowano: odrazu powiedzieć można, że ze zwykłych drobnych wydatków zostaną wyłączone.

Co się tyczy kursu przymusowego, stosuje się do niego niezbite dylemma: albo wartość jest dobra, i cecha urzędowa dobroć tę powszechnie uznaną poświadcza; wtedy kurs przymusowy staje się niepotrzebny: albo przeciwnie papiery posiadają wartość wątpliwą, błędną: w takim razie kurs przymusowy jest wyraźną krzywdą.

Te wszystkie uwagi p. L. Wołowskiego, lubo zdają się proste i dostatecznie znane, niemniej jednak powtarzanie ich przy zastosowaniu do potrzeb kraju każdego instytucyj kredytowych, okazuje się konieczne i niebezowocne; bo kiedy przy takich zasobach przemysłu, handlu i rozumu jak we Francyi, powstają poważne projekta, osnowane na błędnych naukowych zasadach; z jakąż ostrożnością, z jaką rozwagą, z jakim oględnym niedowierzaniem przystępować należy do każdego kroku, kredyt publiczny dotyczącego, jeżeli okoliczności i położenie mniej są korzystne i w ściślejszych zamykają się granicach.

Zasady naszej instytucyi kredytu ziemskiego podały główną myśl znakomitego dzieła, powszechnie u nas znanego: „*Du credit et de la circulation*”, którego rozbiór w dawniejszych latach Biblioteka Warszawska dwukrotnie zamieściła. Drugie wydanie dzieła tego stało się powodem p. Karolowi Coquelin do podania do Dziennika Ekonomistów (poszyt 15 sierpnia) starannój jego recenzji, w której oddając zasłużone pochwały

obszernym pomysłem i silnemu rozumowaniu autora, oświadcza jednak, iż na niektóre wnioski zgodzić się z nim nie może. Przypomniawszy, że dzieło to zawiera dwa główne szeregi myśli: to jest pierwszy, wskazujący urządzenie kredytu ziemskiego, przez ulepszenia przepisów hipotecznych i przez utworzenie *biletów procentowych*; drugi, stosujący wypuszczenie tych biletów do rozwinięcia kredytu w ogólności, p. Coquelin przystaje bezwzględnie na cały wykład części pierwszej; nie może nawet zataić ubolewania i podziwienia, że Francya dotąd nie przyswoiła sobie systematu kredytu ziemskiego, i wskazuje jak małe zachodzą do tego przeszkody; jak mianowicie polepszenie prawa hipotecznego, wszelką w tej mierze usunęłoby trudność. Lecz twierdzi, że skutki wypuszczenia biletów procentowych, nie byłyby tak wielkie, jak autor dzieła sobie obiecuje; że emisyja ta nie jest normalnym wyrazem kredytu, że nawet w ogólności nie stanowi ani najlepszej, ani najskuteczniejszej jego części. Oparcie kredytu na samych tylko wartościach, czyto ziemi, czy towarów, jest podług recenzenta tylko jego zarodkiem: głównym źródłem i żywiołem kredytu, ma być zaufanie moralne. Przekonywa, że wypuszczenie papierów kredytowych, opartych na wartościach, za ledwie połowę tej wartości uruchomić może; przeciwnie kredyt handlowy, o wiele materialne zabezpieczenie przewyższa, i w tém właśnie siła jego produkcyjna. Dowodem tego nietylko Francya i Anglia, ale szczególnie Stany Zjednoczone. Przyznaje wprawdzie p. Coquelin, że autor dzieła zapowiada rozszerzenie swego systematu, upatrując tego możność szczególnie w udoskonaleniu zakładów ubezpieczeń od losowych wypadków; ale i takie nawet rozszerzenie spodziewane, nie wyszłoby poza granice materialnego oznaczenia wartości: byłoby więc zawsze zbyt ciasnym w ogólnym pojęciu kredytu. Jednym z głównych zarzutów p. Coquelin jest także rozbiór środków, jakie autor doradza dla wprowadzenia myśli swoich w rzeczywistość. Głównym działaczem kredytu krajowego ma być bank centralny, potrzebujący uposażenia. Takie uposażenie ma się znaleźć w zaciągnięciu długu na własności nieruchome rządowe, i skapitalizowaniu w podobnymże sposobie podatku gruntowego. Możliwość tych dwóch środków przypuszcza recenzent, objaśniając, że takie postąpienie byłoby zupełnie różnym od wypuszczenia papierowych pieniędzy. Ale poddaje w wątpliwość dostateczność i pewność zasiłków dla rządu z takiej instytucji. Środki skarbowe rzadko wyrównywiają potrzebom, a przynajmniej częste są chwile potrzeb nadzwyczajnych, w których trudno jest oprzeć się nagłym wymaganiom dla samego tylko widoku bezpiecznej przyszłości. Zdarzyłyby się więc łatwo mogło, iżby rząd w ciągu lat kilku, bez wielkiej dla kredytu w ogólności korzyści, zużył kapitał podatku gruntowego, pozbył się

własności skarbowych, i przyszłe wyczerpał zasoby. Ta obawa p. Coquelin jest wszakże przesadzoną, bo położenia wyjątkowe przyjmując za normalne, nigdy do pewnych zasad przyjszby nie można; a z drugiej strony urządzenie kredytu w sposób przez autora przypuszczany, zawiera właśnie w sobie możność ciągłego jego odżywiania i zasilania.

W zakresie zadań finansowych, Dziennik Ekonomistów poświęca wiele artykułów rozbirom bieżących, i w owym czasie najbardziej zajmujących projektów lub praw, co do zmian w podatkach budżetowych Francji. Pomijając te prace, jakkolwiek ważne i wyświecające wiele naukowych szczegółów, przytoczymy tu tylko treść pisma ogólniejszego zakresu, które p. A. E. Cherbuliez pod napisem: „O teorii podatku”, w poszytach 1 i 15 lipca zamieścił. Przedmiot ten tak przeważnie publicystów zajmujący, jest właśnie jednym z tych, które w terażniejszym kierunku ekonomii politycznej, najsprzeczniejsze wyradza zdania. Zanim więc w późniejszym czasie wydarzy się nam sposobność przedstawienia bliższego, najwydatniejszych zdań, jakie się w tej mierze wyrobiły, wskażemy pokrótce, w jakim sposobie p. Cherbuliez do rozwikłania tego gordyjskiego węzła przystępuje.

„Dwojakim sposobem, mówi p. Cherbuliez, rozciągano ekonomią polityczną poza jej właściwe granice: raz zaliczając do niej zjawiska obce jej układowi i zasadom; powtóre, rozważając zjawiska ekonomiczne pod względami do ekonomii politycznej nienależącemi. Ten drugi błąd częstym bywa przy rozpoznawaniu teorii podatku. Bo nie ulega wątpliwości, że można badać skutki podatku na bogactwo społeczne, odłączając od nich zupełnie względy prawne, polityczne i moralne.

Dla ekonomisty, podatek jest tylko poborem na rzecz skarbu z ogólnego bogactwa społecznego koniecznym; może być prawny lub nieprawny, sprawiedliwy lub niesłuszny, zgodny lub nie z widokami politycznemi, z zasadami moralności: to wszystko nie wpływa na jego naukowe określenie. Ztąd wynika że rozwiązanie pytania: jakim sposobem podatek wpływa na produkcją, nagromadzenie i rozdział bogactw, zupełnie jest niezależne od innych, zewnątrz teoryj ekonomicznych leżących względów.

Ponieważ produkcya zależy od ilości produkcyjnego kapitału, nagromadzanie więc bogactw przypuszcza ciągłe zwiększanie kapitału, przez oszczędność na nieprodukcyjnym zużyciu.

Gdyby podatek wyrównywał tej oszczędności, powiększanie bogactw wstrzymałoby się; a gdyby ją przewyższał, społeczność ubożałaby.

Gdyby znowu podatek zabierając część dochodu czystego, mogącego być skapitalizowanym, pobudzał obok tego do oszczędności, w takim razie te dwa skutki wzajemnieby się prawie znosiły.

Gdyby nakoniec podatek sprowadzał zmianę w rozdzieleniu bogactw, narzucając stosunek między zarobkami, zyskami i dochodem, i odstręczając od oszczędności: wpływ jego stawałby się szkodliwy dla nagromadzenia i produkcji bogactwa.

Dwa są więc główne względy, przy ocenieniu podatku ważne: to jest, jaki jest jego rozkład i na czém oparty?

Co do rozkładu, jedni utrzymywali, że opierać się powinien na stopniu korzyści ze stanu społecznego, przez każdego kontrybuenta osiągniętych; drudzy mniemając, że najlepszą miarę tych korzyści stanowi dochód każdego prywatnego, do niego też podatek stosowany mieć chcieli. Pierwszy sposób jest do wykonania niepodobny, chociaż byłby sprawiedliwy; drugi mniej słuszny, równie zastosować się nie da, bo przypuszcza: że kto nie ma nic, może się obejść bez opieki; prawa, i że mający równo dochodu, równo tej opieki używają. Rzeczywiście rozkład może być różny trojakim sposobem, to jest: mogą być podatkami niejednakowo dotknięte różne prowincye jednego państwa, różne osoby jednej kategorii, i różne kategorie kontrybuentów.

Pierwszy przypadek rzadko już gdzie widzimy; istniał jednak jeszcze niedawno w Hiszpanii. Większe podatki w jednej prowincyi, mogą wprawdzie wpłynąć zrazu na dochód gruntowy, na zyski i zarobki; ale po pewnym przeciągu czasu, równowaga przywraca się przez napływ kapitałów i ludności do okolic mniej obciążonych, gdzie tém samém zarobki i zyski spadają, a podnoszenie się dochodu gruntowego i wartości ziemi, tylko dla pierwszych jój posiadaczy korzyść przynosi.

Drugi rodzaj nierówności, to jest między osobami do jednej kategorii należącemi, we wszystkich znajdujemy podatkach. Ale nierówność ta nie wpływa na rozdział bogactw, bo działa tylko cząstkowo, a nie jednostajnie na całe kategorie producentów lub konsumentów.

Nie wpływa także na produkcją i nagromadzenie bogactwa, bo summa odjęta oszczędności dla utworzenia podatku, nie zmienia się, choć jedna osoba przykłada się do niej więcej, jak druga.

Powiększanie się podatku stosunkowo do dochodu, nie zachęca do oszczędności: bo każdy kontrybuent wie, że przewyżka dochodu, w tym samym stosunku jak dochód pierwiastkowy będzie obciążoną: gorszy jeszcze byłby podatek progressyjny, rosnący w stosunku szybszym od dochodu.

Trzeci sposób nierównego rozkładu podatku, polega na dzieleniu ludności na pewne kategorie. Podział ten wedle klass, należy już tylko po większej części do historyi; ale dzisiaj dzielimy ludność na kategorie, wedle natury dochodu przez każdego mieszkańca ciągnionego. I tak: fi-

zyokracy myśleli o jednym tylko podatku na właścicieli gruntowych; obecnie zaś usiłują pociągnąć do równo-stosunkowego ciężaru, zarobki, zyski i dochody z gruntu lub z kapitału. Ale ze wszystkich gatunków przychodów, jedne tylko zarobki urzędników mogą być z pewnością przez skarb podatkiem dotknięte; inne zarobki, zyski i dochody, zrzucają z siebie podatek, który je dotyka, i przelewają go na takich kontrybuentów, o których właściwie prawodawca przy stanowieniu podatku nie myślał. Opłata początkowo na zarobek rzemieślnika nałożona, przechodzi następnie na ciężar zysku kapitalisty, a od tego spada na konsumentów. Prócz tego przypuszcza się zwykle, że podatki dotyczą stosunkowo wszystkie zarobki; i ta wszakże zasada nie jest prawdziwą, bo nigdy w chwili poboru nie można oznaczyć stopy zarobków różnych pracowników. Prawo równowagi zaraz więc działać zaczyna, i podnosi zarobki najlżej opodatkowane. Toż samo dzieje się z zyskami. Ostatecznie więc wnioskować należy, że obłożenie stosunkowe podatkami różnych kategorii przychodów, pozostanie zadaniem nie do rozwiązania; ale nierówności tej za złe, w ścisłym znaczeniu ekonomii politycznej, poczytać nie można.

Przechodząc do rozbioru drugiego głównego pytania we względzie podatków, to jest do rozpoznania, na czém podatek oparty być powinien; p. Cherbuliez twierdzi, że w każdym razie podatek może być bez uszczerbku bogactwa krajowego, tylko w dochodach czerpany, a to następuje wtedy nawet, kiedy przedmiotem podatku są kapitały szczególnych mieszkańców. Błędném jest bowiem mniemanie wielu ekonomistów, jakoby przez opodatkowanie kapitałów pojedynczych kontrybuentów, podatek zmniejszał rzeczywiście ogólny kapitał krajowy. Takie tylko umniejszenie ogólnego bogactwa narodowego byłoby szkodliwe, zwłaszcza, że utrudniałoby popęd do oszczędności.

I w istocie rząd pobierając podatki, otrzymuje je w pieniądzech, które nie są produkcyjnym kapitałem, a czyni wydatki nieprodukcyjne. Właściwy więc wpływ na produkcją i nagromadzanie bogactw, zależy od stosunku całej ilości, z podatków corocznie otrzymanej, do masy kapitałów produkujących i p'odów stanowiących zasitek tychże kapitałów, tudzież do ilości produktów, przeznaczonych na bezpośrednie zużycie i na oszczędność.

Z tych uwag wyprowadza p. Cherbuliez wniosek, że jest rzeczą mniej stanowczą, na czém skarb podatki opiera, główną zaś ogólna wysokość ciężarów; że pomiędzy rozlicznymi sposobami opodatkowania, wybierać należy te, które najwięcej pobudzać mogą do oszczędności. Dlatego dawać należy pierwszeństwo: 1) podatkom, których pobór najmniej kosztowny; 2) tym, których ściąganie najmniej na uronienie może być

narażone; 3) tym, których pobieranie najmniej wymaga czasu; 4) podatki od pewnych kategorii kontrybuentów, jako zbliżone do podatków stałych, są lepsze od innych; bo skłaniają do oszczędności; 5) ten sam cel osiągają podatki nakładane na zużycie nieprodukcyjne; 6) wreszcie przy równych okolicznościach, zawsze podatki najdawniej ustanowione są najlepsze.

Oto treść główniejszych przedmiotów w zbiorze Dziennika Ekonomistów z r. 1848 zawartych. W roku tym zamiast miesięcznych poszytów, zaczęły wychodzić od 1 kwietnia dwa poszyty na miesiąc, każdy około 4ch arkuszy druku zawierający. Pod napisem *Bulletin*, zamieszczone są doniesienia o wychodzących dziełach i rozprawach w zakresie nauk ekonomicznych, z krótką wiadomością o ich treści i z ocenieniem wartości. W oddziale zaś na końcu każdego zeszytu domieszczanym, pod napisem *Chronique*, przedstawiane są bieżące krajowe wypadki o tyle, o ile z przedmiotem Dziennika związek mają. Wreszcie, co miesiąc Dziennik zdaje sprawę z posiedzeń Akademii paryżkiej nauk moralnych i politycznych.

Po tym pobieżnym przeglądzie, powtórzycie winniśmy ogólne zdanie, że Dziennik Ekonomistów wystrzega się rozwijania i obrony systematów wyłącznych, a tém bardziej przez krańcowe opinie popieranym. Oświadcza wyraźnie, że po sześciu latach istnienia, gdyż rok 1848 był siódmym od czasu zawiązania się tego pisma, nie zmienia ani zdań, ani kierunku. Wstrząśnienia, jakich Europa świeżo doznała, przekonały tylko redaktorów Dziennika Ekonomistów, że nauce ekonomii politycznej, wydatniej jak kiedykolwiek przedstawiają się obecnie trzy główne przeszkody do walczenia. Naprzód, powszechna prawie nieznajomość zasad ekonomicznych, i wypływające ztąd błąkanie się po niepewnych bezdrożach; powtórnie, przesady i namiętności protekeyonistów, stawiające tamy przemysłowi i ekonomicznemu rozwijaniu się narodów; potrzecie, omamienia zwolenników nowych szkół, popychające do środków sztucznych, odcieranych, a w każdym razie niebezpiecznych. Pokonanie tych przeszkód stanowi cel Dziennika, i ma nadzieję cel ten osiągnąć przez usunięcie z czasem i wytrwałością dwóch pierwszych przeszkód, a przez przyswojenie z ostatecznych nowych idei tego, co z zasadami Turgota, Adama Smith'a, Malthusa, Saya, zgodnym się okaże. Czy nadzieje te płonnemi nie będą—przyszłość dopiero przekona. Co do nas, nie możemy zataić żywego współdziałania, jaki sumienne te, choć często niewdzięczne prace, w nas pobudzają: bo widzimy w nich zawsze usiłowanie dalszego rozwoju nauki, coraz ważniejszej, coraz bliżej każdego członka społeczeństwa obchodzącej.

W. Ł.

WIADOMOŚCI

na drodze postępu nauk przyrodzonych.

ASTRONOMIA I FIZYKA KULI ZIEMSKIEJ.

Dnia 1go lipca 1849 r. rozpoczęto szereg doświadczeń w *Obserwatorium centralném fizyczném*, założoném w Petersburgu w celu zbierania wszystkich obserwacyj tak meteorologicznych, jako i magnetycznych, wykonywanych w granicach Rosyi.

Według noty, ogłoszonej przez p. Ussów, w następnym sposobie rozłożone były różne obserwatoria w posiadłościach rosyjskich.

I). *Obserwatoria magnetyczne i meteorologiczne.*

1) W Petersburgu, Katerynenburgu, Barnaul, Nerczyńsku i Tyflisie, urządzone przez zarząd kopalń.

2) W Helsingforsie przez Cesarsko-Alexandryjski uniwersytet.

3) W Sitce przez kompanię rosyjsko-amerykańską, pod protekcją Akademii umiejętności.

Wypada tu dodać jeszcze obserwatorium świeżo urządzone w Pekinie, w skutek starań ministra spraw zagranicznych.

II). *Obserwatoria meteorologiczne.*

1) W Złotoust, Bogostów i Ługane, zależne od zarządu min.

2) W Ayane od kompanii rosyjsko-amerykańskiej.

3) W Oremburgu od ministryum wojny. Proponowano urządzić nowe podobne obserwatoria w Omsku, Uralsku, Nowogrodzie, Brześciu-Litewskim, Połtawie, Połocku i Woroneżu.

General piechoty Obruczew, gubernator wojskowy Oremburga, urządził jedno obserwatorium w części wschodniej ziemi Kirgizów oremburgskich, i drugie na wschodnim brzegu morza Kaspijskiego.

4) Ministryum marynarki poleciło oddawna wykonywanie obserwacyj meteorologicznych w Nikolajewie, Sewastopolu i Chersonie; pewną liczbę takich obserwacyj uczyniono w Astrachanie i Archangelsku.

5) *Ministerjum Dóbr państwa* posiada obserwatorya w Instytucie agronomicznym gorygoreckim, Saratowie, Wołogdzie, Kazaniu, Charkowie, Ekaterynosławiu i Alexandrowie.

6) Obserwatorya, zależące od ministerjum wychowania publicznego, tak są rozłożone:

W okręgu uniwersytetu kijowskiego: w Puławie i Berdyczowie. Nadto proponowano urządzenie głównego obserwatoryum przy uniwersytecie kijowskim, a podrzędnych w Żytomierzu, Ostrogu, Niemirowie, Kamieńcu Podolskim, Czarnym Ostrowiu, Czernichowie, Starodubiu, Nowogrodzie Siewierskim, Zołotonoszy i Puławie.

W okręgu naukowym moskiewskim: w Moskwie (obserwatoryum prof. Spaskiego), Smoleńsku, Twerze, Razaniu i Wołokałamsku. Miano także zaprowadzić obserwatorya w Moskwie, Wyżnim-Wołochocku, Ostaszkowie, Wiaźmie, Smoleńsku, Kałudze, Belewie, Tule, Serpukowie, Razaniu, Muromie, Władymirze, Suzdalu (albo Szuja), Kinneszmie, Kostromiu, Haliczu, Soligahaliczu, Jarosławiu, Rybińsku (albo Mologie) i Twerze.

W okręgu naukowym białoruskim: w Krozach, Białymstoku, Swiśloczy, Grodnie, Kownie, Brześciu-Litewskim.

W okręgu naukowym charkowskim: w Charkowie, Orle, Wołczansku, Starym Oskolu, Biełgorodzie i Szczygrach.

W okręgu naukowym petersburskim: w Wołogdzie i Jareńsku.

W Syberyi zachodniej: w Tobolsku, Tara, Tomsku, Kurgane, Beresowie.

W Syberyi wschodniej: w Jakucku.

W okręgu odeskim: w Odessie, Ekaterynosławiu, Symferopolu, Taganrogu.

W prowincjach zakaukaskich: p. Abich adjutant cesarski urządził wiele stacyj dla obserwacyj meteorologicznych, w których zebrano ważne wypadki. Stacje te są: w Redut-Kale, Kutais, Sugdidi, Władykaukaz, Szemakha, Baku, Lenkoran, Aramsk (u stóp Araratu), Erywan, Alexandropol, Szusza i Gori.

Oprócz tego, przez znaczny przeciąg lat odbywano obserwacje na następujących miejscach: w Irkucku przez lat 30, w Petersburgu prawie przez lat 50, w Archangelu, w Ooust-Sysolk i Jakucku przez lat 18, w Sitce przez 14, w Kursku przez 15, w Nowej-Ziemi przez 2 lata. Nakoniec znane są obserwacje, czynione przez długi czas w Niżnym-Tahilu, i ogłaszane przez p. Demidowa. (*Journal de St. Petersbourg*).

S. P.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1849.

WILNO.

84. *Athenaeum*. Pismo zbiorowe, poświęcone historij (tak), filozofij, literaturze i sztukom. Wydawca J. I. Kraszewski. Rok 1849. 8ka. 6 tomów. Wilno. 1849. Drukiem Józefa Zawadzkiego. (Nakład autora). T. I, str. 155. II, 211. III, 259. IV, 251. V, 259. VI, 229. W każdym tomie kart napisowych 2. Złp. 45.

L W Ó W.

85. *Pisma Józefa Chwaliboga* (,) wydane i poprzedzone opisem żywota jego przez Prospera Chwaliboga. 8ka. Lwów. 1849. Nakład wydawcy, w drukarni Stauropegiańskiej. Str. 462.

1850.

WARSZAWA.

54. *Nazwiska monet u różnych narodów i w różnych wiekach używane. Abecadłowo spisane i objaśnione przybliżonem porównaniem z dzisiejszemi piędzmi polskimi.* Przez Antoniego Wagę. 12ka, Warszawa. 1850. Nakład i druk S. Orgelbranda. Kart 3 i str. 113. Złp. 4.

55. *Pamiętniki lekarza. Naszyjnik królowej* (,) przez Aleksandra Dumas. Z francuzkiego tłumaczył L. R. 12ka, 6 tomów. Warszawa. 1849 i 1850. Druk J. Glücksberga. Tom I, str. LXIV i 165. II, 233. III, 222. IV, 180. V, 194. VI, 248. Złp. 24.

56. *Pamiętnik sztuk pięknych. Zbiór wiadomości potrzebnych i pożytecznych młośnikom i zwolennikom sztuki. Rysunkami objaśniany. Ze szczególnym względem na rzeczy krajowe.* Wydawany pod kierunkiem Bolesława Podczażyńskiego budowniczego, nauczyciela przy szkole sztuk pięknych w Warszawie. 4ka. Tom I, część I. Warszawa. 1850. Nakładem H. Natansona, druk Ungra. Str. IV i 64. (Z 4 rycinami i drzeworytami w textcie). Złp. 6 gr. 20.

57. *Skarbiec dla dzieci czyli moralność, cnota i obyczajność* (,) przez Piotra Blanchard (,) na polski zaś język z 26go wydania przełożone i o trzecią część pomnożone przez ks. P. Rzewuskiego. 12ka. Warszawa. 1850. Druk S. Orgelbranda. Str. III i 344. Złp. 6 gr. 20.

W I L N O.

58. *Gospodarstwo postępowe w Litwie* (,) przez Tomasza Dybowskiego. 12ka. Wilno. 1850. Druk Józefa Zawadzkiego. Str. 146.

59. *List Zofji K* z Brzozówki do Benedykta Dołęgi.* Wydał na nowo Romuald Podbereski. 8ka. Wilno. 1850. Drukiem Józefa Zawadzkiego. Str. 23. Złp. 2.

60. *Litwa za Witolda.* Opowiadanie historyczne przez J. I. Kraszewskiego. 8ka. Wilno. 1850. Drukiem Józefa Zawadzkiego. Kart 2 i str. 372. Złp. 18.

61. *Ogrody północne* przez Józefa Strumillę radzcę honorowego. Wydanie piąte poprawne, z dziesięcią tablicami litografowanemi, zawierającemi 70

figur. 3 tomy. 8ka. Wilno. 1850. Nakładem księgarni Rubena Rafałowicza, druk Zawadzkiego. Tom I str. VI i 384. II, 354. III, 291. Złp. 40.

62. Rachunek podwójny dla gospodarzy (,) czyli zasady rachunkowości handlowej zastosowane do rolnictwa. Z tabellą litografowaną, przedstawiającą obraz zamknięcia rachunków, przez Michała Kątkowskiego. 8ka. Wilno. 1850. Drukiem Józefa Zawadzkiego. Str. 139 i 34. Złp. 9.

63. Wspomnienia z podróży do Syberji i pobytu w Berezowie. Spisane przez Ewę Felińską (ą). 8ka. Wilno. 1850. Drukiem Józefa Zawadzkiego. Kart 2 i str. 328. Złp. 15.

WIEN.

64. Tajemne listy króla polskiego Zygmunta Augusta do Stanisława Hozyusza pośta Rzplitej polskiej na dworze rzymskim, w r. 1549 i 1550 umówionemi znakami pisane. Z oryginałów zachowanych w bibliotece uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie (,) odczytał Józef Łepkowski. 4ka. (litografia). Wiedeń. 1850. Nakład Jana Sabińskiego księgarza w Wadowicach. Kart nieliczbowanych 9 i arkusz 1.

BERLIN.

65. Grammatyka języka angielskiego (,) zebrana z dzieł D. Lowth, Murray, M'Culloch, Cobbett, Crombie, d'Orsey i innych, dla użytku polskiej młodzieży. 8ka. Berlin, 1850. Nakładem księgarni B. Bebra, drukiem A. Bahna, Str. 248. Złp. 7.

66. O naśladowaniu Jezusa Chrystusa xiąg czworo (,) z łacińskiego przetłómaczył X. A. J. Nowe wydanie. 12ka. Berlin, 1850. Druk A. Bahna, nakład B. Behra. Str. XXXI i 370. Złp. 10.



Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

— Księgarz G. Sennewald rozpocznie wkrótce druk trzech tomów pozostałych pism rozmaitych ś. p. Jana Majorkiewicza.

— Dwa tomy zapowiedzianego romansu „Królowa Bona” już wyszły z druku; dwa następne wkrótce opuścić mają prasę drukarską.

— Księgarz Orgelbrand rozpocznie w r. b. druk ważnego ze wszech względów dzieła W. A. Maciejowskiego, p. n.: *Historya literatury polskiej*.

— We Lwowie z pod prasy drukarskiej już wyszła: „Wojna Chocimska” poemat behaterski w 10 częściach, p. And. Lipskiego podwojewodzkiego sądeckiego; z rękopismu współczesnego wydał Stan. Przyłęcki. Wydanie to zdobią portrety J. K. Chodkiewicza, Stan. Lubomirskiego, i Jakóba Sobieskiego (ojca króla Jana), tudzież drzeworyty herbów, i medal dla Stan. Lubomirskiego, wybity w wojnie chocimskiej. Przy końcu słowniczek mniej dziś używanych wyrazów.

— Ambroży Grabowski wydał w Krakowie ważną do badań dziejowych nową pracę p. n.: Dawne zabytki miasta Krakowa. Z wizerunkiem *Wita Stos*, snycerza XV wieku, i 2ma bramami dawnemi.

— Dowiadujemy się właśnie, że w prywatnych rękach zostająca nieznaną rzeźba Wita Stosa, ofiarowaną została do muzeum w Krakowie. Ma to być pomnik rzadkiej wartości. Byłto ołtarz jakiejś domowej kaplicy: drzwi należące do niego, okryte starożytnym malowaniem dawniej szkoły niemieckiej, lubo są w posiadaniu innego amatora, zapewne złączą się z ołtarzem, którego są częścią.

— Ogłoszono prospekt na nowe wydanie illustrowane Wallenroda i Grażyny; obok polskiego tekstu ma być przekład francuzki prozą. Rysunki są kompozycyi p. Tysiewicza znanego z kopii wiedeńskiej Maryi Magdaleny; drzeworyty rylca francuzkich artystów. Z załączonych prób nabraliśmy przekonanie, że p. Tysiewicz nie ma po temu wcale zdolności: potrzebaby na to artystów takich, jak Statler, Smokowski, Zaleski, Suchodolski i t. p.

— Z otrzymanych wiadomości z Krakowa dowiadujemy się, że przy straszliwym pożarze tego starożytnego grodu, stał się pastwą płomieni cały zapas wydania Wiadomości historyczno - krytycznych Ossolińskiego, dzieł Jana Pawła Wronicza, i J. S. Bandtkiego.

— Znakomity poeta Kornel Ujejski pracuje teraz nad większym poematem: Hetmanicz. P. Bolez Antoniewicz pisze dramat, osnuty na historii brata i siostry Oświecimów.

— W Krakowie wyszła z druku w drugim wydaniu: „Książeczka do modlitwy św. Jadwigi” z tekstem wedle starego rękopismu, a obok podług terażniejszej pisowni. Przystuga to niemata dla naszych badaczy języka, gdy pierwsze wydanie w małej liczbie exemplarzy odbite, całkiem wyczerpanem zostało.

— W drukarni uniwersyteckiej w Krakowie, wyszła: Odezwa Tow. Nauk. z Uniw. Jagiel. połączonego, w celu archeologicznych poszukiwań, wraz ze skazówką, mogącą posłużyć za przewodnika w poszukiwaniach tego rodzaju. W 8ce, str. 38.

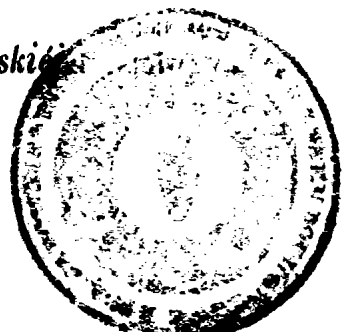
— Tamże drukuje się: *Historya Kalwaryi Zebrzydowskiej*, ozdobiona rycinami, i: *Żywot księdza Skargi i jego wiek*, przez J. M. Rychackiego (Maurycego hr. Dzieduszyckiego); a w litografii technicznego Instytutu wychodzi zeszytami: *Opis alpejskich, karpaccich i naddunajskich krain monarchii austryackiej*, przez W. Pola. Wyszedt już poszyt *Iszy* i zawiera: *Rzut oka na północne stoki Karpat i przyległe im krainy*.

— W Edyburgu umarł w lutym b. r. prezydent szkockiej akademii sztuk pięknych, William Allan, współuczeń Wilkiego i Burneta. Miał on niepoślednią sławę jako malarz; lecz nas zajmuje najbardziej pobytym swoim w Polsce. Sprowadzony przez Szczęsnego Potockiego, wiele lat bawił w Tulczynie na Ukrainie, gdzie zostawił jako pamiątkę swego pobytu, wiele olejnych obrazów i akwarelli. Co więcej, sławę swoją jako artysta, winien naprzód naszemu krajowi, bo obraz jego, przedstawiający wesele żydowskie, który posłał na wystawę do Londynu, zapewnił mu miejsce w rzędzie znakomych malarzy.

— Z nowości muzycznych wyszły, i są do nabycia w składzie Ig. Klukowskiego: 6 *Kujawiaków* w stylu gminnym, przez O. Kolberga. Op. 19.



Redakcja Biblioteki Warszawskiej



DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE
w Obserwatoryum Astronomiczném

WARSZA WSKIÉM.

Czerwiec, 1850.

	mm.	c.	f.
Średnia wysokość barometru miesięczna	751.398	27	9.088
Najwyżej dochodził — d. 20 o g. 6 r.	759.18	28	0.724
Najniżej — d. 14 o g. 6 r.	740.57	27	4.292
Średnia zmiana dzienna barometru	3.23		1.435
Największa zmiana dzienna barometru d. 16—17 o g. 10 r.	11.28		4.96
Średnia wysokość barometru jest wyższa o od stanu normalnego z 24 lat poprzedzających	2.53		1.16
Średnia temperatura czerwca wynosi: i ta jest wyższa o od stanu normalnego z 24 lat po- przedzających	+ 18° 94 C.	+ 15° 15 R.	
	1.38 „	1.10 „	
Największe ciepło dochodziło d. 3 i 6 o godz. 2 po połud.	+ 28.8 „	+ 23.0 „	
Najmniejsze dochodziło d. 17 o godz. 6 rano i 19 o g. 10 w.	+ 11.2 „	+ 8.9 „	
Termometrograf wskazał: Maximum: + 24.°2 R. d. 22 po poł. Minimum: + 5.5 „ d. 17 r.			
Średnia zmiana dzienna temperatury	3 08 „	2.5 „	
Największa zmiana dzienna d. 27—28 o godz. 10 r.	11 7 „	9.4 „	
Wody z deszczu spadło wysoko na 56,4 milim., czyli 24,99 lin. par., to jest: o 3,4 mil. czyli 1,50 lin. par. mniej, jak w stanie normalnym.			
Średnia wilgotność powietrza miesięczna wynosi: 69,0; biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo 11,14 gram- mów, na jednym metrze sześciennym powietrza. Wilgo- tność ta jest o 3,2 setne mniejsza jak zwykle.			
Dni pogodnych było 5; napół pogodnych 20, pochmurnych 5. — deszczu 12 (d. 2, 7, 13, 14, 15, 16, 18, 22, 27, 28, 29, 30). — błyskawic bez grzmotu 1 (d. 5). — błyskawic z grzmotem 4 (d. 2, 7, 13, 22). Wichrów 2, (d. 9, 27) Pn=1; PnZ=1. Wiatry panujące: Zachodni, Północny i Południowo-Za- chodni.			
Czerwiec r. b. był pogodny, suchy o 1,1 stop. R. cieplejszy jak zwykle. Dni 3, 5, 6, 7, 8, 13, 21, 22, 26, 27 były bardzo gorące; po południu ciepło w tych dniach dochodziło do 24 stop. R. Dni 3, 4, 10, 11, 15, 20, 21, 23, 25, 26, 28 były bardzo suche; przeciwnie dni: 1, 2, 9, 18 wilgotne.			
D. 2 po południu grzmoty, błyskawice i deszcz ulewny.			
D. 5 po 10 godz. wieczór w stronie Zachodniej przy poziomie, błyskawice powtarzane bez grzmotu.			
D. 13 po południu grzmoty, pioruny i deszcz ulewny. O godz. 5 min. 32 wieczór, gdy słońce zakryte było chmurami, pokazały się dwie tęcze w stronie Północnej, od blasku padającego od stro- ny wschodniej przy poziomie; tęcze te były w przeciwnej stro- nie jak zwykle.			
D. 22 od godz. 6 do 9½ wieczór grzmoty, błyskawice i deszcz.			
D. 27 między godz. 6 a 8 wieczór, wichur gwałtowny Półno- cno-Zachodni, i ten wiele drzew połamał.			

PODRÓŻ PO PORTUGALII.

I.

....Cisza w powietrzu zupełna; niebo pogodne, żadnym obłokiem nie zachmurzone, wspiera się wokoło nas na krawędziach widnokregu w kształcie olbrzymiego lazurowego sklepienia. Słońce już blizkie zajścia; żaden szmer nie przerywa ciszy w powietrzu, ogrzewaném kiedyniekiedy ciepłemi południa powiewami. Lecz jesteśmy na bezsennój zatoce Biskajskiej, a na jej falach nie masz nigdy pokoju. Pędy kanału Manszy tak gwałtowne, walczą tu wiecznie z nurtami blizkiego Atlantyku, spierają się bezustannie o panowanie nad temi odmętami. Oceany walczą tu z sobą, z nieubłaganą wściekłością idei ludzkich. Bałwany morskie—myśli ludzkie, uragan was nie nagli, burza nie porusza: pocóż ta próżna walka? Tyle wściekłości wywieranych od tak dawnego czasu, dlaczego? żeby zginąć w bezdenności własnych nurtów!

Ocean nie usłyszy, człowiek nie zrozumieć, gdyż obaj pełnią swe przeznaczenie.

Słońce zaszło, zapadło szybko; nie tak wolno i krwawo, jak u nas na północy zachodzi. Księżyc jeszcze nie wszedł. Błyszcza gwiazdy, małe, okrągłe, świecące punkta na pełnym, głębokim lazurze nieba; lecz nie iskrzą się, jak nasze w pogodną noc zimową. Jedna tylko iskrzy się i pryska czerwonym, migającym świa-

tem, tam daleko ku południowi i zachodowi, a tuż nad widnokresem. To nie gwiazda, to blask latarni morskiej na przylądku Finisterre. Witaj pierwsza pochodnio ogrodu Hesperyjskiego! —witaj!

Kilka godzin później, bieglismy jak szaleni po rozkołysanej powierzchni morza, i maszyna roztrącała swemi kołami największe fale; kilka godzin później, doszedł nas jęk i łoskot rozbijających się o przylądek bałwanów. Jest coś przerażającego w tym ciągłym gniewie morza, wywieranym na ten koniec ziemi. W świetle już weszłego księżyca połyskał spieniony własną wściekłością ocean, fale unosiły pianę o pół mili od skalistego brzegu—aż tuż pod boki naszego statku.

Jeszcze kilka godzin później, a zawijamy do przystani miasta Vigo w Galicyi hiszpańskiej; tu czekał naszego przybycia mały pocztowy parostatek królewskiej marynarki angielskiej. Przykomenderowany do wizyty młody kadet marynarki, wskoczył na pokład. Dumny i piękny jak księżniczka, opryskliwy jak paź, zimny jak Anglik, zawezwał kapitana do jego kajuty; tam się z nim rozmówił w sekrecie, wziął od niego papiery, i nie kłaniając się nikomu wskoczył do łodzi i wrócił do swego statku. W dziesięć minut później, statek ten opuścił przystań i dążył ku południowi całą siłą swych szczyptych, ale długich, fale prujących piersi.

Może na całym świecie nie masz tak głębokiego portu, jak pod Vigo. Tworzy go mała zatoka, wchodząca wąską szyją pomiędzy amfiteatr wysokich skał. Na jednej z nich, na lewej ręce, leży forteca; baterye w niej napiętrzone jedne nad drugimi, bronią portu. Na drugiej zaś pionowo w niebo wyskakującej, pochyłonej nawet naprzód tak, że okręt nasz dosłownie szczytami masztów bił o opokę; na drugiej mówię skale, ponad naszymi głowami wznosił się na dość szerokiej płaszczyźnie groźny zamek, najeżony niegdyś ogromnemi działami, broniącemi na milę przystępu do brzegu. Dziś dział tych niema; Francuzi zatopili czego z sobą wziąć nie mogli. Zamek spustoszyli, prochem w powietrze wysadzili. Zostały tylko ruiny.

Lecz ruiny te nie są nieme; przemawiają one do serca, gdyż okropna do nich przywiązana jest pamiątka.

Czytał kto piękny, serce rozdzierający poemat Adalberta de Chamisso?

Ja tu w krótkości skreślę jego osnowę.

W r. 1809 Francuzi przyszedli do Hiszpanii jako przyjaciele, i jako tacy opanowali podejściem wszystkie punkta warowne. Fortece w Vigo wpadły w ich ręce tym samym prawie fortem, co MontJouy w Barcelonie. Hiszpanie poznali się nareszcie na wartości przyjaźni francuzkiej; przyszło do scen krwawych w Madrycie. Kartacze Murata i jego bagnety, więzienia i zdrady, rozdrażniły Hiszpanów aż do wściekłości. Zemsta, zemsta! wołali od brzegów Biddassoy aż do brzegów Gwadyany. „*Guerra hasta al cuchillo*” (wojna choćby na noże) odpowiedziały echa Pirenejów i Sierry Moreny.

Anglicy korzystali z tego usposobienia i pomoc swą ofiarowali. Hiszpanie w rozpacz przyjęli przyjaźń zwycięzców pod Trafalgar, burzycieli potęgi swój morskiej.

W zamku Vigo mieszkała rodzina hidalgów hiszpańskich, dawnych właścicieli całego miasta. Zamku przodków pozbawić jój nie śmiano. Rodzina ta składała się: z ojca, matki, dwóch synów i córki; córki młodej, pięknej jak anioł, a kochającej oficera francuzkiej załogi.

Hrabia de Vigo wiedział, że eskadra angielska krąży około portu zdaleka, zdaleka; lecz port w ręku Francuzów. Zaprosił na ucztę oficerów, by ich otruć; opoić kazał żołnierzy, by ich zabić. Córka instynktem przeczuła niebezpieczeństwo kochanka; miłością wiedziona szukała pewności, znalazła ją, i zapominając nienawiści narodowej i siebie samej, prosi kochanka, by na ucztę nie przychodził, by jój przed garnizonem nie zdradził.

Prośby te obudzają podejrzenie kochanka. Garnizonowi nie mówi słowa, lecz się wykrada z cytadelli na noc całą, i biegnie ku miastu Orense. Tu stoi korpus generała Reigner, i tu sam wódz zostaje.

„Garnizon w Vigo dziś ma być wyrzniętym. Wodzu! ocal go, lecz ocal i kochankę, której winienem piekielnego spisku odkrycie”. Wódz przyrzeka i natychmiast podsuwa się z wojskiem.

Przybyli wtedy, gdy już się zaczęła ucztą i kilka jój padło ofiar. Uwięziono sprawców sprzysiężenia, na sługach wymogli wyznanie. Anglicy już się zbliżali, lecz grad kul ich odstraszył.

Sądem wojennym skazani na śmierć wszyscy spiskowi, cała rodzina hrabiego, prócz Donny Maryi Dolores. Lecz ona łaski przyjąć nie chciała, i od generała francuzkiego wyżebrała ulaskawienie innego członka rodziny, tego, którego ojciec wybierze.

Ojciec wybiera syna najstarszego; każe mu żyć, by przyszłej rodziny był ojcem i w niej wieczną ku Francuzom zaszczyt nienawiści.

General Reigner rzekł: „I na to przystaję, lecz pod warunkiem, by syn twój pierworodny ręką swą wykonał wyrok śmierci na własnej rodzinie. Pod tym warunkiem syna zachowasz; inaczej, córka twa żyć musi.

Syn nie przystaje, lecz ostatni surowy rozkaz ojca każe mu żyć dla nadziei zemsty, każe mu rodziców zabić, by w przyszłych synach znaleźć mścicieli. Ojciec w Hiszpanii pierwszym jest po Bogu.

Tu, na płaszczyźnie wysoko nad naszymi głowami, wykonano rozkaz. Młody dziesięcioletni brat Don Alfonsa naprzód podaje głowę, i mówi: „Na mnie się zapraw, mnie ją zdjąć najłatwiej.“ Pada jego głowa, pada głowa pięknej siostry, i ojca głowa spadła.

Matki ściąć nie mógł, nawet na jej prośby. Do takiego czynu żadna synowska ręka nie stworzona. Żywą ją strącić musiano tu w te odmetry, nad któremi stoimy, wraz z ciałami zabitych.

Don Alfonso żył, i spełniając wolę ojca swego ożenił się, aby mieć synów mścicieli. Bóg mu dał synów, lecz te dzieci przeznaczone jeszcze przed urodzeniem zemście, są idiotami, do niczego niezdolnymi.

Tak się mści natura nad człowiekiem, płodzącym w imieniu nienawiści to, co w miłości powinno być poczęciem, jeśli ma być doskonałym. Tak karze Bóg chrześcianina zapominającego, że pierwszą nauką Chrystusa jest: „Kochajcie się pomiędzy sobą i przebaczajcie nieprzyjaciółom”.

Nie masz życia w nienawiści, tak jak nie masz szczęścia w kłamstwie: gdyż nienawiść i kłamstwo są potęgami ujemnymi i wiodą powoli do śmierci.

Dodam tu jeszcze, że Don Alfonso nosił aż do skonu Ferdynanda VII tytuł honorowy „*el verdugo*”, to jest kat. Potem rzucił ten tytuł, smutny tytuł; lecz i urzędowe zobowiązanie jego posłuszeństwa synowskiego, jego nadprzyrodzonej odwagi, nie zdołało ani jednej chwili pojednać go z losem. Nieznośnym mu było życie; pamięć tego czynu zatruwała mu wszelkie szczęście.

Smutna ta, okropna, a niestety aż zanadto prawdziwa historia, jak głębokie dla rozumu ludzkiego nasuwa rozpamiętywania!

Wszyscy aktorzy téj tragedyi działali w imieniu honoru; ani jeden nie działał jako chrześcianin.

I dlatego téż silnie przekonany, że wypadek tak straszny nie mógł zdarzyć się bez szczególnego dopuszczenia Boskiego, wydzwignąłem go z niepamięci ludzkiej na światło, aby służył za przykład owym ciasnego wyobrażenia ludziom, utrzymującym, że w obrębie praw honoru znajdują się wszystkie przepisy powinności ludzkich.

A teraz opuśćmy razem z portem Vigo smętne nasze myśli i płynmy ku Oporto, gdyż tu kilka godzin zatrzymać się musimy.

Mineliśmy Oporto; przy innej sposobności opiszemy ważne to miasto. W nocy mijamy drobne wyspy Berlingi, nad ranem stajemy przy ujściu Tagu. Przed nami leżą piękne brzegi Portugalii. Tu na lewo rzeki, sterczą niebieskawe szczyty gór Cintra; tam na prawo, na drugiej stronie szerokiej na milę rzeki, rozciągają się płaszczyny prowincyi Alemtejo.

Lecz cóż się tu dzieje tuż pod brzegami morza. Massa jakaś niezmierna, czarna, podobna do okrętu przewróconego leży na ziemi, a naokoło mnóstwo ludzi, z dwieście tego, krząta się i kopie ziemię i taczkami pracuje.

To nie okręt, to trup ogromnego wieloryba zarzucony burzą na brzegi. Niewygodny to podarunek morza, gdyż przeszedłszy w zgniliznę, zaraził powietrze na milę wokół. Dlatego mu grób wykopują głęboki, i węń wciągają stoma kołmi i mułami. Gdzieindziej umianoby korzystać z tłuszczu na tran, a z kości na szkielet do muzeum, mianowicie, że rzadko się zdarza widzieć tak wyrosły potwór, 123 stóp długości; ale w Portugalii nie umieją korzystać z żadnych darów przyrody, nawet z zdechłego wieloryba.

Wszystko co podpadało pod oczy było niezwykle, prawie nadzwyczajne.

Tu przy samém ujściu, jeszcze w wodach Tagu, krążyła piękna fregata marynarki wojennej angielskiej z zaciągniętymi żaglami, i czekała widocznie na kogoś, a tymczasem zabawiała się strzelaniem do celu. O dobre bowiem staje kołysze się na powierzchni morza zwyczajna beczka, z małą flagą kolorową na niej zatkniętą. Do téj beczki strzela fregata, i pomimo małości celu, pomimo jego i okrętu kołysań, rzadko strzeli 4 razy do jednej beczki nie zatopiwszy jéj.

Z tą fregatą, statek nasz będąc jeszcze prawie o milę odległy, musiał na wezwanie wejść w rozmowę. Raport naszego kapitana trwał długo, dobry kwadrans, i odbywał się zmianami małych chorągiewek pięciu różnych kolorów i pięciu różnych kształtów. Wciągano je, przymocowane w pewnym porządku i krótkich ustępach; na jednej linie z galeryi w środku wielkiego masztu umieszczonej, wciągano je na szczyt masztu w taki sposób, że się rozwijały dopiero w chwili, kiedy do samego szczytu doszły, a natychmiast zwijały, kiedy jedna z szczytu schodziła, a druga następowała.

Tym umówionym językiem, gdyż cóż innego mogło przedstawiać pięć flag różnokolorowych pięciu różnych kształtów, jak litery alfabetu, kapitan nasz opowiadał zapewne kapitanowi fregaty królewskiej coś bardzo ważnego; pewno nie swe wrażenia chwilowe lub nowiny dotyczące jego rodziny. Za zbliżeniem bowiem do ujścia, widzieliśmy łódź obszerną odpływającą od fregaty i zbliżającą się do nas; na łodzi prócz ośmiu majtków robiących wiosłami i sternika, siedział znów z dumną i zimną miną kadecik marynarki w krótkim mundurze, zbliżył się do naszego statku, wstąpił nań i zażądał od kapitana, aby mu dał listę pasażerów. Pięciu z nich, (byłoto właśnie jedno z dwóch sobie nieprzyjaznych stronnictw portugalskich), poprosił z sobą. „Panowie będą łaskawi przyjąć gościnność flagi królewskiej na ten dzień, przez który statek parowy zabawi na wodach Lizbony; proszę z sobą panie margrabbio i wy panowie”. Byłto w istocie hrabia Amarante margrabia de Chaves, ten sam fanatyczny zwolennik don Miguela, który jeszcze przed jego powrotem w roku 1827 rokosz w Portugalii podniósł. Tą razą pewno nie przybywał w chęci robienia zamieszek, chciał zapewne tylko pod protekcją flagi angielskiej i na neutralnych deskach statku zwiedzić ojczyznę, za którą tęsknił i do której wrócić nie mógł; ale i to obudziło podejrzenie. Zapisanym był pod nieswojém nazwiskiem, dlatego też opuszczając statek, okropnie rzucił spojrzenie na drugie stronnictwo Portugalczyków; winił ich niezawodnie o wydanie swego *incognito* kapitanowi, którego znów powinnością było uwiadomić władzę wojskową swego kraju o zrobioném odkryciu. Z tego powodu była zapewne długa ta rozmowa na płatki różnokolorowe.

Już jesteśmy w szerokim, czystém korycie złoto toczących wód Tagu, już bliżcy starożytnego zamku Belem, zbudowanego w środku wód wzburzonych. Wystawili go królowie Emma-

nuel (1) i Jan V. Jestto właściwie tylko wieża z wystającą baterią, która broni przejścia przez rzekę; lecz cała budowa jest ogromna, oryginalna, i tak silna, że leżąc w środku wód, tłuczona burzą i bałwanami, w niczem jeszcze nie ucierpiała.

Jeszcze pół godziny, a jesteśmy przed Lizboną, wznoszącą się amfiteatralnie na spadzistościach siedmiu wysokich pagórków. Na najwyższym, najspadzistszym z nich, na prawo, piętrzą się baterye, a na szczycie leży groźnie cytadella św. Jerzego. Na średnim, w środku miasta wznosi się czysto i jasno w eterze nieba kościół „Coracao do Cristo” (serca Chrystusowego), zbudowany na wzór watykańskiego, z wielką, wysoką kopułą. Pyszne pałace Lizbony, ogrody na wzniosłych zawieszane tarasach, błyszczą w świetle słońca, jaśniejącego nigdy niewidzianym blaskiem; a tu na niezmiernym zwierciadle Tagu, krążą tuż pod miastem tysiące statków różnych wielkości i kształtów, od dumnych okrętów liniowych Anglii i Francyi, do malutkich feluk przewożących podróżnych z miejsca na miejsce.

A właśnie natrafiliśmy na wielką uroczystość. Królowa zaprzysięgała nowe wydanie nowo zmodyfikowanej najnowszej konstytucyi, i w świetnym orszaku, w wozie tryumfalnym, ośmioma białemi mułami zaprzężonym, otoczona gwardyami i kompanią starodawnych łuczników, uzbrojonych na ten raz w halabardy, przejeżdża przez wspaniały plac Inkwizycyi, najświetniejszą część Lizbony. Grzmią działa na cytadelli św. Jerzego, grzmią w Belem; odpowiadają im salwy licznych statków wojennych Anglii, Francyi i Szwecyi. I stary niezmierny okręt liniowy portugalski zwany Rainha Nao (2) (królowa okrętów), największy z istniejących na całym świecie, gdyż na 140 dział zbudowany, rozbija powietrze odgłosem swych wystrzałów. Na wszystkich okrętach powiewały radośnie owe tysiączne chorągwie i flagi, któremi się stroją

(1) Emmanuel król Portugalii, zwany Wielkim przez niektórych historyków, Szczęśliwym przez większą ich liczbę, panował od roku 1495 do r. 1521. Prowadzenie jego zasługuje na największą uwagę, gdyż obfitęm było w ważne wypadki. Emmanuel spełniając życzenie swjej żony Izabelli, wygnął z Portugalii Maurów i żydów, i przez to pozbawił ją mnóstwa rąk czynnych i zręcznych. Vasco de Gama najprzód okrążył przylądek Dobrzej Nadziei w r. 1497. Alvares de Cabral zapewnił Portugalii panowanie nad Brazylią w r. 1500. Jacenty Figuejra podbił jej wyspę Sumatrę r. 1510, a Alburkierke w r. 1511 miasta Goa i Malacca. Zdobyte te, które były dla Portugalii źródłem stawy i bogactw, dały Emmanuelowi tytuł Wielkiego.

(2) Okręt ten tak się podobał Nelsonowi, że posiadanie jego było celem zabiegów admirała; lecz Portugalia przywiązywała do tego okrętu losy swego istnienia i umiała go bronić. Później Rainha Nao był statkiem admirałskim Don

okręty w dni świąteczne. Dzwony całej Lizbony rozkołysane wtórowały swą poważną harmonią, a liczne zegary wieżowe wybiły w brylantowych kurantach hymny narodowe tak żywe i radosne, jak gdyby prowadziły Portugalczyków na same tylko ucztę i gody, a nie do bratobójczej walki.

Uroczy to był i pełen wspaniałości widok! Każdy nim był przejęty, nawet owi zimni Anglicy, których pierwszą jest zasadą *nil admirari*. Wieczne żywioły: powietrze, woda, ziemia i ogień cieszyły się z radości tego ludu, który zapomniał, że się tu krew jego lała na ulicach dwadzieścia pięć dni temu, z radości téj królowej, która umiała szlachetnie przebaczyć.

Porywające uczucie radości, sympatyą mimowolną ogarniało wszystkich.

Nie! nie wszystkich! Jest tu na pokładzie naszego statku grupa ludzi, grupa Portugalczyków, którym widok ten radości rodaków sprawia uczucie goryczy, malującej się wyraźnie na żółcią przesiąkniętych, surowych, myślących twarzach. Oni może także nie mogą wstąpić na ziemię rodzinną i dzielić radości ogólnej? I to nie. Właśnie ulaskawieni amnestyą królewską wracają do kraju. Jestto książę Tercejry, ów mężny obrońca Azorów, ów wierny zwolennik Don Pedra, wracający z wygnania z swemi powiernikami.

On może zna lepiej swój kraj, płochość ludu, zmienność woli klass wyższych.

On może żałuje straconego wpływu i przemyśla nad środkami odzyskania go?

On może już uznaje, że w sercu ludzi kierujących polityką nie masz nigdy szczęścia zupełnego, a żądza władzy trwa w niem wiecznie, wiecznie!

Ucichły działa, dzwony, kuranty, okrzyki ludu i muzyki wojskowe na ziemi i na wodzie.

Urzednicy Alfandegi, to jest komory celnej, wrócili do zatrudnień; teraz można było zająć się wylądowaniem.

Trudna tu przeprawa z celnikami, bardzo niegrzeczniemi, przyznać trzeba; a byłaby jeszcze trudniejszą, gdyby ojciec Izydor dobrze tu znany i nadzwyczaj poważany, nie był załatwił wiele trudności.

Miguela i w krwawej bitwie pod San-Vincente dostał się w ręce walecznego kapitana Napier. Bronił się zacięciój jak wszystkie inne, i sami Anglicy utrzymują, że losy Portugalii byłyby inny wzięty obrót, gdyby reszta eskadry Don Miguela tak się była broniła, jak stara morską królowa.

Za dwie rzyby bibuły angielskiej, którą przeznaczałem na suszenie roślin portugalskich, i za kilka tuzinów słoików z flint-glasu z szlifowanymi korkami, przeznaczonych na konserwowanie innych istot organicznych Portugalii, kazano mi zapłacić 12 tysięcy reisów cła.

Dwanaście tysięcy! Struchlałem. Szczęście, że ta ogromna summa wynosiła tylko osmdziesiąt kilka złotych polskich, inaczej byłbym się zrzekł szkła i bibuły, roślin i zwierząt portugalskich.

Portugalczyk wyraża się pompatycznie: dwanaście tysięcy reisów; Anglik byłby powiedział skromnie: dwa funty szterlingów.

Ubogi Portugalczyk mami się cyframi w braku samej rzeczy, i liczy swe summy rozbiórowo, aby się sam choć pozorem osłepiał. Bogaty Anglik liczy swe kapitały zbiorowo, dla ułatwienia rachunku.

Pocziwy misyonarz pożegnał mię z wielką serdecznością, mówiąc mi: „Gdyby się panu co nieprzyjemnego wydarzyło, nie zapominaj, że masz w skromnej missyi angielskiej przyjaciela, zawsze gotowego do służenia ci radą i czynem”. Później uznałem z rozrzewnieniem, że spotkanie nasze musiało być dziełem Opatrzności.

Kazaliśmy się zaprowadzić do najpiérwszego hotelu Lizbony, blisko Caesodré, to jest głównego bulwaru leżącego, a przez wdowę Portugalczyka, Francuzkę rodem, utrzymywanego.

Dano nam dwa obszerne pokoje, w których prócz bardzo skromnych łózek i kilku krzeseł, żadnych nie było mebli. Istna pustynia dla nas, przyzwyczajonych do komfortu angielskiego.

Lecz, tam gdzie klimat jest pięknym i wzywa do podziwiania przyrody, mniej dbają o wygody w domu; i odwrotnie. Wkrótce do téj zmiany przyzwyczać się zdołaliśmy.

Podczas obiadu, gdyż hotel miał *table d'hote*, siedziałem niedaleko oficera portugalskiego w odstawce, wypyującego mię, czy przypadkiem nie znajdował się w naszym towarzystwie na statku pan jeden, około 50 lat mający, czarny, żółtawy, z blizną na twarzy, podróżujący w towarzystwie czterech młodszych, a nazywający się don José Caldeiro.

Odpowiedziałem mu, że istotnie podróżował z nami pan jeden tego wieku, czarny, żółtawy, z blizną, w towarzystwie innych czterech, ale się nazywał hrabią Villafior księciem Terceiry.

Na to nazwisko, wymienione bez ogródki, oficer zbladł jak gdyby piorun w niego uderzył, i spytał: „Zkąd pan wiesz, że to

była ta osoba?" „Bo mi ją tak nazwał ksiądz jeden znający go dobrze, a niewiedzący może, że ksiązę chciał podróżować incognito" odpowiedziałem.

„A kto był ten ksiądz, gdzie jest ten ksiądz?" spytał dalej.

„Pozwolisz pan, że popelniwszy raz mimowolną niedyskrecją odpowiedzią na pytania pańskie, nie popelnę jęj z własnej woli teraz" odpowiedziałem.

„Zobaczymy, zobaczymy", odrzekł oficer wstając od stołu i miotając na mnie wzrokiem jak jadowitemi pociskami.

Byłto właśnie adjutant księcia Terceiry, wzięty do niewoli w bitwie wojsk królowej przeciw szartystom Pedrystowskiemu, i wypuszczony z więzienia dopiero od tygodnia za dekretem amnestyjnym królowej, prześladowanej, jak to już wiemy, bardzo niechętnie ludzi, którzy właściwie za nią, choć przeciw własnemu jęj wojsku walczyli, lecz która prześladować musiała dla ocalenia pozoru.

Omylone nadzieje, więzienie, niepewność przyszłości, wyrodziły w adjutancie tę podejrzliwą drażliwość, aż zanadto powszechną u wszystkich ofiar polityki, a u Portugalczyków przechodzącą w nieubłaganą zapalczywość.

Towarzysz mój p. K.. lepiej ich znający, wieszował mi; „Eh bien vous y allez rondement, vous voici aux prises avec un s..... payen auquel un coup de poignard ne coutera pas plus, qu'un coup de lancette à vous-même".

Zbytne były te obawy tą razą. Ksiązę Terceira doświadczywszy dobrego przyjęcia u królowej, znajdującej się po raz drugi w stanie nadziei, a łagodzonej tym stanem w swym charakterze, i nie doświadczywszy żadnych objawień niechęci swego ludu, znajdującego się w stanie nadziei lepszych czasów, poznał, że incognito jego, zresztą łatwe do przejrzenia, nie było rzeczą niezbędną.

Adjutant uznał widać niewłaściwość swego uniesienia, gdyż się zbliżył do mnie z tą grzecznością, jak przy pierwszym spotkaniu.

Postanowiłem być ostrożniejszym na przyszłość z ludźmi, zawsze gotowemi do wynajdowania przyczyn nienawiści, zawsze gotowemi mścić się jakimikolwiek bądź środkami.

Lizbona jest ogromnym, choć pełnym ruin miastem. W jakkolwiek prawie spojrzysz stronę, wszędzie jeszcze zoczysz ślady owego okropnego nawiedzenia Boga, owego trzęsienia ziemi, które 95 lat temu zniszczyło prawie całe miasto. Wielki Pom-

bał (1), ów Richelieu portugalski, odbudował część miasta w rozmiarach prawdziwie imponujących; część ta dziś najwięcej ożywiona, leży w środku doliny, zawartej łukiem siedmiu pagórków, a cięciwą szerokiego Tagu.

Z głównego placu Lizbony wychodzą cztery piękne ulice; pomiędzy temi ulica Złota (rua da Ouro) i ulica Srebrna (rua da Prata), tak nazwane od kowali złota i srebra tam mieszkających, zastanawiają wspaniałością. Domy mają ogromne rozmiary, i tak są wysokie, jak największe zamki. Niezmierne słupy wspierają ogromne arkady wokoło placów, i te służą na przechadzkę w czasie wielkich upałów. Ulice środka miasta są zupełnie zrównane i dobrze brukowane, i tém się korzystnie odróżniają od ulic reszty miasta, szczególnież od ulicy Alemcrin czyli Rozmarynowej, która wychodzi na bulwar Caesodré, i tak jest spadziwą i w czasie obfitych deszczów do strumienia podobną, że niełatwo po niej schodzić. Po obu stronach téj ulicy wznoszą się pałace szlachty portugalskiej: budynki ciężkie i groźne, lecz zarazem okazałe i malownicze z owemi ogrodami, wiszącymi wysoko nad ulicą.

Pomimo wszystkich ruin i spustoszeń, Lizbona jest niezaprzeczenie najosobliwszém miastem całego półwyspu, i prawie tyle zasługującym na uwagę artysty, co Rzym. Prawda, choć jęj nie braknie pięknych kościołów, nie posiada ona tak olbrzymiej bazyliki, jak jest kościół św. Piotra, przyciągający oko podróżnego i zapelniający je cudami. Lecz cóż z drugiej strony może się równać z tym wiecznym pomnikiem pracy, cierpliwości i sztuki ludzkiej, z tym wspaniałym wodociągiem Lizbony? Niezmierni, do 160 stóp wysokimi nogami przekracza on w stro-

(1) Don Seb. Joz. Carvalho-Melho hrabia Oeyras, margrabia de Pombal, urodzony w r. 1699 w Soura, blisko Coimbrę. Król Józef I mianował go w 1750 swym ministrem spraw zagranicznych, a wkrótce potem został ministrem wszechmocnym. Władzę zachował podczas 27 lat, i bezustannie starał się o nadanie siły rządowi, a przytłumienie facyi, o osłabienie przemocy szlachty, a rozkrzewienie światła i handlu. Bezprawia inkwizycyi zdołał ukrócić; umiał nawet dzięki swęj światłęj administracyi zmniejszyć nieszczęście, spowodowane okropnym trzęsieniem ziemi, które pogrzyżyło całą prawie Lizbonę w gruzach (1755 r.). Jezuitów ścigał gdzie tylko mógł; odebrał im administracyą kraju Paraguay, wymógł nawet w Rzymie dekret reformujący to braterstwo; później wygnał ich zupełnie z Portugalii i z Brazylii (1760). Starał się wydrzeć Anglikom handel portugalski. Obsypany łaskami i zaszczytami przez Józefa I, stracił swą władzę i wziętość po śmierci tego króla r. 1777. Obarczony tysiącami oskarżeniami został wygnany i wkrótce umarł na wygnaniu (1782). Pombal jest największym ministrem, jakiego miała Portugalia. Odstępując władzy, zostawił 240 milionów fr. w skarbie krajowym. Lecz formy jego były tyrańskie, zawziętość jego przeciw szlachcie i Jezuitom zawielka. zamilowanie jego w ideach filozoficznych XVIII wieku zanadto bezwzględne.

nie północnej głęboką dolinę, potem nurza się pod ziemią, biegnie pod nią milę całą, znów na jaw wychodzi, znów się zapada, nareszcie przybywa do gór Cintra, odległych od miasta o 5 mil geograficznych, i ztamąd czerpie w czystych krynicach ów płynny kryształ, tak potrzebny ludziom. Tam bierze go na swe silne barki i wraca niezmiernym strumieniem do spragnionego miasta, składa go w głęboką cysternę, wydrążoną w olbrzymiej opoce w środku ogromnego gmachu, zwanego poetyckim językiem *Maj das agoas*, matką wód. Ztąd go roznosi tysiące rur do wielkiego mnóstwa fontan publicznych i prywatnych, i trzykroć sto tysięcy (1) ludności żywi się bezprzestannie jednym, ręką ludzką wzniesionym strumieniem.

Na szczycie wysokich arkad, po obu stronach strumienia, ciągną się na ośm stóp szerokie ganki, któremi można dojść, dojechać nawet do pałacu królewskiego Bemfica, o trzy ćwierci mili od miasta odległego. Ganki te precudne, z których widok na morze, miasto, góry i pola, rzeki pod nimi głęboko płynące, tak piękny i uroczy, ganki te na nieszczęście są częstym traktem rozbojów; niejeden podróżny padł tutaj ofiarą swego zachwylenia. Podczas mego pobytu w Lizbonie, zrabowano tu, a potem zabito młodego Anglika.

Część jedna miasta nigdy z gruzów nie powstała od pamiętnego trzęsienia ziemi, które zabiło 30,000 ludzi i zrobiło na 2 tysiące milionów złp. szkody. Dziwna rzecz! że ta sama ziemia, która pochłonęła w siebie tyle skarbów i życia, wyrzuciła z swych ciemnych głębi to, czego strawić nie mogła: szczątki niezapreczenie dawnego amfiteatru rzymskiego, o którego istnieniu nie wiedziano nawet, a który wnosząc z rozmiarów kolumn i głazów wyrzuconych, musiał być również pięknym i obszernym, jak amfiteatr w Nimes we Francji południowej. Pochodził z czasów, kiedy się Lizbona jeszcze nazywała Felicitas Julia, z drugiego wieku po Chrystusie; dwa głazy napis ten noszą. Najdawniejszym nazwiskiem Lizbony było Olissipo, podobno od Ulisesa założyciela.

Piękna Lizbona przedstawiała w wielu jeszcze miejscach obraz serce rozdierającego zniszczenia. *Impavidum ferient ruinae!* Prawdziwość tych słów wyczytałem na twarzy mego niczém

(1) Ludność stała Lizbony dochodzi według najnowszej w r. zeszytym sporządzonej statystyki do 276,000, lecz z ludnością niestałą dochodzi czasem do 300,000.

nieustraszonego towarzysza, a jednak rażonego widokiem całej części miasta, leżącej od wieku prawie w gruzach; tego przedmieścia spalonego przez Don Miguela jeszcze w r. 1833, a którego nikt odbudować nie myślał; tych arkad wodociągu porażonych pociskami z armat; tych pięknych niegdyś ogrodów klasztornych, tak gęsto wokoło miasta rozsianych, teraz spustoszałych, zarosłych chwastem i służących za knieje i kryjówki rabusiom i różnego rodzaju złoczyńcom.

Z klasztorów tych spekulanci artystyczni à la lord Elgin powywozili za marne pieniądze wszystkie arcydzieła sztuki, od tak dawnych czasów tu nagromadzone, a potem u tandeciarzy archeologicznych w Paryżu i Londynie, drogo sprzedawali lubownikom sztuk pięknych. Powywożono nawet drzwi kościelne, jeżeli były pięknej roboty, okna kolorowe powyjmowano i framugi nawet okien marmurowe nie oparły się chciwości pustoszycieli.

Klasztory były własnością narodową, to jest właściwie do nikogo nie należały. Nikt się tém dobrem nie opiekuje, dopóki zostaje w rękach narodu; a biada temu prywatnemu, który je nabywa, jeśli się wprzód bandytom drogo nie opłaci.

Kilku Anglików nabyło dobra narodowe jeszcze przed edyktem senatu, zakazującym sprzedawać je cudzoziemcom; pożałowali téj śmiałości, czyli raczej rodziny ich pożałowały, gdyż oni już nie żyją.

Jeden tylko cieszy się jeszcze swém kupnem. Nabył cały klasztor, prócz kościoła, z pysznym ogrodem i dwunastu morgami pięknego pola za 24,000 złp. Sprowadził sobie kilkunastu parobków angielskich i założył w swój posiadłości rodzaj kolonii wojskowej. Jest w ciągłym stanie oblężenia w własnym swym domu; połowa załogi patroluje, kiedy druga oddaje się spoczynkowi. Pomimo stróżów i psów, zamków i samostrzałów, pomimo wszystkich wysień, tysiącznych ostrożności, bezustannego czuwania, nie może ustrzedz się skutków nieprzyjaźni. Drzewa najpiękniejsze podcięto mu w ogrodzie, spalono kilkakrotnie plony tuż przed żniwem, powrzucono jadowite węże do oranżeryi, zatruto wodę w studni; słowem, niemasz tygodnia, żeby się nie dopuszczono jakiegoś brzydkiego, złośliwego bezprawia.

Tylko punkt honoru wstrzymuje Anglika; już dawno byłby opuścił swą posiadłość, a tém samém rzekł się wszelkiego do niej prawa, gdyż w jego nieobecności niktby nie śmiał nią zawi-

dywać; posiadłość zaś należąca do cudzoziemca, a nie zawiadywana przez lat dwa, z prawa przypada na rzecz skarbu.

Lecz piękność nieba i przyrody, cudna, pełna siły i życia wegetacya, usposobienie jakieś wyjątkowo wesołe Lizbończyków, chwilowo zadowolnionych obrotem spraw politycznych, tak błogi na nas stęsknionych wpływ wywierała, żeśmy umyślili zabawić w Lizbonie tygodni kilka; dlatego opuściliśmy hotel, i aby wejść bliżej w życie familijne portugalskie, najeliśmy mieszkanie w domu prywatnym, przyjmującym dobrze rekomendowanych cudzoziemców.

Byłoto w części miasta dość odległej, niedaleko od pięknego kościołka i jeszcze piękniejszego cmentarza angielskiego.

Domu tego boginiami były trzy siostry; panny już nie w pierwszym kwiecie młodości, śniade przytém bardzo, nadzwyczajnie dobre i nabożne, ale nieładne, nawet wcale nieładne.

W ogólności tak trudno jest zobaczyć ładną Luzytankę, jak trudno jest zobaczyć brzydkiego Luzytańczyka. Prawda, że z wyższych stanów damy bardzo rzadko wychodzą na ulicę nawet do kościoła. W każdym większym domu znajduje się kaplica i kapelan, o którego nietrudno i za najtańsze pieniądze, od czasu zniesienia klasztorów.

Duma portugalska nie pozwala damom wyższego towarzystwa pokazywać się na ulicy inaczej, jak w lektykach i pojazdach, a od zniesienia praw feodalnych, robot i niezliczonej ilości kłesk spadłych na naród, panowie portugalscy tak znacznie podupadli na majątkach, że największej części nie stać na pojazd lub lektykę.

Z téj przyczyny damy muszą siedzieć w domach, nie mogą z nich nawet wychodzić na świeże powietrze, jeśli niemasz przy mieszkaniu ogrodu. Przez okno nie pokazują się nigdy, gdyż ich nie stać na brylanty i kosztowne stroje, a Portugalka znacznego rodu tak się wstydzi bez brylantów, jak w Anglii pokojówka bez kapelusza, lub u nas młodsza bez rękawiczek.

Nietylko córki niegdyś tak zamożnej arystokracji, lecz i młodsi jój synowie nie wychodzą prawie nigdy na jaw, a to dla téj samej przyczyny:—dla dumy i biędzy.

Przedtém słońce tylko dla nich świeciło, woda tylko dla nich płynęła, kwiaty tylko dla nich rosły.

Dziś słońce świeci, woda płynie, kwiaty rosą dla wszystkich dzieci Boga.

Ale oni z tym dziwnym stanem rzeczy jeszcze pogodzić się nie chcą, i dlatego czekają lepszych czasów, kryją się w domach, do niczego się nie biorą, niczego się nie uczą; najstarszego tylko syna, przyszłego dynasta pięknie ubierają, sprawiają mu konie, karyolkę, służącego, i wysyłają go na ulicę utrzymywać sławę rodu. Sami zaś siedzą w domu, wszyscy razem w stancyjce najodleglejszej, z swym kapelanem, mówią paciérz, złorzeczą światu i jedzą pomarańcze, chléb z kukurydzy i sardynkas.

Sardynkas sąto ryby mniejsze daleko od śledzi, lecz z tego samego rodzaju. Poławiają się milionami milionów na brzegach Portugalii. Mało kosztują, a świeże osmażane w taniój tutaj a wybornój oliwie, doskonale smakują.

Sardele są tém dla całej prawie Portugalii, czém są kartofle dla ludu polskiego.

Bez sardelów nie byłoby Portugalii.

Dziewięć dziesiątych części każdego Portugalczyka składa się z sardelów, bez przypuszczenia metempsychozy. Dziewięćdziesiąt setnych każdej Portugalki składa się z sardelów. Niemi tylko żyją, i niemi tak wszystkie kobiety, domy, ulice w Portugalii przepachniały, że zapach jednych, przypomina w pamięci istność drugich.

Tak i nasz dom posiadał znakomity przywilój być główną kwaterą tych interesujących ryb.

Współmieszkańcem domu był pan Meyer, Niemiec, tłumacz i professor języka niemieckiego dworu tutejszej księżnej de Braganza, byłej cesarzowej Brazylii, damy powszechnie ubóstwianej, która nie chcąc przysięgać na wierność innój konstytucyi jak téj, którą zmarły jój małżonek nadał krajowi, wołała (już po mym wyjeździe) opuścić Portugalią z wielką boleścią serca Portugalczyków, z mniejszą może boleścią serca Donny Maryi, i wrócić do swój wysokiój rodziny, do Bawaryi.

Pan Meyer jednocześnie jest korespondentem Gazety Augsburskiej i pisze jój owe artykuły w duchu bezwzględny, które światu tak fałszywe dają wyobrażenie o stanie rzeczy w Portugalii.

Jak pan Meyer może jednocześnie służyć księżnie Bragancyi, której małżonek nadał prawo zasadnicze, i służyć zarazem Gazecie Augsburskiej, to pojmie tylko ten, kto zna wysoki polot filozofii uczonych niemieckich, i wie, że zawsze są gotowemi poświęcić jak najuniżeniój względne *ja*, bezwzględnemu *on*.

Dość, że nim był, lecz zresztą najlepszy człowiek w świecie; opinii właściwie żadnej nie miał, wiedział tylko, że wino portugal-

skie jest wyborne, i używał tego daru natury z bezwzględną nie-
skończonością. Zdrowie miał po temu. Nie tak jego przyjaciel
i kolega Anglik, także tłumacz, professor i korespondent londyń-
skiego *True Sun* (Prawdziwego słońca). Ten umarł na dwa ty-
godnie przed zapoznaniem się mým z jego kolegą, umarł z butel-
ką w rękę, nie w znaczeniu przenośnym, lecz w rzeczywistém,
prozaicznym znaczeniu:— z butelką w rękę jednym słowem.

Ja teraz zabrałem miejsce nieboszczyka, ale tylko w mie-
szkaniu, nie w sercu pana Meyer; na to trzeba było umieć lepiej
władac butelką niż ja umiem.

Jednakże towarzyszyłem panu Meyer nieraz do *quintas* czyli
domów wiejskich okolicznych, które znał doskonale, w każdym
bowiem dostanie dobrego wina, séra, chleba, wybornych poma-
rańcz i wysmienitych oliwków.

Towarzystwo nasze domowe powiększyło się jeszcze za pow-
rotem znanego mi już doskonale z wielokrotnych opisów, orygi-
nalnego doktora Lange, uczonego naturalistę, którego sławny
professor Schönlein (teraz w Berlinie, wówczas jeszcze w Zurych
rezydujący), wysłał w świat dla przesyłania mu egzemplarzy do
swego zbioru botaniczno-zoologicznego.

Doktor Lange miał zaledwie lat dwadzieścia kilka, a już był
typem tego rodzaju jednostronnych uczonych, którzy z zawodu
swego umieją zrobić monomanią, z wszystkich sił swych kółka
jedną sprężyną popychane. Dla niego to tylko miało wartość, co
można było w bibule przechować, wypchać, w spirytusie konser-
wować, śpilką przekłóć i na kapelusz wsadzić. Kobięta, żeby by-
ła najpiękniejszą nie zwracała bynajmniej jego uwagi; oddałby ją
był chętnie za ową glistę z świecącym fosforycznym łepkiem, o któ-
rą gdzieś wyczytał, że ktoś ją miał odkryć w bliskości Lizbony.
O niej tylko myślał, o niej marzył, ona sny jego czarowała. Ko-
pał dołki we wszystkich ogrodach, gdzie tylko mógł i całe noce
przepędzał nad nimi, pilnując z rozwartemi oczyma i czekając
zjawienia się tego łepka świecącego, który był zenitem jego na-
dziei, ideałem serca. Na tych, którzy mu dowodzili, że łatwiej
wynaleźć kwadraturę koła lub odkryć kamień filozoficzny, jak zna-
leźć glisty z latarniami, spoglądał z politowaniem, gdyż z je-
go rachub opartych na analogii zoologiczno-filozoficznej, wynikało,
że takie stworzenie musi istnieć, że takiego jestestwa braknie
właśnie do uzupełnienia stopni téj logicznej drabiny jestestw or-
ganicznych, po której od podłego wymoczka powstałego w wodzie,

można dojść wolno, stopniowo, bez podskoków aż do organizacji najdoskonalszego zwierzęcia, tojest: człowieka. „Musi istnieć ta annelida” dowodził nam doktor Lange „i musi wyglądać ot tak, jak ją tu wyrysowałem” dodał wskazując na rysunek „inaczej Stwórca byłby popełnił coś bardzo nielogicznego, tworząc ten świat, co być nie może.“

Kobięty europejskie nie interesowały go, choćby były najpiękniejsze ze wszech względów, z budowy i wzrostu ciała, z regularności twarzy, z koloru ocz, włosów, z nadobności w ruchach; a takim aniołem była Donna Julia, mieszkająca w domu naszym baletniczka hiszpańska. Wskazując na wrażenie, jakie sprawiała na wszystkich, pytaliśmy go, czy je choć w części dzieli. Odpowiedział zimno i zdziwiony: „Rasa kaukazka! znana w Europie; ja sam do niej należę, cóż mi z tego przyjdzie?”

Murzynki jednakże uwielbiał, szczególnież kiedy były z najbrzydszych pokoleń, kiedy miały jak najmniejsze czoło, a jak największą paszczę i z pół funta warg przynajmniej. W domu naszym znajdował się taki ideał, w kuchni do posługi. Ciągłe też przesiadywał w kuchni i wpatrywał się w ten potwór jak w tęczę, śledził jego ruchów i cieszył się jak dziecko, kiedy w nich dostrzegł coś do małpy podobnego. „I cóż myślisz zrobić z Marykittą—spytałem się raz doktora Lange:—naśpilkować ją, w spirytusie konserwować, wypchać lub się z nią ożenić?”

„Nie, nie ożenię się z nią — odpowiedział namyśliwszy się nasz zoolog — i cóż świata przyjdzie z tego; dzieci moje będą mulaty, a to już rzecz znana”.

Ztémwszystkiém nasz zoolog choć się tylko za zwierzę uważał, był poczciwém stworzeniem; fałszu w jego sercu i ustach nigdy nie było; niezmordowana praca jego, rzadka odwaga w wystawieniu się na wszystkie niebezpieczeństwa w swych ciekawych wycieczkach w odległe okolice, nieugięta wola dojścia do celu: zjednały mu szacunek nawet tych, którzy dla zabawy towarzystwa, ciągle go na dysputy najśmieszniejszej natury wyzywali.

Co do wiadomości naturalnych chemii i fizyki, geografii i astronomii, równie uczonego a tak młodego nie widziałem nigdy człowieka! Byłto istny chodzący dykcyonarz wiadomości naturalnych. Lecz polotu poetycznego, religijnego, i prawdziwie filozoficznego, nie zgoła nie było w téj duszy, oddanej całkiem nauce materialnej.

Serce miał dobre: był usłużnym i pomagał swym kredytem, chcącym z czasu korzystać kolegom.

Poznał mię z doktorem Kellermann, lekarzem przybocznym króla Don Fernando de Saksen-Coburg. Za jego i za dra Hamilton okulisty angielskiego wstawieniem się, otrzymaliśmy, dr. Lange i ja, wyraźny firman czyli patent od intendenta królewskiego dworu, pozwalający nam herboryzować, a nawet polować we wszystkich parkach i ogrodach królewskich, pod warunkiem jednakże, abyśmy duplikaty znalezionych roślin, złapanych, złowionych i ubitych zwierząt, raczyli złożyć do muzeum królewskiego, na co chętnie przystaliśmy, i cośmy nawet sumiennie wypełnili z wielkiem zadowoleniem dworu.

Dzięki boskiemu klimatowi Portugalii, dzięki spokojności politycznej, dzięki nareszcie ciągłym wycieczkom naukowym, towarzysz mój pan K. przychodził widocznie do zdrowia; mizantropia ogarniająca go w Anglii zaczęła ustępować.

Dzielił bowiem nasze wycieczki naukowe pan Teofil K. choć się bardzo mało znał na kamieniach, roślinach i zwierzętach; dzielił je jużto dla mego towarzystwa, jużto dla zbierania widoków: rysował bowiem bardzo pięknie i szczególnie miał dar oddawania *au vol d'oiseau* całych ogromnych krajobrazów.

Zwiedziwszy w kilka dni piechotą blizkie okolice Lizbony, tak piękne i tak urozmaicone rzeką, morzem, ogrodami, pałacami królewskimi, spustoszałemi klasztorami; umyśliliśmy wybrać się w dalsze wycieczki. Pan Teofil ułatwił urzeczywistnienie tego zamysłu, gdyż najął na cały pobyt w Lizbonie trzy muły, przyjął do służby dobrego przewodnika znającego drogi, i kupił dla niego osła.

Teraz nastąpił szereg wycieczek, których rezultat specjalnie naukowy, w inném, jeśli Bóg pozwoli, publiczności podam dziełku; tu się ograniczę na spisaniu tego, co kraj portugalski w stosunkach społecznych dotyczy. Lecz nie opuszczajmy jeszcze Lizbony bez przedstawienia czytelnikowi kilku oficerów, którzy podczas pobytu mego w Portugalii, wspierali mnie koleżeńskimi radami. Było ich trzech: ostatnie szczątki korpusu do 200 osób liczącego. Reszta była rozsianą pod tą ziemią portugalską, za którą walczyła, lub téż jęczała pod skwarem słońca afrykańskiego, w twierdzach i koloniach, w odległych i zatrutych krajach na przykładzie Zielonym, na wyspach św. Tomasza, w Mozambiku, w Angoli i Bengeli. Ledwo dziesiąty z tamtąd wraca; lecz nie-

uślabana potrzeba życia, zmusza dawnych obrońców Don Pedra do szukania w śmiertelnym niebezpieczeństwie przytułku przed nędzą. Kilka godzin przed méim przybyciem do Lizbony, podpułkownik U..... z dwoma jeszcze innemi oficerami popłynął do wyspy św. Tomasza, zkąd, jak się później dowiedziałem, żaden już nie wrócił nigdy. Jeden z towarzyszków podpułkownika, mianowanego podgubernatorem odległej kolonii, zabrał z sobą żonę, dwoje dzieci i matkę żony. Cała ta rodzina padła w rok ofiarą szkodliwości klimatu; nikt z niej nie wrócił.

Oficer inżynieryi, o którym już wprzód wspomnieliśmy, zdobył sobie prawo narodowości portugalskiej ważną usługą, wyświadczoną królowej, i jedynym był w służbie czynnej zostającym oficerem.

Kapitan M. odznaczył się jako dzielny kawalerzysta; Don Pedro lubił go bardzo, ozdobił go nawet krzyżem wojskowym portugalskim *Torres y spada*. Pomimo tego, po kampanii został wraz z innemi cudzoziemcami wykreślonym z kontrol armii czynnej; usługami swemi zyskał tylko też same korzyści, z których i Miguelistowskich nie wyzuwano oficerów, to jest otrzymał połowę żołdu.

Płaca ta, któraby wystarczyła na opędzenie pierwszych potrzeb życia, gdyby była gotowizną wypłacana, nie mogła i na roślinkowanie wystarczyć, gdyż ją wypłacano bonami przyszłym, a dziś zupełnie próżnym skarbem zabezpieczonemi.

Bony te wypadało więc negocyować z żydami i innego rodzaju spekulantami; rząd przyjmował je nazad do skarbu tylko jako podatek gruntowy, a oficerowie w odstawce gruntów nie posiadali.

Na tych bonach traciło się zatém często i połowę wartości. Szczęściem, że się utworzyła kompania bankierska angielska, wypłacająca dwie trzecie wartości tych bonów.

Kapitałisci angielscy śmielsi są od innych spekulantów bankierskich; wiedzą bowiem, że czuwa nad ich handlem flaga Wielkiej Brytanii, i że się ta wda czynnie w sprawę, skoro tylko mały jaki kraj zadłuży się głęboko u jój kupców.

Tym sposobem kompania angielska umiała sobie najniewinniej zabezpieczyć kilkanaście milionów czystego zysku, gdyż wszystkim pensyonarzom i urzędnikom wypłacano bonami, i wszyscy udawali się po wymianę do tego kantoru, w którym najmniej tracili.

Pan M. nie mogąc wyżyć bonami skarbowemi, ofiarował rzec się zupełnie swęj kapitańskię pensyi, pod warunkiem, żeby mu rząd dał w wieczną posiadłość piękny młyn skonfiskowany OO. Kapucynom, położony nad brzegiem Tagu w bardzo romantyczném położeniu. Na własne prośby kapitana rząd awansował go na młynarza. Młynarz zaś religijny, zaprosił do domu swego na kapelana, jednego z Ojców Kapucynów, pozostałych w Portugalii na *peseta de consolação*, to jest na pensyi rządowej 50 gr. dziennie.

Ojciec Kapucyn już niemłody, cokolwiek głuchy, a zatem na kapelana arystokracji niezdolny, przyjął miejsce u kapitana młynarza, który teraz mógł spać spokojnie pod swym dachem, gdyż go strzegła obecność wielebnego ojca przed gniewem szanownych gerylasów, zawsze gotowych do płatania bolesnych si-głów właścicielom dóbr kościelnych.

Kapitan młynarz jest najszcześliwszym ze wszystkich legjonistów Pedrystowskich.

Nie tak postąpił kapitan artyleryi pan D..... Będąc jeszcze w służbie czynnej ożenił się z ładną, ale ubogą, młodziuchną Portugalczką. Nasz kapitan miał już lat 40, prócz chlubnych ran i bohatérskich reumatyzmów.

Ta okoliczność, późnięj strata połowy żołdu, wypłacanie jęj bonami, skłoniły kapitana do przypomnienia sobie, że i on jest szlachcicem, że i on powinien być dumnym z swego rodu.

Przyjął tedy systemat życia arystokracji. Zamknął młodą żonę wraz z jęj matką w domu, przyjął kapelana, i abonował się na dziesięć tysięcy sardelów w porcie rybackim.

Czasem tylko, ale bardzo rzadko, wyprowadzał żonę do kościoła, na mszą najrańszą rozumie się; te bowiem są najzbawieniejsze dla duszy i najzdrowsze dla ciała, i wówczas śpią lwy li-zbońskie lub téż grają w karty, i nie mogą rozrywać nabożności Portugalek.

Z téj historyi dwóch kapitanów dowiedzieliśmy się, że jedna i taż sama bięda może zmusić jednego do demokracji, drugiego do arystokracji.

Dowiedzieliśmy się także, i to jest może ważnięjszém, że nie-masz w Portugalii możliwości szczęścia i bytu bez kapelana, księdzia i mnicha. I to nam tłumaczy rzadkie, zastanawiające zja-wisko, że na dziewiętnaście osób świeckich, przypadała jedna

osoba duchowna (1). Tak wielka konsumpcya tego artykułu, powinna była przekonać każdego o jego niezbędnej potrzebie, a jednak śmiano targnąć się na klasztory!

Nie braknie wprawdzie jeszcze zakonników. Wydaleni zostali z kraju tylko ci, którym dowiedziono, że czynny brali udział w wojnie, jako podszczerwacze lub zapaśnicy. Inni z własnej woli kraj opuścili, schronili się do klasztorów włoskich, poszli cywilizować dalekie kraje Afryki lub Ameryki. Największa część pozostała, bierze wsparcie od rządu, przytém trudni się kapełaństwem, nauczycielstwem wiejskiem, jeżeli się sami czegoś nauczyli; jakimś nawet czystém rzemiosłem, naprzykład introligatorstwem, stolarstwem, zegarmistrzostwem, jeśli są pracowici. Niewyświęceni poszli do wojska; dziś już są niektórzy oficerami, gdyż rząd widocznie ich faworuje, kiedy pokazują szczerą chęć pogodzenia się z swym losem.

Wielu także pogodziło się z tym losem, lecz mała do tego przyzna się liczba; pochodzi to z braku zaufania w trwałość stanu rzeczy, a zaprzeczyć nie można, że słabość rządu aż zanadto nieufność tę usprawiedliwia.

Ztémwszystkiem można wyrokować bez bojaźni omylenia się, że gdyby ten stan *niepewności nawet* potrwał jeszcze lat dziesięć, potrzeba tak wielkiej ilości mnichów dałaby się czuć daleko mniej gwałtownie, jak dotąd.

(1) Liczono w Portugalii 427 klasztorów męzkich i 109 klasztorów żeńskich. Rygor klasztorny nie był wcale surowym w największej ilości tych zakładów, które powinnyby służyć tylko za przytułek prawdziwie powołanym, a nie za sposób życia. Kto jak ja był świadkiem niewymuszoneści z pospolitością graniczącą, często nawet namiętności niczém niepowsięcanej mnicha portugalskiego i hiszpańskiego, ten nie pojmie wcale, że on może być bratem naszych zakonników, odznaczających się po największej części pokorą chrześcijańską, a zarazem godnością duchowną.

Według najprawdziwszych statystyków, liczba duchowieństwa portugalskiego, wliczywszy w to seminarzystów i sług kościelnych, dochodziła do 200,000. Na czele jego stał patriarcha w Lizbonie, którego dostojęństwo i władzę król Jan V zdołał wymócić i wyprosić na papieżu wielkimi wysileniami pracy i pieniędzy. Prócz tego jest trzech arcybiskupów: w Lizbonie, w Braga i w Evora, mających za sufraganów dziesięciu biskupów w Portugalii i koloniach.

Wysokie duchowieństwo posiadało niestychane dochody; król z nich ciągnął jednakże czwartą część dla siebie. Prócz tego wybierano pod różnemi tytułami podatki dla papieża, i z nich posyłać Rzymowi ani grosza. Rzym z tój przychyny nazwał Portugalczyków nędznemi żebrakami i polecił ich modłom wiernych. To było niepolityczném. Portugalczyk zniesie nazwę zbójcy i bezbożnika; epitetu nędznego żebraka nigdy, i do dziś dnia go nie strawił.

III.

Piérwszym celem odleglejszych wycieczek była Cintra. Jeżeli jest gdzie w świecie miejsce godne nazwać się krainą czarowną, tém miejscem być musi Cintra. Kto widział raj portugalski, ten wkrótce zapomni Aranjuez, Trianon, Schönbrunn, a nawet Tivoli.

Pod tém nazwiskiem nie rozumiem ja małego tylko miasteczka; przez Cintra rozumiemy całą krainę, miasto, pałac, domy letnie i wiejskie, lasy, opoki, skały, ruiny zamczyska maurytańskiego, które nagle, jak sztuką magiczną stworzone, wpadają w oczy, skoro obejdziemy boki smutnej, dzikiej góry skalistej, przegradzającej widnokrąg jak ściana jaka olbrzymia.

Nic w istocie nie masz smętniejszego, mniej obiecującego, jak widok téj ogromnej opoki ze strony południowo-zachodniej z Lizbony; zdaje się, że ona chce ukrywać Cintrę przed oczami świata: lecz druga strona przedstawia niewyczerpaną widownię czarującego piękna, sztucznej elegancyi, dzikiej wielkości: kopuły, wieże, niebotyczne drzewa, śliczne kwiaty, grotty, kaskady, domy letnie, jakich nigdzie indziej pod słońcem nie znajdziesz.

Oh! są tam dziwne i zachwycające rzeczy w Cintra, a dziwne są i straszne owe pamiątki do nich przywiązane. Ruiny na tym wysokim szczycie skalistym, które stracone nieubłaganą ręką czasu zalegają część téj spadzistej drogi, wijącej się niegdyś jak wąż około opoki; ruiny te były niegdyś główną warownią luzytańskich Maurów, i tutaj, kiedy księżyc w pełni, a wiatr świszczy od Atlasu, zbiegają się cienie dzikich Santonów (1), by modlić się na grobie sławnego Marabu, spoczywającego pomiędzy skałami.

W owym szarym, starodawnym pałacu zebrali się po raz ostatni kortrzy, by pożegnać młodego króla Sebastjana, udającego się na swą romantyczną wyprawę przeciw Maurom, w której znalazł śmierć pod Alcazarquibir.

A w tym skromnym domu wiejskim, stojącym w cieniu wysokich alcornoków (2), mieszkał niegdyś stary bohater Jan de Castro vice król prowincyi Goa, który zastawił wasy syna swego dla uzyskania pieniędzy, potrzebnych mu do odbudowania wałów for-

(1) Świętych mahometańskich.

(2) Drzewa sprowadzone z Ameryki, niezmierniej dochodzące wysokości; liście ich podobne do jaworowych, lecz daleko większe.

tecy, zagrożonej przez Indyan; on to przyniósł z Indów sceny swój chwały, te walące się głazy, stojące przed domem z głęboko rytemi wierszami Vandy sanskrytskiej.

Nad tą zaś cudną, bystrym strumieniem przerznąłą doliną, na spadziści tego dziwnie bujną wegetacją okrytego przedgórza, walą się kształtne posągi i marmury, piętrzą się pęknięte ściany, z których dęszcz i słoty nie zdołały jeszcze zmyć lazuru, strącić purpury i cudnych złotych arabesków.

Co mogą znaczyć wabne te ruiny, podobne do ruin teatralnych, lub do chaosu garderoby aktorki podróżującej?

Sąto szczątki pałacu wzniesionego kosztem wielu milionów, ręką jednego angielskiego Monte-Christo, który tutaj żywił chimeryczną fantazyą umysłu swego tak dzikiego, bogatego, pstrego i dziwaczego, jak owe sceny nas otaczające.

W jednym roku stanął cudny pałac, dzięki tysiąca rąk, tysiąca głów wysileniu.

Dwa lata Anglik używał swego raju wesoło i serdecznie; miał z sobą anioła, piękną Andaluzkę z Sewilii.

Lecz anioł ten umarł trzeciego roku; pochował go Anglik w głębi opoki i opuszczając na zawsze pałac swój czarodziejski, prochem go w powietrze wysadził: taki kochance pomnik wystawił.

Anglik z swego Monte-Christo zrobił Monte morto, Francuz ze swego robi Monte-Fiasco, jak mu protekcyą wgnają; wie o tém niestety p. Alexander Dumas własnego pierwowtoru własny historyograf, i własna kopia nieszczęsna.

Lecz nie tu koniec ruin i pałaców: jest tu jeden przedmiot, przedstawiający i jedno i drugie razem. U podnóża skały, na której szczycie zpoza świerków i sosien wysokich, wówczas jeszcze wyższa od nich, dziś może już niższa wygląda wieża; u podnóża téj skały, w trudno dostępném miejscu, leży szereg obszernych jaskiń i podziemnych ganków, wiodących z jednych pieczar do drugich.

Tu w tych jaskiniach długi czas przemieszkiwał sławny Vasco de Gama i autor Luisiady, wielki poeta Camoëns.

Vasco de Gama przez lat blisko dwadzieścia był zapomnianym przez króla i przez kraj, których z bogacił i których potęgę w dalekich ustalił stronach. Rozdawszy wszystko co posiadał pomiędzy towarzyszy dawnéj chwały, walk i znojów, cofnął się z ich nieśmiertelnym wieszczem Camoëensem do jaskiń Cintra, i zabrał z sobą tylko kotwicę swego statku i sławny ów prom z drze-

wa korkowego, na którym zapłynął ratując się przed Indyanami z Madagaskaru aż do wyspy św. Maurycego (Ile de Bourbon).

Drzewem z promu wysłał wilgotne mury pieczar, kotwicę zaś wkopał w ziemię. Ona służyła mu za godło religijne, za godło nadziei chrześcijańskiej, jedynej, która pocieszyć zdoła duszę znękaną niewdzięcznością ludzką.

Tam żyli przez lat kilka, bohater i poeta Luizyady; nikt ich nie poznał w stroju pustelników, zarosłych gęstą brodą: żyli zaś mlekiem kilku kóz, chlebem miłosierdzia dusz pobożnych i wspomnieniami dawniej chwały.

Tu Vasco de Gama miał czas żałować swęj *nieudolności*; jakże bowiem inaczej nazwać ową wiarę, owe zaufanie w własne zasługi, ów wstręt płaszczenia się, niechęć pochlebiania nieprzyjaciołom, by rozmyślnie nie szkodzili, unikania przyjaciół źle widzianych, by nie szkodzili mimowolnie? Odkrywając i podbijając panu swemu nowe światy, Vasco zapomniał, że na starym świecie, skoro się zdarzy prawdziwej zasłudze osiąść łaskę możnych, pamięć téj zasługi nie wystarczy na utrzymanie się w niej długo.

Cintra! pod pieczę twych gór i skał, niebotycznych drzew i prześlicznych kwiatów, leżą tutaj zaklęte niewyczerpane żywioły smętnych marzeń, głębokich myśli. Leżą zaklęte! lecz tknięte róższką poety żyją odrazu, wznoszą się w widzialnych dla niego tylko, lecz pewnych, jasnych kształtach ponad te łąki, góry i niziny, i przeistaczają powabny ten raj ziemski w istne elizejskie pola.

Jeden dzień byłby nam nie wystarczył na sumienne wyczerpięcie téj krainy, ani jako geologom, botanikom, zoologom, ani jako pejzażystom i poetom. Zamieszkaliśmy tedy na dni kilka w małym miasteczku Cintra, zaledwie ośmset mieszkańców liczącym, szczęśliwi, że w jedynej *estalagem* (oberży) miasteczka, choć jedna szczupła była izdebka, służyć nam mogąca na nocleg. Przez dzień nie brakło nam miejsca do zachwycania się, i chłodu do odpoczynku, lecz pozostawać nocą pod gołym niebem, w kraju przepelnionym rabusiami, byłoby istotnie lekkomyślnością nie do darowania.

Łóżek porządnych niech nikt nie wymaga w środku Portugalii: nie znajdzie ich jak w zaledwie kilkunastu większych miastach. Podróżnemu radzę naśladować nasze postępowanie, to jest wieść z sobą sienniki z angielskiego wodotrwałego płótna żaglowego, i kazać je napelniać na noc paprocią, której w miejscach gó-

rzystych pełno, lub téż liśćmi kukurydzy, której znowu w nizinach podostatkiem.

Kto zaś w podróży po Portugalii żadnym sposobem wyrzec się nie może apetytu do dobrego i świeżego mięsa, temu radzę być doktorem medycyny lub filozofii, a przytém zoologiem, i prosić w Lizbonie o pozwolenie dostarczania z fuzyą na plecach duplikatów do muzeów królewskich.

Przytém niech się zamiłuje, naukowo rozumie się, w tym rodzaju zwierząt, do którego należą króliki, w Portugalii lepsze daleko od zajęcy; kuropatwy czerwone, kwiczoły, figojadki wyborne tutaj, a jeszcze lepsze w Algarwii, a nawet jarząbki dość częste w górzystych miejscach.

W poblizkiej rzece, pies fundlandzki pana T..., korzystający bez zachęcania z każdej sposobności popisywania się z swym talentem nurkowania, upolował piękną wydrę, której wypchaliśmy skórę, a zjedli mięso wcale dobre w sosie niebieskim, sporządzonym z winem, cytryną i korzeniami.

Płody naszych naukowych badań nietylko nam samym wystarczały, ale nas jeszcze często stawiały w możności częstowania zwierzyną i gospodarzy oberży i gości nawet; co nam wszędzie zjednywało Portugalczyków, w ogólności bardzo podejrzliwych, cudzoziemcom nieprzyjaznych, lecz czułych na grzeczności i znających się na postępowaniu kawalerskiem.

Dwie dobre mile geograficzne na zachód od Cintra, leży Mafra. Największa część drogi pełza po szczytach i spadzistościach gór, i jest nietylko uciążliwą, ale nawet prawdziwie niebezpieczną dla podróżnych.

Muły zaledwie iść chciały, przewodnik zaś nasz nie mógł wymóżyć na swym osle jednego kroku naprzód, bez ciągnięcia go za ogon w tył. Wówczas osioł, mniemając, że na przekor robi, szedł naprzód różnym krokiem i wesoło strzygł długimi uszami. Wielu jest ludzi podobnych do tego osła.

Mafra jest obszerną wsią, położoną w poblizkości niezmiernego budynku, mającego służyć za klasztor i pałac królewski, a wzniesionego niesłychanym kosztem przez Jana V, cokolwiek na wzór Eskuryalu hiszpańskiego.

Strachowi Filipa II świat winien oryginał; próżności Jana V świat winien kopią.

Gmach ten ogromny, długi na 800 stóp i na tyleż szeroki, ozdobiony piękną kopułą, dwiema wysokimi wieżami, czteroma

imponującymi bastyonami, tworzy kwadrat. W nim znajduje się najpiękniejsza biblioteka Portugalii, zawierająca do 100,000 ksiąg i manuskryptów wszystkich rodzajów nauk i języków, i bardzo odpowiadająca wielkości i świetności budynku.

Lecz nie było już Augustyanów, pilnujących niegdyś tego szacownego księgozbioru; wygnano ich razem z innymi mniej godnymi mnichami dlatego, że zanaadto wielki brali udział w sprawach politycznych kraju, zanaadto wiele nienawiści w ludzie zaszczepiali. Wielu z nich poszło do Hiszpanii służyć pod sztandarami don Carlosa, kilku mogło pozostać w kraju jako nauczyciele wiejscy i kapelani, lecz kilku niestety poszło w góry pomiędzy bandytów.

Cały budynek powierzony był pieczy trzech czy czterech sług królewskich, dość w niedbałym stroju.

Zwiedziwszy klasztor i kościół, który pomimo, że skarbiec do Lizbony zabrano, dziś jeszcze posiada wiele kosztowności i kilka pięknych malowideł, weszliśmy na wysoko umieszczone a płaskie dachy budynku, z kąd widok na blizkie morze, na dzikie góry bardzo piękny.

Na dachach tych obszernych jak cztery place publiczne, komunikujących się z sobą gankami okrążającymi bastiony, cztery bataliony żołnierzy wygodnie mogłoby maszerować. Spłoszyliśmy tu chmary gołębi, gniezdzących się w licznych kominach, z których się oddawna już nie kurzy. Gołębie te pół dzikie, pół swojskie, większe były od turkawek, ciemno-ceglastego koloru, i wszystkie prawie jednakie.

Nasze *espingardy*, to jest dubeltówki portugalskie z długimi lufami nigdy nas nie odstępowały; trudno było oprzeć się pokusie. W imieniu zoologii i pod zasłoną firmanu, zaczął się na dachach klasztoru okropny ogień rotowy, jakiego przybytek ten nigdy nie był świadkiem. Gołębie ruszone, wysuwając się z kominów, padały pojedynczo; potem wzbily się nigdy nie widzianymi chmarami w powietrze, i krążyły nad dachami gmachu. Sokoły, których tu także pełno, czyhały na zdobycz i uderzyły na nią z wysokości obłoków. Gołębie z dwóch stron zagrożone pazurami i szróttem, wróciły strwożone całą chmarą do kominów: tuśmy je przyjęli sześcioma wystrzałami i okropną sprawili rzeź. Przeszło sto gołębi padło ofiarą naszej miłości do nauk. Wszystkie muzea europejskie można było uszczęśliwić exemplarzami gołębia portugalskiego. Częścią zdobyczy udarowaliśmy sługi królewskie, któ-

rych łaknące fizyonomie rozweseliły się bardzo przyjemnie dobrym rezultatem naszego polowania.

Tuzin cały posłaliśmy nauczycielowi wiejskiemu, dawnemu zakonnikowi Małry. Rozpłakał się z rozczulenia na widok dawnych pensyonarzy, pielęgnowanych z taką pieczołowitością przez zakonników, a nie zjadanych przez nich jak w stanie pierwszej młodości, za pośrednictwem kominiarza. Ale oddał sprawiedliwość naszej grzeczności i krzyknął: „Oto widzicie! heretycy litują się nad mym losem, a własni rodacy Portugalczycy! *proh dolor!*”

Trzeba wiedzieć, iż heretykami nazywają w Portugalii każdą kolorem włosów i twarzy do Anglików zbliżoną istotę ludzką, lub zwierzęcą.

Małpy owe z blademi włosami i wygolonemi twarzami, zwane *koty morskie*, Portugalczycy nazywają heretykami.

Część zaś gołębi, gdyż o nie tutaj głównie idzie, kazaliśmy w estalagem upiec, usmażyć, ugotować i spotrawkować, to jest na cztery sposoby przyrządzić. Na improwizowaną ucztę zaprosiliśmy nawet wielebnego nauczyciela wiejskiego, i wielu innych, każdego nawet, kto chciał w niej przyjąć udział. Wina nie brakło; cała butelka stołowego wina kosztowała 5 groszy polskich, a starego przechowanego i pieczętowanego, groszy dwadzieścia, lecz to istotnie było zamocne na użytek zwyczajny.

Ksiądz professor rozwodził się z swemi żalami, utyskiwał na zepsucie ludzi, na bezbożność świata, na biedę i na konstytucyę. Wypytywał się nas, co tam słyhać ze strony Hiszpanii. Odpowiedzieliśmy, że źle słyhać; że don Carlos straciwszy najlepszego swego generała, bohaterskiego Zumalacarregui, nie postępuje naprzód, i że pomimo wszystkich wysiłen krajowych i zagranicznych, będzie zapewne musiał uleść i zrzec się korony.

„Tak, tak, odpowiedział, to jest prawdą, niestety aż zanadto wielką prawdą; będzie on musiał uleść duchowi czasu, złemu duchowi czasu. Cóż robić, ale wszędzie są dobrzy ludzie i tu ich nawet znajdujemy“ dodał ze szczerą grzecznością, podając nam tabakierkę.

Tabakierka jest gałązką oliwną dla Portugalczyka; kto sobie życzy być w dobrych z nim stosunkach, niech w téj chwili uroczyście głęboko zatopi swe palce w miałkim, pulchnym proszku, i serdecznie wciągnie go w nozdrze.

Wkrótce byliśmy jak to mówią w najlepszej komitywie z sobą. Jakże nie żałować człowieka, który zestarzewszy się w pięknym, wygodnym, zamożnym klasztorze, musiał w sędziwym wieku opuścić go, i aby nie umrzeć z głodu, uczyć dzieci wiejskie abecadła? Na taki widok serce się kraje, na taki widok przyznać trzeba, że prawa ludzkie choćby były najsumienniejszemi, nie zdołają nigdy przewidzieć wyjątków i częstokroć niewinnego ukarają z winnemi.

Koło wieczora pożegnał nas biedny Augustyanin, nie szczędząc błogosławieństw; my zaś wróciliśmy do Cintra, spiesząc się, aby nas noc nie zaskoczyła na zdradliwych przepaściach gór.

Dodać winniśmy, że sumienni przedewszystkiém, posłaliśmy cztery exemplarze gołębia augustyańskiego, wypchane w czterech najwięcej interesujących pozycjach do muzeum królewskiego. Do tego dołączyliśmy opis zoologiczny i sposób skłonienia indywiduów do służby naukowej.

Od tego czasu weszły w modę polowania na dachach Mafry, o których wprzód ani wyobrażenia nikt nie miał.

Drugim celem wycieczek naszych była Colhares, precudna wioska w najromantyczniejszém położona miejscu.

W Colhares mieliśmy sposobność poznania się z oficerem, dowodzącym eskortą wojskową, daną znacznemu jakiemś „Titulado” (1) z Koimbry do Lizbony jadącemu, a wracającą teraz do Koimbry. Lepszej sposobności dostania się do Koimbry, odległej jeszcze o 15 mil geograficznych od Colharos, życzyć sobie nie było można; puszczać się bez eskorty byłoby szaleństwem w tym kraju, tyle niepokojonym od gerylasów, codzien zakrwawionym pożogami i mordem.

Zawsze gotowi do podróży, a zatem wszystko z sobą noszący, puściliśmy się na całą noc do Alenquer, a tu spoczawszy, przez góry portugalskiej Estremadury do Leyry. Santarem zostawiliśmy na prawo. Leyra czyli także Leiria, leży w pośrodku najpiękniejszego lasu oliwnego. Starodawne to miasto, jeszcze przez Sertoryusza na 100 blisko lat przed Chrystusem założone, jak świadczą znajdujące się tutaj pomniki, dziś jeszcze zachowało niektóre ślady dawniej swój wielkości, mianowicie groźny zamek, katedrę biskupią i część dawnego pałacu króla Dyonizego.

(1) Tytuł wyższej szlachty, odpowiadający grandowi hiszpańskiemu.

W bliskości znajduje się wielka fabryka szkła, zwana *Marinia grande*. Mieszkańców pozostało do 3000.

W Leiria zostawiliśmy eskortę piechoty znużoną pochodem, korzystaliśmy z rzeźwości naszych mułów i ze zdarzonej sposobności podróżowania dalej pod zasłoną eskortującą kasę wojskową, i tak w niespełna 30 godzinach, odbyliśmy przestrzeń piętnasto milową. Niesłychany pośpiech w tym kraju, w którym drogi są złe i niepewne, w którym w dzień dla gorąca, w nocy zaś dla ciemności, częstokroć nawet i zimna, trudno podróżować z szybkością.

Koimbra sławna jest uniwersytetem, założonym przez króla Dyonizego roku 1291 (1). Będąc jedynym tego rodzaju zakładem, cieszył się ten uniwersytet aż do najnowszych czasów licznymi uczniami; lecz urządzenie jego i wsteczny duch professorów, nie pozwolił krajowi odnosić z niego owoców, odpowiednich ogromowi zakładu, kosztem wyłożonym na zakupienie książek, aparatów, zbiorów różnego rodzaju. Ducha wyższego naukowego nie było pomiędzy professorami, należącymi przedtém z małym wyjątkiem do stanu duchownego; gdyż istotnie przed kilku jeszcze latami prócz professorów anatomii, medycyny praktycznej, chirurgii i akuszeryi, wszyscy inni professorowie medycyny byli duchownymi. Pięćdziesiąt trzy katedr uniwersytetu uważano poprostu za sposób zapewnienia losu pięćdziesięciu trzem księżom. W liczbie tych byli i godni posad mężowie, lecz ogół zupełnie nie odpowiadał celowi; nie umiał wzniecić w młodzieży żadnego zapалу do nauk, żadnej nawet iskierki zajęcia naukowego. Najpilniejsi uczniowie uczyli się na pamięć z kajetu spisane go za profesorem, który, aby mu towar wystarczył na długo, dyktował go poprostu wolno i ku największej dla słuchaczy wygodzie.

Półrocze trwało cztery miesiące; potem następowały examina półroczne, na które młodzieniec jaką taką obdarzony pamięcią, mógł się przygotować w dziesięć dni, nie słuchając nawet kursów, i wyjść z niego z *eminencyą*.

Uczniowie tępi chodzili regularnie na kursa i tém starali się zyskać względy professorów podczas examinu; i otrzymywali, choć nie nie umieli, *eminencyą* w nagrodę cierpliwości.

(1) Coimbra, dawna Coninbriga, położona malowniczo nad brzegami rzeki Mondego, a założona na 300 lat przed erą chrześcijańską, wiele ucierpiała podczas wojen Napoleońskich; ludności dziś ma zaledwie 15,000. Pyszny jest jej klasztor śtej Klary, zabudowaniom uniwersyteckim nie zbywa na okazałości, mieszkaniom professorów na wykwinności. Okolica cała świetnieje blaskiem najcudowniejszej wegetacyi, a ogród botaniczny zawiera najrzadsze rośliny.

Drugie półrocze następujące zaraz po examinach trwało także tylko cztery miesiące, potem szły examina przez dni piętnaście, później wakacje na miesiący trzy, podczas których żaden uczeń ani ruszył książki, bo jój dla wysokiej ceny książek naukowych portugalskich kupić nie mógł, ani też kajetu, bo go przecież kiedyś doskonale na pamięć umiał.

Nauka sexternowa, znana niestety aż zanadto dobrze, wyrodziła tu między młodzieżą dwa główne rodzaje typów sexternowych:

1) Owych zarozumiałych mędrców z tępemi i ciężkimi głowami, którzy wysiliwszy całą swą pamięć, przewlekli się jak ów zółw przez wszystkie kursa i egzamina, a złożywszy ostatni, ani jednej chwili nie przypuszczają, że nie są w posiadaniu wszystkich a wszystkich nauk, potrzebnych im do dostąpienia doskonałości w swym zawodzie; owych patentem od wszelkiego podejrzenia głupoty błogo w swém przekonaniu zabezpieczonych mędrców, owych doskonałych ludzi, gardzących wszelką nauką, która w ich kajecie miejsca nie miała.

2) Owych w wartość żadnej nauki nie wierzących, wcześniej wyzwolonych filozofków, którym dzięki dobrej pamięci łatwo było nauczyć się tyle, ile koniecznie potrzeba do przebrnięcia przez egzamin, a dzięki płochości charakteru łatwo było zapomnieć tyle, ile umieli. Ci stanąwszy u kresu wiedzą w głębi duszy jak mało umieją, a nie mając wyobrażenia o wyższości umysłowej, do jakiej się przez prawdziwą naukę wznieść można (tój bowiem przykładu nigdy nie widzieli), uważali naukę w ogólności jako rzecz chimeryczną, konwencyonalną, wymyśloną tylko dla utrudzenia dostępu do miejsc ludziom niezdolnym do wydatkowania czasu i pieniędzy, dla dania sobie jakiego takiego wychowania.

W mniemaniu tych, świat należał do najzręczniejszego, a Voltaire w swych najmniej dobrych częściach pojęty, był ich Bogiem.

Dwa te typy wyradzają się jako zjawiska naukowe z niezliczonej liczby odcieni, zawartych pomiędzy tępemi próżniakami, a pracowitemi i zdolnemi uczniami. Ci właśnie są najwięcej do pożałowania, a to dla dwóch różnych przyczyn, sprowadzonych jedną i tąż samą fatalnością.

Niemasz zaiste nieszczęśliwszego stworzenia na świecie, jak młokos niezdolny zapracować czémkolwiek bądź na swe utrzymanie, a porywający się do udziału w sprawach kraju.

A tych młokosów znajdziemy właśnie w dwóch na ostatniem miejscu wyliczonych kategoriach, pomiędzy najzdolniejszymi i najtępszymi.

Zdolny uczeń nie żywiony dzielną, sumienną i na szeroką skalę zakrojoną nauką, nie uczuje się dostatecznie zadowolonym, zatrudnionym w swym duchu; a nie będąc oczarowanym naukami, wpadnie pomimowolnie na szalony pomysł zatrudnienia się *czynem*, i ztąd niepowściągliwa żądza brania udziału w polityce.

Tępy zaś próżniak, sam siebie w gruncie serca potępiający, z największą ochotą da się użyć do wszystkiego, co tylko gnuśność jego, fałszywym pozorem politycznego niezadowolenia uszlachetnić może, i służy za wykonawcę szalonych pomysłów głów zdolniejszych.

Słowem, co jeden czyni z braku zajęcia umysłowego, odpowiadającego zdolnościom i podniecany źle zrozumianą poezją, to drugi czyni z braku rozumu i chęci nabycia go; a obaj grzeszą szafując życiem, któremu żadną pracą i prawdziwą praktyczną umiejętnością wartości nie nadali, a grzeszą jeszcze więcej, zmuszając do przedwczesnych działań ludzi świata potrzebniejszych.

(Dalszy ciąg nastąpi).



UŁAMEK

Z PODRÓŻY ARCHEOLOGICZNEJ PO GALICJI,

ODBYTEJ W R. 1849

PRZEZ

Józefa Łepkowskiego i Józefa Terzmanowskiego.

(Dokończenie.)

Ludzimierz, wieś, pół mili od Nowegotargu ku zachodowi, w nowotarskiej równinie, nad rzeką Czarnym Dunajcem, w miejscu, gdzie wpadają doń rzeczki: Rogoźnik i Łepetnica; wzniesiona nad poziom morza Bałtyckiego 1746 stóp par. (1).

Do roku 1796 było tu jeszcze stare o piętrze, drewniane zabudowanie pierwotnego klasztoru Cystersów; lecz w tymże roku zgorzało, a dziś jeszcze z fundamentów rozpoznać można szczupłą tę budowę. W tymże roku spłonęły także ciekawe starożytne akta kościelne. Zaczny i światły tutejszy proboszcz ks. Marcin Kasprowicz, postarał się o kopie różnych dokumentów, tyjących się Ludzimierza (2). W *Liber* więc *memorabilium* czytamy kopią przywileju kościelnego Vislava (Wiesława z Kościelca) biskupa krak., który r. 1234 potwierdza fundacyę Teodora Cedrona i konwent Cystersów ustanawia. W téjże księdze są kopie wizyt, wyjęte z aktów konsystorskich krakowskich. Szkoła parafialna do dzisiaj tu istniejąca, datuje od XVIIgo wieku, w inwentarzu bo-

(1) Według L. Zejsznera; patrz *Badania rzeczy przyrodz.* str. 21.

(2) Ks. M. Kasprowicz wspólnie z p. Kamińskim wypracowali *Kronikę doliny nowotarskiej*, z dokumentów w rękach sółtysów i wójtów dochowanych; lecz ten ważny rękopism 1846 r. zaginął.

wiem z roku 1608 (kopia *ex Libro beneficiorum*) wyznaczone i ograniczone jest pole, jako dochód: „Rectoris Scholae“.

Modrzewiowy ludzimierski kościół, nad samym brzegiem Dunajca jest położony, tak blisko, że o kilka kroków posadę jego podplókuje, a przecież tyle wieków przetrwał na miejscu. Pełno w nim starożytnych zabytków: ściany zdobiły piękne al freska, z których barwy dziś obleciały. Ołtarze pięknymi rzezbami okryte. Wieśniak Wawrzyniec Kułak ze wsi Gliczarowa, z parafii Poronina, słynny sporządzeniem modelu popiersia do pomnika Franciszka Karola, arcyksięcia austr. odlewane go z żelaza w Zakopanę i tam postawionego: ozdobił tutejszy kościół wielu pięknymi rzezbami (1). Przenośne ołtarze, „Marya“—„św. Mikołaj“, pięknie w sposobie bizanckim malowane, zasługują na uwagę. Godny też wspomnienia niewielki przenośny ołtarz na desce malowany: „Chrystus na krzyżu, obok klęczy mieszczanin i mieszczka nowotarska“. Ważny to zabytek pod względem stroju polskiego z wieku XVII. Mieszczka owa, na głowie w czepiec podobny do welonu zakonnice przybrana, w krótkiej jubce zielonej, lisiem futerkiem podbitej; przytém biała spódnica, niebieski fartuch, składają strój na owym obrazie przedstawiony. U dołu tego obrazu podpis:

„Za zasługę sprawiedey chwale dan
Sprawiedliwej duszy, która się o to starała.
Wieczne przypomnienie zmarły Reginy Bilansky
Którey tu ciało spociva, z duszą się rozstawszy.
Zatém Jan małżonek iey z miłości
Zostawił pamiątkę ku jey życzliwoszczi“.

W wielkim oltarzu pokazują słynną cudami Maryą: jestto posąg nieszczególnej roboty, do którego lud okoliczny wielkie ma nabożeństwo. Godniejszy uwagi posąg: „Maryi“, dawniej w wielkim oltarzu będący, dziś po prawej stronie chóru w kościele postawiony.

Napisy na dzwonach:

„Anno Domini millesimo quingentessimo sexto“ (1506).

„Fudit Johan. Georg. Knobloch Neosoli (Bystrzyca w Węgrzech) A. D. 1795. Transfusum ex..... nis Onimphi Tobiaszky parochi Ludzimirensis, ordinis cistercensis.“

(1) Wawrzyniec Kułak, młody jeszcze, bo ledwie 30 lat liczący włościanin, wyrabia piękne rzeźby i do najlepszych między samoucznemi rzeźbiarzami policzyć go należy.

Nad wszystko godną tu uwagi sygnaturka, na której napis:
„Jesus Marya Jozeph 1229“.



Sygnaturka więc ta na pięć jeszcze lat przed erekcją kościoła lana, jedyną byłaby w tych okolicach z tak odległych wieków pamiątką. Może odgłos tego dzwonka, był pierwszym objawem chrześcijaństwa w tej okolicy; może to dźwięk jego pierwszy raz zwoływał mieszkańców boru, na świętą chrześcijańską ofiarę. Z odgłosem tego dzwonka, co tak nienaruszony cudownie przez wieki dochował się i do dziś zwołuje lud na modlitwę, pierwszy może raz kolana nieugiętego barbarzyńskiego ludu uchylily się, przed świętą ofiarą—przed światłem wiary i cywilizacyi, co się z echem tego spizu, pod Tatrami poczęła.

Do parafii ludzimierskiej należą wsie: Ludzimierz, Krauszów, Rogoznik i Długopole. Nazwy te lud tłumaczy podług tradycyi następnie:

W czasie napadów tatarskich, dzicz ta w miejscu Ludzimierza mierzyła ludzi, wybierając zdatnych do noszenia broni; niezdatnym w Krauszowie krajano czyli obcinano uszy, a uciekający chronili się we wsi, którą na pamiątkę swój ucieczki Długopolem przewwali (1). W Kościeliskach zaś kości tatarskie zasiały pola.

Cystersi aż do niedawnych czasów posiadali kościół i probostwo w Ludzimierzu. O bytności ich świadczy jeszcze alfresco poza wielkim ołtarzem, z podpisem, erekcją opowiadającym. W malowidle tém, zeszłego zaledwie sięgającym wieku, wystawiony jest Teod. Cedro w chwili nadania Cystersom opactwa.

Pomiędzy Ludzimierzem a wsią Czarnym Dunajcem, znajdują się obszerne torfiska, *Bory* zwane, które się same lub przypadkiem podczas letnich upałów zapalają. Natenczas w wielu miejscach dobywają się kłęby dymu, i zdaje się, że cała dolina splotnie; lecz znacznieszy dęszcz gasi te płytko zagnieżdżone ognie, a ogniska

(1) Tradycyjny ten wywód nazwy Ludzimierza nie usprawiedliwiają dzieje; dyplomata bowiem erekcyjny zakonu Cystersów w Ludzimierzu, jak widzieliśmy, jest z r. 1234 i już w nim ta pierwotna Cystersów siedziba nazwę Ludzimierza nosi, a Tatarzy mogli tu najwcześniej pojawić się dopiero r. 1241. Baliński i Lipiński w *Starożytnéj Polsce* T. II str. 227, cokolwiek inaczej to podanie opowiadają, ale zawsze Tatarzy występują na scenę.

w dżdżystej porze zmieniają się w nieprzebyte bagna. Mieszkańcy przyległych wiosek gnoją swe pola torfowatą czarno-ziemią z wspomnionego bagna.

Czarny Dunajec, wieś nad rzeką téjże nazwy (1), wzniesiona na 2,095 stóp nad powierzchnią morza Bałtyckiego. Rozległa ta wieś ma bogatych mieszkańców, którzy w najodleglejsze strony Galicyi i Węgier jeżdżą na jarmarki, prowadząc handel znaczny płótnem. Ma szkołę parafialną, targi, jarmarki. Murowane domy o piętrach ze sklepami w bliskości kościoła, raczej do miasteczka, niżeli do wsi czynią podobnym Czarny Dunajec.

Jak dowodzą kopie aktów erekcyjnych, świątynię w Czarnym Dunajcu fundowali Zofia de Bogusławice Pieniążkowa podczaszyna krakowska, starościna nowotarska, Jan Pieniążek podczaszy krakow. starosta nowotarski (2), Tomasz Mientos sołtys z Czarnego Dunajca, i Szymon Bukowiński; tych fundacyą Zygmunt III potwierdził dopiero r. 1605. Dzisiejszy murowany kościół stanął w r. 1787 po spaleniu drewnianego, jak napis na dzwonie poświędca; sklepienie spadło r. 1818, a i dziś sufit walić się zaczyna. W wielkim oltarzu: „Wniebowzięcie Maryi” i „św. Trójca” na zasuwie, niezgorszego pędzla. Godne uwagi dwa rzeźbione oltarze, zabytek z dawnéj jeszcze świątyni.

Plebanią w Czarnym Dunajcu zdobi kilka niezłych obrazów, pędzla samoucznego malarza Andrzeja Madala z Żywca (3).

Pomiędzy proboszczami tutejszemi pierwszego napotykamy Szymona Bukowińskiego r. 1602. Daléj następują: Moises Patritius de Żywiec, 1606; Cesarius Jerzy r. 1637; Sporkowicz Krzysztof 1686 † 1694 r. d. 30 maja; Paczygewski Wojciech fil. Dr. akademik † 1716 d. 9 *martii* (4); De Havel Teodor archidyakon infułat kamieniecki, kanon. gnieźnień. 1744; Podoski Junosza Gabryel, *refer. regni Poloniae, prepositus cath.*

(1) Czarny Dunajec wypływa z pomiędzy skał we wsi Kościeliska, a połączywszy się z potokiem *Białego* pod Nowymtargiem, zasilony w dalszym biegu Białką i Popradem, wpada do Wisty blisko Opatowca. Rzeka ta ma 16 mil biegu, 40—60 sążni szer.

(2) Jan Pieniążek podczaszy krak., poseł na sejm r. 1589. ztamtąd deputowany do kwarty rawskiej (Konstytu. str. 561), starosta nowotarski. Żona Zofia a nie Helena v. Elżbieta, jak Niesiecki mylnie pisze w tomie 7 str. 292, wydanie lipskie.

(3) Andrzej Madala, syn sławnego w okolicy rzeźbiarza. Na obrazach swych podpisuje się: *Madalski*.

(4) Był seniorem szkoły P. Maryi w rynku. Napisał panegiryk stylem napuszonym: *Aquila supremi Jovis ministra etc. Cracoviae, typis Nico. Schedel. 1687 in fol. ark. 3.* (Juszyński T. 2 str. 34)

Cracoviens, et canon. Gneznen, abbas Miechoviens. mox resignavit 1756 (1).

Ogromne dzwony tutejszej świątyni, umieszczone w wieży zegarowej, zasługują na uwagę. Na pierwszym z nich, przeniesionym tu z klasztoru XX. Franciszkanów z Starego Sącza, następujący napis:

„Ad honorem et gloriam Sanctissimae Trinit. Unigenito Salvatori, Beatissimae V. Maryae, B. Pri. Francisco et omnibus Christicolis hoc opus dicatur, per Rdm. Patrem Bonaventuram Mroczkowski Gvardianum. A. D. 1643”.

„Benedictus Briot Lotharing. me fecit.”

Na drugim dzwonie napis:

„Sub Jacobo Szczurkowski eccles. Czarny Dunajecz P. (archo). Fudit me Joannes Georg. Knobloch Neosoli post magnum incendium Zerno Dunajecz 1787. Surrexit 1811 ex pia communitate sub iudicibus Sebast. Tokarski Notar. Mich (aele) Tilka jur (ato). Joanne Kalis jur (ato). Joanne Fudala. Cas(par)o Barrel, Mart(ino) Komperda et To (ma) co.....”

Trzeci dzwon, opisany legendą, lany r. 1643. Czwarty, lat Joan. Georgius Knobloch. Sygnaturkę lat T. R. Litmann, Neosoli, 1810.

Postępując brzegiem Czarnego Dunajca ku Tatrom, napotykamy kościół w Chochołowie.

Chochołów, długa i porządnie zabudowana wieś; ma szkołę parafialną, i kościółek drewniany z XVII wieku, który obecnie nowym murowanym zastąpiony być ma. Akta dotyczące się kościoła spalone, sam zaś kościół nic nie zawiera uwagi godnego.

Pod samemi stopami Tatrów, dokoła opasana wysokimi skałami, nad brzegami Białego Dunajca, leży kraina cyklopów; sąto huty, hamernie i pięknie urządzone walcownie żelaza w *Zakopanėj*. Piękne budynki fabryczne i mieszkalne, ciągnące się przeszło ćwierć mili ciasnym wąwozem, powstały za naszych czasów. Ta znakomita fabryka, jedyna prawie w Galicyi co do dobroci wyrobu, r. 1701 za Augusta II już tu istniała. Roku 1805 Emmanuel Homulacz, poprzedni właściciel, zakupił ten zakład od Plutowskiego. Dziś hamernie te wraz z dobrami posiada p. Klementyna Homu-

(1) Został w końcu arcybiskupem gnieźnieńskim i prymasem r. 1767. † 1777 (Krasicki w przyp. do Niesiec. T. 7, str. 351 wyd. lipskie).

lacz, która tu r. 1847 kościółek drewniany, i szkołę parafialną założyła.

Na prawym brzegu Białego Dunajca, sterczy kościół we wsi *Poroninie*. W zakrystyi tego drewnianego kościoła, widzimy portret jego założyciela, ks. Marcina Więckowskiego r. 1828. Przed tą epoką, r. 1706 była tu już kaplica.

Kościół ten zdobią niezłe obrazy Fran. Nanke, rodem Szlązaka, obywatela nowotarskiego (1). Mosiężne aparata kościelne wyrabiał pięknie nowotarski mosiężnik Łapczyński. Rzeźby w tym kościele zdobiące ołtarze, są dziełem wieśniaka-artysty, Kułaka, z Gliczarowa. Przy kościele tutejszym istnieje także szkoła parafialna.

Szaflary, wielka wieś z targami i jarmarkami i szkołą parafialną.

Teodor Cedro wojew. krakow., oddał Szaflary z innemi dobrami na własność Cystersom, jak to widzieliśmy wyżej. Ludwik król polski i węgierski, rozkazuje Sędziwojowi z Szubina wziąć zamek tutejszy przemocą, przyczém zabiera dobra szczyrzyckiego klasztoru, a z niemi Szaflary na skarb r. 1380. Następca jego Władysław Jagiełło, dobra te między rycerstwo rozdziela. Zdaje się, że wówczas Szaflary wraz z Nowymtargiem dostały się prawem zastawu Ratuidowi, skoro w r. 1477 wszczęty spór o tę wieś, Kazimierz Jagiellończyk przyznał Ratuldom, za pokazaniem do niej prawa (2). Ostatnim posiadaczem Szaflar był Marek Ratuld z córką jedynaczką, która poszła za Jana Pieniązka herbu Odrowąż, sędz. krak., starostę sądec. i nowotar., a z nią przeszła ta majątność w ręce Pieniążków (3).

Kościół murowany sklepiony, fundował Szymon Zamojski proboszcz nowotarski, za pieniądze, które znalazł po swoim poprzedniku Józefie Sawickim. Kościół ten stanął r. 1799; przedtém jednak istniała drewniana świątynia, gdyż już za czasów buntów Napierskiego r. 1651, o istnieniu tu kościoła w Spominkach Ojcz. Amb. Grabowskiego (tom I, str. 85) wzmiankę znajdujemy. Godne tu uwagi dwa pięknie rzeźbione ołtarze z starego kościoła, oraz ołtarze przeniesione z franciszkańskiego kościoła z Starego Sącza. Piękne rzeźby wykonywał tu Kułak z Gliczarowa;

(1) Rozróżnić tu należy roboty owego Nanke, od innych tegoż imienia. Ten bowiem Franciszek, miał trzech synów malarzy, którzy pomimo że samouczni, jednak tylko w liczbie bohomasistów mieścić się mogą.

(2) Niesiecki, tom 7 str. 96, wyd. lips.

(3) Paprocki *Herby rycerstwa pols.* str. 558.

obrazy malował niezle Jan Kanty Wojnarowski z Krakowa, roku 1832 (1). Dzwony: jeden z roku 1611, drugi z roku 1714.

Niedaleko dworu, na pionowo do poziomu spadającej skale, stoi piękna altanka w miejscu, gdzie, jak to widzieliśmy z dyplomatów, stał już w XIII wieku zamek szaflarski (2).

Ostrowsko, wieś, pół mili od Nowegotargu, na gościńcu cesarskim. Niegdyś starostwo, czyli tak zwana dzierzawa. Ostatnim posiadaczem dożywotnim był Jan Grabianka, i w r. 1772 płacił kwarty do skarbu król. złp. 2,021 gr. 24 den. 16.

Drewniana świątynka budowana tu przez Cieszkowskiego, dzierzawcę r. 1746. Do probostwa tutejszego należy filia w Białce, wsi nad rzeką tegoż nazwania, i exkurenda w Łopuszno o ćwierć mili ztąd. Jest tu także szkoła parafialna.

Kościół w Białce, wystawiony r. 1637. W obu tych świątyniach oprócz rzeźb samoucznych snycerzy, nie niema godnego uwagi.

W poblizkiej téż wsi **Odrawąż** istnieje kościół. Z Odrawą, dziedzictwa Pieniążków (herbu Odrawąż), prawdopodobnie słynni Odrawęże początek wzięli (3).

Erekcya kościołka w Odrawązu odnosi się do XVII wieku, i wtedy był filią Czarnego Dunajca; od roku dopiero 1834 posiada własną parafią i szkółkę parafialną.

Łopuszna nad Dunajcem, wieś. Mały modrzewiowy kościółek, na samym brzegu Dunajca postawiony, jest nader starożytny i osobliwego rodzaju alfreskami okryty. Alfreska te mimowolnie przenoszą nas w czasy blizkie apostołstwa wiary ś. w Polsce; a przypatrując się im, przypominają stare malowania w cerkwiach ruskich. W babińcu ustawiona chrzcielnica, dziś bezużyteczna, zbudowana wedle ruskiego obrządku na trzy piramidalne pięterka, z naczyniem u spodu do zanurzania chrzczonych służącym, naprowadza na domysł, iż ten kościół pierwastkowo był dla wyznawców ruskiego obrządku zbudowany. Domysł ten potwierdza szczególny w téj okolicy obyczaj, nazywania się z wy-

(1) Pisząc niniejszy traktacik, zostawiliśmy miejsce na przypis o pracach p. Wojnarowskiego, lecz nie raczył nam nadesać tychże wykazu.

(2) W r. b. wyszła we Lwowie: *Geografia Galicyi przez Hip. Stupnickiego*. Jest to tak liche dzieło, że wstydy nas było krytykować tę ramotę. Otóż w tém stawetném dziele Szaflary, Żbyszyce i mnóstwo innych wsi, dostały od p. Stupnickiego przywileje na miasta!

(3) Starowolski *in Polonia* pag. 420, Odrawąż w Sandomierskiem uważa za gniazdo téj rodziny.

łuszczeniem imienia ojca i dziada; np. Frankowego Wojtka Józef. Te spostrzeżenia dozwalałyby mniemać, że okolica ta Rusinami była zamieszkałą. W parafii poronińskiej są włościanie Tatarami zwani, którzy mają być potomkami zostających tu z XIII wieku. Niektórzy widzą nawet dotąd odmienne rysy w tych potomkach mniemanych Tatarów (1). W okolicy znów Ludzimirza, niemieckie nazwy wieśniaków przypominają nam owe nadania Cystersom prawa kolonizacyi, o czém mówiliśmy wyżej. Sąsiedztwo mieszkańców tutejszych z Węgrami, a mianowicie z Orawiakami i z Spizanami, wpływa też wiele na ich mowę i obyczaj. Do stroju nawet góralskiego przybywa w tych stronach mały guzikami nasadzany spencerek, który na sposób węgierski (na madziar) noszą pod hazugą (gunią). Kobiety do stroju świątecznego używają żółtych butów i czerwonej sukiennój, baranami lub lisami podbitój, galonami obszycój sukmany. Obyczaje, powieści gminne, osobliwie też przysłowia i idyotyzmy tego ludu, na uwagę zasłużyć powinny. Dla przykładu przytaczamy tu kilka idyotyzmów z téj okolicy: lach (mieszkaniec dolin), pyrė (ścieszka wydeptana od kóz), cierpiałka (męka Pańska), zły raz (szubienica), niepili (obcy), statek (bydło), centyrz (cmentarz), guśla (skrzypce), watra (ognisko), duchanie (tytuń), drapa (przykry bok góry), kirkak (na plecach), grula (ziemniak), fujawica (zadymka), skała (każdy kamień), niewiasta (synowa), bursa (nasz karnawał), zboze (owies), jarzec (jęczmień), gadzina (drób'), gruby statek (nierogaczna), smerek (świérk), karpel (brukiew), gacek (nietopórz), ciekawy (złodziej), zdatny (oszust), juhas (pastérz), baca (starszy pastérz), bacówka (buda pasterska), ciupa-ga, wataszka (siekiérka), hawiarz (górnik), srężoga (mgła na pogodę), tyrzeń (tydzień).

Wracamy się jeszcze do powieści ludu. Powieść gminna od czasu, jak ją pojęto i całą jėj ważność zrozumiano, zasłużyła u nas na uwagę tylu już uczonych i poetów. Tetry osobną w tych zbiorach stanowićby winny materiją. Tetry, te jedyne prawie polskie góry, zaludniła wyobraźnia tysiącem dziwnych

(1) Fudanie niesie, iż w czasie drugiego najazdu Tatarów (r. 1259—1260), oddziół od hordy Nogaja miał w tém odludném miejscu pozostać. Dla fizyologa niezmiernie ważny przedmiot do zbadania. Ślady nawet bitwy dziś jeszcze można tu rozpoznać w dolinie Biała-woda, leżącój pod górą Gewontem, przy drodze z Zakopanego do Kościelisk. Wielkie mnóstwo rozrzuconych po niėj kości ludzkich, wnosić każe, iż tu mogła być porażka Tatarów, albo może dopięro Szwedów.

i oryginalnych postaci, które jako fantastyczni mieszkańcy gór olbrzymich (1), pilnują tu ukrytych w jaskiniach skarbów. Ubogiemu zawsze na myśli dostatek; nie dziw więc, że goral siejąc na urwiskach nikły owies, marzy o złotej pszenicy, o skarbach, które przed nim piekielne siły zakryły. Mnóstwo podobnych powieści osnuło skały tatrzańskie, a przecież nikt nam porządne-go ich zbioru nie podał. Goszczyński Seweryn pisząc w Łopuszny swoją *Sobótkę* (2), umieścił w niej kilka powieści, które w tych stronach zasłyszał. Piękneto poema, ale nie wierna dziejowa opowieść gminnej klechdy. Ufamy, że ta uwaga nasza natchnie kogo do tej ważnej pracy, a wkrótce zobaczymy na szczytach Tatrów, obok geologów, i poetów zbierających kwiaty góralskiej fantazyi.

Zasługują też na uwagę i badanie: architektura chat góralskich, budowa mostów, trafność i logiczność w odgadywaniu zmian powietrza, co jest skutkiem bezustannego przestawiania z przyrodą, która się zawsze człowiekowi wdzięcznie odplaca.

Wróćmy do opisu kościoła w Łopuszny. Godne tu uwagi: starożytnie rzeźbione ołtarze; dalej nad zakrystyą zawieszony obraz olejny „ś. Romuald na puszczy” pięknego pędzla; ołtarz otwierany, pięknie w sposobie bizanckim na tle złożoném malowany, a nareszcie wiele obrazów, ś. Mikołaja wystawiających.

Dzwon większy nosi napis: „*Antone Eremita ora pro nobis*” herb Wieniawa, naokoło niego głoski: „K. C. Ł. N.”. „Ten dzwon przelany sumptem Piotra y Katarzyny Raców, y staran. W. K. Y. P. B. A. D. 1737 na wieczną Boga chwałę, B. P. M(a-ryi) y ś. Antoniego pusteln. honor.”

Dzwon mniejszy z legendą: „*Antone Dominus tecum etc.*”

Godny tu jeszcze uwagi, dochowany w dworcu dziedzica Łopuszny, jako pamiątka familijna, ubiór z czasów konfederacyi barskiej. Krój tego munduru zupełnie podobny do naszego sakpaltota: wyłogi pąsowe pluszowe, także kłapy i zagięcia szosowych dolnych końców. Ponieważ mundur ten jest sporządzony ze skóry łosiowej, przeto go w owe czasy *łosicą* zwano. Srebrne guziki z orłami, i ładownica łosiowa z pąsowemi frendzlami, z krzyżem wyszytym na klapie, dopełniają ten ważny dla malarzy zabytek (3).

(1) *Schles. Sagen. Gödesche.* (2) W Noworoczniku *Ziewonia.* Lwów, 1834 r. Sobótką nie jest w Tatrach znana.

(3) Kończąc rzecz o Łopusznie, składamy tu winną podziękę W. Leonowi Tetmajerowi, poczuwając się do wdzięczności dla niego za gościnne staropolskie przyjęcie i uprzejmie udzieloną pomoc naukową.

Tutaj nad brzegami Dunajca, znajdowaliśmy kamienie pokryte hisiorem fijołkowym (*Byssus Jolithus*, Linneus), *Dematium petracum* (Pers.). Kamienie te pokryte są czerwoną barwą w żyjącym stanie i wydają podczas wilgotnego powietrza woń fijołkową; zasuszone przemieniają barwę na popielato-szarą, która znika: ztąd ich tu zwią kamieniami fijołkowemi. Poniżej Łopuszny nigdzie ich niéma, ale począwszy ztąd, coraz ich więcej znajdujemy idąc pod wodę; tak dalece, że w dolinach Kościeliska i Zakopanego, bliżej źródeł Białego i Czarnego Dunajca, jako téż ponad rzeką Białką, od Morskiego Oka płynącą, całe brzegi tych trzech rzek tym okrągłym kamieniem wysłane, czerwono wyglądają.

Harkłowa, wieś. Starój budowy lamus tutejszy, z strzelnicami, godny widzenia.

Kościół drewniany, jodłowy, jak tradycya pisana podaje, fundowany r. 1354. Roku 1731 zgorzała plebania, a z nią i akta kościelne. Alfreska na suficie kościoła tego tymże sposobem, co w Łopuszny malowane, odległej sięgają starożytności; alfreska zaś na ścianach malowano r. 1738, za probostwa ks. Ochalskiego, jak to dowodzi napis nad drzwiami zakrystyi. Stare rzeźby zdobiące ołtarze, roboty Czesacza z Waksmuną, obrazy w sposobie bizanckim, godne tu uwagi. Pokazują tu nad tęczą, Chrystusa na krzyżu, na którym jest zapisany rok 1001, i za tak odległej starożytności zabytek podają tę pamiątkę; o czém wątpić należy, wnosząc ze zdrowego drzewa z którego krzyż ten ściosany. Może to podobnie będzie niewyraźnie napisany rok 1661. Na środku kościoła kamień grobowy z napisem:

D. O. M.

Heu Viator!

Hic est peccator

Privatus vita

Sepultus ita

Orate pro eo

Ut sit cum Deo

Obiit a. 1715.

Dzwon większy lany r. 1554. Przy kościele tutejszym jest także szkoła parafialna.

Dembno, wieś. Kościół drewniany modrzewiowy. Świątynia ta wygląda dziś tak, jakby dopiero co wyszli z niej ruscy ka-

plani. Wszedłszy w nią stajesz w zdumieniu, bo jakiś duch słowiański zdaje się tutaj panować wśród ciszy. Wnętrze okryte nader świeżo dochowanymi alfraskami w guście słowiańskim, w sposobie podobnym do malowań, o których pod Łopuszną i Harklową wspominaliśmy. Ołtarze bizanckie piękne i cało dochowane. Wielki ołtarz w kształcie szafy, pod względem pędzla i starożytności, na szczególniejszą artysty i archeologa uwagę zasłużyć winien. Przedstawia on Maryą, Chrystusa, św. Stanisława i św. Mikołaja. Nad tęczą kościoła krzyż, a nad nim unosi się alfrasko malowany, orzeł Jagielloński.

W Dembnie był zapewne kiedyś zamek, bo w przywilejach wspominać zwykli: „Dembno aula regia”. Okolice Dembna do najpiękniejszych w podtatrzańskiej dolinie policzyć należy. Gościńiec jak wstęga po kwiccistój łące, wśród pięknych po obu stronach rozsianych, rozsuwa się widoków. Dunajec tuż przy gościńcu płynący, jest granicą Galicyi od Węgier. Na prawym brzegu téj rzeki usadowiły się stare, wieżami w niebo sterczące spizkie wsi: Fridmann i Uj-Bela (Nowa Biała). Tuż za Dembnem, obok pięknego wielkiego mostu, Dunajec łączy się z Białką (1).

Maniowy, wieś, szkoła parafialna. Z kopii akt dawnych téj wsi „villa regia” zwanój, dowiadujemy się, że r. 1526 Zygmunt I opatrzył plebana kościoła w Maniowy przywilejem na zbieranie drzewa, polowanie i rybołówstwo w obszernój okolicy Dunajca, od wsi Dembna (aula regia), aż do Sromowca niżniego.

Od wieków był tu drewniany modrzewiowy kościółek, w XVII zaś wieku murowany; lecz tak piérwszy, jak i drugi, rwiący Dunajec w czasie wylewu pogrzebał w swych nurtach. Dziś stoją-

(1) Rzeka Dunajec składa się z trzech pomniejszych, rzek to jest: z Czarnego Dunajca, który w dolinie Kościeliska ma źródło i przez tę dolinę płynąc, przerzyna równie nowolarskie, przez Chocholów, Czarny Dunajec, Ludzimierz aż pod Nowy targ; z Białego Dunajca, który ma źródło za hutami żelaznemi w Zakopanój, płynie przez Zakopane, Poronin, Biały Dunajec, Szaflary aż pod Nowy targ, gdzie się z Czarnym Dunajcem łączy; z Nowegotargu już pod nazwiskiem tylko Dunajca płynie przez Waksmund, Ostrowsko, Łopuszną, Harklowę popod Dembno ku Maniowom; gdzie między Dembnem wsią polską i Fridmannem, wsią węgierską, naprzeciw Maniów, wsi polskiej, przyjmuje do siebie trzecią rzekę, nazwaną: Białka, która stanowi granicę od Węgier. Ma ona początek z Morskiego Oka, przyjmując wody od 5ciu stawów; i inne z węgierskich gór; płynie, dolina, którą droga do Morskiego Oka; ztamtąd poza wsie polskie: Brzegi, Bukowina, Białka, potem poza wieś węgierską Nową Białą (Uj-Bela), nakoniec poza wieś polską Dembno, którą minawszy, łączy się z Dunajcem. Białka wpada za Dembnem pod Fridmanem do Dunajca, jak to wyżej powiedzieliśmy. Między Dembnem i Szlembargiem na Dunajcu jest most duży, ale jeszcze wyżej, nim Białka do Dunajca wpada, t. j. na głównym trakcie z Nowegotargu przez Maniowy, Czorsztyń do Węgier.

cy na wzgórzu murowany kościół, stanął z funduszu skarbowego za cesarza Franciszka r. 1819. Później Maniowy, wraz z innemi starostwa czorsztyńskiego dobrami, przez publiczną sprzedaż przeszły w ręce prywatnych. Oglądając obrazy i chorągwie kościelne, napotykamy tu znów nowego, samoucznego niezłego malarza, Gubalskiego, z Tylmanowy. Gubalski niezaprzeczenie wyżej nad Nankich uważany być winien.

Na wysokiej murowanej wieży, kołyszą się dwa wielkie dzwony. Mniejszy nosi napis: „Campana hæc fusa A. D. 1607 sub. pleb. Alb. Kościel.”

Do tutejszego kościoła należą dwie exkurendy, tojest kościół w Dembnie wyżej opisany, i w Sromowcach wyżnich.

W oddaleniu, na cmentarzu parafialnym, stoi modrzewiowa kapliczka, zbudowana na pamiątkę moru, jak świadczy dochowany w kościele konsekracyjny dokument, z roku 1723. Józef z Zakliczyna Jordan kan. kat. krak. O. P. Dr., archid. kolleg. sandec., poświęcał tę świątynkę. Godne tu uwagi w szczątkach dochowane pyszne bizanckie obrazy: „Marya, św. Mikołaj, św. Stanisław i św. Katarzyna”. Obrazy te dawniej, jak widać, jeden składany stanowiły ołtarz.

Czorsztyń, pierwiastkowo zapewne Schorstein, Zornstein. Tuż przy gościńcu jadąc ku Sączowi, nad brzegiem Dunajca, na stromiej skale, wznoszą się jakby szkielet, ruiny zamczyska Czorsztyna. Dunajec szmaragdową wstęgą przecina dwie przeciwległe skały, na których jak trupy dwóch dumnych średniowiecznych wasali, stoją ruiny dwóch zamków: Czorsztyna w Galicyi, i Niedzicy (Dunavetz) na Spiżu (1). Widok z zamku Czorsztyna, śmiało nieporównanym nazwać się godzi. Jest on dziki, a przecież piękny i zachwycający: wokoło cisza, śmierć. Fantazyja ludu dja-

(89) Nedetz śmiałą wzniesiony ręką na stromiej skale wapiennej, wiszącej nad brzegiem Dunajca. Zdaje się ze względu jego potożenia, że na strażnicę graniczną współcześnie z Czorsztynem założony został. W wojnie Jana Zapolia księcia siedmiogr. i współzapaśnika z Ferdynandem o koronę węgierską (1530), znajdował się Nedetz w rękę Piotra Kostki z Siedlca, dowódcy oddziału wojska Zapolia, zpod którego odparł zastępy niemieckie. W r. 1601 naprawiono go, upiększono i rozszerzono, jak to można widzieć z napisu nad bramą zajezdną rytego na marmurze: „Georgius Horwat in Palocza, Dunayecz et Landok Dominus ac Æaeres hoc Castrum virtute sua organisavit, exornavit, et ampliavit, Anno Domini M. D. C. I.” Zamek ten jest dziś w stanie jeszcze dobrym i zamieszkały; zdobi go piękna kaplica. Więzienia obszerne w baszcie i pod bramą, przeznaczone są dla ciężkich przestępców. Tutaj zbierała się także przed r. 1849 węgierska szlachta, mająca w rękę władzę wykonawczą sądową, na zjazdy, które się kilka razy do roku odbywały.

blami i całą czeredą nocnych straszycel zaludniła zamczysko. Pełne różności uroczę Pieniny (1), to nagimi, to obrosłemi świerkiem skałami przegładają się w burzliwym Dunajcu. Ku zachodowi rozwija się szeroki widnokrąg nowotarskiej doliny, a nad tęp wszystkięp, jak tamtoświatowe duchy, unoszą się olbrzymie Tatry, śnieżną bielą odziane. Dzikość tego miejsca, brak ruchu, życia, przeznaczyły ten zamek na siedlisko zbójców, którzy go kilkakrotnie zamieszkiwali.

Zbudowanie zamku Czorsztyna odnosi się do najodleglejszych wieków. Kazimierz W. odmurował go, rozszerzył i umocnił. W r. 1401 opanowali ten zamek Grot Słupecki herbu Rawicz, i Jan Rogala kasztelan inowrocławski; naczelnicy bandy rozbójniczej, jak orły z Czorsztyna czyhali na zdobycz (2). Dopiero r. 1402 pewien dworzanin Jagiełły zamek ten zdobył; Słupecki uszedł, a Rogala pojmany długo zostawał w więzieniu, aż za przyczyną Zawiszy Czarnego, król go wolnością obdarzył (3). Podobnie r. 1434 rabusie z Czechów i Rusinów złożeni, wypadając z Czorsztyna, wielkie w kraju i w Węgrzech szkody czynili. Na zjeździe Zygmunta cesarza z Władysławem Jagiełło w Lubowni, Jagiełło wziął zastawem od cesarza Spiż za 37000 kóp gr. prag.; w akcie tej ugody dodano: „Aby pieniądze w zamku Dunajcu złożone, przez królewskich ludzi do Czorsztyna posłano” (4). Przebywał tutaj Jagiełło w roku 1423, i w czwartą niedzielę postu wyruszył z Czorsztyna, a na polach wsi Sromowce spotkawszy się z cesarzem Zygmuntem, udali się do Keszmarku na Węgry, gdzie traktat przyjaźni między sobą spisali (5). Władysław Warneńczyk kr. pols. udając się na objęcie tronu do Węgier 1440 roku, przybył tu z świetnym orszakiem, i rozstał się z odprowadzającą go matką Zofią i bratem Kazimierzem, z kąd więcój nie wrócił.

Zamek w Czorsztynie (jak lustracya podaje w r. 1616) był w dobrym stanie budowy, chociaż nader źle uzbrojony; miał tylko 4 hakownice i żadnej innej strzelby. Kiedy Jan Kazimierz pod Beresteczkiem opierał się Kozakom i Tatarom, Chmielnicki usiło-

(1) Pieniny zajmują jedną milę □. Poczynają się pod Czorsztynem, a kończą za Krościenkiem. Najwyższy szczyt Pienin zwie się *Sokalica*.

(2) Grot Słupecki oddał się życiu awanturniczemu natenczas, gdy został z kraju wywołany za zabicie Jana Ossolińskiego kasztel. wiślic. w zwadzie o granicę wsi Ówuktos (Niesiecki. Bielski tom 13 str. 213).

(3) Kromer, *De origine et rebus gestis Polon.*

(4) Generzych: *Osobliwości miasta Keszmarku*, tom I, str. 148.

(5) Moraczewski: *Dzieje rzeczyposp. pol.* T. 2, str. 132.

wał w całej Polsce stan wiejski przeciw szlachcie podburzyć. Należał do niej Alex. Napierski (1651 r.) dla większej wziętości mieniący się ze Stembergu Kostką, z pomocą niecnoty Gocławskiego, burzył odezwaniami w imieniu Chmielnickiego lud tatrzański, obiecując większe swobody i wkrótce nadszły mające posiłki. Ubiegał bez straży będący zamek czorsztyński, i w nim bankietował ściągając bandy górali. Spieszna wyprawa nadwornej milicyi biskupa krak. Gembickiego, zdobyciem zamku położyła koniec grożącej rzezi. Napierski wraz z innemi pochwycony, za dekretem u szubienic kazimierskich pod Krakowem na pal wbity został (1). W czasie wojny szwedzkiej Jan Kazimiérz uchodząc z Polski schronił się do Czorsztyna 1655 roku, lecz gdy i tu po krótkim pobycie nie widział się być bezpiecznym, wydalil się za granicę.

W czasie zamieszek, wszczętych wstąpieniem Augusta III na tron polski, z Stanisławem Leszczyńskim, okolica tutejsza była widownią łupieztw, zniszczenia, niezliczonych krzywd rządzonych tak przez wojska cudzoziemskie, jako i własne. Czorsztyn mianowicie, całe starostwo, a w niém osobliwie biedny lud, okropnego doświadczał prześladowania (2). Lustracya r. 1765 znalazła zamek już znacznie spustoszały i osądziła z obecnego stanu, że wielkiego wymagał nakładu na podźwignienie, na co starosta wystarczyć nie mógł, dodając: „Szkodaby było, żeby tak kosztowny pograniczny i obronny zamek, miał przyjść do ostatniej desolacyi” (3). Czorsztyn z przyległemi włościami stanowił niegrodowe starostwo, które opłacało 1772 r. kwarty złp. 7195 gr. 12 den. 17.

Przed sześćdziesiąt laty jeszcze zamieszkały ten zamek, stał się później pastwą piorunów, od których spalony; mieszkańcy zmuszeni byli opuścić pustkowie. Ostatnim starostą czorsztyńskim był Józef Potocki (4). Dziś ledwie kilka ścian dochoowało się z téj wspaniałej ruiny.

Kończąc rzecz o Czorsztynie, przypominamy sobie, że już nasz Kurpiński w swój operze: „Bojomir i Wanda” usiłował dźwiękami muzyki wygłosić całą piękność czorsztyńskiej okolicy.

Widok zamku Czorsztyna, oprócz ryciny Oleszczyńskiego wydanej w Paryżu, znajduje się przy Ziewonii, noworoczniku lwowskim z r. 1834, i w Przyjacieiu Ludu.

(1) *Wspominki Ojczyście* Amb. Grabow. T. I. (2) *Roczniki jazowskie; rękop.*
 (3) *Starozyt. Pols.* T. I. (4) *Plata wojska i chleb zasłużonych*, r. 1771 str. 4.

Krościenko. Licha miejscina, 1300 przeszło mieszkańców. Ubogie zabudowania rozrzucone po obu brzegach Dunajca. Okolica mniej piękna, zamknięta; ciasna przestrzeń otoczona zewsząd lasistemi górami, na małym ogranicza się widnokręgu. Miasteczko Krościenko ma szkołę trywialną, i źródło wody mineralnej (1).

Herb miasta: baran z chorągwią. Nazwa Krościenko ma pochodzić od tak zwanego koszyka na garnki, albowiem garncarze Rusini, podług podania mieli być pierwszymi, którzy po zniszczeniu okolicy przez Tatarów w miejscu tém osiedli.

Na drugiej stronie Dunajca, przy brzegu, leży wielki kamień, wokoło którego bije źródło. Do tego kamienia jest przywiązana powieść, że na nim św. Kunegunda z Węgier przypląnęła i spisała po nim swoją laską dotąd nieodczytane głoski. Za miasteczkiem wznoszą się wysokie góry Pieniny; na jednej niezmiernie stromiej skale, popod którą płynie Dunajec, pokazują szczątki murów z zamku św. Kunegundy. Nader trudny przystęp do tego obronnego niegdyś zamku dał pewnie powód do pobożnej legendy, jakoby go anieli zbudowali. W czasie drugiego napadu Tatarów (1259—1260), ukryła się tutaj św. Kunegunda wraz z siostrami i 70 zakonnicek z klasztoru Staro-Sądeckiego. Tatarzy oblegli zamek, lecz podług powieści, którą i Długosz w życiu tej świętej powtórzył, na prośby jej tak gesta mgła upadła, iż oblegający znaleźć się nie mogli, i tym sposobem zamek ocalał. Z szczątków tego zamku tylko piwnica nieco się w całości dochowała.

Kościół w Krościenku murowany. Wiek jego budowy ledwo na wiek XVII oznaczyć się da z pewnością, akta bowiem spłonęły; a z dochowanych, najstarszą datą jest r. 1644, gdy był proboszczem Stanisław Czarnecki. R. 1665 Tomasz Oborski suffrag. krak. poświęcał kościół; byłoto zapewne poświęcenie po odnowieniu lub restauracyi. Tak Krościenko, jak i cały okrąg aż po Dembno, należały dawniej do parafii w Grünwaldzie. Kościół w Krościenku nad samym brzegiem Dunajca wiszący, nieraz już woda niszczyła. Dowód to niezaprzeczony, że tak w tym miejscu,

(1) Niedawno założono tu kąpiele. Części składowe mineralnej wody odkrytej w Krościenku są: w 2 fun. wody = saletranu sody 3,049.47, solanu wapna 7,436.650, węglanu sody 1,750.911, węglanu magnezji 7,844.555, gazu kwasu węglowego 27 cali sześciennych. Dr. Herbich botanik odkrył tu roślinę: „Chryzanthemum Zawadzki” od niego nazwaną, którą w dziele: *Additamentum ad floram Galiciae* opisał i wyobraził.

jak i w innych wsiach, gdzieśmy kościoły tuż nad rzeką położone wspominali, Dunajec inném przed wiekami płynął korytem. Piękne rzeźbione starożytne ołtarze, zasługują w téj świątyni na uwagę. Znów tu ruszczyzna; lud prawi, że kościół ten był przed wieki ruski. Dawniej miano tu monstrancją ruską z trzema gotyckimi wieżyczkami i mszał ruski, a dziś pokazywał nam proboszcz kielich miedziany i patyny miseczkowate wklęsłe, o których przeznaczeniu do ruskiego obrządku zapewniał.

O wielu to już dotąd ruskich zabytkach w tych okolicach wspominaliśmy, a jeszcze o wielu wspomnieć nam wypadnie. Że Rusini przed Władysławem Jagiełłą tu byli a nie później, to z kilku dat budowy kościołów, przeznaczonych na ich obrządek, prawie z pewnością wniesć można; lecz, czyli przed, czy po napadzie Tatarów tutaj się osiedlili? jest to dla nas zagadką, bo postać świątobliwej Kunegundy w okolicy Rusinami zaludnionej, nie mogłaby się z dziejową pewnością pogodzić. Naszém zdaniem, dotąd istnieli w téj okolicy Rusini, dopóki otoczeni zewsząd wyznawcami rzymskiego obrządku, nie stracili głównych cech swéj wiary, i z sąsiedniém sobie plemieniem górali, w jedność się nie spoiłi. Niezaprzeczony to bowiem dowód, że gdy lud zmieni obrządek religijny, wtedy traci główną charakterystykę swéj narodowości. Co bądź prawdą się komu w téj sprawie zdawać będzie, prosimy, aby wiadomości swych publicznie udzielił.

Wróćmy do opisu kościoła w Krościenku. Ozdobne dzwony noszą na sobie następne napisy: „Ad honorem B. V. Maryae fecit me Petrus Waygner, ludwiserz, anno 1803. Rumore lent. vidt. Kroszczen”.

„Sancte Urbane ora pro nobis 1794”.

Do probostwa tutejszego należy kościół filialny w Szczawnicy i dwie ekurendy w Grünwaldzie i Sromowcach niżnich.

W *księdze wspomnień* (in libro memorabilium) czytamy, iż 25 kwietnia 1840 r. dało się czuć w okolicy Krościenka wielkie trzęsienie ziemi. Tamże zapisano, iż: „r. 1845 spadł w téj okolicy dészcz siarczasty; na polach osiadła powłoka siarczana, a i w powietrzu zapach siarki trwał przez czas niemały”. Gdziekolwiek znaleźliśmy podobne meteorologiczne zapiski, podajemy je w myśli, że znawcom na użytek naukowy posłużą.

Tylmanowa, wieś, szkoła parafialna. O budowie kościoła tutejszego żadnego niéma podania; 1756 r. kościół, plebania i akta spłonęły. Że świątynia dawniej tu istniejąca miała być ruską,

znów nas o tém zapewniano, a na dowód pokazywano nam ołtarze, które ze starych przemalowano. Widać, że obrazy te były w sposobie bizanckim malowane, a święci przybrani w apparatus, przez kapłanów ruskiego obrządku używane. Ks. Wolski proboszcz tutejszy zaraz po spaleniu kościoła odbudowywać go począł; a jak się z rozpoczętej przez niego *księgi wspomnień* dowiadujemy, ołtarz wielki z Krościenka dla kościoła w Tylmanowej nabył. Dzwon téż z Krościenka pożyczyl; gdy jednak dzwon ten z kąd był pożyczony nie powrócono, mieszczanie krościeńscy spór długi z Tylmanowianami wiedli. Do dziś dnia jednak dzwon w Tylmanowej pozostał. Napis na nim jest następnym:

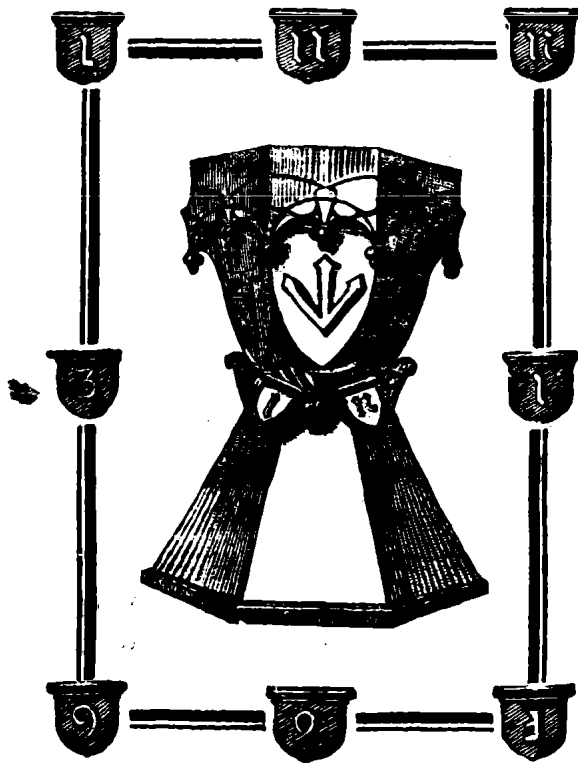
„Gaspar Kramnitz, obyw. z Krampach z kawałków dawnego dzwonu lat nowy r. 1758”. Widać, iż dlatego dzwonu tego nie oddano, że się we dwa lata po pożyczaniu potłukł.

Do tutejszego probostwa należy kościół filialny w Ochotnicy.

Lancko, wieś, targi, jarmarki, szpital, szkoła parafialna, ostatnia osada Mazurów podkarpackich. Murowany kościół zbudowano dopióro około r. 1818, jak to tenże rok nad wchodem do wieży wryty przekonywa. Dawniej istniejąca tu świątynia, spłonęła wraz z aktami kościelnymi r. 1802. Następnym jednak dat z pozostałych dokumentów dowiedzieć się można. W r. 1530 napotykaemy proboszczem Michała z Lipnicy, w r. 1540 Jana Boczkowskiego, a około r. 1600 Mateusza z Sieciechowa. R. 1557 dochody probostwa już oznaczone były. R. 1608 odbyta wizyta mieni tutejszy kościół drewnianym. R. 1576 Byliczka Dorota, abbatyssa sandecka, zbudowała i uposazyła tu szpital. W *księdze wspomnień* zapisano następnym wyjątek z krakowskiej księgi Długosza *Liber beneficiorum*: „Hic in agris villæ Lancko invenitur aurum optimum naturaliter de terra errumpens”.

Sklepienie kościelne zdobią godła: Nałęcz, Doliwa i nieznamy nam herb węgierski. Ołtarze tego kościoła są ozdobione pysznymi rzeźbami, jak świadczą napisy na początku wieku XVII fundowane. Szczątki z pięknych obrazów w guście bizanckim, winny zwrócić uwagę biegłych w rzeźbie i malarstwie. Św. Mikołaj i św. Stanisław, dwa niemaléj wartości obrazy na płótnie olejno malowane, stanowią niby wrota, poza ołtarz wiodące. Na jednym z tych obrazów, które niezaprzeczenie należą do płodów XVI wieku, da się odczytać: „Martinus hanc me veste contextit”. Widać, jestto imię malarza, lub téż owa postać przedstawiać ma św. Marcina. Na mensie jednego z ołtarzy jest kamień, stanowiący niegdyś po-

mnik ks. Wojciecha Fabianowicza proboszcza i dobrodzieja kościoła, kanon. sandeckiego, † 1683 r. Najgodniejsze tu uwagi są: monstrancya olbrzymia, prawie cudownie ukryta i uratowana w r. 1811. Monstrancya ta wytwornéj roboty, złożona z trzech gotyckich wieżyczek, św. Mikołaja i św. Stanisława postaciami ozdobna, uważana jest za zabytek po wyznawcach ruskiego obrządku. Ależ ta ruszczyzna i św. Stanisław w parze zawsze z św. Mikołajem, enigmatycznemi dla nas być nie przestają! Drugim wielkiej wagi starożytnym zabytkiem jest chrzcielnica z piaskowca, niezbyt misternéj, ale pięknej roboty. Chrzcielnicę tę uważamy za pomnik sztuki przynajmniej z XIV wieku. Na tarczach jéj ozdobę stanowiących, są pojedyncze litery trudne do odgadnięcia. Zdaje się, że takby je czytać wypadało: J(esus) N(asar.) R(ex) J(udeor.) 1.4.2.3. Kształt chrzcielnicy, jako téż tarcz owych z głoskami, podajemy tu w ogólnym przerysie, aby bieglejsi od nas znawcy sąd, zdanie i orzeczenie bliższe o tym starożytnym zabytku dać mogli.



Na kamiennéj, murowanéj r. 1818 wieży, dwa umieszczone dzwony następne noszą napisy:

„Fusa in loco. Sacerdos me fecit A. 1809”.

Jestto dzieło ks. Bigosa, którego roboty dzwony, już kilka razy z tym, co i niniejszy, podpisem wspominaliśmy. Napis na dzwonie drugim:

„Cura A. R. Caspari Czekański P.(lebani) et D(ecani) Caccensis (1) A. 1836, a Francesco Stanke Olomucii fusa”.

We wsi Łącku żył sławny samouczny rzeźbiarz, fabrykant cwancygerów fałszywych, chłop Jan Gromada; który przed kilku laty podobno w więzieniu umarł.

Jazowsko, wieś, nad Dunajcem. Szkoła trywialna. Jak się z ksiąg kościelnych dowiadujemy, r. 1605 już był pleban przy kościele tutejszym, a przedtém, kościół jazowski był ekurendą Łącka. Był on drewniany, a niezawodnie w XVI jeszcze wieku stawiany. Z tego jednak kościoła, pozostały ledwo pięknie rzeźbione i malowane, starożytne ołtarze; budowane jeszcze w owym szesnastowiecznym guście stawiania ołtarzy na trzy stopnie, jakby piętra, zwięzające się ku górze, a zwykle gotycko zakończone. Dziś istniejący kościół murowany, sklepiony, wystawił ks. Jan Owskiński proboszcz r. 1717, i brat jego Stanisław Owskiński, rolnik, a to z jałmużn i składek. Historją téj fundacyi wymalowaną i opisaną, widzieć można na ścianie za organami. Oryginał konsekracyi téj świątyni, na pergaminie, wydany przez biskupa Michała Kunickiego sufragana krakow. r. 1740 (2), dochowuje się w aktach kościelnych.

Ważne tu dochowały się metryki kościelne, a między innemi od r. 1680, w których ks. Jan Owskiński prob. tutejszy po każdym skończonym roku, zapisuje dobrodusznie wszystkie wydarzone szczegóły wypadków tak krajowych, zaszłych w okolicy, jako i jego osobistych. Kronika ta, którą my Rocznikami jazowskiemi zowiemy, doprowadzona jest do r. 1726 włącznie, odkąd ją znów bratanek jego i następca na probostwo ks. Stanisław Owskiński dociągnął do r. 1744 (3). Niezmierniej jest wagi dla dziejopisa, geografa i statystyka, a dla powieściarza obrazującego wiek XVIII, nieoszacowanym byłaby materiałem. Posiadamy ją w całkowitym odpisie, a jeżeli okoliczności pozwolą, wydać nie omieszkamy. Można z tych zapisków powziąć wyobrażenie o morowém powietrzu w r. 1710, gdy w Sączu nie nastarczono grzebać trupów, a psy je na miejscach publicznych rozszarpywały. Pod rokiem 1720 czytamy opis tortur, które na winowajcach publi-

(1) W obwodzie sądeckim nie znamy nazwiska podobnego dekanatu.

(2) M. Kunicki herbu Bończa sufragan i archidyakon krak., dziekan kapituły gnieźnieńskiej, opat mogiński. Mąż pełen cnót i zasług publicznych, opiekun małoletniego Ignacego Krasieckiego, później znakomitego pisarza i biskupa warmińskiego. Umarł r. 1751 (Krasiecki w dopeł. Niesiec. tom 5).

(3) Ks. Jan Owskiński † dnia 7 lutego r. 1727. Stanisław † 1746.

cznie odbywano. Znajdujemy tam opisy wielu dziś już nieobchodzonych obrzędów narodowych i religijnych, uwagi o stanie Polski, o napadach nieprzyjacielskich, przechodach wojsk, rozbojach i rozterkach między możnowładczą i okoliczną szlachtą. Czytamy tu opis komet, widzianych w tym długim ciągu lat; stan lata i zimy, jesieni i wiosny; powodzie, ulewy, burze i mrozy nadzwyczajne; przy każdym roku nie zapomina dodać, jaki był plon, urodzaje, ceny zboża, głody i pomory. Opisuje skrzętnie klęski, jakie tę okolicę dotknęły przez pożary, szarańcze i rozboje. Dobroduszny ten widać ksiądz, ale sknera, skarży się ciągle, że nie ma ani grosza w jego kalecie, i zapisuje, ile na uciążliwe podatki, na szczegółowe potrzeby domowe wydać musiał. Jestto więc ważny zabytek, o zamożności i wewnętrznym stanie tej części Polski dokładny obraz podający.

Na dzwonach jazowskich następne są napisy: „Textorus Plebanus Jazoviae et Preisoviensis (w Przyszowie) A. D. 1629. Balzer Ruguł fecit me”.

„Fundit me Georgius Vierd Epperesini (Preszów) M.D.CLI (1651)”. Oba te dzwony, pięknym odlewem zwrócą uwagę znawcy giserstwa.

W przyległych lasach pokazywano nam wydrążenia w skałach, gdzie groźni rozbójnicy w ekolicach tutejszych, wygodnie w wieku zeszłym przemieszkiwali. Na wysokiem wzgórzu widać z kamienia wykute krzesło, z którego, jak lud tutejszy prawi, dowódca do zgromadzonych towarzyszy przemawiał. Tutaj miał schronienie słynny z rozbojów Józef Baczyński ze swemi współnikami, którego pod jesień r. 1735 schwytano, i na zamku w Krakowie osadzono. W następnym zaś roku schwytano na Spizu Łazarczyka z Tylmanowy podhetmaniego tamtegoż, i w Lewoczy wraz z siedmioma tej bandy, głowy ścięto (1).

Pod Kadeczą przewieźliśmy się na prawy brzeg Dunajca, a straciwszy z oczu podatrzańską górzystą okolicę, ujrzelśmy wieże Starego Sącza.

Stary Sącz, Sandecz, Sandecia, antiqua Sandecz, Vetus Sandecz, Alt-Sandetz, nad ujściem Popradu do Dunajca; dziś liचे miasteczko, liczące 4700 mieszkańców. Magistrat, ratusz przerobiony z klasztoru XX. Franciszkanów, szkoła główna. Herb miasta: orzeł biały jednogłowy, na tarczy w polu pół pasowém,

(1) *Roczniki jazowskie; rękop.*

pół niebieskiem. Kilka domów w owym staropolskim, gościnność pod cieniami cechującym stylu, tu i owdzie rozsiane, zwracają uwagę przechodnia.

Początek Starego Sącza sięga panowania Kazimierza Sprawiedliwego. Król ten 1186 r. zamek Sandesch, Oświecim i Zator nadaje dożywotniem prawem Wichsrydowi z Niemiec przybyłemu, z wolnością używania prawa magdeburskiego (1). Bolesław Wstydlivy posagu swój żony Kunegundy, córki Belli IV króla węgierskiego używszy na potrzeby kraju, przywilejem w r. 1257 datowanym, natomiast jako posag miasto Stary Sącz ze wszystkimi tego mienia przyległościami *terra Sandecensis* (w które przeszło sto wsi wchodziło i rozciągały się aż pod węgierską granicę), ze wszystkimi prawami, przywilejami i dochodami, bez ograniczenia i wyjątku, wiecznemi czasy Kunegundzie daruje i zapisuje; zastrzegając tylko, aby królowa darowizny swojej obcego narodu ludziom nie puszczała w posiadanie (2). Podczas drugiego najścia Tatarów miasto napadnięte, uszło od zniszczenia przez dzielny odpór mieszkańców i wezwanych w pomoc górali. Miasto prowadzić musiało w tym i następnym wieku znaczny handel, gdy mieszczenie krakowscy zawarli w r. 1329 umowę, którą się obowiązują, towary przewozić do Węgier i napowrót przez Sandecz, a Sandeczanie nawzajem towary ładem do Torunia przez Kraków. Kazimierz W. obdarza *antiquam Sandcz* r. 1357 prawem magdeburskiem. Nadaje mieszczanom wolność łowienia ryb w Popradzie i Dunajcu, i dozwala polowania w granicach miasta; oraz ustępuje im górę przy sadzawce z wszelkimi użytkami, za opłatą rocznej daniny. Zygmunt król węgierski opanował miasto w roku 1411, a uchodząc przed nadciągającym wojskiem polskim, miasto spalił (3). Zygmunt III przywilejem z r. 1602, stanowi targi w poniedziałek każdego tygodnia i jarmarki trzy: na św. Trójcę, na Narodzenie N. P. i św. Elżbietę. Wojny szwedzkie zniszczyły miasto. Za czasów Kazimierza Jagiellończyka znajdować się tu musiał zamek, skoro synowie jego w nim przebywali, ostre wiodąc życie; odzież ich składała się z grubego sukna, w zimie zaś kozuchami odziani byli. W tém ustroniu doskonalili się

(1) Czacki *O Litew. i pol. praw.* T. I str. 274.

(2) Świadczy kopia przywileju, znajdująca się w urzędzie kameralno-ekonomicznym staro-sądeckim w tomie III aktów. Oryginał w r. 1782 przesłano do gubernium we Lwowie.

(3) Bielskiego *M. Kronika pol.* T. 14.

królewiczowie w umiejętnościach około r. 1475, pod dozorem nauczycieli, Filipa Kallimacha Buonacorsi, i Jana Długosza słynnego dziejopisarza (1).

Przedewszystkiém uderza tutaj piękna gotycka budowa klasztoru PP. Klarysek. Wejdźmy w to starożytne ustronie św. Kunegundy, w którym jeszcze w wieku XIII pierwsze rozgłosy modlitw chrześcijańskich obijały się o mury klasztoru, zbudowanego przez tę królowę dla zakonnic św. Klary, żyjących wedle reguły św. Franciszka. Po śmierci męża (r. 1279), owdowiała królowa wstąpiła do założonego przez siebie klasztoru, przeżywszy w nim lat 13. Uposażyla św. Kunegunda w r. 1280 wieczyście klasztor, zapisując mu na własność Stary Sącz, wraz z dobrami do niego należącemi i ze wszystkiemi dochodami i przywilejami, od króla Bolesława sobie nadanemi (2). Przez tworzenie nowych osad i kupno, posiadać miał klasztor w XVI wieku 49 włości. Obsypany w ten sposób dobrodziejstwami klasztor Staro-sądecki, stał się jednym z najbogatszych w Polsce. Ludwik król pols. i węgier. uwolnił w r. 1381 włości klasztorne od ospu i wszelkich ciężarów; dla uznania zaś swój władzy polecił do skarbu dawać po 4 gr. z łanu, miarę żyta i dwie owsa (3). Dalsze koleje klasztoru są nieznanne; gdyż wszelkie zabytki dziejowe tego zakonu się tyczące raz usunięte z miejsca, więcój już do niego nie wróciły. Wskrzeszonemu zakonowi nie pozostało dziś nic więcój, jak wspomnienia tradycyjnie dochowane. Rząd austriacki w r. 1782 wszystkie dobra i dochody klasztoru, wraz z ich prawami, zajął na fundusz religijny. Nowicyat zamknięto, przywileje i archiwum klasztorne przewieziono do Lwowa, a srebra kościelne w r. 1811 zabrano na potrzeby toczącej się naówczas wojny. Wskrzeszony na nowo zakon zajmuje się teraz wychowaniem dziewcząt, których 200 przeszło przebywa rocznie.

Jak podanie mówi, Węgrzy klasztor zbudowali i z tego powodu herb ich pozostał dotąd na ścianach klasztoru. Herb ten mieści w sobie cztery rzeki: Drawa, Sawa, Cisa, Dunaj, i trzy góry: Tatra, Fatra, Matra; ponad tarczą krzyż z czterema ramionami.

Niczadługo (roku 1292) św. Kunegunda dopełniwszy życia wielkiemi cnotami znakomitego, umiera; kościół płonie; znać, że sklezione mury kościoła ocalały w czasie pożaru. Węgrzy po tém

(1) *Starożytna Polska* T. 2. (2) Przywilej ten w Gubernium, kopia w urzędzie kameralno-ekonomicznym w miejscu. (3) *Staroz. Pol.* T. 2.

spaleniu blachy dali na pokrycie dachu. Dziś kościół, wraz z piękną wieżą pokryty miedzią. Facyata i wieża kamienna zdaleka uderzają. Chór dorównywający wielkości wnętrza kościoła, równie jak i cała świątynia, niezłemi alfreskami żywot św. Kunegundy przedstawiającemi, okryty; tylko część kościoła presbiteryum stanowiąca, uważać należy za zabytek budowy z XIII wieku. Zabudowania klasztorne rozciągają się w czworobok, tak, iż kościół zamyka jeden bok tego czworokąta. W murze klasztornym widać jeszcze strzelnice, a nawet jedna baszta w całości się dochowała; był więc obronny. Zdała klasztor ma postać warowni, panującej nad miastem. Wewnątrz zabudowań klasztornych jest kanał, który dostarczaniem wody i wyprowadzaniem nieczystości niemałe przynosi dobrodziejstwa. Dziwną o tym kanale słyszeliśmy opowieść: na mocy przywilejów św. Kunegundy, żydzi nie mogli zamieszkiwać tej okolicy; gdy jednak w r. 1822 sprowadził się do miasta propinator żyd i zaczerpnął wody z kanału, woda wyschła, a rząd staraniem swoim dopiero na nowo ją do kanału sprowadził. W pobliżu klasztoru okazują też cudownie na oczy działającą wodę w kapliczce. Długosz opowiada w *Życiu św. Kunegundy*: „Znużona ta zakonnica zapragnęła zdroju, uderza laską o ziemię, piętzą się wytryskujące wody, a z zostawionej laski lipa wyrasta.” Lipa ta, jak mówią, przez wieki stała przy kapliczce i niedawno podobno pod toporem runęła. Na zewnątrz kościoła oglądamy dwa następne pomniki: piérwszy z czerwonego marmuru wyobraza w płaskorzeźbie rycerza klęczącego u stóp Chrystusa. Jestto pomnik Jana z Lipia Lipskiego, rządcy staromiejskiego, zmarłego r. 1631 (1). Drugi z takiegoż marmuru ku pamięci Stefana Lipskiego, zmarłego r. 1627. Wstępując w progi świątyni, zasługują najpiérwój na uwagę główne kamienne gotyckie odrzwia, z napisem: S. L. A. D. 1597. Rok ten dowodzi, że około tego czasu kościół restaurowano, ołtarze atoli i ozdoby kościelne noszą na sobie cechy różnych wieków i stylu, i rzecz można, że każdy ołtarz inném od drugich wyróżnia się piętnem. W treści wielkiego ołtarza widzimy św. Trójcę na srebrnej blasze, w pięknej wypukło-rzeźbie wystawioną; ozdoby jednak z pobożnych ofiar złożone, szpecą wielce ten utwór sztuki złotniczej. Słupy mozaikowe wspierają tęczę ołtarza, zbudowanego w guście włoskim. Na stopniach napis: „Constantia Jordanówna Abbatissa Vetero Sande-

(1) W Niesieckim wyczytujemy, że był starostą sądeckim.

censis errexit A. D. 1696". Po obu stronach wielkiego ołtarza, śliczne obrazy św. Klary i św. Walentego, włoskiego pędzla. Stała niezłe ozdabiają malowidła. Dalsze boczne ołtarze: po prawej „św. Kunegunda” na tle złotoném (odnawiany r. 1661); po lewej, téjże roboty „Marya”, uderzają wytwornie rzeźbionemi ozdobami. W kaplicy św. Kunegundy, w kamiennym prostym sarkofagu, przechowywały się prochy téj świętej, w trzysta lat po śmierci tu przeniesione, teraz umieszczone na ołtarzu za szkłem. Z reszty ozdób téj kaplicy zasługuje na wspomnienie: stary obraz św. Kunegundę przedstawiający i drewniana w sukni statua, jak podanie niesie, jeszcze za jój życia robiona (1). Nad wszystkie jednak rzeźby, które ten kościół aż do zbytku i przesytu posiada, najgodniejsza uwagi wytwornie drzewo-rzeźbiona, złotona, w gwiazdę zbudowana ambona r. 1671, jak na niój świadczy napis. Na posadzce pod tąż kazalnicą, na stosownym pedestalu, spoczywa leżący Abraham; z łona jego wyrastają dwie gałęzie winogron, które oplatając całą ambonę, kończą się u jój wierzchołka. Na każdym z gron winnej latorośli przedstawia się postać jednego z królów z pokolenia Abrahama; w ogóle figur 11; u wierzchołka Chrystus. Inni każą być temu arcydziełu rzeźbiarstwa, genealogią królów węgierskich. Zdaje nam się jednak, że nasz w tym względzie opis jest najgodniejszym wiary, i krytykę wytrzyma. Po lewej jednego z bocznych ołtarzów, oglądamy z czarnego marmuru pomnik Samuela Łapki † 1643.

Na wielkim dzwonie kościelnym niéma napisu. Na dzwonie mniejszym następna legenda: „Libera nos domine a fulgure et tempestate: A. 1766". Na zegarowym: „Zophie Boczkowska A. D. 1616". Na najwyższym u szczytu wieży będącym: „Mefecit Hedwigis Trzeczikeska abbatissa".

Pragnąc obejrzyć tak wielką w bibliografii wartość mający rękopism Długosza „Życie ś. Kunegundy”, postaraliśmy się za pośrednictwem zacnego ks. kapelana Ignacego Lissaja o wstęp do klasztoru.

Rękopis ten od czasu, gdy go Długosz dla zakonnic napisał, aż do roku 1830 w klasztorze dochowany, jako pomnik dziejowy, osobliwość bibliograficzna i jako pamiątka miejscowa, zasługiwał na uwagę uczonych. Dziś wstępując w mury klasztoru sta-

(1) Ciekawi szczegółów grobu św. Kunegundy i jój cudów, mogą czytać takowe w książce: *Droga Zbawienna do grobu B. Kunegundy* i t. d. przez księdza Wincentego Sienickiego S. T. lektora zako. kaznodziej. w Krakowie, r. 1769 w 8ce.

ro-sandeckiego, pierwszym naszym pragnieniem było, ujrzyć ten ważny zabytek. Z jakimże zadziwieniem powzięliśmy od ksieni zakonu wiadomość, że zakonnice nie umiały cenić tej drogiej dla nich pamiątki, i wydały ją z murów klasztornych, nie mając nadziei odzyskania jej kiedykolwiek.

Najwcześniej po zniknięciu owego rękopismu widział go i opisał p. Żegota Pauli. Bibliograf ten podróżował po Galicyi r. 1831, a zatem oglądał rękopism, w rok po jego zniknięciu. Nie wiemy, dlaczego p. Pauli, który wiedział czyją własnością jest rękopism, okrył tajemnicą nieprawego posiadacza, którego imię było mu znanym? W opisie bowiem swój podróży po Tatrach (1), tak mówi o rzeczonym rękopiśmie Długosza: „Książkę tę na pergaminie in folio ręką Długosza ozdobnie pisaną, widziałem u jednej osoby tamtejszej. Pierwsze dwie karty wyłącane i ozdobne malowidłami, zostały wycięte. Zawiera stronnic 66, na końcu podpis: *Dlugossius Longinus anno 1473*. Tytuł rękopismu: *De vita, miraculis gloriose et beate femine Conegundis polonie ducisse virginis* (2).“

Przejdźmy pokrótce koleje, jakie ów rękopism przechodził. Panny u zakonnice się kształcające, wycinają dwie pierwsze karty ozdobne. Roku 1830 ks. Serwaciński pożycza z klasztoru rękopism, zatracą go, lub też komu innemu odstępuje. R. 1831, jak wyżej powiedzieliśmy, pan Pauli ogląda go u jednej osoby tamtejszej. R. 1833 ks. Serwaciński umiera i z nim ginie tajemnica o losie rękopismu. Napróżno hr. Tytus Działyński, zwiedzając Sącz, szuka rękopismu i wyznacza nagrodę 400 reńskich k. m. za zwrócenie go klasztorowi. Zakonnice obojętne, o rękopism się nie troszczą. Roku dopiero 1846 ksiądz Gło-

(1) *Rozmaitości Lwowskie* z r. 1835. Ner. 51 z 19 grudnia.

(2) M. Wiszniewski w IV tomie *Hist. Liter.* str. 93, 94, 95, opisuje szczegółowo ten rękopism. Zaczyna się on od słów do biskupa krakowskiego Jakóba z Sienny: „*Joannes Longinus Canonicus Cracoviensis monet hortatur et impellit Jacobum Episcopum Cracoviensem pro canonisatione Sancte Conegundis Poloniae Ducissae, cujus genus, virtutes, religionem, gesta et prodigia in hoc describit libello*”. Długosz czerpał z dawniejszego żywotu św. Kunegundy, przez jakiegoś Stanisława Franciszkana króciuchno napisanego, do którego, jak sam mówi, przydał wiele rozdziałów. W XVII wieku wyszło tłumaczenie owego żywotu, gdy ks. Jan Fox archid. krak. wizytator zakonu (Miechovia § III) zwiedzając klasztor, ksienią Zofią Boczkowską do jego wydania po polsku, namówił. Wyszedł też w Krakowie 1617 r. in 4to str. 288, z tytułem: „*Żywot św. Kunegundy zakonu św. Klary, księżnej polskiej, za powodem ks. Jana Foxa, archidyakona krak. na polskie przez ks. Przemysława Mojeckiego przetłumaczony*”. Kopia owego rękopismu na papierze miała się znajdować w bibliotece Żatuskich. Biskup ki-jowski Żatuzki widział jeden rękopism tej treści u Jezuitów w Krakowie.

wacki z Poronina umiera i na łożu śmiertelném wyznaje, że rękopism Długosza jest między jego książkami, i prosi, aby go zakonnikom wrócono. Zakonnice znów według swego zwyczaju obojętnie się około odszukania rękopismu krzątają; uprzedzają jednak pana Ryłskiego, komornika sądowego, do licytowania pozostałości przeznaczonego, o swojej pretensyi do książek po Głowackim. Pan Ryłski obiecuje pamiętać, a w klasztorze jak nie ma rękopismu, tak nie ma; gdyż on tymczasem wyszedłszy z Sącza, po Krakowie wędrował i ślady jego przechodu niepamięcią i zadawnieniem zacierać się poczynają. Rękopism ten i ze względu na jego wewnętrzną i bibliograficzną wartość, godnym jest szacunku, i jako pamiątka miejscowa zakonnikom wrócony być winien.

Zwróciliśmy więc całą uwagę zakonnic na ważność straty, jaką poniosły; radziliśmy, aby zebrawszy ślady wskazujące na drogę, którą rękopism w swojej wędrówce postępował, podały takowe szanownemu biskupowi dyecezyi tarnowskiej, aby ten miłośnik zabytków ojczystych, drogą urzędową o zwrot rękopismu mógł się dopomnieć. Jeżeli zakonnice i nateraz zaniedbają swego świętego obowiązku, to może przynajmniej głos niniejszy dojdzie ks. biskupa, i wynalezienie téj drogiéj zguby przyspieszy (1).

Otóż i ta jest korzyść z naukowych po kraju wycieczek, że ludzie co je odbywają, do uratowania ginących zabytków przeszłości przyczynić się mogą. Na zakończenie opisu klasztoru sandeckiego przytoczyć wypada, iż zakonnice przechowują z większą bez porównania jak rzeczony rękopism starannością, tak zwaną stopkę św. Kunegundy. Św. Kunegunda uciekając przed Tatarami, na drodze, którą postępowała, zostawiać miała po kamieniach cudowne ślady swéj stopy. Kamień ten piaskowy, dziś w drewnianej skrzynce zachowany, ma na sobie rzeczywiście ślad małej nogi, jakby w glinie wyciśniętej. Stopka ta w lesie pod wsią Łopuszną znaleziona, z zniesionego w Starym Sączu klasztoru Franciszkanów tu przeniesioną została.

Kościół farny ś. Elżbiety. Ani śladu niema piśmiennych dokumentów, mogących dać wiadomość o przeszłości téj świątyni. Na drodze ku Podegrodziu miał stać przed wieki farny kościół

(1) W nr. 5 *Dodatku literackiego* do krakowskiego pisma „Czas” z r. 1849, uczyniliśmy stosowną publiczną w tym względzie odezwę do JW. ks. biskupa dyecezyi tarnowskiej.

ś. Krzyża. Świątynia ta spłonęła r. 1251 i na jej miejscu obecnie istniejący kościół miał być zbudowany. Nie wiadomo, kto był fundatorem. Podanie przypisuje założenie kościoła jakiemś Węgrowi; nie wspomina jednakże o jego nazwisku. Co bądź, gotycka téj świątyni budowla dalekiej sięga starożytności.

Wielki ołtarz ozdobny, mieści w sobie piękną wypukło-rzeźbę „Wniebowstąpienie Chrystusa”. Po lewej wielkiego ołtarza wisi portret proboszcza tego kościoła ks. Fran. Bajerskiego. Pięknie rzeźbione ołtarze, obrazy w sposobie bizanckim, starożytne stalle pod chórem, zalecają się wartością archeologiczną. Obrazy téż na zasuwach ołtarzy, jak ś. Joachim i ś. Anna, godne uwagi. W bocznej kaplicy mieści się ładny obraz historycznej treści: Bolesława Wstydliwego i ś. Kunegundę, ślubujących czystość, przedstawiający. Nieumiejętne poprawki zeszpeciły wielce ten obraz. Kaplica P. Jezusa ozdobiona portretami: ks. Skrudzińskiego kanon. kol. sand. Praepos. Vete. Sand. † 1784, i Franciszka Józefa Petrykowskiego Abba. de Paroślo fundator capell. B. Conegund. 1756 a. obiit (1).

Wielki piękny dzwon nosi napis: „Benedictus Briot Lotaring. me fecit. Josephus Masler, Sophia Bydłoniówna A. 1647”. Głos tego dzwonu jest nadzwyczaj piękny.

Drugi rozbity dzwon nosi napis: „Manus Ignatii (Bigos) sacerdotis me fabricavit sumptu praepos. Bayer”.

Trzeci lany 1820 r. kosztem tegoż Jana Bayera.

Na końcu miasta, gdzie cmentarz miejski, stoi murowany sklepiony kościółek św. Rocha, jak świadczy napis nad chórem na sklepieniu: Świątynia ta wystawioną była w czasie powietrza w r. 1664. Pod tym rokiem umieszczone litery: M. L. E. L. R. SS. i herb Drużyna. Na niezłym obrazie św. Anny r. 1645. Na obrazie św. Rocha w wielkim ołtarzu r. 1662. Po lewej wielkiego ołtarza portret ks. Fiutowskiego proboszcza staro-sandeckiego † r. 1779.

W pobliżu Starego Sącza leży wieś:

Moszczanica. Drewniany kościółek w téj wiosce był przed wieki parafialnym. Data poświęcenia jednego z ołtarzy jest rok 1646; a więc istnienie świątyni téj już w wieku XVII z pewno-

(1) Ten Petrykowski kustosz i oficyał sandecki, proboszcz w Starym Sączu i Iglowie, napisał: *Żywot św. Kunegundy*, w języku łacińskim, w skróceniu z wydanego po polsku przez ks. Marc. Frankowicza, dla użytku Węgrów (jak mówi) i wydał w Tyrnawie 1744 r. w 4ce, str. 162.

ścią naznaczyć można. W oltarzu wielkim jest niezły olejny obraz św. Mikołaja; na tle obrazu, widać Stary Sącz jeszcze murem opasany. Oltarz ten poświęcał suffragan krakowski Kunicki roku 1740.

Na drodze do Nowego Sącza, obok gościńca, sterczy kościółek we wsi:

Biegonicach. Z inwentarza kościelnego z roku 1653 dowiadujemy się, iż św. Kunegunda księżniczka polska, r. 1269 dała: „Unum mansum (łan) agri“ na wybudowanie kościoła, a to „Ex consensu Reverendi Pauli Episcopi Cracoviensis“ (1). Roku 1646 po zniszczeniu kościoła, był na nowo odmurowany i poświęcony przez biskupa Tomasza Oborskiego suffragana krak. Szczątki nader pięknych bizanckich obrazów, stanowiących składany niegdyś wielki oltarz, oglądać można w dzwonnicy. Godne tu także uwagi obrazy w bocznym oltarzu, pięknego pędzla z wieku przeszłego: „S. Szymon i S. Szymon Juda. Chrzcielnicę z r. 1660 zdobią piękne kamienio-rzeźby.

Byli tu proboszczami akademicy krak: Jaroszewski Adam AA. LL. et Phi. Doct. Official. Sand., Pałaszowski Kazimierz Dr. Phil. Canonic. Colleg. Sandomir. od 1711 do 1738.

Dzwonów jest tutaj trzy; jeden największy ma na sobie rok 1664.

Nowy Sącz, Sądecz, Sandetia, Neu-Sandetz (2). Miasto rozłożone przy ujściu Kamienicy do Dunajca; ma 5000 mieszkańców, gimnazjum, szkołę główną o czterech klassach, i szkołę trywialną dla płci żeńskiej. Stolica obwodu, urząd obwodowy i magistrat. Miasto niegdyś murem dokoła opasane, starożytne, odwiecznymi gmachami swemi zdolne zwabić archeologa; niejednen téż już współzawodnik nasz odwiedzał ten warowny niegdyś gród. Kazimierz W. stanowiąc r. 1365 najwyższy sąd prawa niemieckiego na zamku krakowskim, policzył Sandecz do sześciu miast, w których wyznaczeni przez króla rajcy, stanowili najwyższą instancją. Tutaj Ludwika król. węgiers. wjeżdżającego na tron polski przyjmowała szlachta w r. 1370, a w sześć lat później matkę jego Elżbietę, obejmującą rządy w imieniu syna. Władysław Jagiełło wyprawił z Sącza (r. 1410) Witolda W. ks. litew. do cesarza Zygmunta, z upomnieniem wiernego dotrzy-

(1) Był nim Paweł z Przemankowa.

(2) Rycina miasta znajduje się w *Przyjacielu Ludu* r. 1837 nr. 35; tamże w tomie z roku 1841, nr. 47, dwa widoki zamku, od wschodu i południa.

mania przymierza. Przyjmował tu także Jagiełło posłów cesarskich (1412), uniewinniających swego pana z nieprzyjaznych postępów, żądając dalszego ponowienia przymierza, a w r. 1419 zjechał się Jagiełło z cesarzem na naradę, w zamiarze podniesienia wojny przeciw Turcyi. Kazimierz Jagielloń. (r. 1471) odprawia trzynasto-letniego syna Kazimierza (później świętego), wezwanego na tron węgierski (1). W roku 1522 miasto zgorzało; w r. 1611 powtórnie, wraz z kolegiatą i kościołem XX. Franciszkanów. W czasie wojny szwedzkiej (r. 1655) Sącz znów w większej części spalony, w r. 1711 morowe powietrze wyniszczyło w nim całą prawie ludność, a w 1753 roku pożar zniszczył miasto, kościół i kaplicę Franciszkanów. Sącz niegdyś ludny, kwitnął przemysłem i obszernym handlem (2). Były tu wielkie składy win węgierskich, jak tego dowodzą obszerne piwnice pod miastem. Sącz był stolicą powiatu, kasztelanii mniejszej i starosty grodowego, którym w r. 1772 będący Stanisław Małachowski, wnosił do skarbu kwarty złp. 6,750. Tu urodził się sławny w bibliografii drukarz Jan z Sącza, który około r. 1526 i 1533 w Krakowie i w Pułtuskum miał swoje pracownię. Tu sławny wynalazca trójcy chemicznej, zwolennik Paracelsa, Sędziwój alchemik ujrzał światło dzienne r. 1676 (3). Jan z Gwiazdowa Śniadecki słynny teolog i kaznodzieja w XVII wieku był dziekanem tutejszej kolegiaty. Wreszcie Jan Januszowski, gramatyk i drukarz, później ksiądz i pleban w Solcu, a w końcu archidyakon kolegiaty tutejszej, † 1613 (4).

Herb miasta: trzy wieże, w średniej halabardnik (5). Z warowni dawnego grodu ledwie kilka murów rozwalonych zostało, które jak tutaj, tak i po całej Polsce jedyną przeszłości i najwymowniejszą są spuścizną. W stronie północnej sterczy jeszcze starożytna baszta. Ruiny zamku nad Dunajcem, od strony rzeki z długiego i pięknego mostu, nadzwyczaj wspaniałym uderzają widokiem. W kilku całych izbach, widać podobno jeszcze ślady malowideł, sztukaterij i ozdób; tego jednak oglądać

(1) Bielski M. w *Kronice pols.* tom 14. 15.

(2) Starowolski: *Polonia* (w Zbiorze Miclera) T. I.

(3) Wiszniewski M. *Metoda Bakona tłumaczenia natury.*

(4) Siarczyński w *Obrazie Zygmunta III.* T. I.

(5) P. Żegota Pauli w swoich *Starożytnościach galicyjskich*, wydawanych we Lwowie r. 1838, str. 44, podaje następujący opis pieczęci miasta N. Sącza, którą widział przy dyplomie z r. 1323. Widać na niej św. Małgorzatę ze smokiem; dookoła napis: S. (igillum) advocati atque civium d (e) Kemientz; w środku: Bta (beata) Marg. (arita) virg. † edi. Pieczęć ta z wosku zwyczajnego, na jedwabnym amarantowym sznurku".

nie mogliśmy, gdyż ruiny owe zapełniają magazyny wojskowe; okna nawet wspaniałe są do trzech części zamurowane. Pod zamkiem są głębokie piwnice. Z pozostałej wieży pyszny widok na piękną okolicę naddunajskiej doliny, nie dozwala się oderwać oku. Od strony miasta, mnóstwo nieszczemnych bud i klitek przyczepiło się do murów zamkowych. Czas strawił całą świetność tego zamku, w którym królowie nasi przemieszkiwali i cesarze gościli, a ręka ludzka dokonała reszty. Dziś kanały i nieczystość dokoła opasują ten zamek.

Starożytny ratusz na środku rynku stojący, zawiera obfite skarby do dziejów i dyplomatyki polskiej. Dyplomata, przywileje, księgi ławnicze od r. 1400, przywileje prywatne, listy królewskie i inne zabytki piśmienne, od czasów dopiero objęcia urzędu syndyka i dozorcę tych pomników, przez światłego p. Józefa Morońskiego, w lepszym porządku i poszanowaniu są przechowywane. Przedtém bowiem, pergaminowych przywilejów używano na okładki do książek, a pieczęcie topiono na smarowidło do obuwia. Chorągwie zdobyte na Karolu XII królu szwedzkim, przed trzydziestu laty zużyły mieszczki na gorsety. Miecze dawniej przez magistrat miejski, przy którym było *jus gladii*, do exekucyi używane, obecnie w czasie stanu oblężenia zabrano.

Przejdźmy do wykazu dyptomatów, które nam szanowny ich nadzorca oglądać dozwolił.

„Anno 1299 privilegium reginae Griffinae Principis. Ducis. Cracov. Lesconis uxoris etc. super centum mansos civitati Neo-Sandecensi perpetuae incomparatis (sic) haereditario jure etc“.

W innym przywileju Mikołajowi *Advocato* (wójtowi) *Sandecensi*, Bartoldowi i Arnoldowi braciom jego na mocy przywileju Władysława króla polskiego i Wacława króla czeskiego księcia krak. i sandomier. r. 1292 nadanym, czytamy: iż tymże służyło prawo do założenia miasta Nowego-Sącza na miejscu królewskiej wsi Kamienicą zwanéj. Opisuje tu skład tego miasta; wspomina między zakładami publicznymi: „duo balnea, unam curiam, in qua peccora mactantur, quæ Kutehoff (szlachtus) vulgo appellatur“. Mówi dalej: „Sed de Apothecis, Cameris Pannorum mensi 6 sutorum et manellis de examinatione libra plumbi et aliis omnibus structuris eadem civitate de quibus utilitates aliquæ provenire poterunt, eorundem proventum 6 pars advocato cedet et 5 partes debent applicare pro communi utilitate et commodo civitatis.“ Nadaje téż król prawo pobierania drogowego, jako dochód

miasta. Ze swych lasów 10 mansos (łanów) miastu daruje, mieszkańcom dozwala nie opłacać drogowego. Na jarmarki całą oktawę św. Małgorzaty przeznaczą. Prawo polowania w lasach gminie miejskiej, jako przychód nadaje. Zaprowadza wreszcie prawo magdeburskie, jak to w Krakowie i innych miastach wówczas było.

Kazimierz król: „datum Cracoviae A. 1333” potwierdza wszystko, co przodkowie jego miastu nadali; oddając Sącz (hanc Advocatiam communicato nostrorum bonorum) Mikołajowi i Jerzemu wójtom (Advocatibus) i ich sukcesorom. Przytomni temu aktowi byli: „Naugius Castellanus, Spicimirus palati., Zbigniew Cancellar. Crac., Janana Cast. Sandec., Andreas Dapifer, Żegota Gladifer Crac. i Herman Procurat”.

To, co nadali miastu: Kazimierz W., Ludwik, Władysław I i II, Kazimierz III Jagiellończyk, Jan Albert, Alexander, Zygmunt I, Zygmunt August i Henryk Walezy, potwierdza Stefan Batory 1577 roku.

Władysław IV na żądanie Tomasza Pytlikiewicza i Stanisława Rogalskiego rajców magistratu Nowego-Sącza, potwierdza prawo magdeburskie i inne przywileje, przez poprzedników jego miastu nadane r. 1633.

August III opierając się na przywilejach poprzedników swoich, a mianowicie na przywileju Jana IIIgo, który miastu nadaje prawo na składy żelaza, miedzi i innych kruszców, jako materiał lub jako wyrób z Węgier idących, i przepisuje miarę na sól, stanowiąc konfiskatę budy, gdyby jój nie zachowano; na przywileju Jana Kazimierza, który przepisuje opłatę od towarów i tę na dochód miasta przeznaczą („a vase uno vini grossos 15, a tunna salis gro. 6, a centnario aeris gro. 3, a centnario chalibis ferri gr. 2”): obywatele jednak miejscy opłaty téj do skarbu wnosić nie mają, ale jest przeznaczona na odnowę muru i warowni miasta; na przywileju Władysława IV nadanym w Warszawie r. 1639, w którym przepisuje opłatę od kruszców gr. 2 od centnara i 15 gr. od beczki miodu siedmiogrodzkiego; na koniec na przywileju Jana III z r. 1685, gdzie żydom nie dozwala posiadać domów i kramów w mieście pod utratą tychże: na mocy mówię tych wliczonych przywilejów, wydał August III w Warszawie w r. 1752 jeden ogólny, powyższe potwierdzający (1).

(1) Oprócz tych przywilejów, pp. Baliński i Lipiń. w *Starożytnéj Pols.* tom 2, str. 217, wliczają: Przywilej Wacława króla czesk. i wówczas księ. krak. z r. 1294.

Kościół ewangelicki. Jestto najstarszy zabytek z przeszłości Nowego Sącza. Dawniej kościół ten posiadali XX. Franciszkanie, ztąd ulica jeszcze nazwę Franciszkańską nosi. Budowa kościoła w kształcie rotundy, którą mienią być dawniej tylko kaplicą (1), a jako miejsce kościoła naznaczają przestrzeń dziedzińca.

Nad bramą „Errecta a. 1672 P. R. C. S.” Herby Drużyna i Prawdzie; obok bramy szczątki starożytnej baszty czy dzwonnicy. Zakrystyą wraz z jej pysznymi gotyckimi odrzwiami (jak w Niepołomicach), uważamy za jedyny zabytek pierwiastkowej budowy kościoła. Na zewnątrz kościoła czytamy nie współczesny, ale z XVII wieku, następny napis na marmurze:

„Fundatori Ecclesiae haec Titulo,
Nativitatis B. V. M. cum suo conventu fratribus
minoribus Conventualibus.
Fundata et errecta est a Sere-
nissimo Venceslao Bohemiae et Poloniae Rege
Anno Dni 1297
cujus Dedicacionis Solemnitas
celebratur Dominica prima post
festum Nativitatis B. M. V. — 1640” (2).

Wnętrze kościoła okrywają piękne gipsatury w guście włoskim. W zakrystyi przechowuje się 12cie postaci apostołów; piękne te drzewo-rzeźby są jeszcze zabytkiem ze starego kościoła. W wielkim oltarzu jest przed kilku laty malowany niezły obraz: „Chrystus w Ogroju”.

Na zewnątrz kościoła, na dziedzińcu, widzimy potłuczony pomnik z czarnego marmuru, z postacią zbrojnego rycerza; obok

w którym tenże Bartoldowi i Arnoldowi na 72 łanach miasto zakładać dozwala. Będzie to może omyłka w dacie lub potwierdzenie wcześniejszego przywileju, który przytoczyliśmy. R. 1365 Kazimierz W. ustanawia sądy podług prawa niemieckiego. Zygmunt I po zgorzeniu miasta w r. 1522, uwalnia mieszkańców od opłaty czopowego na lat 14. R. 1554 dozwolono mieszkańcom zakupywać dla handlu sól z zup bocheńskich. Jan III r. 1682 po zniszczeniu miasta przez powietrze i wojnę szwedzką, za zgodą mieszkańców, dozwala żydom budować się w ruinach opuszczonych; zastrzegając sobie, aby przeciw rzeczom św. nie bluźnili. Wykonywali widać żydzi wiernie to zalecenie, bo i mieszkańcy Sącza, jak widzimy z dyplomatów, za nimi się ujmowali, a i podanie mówi, że w czasie wydarzonego pożaru w Sączu, żydzi wraz z katolikami modlili się w kościele XX. Franciszkanów przed obrazem Przemienienia Pańskiego, i klęcząc wołali: „przemień!”

(1) Kaplicę tę na nowo miał wystawić r. 1654 Konstanty Lubomirski podczasy w. koronny, starosta sandecki, jak się o tem dowiadujemy z książki: „Zbiór historyi, łask i cudów obrazu Przemienienia Pańskiego, przez ks. Bonawent. Sikorskiego, Kraków r. 1767, w 8ce.

(2) W *Starożytnej Polsce* T. 2, str. 223 znajdujemy rzecz o tym napisie.

rozbita tarcza z herbem Gryff. Na gmachu dawniej klasztornym, a dziś mieszkaniu pastora, czytamy na wmurowanych w ścianę marmurach następane napisy. Napis pierwszy należał niezawodnie do składu rozbitego pomnika:

D. O. M.

Generosus Joannes Dobek Łowczowski de Łowczów
Dapifer terrae Cracov. etc.

Żył za czasów Zygmunta III^o, urodził się r. 1553; był posłem do Turcyi, Szwecyi i Moskwy. † 1628 r. (1).

Napis drugi poprzedza tarcza, ryta na kamieniu z herbami: Gryff, Habdank, Družyna i Geralt.

„Tu Zophia Dobkowa z domu Marcinkowka
Czney pamięci podstolina niekiedi Krakowska
Odpoczywam z inszemi pochowana w ziemi
Policzona iuż w poczet z paniami świętemi
Nieprzeciwiąc się nikdi przierzen bożemi
Danam bila w manželstwo niekdi Piegowskiemu
Któremu dwu synaczków ku sławie powiła
W boiaźni bożej zawsze przystoynie cwiczyła
Po zeišciu towarzysza w manzielstwa pierwszego
Doštałam się w dom zacne Dobka podstolego
Człowieka y w pokoiu i w boiu sławnego
Wszystki Polski koronie dobrze znaiołego
Na postługach koronnych lata swoje strawił
Mim sinom wiecznie sławi wizerunki zostawił
Sluząc bowiem oiczyźnie z serca uprzeimego
Z odwagą tak i kosztem iak i zdrowia swego
Gdi odiechal pode Lwow wtem ia sfrasowana
Zesłam w Bogu—przetoż tu leze pochowana
Przetoż was wielce panie napominam
Zostawaicie w zalach swich wierne prosze mniemam
Ten nagrobek małzonek miłością zięty
Połoził końcąc affekt w miłości zaczęty
Bierzcie wzór z mego panie zeszcia załosnego
Miarkowacz z kaźdem czasem ze serca swojego.
..... (reszty brakuje).....”

Kościół farny św. Małgorzaty, okazałej gotyckiej budowy. Przywilej erekcyjny na kościół i istniejącą tu dawniej kollegiatę w kopii dochowany, wskazuje założyciela Zbigniewa Oleśnickiego biskupa krakowskiego r. 1448. Inni za rok założenia podają r. 1450 (2). Zdaje się, że to nie jest pomyłką,

(1) Mówią o nim *Konstytucye sejmowe* z r. 1606 fol. 897 i z r. 1613,

(2) *Przyjaciel Ludu* nr. 35. R. 1837.

gdyż budowa kościoła kilka lat trwać mogła. Kollegiata przy tym kościele w wieku XVI i XVII składała się z dwunastu kanoników (1). Na pięknej, dwiema wieżami ozdobnej facyacie, widać kamienio-rzeźby, herby: Orzeł biały, Pogoń, i nieznaną herb: pochyłoległa strzała z krzyżem na jej ramieniu, z rokiem 1507, i monogram, którego dziś zakon Jezuitów za godło swoje używa. W kaplicy Matki Boskiej Bolesnej, obok drzwi, pomnik żelazny Franciszka Xawer. Ridels † 1808 r. Wszedłszy do świątyni, niepospolita jej obszerność uderza przedewszystkiem. Dawniej był kościół gotycko sklepiony, gdy jednak podpierające słupy runęły, upadło sklepienie, które dziś w głównej nawie zastąpił sufit. Lubo wszystkie ołtarze z piękności rzeźb zasługują na uwagę, jednak wielki ołtarz, na trzy wysokie piętra zbudowany, pyszną rzeźbą się zaleca. Dwadzieścia obrazów z życia św. Norberta ozdabiają stalle, przeniesione tutaj z kościoła Norbertanów po zniesieniu zakonu. W bocznym ołtarzu jest słynny cudami obraz Przemienienia Pańskiego, po zniesieniu Franciszkanów przeniesiony z ich kościoła. Wyobraża ten bardzo starożytny obraz twarz Chrystusa, według podania, przez św. Łukasza na tablicy z cyprysowego drzewa malowaną (2).

Pod kazalnicą pomnik czworoboczny z czerwonego marmuru (wysoki 1 łok. 1 ćw. 2 cal.; szeroki 1 łok. 5 cali). W treści pomnika: dwie figury w stroju polskim, stojące pod krzyżem Chrystusa. Wyrób ostry, mniej dokładny; wokoło napis: „*Hoc sarcophago recondi voluit cineres corporis sui suorunq̄ue, honesta Sophia Poławińska que obiit a. d. 1625 mense Julii die nona aetatis vero suae 70.*“ U spodu pod rzeźbą:

D. O. M.

Kto tu jest, co tu leży, ieżeli chcesz wiedzieć
Zophia Poławińska śmiem imie powiedzieć.

(1) Zbigniew Oleśnicki bisk. krak. i kardynał fundował tę kolegiatę, i osadził czterech przy niej prałatów, tyleż kanoników i tyleż wikaryuszów, dla których mieszkanie należyte z muru wyprowadził, jak mówi Niesiecki (T. 7 str. 76) wsparty powagą dziejową Kromera, Starowolskiego, Cichockiego i innych. Umarł Zbigniew r. 1445 d. 1 kwietnia, będąc 32 lat biskupem krak. Paprocki, a za nim Okolski jednego z nim być rozumieli Zbigniewa, który z biskupa kujawskiego został r. 1480 arcybiskupem gnieźnieńskim i umarł r. 1493. *Damalewicz in Vitis Episcop. Vladislav. Cracoviae, et Archiepiscop. Gnesnen. Varsov.*; błąd ten wyjaśnił i sprostował. Mimo to, nie w jednym z naszych pisarzy napotkać można nieogłędność w braniu obu Zbigniewów za jednego.

(2) Opis tego obrazu jest nawet drukiem ogłoszony w rzadkiej dziś książce, w przypisie 1 na str. 447 cytowanej.

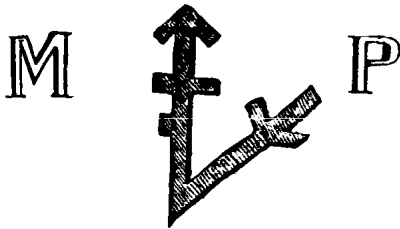
Przyszędłszy do starości w cnoty ozdobiona
 Z wiary, sławy i postępów nigdy nie shańbiona.
 Coż się przedtym ucziwym życiem swym seyciła
 W tym przecie małym grobie kości położyła.
 Gdyż się trafi nastąpić na kamień gdzie leży
 Proś żeby Pan Bóg zniszczył z dusze iei zmazę.

Naprzeciw chrzcielnica spizowa; wokół legendy z pisma ś.,
 rok 1552 i monogram:



Obok chrzcielnicy pomnik z tak nazwanego pińczowskiego kamienia. Postać zmarłego wyobrażona w wypukło-rzeźbie leżąc; jestto pomnik Erazma Karcz rajcy Sącza, † 1584. Przed ołtarzem św. Trójcy kamień z napisem do niewyczytania zatartym:

„Anna Pelczina coniunx mastissa hoc sarcophago recondi voluit cineres spect. Nic. Pelczina mariti sui, qui obiit a. d. 1597.



.....
 Vindex iusticiae consiliquae potens Nicole.
 Pelka iaces in..... tes tacus.....
 pidiossus..... dent super.....quiescit.

W kaplicy św. Jana Nepom. zpod ołtarza wygląda kamień grobowy z piaskowca. W wypukło-rzeźbie widać zatartą już postać sędziwego starca w stroju polskim. Z zatartych liter, którymi pomnik wokół jest opisany, ledwo wyczytać można: „Hoc sub monumento.... decessit XIX sept. hora XIII a. d. MDLXV (1).

W tak zwanym skarbcu, czyli w zrujnowanej kaplicy pełnej nieczystości i szczurów, wśród starych potłuczonych ołtarzów, w nadzwyczajnym nieporządku, znajdują się akta dawniej kapituły kollegiaty tutejszej. Gdy jednak same tylko szczury zajmują się przewracaniem i porządkowaniem tych dokumentów, przeto przez

(1) Starowolski in *Monumenta Sarmat.*, nie przytacza żadnego pomnika z obudwóch Sączów.

lat kilka doprowadziły je do tego stanu, że dziś wieleby pracy potrzeba, aby z nich naukowy wynieść pożytek. W tymże skarbcu odszukaliśmy dzwonki, złożone tu po zburzeniu drewnianego kościoła św. Krzyża, jednego z najdawniejszych, który istniał obok drogi ku Staremu Sączu. Jest tu podanie, że w nim jeszcze św. Wojciech nabożeństwo odprawiał; ostatnią zaś słowiańską liturgią miał w nim odprawiać roku 1440 kardynał, a potem metropolita kijowski i carogrodzki Izidor, przejeżdżając na Ruś (1). Dzwonki te zalecają się pięknym odlewem. Jest też w témże schowaniu dzwonek z zburzonego kościoła św. Walentego; nosi na sobie następny napis: „Ad honorem S. Valentini in suburbio Sandecensi Andreas Kriomski Neo Sandecensis 1678 donavit”.

Na pięknej dzwonnicy zbudowanej r. 1631, zawieszono trzy dzwony. Pierwszy z nich, może po Zygmuncie krakowskim największy w całej Polsce, ma obwodu 14 łokci. W czasie dzwonienia na chmury podczas burzy, pękł z nadzwyczajnego uderzenia. Głos jego jest donośny, smętny, przerażający i dziwny. Słyszając go podczas pogrzebu, przypominają się mimowolnie słowa krakowskiego wieszca:

„Tak ponury i rzewny, jak przeczucie zgonu”.

Dziś nie poruszają go więcej przy dzwonieniu, ale uderzają sercem w boki. Dzwon ten pięknymi odlewami „Maryi i Chrystusa” ozdobny, arcydzieło sztuki giserskiej, jest, jak napis dowodzi, dziełem Polaka Eliasza Wagnerowicza z Lublina. Napisy na tym dzwonie są następujące:

„Sancte Mich. Arch. defende nos in prælio, ut non pereamus in tremendo iudicio divino auxilio fudit me..... (tu odłupany kawał, na którym, odszukawszy go w rzeczonym skarbcu, przeczytaliśmy: „Heliasz Wagnerowicz pixidiarius”). Lublinensis. In te Domine speravi, non confundas me in æternum. Mors est omnium rerum finis. A. D. 1617”. Na drugim dzwonie napis: „Joannes Nicolaus,” i wokół legenda z pisma św. Na trzecim dzwonie r. 1671.

W domach obok kościoła farnego znaleźć można na podłogach, w piwnicach, i po dziedzińcach kamienie nagrobne, których napisy albo zupełnie starte, albo wiele czasu poświęciłyby należało na ich odczytanie.

(1) P. Ż. Pauli w *Podróży po Galicyi* r. 1831, w *Rozmaitościach* Lwów, r. 1835, nr. 49, podając tę wiadomość, nie przytacza źródła.

Naprzeciw domu w którym dziś urząd pocztowy ma swoje kancelarye, stoi kapliczka murowana, zapełniona mnóstwem: świec, ziela, obrazów, obrazków, figur, firanek, i t. d. Jestto pamiątka wystawiona, jak dowodzi napis r. 1771 na miejscu, gdzie dawniej w skutku miejskiego prawa miecza, wyroki na śmierć wykonywano. Z tego powodu lud wielkie ma nabożeństwo do téj kapliczki, i co wieczór mnóstwo świec zapala na ofiarę. W miejscu tegoż domu pocztowego istniał dawniej kościół ś. Wojciecha.

Kościół ś. Ducha miał zaś, jak podanie niesie, stać w ulicy, gdzie dziś cmentarz miejski.

Kościół jezuicki. Kościół ten zbudowany około r. 1409 przez Władysława Jagiełłę pierwsiastkowo na szpital, potem na klasztor Norbertanom przeznaczony. W r. 1410 Jagiełło za bytności swój w Sączu, pobudzony namową swego kaznodziei Jana, rodem z Czech, założyć i hojnie uposażyć miał opactwo ś. Norberta (1). W ostatnich czasach dostał się klasztor z kościołem Jezuitom, którzy w r. 1831, gdy z Tyńca pożarem wypłoszeni do Sącza przybyli, tak kościół, jak i otaczające go gmachy odrestaurowali i w wzorowym porządku utrzymują. Dziś, gdy Jezuitów wywołano z państwa austriackiego, fundusze im odjęto i na szpital miejski obrócono. Zostało jednak trzech członków tego zakonu, którzy się tymczasowo utrzymują, pełniąc przy kościele duchowne obowiązki. Wnętrze téj pięknej gotyckiej świątyni okrywają gustowne alfreska, pędzla Marynowskiego, mieszkającego dziś w Krosnie. Pysnie i gustownie ozdobny ten kościół przynosi zaszczyt swoim odnowicielom; ale brak charakteru religijnego i powagi, czynią tę świątynię podobniejszą do salonu, niż do przybytku bożego. Wielki ołtarz zdobi piękny obraz w sposobie bizanckim „Marya“. Przedewszystkiém zasługują na uwagę: ś. Ignacy w bocznym ołtarzu, kopia z Rafaela, pysznego pędzla wiedeńskiego malarza Steinte (1834). Także „Chrystus“ z włoskiego oryginału we Lwowie malowany, dar arcyksięcia Ferdynanda D'Este b. gub. Gal. Wreszcie w bocznym ołtarzu: „ś. Stanisław Kostka“ niepośledniego pędzla. Pod nim obrazek: „Marya“, malowany przez Pietrzyckiego S. J. Zdobi téż ściany kościelne piękny obraz „Maryi“ w sposobie bizanckim, i Władysław Jagiełło w naturalnej wielkości, w stroju rycerskim. Pancerz stalowy z złotemi kwiatami, nogi okryte żelazną blachą, za-

(1) *Starożytna Polska* tom 2, str. 219.

krzywiona szabla, płaszcz purpurowy z wiszącymi rękawami, podbity futrem, stroją tego króla. Z lewój strony na obrazie: orzeł polski, u spodu obrazu napis:

„Vladislaus Jagiello, Fundator
Ecclesiae et Monastery Istius
Anno Domini 1409” (1).

W bocznym jeszcze oltarzu godny uwagi Chrystus na krzyżu; rzeźba wykonana z niezwykłą dokładnością co do wyrobu anatomii, podług rysunku ks. Szyrmera (2), przez Plaskiego stolarza ze Sącza. W korytarzu wisi wielki olejny portret Jana Pawła Lasoty Szczkowskiego, który kościół r. 1746 odnowił, a umarł jako ostatni opat norbertański r. 1781.

Dawne dzwony tego kościoła znajdują się obecnie w Szczyrku pod wsią Łodygowicami i Bielskiem. Terazniejsze dwa dzwony odlewał Bagiński z Krakowa.

Idąc ulicą wiodącą do zamku, minawszy most drewniany na Dunajcu, przeszło 200 łokci długi, ujrzysz wieś *Chelmiec*, a w niej tuż za mostem mały drewniany:

Kościół ś. Heleny. O fundacyi świadczy następny napis na tęczy: „Ten kościół nakładem Jéj Mości Przewielebnej Panny Heleny Marchockiej na ten czas ksieni Starosandeckiej zakonu ś. Klary na cześć P. B. y wystawienie ś. Patronki wystawion roku 1686“. Jedyłą osobliwością tego kościoła jest obraz olejno nieźle na płótnie malowany, ogromnej wielkości, rozpięty na całej ścianie kościelnej. Obraz ten jest bez ram, a mimo to wielkość jego jest taką, że gdyby go w ramach umieszczono, nie zmieściłby się na żadnej ze ścian tego kościoła; widać więc, że nie ten kościół był pierwsiastkowém miejscem jego przeznaczenia, a więc tu zkądinąd przeniesiony został. Treść obrazu następna: w obłokach ś. Franciszek, ś. Jacek, Bóg Ojciec, Chrystus i Marya; na tle obrazu w oddaleniu widać zamek, po lewój postacie kardynałów i papieża, po prawej kardynał w książęcój mitrze, i jakby nasi królowie Zygmunt August, Zygmunt IIIci, a za nimi panowie polscy. U dołu obrazu czworoboczny kamień z napisem: „Mne-

(1) Rysunek tego obrazu wykonany przez Mściwoja Marynowskiego, znajduje się w *Przyjacielu Ludu* R. 7 (1840), nr. 50.

(2) Ks. Jezuita Szyrmer, żyjący w wieku przeszłym, a zmarły na początku naszego, zwiedziwszy jako misyonarz Anglią i Chiny, umarł w zakonie jezuickim w Połocku. Stynał słusznie jako rytownik i mistrz w wyrobach rzeźbiarskich na kości słoniowej. Zostawił po sobie wiele blach gotowych pod prasę.

mosynon R. Stanislai Veianecii Parochi olim Biegunicensis (1) vigilantis religione in Deum, pietate in omnes celebris. Benemerenti, amici amice, quod nolent libenter ex voto contra votum restiterunt qui legis hæc dic duo verba: salvus quiesco, salvi vite. Obiit A. D. 1624 die 27 April. ætat. 48''.

Na owym malowanym kamieniu, okrytym powyższym napisem, klęczy ksiądz w komży. Koloryt w całym obrazie niezły, rysunek dokładny, twarze snąc portretowane; ogół obrazu liczy 36 głów. Obraz źle utrzymany, barwy oblatują; bez miłosierdzia pokaleczono go gwoździami, przybijając na nim drewniane ozdoby, które dopiero w celu obejrzenia obrazu i odczytania napisu, odjęliśmy.

(1) Nie mogliśmy znaleźć sensu w tym napisie. Będąc w Biegunicach pragnęliśmy się dowiedzieć z akt kościelnych o ks. Veianecie. Znaleźliśmy tylko, że był proboszczem w Biegunicach od r. 1608 do 1621, w którym zrezygnował. Był on też kan. kat. krakow.



MNIEMANIA

O FIGURZE ZIEMI I JÉJ POMIARACH.

HISTORYCZNIE PRZEJRZANE

PRZEZ

J. Lesisza.

Każdy naród najodleglejszój starożytności, zamknięty pierwiastkowo w granicach swojego kraju, musiał przyznawać ziemi postać płaską, zaokrągloną, podpierającą brzegami niebiosą, a siebie umieszczać w jój środku. W miarę rozwijania się handlu i rolnictwa, w miarę wzrostu materyalnej potęgi ludów, rozszerzał się coraz bardziej widnokrąg ziemski, i obudzała się coraz większa chęć poznawania dalszych okolic świata. Umysł ludzki, chciwy prawdy, musiał już wtedy badać ziemię, śledzić obroty ciał niebieskich i wyprowadzać ztąd wnioski; nie wiadomo jednak, do jakiego stopnia posunął swe wiadomości w tym względzie. Księgi Mojżesza i innych hebrajskich uczonych, którzy zapewne wiele korzystali co do geografii od swoich sąsiadów, ograniczają się tylko wskazaniem miejsc, zamieszkaných przez starożytne narody zachodniej Azji i Egiptu. Chińczycy, Indyanie, Chaldejczycowie, Babilończycy, Fenicyanie i Egipcyanie słynęli w swoim czasie ze znajomości wielu nauk, a mianowicie astronomii; lecz historia nie zachowała nam żadnego ich prac pomnika: domyślać się tylko można, że wiadomości, szczególnie kosmograficzne owych ludów, nie były wolne od przesądów, legend i mytów. Grecy dopięro, spadkobiercy dawnych i twórcy nowych pojęć o świecie, a później Rzymianie, przekazali nam piérwsze piśmienne ślady kosmografii starożytných.

Z poematów Homera i Hezyoda przekonywamy się, że najdawniejsi Grecy wyobrażali sobie ziemię w postaci kręgu, którego środek najprzód w Arkadyi, a później na Olimpie umieszczali. Krąg ten, otoczony rzeką, oceanem, dźwigał na sobie sklepienie metalowe, podparte kolumnami. Wszystkie ciała niebieskie, oprócz konstellacyi Niedźwiedzicy, wydobywały się z oceanu przy wschodzie, a zapadały w niego przy zachodzie. Za granicami oceanu już nie było; pod nim zaś miało się znajdować sklepienie miedziane, odpowiednie górnemu, mieszczące w sobie *tartarum*. Trudno od ówczesnych Greków wymagać innych pojęć o świecie; złudzenie oka uwodziło młodociany naród, mała zaś znajomość ościennych okolic ziemi, utrzymywała go w podobnym błędzie. Pojęcia takie, zwiększane coraz nowemi baśniami, długo krążyły między ludem greckim: ani późniejsze stosunki Hellenów z sąsiednimi narodami, ani nauki pod ich niebem wzrastające, nie zdołały zetrzeć z ich umysłów pleśni przesądów i urojeń, któremi z upodobaniem bawić się lubili.

Powstają różne szkoły, z nich wychodzą mędrcy, rozmaicie o świecie rozprawiający. Tales z Miletu, założyciel szkoły jonickiej, nie zmienia właściwie tła wyobrażeń swojego wieku o budowie świata. Podług niego, ziemia razem z tartarem pływa po ogromnym oceanie; ma kształt bryły podłużnej, od ciężaru której woda doznając ciśnienia, to się wznosi naokoło ziemi, to się sączy przez jej powierzchnię, i takim sposobem powstaje rzeka, ocean, wewnętrzne morza, jeziora i rzeki. Tales umieścił ziemię wraz z tartarem i oceanem w środku kulistego nieba, którego jedna połowa wypełniona była wodą, druga unosiła na sobie słońce, gwiazdy i księżyc. Anaxymander z Miletu, uczeń Talesa, niewiele różni się od swojego nauczyciela: przyjmuje ziemię, otoczoną oceanem, za walec, którego wysokość wyrównywa trzeciej części całkowitej jego powierzchni. Podług Anaxymandra ziemia leży w środku nieba, znajduje się w zupełnym spoczynku, a wszystkie inne ciała wokoło niej krążą. Delfy położył on w środku ziemi zamieszkaną, której mapę pierwszy miał narysować. Anaxymenes z Miletu podzielał w części Homeroskie opinie, przyznając ziemi postać stołu okrągłego. Podług niego, planeta nasza dla wielkiego spłaszczenia zostaje w spoczynku; inne zaś ciała niebieskie krążą około niej w taki sposób, że w całym swym obiegu nie schodzą pod jej płaszczyznę, tylko w pewnych miejscach nachylają się do poziomu; nad wieczorem słońce kryje się

za góry i ztąd powstaje jego zachód. Diogenes z Apollonii, Anaxagoras z Klazomeny i Demokryt z Abdery, podzielają mniemanie Anaxymenesa. Anaxagoras utrzymywał, że pierwotnie biegun był w samym wierzchołku i wtedy gwiazdy poziomo kołowały, później biegun pochylił się i one ukośnie krążyć zaczęły; a zapytany od Sokratesa względem figury ziemi, odpowiedział, że bogom podobało się, aby była płaską. Demokryt wschodowi i zachodowi słońca tę naznaczał przyczynę: w południe powietrze będąc cieplejsze, a zatem rzadsze aniżeli w wieczór, trudniej unosi płaską ziemię, która z tego powodu w dzień zniza się, a w nocy się podnosi. Xenofanes przyznawał ziemi postać ostrosłupa, wierzchołkiem opartego o dno świata, do góry zaś obróconego podstawą, około której krążyły wszystkie ciała niebieskie. Pytagoras odrzucił mniemania wszystkich mu znajomych filozofów i pierwszy wyrzekł, że ziemia jest kulistą; nie stwierdzając swojego zdania żadnym dowodem. Archelaus utrzymywał, że ziemia była pierwotnie wielkiem jeziorem, z którego wnętrza masa ziemska zwolna i kolejno wznosiła się od środka ku brzegom i sformowała się w bryłę kształtu nieoznaczonego, okrytą nierówną i krzywą powierzchnią. Były jeszcze rozmaite i odmienne od poprzednich mniemania o ziemi: jedni przyznawali jej postać statku wodnego; drudzy sześcianu; inni wyobrażali ją sobie jako wielką górę, o podstawie nieskończonej. Dosyć powiedzieć, że nie było formy, w którąby filozofowie starożytni do końca prawie IVgo wieku przed Chr. nie obłóczyli ziemi. Ta dowolność opinii, ta różnaitość domysłów widocznie okazuje, że geografia matematyczna była dotąd czczą nauką, wysnutą z urojeń żywej imagi-nacyi i nie opartą na żadnych dowodach z geometryi i obserwacyi wyciągniętych. Sprawiedliwie też geografią owych czasów nazywają mytyczną.

Naród grecki, mimo opinii filozofów, nie odstępował podań Homeroskich, które jednak, w miarę odkryć nowych i rozleglejszych stosunków, coraz bardziej zaczynały słabnąć. Grecy azjatyccy, dostawszy się pod panowanie Cyrusa, tracą na jakiś czas znajomość Zachodu, lecz za to na Wschodzie poznają satrapie perskiego państwa. Kambyzes udaje się do Egiptu, i Grecy będący przy nim zwiedzają Syryą i północno-wschodnią część Afryki. W wyprawie Daryusza Histaspas przeciwko Scytom, przeglądają kraje leżące nad brzegami Istru (Dunaju). Bliższe więc poznanie Wschodu, Zachodu i Północy, rozmykając granice ziemi, przełama-

ło niektóre opinie o świecie: prysnął wówczas wkołopłynny ocean, i środkowe położenie Delfów upadło. Wiele do tego przyczynił się Herodot z Halikarnasu, ur. na 440 lat przed Chr. Miał on u swoich ziomków wiarę i znaczenie, tak z powodu wielu odbytych podróży, jak z powabu stylu; i dlatego na igrzyskach olimpijskich, wyśmiewając rzekę, ocean i wiele bajek o świecie, silnie wpłynął na opinią ludową w obaleniu niektórych zastarzałych przesądów. Herodot stanowi epokę w geografii, ułożeniem po raz pierwszy wiadomości jęj w jedną całość. Nie wyrobił on w sobie własnego pojęcia o figurze ziemi, lecz z pism jego wnosić możemy, że planecie naszej przyznawał postać płaszczyzny nieskończonej.

W tym samym niemal czasie szkoła Pytagorejska, powiększona liczbą zwolenników i ośmielona przykładem Herodota, otwarcie zaczęła powstawać przeciwko dawnym przywidzeniom. Filolaus, Architas, Eksfantus i inni nie mogąc w przypuszczeniu którejkolwiek figury ziemi wytłumaczyć wielu zjawisk natury, a widząc otaczające ich niebo kuliste, wniesli ztąd analogicznie, że i planeta nasza powinna być kulą. Sam Platon podzielał i popierał tę opinią. Lecz ludy greckie uporczywie trzymały się podań swoich naddziadów, a poeci pielęgnowali je z całą świętością. Religia grecka zostawała w ścisłym związku z kosmografią ludową, wyciągniętą po większej części z pieśni Homera i Hezyoda, pisarzy otoczonych czcią religijną; przeto uczeni musieli godzić swoje spostrzeżenia i badania z mitologią grecką, lub téż ukrywać się z nowymi pomysłami. Skoro filozofowie już zadaleko zaszli w poszukiwaniach o świecie, i nie mogli w żaden sposób podzielać dawnych opinij o ziemi, przyszło wtedy do otwartej walki między uczonemi a zwolennikami starych wyobrażeń. Walka ta, rozpoczęta jeszcze za czasów Pytagoresa, prowadzona później z rozmaitem szczęściem, zaczęła teraz dobiegać kresu swego. Filozofowie wzięli górę; o ostatecznym zwycięztwie zawyrokował Arystoteles. Mąż ten powagą wszechstronnej swojej nauki silnie wpłynął na obalenie zakorzenionych przesądów; a oczywistością dowodzeń, ile ówczesny stan nauk pozwalał, o kulistości ziemi, opartych na zaćmieniach księżyca i zmianie widoku gwiazd, wynikającej ze zmiany poziomu, pojednał opinie mędrców współczesnych, a następnym na wytkniętej już drodze kazał szukać dalszych wyjaśnień o figurze planety naszej. Różne szkoły, mimo oporu Epikurejczyków, przyjęły myśl Arystotelesesa za prawdziwą. Stoicy pod przewodnic-

twem Zenona, dowodzą nawet możności istnienia antypodów, kierowaniem się wszystkich ciał ku środkowi. Późniejsi filozofowie greccy, jak Dyceark, Nicetas, Arystarch z Samos, Archimedes i inni, rozwijają dalej zadanie o kulistości ziemi w duchu Arystotelesa. Nicetas utrzymywał, że wszystkie ciała są w spoczynku, jedna tylko ziemia szybko się obraca i sprawia przez to wymianę dnia z nocą; Arystarch umieścił słońce w środku koła, po którym ziemia odbywała swój bieg wirowy i roczny. Archimedes dowodził, że i woda, oblewająca ziemię, powinna przyjąć formę kuli. Od IV do połowy III wieku przed Chr. waga się opinie ludzkie, postępują nauki, szczególnie fizyczno-matematyczne, gromadzą się materiały i rozjaśniają się zdrowe mniemania o świecie. Ten przeciąg czasu, możemy nazwać peryodem ustalania się prawdziwej opinii we względzie postaci ziemskiej.

Późniejsi filozofowie zgodni już w myśli o figurze ziemi, bogaci w materiały i zasoby naukowe, czerpane w hojności Ptolomeuszów, gromadzą się w szkole alexandryjskiej, i jedni systematyzują prace swoich poprzedników, drudzy posuwają naprzód badania w kosmografii. Eratostenes, urodzony około 270 r. przed Chr., niemałe w téj mierze położył zasługi. Porozrzucane wiadomości o świecie po rozmaitych pismach mędrców starożytnych, starannie zebrał, krytycznie, jak na owe czasy, ocenił i w jedną ujął całość. Nadał on kosmografii właściwe stanowisko, i zrobił z niej oddzielną naukę. Późniejsi astronomowie i filozofowie, jak Polibiusz, Hipparch, Artemidor, Posydoniusz, Strabo, Cycero, Seneka, Pliniusz starszy i inni, rozwijają dalej myśli Eratostenesa lub przyczyniają się do ich upowszechnienia. Tym sposobem kulistość ziemi uważaną była pomiędzy uczonemi za niewątpliwą i udowodnioną prawdę: dawne zaś przywidzenia albo zupełnie upadły, albo trzymały się tylko ludzi ciemnych, lub skłonnych do urojeń i zabobonów.

W IIgim wieku po Chr. zjawia się Ptolomeusz, alexandryjski astronom: zbiera i prostuje prace swoich poprzedników, wzbogaca je własnymi spostrzeżeniami, podciąga pod ogólny widok nauki, i po raz pierwszy w dziele swojém Al-Magest, jasnym i przekonywającym sposobem dowodzi kulistości ziemi. Poziom, mówi Ptolomeusz, w każdym miejscu jest inny wraź z nowemi gwiazdami; gdyby ziemia była płaską, wtenczas zmiana miejsca na niej nie pociągałaby za sobą widoku nowych gwiazd. Drugi dowód kulistości oparł na zmianach wysokości

bieguna, wynikających z przybliżenia się lub oddalania od północy. Trzeci dowód wyprowadza z zaćmień, mówiąc, że jedno i toż samo zaćmienie słońca lub księżyca, pokazuje się mieszkańcom na Wschodzie i Zachodzie osiadłym nie w jednakowym czasie, co zależy może tylko od kulistości ziemi. Twierdzenia swoje wzmacnia jeszcze Ptolomeusz następującym spostrzeżeniem: patrząc z lądu w tę stronę morza, z której oczekujemy przybycia okrętu, spostrzegamy najprzód wierzchołek masztu, a następnie odslaniają się nam coraz niższe jego części, w miarę przybliżania się ku nam statku; podobne zjawisko powtórzy się w uważaniu z morza wysokich przedmiotów na lądzie. Ptolomeusz zbił także zarzuty Epikurejczyków i innych filozofów, odrzucających kulistość ziemi dla wielkich gór i dolin. Najwyższe góry, mówi on, nie wynoszą 15 stadyj (1), cóż znaczą te góry i doliny przy ogromie ziemi, której okrąg koła wielkiego, wynosi blisko 180,000 stadyj? Dalej twierdzi: cały wszechświat jest kulisty, a ziemia leży w jego środku, gdyż poziom każdego miejsca dzieli niebo na dwie połowy i gwiazdy nie zmieniają swęj wielkości; ponieważ ziemia znajduje się w środku, a zatem musi być w spoczynku. Później Ptolomeusz wychodząc z mylnęj zasady dowodzi: nie obraca się ziemia około swęj osi, gdyż obrót ten musiałby odbywać się w kierunku od zachodu na wschód, czemu sprzeciwiają się wszelkie zjawiska; jeżeliby ziemia ulegała podobnemu biegowi, to ciało rzucone pionowo nie wracałoby do miejsca z którego było wyrzucone, lecz padłoby na zachód względem pierwszego miejsca, czego nie widzimy. Wszystkie prawie narody pogańskie miały w poszanowaniu zasady kosmograficzne Ptolomeusza.

Jakkolwiek w opinii uczonego świata powaga alexandryjskiego astronoma była wielką, musiała jednak ustąpić powadze wyższęj, która wychodząc z granic zakreślonych jęj słowem Zbawiciela, zadaleko puściła się w dziedzinę nauk, i wstrząsnęła dziełem Ptolomeusza i jego poprzedników. W pierwszych wiekach kościoła naszego, chrześciance uważali biblię nietylko za podstawę zasad religijno-moralnych, ale nadto i za podstawę praw natury: było kodex religii i nauk. Z tego powodu pierwsi chrześciance te tylko pojęcia kosmograficzne przyjmowali za pra-

(1) Ptolomeusz przyjął pomiar ziemi Posydoniusza, a zatem stadye, o których tu jest mowa, są fileteryońskie, gdyż takich używał Posydoniusz. Cztery stadye fileteryońskie, równają się 5 stadyom olimpijskim. Olimpijskie stadyum zawiera 600 takichże stóp; jedna stopa olimpijska wynosi prawie 136,8 linij par.

wdziwe, które się zgadzały z duchem biblii; wszystkie zaś inne, przeciwne jej zasadom, w zupełności odrzucali. Św. Justynian, Chryzostom, Bazyli, Augustyn, Laktancyusz głównie się do tego przyczynili. Wprawdzie św. Bazyli wyciąga z Arystotelesa geograficzne wiadomości, ale poprawiając go powiada: lekkie niebo unosi się jak sklepienie, ciężka ziemia na dnie głębi jest osadzona, a słupy podpierają niebiosą. Prawda cofnęła się do czasów Homera i Talesa.

Filozofowie chrześcijańscy, odrzucając teorię Ptolomeusza, utworzyli nową, opartą na piśmie św. i pojęciach współczesnych im pogan, którzy wtedy już rozprawiali o świecie w duchu biblijnym. Nie było nauka prawd, wyciągniętych z doświadczenia, ale pozorne pogodzenie z biblią wszystkich urojeń głębokiej starożytności. Ztąd powstała dziwaczna mieszanina pojęć, harmonizujących jednak z naukowym stanem ówczesnych ludów. Mimo téj harmonii, z łona samego kościoła odzywają się przeciwne głosy. Euzebiusz z Cezarei, żyjący w IV wieku po Chr., w swoim komentarzu nad psalmami twierdzi, że ziemia jest kulistą. Jan Filoponus, żyjący w VI wieku, w traktacie: *De creatione mundi*, zbija wszystkie zarzuty, obalające Al-Magest. Byli i tacy, którzy za pomocą subtelnosci i allegoryi, usiłowali pojednać prawdy kosmograficzne z powagą wiary; starania ich i myśli nie miały wielkiego powodzenia. Inni zrażeni trudnością takiego pojednania, i nie chcąc uwłóczyć ani zasadom wiary, ani prawdom nauki, nie wdawali się w tego rodzaju rozprawy. Znaleźli się i tacy, którzy broniąc teorii Ptolomeusza, utrzymywali zarazem, że w piśmie św. nie znajduje się nic takiego, coby było sprzeczne z pojęciami kosmograficznymi alexandryjskiego astronoma. Ci mniej mieli powodzenia od stronników allegoryi. W zlewie tylu różnorodnych zdań i sekt, znikła o budowie świata rzetelna prawda, której wydobyć i gruntownie udowodnić, zachowała Opatrzność dla późniejszych pokoleń, dając przez to czas i możliwość ustaleniu się nierównie potrzebniejszych i więcej obchodzących całą ludzkość praw św. religii naszej.

W połowie VI wieku po Chr. występuje Kosmas, wydaje dzieło: *Topographia Christiana*; będące najznakomitszym pomnikiem ówczesnych pojęć o świecie. Wzbogacił on właściwą geografją opisami wielu miejsc, po których sam podróżował; lecz jego pomysły o układzie świata są przesiąknięte niesłychanemi dziwactwami. Utrzymywał Kosmas, że świat ma kształt wysokiej

skrzyni. „Jestto, mówi on, pokoik mający cztery ściany murowane, sklepieniem okryte, tak, iż na wschodzie i zachodzie ściany mniej szerokie wyższe są odznacznie szerszych południowej i północnej. Firmament przedziela taki pokoik; firmament ten jest z niebem nad niem umieszczonem połączony. Woda jest nad firmamentem, a nad nią w niebiosach unosi się bóstwo samo z niebianami. Pod firmamentem jest padół ziemski w sposobie sterczącej góry. Jest ta ziemia czyli mieszkana od ziemi i raję ścian murowanych dotykających, nieprzebytym okeanosem oddzielona; czworograniasta, podłużna od wschodu na zachód; ze strony południa i wschodu pochyłość, na zachodzie i północy wyniosłość stanowiąca, tak, iż wznosząc się w północ i zachód, powstaje wysokość wyrównywająca szerokości mieszkanęj. Taka ziemi mieszkanęj postać sprawia odmiany dnia i nocy. Słońce, księżyc i gwiazdy kołują przy takięj górze ziemskieję, a skoro zachodzą w strony zachodnie i północne, na wolnej pochyłości w stronę wschodnio-południową, widziane nie są. Tym sposobem słońce zaszedłszy za ziemię, za górę ziemską, sprawia ciemności i noc. Po zachodzie przeciwnie słońce objaśnia i dniem obdarza strony nadokeanowe od ludzi niezamieszkałe, w rogu północno-zachodnim. Z powodu wspomnionęj właśnie pochyłości ziemi, rzeki na nięj różny bieg mają. Daleko bystrzejsze Tygrys z Eufratesem, bo z Persarmenii z góry w dół płyną; leniwszy Nil, bo od stron południowych do wynioślejszych łąd porze. Taka jest ziemia; a jak nad firmamentem niebianie, pod firmamentem ludzie ze swemi aniołami mieszkają: tak pod ziemią umarli spoczynek znajdują” (1). Podług Kosmasa, udział aniołów był koniecznym w biegu ciał niebieskich i we wszystkich zjawiskach meteorologicznych. Bajki tak dziwaczne mocno zawróciły głowy i krążyły między ludem chrześcijańskim do XIIgo, a nawet gdzieniegdzie i do XVII wieku.

W VIII i IX wieku dzielą się opinie; kulistość ziemi znowu zaczyna przeważać; tego mniemania był Karol W. i bawiący na dworze jego uczeni. Monarcha ten wiele przyczynił się do wzrostu nauk; sam kazał nawet zrobić planisferę, złożoną z kilkunastu tablic srebrnych, i na nięj narysować całą ziemię podówczas znaną, z oznaczeniem położenia ważniejszych miejsc. W X wieku papież Sylwester II, wychowany w Hiszpanii, przejął od Arabów nauki fizyczno-matematyczne, i rozkrzewiał je w swoim

(1) Badania starożytności we względzie geografii, str. 476 i 477.

państwie; sam wiele robił obserwacyj; zostawił traktat o kuli. Głowa kościoła silnie wpływa na umysły. Po nim Odon z Orleanu tłumaczył przed wielkimi drzwiami kościoła katedralnego tego miasta bieg ciał niebieskich, podług zasad Sylwestra II okuli. W XI i XII wieku liczba pracujących nad naukami była niewielka; ztémwszystkiém podziwiać należy traktat Hildeberta, mający na celu wykazanie całej śmieszności wiary w astrologią, co później uczynił Gerson w XV wieku. W r. 1167 Jan z Salisbury sprowadził z Normandyi tłumaczenie łacińskie Arystotelesa, a znalazłszy w niem wiele błędów, poprawił je przy pomocy tłumaczeń arabskich. Przełożono także w tym czasie na język łaciński początki geometryi Euklidesa, planisferę Ptolomeusza i jego traktat o astronomii. Lekarz królowej Eleonory, Klodyusz Korwinus, napisał dwie pochwały: jedną dla astronomii, a drugą dla geografii. Chociaż starano się oswoić z dziełami starożytnych i korzystać z ich mądrości, jednakże przy tém wszystkiém, nauki owych czasów przesiąknięte były duchem żydowskiej astrologii, i innemi śmiesznymi przesądami. Grubą ciemnotę tego wieku rozpraszał postęp żeglugi, wspartej wynalazkiem igły magesowej. Ułatwiały się stosunki ludów między sobą i rozszerzał się widnokrąg ich wiadomości. Wojny krzyżowe, podróże misyonarzy po różnych krajach, i inne awanturnicze przedsięwzięcia w zwiedzaniu odległych krańców Azyi, silnie wpływały w XIII wieku na wzrost geografii właściwej. Krzyżowcy przynosili ze Wschodu książki starożytnej Grecyi, mianowicie Arystotelesa i Ptolomeusza, i opinie dawniejsze zaczęły wracać, przynajmniej między uczonemi téj epoki, do dawniej swój wartości. Św. Tomasz z Akwinu wiele przyczynia się do wprowadzenia po szkołach paryzkich dzieł Arystotelesa. Wszyscy uczeni XIII i XIV wieku byli zwolennikami zasad mędrca, któremu, podług Hegla, głębokością i usposobieniem do umiejętności nikt dotąd nie wyrównał; a zatém i opinie jego o kulistości ziemi uważali za prawdziwe.

Musimy na chwilę przerwać bieg rzeczy, aby nie pominąć narodu, który chociaż pod godłem księżycy, zajął jednak znaczące stanowisko na polu nauk. Arabowie przejęli zasady Arystotelesa i Ptolomeusza. W pilném ich czytaniu znaleźli wiele prawd, które należało więcej rozwinąć i bliżej wyjaśnić. Wzbogaceni Arabowie własnymi spostrzeżeniami, posuwali naprzód naukę. Wstawili się Al-Marum, Abu-Iszak, Szeryf-Edrysi, Abulfeda i wielu innych. Mieli oni względnie do czasu, dosyć dokładne

wyobrażenie o figurze ziemi. Książę Abulfeda, żyjący w XIII wieku po Chr., ułożył synoptyczny obraz krajów, to jest opisanie ziemi podług okolic, wraz z długością i szerokością geograficzną miejsc. O postaci ziemi odzywa się w ten sposób: „Ziemia w ogólności ma kształt kuli, co się dowodzi w astronomii rozmaicie: np. gwiazdy wcześniej wchodząc i zachodząc dla mieszkańców wschodnich aniżeli zachodnich, pokazują, że ziemia jest kulistą od wschodu na zachód; że ziemia od północy ku południowi jest kulistą wynika z tego, iż biegun i gwiazdy północne dla mieszkańców idących na północ wznoszą się wtenczas, kiedy południowe zachodzą: odwrotnie, biegun i gwiazdy południowe dla mieszkańców idących na południe wznoszą się w tym samym czasie, w którym się północne zniżają. Przechodząc w tych kierunkach większą lub mniejszą drogę, nie postrzeżemy żadnej zmiany w zjawisku. Wybierając między wspomnianymi kierunkami średni, przekonywamy się o tożsamości fenomenu, przez co dowodzenie jeszcze więcej uogólnia się. Góry i doliny nie odejmują ziemi okągłości, gdyż astronomowie okazali, że góra mająca pół parasangi (1) wysokości, tém jest względem ziemi, czém jest 35 części grubości ziarenka jęczmienia, względem kuli o promieniu pół łokciowym“.

„ Rozmaicie także w astronomii okazują środkowe położenie ziemi w kuli niebieskiej. Jedni udowodniają tę prawdę zaćmieniami księżyca, przypadającymi w czasie jego przeciwleżności ze słońcem; drudzy tak o tém mówią: mieszkaniec w jakimkolwiek miejscu stojący ma swoje głowę, to jest wyższą część ciała, odwróconą ku odpowiedniej części nieba, a nogi, to jest niższą część, skierowane do środka kuli. Część wypukła ziemi odpowiada wklęsłej nieba, które je otacza; ztąd wypływa, że mieszkaniec chodzący po ziemi, w każdym jój miejscu ma za zenit inny punkt kuli niebieskiej”.

Daléj tak mówi: „Załóźmy, że ziemia odbywa bieg wirowy, wyobraźmy sobie przytém trzech mieszkańców obok siebie stojących, z których jeden udaje się na zachód, drugi na wschód, a trzeci zostaje w miejscu, oczekując powrotu dwóch pierwszych ze stron świata wprost sobie przeciwnych. Ten, który się udał na zachód, powróci ze wschodu; ten zaś, co poszedł na wschód, przyjdzie od zachodu. Wtedy mieszkańcowi powracającemu ze

(1) Parasanga równa się 30 stadyom olimpijskim.

wschodu zabraknie jednego dnia, a od zachodu jeden dzień przybędzie. I rzeczywiście: ten mieszkaniec, który udaje się na zachód i ma obejść wokół ziemi, np. w 7 dniach, idzie w kierunku biegu słońca, zachodzącego dla niego później codziennie o 7ą część czasu, potrzebnego do odbycia całkowitej drogi; co w ciągu 7 dni, wyniesie dzień jeden. Przeciwnie, ten, który się skierował ku wschodowi, idzie przeciwko biegowi słońca, zachodzącego dla niego wcześniej o 7ą część czasu łożonego na przebycie całej drogi; co po upływie 7 dni, uczyni jeden dzień więcej. Przeto, jeżeli dniem udania się w podróż był piątek, i jeżeli oba podróżni wrócą w następny piątek podług rachuby trzeciego, to pierwszy, który poszedł na zachód, aby wrócić ze wschodu, będzie podług siebie rachował czwartek, drugi sobotę. Wypadek będzie ten sam, jeżeli podróż zamiast kilku dni, trwać będzie kilka miesięcy, lub kilka lat (1).“ Hipoteza Abulfedy sprawdziła się na początku XVI wieku, w podróży odbytej naokoło ziemi przez Sebastjana Del Cano.

W roku 1492 d. 3 sierpnia Kolumb udaje się w podróż na odkrycie nieznanych ziem. Właściwie celem jego podróży było dojście do Indyi morzem, kierując się ciągle ku zachodowi; gdyż był mocno przekonany, że ziemia jest okrągłą. We 27 lat później Magellan, Portugalczyk, zostający w służbie hiszpańskiej, przedsięwziął opłynąć ziemię. Dnia 20 września 1519 r. wyprawia się na morze z San-Lucar, przebiega ocean Atlantycki, przechodzi cieśninę, która odtąd nosi jego nazwisko, wypływa na ocean Spokojny, odkrywa wyspy Maryańskie, następnie Filipińskie, i na jednej z nich, Zebu, w potyczce z krajowcami utracą życie. Szczęśliwi jego towarzysze pod przewodnictwem Del Cano, dalej prowadzą tę śmiałą podróż; przybywają do Tidore, wyspy Moluckiej, a ztąd drogą utworowaną przez Portugalczyków, to jest około Indyi i przylądka Dobrzej Nadziei, wracają 7 września 1522 r. do San-Lucar ze wschodu. Magellan, a raczej jego towarzysze są pierwsi, którzy opłynęli wokół ziemi i urzeczywistnili ideę Arystotelesa, Ptolomeusza i Arabów.

Ta podróż, odbyta przez śmiałych Hiszpanów, przekonała wszystkich uczonych: 1) że ziemia oddzielona jest w przestrzeni od innych ciał niebieskich, a zatem na niczem nieoparta; 2) że

(1) Journal General de L'Instruction Publique, ner 20, str. 117.

ziemia w ogólności ma kształt okrągły. Do astronomów należało rozwiązać wątpliwość co do okrągłości, gdyż wiadomo, że ten ogólnik nie daje nam jeszcze oznaczonego pojęcia o figurze ziemi. Odtąd wielcy astronomowie, jakby na głos wołającej prawdy, zjawiają się jeden po drugim. Przodkuje im ojciec nowój astronomii, słońce naszej ziemi, Mikołaj Kopernik. On twierdzi, że ziemia, będąc planetą podobną do innych ciał niebieskich, koniecznie musi być kulistą. Tę samą myśl był Galileusz. Pokazało się potem dużo pism o kształcie ziemi, które upowszechniały i ustalały prawdziwy na świat pogląd. Przyjęcie ziemi za zupełną kulę, nie mogło wytłumaczyć wielu zjawisk natury; więc uczeni przymuszeni byli szukać innej formy, harmonizującej ze wszystkimi fenomenami. W XVII wieku występuje Newton, geniusz pierwszej wielkości; przeważną swoją opinią do szczętu resztki przesądów niszczy, a twórczością swojego ducha odślania czyste oblicze prawdy. Z prac Kopernika, Keplera, Galileusza i swoich własnych buduje Newton wspaniałą mechanikę nieba. Prawa równowagi ciał płynnych i działanie sił centralnych doprowadziły go do wykrycia prawdziwego kształtu ziemi. Jasno dowiódł, że planeta nasza nie może być kulą, lecz bryłą zbliżającą się do elipsoidy, powstałej od obrotu elipsy około osi małej. Huyghens, nieświadomy odkryć Newtona, otrzymał w badaniach swoich o figurze ziemi ten sam wypadek. Późniejsi geometrowie, jakoto: Euler, Clairaut, Lagrange, D'Alembert, Laplace i inni wzmocnili swojemi dowodzeniami myśl Newtona, i postawili ją w rzędzie prawd wieczystych.

Nim przystąpimy do historycznego przejrzenia pomiarów, mających na celu wielkość i figurę ziemi, wyjaśnimy wprzód główną zasadę, na której się one opierają. Jeżeli ziemię uważać będziemy za kulę, wtedy wiedząc tylko okrąg koła wielkiego, łatwo wyznajdziemy promień, powierzchnię i objętość planety naszej. Nie ma nawet potrzeby szukać całego okręgu, gdyż wymierzona długość łuku, wielokrotnego względem swego okręgu, dostateczną jest do rozwiązania zadania. Idzie więc tylko o to: jak wziąć na ziemi łuk koła wielkiego, któryby się mieścił wiadomą liczbę razy w swoim okręgu. Łuk biorą na południku ziemskim. Wzniesienie bieguna równa się szerokości geograficznej miejsca: przeszedłszy więc na południku taką długość, aby różnica szerokości geograficznej dwóch miejsc, to jest początku i końca naszej drogi, wynosiła np. 1; wtenczas łuk przebyty będzie 360tą częścią ca-

tego okręgu; potem łuk ten należy zmierzyć, i otrzymany wypadek powtórzyć 360 razy, a iloczyn wynaleziony da liczebną wartość okręgu wielkiego koła ziemi. Jeżeli z pomiarów południka ziemskiego chcemy wnosić o figurze ziemi; to trzeba dojść długości łuków odpowiadających pojedynczym stopniom południka niebieskiego w różnych szerokościach geograficznych. Skoro się okaże, że te długości równają się między sobą, wtedy południk ziemski będzie kołem, a ziemia kulą; w przeciwnym zaś razie należy odrzucić kulistość planety naszej, a natomiast szukać najbliższego podobieństwa figury ziemi do takiej bryły geometrycznej, na którejby poprowadzone linie, odpowiednie południkowym na ziemi, posiadały jednakowe własności. Wykryte pokrewieństwo figury ziemskiej z bryłą geometryczną wiadomą nam postaci, nie stanowi jeszcze ostatecznego rozwiązania. Astronomowie idą drogą odwrotną: czy kształt ziemi osiągnięty przez pomiary i analogią zgadza się ze wszystkimi zjawiskami natury, mającemi z nim jakikolwiek związek. Jeżeli i w tym razie tożsamość figury powstaje, wtedy upatrzone podobieństwo nie podlega żadnej wątpliwości. Poprzestajemy na tych ogólnych myślach, mających nam ułatwić zrozumienie dalszej rzeczy. Zrobimy tu tylko jeszcze jedną uwagę: pod figurą planety naszej rozumieć należy postać powierzchni mórz wszystkich w połączeniu uważanych, nie zaś formę stałego lądu.

Starożytni albo odrzucali kulistość ziemi, albo przyjmując ją w zupełności, dochodzili wielkiego koła ziemi. Wypadki ich w tym względzie nie odznaczają się ścisłością. U Arystotelesa znajdujemy, że okrąg koła wielkiego ziemi wynosi 400,000 stadyj; inni nadawali mu 300,000 stadyj; nie wiadomo jednak, jaką drogą doszli tych wypadków: być może, że je przejęli od Indyan lub Chaldejczyków. W połowie III wieku przed Chr. Arystarch z Samos z porównania względnej odległości dwóch miejsc, położonych na jednym południku, z wysokościami bieguna odpowiedniemi tym miejscom, miał wyprowadzić wartość wielkiego koła ziemi. Archimedes, żyjący po Arystarchu, podaje tę długość na 300,000 stadyj, chociaż sam odmawia jej dokładności. Ze wszystkich jednak starożytnych astronomów, najwięcej położył zasługi w pomiarze ziemi Eratostenes.

Pomiar Eratostenesa był krytycznie rozbierany przez geometrów późniejszych, a szczególnie przez Hipparcha, który czuł potrzebę dokładniejszego wypadku. Później Posydoniusz, opierając się

na obserwacji Eudoxa, pokazującej, że gwiazda Canobus góruje nad poziomem Alexandryi $7^{\circ}30'$, a w Rhodus leży na poziomie, wniosł, iż między Alexandryą i Rhodus różnica w szerokościach geograficznych wynosi $7^{\circ}30'$: a że odległość tych miejsc równa się 5,000 st., więc okrąg całego południka ma 240,000 st. fileteryońskich (przynajmniej tak Kleomedes podaje). Pomiar ten nie odznaczał się prawdziwością; między innymi uchybieniem było i to, że Rhodus na 2° przeszło więcej na zachód leży względem Alexandryi, i że odległość tych dwóch miejsc nie była ściśle obrachowana. Następni geografowie, jak Marynus, Ptolomeusz i inni, podają pomiar Posydoniusza nie 240,000, lecz 180,000 st. filet. Strabon wziął między 252,000 i 180,000 średni wypadek, to jest 216,000 st.; tym sposobem zmieszał stadye fileteryońskie z olimpijskimi, i był powodem wielu zawichrzeń w geografii. Rzymianie swojemi podbiciami i wytykaniem dróg wiele przyczynili się do postępu geografii, ale w zadaniu o figurze ziemi i jej wielkości, żadnych nie położyli zasług. W roku 833 Kalif Al-Marun rozkazał trzem braciom, nazwiskiem Ben-Szaker, wymierzyć długość jednego stopnia szerokości między Raką i Palmirą w pustyni Sandzjar. Abulfeda wzmiankując o tej pracy, podaje wielkość koła ziemskiego na 203,328 st. (zdaje się olimpijskich).

Od IX do XVI wieku nic nie zrobiono we względzie pomiaru południka. Dopiero Fernel, lekarz i matematyk francuzki, urodzony w Clermont w 1588 r. przedsięwziął wymierzyć okrąg wielkiego koła ziemi. Paryż i Amiens bierze za dwa główne punkta, położone na jednym prawie południku i dochodzi liczbą obrotów koła od wozu, odległości tych miast. Fernel udał się z Paryża do Amiens i zatrzymał się w tém miejscu, w którym spostrzegł, że wysokość południkowa słońca zmniejszyła się o jeden stopień. Podług jego rachuby, łuk południka ziemskiego odpowiadający 1° wynosi 57,070 tuazów: wypadek godny uwagi już dla prostoty sposobu, już dla wielkiego przybliżenia do prawdy. W r. 1617 Snellius po raz pierwszy do mierzenia łuku użył sposobu trygonometrycznego. Oznaczył wzniesienie bieguna dla dwóch miejsc, położonych na jednym południku, to jest dla Alcaer i Berg - op - Zoom; znalazł różnicę tych wzniesień wynoszącą $1^{\circ}11'30''$; doszedł drogą trygonometryczną odległości rzeczonych miejsc, i otrzymał długość łuku południka ziemskiego, odpowiadającą jednemu stopniowi południka niebieskiego, równającą się 55,021 tuazów. Sam Snellius odmawiał temu wy-

padkowi prawdziwości i dlatego raz jeszcze powtórzył robotę, wymiar i rachunki wykonał z większą uwagą, i osiągnął rezultat wcale inny. Chciał wydać swoje dzieło: „Erathostenes Batavus“, z odpowiedniami poprawkami, lecz nagła śmierć przerwała jego zamiary. Muszembrok, ziomek Snelliusa, zabrawszy rękopisma na nowo obrachował wszystkie trójkąty, zachowawszy poprawki poczynione przez samego autora, i doszedł, że wspomniona długość wynosiła 57,033 tuazów. Cassini starszy, przeglądając później papiery Snelliusa, znalazł, że powinno być 57,060 tuazów. Astronom angielski Ryszard Norwood, pojmował wprawdzie dobrze zadanie, lecz sposób, którym doszedł do jego rozwiązania, niezupełnie był dokładny. W r. 1635 łańcuchem wymierzył odległość Londynu od Yorku, ile miejscowość pozwalala szedł w kierunku południka, a jeżeli gdzie zbaczał od niego, wtedy bussolą oznaczał kąt uchylenia. Pomiaru swoje odniósł do poziomu i ostateczne rachunki pokazały mu, że odległość Londynu od Yorku wynosiła 60 lie. Dwie obserwacje astronomiczne odbyte przez niego w tych miastach, w czasie kiedy środek słońca znajdował się w letnim punkcie zwrotu, dały 2^o28' różnicy w szerokości geograficznej Londynu i Yorku, a ztąd na 1^o wyprowadził 57,300 tuazów. W 15 lat później ojciec Riccioli autor: *Geographia reformata*, wykonał pomiar w okolicach Bononii i doszedł, że długość łuku o 1^o wynosiła 62,650 tuazów. Tak wielka sprzeczność z poprzednimi pomiarami, pochodziła z mylnie oznaczonych wzniesień bieguna, i ze zbytnej ostrości kątów w sieci trygonometrycznej.

Nareszcie Piccard, korzystając z błędów swoich poprzedników, zaopatrzony w lepsze od nich narzędzia, bierze się do pracy, i w latach 1669 i 1670 wykonywa ją z całą dokładnością. Obiera Malvoisine i Surdon za dwa główne punkta położone na jednym południku, dochodzi różnicy ich szerokości geograficznych, wynoszącej 1^o11'57", sposobem trygonometrycznym wynajduje odległość tychże punktów, powtarza raz jeszcze swoją robotę, i bierze średni wypadek. Według Piccarda, długość łuku jednego stopnia równa się 57,064 tuazów. Później przedłużył łuk aż do katedry amieńskiej i otrzymał na jeden stopień 57,057 t.; a średni wypadek tych dwóch liczb, to jest 57,060 tuazów przyjął Piccard za prawdziwą długość południka ziemskiego, odpowiedniego (łuku) jednemu stopniowi południka niebieskiego w danej szerokości geograficznej dwóch miejsc. Prace

Piccarda pokazały uczonemu światu prawdziwy wymiar geometryczny południka, gdyż był dokonany podług wymagań wyższej geodezyi.

Wymiar ten, dokonany przez Piccarda, był właściwie początkiem rozwiązania ważnego zagadnienia o figurze ziemi. Lagir i Cassini młodszy dochodzili długości łuku południkowego w innych szerokościach geograficznych. Z pomiarów Cassiniego okazało się, że ziemia jest sferoidą spłaszczoną przy równiku, a wypukłą pod biegunami; lecz twierdzenia Huyghens'a i Newtona były wręcz przeciwne wypadkom Cassini'ego. Z tego powodu między uczonemi téj epoki powstały spory, trwające blisko lat 30. Akademia paryzka, chcąc położyć koniec tym sporom, wyznaczyła kommissyą, celem wymierzenia długości stopni południka ziemskiego przy równiku i blisko biegunów. Godin, Bouguer, Condamine udali się do Peru, Maupertuis, Clairaut i Camus do Laplandyi. Prace tych astronomów trwające lat 10, pokazały, że długości pojedynczych stopni południka ziemskiego, rosną w miarę posuwania się od równika ku biegunom, a ztąd koniecznie wniesć należało, że ziemia nie jest doskonałą kulą, ani bryłą Cassini'ego formy, ale ciałem ograniczonóm powierzchnią zbliżającą się do téj, która powstaje od obrotu elipsy około osi małej; przeto ziemia jest wypukłą pod równikiem, a płaszczyzną przy biegunach. Późniejsze poszukiwania astronomów, jakoto: D'Alemberta, de la Caille'a, Swanberga, Lambtona, Biota, Arago, Struwego i wielu innych, odbyte w różnych częściach planety naszej, przekonały ostatecznie o prawdziwości twierdzenia jak Newtona, tak i członków wspomnionój wyżej kommissyi.

STAROŚĆ SAMOLUBA.

MONOLOG.

Samolub (siedzi w fotelu przy gasnącém ognisku. Cisza, na dworze słychać tylko plusk deszczu, i szum wiatru pomiędzy drzewami).

Jakiż to długi wieczór! ciągnie się bez końca;
Prawda, już kilka godzin od zachodu słońca;
Ale dla mnie godziny wiekami się zdają,
Bez zmiany, bez nadziei, ciągle upływają!....

(*Milczenie*).

I ogień już zaczyna gasnąć na kominku....
Jakóbie!.... Nie, sam wolę. Chwilę odpoczynku
Potrzeba dać staremu. Ma zasługi dosyć,
On jeden lat trzydzieści potrafił mnie znościć!

(*Wstaje z wysileniem, ale wkrótce upada na fotel*).

Nie, nie mogę.... nie mogę.... Ma siła ustała,
A ręka niedołączna trzęsie się już cała!....
Tak wcześnie niemoc przyszła; przecież w moim wieku,
Jeszcze siły żywotne nie gasną w człowieku.
Widziałem starszych nawet.... Cóż, żyli wesoło,
Mieli żony, przyjaciół, i rodzinne koło.
Szukali przywiązania, i miłością żyli,
I znaleźli rozkosze do starości chwili.

Jam schnął, jak krzew samotny na bezdrożu dzikiém,
Jam schnął, bom uczuć serca nie podzielił z nikiem:
Bo żadna ła przyjaźni nie zrosiła łona,
Bom nie znał co kochanka, co dzieci, co żona!
Ci, co mnie kiedyś dawniej w młodości kochali,
Znikli z przed oczów moich—obcemi zostali;
Z czasem wszyscy swą pamięć w sercu mém zatarli,
Jedni mnie opuścili, a drudzy wymarli!
Jam tylko jeden został; ja, i Jakób stary.

(*Milczenie*).

Biédny Jakób! on zawsze znosił me przywary.
Byłem przykrym dla niego: on był poświęceniem,
Łzą tylko odpowiadał, albo téż milczeniem.

Jakóbiel... On śpi sobie; szczęśliwy ten człowiek!
 Śpi spokojnie, mnie tylko sen ucieka z powiek,
 Mnie tylko myśl straszliwa uderza tajemnie,
 Myśl, którą oschłe czucia wyrodziły we mnie.
 Życie mi jest cierpieniem, a chcę żyć koniecznie...
 Ja chcę żyć... chcę żyć długo... nieskończenie, wiecznie!
 Bo jak umrę, to oni to złoto posiędą,
 Wezmą wszystko... zabiorą... i cieszyć się będą!...
 Nie, to jest zbyt okropnie... nie, to być nie może,
 Pójdę w nocy, zakopię...

(Chce wstać).

Nie mogę... o Boże!

Jakóbiel... Onby wydał, lub wziął pokryjomu,
 A jam tak długo zbierał... ja nie dam nikomu!

(Milczenie).

A gdyby wzięli gwałtem?... Precz z szaloną myślą!
 Sny to, sny gorączkowe te widziadła kręślą.
 Puls bije... głowa pęta... w sercu czuję drzenie...
 Jam chory!... Eh cóż znowu, istne przywidzenie!
 Tęskno mi, smutno jakoś — i myślę żem chory.
 O ja tęsknię sam, stary, bez żadnej podpory!

(Milczenie).

Co tam! nie myślmy o tém; przecież wieczór minie!

(Z westchnieniem).

Tak mi dzień za dniem schodzi, noc za nocą płynie,
 A jam zawsze sam jeden!...

(Długie milczenie).

Gdybym w mój młodości

Ożenił się z Malwiną, tym wzorem stałości...

Tak była dobra, tkliwa, tak skromna, nabożna...

(Z uśmiechem).

Ale że piękną była zaprzeczyć nie można!
 Jaki długi włos czarny, jakie wabne oczy,
 Jak ich promień w mém sercu budził wdzięk uroczy...
 Ale myśleć o żonie!... wołałem się bawić,
 Wołałem z przyjaciółmi czas ochoczo trawić...

(Z szyderstwem).

Co mówię, z przyjaciółmi... gdzież oni są przecie?

Już dawno zapomnieli, że żyję na świecie!

(Milczenie).

Ale onaby pewno o mnie pamiętała.

Ona, co mnie tak czule w młodości kochała.

Miałbym dzieci! jakżeby tu było wesoło,

Jakby mnie całowały, jak obsiadły wkóło.

Takbym je psuł w dzieciństwie, a one nawzajem,

Bezsilną moję starość zrobiłyby rajem.

Wszystkoby dla mnie było: wygody, kochanie,

Najlepsza część obiadu, najmiększe posłanie,

Każdyby w myśli szukał życzenia mojego,
Wszystkoby zawsze było dla ojca starego:
O radości! o szczęściu!....

(Milczenie).

A teraz, cóż widzę?

Samotność i ciemnotę.... Sam się sobą brzydzę...
Czas już nawet wolnieje, by moje katusze
Powiększyć i przedłużyć... by znękać mą duszę,
By wysać resztę życia!....

(Z stopniowém umieszczeniem).

O ty samotności!

Jedyna towarzyszko zgrzybiałej starości!
Patrz czém teraz jestem, patrz na moje męki.
Żaden z ludzi przyjaznej nie poda już ręki.
Sam, zawsze sam na świecie... wszyscy opuścili,
I jak nieczuły kamień ze wzgardą rzucili.
„To samolub“, wyrzekli, „on kochać nie może;
On wzgardził święte związki i małżeńskie łoże,
On siebie tylko kocha! Czegóś go żalować?“
Któż nad głazem nieczułym będzie się litować?

(Milczenie).

A kiedy śmierć zatopi w mém tonie swe szpony,
Kiedy wyszłe me ciało będzie bez obrony,
Żadna łezka nie skropi grobu samotnego,
Żadna ręka nie zerwie cyprysu polnego.
Wszyscy się cieszyć będą: Ah! umarł już przecie,
Nieczuły egoista, zadługo żył w świecie!
I zaraz chmara kruków chciwych mego mienia,
Aż do grobowego zleci się kamienia!
Nikt mnie nie pożałuje, lecz śmiechy i krzyki,
Służyć mi będą w miejsce żalobnej muzyki.
Krew się w żyłach nie zetnie, a już koło trupa,
Płasać będzie wesolo successorów kupa,
Świątokradzką swą nogą zdepczą mą mogiłę!

.....
Do zniesienia téj myśli, o Boże! daj siłę!...

Ludwik Niemojowski.

Do K.....

W oddalonej pustyni, wśród dzikiej bezdroży,
Gdzie człowiek bojaźliwie swe stopy kieruje,
Gdzie świat tak jest skalany, jakby nie był boży,
Gdzie powietrze schorzałe oddech ci zatruje;

Niebiosa tak pochmurne, tak wiecznie zaćmione,
 Jakby słońca nie było, ni gwiazd jasnych tyle,
 A serce ludzkie stare, twarde i omszone,
 Jako kamień na szczęścia zmarłego mogile:
 Tam ucho nie usłyszy czarownej piosenki,
 Bo tam prawe natchnienie tylko sobie świeci....

Ale pienia rozgłosne nad światem zabrzmiały,
 I do nas wieszczęj pieśni słowa doleciały.
 Słyszałem je, a przyszłość już mi nie jest nocą,
 Niedaleki dzień temu, kto przedświt obaczy.
 Pienia twe były dla mnie anielską pomocą,
 Człękowi tonącemu w bezdenną rozpacz,
 Kto raz w życiu usłyszał melodyą twój pieśni
 I miłością natchnione zapamiętał tony,
 A serce swe zbrukane nie oczyścił z pleśni,
 Nie przyodział w nadzieję—ten wiecznie zginiony.

Ty świata dzisiejszego pojawiwszy koleje,
 Z nich jako boski prorok nie przyszłą wysnułeś,
 Nadałeś sercom wiarę, miłość i nadzieję,
 Wpoileś bliźnim czucia, jakimi sam czułeś.
 Niejedno serce, które jak inwalid stary,
 Widząc komnatę dziadów przypomina czyny,
 Gdy zabrmi hasło wojny, znów nabierze wiary,
 Rzuci szczudła, pospieszy po nowe wawrzyny:—
 Skoro harfy raz piérwszy posłyszałem dźwięki,
 Zabłysła ła nadziei na przygasłym oku,
 Łza święta, jak modlitwa wpośród bólów męki,
 Święta, jak twe natchnienie przyszłości proroku!

Słyszałem za nas modły matki—i dziewicy,
 Widziałem świetną przyszłość dziejów anielicy,
 Słyszałem głos dający jej miano swój córę:
 Niebo mi zajaśniało—zblekitniały chmury;
 Żeś nam o szczęściu pewną przyniósł wieść,
 Cześć ci mój wieszczu—wiekuista cześć!

Raz potęsknę w noc letnią boleśnej żałoby,
 Potém idę do Rzymu zwiedzać świętych groby,
 I ducha chrześcijańskiego widzę całą treść;
 Serce wiarą przejęte znów ci hold oddaje,
 Iż duch ten chcesz wpoić w niechrześcijańskie kraje:
 Cześć ci apostołe—wiekuista cześć!

Jerzy Laskarys.



TANKRED DE MONTECUTE

CZYLI

NOWA KRUCYATA.

(Powieść przez d'Israeli napisana).

CZĘŚĆ I-sza.

Rozdział I.

W słynnej parafii ś. Jerzego, która łączy ulicę Peccadilly z ulicą Curzon, znajduje się część miasta, nosząca na sobie właściwe i odrębne piętno. Składa się ona z nagromadzonych małych domów i uliczek, często nagle przeciętych poprzecznie. Nieraz kilka dziedzińców tworzą rodzaj targowiska, przez które z trudnością szuka swój drogi przechodzień. Ci jednakże, którzy łączą koniecznie w myśli ubóstwo z żebractwem i kradzieżą, niech się tu niczego nie lękają. Policya tak rzadko odwiedza te ulice, jak Park Lane i Berkley Synaze, do których niejako i tutejsza ludność należy. Bo tutaj mieszkają żony zawiadowców i piwnicznych, starając się w domu pomnożyć uczciwy swych mężów zarobek. Tu mieszkają starzy słudzy, którzy już porzucili służbę i tylko na przypadkowe uczty poświęcają swoje zdolności, a uzbierany procent przez lata pracy, zapewnia im spokojne życie i czasem przyjemności wielkiego świata, do których przywykli. Tu można spotkać woźnicę księcia, a tam lordowego grooma, który jednak zawsze, jak z obowiązku, leczy konie swego dawnego pana. Ale z pomiędzy wszystkich, kucharze emeryci odznaczają się pewną elegancją i wyszukaniem. Jakiś spokój i cichość wygasłych na-

miętności raczej, jak lenistwa i smutku, panuje przez dzień cały w tej części miasta.

Kiedy porzucisz ruch i świetność Peccadilly, parki, pałace, domy z płaskimi dachami, błyszczące powozy, dumnych jeźdźców i strojne tłumy, a wejdiesz w wyż wzmiankowane ulice, dziwna przedstawi ci się sprzeczność: ani jednego powozu, ani jeźdźca, rzadko nawet przechodnia spotkać można; zdaje się, że zaraza nagle miasto owiała, lub że oczekują nieprzyjaciela w zwyciężonej stolicy. W nocy jednakże ta część miasta ożywia się nieznacznie; obyczaje mieszkańców są takie, jak panów:—czuwają późno w nocy. Bale i ucztę przytrzymują ich zwykle do czasu, kiedy klasy robocze myślą już o otwarciu swych fabryk i sklepów. W nocy często usłyszeć można turkot wozów w wązkich ulicach i otwierające się bramy; w nocy lokaj korzystając z balu w Holderne lub z koncertu w Lansdown House, zagląda do swego klubu, czyta gazety i mówi o swoich panach. W nocy też i sklepy mają największy odbyt pomiędzy opisaną ludnością, która idąc za ogólnym popędem, więcej niż w dzień do nich uczęszcza.

* * *

Blizko dwa lata temu, po smutnym poranku marcowym, w śliczny i pogodny wieczór, młody człowiek wysokiego wzrostu, z twarzą myślącą, ale delikatną, z długimi ciemnymi włosami, z małą bródką i wąsem, zapukał do jednego z domów przy ulicy Carnington. Ubranie jego zdradzało artystę; miał bowiem na sobie zielone spodnie, buty z francuskiej skóry, kamizelkę orzechową aksamitną, ozdobioną cienkim łańcuszkiem od zegarka, i chustkę czarną atlasową, spiętą ogromnym koralem, a na tém wszystkiém jasno-błękitny rajtrok. Skoro zapukał do drzwi ręką w różową rękawiczkę odzianą, zdjął szybko kapelusz, przygładził go i włożył nieco na bakier.

— Tyżeś to, panie Leandrze! — zawołało ładne dziewczę, otwierając drzwi i rumieniąc się.

— Jak się miewa dziadek, Eugenio? Czy jest w domu? Potrzebuje się z nim widzieć.

— Zaraz cię zaprowadzę do niego, panie Leandrze. Jakże się ucieszysz z twoich odwiedzin! Dawnośmy już wyglądali wiadomości od ciebie—dodała dziewczyna, prowadząc go po wązkich wschodach na górę.—Dziadek trochę chory na katar; mam jednak nadzieję, że to przejdzie. Dostał on go na wielkim obiedzie u pana Willinger, gdyż otworzono okna od kuchni, a przytém wszystkie

entrées się zepsuły; ale ja myślę, że to więcej ze zmartwienia, niż z innéj przyczyny. Ty to pojmujesz, kiedy się coś zepsuje, a osobliwie *entrées*.

— On czuje, jak wielki artysta czuć powinien—odrzekł Leander kończąc jéj myśl niejako.—Jednakże nie żałuję teraz, że go katar w domu zatrzymał, bo pilno mi widzieć go i pomówić z nim. Dopiero dziś rano wróciłem z Hellingsley od pana Conningsby. Dom pełny: co dzień czterdzieści kilka nakryć i kilku dobrych znawców; dużo tam miałem zajęcia, lecz mniejsza o pracę, gdy ją stosownie ocenić umieją. Lecz miałem także dużo zmartwienia. Jeden z kuchcików zawiódł mnie; myślałem że to gieniusz, ale niestety! trzeciego już dnia stracił głowę zupełnie, i gdyby nie moja przytomność..... Ah! dziaduniu! — zawołał gdy drzwi się otworzyły, ściskając z zapalem rękę dość podeszłego wieku mężczyzny, siedzącego w szlafroku i szlafmycy w wygodnym fotelu, i który przytém czytał gazetę i popijał ocukrzoną wodę.

— Tyżeś to moje dziecię — rzekł ojciec Prevost — Widzisz mnie jak w niewoli; powiedziała ci już wszystko zapewne Eugenia. Obiad u kupca całkiem zepsuty, a ja..... Tu ojciec Prevost z westchnieniem napił się swojej wody.

— Wszyscy mamy swoje zmartwienia — rzekł tonem pocieszającym Leander — lecz nie mówmy o tém. Właśnie przyjechałem ze wsi. Daubuz dwa razy do mnie pisał; był u mnie zeszłej nocy, a dziś rano znowu go na wschodach spotkałem. Chodzi tu o rzecz ważną. Syn księcia Bellamont dochodzi pełnoletności na Wielkanoc; dzień ten obchodzony będzie z wielką uroczystością; roboty znajdzie się tam bez liku: uczy jak w Tyśiąc i jednia nocy; całe hrabstwo ma być sproszone, a dla wieśniaków będzie to drugie wesele Gamacha. Będą tam pieczone woły, z fontanami *alu* (1) i portwejnu. Kuchciki nasze mogą bezpiecznie gotować dla wiejskiej szlachty, lecz w zamku mają znajdować się znakomite osoby, książęta krwi, wysocy pokrewni, grandowie o złotém runie i t. p. Kuchmistrz księcia już za stary, nie jest w stanie godnie temu wszystkiemu odpowiedzieć; dlatego pisali do Daubuz, aby im przysłał najbiegłego artystę swego fachu, i.... dodał Leander z niejakiém wahaniem — Daubuz mnie zawezwał.

— I dobrze zrobił moje dziecię — rzekł ojciec Prevost — gdyż w całej Europie niemasz równego tobie. Co oni mówią, że

(1) *Alc*, rodzaj piwa angielskiego.

Abreu może rywalizować z tobą co do smaku, i że Gaillard jest równie obfity w wynalazki? Ale któryż może połączyć smak z wystawą powierzchowną?—ty jeden Leandrze; i niema co mówić, choć masz dwadzieścia pięć lat zaledwie, jesteś głową twojego wieku.

— Zawsze jesteś łaskaw na mnie, panie—odrzekł Leander spuszcżając głowę—ale nietrzeba zapominać, zem był uczniem twoim, a Gaillard i Abreu nie mieli tego szczęścia.

— Mam nadzieję, zem cię niezle wykształcił— rzekł ojciec Prevost z dumą—Czegoś się odemnie nauczył, było przynajmniej z dobrej szkoły. Zawszeto coś jest służyć pod Napoleonem—dodał z dumną miną cesarskiego kuchmistrza. Ach! gdyby nie Waterloo, dostałbym krzyż. Ale cesarscy kuchmistrze i Bourbony nigdy się z sobą porozumić nie mogli; przywieźli z sobą kuchmistrza emigranta, który nie pojmował ducha smaku i chciał wszystko cofnąć do czasów *Oeuil de Boeuf*. Gdy *Monsieur* odsunął nie skosztowawszy mojej zupy Austerlitz, poznałem zaraz, że stara familia już spróchniała. Ale my gawędzimy, a tobie może rady mojej potrzeba.

— Nietylko rady, ale i pomocy. Mam nadzieję, że mi zechcesz towarzyszyć do Bellamont, bo tam trzeba będzie wszystkie siły nasze wyteżyc; a nie można przeczyć, że w naszej sztuce nietylko zbywa na gieniuszach, ale i na wyższych ludziach. Od czasu jak episiery i średnia klasa wdała się w obiady, kucharze zajęci jak inżyniery, nie mogą wydolać wszystkiemu.

— Masz Adryana—rzekł Prevost.

— Zamłody; wziąłem go do Hellingsley, stracił głowę trzeciego dnia. Powierzyłem mu *soufflé*, i gdyby nie cała moja energia, wszystkoby przepadło. Byłoto coś nakształt przejścia pod Arcole.

— Mój Boże, otóż to są straszne chwile!—zawołał Prevost—Gaillard i Abreu nie będą chcieli służyć pod twojemi rozkazami, a choćby i chcieli, nie można im zaufać; gotowiby cię zdradzić.

— Potrzebuję podkomendnych, a nie naczelników. Abreu dobry chłopak, ale przyjął służbę u pana de Sidonia, i nie może się oddalać.

— U pana de Sidonia? Ty sam kiedyś myślałeś o tém, Leandrze. Wieleż mu płaci?

— Nie tak wiele; czterysta funtów i jakieś dodatki. Toby mi nie wystarczyło, a zresztą jabym się tylko do koronowanej głowy

zobowiązał. Lecz Abreu lubi podróże i ma swój własny pojazd; to mu się podobało.

— Masz przecie Philippona i Dumoreau, ci są pewni.

Myslałem o nich — rzekł Leander — oni byłiby dosyć użyteczni, ale pod twojém przewodnictwem. Mam także Anglika Smitha, kuchmistrza sir Stanleja, którego pan wyjechał teraz; człowiek ten nie jest bez talentu.

— O cóż więc chodzi? Ty sam, czterech kuchmistrzów i twoi kuchciki wystarczą.

— Tak, do kuchni, ale któż stoły ubierze?!

— Ach! — zawołał ojciec Prevost trzęsąc głową.

— Trenton jest jedyny człowiek, któremu mógłbym zaufać, ale i jemu jeszcze brak fantazyi, chociaż nieraz ma wzniosłe i śmiałe pomysły. Przeszłego tygodnia w Hellinsley zrobił piramidę z brzoskwiń, przekładaną winogronami, bez skrzywienia linii; ale Trenton miał przypadek na kolei żelaznej i wiele ucierpiał: choćby więc nawet wyzdrowiał, to przez miesiąc ręka tak mu się trząść będzie, iż żadnej roboty nie mógłbym mu powierzyć.

— Może znajdziesz kogo zdolnego u księcia?

— O tém niéma co i myśleć; wszyscy kucharze muszą być z mojej poręki. Biorę Pelleriniego do cukrów, bo jakże często widziałem cały efekt najwspanialszego obiadu zepsuty przez pospolity *dessert*, gdy wszystko jest płaskie, lub z niestosownemi ozdobami; np. bramy tryumfalne, pagody chińskie, samotne sosny, obok stosów lodu lub natłoku owoców, jak przed przekupką z Covent-Garden.

— Straszno nawet wspomnieć, jak mogą wiele zepsuć ludzie bez stosownego wykształcenia i pojęcia kucharskiej sztuki! W cesarskiej kuchni do mnie należało ubieranie stołów.

— Na to potrzeba wielkiego artysty, rzekł Leander; znam tylko jednego człowieka, który méj myśli odpowiada, ale ten jest w Wiedniu. Cesarz zatrzymał go dla siebie; jednak nie może się na to uskarżać, gdyż hojnie jest wynagrodzony.

— Ach! — rzekł smutno Prevost — tu nie umieją cenić gieniuszów..... Lecz co myślisz o Vanessie, moje dziecię; ten przynajmniej starannie odebrał wychowanie....

— W złej szkole. W ostatnim razie cóż robić, może i na nim skończę; lecz z drugiej strony te wieczne cukierki, jak gdyby to była karnawałowa uczta, a goście mieli rzucać niemi. Nie, nie mogę polegać na Wanessie.

— Ubranie stołu, to rzadki talent—rzekł Prevost zamyślny;—zawsze tak bywało, nawet w cesarskiej kuchni.

— Dziaduniu—rzekła Eugenia, otwierając drzwi i ukazując głowę—p. Venilette przybył właśnie z Brukselli i przywiózł ci koszyk truflí ardeńskich. Powiedziałam mu, żeś zajęty, ale pyta się, czy może przyjść wieczorem?

— Vanilette!—zawołał Prevost podnosząc się z krzesła—nasz mały Vanilette. Oto właśnie, czegoś szukał Leandrze; to był mój piérwszy uczeń, tak jak ty byleś ostatnim z porządku, moje dziecko. Przyrowadź tu Vaniletta, Eugenio. To kuchmistrz króla Leopolda, do niego należy ubieranie stołów.

Rozdział II.

Książę Bellamont przez swoje urodzenie, majątek i stosunki w świecie, należał do jednej z piérwszych rodzin Anglii, i mógłby z wielu względów stanąć na czele arystokracji trzech królestw, chociaż był tylko wnukiem małoznaczącego wiejskiego szlachcica. Szczęśliwy jego przodek, w końcu zeszłego wieku rozkochał dziedziczkę Montecute księżniczkę Bellamont, pochodzącą z dawnej rodziny, wstawionej jeszcze za Plantagenetów. Oblubieniec w dzień ślubu przyjął nazwisko swój młodej i ślicznej żony. P. Montecute obdarzony był energią i przedsiębiorczym umysłem, a wczesne powodzenie rozwinęło jeszcze te zalety. Zamkami, miastami i włościami Montecutów, umyślił pozyskać ich dawny tytuł barona i terazniejszą księżęcą koronę. Czasy sprzyjały jego zamiarom, choć wymagały poświęceń; ożenił się bowiem w czasie klęsk amerykańskiej wojny. Król i ministrowie przyjęli ofiarę bogatego pana, reprezentującego prawnie swoje hrabstwo, a który prócz tego mógł jeszcze pięcioma rozrządzać głosami. Tym sposobem stał się jednym z filarów ich sprawy, w czasie, gdy przejście jego do opozycyi, byłoby odrazu na niekorzyść tychże zakończyło parlamentarną walkę. Ale pozostał wierny raz obranej drodze i w nagrodę zajął miejsce w parlamencie, jako hrabia Bellamont i wicehrabia Montecute.

Nagroda podobna, zdawała się jak na jedno pokolenie dostateczną; ale srebrna łyżka włożona przez jakąś dobrotliwą wróżkę w kolebkę Montecuta była olbrzymiego, jak widać, rozmiaru. Rewolucya francuzka nastąpiła po wojnie amerykańskiej, i w części przez nią spowodowana była. Słuszném widać było, aby i ona

jakiś zysk przyniosła człowiekowi, którego już hrabią uczyniło powstanie kolonii Ameryki. Pośród powszechnego strachu jakobinizmu, deklamacyi przyjaciół ludu, straty Hanoweru, hrabia Bellamont odwiedził z zimną krwią Downing Street, i żądał oddania wszystkich dawnych tytułów i przywilejów książąt Bellamont. Pan Pitt przystawał na żądanie swego sprzymierzeńca, ale monarcha mniej skłonny był ku temu. W gruncie i on nie był temu przeciwny, aby dawne tytuły odżyły w rodzinach, które posiadały majątki bez godności swoich poprzedników; ale chciał, by te godności dostawały się dopiero potomkom tychże, i dlatego syn dopiero księcia Bellamont mógł być napowrót wpisany w złotą księgę arystokracji angielskiej. Pomimo to, Jerzy III z całą swoją stałością przy swoim się nie utrzymał. Los jego zawichrzony, często zmuszał go walczyć z ludźmi równie jak i on stąlemi; a sam nawet Benjamin Franklin nie był bardziej uparty od hrabiego Bellamont. W tym czasie gwałtów, zmian, przestraszów, silna wola kierowana przez umysł jasny i spokojny, dopiąć swego musiała; tak się też stało. Mimo oporu króla, szlachcic wiejski, którego pierwotne imię poszło w niepamięć, został na początku bieżącego stulecia księciem Bellamont, margrabią Montecute, hrabią Bellamont d'Acre i Villeroy, z wszystkimi baronijami Plantagenetów w dodatku. Jedyłą zemstą króla było oświadczenie, iż go nigdy orderem Podwiązki nie ozdobi; może dlatego, żeby zostawić przecie i synowi coś do życzenia.

Księżę i księżna Bellamont byli najpiękniejszym małżeństwem w całej Anglii i bardzo się kochali; ale mieli tylko jednego potomka: szczęściem, byłto syn. Synatego margrabię Montecute ożeniono zanim doszedł do pełnoletności. Niebyło chwili do stracenia; chcieli jeszcze za życia doczekać się dalszych spadkobierców tych wszystkich zaszczytów. To małżeństwo nie było szczęśliwe; jednakże stary księżę doczekał się wnuka przed śmiercią. Jego następca nie miał najmniejszego z nim podobieństwa, chyba z pięknosci, która stała się niejako nieodłączną cechą téj rodziny. Urodził się nie do pracy, ale do użycia; oddał się rozpuście i stracił zdrowie za młodu. Żył jednak dosyć długo, aby zakrwawić na zawsze serce żony, i spaczyć umysł syna, tak jak i on jedynaka.

Terazniejszy księżę Bellamont odziedziczył coś z wysokiego umysłu dziada i z miłego matki usposobienia: bo matka czuwała starannie nad dzieckiem, w którym jedyną pociechę znajdowała,

jedynę życie, zajęcie. Ale w przejściu z dzieciństwa do młodości potrzebnym jest wpływ mężki, a tego właśnie dzisiejszemu księciu nie dostawało. Ojciec zazdrościł synowi, nie lubił go, bo nadto wcześnie został ojcem; jeszcze sam w kwiecie wieku patrzył z niechęcią na tego, co mu przypominał młodszą i piękniejszą latą, co mu był niejako rywalem. Syn miał charakter łagodny i kochający; wdychał za miłością surowego i nieledwie nienawidzącego go ojca: lecz nie miał téj namiętnej duszy, coby koniecznie w dawcy życia, wywołała sympatyą. Z natury i wychowania nadzwyczaj nieśmiały, choć wielkiej odwagi fizycznej, bladł i rumienił się naprzemian w rzadkich chwilach spędzonych z ojcem. Drżał w milczeniu przed jego sarkazmami, i często znosił niesłuszne oskarżenia, nie próbując nawet uniewinnić się; a potem samotny w łzach żalu i oburzenia, przeklinał brak energii i namiętności, przez które znowu opuścił sposobność postawienia siebie w szczęśliwszym położeniu.

W młodocianym wieku, Montecute matkę postradał i to miarę jego cierpień dopełniło. Ojciec nie dzielił jego smutku, nie starał się go zmniejszyć; przeciwnie, zdawało się, że co dzień więcej lubił go dręczyć. Chciał przeszkodzić mu do wejścia w świat i dokazał tego, nie dając przyzwoitego utrzymania; nie pozwolił mu nigdy podróżować, i postanowił przytłumić jego umysł ciągłym na wsi pobytom. Inny na jego miejscu byłby łatwo przeszkody te usunął, przez wexle, pożyczając na lichwę; byłby ojcu wypowiedział wojnę, prześcignął jego konie w New-Market, i wybrany przez swoje włości, byłby przeciwko niemu głosował. Ale Montecute nie należał do bohaterów wstawiających się podobnymi czynami; tak był bogobośnie wychowany, że nigdy nie przestąpił czwartego przykazania, które każe rodziców szanować, i nigdy nie zapomniał, że jest Montecutem, choć nie pamiętał równie jak drudzy, że dziad jego kiedyś inne nosił nazwisko. Głęboko przejęty tém, że był jedynym potomkiem tak słynnej rodziny, która tak piękną kartę zajmowała w dziejach, byłby wolał raczej śmierć ponieść, niż skalać czémkolwiek wstawione i odwieczne nazwisko.

Bez przyjaciela, prawie bez znajomego, serce Montecuta oddało się miłości. Wzbudziła ją kuzynka, synowica jego matki, córka angielskiego para, który zamieszkiwał północną Irlandyą, gdzie wielkie włości posiadał. Był to purytańska rodzina, niezdolna rozerwać jego melancholii; lecz lady Katarzyna była

piękną, a wszyscy byli bardzo uprzejmi dla młodego Bellamont, którego dusza osamotniona, tak potrzebowała sympatii i współczucia.

Montecute prosił ojca o pozwolenie zaślubienia kuzynki; lecz ten odmówił, ponieważ nie cierpiał familii żony i nie pragnął wcale ożenić syna. Chciał sam rozkrzewić swoją rodzinę, i mimo rozwiązłego życia, o powtórnych związkach zamyślał.

W tym stanie, zamierzał już stawić opór. Podlegany najsilniejszą namiętnością, chciał się żenić mimo woli ojca i żyć gdzieś w chatce w Irlandyi nad brzegiem jeziora, gdy doszła wiadomość o nagłej a niespodzianej śmierci księcia Bellamont, którego silna budowa zdawała się dłuższy wiek zapowiadać.

Niespodziana śmierć ojca, rozwinęła i zmieniła poniekąd charakter syna. W smutnie spędzonej młodości, nabrał niektórych wyobrażeń nie opuszczających go nigdy; i tak: matka była dla niego ideałem doskonałości kobiecój, i pokochał kuzynkę jedynie dlatego, że do niej była podobną. Według jego zdania, związek pomiędzy ojcem a synem powinien być ścieśniony wzajemnym zaufaniem, oraz pobłaznieniem ze strony ojca; zamierzył więc, jeśli kiedy Opatrzność dozwoli mu mieć dzieci, poświęcić im wszystkie swoje myśli i uczucia. Różne okoliczności utwierdziły go w mniemaniu, że życie światowe, *fashionable*, jest mieszaniną lekkomyślności, fałszu i zepsucia; do tego skłoniony był mimo wiedzy niesmiałością i przykrém uczuciem niedoświadczenia, bo patrzył przed siebie w świat z niechęcią i równą bojaźnią. Do polityki, w zwyczajnym znaczeniu tego wyrazu, czuł równy wstręt. Miał wzniósłe wyobrażenie o powinnościach względem króla i kraju, i czuł w sobie energią do wielkich poświęceń; lecz gdy odziedziczył tytuły i zaszczyty po ojcu, była chwila ogólnej ciszy i pokoju. Żadne nie groziło niebezpieczeństwo, do żadnego więc nie przyłączył się stronnictwa i niczego nie żądał; nie zapragnął nawet niebieskiej wstęgi, którą i tak wkrótce ozdobiony został.

Oprócz uczuć rodzinnych, oddany był cały powinnościom właściciela ziemskiego. Zajęcia te były dla niego równie miłe, jak użyteczne; lubił wieś i sielskie życie. Zwykła nawet pozorna obojętność i zimne obejście opuszczały go, gdy bawił w własnym zamku, otoczony kochającemi go sąsiadami i dzierżawcami. Lubił gromadzić około siebie obywateli hrabstwa; hrabstwo było jego pierwszą myślą, upiększał je, pysznił się swoim hrabstwem, w którym rządził prawie samowładnie; wprowadzić nie tak jeszcze jako pan

rozległych posiadłości, ale przewagą swego łagodnego i silnego razem charakteru, który mu wszystkich zjednywał. Naglęm okoliczności rządzeniem, on, którego młodość tak ponuro i w ukryciu upłynęła, ujrzał się nagle panem ogromnego majątku, powołanym do życia gwarne go pałaców. Nie uląkł się tego, i potrafił zadość uczynić wszystkim wymaganiom swego stanu. Ta, którą w dniach próby obrał za towarzyszkę życia, kobieta niepospolitego umysłu i serca, we wszystkim wspierała i podzielała życzenia i upodobania męża.

Piękna Katarzyna, księżna Bellamont, mała, delikatna, miała w twarzy wyraz dobroci i nieopisanego wdzięku. Gęste ciemne włosy i wielkie błękitne oczy, czyniły ją podobną do dryady. W czole tylko, które zdradzało wyższy umysł, i w ustach, znać było nieprzepartą wolą. Wychowana w szczupłym, rodzinnym kole, gdzie o wszystkim miano niezmiennie zdania, wyrokowała nieodwołalnie o tém, co było prawdziwem w wierze, słusznem w postępowaniu i dobrém w ułożeniu. Wcześniej nabrała decydującego tonu, gdy tymczasem jęj pilny umysł, starał się przejąć autorami, którzy jednakże z nią mieli zdania. Była ona głęboko w przedmiotach religijnych uczona; w dysputach teologicznych zawstydzita by S. Omera z Mainooth. Chillingworth leżał w jęj buduarze na stoliku. Czując znaczenie swego położenia, znała także jego obowiązki, i nie usuwała się nigdy przed najprzykrzejszą nieraz powinnością. Pokazuje się z tego, że książę choć w wielu rzeczach był pod wpływem żony, nie znalazł w niej przeszkody w urzędzeniu stosunków i kierunku swego życia. Księżna, równie jak jęj mąż, odsunęła się z dumną bojaźnią od eleganckiego świata, któryby ją niezawodnie z otwartemi przyjął rękoma. Większą zatem część roku księstwo Bellamont przepędzali w swoim odległym hrabstwie, wśród wiejskich zajęć i zabaw. Gdy książę na czele obywateli zajmował się interesami hrabstwa i wyścigami, za któremi przepadał, żona jego dobroczynna z natury, zakładała szkoły, wspierała kościoły, przyjmowała sąsiadów, czytała, i urządziła ogrody, które namiętnie lubiła. Po Wielkiójnocy, gdy otwarcie parlamentu przywoływało księcia do miasta, otwierały się bramy wielkiego ich pałacu w Londynie, i tym tylko sposobem dowiadywał się świat stolicy, że księstwo przybyli z pałacu Montecute do pałacu Bellamont. Podczas pobytu w Londynie, skracając go jednak zwykle o ile możności, dawali wprawdzie wielkie obiady, ale tylko dla rodziny i obywateli hrabstwa, znajdując

cych się w mieście. Co rok także wyprawiali ogromny bankiet dla członków królewskiej rodziny; nareszcie regularnie raz do roku księżstwo Bellamont mieli zaszczyt obiadować u dworu. Jednym słowem, wyjąwszy czasem na dworskim balu lub koncercie, nigdzie ich nie widywano. Wielkie panie stolicy, jakoto lady St. Julien i margrabina Deloraine, zawsze im przysyłały zaproszenia, które zawsze grzecznie odmawiane bywały. Mimo to jednak, Bellamontci utrzymywali etykietałne stosunki z kilkoma znakomitszemi rodzinami w kraju; ale w tak zwanym elegancko-wielkim świecie, w świecie co mieszka w Saint James Street i w Pall-mall, co wygląda przez okna klubów i patrzy na ród ludzki jak Lukrecyusz z filozoficznej wieży; w świecie Grzegorza i Jemmy-sa, w świecie Milfordów, Fitzheronów, Bernersów i Egertonów, księżstwo Bellamont byli zupełnie nieznani. Wszystko, co ludzie światowi o nich wiedzieli, ograniczało się na tém, że słyszano o istnieniu znakomitego pana nazwiskiem Bellamont, że znajduje się w Londynie wielki pałac noszący podobneż miano, że tenże par posiada na wsi drugi pałac, piękny jak ósmy cud świata, że się mianuje księciem, i że ma śliczną księżną za małżonkę. Para jednakże tego wraz z jego żoną spotkać nigdzie nie można: ani na balach, ani na wieczorach, ani nawet na tańczących podwieczorkach i wieczornych śniadaniach; jasnym więc było jak słońce, że Bellamontci jakkolwiek wielcy panowie, nie należą do towarzystwa.

Dziwnym zrzędzeniem losu, rozkrzewienie domu Bellamontów zawsze na jednej spoczywało istocie. Księżę Bellamont, równie jak jego dziad i ojciec, miał tylko jednego syna. Od chwili urodzenia dziecka tego, całe życie rodziców spłynęło w jeden ten cel i jedyny żywioł; i nigdy nie było około ludzkiej istoty tyle starania, ile około Tankreda de Montecute. Pierwiastkowe wychowanie odebrał w domu. Umieszczono go wprawdzie w Eton, i otoczono wiernemi sługami i osobnym guwernerem, którego pilność zawstydzilaby nawet ministra policyi; ale nagle objawiła się w naukowym zakładzie szkarlatyna, i czém prędzej wyrwano Tankreda z tak strasznego niebezpieczeństwa, i od téj chwili pozostał w domu na zawsze. Gdy doszedł lat ośmnastu, wszedł do Christ-Church, a rodzice nie chcąc go oddalić od siebie, najęli lokal w bliskości uniwersytetu, by ciągle syna widywać.

Rozdział III.

— Widziałem właśnie Eksdala—mówił p. Cassilis do Wite-
sa, idącego do księcia Bellamont—Wielkie tam zamieszanie: syn
dochodzi do pełnoletności. Ciekawym, co to za stworzenie, nikt
nie o nim nie słyszał.

— Jaki też może być jego dochód?—zapytał p. Ornsby.

— Mówią, że bardzo wielki—odpowiedział lord Fitzheron.

— O! co to, to niezawodnie—rzekł lord Milford—ale nie
o nim nie wiedzą—dodał po chwili.—Nie grywa, nie bywa w New-
Market, ani nigdzie, o ile sobie mogę przypomnieć.

— Jest on moim dalekim krewnym—rzekł lord Valentine,
i proszono nas wszystkich na uroczystość dojścia do pełnoletno-
ści młodego Montecuta.

— Nie mógłbyś nam powiedzieć, co to za stworzenie ten
Montecute?

— Nie widziałem go nigdy—rzekł lord Valentine;—lecz wiem,
że roku przeszłego księżna mówiła mojej matce, że młody Tan-
kred najlepsze dziecko, i że aż do téj chwili w niczem nie dał jój
najmniejszego powodu do zmartwienia.

Tu wszyscy się roześmieli.

— Nie wątpię, że później nagrodzi sobie czas stracony,—rzekł
p. Ornsby poważnie.

— Nikt też zwykle nie potrafi tak dokazywać, jak mamine
pieszczoszki—dodał lord Milford—Powinieneś go do nas oddać na
dalszą praktykę.

— Jeżeli tam będę—odpowiedział lord Valentine—to go
i namówię.

— Dlaczegożto, jeżeli?—rzekł pan Cassilis—Ciekawy był-
bym widzieć owe całe woły pieczone, nareszcie całą tę wiejską
uroczystość.

— Ja sędzę jednak, że ten stary Bellamont musi być zły
człowiek—dorzucił lord Milford.

— Przeciwnie, mówią, że to dobre stworzenie; ale nie o nim
w szczególności powiedzieć niemogę: nigdzie go nie widuję—cią-
gnął dalej lord Valentine.

— Sprowadzili Leandra do zamku Montecute—rzekł pan
Cassilis.—Nie mieć w całym hrabstwie kucharza, to się nie godzi.
Mówią, że Eksdale będzie kuchnią zarządzał: przynajmniej wy-
kwintnych potraw nie zbraknie.

— Nigdzie nie spotkałem tych Bellamontów—rzekł lord Milford zamyślony.—Czy oni nie mają córki?

— Nie mają.

— Gdyby oprócz tego syna była choć jedna córka, znaleźliby jeszcze pewno sposób wyposażyć ją bogato.

— Niezawodnie, tak jak lady Blance Biekerstaff, której rodzice dają 100,000 funtów.

— Doprawdy?—zawołał lord Valentine,—a to przytém ładna dziewczyna.

— Mylisz się Fitzheronie—rzekł lord Milford—nie będzie miała sto tysięcy, ale tylko pięćdziesiąt.

— W takim razie mam zawsze zwyczaj połowę odcinać—dodał p. Ornsby.

— A więc ty Ornsby, masz tylko dwadzieścia tysięcy dochodu, chociaż świat mówi o czterdziestu,— rzekł śmiejąc się lord Milford.

— Trzeba jak można nadrabiać—odpowiedział Ornsby z żartobliwą pokorą—bo z takimi magnatami jak nasi Bellamont, my biedacy równać się nie możemy.

— Powiedz szczerze Ornsby, przyznaj się, wiele masz dochodu?—zagadnął lord Milford.

— Wy młodzi—odrzekł potrząsając głową Ornsby—myślicie tylko o pieniądzach, zamiast wznieść się wyżej.

— Co téż ten Montecute będzie za rok myślał o te czasy?—spytał Fitzheron.

— To pewna, że wiele osób o nim będzie myśleć,—rzekł Cassilis—Strzeżcie się panowie nowego rywala!

— Przynajmniej nie ja—wykrzyknął Milford—ja tylko poluje na majątek, a on o to dbać nie powinien.

— A ja się żenię z miłości—dodał śmiejąc się Valentine—to się także pewnie nie spotkamy.

— Nic nie znaczy; jeżeli on nie zechce szukać bogatych dziewczeczek, to one go szukać będą—rzekł Ornsby.—Widziałem wiele podobnych wypadków: np. Baumanoir, on jak Valentine chciałby się żenić z miłości, ale cóż, kiedy te bogate dziewczeczki nie dają mu spokoju, i choć raz odepchnie pokusę, to za drugą razą może ulegnie.

— To bardzo niemoralnie i nieszlachetnie—dodał lord Milford—żeby człowiek już i tak sam z siebie bogaty, żenił się wyłącznie dla interesu lub spekulacyi.

Rozdział IV.

Książę Bellamont siedział w swoim pokoju z piórem w ręku, i spoglądał wesolym wzrokiem na żonę, która stojąc z ręką wspartą na jego ramieniu, w drugiej ręce trzymała chustkę, podnosząc ją często do oczu i zwilżając ją łzami widocznej radości.

— To zawiele—rzekła księżna.

— A do tego w sposób tak grzeczny—dodał książę.

— Jabym nic o tém naszym dziecku teraz nie mówiła; on tak zajęty.

— Masz słuszość, Kate, zatrzymam się aż po ucztach; wyobrażam sobie zawczasu jego radość.

— Mój drogi Jerzy, ja czasem myślę, żeśmy zanadto szczęśliwi.

— Nie jesteś jeszcze i w połowie tak szczęśliwą, jakęś na to zasłużyła—odrzekł mąż z czulością i kończył dalej odpowiedź na list pana Hungerford, jednego z członków parlamentu z tegoż hrabstwa, którymto listem uwiadamił księcia, że teraz, gdy młody lord Tankred doszedł do lat, pragnąc już oddawna usunąć się od publicznego życia, czekał tylko na tę okoliczność, by ustąpić mu swego miejsca. Kończył temi słowy: „...Przyjąłem udział w parlamencie mimomój woli, tylko na silne Waszój Księżęcej Mości naleganie; lecz teraz, według mego zdania, najlepszym reprezentantem hrabstwa jest margrabia de Montecute, szczególnież w tym czasie, gdy tak silnie daje się czuć potrzeba młodości i energii”.

— Jaka uprzejmość ze strony Hungerforda—rzekła księżna—Widzisz Jerzy, byłeś dla niego zawsze tak grzeczny i oto nagroda.

— Przyznaję, że niczém nie mógł mnie więcej ucieszyć. Zgadza się z nim, że lord Montecute jest najwłaściwszym reprezentantem hrabstwa, i pewno każdy na miejscu Hungerforda, tak samo postąpiłby.

— Jednakże zawszeto bardzo uprzejmie z jego strony.

— I pokażemy mu, że umiemy tę grzeczność i przychylność ocenić—dodała księżna—Obaczą Hungerfordy, przybywszy tu we środek, że są u swoich najlepszych przyjaciół.

— Moja w tém głowa, Kate, ale oto masz list od twego brata. Donosi w nim, że jutro wszyscy tu przyjadą; jednego tylko Eksdala niespodziewany interes do wtorku zatrzymał.

— Jakże się cieszę, że brat jutro przyjedzie. Takbym pragnęła, żeby się Tankred poznał z młodą Kate, zanim zjadą wszyscy sproszeni goście. Prawie pewna jestem, że ją odrazu pokocha; pokrewieństwo nie może tu żadnej stanowić przeszkody: wszak i my spokrewnieni ze sobą, a stosunek ten miłości naszej nie osłabił.

— Jeśli tak do ciebie podobna, jak ty do swojej ciotki...— rzekł książę patrząc na żonę.

— Jest moim żywym obrazem, wedle Henryetty opisu, nie tylko z twarzy, ale i z usposobienia.

— Kiedy tak, to szczęście syna naszego zapewnione.

— Dojdzie do lat, wejdzie do parlamentu i ożeni się; wszystko jednego roku. Jakże powinniśmy dziękować Bogu za rok tak szczęśliwy!

— Ależ to wszystko ma dopiero nastąpić—dodał książę z uśmiechem.

— I w Bogu też nadzieja, że nastąpi—rzekła księżna.

— Nie będę naglił małżeństwa.

— Pewno, że nie; najwcześniej chciałabym, żeby ono nastąpiło w jesieni, w rocznicę ślubu naszego.

Rozdział V.

Słońce jasno przyświecało; zewsząd przeglądały tryumfalne bramy, domy strojne w kwiaty i gałęzie, chorągwie powiewały na wieżach, a dzwony brzmiały tak głośno, że zaledwie dosłyszeć było można głosu swego sąsiada. Do ogólnego gwaru mieszały się liczne wystrzały i dźwięki z różnych stron, dochodzącej muzyki. Wieśniacy przybywali gromadnie: jedni pieszo, drudzy konno, inni na wozach. Milicyanci księcia czwałowali po ulicach w świątecznych mundurach, zielonych ze srebrem, z powieśnięciem czarnym piórem, i z brzęczącym pałaszem u boku, roznosząc na różne miejsca pańskie rozkazy.

Przed świetnym dniem, którego ranek ten był poprzednikiem, bardzo wiele znakomitych gości zjechało do pałacu. Naprzód brat księżnej z żoną i piękną córką, lady Katarzyną, której losem mimo jej wiedzy już rozrzuciła rodzina, przeznaczając ją na trzecią z rzędu Katarzynę Bellamont, z téjże samój pochodzącej familii.

Następnego dnia przyjechał lord Eksdale, najbliższy krewny i sąsiad księcia, i wywierający mimo może swój wiedzy wielki i stanowczy wpływ na Bellamontów. Był on jedynym człowiekiem

światowym, którego znali, i nigdy nic ważniejszego nie przedsięwzięli bez zasięgnięcia poprzednio jego rady. Za jegoto wpływem Tankred oddany był do Eton, a następnie był umieszczony w Christ-Church. Stary książę żeniąc się prosił go na świadka, mianował go eksekutorem testamentu i opiekunem syna po swojej śmierci; i choć wielka zachodziła różnica w ich sposobie życia, znali się i lubili nawzajem od dzieciństwa. Od czasu zaś jak lord Eksdale został sąsiadem księcia, był jego najbliższym przyjacielem i doradcą.

Książę miał w nim zaufanie nieograniczone i uwielbiał jego znajomość ludzi i świata. Był także w wielkich łaskach u samej księżnej, choć ta w niektórych rzeczach lękała się nieco jego lekomyślności. Ale lord Eksdale znał doskonale kobiety i umiał zarówno podobać się nietylko aktorce francuzkiej, ale i angielskiej księżnie. Gdy lord Eksdale znajdował się na wsi, odbierał często z Montecute ogromne i długie listy, napełnione różnymi zawilemi sprawami i kwestyami, w których rady jego zasięganono; ponieważ jednak nie cierpiał odpisywać, odpowiadał zwykle, że sam przybędzie na miejsce, i obszerniej o rzeczy pomówi. W istocie zabawnym był widok, gdy lord Eksdale z powagą tureckiego baszy, stojąc przy kominku z rękoma w kieszeniach, słuchał opowiadań księcia i księżnej w jakim ważnym, według nich, kłopotcie. Poważne i spokojne przedstawienie księcia przerywane było najczęściej żywymi i stanowczymi wykrzyknikami księżnej, a wyrok lorda zwykle spartańskiej krótkości, rozwiązywał stanowczo każdą wątpliwość. We wszystkich podobnych zdarzeniach, lord Eksdale, który przecież oceniał ich wysokie cnoty i zasługi, uważał kuzynów swoich za dwoje dzieci, i z nimi jak z dziećmi postępował.

Po nim przyjechał lord Valentine z rodzicami i z siostrą, lady Florentyną, sławnie konno jeżdżącą. Hrabina, jego matka, będąca niegdyś piękną i wyrocznią, a dziś tylko wyrocznią na mocy tego, że kiedyś była piękną; jako najmodniejsza z całego zgromadzenia dama, prawie nikogo nieznała, choć wiele było osób równych jej, a nawet wyższych położeniem. W towarzystwie rozmawiając ciągle z poblazliwym uśmiechem sam na sam z mężem, uzałala się na nudy, ciesząc się jedynie z obecności lorda Eksdale, gdyż z nim tylko mogła mówić. Nie zajmowało ją towarzystwo księcia i księżnej Clardonald, gdyż jak mówiła mężowi, oni nie umieją po angielsku, a ona po szkoeku; ani stary ksiądz re-

ktor bez zębów, który chrzcil potomka Bellamontów, a teraz obecnym był przy wyświęceniu się jego (że tak powiem) na człowieka; ani margrabstwo Hampshire, gdyż margrabia całe życie poświęcał się naukom i książkom, i cały zajęty był naukowym zakładem w sąsiedniem mieście, a margrabina zaś ciągle była chora i tylko o swojej myślała chorobie. Co rok wierzyła w jakieś nowe, cudowne lekarstwo, które jej miało niezawodnie przywrócić zdrowie; lecz zawsze spodziewany cud spełził na niczem. Teraz mówiła tylko o zimnej wodzie, i mając rozpocząć tę kuracyą zaraz po powrocie z Montecute, mocno żałowała tych wszystkich, co w mekrych przescieradłach nie sypiali. Obywatele hrabstwa z swojemi żonami i córkami: Hungerfordy, Ildertony, sir Russell Malpas, a nawet lord Hull par Irlandyi, mający w Anglii majątek, zaledwie godnemi byli mówić z hrabiną. Lord Hull, kawaler z dwudziestoma tysiącami funtów dochodu nie byłby dla lady Florentyny zastary, gdyby tylko żył w towarzystwie, umiał się znaleźć, ubrać, i zrzucił z siebie cechę odznaczającego go prowincjonalizmu. Bo i cóż znaczy czterdzieści kilka, nawet pięćdziesiąt lat, skoro człowiek obznajmi się z modnymi zwyczajami, a przez wczesne przebywanie w towarzystwie kobiet, nabierze owęj grzeczności i uprzejmości światowej; gdy tymczasem lord Hull, człowiek siwowłosy, z czerwoną twarzą, zaniedbanym ubiorem, podobny do grooma, siedział zwykle nieporuszony i milczący, nawet przy lady Hampshire, która swemi ciągłemi rozmowami i pytaniami, miała talent rozgadać najmniej mówiącego człowieka. Hrabina spoglądała przez lornetkę na lorda Hull z ciekawością i politowaniem, żałując, że tak piękny majątek, że tak piękne imię stracone były dla posiadacza tych naturalnych przymiotów. Gdyby odebrał staranniejsze wychowanie, przepędził parę zim w Paryżu, i choć raz przypadkiem zwiedził jakie niemieckie wody, nie zestarzałby się, nie posiwiiał, i nie roztył tak przedwcześnie. Hrabina więc z braku tylko innych możliwych konkurentów dla lady Florentyny, zmuszona była myśleć o lordzie Hull, gdyż w całym tém towarzystwie nie było ani jednego młodego człowieka znanego w świecie, a młody Tankred nie znał jeszcze i nie przestawał z młodzieżą, do żadnego nawet nie należąc klubu. Co do innych, jakoto: Hungerfordów, Ildertonów, ci wszyscy nie mieli rocznie więcej nad 8,000 funtów dochodu, nie byli zatem nawet godni pomyśleć o lady Florentynie.

Rozdział VI.

W parku znajdowała się ogromna altana, mieszcząca więcej jak 2,000 osób; tam zastawiono obiad mieszczanom z Montecute. Nieopodal wznosiły się różnokolorowe namioty; na każdym powiewała chorągiew z nazwiskiem parafii, której mieszkańcom namiot był przeznaczony. Służba księcia przyjmowała wieśniaków z ich żonami i dziećmi, częstując i naznaczając miejsce u stołu.

W południe cały park przepelniony różnobarwnym tłumem, podobnym był zdala do ożywionego i gwarneho jarmarku; dzieci przyglądały się chciwie sztukom kuglarza, którego kaźden nowy figiel głośnie wywoływał śmiechy: lecz najwięcej ludu cisnęło się ku tarasowi, gdzie w ciągu dnia mieli się ukazać książę i księżna wraz z synem i przyjaciółmi, dla przypatrzenia się igrzyskom.

Te masy ludu oblane słońcem wiosenném, ten gwar, ruch, krzyki i wystrzały, prawdziwie piękny i urozmaïcony przedstawiały obraz.

— To jeszcze nic, w porównaniu z tém, co będzie w nocy—rzekł jeden z lokai księcia do swojej rodziny.—To nic w porównaniu z tém, co będzie w nocy—ciągnął dalej Tomasz.—Będą fajerwerki, korony, gwiazdy, lampy kolorowe, litery 6 stóp wysokie, ognie bengalskie; i jeszcze słyszałem... ale o tém mówić nie należy.

Tu się zatrzymał.

— Cóż takiego? powiedz nam, dochowamy święcie tajemnicy.

— Nie mów lepiej—przerwała matka—w takim jestem zapale, w takiej gorączce, że nie ręczę za siebie, a Tomasz mógłby przez to miejsce w zamku postradać.

— Ale dzieciństwo! Powiedz nam, powiedz, prosimy cię mój Tomasz—wołano zewsząd.

— Mówże, mów Tom, szepnął brat młodszy.

— Dobrze więc—rzekł Tomasz głosem tajemniczym;—będzie ogromny transparent. Mówią, że królowa podobnego nigdy nie widziała; tak będzie jasny, że z kwadrans przynajmniej zanim się oczy przyzwyczają, nie będziemy mogli nań patrzeć. Otóż powiadają, że z otwartego nieba ukáže się na obłoku młody margrabia w swym nowym mundurze.

— Mój Boże!—zawołała matka—znałam go od urodzenia; księżna go sama wykarmiła, co pokazuje, że jest dobrą matką, bo niech sobie co chcą mówią, gdy inna kobieta mlekiem swoim dziecko wykarmi, ma równe do niego prawo, jak i własna matka.

— Matki mleko uczyni go dobrym Anglikiem, i nie wątpię, że margrabia nim będzie—rzekł ojciec.

— Jakżebym go widzieć chciała—dodała jedna z córek.

— I ja także—zawołała druga—A jaki jego mundur piękny być musi!

— Zapewne—rzekła matka—ale choćbyście się ze mnie śmiać mieli, powiem, że zobaczywszy mego Toma w tej nowej liberyi, jużem niczego nie ciekawa.

— Matko, jak też to mówić możecie.

— Ale pewno tłok przy fajerwerkach będzie wielki; trzeba nam zawczasu dobre miejsce znaleźć.

— Już ja o tym myślałem—rzekł Tom tryumfującym tonem—będzie osobne miejsce dla służby; tam was pomieszczę.

— A kiedyż oni wyjdą na taras.

— Jak się doczekają korporacyi miejskiej. Słyszycie—oto wystrzał: jestto znak, że w tej chwili deputacya z merem na czele wychodzi z ratusza. Za trzy kwadransy najdalej, książę, księżna, i młody margrabia, wszyscy będą na tarasie.

* * *

Prawie w téjże samej chwili, gdy armatni wystrzał zwiastował wyjście deputacyi miejskiej z ratusza, ktoś zastukał do drzwi pokoju lorda Eksdale.

— To ty Harris—rzekł lord poznawszy własnego kamerdynera.

— Książę po kilkakroć dowiadywał się o Waszę Wysokość, rzekł pan Harris z miną zakłopotaną.

— Będę tam wkrótce—odpowiedział lord.

— Gdyby pan raczył zejść natychmiast—dodał Harris nieśmiało.

— Dlaczego?

— Pan Leander żądał widzieć Waszę Wysokość.

— Leander?—zawołał lord Eksdale z zajęciem—czego chce?

— Nie widziałem go, ale pan Prevost powiada, że jest obrażony.

— Lecz nieodurzony przynajmniej—rzekł lord nawpół żartobliwie.

Lord Eksdale miał wielką sympatyą do artystów kuchennych; znał on drażliwość, która jest, jak mówią, nieodłączną cechą wszelkiej twórczości, i wiedział, że jeśli Leander czuł się obrażony, nie było z czém żartować. On bowiem sprowadziwszy Leandra, odpowiedzialnym był za wszelkie zajść mogące nieporozumienia. Dlatego lord Eksdale zeszedł do sali służbowej, przekonany o całej ważności swojego wpływu w tym przedmiocie. Kuchnia w Montecute była ogromnych rozmiarów. Dwa wielkie ogniska zapępiały ją blaskiem. W każdym kącie widać było nagromadzone materiały; wszędzie zajęcie bez nieładu. Philipon przyrządzał sosy, Dumoreau układał trusle, Anglik Smith robił kotlety. Pomiedzy temi trzema naczelnikami, podwładni, to jest zwinni kuchciki ciągle się kręcili; niejednen z nich poglądując na swoich mistrzów i mając w sobie przecucie gieniuszu, mówił w duchu jak Corregio. „I ja także będę kucharzem!”

W tym całym tłumie ludzi zatrudnionych, jeden tylko zupełnie był nieczynny, albo raczej własnemi zajęty myślami: był nim ojciec Prevost. Siedział oparty, w rękę machinalnie obracał duży nóż kuchenny; w ogóle znać było w nim wielki upadek ducha. Jednakże brwi jego rozmarszczyły się nieco, gdy ujrzał wchodzącego Harrisa, którego oczekiwał oddawna niecierpliwie, i gdy tenże do lorda Eksdale go zawezwał. Lord przyjął go uprzejmie, zapytując z niespokojnością:

— Cóżto jest panie Prevost? czy ludzie tutejsi nie są dla was dość grzeczni?

Prevost potrząsnął głową.

— Nigdzie nas lepiej nie przyjęto, ale tu chodzi o rzecz daleko gorszą.

— Cóżto być może?

— Leander, mylordzie, przez cały tydzień wymyśla obiady; obiady, o jakich nawet w Napoleońskiej nie słyszano kuchni, a książę nie zdawał się na to najmniejszej zwracać uwagi. Wczoraj chcąc się samego prześcignąć, dał na słów „*des escalopes de laitance de carpes à la Bellamont.*” Za moich czasów nie podobnego nie widziałem. Zapytaj się Dumorau, spytaj mylordzie Philipona; milczący nawet Smith przepuścił przez zaciśnięte zęby wykrzyknik podziwu i uwielbienia. Co do kuchcików, oniemieli z zachwyceńia; a Achilles, ten młody poczynający artysta, o którym mam wielkie nadzieje, szalał prawie z zadziwienia. Gdy wszystko się skończyło, Leander oddalił się do swego pokoju; byłem przy

nim, i otarłem pot z jego czoła. A teraz uwierzysz temu mylordzie, ani słowa podziękii, ani jednego słowa. Cały ranek Leander czekał z resztką nadziei, i nic—nic zupełnie. Jakież on tworzyć może, kiedy go ocenić nie umieją? Gdyby go zrozumiano, byłby może znowu powtórzył swoje *escalopes à la Bellamont*, a kto wie, może.... możeby jeszcze coś wznioślejszego wymyślił. To niesłychana rzecz mylordzie! Lord Monmouth byłby po niego tegoż samego wieczora posłał, lub napisałby z podziękowaniem list prześliczny, list, któryby przechowywano później w jego rodzinie; p. de Sidonia darowałby mu złotą czarę. Takie rzeczy same przez się nic wprawdzie nie znaczą, dowodzą jednak gieniuszowi, że jest dokładnie pojęty i rozumiany. W Napoleońskiej kuchni, dekorowanoby Leandra!

— Gdzież on jest? — spytał lord Eksdale.

— W pokoju kuchmistrza.

— Pójdę i powiem mu słowo.

Wielki, niezrozumiany artysta, siedział samotnie w pokoju kucharza, patrząc bezmyślnie na ogień, który pod jego ręką tyle już wydał arcydzieł. Nie był on jak Prevost schylony pod obojętności ciosem, ale raczej zmęczony po wczorajszych wysileniach ducha. Spojrzał wokoło i gdy ujrzał wchodzącego lorda, powstał i skłonił się z westchnieniem.

— Prevost utrzymuje, że was tu dostatecznie cenić nie umięją — rzekł lord Eksdale.

Leander znowu się skłonił i westchnął.

— Prevost nie pojmuje tego — mówił dalej lord — że nie przybyłeś tu, Leandrze, aby zbierać wieńce chwały od mego kuzyna i gości jego, lecz żeby im smak wykształcić.

Ta myśl wzniosła i szlachetna rzuciła nowy promień światła w skolatany umysł Leandra. Podniósł się, a czoło jego rozjaśnione przekonywało, że Leander w téj chwili, jak każdy wielki człowiek, uczuł, że ma obowiązki do spełnienia, a obowiązkiem jego było kształcenie smaku. Uznał, że przybył do zamku Montecute dlatego, aby niektórym magnatom staréj Anglii, którzy nigdy nie mieli sposobności zjeść dobrego obiadu, dać poznać rozkosze i wykuintność najlepszej kuchni stolicy. Cóż znaczyły pochwały księcia Clardonald, lorda Hampshire, albo lorda Hull dla człowieka, którego lord Monmouth, a nawet i sir Alexander Grant najlepszy może w Europie znawca, uznali za jedynego swego wieku gieniusz? Leander czuł więc, że mylił się żądając, by go oceniono

należycie w Bellamont: byli oni względem niego jak dżicy w galerii obrazów. Mimo to jednak, panowie Clardonald, Hampshire i Hull powrócą do domów przekonani o téj wielkiej prawdzie, że jest różnica między jedzeniem a obiadem: byłożto niczém dla Leandra?

— Gdybym był tobą Leandrze—mówił dalej lord Eksdale—nie upadałbym na duchu.

— Ah! mylordzie, gdyby wszyscy byli do ciebie podobni, gdyby artyści byli pewni, że jest ktoś co ich zrozumie i oceni, obiad byłby ofiarą bogom, a kuchnia byłaby rajem!

* * *

Podczas téj rozmowy, deputowani miasta weszli w bramy pałacu. Na końcu wielkiej galerii, otoczeni krewnymi i sąsiadami, lordami, prałatami i obywatelami hrabstwa: księżę i księżna Bellamont z synem, poprzedzając o kilka kroków gości swoich, przyjmowali powinszowania i życzenia swego wiernego miasta Montecute: miasta, które ich przodkowie wybudowali, ozdabiali, i którego potrzeby często przedstawiali w parlamencie w dawnych i świetniejszych czasach. W mieście tém, każdy dom był do nich duszą i ciałem przywiązany, a każdy mieszkaniec nieraz doznał ich łaski.

Księżę skłonił się deputacyi. Po lewój jego ręce stała żona, a po prawój młodzieniec wysokiego wzrostu, wysmukłej i wdzięcznej postaci. Włosy jego ciemne kręciły się jak na greckich posągach; był bardzo blady, lecz żywość czarnego oka i rumianość ust sprawiały, że bladość nie była chorobliwą. Rysy jego były regularne i delikatne zarazem; możeby się zdawały nawet nadto zniewieściałe, gdyby nie głęboko myślące czoło i wyraz twarzy, zdradzający żelazną wytrwałość i wolę.

Choć więc piérwszy raz występował niejako publicznie i to w położeniu, któreby może zakłopotalo człowieka światowego, panował nad sobą i swojemi uczuciami: zupełnie nie widać w nim było nic wymuszonego; każde jego ruszenie odznaczone było wdzięczną powagą. Lubo nie posiadał żywości i zajęcia, które cechują ludzi jego wieku, nie znać téż było w jego twarzy i spojrzeniu owéj ociążalój obojętności, tak pospolitéj w tym czasie przesilen i ogólnego zwątpienia.

(Dalszy ciąg nastąpi.)



OBRAZKI WIEJSKIE.

I.

KARCZMA.

„Rodzinna strzecho moja! Ty jesteś jak zdrowie.
Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie,
Kto cię utracił.”

Piękno zaiste okolice Sandomierza! Gdzie spojrzysz, wszędzie pola okryte zbożem: tu żółcą się pszenicą, tam bielą dojrzewającym żytem lub jęczmieniem, a żywe łąki, zalegając rozdoły między wzgórzami, krasą swoją zieloną odbijają od fal kołyszącego się zboża, jak wypustka przy mundurze wojaka. Cudny! śliczny to widok! Bo gdy słońce promieniem swoim ozłoci, a wiatr dmuchnie po schyłych kłosach zboża, to nagle cała powierzchnia ziemi, tak daleko, jak tylko okiem zasięgnąć można, zaczyna się ożywiać, poruszać, falować; i batwaniąc się tak cię uludzi, że będziesz sądził, iż stoisz wpośród rozłukanego morza, co chwila wodami swemi chcącego cię zalać. Pomiedzy tak kołyszącymi się zbożami, widać dosyć gęsto rozsypane wioski, które stercząc ku niebu bielącymi się domami, topolami i inną drzewiną, wyglądają jak okręty z rozpuszczonemi żaglami, dającymi zaopatrzyć zamorskich mieszkańców produktami naszej ziemi. To nie nudne okolice Mazowsza, co jedziesz, jedziesz, choćby tydzień cały, a zawsze wszystko jedno, wszystko równo, jak na dłoni. To kawał napół zniszczonego lasu, to zgniłe bagnisko, na którym żadnego żyjącego nie dopatrzysz się stworzenia; gdzieś tam dosyć lichego zboża, lub na uboczu stojący dom mieszkalny; w innym miejscu niby pół lasu, niby pół pastwiska: tutaj kawał wykrudowanego pola, na którym między zasianem prosem bielegają się puie po wyciętym lesie: słowem, pusto, nudno i jednostajnie. Mijasz las, wjedziesz w kawał pola bezludnego; miniesz pole, dojedziesz do bagna i cieszysz się ślicznym zab rechotaniem; wywleciesz się z bagna, widzisz znów zdala las, jak z pokrzywionemi

sosnami czeka twego przybycia: i tak zawsze jedno wkółko. Do-
dajcie do tego jeszcze piasek, udaremniający wszelki pośpiech w po-
dróży, i brak jakiegokolwiek obszerniejszego widoku, bo każdy jaki
się wydarzy, zamknięty jest szczelnie wkółko czerniejącym lasem,
jakby strażą, abyś ciekawego wzroku czasem dalej nie zapuścił—otoż,
wyobraźcie to sobie wszystko razem w połączeniu, a dokładny mieć
będziecie obraz Mazowsza i innych podobnych jemu okolic. Ale ja-
kążto różnica od okolic Sandomierza! Oczy swoje karmisz coraz
nowsze widokami, jakich ci obficie dostarcza każda wyniosłość, ka-
żde wzgórze. Stałeś na pierwszym, a oko nie wie, gdzie granica
dla niego; obracasz się wkółko, wszędzie jakby wielki jeden ogród:
wioski to klomby, pola z różnofarbnym zbożem, poprzerzynane licznymi
drogami, miedzami i granicami, to w oddaleniu jak kwatery i zagony
się przedstawiają. Patrząz coraz dalej, niktą pól podziały, wioski
gęstszymi się być zdają; a dalej i coraz dalej przemieniają się po-
mału w czarną niewyraźną wstęgę, okrytą mgłą i obłokami, aż na-
reszcie wszystko łączy się z niebem, i mimo woli myśl twoją ku
niebu podnosi.

Wjeżdżasz w rozdół, najczęściej drogą wijącą się jak wąż po tra-
wie, między dwiema gliniastymi ścianami, na kilkanaście sążni wyso-
kami, a kilkadziesiąt długimi, i zniknął ci w jednej chwili widok,
jakby na znak rószezki czarodziejskiej. Przed tobą znów nowa wy-
niosłość, a z boków najpiękniejsze łąki, okryte bujną konieczyną, ma-
cierzanką i innym różnobarwnym kwieciami. Jedziesz dalej pod no-
wą górę, widokrąg coraz bardziej zaczyna się rozszerzać: spojrzysz
poza siebie, a dolina cała, którą minąłeś, zdaje ci się, jakby była za-
ślana kobiercem zielonym, utkanym w najdelikatniejszy rysunek. Sta-
nąłeś na szczycie góry, nowy widok, nowe zachwycenie!

Tam daleko, poważna Wisła modrym szlakiem posuwa z wolna
pianiste swoje wody; czasem się skryje pomiędzy domami nad brze-
giem jej rozrzuconych wiosek: to znów wychyli swoje lica, jak mło-
da Sandomierzanka, gdy wygląda z chatki swój okienkiem; i płynie,
płynie coraz wężiej, coraz niewyraźniej, aż wreszcie ginie między
gór rozdolami, łącząc się z horyzontem. Druga strona brzegu zaro-
śnięta świerczyną i jedliną, wygląda jak okryta szeregi wojowni-
ków, co tylko hasła czekają, aby szczykiem oręża i hukiem strzałów
zagłuszyć panującą wkółko ciszę. Z tej strony ruch, życie; z kominów
dym bucha, dając obietnicę posiłku dla uznojonemu pracą wieśniaka,
między wikliną i wierzbą przesuwają się stada bydła i owiec:
z tamtej cichość niczym niezakłócona, tylko przemknie się czasem

cień chmury w powietrzu przelatującej, lub poświst wiatru między drzew gałęziami.—Cudna, śliczna okolica! A jacyto ludzie zalegli tę ziemię? Nie bez błędów, to prawda, bo przestaliby być ludźmi; ale z cudotami tak pięknymi, z taką gościnnością staropolską, że jak raz chociaż chwilę pożyjesz między niemi, to ci później wszędzie będzie nudno, i mimo woli myśl twoja zabłąka się nieraz między wzgórzami i rozdoly pięknej, cudnej okolicy Sandomierza! A Sandomierzanki, a ich krasne lica! Czyto w dworach szlacheckich, czy pod strzechą wieśniaczą, jakizto urok wkoło siebie rozpościerają! Rzekłbyś niedłwie, że każda czarami cię osnuwa, gdy w jój modrém lub czar-ném oku przeglądasz się jak w zwierciadle.

W tychto stronach w jednej z wiosek, rozłożonej na niewielkiem wzgórzu, przeglądającej się w ładnej sadzawce, okoloniej bujnymi łąkami, w przeciwniej zaś stronie wyciągającej szereg domów i stodoł, jakby ręce ku pięknej równiej niwie, okrytej żółtą pszenicą; w dzień niedzielny, w miesiącu czerwcu, garstka wieśniacza stojąc przed karczmą, toczyła dosyć krzykliwe między sobą rozprawy, a małe dzieciaki w samych tylko długich koszulach, opasanych krajkami, boso, z gołemi głowami, w figlach, w skokach przebiegały ze śmiechem pomiędzy rozprawiającą gromadą, kryjąc się w faldach spodni lub kapot swoich matek i ojców.

Słońce chyliło się już ku zachodowi. Zdaleka dochodził ryk bydła wolno kroczącego z powrotem do domów, wieś rozlegała się wołaniem gospodyń na drób' i trzodę, a cień od drzew i budynków stawał się coraz dłuższym, coraz ciemniejszym, w miarę zniżania się gwiazdy dzienniej. Z karczmy tymczasem wychodził odgłos skrzypców baselli, a wesole okrzyki: hop!—hop!—hu!—ha!—regularne taktowe tupanie nóg tańczących, jakby werbel dobosza na apel zwołujący, pokazywały, że tam o niczém inném nie myślano, tylko o zabawie i wesolości. I tak téż było w rzeczy samiej: bo to niedziela, a Sandomierzak cały tydzień pracując, rad wieczór świąteczny poświęcać ochocie. Pobawi się, pochula, czasem dobrze wyczubi, i z okiem podbitém, z czupryną wydartą, lub dobrze zbitemi bokami, na drugi dzień w stodole tego wywija cepami, i czeka święta, aby z nasypką oddać odebrane przedtém szturchańce. Wejście do karczmy całe było zapchane przypatrującym się ludem. Młodzież podrastająca, lękając się bosych swych nóg narażać na podkówki tańczących parobków, pobrawszy się za ręce w sieni wywijała wkoło, naśladując tańce starszych; nieraz nastraszona na niepewnych nogach wychodzącym z karczmy chłopem, rozpierzchała się jak stadko prze-

piórek, kryjąc się za drzwi i komin; ale jak tylko zniknęła przeszkoda, natychmiast powracała do swojej hasanki, podrzyzniając ze śmiesznomi gestami cienkim głosem słyszane pokrzyki: hu—ha!—hop—hop!

W karczmie wprost drzwi, za małemi jakby sztachetkami, siedziała sama szynkarka, już niemłoda kobieta; obok miała baryłkę wódki z mosiężnym do nalewania kurkiem, i niezłą kolekcją półkwaterek, kwaterek i różnej wielkości kieliszków.

Przed tém źródłem pociechy stało kilka grup, złożonych z mężczyzn i kobiet, już dobrze podpitych. Rozmawiali, całowali się, częstując jeden drugiego wódeczką; niektórzy łączyli głosy ze śpiewającą w tańcu młodzieżą, i nieharmonijnym śpiewem powiększali wrzawę, jaka się nad tym tłumem tańczących i pijących unosiła. Wprost szynkarki, pod oknem na stole siedziała muzyka, czyli skrzypek i basettlista. Pot grubemi kroplami spadał im z czoła, a oni grali co tylko im sił starczyło; skrzypek szczególnież nietylko obie ręce zatrudniał grą na skrzypcach, ale nogami, głową, i całym sobą takie robił poruszenia, jakby w tańcu przodował i hołubcem zawodził koło, z utrzymaną przez się dziewczoją. On grał, aż się dusza radowała gdy wyciągał swoje zamaszyste tony, a ze dwanaście par wirując jedna za drugą, z takiem weselem, z taką szczerą radością, z tak ochoczymi ruchami rzuło oberka, że patrząc na nich, choćbyś nie wiem w jakim był smutku, musiałbyś się cieszyć i radować, widząc tyle ludzi prawdziwie się weselących. Wtém jeden z tańczących zatrzymał się przed muzyką, i wszyscy za nim długi sznur par uformowali. Był to parobczak lat dwadzieścia jeden mieć mogący, ciemny blondyn, ubrany zwyczajem sandomierskim tylko w koszuli wyłożonej na spodnie, i opiętej szerokim pasem, suto ustrojonym kółkami i guzikami. Przy nim młoda dziewczucha, jasna blondyna, smagła jak trzcina, z życiem i z zdrowiem, z całą skromnością wieku młodego, ustrojona na białej koszulce zielonym wełnianym gorsetem, z sutą wiązką paciorków i koralu, stała troszkę opodał, ocierając czoło białym fartuszkiem, zpod którego wyglądała takż spódniczka, dokoła obwiedziona prostym hałstem. Matka poprawiała jój kwiaty na głowie, które wetknięte za chustkę białą, w tańcu się rozleciały. Tym parobczakiem jest Antek Wycykał, syn kmiecy, jedynak i przyszły posiadacz całego ojcowskiego majątku. Jestto dziarski chłopak, na którego widok niejedna dziewczucha rumieniąc się oczy w dół spuszczała, i niejedni rodzice ostrzyli zęby, życząc go mieć swoim zięciem: bo urodą, i pracą, i statkiem, był pićrwszy pomiędzy rówiennikami. A jak w karczmie przewodził w tańcu, to tak zamaszysto wywijali, tak podkówkami

ognia krzesali, tak walili hołupce, że cała karczma z oknami i ścianami tak się trzęsła, jakby z radości, że służy za miejsce takiemu weselu. Dziewucha zaś, którą widzimy z nim tańczącą, to szesnastoletnia Małgosia, córka biednej wyrobnicy: oprócz młodości, urody, skromności i chęci do pracy, niczém już więcej Bóg jej nie obdarzył. Wprawdzie to wiele, bardzo wiele; ale pieniądz tak w klasie wyższej, jak i wieśniaczej, to motor szczęścia, spokojności i dobrej sławy między ludźmi. Młoda Małgosia była biedną, mieszkała razem z matką prowadząc życie ciche, spokojne, poświęcone pracy i zabiegom gospodarczym; a rosnąc jak lilia w ogrodzie, odziewała lica coraz świeższym rumieńcem, coraz piękniejszą krasą dojrzewającej dziewczuchy. W dzień powszedni poświęcony robocie, w jednej tylko koszuli, ze skaplerzem na piersi spadającym, i w spódnicy z wełny owiec czarnych, zwanój szore, przepasana czerwoną krajką, kształtną kibicią, zgrabnym ruchem, wesolym, niewinnym uśmiechem, była ozdobą swoich rówieśnic, i niejednej powodem zazdrości. W karczmie do niej się parobcy dobijali, w śpiewie sobótki czczono ją mianem najpiękniejszej, śpiewając, że:

„Ma wianeczek z boży-drzewka,
Najładniejsza we wsi dziewczka”.

Przy żniwie ona przód wodziła; a gdy przyszedł dzień dożynków, gdybyście ją zobaczyli, jak z wieńcem pszennym na głowie, ze śpiewem na ustach postępowała na czele gromady: toby niejednemu z was zakolatało serce, i może nie myślą zmysłową, złożylibyście hold jej wdziękowi. To też wszystkich oczy chętnie się do niej zwracały, a jedne szczególniej dosyć często szukały spojrzenia, które z całą oznaką niewinności, kryło się pod jasne, jakby cyrklem zakreślone rzęsy. Te oczy, byłyto oczy Antka. Niechętnie na to patrzono, że syn kmieci, przyszły kmieć nawet, pómija inne dziewczęta, i urodziwe, i posażne i familiantki, a zwraca oczy do ubogiej córki wyrobnicy; ale on na to nie zważał. Ludzie gadali, radzili, doradzali i odradzali, a on zawsze szukał oczów Małgosi, z nią szedł w pole do roboty, z nią powracał; przy żniwie lub zbiorze siana, on jej pomagał w cięższej robocie lub nawet wyręczał, a w dożynki lub przy jakiej hulance, to takie ładne wynajdywał piosnki, tak cudne przytém wyśpiewywał rzeczy, że aż rozkosz brała słuchać, jak on w piosnce sercem i duszą przemawiał do swojej Małgosi.

A Małgosia?

Czy serce młodej dziewczycy było kiedy nieczułe na podobne zalęcanki? Małgosia milczała i rumieniła się, gdy wzrok Antka, jego

mowa lub piosnka do niej były wymierzone; ale to milczenie, ten rumieniec wiele mówiły, a może wymowniej, niż krocie słów miłosnych ucywilizowanych kochanków.

Otóż ta para dwojga młodych ludzi, smagłych jak topola, krajnych wdziękiem i rumieńcem jak róża świeżo rozkwitła, z całą oznaką na twarzy radości i szczęścia, stanęła w dziarskim obrocie z głośnym tupnięciem przed skrzypkiem, i Antek zawołał: „innego”.

Muzyka grać przestała, a Antek zaczął śpiewać:

„O gdybym to ja był
Słoneczkiem na niebie,
Oh! zawszebym świecił
W okienko do ciebie”.

I klaszcząc w ręce posuwał się tyłem, przeskakując z nogi na nogę przed swoją tanecznicą, a wtorując wesolém: hu, ha! ujął w pół Małgosię, która ze spuszczonei w dół oczami, trzymając się rękoma za spódniczkę, drobnym taktowym krokiem postępowała za swoim tancerzem. Wszyscy poszli za przewodnikiem z powtarzanym okrzykiem: hu, ha! zataczali koło za pierwszą parą, a określiwszy go parę razy, Antek stanął przed skrzypkiem i śpiewał:

„Mam ci ja kóleczek
Parę kopek w pasie,
Kiedy jeden kocha,
To drugiemu zasie”.

I znowu ten sam taniec, te same pokrzyki, i klaskanie radosne w ręce. Wkoło tańczących gromada przypatrujących się stanowiła jakby mur żywy, już ścieśniający, już roztwierający miejsce dla tańca przeznaczone, a między niemi dostrzegłeś i ojców, i matki, jak z dumą i radością przyglądali się tańczącej młodzieży, trzymając to *kami-zełę* (1), czapkę syna lub córki, aby w tańcu nie zawadzały. Antek znów wstrzymał się przed muzyką, pogłaskał grajka po twarzy, wysypał kilka trojaków do skrzypców, a ujęty obiema rękami pod boki, potrząsając głową i przytupując, śpiewał:

„Moja droga Małgoś,
Moje modre oczy,
Gdzie się tylko zwrócisz,
Serce cię me zoczy”.

(1) Tak się zowie ubranie z płótna lnianego lub konopnego, z jednym krojem tak dla mężczyzn, jak dla kobiet. Jestto rodzaj surduta, długiego za kolana, bez kołnierza, bez żadnego zapinania; tylko w pasie spiętego pasem rzemieńnym, lub jak u kobiet i dziewczyn, paskiem czarnym lub krajką czerwoną, albo niebieską.

A Małgosia z bijącym od radości serduszkim, z rozplomienionym licem goniła za Antkiem, który obracając się wkółko, zdała od niej tańczył, jakby wstydził się piosnki, którą przy tylu ludziach swojej Małgosi wygadał. Potem i inni przystępowali do skrzypków, śpiewali piosnki, zmieniali nutę, aż nakoniec grajek zakończył granie, i zmusił weselące się grono do przestania tańca.

Dziewczęta pobiegły do matek, ciotek, sióstr starszych, lub i gospodyń swoich, a każdej było coś poprawić: téj sznurek z paciorkami o mało się nie rozsuł, téj kwiatki z głowy pocięły, innéj chustka się rozwiązała lub gorset rozsnurował, a każda znalazła wsparcie i opiekę, na jakie proste serca ich opiekunek zdobyć się mogły. Parobczaki jedni wybiegli na dwór i pokładłszy się na murawie odpoczywali po nużącym tańcu, inni przysunęli się ku szynkarce, a z kwaterkami wódki i kieliszkami, obracając się wkoło, szukali oczami tych, których chcieli uczęstowić. Między temi był także i Antek. Z flaszka wódki przechodził właśnie przez środek izby do stojącej na boku Małgosi z matką, blisko 60letnią kobietą, nalał pełny kieliszek, skłonił się do samej ziemi obejmując jęj nogi, i powiedział:

— „Daj wam Boże zdrowie!” — wypił duszkiem, i po brzegi nowo napełniony oddał staréj Janowéj, matce Małgosi.

— „Pij z Bogiem, mój Antku” — odpowiedziała Janowa — „A do kogóż ja mam pić?”

„Zaraz, zaczekajcie” — i to powiedziawszy, powiódł okiem po zgromadzeniu, a ujrawszy swoje matkę w drugim końcu izby rozprawiającą, podszedł ku niéj.

— „Matusiu, Matusiu, chodźcie ino”.

— „A po co? — gdzie?”

— „Co się pytacie, chodźcie ino, bo tam z wódką na was czekamy”.

I matka Antka w połowie należąc jeszcze do rozmowy, ciągniona prawie za rękę przez syna, przysunęła się do Janowéj i Małgosi. Chmura nieukontentowania zaraz osiadła na twarzy kmietki, gdy ujrzała nowe to towarzystwo; ale jako znająca przyzwoitość i dyplomatyczne postępowanie, z udaną wesolnością pierwsza przemówiła:

— „No widzicie moja Janowa, gdzie, gdzie, a w karczmie zawsze człek z człkiem spotkać się może”.

— „A jużćie moja Szczepanowa, nigdzie człek czasu nie ma, a do karczmy zawdy się znajdzie. A gdzie wasz?”

— „Moja Janowa, siedzi w doma, siedzi; on-ta nie lubi karczmy. Ale cóż? żeby siedział nadsiedział, to nic nie wysiedzi. Żytko w polu rzadkie, na chleb nawet nie będziewa mieli; owsiny trochę, to konie zjedzą: bo trzeba dać, moje kochaneczki, trzeba dać, to nic nie pomoże, kto chce bydłciem robić”.

W tém miejscu Antek przypomniał o trzymanym przez Janową kieliszku, a ta podniósłszy go trochę do ust:

— „Daj wam Boże zdrowie” — rzekła do Szczepanowej.

— „Pijcie z Bogiem” — odrzekła Szczepanowa — „Tak moja kochana Janusiowa” — ciągnęła dalej — „człowiek pracuje, pracuje, a cała uciecha, jak se wypije kieliszek wódki. Oj! ciężko, ciężko na świecie” — rzekła wdychając — „Zapłać parobka, najemnika, zapłać podatek, dziesięcinę, wyciągi różne, to i cóż człowiekowi zostanie? A pańszczyzna ciężka, wszystko bydłem”. — I westchnęła na te słowa, a odbierając nalany kieliszek od Janowej — „Do kogoż tam mam wypić” — rzekła obracając się wkoło, jakby szukała kogoś znajomego, udając, że nie widzi Małgosi, stojącej cokolwiek opodal ze spuszczeniem w dół oczami.

— „Pijcie do Małgosi, matusiu” — odezwał się Antek.

Lecz Szczepanowa jak gdyby nie słyszała, obracała się ciągle wokoło. Bo téżto była frant baba ta Szczepanowa; całe życie wyrzekała że bieda, gdy tymczasem wiadano, że w skrzynce ma z kilkadziesiąt talarów, a w chléwach widziano i kilka krów tłustych jak splawy, i owiec kilkanaście, i kilka wieprzów paśnych, i stado gęsi jak śnieg białych; a w komorze drągi pozawieszane u belek gięły się pod polciami słoniny, sadel, płótna lnianego i konopnego, futer, i różnych ubrań kościelnych: a skrzynie pełne były chust, bielizny i innych drobiazgów, do ubrania służących. A jednak zawsze narzekała. Gospodyni zawołana, bo po większej części jój to ręka pracą swoją ten dostatek do domu wprowadziła; ale przytém wygadana jak przekupka warszawska, żywa, śmiała, rej w domu wiodąca, nie zlekłaby się, jak to mówią, samego djabła, gdyby jój drogę zastąpił. Stroiła się zawsze suto, i dziś widzimy ją przy całym narzekaniu, ozdobioną koralami parę set złotych wartemi, w dużej chustce białej w kwiaty na głowie, w koszuli cienkiej z haftowanemi naramiennikami czysto płóciennej, i w spódnicy jasno-zielonej wełnianej, ze złotym galonem u dołu. Czasem przeżytym wykształciła tyle rozsądek, że uchodziła we wsi za mądrą: bo ona najlepiej wiedziała jak czém zarządzić, kiedy co kupić lub sprzedać, jak z czego najwięcej wyciągnąć korzyści; a w pożyciu

ze swemi sąsiadami była taka, że jak się na co uwzięła, musiała swego dokazać, choćby nie wiem. jakie zachodziły przeszkody. Wszędzie więc jęj było pełno: żadne swaty, żadne wesele bez nięj się nie obyło. Na chrzcinach czy jako kuma, czy jako gość musiała być pierwsza między wszystkimi, a jak się jęj jakie swatanie nie spodobało, póty chodziła, póty gadała, póty doradzała, aż musiało się tak stać, jak sobie życzyła. Przytém dworka, bo w młodszych latach na piastunkę była wzięta do dworu; i oszczędna aż do skąpstwa, bo prawie nigdy za swego trojaka nie wypila kieliszka wódki, chociaż lubiła czasem podochocić się: zawsze jednak z miarą i za cudzą kieszeń. Nie dziw więc, że przy rządności i takięj oszczędności cieszyła się dobrém mieniem, bo tylko brak tych przymiotów rodzi nędzę między ludem wieśniaczym. Czas, doświadczenie, własne zdolności, obtarcie się za młodu między służbą dworską, zrobiły ją ostrożną w słowach, rozważną w wyrażaniu myśli, i niezawsze to mającą na języku, co głowa pomyślała; słowem, była to dyplomatką w całym znaczeniu tego wyrazu, bo nie sądzicie, aby ten przymiot, czy wada, jak go tam uważacie, miał być wyłącznie klasy ucywilizowanej własnością. Wszystkie wady, wszystkie przymioty mamy wspólne, tylko objaw ich na zewnątrz jest względny do naszego wykształcenia. Za młodu Szczepanowa musiała być ładną, gracką dziewczuchą, bo i dziś jeszcze regularnemi rysami twarzy, zgrabną, chociaż trochę otyłą figurą, odznaczała się między innemi. Gdy była dziewczuchą, lubiła poskakać jak grali, oczu nie spuszczała gdy na nią dworscy spoglądali, i mile słuchała pochwał, jakimi ją zewsząd obsypywano. Jeżeli jednak który śmiałek odważył się w żartach wyjść z granic umiarkowania, to się tak odcięła, tak zgromiła słowem i wzrokiem napastnika, choćby on nie wiem czém był na świecie, że pewno drugi raz nie wzięła go ochota zaczepienia pięknej, lecz hardęj dziewczyny. Wyszędłszy za mąż, za owdowiałego kmiecia, statkiem, pracą, i zabiegami doprowadziła gospodarstwo do dobrego mienia; a na syna swego jedynego, Antoniego, złała całe przywiązanie matki, który i urodą, i ruchem był do nięj podobny. Stary zaś mąż jęj Szczepan, był dobry, pracowity gospodarz, dobry mąż, dobry ojciec i sąsiad, ale zupełnie przez żonę zawojowany, i mimo wiedzy zawsze robiącym to, co ona sobie życzyła. I dziś biédak siedział w domu, gdy żona z kumeczkami wzorki po ludziach w karczmie zbierała; bo trzeba było przyjrzyć w domu i bydła, i trzody, i owiec z paszy powracających, i o wieczerzy pomyśleć, i ko-

niem dać obrok; a któżby tego dojrzał, gdy syn z matką używali przy muzyce ochoty? Więc siedział biedny Szczepan, bo żona wychodząc powiedziała:

— „Ojciec! siedź doma, ja muszę wyjrzyć co Antek w karczmie porabia: bo tam grają, a jemu zaraz przychodzi i to i owo do głowy.” — To był przytyk do Małgosi.

— „Ale moja Kasiu.....”

— „No siedź ojciec, siedź” — rzekła przerywając — „ja zaraz powrócę, bo parobka trzeba na trawę z koniami wyprawić, i ugotować z dziewczką wieszczę” — I nie czekając dalszych uwag swego powolnego męża, mrużąc pod nosem jakby nawiąsem, żeby dziewczka dobytek pozaganiała do chlewów jak z pola wróci, wyruszyła z domu i weszła do karczmy właśnie wtenczas, gdy Antek holupce wybijając, rej wiódł z Małgosią, na czele kilkunastu par tańczących.

Janowa zaś, jestto wdowa po dawnym zagrodniku, biedna, biednie ubrana, w domu biedno, w komorze i oborze jeszcze biedniej, tylko z pracy rąk żyjąca, cicha, spokojna, nieśmiała, cały skarb, całe szczęście, całą nadzieję miała w Małgosi. A dumna jej urodą, gdy spojrzała na inne matki, niemające takich cór nadobnych, to wszystko jej jakoś w oczach powabniało; a bięda, ta okrutna bięda, uciekała gdzieś daleko, opromieniając twarz poradloną wiekiem i zmartwieniami wyrazem szczęścia i wewnętrznego zadowolenia. Bo téżto rzadko znaleźć takiej dziewczoi, jak Małgosi! A Bóg ozdabiając jej ciało takimi wdziękami, ustroił i duszę odpowiednimi przymiotami. Matka téż ją kochała więcej niż siebie, więcej niż życie; sobie wszystkiego odmawiała, aby tylko świeżą wstążkę wpleść w jej jasny warkocz, kupić jej nowy gorset, lub nową chustką ubrać jej głowę. Bo nie pozbawiajmy prostych ludzi przywiązania rodzicielskiego; jeżeli bowiem miłość ta tak widocznie we wszystkich tworach żyjących, począwszy od małej pliszki aż do człowieka wszędzie jest rozlana: dlaczegożby wieśniak z tego uczucia miał być wyłączony? Cywilizacya wprawdzie czulszemi obrazami uczucie to na zewnątrz umie wyrażać; ale czy szczerłość zawsze je ozdabia? Czyż dlatego przywiązanie matki chłopki, ma być mniej silne, mniej zdolne do poświęceń? Nie potępiajcie, nie spottwarzajcie więc, bo serce matki tak pod zgrzebną koszulą, jak pod najcieniszmi koronkami, na widok pierwszego uśmiechu małej dziewczyny, pierwszych kroków nieśmiało stawianych, jedną się napelni radością, jednem szczęściem rozplomieni duszę.

Otóż Szczepanowa, filut kobieta, udając ciągle jakby nie widziała Małgosi i nie słyszała mowy Antka, wodziła oczami po gromadzie karczowniczej. A wtém na progu pokazał się jój lokaj dworski Józef, z fajką przy ustach, i popatrzywszy chwilę, zaczął się przez tłum przedzierać w stronę Szczepanowej i Janowej.

Tymczasem karczma coraz bardziej się wypełniała schodzącym się ludem. Wchodzono, wychodzono, potracano się; pijanśszych żony lub córki wyprowadzały do domu, a śpiew, wrzawa, hałas łącząc się w jeden niesforny akord, wychodził z tłumu wieśniaczego, jak podziemne warczenie wulkanu, zapowiadające wybuch ognia i wylew lawy ognistej. Rozmowy ani na chwilę się nie przerywały.

— „Słuchaj Wojtek” — rzekł śniady, krępy parobczak rozciągając się na murawie przed karczmą, do obok siebie leżącego. — „Słuchaj Wojtek, kup dziś wódki, a na drugą niedzielę to znów ja kupię.”

— „A masz pieniądze?” — odrzekł zagadniony — bo ja ani grosiczka nie mam przy duszy.

— „E! to ci szynkarka skredytuje.”

— „Co ma skredytować! Ani-ta mów jój o tém”.

— „A jednak Małgośćkę miałbyś czém poczęstować, żebyś tylko Antka nie miał na zawadzie.”

— „E! daj mu pokój Walek” — odezwał się trzeci, Tomek. — On chowa pieniądze, żeby miał za co kupić konia i wóz na gospodarstwo, gdy się z Małgosią ożeni”.

I obadwa zaczęli się głośno śmiać. Wojtek tylko nic nie mówił na żarciki swoich towarzyszy.

— „A ty lisi synu” — odezwał się nareszcie Walek — to ty chowasz pieniądze, a nam nie chcesz i kieliszka wódki kupić? Poczekaj, nauczę cię”.

I to mówiąc przewinął się z ziemi na niego, i zaczął niemiłosiernie łechtać. Wojtek wił się jak wąż, ale potrzymany przez Tomka, nie mógł siebie ratować, i tylko śmiejąc się wołał na obydwóch: — Tomek, Walek! czyśta poszaleli? Puśćta, e, puśćta, bo jak podwinę którego.....

— „A widzisz, widzisz” — wołali łechcący — „a kupisz wódki? Nie? Masz!”

— „Kupię, kupię — zawołał nareszcie — „tylko mnie puśćta, bo dalibóg nie wytrzymam”.

I śmiejąc się i poprawiając rozmamane odzienie, wesółta ta trójka w żartach, w figlach, pomaszzerowała wolnym krokiem ku karczmie.

Na uboczy stojących kilku gospodarzy, poważniejszą cośkolwiek toczyło rozmowę. Wszyscy byli ubrani w płóciennych białych kamizelach, i w kapeluszach słomianych na głowach. Widać było z gestów i ruchów, że już nie po jednym kieliszku mieli w głowie. I nie dziwota: gdy tydzień cały przepędziło się w pracy, toć niedzielę trzeba poświęcić spoczynkowi i zabawie. Oni też święcie tego porządku pilnowali, i gdy młodzież hasała, że się cała karczma trzęsła od jej wesółych tanów i pokrzyków, zebrani w gromadkę rozprawiali o tém, co najbliżej ich interes własny dotykało.

— „Kumie” — rzekł poważny wiekiem, wsparty na kij w ołów oprawnym, do młodszego, któremu krucze włosy zpod kapelusza w wijących się puklach na szyję spadały.

— „Kumie, toście widzieli naszego młodego dziedzica; i cóż se miarkujeta?”

— „Widziałem mój kumie; zwyczajnie dzieciuch, i juści jechał do kościoła, ale tegie ma szkapy. Grzeczny jakiś z niego paniczek, bo mi i skłonił się i odpowiedział „na wieki wieków”.

— „To może-ta i dobrze będzie z nim” — odpowiedział starszy, — „żeby go tylko nie popsuli”.

— „Ej mój kumie, oni-ta wszyscy jednacy; jak zaczną dworscy szeptać na uszy, to z barana masz wnet wilka, a chłopu bięda i juści”.

— „Jużto co prawda, to prawda. Panowie-ta jak panowie, najgorsi ci przystawcy i oficyalistowie. Tak rok łąki po brzegach spaśli ekonom z karbowem Grzesiakiem swemi krowami, boście może sami widzieli, jak chłopak zawsze je tam pasał“.....

— „Widziałem, widziałem” — przerwał drugi — „albo raz, albo dwa”.

— „No to widzicie, a jak opiekun panicza przyjechał i gniewał się o szkody, to zajęli moje konie z błonia, czy z innego miejsca, i zaraz mnie opisali, że to moje szkapiny tyle szkody narobiły”.

— „O macie racją mój kumie; taki przystawca jak się uweźmie na człeka, to mu już nic nie poradzi: trzeba uciekać z chudobą”.

— „I oszacowali mój kumie jak im się spodobało, i wytrącili z zarobku. Niech ich Bóg kocha! Nie mam ja między niemi zachowania”.

— „Jużcié-ta Bogiem i prawdą powiedziawszy, są tu między nami, co nie szanują dworskiego. No, ale nie wszyscy; ja-ta dworskiej łąki, dworskiego posiewu, to się boję jak ognia”.

— „No toć wszędzie co szkoda, to szkoda”.

— „Moi sąsiedzi” — odezwał się dotąd milczący Jan Federak zagrodnik — „moi sąsiedzi, żeby tylko tyle dwór miał szkody, co my zrobiewa, toby było fracha; ale rządca, ale ekonom, ale karbowy, to to pamiętają dobrze o sobie, i o każdym co się zna z niemi. Ich krowy kieby cabany powypasane, wieprze to każdy pod nóż, a coto kaczek, gęsi, kur, to aż serce boli, jak się to wszystko żywi ziarnem dworskiem”.

— „Ej! dajcie pokój mój sąsiedzie” — odezwał się siwy gospodarz, z niespokojnością oglądając się — „bo jak kto nas przedstawi przed niemi, to wygryzą nas ze wsi”.

— „Co tam, mój kumie” — rzekł na to z kruczemi włosami — „my i tak u nich oka nie mamy; a jeżeli nasz młody dziedzic dobrze zajrzy we wszystko, to oni-ta nie będą długo w służbie popasać”.

— „Oj prawdę, prawdę! — potwierdzili dwaj drudzy.

— „Jako Szczepanowym koniom, albo wołom, to wszystko wolno” — ciągnął dalej swoje uwagi mówiący — a nasze niechnoby się gdzie pokazały, zaraz zajmują i każą płacić”.

— „Mój kumie, bo też nie każdy ma taką kobietę, jak Szczepanowa; ona dworka, umie-ta z niemi gadać, i pocztę czasem zanieść i wódkę czasem poczęstuje i podchlebi”.

— „A poszedłci-ta Józef lokaj do karczmy” — rzekł Federak — „to pewno się wódką częstują. Oj to baba! Baba mądra jak ksiądz w kościele, a wygadana, kiejby książki czytała”.

Rozmowę tych gospodarzy zagłuszył turkot przejeżdżającej bryczki z uprzężą dobrych parę koni, w której siedziało parę osób.

— „To goście do naszego rządcy” odezwał się Federak, bo-ta u niego chrzciny”.

— „A z kimże się pokumał”? — zapytał się z kruczemi włosami.

— „Mówilić, mój sąsiedzie, że dziedzic nasz z jego matką byli w kumy.”

— „Dziedzic? — odrzekł z zadziwieniem” — No, to teraz i pieczone i warzone będzie lazło do niego.

— „A! gadacie; i teraz nie surowe rzeczy idą. Tak rok nim wykopał kartofle, kazał nać skosić, bo ta się udała kiej las; było-ta tego gnoju, może sto, może więcej fur: to lokaj dworski powiadał, ot ten sam Józef, jakem był po maszynę w Warszawie, że mu opiekun kazał wypłacić tysiąc złotych, że taki niby zabiegliwy”.

— „Oj prawda że zabiegliwy, mój kumie, bo i jagódki i grzyba nie dadzą urwać w lesie, i gałązki wziąć na ogień, jak się w skarbie nie opłaci kwitu”.

— „Ot będzie temu dwa tygodnie, to kobiécie mojej zdarli chustkę w lesie gajowi, co ją napotkali z garnuszkim jagód”.

— „Niech ich-ta Bóg ciężko skarże; jakby to jagoda, albo grzyb potrzebowały jakiego starunku! A co to drzewa marnuje się w lesie, to aż żal patrzeć”.

— „A widzieliście, jakto szlachta z Woli buduje się het naszym drzewem, a czy-ta choć grosz wejdzie za niego do kassy? Ale niech noby tak człowiek, chociaż chojaczka, ot jak ręka ściał; zaraz wezmą siekiere i defraudacyą każą płacić”.

— „Mój kumie. Lis to stary wyjadacz! Jak był sam, to i o dworze, i o sobie pamiętał; ale teraz Chudy jest w większych łaskach u Złotopolskiego (tak się rządca nazywał), więc się zrą jak psy. Chudy robi co chce, a Lis tylko przez szpary patrzy”.

— „Mój kumie ja wam powiem, u nas to jest tak, że kogo chcą postawić na nogach, to go postawią, a kogo chcą zgubić, to go zgubią”.

— „Prawda mój sąsiedzie” — rzekł na to Federak — pamiętacie dobrze żyda tutejszego pachciarza Kuliga, jaki to był chudziaczek; a teraz jak się to puszy w jedwabnych swoich ubraniach”.

— „Dziwniście mój sąsiedzie, albo to każdy tak umie, jak on szachrować? Dostawia zboże do dworu, to napół z pośladem, i zawsze parę złotych drożej, jak na targu. Kupi okowitę we dworze jak jest tania i trzyma ją na dworskim składzie; już mu zaraz przybywa, bo nie wysycha. Ale za to mój sąsiedzie, co to on-ta pocztę (1) nanosi się dla rządcy, ekonoma, toby człek przez cały rok tego nie zjadł”.

— „Niech ich-ta Bóg kocha” rzekł siwy częstując koleją tabaką. — „Co tam moi sąsiedzi, zawsze się oni wszyscy dobrze przed dziedzicem odkażą, chociaż kradną na wyścigi, a chłop nigdy nie ma wiary. Gdyby pańskich uszów doszło wszystko jak my wiemy, toćby musiało być inaczéj; ale cóż, jakby człek poszedł z gadką, to by się wyłgali, wykręcili, wygadali, a człekby musiał chyba z duszą uciekać”.

— „Toćto cała nasza biéda, że u panów to lada parch lepszą ma wiare, jak chłop. Niech ich tam Bóg kocha.” — I zadumali się wszyscy trzej. Bo istotnie mieli nad czém dumać. Oficjalista i każdy dozorca dworski, jest niejako pośredniém ogniwnem, łączącym pana z włościaninem. Kto zna te ogniwa żyjące, kto wniknął w ich

(1) Chłop sandomierski tak nazywa każdy podarunek, zaniciony do dworu lub oficjalisty.

sprawy za okiem pana, ten się nie zadziwi rozmowie włościan, jaką między sobą prowadzili.

Siwy nasz mówca wy dobył znów tabakierkę, i zabierał się do powtórnego częstowania, gdy wrzask, hałas, i przekleństwo wydobywające się z karczmy, zwróciły powszechną uwagę. Niedługo to wszakże trwało, bo chmara chłopów i kobiet wylała się z izby na dwór, jakby wody stawu, gdy przerwą upustowe śluzy, a z pomiędzy tłumu wysunął się lokaj Józef, w podartym surducie, bez czapki, zastawiając się rękoma od pięści chłopskich, które chwilę wznosząc się nad nim, jak grad sypały razy, spadając na głowę i plecy. Na podwórzu już miał miejsce i do obrony i do ucieczki; a że był chłop tęgii, wyrwawszy więc kół z płotu, wymyślaniem i pogroźką wyzywał napastników, których matki, siostry, żony i inne kobiety uspakajały w gniewie, i broniąc dalszej bójki, starały się napowrót sprowadzić do karczmy. Między najbardziej rozszonemmi widać było Antka i Wojtka; koło nich też chmara kobiet stanowiła nieprzebytą zapórę dla bijących się. Ale nim wyjaśnimy powody bitwy, musimy się cofnąć w opowiadaniu. Opuściliśmy Józefa przedzierającego się przez środek karczmy ku Szczepanowej. Otóż z miną buńczuczną, z fajką w ustach, z czapką na bakier, w ciemnym surducie szaraczkowym, robiąc sobie rum łokciami, i odsuwając bez ceremonii zastępujących mu drogę, wzniosłą swoją postacią górował nad wszystkimi, i zdawał się płynąć między tą masą zbitych głów ludzkich. Zaledwie go Szczepanowa ujrzała, zaraz się podsunęła ku niemu, i jako wytresowana dworka, pragnąca dobre utrzymać stosunki z lokajem, prawém uchem pańskim, i zarazem wybawić z nie miłego kłopotu picia wódki do Małgosi, pierwsza zaczęła rozmowę:

— „A i pan Józef zajrzał do naszej karczemki; prosimy, prosimy.“

— „Człowiek sam siedzi w domu“ — rzekł muszcząc się po wąsach i faworytach — „bo pan wyjechał; to i przykrzy się człowiekowi“.

— „No, ja zdrowie pana Józefa“ — odezwała się Szczepanowa.

— „Życzę zdrowia dobrego“ — i przyjął podany sobie kieliszek, który po wypróżnieniu postawił obok kwaterki.

Antek widząc tak pewną nieprzychylność matki dla ładnej Małgosi, która smutna stojąc na boku, nieśmiałym wzrokiem po ludziach wodziła, nalawszy kieliszek wódki podszedł ku biędnej dziewczynie, i po długich namowach i wzdraganiu się, ledwo ją zmusił do przyjęcia podawanego kieliszka. Tymczasem Szczepanowa nie przestawa-

ła utrzymywać rozmowy z Józefem, a lubo ten dopiero od dwóch dni wraz z panem przybył z Warszawy, najpierwszą we wsi poznał Szczepanową, bo téż ona najpierwsza usilnie się o to starała. Wypiwszy wódkę skrzywił się niemiłosiernie, splunął, pociągnął z fajki i powiedział: „Ale téż macie gorzałkę co śmierdzi jak powietrze; niech ją djabli wezmą! — Hej! — szynkarka, dajno tu słodkiej wódki.” — Powiedział to z takim tonem, z takim pańskim gestem, z jakim słyszymy mówiących: „Garson! butelkę szampana.” On wiedział, że nie dostanie czego żądał, ale chciał zrobić wrażenie na zgromadzonym ludzie, chciał wzbudzić dla siebie poszanowanie; zafanfaronował i dobrze mu się udało. Każdy z obok stojących spojrzał na niego, a on muskając wąsy, puszczał kłęby tytoniowego dymu, jakby mało dając baczenia na zwrócenie ogólnej na siebie uwagi. Antek uczęstowałwszy swoją ulubioną, ocierając ręką spocone czoło, wyszedł na dwór odetchnąć świeżem powietrzem. We drzwiach spotkał trzech figlarzy, którzy lachotaniem wymogli na skąpym Wojtku kupno wódki, a powitawszy go wesółym śmiechem, odezwał się Tomek:

— „Chodź Antek, wróc się bracie, napijewa się wódki, bo Wojtek płaci.”

— „Widzisz Antek” — dołożył Walek — „robiewa zmówiny dla Wojtki; chodźwa więc razem, to się razem napijewa.”

— „Zaczekajta ze trzy pacierze” — odpowiedział Antek — „a zaraz wrócę, tylko się wody napiję, bo się ledwo nie spałę, tak mi gorąco.”

I rozeszli się. Wkrótce trójka weszła, stanęła przed szynkarką, i popijając, żartując, gwarząc, wodzili wzrokiem po otaczających.

— „Walek” — rzekł Tomek — „co to za ciarach stoi pod oknem z fajką w pysku?”

— „To lokaj dworski” — odpowiedział zagadniony „widziałem go dzisiaj jak jechał z dziećmi do kościoła”.

— No, no” — rzekł Tomek głową kiwając — „jakaś harda sztuka: miałbym mu ochotę zakręcić gardziela”.

— „Ej głupis, mój bracie, onby tobą świsnął jak snopkiem w stodole”.

— „Co, mnie? — rzekł Tomek obrażony, a obracając się do szynkarki — „dajcie-no kwaterkę wódki”.

I kieliszek przeszedł kolój. Tomek pił, bo był rozgniewany, że wątpiono o jego sile: Walek pił, bo go to nic nie kosztowało, i że nikt za kołnierza nie wyleje: Wojtek zaś pił dlatego, że mu jakoś smutno się robiło, widząc Antka koło Małgosi. Wlepił w nią

wzrok, i śledził oczami każde jęj poruszenie, a wesoly Walek nie zważając i na rozgniewanie Tomka, i na smutek Wojtka, kolejną do każdego z nich przemawiał:

— „Słuchaj Tomek, ta mądra Szczepanowa w tęg wielkięj chustce wygląda jak stara okara (1). Patrzaj, patrzaj, jak się z dworakiem częstują.”

— „Ale tam widzę i Janowa siedzi, i trusiątko Małgosia. Wojtek, Wojtek, czyś ślepy, patrzajno.”

Ale próżno głos wznosił! Tak jeden jak drugi stali jak mruki, zupełnie nie zważając na jego gadatliwość; kieliszek jednak krążył z ręki do ręki, jakby na utopienie nieukontentowania, któremu mimo chęci obadwa ulegali. Szczepanowa stojąc pod oknem z samym tylko Józefem rozprawiała; on kiedyniekiedy pomruknął, ale a to często przyjmował podawany sobie kieliszek. Już lica zajęz niały purpurą, nos okrył się błogą czerwonością, jakby najbliższy świadek polkniętych kieliszków; a nakładając fajkę za fajkę, otaczał się kłębami dymu, jak wieszczka starożytnych, siedząca na trójnogu. Spojrzał po tłumach, a przypominając sobie bachandrye warszawskie, odezwał się do Szczepanowęj:

— „Poszedłbym do tańca, ale to i muzyka Boże zmiłuj się, i dziewczki jakby drągi: ani jednęj nie dopatrzyłem się do ludzi podobnęj”.

— „Ej! co tam gadacie panie Józefie— odrzekła Szczepanowa—muzyka tam jak muzyka, juźcić nie taka jak w Warszawie; ale za to mamy dziewuchy, co warte i Warszawianek. Spojrzycie—no tylko bokiem na Małgośkę”.

I zaraz potęg przeszła do Janowęj.

— „Mój Boże!”—rzekła niby z płaczem:—„żeby mi Bóg był nie zabrał z tego świata mojęj Basi, toby rychtyczek taka była dziewucha, jak wasza. Gładka, gładka wasza Małgośka, każdy na nią pogląda: ot i ten dworak pytał się, a jakim mu powiedziała żeście wyrobnica, to rzekł na to, że musi się o kawał roli wystarać u młodego dziedzica”.

— „Ej moja Szczepusiowa”—rzekła ujęta za serce Janowa taką pochwałą niespodziewaną córki—„dziewuszysko zawsze w pracy, nie w wygodach, ani w dobrym dojadku: to i cóż—ta? zwyczaj-

(1) Wyras pogardliwy, oznaczający uosobienie szpetności, niezgrabności, nieudolności moralnęj, i brzydoty tak ciała, jak duszy.

nie jak Bożkie stworzenie; a co do roli, to jak się w karczmie zaczęło, tak na karczmie się skończy”.

— „Et gadacie jak na mękach, moja Janowa; ja się dosyć dworskich śmieci nawąchała, to ja znam wszystko. Słuchajcie mnie, to dobrze na tém wyjdziecie. Taki dworski jak szepnie jedno, dwa słówka dziedzicowi, to wszystko wyrobi co zechce. A dobrzeby było, moglibyście se kupić jaką jałowczynę, i wnetby Małgosia miała z niéj krowę. Tylko z takiemi dworskiemi trzeba być grzecznie, nie hernie z niemi rozmawiać: bo co dworski, to dworski, a co prosty człowiek, to prosty”.

Janowa mając sobie przedstawioną nadzieję dojścia do krowy dla Małgosi, byłaby w ogień wskoczyła.

I nie dziwmy się: bo krowa dla wiejskiej dziewczuchy, to wiano, to pewność dobrego w przyszłości losu.

— „O! moja Szczepusiowa” — rzekła składając ręce: — a toć ja o nic tak Boga nie proszę, jak tylko, żeby można uciulać na krowinę dla mojej sieroty. Bo póki mnie święta ziemia nosi, to jak można, tak żyjewa; ale jak przyjdzie zamknąć oczy, to gdzie się ta sierota obróci? — sponiewiera się po służbach między ludźmi”. — I to mówiąc otarła nieklamane łzy, które jak groch spływać zaczęły po zoranéj wiekiem twarzy.

— „Pan Bóg, moja Janowa, zawsze pamięta o sierotach! Ale dajcie — ta pokój; z nowym dziedzicem, to nowe pociechy: zobaczycie, zobaczycie, że wszystko będzie dobrze.”

Janowa się zadumała; przypomniała sobie zapewne dawne czasy, czasy pożycia z mężem, gdzie wszystkiego było podostatkiem: i w oborze kilka sztuk bydła, i koników para, i stodółka pełna zboża. Aż jednego roku Bóg zesłał chorobę: zabrał najprzód męża, potem syna dorodnego, o lat sześć starszego od Małgosi. Janowa po półrocznej słabości ledwo się wychorowała; a potem, potem zalegli w pańszczyźnie, gospodarstwa nie miał kto dojrzyć, więc wszystko marnowało się. Poszła na długi naprzód jedna krowa, potem druga, gdyż nikt biédnej wdowy nie chciał poratować; a koniki zabrał rządca za zaległą pańszczyznę do dworu, bo powiadał, że musi strzedz dobro pańskiego: jakby to dobro wymagało zaboru ostatniego dohytku biédnej wdowy, gdy tymczasem słyszeliśmy z roznowy Federaka i dwóch jego sąsiadów, jak w innych wypadkach ten sam rządca był troskliwy o to dobro. — I tak poszło wszystko, i biédna Janowa pozostała z jedną tylko Małgosią na tym dużym świe-

cie z rękami zdrowe do pracy, i resztkami przeszłej zamożności, któremi tak chętnie stroiła nadobną swoje dziewczę.

Gdy Janowa dumiała, Szczepanowa podeszła ku Józefowi, który mając zwróconą uwagę na hożą Małgosię, spoglądał bokiem na jej skromną twarzyczkę; a buchając kłębami dymu tytoniowego, przy nie jednym już wypróbnym kieliszku, coraz więcej rozpalat wzburzone namiętności, wspomnieniami bachandryj warszawskich.

Ani się domyślała biedna Małgosia, że jest celem tak ciągłej uwagi. Stała ku końcowi izby, przy samej ścianie, między kilkoma rowiennicami, i w cichej rozmowie, przy śmiechu i żartach, zapominała o przykrém z sobą obejściu się Szczepanowej. Tymczasem Józef zwolna, niby niechcący, coraz więcej się zbliżał ku rozmawiającym dziewczętom, tak, że wszystko o czém mówiły, dokładnie mógł słyszeć.

— „Patrzno Małgoś” — odezwiała się krępa dziewczucha, skazując na trójkę — już mam znanych wesółych parobczaków — „Patrzno Małgoś, ten twój Wojtek, to tak wygląda, jak nurek (1), kiedy go mają na rożen wsadzić”.

— „Jéj Wojtek?” — powtórzyła wysoka dziewczyna z czarnemi oczami, która blisko o głowę była wyższą od otaczającej ją płci niewieściej — jéj Wojtek? Widzicie tę Kaśkę? fu — fu! Wojtek ani twój, ani twój, tylko mój. Cóżto? jakby zastabiał, to bysta nie umiały nawet go leczyć, a jabym go zawsze w godzinę uzdrowiła”.

— „A to dlaczego?” — odezwały obie i przytuliwszy się do siebie, hoczkim poglądały na chłopców, z których jednego wzięły między sobą na zęby.

— „Dlaczego? — bo wy butów takich dużych nie macie, jak moje: to dlatego, widzicie. Ale cicho! bo ten dworus jakoś ku nam przysuwa się, to mógłby podsłuchać”.

— „Czy zwaryowała ta Magda, czy co?” — odezwiała się Kaśka z tłumionym uśmiechem — „ona myśli widać z butów leki przyprawić dla Wojtka”.

I jak zgodny duet odezwał się skryty, serdeczny śmiech Kasi i Małgosi, które przytulone do siebie, wyglądały jak dwie przepióreczki młode, które za najmniejszym szelestem przypadają do ziemi, nie śmiejąc podnieść główki, aby nie zdradzić swojej obecności.

— „Głupieśta” — odpowiedziała Magda — „ktoby-ta mu takie drogie rzeczy dawał; ale widzita, on mało większy od dobrego kaczę-

(1) Tak nazywają każdego, który ma pochmurne, nieukontentowane lub nawet niesmiałe wejrzenie.

cia, a jak karze zachoruje, to go w but sadzawalo; i jego w swój but jakbym wlozyła, to i obeszloby się bez doktora.

— „Oj! Magda, Magda!” — odezwała się Malgosia — „ty zawsze masz co uciesznego powiedzieć — „Ale patrzajta-no, jak Tomek ze złością patrzy tu ku nam.

— „Pewno przyleci tu, i wybije z nas którą, bo to u niego nie kupić” — rzekła Kaśka, a przysuwając głowę do samego ucha Malgosi, dodała: — „patrzno Malgoś, jak ten dworski dojechał aż do nas. Czy pijany, czy co? że w jedném miejscu ustać nie może!

Istotnie Józef był już przy samych dziewczętach, a widząc, że przestały rozmawiać, zwracając się głową ku Malgosi, powiedział:

— „Kogoto wy dziewczuchy tak obmawiacie? Coto za Wojtek, coście go kaczęciem zrobily.

Dziewczeta w miejsce odpowiedzi, zasłoniły twarz rękoma, i szepcząc do siebie tłumily śmiech, z całą szczerotą wieku młodego krasne ich twarzyczki zdobiący?”

— „No dziewczuchy! czy gadać nie umiécie, czy co? Coto za Wojtek?” — A widząc, że nie odpowiadają, dodał ciągle z oczami w Malgosię utkwionemi:

— „No powiedz-no ty ładna turkaweczko, gołąbeczku biały, którego bym zjadł, gdyby był pieczony. — W tém miejscu dziewczęta jeszcze więcej śmiać się zaczęły; czém Józef ośmielony poprawił czuba na głowie, i pogłaskawszy twarz i szyję ładnej Malgosi, która z rozplomienioném licem od wstydu odsunęła się od natrętnego wielbiciela jój urody, dodał:

— „Zapewne że bym zjadł i chrupnął, gdybyś tylko była moja, lub że bym cię mógł kupić; ale czy kupię, czy nie kupię, to na litkup możemy się wódki napić”.

I krzyknął na szynkarke właśnie wtenczas, gdy Szczepanowa ku niemu się zbliżała.

Jeżeli jednak dziewczęta ukradkiem niewinnemi żartami zabawiały się między sobą, sądząc, że przez nikogo nie są uważanemi, to się bardzo myliły: bo właśnie ten sam Wojtek, z którego wzrostu małego tak niemiłosiernie żartowały, prawie ciągle i okiem i uchem ścigał najmniejsze ich poruszenie, najmniejsze słówko, jakie go mogło dolecić. Widzieliśmy, że obadwa z Tomkiem tylko byli milczącemi świadkami panującej wokoło nich wrzawy; jeden Walek rozprawiał i za nich, i za siebie, i teraz znowu on piérwszy się odezwał:

— „Stara okara coś szachruje z Janową; pewno się o wiano dla Małgoški umawiają. Podobno Wojtek na darmo kazał dać wódki, bo ci ją Antek weźmie przed nosa” — I przestał, wodząc wzrok po uważanych przez siebie osobach; a potem dodał:

— „Patrzta, jak dworak coraz przysuwa się do dziewuch, a do Małgoški, to mu ledwo oczy nie wyskoczą. Patrzno Wojtek, jakie im śmieszne musi mówić rzeczy, bo się tak śmieją, że się ledwo nie poduszają. Ho! — ho! — dodał potem — niedługo to się uściskają z Małgošką, bo ją już głaszcze po szyi i twarzy”.

Wojtek widział to wszystko bez gadatliwości Waleka, ale cóż miał robić? Gdyby miał siłę, to w mgnieniu oka wyrzuciłby zuchwalca z karczmy; ale przy swoim wzroście, uważał za stosowniejsze czekać sposobnej chwili do godnego pomszczenia się, śmiałej na urodę Małgosi napaści. W tej właśnie chwili, gdy Józef dotknięciem białej szyi i krasnej twarzy złożył widoczny dank urodzie Małgosi, wszedł Antek do karczmy, i natychmiast mu w oczy wpadły niemiłe zalecanki. Oko zaiskrzyło się gniewem, złączył się z czekającymi nań towarzyszami, i wsparty o krawędź baryery kramiku szynkowego, nieruchomy pozostał w miejscu.

Dziwna rzecz! Dwaj rywale, dwaj szermierze o serce Małgosi, a w zgodzie obok siebie stojąc, wspólnie wódeczką częstując, oba niemiłym okiem spoglądali nie na siebie, tylko na trzeciego, który śmieliej czynem i słowem dowodził, że mu się Małgosia, przed wszystkimi lepiej podoba. Bo obadwa nie mając rozwiniętego w sobie delikatnego uczucia miłości, mieli jednak instynktowe pojęcie wartości swoich i Józefa zalecanek. Bo oni wiedzieli, że każdy z nich zrealizować chce upodobanie swoje w ślubny wianek nadobnej dziewczicy i uczcić ją mianem żony i przyszłej gospodyni; gdy przeciwnie, zalecanki Józefa czuli, że nie do ich sfery należą; czuli, że są wpływem wcale przeciwnych wrażeń, jakie ich do tej dziewczyny przywiązywały. Dlatego więc obadwa milczeli, bo gniew, zazdrość i wzgarda, jątrzyły im serca, chociaż stanu swojej duszy nie umieliby słowami wyrazić, chociaż i postępowanie Józefa nie wychodziło z zakresu zwykłego obejścia się klasy surdutowej, z młodemi i ładnemi wieśniaczkami. Milczenie ich przerwał gadatliwy Walek:

— „Patrzajta! No, no! Szczepanowa napila się wódki do dworusa, a dworus do Janowej. No, no, co to z tego będzie? Zawołali i Małgosi, i ją częstują. Ej! Antek pilnuj Małgoški, bo ci ją zaprzędadzą dworusowi”.

Gdy Józef kazał dać wódki, widzieliśmy, że nadeszła Szczepanowa, a pogadawszy z nim trochę, przyprowadziła i Janową; później zwołali Małgosi, i wspólnie wszyscy się częstowali. Antek spojrzał, kiwnął głową, a milczący dotąd Tomek odezwał się:

— „Antek! będziesz mnie miał za hetkę-pętelkę, jeżeli dziś nie sponiewieram tego parcha dworskiego. Zdaje mu się, że pan z niego wielki. Fajkę ćmi i głaszcze se nasze dziewuszyska; ja go wyfrycuje”.

Antek na ostatnie te słowa nic nie odpowiedział, rzucił tylko okiem, gdzie stała jego ulubiona, a ujrawszy przy niej Józefa, jak z miną nadętą, w kłębach dymu tytoniowego, coś jej mówił; odwrócił się z największą niechęcią ku Tomkowi, i powiedział:

— „Dobrze mój Tomku; bij, a dobrze, ja ci pomogę”.

— „I ja” — dołożył Wojtek — „także dopomogę”.

— „No, toć i ja żywy” — dołożył Walek — „a jak będzieta wedle niego zacharować (1), to tylko mrugnijta na mnie, to ja będę wiedział, jak se dalej radzić”.

I uknuty tak spisek w miarę powiększonego zbliżania się Józefa do Małgosi, dojrzewał w tych dzieciach natury; bo jak praca fizyczna pozbawiła ich delikatnego uczucia w ręku, tak brak cywilizacji pozbawił ich delikatnego objawu na zewnątrz wzburzonej namiętności gniewu, zazdrości, wzdury, zostawiając tylko pięście i kij, jako jedyny możebny dla nich do użycia środek. Józef już dobrze rozweselony wypróżnionymi kieliszkami, przechyliwszy czapkę na bakier, z wiszącą fajką przy ustach wyszedł na środek izby, i krzyknął na muzykę:

— „Hej! muzyka na cymbalkach, dalej po swojemu, bo ja będę tańczył; chodź Małgosiu ze mną, potańczymy trochę” — i opierającą się namowom matki, z niechęcią i widocznym ociąganiem się, wyprowadził na środek, a trzymając za rękę oprowadzał wkoło popychając i odręczając zajmujących środek izby, przeznaczony do tańca. Postępowanie takie śmiałe i lekceważące oburzyło wszystkich, i nie z jednych ust wymknęły się i przekleństwo i wymyślanie; lecz Józef podchmielony, cały myślą zajęty ładną przez siebie prowadzoną dziewczyną, nie słyszał i nie widział nic, co się wkoło niego działo. Oburzenie jednak coraz więcej wzrastało, bo chłop sandomierski jak jest cichy i potulny za granicą karczmy, tak pozbywa się tych przymiotów w karczmie, przy trunku, stając się upartym, dumnym i lekcewa-

(1) Zacharować znaczy to samo, co umizgać się; np. mówią w Sandomierskiem „Janek zacharuje wedle Kaśki” — to jest umizga się do Kaśki.

zającym szczególnie tych, których przymuszony bać się i szanować, których przypadek lub inna przyczyna, razem z nim pod dach karczmy sprowadzi. Józef nie zważał na to wszystko, przytupywał nogami, ciągnąc za sobą dziewczynę, jak poświęconą ofiarę. Nikt się nie ruszał do tańca, aż Tomek zawołał:

— „Chłopy! Antek, Wojtek, chodźta. Cóżto? czy tylko dla niego ma być karczma?— Chodźta!”— I zabrali się wszyscy czterej, a pobrawszy dziewczuchy, ruszyli do tańca. Józefowi niebardzo się to podobało, że nie wezwani ośmielili się stanąć z nim razem w jednym szeregu; ale z pociągniętym dymem z fajki, połknął nieukontentowanie, ujął w pół Małgosię, i zawodząc z nią koło, tak uderzył małego Wojtka niby niechcący, że ten aż potoczył się na bok, i o mało się nie przewrócił. Szmer niezadowolenia rozszedł się po zgromadzeniu, każdy usuwał się na bok, unikając zamaszystego tańca. Tomek ścisnął pięście, zaklął na czém świat stoi, i już czekał tylko nowej sposobności do spróbowania się z parchem, jak nazywał dworskim. Wojtek chcąc powetować odebrane brutalstwo, i jak to mówią finfe puścić, stanął przed skrzypkiem, tupnął nogą, i zaczął śpiewać:

„Cóż ja nieboraczek,
Cóż ja pocznę”.....

Ale mu Józef nie dał dokończyć, i wzięwszy bez ceremonii z tyłu za ramiona, odsunął na bok i sam zajął jego miejsce. Na widok takiej zniewagi jaka dotknęła Wojtka, Tomek stracił cierpliwość, a popchnąwszy go gwałtownie na Józefa, zawołał: „A walcie w łeb, tego kondla dworskiego”. Mały Wojtek jak kamień z procy uderzył w Józefa, który zupełnie do podobnego obejścia się nie przygotowany, stracił równowagę i pochylił się całym sobą na skrzypka, uderzając głową w okno, które z brzękiem na ziemię wyleciało. Lecz nie stracił przytomności, i obracając się natychmiast, zawołał głosem donośnym: „A co wy chańskie psubraty dokazujecie?— Won! kiedy ja tańczę.”

Daléj mówić już mu nie dano, bo Tomek z Antkiem wpadli na niego, jak jastrząb na zdobycz, i nie słowami, lecz pięściami odpowiadali na odebrane brutalstwo. Razy sypały się gesto, bo gdy Tomek z Antkiem trzymając za kłapy surduta walili co się zmieściło, Wojtek czepianiem się u nóg, usiłował go przewrócić i udaremniał wszelkie usiłowania obrony. Nareszcie Józef stanowczym krokiem chcąc uwolnić siebie z rąk bijącej tłuszczy, cofnął się ku ścianie, i raptem podając się naprzód, trząsnął silnie całym sobą. Oba trzymający padli na wznak, z kawałami obdartych kłap od surduta. Wówczas porwał skrzypce z rąk grajka wiejskiego, i wywijając przed sobą po

głowach i bijących, i broniących, przebijał się ku drzwiom, chcąc się dostać na wolne i obszerniejsze miejsce. Lecz to, co miało mu służyć za środek obrony, powiększyło i tak już krytyczne położenie, bo skrzypek broniąc swego instrumentu, powiększył mimo woli liczbę nieprzyjaciół. Wielu znów z obojętnych świadków, odebrawszy uderzenia skrzypców lub popchnięcie od broniącego się Józefa, pragnęło choć jednym kulakiem wywiązać się z odebranego razu, a cisnąc się ku broniącemu, powiększali tłum, ozywiony jedną myślą, jedną żądzą — bójką. Kobiety znów odciągały swoich mężów, synów lub braci od bitwy; te znów wstrzymywały córki, lękając się, aby w ogólnej wrzawie, jeżeli nie na ciele, to w odzieży nie odniosły jakiej szkody. Słowem, wszystko co żyło, biło się, kulakowało, potraçało, popychało, pchało; a wychodzący wrzask i hałas z tego tumultu, tak niemile wpadał w uszy, tak szkaradny przedstawiał obraz rozbestwienia się ludzkiego, że patrząc i słuchając, radbyś na ten moment i oczy i uszy postradać. Między najczynniejszymi była Szczepanowa, i kto wie, coby się było z Józefem stało, gdyby nie jej przytomność i wdanie się czynne między bijących. Bo zasłaniając go i przytrzymując Antka, największego podżegacza bitwy, pomału torowała drogę ku drzwiom karczemnym, aż wraz z całą bijącą się gromadą, wyrzuconą została na podwórze karczemne. Tu, jak wyżej widzieliśmy, bitwę zakończono i obie tylko strony wzajemnymi obelgami i odgrózkami wylewały potoki gniewu i wściekłości, jakie jeszcze, mimo porządnego wyczubienia, piersi ich rozdymały.

— „Poczekaj jeden z drugim kondle, psubraty chamskie” krzyczał Józef, wywijając sporym kołem z płotu bez czapki, fajki, i daremnie szukając klap do zapięcia surduta — „Poczekajcie, nauczę ja was mores! A może któremu mało? — to chodź tu do mnie, to ci łeb chamie na dwoje rozwałę. Chodź, spróbuj się, zjész sto diabłów; jeszcze ty mi się będziesz u nóg włóczył, zobaczysz kondlu, psia paro, psubracie”. — I siłąc się na cały szereg podobnych wyrzeń, przyprowadzał do porządku swoje ubranie; a pokrzyczawszy, pohłasowawszy, poszedł potem wolnym krokiem ku dworowi, ma się rozumieć, że nie z tak tęgą miną, z jaką dążył do karczmy.

Szczepanowa zajęta Antkiem, już go z rąk swoich nie popuszczala. Na wszystkie krzyki i hałasy Józefa nic nie odpowiadał, tylko siłąc się pozbyć swoich stróżów, powtarzał bez ustanku — „Puśta mnie — puśta mnie do tego parcha dworskiego”. — Tomka i dwóch drugich strzegły inne gromady kobiet, i gdy zapastnicy ujrzeni oddalającego się Józefa, pomału zaczęli ostygąć w szalonym

uniesieniu, a ich stróżę w troskliwém dozorowaniu. Wnet potwo-
rzyły się małe gromadki rozmawiających o ostatnim wypadku, i jak
się to zdarza między ludźmi, najdziwaczniejsze z tego wyprowadzali
wnioski. Jedni brali stronę Józefa, inni Antka i Tomka, a Szczepa-
nowa stojąc na boku między kilku kobietami, z płaczem mówiła:

— „Ta poganka, doprowadzi moje dziecko do zguby, dopro-
wadzi, moje kochaneczki; bo żeby to było co poczciwego, ale to dziś
z tém, jutro z owém, byle chłopca; a to głupie moje chłopaczysko na
piękne się w niej zagubiło. O! poganka, poganka, na moje stare
lata, tak mi psuje głowę” — i zakryła twarz chustką, zanosząc się jak-
by w najszczerzym płaczu.

— „Dajcie pokój Szczepanowa, przecie i on ma swój rozum” —
odezwała się Franciszkowa Patyjak, sąsiadka Wycykatów, która cór-
kę swoją koniecznie nastęrczając Antkowi, bardzo krzywo patrzyła
na zalecanki tegoż do Małgosi — „dajcie pokój, bo choć nie dzisiaj
może, to prędzej, później, zawsze pozna, że mu dobrze radziła: boć
każdy kto się żeni, to dla siebie, nie dla kogo.“

— „Otożto widzicie, moja Franciszkowa, niechby se była jaka
chce, niechby była w jednej koszuli, w jednej koszuli, moje kocha-
neczki, aby tylko cuotliwa i pracowita, to nicbym, ani jednego sło-
wa Antkowi nie powiedziała; ale sami widzicie, moja sąsiado, cała
wieś to widzi, i jakże tu pozwolić własnemu dziecku dać się zagu-
biać? — O! poganka, poganka!”

— „Moja kumo” — odezwała się trzecia Federakowa — „jaka
mać, tak nać. Albo to mało gospodarstwa pozostało po nieboszczy-
ku, a wszystkiemu Janowa dała radę. Dziś nie ma nic, bięda, a od
gęby odejmie ostatni kęs chleba, aby tylko swoje śliczną córusię
ustroić do karczmy, albo do kościoła. O paskudnice!”

— „Oj prawda, prawda” — odrzekła Szczepanowa — „chciałoby
się lekkim sposobem chleb jeść, dlatego rada się nadstawia ze swoją
córką dworakom, a teraz i młody dziedzic przyjechał, to...“ — i jakby
z oburzenia, nie dokończyła zaczętej myśli, tylko splunęła, i szeptem
niewyraźnym zakończyła przerwana mowę.

— „Prawdę mówicie, moja sąsiado” — rzekła Franciszkowa —
„toćto ona, co taka nieśmiała, a częstowała się z lokajem dworakim,
i potem piła i Małgośka, i poszła z nim do tańca. Jużć musi być
coś w tém, boć ona tego nigdy nie robiła.“

— „A jużć, że musi być w tém coś” — podchwyciła Szczepa-
nowa — „Pierwszy raz lokaj ten był w karczmie, a zaraz się z sobą

postratali (zaznajomili). Ja—ta nie lubię obmówisko, niech mnie Bóg starze, ale moje kochaneczki, zobaczyta, że z tego coś wyrośnie. A widzieliśta, jaki dworus był do niéj podufały, z nią gadał...

— „A jakże, widzieliśmy“ — potwierdziła Federakowa — „Ja ta także nie lubię się wdawać w cudze interesa, ale wam powiem, moje sąsiady“ mówiła dalej cichszym głosem „że ani spodziewałam się, aby Małgośka tak była rozpuszczona. A dyc ona z dworusem jak stał pod oknem, to się trzymali za ręce, i łokciami się tręcali.“

— „A to poganka!“ — zawołała Szczepanowa załamując ręce — „już wstydu nie ma w oczach. Ażebyś się niczego nie dorobiła, kiedyś tak otumaniała dziecko moje jedyne.“

I tak rozmawiając, ślicznie stroiły biędną Małgośkę, która podczas bójk, przytuliwszy się do matki, rzuciła wzrok bojaźny na bijących; a gdy wysypała się holota na dwór, korzystając obie z tego, wyruszyły natychmiast ku domowi. Już i inni zaczęli się rozchodzić, bo karczma, dzięki Józefa w obronie przytomności, pozbawiona jedyne go przymiotu, muzyki, przestała być miejscem ochoty. Chłop bowiem sandomierski i krakowski, bez niéj nie zna żadnej zabawy, i jeżeli krążeniu kieliszka nie towarzyszy rzępolenie skrzyпка, to gdy z czupryny kurzyć się zacznie, i język mowniejszym się stanie, śpiewa co mu przyjdzie do głowy, i stosownie do usposobienia, w jakim się znajduje. Smutny jest, śpiewa smutno: wesoly, wesolo. — I dlatego tamte okolice tyle posiadają nieprzebranych pieśni gminnych; bo czy wesele, chrzciny, pogrzeb, swaty; słowem, gdzie tylko jest kieliszek, tam i śpiewy wkrótce usłyszysz. Jeden zaśpiewa, drugi, trzeci i dziesiąty powtórzy, każdy stosownie do swego uczucia muzycznego, i tak ni zład ni zowąd stworzy się pieśń, których różności dosyć nadziwić się nie możemy.

Gromadki wieśniacze po trzy, po cztery osób rozprawiając, posuwały się wolno ku swoim zagrodom. Księżyc już wybiegł wysoko, rzucając posępne światło na pogrążoną we śnie ziemię, jakby ją odziewał płaszczem purpurowym, a przy cichości niczém niezakłóconej, odznaczając na jej powierzchni powracających do domu wieśniaków, robił ich więcej podobnemi do błakających się duchów, jak do ludzi z kości i z ciała złożonych. Między innemi, odznaczała się szczególniej wesola znana nam już trójka. Idąc razem z Antkiem rozprawiali, przechwalali się z odniesionego zwycięstwa; jednak nie bez wewnętrznej bojaźni, o skutki zaszłej bójk z dworusem. Bo każdy dworus to wygadany: wylgać się, wykręcić, z kozła zrobić barana, to u nich wytrząść jak z rękawa. Achłop nie każdy tak wpra-

wny w szermierstwo językiem: lepiej włada pięścią lub kijem, niż tym narzędziem mowy ludzkiej. Nie psuło im to jednak zupełnie wesołości; owszem drwili sobie, i w śmiechach, w żartach prowadzili dosyć głośną rozmowę.

— „Ja-ta wszystko na Wojtka złożę”—rzekł Tomek nieco z uśmiechem — „Onto sprawca był do wszystkiego: boćto on dwurusa w tańcu przewrócił, co ledwo ściany łbem nie wywalił”.

— „Ija to samo — powtórzył Antek także drwiąco — z niegoc się to wszystko zaczęło”.

— „A to składajta” — odezwał się mniemany główny winowajca — „składajta, przecieć mnie nie zjedzą, i jać mam język w gębie”.

— „A ty lisi synu” — odrzekł Tomek — „ty nas będziesz przedawał za to, żeśwa się za tobą ujeli? Poczekaj, drugi raz niech cię zabiją, to ani palca za tobą nie zakrzywię. Poczekaj”.

— „A bo to prawda” — odpowiedział Wojtek — „tybyś właśnie wystał próżno, gdybyś widział, że się inni biją?”

— „No zobaczysz, i niedługo na to czekać będziesz. — Antek! złapno go za *ożydła* (1) i nadkręć trochę gardziela, bo nam coś zuchwało gada.” — Antek nie dał sobie dwa razy powtórzyć, jedną ręką wziął za przypiersniki kamizeli, a drugą za koszulę przy spięciu na szyi, i zakręciwszy silnie, położył odrazu Wojtka na ziemi.

— „Teraz mu wal sójki pod bok” — odezwał się Tomek — „duś gardziela. A widzisz, widzisz! — mówił dalej, gdy Antek żartem dopełniał wszystko, co ten mu dysponował — proś się, proś kochanku. A będziesz na nas instygował? A powiesz, żeś ty był sprawcą do wszystkiego? a kupisz wódki garniec?”

Wspólny śmiech igrających był całą odpowiedzią na mowę Tomka, i dopiero wdanie się Walka zakończyło te niemiłe dla Wojtka żarty, który wydobywszy się zpod ugniatającego go Antka, zaczął obydwoh żartobliwych napastników, ze śmiechem uciekających, gonić. Figle Bóg wie kiedy byłyby się skończyły, gdyby nie wołanie Walka.

— „Tomek, Antek! — czysto poszaleli? Gonita się jak zrebaki po błoni. Chodźta, to lepiej pomyślewa, jak się wykręciewa z biedy. Bo się nie będzieta śmiać, jak przyjdzie skórą nadłożyć”.

— „To niech się Wojtek turbuje, bo on wszystkiego narobil”.

(1) Tak nazywają wszystko to, co my rozumiemy pod wyrazem klapy, np. surduta, płaszcz i t. d.

— „Ej nie kpijta, bo jakby przyszło prawdę powiedzieć, to ja wam powiem, kto był przyczyną do dzisiejszej bijatyki”.

— „No, któż taki,?”—odezwali się trzej inni.

— „A juźcie Małgoška” — odpowiedział Walek — „Któżby inny?”

— „Małgosia?” — przerwał Antek — Dziwnyś mój Walek, gadasz jak kowal w gorączce. Małgosia? — powtórzył raz jeszcze jakby urażony.

— „Czy Małgoška, czy Kaška” — dodał Tomek — „to mi ta wszystko jedno, dość, żeśwa parcha dworskiego sponiewierali i juźci”.

I zaczął gwizdać oberka, ująwszy się pod bok jedną ręką, a drugą za czapkę; przytupywał, jak gdyby wywijal w tańcu z dziewczuchą.

— „I jak se ty to miarkujesz” — rzekł po małej pauzie Antek do Walka, gdy Tomek napół gwizdiąc, napół śpiewając, w ciągłym tańcu razem z niemi postępował — „jak se to rozumiesz, że Małgoškę obierasz za przyczynę naszej zwady?”

— „Mój Antek, ja-ta na nikogo nie instyguję, i lubię Małgoškę i Janową,” bo to dobre, potulne kobieciska, nikomu w drogę nie włączą; ale powiem tak, jak na świętej spowiedzi, bo lepsze mi sumienie, jak wszystko: oto — mówił dalej, jakby ociągając się — „oto tak matka, jak i córka niepotrzebnie laźły w garść dworusowi, i wódkę razem piły, i potem Małgoškę do tańca z nim wyprawili. Po co? I od tego się téż wszystko zaczęło; bo ja na wszystko dobrze uważałem”.

Antek nic na to nie odpowiedział, bo jak wiemy, nie było go wtenczas w karczmie, gdy odbywały się tajemne konszachty Szczepanowej. Nie widząc więc nic, a przypomniawszy sobie ostatnie zalecanki Józefa, na które wszedł właśnie do karczmy, i porównawszy je z mową Walka, nagle owładnęła go obawa wiarołomstwa Małgoši; umilkł i szedł dalej milczący, rozpamiętując wypadki upłynionego wieczoru. Gdyby mógł być widzieć wszystko własnymi oczami, mimo bardzo zręcznego działania matki, byłby bez zawodu uznał niewinność biednej dziewczyny, i instynktowo odgadł skrycie poruszające sprężyny; ale podlegnięty fałszywą, chociaż w dobrej wierze skuteczną mową Walka, i własną trawiącą go zazdrością, jaka zawrzała w jego sercu na widok śmiałych karesów Józefa, obudził w sobie wszelkie obawy, wszystkie najgorsze przypuszczenia, jakie są nieodłączne z każdej klasy kochankowi. I myśląc, myśląc, przyszedł do tego rozdwojenia w sędzie o Małgoši, coto zazdrość i miłość własna potępia, a przywiązanie i serce usprawiedliwia; coto brakuje jednego słówka, jednej szypułki, aby szaleć wahając się przewa-

żyć na tę lub ową stronę. Inaczéj się rzecz miała z Wojtkiem: on widział wszystko dobrze i wszystko dobrze uważał; on wiedział, że Małgosia jest niewinna, i że ani jedném słówkiem nie przyczyniła się do bijatyki wieczornéj. Lecz nie mówił ani na usprawiedliwienie, ani na potępienie nadobnéj dziewoi, bo przeczuwał, że im większa nad jéj głową zgromadzi się burza, tém pewniéj opuszczoną od Antka, on ją ujmie w swoje objęcia.

Antek i Wojtek zupełnie sprzecznemi zajęci uczuciami, milcząc szli daléj. Tomek śpiewał, gwizdał i skakał, a Walek kiedyniekiedy wtorował mu przeciągłym okrzykiem wesołości.

Może ze trzysta kroków za nimi, szło grono niewielkie młodych dziewczyn. Dwie pary śpiewając i tańcząc, przy wznoszeniu się potężnych obłoków kurzu, przodowało innym, które ujęte za ręce w figlach, w zartach, stanowiły jakby tylną straż tego wesołego korpusiku. Wysoka Magda całą głową górowała nad innymi, a krępa Kaśka tuż przy niéj postępując, stanowiła niby przeczenie jéj dużego wzrostu.

— „Hej! wy wartogłowe (1), przestańta tańczyć” — odezwała się Magda — „bo od kurzu mało się nie podusiewa. Czy oszalały, czy co?”

Ale dziewczęta jeszcze weselszemi płasami i większym tumanem pyłu odpowiedziały na wołanie Magdy.

— „Eh! żeby tu był Tomek” — mówiła daléj Magda — „toby on je zaraz ukarantował, żebyśta potańczyły, że bodaj”.

I powstał śmiech w tém gronku wesołych dziewcząt, z głośnieńm wołaniem wszystkich składających go jakby na wyścigi:

— „Tomek, Tomek! bij a dobrze te latawice”.

Ale dziewczęta jak tańczyły, tak tańczyły. Nareszcie znużone ciągłemi płasami, wzięwszy się za ręce, zwróciły się ku postępującym za nimi koleżankom, i przyspiewując, biegły wprost ku nim szeregiem.

— „Czysta poszalały, czy co?” — zawoła Magda do zatrzymujących się tuż przed niemi dziewcząt — „tańczą, tańczą, jak wartogłowe, i kurzą, że ciężko świata widzieć”.

— „U! widzicie, jaka ta Magda” — odezwała się jedna z winowajczyn — „że się sama wytańczyła, to już nie da drugim. Widzicie ją!”

— „Tańcz se w karczmie, ale nie nam przed nosem — I troszkę udobruchana mówiła daléj — „Jużeswa wołał Tomka, aby was jak dworusa nauczył tańczyć”.

(1) Tak nazywają owce chore na kołowaciznę.

— „Albośwato Małgoški” — odezwalo się razem kilka dziewczęcych głosów — „my nie Małgoški, to się Tomka nie bojewa”.

— „I dworusa nie ma między nami, tobyta Tomek nie miał okazji do bicia” — dolożyła Maryna Patyjak, którą matka koniecznie swatała Antkowi.

— „A cżto Tomek ma do dworusa i Małgoški?” — zapytała Magda, która szczerze była przywiązana do téj dziewczyny.

— „Co ma, czy my wiewa?” — odpowiedziała Maryna — „ale co dzisiaj bili się w karczmie, to wszystko z niéj poszło”.

— „Głupiešta” — odrzekła z gniewem Magda — „jeżeli tak mówita; przecieć i ja tam byłam nie po pijanemu, tylko po trzeźwemu, i widziałam wszystko”.

— „Widzicie tę Magdę” — rzekła Maryna urażona — „że duża, to się jéj zdaje, że i mądra”.

— „A juźcić, bo jak wy śmieta paskudnice tak gadać i przykładać Małgoškę do dworusa. Oj! dziewczki, piękne dziewczki! A jedna druga, toby rada w kropli wody utopić”.

— „Dziwna ta Magda” — odpowiedziała Maryna — „a potrzebna była Małgoška wchodzić w częstunki, a potém w taniec z dworusem? Wszakże wszyscy w karczmie zaraz tak mówili, że to wszystko z niéj poszło”.

— „Głupiešta i wy i wszyscy” — odpowiedziała na to, coraz więcej rozgniewana Magda — „A ty tak gadasz, bo ci zazdrość o Antka; ale on się sychtyczek tak z tobą ożeni, jak i ze mną”.

Sprzeczką w ten sposób prowadzona byłaby się Bóg wie jak długo przeciągnęła, gdyby nie ostatni argument przez Magdę wyrzeczony, który tak Marynę rozgniewał, że w największym gniewie mrucząc coś pod nosem, odbiegła od swoich towarzyszek. Magda kiedyniekiedy urywanemi słowami objawiała jeszcze swoje nieukontentowanie: bo téż Magda była bardzo dobra dziewczyna, z wyborném sercem i prawdziwie Małgoškę kochającém. Biédna, bez ojca i matki, ciągle w służbie, to i nie dziw, że do biednej jak ona serce jéj przyłgnęło, i stateczne było w poślubiouéj przyjaźni. Przy jniéj nie śmiano nigdy coś złego o Małgoške powiedzieć, a jeżeli do zwalczania przeciwnika nie pomogły słowa, to były wypadki, że argumentowania wspierała rękoma; rękoma, które przy jéj wzroście i silnej budowie, nieraz skuteczniejszemi się okazały. Magdę więc i lubiono, i bano się; a Małgoška zupełną wzajemnością wyplacała się za opiekę, jakiej bardzo często potrzebowała: bo ubóstwo jéj i wdzięki jéj, niejednego i śmiałym i zazdrosnym robiły.

Dziewczęta jedne po drugich dochodząc do swoich mieszkań, opuszczały towarzyski, aż tym sposobem wszystkie się rozszedły, hałaśliwém i skrzypiącém zamykaniem otwieranych drzwi, jak na dobranoc, zagłuszały w całej wsi panującą ciszę.

Za nimi posuwało się zwolna kilku gospodarzy, których widzieliśmy przed karczmą, rozprawiających. I jeżeli młodzież zajęta obecnością, figlami, żartami kończyła wesolo przepędzony wieczór: to starsi dalej myślą sięgając, zupełnie inne między sobą toczyli rozmowy.

— „Księżyc dzisiaj jak obręczą pobity” — mówił Ignacy Lach, siwy nasz mowca do Jana Federaka i Franciszka Tatyjaka — „Może Bóg da deszczu na jutro”.

— „O dałby Bóg” — odrzekł na to Federak — „bo jarzyny bardzo podrobniały, a żyto na piękne spali”.

— „Ej mało go-ta i tak już obradza; i pół go nie będzie jak tak rok. Jak przyjdzie dworowi oddać zapomogę, cośwa wzięli na przednówku, to chleba i do Nowego Roku nie wystarczy”.

— „Bodajto tym dziarganom młodym” — odezwał się Lach — niczém se głowy nie zaturbuje, przyjdzie do gotowój miski, w karczmie się wylańczy, to mi to”.

— „Ale sponiewierali dzisiaj lokaja dworskiego. Nie wiem o co im-ta poszło?” — odezwał się Federak.

— „A Bóg ich ta wie” — odpowiedział Lach — „ale dobrze mu tak, niech się między chłopów nie miesza”.

— „Moja kobięta mówiła” — odezwał się Patyjak — „że to wszystko poszło z Matgoški. *Sratała się* (1) z dworusem, i Antek podburzył Tomka, i podobno go uczciwie zbili”.

— „Lepiej, żeby jęj byli wścibili ze dwadzieścia różg — odrzekł na to Lach — jak co się między sobą bili, głupie bestyjniki”.

— „Że głupie, to-ta nięma już o tém gadki” — powiedział Federak — jednak im ten dworus musiał zaleźć za pazury, kiedy się go chycili.”

— „Ej mój sąsiedzie! Dworus ta jak dworus, głupi jak bydlę, lazie gdzie go oczy prowadzą; ale dziewczki psie mięsa, co się nastroją, to warte ukarantowania”.

— „Niech ich-ta kaczki zdepczą, mój kumie” — odezwał się Patyjak — „co se ta mamy niemi głowę zaprzętać; ja się turbuję o siano, co mam na łąkach, bo jakoś niepewna na jutro pogoda.”

(1) *Sratać się* znaczy wdawać się z kim, przyjaźnić, witać się serdecznie.

— „Dobrzeby-ta było i z dęszcem, ale właśnie *przepalkoni się* (1)— rzekł Lach z podniesioną głową, oglądając się wkoło.

— „No! moi sąsiedzi, podobno trzeba myśleć o spaniu, bo to i północek niedaleko. Została z Bogiem”.

— „Idźta z Bogiem”— odrzekli dwaj drudzy, i pośpieszniej-
szym już krokiem każdy z nich udał się do swego domostwa.

A cóż Małgosia porabiała, gdy tak prawie wszyscy o nikim, tylko o niej rozprawiali?

Małgosia, jak widzieliśmy, zaraz z matką poszła do domu, nie czekając nawet za Magdą, z którą zwykle czy z karczmy, czy z kościoła, czy z pola od roboty razem powracała: bo trzeba było spieszyć się do swojej *chudoby* (2), którą zostawiły na Boskiej opatrności. Przyszedłszy do chałupki, obejrzała wszystko z czułością troskliwej gospodyni: czy gęsi której nie brakuje, czy kury spią na grzędzie, czy mały prosiaczek, co go dostała od matki chrzestnej nie uciekł jęj z chléwka; a przekonawszy się, że wszystko w należyтым porządku, pogłaskała białe gąski wyciągające do niej szyje, poskrobała patyczkiem przyzwyczajonego do tych karesów prosiaczka, i zamykając sionkę z gęgającym i rechczącym dobytkiem, zabrała się do usłania białemi powłóczkami okrytej pościółki. Matka szepeząc pacierze już dawno w łóżku spoczywała, myśląc o Szczepanowej, o jęj szczególnych dla siebie grzecznościach, o Antku, o wstawieniu się lokaja do dziedzica: bo ani jęj przez myśl nie przeszło, aby ją razem z córką uważano jako główny powód bitwy karczemnej. I tak płacząc swoje myśli między nich a Małgošką, pomалу zawierała oczy, sklejjąc je snem głębokim.

Małgosia także dumala, a marzenia jęj też same przedstawiały osoby, co i matce; z tą tylko różnicą, że ostatnia śpięwka Antka o modrych oczach ciągle brzmiać jęj w uszach, malowała całą drużynę karczemną, na której czele z taką radością, z takim weseleniem wywijała ze swoim ulubionym. Potęm stroiła swoje marzenia obrazkami z przyszłości snutemi, i widziała siebie w śliczném weseleném ubraniu, z warkoczem rozplecionym i ustrojona różnemi wstążkami i świecidłami na głowie, jak obok Antka tuż postępując, ze schylném czołem każdego z przechodzących prosiła o błogosławieństwo. A potęm, potęm, wikłały się jęj dumania, chwytając urywki i bójki karczemnej, i przyszłych godów weselnych, i tańca z lokajem,

(1) Czyli przetrze się.

(2) Majątek ruchomy zowią chudobą, a mianowicie inwentarz żywy.

i figlów dziewczęcych, i owego marzonego szczęścia, gdy będzie gospodynią i zarządczynią całego Antkowego mienia, aż przechodząc w coraz niewyraźniejsze pasmo marzeń, ukolysały w słodkim śnie śliczne modre jej oczki.

Dumaj, dumaj biedna dziewczyno, bo tyle tylko twego szczęścia! Już chmura z deszczem, z gradem, z grzmotami zbiera się wokoło ciebie, strzeli piorunem i rozweseli serca zazdrością i złością przejęte, gdy twoje w boleści będzie się rozpywać.



KRONIKA LITERACKA.

Słownik malarzów polskich, tudzież obcych w Polsce osiadłych, lub czasowo w niej przebywających, przez Edwarda Rastawieckiego. Z dołączeniem szesnastu rycin, wizerunków celniejszych artystów. Tom Iszy. Warszawa, nakładem autora, w drukarni S. Orgelbranda księgarza i typografa. 1850 r. str. VIII, 334, lit. A. — Ł. Na końcu przydane są: 1) Ustawy cechu malarzy w Krakowie; 2) Projekt ustanowienia akademii sztuk wyzwolonych, przełożony królowi Stanisławowi Augustowi; 3) Co stanowi szkołę malarską? rozprawa Antoniego Brodowskiego. Wreszcie przydatki i poprawki.

Gdy mi przychodziło zdać sprawę z wyżej opisanego dzieła, z radością uchwyciłem za pióro i w archeologicznym zapale przygotowałem w myśli szereg pochwał, któremi obsypać autora zamierzałem. Bo taka praca, takie wydanie i tyle starania, ażaliż na to nie zasługują? Atoli chłodniejsza rozważa, tą razą moje panegiryczne usposobienie zwałała. Cóż nadadzą moje pochwały, powiedziałem sobie, zacnemu i szlachetnemu autorowi oraz wydawcy dzieł obcych, któreby bez jego przyczynienia się literatura nasza może nie posiadała? Czyliż nie jest już znany z poprzednich prac swoich własnych, zawsze sumiennych i pracowitych, a dobro literatury na celu mających? Więc chwalić to, co każdy pochwali, rzecz to zwyczajna i zbyt pospolita. Czytelnicy z nowszym pojęciem, autorowie ze szczerą i bezinteresowną miłością do swój pracy, czego innego wymagają, a sprawozdawca dzisiejszy winien rzecz swoją tak przygotować, aby sąd ostateczny słuchaczom i czytelnikom zostawił.

Pierwszy tom zatem dzieła p. Edwarda Rastawieckiego, od lat wielu przygotowywanego, a liczną pomocą wspieranego, zawiera 264 żywotów malarzów polskich, abecadłowym sposobem do głoski Ł doprowa-

dzonych. Pomiedzy tą znaczną liczbą artystów o których wiadomości troskliwie autor zebrał, celniejsi mianowicie obszernie i szczegółowo są opracowani; inni albo dla braku źródeł, albo też dla mniejszego ich w sztuce znaczenia, zwięźlejsi są opisani; o innych wreszcie zaledwie wspomnienie, tak jak w starych archiwalnych aktach znalazło się, z imienia tylko lub z nazwiska podani zostali. Do pierwszych należą żywoty głośno znanych nazwisk i prac artystów, jakeimi są: *Altamonti, Bacciarelli, Bellotti, Brodowski Antoni, Czechowicz Szymon, Dolabella Tomasz, Damel Jan, Danckerts Piotr, Głowacki Jan Nepomucen, Grassi Józef, Koniecz Tadeusz, Lesseur Wincenty, Lexycki*, i t. d. czyli w ogóle biografij obszerniejszych 42, które niemal wszystkie starannie są opracowane i wielu nieznanymi szczegółami wzbogacone. Do drugich liczę *Albertrandego Antoniego, Blanka, Cisowskiego Kazimierza, Dankwart Karola, Dell Bene, Eleutera Jerzego, Lubienieckiego Bogdana i Krzysztofa* i t. d. Razem 58 żywotów w których brakuje autorowi dokładniejszych lub obszerniejszych wiadomości. Wreszcie do trzeciego oddziału odłączam najliczniejszy szereg artystów, o których są w większej części tylko wspomnienia, w rozmaitych dziełach wynalezione lub w aktach radzieckich miasta Krakowa odkryte. W ogólnej liczbie artystów w tym tomie opisanych, znajduje się 126 nazwisk dotąd nieznanych, a zatem prawie połowa całości jest nową i nikomu przedtém nie wiadomą.

Ozdabia ten tom sześć wizerunków malarzy, podług najlepszych portretów sporządzonych, z podobizną (*fac simile*) własnych ich podpisów u dołu umieszczonych, a takimi są: *Bacciarellego, Brodowskiego Antoniego, Czechowicza Szymona, Dolabelli Tomasza, Lesseura i Lexyckiego Bernardyna*. Wizerunki te wykonane są przez znakomitego naszego artystę p. Jana Piwarskiego, na cynku z całą usilnością, aby sprawdzić myśl nakładcy, że i w naszym kraju, bez udawania się za granicę, można znaleźć i artystów usposobionych i stosownie potemu zakłady. Nakoniec co do całego wydania jest ono staranne: papier najlepszy, a druk nowy i okazały: wszystkoto z powierzchowności najlepiej uprzedza.

Tyle o zewnętrznej wartości; wejrzyjmy teraz w głąb i treść tego dzieła. Myślą kierującą tą pracą było wydobyć na jaw z zapomnienia i spod pleśni, od wieków na tego rodzaju poszukiwania zapadłej, tych pocieszających dowodów, że od dawnych wieków malarstwo u nas było cenione; że wiele szacownych téj sztuki utworów posiadaliśmy, że nietylko cudzoziemscy artyści do nas chętnie przybywali, lecz że i krajowych niemało się usposobiło. I myśl ta prowadzi ciągle pióro autora, a dla silniejszego jój wyświecenia, wiąże swoją pracę z histo-

ryą krajową, z wspomnieniami ubiegłych czasów, rozrzucając tu i owdzie nowe fakta i wiadomości chociaż oderwane, lecz bezprzestannie na tle historycznym opierające się. Dzieło więc p. E. Rastawieckiego o tyle dzieje sztuk nadobnych dotyczy, o ile ogólną dawną Polską historią. Tłumaczy się z tego i sam autor w przedmowie. „Głównym zadaniem tej pracy, powiada, było zebranie materiałów do dziejów sztuki malarskiej w kraju naszym, podaniem wiadomości o malarzach tak krajowych, jak obcych u nas zamieszkałych i wszelkich przez nich wykonywanych dziełach. Z takiej zasady wychodząc, pogląd ten więcej musiał być historycznym, aniżeli krytycznym; starałem się przeto o nagromadzenie ile być mogło dokładne, szczegółowych wiadomości, oszczędniejszym będąc w sądach samych. W niezbędnym wskazaniu wartości artystycznej, ogólnych zalet, lub wad każdego z osobna malarza, nie polegając na zdaniu własnym, odwoływałem się do sądów czy już objawionych, czyli od znawców sztuki ustnie otrzymany. Poszczególne żywoty przedstawiają w ujednostajnionej formie bieg życia artysty, szkołę w której się doskonalił, obrany rodzaj w sztuce, stopień uzdolnienia, wreszcie wszelkie znane jego malarskie dzieła; w końcu przytoczone są poprzednio o nim podane drukiem wiadomości. W wyliczeniu obrazów zwracałem szczególniejszą uwagę na portrety, wskazując zarazem gdzie się obecnie znajdują; do wielu z nich albowiem przywiązana jest wartość historyczna, inne zostają cenną pamiątką dla rodzin; w obu przeto względach wiadomość o nich pożądaną się staje.”

Ścisłe tego zakreszenia trzymając się, autor rozdzielił historią od krytyki, która jednak nie powinna być od niej daleką, a przede wszystkim starał się co więcej materiałów nagromadzić, dufając, że przyjdzie czas, gdy troskliwość następnych pracowników, niedostatkowi temu zaradzi i brak uzupełni. Rychłoli to nastąpi, nie wiemy, lecz skromne przyznanie się i niezrozumiałe ocenienie tej wielkiej pracy, obecnie wszelką krytykę rozbraja. „Czuję to sam, pisze p. Rastawiecki na innym w téjże przedmowie miejscu, że praca moja wielce jest jeszcze niezupełną, że pomimo szczerých usiłności, wiele jęj niedostaje, w licznych szczegółach ulegnie w czasie sprostowaniom i poprawkom. Jestto wszakże pierwsze w tym rodzaju u nas przedsięwzięcie, a do takowych zwykle przywiązane są niezwalczone trudności: ztąd niedostateczność i omyłność, które w następnych dopiero pracach objaśnione, udokładnione i uzupełnione być mogą”.

Komu znane są tego rodzaju poszukiwania u nas, ile one pracy, czasu i mozółu wymagają, jak trudne jest obznajmienie się ze źródłami, w których częstokroć po długich szperaniach niewiele, lub zupełnie nic

się nie skorzysta; kto wreszcie tak zbliżka patrzył na starania i prace szanownego autora jak ja: ten zaprawdę słuszne świadectwo dać może, że p. Rastawiecki pragnął szczerze, aby obecne dzieło swoje uczynił o ile można najlepszym. A jeżeli co opuścił, uwagi nie zwrócił, zbyt na wiarę podania zaufał: sąto grzechy do przebaczenia łatwe, a tą razą do uniknienia trudne. Tam bowiem, gdzie dobijać się, że tak powieźć można, o każdy fakt było potrzeba, tam krytyczna ocenka musiała być zaniechaną, a często nawet do uskutecznienia niepodobną. Więc błędy i omyłki, właściwe na tym ziemnym padole wszystkim ludziom i ich dziełom, z góry przebaczone być muszą. Przyjdzie czas na wszystko, a łatwiej teraz przy tym zaczątku uzupełniać i sprawdzać podane fakta, aniżeli je na nowo zbierać i szykować.

Gdy jednak autor ma jeszcze czas niektóre uzupełnienia przy drugim tomie poczynić i takowy od jednego z zarzutów uwolnić, zrobię tu kilka uwag, w dobrej chęci przysłużenia się nauce, przedmiotowi i zacnemu pisarzowi. Drugito raz wypada mi czynić wymówki naszym warszawskim autorom, iż bogatych źródeł archiwalnych tu znajdujących się, zaniedbują. P. Rastawiecki mając obficie nadsyłane sobie materiały z akt radzieckich miasta Krakowa, w których kilkadziesiąt nazwisk malarzy zupełnie nowych wynalazło się, posiadał już wskazówkę, że podobne źródła w Warszawie mogą jeżeli nie równą ilość, to niemniej znaczną dostarczyć. Dlaczegoż więc dowiedzieć się o nich zaniedbał? Dlaczego czyjś pod tym względem rady nie zasięgał, o akta podobne nie zapytał się? A jest takich akt liczba tu niemała, i w nich bez liku wiadomości, nawet malarzy tutejszych tyjących się. Wszakże Warszawa od końca XVIgo stulecia była stolicą dawniej Polski, miała w swoich murach ciągle mieszkających monarchów, szczególnych lubowników malarstwa: Zygmunta III, Władysława IV, Jana Kazimierza, Jana III, Augusta II i Stanisława Poniatowskiego. Więc niepodobną byłoby rzeczą przypuszczać, ażeby w Krakowie tylko mieszkali ich nadworni malarze i inni artyści. Musieli i tu bawić, pracować, mieć stosunki, żyć i umierać. O wszystkiém tém, równie jak w Krakowie, znalazłyby się w owych aktach ślady, gdyby ich był autor nie zaniedbał. Co więcj nawet, zanim Warszawa stolicą została, śnadź jeszcze za książąt mazowieckich, mieszkali tu tego rodzaju artyści, mieli swoje własne posiadłości, i nie małuczkie poważanie I ażeby to zdanie przykładem utwierdzić, przytoczę wiadomość, którą w najdawniejszej rewizyi starostwa warszawskiego i miasta Warszawy w r. 1564 odbytej, wyczytałem. Owoż tam pomiędzy spisem domów libertowanych, to jest wolnych od podatków, i juryzdykeyi miejskich niepodległych, co tylko zasłużeni i znakomici ludzie posiadali, umieszczona

jest kamienica *Macieja malarza* na Żydowskiej ulicy, niegdyś pomiędzy ulicą Piwną a Dunajem położonej, znajdująca się. Takich zaś Maciejów, Stanisławów, Janów, Kazimierzów, i t. d., i więcej po innych aktach wyszukać można. Wskazałyby ich spisy domów w archiwum akt dawnych w Magistracie i w Archiwum głównem z lat 1655, 1659, 1669, 1685, 1722 i 1754 i t. d. znajdujące się. Znalazłyby się wspomnienia w Archiwum głównem w aktach miasta Starój Warszawy, które dzielą się na tak zwane *Indukty* i *Manualy* czyli bruliony, a których wszystkich jest voluminów 944; między temi najważniejszych to jest radzieckich, indukt. 128, manual. 128, i te się zaczynają od r. 1474, kończą się zaś na r. 1794. Równie ważne są akta Wójtowsko-ławnicze od r. 1427 poczynające się, a tych jest indukt. 79, manualów zaś 130. Zresztą w aktach wyroków, inkwizycyj, obłatach i t. d. podobnie szukaćby wypadło. Dalej akt miasta Nowej Warszawy jest także voluminów 247; akt rozmaitych jurydyk Warszawę składających voluminów 186; ksiąg metrycznych 450 i t. d. co do dawnych czasów. Do nowszych są akta Kommissyi Oświecenia po byłym uniwersytecie i t. p., gdzie dokładne, bo autobiografie w stanach służby niektórych professorów i nauczycieli malarstwa znajdują się i t. d. Źródła to więc są niemałe, i godne wszelkich miar, aby ich lekce nie ważyć.

Temu zatem niedostatkowi, oprócz całkowitych opuszczeń, przypisać wypada niektóre mylne zdania i wiadomości, które p. Rastawiecki za bezwzględnie pewne już uważał. Tak np. w żywocie Szymona Czechowicza na str. 103 zbyt stanowczo szanowny autor utrzymuje, iż artyście temu zawdzięcza sztuka krajowa tę jeszcze zasługę, iż on pierwszy z Polaków utworzył u siebie formalną szkołę malarstwa, nieznaną do tego czasu na naszej ziemi; gdy tak nie jest, bo cech malarzy, zatem szkoła była od wieków w Krakowie, a w Warszawie już za Zygmunta III i Władysława IV; potem może była zaniedbaną, lecz znowu za Jana III Sobieskiego, już z nazwiska szkoły dostatecznie jest znaną, i o której nawet po drukowanych dziełach doczytać się można. Jakoż Jakób Kazimierz Haur autor dzieł o ziemiaństwie krajowem, w Skarbcu swoim w r. 1693 w Krakowie in folio wydany, na str. 357 w traktacie XXIII *a Malarzkich kunsztach* tak między innemi ciekawemi szczegółami pisze. „W Wilanowie pod Warszawą, z fundacyey y z pobożności osobliwey Najsławniejszego Pana szczęśliwie nam panującego znayduią się teraz takie pomienione szkoły, potrzebne, wygodne y chwalebne, z kąd dopięro tego konsztu malarskiego wynikają w Polsce arcana, co to są sztylagi, proporcje, perspektywy, lanczawty, y dymensie figór różnych, y sztuka przedniey inwentey dawno tego potrzebowała; Polska dla chwa-

ty Bożej y dla ułatwienia kosztu y trudności, z cudzych krajów zaciągając coraz takich obrazów iako téż y mistrzów w podobney potrzebie, gdy może być teraz iak w domu swoia wygoda, oraz y na sławę swego narodu, aby się swoyscy ludzie w tym konscie cwiczyli. A że o tey professiay w tey tu części księgi moiey z tego pisze powodu, y okazyey, gdyż na czas nie tylko piorem, ale i pędzlem zabawiam się”.

Z tego więc jasno pokazuje się, że już za Jana III była w Warszawie szkoła malarstwa, a nadto przybywa i nowy opuszczony artysta i autor wyżej wspomnianego dzieła, którego roboty ręczne przy własnym jego rękopiśmie pod tytułem: „Mercurius Polski” w Bibliotece Głównej Okręgu Naukowego Warszawskiego znajduje się, i gdzie życie jego przez niego samego opisane tamże jest umieszczone. W archiwach warszawskich znalazłby p. Rastawiecki obszerniejsze wiadomości o Albertrandym, Eleuterze, o którym jest np. wzmianka w aktach tak zwanych Sigillata nr. 14 f. 137 jako dworzaninie królewskim, który w r. 1688 w Warszawie dnia 31 lipca za Jana III godność *Equitatus auratus* otrzymał. Także są o Del Benie, Grodzickim i t. d. W aktach po uniwersytecie miałby dokładniejsze materiały do żywota znakomitego a świeżój jeszcze pamięci artysty profesora Antoniego Brodowskiego, o którym najdrobniejsze szczegóły zbytecznemiby nie były. Tamby się doczytał, że Stanisław Antoni Brodowski syn Józefa i Konstancyi Zebrzydowskiej Brodowskich, jak sam o sobie pisze, początkowe nauki pobierał w domu, później chodził do szkół prywatnych, w roku zaś 1801 był na pensyi przez Badera i Wolskiego utrzymywanój; w ciągu tych lat szczególnie się do rysunków przykładał. Pełniąc wolę ojca, sposobił się przez dwa lata na geometrę praktycznego, lecz idąc za skłonnością wrodzoną, wrócił się do sztuk pięknych, które mu się zawsze zdawały być powołaniem jego; mało jednak wówczas mógł znaleźć sposobności doskonalenia się w tym zawodzie. Po śmierci ojca, hrabia Tadeusz Mostowski przybrał Antoniego Brodowskiego za nauczyciela do dzieci swoich i wziął go z sobą do Paryża, gdzie w wolnych chwilach miał sposobność ćwiczenia się w rysunku i prawdziwego zamiłowania sztuki. Na wezwanie matki powrócił do Warszawy, gdzie nie znajdując ani łatwości dalszego doskonalenia się w zawodzie sztuk pięknych, ani możności z nich utrzymania się, użytym został jako sekretarz ekspedycyj francuzkich w biurze h. ministra sprawiedliwości hr. Łubieńskiego. W roku 1809 Towarzystwo Przyjaciół Nauk mianowało Brodowskiego członkiem swoim sposobiącym się, a tegoż samego roku Izba edukacyjna księstwa warszawskiego wysyłając za granicę młodzież, chcącą się w różnych zawodach sposobić do stanu nauczycielskiego, Brodowski podał się na kan-

dydata do malarstwa, i za wstawieniem się radcy stanu Staszica, natenczas członek Izby edukacyjnej, kosztem rządowym do Paryża wysłany został. W Paryżu sposobił się lat pięć pod przewodnictwem Gerarda, profesora akademii i pierwszego malarza królewskiego, uczęszczał do malarni Dawida, i innych celniejszych malarzy. Gdy za powrotem do Warszawy w roku 1814 nie został użytym podług powołania i zdolności swoich (gdy mu ofiarowano tylko było miejsce nauczyciela rysunków w szkole wydziałowej w Kielcach, z pensją roczną 1800 złp.), i gdy uprzedzenia ówczesnego naczelnika Oświecenia Publicznego przeciwko uczniom szkoły francuskiej, pozbawiło Brodowskiego nadziei uzyskania kiedykolwiek stosownej posady, objął obowiązki sekretarza do ekspedycji francuzkich przy b. ministrze Spraw Wewnętrznych hr. Mostowskim. W r. 1819 ogłoszona wystawa płodów sztuk pięknych, pobudziła Brodowskiego do ukończenia oryginalnego obrazu historycznego, Gniów Saula na Dawida przedstawiającego, a jeszcze w Paryżu zaczętego. Sąd złożony ze znawców i artystów, przyznał mu pierwszą nagrodę, a Najjaśniejszy Pan mając sobie obraz ofiarowany, raczył go kazać nabyć dla zbioru uniwersyteckiego. Zresztą w roku 1820 dnia 5 września otrzymał za wstawieniem się radcy stanu Staszica nominacją na profesora zastępcę w b. królewskim warszawskim uniwersytecie i t. d.

Podobnie różne i obfite fakta miałyby p. Rastawiecki w autobiografii Blanka i innych dawnych profesorów lub nauczycieli szkół publicznych. Podlegają także krytyce niektóre podania historyczne; i tak: na str. 44 przy opisie obrazów Bacciarellego, w umieszczonym składzie rodziny króla Stanisława Augusta, podobało się szanownemu autorowi pójść za wcale niekrytycznym heraldykiem, jakim jest Wielądsko, który chcąc przypochlebić się królowi, przodków jego z włoskiej rodziny hrabiów Torellich dość niezgrabnie wywiódł, gdy o tém dawniejsi, Paprocki, ani troskliwy Niesiecki nie pomyślał: bo rzeczywiście familia Poniatowskich byłato sobie dawna drobna polska szlachta, bynajmniej do hrabiów Torellich pretensyi niemająca. Zaś na str. 188 zbyteczną i obszerną zdaje mi się być wątpliwość p. Rastawieckiego, w przyznaniu dwóch pięknych obrazów w kościele pojezuickim poznańskim znajdujących się, któremu z dwóch Grodzickich generałów artyleryi koronnej one należą; gdy p. Józef Łukaszewicz w Obrazie historyczno-statystycznym miasta Poznania w tomie 2, na str. 157 pierwszy podając o tém wiadomość, wyraźnie napisał, że te dwa obrazy są pędzla Grodzickiego generała artyleryi koronnej za czasów Władysława IV, co i p. Rastawiecki wiernie powtórzył. A że wiadomo jest dokładnie, iż Paweł Grodzicki pierwszy generał artyleryi koronnej umarł w roku 1645; po nim zaś w roku 1646

nastąpił, nie brat jego Krzysztof, jak mylnie Niesiecki napisał, lecz Krzysztof Arciszewski, który w r. 1649, a zatém już za Jana Kazimierza oddał urząd ten Zygmunтови Przyjemskiemu, po którym dopiéro w roku 1652 objął takowy Krzysztof Grodzicki. A zatém niemasz wątpliwości gdy powiedziano jest, że obrazy te są pędzla Grodzickiego generała artyleryi za czasów Władysława IV, że robił je piérwszy Paweł, a nie drugi Krzysztof, który dopiéro za Jana Kazimierza ten sam urząd sprawował.

Oto są uwagi, które naprędce przy najlepszym dla dzieła i pisarza usposobieniu, na myśl mi przyszły. Znając dobrze szanownego autora, wiem, że korzystać z nich przy drugim tomie nie omieszka. Nie ujmują one zaś bynajmniej zalety, téj ze wszech miar odznaczającej się w piśmiennictwie naszym publikacyi, która i zasłużoną chwałę autorowi i niemałą korzyść dla pracujących w tym przedmiocie przynosi.

F. Max. Sobieszczański.

Tajne listy Zygmunta Augusta do Stanisława Hozyusza w r. 1549 i 1550 umówionemi znakami pisane, z oryginałów zachowanych w Bibliotece Uniwersytetu Jagiellońskiego odczytał J. Łepkowski. Wiedeń. 1850, w 4ce, str. 6, kart nieliczbowanych 3 i dwa facsimile.

Praca, jaką nam wydawca téj broszurki w kilku przedstawia kartkach, niemało potrzebowała czasu i mrozołu, aby dojść i odgadnąć znaczenie rozmaitych kulasów, któremi te dwa listy Zygmunta Augusta są nakreślone. Już więc dziś treść tych listów nie jest więcéj zagadką, bo dwadzieścia odgadnionych znaków pozwalają prawie wszystko wyczytać; pozostaje tylko dwanaście, które dotąd wielkie przedstawiają trudności, gdyż, jak słusznie wydawca się domyśla, może oznaczają imiona własne czyto osób, czy téż dóbr jakich.

Zapatrując się na tę pracę z rzetelnego stanowiska, łatwo odgadnąć, że powodem do jéj podjęcia była tajemniczość; bo tajemniczość, jak każdy owoc zakazany, ma ogromny ku sobie pociąg. Poświęcił zatém p. Łepkowski kilka miesięcy, aby wydrzeć z łona przeszłości tajemnicę, zapewne i pod owe czasy niewielkiéj liczbie osób znaną, a przeciągiem trzech wieków czasu oddaloną. Zapal dziewiętnasto-letniego młodzieńca, chciwego nauki i sławy mógł tylko tego dokonać, a dowcipny sposób jakiego się chwycił, mając sobie przez profesora Muczковского podane zasady, zasługuje na przywiedzenie go w zupełności: bo podzielamy zdanie szanownego wy-

dawcy, że ktoś posiadający podobne zabytki, może się przez to zachęci do odgadnięcia treści takowych.

Sposób odczytania był następujący: „Na trzech stronicach łacińskich książek, odrachowałem na każdej po 1320 głosek, i przeliczyłem ile razy na każdej stronnicy, powtórzona jest każda z głosek alfabetu łacińskiego. Z trzech liczb tym sposobem wynalezionych, dodawszy takowe i podzieliwszy przez 3, wynalazłem średnią ilość powtórzonej głoski, z której liczbą rachunek ten odbywałem. Tak postąpiłem ze wszystkimi głoskami, a wypadki z obliczeń uszykowałem podług większości, to jest: zacząłem szereg od głosek najczęściej na danych stronicach powtórzonych, a skończyłem na tych, które tamże najmniej razy użytymi były. Do obliczeń owych, dlatego użyłem głosek łacińskich, iż tytuł i zaczęcie pierwszego listu, domyślać mi się kazały, że w języku łacińskim listy te są pisane.”

„W kryptograficznym liście odcyfrowałem najpierw wszystkie znaki, i okazało się, że ich jest 32, a z powtórzeniami w całym liście 825. Przeliczyłem potem ile razy każdy znak jest powtórzonym i znów podobną jak pierwsza ułożyłem tablicę. Dalej układałem stosunki w następujący sposób: gdy np. okazało się, że głoska *z* jest w języku łacińskim najczęściej powtarzana, bo w przecięciu 155 razy na 1320 głoskach, a znak π był powtórzonym także najwięcej, bo 87 razy na 825 znakach, z ułożonej więc proporcji $155:1320 = x:825$ wypada $x=96$. Wniosłem więc że znak, który liczbą swoich powtórzeń najpodobniejszym jest do liczby 96, jest głoską *z*. Tym znakiem była postać π , która powtarzała się razy 87. Tak postąpiwszy ze wszystkimi znakami i głoskami alfabetu, ułożyłem klucz, za pomocą którego, po odhyciu tych mozolnych obliczeń, zacząłem czytać wyrazy w rzeczonych listach. Zachodziły jeszcze niemałe trudności w oddzieleniu wyrazów, gdyż głoski jednym ciągiem są pisane; w rozdzieleniu zdań, gdyż brak znaków pisarskich, a wreszcie 12 niewyczytanych znaków, nieprzełamana dla mnie do dokładnego odczytania stały się zawadą. Dwunastu pozostałych, niewyczytanych znaków, nie można liczyć do głosek pojedynczych; są one bowiem, jużto imiona własne oznaczającemi, jużto skröceniami, wreszcie liczbami lub znakami pisarskiemi.”

Treści odczytanych w ten sposób listów również są ciekawe, chociaż przez wydawcę trochę mylnie zrozumiane. Pierwszy z Krakowa dnia 4 lutego 1550 r. pisany bynajmniej nie donosi o niedojściu do skutku zamiaru zwołania sejmu, i odłożeniu onego na później, ale owszem donosi, że cesarz zgadza się na niego, i że swych posłów przystać obie-

cał; zresztą nie naucza nas nic nowego. Drugi z Niepołomic d. 2 października 1549 (1) nierównie jest ważniejszy.

Zygmunt August donosi w nim Hozyuszowi: iż się dowiedział, że Bona sprzedaje dobra, które ma w królestwie neapolitańskim, a inne majątności, które częścią już do Wenecyi i innych miast włoskich przeprowadziła, częścią jeszcze ma w Polsce, przez Zygmunta na własność sobie oddane mieć chciała; aby zaś tém łatwiej tego dokonać, z Polski pod pozorem kąpieli wymknąć się umyśliła (2). Prosi więc król Hozyusza, aby w jego imieniu działał z cesarzem rzymskim, aby tenże nie dozwolił Bonie wyrządzać mu krzywdy, zabierając majątek, który mu dziedzictwem po ojcu należy. „Bo (pisze Zygmunt) choćbyśmy wypełniając nasze obowiązki, winną matce powolność okazać chcieli: to mimo tego mamy prawo przeszkadzania, aby pieniądze nie wychodziły z królestwa naszego. Nie czyniąc więc nic przeciw prawu i obowiązkom, godziwemi środkami starać się będziemy zmięczyć jej postanowienie. Prosimy więc cesarza, aby ani na przywłaszczenie sobie majątku naszego, ani na wolny przewóz takowego przez swoje państwo nie dozwolił, za co bardziej niż dotąd byliśmy, obowiązani mu będziemy.”

Nareszcie dodaje: „że choćby już nie szło o stratę majątku, ale tylko o naszą dobrą sławę, to już dlatego samego, nigdy na jej wyjazd nie pozwolimy: bo każdy nie inaczejby rozumiał, jak tylko, że wielką jaką krzywdę i obrazę wyrządziliśmy Bonie, gdy królowa królestwo, matka syna porzuca; gdy przeciwnie, tak od nas, jako i od poddanych naszych winną cześć odbiera.” Prosi w końcu Hozyusza, aby w tym interesie zażądał pomocy od Granvelli i jego syna biskupa atrebańskiego; którym za doznaną pomoc wywdzięczyc się nie omieszka. Dodaje w końcu, aby Hozyusz pamiętał, że rzecz ta ma być tajemnicą, którą tylko cesarzowi i użytym do interesu udzielić ma.

Taką więc jest treść tych obu listów. Gdyby odgadnąć pozostałe dwanaście tajemniczych znaków, może co więcej jeszczebyśmy się dowiedzieli; tymczasem dziękujemy i za to wydawcy, słuszną oddając pochwałę za podjętą przez niego pracę na polu archeologicznych poszukiwań, które zawsze do naszej wdzięczności zupełne mają prawo.

Teraz słówko o samém wydaniu.

Broszurka ta cała liżągrafowana, z pierwszego porównania wyczytanych listów z załączonemi facsimilami, znaczne przedstawia omyłki.

(1) Równie mylnie oznaczona jest data przez wydawcę na 31 października.

(2) Tu także błędne wytłumaczenie: Bona albowiem nie dla siebie tych dóbr pragnęła, lecz testamentem komu innemu, nie synowi, zapisać je chciała; ztąd król prosi tylko, aby tak sprzedaży dóbr, jako i zrobieniu testamentu zapobiedz.

Itak: w liście pierwszym w wierszu 5 zamiast *veniens*, powinno być *verabilis*; w wierszu 10 zamiast *cum dignitate nostrae aperaganturi*, ma być *cum dignitate nostra ea peragantur*; w wierszu 13 nie *mittiri*, lecz *mittere*; w wierszu 17 nie *pura*, lecz *P. Vra* (*Paternitas Vestra*); w wierszu 21 zamiast trzech dziwnych wyrazów *nec essit vdines*, powinno być poprostu *necessitudines*; w wierszu 28 i 29 nie *indicere*, lecz *indicare* i t. d.; lecz te, równie jak i inne jeszcze omyłki, więcej złej korekcie w litografii, niż błędnemu wyczytaniu wydawcy przypisać należy.

S. L.

Chłopi arystokraci. Szkic dramatyczny w jednej odstonie, ze śpiewkami, przez Władysława Ludwika Anczyc. Kraków, w drukarni Józefa Czecha. 1850. W 16ce, str. 80.

Dramacik ten, jako utwór treści żywotnej i wierny obraz naszych włościan, żydów i żołnierzy w wojsku austriackim służących, zasługuje na uwagę. Jeżeli w ogólnym układzie brak znajomości pierwszych warunków sztuki, za to szczegóły wyborne, a charaktery nacechowane prawdą, i doskonale oddane. Był on przedstawiony na teatrze krakowskim pierwszy raz d. 20 grudnia r. z.

Treścią tego szkicu jest czas obecny, gdy w Galicyi chłopom darowano posiadane grunta, i zniesiono pańszczyznę. Gospodarze rolni stanowią tu arystokratów, którzy pomiatają zagrodnikami, jako temi, co nie mają żadnej własności. Katarzyna, żona rolnego gospodarza, przedstawia najsilniej ten żywioł.

W śpiewie następnym dosadnie on się maluje:

Kiej cłek swoje grunta złapie,
Przeniesiema się do dwora,
Będę siedzieć na kanapie,
Będę sobie zawdy chora.
Bez cały dzień będę piła,
Na obiad co dzień gęsina,
Arakiem się będę myła,
Wiwat pani Kogucina!
Jak panowie z polityką,
Z Wiednia sę sprowadzę granie,
Mnie zwać będą „Dobrodziko”
Mego Wojtka „Jaśnie panie.”
A gdy jadę do kościoła,
Luberya konie zacina,
Już slysze jak naród woła:
Wiwat pani Kogucina!

Wojtku! tobie fracek sprawię,
 Sobie sal za ryńskich dwieście,
 Bez lato w kąpielach bawię,
 W ziemie będę mieskać w mieście.
 A gdy jestem za granicą,
 Wtedy myśląc żem grefina,
 Już słyse jak Niemcy krzycą:
 Wiwat pani Kogucina!

Stanisław zagrodnik, jakkolwiek przez Kogucinę poniżany, niemniej jest dumny. Syn jego był deputatem w Wiedniu. „Wy macie siła (odpowiada), ale macie cudze; ja mam mało, ale swoje”. Z cygarem w ustach, z wykrochmalonemi kołnierzami choruje zawsze na pana.

„Mam dość pieniędzy (mówi), a jak braknie, wiem kaj ich sukac; a jak mi się osukaństwo uprzykrzy harendarza, wiem co z żydem zrobić”. Ta mowa i pogróżki, dosadnie malują galicyjskiego chłopca.

Treść tego szkicu jest: Wojciech kmić i Katarzyna jego żona, mając dwóch synów, osiedli na gospodarstwie Bartłomieja, co za bójkę karczemną wzięty do wojska, poszedł do Italii, zostawiwszy na ich opiece córkę swoją Marysię. Szczepan starszy syn Katarzyny, uciekł z domu, i jak wieść niesła, przystał do żołnierzy. Marcin pracując koło roli w pocie czoła, był poczciwy parobczak, pokochał serdecznie Marysię. W téjto właśnie dobie dekret zniósł pańszczyznę, i darował kmićciom posiadane role. Katarzyna pełna dumy szlacheckiej, wraz z mężem przesiaduje w karczmie, ponieważ biedną sierotą: a nastraszona powrotem jój ojca, przyzwawszy w pomoc żyda arendarza, układają wspólnie, aby Marysię wywieźć za granicę, a przed ojcem udać że uciekła z jakim wożakiem na Węgry. Wtedy, jak mówi Mosiek: „Nu, Bartłomić będzie bardzo markotny, pójdzie jój sukac. Nu! jak pójdzie, to go tam pewno diabli wezmą, a wy sobie ostaniecie na gruncie.”

Plan przyjęty, wykonać go więc natychmiast trzeba: ale staje na przeszkodzie przybycie ojca Marysi, który dosłużywszy się stopnia feldfebla, wraca do swojej zagrody. Katarzyna przyspiesza wyjazd sieroty. Kiedy ją Mosiek ciągnie za rękę do przygotowanej bryki, wypada Marcin, odtrąca żyda, ale na dany znak Katarzyny chłopci chwytają go; gdy na czele kilku żołnierzy ukazuje się feldfel, daje się poznać jako Bartłomić, właściciel gospodarstwa, które osiadła Katarzyna z mężem; przebaczając im, i łączy z Marcinem, ich młodszym synem. Otóż treść cała: dodać jeszcze nam potrzeba, że autor wprowadza starszego ich syna *Szczepana*, o którym wieść chodziła, że przystał do żołnierzy. Był on przy wojsku, jako forys regimentowego kapłana. Przebrawszy się w mundur kapłana, poprzedza przybycie Bartłomieja, udaje wielkiego bohatera i zucha; bezczelny kłamca, gra rolę podług swego pojęcia, wielkiego pana.

Charaktery od początku do końca utrzymane stale: język wyjęty z ust ludu, a nawet mowa żołnierzy austriackich, co z chłopów wziętych z Galicyi, wracają do domów, wybornie naśladowana, nadają temu szkicowi wartość literacką. Przy natłoku nędznych tłumaczeń sztuk dramatycznych, przedmiot krajowy, treści żywotnej, nie możemy w milczeniu pominąć.

Wł.

ROZMAITOŚCI.

Indianie północno-amerykańscy i kalifornijscy.

Pod tytułem: „*Huntera niewola pomiędzy amerykańskimi dzikieniami, od jego dzieciństwa, aż do dwudziestego roku życia*”, wyszło przy końcu 1848 r. w Nowym Yorku (w Ameryce północnej) dziełko, rzucające nie-małe światło na charakter, sposób życia i wyobrażenia indyjskich pokoleń, zamieszkujących Stany Zjednoczone Ameryki północnej, lub też w niepodległości blakających się po obszernych lasach i stepach Kanady. W tém też dziełku napotykamy dowody, że Indianie znali bogactwa Kalifornii, lecz z nich nie chcieli i nie umieli korzystać; widzimy także, zważając na charakter wojowniczy, wrodzoną dzikość i nienawiść ku białym, na jak wielkie niebezpieczeństwo narażają się ci podróżni, którzy dla skrócenia sobie drogi, lądem chcą się przedrzeć ku złotodajnej krainie; owszem, że i koloniści tamtejsi, powinni co chwila obawiać się groźnego sąsiedztwa, i napadów, mogących w krwawy sposób zakłócić ich pracę.

J. D. Hunter był synem Niemca saskiego, który osiedliwszy się na samej granicy, wśród lasów, został napadnięty i zamordowany przez Indian, około r. 1824. Z całej familii kolonisty, dzieci oszczędzili tylko dwóch w dzieciennym wieku będących chłopców: z tych jeden wzięty był na wychowanie od Kikapów, pokolenia wałęsającego się w lasach kanadyjskich i bez wieści zginął; drugi szczęśliwszy, przepędziwszy swą młodość między Ozagami, po kilkunastu latach niewoli miał sposobność wrócenia w ojczyste strony, i wydał pamiętniki swojego pobytu wśród dzikich, z których ciekawsze wyjątki czytelnikom wypisujemy:

„Jestto dziwną rzeczą (pisze Hunter), że dzieci białych (Europejczków), które są między Indianinami wychowane, łatwo przyjmują ich sposób życia, i nie porzucają go nigdy. Sam miałem tego kilka przy-

kładow; i kto wie, czy ja nie jestem jedynym wyjątkiem od przytoczonej odemnie prawdy. Co więc, wyznać muszę, że długa walka toczyła się w mém sercu, zanim zdołałem porzucić obyczaje, do których od dziecka przywykłem; owszem, niejednokrotnie teraz jeszcze na widok odwiecznych lasów, zielonych stepów i pustyń bez granic, przychodzi chęć wrócenia do dawnego trybu życia. Z trudnością tylko może je zwalczyć rozum i przekonanie o własném dobru, wynikającym z korzyści cywilizacji, z dobrodziejstw towarzyskiej ogłady”.

O swém wychowaniu i dzieciennych wrażeniach oto co opowiada Hunter:

„ Byłem przyjęty za członka rodziny od pewnego kauza (wojownika Ozagów) i muszę wyznać, adoptacya była mizerna: traktowano nie jako obcego, lecz jako syna i brata. Kanza miał dzieci, przecież nie uważałem ni raz jeden, aby im więc, niż mnie poświęcał starania, lub okazywał miłości; tak samo postępowała i jego żona i krewni. Nigdy przez lat kilkanaście, nie miałem przyczyny skarżenia się na mój los, lub też przypomnienia sobie, że byłem sierotą.

„ Objaśnienia, jakie mi dawali opiekunowie o białych, były dla moich współbraci wcale niekorzystne. Wyobrażano mi ich jako stworzenia niższe umysłowo i fizycznie, jako lud słaby, tchórzliwy, zły i zdalny tylko do uległości.—Zapewniano także, iż moje osiedlenie między Indyanami powinienem uważać za dobrodziejstwo, gdyż mogę stać się doświadczoneym myśliwym, dobrym żołnierzem, mądrym radcą, a z czasem mogę wyjść i na wodza. Wszystko to uważałem za prawdę, dopóki nie pokazali się w pokoleniu biali kupcy. Ci okazywali mi szczególniejsze względy, traktowali uprzejmie i robili drobne podarunki, czém pozyskali przychyłość. Dali też do zrozumienia, że Indianie oszukują mnie fałszywemi wiadomościami, że białe ludy są liczne, potężne, waleczne i szlachetne; że mieszkają w wielkich miastach, w kamiennych domach lub też pływają po morzach statkami, równającemi się górom. Powiedzieli, że w ich osadach jest więc, ludności, niż piasku w rzekach; że ich wojny prowadzone są przez sto tysięcy wojowników, i przy pomocy narzędzi rzucających pioruny; namawiali do udania się z sobą, a przynajmniej do odwiedzenia ich osad. Lecz choć moja ciekawość do wysokiego stopnia pobudzoną była, nie mogłem się odważyć do tego kroku”.

„ Więcej jeszcze poznałem białych, gdy nasze pokolenie osiadło pewnego roku na zimę między *wielkimi Ozagami*; wtedy też po raz pierwszy ujrzałem i słyszałem księdza misjonarza angielskiego.

Przy pomocy tłumacza, miał on długie kazanie, z którego przecież ni ja, ni żaden z moich towarzyszy słowa nie mógł pojąć.”

„Przy téj sposobności zrobić muszę uwagę, że misyjonarze w ogólności nie umieją przemawiać do dzikich, nie mówią do ich przekonania, lecz się odzywają do wyobraźni, która u Indyan jest nierównie tępsza, jak u białych. Zwykle téż wykładają dogmata objawionój wiary, zamiast jój moralność objaśniać. Cieszą się przecież, widząc, że są z uwagą słuchani, lecz to nie dowodzi niczego. Indyanie mają także zasady grzeczności i za największą hańbę poczytują przerywanie mówcom ich rzeczy, lub nieuważne słuchanie; co więc misyjonarze poczytują za wrażenie, jest tylko skutkiem charakteru i zwyczaju dzikich, a nie rękojmią przeświadczenia, a tém więcéj nawrócenia”.

„Jestem zaś prawie pewny, że Indyanie nie z własnego interesu, lecz z przekonania wewnętrznego, dali mi fałszywe objaśnienia o białych. Europejczycy wchodzący z nimi w stosunki, są zwykle kupcami lub maruderami, szukającemi szczęścia albo przytułku wśród niedostępnych lasów; często także sąto ludzie unikający słusznej kary za popełnione w ojczyźnie występki: rzadko trafia się rzeczywiście oświecony lub prawosć miłujący człowiek. Ma się rozumieć, że sąd na podobnych wzorach oparty, nie może być korzystnym”.

O swoich wojennych wyprawach następne szczegóły opowiada p. Hunter:

„Pawni (dzikie indyjskie pokolenie) chciało na nas napaść w jednéj z wycieczek, którąśmy przedsięwzięli ku granicom Kanady. Dowiedziawszy się o tém, użyliśmy podstępu, aby w te sieci, w które nas nieprzyjaciele napędzić chcieli, złowić ich samych. Udał się nam zamiar, otoczyliśmy *Pawnych* i pogromiliśmy całkowicie: 18 padło trupem.

W téj walce, po raz piérwszy i ostatni, pokonawszy jednego z nieprzyjaciół, *skalp* z niego wziętem. *Skalp* zaś jestto gatunek trofeu, pochodzący z obdarcia skóry razem z włosami z czaszki zwalzonego! Nieraz się trafia, że ten *skalp* zwycięzcy biorą z żywych zwyciężonych; możemy sobie wyobrazić, z jaką męczarnią dla nieszczęśliwych.

I Pawna, z którego głowy zdjąłem *skalp* żył jeszcze. Nie mogę bez wstrętu, bez dreszczu wspomnieć owéj chwili. Raniony w nogę Indyanin leżał na ziemi. Przystąpiwszy do niego, obnażyłem mój nóż. Nieszczęśliwy łatwo zrozumiał, co go czeka, ani jedném przecież słowem, ni gestem lub spojrzeniem, o litosć nie błagał. Prośba o nią, hańbą byłaby dla indyjskiego wojownika. Przytłoczywszy kolanem pierś ranionego, podniosłem nieco jego głowę i ostry nóż utopiwszy w tylnej części czaszki, powiodłem go na okrąg i zdjąłem skórę. Krew płynęła

strumieniem, wszystkie żyły nieszczęśliwego drgały przyspieszonym biciem; lecz z piersi prócz głuchego jęku, nie wysunął się ni jeden wyraz, ni jeden wykrzyk bólu. Oddał ducha prawie z ukończeniem krwawej mojej operacji, która trwała do 10ciu minut; nie chciałem bowiem, nauczony od moich towarzyszy, aby choć kawałek skóry lub trochę włosów pokonanego, uronione zostały. Zręczność w zdejmowaniu *skalpów*, jest jednym z zaszczycających przymiotów dla Indyanina; poddanie się cierpliwe męczarni, gdy niema środka obrony, obowiązkiem dla wojownika. Dlatego też dzicy gardzą Europejczykami, że, jak utrzymują, choć umieją walczyć i zwyciężać, nie umieją jak prawdziwi rycerze być zwyciężonymi”.

Jak daleko posuwa się przebieg, cierpliwość, zręczność Indyan w wojnie, a wytrwałość w cierpieniu, następujące przykłady udowodnić mogą:

„, Oddział złożony z 50 Maha-Indyan, wyszedł na polowanie, i usadowił się obozem nad brzegiem jednej z znaczniejszych rzek, wpływających do La-Platta. Zamieszkiwano już tam od dwóch tygodni, i znaczną ilość zwierza ubito, gdy nagle napadło na nieostrożnych nieprzyjacielskie pokolenie Wilczych-Indyan, liczące do 400 wojowników. Walka była zacięta, lecz niedługa: po godzinie walki wszyscy Mahowie polegli, lub ranieni popadli w niewolę. Jeden tylko przepłynąwszy rzekę ujął zdołał. Kilkunastu Wilczych-Indyan pobiegło za nim w pogoń. Nieszczęśliwy widząc, że ucieczka niepodobna, ukrył się wśród gęstych zarośli, i tam doczekał nocy. W nocy, chociaż kilkakrotnie raniony, puścił się rzeką w kierunku jej biegu; w pół godziny jednak stracił siły i musiał wyjść na ląd, obwinąwszy swe rany, jak mógł. Lękając się pogoni wrogów, zaszedł w las, lecz błakając w nim przez całą noc, ze świtem ujrzał się na miejscu, które wieczorem opuścił—i dojrzał kilkadziesiąt Indyan zajętych jego wyszukaniem. Nieszczęśliwy skrył się znowu w zarośla, i znowu z pomyślnym skutkiem. Nie mogąc odkryć zbiega Indyanie, wrócili do swoich, a Maha w las się zagłębił i uszedłszy przeszło milę, znalazł się na piaszczystym wprawdzie, lecz bujną trawą zarosłym stepie. Ledwie przecież miał czas odpoczynku, gdy ukazali się nieprzyjaciele; szło im o ujęcie zbiega, gdyż się lękali, aby nie zawiadomił współziomków o tém co zaszło, i nie skłonił ich do szukania zemsty. Trafili zaś na trop uciekającego, jużto z krwi, jaką od czasu do czasu broczył ziemię, już też z śladów nóg wyciśnionych na piasku. Nieszczęśliwy obawiając się skalpu wrogów, czém prędzej rzucił się w trawę, i ślizgając się między nią, dobiegł miększej ziemi, w którą wrył się cały, obsypując się

piaskiem. Tam bez strawy, osłabiony wpływem krwi i nękanie pragnieniem, przepędził całe dwa dni; gdyż nieprzyjaciele domyślając się, że się znajduje na stepie, wszelkich używali środków aby go odkryć, i nie oddalili się, aż zupełnie stracili nadzieję wynalezienia”.

„Lecz nie mniejsze trudy czekały nieszczęśliwego w podróży, jaką musiał przedsięwziąć dla złączenia się ze swém pokoleniem. Trzeba było zgłodniałemu, rannemu i wycieńczonemu na siłach, odbyć drogę 40 mil niemieckich; nadto z obawy nieprzyjaciół, nocą tylko mógł iść: nie wahał się jednak i w podróż puścił się. Trwała ona całe trzy tygodnie; jego strawa przez cały ten czas, nie wyrównała téj, jaką Europejczyk w jednym dniu spożywa”.

„Jak zaś do głodu przywykli są Indyanie i jak długo znosić go mogą, miałem przykład bardzo dowodny. Rozjątzeni klęską swoich Mahowie, zapragnęli zemsty i napadli na wieś Wilczych-Indyan, właśnie w czasie, gdy najdzielniejsi wojownicy oddalili się na łowy. Nie będę opisywał krwawej sceny, jaka miała teraz miejsce: wszyscy mieszkańcy wsi wymordowani zostali, przeszło 100 skalpów zyskano. Mahowie przecież nie oddalili się z miejsca walki; zostali we wsi, oczekując na przybycie reszty mieszkańców, aby napaść na nieostrożnych. Oczekiwali tydzień cały, gdy nagle w nocy w ich obozie powstała wrzawa. Prędko poznano przyczynę: jeden dom, czego nie uważano, miał pod sobą skrytkę podziemną, w której cała rodzina szukała w czasie napadu schronienia. Nieszczęśliwi nie mieli w owéj piwnicy, tylko trochę żywności, kilka kartofli i skórę lisa. Tém pożywieniem ośm osób żywiło się przez dni cztery; od trzech jednak nie miano w ustach. Przecież i dłuższy głód mogliby wytrzymać, lecz między niemi znajdowało się dwoje dzieci: jedno u piersi, drugie ledwie półtora roku mające. Ich cierpienie skłoniło matkę do opuszczenia kryjówki. Cała rodzina, z wyjątkiem trojga drobnych dzieci, powiększyła liczbę *skalpów*”.

„Szczególniejszy téż dowód cierpliwości Indyan na męczarnie widziałem. W czasie wojny naszego pokolenia z sąsiedniém *Umaroków*, udało się nam schwytać jednego Kanza tego plemienia. Wódz chciał zyskać od jeńca stosowne objaśnienia, dotyczące planów nieprzyjaciół. Nie można było myśleć o pozyskaniu ich dobrocią, trzeba się było udać do środków gwałtownych. Probowano przecie wszystkich tortur, na jakie tylko okrucieństwo ludzkie zdobyć się może, a nic nie pomogło. Tak np. głodem chciano przymusić jeńca: znosił go cierpliwie przez dni 5; potem, znosił przez 3 dni pragnienie, choć je starano się zwiększać, wysypywaniem soli w usta i żywieniem rozpalającemi potrawami. Dalej probowano męczarnią: ściskano palce, aż do łamania kości sznurami, bito

tak, że cała skóra posiekana była, wreszcie pieczono przy wolnym ogniu. W tych męczarniach jeniec żył przez 3 tygodnie i ani jednym słowem nie zdradził zamiarów swych towarzyszy."

„Dziwna rzecz zaiste, pojąć jej nie mogę, jaka jest sprzeczność charakteru wrodzonego, z sztucznym, że się tak wyrażę Indyan. Z natury są oni łagodni, przyjacielscy, dobroduszni i miłosierni. Najuboższy z głodnym podzieli się ostatnim kawałkiem stawy. W domowym pożyciu cierpliwie znoszą niewygody i swary małżeńskiego pożycia; zgon przyjaciela, rzewne łzy z oczu wyciska; nie mszczą uraz przyniesionych sobie przez ziomków lub towarzyszy: a w wojnie i z nieprzyjacielem dopuszczają się okrucieństw, o dreszcz przywodzących serce. Są kłamliwi, złośliwi, podstępni. Jak wspomniałem jednak, *sztuczne* jestto usposobienie umysłu, wypadek zwyczaju, a nawet wiary, nakazujących rozlewać krew wrogów choćby nawet niewinnych."

„Europejczyków szczególniej nienawidzą. Są dla nich najezdźcami i łupieżcami cudzego dobra; dlatego biada, gdy który w ich ręce popadnie. Prócz kupców, których jakotako dla własnego interesu cierpią, wszystkich innych bez miłosierdzia zabijają. Koloniści szczególniej są celem ich nienawiści, a niekiedy i wypraw. W dzieciństwie mojem należałem do jednej z nich.

„Pewnego dnia, naczelnik pokolenia Ni-kisz-la-ti (wielki borsuk) zebrał kilkudziesięciu wojowników i udał się z nimi nad rzekę La-Plata. Byłoto w r. 1832 w czasie zawichrzeń w Kanadzie, gdy granice skutkiem odciągnięcia w inne strony wojsk, nie były bronne. Na samém pograniczu mieszkał jakiś angielski osadnik; Ni-kisz-la-ti postanowił go napaść. Kolonia była obszerna i dobrze zabudowana; Anglik z trzema służącymi dzielnie się bronił, i wystrzałem z fuzyi ranił naczelnika: to go skłoniło do krwawej zemsty. „Bracia — wykrzyknął do kanzów—hańba wam, jeżeli, nim słońce zajdzie, skalpu nie weźmiecie z wrogów. Ogłoszę was w pokoleniu jako niegodnych nazwiska wojowników, jako tchórzów, zdatnych tylko do stawiania sideł na lisy i bicie strzałami ptaków."

„Pogróżka wpływ na umysły wywarła, rzucono się z zaciętością do szturm: trzech służących Anglika zostało zabitych, on sam do niewoli się dostał."

„Nie zapomnę go nigdy. Poważnej postawy i urodny byłto mężczyzna. Znał nieco, jak większa część przygranicznych kolonistów, nasz język, i chciał wejść w układy."

— Słuchaj—rzekł do naczelnika—dostałem się w twoje ręce; życie możesz wziąć, lecz bądź miłosiernym. Wielki duch w tamtém życiu, a ja w tém cię nagrodzę.

— I cóż mi dasz jeśli cię ocalę?—zapytano.

— Wszystko, co posiadam tutaj, stanie się twoją własnością.

— To, co tu posiadasz, jest już własnością naszą pozyskaną ramieniem i piorunem naszych fuzyj. Nie dajesz więc nic?

— Dodam beczkę ognistej wody (okowity), którą sprowadzę umyślnie z Kanady.

Ofiara podobała się wojownikom, spostrzegł to Anglik i dołożył:

— To daję za okup siebie, drugą zaś beczkę za ocalenie mojej rodziny.

— A więc masz dzieci i żonę?—podchwytliwie zagadnął Indyanin.

— Tak—odparł Anglik—znajdują się w budowlu sąsiedniej.

Nie miał zaś powodu dawania objaśnień, gdyż w tej prawie chwili, przywiedziono nieszczęśliwych; młodą i piękną niewiastę lat najwięcej 24, dwoje dzieci, chłopca i dziewczynkę. Chłopca niemowlę, dziewczynkę drobną, lecz miłą istotę, lat dwóch najwięcej.

— To tedy twoja żona i dzieci?—zagadnął naczelnik.

— Tak—mówił Anglik z łzami w oczach—i jeżeli nie nademną, zlituj się nad nimi. Jestem bogaty! i do okupu, który obiecałem, mogę dołożyć większą jeszcze ilość, jaką wyznaczysz broni, kul i prochu.

Szmer radości rozległ się między naszymi wojownikami; ostrem spojrzeniem powściągnął go Ni-kisz-la-ti.

— Biały—zwracając się do Anglika przemówił:—mujesz zginąć, taki los nazaczył ci Wielki duch (Bóg); przysięgam sobie, że zginiesz.

— Przynajmniej rodzinę moję ocal; zmituj się nad nią....

Indyanin chwilę pomyślał. i—dobrze—wyrzekł; lecz za nią nagrodę obiecaną dać musisz.

Drżącą ręką jeniec skreślił kilka wyrazów w pugilaresie, oddał go Indyaninowi, i prosił, żeby mógł się z żoną i dziećmi pożegnać. Wódz z szyderstwem zezwolił na to. Czulość małżeńską, za słabość duszy niegodną wojownika uważał.

Biędna niewiasta i dzieci, nie rozumiejąc języka Indyan, w którym cała rozmowa prowadzoną była, nie dorozumiewali się i okropniej jej treści. Niby jednak przeczuwając nieszczęście, rzewnymi zalewali się łzami. Uspokoił ich jednak nieco Anglik, zapewne fałszywą obietnicą, i zwróciwszy się do wodza, przemówił:

— O jedną tylko łaskę proszę cię; widząc, że nieodwołalna śmierć moja nastąpi, niechże ona będzie tajemnicą dla nieszczęśliwej mojej rodziny.

W miejscu odpowiedzi, okrutny Indyanin dał znać Kanzom. W tój samėj chwili kolonista został obalony na ziemię, i ostry nóż wodza zranił mu czaszkę, aby *skalp* odjąć.

Straszna byłato scena; opisać jėj niesposób. Straszniejsze jeszcze następstwa.

Żona nieszczęśliwego, rażona okropnym a nagłym widokiem, boleśnie wykrzyknąwszy, upadła bez duszy na ziemię; insza rzecz z dzieciną, córką!

Ujrawszy okrutnie ranionego ojca, widząc jego cierpienie, rzuciła się w obronę, uchwyciła wodza za rękę. Miłość dziecięca sił wiotkiemu ciału dodała i przerwała nieszczęsny *skalp*.

Wódz się uniósł gniewem: potracony, fałszywe zarznięcie zrobił, *skalp* był popsuty. I bez litości, bez miłosierdzia, uchwyciwszy drobną dziecinę oburącz, rzucił ją o twardą ścianę budowli tak silnie, że wątła główka rozbiła się. Krew prysnęła daleko.

Ten widok straszniejszym był dla nieszczęśliwego Anglika, od męczarni jaką ponosił. Wzburzenie umysłu, rozpacz, ból, dodały mu sił prawie nadprzyrodzonych; zerwał swe więzy, rozepchnął czterech trzymających go Indyan, i na wodza rzucił się.

Strasznie było poglądać na tego człowieka z pólodartą skórą czaszki, zbroczonego krwią, z oczami pałającymi podwójną męczarnią duszy i ciała, wydającego z piersi chropowate dźwięki zemsty i przekleństw. Byłato groźne widmo, upiór powstający z grobu i rzucający się na swoją ofiarę; lecz wódz uprzedził natarcie, ostry jego tomahawk utopił się w piersi przeciwnika, a ten upadł, tak, że swą zakrwawioną głową uderzył w pierś zemdlonej żony.

To uderzenie ocuciło nieszczęśliwą. Ocuciło, aby zgubić na zawsze! Wstała, przetarła oczy; zdawało się, nie dowierzała im. U jėj nóg leży krwią zboczony trup męża; o parę kroków dalej zdruzgotane dziecię!... Głuchy jęk wydobędzie się z łona, potem bolesny, chrapliwy śmiech; oko błyszczy gorączką obłąkania, i zanim zdołają wstrzymać Indyanie, porwie swe jednoroczne dziecię, przytuli do łona: śmieje się strasznie, okropnie, dobiegnie głębokiej rzeki, obok osady toczącej spienione nurty, z wysokiego brzegu rzuca się w nią... i ginie.

Lecz nietylko równie ponure i przerażające obrazy daje pan Hunter; znajdują się inne piękne i wiele mówiące na korzyść Indyan. Oto przykład:

„W pokoleniu Ozagów, *Wielkich Weży*, żyło dwóch przyjaciół. Trudy wojenne, prace, polowania, przygody życia, były im wspólne. Ożenili się w jednym czasie, mieszkali ciągle przy sobie, i raz jeden tylko rozdzielili się z sobą.

Pewnego dnia, wódz pokolenia nazaczył wyprawę przeciw koczującemu kanadyjskiemu plemieniu, *Parasów*; lecz jeden tylko z przyjaciół mógł do niej należeć, drugi musiał we wsi pozostać, gwałtowną febrą trapiiony.

Gdy zaś febra ustąpiła w kilka dni po wyjściu wojowników w lasy, *In-tisz-ku-li* (mały skorpion) umyślił udać się na połów ryb, i wzięwszy z sobą dwoje dzieci, jedno przyjaciela, drugie swoje, puścił się z niemi w łódce, rzeką *La Plata*.

La Plata ma, jak wiadomo, w wielu miejscach skaliste brzegi, i ciężkie do przeprawy raffy. Mały Skorpion długo unikał ich szczęśliwie, gdy nagle gwałtowna burza napadła, uniosła łódkę i roztrzaskała ją o skałę blisko brzegu sterczącą.

Mały Skorpion i dzieci pograżyli się w bezdennej przepaści, lecz zręcznemu Indyaninowi kilka tylko chwil było potrzeba, do wydobycia się na brzeg. Dzieci wypłynęły także, oboje wzywały pomocy, lecz które z nich ratować? Szlachetny Indyanin nie wahał się ni sekundy; poświęcił własne, a ocalił syna przyjaciela.

A nie tylko mężczyźni Indyanie, lecz i kobiety odznaczają się stałością duszy, dzielnym sercem i odwagą. Wiele z nich towarzyszy mężom w wojennych wyprawach, inne wychodzą na łowy: wszystkie skrzętnie zajmują się domem i pielęgnowaniem dzieci. Mażeńskie przywiązanie i wierność, nieposzlakowanemi są zawsze. O przykłady nawet bohaterskiej amazonki odwagi nietrudno.

„W mojem pokoleniu (powiada p. Hunter), żyło małżeństwo bardzo przywiązane do siebie. Żona uchodziła za piękność między Indyanami, mąż za jednego z lepszych wojowników; lecz nieszczęściem był gwałtownego charakteru, i lada drobnostka rozgniewała i skłaniała do wydobycia oręża. Towarzysze gromili tę bystrość, lecz jój powściągnąć nie mogli.”

„Wkrótce też fatalne skutki miała ona dla Indyanina. Jednego dnia, *Pi-ko-tai-tschi* (jasna skóra lisa) znajdował się w gościnie w pokoleniu Wielkich Ozagów. Gospodarz, człowiek zamożny, przyjął uprzejmie, lecz do zbytku poczęstował *ognistą wodą*. Głowa *Pi-ko-tai-tschi* rozgrzała się, i gospodarzowi, czy mu w czém przymówił, czy też niewinnie słowem obraził, wydobył nóż, i ciężką zadał ranę. Byłoby zbrodnia w obliczu Indyan, dla których wszelkie nadużycie gościnności, jest nieprzebaczonem występkiem: rzucili się na napastnika i zadali ran kilka, które się okazały śmiertelnemi. Wdowa zabitego, zażądała zemsty u wodzów pokolenia”.

„Rozważyli oni sprawę dokładnie, lecz też dali wyrok, że *zemsta krwi* niema tu miejsca, gdyż *Pi-ko-tai-tschi* był napastnikiem, i jako taki ukaranym został. Przesądzili jednak wdowie *cenę krwi*, to jest wynagrodzenie w kilku domowych sprzętach, odzieży i koniach. Wdowa odrzuciła ze wzgardą ofiarę.

— Krew za krew! Takie powinno być prawo mężnych— dumnie wyrzekła.

— Twój mąż nie zasłużył na naszą opiekę—odpowiedzieli wodzowie—był zabity, bo chciał zabić.

Wdowa na znak żałoby, obcięła piękne swe włosy, i zamknęła się w chacie przemyślając o zemście. Niedługo do niej znalazła sposobność.

„Wodzowie naszego pokolenia zaprosili do siebie na ucztę wodzów i karnów Wielkich Ozagów. Między zaproszonymi znajdował się i wyleczony świeżo z ran gospodarz *Pi-ko-tai-tschiego*.

Właśnie gdy zabawa najweselszą stawała się, w gronie biesiadujących ukazuje się wdowa.

Według zwyczajów indyjskich, kobietom niewolno znajdować się na biesiadach mężczyzn. Wódz pokolenia przypomniał o tém przybyłej.

— Na ten raz przebaczycie—odpowiedziała dumnie—winniście zaś przebaczyć tém snadniej, że przychodzę tutaj nie z próżnej ciekawości, lecz jako opiekunka trzech sierot i mścicielka niewinnej krwi mojego małżonka.

Zwróciła się do kazny Ozagów i dodała:

— *Maj-te-li-ko* (Wąż skryty)! jakąż sprawiedliwość mieć mogę od ciebie za krew rozlaną?

— Nie przyjęłaś jej ceny, niech więc wodzowie rozstrzygną.

— Płacisz prawo, lecz mnie nie wynagradzasz. Wężu skryty! mnie dać powinienś zadośćuczynienie, choć wodzowie nie wymagają. Ja chcę krwi za krew. Zabiteś mojego męża, zginąć więc musisz.

Nie dokończyła jeszcze swoich słów, a już jej nóż, który dotąd starannie ukrywała pod szatą, utonął w piersi nieszczęśliwego”.

Jednym z najciekawszych ustępów dzieła *Huntera*, jest ten w którym opowiada o swój wędrowca do oceanu Wschodniego i Kalifornii.

„Przedewszystkiém jednak winienem wspomnieć nieco o religii i podaniach Ozagów, jako przedmiotach ściśle wiążących się z wspomnianą podróżą:

„Podstawą wiary wszystkich w ogólności Indyan, jest jedność i wszechmocność bóstwa, nieśmiertelność duszy, i wiara w nagrody

i kary przyszłe. Według ich rozumienia przecież, Bóg, któremu dają nazwisko „Wielkiego Ducha” chociaż sam zamieszkuje w niebiosach, nie dopuszcza do nich dusz ludzkich, lecz złe strąca w podziemne pieczary lub odsyła w krainy wiecznego zimna, lodu i głodu, a dobre przenosi w kraj zaoceanowy, gdzie panuje wieczna wiosna, gdzie się znajduje dostatkim zwierza, a zimno, głód i niedola z nazwiska są nawet nieznanne.

Ten zaś kraj szczęśliwy, ten raj ziemski, ma się znajdować po drugiej stronie oceanu Spokojnego. Należy zaś i to do zasad wiary, że po śmierci wszystkie dusze siadają w łódki i puszczają się na to morze; cnotliwi przecież tylko mogą przebyć go, bo łódki występnych roztrącają się o skaliste brzegi, lub je zanurza fala w swoich bezdennościach.

Tradycye także ludu wspominają o oceanie Spokojnym jako morzu, zpoza którego nigdy przybyli pierwsi ojcowie indyjskich plemion, a o ziemi dotykającej do niego, to jest o Kalifornii, jako o krainie nadzwyczajnie bogatej w drogie kruszce.

„ Ta kraina, przytaczając podanie Ozagów, mówi p. Hunter, była nigdy bardzo odwiedzana przez różne ludy Ameryki, a szczególnie przez Asfeków (Meksykan), którzy ztamtąd ogromne wywozili skarby w złocie i w srebrze. Ślad ich prac w tym względzie ma być jeszcze tam widoczny, lecz te skarby należały nie do nich, lecz do ducha ciemności (szatana). Ten chętnie udzielał złoto, ale z warunkiem, że Asfekowie będą mu składać dziesięcinę z ludzi: to jest z każdej gromady przybywającej do Kalifornii, każdy dziesiąty człowiek miał być mu na ofiarę zabitym. Długo Asfekowie dopełniali wiernie przymierza, lecz wreszcie znużeni podatkiem, wzięli się na sposób: nie przybywali, jak tylko w gromadkach 9 ludzi. Oszukany djabeł rozgniewał się i sprowadził na ukaranie Asfeków swych białych braci (Europejczyków), a skarby kalifornijskie to wodą zalał, to ziemią przykrył”.

Otóż podwójny wzgląd skłania pokolenia indyjsko-kanadyjskie i centralne, do przedsiębrania od czasu do czasu wycieczek do Kalifornii i na brzegi oceanu Spokojnego; wzgląd jużto religijny, już téż tradycyjny. Że jednak podróże nie są częste, i połączone z wielu trudnościami, przekonujemy się z następnego opisu p. Huntera:

„ Podróż nasza nie była ani przyjemną, ani łatwą; trzeba było przebywać jużto niezmiernie bezwodne i płaskie wywyższenia, już téż strome góry lub ogromne stopy piaszczyste. W kilku tylko miejscach napotykalismy lasy, lecz za to obszerne, mil kilkanaście szerokie i napelnione dzikim zwierzem, jak panterami i jaguarami, a co gorsza, jadowitym gadem, grzechotnikami i niedźwiadkami. Grzechotników szczególniej ogromną ilość natrafalismy, tak dalece, że choć największe da-

waliśmy baczenie, nie obyło się bez jadowitych ukąszeń, śmierć sprowadzających. Zanim obraliśmy jakie obozowisko, wprzód dokładnie opatrywaliśmy miejsce, przetrząsali każdą bryłę ziemi i zapalaliśmy ogień; a jednak, prędzej lub później, ukazał się między nami grzechotnik, niedźwiadek lub wąż czarny bardzo złośliwy. O żywność też trudno było, chociaż byliśmy zaopatrzeni we wszystkie myśliwskie przybory; po dwa dni i więcej ciężki głód musieliśmy znosić, bo w wielu miejscach ani można było nawet śladu dopatrzeć zwierza, któryby mógł na pożywienie postużyć; ptactwo nawet jest rzadkie. Zdaje się rzeczywiście, iż to jest kraj bożkiem przekleństwem dotknięty, i na wieczną przeznaczony pustynią.

Nadto, na drodze napotykaliliśmy szerokie rzeki i gwałtowne potoki, wszędzie, prócz przy nich, był dotkliwy brak wody; nigdzie ani strumyka, ni jeziora. Nieraz dwa i trzy dni iść trzeba było, słońce piekło upałem, a ni kropelki wody, którąby można znużone ciało posilić, spieczona usta ochłodzić.

Co do gór, oddzielających Kalifornią od reszty lądu, jestto zbiór olbrzymich skał, kilkanaście mil szerokich, pełnych przepaści, wąwozów, rozpadlin i głębokich łożysk potoków. Wielkiej trzeba odwagi, aby się zapuścić w te, że się tak wyrażę naturalne tamy, jakie ręka Najwyższego położyła wędrówce ludzi; wielkiego trzeba szczęścia, aby wśród nich bezpieczną drogę znaleźć.

I nie znaleźlibyśmy jej nigdy, bez pomocy miejscowych pokoleń. Są one liczne, ludne i wojownicze; z sobą jednak w przykładowej zgodzie zostają: dla obcych są tylko strasznymi. Nas przepuszczały jako odprawiających pobożną pielgrzymkę, a więc przychodzących w pokoju; Europejczyków uważają za najeźdźców, którzy prędzej lub później zajdą w ich strony, aby je ogarnąć, jak to już uczynili z wschodnimi stronami amerykańskiego lądu. W tém zapewne niebezzasadném mniemaniu zostając, przygotowują się do przyszłej zaciętej walki, i gdy tylko ukaże się między nimi biały, bez miłosierdzia zabijają.

Pomimo tego, Europejcykowie osiedli już nad brzegiem oceanu, lecz ich osady są niewielkie i nieliczne. My w naszej podróży nie natrafiliśmy na żadną.

Od gór począwszy ku morzu, kraj więcej jeszcze jest dziki, pusty, bezwodny i pozbawiony zwierzyny. Pokolenia, które go przebiegają, są jak poprzednie wojownicze, i nieprzyjazne Europejcykom. O złoto między niemi nietrudno, lecz używają go tylko w ostatecznej potrzebie, przenosząc żelazo jako kruszec więcej silny, a więc użyteczny. To złoto zaś, jak mówili, wydobywają już z gór ciągnących się w głąb Kalifornii, już

znajdują w kawałach dość dużych u jednej z rzek, której nie umieli dać nazwy, ani oznaczyć kierunku; mówili tylko, że wpływa w ocean.

Co się tyczy oceanu, nie jestem w stanie określić wrażenia, jaki jego widok wywarł na mnie i na moich towarzyszy. Wychowańcy głuchych lasów, spokojnych stepów, nie mogliśmy pojąć skupienia tyle wody razem, i szumu i huku jaki on wydaje, tłukąc się o skaliste brzegi. Wszystkie nasze legendy religijne i ludowe przyszły nam na pamięć. Za tym morzem umieścić Twórcę raj ziemski; lecz jakże się na wątlój łódce dostać do niego? jakże mała liczba wybranych być musi!—Upadliśmy twarzami na ziemię, dziękując za szczęśliwe dośięgnięcie celu wędrówki, a zarazem błagając niebios, aby kiedyś równie szczęśliwie pozwoliły ją za krańce oceanu przeciągnąć! Modlitwy zaś nasze, zapewnić mogę, były gorące i szczerze.

Cała podróż trwała szesnaście miesięcy.

Ozagowie mieli już nas za straconych, mówi dalej p. Hunter, dlatego wracających przyjęli w najzaszczytniejszy sposób. Moja przybrana siostra i matka płakały głośno, równie jak wszystkie inne kobiety, i uwieczniały nasze głowy kwiatami; właśnie, jakbyśmy najzaszczytniejsze odnieśli zwycięstwo. Starcy i wojownicy słuchali naszych opowiadań z zadziwieniem i ciekawością, i obsypali nas pochwałami, niby mężów największą sławę przynoszących pokoleniu. Naczelnik wyprawy Tare-heem został policzony do radców pokolenia, nam nadano godność wojowników pierwszego rzędu; kilku z nieożenionych, otrzymało od młodych dziewięć kłosy żytnie, oznakę, że chętnie oddadzą im rękę.

Lecz jeżeli trudy téj podróży były wielkie, niemniejsze były te, na jakie niejednokrotnie p. Hunter narażonym był w wyprawach na łowy. Ciekawy daje opis jednej z takich wypraw, i w nim dowodzi, ile życie dzikich jest przykre i pełne niebezpieczeństw.

„Część naszego pokolenia (mówi) wyprawiała się na jesienne łowy, i zagłębiła się w lasy, daleko więcej, niżeli ostrożność pozwalała. Surowo też opłaciliśmy zuchwałość; nagle spadły takie śniegi, że drogi, prawie niepodobna było wynaleźć, i co gorsza, że dla ułatwienia podróży, musieliśmy porzucić zdobytą zwierzynę. Cieszyliśmy się przecież nadzieją, że osiągniemy naszej wsi, tylko dwadzieścia mil już odległej, gdy jednego ranka, powstała taka zawierucha, jakiej w życiu mojem nie zapamiętam. Śnieg padał tak gęsty, że powietrze niem napelnione, wydawało się tylko jedną białą płachtą; a wiatr był tak silny, że nam oddech tamował. Trzeba się było zatrzymać, co téż uczyniliśmy, zbivszy się w gromadkę twarzą ku sobie, i pewni zgonu, oddając się woli Opatrzności.”

„Jak długo zostawaliśmy w tym stanie, wiedzieć nie mogę, gdyż w głęboki sen wpadłem, w skutek mrozu i znużenia. Gdy się ocknął, noc była piękna, pogodna, lecz mroźna. Obudziłem towarzyszy, namawiając ich, aby w dalszą puścić się drogę; lecz to było niepodobiestwem: otoczyły nas zaspysy śniegu wysokie jak okopy forteczne, owszem wyższe nawet, bo gdyśmy spojrzeli na przyległy las, widzieliśmy, że był zasuty do połowy drzew śniegiem. Torowanie drogi, dałoby się nie przydało; szło tylko o zwiększenie naszego obozowiska i spokojne oczekiwanie na roztop zamieci”.

„Nieprędko jednak to nastąpiło: mróz stając się coraz silniejszym, ukrzepiał śniegi, i utrudniał przeprawę. Usadowiliśmy się jak można było najwygodniej, odgarnęliśmy śnieg, żeśmy dostali się do ziemi, i natrafili z wielką naszą radością na kawały zmurszałego drzewa. Z nich utworzyliśmy sobie pewien gatunek ściany, i przez tarcie wydobyliśmy ogień”.

„Tydzień cały przeżyliśmy w tym stanie. Mróz wprawdzie zwolniał, śniegu trochę stopniało, lecz jeszcze było go dosyć, i aż nazbyt, aby myśleć o oswobodzeniu się. A tymczasem żywności braknęło; gdy przypadek nas spotkał, na 60 ludzi mieliśmy tylko jednego jelenia i parę zajęcy. W trzy dni były zjedzone; przez resztę czasu żywił się skórą naszą odzieży, i teln, które zebraliśmy, aby je kupcom sprzedać”.

„Gdy skór zabrakło, nie wiedzieliśmy co począć. Najokropniejsza z wszystkich rodzajów zgonu—śmierć głodu, zdawało się, że będzie naszym udziałem; przeznaczenie jednak ocaliło od niej”.

„Właśnie gdyśmy się odławiali największej rozpacz, rozległo się w bliskości nas wycie wilka; poczuł zapewne łup, i dawał znać o nim towarzyszą. Wycie rozlegało się jednak nie od szczytu naszego legowiska, lecz z boku, i dało nam do zrozumienia, że wał nas otaczający nie był grubym; jakoż tak istotnie było. Znajdowaliśmy się przy lesie; wiatr gnając śnieg ku niemu, utworzył zaspę, którą naszym ciepłem rozgrzawszy, wydrążyliśmy, i tym sposobem znaleźliśmy się w pewnym gatunku okopu. Żywo wzięwszy się do pracy, przebiliśmy wał, a że wilk był nie daleko, zręcznym strzałem potrafiliśmy go ubić”.

„Zgłodnieli, rzuciliśmy się na dzikie zwierzę i w kilka minut kości tylko z niego zostały. Dał nam jednak zapas żywności na dni kilka, bo swoim wyciem sprowadził kilkunastu towarzyszy, którzy wszyscy pod naszymi strzałami polegli”.

„Lecz chociaż mieliśmy możność wyjścia, nie śmieliśmy tego uczynić. Mróz był nadzwyczajnie silny, zaspysy śniegu ogromne; baliśmy się w nich zginąć, lub zmarznąć na drodze, a żywności znowu zabrakło.

Rozgarniając śnieg, wydobywaliśmy trawę, mech i korzenie, i temi utrzymywaliśmy życie znowu dni kilka”.

„ Pewnego dnia, nie mogąc znieść głodu, opuściłem legowisko i wyszedłem na pole, chcąc poszukać zwierzyny. Szczęście zdawało się sprzyjać mojemu zamiarowi, gdyż zaledwie kilka uczyniłem kroków, a już spostrzegłem ogromnego jelenia, cwałem w pobliżu pędzącego. Wystrzał mój zabrział, jeleni upadł, lecz gdym postąpił ku niemu, zobaczyłem olbrzymiej wielkości panterę, uprzedzającą mnie w schwyceniu łupu. Cofnąłem się przestraszony, lecz już było zapóźno; dojrzały byłem od dzikiego zwierza. Rzuciło się ku mnie, moja zguba zdawała się być nieuchronną, gdy razem kilka strzałów rozległo się i zwierz padł martwy. Czterech z moich towarzyszy posłyszawszy wystrzał, opuściło legowisko i dojrawszy niebezpieczeństwo w jakim się znajdowałem, uwolniło od niego”.

„ Cztery zaś blisko tygodnie trwało to uwięzienie, aż wreszcie śniegi stopniały, i myśliwi mogli wrócić do domu”.

Następnie opowiada p. Hunter wiele z szczegółów domowego i publicznego życia Indian. Oto są ważniejsze:

„ Kształt rządu, nie we wszystkich pokoleniach jest jednakowy; jedne bowiem ulegają wodzom dziedzicznym, inne obieralnym, i ci wodzowie znowu, to są obierani na czas tylko wojny, to ich urząd trwa aż do zgonu”.

„ W każdym jednak przypadku (wyjąwszy wojnę), ci wodzowie nie posiadają wielkiego znaczenia; ich stopień jest raczej tytułem, niżeli godnością. Główną władzą w pokoleniach bowiem jest *rada*, gatunek senatu, do którego dobierają ludzi doświadczonych wiekiem lub takich, którzy ważne w boju wyświadczyli usługi. Ta rada rozstrzyga spory, oznacza wyprawy na lowy, wypowieda wojny i zawiera przymierza. Wodzowie ulegać jej muszą we wszystkiem; za to w razie wojny, zupełnie mają zwierzchnictwo: oni układają plan bitew, naczynają pochody i staczają walki; każde im nieposłuszeństwo, uważane jest za zbrodnię i śmiercią karane bywa. W pochodach postępują z rozwagą i nadzwyczajną ostrożnością, lecz gdy marsz odkrytym został, uderzają bez porządku na nieprzyjaciela, i starają się go oskrzydlić. Zabicie wroga wystrzałem z broni palnej, nie jest poczytywanem za chlubę; prawdziwy wojownik stara się go mieczem lub nożem przebić. Największym jednak zaszczytem jest wzięcie do niewoli wroga; odzieranie skalpów, jest raczej wybuchem chwilowej zemsty, niż nakazem prawa, i nie daje żadnego osobnego odznaczenia: najwięcej zaś wtenczas ma miejsce, gdy wojownik lęka się, aby mu kto, jeżeli bitwa była pojedyncza, lub w małej gromadzie stoczona,

nie zaprzeczał zwycięstwa. Z rannemi nieprzyjaciołmi obchodzą się bardzo okrutnie; zabijają ich na polu walki i w całym znaczeniu tego wyrazu, rozcinają na sztuki. Jeżeli kobiety są przytomne bitwie, oneto dopełniają tego okrutnego obowiązku”.

Tańce należą do ulubionych rozrywek dzikich Jndyan, i są różnego gatunku; najpospolitsze są: taniec zubrzy, niedźwiedzi, wojenny, żebraczy i tak zwany żytni. Ten ostatni nadzwyczaj ma wiele podobieństwa z starożytnemi misteryami Cerery Greków. Oto jego szczegółowy opis:

„W dniach wiosennych, szczególnie między 1 a 5 kwietnia, zbierają się wszystkie kobiety osady, do chaty zamieszkanj przez lekarza wsi, który zarazem obowiązki księdza wypełnia. Każda z kobiet przynosi z sobą jakie nasiona lub rośliny, które chce w tym roku zasiewać, jak np. melony, tytoń, kukurydzę, żyto i t. p. Te wszystkie przytwierdzają się na kijach, i rozstawiają przed księdzem. Ten, przynosi w fajerce rozżarzone węgle, na które rzuca nasienie jakiejś rośliny, wydające zapach bardzo mocny i przyjemny, i okadza niewiasty szepecząc przytém tajemnicze jakieś wyrazy. Gdy ten obrząd dopełniony został, powstają kobiety i zrzuciwszy z siebie odzież, rozpoczynają taniec, a raczej wiercenie się wkółko, trwające tak długo, dopóki starczą siły. Gdy ostatnia już usiadzie, kapłan zaczyna śpiewać i tańczyć wokrag przyniesionych sobie do poświęcenia przedmiotów, zatrzymując się przy czterech kardynałnych stronach świata. Ten taniec i śpiew trwają blisko godzinę, poczem następuje rozdanie przedmiotów, które każda kobieta śpiewając i dziwaczne miny robiąc, przyjmuje. Kończy zaś uroczystość pewny gatunek poświęcenia przytomnych, który ksiądz skutecznia, skrapianiem widzów ciecżą mocną i wonną z roślin wydobytą”.

Małżeństwa odbywają się w sposób bardzo prosty. Jeżeli dwoje młodych pokochają się, zmieniają między sobą po 3 lub 5 kłosów żytnich, i to zastępuje miejsce zaręczyn. Potém młodzieniec z swym ojcem udaje się do chaty rodziców narzeczonej, i tam umawiają dzień ślubu, a zarazem przynoszą podarunki, jak np. konia, parę bawołów, jelenia, szaty i t. p. Ojciec panny młodej dodaje z swj strony córce podobne przedmioty, i to jój służy za posag. Obrzędów ślubnych nie znają, innych nad ucztę w czasie której rodzice panny młodej oddają narzeczonemu swą córkę, a wszyscy przytomni wykrzykują łącznie ich imiona.

Takie małżeństwa jednak są obowiązujące do śmierci, i prawie nie ma przykładów, aby nieszczęśliwemi były: bo chociaż mąż jest samowładnym panem w domu, nie nadużywa swj władzy. Niewierność małżeńska, jeśli się przytrafi, surowo bywa karana. Dawniej nawet zabi-

jano w tym razie niewiastę i uwodziciela; teraz ograniczają się na chłoscie jednej, i cenie honoru, to jest opłacie drugiej strony. Wdowy mają samowładny zarząd domu aż do swęj śmierci, i dzieci winne im wszelkie względy okazywać.

Oto powód, dlaczego p. Hunter opuścił dzikich:

Za powrotem z jednej z wycieczek łowieckich, znalazł we wsi kilkunastu Europejczyków, przybyłych w celu handlowym; pułkownik Wakins i agent konsularny Combs, znajdowali się między nimi. Pułkownik szczególniejsze względy okazywał młodzieńcowi i nakłaniał go do odwiedzenia białych. Hunter wzbraniał się, gdy oto Indianie ułożyli między sobą okropny zamiar wymordowania Europejczyków, i zagarnięcia ich własności. Młodzieniec oburzony tym planem, postanowił ocalić nieszczęśliwych.

Dzień napaści oznaczonym został. Wojownicy indyjscy, wyszli ze wsi i rozłożyli się obozem, w kilku-milowém oddaleniu od nięj, a na mil 4 od obozu białych. Ranem zaś chcieli uskutecznić napasę, gdyż za nadejściem dnia, Europejczycy mniejszą niż w nocy zachowywali ostrożność, a nawet rozchodzili się jużto na polowanie, już tęż do sąsiednich indyjskich osad, dla zawiązania stosunków handlowych. Hunter ukrywając swęj zamiar, postarał się, aby jemu oddano straż obozu dzikich, i korzystając z uspienia i upojenia towarzyszy, w nocy powykręcał naboje i skałki z fuzyi, pochował noże, i dostadłszy konia, pobiegł do stanowiska Europejczyków.

Jego ucieczka prędko przecież została odkrytą. Miał ulubionego sobie psa, który widząc odjeżdżającego pana, zaczął przeraźliwie wyc i szczekać, i pobudził psy innych dzikich. To szczekanie i wycie rozbudziło Indian; szczęściem, że zanim zdołali pochwycić konie, którym trenzle poprzednio poobcinał Hunter, już znaczną przestrzeń drogi ubiegł. Lecz pies zdradzał ciągle swęjem szczekaniem kierunek jego ucieczki, i Hunter choć go bardzo lubił, musiał mu życie odebrać. „Byłato jedna największych ofiar, jaką przyniosłem pułkownikowi i jego współziomkom — powiada; — wierne bowiem zwierzę było już od lat kilku przy mnie, towarzysząc we wszystkich wojennych i myśliwskich wyprawach. Zabijając go, pozbawiałem życia prawdziwego przyjaciela, lecz choć łzami napełniły się oczy, nie mogłem wahać się”.

Hunter przybył do obozu Watkins'a wsam czas, to jest przed rozejściem się białych. Wiadomość jaką dał, zatrwożyła wszystkich. Chciano się ratować ucieczką, lecz Watkins oparł się temu zamiarowi, przekonując, że w obozie łatwiej się było bronić, niż w otwartém polu. Usłuchano go, i poczyniono wszystkie stosowne przygotowania do boju.

Pułkownik wezwał Huntera, aby się także uzbroił, lecz ten nie chciał zgodzić się na to.

„Wzburzenie umysłu w którym zostawałem przez chwilę (są to własne słowa autora), zmniejszyło się znacznie, a raczej zmieniło kierunek. Postępek, który długo uważałem za szlachetny, wydawał mi się teraz zdradą przeciw braciom, przeciw ludziom, którzy od dzieciństwa okazywali mi tyle względów, obsypywali tyłu łaskami”.

„Dawne uprzedzenie ku Europejczykom, odezwało się w całej sile; żałowałem mojego postępu, i byłbym życie oddał, oby on miejsca nie miał. Odrzuciłem tedy propozycją pułkownika, mówiąc:

— „I tak już dosyć, a nawet zawiele uczyniłem zdradzając moich towarzyszy; nie chcę do téj zbrodni nowój dodawać, walcząc przeciw nim. Rozlana krew zgubiłaby mnie na wieki w tén, i w przyszłym życiu.

„Nadaremnie pułkownik przedstawiał, że nie jestem Indyaninem, lecz białym; że tedy w obronie Europejczyków powinienem stanąć. Nie mógł zmienić mojego postanowienia”.

Dzicy widząc, że odkryto ich zamiar, nie napastowali obozu białych, pomiędzy któremi został Hunter; życie jednak młodziana było za trute wyrzutami sumienia. Nie mógł długo wycierpieć pobytu wśród ludzi jednéj co on barwy; opuścił ich w wycieczce, jaką przedsięwziął pułkownik ku granicom Kanady, u pokolenia *Orenoków*.

Rok zaś przeszło błąkał się samotny po dzikich obszarach, w które się zapuścił; lecz choć ciekawy opis tego błędnego życia, przytoczyć go w całkowitości trudno, jako nazbyt obszerny; parę tylko zrobię wyciągów.

„Szedłem ciągle ku północy (pisze Hunter) i ujrzałem się w kraju prawie równym i bujną zielonością okrytym. Wszędzie napotykałem niezliczone stada bawelów i jeleni, które mi dawały hojne wyżywienie”.

„Lecz życie moje niejednokrotnie w niebezpieczeństwie było; więcej, niż kiedybądź napotykałem tutaj grzechotników i innych węzów z jadowitych gatunków. Bóg sam strzegł, że nie padłem ich ofiarą; ileż bowiem razy budząc się, napotkałem który z tych gadów tuż przy sobie: parę razy nawet ocknąłem się dlatego tylko, że ich szpetne cielsko dotknęło się mojej twarzy”.

„Ilość tych gadów wzrosłaby zapewne znacznie, gdyby im Bóg nie dał zaciętych przeciwników w bocianach i jeleniach. Te ostatnie szczególnie je trapią, skoro bowiem jelen napotka lub usłyszy grzecho-

tnika, uderza zaraz na niego, kopie nogą i bije rogami; w taką zaś wpada zawziętość, że zajętego podobną walką, bardzo łatwo podejść.”

Zajmujący jest także opis, jaki daje p. Hunter, walki pantery z bawołami. Jedna z panter, rozgania całe stada tych silnych zwierząt:

„ Pewnego dnia, gdy pod cieniem ogromnego drzewa szukałem przytułku przed skwarnymi promieniami słońca, nagle usłyszałem huk i trzask, wyrównywający temu, jaki sprawia potok nabrzmiaty jesienną powodzią, i z gór spadający. Wkrótce poznałem przyczynę: całe stado bawołów od 700 do 800 sztuk biegło cwałem, a właśnie w kierunku drzewa, pod którym ja się ukryłem; ścigała go pantera niezwykłej wielkości i dopadłszy jednego z bawołów, rzuciła się nań, ugrążywszy swe szpony i kły w szyi nieszczęśliwego. Zwierz jednak biegł żyło, równo z innemi, lecz wreszcie ból, strata krwi i szamotanie zwierza, obaliły go na ziemię. Wypadek miał miejsce na kilkadziesiąt tylko kroków odemnie; nabiłem tedy luzyą i dałem ognia do pantery. Kula strzaskała szczękę dzikiemu zwierzęciu, ale nie pozbawiła go jednak życia, ni chęci zemsty; zwróciła się ku mnie. Wdrapałem się czémprędzej na drzewo, i powtórzyłem wystrzał, który był jeszcze szczęśliwszy od poprzedniego, bo odebrał życie panterze.”

„Obdarłszy z niej skórę, chcąc oszczędzić drogich mi zapasów kul i prochu, wynalazłem sposób łowienia bawołów. Wiedząc, że te zwierzęta uciekają tylko w prostym kierunku, dopatrywałem starannie miejsce, gdzie żerują; i jeżeli w bliskości znajdowała się jaka rzeka o wysokich brzegach, ukrywałem się nagle pokryty skórą zwierzęcia. Bawoły natychmiast uciekać pędem zaczynały, i na przepływie rzeki lub w skoku do niej, rzadko kiedy który nie postradał życia”.

Tęsknota przecież za towarzystwem ludzkim, odezwiała się w sercu Huntera; samotność stała mu się nienawistną. Długo jednak wahał się, gdzieby się udać; nie śmiał powrócić do swoich, a od Europejczyków oddalał go wkorzeniony głęboko przesąd: umyślił zatem pójść do Kalifornii, i tam między koczującemi plemionami zamieszkać. Puścił się w drogę w tym celu, gdy spotkał oddział myśliwych, złożony z samych Francuzów. Żywość charakteru tych ludzi, wrodzona wesołość i szczebiotliwość, podobały mu się więcej, niż powaga i milczenie Anglików. Pociągnęła go też miłość; w towarzystwie myśliwych, znajdowało się kilka niewiast, z których jedna czarnooka i czarnobrewa, przypomniawszy swemi rysami ulubioną przybraną siostrę Huntera, zyskała jego serce.

Z Francuzami Hunter przyjąwszy ich zwyczaje, odzież i wyuczwszy się języka—zaszedł do Quebecu. Niewysłowione wrażenie wy-

warł na dziki widok cywilizacji europejskiej, obyczajów, oglądy i dzieł. Miasta wydały mu się skalistymi górami, czémś w gatunku mrowisk, zamieszkanym przez ludzi. Malowidła, a szczególnie portrety, zręcznym zasuszeniem i przechowaniem postaci ludzkich; okręty, były więcej niż cudami dla niego.

Wkrótce jednak oswoił się z nowym trybem życia, i jego zwyczajami, tak, że obecnie od Europejczyka, od dziecka do cywilizacji wezwyczajonego odróżnić go nie można; przy pojętności zaś swojej i nabytych zdolnościach, potrafił sobie niezależność i byt dobry wyrobić, służy bowiem za przewodnika w większych handlowych przedsięwzięciach i za tłumacza z dzikimi.

Lecz czy nie żałuje dawnego życia? czy nie ciągnie go ochota wrócenia do niego?—i z tém się nie tai.

„Cywilizacja, wielką, świętą jest rzeczą, powiada, lecz swoboda i prostota dzikich nie są także bez powabów. Wahać się nawet, której stronie przyznać pierwszeństwo. Mojm zdaniem, gdyby można złączyć dobroć oświaty, z słodyczą niezależności Indian, szczęście człowieka byłoby zupełne; lecz czy podobne połączenie jest możliwem? Im więcej rozważam, tém więcej przekonany jestem, że nie. Wszakże już sam Twórca przeznaczył ziemię jako za przejście do raju, nie za sam raj; jego mądrym ustawom winniśmy się poddać w pokorze”.

Ad. Am. Kosiński.

O dwóch wykopaliskach starych monet w Galicyi.

Pamiętnik, wychodzący we Lwowie w zakładzie narod. Ossolińskich, w nr. 9 b. r. zajmuje ustęp z numizmatyki polskiej, pod napisem: *Denary koronne XIV i XV wieku*. Z ustępu tego dowiadujemy się dziś dopiero o dwóch wykopaliskach dawnych monet w Galicyi.

1) *Wykopalisko trembowelskie*. W miasteczku Trembowli, położoném w obwodzie tarnopolskim, pamiętnym w dziejach krajowych z ziemi swęj krwią ludów trzech części świata obficie zlanęj, co rok wydobywają rozmaite starożytności i monety. Najważniejsze jednak ze znanych wykopalisk zrobił tameczny włościanin, na przedmieściu w swoim ogrodzie w jesieni r. 1848. Bogaty na owe czasy właściciel zakopał skarb swój w czasie ciężkich napadów tatarskich w owych okolicach, bez wątpienia w ostatnich latach panowania Warneńczyka, a przynajmniej przed rozpowszechnieniem pieniędzy bitych za Kazimierza IV. Skarb ten

zachowany w sporym glinianym dzbanku, prócz dwóch srebrnych pierścieni bez napisu i herbu, ozdobionych tylko nieznaczącymi rysami, tudzież dwóch par srebrnych i tyłuż miedzianych, w ogniu połączonych zausznie niezgrabnej roboty, zawierał w sobie wielką ilość monet, a mianowicie:

I. Monet obcych:

a) Groszy czeskich Wacława III.	sztuk	10.
b) Denarów węgierskich Maryi.	—	3.
c) — — Władysława Warneńczyka.	—	47.
d) — — szlązkich rozmaitych XIV i XV wieku.	—	16.
e) Mołdawskich monet drobnych	—	4.

II. Z krajowych zaś:

a) Półgroszków Władysława Jagiełły (Bandtkie tabl. 2) z różnemi odmianami.	—	263.
b) Trzeciaków (Bandtkie, tabl. 3).	—	45.
c) Półgroszków ruskich Władysława II (Bandt. tabl. 3).	—	14.
d) — lwowskich z odmianami (Bandt. tabl. 3).	—	7.
e) Denarów litewskich dotąd jeszcze nieznanym.	—	33.
f) Denarów koronnych około.	—	3500.

Razem sztuk 3942.

Wykopalisko to nie zawierało w sobie żadnej późniejszej od Władysława II i III monety, i największa tychże ilość była z tych dwóch pannań. Równie jak nie znachodziły się pieniądze srebrne, a mianowicie półgroszki ruskie Kazimierza W., Ludwika i Opolczyka; co dowodzi albo rzadkości ich, albo ogólnego już wówczas rozpowszechnienia monety koronnej na Rusi. Wielka tutaj ilość denarów koronnych, przedstawia po troskliwem rozpatrzeniu się ośm typów.

2) *Wykopalisko w obwodzie stryjskim.* Nabywcą wykopanych w tym obwodzie na wiosnę 1849 r. monet, jest starozakonny, który mimo wszelkich staranności, bliższych szczegółów wykopaliska wymienić nie mógł, lub nie chciał, oświadczając tylko, że: monety te nabył w obwodzie stryjskim znad granicy węgierskiej, i że cały skarb nienaruszenie do jego rąk się dostał. Ważne jednak są powody odmówienia temu doniesieniu wiary. a między innemi, że dopytywania się w tamtych okolicach o podobnym wynalezieniu pieniędzy były daremne, tudzież ze znacznie przeważającą liczbą monet litewskich, które raczej znachodziłby się powinny na Podolu, gdzie jest bezpośrednia styczność z Białą Rusią, i której szedł główny handel z Litwą na Wschód; równie jak z braku przekonywającej historycznej przyczyny zakopania skarbu w stryjskich Kar-

pałach około roku 1528. Co do denarów, wykopalisko to jest bardzo ważne, bo stanowi dalszy ciąg i uzupełnienie wykopaliska trembowelskiego, a kończy się na półgroszku litewskim z r. 1521.

1. a) Wykopalisko zawierało w sobie różne rodzaje drobnych monet węgierskich Ludwika, Maryi, Władysława i Macieja Korwina sztuk 144.			
b) Monet drobnych szlązkich ówczesnych — 25.			
c) Pieniędzy wołoskich — 3.			
2. Z krajowych zaś:			
a) Półgroszków koronnych bardzo zużytych Władysława II. — 3.			
b) Denarów Władysława Warneńczyka (Bandt. nr. 701). — 2.			
c) Półgroszków koronnych Kazimierza IV. — 18.			
d) — — Jana Olbrachta. — 16.			
e) — — Alexandra — 68.			
f) — litewskich — — 211.			
g) Denarów — — — 7.			
h) Półgroszków koronnych Zygmunta I. — 52.			
i) — litewskich od r. 1508—1521. — 125			
k) Denarków w ogóle. — 567			

Razem. . . . sztuk 1241.

Jak wykopalisko pierwsze obejmowało panowanie dwóch Władysławów, tak drugie czasy od Kazimierza IV, do środka panowania Zygmunta Starego. Przeciąg ten lat nieprzerwany, rzuca w drodze porównania światło na dające się zapoznać wyjaśnienie denarków, których treścią wspomniany wyżej artykuł.

Wiadomości literackie.

W celu bliższego zapoznania piśmiennictwa zachodniego z literaturą teologiczną kościoła prawosławnego, wychodzą teraz w Petersburgu w poszytach pod ogólnym tytułem: *Beiträge zur nähern Kenntniss der Glaubenslehre der Orthodox-katholischen Kirche*, najznakomitsze teologiczne dzieła w tłumaczeniu i wyjątkach na język niemiecki; szczególnie z pism rosyjskich i słowiańskich. Każdy atoli zeszyt ma także osobny tytuł i stanowi oddzielną broszurę, z których mniejsze każda 15 kop., a większe 23 kop. kosztują.

W tym sposobie, przy końcu lutego 1850 r. we wszystkich główniejszych księgarniach w cesarstwie, tudzież w Berlinie i Lipsku wyszło siedm poszytów pod następującymi tytułami:

1) Ueber den rechten Glauben. Pred., v. Anolius, Bisch. von Mophilew.

2) Von der gegenseitigen Gemeinschaft der Glaubensdiener und Gläubigen, Pred. des verstor. Erzb. von Woronesch Ignatius.

3) Von dem jungfräulichen Stande. Pred. des Synodemitgliedes Philaret, Metropoliten von Moskwa.

4) Von der Auferstehung der Todten, Pr. vom Erzb. Ignatius.

5) Auf den Text: „Da öffnete Er ihnen das Verständniss“ Pr. von Philaret, Metr. von Moskwa.

6) Von der Unerschütterlichkeit der Kirche, Pr. vom demselben.

7) Von dem Anrufen der Heiligen 2 Pr. vom Erzb. Ignatius.

po których nastąpić miały podobne lub obszerniejsze pisma, rozprawy i t. p. znakomitych duchownych rossyjskich pisarzy, i w ogóle całego wschodu nie tylko z czasów dawniejszych, lecz i z nowszych i terazniejszych. Pisma te zawierać będą prace w rozmaitych oddziałach teologicznych, jako o Tajemnicach czyli o Sakramencie kościoła, o Eucharystyi, o Podaniach, o Świętach, o Aniołach i t. p. Zbiory nabożeństwa, agendy do służby Bożej z nutami, kalendarze kościelne z krótkimi żywotami świętych i innymi uwagami.

Wyjątek z listu.

New-York, d. 18 marca 1850 r.

Zdarzenia mnie tu rzuciły. Wię zapewne hrabia, jakie są główne zajęcia nie już jednéj klasy, ale całego tego tu narodu:—handel, przemysł na wszystkie strony wszelkimi środkami, kanałami i ze wszystkimi stronami. Tak więc z biegiem potoku i mnie płynąć trzeba. Obejrząwszy się naokoło, odniosłem wspomnienia za Wartę w czysto handlowym pomysle. Cała Europa z swemi rękodzielniemi, przemysłem i t. d. znajduje tutaj targ, mimo tak różnorodnej domowej konkurencyi. Dlaczegożby polska przemysłność także w zyskowne zapasy wstąpić nie miała? Fabryki krajowe, ile pomnę, przy ostatniej przedpięcioletniej bytności w kraju, nie wznosiły się, brakiem wygodnej sprzedaży. Ten targ zatem wyszukać im trzeba. Wędrując po Niemczech przed kilku laty, przekonałem się, że sukno polskie drugiego gatunku, konkurować mogło z pruskiem w Prusiech, i widziałem cząstkowe wyprawdzania aż do Szwajcaryi. Myślę zatem, że i na tém tutaj targowisku te dwa przemysły spotkać się mogą, byle tylko duch przedsiębiorczy

polską produkcją kierował. Nikogo nie znam, czyj rozum jasny, wytrawny i praktyczny bardziejby się jednał do pojęcia i do zrealizowania na wielką skalę podobnego przedsięwzięcia, jak hrabiego i braci jego. Jeżeli stan fabryk sukiennych tam w kraju jest w podobnym stanie, jak był przed kilku laty, to wyjednanie sprzedaży w te tu strony, podniesie fabryki, natchnie nową działalność, i zyskownym będzie i dla przedsiębiorców wyprawdzenia (exportation) i producentom przemysłowym, jak i producentom pierwszych potrzeb, jakoto wełny, i t. d. Zresztą panom te kwestye dobrze znane. Idzie o to, by wyrachować, czy powiększenie kosztów przesyłki z Polski, z Warszawy, lub Koła, Konina do portu *Bremy* lub Hamburga, byłoby tak znaczne, że nie pozwoliłoby zyskownej konkurencji z sukniem pruskim, np. z Berlina, temi samemi przesyłanem portami. Jeżeli ta różnica kosztów wywozu nie jest tak znaczną, by mogła wywierać wpływ wielki na cenę, to mem zdaniem przynajmniej żadnej innej nie widzę przeszkody, dlaczegoby fabryki krajowe na tutejszém targowisku z pruskimi wyrobami sukiennymi współubiegaćby się nie mogły.—Oto stan i warunki handlu sukienego tu w New-Yorku. Wiész pan hrabia zapewne i to, że New-York jest miejscem głównem, wprowadzającym wszystko z Europy. Ztąd idzie handel wewnątrz Zjednoczonych Stanów, a nawet i do innych państw téj półkuli. Stan zatém tutaj handlu, lub jakiego przedmiotu, jest skazówką i ogólną skalą.

Kolor czarny jest wyłącznie najpokupniejszym na wszystkie ceny. Jednakowóz granatowy, ciemno-oliwkowy, także odchodzą. Głównem jest apretura sukna. Musi być lekkie, *łsnigce*, a nie mięsiste. Więcej dla oka, jak dla trwałości. Dołączone tu próbki różnych cen, są téj apretury, jaka najbardziej jest tutaj wymagana. Z nich fabrykanci osądzić mogą, czy targ tutejszy byłby im wygodny. Można także w tych samych kolorach próbować kaźmirkami, jeżeli fabrykanci sądzą, że z pruskimi współubiegać zyskownie mogą. *Dreskin* także gdy dobry, pokup znajdzie, jak wszelkie wełniane produkcye tłuste i trwałe, na tak zwane *great-wat* i paletoty.

Ceny. Na próbkach panowie poznają, jaką cenę za łokieć w Prusiech płaciłby trzeba. Tu sprzedaż na yardy. Porównywając cenę łokcia sukna w Prusiech, tutaj yard przeszło $\frac{56}{100}$ daje. Tak np. najcieńsze sukno sprowadzane tu z Prus i t. d., płacone tam na miejscu łokieć 4 tal. dostanie tu za yard 6 doll. 50 centów, i to samo w niższych gatunkach i cenach, które nawet czasem ilością znacznie odchodzą. Ale jak wyżej nadmienilem, cienkość i pozór więcej tu cenią, jak trwałość.

Pieds de monnaie. Na polskie zamieniać niepodobna, więc na pruską stopę. Talar pruski ma 69 centów i coś wyżej, stosownie do kursu. Dollar 100 centów: rachując ściśle, 100 talarów równa się 69 doll. 78 centów.

Koszta. Głównem jest *cto* $\frac{30}{100}$ ad valorem, i to naturalnie prae-numerando jak tylko z okrętu do komory celnej, gdzie konsygnacye i oryginalne rachunki fabrykanta się przedstawiają i stanowią podstawę do opłaty. Jednakowo i to na uwadze mieć trzeba, by wystawiając taki

dla komory celnej rachunek, ile możliwości zbliżyć się do z wyuczajnych europejskich choć najniższych cen, gdyż bywają przypadki, że gdy komorze ceny w przedstawionym rachunku za niskie się zdawały, towar zabiera, dając konsygnatorowi $\frac{5}{100}$ nad oznaczoną wartość. 2gie. Odbierający towar w komis pobiera tak nazwaną kommissyi od 8 do $\frac{10}{100}$ z rezultatów sprzedaży. Za to naturalnie ponosi wszelkie koszty wyładowania, assekuracyi od ognia (dość częstego), sklep, skład i t. d. i jest odpowiedzialnym za pewność wpływu od kupujących detallistów. Oto są koszty tu na miejscu: $\frac{30}{100}$ cło, $\frac{10}{100}$ kommissyi, transport z Polski do Bremy, Hamburga, Gdańska lub nawet Królewca, stosownie gdzie cena frachtu tańsza, wraz z morską assekuracją i kosztami przeładowań w Europie, które $\frac{4}{100}$ *najwyżej* uczynić mogą. Zostaje więc zysku czystego dla fabrykanta lub eksportatora polskiego 12 do $\frac{13}{100}$ i pewność niewyczerpanego nigdy pokupu. Gdy zaś ztąd nic do Polski wyprowadzanem być nie może, więc wypłaty nie towarem, ale gotówką czynionemi będą wexlami na Rotschildów lub innych, stosownie do życzenia panów, a głównie stosownie do różnic kursu. 3cie. *Sposób sprzedaży*. Sprzedaż ze składu kupca czyli jak go zowią tutaj *Importer* czyni się *en gros*, jak nadmienilem, wewnątrz państwa. Warunki są: *kredyt* 8 miesięcy i dni 10. Pewność w tém, że znajduje się tu w New-Yorku biuro centralne, w którym stan majątkowy każdego najmniejszego handlującego w całej północnej Ameryce jest znanym w najmniejszych szczegółach. Tam zasięga się objaśnień, jeżeli klient nowy, nieznan. Jeżeli nie ma jakiego ogólnego gwałtownego wydarzenia, rzadko się trafia zła wiara, bo gdzie handel jest podstawą prawie wyłączną bytu towarzyskiego i politycznego jak tu, szachrajstwo, oszustwo, jest rzadkiem. Nie masz prawie domu znacznego w Europie, fabryk sukiennych lub innych jedwabnych it. d. któryby tu nie miał kommissyonera; wszyscy robą interes pod temi samemi warunkami *kredytowej sprzedaży*, i znacznie w ogóle zyskują. Wiele fabryk w Europie tylko targiem tutajszym żyją. Z Szwajcaryi np. zegarków za milion dollarów tu przychodzi, głównie w niskich cenach od 5 do 10 dollarów, a jednak nie tracą sprzedając nawet pojedynczo na tychże warunkach kredytu. Wyprowadzenie z Polski, jeżeli, i jak mi się zdaje z Prusami podobną jest konkurencya, mogłoby wkrótce do wysokiej podnieść się skali; za przeszło milion talarów nawet, gdyby ceny pruskie podkopać. Gdyby tylko zacząć raz, to potem szybko nawet nowe odkryć można jeszcze targi.

Komora celna rachuje pruski talar stale na 69 centów. Kupcy detallisci z wewnętrznych prowincyj już w końcu sierpnia tu się zjeżdżają, zaopatrują w potrzebne produkty: w sierpniu zatem głównie wszystkie sukienne transporta przychodzą. Najmniejszy ładunek na zaczęcie musiałby mieć realną wartość przynajmniej 25 tysięcy talarów, gdyż inaczej trudno by było zacząć; późniejsze przesyłania zregulowałyby się i w ciągle zamienić mogły. Główną trudność opłata cła *praenumerando*. I toby panowie ułatwić mogli, jeżeliby warunki tego przedstawienia zyskownemi dla nich i dla kraju się wykazały. Oprócz tego targu tutaj w New-Yorku, wszedłszy raz w ten przedmiot, otworzyć będzie można nowe miejsca w tym tak zwanym *far West*, czyli w dolinach Missouri i Missisipi:

tam polok pędzi ludność, i tam szybko podstawa państwa się przenosi. Ludność tych stanów zachodnich powiększa się i wzbogaca jak na drożdżach, i tam gust różny od tutejszego. Sukno grube, trwałe, ale dobrze zrobione, w roku przyszłym już znaczny pokup znalazłoby. Wywóz z Polski do 500.000 talarów łatwymby był; może być takie, jakie do południowych Niemiec, Szwajcaryi zyskownie wychodziło. Dalsze widoki handlu dla sukien polskich, są *Chiny*. *Najdalej za lat dwa* droga żelazna przez Panama dwa oceany połączy, i do Chin tutaj całą exportacją europejską nawróci. Droga ta już teraz jest robioną, i już spekulanci rachują, o ile kosztą exportacyi z Europy do Chin przez Panama się zmniejszą, bez opływania naokoło Azji. Jeżeli więc wszyscy z Europy handel tutaj nawracają, dla czegożby tego nie miała zrobić Polska, kierowana ludźmi bystremi, przedsiębiorczymi, jak panowie. Gdyby pan hrabia zaszczycił mnie odpisem i zaufaniem to proszę adressować: *the care of Mrs de Rhamet Moore New-York*.

Szwajcaryja, gdzie życie, robotnik droższy jak w Polsce, ma wszędzie po całym świecie *kantory* nietylko dla zegarów, ale konkuruje z Anglią, Niemcami i Francją wyrobami bawelnianymi i jedwabnemi, choć bez portu, choć bawełnę sprowadza z Ameryki, jedwab' ze wschodu. Dla czegożby nie miała Polska, produkująca wełnę, mająca fabryki i tańsze utrzymanie robotnika przemysłowego? Idzie tylko o nawrócenie i danie popędu, Dajcie go panowie i dopomóżcie mi tém samém być użytecznym realnie krajowi. Muszę także nadmienić panu jako właściwość charakterystyczną: że kupiec amerykański, a każdy Amerykanin kupiec, nie szykanuje w mierzo, wadze, ale trzeba, żeby te były rzetelnymi, bo na tym kredyt Importera, jak równie na dobroci gatunku towaru; pod tym względem, Amerykanin w niczym naszemu żydkowi niepodobny. Żeby dać wyobrażenie także, jak wszystko tu idzie, przytoczę np., że New-York mający do 500,000 mieszkańców, w tym roku nowych domów już *zakontraktował* do wybudowania 4.000. A cóż dopiero Kalifornia! Cuda o jakich mówią, potwierdzić mogę. Majątki tam znaczne się porobiły: ludzie bez niczego w rok lub 18 miesięcy wracają bogaci, ale to *nie przez kopanie złota*, lecz przez spekulacye w gruntach i domach. Ciesła np. pobiera dziennie około 22 talarów pruskich. Kalifornia dotąd złotem swém nie zapłaciła tych przedmiotów i kosztów, jakie emigracya z Ameryki i expedyacya przedmiotów uczyniły. Ale nie masz wątpienia, że coraz bliżej kopacze do skał złota się przybliżają. Choć i bez tego Kalifornia daje Ameryce handel Chin, Japonii, Indyi, handel świata, co więcéj nad złoto!....



KRONIKA ZAGRANICZNA.

NOWE ROMANSE NIEMIECKIE.

1) *Franz und Anna. Eine Geschichte aus dem Volksleben, erzählt vom Frater Hilarius.* (Franciszek i Anna, powieść z życia ludu). Z ryciną, 16ka większa. Darmstadt. 1849.

Smutną jest historia ubóstwa, ale smutniejszy nierównie przedstawia obraz stopniowe przychodzenie do ubóstwa, ten upadek pod względem fizycznym i moralnym, jaki się niektórym przytrafia rodzinom. Podobny właśnie wypadek przedstawia nam niniejsza książeczka, w tęsknej powiatce wiejskiej, której wszakże nie można porównać z podobnymi powiastkami Bertolda Auerbacha. Nie widać tu albowiem owój świeżości życia, owój sily, która w nas szacunek dla ludu obudza; ale jakaś obca poezya pomieszana z wątkiem, osłania całe to opowiadanie, i nadaje mu postać chorobliwą. Taki stan chorobliwy życia ludu jest istotnie bardzo smutny, a jak róż nie wypełni zapadłych policzków, ani też zbytek nie okryje występku pożyczaném piększydłem: tak też nie bolesnych wrażeń nie złagodzi. Obecna przed nami książeczka dobrze jest napisaną, a przedmiot jój zręcznie opowiedziany. Wieśniak *Binder-Thomas* przez nieszczęśliwy przypadek ubożeje; zły dziedzic pożycza mu pieniądze, aby później jego pozostałe mienie zagarnąć; jakiś ladaco w téjże wsi *Pfeifer Hannes*, czyni Tomasza wiadomym współnikiem mordu, skłania go następnie do gry i pijatyki, i wszystko stracone. Przy tak zwykłych wypadkach codziennego życia, otoczonego nędzą, nieszczęściem i podłością zakwita miłość, i piękna a uczciwa córka Tomasza, kocha pracowitego parobka *Franka*, jakkolwiek ten siedział w areszcie za gwałtowny napad na dokuczającego mu wieśniaka, u którego służył. Lecz *Pfeifer-Hannes*, aby się panu przypodobać rozłącza kochanków. Franek przywiedziony

do rozpacz i szaleństwa, umiera, a Anna wyrzekłszy się enoty, zostaje gospodynią u dziedzica. Wszystko to tak jest smutne, tak wzruszające, z taką mocą prawdy w opowiadaniu oddane, że czytelnik istotnie do głębi serca poruszonym zostaje.

2) *Erzählungen und Novellen von L. Schubar.* (Powieści i Nowelle).
2 części. Berlin. 1850.

Cztery powiastki tu zawarte: *Proroctwo* (Die Prophezeiung), *Falszerz* (Der Fälscher), *Słowo królewskie* (Das Wort des Königs), *Potajemne małżeństwo* (Die heimliche Ehe), są bardzo zajmujące. Historyczne chwile, do których są przychepione niektóre z tych romantycznych wydarzeń, są oddane z charakterystycznej strony. Miejscem przedstawienia *Proroctwa* jest Anglia, a bohaterką Katarzyna Howard, nieszczęsna małżonka Henryka VIII. Intrygę, której skutkiem było potępienie Katarzyny, prowadzi przez zemstę pewien krewny Anny Bolejny; i jeżeli intryga ta nie jest zupełnie historyczną, to przynajmniej za taką uchodzić może. *Falszerz* jest również historyczną osobą, która występowała w Szwecyi jako margrabia Constant, w Wiedniu jako lord Seymour, fałszując papiery publiczne i w różny sposób ludzi oszukując. Wypadki potoczne z wielkim talentem pomysłane i uporządkowane, pomagają niejako do podniesienia ogólnego zajęcia. Najbardziej jednak zajmującą jest powiastka *Potajemne małżeństwo*, gdzie rzecz dzieje się w Paryżu za czasów Napoleona. Pewien obcy książę prowadzi romans z żoną marszałka A. Podczas jednego sam na sam kochanków, nadchodzi marszałek. Aby nie zostać odkrytym, książę chroni się do przyległego pokoju, którego drzwi przy prędkim zamykaniu pozbawiają go palca. Owocem tych miłosnych stosunków było dwoje dzieci, a urodzenie ich przez długą i częstą nieobecność marszałka, pozostało dla niego tajemnicą. Aby podejrzliwy małżonek nie odkrył swój zniewagi, książę szuka dla siebie żony, któraby w zamian za świetne imię i wielkie bogactwa, przyznała dzieci marszałkowej jako swoje, przed małżeństwem urodzone; dla uspokojenia zaś zazdrosnej marszałkowej, książę przyrzeka nie widzieć swój żony przed ślubem i po ślubie. Tylko jeden z przyjaciół i wuj kierują całą tą intrygą. Nakoniec wynaleziono młodą i piękną dziewczę z dawniej, lecz podupadłej familii, i ta zgadza się zaślubić nieznajomego i niewidzianego mężczyznę, aby tylko podeszłej i chorowitej matce spokojną przyszłość zapewnić. Dziewica ta ze swoją matką i ich starym przyjacielem margrabią, tworzą nadzwyczaj szczęśliwie oddaną grupę; ostatni mianowicie jest prawie niezwykłym zjawiskiem. Zawikłanie, jakie w skutek poda-

nych okoliczności następuje, zajmuje aż do końca. Czytelnik naprózno spodziewa się wesołego rozwiązania i szczęścia w miłości dla księcia i jego młodej małżonki, która go kocha i również jest kochaną. Wypadki wojenne i inne rozdzielają ich w chwili, w której właśnie połączenia oczekiwaliśmy, i dopiero jako śmiertelnie raniomy, widzi księżę swą żonę po raz ostatni.

3) *Mansold. Roman von Outilie Kapp.* (Mansold). Berlin, 8ka, 1850.

Hrabina Kyborn umiera przy połogu i pozostawia syna. Piękna dziewczyna w skutek nieprawych związków z hrabią Kyborn, mająca podobnież syna, karmi oboje i zamienia dzieci. Emil Rollert dzierżawca hrabięgo, żeni się z uwiedzioną, obiecując być ojcem jęj synowi, gdyż i on jako nieprawy syn znakomitego ojca, czuje przyszłe położenie chłopczyny, który już teraz nie doznaje najmniejszych pieaszczot od swojej przysposobionęj matki. Po długim przeciągu czasu, widzimy go dopiero jako czterdziesto-letniego męża w zgromadzeniu narodowém w Frankfurcie, do stronnictwa lewęj górnęj należącego. Wtém umierająca matka odkrywa mu tajemnicę urodzenia, i to jest dla niego powodem, że coraz bliżęj ku prawęj stronie się przesuwają, aż nareszcie wszystkie widoki polityczne nowego stronnictwa dzieli i o odzyskaniu praw swego stanu zamysłą. Drugi chłopiec, któremu czyn matki świetne zjednął położenie, różnych doświadcza kolei. Ożeniwszy się ze znakomitą panną, został ojcem dwóch córek. Wdawszy się w towarzystwo bezecznych przyjaciół, stracił majątek, uwiódł wiele dziewcząt, i udał się do Ameryki, uderzywszy poprzednio tak silnie żonę, która go zatrzymywać chciała, iż ta w skutek tego wzrok utraciła. Po upływie lat wraca z nabytym własną pracą majątkiem i z synem jednego z swych dawnych przyjaciół i uwodzicieli, który w Ameryce umarł; bliżna, którą w bitwie przeciwko Indyanom otrzymał, nie dozwala go poznać. Powraca więc pod imieniem *Mansolda*, kupuje w poblizu swego dawnego zamku wieśniaczą zagrodę, i stara się wszelkiemi silami naprawić to, co niegdys źle uczynił. Zakłada przeto ochronę dla dzieci, wraca szczęście tym, którym je wydarł, zapewnia los swym nieprawym dzieciom i dziewczętom, które uwiódł. I ma też wiele do czynienia! Znaczna ilość nieprawych dzieci, w tym roman-sie wystawiona, każe się domyslać, że autorka liczy *donżuanstwo* między przywileje wyższęj szlachty, przeciwko którym właśnie wypadki z r. 1848 są skierowane. Nareszcie gdy Mansold w całej okolicy przez swój szlachetny sposób myślenia i dobre czyny, powszechną miłość i szacunek pozyskał; gdy dał się poznać swęj ociemniałęj żonie i dorosłym córkom;

gdy i o przybraniu napowrót swego hrabiowskiego tytułu zamysłał: zjawia się właściwy posiadacz onego, któremu też (zwłaszcza gdy znamię na ciele świadczyło o tożsamości osoby) chętnie ustępuje, a połączeni znowu małżonkowie, zrzekają się tytułu hrabiowskiego i części majątku.

Książka ta napisana jest ze szczególnym zwrotem na demokratyczną dążność Niemiec. Poznajemy tu studenta, który we wrześniu walczył na frankfurckich ulicznych watach, a później w rewolucyi październikowej czynny miał udział. Czytamy „o dwóch wzniostych boskich postaciach ze zgromadzenia narodowego niemieckiego, którzy na skrzydłach prawie udali się do Wiednia, aby go *à vol d'oiseau* obejrzeć, a olśnieni światłem własnego ducha, do poświęconej wracają świątyni.” Z tego punktu widzenia, tak wiedeńskie wypadki, jak i inne współczesne są opisane; lecz ponieważ zmiany polityczne nie mają żadnego związku z powieścią, i równie mało na rozwinięcie głównych charakterów wpływają: to też nie będziemy się bliżej zastanawiać i rozbiierać sposobu widzenia autorki. Styl okazuje wykształcenie, obrazy z natury i inno zdradzają talent, gdy tymczasem długie i nudne szczegóły, nie noszą śladu tej boskiej iskry gieniuszu, któraby współczesnych i potomnych mogła rozgrzać i zachwyć.

4). *Der Erbe von Killmarnor. Roman von Bertha Werder. (Dzieńdzic Killmaruoru)*, dwie części. Magdeburg. 1850. 8ka.

Czytaliśmy już poprzednio romans autorki „*Stara miłość, młoda nadzieja*” (*Altes Lieben, neues Hoffen*) i cieszymy się z obecnego, który dowodzi postępu. Jestto romans towarzyski, w najżywszym rodzaju, z zajmującą treścią zdarzeń miłosnych wielkiego i małego świata. Dobrzy i źli ludzie, dowcipni i niedolegi, szlachetni i podli, uwijają się i napozór mieszają bez ładu z sobą, aż nareszcie wszystko się rozwiązuje, i każdy znajduje swoje: ten miłość, inny właściwe sobie stanowisko, ów nakoniec śmierć. Szkocya, Niemcy, Francya, Hiszpania, są naprzemian widownią, gdzie bohaterowie i bohaterki romansu to się spotykają, to gubią, szukają i znów znajdują; gdzie intrygi to się zawiązują, to kończą. Dźwięczna poezya Elfów, tworzy często powtarzający się sen młodego dziewczęcia hiszpańskiego rodu, która romanssem jak dziecię swe życie zaczyna, i jako najświetniejszym celem kończy. Autorka objawia niezwykłą zdolność pisania i bogatą fantazyą, co obecnemu dziełku licznych zjedna czytelników.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1845.

P O Z N A Ń .

443. Kwestya żywotna filozofii. O samowładztwie rozumu (,) przez Karola Libelta. Część krytyczna. 8ka. Poznań. 1845. Nakładem i drukiem N. Kamińskiego i Spółki. Kart 2 i str. 297. Złp. 15.

1849.

P O Z N A Ń .

86. Estetyka czyli umnictwo piękne, przez Karola Libelta. Część ogólna. 8ka. Poznań. 1849. Nakładem J. K. Żupańskiego, drukiem N. Kamińskiego i Spółki. Kart 4 i str. 493. Złp. 20.

87. System umnictwa czyli filozofii umyślowej. Część I. 1849. Część II 1850.— 8ka. Poznań. Nakładem J. K. Żupańskiego, druk N. Kamińskiego i W. Dekera. Tom I, str. 363, II. 332. Złp. 33 gr. 10.

1850.

WARSZAWA.

67. Lalka dobrze wychowana (,) oraz latarnia magiczna dla grzecznych dzieci (,) Dziełko z francuzkiego przetłózone przez L. Nowosielskiego. Dwunastoma obrazkami ozdobione. 12ka. Warszawa. 1850. Nakładem G. L. Glücksberga, druk Ungra. Str. 190. Złp. 10.

68. Słownik malarzów polskich (,) tudzież obcych w Polsce osiadłych lub czasowo w niej przebywających, przez Edwarda Rastawieckiego. Z dołączeniem szesnastu rycin, wizerunków celniejszych artystów. Tom I. 8ka. Warszawa. 1850. Nakładem autora, druk Orgelbranda. Kart 2, str. VIII i 334. Złp. 26 gr. 20.

W I L N O .

69. Budnik. Obrazek przez Józefa Ign. Kraszewskiego. 16ka. Wilno. 1850. Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego. Str. 224. Złp. 4.

70. Człowiek niewidzialny czyli cudowny kapelusz. Poglądy obyczajowe przez Zofię (ią) K* z Brzozówki. Wydał Romuald Podbereski. 8ka. Wilno. 1850. Drukiem Zawadzkiego. Kart 2 i str. 100. Złp. 6 gr. 20.

P E T E R S B U R G .

71. Powiastki i gawędy. 8ka. Petersburg. 1850. Nakładem B. M. Wolffa, druk Pratzka. Str. 215. Złp. 13 gr. 10.

Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

Emeryt, powieść J. Korzeniowskiego, której znaczną część Biblioteka Warszawska ogłosiła, wyjdzie wkrótce oddzielnie we dwóch tomach u Zawadzkiego w Wilnie.

— Nakładem B. M. Wolffa w Petersburgu, wyjdą w pierwszych dniach grudnia r. b.: „Pisma Henryka hr. Rzewuskiego”, 7 tomów w 8ce, z portretem autora. Tom I i II zawierać będą: *Wędrowki umysłowe*. Tom III i IV: *Teofrast Polski*. Tom V, VI i VII: *Adam Śmigiełski starosta gnieźnieński*, romans historyczny. Cena przedpłaty wynosi złp. 70, która z dniem 1 grudnia do złp. 85 podwyższoną będzie.

— P. Małeckie, sprowadzony z Poznania na profesora filologii w uniwersytecie krak., napisał traktat: „O znaczeniu i tegoczesném stanowisku filologii.” Rzecz z wyższego stanowiska sumiennie i z talentem opracowana.

— W drukarni Pillera we Lwowie wyszła broszurka p. t.: *Wie der polnische Sprachgeist die Urgeschichte der Slavischen Volksstämme auffast? Freinach dem polnischen Manuscript* Dziejostęby Szrzeniawy (Sartyniego). Są to badania podług znanego dzieła Szrzeniawy „*Polnische Wortforschungslehre.*”

— W Wiedniu wyszła broszurka, pod napisem: *Einige Kulturhistorische Blicke über die Juden in Galizien, nebst kleinen Andeutungen auf den Bildungsstand anderer Nationen, spekulativ aufgefasst von Moritz Bernstein*, w 8ce. 1850.

— Znany Słowianin J. Kollar wyda wkrótce dzieło pod napisem: „Słowiańska Italia starożytna” w którym dowodzi, że na tój klassycznej ziemi jeszcze w przedhelleńskich czasach, słowianizm był panującym, jak o tём przekonywają liczne ślady w istniejących pomnikach.

— Po zanominowaniu Helcla i Zielonackiego na prof. w uniw. krak. nastąpiły nowe rozporządzenia: niektóre kursa w wydziale prawnym mają być po niemiecku wykładane, inne jednego roku po polsku, w drugim po niemiecku.

(*Nadesłano*).

Każdy dzień przekonywa, jak silne współczucie obudza klęska Krakowa: ze wszystkich stron garną się znaczne ofiary pieniężne, i każdy przemyśliwa, jakimiby środki podźwignąć go z tego upadku. Do tyłu ofiar, do tyłu gorliwych usiłowań, nie wprost pieniężnym zasiłkiem, lecz twórczą myślą, umysłowem bogactwem powinni się przyczynić ci, co pracując piórem, krzepią ducha, i skupiają w sobie promienie wiedzy. W tym celu niniejsza odezwa zwraca się do literatów naszych w różnych prowincjach, z prośbą, aby raczyli nadsyłać utwory swoje, dowolnej treści, bądź wierszem, bądź prozą, któreby świadczyć mogły zarazem o wysokim stopniu natchnienia i sztuki. Artykuły te, nacechowane charakterem różnych miejscowości, zebrane w dzieło, mają utworzyć Album, pod tytułem: „Grosz wdowi czyli pamiątka pożaru Krakowa.” Cały dochód z wydaniem obrócony zostanie na podźwignienie pomników uszkodzonych pożarem, na restauracyą starożytnych świątyń i gmachów. Zamiarem wydawcy będzie, uczynić tę książkę ozdobną, tak pod względem typograficznym, jak co do rycin, wyobrażających niektóre pomniki i okolice Krakowa. Wszelkie artykuły mają być nadsyłane franko pod adresem: *Lucyan Siemieński w Krakowie*.

— Na publiczném posiedzeniu Towarzystwa Naukowego krakowskiego w d. 13 lipca r. b., dziekan wydziału lekarskiego doniósł, że z trzech zadań do nagrody w roku zeszłym przez wydział lekarski podanych, jedno tylko t. j.: „Opisanie przebiegu i sposobu leczenia cholery w Krakowie panującej” było rozebrane i wydziałowi do ocenienia w dwóch rozprawach złożone. Z tych nagroda złp. 153 wynosząca, przyznana została rozprawie z godłem: *Quot capita tot sensus*: której autorem okazał się p. *Jakób Wolf* uczeń tutejszj szkoły, w roku

ubiegłym stopniem dra medycyny zaszczycony. A ponieważ dwa inne zadania, już po drugi raz w roku zeszyły ogłoszone, pomimo powiększonej nagrody rozwiązane nie zostały; wydział więc na swém posiedzeniu 12 lipca, nowe zadania do nagrody podać uchwalił; z tych:

Pierwsze: „Rozbiór chemiczny wód studzien krakowskich, a mianowicie w głównym rynku, na ulicy Szerokiej, przy Bernardynach, na Kleparzu, w kolegium Jagiellońskim i na Kazimierzu, ze stosownym opisem geologicznym pokładów ziemnych w których się znajdują.” Że zaś rozbiór tych wód dla wiadomości samychże mieszkańców Krakowa tak ważny, wymaga dłuższej i mozolnej pracy, a nawet i kosztów ze strony podejmującego; wydział więc, za wypracowanie w tym względzie najlepsze, przeznacza złp. 900 nagrody, powstałej z trzechletniego czynszu od kapitału, przez W. protomedyka Jakubowskiego na ten cel zapisanego.

Zadanie drugie: „Wykazać o ile sposób życia, żywienia się, mieszkania i wpływy klimatyczne działają szkodliwie na zdrowie włościan naszych, w porównaniu z sąsiednimi góralami.” Nagroda złp. 300, pochodząca z zapisu niewiadomego, imię swe przed światem ukryć pragnącego, dobroczyńcy.

Zadanie trzecie: „Skreślić obraz historyczno-statystyczny ogrodu botanicznego w Krakowie.” Nagroda z tegoż samego źródła złp. 153 wynosząca. Rozprawy w tych przedmiotach zwykłym sposobem, z godłem, nazwisko autora zawierającym, nadesłane być mają dziekanowi wydziału lekarskiego najpóźniej do dnia ostatniego miesiąca marca roku przyszedłego 1851.

— Towarzystwo Naukowe krakowskie wydelegowało z grona swego, jak wiadomo, komitet archeologiczny, mający na celu gromadzenie pamiątek krajowych, i tego wszystkiego, co tylko zdolnym jest wtajemniczyć nas w przeszłość naszą. Towarzystwo czując zupełny brak archeologii ojczystej, widząc jak najdroższe pomniki i zabytki starożytne przepadają z dniem każdym, zamierzyło przez obywatelską gorliwość mieszkańców kraju utworzyć muzeum przy bibliotece uniwersytetu Jagiellońskiego. Skutek tego zamiaru objawił się w wydaném piśmku:

Odezwa Towarzystwa Naukowego z Uniwersytetem Jagiel. połączonego, w celu *archeologicznych poszukiwań, wraz ze skazówką mogącą posłużyć za przewodnika w poszukiwaniach tego rodzaju.* W Krakowie, w drukarni Uniwersytetu. 1850, w 8ce. str. 38. Odezwę tę przytaczamy tu w całości, zamawiając sobie ogłoszenie *Skazówki* przy najbliższej sposobności.

„W obec pocieszającego wzrostu, sztuk pięknych i literatury narodowej, który w kraju naszym spostrzegamy, brak prawie zupełny archeologii ojczystej i pobratymczych narodów, coraz mocniej czuć się daje. Brak ten jest tém dotkliwszym, że każdy rok przyczynia się do zatury najszacowniejszych pamiątek. Ileżto n nas jeszcze przed niewielu laty dawnych monet za marne pieniądze w ręce żydów na stopienie nie puszczone, ileżto obrazów pięknych nie niszczyje, ileżto szanownych budynków rozsypało się w kupę gruzów bez pozostawienia śladu dawniejszego swego kształtu, ileż nareszcie ważnych ksiąg i rękopismów nie zmarnowano!

W krajach, w których prawdziwa oświata panuje, każdy mieszkaniec poczytuje sobie za święty obowiązek szanowanie zabytków przeszłości i chętnie je składa w zbiorze narodowym. Boć jedynie mając zbiór zabytków przed oczyma, można je porównać tak z sobą nawzajem, jako też z przedmiotami obcemi tegoż

samego rodzaju, a t \acute{e} m sam \acute{e} m wykryć ich przeznaczenie, ich cech \acute{e} odr \acute{e} bn \acute{a} ; słowem, można je ocenić i naukowo zbadać.

Towarzystwo naukowe krakowskie z uniwersytetem Jagiellońskim połączone, pragnąc temu niedostatkowi o ile siły jego dozwolą zaradzić, postanowiło, obok licznych zbiorów naukowych uniwersytetu, założyć muzeum oddzielne, w któr \acute{e} m same te zabytki z przeszłych wieków i wszelkie o nich wiadomości piśmienne i rysunki zgromadzone być mają; poruczając bliższy dozór nad tym zakładem, tudzież wszelkie naukowe wypracowania w zwi \acute{a} zku z \acute{y} tym przedmiotem b \acute{e} dące, osobnemu komiteciowi, do któr \acute{e} go składu obecnie należą członkowie towarzystwa: Józef Muczowski prof. i bibliotekarz, Wincenty Pol prof. uniw. Karol Kremer dyrektor budownictwa, i Teofil Żebrawski inspektor komunikacyj lądowych i wodnych.

Początkiem do tego zbioru b \acute{e} dą starożytności dziś w bibliotece zachowane, które odtąd osobny oddział t \acute{e} ż biblioteki u niwersytetu Jagiellońskiego stanowić mają. Mając zaś na pamięci nie jeden piękny przykład, jak zacni i oświeceni obywatele z przywiązania do ogóln \acute{e} j oświaty, z r \acute{a} k zniszczenia wydarte zabytki poskładali w zbiorach publicznych dla powszechnego uż \acute{y} tku, a przyczyniając się do rozjaśnienia przeszłości, imię swoje uświetnili; śmiało się towarzystwo naukowe odzywa do wszystkich o wzrost nauk i pamiętki krajowe gorliwych obywateli, aby wpływem swoim, radą, darami samych przedmiotów starożytności, lub w miarę okoliczności ich opisem, według załączonej tu instrukcyi, przyłożyć się zechcieli do dzieła, które tylko za pomocą sił skupionych i rozgałęzionych stosunków, da się doprowadzić do pożądanego skutku.

Nie ma prawie domu, dworu, zamku, kościoła i miasta, któreby nie posiadały jakiej szacown \acute{e} j narodow \acute{e} j pamiętki. Pamiętki te pojedynczo rozrzucone, mało lub wcale niecenione, nabrałyby dopiero całej wartości, w zbiorze umiejętnie urządzonym. Starożytny Kraków, a w nim dawne Jagiellonów kollegium, zdaje się być najstosowniejsz \acute{e} m miejscem, do pomieszczenia zabytków przeszłości.

Towarzystwo naukowe z wdzięcznością przyjmować będzie do biblioteki uniwersytetu Jagiellońskiego, wszelkie dary pamiętek jakiegokolwiek b \acute{e} dą rodzaju, odnoszących się do przeszłości narodów w ogólności słowiańskich i obcych, niemniej wiadomości, opisy i rysunki przedmiotów, z dziejami przeszłości krajow \acute{e} j zwi \acute{a} zek mających. Uprasza dalej o zawiadomienie go, gdyby tego rodzaju przedmioty były do nabycia; staraniem h \acute{o} wiem jego b \acute{e} dzie o ileby mu fundusze pozwalały, przez zakupno zbiór swój powiększać. Gotowe jest dalej zbioru prywatne przyjmować na czasowe przechowanie obok zbiorów własnych, ażeby przez to dać choć chwilow \acute{a} sposobność korzystania z nich robiącym tego rodzaju poszukiwania naukowe.

Towarzystwo uważa w t \acute{e} j mierze za zasadę, że jako ofiary przez dawców składane, czynione b \acute{e} dą przez tychże na ręce biblioteki uniwersytetu Jagiellońskiego, tak t \acute{e} ż, gdyby ten nowo utworzony przy ni \acute{e} j Zbiór Starożytności, niespodziewanym zbiegiem okoliczności ule \acute{d} z [miał kiedyś innemu przeznaczeniu, wniesione dary zwrócone być winny dawcom, lub ich, prawo do tego mając \acute{e} j, rodzinie. Ścisłe t \acute{e} ż przestrzegać tego b \acute{e} dzie, ażeby przy ka \acute{z} dym w szczególności darze, jaki do zbioru starożytności przyb \acute{e} dzie, zachowane i ka \acute{z} demu widoczne było nazwisko dawcy, od któr \acute{e} go pochodzi, jeżeli tenże nie uczyni wyraźnie przeciwnego w tym wzgl \acute{e} dzie zastrzeżenia.

Z darów wszelkich Towarzystwo będzie zdawało rok rocznie sprawę w rocznikach swoich, a nadsyłane wiadomości, opisy i rysunki, będzie upowszechniać pismami przez siebie wydawanemi; chyba, że nadsyłający opis lub wiadomość, zastrzeże sobie wyraźnie, iż takowych do upowszechnienia nie przeznaczą.

Aby przyjść w pomoc obywatelom gorliwym o rozpowszechnienie wiadomości archeologicznych i podać im jakąkolwiek skazówkę, mogącą ułatwić wyszukanie i opisanie przedmiotów starożytnych, dołącza Towarzystwo naukowe krótką instrukcją, która zamiary i cele towarzystwa bliżej wyjaśni, a przytęm posłuży jako przewodnik w badaniach archeologicznych.

Kraków d. 14 maja 1850 r.

Dr. Majer, rektor uniw. prezes Tow. nauk. krak.

J. Kremer, sek. T. N.

Towarzystwo uprasza, ażeby wszelkie listy i dary, dawcy pod następującym adresem przysyłać raczyli: Do biblioteki uniwersytetu Jagiellońskiego w kolegium Jagiellońskim przy ulicy św. Anny w Krakowie.

— Komitet archeologiczny postępując w myśl podanej mu instrukcyi przez Towarzystwo Naukowe, gromadzenia wszelkich sił i zdolności, któreby popierać zdołały jego usiłowania, i podzielać pracę, zaprosił (jak się dowiadujemy) do grona swego znanych w zawodzie naukowych badań starożytności krajowych pp. Józefa Jerzmanowskiego i Józefa Łepkowskiego, oraz p. Erazma Niedzielskiego obywatela galicyjskiego.

— P. J. Łepkowski odkrył szczęśliwem zdarzeniem w zeszłym miesiącu we wsi *Brzezia* pod *Zabierzowem* w okręgu krakowskim, ciekawy egzemplarz *popielnicy pogatńskiej*, który natychmiast do muzeum na pierwszy jego zakład złożył.

Pod koniec maja b. r. przybył do Berlina Józef Warszawicz, Polak, rodem z Litwy, który kosztem stowarzyszenia angielskiego w Londynie, pod dyrekcją Skinera i Stefensa, odbywał podróże przez lat pięć w Ameryce północnej, międzyzwrotnikowej i południowej, niezmiernie wiele odkrył nowych gatunków i rodzajów roślin, dotąd w Europie nieznanych, mianowicie z rodziny storczykowatych (*Orchideae*), najwięcej teraz w Anglii cenionych, które żywe wszystkie do Londynu z Ameryki przesyłał. Ale prócz tego zebrał on 1400 gatunków nasion kwiatów ozdobnych i dla amatorskich ogrodów najbardziej się zalecających. Chcąc mieć tych roślin katalog, w którym wszystkich gatunków ceny są podane, można o to pisać do Berlina pod adresem: *Herrn Warszewicz, Americaner Reisender, Berlin, Friedrichs-Gasse nr. 53.* w języku polskim, hiszpańskim, angielskim lub niemieckim. P. Warszawicz będzie bawił w Berlinie do 1 października, w którymto miesiącu znowu do Anglii powraca, dla dalszego odbywania botanicznych wycieczek. Za prawdziwość gatunków i dobór nasion ręczy, i tak je oddaje, jak oznaczone były przez botaników londyńskich, mianowicie Stookera i Lindleya, zapewniając, że zebrane były po większej części w r. 1849 i na początku bieżącego. Być może, że jeszcze nie sprzedał wszystkich żywych storczyków, których znaczną część przywiózł ze sobą na sprzedanie.

† W dniu 24 lipca b. r. rozstał się z tym światem w Maryenbadzie profes. uniwersytetu krakowskiego Kajetan Trojański Dr. fil. Ubolewać nam przychodzi, że owoce wieloletniej pracy tego uczonego męża, przez pożar w Krakowie 18 lipca zniszczone zostały. Przygotował on był do druku nowe wydanie swojego niemiecko-polskiego słownika i nowy słownik polsko-łaciński, i łacińsko-polski, nad którym przez 20 lat pracował. Wszystko to zginęło w płomieniach.

† W dniu 30 lipca b. r. pożegnał ten świat u źródeł wód szczawnickich w Galicyi, dyrektor szkoły technicznej krakowskiej Józef Podolski Dr. fil. znany z prac naukowych w zawodzie fizycznym.

Redakcyja Biblioteki Warszawskiej



DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatoryum Astronomiczném

WARSZAWSKIÉM.

Lipiec, 1850.

	mm.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	749.324	27	8.173
Najwyżej dochodził — d. 4 o g. 10 r.	754.48	28	10.458
Najniżej — — d. 8 o g. 4 w.	740.35	27	4.194
Średnia zmiana dzienna barometru	2.503		1.113
Największa zmiana dzienna barometru d. 7—8 o g. 6 r.	11.67		5.137
Średnia wysokość barometru jest wyższa o od stanu normalnego z 24 lat poprzedzających	0.049		0.022
Średnia temperatura Lipca wynosi: i ta jest wyższa o od stanu normalnego z 24 lat po- przedzających	749.275	27	8.151
	+ 18 ^o .90 C.	+ 15 ^o .12	R.
	0.51 „	0.41 „	„
	+ 18.39 „	+ 14.71 „	„
Największe ciepło dochodziło d. 28 o godz. 4 wiecz.	+ 28.0 „	+ 22.4 „	„
Najmniejsze dochodziło d. 6 o godz. 10 wiecz.	+ 9.2 „	+ 7.4 „	„
Termometrograf wskazał:			
Maximum: + 25. ^o R. d. 28 po poł.			
Minimum: + 4.2 „ d. 7.			
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.35 „		1.88 „
Największa zmiana d. 5—6 o godz. 10 r.	10.8 „		8.6 „
Wody z deszczu spadło wysoko na 100,5 milim., czyli 44,55 lin. par., to jest: o 6,89 więcej niż w stanie normalnym.			
Średnia wilgotność powietrza miesięczna wynosi: 68,7; biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do cięż- aru 11,14 gramów, na jednym metrze sześciennym powie- trza. Wilgotność ta jest o 2 setne mniejsza, niż w stanie normalnym.			
Dni pogodnych było 8; napół pogodnych 17, pochmurnych 6.			
— deszczu 13 (d. 5, 6, 8, 9, 10, 11, 12, 13, 14, 15, 26, 29, 30).			
— grzmotów i błyskawic 4 (d. 13, 14, 15, 29).			
— błyskawic bez grzmotów 1 (d. 28).			
Wiatry panujące: Zachodni, Północno-Zachodni i Północny.			
Wichrów nie było.			
Lipiec r. b. był suchy, pogodny, cieplejszy o 0.41 stop. R. jak zwykle. Najcieplejsze dni były: 20, 21, 22, 23, 24, 25, 28, 29; średnia temperatura tych dni dochodziła do 17 stop R. Najchłodniejsze dni były: d. 6, 7, 9, 10, 11, 12, 13. Przez całą noc z d. 11—12 deszcz obfity padał. D. 13 deszcz przez cały dzień padał, wody z deszczu spadło w tym dniu 15.11 lin. par.			
D. 14 po południu grzmoty, pioruny i deszcz.			
D. 15 w wieczór grzmoty, błyskawice do późnej nocy.			
D. 28 w wieczór błyskawice bez grzmotu, powtarzane w stro- nie wschodniej.			

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1850.

Tom czwarty.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM XL.

P



WARSZAWA.

W Drukarni Stanisława Strąbskiego,
przy ulicy Daniłowiczowskiej Nr. 617, w dawniej Bibliotece Żaluskich.

1850.

Za pozwoleniem Cenzury Rządowej.

SARAGOSSA

W ROKU 1809.

(Wyjątek z niedrukowanych dotąd pamiętników).

Saragossa, to piękne, bogate i ludne miasto, które Ebro przerzyna, leży na równinie między rozkosznymi ogrodami, drzewami pomarańczowemi i oliwnemi, pięknymi domami i plantacyami winnic wokoło otoczone. Dnia 23 czerwca 1809 r. przystąpiła armia francuzka pod rozkazami marszałka Lannes pod mury Saragossy, i zamknęła ją z prawego brzegu rzeki. Przypuściliśmy do niej szturm, lecz napróżno; musieliśmy się wstrzymać, i pomieściwszy się w oliwnych ogrodach pod samém miastem, zajęć obóz na wystrzał armatni. Przy pierwszym natarciu na inkwizycyą, padł uderzony kulą kartaczową major Schott, naczelny dowódzca 3go pułku legii, przez wszystkich żałowany (1).

W czasie tego ataku, zajęłem miejsce przy głównym trakcie do miasta prowadzącym, z jednym oddziałem kompanii, dla pilnowania tego gościńca; gdy postrzegłem biegnących od strony miasta żołnierzy, zdawających mi się mówić po hiszpańsku. Już chciałem kazać dać ognia do nich, gdy ciż sami na widok moich ludzi najmniejszój uwagi nie zwracając, nie zastanowili się bynajmniej. Poznaliśmy nareszcie, że to byli Portugalczycy, mający podobny ubiór do Hiszpanów: jasno-tabaczkową kurtkę, na trzy rzędy gładkimi guzikami spiętą, pantalony błękitnego koloru z wypustkami brunatnemi, pargatos na nogach, i czarno lakierowany szako, w formie ostrokągu ściętego. To był pierwszy napad pod kierunkiem generała kawaleryi Lefebra, syna marszałka,

(1) Schott miał żonę z Wrocławia, którą gdy udał się na wojnę, w ojczyźnie zostawić musiał.

młodego jeszcze, ale odważnego oficera, którego Saragossanie w dniu 2gim lipca tak dzielnie odparli. Tymczasem posuwały się coraz bliżej miasta nasze przednie straże, przyplacając krwawo każdy krok. Jednej nocy wyszedłem złuzować bardzo niebezpieczną straż; księżyc blado oświecał tę śmiercią grożącą częstkę ziemi, zatem ze spuszczoną bronią i nachyliwszy się, zbliżałem się z memi ludźmi do porucznika Kalińskiego, trzymającego tam przednią straż. Po oprowadzeniu mnie po stanowiskach i czatach wzdłuż ustawionych ponad niskim murem, który od nieprzyjaciela umyślnie zniszczony, oddzielał ogród od oliwnego drzewa, stanąwszy za nim, pokazywał mi Kaliński miejsce, z którego jedno działło w dzień ciągle dawało ognia do obozu naszego. Załedwie zwróciliśmy oczy ku tej stronie, gdy zabłyśło, i kula pomiędzy nami tuż koło siebie stojącemi przeszła, i płaszcz koledze memu przedziurawiła, nie zrządziwszy żadnemu z nas najmniejszego obrażenia. Kochany mój kolega nie czekając drugiego strzału, przemówiłszy załedwie do mnie: „bądź zdrow mój bracie”, zabrawszy swoich ludzi poszedł sobie do obozu, a mnie zostawił na czatach.

Nareszcie postanowiono przypuścić drugi szturm, który się odbył 4 sierpnia i udał się nam, lubo daleko okropniejszy i więcej morderczy jak poprzedni. O godzinie pierwszej w nocy formując przednią straż w kolumny, ruszył pułkownik Kąsinowski na czele naszego pułku szeroką drogą, prowadzącą do „Porta del Carmen.” Noc była czarna, głęboka cisza wokoło panowała, zapowiadając, jak Niniwie, śmierć i zniszczenie. O Saragosso! żebyś wiedziała, co się z tobą dzieć będzie! Ileżto tysięcy kul gotuje się na ciebie!

Za armatami, których koła słomą obwinięto, nadciągała ta piekielna kolumna, napelniona żarem i zapalczywością, a mimo to największe panowało milczenie; gdzieniegdzie tylko ciche dały się słyszeć westchnienia do Wszechmocnego, wzywając go o pomoc. Około godziny drugiej stanęła kolumna oczekując świtu. Piérwszy grenadyr idący na przodzie napadł zcichacza hiszpańską czatę, powalił ją bagnetem i dał ognia. Odrazu otworzył się straszny ogień ręcznej broni ze wszystkich stron. Teraz kolumna rzuciła się naprzód. Kapitan Łarzewski uderzył ze swemi grenadyrami na baterią, broniącą morderczym ogniem wejścia do bramy „del Carmen”, przy której legło 90 ludzi. Wpadliśmy nakoniec do miasta, lecz musieliśmy go ulicami zabarykadowanemi dobywać, wańtuchy sprowadzać, i przy toczeniu poza niemi strzelać.

Dostaliśmy się przecież w środek miasta. Więzienia wylamano, a nawet dom waryatów otworzono, z kądem obłąkani i szaleni wychodzili na wolność. Ja sam widziałem, jak jedna młoda waryatka wśród rzesistego ognia ręcznej broni, zawiesiła się na szyi jednemu z naszych żołnierzy, i obsypując go najgorętszymi całusami, żądną miarą puścić go nie chciała. Biedny wiarus nie mógł się żadnym sposobem jej karesów pozbyć, i nie wiedział co z nią począć: czy się jej bronić, czy strzelać; aż nareszcie padła ofiarą z rąk swoich współrodaków, będąc kulą ugodzona. Każdą kamienicę trzeba było z osobna dobywać; strzelano z okien i piwnic, księża i kobiety dawały ognia. Przy mnie zdobyto klasztor zakonnicy; wchodząc do niego, spotkałem niesionego podporucznika Piątkowskiego, ranionego kulą w nogę.

Wszedłszy do klasztoru, przedstawił mi się widok, pełen zgromy; nie ochraniano zakonnicy. Widziałem grenadyera leżącego na kurytarzu obok konającej zakonnicy, w sercu której sztylet tkwił, jako zadającej sobie samej śmierć. Z oburzeniem odwróciłem się i pobiegłem znów na ulicę; przy samej bramie klasztoru leżał w poprzek ulicy zabity porucznik Kaliński, którego już wyżej poznaliśmy. Obaj bracia Głowaczewscy stojący obok siebie, przez postrzał kartaczami utraciwszy nogi, wyzionęli zaraz ducha na miejscu. Niezadługo postrzegłem mego kapitana Świerczyńskiego ranionego, na broni przez żołnierzy niesionego. Kapitan wołyżerów Notkiewicz, zawsze z fajką w ustach, posunął się ze swoją kompanią aż na plac kościoła cudownego obrazu Matki Boskiej „del Pilar”.

Jestto obszerny konwent, wewnątrz którego wzniesiona jest kaplica, mieszcząca w sobie leżącego Jezusa Chrystusa w naturalnej wielkości, ze srebra lanego, nad którego głową stoi na dwa łokcie wysokiej kolumnie jednolokciowa statua Panny Maryi z dziecią Jezus na ręku, ze złota lana, a to wszystko na skale umieszczone, w ścianie tej kaplicy jest urządzone. Wokoło głowy Panny Maryi wije się wieniec, a wokoło głowy dziecicia drugi wianek, obsadzony dyamentami i innymi drogiekami kamieniami. Na głównym oltarzu stało w naturalnej wielkości z lanego srebra 12 apostołów. Wiedział o tych niezmiernych bogactwach Notkiewicz, przedarł się był najdalej ze wszystkich trzech regimentów; lecz chociażby zdobył ten konwent, byłby się omylił, bo Hiszpanie wybrali drogie kamienie z koronek, a w ich miejsce wsadzili fałszywe. Tymczasem zastępując miejsce kapitana

Świerczyńskiego, zdobywałem klasztor del Carmen, z którego bardzo trudno mi było wypędzić zawziętych obrońców jego (1). Gdy przy zakręcie ulicy, przy której ten klasztor znajdował się, na czele kompanii uderzyłem na niego, odebrałem przywitanie do dziś dnia mi pamiętne. Jakiś niegodziwiec wsadził mi dwie pólkule w golenie prawej nogi. Natychmiast zrobiło mi się gorąco, trzy razy obróciłem się wkółko, a potem upadłem; w ten moment porwali mnie żołnierze i wynieśli z ognia. Wynosząc mnie za miasto oddali dwom saperom (z których jeden sierżant, Stefański), którzy położywszy mnie na drzwiach z domu wyłamanych, odnieśli do ambulansu, o ćwierć mili odległego.

Przybywszy do lazaretu polowego, zastałem już tam w jednym salonie rozciągniętych rannych kolegów moich; naprzeciw mnie leżał jęcząc na słomie kapitan wołyżerów Rybiński i porucznik Ojrzanowski: obydwaj kartaczami zgruchotane mieli nogi. W lewo obok mnie podporucznik Dobrzycki, a za tym francuzki kapitan, po prawej zaś stronie podporucznik Piątkowski. W przybocznym salonie leżeli ranieni porucznicy: Skaliński, Dłuski, Borakowski, Lewicki i Niechcielski. Tego samego wieczoru po szturmie, przyszedł nasz pułkownik Kąsinowski odwiedzić nas, dodając nam pociechy, zostawiwszy zasilek pieniężny, jeżeli kto potrzebował. W ogóle było z legii 53 oficerów zabitych i rannych. Rybińskiemu i Ojrzanowskiemu amputowano nogi, lecz obydwaj umarli: pierwszy miał wiele złota przy sobie, które zapewne dostało się w sukcesyi chirurgowi, albowiem zazwyczaj chirurg w czasie kampanii przy podobnych operacjach, gdzie ranny zpod opieki jego wybiera się na tamten świat, nie odstępuje go, i czyni mu ostatnią przysługę przyjacielską—oczy mu zamyka.

Francuzki kapitan umarł już trzeciego dnia; nie dał się żadną miarą dotknąć chirurgowi, ale za to ciągle pił wino, które mu bez ustanku jego ordynans przynosił: czuł dobrze nieborak, że zawsze z nim koniec będzie.

Mnie zaś gorliwy chirurg proponował, z grzecznością kuryzanta, jednakże bez wielu ceremonij, ażebym sobie „sans façon” nogę dał amputować. Myślałem, że mi dusza ze strachu już naprzód wyleci. Wolałem umrzeć, niż pozbyć się mojej najlepszej przyjaciółki i podpory na moje stare lata; dozwoliłem sobie tylko

(1) Kapitan Świerczyński był kluczami przez wystrzał armatni w brzuch ugodzony; skonał w parę godzin dopiero najboleśniejszą śmiercią, będąc zanieśiony do obozu.

wyświdrować jedną półkulę, która na wierzchu tkwiła, drugą zaś siedzącą głębiej, pozostawiłem sobie dla barometru na przyszłość. Teraz przy każdej zmianie powietrza pojawia się w nodze nieznośny reumatyzm; nawet w tym momencie, kiedy o tém piszę, to jest dnia 1 kwietnia 1847 r. boli noga już od trzech dni, gdyż na dworze śnieg i deszcz; jednakże nie życzyłbym nikomu podobnego barometru nabyć, chociaż on jest najsprawiedliwszy i bardzo mało kosztuje, bo zamiast żywego srebra. posiada ołów!

Straszne narzekania i jęki rozlegały się po całym ambulansie. Ze wszystkich okien wyrzucano nogi i ręce, jak gdyby od zarzniętego bydła, a nawet usłyszano wystrzał; było żołnierz, który gdy mu Carrajo kilka gwoździ w jelita wpakował, z bólu w łep sobie strzelił. Ja zaś po sześciodniowym bandażowaniu nogi, mogłem o kuli już chodzić.

Transport rannych do Bajonny.

Ósmego dnia zostałem z innemi choremi odwieziony do kanału aragońskiego, gdzieśmy na statek na ten cel w rekwizycją wzięty wsiedli, który za liny muły ciągnęły. Byłato najlepsza pora, gdyż hiszpański generał Castanos nadciągał z silną armią regularnego wojska na odsiecz dręczonój Saragossie.

Kanał ten przecina równinę pomiędzy przepysznemi winnicami i kończy się przy Ebro pod Tudellą, gdzieśmy na łąd wysiedli. Ztąd odesłano nas podwodami do Pamplony, osobliwszego rodzaju furmanką. Jestto prosty jaszczyk czworoboczny z desek zbity, na dwie osoby, naprzeciw siebie siedzieć mogące, podobny do kary, jakiej u nas do wożenia piasku lub śmieci używają; jój dwa niskie koła, na których jedynie spoczywa, są z bali wyrabiane bez sprychów i na zawsze przymocowane. Nigdy nie zdejmowane i nigdy niesmarowane ich osie, dają zdala słyszeć nieprzyjemne skrzypienie, któreby człowieka z grobu wypędzić mogło. Ciągnęły ją woły w zaprzęży czyli jarzmie, podobném do naszego.

Przybywszy do La Valetta, o pół mili od Pamplony odległego miejsca, znaleźliśmy się w bardzo dzikiej i górzystej okolicy, której mieszkańcy ku nam nieprzyjazny umysł okazywali; nawet rabusie dali się postrzedz w pobliżności.

W Pamplonie oddano mnie do lazaretu wojskowego, z którego okien ujrzałem żarzące ognie na górach, zapowiadające po-

wstanie ludności. Cała Arragonia wzięła się do broni, widząc Francuzów cofających się zpod Saragossy, którzy działa grubego kalibru w pośpiechu zatopić musieli w kanale.

Dnia 21 sierpnia w największym upale ewakuowano lazaret z 350 rannych do St. Jean pied de Port, a potem do Bajonny, do głównego lazaretu. Jadąc z tą samą piskliwą muzyką, która nam już w marszu z Tudelli była znaną, przybyliśmy przez Sivigni do Roncevales, zawsze w obawie, aby nas nie zabrali bandyci. Droga kamienista była bardzo utrudzającą, a szczególnie dla rannych niezmiernie dokuczającą. W klasztorze otrzymaliśmy wszelkie wygody.

Pochód, czyli raczej jazda przez Pyreneje, była dla nas nadzwyczajnie dolegliwa; trzeba było mieć się na ostrożności, aby nie przewrócić w przepaść, z powodu ciasnej drożyny. W St. Jean pied de Porte dostałem się do wygodnej kwatery, gdzie mnie sama panna domu pielęgnowała, gdyż musiałem pilnować łóżka. Po trzydniowym spoczynku wyjechałem do Bajonny, już na podwodach konnych bez wołów hiszpańskich i ich muzyki wozowej. W szpitalu wojskowym głównym, dokąd mnie wysadzono, znalazłem następujących oficerów: Piątkowski, Borakowski, bracia Dłuscy, Lewicki, Dobrzycki młodszy, Smarzewski, Sokołowski, Wągrowski i Skaradowski; ten ostatni niedługo zmarł w skutek odniesionych ran. W krótkim czasie chciano mnie odesłać do lazaretu do Tuluzy, lecz zostawszy się, wyzdrowiałem prawie zupełnie, i wypuszczony zamtąd, jako rekonwalescent poszedłem na kwaterę do miasta.

Szczęście mi posłużyło: moja gospodyni nadzwyczaj grzeczna, usługiwała mi osobiście. Żadnego innego trunku nie przynosiła, jak czystą źródłową wodę, a obawiając się odnowienia ran moich, napominała mnie ciągle: „L'eau fraiche vous fera guerrir, mon ami.”

Powrót do obozu pod Saragossą.

Depo całej legii zostało przeniesione do St. Jean pied de Port, dokąd dnia 20 października się udałem. Tu znajdowałem się z oficerami następującymi: Piątkowskim, Niechcielskim, Dobrzyckim, Witkowskim, Skarbkiem, Gosławskim, Lipińskim, Wągrowskim; kapitanami: Notkiewiczem, Pawełskim i Cambres kassyerem pułkowym; majorami: Michałowskim i Kosińskim. Ostatni komenderował całym depo.

Wszyscy ci oficerowie chociaż niezupełnie wygojeni z swoich ran, przepędzali swój czas jak najweseliej. Niech służy przykład oficera, który kulawy z postrzału w nogę, nie mogąc zawożować Saragossy, potrafił jednak zdobyć śliczną Mary Mayte, najpiękniejszą dziewczę gór Pyrenejkich, której serce odpowiadało romantycznej krainie Rolanda, przerywaną bystrym strumieniem pomiędzy skałami i przepadlinami. Czula się Mary Mayte szczęśliwą obok Piątkowskiego. Nieraz na przechadzce w towarzystwie jego, jako uczestnika szkolnego z korpusu kadetów, kulawy jak on, szła ta pyrenejaska lasdonna między nami, której palające niebiańskie oczy, dość podziwić nie mogłem.

Na niczém nam tu nie zbywało, regularnie nam żołąd płacono. Stołowaliśmy się wszyscy u pani Lavallo, młodej i przystojnej, lecz nieco otyłej wdowy, która nas stołowników z powodu swjej żywości bardzo rozweselała; zawsze w dobrym humorze, każdy przy stole opowiadał swoje anegdotki i historyjki, lub téż jakim-bądź innym zabawiał sposobem.

Siedząc raz przy stole, porucznik od grenadyerów Wągrowski podał objaśnienie, iż z okoliczności cierpienia bólu w piersiach, zamyśla podać się do dymisyi. Na to niespodziane oświadczenie wśród wrzawy wojennej, odezwałem się do niego: „Słusznie mój koleżko! pierś swoję niezawodnie przy szturmowaniu Saragossy rozbić. Wielka szkoda, że nas opuszczasz, gdyż bez ciebie nie zdobędziemy Saragossy; na sam widok twojej czapki niedźwiedziej, poddałiby się Saragossanie”. Mowa moja oburzyła wojownika, zerwał się od stołu i rzekł: „Zobaczysz! jak cię złapię, to na miazgę roztlukę” i zaczął mnie gonić wokół stołu, a nie dogoniwszy, usiadł zmęczony na krzeselku, mówiąc: „Teraz widzicie moi panowie, jakie piersi mam słabe, czy nie powinienem wziąć dymisyi?”. I aktualnie dotrzymał słowa, gdyż wydalil się ze służby i powrócił do swojej ojczyzny.

Byłoto zebranie samych rodaków w odległym kraju, kwiat młodości i dobrego urodzenia. Byłoto dla nas wytchnienie po pierwszym krwawym szturmie Saragossy! Spodziewać się należało drugiego jeszcze okropniejszego, bo obrońcy Saragossy musieli teraz nabrać jeszcze większej odwagi. Depo naszego pułku zostało ztąd przeniesione do Pamplony i pod zarząd podporucznikowi Wendorf oddane, dokąd wszyscy rekonwalescenci udali się; zaś oficerowie, którzy powrócili do zupełnego zdrowia, odesłani zostali do obozu pod Saragossę. Szliśmy napowrót tą samą drogą

przez Caporosa do godnego uwagi, wymurowanego pod miastem starożytnego wodociągu z czasów maurytańskich, teraz zrujnowanego, do Tudelli, gdzie zachorowałem na słabość, jakiej każdy cudzoziemiec doznaje w pierwszych miesiącach pobytu swego i koniecznie uledez jęj musi; jestto febra hiszpańska, przywiązana do tego klimatu. Ponieważ w mieście nie zostawał garnizon, przeto oddano mnie pod opiekę tamecznego alkada czyli burmistrza, który za całość mojej osoby, jak równie i miasto zaręczyć musieli. Nie było warunek napróżno położony. Jak tylko na kwatere stanąłem, nagle zgraja pospółstwa przed moim domem się zgromadziła. Wrzaski i pogróżki: „Matur el demonio, del francisco“ dały się słyszeć. To nie były żarty; kazałem gospodarza mego i alkada do siebie przywołać, zapowiadając im, ile tylko mogłem zdobyć się na wymowę hiszpańską, iż ciężka odpowiedzialność za popełnioną zbrodnię na ich głowy spadnie.

Gdym wyszedł na balkon, bez którego prawie żaden dom nie jest zbudowany, ujrawszy tych zapaleńców zagrażających mi śmiercią zapewne okropną, porwał mnie strach tyle działający na stan mojej duszy, iż w téjże samej chwili przestrachu febra mnie opuściła, i już nigdy nie wróciła. Tymczasem gospodarz i senor alkade zdołali uśmierzyć pospółstwo, które z okrzykiem: „Carrajo“ rozeszło się. Przepędziwszy w największej niespokojności całą noc, ujrzałem nazajutrz przed południem przybywający oddział Polaków z Pamplony, idący pod komendą kapitana od grenadyerów Balla, do obozu pod Saragossą. Można sobie wyobrazić radość moję na widok mego wybawcy.

Po oddaniu mnie, przy którejto ceremonii p. alkad użył powagi protektora, widząc się oswobodzonym, pomaszerowałem zdrów i wesół pod Saragossę. Pobyt ten krótki w Tudelli był dla mnie najokropniejszy, jakiegom w całym mojem życiu był doznał.

Przez Malleu do Allagon, gdzie zastałem podporucznika Brandta z naszego pułku, także na febrę chorego, lecz przy swojej słabości zdołał powrócić z nami do obozu, dnia 11go grudnia przybyliśmy do obozu pod Saragossą, prawie w ten sam dzień, w którym Hiszpanów wyrugowano z Monte-Torrezu, i wpędzono do miasta.

Monte-Torrezu jestto obszerny, pięknie zbudowany klasztor, w odległości na wystrzał bomby od miasta, na wywyższeniu położony, przy obwodzie którego płynie kanał arragoński. Książę

Montebello, marszałek Lannes, poraziwszy zupełnie poprzednio armią hiszpańską pod Castannosem, zmusił mieszkańców klasztoru tego szukać schronienia w murach Saragossy.

Powtórne oblężenie Saragossy i jej zdobycie.

Dwa korpusy armii marszałków Mortier i Moncey otoczyły miasto: z téj strony rzeki Ebro ściśle zamknięta dywizya pod dowództwem księcia d'Abrantes, a z tamtéj generała Gazan. Przy zbliżeniu się opanowaliśmy zaraz ogrody oliwne i domy, które jeszcze nie były zupełnie zniesione; w otwartém zaś polu, gdzie wszystko zostało zrównane z ziemią, przez poprowadzenie przykopów na odległość pół armatniego wystrzału od wałów miasta, takowe prawie całe ściśnięte, samo w sobie broniło się. Obóz zaś został założony na wystrzał armaty, i przed nim przekop usypany dla wstrzymania niespodziewanego napadu nieprzyjaciela, jak tego przy inném zdarzeniu, o którym później mowa będzie, doświadczyliśmy.

Z podporucznikiem Piątkowskim przebywałem w jednym baraku razem. Pewnego dnia przychodzi i staje przed wejściem do baraku batalionowy chirurg naszego pułku Gulicz, rodem z Niemiec, i jako mój przyjaciel, zapewne w celu odwiedzenia mnie; a że pan doktor nie lubił bardzo bywać w obozie, gdzie czasem 24 funtowe kule jego uszy rażyły i 16sto calowe bomby drogę mu zastąpić mogły: przeto wpadłem na tę nieszczęśliwą myśl, aby dobrego przyjaciela lekkim wystrzałem z karabina nastraszyć. W skutek tego uchwyciłem nienabitą przy ścianie baraku opartą broń; nabivszy ją kilkoma ziarnkami prochu, wycelowałem ku głowie kochanego chirurga, i wystrzeliłem. Krew zalała twarz. Przełękniorny i ogłuszony niespodzianém uderzeniem i hukiem padł na ziemię, i nie przemówiwszy ani słówka, leżał rozciągnięty. Można sobie wyobrazić mój przestach! Rzuciwszy broń na bok, podniosłem go, zapytując bojaźliwym głosem: *Guliczchen, du bist doch nicht todt!*

Nie mógł biedak ani słowa przemówić, lecz otworzywszy oczy zaczął zwolna do siebie przychodzić. Szczęściem nic mu się złego nie stało, tylko 4 lub 5 ziarenek utkwily w jego twarzy, które już na zawsze pozostały, jak gdyby na wieczną pa-

miątkę służyły mu jeszcze do chępczenia się później w dowód swęj odwagi i niebezpieczeństwa, w jakim się pod Saragossą znajdował. Ta z namysłu popełniona lekkomyślność moja, doszła do wiadomości pułkownika Kąsinowskiego, naszego dowódcy pułku, mimo woli doktora; lecz tenże wystąpiwszy, ze szczerą dobrocią duszy uniewinniając mnie, przypadek ten tylko moję nieostrożności przypisywał. Z naganą, lecz sprawiedliwą, na przyszłość nie zartować z bronią, odprawiono mnie. Od czasu tego wypadku, którego skutku nie przewidywałem, ściślejszy węzeł przyjaźni łączył mnie z Guliczem, którego pierś w nagrodę jego niezmordowanej pracy w udzielaniu szybkiej i trafnej pomocy ranionym, dwa krzyże zdobyły: legii honorowęj i Virtuti militari.

Nasze prace wojenne i przysposobienia posuwały się nocną porą olbrzymim krokiem, i przybierały coraz straszniejszą postać. Aby je rozpoznać i przeszkadzać, rzucali Hiszpanie po 20—30 kul świecących razem, które w powietrzu pękając, ładny nam widok fajerwerku przedstawiały; poczem następowała nieprzerwana kanonada z obu stron.

Niezadługo zebraliśmy obóz i usadowili się pomiędzy drzewami oliwkowemi i sadami bliżej miasta, ponad pół wzniesionym murem, nieco od frontu stanowisko naszego pułku zakrywającym, na przodku którego, o pół wystrzału karabinowego, chodziła zawsze jedna cała kompania na wartę. Teraz rzucano dzień i noc wokół bomby do miasta, o których przybyciu za każdym puszczeniem, mieszkańców przez uderzenie wielkiego dzwonu z jednej z najwyższych wież Saragossy, ostrzegano; w skutek czego dało się słyszeć nieprzerwanie bicie dzwonów.

Przy początku bombardowania stawiali Hiszpanie takie bomby, które nie pękały, na wielkim ołtarzu kościoła *La Vierge del Pilar* (Panny Najświętszej kolumny), dla przekonania ludu o dziwie oczywistym, z powodu niepęknięcia bomb; lecz gdy bomby te przelamywały później cudowny kościół, i wśród modlącego się narodu pękały, i ich ciało raniły i szarpały: wtedy pozdejmowano je z ołtarza z bojaźni, aby i te nie zapaliły się, i jeszcze większego nieszczęścia nie przyniosły.

Będąc wolnym od służby, poszedłem w tył naszego nowego obozu, do wodą wypełnionego rowu, aby się w nim wykąpać, czyli raczej dobrze obmyć, gdyż niedość był głęboki; a gdym zrzucał powoli z siebie odzież i wchodził zupełnie rozebrany w wodę, trzy-funtowa armatnia kula tuż obok mnie w ziemi

utkwiała. Wskoczyłem w rów, pociągnawszy swój ubiór za sobą; musiałem się w wodzie ubierać, gdyż płytki rów nie dozwolił mi na suchém odziewać się. W czasie mego ubierania się, kiedy jakby na psotę przewrotnie spodnie włożyłem, dano jeszcze parę razy ognia do mnie. Prawda, że niegodziwy kanonier źle celował, i nie mi złego nie zrobił; jednak skąpał mnie porządnie i spowodował stratę mego grzebienia, mydła i ręcznika, których nie miałem czasu zabrać z sobą, i w tój łaźni parowej zostawić musiałem.

Hiszpanie wciągnęli byli armatę na jedną wieżę i ztamtąd na wszystkie strony strzelali; jednakże dla uderzenia w cel pionowym strzałem, potrzeba niemaléj do tego biełości.

Służba nasza stała się teraz coraz bardziej utrudzającą; wielu oficerów zachorowało, a wielu raniono; tak dalece, iż ja czasami po trzy dni z warty niezłuzowany bywałem. Ze wszystkich stanowisk było najniebezpieczniejsze tak nazwane: „Poczta stracona.“ Byłato okrągło wykopana przestrzeń na 2 1/2 łokci głębokości, mogąca mieścić w sobie około 20stu ludzi; a ponieważ miejsce to odległe od naszej pozycyi, zupełnie było na otwartéj równinie i wystawione na ogień nieprzyjacielski: przeto można było tylko nocną porą doń przystąpić. Korzystając z ciemności, mogliśmy się pod jój zasłoną zluzować, i pikiety naprzeciw nieprzyjacielskich postawić, które od siebie o 40 — 50 kroków oddalone były, przed świtem zaś do dołu powciągać, gdzie cała straż ze swoim oficerem wystawiona na największy upał słońca, od którego tylko wziętemi z sobą gałęzmi zielonemi zasłonić się można było, przez cały dzień pokutowała. Przy zdarzonéj wycieczce straż ta mogłaby być zabraną bez najmniejszego oporu, albowiem nie można było się spodziewać żadnej pomocy; i każdy, którego kolej przyszła iść do tój jamy, zdawał się żegnać ze światem, lub oddawać się na los szczęścia.

Dnia 20 grudnia przypuszczono szturm do Saragossy. Po zdobyciu niektórych domków murowanych i ogrodów, a szczególnie klasztoru śgo Józefa, jako ostatniego przedmieścia, nim się można było dostać do wałów miasta, obsadzonych 114 działami, zrobiono trzy wielkie wyłomy, przez które wdarły się nasze szturmujące kolumny. Klasztor ten znajdował się w mocnym stanie obrony, wysokim wałem i głębokim rowem opasany. Pierwszy i drugi pułk legii pod dowództwem generała Chłopińskiego odebrał rozkaz zdobywania go, którego gdyśmy z niemalą trudnością i znaczną stratą zdobyli, i ztamtąd Hiszpanów wy-

rugowali i zupełnie opanowali, natenczas zaczęto do nas bić z dział wałowych, a nawet bombami rzucać. Ja w téj chwili siedziałem z moją kompanią w przodkowym przekopie, gdy ogromna bomba przeleciawszy nad moją głową, blisko mnie w wał uderzyła, i tam ryc się zaczęła; lecz nim się do nóg moich stoczyła, szczęśliwie pękła; gdyby zaś wcześniej nie pękła, wtedy mogłem spodziewać się najokropniejszych skutków. Byłato chwila, kiedy mi ordynans mój przyniósł potrawkę z ośliny, gdyż w obozie nie można było dostać innego mięsa.

Żołnierze nasi upojeni radością pomyslnego skutku, stali się rozpustnemi; powynosili z kościoła posągi i figury, przypasywali im mundury i kaszkiety na głowy po poległych, i oparli je o mur od strony miasta. Hiszpanie skoro tylko spostrzegli mniemanych nieprzyjaciół, natychmiast rozpoczęli ogień szeregowy, których naturalnie mając ich na celu pewnym, mocno razili. Zabawka sprawiła naszym wiele śmiechu, a Hiszpanom szkody prochu. Już wspomniałem o tém, że w obozie wcale nie, lub z trudnością jakiegokolwiekby mięsa dostać było można; przeto trzeba było użyć osłów, których mieszkańcy wcale nie ukrywali, nie sądząc, abysmy się do takiej pieczeni brali. Każdy z oficerów posiadał buryka na swoje różne potrzeby i wygody.

Obok mojego baraku, gdyż namiotów nigdyśmy nie znali, mieszkał porucznik Kaliński, przy którego baraku stał osioł przywiązany, a od którego przeciągnięty był postronek przez ścianę, którym Kaliński kładąc się spać, rękę swoją obwijał. Byłato ostrożność konieczna, aby kto z amatorów buryka nie odwiązał i potem sobie obiadu nie zgotował. W skutek tego, nie omieszkał Kaliński kiedyniekiedy pociągać za postronek, dla przekonania się o istnieniu swego buryka. Pewnego dnia z rana odwiązawszy postronek, wychodzi za barak; lecz jakie było zadziwienie jego, gdy zamiast buryka, postrzega tylko jego ośli łeb na postronku wiszący. Wszystkie poszukiwania jego były nadaremne, gdyż buryk znajdował się w lepszej stajni, bo w wygodnym i dobrze opatrzonym żołądku.

Widząc się w posiadaniu téj ostatniej zapory miasta Saragossy, wyprowadziliśmy ostatni przykop aż do samego brzegu Ebro, i założyliśmy obok niego baterią z 8miu moździerzy i 4ch haubic wielkiego kalibru. Na nadwałku tego przykopu założyliśmy strzelnice z worków, napełnionych piaskiem 1 1/2 stopy długości, po trzy razem ułożonych.

Kiedy na służbie znajdowałem się na przykopie, przybył marszałek Lannes, któremu zostawiono zaszczyt zdobycia Saragossy; stanął na lewém skrzydle mego oddziału, a dobywszy swój dalekowiedz, zaczął obserwować naprzeciw leżący szaniec. Była to naprzód posunięta luneta, obsadzona działami, z której ciągle ognia dawano. Ciekawość poznania marszałka zbliżyła mnie do osoby jego, lecz ten zawołał. „Allez vous en d'ici“, w skutek czego natychmiast się oddaliłem. Niezadługo przybyło około 30 grenadyerów francuzkich z oficerem na czele, bez dobosza, których marszałek zatrzymał. Byłem jeszcze ciekawszy, co marszałek zamyślał z tym oddziałem zrobić; wkrótce miała mi się okropna scena przedstawić. Po oddaleniu się nieco marszałka z tego miejsca, przeskoczyli grenadyerowie przykop i przypuścili szturm na lunetę, z której powstał straszny ogień kartaczowy. Oficer idący na czele padł niezadługo, innych po drodze ubito; dwóch padło na samém glacis, a jeden dostał się do samego parapetu: jednakże kilku jeszcze dostało się cudownym sposobem nazad do przekopu. I tak padło ofiarą przeszło 20tu najwaleczniejszych grenadyerów.

Przez ten ślepy atak chciał marszałek tylko ściągnąć całą baczność obrońców miasta na tę stronę, i ich tym sposobem w błąd wprowadzić, a tymczasem kazał uderzyć całą siłą na lewe skrzydło i wszedł do miasta. Przepadłaś biedna Saragosso!

Ku wieczorowi, gdy się już dobrze ściemniało, przyszedł do mnie gros-major naszego pułku Michałowski, i oświadczył mi: „Kochanku (tak każdego zawsze tytułował), masz ten duży dom, który widziałeś na przodku baterji stojący, zdobyć; a jeżeli będziesz przekonany, że się Hiszpanie cofnęli z lunety z której dziś strzelali, staraj się ją opanować z prawego skrzydła. Ma tobie równocześnie iść na pomoc jedna kompania Francuzów; zresztą zobaczysz, jak się tam tobie powiedzie: zrozumiałeś mnie dobrze, kochanku.“ — „Zrozumiałem jak najlepiej, panie majorze“ — odpowiedziałem mu. Twardy orzech do zgryzienia, pomyślałem sobie w duchu, zdobywać daleko mniejszą siłą lunetę, którą broniło przeszło 500 Hiszpanów i 6 dział! Niezle!...

Przy czystém od gwiazd iskrzącém się niebie Hiszpanii, pod zasłoną ciemnej nocy, przeszedłszy przekop, uszykowałem mój oddział, składający się ze 100 ludzi, w dwa szeregi rozszerzonych. Udałem się frontem szybkim krokiem, w kierunku oznaczonego domu, z wizytą.

Niedaleko uszedłszy, natrafiliśmy na forpoczty hiszpańskie, które dając ognia z wielkim hukiem „Carraja franceses“ pędzili nazad. Niezadługo odezwały się działa z lunety, i witały nas kartaczami nielitościwie. Odpryśnięty kamień z ziemi uderzył mnie w bok, z czego bolesny guz się wydobył; uchwyciłem za rękę starszego sierżanta Kubika, i kazałem biedz ludziom ku rzeczonemu poprzednio domowi, aby się zastonić od wystrzałów z lunety. Nareszcie stanąłem piérwszy na oznaczoném miejscu z moim sierżantem, dwoma żołnierzami i doboszem Borkowskim; pozostali nadchodzili jeden po drugim. Kompania francuzka wcale nie przybyła; musiała zapewne udać się w inną stronę i zabłądzić, albowiem nie dowiedziałem się, co się z nią stało.

Po przybyciu, udałem się zaraz z moim sierżantem na wyższe piętro domu, dla przetrząśnienia i przejrzenia go; a gdy ze świecą w rękę, którą mi przy zostawionym ogniu na dole zapalili, nikogo nie znaleźliśmy; przystąpiwszy do otwartego okna od strony nieprzyjacielskiej, niemało zadziwiłem się, dostrzegłszy kupiących się poza ścianą Hiszpanów. Zszedłem na dół, gdy Borkowski przystąpił do mnie mówiąc pocichu, że dostrzegł przechodzących Hiszpanów od szauca, w zamiarze zapewne odebrania domu nazad, który po tchórzowsku opuścili byli. Nie było co robić: bronić się z taką garstką ludzi przeciw sile pięć razy mocniejszej, dać się do ostatka zniszczyć, do tego bez pomocy przyrzeczonej kompanii francuzkiej, zdawało mi się niepodobnóm: nakazałem odwrót, i wróciłem w niepokoju do przykopu naszego.

Michałowski, który oczekiwał skutku téj wyprawy, przystąpiwszy do mnie, zapytał się: „Kochanku, cóżeś zrobił?“

„Nie panie majorze, straciłem naprózno kilku ludzi i sam dostałem guza w bok, który tak wielki, jak gęsie jaje, i zaledwie łązić mogę“—Potém opowiedziałem wszystko com widział; a najbardziej, że z powodu nieprzybycia Francuzów musiałem nazad wrócić. Wysłuchawszy mnie, odszedł zapewne dla zdania raportu.

Nazajutrz opuściliśmy ogrody, klasztor św. Józefa, przekopy, i wkwaterowaliśmy się do miasta. Tą razą nie byliśmy grzechnymi gośćmi, tém mniej, iż musieliśmy dom po domie, ulicę po ulicy krwawo zdobywać, przeto większą połowę miasta obróciliśmy w perzynę. Na ulicach urządzone były baterye z wańtuchów, z za których straszliwie grzmiały działa pomiędzy kamienicami. Saragossanie bronili się z mężstwem bezprzykłádném w staréj i nowéj historii; tu bowiem nawet płeć żeńska przy obronie nie-

mały udział miała, dzieląc wszelkie niebezpieczeństwa. Nigdy cała kamienica odrazu wzięta być nie mogła, tylko cząstkowo: ileto razy byliśmy na górze, a Hiszpanie na dole, i tak znowu naodwrot. Po większej części wyrzucano domostwa minami lub bombami na powietrze; oskardami z wielką ostrożnością wykutymi w murze dziurami, rzucano zapaloną bombę, która skutkiem pęknięcia swego, dom w gruzy obróciła. Przy zakładaniu min wymagała potrzeba pilnego słuchania, aby przeciwnego минера podkopać, i niezmiernego pośpiechu, aby przeciwnika swego wyrzucić w powietrze. Użyto granatów ręcznych, które rzucane na podwórze lub na plac, swoim pęknięciem nieprzyjaciela wypędzały; ale bardzo często także ten naodwrot nim rzucał, nim granat swój skutek okazał.

Mieszkańcy tego bohaterskiego a nieszczęśliwego miasta spieszyli do kościołów, aby modlitwą błagać Boga Wszechmocnego o ratunek i odwrócenie niedoli; lecz straszny wyrok zapadł na Saragossę—niebo było rozgniewane.

Nie ochraniało kościołów, podminowano je i wysadzono w powietrze, razem z modłaczami się, którzy rozszarpani, okrutną śmiercią ginęli.

Nieraz zmęczony po całodniowej walce, spoczywać musiałem pomiędzy temi zgnilemi i poszarpanymi trupami, którym ani przyjaciel, ani nieprzyjaciel nie mógł znaleźć ani miejsca, ani czasu dla użyczenia kawałka ziemi na wieczny spoczynek. Ale biada temu Francuzowi lub Polakowi, który się dostał w ich ręce! Żadnej folgi, żadnego przebaczenia nie mógł się spodziewać: umęczono go lub upieczono żywcem.

Polski oficer nazwiskiem Pągowski, dostał się do niewoli; przywiązano go do deski i noszono po głównej ulicy „Elkoso“ w tryumfie; miano go spalić żywcem na stosie drzewa, lecz szczęściem dla niego nosił na piersiach obraz Matki Boskiej, który gdy spostrzegli, uznawszy go za prawdziwego „bueno Chrystiano“, darowano mu życie.

Przed ostatecznym szturmem przyszedł podpułkownik od korpusu inżynierów Stael do mojej poczty, i spostrzegłszy przez dziurę we wrotach kobietę z chłopczykiem, niosących jedzenie dla kogoś ku brzegom Ebro na naszym prawem skrzydle, porwał nabitą broń od żołnierza, wycelował przez ową dziurę, strzelił i trafił chłopca, który zaraz padł na ziemię. Matka jego (gdyż zapewne był jej synem) rzuciła się na ciało, podniosła go, lecz gdy

dostrzegła, że już zabity, położywszy go nazad odeszła szybkim krokiem z załamanemi rękoma nad głową, zostawiwszy całe jedzenie. W tym samym czasie prawie przeszła kulka bramę, i raniła podpułkownika w nogę, którego żołnierzom moim odprowadzić kazałem. Zdaje mi się, że to była usprawiedliwiona a niespodziana pomsta.

W domostwie jedném w połowie zgruchotaném, które co dopiero zdobyłem, widząc na pierwszém piętrze stojącą przy ścianie nienaruszoną bibliotekę, wszedłem po drabinie do niej dla znalezienia rozrywki, gdy noc wszelką wrzawę przytłumiła. Wstąpiwszy na górę rzuciłem okiem na prawo, patrząc przez blizkie okno dla ciekawości, coby tam widzieć się dało, gdyż takowe właśnie na dziedziniec wychodziło. Co do licha! postrzegam kilkuset Hiszpanów, pomiędzy nimi wiele kobiet, wszyscy pod bronią, tuż pod samą ścianą domu stojących. Wychodzących z szeregów zastępowali inni, zostawując im swoje *scopeltas* (bron).

Natychmiast zszedłem na dół, nie szukając w bibliotece ani Cerwantesa dzieł, ani Lugolla intryg, tylko kazałem o tém widowisku uwiadomić generała Huberta, który naszą dywizyą komen derował. Tenże przekonawszy się o stanie rzeczy, uczynił stosowne przysposobienia i wypędził ztamtąd Hiszpanów.

Nareszcie po zaciętej niesłychanie walce, która tylko z Saguntem porównać się może, za pomocą sześciu bateryj o dzie sięciu moździerzach i haubic, które grzmiać przez trzy dni i nocy całemu miastu zniszczeniem groziły, i skutkiem powietrza i innych chorób, pochodzących z niegrzebanych ciał zabitych, które do 40,000 ludności ze świata zgładziły, poddała się Saragossa, ów wzór pierwszjej waleczności, dnia 21 lutego.

Cetnarowy kamień spadł z serca, albowiem później nigdy nie byłem w takim niebezpieczeństwie nieustanném, w którym co chwila widziałem śmierć przed oczyma. Odrazu wszystko uci chło; dziwne były spojrzenia pozostałych przy życiu.

Cała armia oblegająca, świadek czynny najokropniejszej wal ki, stała uszykowaną pod murami owój przed kilku godzinami strasznej jeszcze Saragossy, a na czele jej zwycięzca nieustraszony Lannes, przyjmując Palafoksa, dzielnego obrońcę Saragossy. Żadnemu żołnierzowi niewolno było pójść do miasta, oficerom tylko dozwolono, i to za szczególném pozwoleniem; do tych ostatnich należałem i ja, aby obejrzyć to cudowne ze swój sławy miasto. Udałem się zatem w towarzystwie oficerów naszego pułku:

Niewodowskiego, Piątkowskiego i Niechcielskiego. Pomiedzy zwaliskami, ruinami i tysiącami pokaleczonych ciał oddawna już zepsutych, przebiegliśmy owe puste ulice i doszliśmy do „Cosso“, gdzie po większej części domy nieuszkodzone pozostały. Co za smutny widok! Trupy, które zaraza i choroby zabrały, kupami na ulicy leżały. Żadna dusza żywa nie dała się widzieć, wszystkie drzwi i okna były pozamykane, przerażająca cichość panowała wokół! Nie było pustynia, ale grobowiec najstraszniejszej odrazy.

Tu i owdzie po ulicach leżała różnego gatunku broń, kupami zebrana, z której oficerowie wybierali sobie broń, szczególnież ze sławnej w fabryki *Segowii* pochodzącą. Wiele koni od kawaleryi błąkało się po mieście: biędne stworzenia wychudłe, sama kość i skóra, prawdziwe widma. Żołnierzowi, który podobną szkapę włókł za sobą dałem pięć franków aby ją odprowadził do moich bagażów. Co to za koń się później zrobił! dzielny i pełen ognia! Był to prawdziwej rasy andaluzyjskiej który mi wiele pociechy zrobił.

Przypadkowo zachciało nam się wstąpić do obszernej kamienicy przy Cosso, po części dla znalezienia posiłku dla naszych oddawna zgłodniałych żołądków. Po długim pukaniu i dobijaniu się, otworzon onareszcie drzwi i młoda, przystojna służąca wychodząc naprzeciw nas, zapytała się przerażonym głosem: *que manda ustedes senores?* Odpowiedzieliśmy jej: *un poco abeber, si sea aqua* (cokolwiek do picia, chociaż wody). Serwanta skinęła ażeby iść za nią. Poprowadziwszy nas na górę, otworzyła pokój i poprosiła abyśmy weszli do niego. Po tém uprzejmém przyjęciu, pobiegła i przyniosła niezadługo tacę z ogromną szklanką białego i czystego trunku. Niewodowski, jako nasz wódz i najstarszy w latach, porwał nasamprzód za szklanicę i wychylił porządny wiwat. My nie zważając na jego komiczne grymasy, dopomagaliśmy mu jeden po drugim; lecz gdy nas zaczęło niezmiernie palić wewnątrz, zażądaliśmy spiesznie wody. W mniemaniu że nas otruto, kazaliśmy przywołać gospodarza domu. Po chwili czekania, stanęła przed nami Donna, młoda i piękna; przepłoszona i bojaźliwa objaśniła nas, że to jest spirytus winny, któregośmy dotąd jeszcze nie znali. Ochłonąwszy z tego zatrwożenia umizgaliśmy się do tego nie tak złego truneczku, a pan Niewodowski do Donny, która była wdową i gospodynią zarazem tego domu, a potem stała się jego żoną! Takie to są dziwne drogi przeznaczenia ludzkiego!



PODRÓŻ PO PORTUGALII.

(Ciąg dalszy).

III.

Miasta uniwersyteckie, szczególnie miasta mniejsze co do objętości i ludności, mają dla mnie bardzo wiele uroku. W nich bowiem najlepiej, najżywiej się objawiają skutki ruchu umysłowego młodzieży uczącej się myśleć, w nich odbija się jak w najczytszym zwierciadle objaw stopnia czujności, do jakiego dojść może czucie teraźniejszości i przecucie przyszłości.

W miastach stołecznych, w miastach bardzo ludnych, ognisko naukowe, ognisko umu i działalności umysłowej nie jest tak skupionem i świecącym, żeby mogło oddziaływać swemi promieniami na wszystkie otaczające przedmioty, przedzierać się swém światłem we wszystkie szczeliny ciemnoty, lub jaskinie umysłowego obskurantyzmu. Lecz w mniejszych miejscowościach, gdzie ani zamki możnych, ani bazyry kupców, ani kominy fabryczne nie przejmują promieni światła wypływającego z audytoryów, przedrzeć się ono wkrótce we wszystkie domy, których mieszkańcy ubóstwiają myśl, jako najpiękniejszy dar boski, skojarzy około jednego ogniska nie tylko umysły, ale nawet i interes ludu. Dlatego też Koimbra, to małe miasto, zawierające w swych murach zakład naukowy przez dobrego króla założony, a od sześciu wieków żywiony skarbami bogatego niegdyś kraju, rozumem zdolnego bardzo narodu; Koimbra, mówię, miała wiele bardzo dla mnie wartości.

Koimbra niegdyś stolica królów Portugalii, stała się później stolicą jej światła, i wielki wywierała wpływ na losy kraju.

Dziś, dzięki nowėj reorganizacyi, wielki zakład naukowy wyszedł spod opieki owych ojców, w których rękach zdolności młodzieży, stawały się najczęściej zgubnemi dla ludzkości. Dziś się tutaj najpiękniejszy dar boski swobodniejszego doczekał rozwoju; i człowiek, któremu niegdyś nakazywano wierzyć, że największym jego nieprzyjacielem jest *rozum*, ubolewa dziś nad łatwownością swych przodków, i tylu wieków w błędzie strawionych.

Nawet i wieśniak portugalski poznał się na prawdzie. Przeświadczo no się przecież, że kora prędzej zgnije, niż rdzeń drzewa, i zaczęto do niego udawać się po zasoby na przyszłość. Klasie uboższej narodu ułatwiono przystęp do niewyczerpanych krynic nauki i światła.

Teraz i rolnik wie, czém jest uniwersytet i nim się interesuje. Nie jeden ma syna lub krewnego na ławkach wszechniacy, i dumnym jest z tego, że go od czasu do czasu może oglądać podczas uroczystości akademickich, ubranego w długą togę, zasiadającego jako *civis reipublicae litterariae* w bircie na głowie.

Don Pedro postanowił, aby świetne muzea Koimbry stały niedzielą otworem nietylko dla wykwiutnej fraczkowej i koronkami obszytej publiczności, ale i dla wieśniaków skromnie, lecz czysto przybranych.

Uczniowie słuchający kosztem rządu nauk przyrodzonych, winni kolejno pełnić służbę *ciceronów* w tych muzeach, i tłumaczyć wieśniakom znaczenie i użytek aparatów, machin i preparatów. W każdym z oddziałów muzeum znajduje się także jeden z młodych doktorów, repetycye wykładających, dla pilnowania, aby uczniowie zawsze gotowi do żartów i figlów, nie durzyli chłopa, i młodych wieśniaczek nie bałamucili w podwojach do nauki przeznaczonych.

Trudno sobie wyobrazić, ile dobrego z tego oswajania niższej klasy narodu z światłem i czynnościami świetnej wszechniacy wypływa. Wieśniacy przybywają chmarami o kilka mil czasem do Koimbry, i wysłuchawszy mszy i oczyściwszy się z kurzū, przebiegają wolno i z rozwagą pyszne muzea, znajdują tam dla siebie rozwiązanie niejednego pytania, które częstokroć i sformułować nie są w stanie; czerpią tam zachęcenie do kształcenia własnych dzieci, do wspierania szkółek wiejskich, tej piérwszej i najpotrzebniejszej instytucyi każdego ucywilizowanego kraju.

Przytém wieśniacy przekonywając się, jak dla dobra nauk i może być użytecznym każdy numizmat, każdy odłam starożytnego marmuru, każdy szczątek zbroi, każde rzadkie zwierzę: znoszą nieraz do muzeów w darze bardzo ciekawe rzeczy, i dumni są z tego, że ich nazwiska są umieszczone pomiędzy dobroczyncami zbiorów, w corocznie drukowanych sprawozdaniach wszechnicy.

Sumiennie zaręczyć można, że uniwersytet lizboński znajduje się znowu w położeniu bardzo sprzyjającym korzystnemu dla kraju rozwojowi. Liczba katedr powiększyła się nawet, mianowicie w fakultecie lekarskim, którego pięć oddziałów, to jest medyczny, chirurgiczny, obstetryczny, farmaceutyczny i weterynarski cieszą się szczególną opieką nie tylko rządu i rektora, ale i publiczności, przykładającą się z własnego natchnienia do pomnożenia funduszków fakultetu.

Szczególnemu zbiegowi okoliczności, oddział weterynarski był winien utworzenie jednej katedry, jaką dotychczas tylko szkoła weterynarska w Alfort pod Paryżem posiadała.

Szczególnemu także zbiegowi okoliczności winni byliśmy poznanie się i zaprzyjaźnienie z nowym professorem. Opowiem tok całej rzeczy; opis jej przyłoży się wiele do charakterystyki interesującego kraju Luzytanów, téj zanadto mało znanéj, i zanadto często spotwarzanéj ziemi.

Dochodząc już do miasta, bogatego w kościoły i wysokie wieże, tak, jak srogo nawielzony Kraków, spostrzegliśmy, że muły nasze potraciły kilka podków podczas nocy, na nierównych i skalistych drogach. Stanęliśmy zatem na przedmieściu lizbońskim Koimbry, w małej, ale schludnej gospodzie, obok której wznosiła się piękna marmowana kuźnia, ozdobiona wizerunkiem św. Aloizego patrona kowali.

Wstępujemy do gospody dla pokrzepienia się szklanką wina, i zwyczajem w Portugalii przyjętym, pijemy zdrowie przytomnych. Pomiedzy gośćmi znajdował się człowiek z twarzą męską, przystojną, z czołem otwartém, około czterdziestu lat mający. Mężczyzna ten ubrany był ubogo i niechędogo, w koszulę grubą zasmoloną, z pozawijanemi w górę rękawami, tak, że odsłaniały całkiem muskularne jego, silne, okrągłe, ale także zasmolone ramiona. Przytém miał wielki fartuch z grubéj, gdzieniegdzie wypalonéj na wylot skóry, i nosił owe spodnie, które w braku szelek często zlatywały z bioder, i bezustannych wymagały przywoływań do po-

rządu. Na granatowo-czarnych kędziorach powiewała jaskrawo czerwona chustka.

Z opisu ubioru używanego przez ojca Wulkana, niestety za mało o swój ubiór dbającego, poznać można łatwo, że nowy nasz znajomy był kowalem.

— *O Senhor ferrador sine dubita?* (Pan kowal bez wątplenia?) zapytał grzecznie nasz towarzysz p. Teofil.

— Do usług pańskich!—odpowiē grzecznie, ale z powagą senhor ferrador.

— Muły nasze pogubiły podkowy i pokaleczyły sobie kopyta; prosilibyśmy, żeby je przekuć, nim na ten bruk krzemieny miasta Koimbrы wejdą—mówił dalej pan T.

— Dobrze, chętnie panie, ale po śniadaniu. Zdrowie pańskie i w ręce pańskie—odpowiē znów z swobodą kowal, podając panu Teofilowi szklanę.

Odmówić byłoby nieprzyzwoitością, ubliżeniem, wystawieniem się na wielkie nieprzyjemności.

Szklanka wałęsa się tedy od jednego do drugiego gościa, i wraca próżna do senhora ferrador.

— Panowie mułami podróżują? gdzieś zdaleka zapewnie przybywają?—pyta kowal.

— Tylko z Lizbony, ale nieprostą drogą: często zbaczamy, nie opuszczamy żadnego miejsca godnego widzenia, żeby i najgorsze doń prowadziły drogi. I dlatego używamy mułów a nie koni, wygodniej dla jeźdźca chodzących, ale niedość wytrzymałych i daleko więcej wymagających starań.

— Bardzo słusznie—odpowiē kowal—muł na to stworzony czyli raczej zrobiony, żeby księży i uczonych dźwigał. Widzę bowiem, żeście państwo uczeni: wnoszę to z puszek blaszanych do herboryzowania, z ksiąg do siodeł przytroczonych, z woreczków muślinowych do łapania motylów, i z fizynomii tego pana, który niezawodnie pochodzi z Niemiec, z ojczyzny wędrujących uczonych—dodał kowal patrząc się na Dra Lange, i kłaniając się lekkim skinieniem głowy.

— A tak, Niemiec, ani słowa—odpowiedział zagadniony rumieniąc się nie wiem czemu. Szczególna rzecz, że żaden Niemiec z swęj narodowości nie jest kontent.

— Oh! mówił dalej senhor ferrador z pewną przesadą—Oh, *nostra alma mater Conimbriga* sławna jest na świat cały i wiele do

siebie przyciąga uczonych z różnych stron ziemi. Teraz służę panom, choćmy zrobić inspekcją tych kopyt.

Nostra alma mater Conimbriga! powtarzam sobie w myśli, to jakiś klasyczny kowal: musiał widać kuć pe gaza uniwersyteckiego.

Senhor ferrador obejrzawszy kopyta naszych mułów z miną tak doktorską, na jaką się tylko lekarz III klasy zdobyć może, rzekł o jednym: *Fissura cornu mediana cum bifurcatione ad latera*; o drugim: *inflammatio matricis cornu cum ulcere tarsi; cauterisatio et balnea necessaria*; o trzecim: *fissura simplex lateralis*. Trzy różne deformacje kopyt, moi panowie, wymagające trojakićj formy podków, zastosowanych do natury choroby. Ale zrobimy to podług naszego zwyczaju: *cito tuto et jucunde*, tak, jak nasz ojciec Hippokrates zaleca.

Na te słowa Dr. Lange otworzył oczy jak stajenne wrota; pan Teofil nie rozumiejąc łaciny powiedział pod nosem: *Sacré charlatan, qu'est-ce que tu me f... là?* Ja zaś cieszyłem się, zwyczajnie jak z każdą oryginalności.

— Dalej Pablito, do miecha! — krzyknął uczony kowal zadowolony ze sprawionego wrażenia. — Dalej, dmuchaj co masz sił!

I wówczas Wulkan nasz wsadził w rozżarzone węgle kawał nowego żelaza, i zaczął kuć z taką szybkością, że w minutę podkowa jedna była gotową. Jak żyje nie widziałem takiej szybkości przy podobnym dziele. Niekształtny kruszec przybierał przy każdym spadnięciu młota nową, do podkowy więcej zbliżoną postać. W dwóch rozgrzaniach podkowa była ukutą i dziury w niej wybite; pasowała jak trzewik warszawski. Rzecz prawdziwie nadzwyczajna!

— *C'est St. Eloy en personne!* — krzyknął teraz pan Teofil, kawalerzysta urodzony. — *Je n'ai jamais vu rien de mieux et de plus vite fait, ma parole d'honneur!*

W mgnieniu oka podkowa była przybitą na zebrane wprzód kopyto. Muł dotychczas kulejący, boleścią dręczony, zaczął teraz weselój spoglądać.

Przekucie oddało mu duszę, tak jak owemu elegantowi, gdy zdejmie swe lube ciasne buty, dające mu nogę dziecka, a wyraz twarzy opętanego.

Wulkan spozierał na nas czasem zpod zmarszczonych brwi, a spostrzegłszy nasze zdumienie, zagrzany dumą, jeszcze z większą zręcznością wykonał drugą i trzecią podkowę.

— *Bravo, bravissimo, o senhor ferrador!*—krzyknął znów towarzysz kawalerzysta—ty jesteś pierwszym kowalem świata; nikt tobie nie wyrównał nigdy, ani nawet święty Aloizy. Jemu trzech ogrzewań potrzeba było do ukucia podkowy.

— I na anatomii podkowy nie znał się wcale, mój panie—dodał nasz Wulkan.

— A więc panowie nie wiedzą kto ja jestem, kiedy się tak nadzwyczajnie dziwią? Muszę się tedy sam przedstawić. Ja jestem Manoel Eryceyra!—rzekł z godnością kowal, opierając się o filar kuźni.

— Bardzo nam przyjemnie znać twe nazwisko o senhor Manoel Eryceyra—odpowiedzieliśmy.

— Ja jestem Manoel Eryceyra, professor uniwersytetu Koimbrzy!—rzecze jeszcze raz nasz kowal z większą jeszcze godnością, a w tonie mowy przebijało się cokolwiek niezadowolenia. — Jak to, panowie uczone, jesteście, a o mnie nigdy nie słyszeli?

— Professor uniwersytetu, kowal i professor w Koimbrze—rzecze do siebie półgłosem pan Teofil, skupiając w ściśnionych brwiach całą swą pamięć. *Ha, parbleu!* Don Manoel Eryceyra professor weterynaryi, dawny weterynarz sztabu głównego cesarza Don Pedra?

— Ah, przecież!—rzecze zadowolony professor.—Przecież sława moja choć do Paryża doszła; widzę bowiem żeś pan Francuz, wnosząc to z częstych bugrów, parblów i crenondedjów. Tak jest, jestem istotnie tym samym Manoelem Eryceyra, czyli raczej tym samym Don Manoelem Eryceyra; bo jak się pan dokładnie wyśłowił, tytuł Dona, Dominusa przez abrewiacyą, należy mi się tak, jak każdemu graduowanemu obywatelowi Rplitéj literackiej.

— Ah drogi panie professorze!—rzecze pan Teofil z niezwykłym zapałem—jaki szczęście, żeśmy się tak niespodziewanie poznali! A przecież twe nazwisko głośne na całą Europę. Powiedz tedy professorze naprzód cośmy ci winni za przekucie mułów, a potem racz z nami wypić butelkę szampana, doskonałego szampana; wieziemy go jeszcze z Lizbony.

— Od kolegów podróżujących w celu naukowym nie mam zwyczaju przyjmować zapłaty za opatrzenie ich *monturas* (1); ubli-

(1) *Montura* po portugalsku i hiszpańsku znaczy to samo, co *monture* po francuzku, to jest bydlę na którym się jeździ.

żałoby to mej godności. Na ochłodzenie się szampanem zezwalam, pod warunkiem, że się *pokrzepicie* u mnie w domu, ot na przeciwko, szklanką mego Oporto, które spodziewam się warto także wieść ztąd do Paryża, a może i dalej. Radbym mieć zaszczyt zaznajomienia się bliżej z kolegami tak dystyngowanymi i uczonemi.

I my także pragnęliśmy gorąco poznać w swém prywatném życiu sławnego w całej Portugalii kowala, który się wyniósł prosto z kuźni na katedrę uniwersytecką, i godzien był swego pięknego losu i swój czystej sławy, pomimo próżności, której całkiem jako człowiek prosty utaić nie zdołał.

Idziemy tedy do domu profesora, rozporządziwszy, żeby nam przewodnik przyniósł cały zapas szampana, znajdujący się w jukach. Kowal zaś wychodząc z kuźni, następującą dał półgłosem instrukcją chłopakowi od miecha. Ja ją podsłyszałem, i jako sumienny i niedyskretny podróżny, podaję ją publiczności.

„Pablito“, mówił tedy kowal do swego miecho-dmucha półgłosem „Pablito, zawołaj Benedykta niech mnie wyręczy w *laboratorium* (tojest kuźni), i powiedz każdemu mnie potrzebującemu, że Don Manoel Eryceyra jest na konferencyi z trzema uczonemi, którzy przybyli go odwiedzić z trzech odległych krajów. Pablito! pamiętaj co ci mówię: Don Manoel Eryceyra jest na *konferencyi* z trzema *uczonemi*, przybyłemi z trzech różnych *cesarstwo* świata. Słuchaj! jeśli się na jedną syllabę pomylisz, potrzaskam ci ręce i nogi podług mego zwyczaju“ dodał professor grożąc pięścią chłopakowi.

Wchodzimy do domu kowala, do weale porządnie utrzymanej stancyi.—„Spocznijcie panowie choć chwilkę w tym pokoju, ja tymczasem oddalę się na chwilkę: zapiszę lekarstwo dla jednego z mych pacjentów, i zmienię ubiór“—prosił gospodarz.

Siedliśmy na lekkich, ryżową słomą wyplatanych krzeselkach, w bieluteńko malowanym pokoju, na którego ścianach wisiały wizerunki koni różnych ras i narodów. W szafach leżały za szkłem preparaty anatomiczne, narzędzia weterynarskie i podkowy tureckie, brazylijskie i angielskie.

— Leonoro! Leonoro!—zawoła znów do swjej córki pan professor w przyległym pokoju—weź tę receptę i biegnij z nią do tego pasztetnika, co to posiada owego siwego dychawicznego konia. Powiedz mu, że mam kupca na jego szkapę, że przyjdę z nim koło wieczora. Tymczasem niech da szkapie to lekarstwo,

żeby się zaraz przy próbie z swą dychawicą nie zdradziła. A pasztet każ sobie dać jak najlepszy i największy, pasztet z przepiórek i kuropatw, bo mam u siebie trzech uczonych, z trzech sławnych uniwersytetów różnych części świata; ludzi wysokiego rodu, rozumiesz; a pasztet niech będzie dobry, bo inaczej szkapy nie sprzedam. Słuchaj Leonoro, nie gap mi się poulicy, i nie daj się zaczepiać studentom, bo cię wsadzę do klasztoru i różgami każę oćwiczyć w przyszły piątek. Żartować nie jest moim zwyczajem, ani systematem, ani metodą: o tém wiesz dobrze. Dalej, ruszaj galopem!“

Wkrótce zjawił się professor Eryceyra, czysto przybrany. Wyglądał porządniej, niż wszyscy professorowie filologii, przystojniej niż professorowie matematyki. Hiszpanie i Portugalczycy nawet najniższych stanów, nie przybierając od urodzenia żadnego układu, żadnych poruszeń unizoności, wyglądają jak gentlemani, skoro się ubiorą jak gentlemani.

Nie tak wszędzie bywa! gdzieindziej zdradzi się niewolnik i pod pokrywą wielkiego pana.

— Jestem na wasze usługi *cari illustrissimique collegae*. Ha! już i ta francuzka limoniada na stole; dobrze, ochłódźmy się tym trunkiem, ale wkwaterujmy ją wprzódy w głąb studni na dziesięć minut, boby chybiła celu.— Tak się wystąpił Don Manoel siadając przy nas.

Pan Teofil tknięty pogardą, z jaką kowal portugalski śmiał już wprzódy mówić o najpiękniejszym utworze Francyi, kazał podać cały zapas szampana nam pozostający, to jest cztery butelki, aby spoić, jeśli będzie można, pogardzającego Francją Portugalczyka.

Itó nam się przecież udało. Gość rozgrzany pił lekkiego napozór szampana jak wodę, i łatwo w nim zasmakował, gdyż obawiać się jego ani myślał, ani téż spostrzegł, żeśmy mu dwa razy więcej, niż sobie samym nalewali.

— A to niezły trunek!—powiedział nareszcie—i nie tak mdły jak limoniada. Widzę, że obmówiono szampana, i przepraszam go jak najuroczyściej niniejszém. Widzę, że możnaby wyżyć we Francyi, gdyby reszta produktów mogła się mierzyć z szampanem.

Już nasz gospodarz był w niezłym humorze, kiedy przybiegła Leonora z pasztetem. Piękne to trzynastoletnie dziecię Luzytanii, cokolwiek śniade, ale oka tak długiego, tak żywego

i myślącego razem! Kolor jęj źrenicy był brunatny, ciemno brunatny, połysku najdelikatniejszego axamitu; rzęsy długie, jak włosy pędzelka, tworzyły naturalną umbrellkę na te przesłiczne oczy, a w poruszeniach powieki tyle było uroku i życia, ile w całym ciele zapasionej lymfatyczki niemasz od kolébki aż do grobu.

W prostém była ubraniu: w czystej koszulce, wzdymającej się już bardzo znacznie w najrozkoszniejszych zarysach w dwóch miejscach; w spódniczce wiszącej na biodrach pod talią wciętą, giętką, okrągłą jak kielich tego kwiatka, co go dzwonkiem nazywamy. Żadnego przytém gorsetu: na nogach w białą pończochę obleczonej, nosiła płyciuteńkie trzewiki. Taki był cały ubiór młodej Leonory; tylko wychodząc z domu brała ów nieznośny płaszcz brunatny, który z najpiękniejszej dziewczyny robi brzydkiego mnicha.

Leonora miała wiele dowcipu. Wdałem się z nią w rozmowę i zaraz w parę minut zaczęła mi opowiadać, jak cudne znajdują się spacerj w Koimbrze, jakie *quintas*, i jak powabna owa *quinta dos enamorados*, ten ogród rozkochanych, gdzie niegdys żyła i kochała owa przesłiczna Inez de Castro, którą królewicz Don Pedro tak namiętnie kochał, a jego ojciec Alfons IV król portugalski zamordować kazał. „Ach! idź pan tam“ mówiła Leonora prawie ze łzami „idź pan tam, i zmów *ave Maria purissima* za jęj piękną duszę, a ona protegować będzie *os amores de Vossa Senhora*, (miłość Waszej Mości).“

Tak mówiła trzynastoletnia Leonora. Ojciec jęj spoglądał się na mnie zukosa; nareszcie rzekł po hiszpańsku umyślnie, żeby córka nie zrozumiwała: „Teraz wiem, do jakiego pan należysz narodu; wiedziałem, żeś pan ani Francuz, ani Niemiec, ani Włoch, Anglik, Amerykanin lub Holenderezyk. (Więcej nie wymienił narodów: szczęśliwy lud portugalski innych nie zna). Teraz wiem żeś pan Polakiem, choć z twarzy tego nie poznałem“.

— A z czegoż poznałeś, panie professorze?

— *Porque no hay gente que le gustan mas las Portuguezas, que a la gente Polacca. No es verda Sennor?* (ponieważ niemasz narodu, któremby się więcej podobały Portugalki, jak narodowi polskiemu. Nieprawdaż panie?) odpowiedział professor.

— Prawda, masz rację, panie professorze, bardzo słuszna uwaga, masz wielki talent spostrzegania—odpowiedziałem uradowanemu gospodarzowi, ale pomyślałem sobie, że takim sposobem

każdy inny cudzoziemiec mógłby wysledzić naszą narodowość, byleby był ojcem pięknej córki.

Szampan cudów dokazał, i pozbawił naszego gospodarza téj nieufności i powagi, jakie zawsze i wszędzie zwykły towarzyszyć Portugalczykom. Korzystając z tego prosiliśmy Don Manoela, aby nam raczył opowiedzieć historią swego życia, a mianowicie swego nagłego wyniesienia się.—Znamy wprawdzie niektóre jego szczegóły z dzienników, ale niedoskonale, i niejednako opowiedziane—dodałiśmy.

„Wierzę moi panowie! Są w méj historyi rzeczy, które nie radbym, żeby do potomności przeszły; ale zapewne jeduak przejdą, bo się świat muą zanadto interesuje, i niejeden biograf sili się na mój zyciorys. Wam jeduakże opowiem wszystko, jako dbającym o honor ciała uczonego kolegom.“

„Otóż trzeba wam wiedzieć, najoświeceni współbracia! że Eryceyrowie byli od niepamiętnych czasów, zapewne od chwili wygnania Maurów z Portugalii, kowalami, poświęcającemi się wyłącznie leczeniu *das monturas* (tojest bydła siodłowego). Znali się także doskonale na chorobach koni, i na wielu sposobach, zabezpieczających od oszukaństw i figlów cygańskich, lub odkrywających je. Ja miałem szczególną sposobność poznania sztuki weterynarskiej: służyłem bowiem w wojsku przeciw Napoleonowi, i byłem pomocnikiem głównego weterynarza wojska angielsko-portugalskiego. Mam na to świadectwo bardzo chlubne.“

„Po śmierci ojca zostałem na gruncie jego, jako syn najstarszy; inni bracia poszli w świat szukać chleba, i znaleźli go: jeden w Brazylii, drugi na wyspach, trzeci w królestwie.“

„Ożeniłem się, taki bowiem także był zwyczaj w naszej rodzinie od wprowadzenia wiary chrześcijańskiej. Ożeniłem się z córką ekonomki z klasztoru stój Klary: panną ładną, uczoną nad swój stan, umiała bowiem czytać z *pisanego*, religijną, fanatycznie wierzącą w mnichów i złośliwą.“

„Pomimo tego, dzieci przychodziły bardzo zwawo na świat. Ożeniłem się w r. 1815, a w r. 1822 było tego już sześcioro, a potem przybywało kiedyniekiedy jeszcze jedno“.

„Mój ojciec był bogobojny, ale mnichom nie wierzył, i w chwili swój śmierci zaklął mnie, żebym niezawsze szedł za ich radą. Ja rady ojca nie zapomniałem“.

„Spokojność w naszym kraju została do reszty zakłóconą po śmierci dobrego króla Jana VI. Tutaj w Koimbrze wrzały

rozmaite namiętności. Professorowie Jezuici w jedną stronę, a uczniowie i mały poczet profesorów świeckich w inną, w zupełnie inną. Neutralnym pozostać nikt nie mógł. Nieprzyjaciela nienawidzą, człowiekiem bez charakteru gardzą; a Portugalczyk woli znieść nienawisć, jak wzgardę”.

„Majetniejsza młodzież uniwersytecka trzymała sobie konie wierzchowe, a ja je opatrywałem w mojem laboratorium, które wówczas prostą tylko było kuźnią. I jakoś mnie zwerbowali do siebie ci młodzi ludzie, pomimo klątw i groźb mojej dobrej żony, pomimo zakonników miotających na mnie anatema, a spijających me wino jak najsmaczniej.“

„Nieraz zazdrościłem Wulkanowi, naszemu starożytnemu pradziadkowi. I on miał przyjaciela domu, ale wojskowego: z tym łatwiejsza sprawa niż z owemi, których suknia zastaniała od mego gniewu”.

„Dość, że po długich cierpieniach, po długiej niepewności, nadeszła wieść, że Don Pedro, nasz dobry monarcha, spieszy z Terceiry na nasze wybawienie; dalejże młodzież manowcami, górami do Oporto, a ja z młodzieżą. Przybył Don Pedro, wylądował w oddaném mu całym sercem mieście. Ja zostaje weterynarzem głównego sztabu, a akademik, z którym się do wojska wybrałem, oficerem i adjutantem samego Don Pedra. Młodzieniec ten był synem terażniejszego rektora uniwersytetu Koimbry, hrabi Terrena, patrycyusza, którego Don Pedro i młodzież uniwersytecka bardzo kochała.“

„W ciągu kampanii uratowałem dwa razy życie młodemu szlachcicowi, którego mi sam ojciec powierzył, i któremu w chwili boju nigdy z oka nie spuszczałem. Don Pedro ozdobił mnie własną ręką krzyżem wojskowym, dawanym prawie wyłącznie tylko oficerom, ale stopnia oficerskiego osiągnąć nie mogłem; żaden weterynarz za dawniej organizacyi wojskowej, do niego nie miał prawa.“

„Po kampanii, wróciłem do mego dawnego zatrudnienia. Więcej jak kiedykolwiek potrzebny byłem moim dzieciom, gdyż żona moja umarła zaraz po wojnie, w skutek podobno zniesienia klasztorów.“

„Nastąpił pokój, przerywany wprawdzie rozruchami różnego rodzaju, ale na niższe warstwy ludu mało oddziałującymi.“

„I teraz właściwie zaczyna się istotna historia mego publicznego życia. Tak, jak owa grecka Helena była kiedyś przyczyną upadku Troi, tak moja najstarsza córka Helena stała się wcale

niechęcy, i nie zamierzając sobie tego, powodem mego wyniesienia.“

„Był w uniwersytecie, i uczył na prawo młody szlachcic, Don Jaimé, młodszy brat dość majątnego pana, ale sam nie posiadał nic, prócz pensyi rocznej pół miliona rejssów (3,000 fran.). Młody, piękny, nie oddawał się wiele naukom, lecz więcej miłostkom, i rzucił swe oko na moją Helenę, także bardzo ładną, i jak potem utrzymywały ciotki i sąsiadki, bardzo zapalną: o czém zatrudniony w méj kuźni nie wiedziałem. Młody szlachcic tak się długo wiercił po méj kuźni z swym wierzchowcem, któremu co drugi dzień podkowy ginęły, że i mnie rozum do głowy przyszedł, że to nie bez kozery. Zacząłem wglądać w rzecz, ale się zapóźno wybrał. Młody szlachcic nie czekał, aż mi rozum do głowy przyjdzie. Uwiedziona ma córka płakała, u nóg mych przebaczenia błagała, listy pokazywała, w których Don Jaimé obiecywał zaślubić się z nią, skoro wydział skończy i zyska urząd. Córkę zaprowadziłem do klasztoru, a sam udałem się z listami do hrabiego Terrena, wówczas już rektora.“

„Godny to był człowiek. Widząc mnie bladego, strzaskanego okropnym ciosem honorowi memu zadany, i on zbladł z bólu i rzekł:—„Bogu niech będą dzięki, żeś do mnie się udał, i że nikt, nawet młody człowiek, o twém odkryciu nie wie. Bogu niech będą dzięki, żeś jeszcze o zemście nie pomyślił. Manoel! będziesz miał zadosyćuczynienie i to tak uroczyste, jak go sobie nie obiecujesz. Don Jaimé de Salvaterra musi się żenić z twą córką“.

— „Ah panie hrabio! żaden trybunał do tego go zniewolić nie jest w stanie. On jest szlachcicem, a ja prostym człowiekiem; tego zadosyćuczynienia nie mam prawa żądać. Ah! gdyby jeszcze żył nasz nieodżałowany Don Pedro, onby słudze swemu, krzyżem ozdobionemu, téj zniewagi bezkarnie wyrządzić nie pozwolił“—odpowiedziałem. Ale na to rektor:—„Nie jesteś szlachcicem, ale nim będziesz“.

— „Panie hrabio! ja szlachcicem?“

— „Tak jest, ty szlachcicem.“

— „Ale kto mnie nim robi?“

— „Ty sam“—odpowié mi hrabia, ale z taką pewnością, że struchlał.

— „Tak jest, ty sam“—mówił dalej—Słuchaj, nowa otwory się katedra w szkole weterynaryi, konkurs będzie ogłoszonym za miesiąc, a odbędzie się za cztery. Powołani będą do konkursu wszyscy rodowici Portugalczycy, lub mający prawa obywatelskie

cudzoziemcy, posiadający świadectwa od profesorów weterynaryi lub weterynarzy znanych. Żądać będziemy znajomości anatomii konia, chorób bydła, a mianowicie chorób kopyta i protezy kopyta, to jest *kucia*. Szczególnym bowiem obowiązkiem nowo mianowanego profesora będzie *uczyć kuć*, tak, jak to już we Francyi w szkołach weterynaryi uczą. Trzeba będzie nauczyć się łacińskich nazwisk chorób koni. Ja ci będę własnym kosztem posyłał profesora łaciny lekarskiej. Wiem, żeś bystry człowiek i wielkiej woli. W *kuciu* i leczeniu koni nikt cię nie przewyższy. Człowiek honoru, jakim ty jesteś, chcący ratować honor swego dziecka, potrafi więcej, jak ugodzić puginałem. Idź do domu. Nikomu nic o niczym nie mów. Córki nie wypuszczaj z klasztoru. Za godzinę Don Jaimé będzie w karceresie, gdzie pozostanie tak długo, dopóki ty nie zostaniesz szlachcicem. Potem się z nim rozmówimy. Bądź spokojnym. Ufaj słowu ojca, któremuś dwa razy uratował syna”.

„Powróciłem do domu jak nowo narodzony, i tej nocy wziętem się—do ksiąg. Poszło wszystko jak rektor przepowiedział. Żądza zemsty dała mi nadprzyrodzone siły: w cztery miesiące nauczyłem się tyle łaciny, ile niejeden professor innych wydziałów może nie umieć. Na konkursie zdumiałem całe miasto, spółzawodników i rektora. Konkurs trwał cały tydzień. Miasto ogłosiło mnie pierwój professorem, nim mnie senat uniwersytecki zamianował. Rektor płakał z radości, uczniowie krzyczeli *vivat*, a ja na klęczkach Bogu dziękowałem za ten cud, za ten dowód jego miłosierdzia, za ten sposób dopomnienia się o me prawo, bez uciekania się do ohydnej, ale często koniecznej zemsty”.

„Końca panowie jednak nie przewidują. Don Jaimé prawdziwie kochał mą córkę. Wypuszczony z karceresu, dowiedziawszy się o mém wyniesieniu, dającym mi prawo do przywilejów szlachectwa, najchętniej się zgodził na zaślubienie méj córki. Wkrótce téż nastąpiło zaślubienie. Don Jaimé był uszczęśliwionym, zobaczywszy mą córkę istotnie piękną, i której stan ówczesny jeszcze prawie dodawał wdzięku. Miała zaledwie lat 14”.

„Po obrzędku Don Jaime myślał, że mu oddam córkę, i że ją sobie przyprowadzi do domu, jak gdyby nigdy nic”.

„Nie tak panku! powściągnij twą radość, powiedziałem mu. Być szlachcicem i mieć tylko małą pensyjkę z łaski starszego brata, to nie znaczy posiadać sposób do życia. Popracuj jegomość lat kilka, zostań dobrym adwokatem lub téż dostań dobrą posadę,

a potem dopiero zgłoś się do mnie po twą żonę. Tymczasem zostanie ona w klasztorze, będzie się modlić, żeby Pan Bóg dobrodziejowi dał miłość do pracy, wytrwałość, uczciwość; będzie pielęgnować swą lalkę, przedwcześnie sprawioną. Możesz ją widywać Don Jaimé raz na tydzień z za kraty, możesz jej przynieść bukiet, ale bez listu; możesz z nią pomówić, możesz ją pocałować przez kraty, ale nie uściskać. Tak panie dobrodziejku, łatwiej zostać ojcem, jak dobrym mężem.“

„Smutno się zrobiło młodzieńcowi, ale rozum znalazł przecież drogę do jego duszy. Jął się do pracy z szczerością, ułatwiono mu dostęp do urzędu; we dwa lata wyprowadził mą córką i syna już biegającego z klasztoru do swego domu, i dziś jest w Lizbonie i dobrym mężem, i zacnym obywatelem, choć zaledwie ma lat dwadzieścia dwa.“

„A ja pensuję mą jako professor, i przywilejami wychowuję trzech synów na uniwersytecie. Benedykt najstarszy i najmniejszy zdatny z mych synów, będzie następcą w kuźni; Leonora zapewnie znajdzie męża, bo ładna i z *dobrej rodziny*; a Pablito ma zaledwie lat ośm, służy za miechodmucha i baki zbija, dopóki mu uczeńszego nie wynajdę zatrudnienia. Tak wszyscy jesteśmy szczęśliwi z łaski Boga i dobrych ludzi. Szkoda, że biedna ma żona tego nie jest świadkiem“.

III.

ESTRELLA

czyli

MIESZKAŃCY GÓR, DOLIN I KLASZTORÓW PORTUGALII.

Bawimy już od miesiąca w pięknej Luzytanii. Już nawet zwiedziliśmy jej stolicę,—Lizbonę, jej raj,—Cintrę, jej Eskuryal, Mafre, jej Ateny,—Koimbrę, słynną uniwersytetem, od sześciu wieków założonym.

Teraz zaś zbaczając z drogi, prowadzącej prosto z Koimbry do celu podróży naszej, do Oporto, puszczamy się w wysokie, nigdy jeszcze nieopisane góry Estrelli, panujące nad Portugalią, jak Mont-Blanc panuje nad Sabaudyą, Szwajcaryą i Lombardyą.

Podróż ta potrwa dni kilka, i przedstawi wszystkie uroki okropności, jakich tak często widownią bywają niedostępne miejsca w krajach, gdzie tak silne wrą namiętności, jak w Portugalii.

Na tę podróż po górach, dolinach i klasztorach zapraszam z sobą czytelników. Dla lepszego ocenienia wrażeń, które razem doznamy, niech mi wolno będzie poprzedzić opis naszej podróży krótkim rysem stanu, w którym się znajdowała Portugalia podczas mego w niej pobytu.

Już były minęły wojny zakrwawiające kraj ten nieszczęsny. Już główna fakeya zwalczona, kryje swe szczątki tam za zębami pasmami gór Estrelli i Monsziku, gdzie jój dosięgnąć trudno. Prawo tryumfuje!

Ale niestety! Ojciec Donny Maryi, szczerze kraj swój kochający, już nie żyje! Już się nawet z nim złączył w krainie cieniów zięć jego, ów młody książę, który zaraz na swym wstępie do kraju, umiał sobie ująć do tego stopnia serca Portugalczyków, że swęj wrodzonęj zapomnieli nieufności.

Młoda Donna Marya już nawet łzy otarła po swym ojcu, i tak świętym, tyle obiecującym małżonku, i w powtórnych węzłach miłości szukała dla siebie pociechy, a dla kraju nowych zasobów nadziei i szczęścia. Dwóch młodych infantów już przyszło na świat zwiastować Portugalii długi szereg jeszcze przybyć mających.

Rany kraju zaczęły się goić. Czasem tylko intryga przewrotną swą wznosiła głowę, spekulanci polityczni szafowali jeszcze kiedyniekiedy namiętnościami biédnego, durzonego ludu, i wiedli go do walki zpoza kulis, nie wystawiając siebie samych nigdy na niebezpieczeństwo. Exaltowani domagali się jedności ciała reprezentacyjnego, i nie pojmowali potrzeby wyższej izby; inne stronnictwo idąc za natchnieniem systematów, a nie radząc się usposobień narodu, większych jeszcze pragnęło rzeczy. Z drugiej strony, reakeya zawsze gotowa wynurzyć panującemu swe pożałowanie za to, co w swęj trwodze zrobić pozwoliła, zaprzęgała się kiedy tylko mogła do wozu, na którym jechał Czas nieubłaganie naprzód. Arystokracya rodu nie przepuszczała żadnej sposobności upokarzania inteligencyi. Don Fernando zawsze pragnął być małżonkiem samowładnej Donny Maryi. Bractwo pewne zawsze czynne i cierpliwe, roztaczało swą pajęczynę zaraz po jęj zburzeniu.

Czasem tęż zawyla zpoza gór zwalczona, lecz jeszcze nie zniszczona fakeya, zstępowała nawet nieraz w doliny, i śmiercią objawiała swe życie.

Wielu też wypadkom religia i polityka służyły tylko za pozor. We wszystkich stanach towarzystwa znajdziesz na nieszczęście ludzi chciwych krwi, własności i sławy bliźniego, i godzących na nie w imieniu najszlachetniejszych uczuć.

A część tych potworów kryła się, razem z szczątkami zwalczonej fakcyi, poza górami; usługiwała jej w potrzebie, lecz na własną rękę roznosiła mordy i pożogi.

Taki był wówczas stan Portugalii. Stan ten nazywano pokojem. Względnie uważając, był on pokojem dla Portugalczyków, od dzieciństwa przyzwyczajonych do silnych, krwawych wrażeń, łaknących ich nawet.

Istotnie, rozwojowi umysłowemu, materialnemu nawet, nie był ten stan zupełnie nieprzyjazny. Tak słabo okiełznane żywioły niespokoju, pozwoliły jednakże porządkowi organizować się we wsiach i miastach. Stan finansowy kraju poprawił się znacznie, wojsko wyglądające niegdyś jak horda bandytów w obdartych sukniach i brodach po pas zapuszczonych, oblekło się w piękne mundury i przyszyrzyło brody; miasta się porządkowały, rolnik dźwignął się z swój beczynności i uprawiał chętnie tę ziemię, której mu nie wydzierano plonów: błoga ziemia portugalska wystarczyła na wyżywienie narodu, i jeszcze wysyłała za granicę mietylko owoce i wino, lecz i zboże i jarzyny.

Handel się ożywił i przemysł do kraju zawitał. Nauki nawet obudziły się z letargu i kwitnąć zaczęły.

A rminy porosły pysznym bluszczem i dzikiem winem, i stały się pomnikami przeszłości.

Wiedząc jak okropnych, serce rozdzierających scen Portugalia jeszcze przed laty kilku była widownią, a widząc ją potem tak się chętnie krzątającą około poprawy bytu swego: musiałem uznać, że lud portugalski jakkolwiek nieoświecony i zabobonny, nie dał z siebie zrobić bydłęcia, niezdolnego korzystać z klęsk i doświadczeń przeszłości.

Teraz obznajmieni z stanem ogółu, puśćmy się w góry i poznajmy, co się dzieje w szczególe w tych zakątkach, gdzie ani światło dojść, ani władza sięgnąć łatwo nie może.

* * *

Opuszczam tedy Koimbrę w towarzystwie dwóch przyjaciół: pana F. K. majątnego Bretończyka dawnego kapitana wojsk francuzkich, i doktora L. Niemca, naturalisty, znanego nam z odpustu w Chiclanie.

Dészcz rzęsy padał podczas poranku i tak nam ochłodził powietrze, żeśmy się wybrać mogli w same południe, kiedy słońce prawie pionowo na nas godziło. Prowadził nas senhor José, przewodnik zawołany, znający wszystkie kąty złe i dobre, a przytém żyjący w stosunkach przyjaźni z wszystkimi mieszkańcami gór i jaskiń, złemi i dobrymi. Senhorowi José polecił nas ojciec Anzelm, dawny Augustyanin, dziś kapelan siostr miłosierdzia, opiekujących się szpitalem cywilnym, przeznaczonym na klinikę uniwersytetowi.

Pierwsza stacya zwana Ponte de Murcella, odległa była tylko o cztery mile geograficzne, ale wymagała sześć godzin podróży. Droga prowadziła nas naprzód około klasztoru św. Krzyża, obok wodociągu, na lewo od ogrodów botanicznych; potém ciągnąc się około stóp wysokiego pagórka, zawiodła nas na brzegi rzeki Mondego. Wkrótce znikła nam odrazu Koimbra zprzed oczu, skorośmy wstąpili na drogę, odgranieczoną od pól dwoma szeregiem żywych płotów.

Ogromne aloesy, splecione silnym bluszczem z granatami i z grubemi purpurą kwitnącemi kaktusami, tworzyły ten żywy płot. Gdzieniedzie wyrastały z niego, jak wieże, wysokie palmy. Przebić się przez taki płot niesposób; kule nawet działowe nie zdołają go powalić.

W tym wąwozie roślinnym pozostaliśmy z godzinę, odgranieczeni od świata jakby murem chińskim. Potém grunt zaczynał być skalistym, droga wznosiła się w górę, wegetacya powolój znikła, nareszcie znikła zupełnie i ustąpiła głazom.

Wznieśliśmy się tym sposobem do dość znacznej wysokości, zkąd, stanąwszy na najwyższym szczycie granitowego grzbietu, pożegnaliśmy raz jeszcze widokrąg zachodni tak pięknie uprawiony, kwiatami zasiany, oświatą tchnący, i przywitaliśmy widokrąg wschodni, skalisty, nagi, przepaścisty, jak chaos dziki.

Stroma, nierówna, okrągłemi kamieniami zasiana ścieszka, prowadziła z tego punktu w głąb czarnego, ponurego parowu. Zsiedliśmy z mulów i powierzyli je własnemu instynktowi, przy-mocowawszy lejce do siodła; sami nie śmiejąc patrzeć w głąb przepaści, schodziliśmy podpierając się długimi kijami. Kamienie okrągłe, które kiedyś tu podczas potopu morze zanieść musiało, nadzwyczajnie nam utrudzały pochód; raz dlatego, że noga na nich nie znajdowała punktu oparcia, powtóre dlatego, że kamienie po-

ruszone staczały się do parowu, i nieraz nas boleśnie po nogach razily.

Ścieszka tak była stromą, że naszemu mułowi jucznemu pakunek spadł przez łeb na ziemię, i o mały włos go nie powalił. Muł byłby nas wszystkich z sobą w przepaść stracił, a na spodzie téj przepaści wił się szeroki i bystry Mondego.

Zeszliśmy, i strumień łodzią przepłynęli; mostu bowiem ani promu nie było. Muły same za nami przepłynęły; zwierzęta te niechętnie podlegają człowiekowi, którego nie lubią, ale podlegać muszą, i o tém bardzo dobrze wiedzą. Muł na to *zrobiony*, żeby nosił księży i podróżnych uczonych, mówił nasz przyjaciel Manoel Eryceyra z Koimbry.

Z drugiej strony rzeki pięły się w górę wysokie tarassy, piętrzące się jedne nad drugimi, a pokryte winogronami, drzewami oliwnymi, święto - jańskimi i modrzewiem. Ścieszka wila się zygzakiem na szczyt tych tarassów, a widok z niego jeszcze powabniejszy, jak z grzbietu skalistego, któryśmy z drugiej strony rzeki pozostawili.

Na północ sterczało pasmo niezmiernych gór, a pomiędzy nimi wznosił swe sędziwe, szronem okryte czoło stary Busaco, gór portugalskich patryarcha.

Z zachodu błyszczały szmaragdowe błonia Mondega, i wila się pomiędzy nimi srebrna rzeka; dalej widokrąg ginął w modrym przestworze oceanu.

Na południe pięły się dobrze uprawne pola u podnóża gór Kondeisa coraz wyżej i wyżej, w miarę jak usilność ludzka wzrastała i praca popłacała, a z wierzchołków spadały z szumem dwa zapienione strumienie: Zezerre i Vereza, i spieszyły żywić nurty Tagu swemi wodami.

Ku wschodowi wyzierały zpoza pagórków obszerne i skaliste płaszczyny wyższej Beyry.

Słowem, z każdej strony odkrywał się inny widok świadczący o niewyczerpanych zasobach wiecznej natury.

I my tutaj, w tém błogosławioném miejscu stoimy, i w podziwianiu przyrody pogrążeni, nie mamy czasu myśleć; czasem tylko głębokiem westchnieniem dziękujemy Bogu, że nam dał zdolność ubóstwiać Stwórcę w naturze. Bo innéj nie mieliśmy myśli.

Nie silitem się jeszcze wówczas na wyformułowanie przyczyn mego chwilowego szczęścia, na dyssekwowanie mych wrażeń, na rozdrobnianie chaosu czarującego mnie piękna.

Byłem wówczas młodym i nie przewidywałem, że mi przyjdzie żyć wspomnieniami przeszłości, by mieć chwilę rozkoszy!.....

Ruszyliśmy nareszcie dalej, nagleni prośbami przewodnika.

„Na Boga, panowie, powściągnijcie się w waszych ubóstwieniach, to jeszcze nie najpiękniejszy punkt Portugalii; jeśli się tu już zachwycacie, cóż dopiero zrobicie później, kiedy wam pokażę trzydzieści potoków wytryskujących zpod nóg waszych, i zalewających całą prowincję swym kryształem. To chyba głowę straciecie wówczas, a ja za was odpowiadam ojcu Anzelmowi, spowiednikowi méj żony.“

Tak sobie gdyrał stary José, batożąc nielitościwie swego muła, którego kochał jak własne dziecko; ale idąc za radą Salomona „gdy szcędzisz różgi, popsowasz dziecko” niesłuchanie karał *postnumerando* i *praenumerando*. Nas zaś chciał prowadzić jak wróbli na nitce: nieublagany to był opiekun, ten senhor José.

Nie będę opisywał szczegółów naszej drogi, tak urozmaiconej niestałością gruntu. Wszystkie żywioły podczas kształcenia się ziemi wywierały swój gniew na ten grunt portugalski, i pozostawiły go dziwnie ukształconym.

Lękam się także opisem bliższych szczegółów nadużyć cierpliwości czytelników, z których zapewne żaden nie pójdzie ich sprawdzać. Każdy zapewne woli w swych podróżach przechadzać się po wydeptanych ścieżkach tysiąc razy *prospektami* już opisanych miejsc, i potykać się raczej z kaprysmi owego koła toczącego się poziomo, niż z niebezpieczeństwem dróg i gospód dzikiéj Estrelli. Każdy woli odzuć jeszcze raz już po milion razy przez innych strawione wrazenia, niż iść czerpać nowe myśli w świeżych jeszcze, nieogadanych. Każdemu prawie wystarczy powiedzieć: „i ja tam byłem“, a rzadko kto myśli się spytać samego siebie: „cóż tam spostrzegłem, cóż tam uczulem?“

Dość, że tulając się po górach i dolinach, czolgając się ponad przepaściami i gramoląc się na wierzchołki; ubolewając nad ruinami wielu pięknych klasztorów, podziwiając jeszcze niezburzone kościoły: dostaliśmy się na szczyt Sierry de Murcella, gdzie stoi mała kapliczka, i ztąd ujrzeliśmy leżący tuż przed nami niezmierny grzbiet Sierry de Estrella, cel naszej podróży.

Przenocowaliśmy w dość nędznej gospodzie we wsi Ponte de Murcella, mniej znużeni podróżą, jak żuciem ugotowanej nam kury, której ani kawalka przelknąć nie można było. Stara ta jejmość przeszła w mumię jeszcze za życia: tak była suchą z temperamentu.

* * *

Nazajutrz posiliwszy się mlékiem kozim, chlebem z kukurydzy i figami fioletowemi, wyruszamy w dalszy pochód, drapiemy się na nową górę, i doszedłszy jej szczytu, napotykamy najwygodniejszą drogę, wysadzaną jarzębiną, kasztanami, święto-jańskim i oliwném drzewem. Dziwnato rzecz ta wygodna, kareciana droga, tu na wierzchołku niedostępnej góry; ale to kaprys pana barona, mieszkającego tam w owym zamku. Należy on do rodzaju dąsających się magnatów: z nikim nie żyje, synom daje domowe wychowanie, trzyma sobie czterech kapelanów i prosi Boga, by Don Miguel wrócił jak najprędzej.

Czas szedł swoim torem, a pan baron zgrzybiał przedwcześnie i dostał defektu w wątrobie; przytém zarosło mu trawą podwórko, dzieci zdziczały, i klną aż się po parku rozlega, a kapelani ziewają i kłócą się pomiędzy sobą.

A czas idzie ciągle naprzód, nie pytając pana barona o pozwolenie.

Na śniadanie zawitaliśmy do Vendy, należącej do bardzo porządných i uprzejmych włościan. Gospodarz miał pięcio-letniego synka, którego zdawał się nadzwyczajnie kochać, gdyż go z niezwykłą wykwintnością ubierał. Chłopaczek przylgnął do mnie bardzo prędko, tak jak zwykle przylegają dzieci, które jako najlepszych ludzi serdecznie Kocham.

Wkrótce zawarliśmy wielką z sobą przyjaźń. Chłopak wskoczył mi bez wielkich ceremonij na kolana, i szturmował rozmaitemi pytaniami, a odpowiedzi słuchał z wielką uwagą. Nareszcie zagadnął: „Słuchaj panie, umiesz ty czytać?”

— Umiém, życie, umiém z drukowanego i z pisanego—odpowiedziałem.

— To słuchaj, zostań ty z nami; ojciec cię przyjmie na mego nauczyciela, będzie ci dobrze z nami. Ojciec nikogo nie bije—zapewniał chłopaczek.

Ojciec dosłyszał, jak mnie syn na guwernera werbował i śmiejąc się, rzekł do niego: — Joakimecino, Joakimecino! co ty gadasz dziecko, a przecież to wielki pan, bogatszy tysiąc razy odemnie;

to chyba ty w jego służbę wstąpisz i pójdiesz z nim w świat, daleko od rodziców.

Chłopak się zamyślił głęboko i zasepił, a potem spojrzał na mnie badawczym wzrokiem: z jego pięknych ocz jaśniała roztropność i dusza. Nareszcie spytał mnie:—A nauczysz mnie czytać i pisać panie? i pięknych pacierzy także? to pójdę z tobą.

— Nauczę z pewnością, bylebyś pozostał grzecznym.

Dziecko wstało z mych kolan, poszło do matki, i łzy wylewając upadło jej do nóg, potem ojcu upadło do nóg, potem uściśkało starszych braci i siostrę, nareszcie wzięło swój płaszczyk i czapkę, i ciągle łzy wylewając przybiegło do mnie, i usiadło już nie na mych kolanach, lecz u mych nóg.

Wszyscy nie spuszczać oka z dziecka byliśmy zdumiałemi świadkami tego uroczystego wyrzeczenia się domu dla nadziei nauki, w pięcioletniem dziecku coś bardzo zastanawiającego.

Nawet pan T., który rzadko kiedy wychodził z przyrodzonego mu, a doświadczeniem jeszcze wzmocnionego stoicyzmu, tą razą nie powściągał swego zadziwienia, i spytał gospodarza:

— Powiedz przyjacielu, z kąd ta żądza nauki w twém dziecku?

— Miesiący temu siedm, czy téż ośm—odpowiéd gospodarz—Joakimcino złamał sobie nogę i w skutku tego długi czas strawić musiał w łóżku. Zawsze to było ciekawe i wiedzy pragnące dziecko. Dla bawienia go daliśmy mu starą książkę z obrazkami, przedstawiającemi sceny z pisma świętego. Książka ta zapewnie pochodziła z zrabowanego klasztoru; kupiliśmy ją za kilkanaście reissów od jakiegoś łapserdaka. Dziecko całą uwagę zwracało na obrazki i ciągle się pytało o ich znaczenie. Ale z nas tu we wsi nikt a nikt czytać nie umie. Joakimcino ciągle się trapił odgadywaniem, aż przecież nadszedł jakiś podróżny czytać umiejący, i objaśnił mu wizerunki. Od tego czasu dziecko o niczém nie marzy, jak o książkach i cudownym sposobie zrozumienia rzeczy w nich zawartych, i ciągle mnie nudzi, bym mu przyjął nauczyciela.

— I jakże, czy z téj ochoty do nauk dziecka twego zadowolonym jesteś?—pytał dalej pan T.

— Byłbym nią uszczęśliwiony, gdybym posiadał sposobność korzystania z niej dla dobra tego dziecka, które zupełnie do innych niepodobne, bawi się tylko historyami, uczeniem się długich pacierzy lub śpiewek na pamięć. Ale tu na dwie mile wokoło nikt czytać nie umie, a ja nie jestem w stanie opłacać sprowadzonego z Koimbry nauczyciela.

— Jakto? na dwie mile nikt czytać nie umie, a o pół mili ztąd czterech jest kapelanów, prawie niczém niezatrudnionych?— zagadłem.— Czyby który z tych wielebnych panów nie podjął się chętnie wychowania twego dziecka?

— Jezus Marya! — krzyknie gospodarz — co pan myślisz, a wszakże to nie księza świeccy, tylko mnichy. Dobrzeby mi było, gdybym się odezwał do nich z taką propozycją.

— A wy wieśniacy, uważacie ukształcenie rozumu za rzecz potępienia godną?

— Dawniej lękaliśmy się nauki jak samego czarta; od lat jednakże kilku innego nabraliśmy przekonania. Wprzód szliśmy za zdaniem mnichów, dziś idziemy więcej za zdaniem naszych księży—odpowiedział gospodarz.

Istotnie, trzeba oddać sprawiedliwość wieśniakom portugalskim. Korzystali oni z zapalem z nowo zakładanych szkółek wiejskich, i nigdzie nie wzbraniali dzieciom do nich uczęszczać.

Pan T. umiał być wspaniałym *à propos*, i zadawszy jeszcze kilka pytań małemu Joakimcino, na które śmiało i rozumnie odpowiedział, rzekł do jego ojca:

— Słuchaj, żądza nauki w twym synie nie jest przechodnim, dziecinnym kaprysem, lecz istotną potrzebą duszy. Staraj się zadosyć uczynić téj potrzebie. Ja ci ułatwię początek. Napiszę do przyjaciela jednego w Koimbrze. On ci wyszuka ucznia ze szkoły normalnej, i przyśle go na początku wakacyj, aby uczył twego syna czytać podczas czterech miesięcy. Ja biorę na siebie wynagrodzenie pieniężne, a ty tylko powinieś zobowiązać się wyżywić nauczyciela twego dziecka. W cztery miesiące pokaże się, czy Joakimcino posiada istotnie zdolności godne rozwijania, i w tym razie przyjaciel mój będzie się nim opiekował nadal. Czy przystajesz na mą propozycją?”

Łatwo można odgadnąć odpowiedź poczciwego wieśniaka, ale niełatwo wystawić sobie wdzięczności całej rodziny.

Pan T. słowa dotrzymał, ale czy Joakimcino nadziei naszych nie zawiódł? tego nie wiem. Nie miałem nigdy sposobności odnowienia mych stosunków z mieszkańcami Estrelli.

Teraz pniemy się znów coraz wyżej ku wierzchołkowi Sierry: raz gramoląc się po stromych ścieżkach, drugi raz schodząc w głębokie parowy.

Tak nam śpieszno było zwiedzić tajemnicze jeziora, lasy i skały Estrelli, żeśmy nie dotrzymali naszego słowa, i nie odwie-

dzili vice-hrabiego de Molleras, który nas poznał u rektora uniwersytetu w Koimbrze i grzecznie do siebie zaprosił. Zrażeni nie-szczerą grzecznością wysokiej szlachty portugalskiej w Lizbonie, nie przypuszczaliśmy, żeby się miał znaleźć wyjątek właśnie pomiędzy Miguelistami; gdyż Visconde dowodził częścią armii pretendenta i już za Napoleona był generałem w wojsku portugalskiem.

Dość, żeśmy nie wstąpili do starego generała i tego później bardzośmy żalowali. Vice-hrabia oczekiwał nas dni kilka i nawet ułożył plan zwiedzenia wszystkich cudów Estrelli w sposób dla nas najdogodniejszy, i dla nauki najkorzystniejszy.

O milę za pałacem vice-hrabiego, pośród lasów, gór, strumieni i przepaści, w okolicy bardzo dzikiej, przestrach wzbudzającej, leży starożytny, ale dziś jeszcze obronny zamek rodziny rycerskiej portugalskiej, słynnej po dziś dzień z drapieżności. Zamek ten nazywa się Castro Vulturno (sępiam zamkiem), a dzieje jego są straszne. Później poznamy pana tego zamku, i razem z nim podróżować będziemy aż do Oporto.

Teraz droga nasza pełzała tuż przy brzegu skalistej ściany, spadającej może na tysiąc kroków tak stromo w niezmierny głęb przepaści, że dusza się wzdrygała w nią spojrzeć. Nawet muły nasze odwracały głowę i drżąc ze strachu nogi stawiały.

W téj głębokiej przepaści mieszkali jednakże ludzie, a dachy ich domów wyglądały jak małe szalasiki w niezmierniej odległości. Jak ci ludzie tam doszli i z czego żyją? tego nie wiem. Wiem tylko, że skrzydeł nie mają, i że jednę piędzi ziemi uprawnej zobaczyć nie byłem w stanie przez wyborną perspektywę drezdeńską. A jest tych ludzi sporo, przeszło 120 z dziećmi i kobietami, i to źle licząc.

Istnienie téj osady jest zagadką dla wszystkich okolicznych mieszkańców, z których żaden nie zna drogi prowadzącej do owéj zaklętej doliny, nie zna nawet sposobu dostania się doń za pomocą sznurów i drabin. Rzeczki przebiegającej ciasną, zewsząd pionowemi skałami zamkniętą dolinę, nikt nie zna źródła. Rzeczka sama zapada się gdzieś w ziemię, lub ginie w szczelinach skał; nikt nie wie gdzie się podziewa.

—Kto są ci ludzie, jak tam doszli i z czego żyją?—oto pytania, któremi szturmowaliśmy nielitościwie do naszego przewodnika. —Co tu robią w tym Erebie, gdzie żadna nie rośnie roślina; co gotują w tych domach, z których się kurzy, jak z innych poczciwych mieszkań ludzkich? Dalej senhor José, opowiedz, ręczę, że

wiesz wszystko, tylko nas chcesz wytrzymać. Oto piasr hiszpański na rozkazy jegomości dobrodzieja, może on mu rozwiąże język.

Stary lis wyciągnął drżącą łapę po wielki hiszpański talar, lecz wahał się jeszcze chwycić go; spozierał wokół z nieufnością, nareszcie nie mógł się oprzeć pokusie, porwał za piasr i rzekł półgłosem:

— Zaklinam się na mą duszę, że nie znam drogi do tego podziemnego świata, choć nieraz byłem w stycznościach z jego mieszkańcami. Ale im samym tylko wiadomy sekret wrót piekielnych, prowadzących do owój doliny zewsząd zamkniętej ścianami na ćwierć mili wysokimi, a tak stromemi, że mysz po nich nie przejdzie. Jednakże żyją ludzie w tym kraju i rozmnażają się; często mieszkańcy téj zagadkowej doliny uprowadzają z wiossek najpiękniejsze dziewice. Nieraz się zdarzy, że te kobiety wracają za lat kilka, mówiąc, że je porwano, z zawiązanemi oczyma po Bóg wie jakich drogach prowadzono i windowano, i na koniec po kilku latach dobrego obejścia się w dolinie jakiejś zewsząd zamkniętej, hojnie obdarzono, i w ten sam sposób odprawdzono. Istotnie wszystkie przybywają z majątkiem, *moralnie* nie popsute, nie zapomniawszy swych pacierzy, nie nabrawszy żadnych przywar, tylko zestarzawszy się cokolwiek. Nigdy się nie żalą na złe obejście i łatwa zyskują u księży wiarę, rozgrzeszenie i wszelką pomoc w razie, gdyby im się chciało pójść za mąż; a to najczęściej bywa potrzebném po takich wycieczkach do czarodziejskich krajów. Takich niedostępnych dolin jest kilka w górach Portugalii; są nawet takie, których nietylko droga, ale nawet i istność są jeszcze tajemnicą.

— Nie wątpimy o prawdziwości twych słów przyjacielu, i wkrótce za pomocą balonu z bogacim geografią twój ojczyzny; ale powiedz tymczasem o senhor José, z czego żyją i kto są mieszkańcy tych dolin.

— Kto są? Tacy, którzy się kryć muszą przed sprawiedliwością, i przed niesprawiedliwością prawa. Ludzie skazani za grzechy, lub téż prześladowani za cnoty; ludzie pozostający poza prawem, a nie chcący dlatego opuszczać kraju w którym się rodzili. Domyślcie się panowie reszty. Są między nimi dobrzy i zli; ale i zli muszą mieć tutaj charakter i honor, bo dotychczas nikt jeszcze nie zdradził tajemnicy wejścia do tego przytułku. Oto wszystko, co wiem o téj dolinie, którą nazywamy *Refugio*.

Wązka nasza i skalista ścieszka raz się zbliżała do przepaścistej krawędzi, to się oddalała, aż nareszcie zboczyła nagle na lewo, i znikła na zawsze przed naszych oczu owa tajemnicza dolina, w której żyli odosobnieni od świata *dobrzy i źli* ludzie.

I znów zstępujem w jakiś głęboki parów, i potem pniemy się krętymi ścieszkami na jeszcze wyższą górę. Jodły, sosenki, świerki, cedry i modrzewie wzrastały na ścianie wystawionej ku południowi; co chwila witał nas szmer strumieni wytryskujących z ziemi, i obracających koła licznych małych młynów.

Pełno wszędzie krynic i płynnego, chłodnego kryształu, i wielona ztąd rozkosz dla nas i dla naszych mułów, którym, jak i koniom, wcale nie wzbraniają pic i najzimniejszej wody, choćby były i najwięcej zmęczone, byleby tylko szły potem natychmiast w pochód. Zwyczaj to tatarski, zaprowadzony do Portugalii zapewne przez Maurów, a nieszkodliwy zupełnie, choć o tém inaczej utrzymują weterynarze francuzcy i niemieccy.

I znów okolica inny przybiera charakter. Ścieszka nasza ciągle się rozprzestrzenia i zmienia się w szeroką, wcale dobrze utrzymywaną drogę; mnóstwo ścieszek pobocznych schodzi się do niej z gór i dolin, z wiosek, z szałasów pasterskich, z młynów i folwarków. Pielgrzymi i gromady innych pobożnych chrześcian, poprzedzone sztandarami, krzyżami i innymi godłami wiary, zstępują śpiewając godzinki i łączą się w wielki orszak, dążąc razem z nami ku San Romao. Po drodze wiele krzyżów, posągów i kapliczek wzniesionych na cześć Matki Boskiej, jaskinie zamieszkałe przez pobożnych pustelników; wszystko tchnie religią i gorliwym katolicyzmem. W kraju, w którym tak żywe wrą namiętności, chwilowa pobożność zawsze idzie ręką w rękę z długotrwałą przewrotnością. Jedno usiłuje zatrzeć ślady drugiego: ciągle w uczuciach walka. Tkliwość nie jest tu bardzo daleką od zapalczywości, korzenie się od tyraństwa, skrucha od zaciętości.

Ale pocóż rozbierać z tak blizka przyczyny i pobudki zjawiska, które mnie wówczas do żywego rozrzewniło. Jestem pewnym, że pomiędzy pielgrzymami był niejeden, którego głos więcej do rozkazu i groźby, jak do śpiewania godzinek przyzwyczajony; którego ręka częściej nosiła strzelbę lub puginał, jak krzyż lub chorągiew z wizerunkiem Boga-Rodzicy: a jednak w téj chwili nie myślałem o tém, i razem z innymi kłękałem przed wizerunkami, dawałem jałmużnę pustelnikom, bogatszym zapewne

odemnie, i korzyłem się przed Majestatem Tego, którego świętość uzna choć czasem i najsurowsze i najprzewrotniejsze serce.

Dążyliśmy tedy wszyscy razem do San Romao, gdzie jest sławny klasztor z cudownym obrazem *naszej pani z puszczy* „de nossa Senhora do estierro” jak się wyraża Portugalczyk.

I cudowna woda, mająca przywilój uzdrawiania ran i wrzodów, znajduje się w San Romao. Z zakonników pozostało tylko trzech najstarszych do odprawiania mszy, po zniesieniu klasztoru, który z rozkazu rządu zamieniono na *hospederyą*, to jest na dom przytułku dla podróżnych, oddających cześć cudownemu obrazowi. Resztę mnichów wydalono z klasztoru dlatego, że się zanadto do doczesnych rzeczy mieszała, i zawiązki brali udział w polityce.

Równy z zachodem słońca, zapadającego jak ogromny świecący balon w ozłoconych, na szczycie gór wspartych obłokach; równo z zachodem słońca stanęliśmy w *hospederyi*, gdzie nas przyjął bardzo uprzejmie gospodarz. Muły nasze umieścił w stajni, nas zaś w najpiękniejszych salach klasztoru. Żona gospodarza zniosła nam w oka mgnieniu talerze, filiżanki, noże i materace. Służącego i przewodnika wysłaliśmy na wieś dla zakupu kurcząt, jaj, masła chleba i wina.

Kury tutejsze na nasze szczęście mniej były nerwowe i gadatliwe, jak owa sławna kura w Ponte de Murcella. Gospodyni upiekła nam z pół tuzina kuropatw na przyszły dzień, w którym pod przewodnictwem hospedera i senhora José, równo ze świtem postanowiliśmy zgłębić tajniki ciemnych i niezgłębionych jezior Estrelli.

* * *

Mieliśmy tedy tuż przed naszymi oczyma owego świata mało znanego Tytana, który szronem okrytą głowę, grzeje wysoko w czystym lazurze nieba. Prowadzi na szczyt jego stroma ścieżka. Tylko na dobrych, wypoczętych i do tój podróży przyzwyczajonych mułach, można się puszczać tą ścieżką. Nasze muły były znużone, innych dobrych nie było można dostać we wsi; nie tracąc zatem czasu zaufaliśmy sile własnych nóg, i piechotą puściliśmy się w tę uciążliwą podróż. Tylko jednego wzięliśmy z sobą muła, aby nosił nasze płaszcze, kosze napelnione żywnością i winem, i inne do podróży naukowej potrzebne sprzęty; pomiędzy niemi łódź ze skóry morskiej, rozpiętą na sztabach fiszbinowych, za ledwie trzydzieści kilka funtów wążącą, a tak wielką i mocną, że dwóch ludzi unieść mogła, byleby ci ludzie nie mieli objętości słonia, jak się to czasem i bardzo genialnym zdarza.

Ale nikomu nie radzę naśladować nas w tym względzie, jeśli w jednym dniu chce odbyć tę podróż. Znużenie odbiera siłom duszy część polotu.

Sierra Estrella jest tak dziką, że widziana z punktu, z którego na nią wstępowaliśmy, przestrasza swym ogromem, spadziścią i surowym kolorytem.

Do naszego towarzystwa przypuścić musieliśmy dwóch ogromnych psów owczarskich, do gospodarza hospederyi należących. Łatwo w górach spotkać się z wilkiem lub niedźwiedziem, a wówczas przyda się tęgi pies i dla bezpieczeństwa, i dla zabawy. Strzelby nie odstępowały nas ani na chwilę.

Po dwugodzinnéj uciążliwéj pielgrzymce, stajemy na granicach ostatniéj, ręką ludzką pielęgnowanéj wegetacyi, na polu zasianém owsem. Tu zaledwie wzrosły oziminy, a tam pod Koimbrą już dojrzewa pszenica! Ale téż jaka różnica w temperaturze! Znajdujemy się w początku maja; szczyty Estrelli jeszcze pokryte śniegiem, a ten nawet za miesiąc nie zniknie.

W godzinę późniéj dochodzimy do wysokości blisko czterech tysięcy stóp ponad powierzchnią morza, i znajdujemy się na brzegach małego jeziora, zwanego *Lagoa rodonda*, żywionego częścią z wewnątrz, częścią téż z zewnątrz strumykami, pochodzącymi z stopniałych śniegów i ze źródeł.

Pniemy się jeszcze wyżej ku wierzchołkowi. Około nas szumiały strumienie spadające z łoskotem, sterczały niezmiernie skaliste bryły. Potém znów powabna dolinka, gęsto zarosła jałowcem. Spłoszyliśmy chmary kwiczołów, kilkanaście pada pod naszymi razami.

Opadają nas psy, pilnujące tuż blisko liczną trzodę kóz. Wszczytna się walka pomiędzy tamtymi a naszymi. Przybywają pasterze i rozbijają walczące stronnictwa.

Pięknyto lud ci górale Estrelli! Podobni do naszych karpaccich górali z wzrostu, układu, a nawet ze stroju. Noszą bowiem kapelusze z szerokimi skrzydłami, płaszcze dość krótkie, ale faldziste z sukna brunatnego, na nogach sandały plecione z korzeni pórzu i bardzo ciasne spodnie z skóry koziej, z siercią na wierzch. Tylko zamiast owéj klassycznéj krótkiéj, smolą balsamowanéj koczuli, noszą rodzaj krótkiéj bluzy, z płótna czerwono farbowanego korzeniem marzanny.

Postawa tych górali może nie tak piękna i silna, jak karpaccich, wyrażała także mniej wrodzonéj dobroci; ale za to więcéj swobody, samoistnego życia i godności.

Zabralismy wkrótce z niemi bliższą znajomość, za pomocą naszej botygi z winem.

— Dobre tam u was wino w dolinach, czemuż je opuszczacie? Co was tu zwabia do tych zimnych, dzikich miejsc, gdzie nic nie rośnie jak wrzos i mizerna trawa?—spyta nas najstarszy góral, ojciec i dziad całego tuzina dorosłych synów i wnuków.

— Ciekawość, nic jak ciekawość, mój dobry człowieku; taż sama przyczyna, która was czasem do miast sprowadza—odpowiedziałem.

— O mylicie się panowie, nas nigdy nie trapi płocha ciekawość; gdyby nie potrzeba, nie postąpilibyśmy nigdy o krok dalej jak nasze kozy, nigdy!—rzekł znów stary góral, patrząc na nas z politowaniem.

Górale wszystkich krajów, choć tak poetycznie nam się przedstawiają na scenie, niewielkiemi są przyjaciołmi postępu.

Nie tak dawno temu podróżowałem w Karpatach, i pytałem się pasących owce górali:

— Daleko jeszcze do Morskiego Oka?—a mogło być ze dwie godziny podróży.

— My ta nie wiewa, paneczku, my tam nigdy nie byli, my wyżej nie chodziewa jak nasze owce—odpowiedział poczciwy góral, zdejmując kapelusz.

Góral Estrelli przemawiał z dumą, karpacki z uniżonością; ale obaj to samo powiedzieli.

Wystarczy im na widownię całego życia kawał ziemi, na którym trzody ich znajdują wyżywienie; wystarczy im przestwór nieba, unoszący się nad tą *ojczyzną*. W nim czerpią wszystkie żywioły dla duszy, a nie w książkach lub w pożyciu z cywilizowanemi ludźmi; a jednak są dobrzy, bogobojni i ludzcy: może dlatego właśnie, że zależą wprost i tylko od nieba.

Jeszcze dwie godziny niewygodnej pielgrzymki, a znikł wszelki ślad wegetacyi. Śnieg tkwił jeszcze w szerokich szczelinach skał, opoki sterczały pionowo w górę, niezmierne i zaokrąglone głazy leżały rozsiane na dnie głębokich wyżłobów skalistych. Byłyto łoża dawno wyschłych jezior. Kilka z tych głazów miało postać sarkofagów egipskich. Nic w życiu mém nie widziałem dzikszego: ani Hebrydy, ani Norwegia nie przedstawiły mi nic równie posępnego, wyjąwszy ich nieprzejrzaną mgłę, której dziś w Estrelli ani śladu.

Dochodzimy nareszcie do wschodniego brzegu gór. Przepyszny nas tutaj oczekiwał widok. Pod naszymi stopami leży przepadzista, na półmili głęboka otchłań, a na jej dnie, w które słońce rzuca jakby umyślnie prawie pionowo swe promienie, rozeznajemy domy nie większe, jak napastrki, i ludzi nie większych, jak muchy. Na prawo sterczy wysoka śniegiem pokryta opoka, a na lewo piętrzą się góry w chaotycznym nieładzie. Tuż blisko niezmiernie jezioro odbija w swém zwierciadle lazur pogodnego, jak uśmiech dziecięcia, nieba, i ów niezmierny biały dziwotwór: opokę pokrytą śniegiem.

— A cóż?—przypomniał nam José— czy słowa nie dotrymałem? Widzieliście panowie coś równie pysznego w swém życiu? Ale nie na tém koniec: jeszcze mam piękniejszy widok w zapasie, i tam będziemy obiadować, gdzie go znajdziem.

Postępowaliśmy jak w krainie zaczarowanej od cudów do cudów. Nigdy niespodziewane piękności nie objawiały się tak rapidly naszym zdumiałym oczom.

Tutaj na kilkaset stóp pionowo w niebo wznoszący się kamienny kręgiel, tam znów blok ogromny, zawieszony nad przepaścią, a wszędzie jeziora, strumienie i kaskady spadające z niesłychanej wysokości, z łoskotem zagłuszającym odgłos piorunu.

I cuda te, których systematyczném wyliczeniem nie chcę nękać cierpliwości czytelnika, żaden jeszcze podróżny nie opisał, a mało kto je zoczył! Każdy się widać obawiał przesady portugalskiej, i opisom krajowców nie zaufał.

Jeszcze z półtoręj godziny drogi, a stajemy na miejscu, na którym wolno nam było spocząć pół godziny i posilić się nieco. Wybraliśmy kamień płaski na nasz stół, a leżące około niego głazy na krzesła. I siedliśmy jak niegdyś towarzysze Fingala, otoczeni wokoło głazami, postać wież, kazalnicy, mnichów, minaretów i sfinksów naśladującami.

Dla wzroku naszego nie było granic. Ze wschodu sięgał on gór Hiszpanii, płaszczyzn królestwa Leonu, aż do Ciudad Rodrigo, ba! nawet aż do uczonej Salamanki. Na zachód przedzierał się aż do Koimbry i oceanu Atlantyckiego nieskończonęj powierzchni. Na południe błakał się po niwach i błoniach Estremadury. Na północ tylko wysoka dla wzroku naszego zaporą: szczyt śniegiem pokrytego Busaco.

Tytanie! wkrótce na twój głowie wzniesiem toast Portugalii, nad którą panujesz tak dumnie!

Ponad naszymi głowami bujał swobodnie w czystym eterze nieba ptak niezmierny. „To sęp Estrelli”, krzyknie z gniewem senhor José: „Ha! idź sobie precz przebrzydłe ptaszysko, nie strasz nas tutaj swym złowróżbnym widokiem.

I tak się szarpiąc i gniewając, przewodnik nasz porwał za swą długą jak śmigownica espingardę, i wsparłszy ją na głazie, długo mierzył w ptaka; nareszcie strzelił. Echo odbiło długim rykiem huk wystrzału, ale ptak na 300 przynajmniej kroków oddalony nie spadł, tylko zakręciwszy się, dążył schronić się w szczelinach skały.

— Tak, bylebyś sobie poszedł precz złowróżbny ptaku. Precz z tego miejsca, gdzie o nieszczęście nietrudno—zawołał José, nabijając swą strzelbę.

— Coś widzę senhor José nie jest w stosunkach przyjaźni ze wszystkimi mieszkańcami Estrelli?—zapytał dr. L.

— Wszystkie sępy téj góry są czarnoksiężniki, moi panowie. Wolę spotkać bandytę, niż sępa. Ale gdzie jeden, tam najczęściej i drugi. Oni wietrzą ścierwo ludzkie jeszcze za życia: to rzecz wszystkim wiadoma. Nieprawdaż *senhor hospederio*?

— Wątpliwości nie podlega, że to są istoty najgorszą reputacją mające w całej Portugalii, i zdające się zasługiwać na nią—odrzekł ostrożnie i sentencyonalnie *senhor hospederio*.

— Ha, ha! to jakiś nowy zabobon portugalski!—odezwał się znów doktor L.

— Heretycy w nic nie wierzą, bo im się zdaje, że cały rozum ludzki posiadli—mruknął sobie pod nosem José.

W drugiej części téj podróży, sępy Estrelli ważną i krwawą grać będą rolę.

— *Vamos Senhores!*—zawołał znów senhor José.—Jeszcze jedno wysilenie, jeszcze godzina, a jesteśmy u celu podróży, na punkcie najwyższym Portugalii, zkąd mój patron, święty pustelnik Józef de Viseu, został wziętym do nieba.

Zbieramy znużone członki, i za pomocą lin, drabin i haków, kopiemy się przez śniegi, walczymy z zimnem i znojami. Wzruszony śnieg stacza się zpod nóg naszych, i zwijając się w coraz większe kłęby, spada w lawinach w doliny, porywa z sobą ogromne glazy i roztrąca powietrze hukiem silniejszym, jak wystrzały ogromnych moździerzy: powiedziałbyś, że się góra rozpada na kawaly.

Muła z jukami musieliśmy zostawić pod strefą śniegów; miał on nas oczekiwać w miejscu, oznaczoném na północnej pochyłości Sierry.

Przecież jesteśmy u celu podróży, ale w jakim stanie! Znużenie i rozrzedzone powietrze ledwo nam nie rozsadzi piersi; każdy z nas kaszle, i pocąc się, drży od zimna. Zmęczenie pozbawiło nas wielkiej części przyjemności, jakichbyśmy doznali ze zwalczania tak wielkich trudności, z dopięcia celu.

Szczyt góry Busaco jest wyniesionym na 7300 stóp ponad powierzchnią morza. Miejsce to ma ćwierć mili objętości i jest okrągłe i płaskie. Pobożny Jan V kazał tu wznieść wysoki obelisk, ze statua ęgo Józefa.

Mało jest w świecie punktów, z kądby oko dalej sięgać było w stanie. Wzrok tu nie znajduje żadnych granic, ginie w nieskończoności.

Trzy wielkie rzeki: Mondego, Alva i Zezerre i kilkanaście pomniejszych, biorą początek u stóp starego Busaco, w naszych oczach wytryskują i roztaczają się w dalekie strony, i wpadają do Douro, Tagu i do morza. Lecz i tu nie dano nam bawić długo. Nieubłagany mentor znów krzychał: „Dalej, spieszymy się moi panowie, niech nas zachód słońca nie zaskoczy ani tu, ani o trzy godziny drogi ztąd. Przepadlibyśmy niezawodnie. Ciemność, zimno, przepaści, śnieg, deszcz, wilki i niedźwiedzie, wszystko nam grozi zagładą.”

— A gdyby który z nas nogę wybił?—spytałem.

— Toby był nieodwołalnie straconym, on, i przyjaciel chcący z nim pozostać. Ja poprostu zapowiadam, że z nikim nie pozostaję za nic w świecie, nawet gdyby sam śty Józef do tego nakłaniał. Szatański sęp i tak mnie już przestrasza. Dalej panowie, zjeżdżajmy na saniach.

I to mówiąc, senhor José usiadł na śniegu i zjechał po jego zmarzłej powierzchni w głąb pierwszego parowu, na 500 stóp głębokiego. My poszliśmy za jego przykładem; i tak zjeżdżając w parowy, gramoląc się rękoma i nogami na krawędzie zewnętrzne parowów, stanęliśmy w kwadrans na granicy strefy śnieżnej, z kąd z wielką pracą i w godzinę nie zaszlibyśmy na szczyt góry. Później skacząc ze skały na skałę ponad przepaściami, pełzając na czworakach, windując się po sznurach, stajemy przecież na brzegach czarnego jeziora, wyniesionego na blisko 5000 stóp ponad powierzchnią morza. Obwodu ma ćwierć mili, a brzeg i jego

skaliste, w górę wyniesione i zewnątrz wywrócone, dochodzą do 80 stóp wysokości. Wielkiej doznaliśmy trudności w przedarciu się aż do powierzchni wody. Nie widziałem nigdy nie podobnego w życiu, ani nawet nie słyszałem, nie czytałem o niczym podobnym. Żaden znak życia na jeziorze, lub w niem, lub około niego; żaden ptak, żadna ryba, żaden owad. Klątwa jakaś ciąży na tych czarnych, zimnych wodach: ono musi być siedzibą jakiegoś zaklętego ducha!

Jeziro to jest prawdziwą ciekawością i godnym największego zastanowienia. Głębia w niem niesłychana. Za pomocą łodzi naszej dopłynąłem z Dr. Lange aż do środka. Ołowianka nasza na 1000 sążni długa nie znalazła w tém miejscu gruntu. Może brakowało kilka sążni, może ich brakło tysiąc jeszcze, nie wiem; dość, że zgłębić nie byliśmy w stanie jeziora w jego środku. Oficerom inżynierii francuzkiej także nie udało się zgłębić je podczas wojen Napoleońskich, choć pewno wszelkiego w tém dziele dołożyli starania. Termometr zatopiony razem z ołowianką i długo na dnie trzymany, potem zaś z szybkością wyciągnięty, opadł osześć do dziesięciu stopni na powierzchni; ale żadnego śladu życia w głębokich nurtach, i tém jezioro czarne różni się od Morskiego Oka Karpat, w którym żyją ryby.

Żaden téż przyływ zewnętrzny nie żywi tego tajemniczego, zagadkowego jeziora. Zewsząd otoczone brzegami, wznoszącemi się jak wał; łożysko tych wód zdaje się być kraterem zatopionego wodami morza oceanu. Wody te są lekko słonawe; spostrzegać się daje na ich powierzchni słaby ślad peryodycznego opadania i przybierania, mający związek z przyływem i odpływem oceanu: ale szczątków okrętów zatopionych w morzu, algów lub morskich muszli znaleźć nie mogliśmy nigdzie. Geologowie utrzymują, że istnieje jakaś podziemna komunikacya pomiędzy nurtami czarnego jeziora, a wodami oceanu, lecz że wody przechodząc z oceanu przez podziemne warstwy, utracają w nich wielką część swych pierwiastków słonych. Formacya skał zdaje się być wulkaniczna; wneszę to z pochyłości warstw, ze śladów bazaltu, tu i owdzie rozrzuconych.

— Panowie, na Boga, słońce się chyli ku zachodowi, a my jeszcze tutaj!—krzyczał José lękając się nocy, przepaści i wilków.

Zapakowawszy łódź, udajemy się w dalszy pochód, to jest wracamy do San Romao. Nocować tu nie można, bez wiel-

kiego zapasu drzewa na tych górach, a ten bardzo trudno zebrać; spieszmy tedy na dół. Zimno ustępowało tak szybko, jak gdybyśmy balonem zjeżdżali zpoza obłoków na ogrzaną ziemię. Po kilkogodzinnym marszu wychodzimy z obłoku, którym się otuliła Estrella, i spostrzegamy znów świat zamieszkały. Pragnienie dokuczało nam okropnie, a zapas wina wypróżniony aż do ostatniej kropli.

— Dukata dałbym za kawon z San Romao—zawołałem.

— Będiesz go pan miał wkrótce taniiej. Widzi pan te dwie wysokie postaci? to są kobiety z Covelinias, niosące na głowie koszyki napelnione owocami z San Romao. Pozwólcie mi panowie tej trąbki—mówił José i przybliżywszy ją do ust, wołał co tylko miał siły:

— *Montaneiras, montaneiras, ariesten se!* (Góralki! góralki! zatrzymajcie się!

Góralki stanęły i w nas się wpatrywały długo; nareszcie siadły na ziemię i wydobywszy z kieszeń pończochy, zaczęły je wdziwać na nogi.

Spostrzegły widać, żeśmy *Caballeros*, i że ich spódniczki zakrótkie na gole nogi.

— Wysokie, wysmukłe, czarnobrewne, śniadolice anioły! macież melony lub kawony dla spragnionych podróżnych? — przemówiliśmy z rozczuleniem do naszych góralek.

A góralki parsknęły ze śmiechu; i młodsza z nich, która była panią drugiej, cokolwiek starszej, kazała nam podać koszyk napelniony melonami, kawonami i pomarańczami.

— Niech wam to *nossa Senhora do estierro* wynagrodzi, o anioły pocieszyciele! ale siądźcie z nami tu obok tej krynicy—rzekłem.

I wszyscy siedliśmy obok srebrnego, mruczącego źródła. Góralki podawały nam prześliczne owoce, litując się nad naszym znużeniem, czerpały nam wodę z krynicy, i piły do nas przezysty kryształ.

— Biedni panowie! i któż wam kazał chodzić tak daleko i tak się srogo męczyć? Zapewnie *votum* jakie ślubowane świętemu Józefowi z Viseu? Musicie być panowie bardzo nabożni?—mówiły góralki.

A my odpowiadali:—„Tak, tak moje dzieci, to ślub, to nabożeństwo, a nie płocho ciekawość, broń Panie Boże!”

I nuż góralki litować się jeszcze więcej nad nami, i obmywać nam czoła i polecać się naszym modłom.

A potem, jak już nie pozostało w koszykach, chciały pożegnać nas dobre istoty, nie żądając nawet zapłaty za owoce, które same dla swych krewnych zakupiły.

— Oh nie tak, moje dziewczęta: oto dla każdej z was po kruzadzie!

— Panowie! na Boga, to zanadto wiele; nie, nigdy nie przyjmemy—rzekły razem nasze góralki, kryjąc ręce pod fartuszkami.

Ale i tam je znaleźliśmy: przyjąć musiały po długich krowodach.

— To już z panami wrócim do San Romão, i tam na mszę oddamy część naszego bogactwa, by was Pan Bóg i nasza Pani z puszczy zachowali w swjej świętej opiece. Tam u znajomych przenocujemy, i jutro jeszcze z piękniejszymi owocami wrócim do Covelinias, do naszych — powiedziały góralki, poradziwszy się z sobą.

I poszły z nami poczciwe, niewinne istoty. U nich religia nie jest ani przechodnią rzewnością, ani téż znękaną, przesyconą duszą ostatnim ratunkiem: u nich religia jest wiarą, przekonaniem, splecioną z poezją nieodstępującą ani na chwilę umysłu, w podziwianiu nieba i natury wzrosłego.

Towarzyszyły nam skacząc z skały na skałę i podając nam ręce. Zawstydzaly nas dziarskością swych małych nóżek, tak silnych jak jelenie.

Jeszcze jeden parów, jeden gaik i jeden wawóz. Psy nasze biegnące naprzód, witają wesolém szczekaniem gościnną hospederyą.

Gospodyni czeka nas. „Już kąpiel i herbata dla panów gotowa. Biędni panowie, tak jesteście znużeni!”

— Bądźcie zdrowe kochane *montaneiras!*

— Do jutra, do mszy ranej *Caballeros!*

One i na chwilę nie wątpiły, że z każdej mszy korzystać przywykliśmy. Nie zawiodły się nateraz, jak to zobaczymy jutro.

Po kąpeli, po herbacie, legliśmy na naszych łóżach, i anioł snu uniósł nasze dusze w błogie krainy pokoju i słodkich marzeń.

(Dalszy ciąg nastąpi).



TANKRED DE MONTECUTE

CZYLI

NOWA KRUCYATA.

(Powieść przez d'Israeli napisana).

(Ciąg dalszy).

CZĘŚĆ IIga.

R o z d z i a ł I.

Tydzień uroczystości przeminął, goście się rozjechali; pozostali tylko w zamku bliżsi krewni, niebogaci lub zdaleka przybyli, jak np. rodzina Montecute-Monjoy. Książę zatrzymał ich koniecznie aż do otwarcia parlamentu. Lady Eleonora Monjoy nie była w obejściu przyjemną, lecz księżna lubiła ją, a jej cztery córki śpiewem swym uprzyjemniały zamkowe wieczory.

Ranek był pogodny: księżna chcąc się przejść z synem posłała po niego; odpowiedziano, że lord Montecute jest u ojca. Księżna uśmiechnęła się z zadowoleniem na tę wiadomość, przypomniawszy sobie przedmiot, o którym miała się toczyć pomiędzy ojcem i synem rozmowa.

* * *

Książę siedział w bibliotece, składającej się po większej części z ksiąg prawnych i parlamentarnych raportów. Na jednej stronie ściany wisiał portret jego matki, na drugiej mappa hrabstwa. Książę był co się zowie człowiekiem czynnym, a zatem porządnym i meto-
dycznym; wszystkie więc jego korespondencye i papiéry ślicznie uło-

zone w paczki, numerowane, zapelniały wielką szafę, na wierzchu której stały popiersia Jerzego III, Pitta i Wellingtona.

Książę siedział rozparty w fotelu; twarz jego miała w sobie wyraz przykrego zdziwienia. Lord zaś Montecute poważny i bledszy niż zwykle, stał oparty lewem ramieniem o marmurowy gzyms kominka.

— Zdziwiasz mnie prawdziwie — rzekł książę. — Sądziłem, że nasze względem twojego losu rozporządzenia, uradują cię.

Lord Montecute zamiast odpowiedzieć, zwolna pochylił głowę; tymczasem ojciec ciągnął dalej:

— Dlaczego nie chcesz zasiąść w parlamencie? Uszłoby to jeszcze, gdyby można wejść do parlamentu kiedy chcemy i jak chcemy; lecz to nie zależy odemnie, a jeśli tę sposobność opuścisz, druga podobna dopiero za trzy lata się nadarzy. Stracisz więc trzy lata najpiękniejszej młodości, trzy lata będziesz próżniakiem. Czego innego spodziewałem się po tobie. Może masz jakie inne wyższe widoki? Pamiętaj, że tym krokiem otworzysz sobie drogę. Książę chce teraz oddać władzę w ręce arystokracji. Według niego, to jedyna dla nas zbawienna droga; sam mi to mówił, on jest wszechwładny. Jeśli teraz wejdiesz do parlamentu, i okazesz swoje zdolności, zaręczam, że będziesz miał odpowiednie zajęcie, bo gdy książę Bellamont poprosi, pewno mu nie odmówią.

Na wszystko to lord Montecute nic nie odpowiedział, spuścił tylko ku ziemi czarne, pełne wyrazu myśli oczy, i zdawał się pogrążony w dumanie.

— A któż wie — dodał książę, sądząc z milczenia syna, że tenże skłania się do jego zdania; — może Hungerford za trzy lata będzie w inném usposobieniu. Zyskał on poważanie w hrabstwie przez sumienne spełnienie obowiązków deputowanego; przykroby mi było za trzy lata widzieć się zmuszonym głosować za tobą przeciwko niemu.

— Nie przyjdzie nigdy do tego — rzekł lord Montecute, podnosząc wzrok na ojca, głosem cichym, ale stanowczym — nie przyjdzie nigdy do tego, drogi ojcze, gdyż szczerze mówiąc, za trzy lata równie jak dzisiaj, nie zechcę zasiadać w parlamencie.

Książę coraz więcej zdawał się zdziwiony.

— Pan Fox nie miał jeszcze lat potrzebnych, gdy zasiadł swe miejsce — rzekł po chwili ojciec. — Wiész, w jakim wieku p. Pitt został ministrem; sir Robert Peel oddał się także bardzo młodo życiu publicznemu; dlatego też ludzie doświadczeni, jak np. lord Eks-

dale mówią: że można zawczasie zabrać głos w parlamencie, lecz nigdy zbyt wczesnie w nim zasiadać.

— Bardzo temu wierzę: we wszystkiém wczesne zaczęcie jest najlepszą powodzenia rękojmią.

— Nie lubię widzieć w izbie lordów tych, co się piérwój w izbie deputowanych nie odznaczyli; zdają mi się na to nie zasługiwać.

— Mam nadzieję, drogi ojcze, że wiele czasu upłynie, zanim w izbie lordów zasiąde—i to jeżeli kiedy zasiąde.

— W naturalnym biegu rzeczy nastąpi to niezawodnie.

— Dajmy na to, że arystokracja upadnie—rzekł lord Montecute. Ojciec na te słowa wzruszył ramionami.

— Nie do nas należy myśleć o tém—dodał po chwili—a potém to nigdy nastąpić nie może. Anglia wzniosła się jedynie przez arystokratyczny żywioł.

— Czy sądzisz więc, że królowie nasi nic się do jój wielkości nie przyczynili? Nawet królowa Elzbieta, z której odwiedzin w Montecute tak jesteś dumny?

— I oni mieli w tém udział, nie przeczę, dopełnili swego posłannictwa.

— A jednak władzę stracili. Tak i my, dopełniwszy swego zawodu, możemy takiegoż doznać losu.

— Mówisz o liberalizmie?

— Zdaje mi się, że żaden jeszcze nie objawił zdania.

— Chciałbym wiedzieć, drogie dziecię, jakie są twoje myśli, pojęcia i chęci.

— Jakie?... spełniać moje powinność.

— Dobrze; zatem jako obywatel i podpora stanu, wspieraj go.

— Ach! gdyby mi kto wytłumaczył, coto jest *stan*—rzekł lord Montecute z westchnieniem.—Zdaje mi się, że filary stoją, ale nic nie podpierają, a zatem choć stoją prosto i mają ozdobne kapitele, nic nie znaczą i wyglądają jak ruiny. Ci, co nami kierują, nie mają prawie zasad; ich rozum polega na tém, by wszystko *in status quo* zostawić.

— Rozsądek ogólny i coraz wznawiane i przeglądane prawo, przeprowadzą nas szczęśliwie.

— Przeprowadzą! przez co?—zapytał syn.

— Przez ten czas przejścia.

— Przejścia do czego?

— A..... to pytanie, na które i najmędrsi nie zdołają odpowiedzieć.

— Lecz które słabsi, a do ostatnich i ja się liczę, mają prawo uczynić.

— Niezawodnie, tylko zdaje mi się, że w podobnych kwestiach najwięcej cię może oświecić życie czynne z ludźmi praktycznymi.

— Mamże ich błędy dzielić? Rozumiem, że ktoś przypadkiem wciągnięty w to zakłete koło, może dążyć ciągle sam nie wiedząc do czego; ale ja dotąd jestem wolny, i pragnę nim pozostać.

— Chyba nieczynnym?

— Czyż idzie za tém nieczynność, że ktoś nie chce pracować w ciemności?

— Cóż więc chcesz czynić? czy masz jakie zamiary? — zapytał znowu ojciec.

— Mam.

— To mnie przynajmniej uspokaja. Jakiegokolwiek one są, możesz rachować na moją pomoc, bo pewny jestem, że będą godne ciebie. Wiem, moje dziecię, że każda myśl twoja musi być wielka i dobra.

— Ach! gdybym wiedział co jest dobre i wielkie, starałbym się je wypełniać.

— Ależ ty masz jakieś widoki, masz zamiary; mów mi o nich bez wahania, jak do przyjaciela, do kochającego, najlepszego przyjaciela.

— Mój ojcie—rzekł lord Montecute, i zbliżywszy się usiadł przy księciu—ty posiadasz moje zaufanie, masz do niego prawo największe. Nie powinienem mówić, że nie wiem co jest dobre, gdyż znam ciebie.

— Synowie tobie podobni, czynią dobrych ojców.

— O! niezawsze tak bywa—rzekł lord Montecute—Byłeś dla mnie więcej jak ojcem: to też mam do ciebie i do matki miłość tak głęboką, że teraz to najlepiej czuję, gdy może—dodał słabszym głosem—może przyjdzie nam się rozstać na czas jakiś.—Na te słowa stary książę zbladł, oparł się o krzesło, ale nic nie odrzekł.

— Pragnąłeś, abym wszedł w życie publiczne—mówił dalej lord Montecute po chwili milczenia—ja się od tego nie usuwam; przeciwnie, pragnę dopełnić wszystkich obowiązków mego położenia. Od lat kilku już przemyśliwam nad tém. Zresztą zdaje mi się, że co nie ma w sobie siły i trwałej zasady, upaść musi, a nie mogę w Anglii w niczém dopatrzeć zasady, ani w religii, ani w polityce, ani w obyczajach; wszędzie brak wiary, a więc i zasady: a gdzie

nie ma wiary, czyż może być istotne powinności uczucie, może tam być prawda w religii, równowaga i słuszość w polityce, porządek w społeczeństwie? Czyż to wszystko ma być tylko marném słowem, czy faktem wprowadzonym w życie? Jeżeli ma być faktem, gdzie go w Anglii znajdziecie? Jeżeli prawda jest w naszej wierze, dlaczegoż znosicie odszczepieństwo? Kto ma prawo do rządu?—król; dlaczegoż ograniczacie jego władzę? Arystokracja? sami przyznajecie, że żyje cierpieniem ludu! Gmin? mówicie, że to motłoch! A w moralności, powiedz mi, czy dobroczynność jest najwyższą cnotą, czy tylko szlachetnym błędem. System społeczny powinien być na jasnych zasadach oparty; a tymczasem w każdym hrabstwie, nieledwie w każdym mieście, różnią się zdania w tym względzie. Co jest dobrem w Londynie, jest złem w Montecute. Co jest zbrodnią pomiędzy ludem, jest tylko między wybranymi błędem.

— Naruszasz przyjęte zasady—rzekł zdziwiony książę.

— Zasady? ach dajże mi jakie!—zawołał syn.

— Musimy zacząć— rzekł ojciec z dobrocią—od ogólnego na rzeczy poglądu. Stan Anglii jest może lepszy, niż wszystkich innych krajów; to jest rzeczą niezaprzeczoną. Więcej jest u nas swobody, towarzyskiego szczęścia, religijnych zasad i dobrego bytu, jak gdziekolwiek indziej.

— Mógłbym o tém—odrzekł syn—wiele powiedzieć; ale to nie ma bezpośredniego z widokami mojemi związku. Jeżeli inne kraje są w gorszym stanie od naszego (a mam nadzieję, że tak nie jest), to nasze położenie jeszcze trudniejsze, bo winniśmy dać innym ludom dobry przykład.

— Niéma wątpliwości—przerwał książę—że Anglia jest krajem najbardziej kwitnącym. Z drogami żelaznymi, stan nawet klasy robotczej, dawniej dość smutny, znacznie się ulepszył. Każdy potrzebujący ma robotę, i nawet znaczną zapłatę.

— Drogi żelazne, mogły na jakiś czas polepszyć stan robotników. Jeśli praca jest wszystkiém, czego Anglia potrzebuje, możemy być długi czas spokojni: lecz ja w tym nowym na drodze materialnej postępie, widzę tylko nowy powód zepsucia. Objawiliście milionom, że los ich ulepszony będzie powiększeniem piący; daliście im zatem za jedyny bodziec—pieniądz. A jeśli arystokracja i średnia klasa upada, i spodłiła się pod tym wpływem: jakże chcecie, żeby i klasa robocza nie zepsuła się, i nie straciła tém samém dobrego bytu i szczęścia?

Książę potrząsł głową i rzekł:

— Nie zapominaj, że żyjemy w stanie rzeczy sztucznym.

— Często o tém slysze, lubo i tego nie widzę. Jeszcze raz powtarzam, że w naszym położeniu nawet sztucznego życia nie widzę. Ludzie tego kraju przestali być narodem, i są tylko zbiorem zespolonym, jakąś resztką dawnego systemu, który co dzień traci na sile żywotnej.

— A więc cóż zamierzasz?—rzekł książę bardzo zakłopotany — co poradzisz na ten zły, wedle ciebie, stan rzeczy, w którym się znajdujemy?

— Nie kuszę się nawet o to—rzekł młody Tankred —tylko cie proszę i błagam drogi ojcze, uwolnij mnie od współdziałania w tém otaczającym nas zepsuciu!

— Jesteś panem twój woli; radziłem, a nie rozkazywałem. Co do reszty, spuśćmy się na Opatrzność.

— Oh! gdyby Bóg zesłał do nas anioła, tak jak do domu Lotta!—zawołał Montecute z rozpaczą.

— Aniołowie dokonali już swego—odparł książę.—My odebraliśmy słowo nauki i prawdy od Najwyższego, to nam wystarczyć powinno.

— To nie wystarcza—rzekł lord Montecute z pałającym wejrzeniem, nagle powstając.—Apostołowie co dzień słuchali Chrystusa i jego nauki, a jednak potrzebowali, aby im się znów ukazał, i obiecał pocieszyciela; i ja także go potrzebuję —dodał po chwili milczenia wzruszonym głosem—i muszę go szukać. Tak, drogi mój ojcze! o tém chciałem ci mówić, to mi oddawna kamieniem leżało na sercu. Trzeba nam się rozstać. Muszę was opuścić, i ciebie, i drogą matkę, i krewnych, i wszystkich których kocham; muszę być posłusznym natchnieniu z góry. Drogi, najlepszy ojcze! ty mnie nie potępisz, ty mi przebaczysz i wesprzesz —i to mówiąc, rzucił się w otwarte ojca objęcia.

Książę przycisnął Tankreda do serca, istroskany całą tą rozmową, chciał wnikać w myśl syna, i do niej o ile można zastosować swoje pojęcia.— Mówi, że rozstać się musimy—mówił sam do siebie—Rozumiem: był nadto samotny, nadto czytał, nadto się zastanawiał. Eksdale miał słusność; żałuję, że go nie wysłał do Paryża. Ale Katarzyna tak się bała téj podróży; lękaliśmy się o jego drogie życie: izba deputowanych, to właśnie, czegośmy pragnęli dla niego. Przy pracy zostałby praktycznym; tymczasem należy coś uczynić dla niego. Kochane dziecko mówi, że się rozstać musimy. Widzę to, chce podróżować, ale Katarzyna co powie na to? To ją zabije. Zawsze chciał-

bym mu dodać kilku towarzyszy podróży, co by nad nim czuwali: pułkownika Brace, co tak dobrze już poznał łąd stały, i dobrego doktora, posiadającego moje zaufanie. Tylko muszę działać energicznie i odrazu wszystko powiedzieć żonie.

Wszystkie te myśli szybko przesunęły się w głowie księcia, przez czas gdy ścisnął syna, próbując zarazem pocieszyć go pieszczotami.

— Kochany Tankredzie — rzekł wreszcie — rozumiem cię: chcesz podróżować.

Lord Montecute zamiast odpowiedzieć, skłonił tylko głowę.

— Będzie to ciężki cios dla twojej matki, nie mówiąc już o mnie: wiesz, jak cię kochamy. Nie będziemy jednak wahać się samolubnie między własną uciechą, a twoim dobrem; zresztą, może ta podróż przyniesie ci korzyść jakową. Co się tyczy parlamentu, obaczę się dziś z Hungerfordem, i spróbuję, czy nie będzie mógł zwlec swego wystąpienia do jesieni, a nawet trochę dłużej. Przez ten czas napatrzysz się świata, a potem już spokojnie zajmiesz przeznaczone miejsce.

Książe się zatrzymał; lord Montecute zasepiony długo szukał odpowiedzi i milczał. Książe powstał, spojrzął na zegarek, mówiąc do siebie: — O drugiej muszę być w Bellamont; Brace będzie tam na obiedzie, namówię go więc na tę podróż. Jestto człowiek doświadczony i posiada nawet kilka języków; towarzystwo więc jego bardzo się przyda Tankredowi.

— Co do Francji — dodał głośno, odwracając się do syna — Francja, to Paryż; będzie to zapewne twój pierwszy krok za granicą. Dowiemy się, czy Henryk Howard bawi tam jeszcze; jeśli tak jest, on cię najlepiej z wszystkiem obznajmi. Potem zapewne zechcesz zwiedzić Włochy. Lękam się, czy one nie są rzeczywistym marzeniem twoich celem; ale matka twoja nie chciałaby widzieć cię w Rzymie: lubo znowu mówią wszyscy, że chociaż raz przed śmiercią należy być w Rzymie. Ja tam nie byłem; mimo gorących życzeń moich, być tam nie mogłem. Twój dziadek nigdy nie pozwolił mi podróżować, lubo przyczyny dla których to robił, były zupełnie odmiennie od tych, jakie powodują mną w tej chwili, kiedy ci przepisuję kolej i krestwój podróży. Teraz znów, przypuszczając że będziesz zimował w Rzymie, możesz tu na wiosnę powrócić. Ale, ale! cóżto jeszcze przyszło mi na myśl: Bernard także z tobą pojedzie. Tak więc Bernard, Brace i dobry jaki doktor, zdaje się, że ci wystarczy. Harry Howard obznajmi cię z Paryżem, lord Eksdale da ci listy rekomendacyjne, i wszystko się ułoży.

— Ja nie pragnę widzieć Paryża—rzekł lord Montecute.

— Ciesz się mnie to mocno—żywo odparł książę.

— Nawet nie pragnę być w Rzymie—mówił dalej syn.

— Tém lepiej, przeczułeś moje myśli; nie chciałem ci ich oznajmić, żeby ci czasem przykrości nie uczynić; ale ta podróż do Rzymu byłaby wielkim dla matki twojej ciosem. Nie tak jeszcze martwiłaby ją odległość, choć jest dosyć znaczna, ani niebezpieczny klimat..... ale ty rozumiesz, ona ma swoje uprzedzenia.....—Książę nie dokończył.

— Nie, kochany ojcze—ciągnął dalej lord Montecute—nie chciałem ci przerywać, gdyś z takim staraniem rozmyślał nad moją przyszłością; ale ja nie chcę w zwyczajnym tego słowa znaczeniu podróżować, chciałbym jednak koniecznie Anglią opuścić. Jednym słowem, *ziemia święta* myśl moję zajmuje. Chciałbym odbyć pielgrzymkę do grobu Zbawiciela.

Książę powstał z trudnością i upadł napowrót na krzesło.

— Ziemia święta! Grób Zbawiciela! — powtarzał półgłosem wlepiając wzrok w syna.

— Tak ojcze, grób *Zbawiciela*—dodał spokojnie lord Montecute. — Na wspomnienie, że w owém miejscu Wszechmogący przyoblekł na siebie ciało i ukazał się ludziom widomie, aby im prawdę życia objawić, że tam śmierć poniósł: czuję, że w tym kraju uświęconym jego życiem, musi być coś cudownego, czego zwyczajni ludzie pojąć nie są w stanie. I to właśnie w średnich wiekach pociągnęło Europę ku Azji. Nasza rodzina wysłała naówczas jednego z swych członków, rycerza Montecute, do Palestyny; przez trzy nocy kłęczał on przy grobie Zbawiciela. Sześć wieków przeminęło; czas, abyśmy odnowili z Bogiem przymierze. I ja chcę kłęzcć na tym grobie, i ja także wśród świętych Jerozolimy murów chciałbym zrzucić z serca ciężar gniotący je, wznieść myśl i głos do nieba i zapytać: co jest obowiązkiem, i czém jest wiara; com powinien czynić, w co wierzyć.

Książę powstał, przeszedł parę razy po pokoju w głębokim zadumaniu, wreszcie odezwał się do syna:

— Co tu zaszło między nami, drogie moje dziecię, również jest dla mnie dziwne, jak niepokojące. Pomyślę o wszystkiém coś mi mówił. Postaram się zrozumieć, przeniknąć twoje pojęcia i życzenia, i uczynić im zadosyć. W téj chwili nie mogę ci w żaden sposób dać odpowiedzi stanowczej; potrzebuję namysłu i spokojności. Matka wybiera się z tobą na przechadzkę; nie mów jej nic

o naszej rozmowie, dopóki sam ją nie uprzedzę. W téj chwili jadę do Bellamont; jeżeli pułkownik Brace tu przybędzie, zatrzymaj go na obiad. Niech cię Bóg błogosławi!

Książę wyszedł, a lord Montecute długi przeciąg czasu stał pogrążony w dumaniu. Tak więc dnia tego uczynił pierwszy krok w celu uskutecznienia dawno obmyślanego przedsięwzięcia, i wyjawiał w godzinnéj rozmowie owoc myśli kilkoletnich dumań. Głos matki zbudził go nagle. Dowiedziawszy się przypadkiem, że książę wyjechał bez pożegnania, co mu się po raz pierwszy od ślubu zdarzyło, szukała syna, by mu powinszować godności członka parlamentu. Rozradowana matka jedynakiem, z którego słusznie się chlubiła, ujrawszy go, zawołała słodkim głosem:

— Ach, to ty Tankredzie! właśnie cię szukałam.

Rozdział II.

Książę późno powrócił z Bellamont i prosto do swego poszedł pokoju. Na kilka chwil przed obiadem, księżna zmieszana do drzwi męża zapukała, wymawiając mu łagodnie, że śmiał bez pożegnania odjechać. Książę przewidując, że przyszła z zamiarem mówienia o Tankredzie, ucieszył się nadzwyczaj tą wymówką; uściskał ją, i udając wesołość, której nie czuł w istocie, zaczął obojętną rozmowę.

— Cieszę się, moja Kate, że Brace jest w zamku, bo muszę się z nim widzieć.

Księżna zamyślona głęboko, nic na to nie odrzekła. Książę niby nie zważając mówił ciągle o pułkowniku Brace, jedynie żeby czémśkolwiek zająć żonę i coś powiedzieć.

— Daj pokój pułkownikowi—przerwała żona, nie mogąc ukryć swój niecierpliwości—a powiedz mi lepiej co o Tankredzie. Cóż? czy nie wejdzie do parlamentu?

Książę zmieszał się; lecz nim mówić zaczął, chciał piérwój przekonać się i dowiedzieć, czy, i jak dalece żona uwiadomioną było w tym względzie. Zwyczajna szczerłość lady Katarzyny przyszła mu w pomoc.

— Chodziłam—rzekła—z Tankredem, i ostrożnie dałam mu poznać nasze zamiary. Mówiłam o rzeczeniu się Hungerforda, pytałam potem co myśli o kuzynce: przyznał, że to bardzo miłe, ładne stworzenie. Ja nie chcąc przynaglać przedwcześnie, chwaliłam tylko jój dobroć i przymioty, przypominając, że w Londynie będzie ją mógł czę-

sto widywać. Ale na to wszystko odpowiedział z wielkim mo-
jém zadumieniem, że miejsce w parlamencie dopiero później wol-
ne będzie, i że on wcale tego nie żałuje. Cóż to znaczy? wytłumacz
mi mój mężu.

— Pomówimy o tém, Kate, pomówimy—rzekł książę—ale nie
teraz, bo już obiad gotowy. Powiem ci tylko, że dla różnych przyczyn
orzeczenie Hungerforda odwlecze się nieco; a ponieważ Tankred ma
chęć podróżować, rozważmy, czy nie lepiej będzie, aby w ten spo-
sób użył wolnego czasu.

— Doprawdy—odpowiedziała księżna—nie pojmuję, co za ko-
rzyść może być dla młodego człowieka zwiedzić Rzym lub Paryż,
bo oni to tylko nazywają podróżą. Temu właśnie przez całe życie
starałam się zapobiedz. To zguba dla naszej młodzieży: w Pa-
ryżu tracą zdrowie, a w Rzymie wiarę zmieniają.

— Pod tym względem, więcej niż ty moja droga ufałbym Tan-
kredowi; powiem ci jednak, by cię uspokoić, że on nie pragnie być
ani w Rzymie, ani nawet w Paryżu.

— Jeżeli życzy sobie jechać do Holandyi, na to chętnie się
zgodzę; jestto kraj protestancki, a zresztą lord i lady Disbrow
czuwaliby w Hadze nad jego postępowaniem.

— Pomówimy o tém wieczorem—rzekł książę podając jęj rę-
kę; i to mówiąc, powiódł ją na dół do gości, jeżeli nie wesolą, to
przynajmniej spokojniejszą.

Towarzystwo w sali jadalnej, składało się naprzód z licznej ro-
dziny Montecutów Mountjoy, z młodego Hungerford, którego książę
dla rozrywki panien przywiózł z Bellamont, z pułkownika Brace
i z p. Bernard, duchownego. Ten ostatni, zabity scholastycyzmu zwo-
lennik, był suchy, wysoki, dosyć przystojny i nadzwyczaj nieśmiały.
Pułkownik Brace, o którym już tyle razy wspominał książę, da-
wny kornet pułku dragonów, służył niegdyś w hiszpańskiej wojnie;
a ponieważ kampania ta uczyniła wielkie na jego siedmastoletnim umy-
śle wrażenie, opowiadał zawsze i wszędzie swoje wojenne przygody.
Wysoki, barczysty, dobrze zbudowany, z postacią wojskową, czerstwy
jeszcze, choć szpakowaty, z ogromnemi węsami, był, jak to pospo-
licie mówią: co się zowie piękny mężczyzna. Urodzony w Monte-
cute, posiadał tamże piękny dom i małą wiejską posiadłość, którą
sprzedawszy, uważany był w mieście za bardzo możnego człowieka.
Z natury czynny, gorliwie zajmował się urzędem, powierzonym mu
przez księcia; onto zreorganizował miejską milicyą, tak, że w ni-
czém regularnemu nie ustępowała wojsku. Zresztą najlepszy jeź-

dziec, najzawołanszy w okolicy myśliwy, dobry, szczery, trochę rubaszny, lecz serdeczny i uczciwy: uwielbiał z duszy księcia i księżnę Bellamont nie z pochlebstwa, ale z przekonania, że byli wzorem wszelkich cnót i doskonałości.

Przy obiedzie, wszyscy jakoś byli smutni i zamyśleni. Księżna siedziała milcząca, rozgniewana ranném niepowodzeniem; książę ze drzeniem przemyślał o koniecznej z żoną rozmowie; panny Mountjoy lepiej daleko śpiewem, niż gawędką bawiły towarzystwo; pan Bernard zaś miał zasadę milczenia przy jedzeniu. Tankred naprózno więc chcąc przerwać tę ciszę, zapytał o coś Hungerforda, bo ten zaledwie mu odpowiadał, zajęty cichą, półgłosem prowadzoną rozmową z Miss Arabellą Mountjoy.

Po drugiem daniu, książę chcąc ożywić towarzystwo, zaczął mówić z pułkownikiem Brace i dopiął swego celu. Brace albowiem wkrótce wszystkich rozruszał. Głos jego brzmiał niby trąba wśród szczęku broni. Niedługo rozmowa stała się ogólną; nawet lord Montecute sprzeczał się o coś z Miss Aramintą i tém powiększał gwar ogólny, widząc, że spełni takowym sposobem życzenie swego ojca.

— To rzecz pewna — wołał donośnym głosem Brace — lord Malpas złamał nogę.

— Dziwno, rzekł książę, nie otém nie słyszałem w Bellamont.

— Nie muszą jeszcze wiedzieć zapewne, ale powiadał mi to sam pan Roby, po którego przysyłał lord Malpas, gdyż nie chciał zasięgnąć rady innego lekarza. Powiada o nim, że tylko on jeden zna dokładnie naturę jego organizmu, a to rzecz najważniejsza. W Hiszpanii dużo rannych umierało, jedynie z przyczyny, że ich nieznanymi doktorzy leczyli; mnie już raz jeden z nich pod Almejda chciał nogę amputować, ale nie pozwoliłem, znając lepiej moją naturę. — Pułkownik byłby dalej ciągnął swoje opowiadanie, ale spojrzawszy na zebrane towarzystwo, zmiarkował, że podobna rozmowa niebardzo damy zajmuje.

— Mów panie Brace — zawołała panna Araminta Mountjoy — i naucz mnie, dlaczego pomimo najszczerzej chęci, nie mogę żadnego opisu bitwy zrozumieć?

— To chyba dlatego, że po większej części opisują je ci, co w nich żadnego nie brali udziału. Są jednak wyjątki, naprzykład opisy bitew przez Napierra; te są bardzo zrozumiałe. Co téżto za szacowne dzieło ta historia Napierra! Nie będę paniom opisywał

spotkania pod Almejdą, bo nieraz już o niém mówiłem; to rzecz bardzo znajoma.

— Ale jakimże sposobem uratowałeś nogę?—zapytał książę.

— Wyleczyłem się doskonale, bez amputacyi, bo miałem nawet później zaszczyt wchodzić do Paryża — odrzekł z dumą Bracc — a to jedynie z przyczyny, że znając doskonale moją naturę, wiedziałem co mi szkodzić, a co pomódz może. O! lord Malpas miał słusność, posyłając po swego zwykłego lekarza; co do mnie, gdybym nawet na drugim krańcu świata zachorował, jeszczebym zawezwał do siebie pana Roby.

Podczas téj rozmowy, książę uczynił uwagę:—Pan Roby jest dobrym i doświadczonym lekarzem, prawie domowym w moim zamku, i zna od urodzenia Tankreda. Pan Roby musi zatem towarzyszyć mu do ziemi świętej, choćby mi bardzo drogo przyszło opłacić jego w tym względzie usługę.

Rozdział III.

— O ja nieszczęśliwa matka!—zawołała księżna, załamując ręce z rozpaczą.

— Droga Katarzyno—rzekł książę —uspokój się.

— Powinieneś być zaradzić złemu, mój Jerzy, nie pozwolić na tak szalone i dziwaczne Tankreda zamysły.

— Ależ moja droga, cios ten był równie i dla mnie niespodziany! Nie miałem, bo i jakżeż mieć mogłem najmniejsze podejrzenie o tém, co się działo w jego umyśle.

— Takąto ufność, którą się zawsze tak chlubiłeś! Ja na twojem miejscu byłabym odgadła jego zamiary.

— Bardzo być może, kochana Kate, ale jesteś także jego kochającą i ukochaną matką, jego nauczycielką, a przecież do téj chwili o niczém nie wiedziałaś.

— Miałam wprawdzie raz podejrzenie, że się skłania do herezyi; mówiłam o tém z panem Bernard, a potem i z nim samym. Cóż ztąd! przekonali mnie, że się omyliła; a przecież Bóg widzi—mówiła dalej księżna posępnym głosem—że nie opuściłam żadnej sposobności ustalenia go w wierze. Przeszłego roku posłałam mu wszystkie dzieła wydania *Parkena*, i przepisałam dla niego własną ręką rękopis naszego przodka, prymasa Chillingworthie.

— Wiem dobrze, żeś czyniła dla jego duchowego dobra wszystko, co miłość połączona z rozumem uczynić może.

— Ido czegóż to doprowadziło!—zawołała księżna.—Ziemia święta! nad którą od ośmnastu wieków ciąży ręka Wszechmocnego, coraz staje się bardziej nieurodzajną, dziką, niezdrową. To istna pustynia! a teraz mój syn miałby tam jechać. On już dla nas na zawsze stracony!

— Uspokój się, lepiej naradźmy się wspólnie.

— Nad czém? albożes sam już wszystkiego nie ułożył, nie przystał na wszystko. Rozumiem ja dobrze: nie naradzać się ze mną, tylko raczej objawić swą wolę słabój, nieszczęsnej kobiecie przyszedłeś.

— Nie mów tego, droga Katarzyno.

— Cóż innego mogę powiedzieć?

— Wszystko co chcesz, byle nie to. Póki ja żyję, nigdy się nic w rodzinie bez twego zezwolenia stać nie może.

— W takim razie możesz być przekonany, że nigdy nie zezwolę na tę krucyatę Tankreda.

— A zatem nigdy nie pojedzie, przynajmniej z moją wiedzą. Ależ droga Katarzyno, dopomóż mi, a wszystko stanie się według twój woli; tylko lękam się nieporozumienia między nami a synem. Władza rodzicielska powinna być w ostatecznym dopięro razie użyta. Chciałbym wprzód przemówić do jego rozumu i serca: twoje dowodzenia, jego miłość dla nas, mogą zbawiennie wpłynąć.

— Jużes z nim rozumował—odparła księżna smutnym głosem.

— Tak, aleś ty daleko bieglejsza odemnie w tych przedmiotach.

— Powiedziabym stanowczo, odrazu, że nie ma co myśleć o téj podróży.

Książe zasepił się, i rzekł po chwili milczenia:

— Jeżeli ci się tak zdaje, to powiedz mu sama; ale pamiętaj, że słowem zamkniesz na zawsze rozumowania drogę, a to wtenczas właśnie, gdy rozumowanie może być najskuteczniejszym środkiem przeciw jego przywidzeniom. Nie wie dzie albowiem Tankreda do owéj pielgrzymki dziecinne zachcenie, o nie! mówi o swoim zamiarze z taką energią, z tak silném postanowieniem, że gdybyśmy mu wręcz zakazali, nie dziwiłbym się, tak, powtarzam, nie dziwiłbym się, gdyby pojechał bez naszego zezwolenia.

— Niepodobna!—zawołała księżna powstając nagle—był nam zawsze tak posłuszny.

— To właśnie powód, żeby mu się nie sprzeciwić, gdy po raz piérwszy wolą swą objawił.

— Tak był oddalony od nas przez te ostatnie lata, lata tak ważne w rozwijającym się charakterze! Ależ pan Bernard, on po-

winien o tém wiedzieć, powinien był czuwać nad nim. Trzeba zaraz z nim pomówić, Jerzy zadzwoń i poslij po niego.

* * *

Gdy wszedł pan Bernard, książę oświecił go w krótkości o tém, co zaszło, a księżna ubarwiła wszystko w straszliwe kolory. Zdziwienie pocziwego nauczyciela było niesłychane. Przerzął go wyraz łagodnego wyrzutu ojca, i rozpacz błyszcząca w oczach matki. Nieśmiały i skromny kapelan, nieprzywykły do scen gwałtownych, przez długi czas otwierał tylko oczy i usta, powtarzając z osłupieniem: — „Ziemia święta! grób Zbawiciela!”

— Nie, nigdy w świecie lord Montecute nie zdradził przez żaden czyn, przez żadne słowo podobnego zamiaru. Nie dostrzegłem w nim nigdy myśli i zasad, które Wasza Wysokość objawiasz.

— Ależ panie Bernard — mówiła księżna — byłeś jego towarzyszem i nauczycielem, powinieneś znać go lepiej, niż my sami. Musiałeś dostrzedz niepokój w jego duszy, powinieneś być wszystko widzieć, strzedz go, uprzedzić nas o najmniejszej chęci i życzeniu swego wychowanka.

— Pani — rzekł wreszcie Bernard, chcąc się uniewinnić — twój szlachetny syn, pod moją opieką stał się ozdobą uniwersytetu; obyczaje jego były nieskalane, a co do religijnych zasad, samo to dziwne napozór żądanie dowodzi, jak są głęboko w serce jego wpojone.

— Stracić takiego syna!... — zawołała księżna, zalewając się łzami.

Książę starał się ją uspokoić, a potem obracając się do Bernarda, rzekł łagodnie: — Nie zapominamy, co winni tobie jesteśmy, żalujemy tylko, że żadne z nas nie poznało charakteru naszego syna!

— Książę! — rzekł pan Bernard — charakter lorda Montecute był zawsze dla mnie niezbadanym. Kształcił się w samotności, nigdy z nikim w ściślejsze nie wszedł stosunki, był mi ciągle uległym i posłusznym jak dziecię, i jak dziecię milezący i wstydlivy. Od kilku zaś lat ostatnich, uważał mnie jako środek, jako machinę do otrzymania wiadomości. Niebardzo to dla mnie zaszczytne; pocieszam się tém tylko jedynie, że Tankred widział tylu znakomitych ludzi, a nigdy im myśli swoich nie odkrył. Naukom oddawał się z zapalem, miał bystre pojęcie i wielką pamięć; lecz nigdy o niczyje zdanie nie pytał, i swego nie wyjawiał. Wczorajsza z Waszą Księżną Mością rozmowa jest pierwszą w tym rodzaju, i rzuca dopięro jakieś światło na tajemniczy ten umysł.

Księżę wysłuchał w milczeniu i zadumie całej téj mowy p. Bernard. Nastąpiło długie milczenie, wreszcie księżna podniosła oczy, i rzekła głosem już spokojniejszym:

— Omyliliśmy się wszyscy; dziękuję ci p. Bernard za to objaśnienie; z serca ci za nie oboje wdzięczni jesteśmy.

Na te słowa p. Bernard powstał, skłonił się i wyszedł.

Po wyjściu nauczyciela, oczy dwojga małżonków spotkały się mimowolnie, i długie nastąpiło milczenie, którego żadne z nich przerwać nie śmiało. Wreszcie Katarzyna nie mogąc się doczekać rozpoczęcia przerwanej rozmowy ze strony małżonka, zawołała boleśnie:

— Jerzy! cóż teraz myślisz o naszym synie?

Księżę miał wielką ochotę napomknąć o swoim zamiarze wysłania do Jeruzalem Tankreda z pułkownikiem Brace, Bernardem i p. Roby, lecz osądził, że czas nie był po temu: poradził więc żonie, by sama pomówiła z synem.

— Nie—rzekła Katarzyna potrząsając głową— wolę milczeć. Trzeba jednak zawczasu przedsięwziąć najenergiczniejsze środki, by go ocalić; niema chwili do stracenia. Mojem zdaniem, rzecz tę należy oddać w ręce naszego przyjaciela rektora; on jeden tylko jest w stanie uspokoić go, oświecić w wątpliwościach i zniszczyć przywidzenia. Tak, on jeden tylko to uczynić może! Bo widzisz mężu, myśli i wątpliwości dręczące Tankreda są równie społeczne, jak religijne, a rektor w obudwóch tych przedmiotach ma głębokie wiadomości. Spuść się na mnie, a za pomocą Boską wyrwie on go od grożącej mu zguby. Ale jakem ci już mówiła, nie ma ani chwili do stracenia; musimy jutro zaraz jechać do miasta, ja zaś napiszę do rektora, uprzedzając go o wszystkiém. Cóż myślisz Jerzy o moim projekcie?

— Doskonaly—odrzekł księżę uradowany, że tak wielki kłopot spadł mu choć na dni kilka z głowy.

Rozdział IV.

Rektor, którego zdanie tak ceniła księżna, fanatyk w najwyższym stopniu, chciał wszystkim, chociażby nawet przemocą, zdanie swoje narzucić. Konferencya z Tankredem była bardzo długa i naturalnie bezskuteczna. Słuchał on wprawdzie z uszanowaniem starca, który go oblał wodą chrztu świętego, ale mimo jego dowodzeń trochę zreczniejszych od tych, któremi ojciec starał się go przekonać,

pozostał jednak przy swoim zdaniu, gdyż żaden rektor na świecie, choćby i najbieglejszy, nie był w możności wskazać zupełnie zdrowej i żywotnej zasady w dzisiejszym stanie angielskiej społeczności, ani powinności tam, gdzie on sam ich nie mógł dopatrzeć. Biedny starzec chcąc mu dowieść w czym ręką powinna być władza, zapuścił się tylko w suche scholastycyzmu dowodzenia, i próżne słowa.

— Nikt mi nie zaprzeczy—przerwał w końcu Tankred—że ludzkość rządzona była kiedyś przez Boga, a teraz przez ludzi. Co do mnie, wolę sprawę Bożą, i chciałbym znaleźć wiodącą do niej drogę.

— Kościół przedstawia Boga na ziemi.

— Tak, ależ dziś kościół przestał wpływać bezpośrednio na ludzi.

— Duch nieśmiertelny rządzi kościołem i przeobraża go ciągle. Ktoż wie, co jeszcze więcej władza jego zdziałać potrafi; może wkrótce zobaczymy, tak jak w Canterbury, arcybiskupa w Manchester.

— Jabym wolał widzieć tam anioła.

— Anioła?

— Dlaczegoż niebo nie miałoby nam zesłać anioła, gdy go tak potrzebujemy?

— Aniołowie przestali nawiedzać ziemię, gdy Najwyższy sam zstąpił z nieba na ziemię.

— Dlaczegoż aniołowie ukazali się Maryi i świętym niewiastom przy grobie Zbawiciela?—zapytał Tankred.

* * *

Narada z rektorem, na którą tyle rachowano, spełzła na niczym; nie okazał on Tankredowi ideału doskonałości, a Tankred pozostał w oczach jego szalonym marzycielem.

— Rektor powiada, że Tankred jest marzycielem—mówiła księżna do męża z wyrazem niezadowolenia—ależ my o tym sami najlepiej wiemy, i właśnie dlatego, że jest tylko marzycielem, pragneliśmy, by wrócił na rzeczywistą drogę. Chciałam, by fałszywe jego zasady zbite były przez kogoś, co ma prawo i możność wpływać na jego umysł: syn mój pozostał niezachwiany w swoim zdaniu. Wszystko jest bardzo dla nas przykre; trzeba by koniecznie temu zaradzić, a sama nie wiem w jaki sposób. Cóż myślisz Jerzy? Co począć obecnie, gdy pokładana w rektorze nadzieja spełzła na niczym?

Rozmowa ta miała miejsce w Londynie, w pałacu Bellamont, w buduarze księżnej.

— Jestem równie jak ty zmartwiony naszym niepowodzeniem—
odpowiedział ksiązę przechadzając się po pokoju.— Mnie się zdaje,
że człowiek światowy potrafiłby go może najprędzej uleczyć z tego
marzycielstwa.

— Cóż człowiek światowy o podobnych rzeczach wiedzieć może?

— Bardzo mało, albo wcale nic—odrzekł mąż—i właśnie dla-
tego, lubo ludzie światowi nie wdają się w rozumowania, zwyczajnie
niedostateczne lub bezzasadne, ale mają jakiś znowu im tylko wła-
ściwy sposób przekonywania bez rozpraw. I tak na przykład: Eks-
dale rozwiązuje w jednej chwili trudności, nad którymi nieraz dzień
cały przemyślałem. Pamiętasz na przykład ową sprawę, która od-
wiecznych z sobą przyjaciół poróżniła, sprawę w Cheadle; wszak-
to Hungerford z Ildertonem przez długi przeciąg czasu nie mówili
wcale do siebie. Byłem w największym kłopotcie, lękałem się bo-
wiem rozszerzenia kłótni i nieporozumień w hrabstwie, i nie wie-
dząc jak sobie poradzić, udałem się do Eksdala, i wkrótce cała sprawa
z powszechnym zadowoleniem załatwioną została. Nie wiem wpra-
wdzie jak sobie począł, lecz nie wymyśliwszy nic nadzwyczajnego,
ułagodził umysły przeciwników, osobliwszym taktem i znajomością
ludzi.

— Ach!—zawołała księżna—nie rozumiem, co tu takt i znajo-
mość ludzi pomoże; nie zmieni to wątpliwości Tankreda i nie wstrzy-
ma jego zamierzonej do Jeruzalem podróży.

— Sprobujmy.

— Czy będziesz dziś widział Eksdala?

— Musi być na posiedzeniu parlamentu. Wiész co, Kate, jest
w téj chwili w izbie deputowanych, zaproszę więc Eksdala na obiad,
i będziemy mogli w nieobecności syna o wszystkiém obszernie pomó-
wić. Cóż ty na to?

— Bardzo dobrze.

— Rektor nie przekonał Tankreda, spróbujmy więc wymowy
i sposobów światowego człowieka.

— Tak, tak Jerzy, zaprosz i powiedz, że to wielkiej wagi inte-
res. Zdaje się, że Eksdale nie zechce nam odmówić swój pomocy
w tym względzie.

* * *

W skutek téj rozmowy, obydwa panowie przybyli o wpół do
dziewiątej do pałacu Bellamont. Spóźnienie to nastąpiło w skutek
niesłychanego i nadzwyczajnego wypadku, z przyczyny którego nie-
tylko ksiązę, ale sam nawet lord Eksdale zdawał się wielce wzruszony.

Dosyć ożywione dnia tego rozprawy, spowodowały rozdwojenie w izbie parów, a rozdwojenie w izbie wyższej w Anglii jest rzeczą tak nadzwyczajną, tak rzadką, że wszyscy byli niejako zdziwieni i odurzeni tym wypadkiem. A chociaż w końcu pokazało się, że zawzięte to rozdwojenie było skutkiem prostej omyłki, zawsze to jednak sprawiło wrażenie, i umysły wszystkich tak były tém zajęte, że dopiero po skończonym obiedzie lord Eksdale przypomniał sobie, co zasmucało księżną. Zbliżywszy się więc do niéj, zapytał:

— I cóż, podobno Tankred chce jechać do Jeruzalem?

— Jerzy mówił ci już widzę o naszych kłopotach.

— Parę słów tylko, resztę tobie pani zostawując; chciał mi więc wszystko obszernie opowiedzieć.

Tu księżna zaczęła mówić z wielką wymową i żywością. Książę słuchał jéj z uwagą. Lord Eksdale nie przerywał téj płynnej mowy, gdzie czułość matki zmieszała się z biegłością teologa. Księżna nie zataiła bezskutecznej rozmowy z synem, dodając, że ją i ta ostatnia nadzieja zawiodła, a Tankred trwa ciągle w swoim przedsięwzięciu.

— Zawsze lepiej—rzekł żartobliwie Eksdale, że tak daleko szuka żydów, niż gdyby tu się miał z niemi zadawać.

— Nie mogę zgodzić się z tobą w tym względzie, milordzie; wolałabym, żeby stracił majątek, niż życie.

— Ludzie tak łatwo nie umierają.

— W tym nieszczęsnym kraju każdy prawie przedwcześnie umiera: młody Farrenborough był właśnie w Tankreda wieku. Tam sama febra ciągle grassująca, zabija każdego cudzoziemca.

— Niech weźmie z sobą w takim razie dużo chin—rzekł spokojnie lord Eksdale.

— Ty żartujesz Henryku, gdy ja jestem w rozpacz.

— Nie—odparł lord Eksdale patrząc w sufit—myślę, jakimby sposobem przeszkodzić Tankredowi w jego zamiarach podróžowania, nie kładąc jednak wyraźnej tany własnej jego woli.

— To, to, to!—wykrzyknął uradowany książę i spojrział na żonę z tryumfem, jakby mówiąc „widzisz, co to może światowy człowiek.”

— Podróż do Jeruzalem, to nie przejażdżka do Birmingham. Jeśli zezwolicie na tę podróż Tankreda, możecie różne pokłaść warunki. Macie prawo żądać od niego, by podróżował w liczném towarzystwie i na własnym yachcie, a yachtu nie tak łatwo dostać. Jest ich wprowadzić teraz kilka na sprzedaż, ale dla Tankreda, należy żądać większego, zbudowanego umyślnie na tę długą podróż po burzliwém i kapryśnym Śródziemnym morzu. Troskliwi o swego syna

rodzice, mają prawo myśleć o podobnych środkach ostrożności. Któż więc, może budowanie nowego i dlań przeznaczonego yachtu tak żywo go zajmie, jak obecnie Jerozolima. Doprawdy, że to dziwaczne zachcenie; ręczę jednak, że gdy za rok yacht będzie gotowy, zamiast do Palestyny, pojedzie nim do Cowes.

— Właśnie to samo myślałem—dodał książę.

— A mnie przyznam, ani na myśl nie przyszło—rzekł lord Eksdale, i popił maderą.

— Pocieszyły mnie te słowa—rzekł książę do żony po chwili milczenia.

— Cóż więc naprzód czynić wypada, od czego zacząć potrzeba?—pytała księżna Eksdale.

— Wprowadzić Tankreda w towarzystwa, a ręczę, że gdy pozna Londyn, zapomni o Jeruzalem.

— Nie bywam w świecie, nie znam nikogo—rzekł książę.

— To najmniejsza, rzecz tę biorę na siebie. Skoro tylko młody margrabia objawi życzenie swoje, z radością wszędzie przyjmowany będzie. Powiem tylko słowo lady Saint-Julien i innym paniom, a zasypią go zaproszeniami, jak gradem: cała trudność polega tylko na tém, czy je przyjąć raczy.

— Jakże na to poradzić—przerwała księżna.

— Bardzo łatwo: położysz pani za jeden z warunków swego na tę podróż zezwolenia, aby bywał w świecie podczas budowania yachtu. Pierwszy krok tylko trudnym będzie, zwykła nieśmiałość młodzieńcza zakłopotuje go zrazu; lecz gdy ją raz przewycięży, zasmakuje w towarzystwach i wszystko zajmować go będzie.

— Byle tylko w karty nie grywał, to o resztę mniejsza.

— Jak możesz mówić coś podobnego—przerwała księżna z wymówką.—A ja miałam nadzieję—dodała smutnym głosem—że i bez téj ostateczności potrafię go wstrzymać od téj nieszczęsnej podróży. Biędne dziecię, zewsząd otoczone jest przepaścią, bo i świat na wielkie naraża go niebezpieczeństwa: może go o upadek moralny przyprowadzić.

Rozdział V.

Po téj z lordem Eksdale naradzie, księżna odzyskała zwykłą spokojność. Żywa z natury, z łatwością wierzyła wszystkiemu, czego jej serce pragnęło. Pozwolono więc Tankredowi jechać do Ziemi świętej, lecz własnym yachtem, pod kierunkiem biegłego kapitana,

w towarzystwie pułkownika Brace, Bernarda, pana Roby, i kamerdynera cudzoziemca znajęcego Wschód, a wybranego przez lorda Eksdale; pod warunkiem jednak, że w czasie niezbędnych do podróży téj przygotowań, wejdzie w świat i pozna towarzystwo. Księżna wyrachowała, że tymczasem wdzięki kuzynki oczarują go niemylnie, a wówczas yacht posłuży tylko do przewiezienia całej rodziny do Irlandyi. Książę zaś uradowany z mądrój Eksdala rady, postanowił dwie rzeczy. Naprzód, zawsze i we wszystkiém zasięgać swego kuzyna zdania; powtóre, zostawić synowi zupełną wolność postępowania.

Tak więc rzucono lorda Montecute w wielki świat stolicy. Nazwisko jego brzmiało tak pięknie, że odrazu pomieszczony został na owéj znanéj liście wielkich zebrań, objawiającój od czasu do czasu publiczności kto z arystokracji je, pije, lub się modli. Od salonów Belgrawe i Grosivenor-Square aż do kościołów, gdzie był, gdzie się bawił i gdzie się obrócił. Anglia jest jedynym krajem, gdzie codzién ogłaszają gazety spis osób, przyjmowanych w wielkich domach stolicy. Co to za wielki z wolności druku pożytek! Jednak i ten zwyczaj ma swoje dobrą stronę; i tak: dla tych, co się pną do możniejszych i pragną im wyrównać, żadnej nie stanowi przyjemności bal, zaproszenie, towarzystwo, ale pomieszczenie na listach. Naprzykład pani Guy-Fleming doczekała się wreszcie zaproszenia na jeden z rautów lady Saint-Julien! Byłto wielki dla pani Guy-Fleming tryumf; jednakże cóż ztąd? Śród radości spotkał ją cios okropny: na drugi dzień albowiem, przerzucając gazetę ujrzała, że choć rzeczywiście była na raucie, nie umieszczono ją przecież na liście zaproszonych. Nie upadła jednak na duchu i doszła swą wytrwałością do tego, że nie tylko nie wykręślają nigdzie teraz jéj imienia, ale ona sama na własnych swoich listach wykręśla niedość pięknie brzmiące nazwiska. Ale téz ód stworzenia świata nie było przebieglejszój i wytrwalszój od pani Guy-Fleming kobiety!

Tankred biorąc któregoś rana w rękę gazetę, ujrzał na czele swoje imię. Rozgniewał się i zarumienił z oburzenia, widząc, że cała Anglia jest uwiadomioną, że on, lord Montecute, obiadował z hrabią i hrabiną Saint-Julien, a potem ukazał się na nowéj operze w teatrze.

Nie poczuwając się do żadnego rodzaju sławy, powszechna uwaga zdała mu się równie śmieszną, jak upokarzającą, bo czuł, że do niéj najmniejszego nie miał prawa. W końcu zaś przeczytawszy buletyn swego nabożeństwa, rzucił gazetę o ziemię, porwał za kapelusz i pobiegł jak szalony na brzeg kanału Surrey, dla szukania yachtu, postanowiwszy udać się bez najmniejszój zwłoki do Jeruzalem.

Zajął się zaraz przygotowaniem do podróży z całym młodości zapalem, tojest z energią niedoświadczenia i prostoty. Sądząc, że wyjazd jego zależał jedynie na wyszukaniu statku, nie chciał się spuścić na niczyją pomoc: sam kilka razy był w Cowes, podawał do gazet ogłoszenia, aż wreszcie spotkał parę yachtów godnych uwagi.

Księżna przerażona tym pośpiechem, mówiła do Eksdala:—Łękam się, czy nie natrafi na dogodny statek, bo gotów natychmiast wyjechać.

—Zawsze jest wprawdzie wiele na sprzedaż, lecz niekoniecznie zdolnych do tak odległej podróży. Tankred będzie się łudził pozorem, i w końcu przekona się, że są nic niewarte.

Lord Eksdale miał słuszość. Pomimo całego zapалу przejażdżek do Cowes i do kanału Surrey, mijały dni, tygodnie, a Tankred nie miał yachtu.

Pomimo tych niepewności, wierny danemu przyrzeczeniu rodzicom, Tankred bawił na jednym z wieczorów w pałacu Deloraine. Wieczór był świetny, towarzystwo wyborowe. Gdy zapowiedziano lorda Montecute, oczy wszystkich zwróciły się ku niemu. Tankred niedawno wszedł na światła widownie, jego ukazanie się więc czyniło wrazenie: wszyscy o nim mówili, bo wiele osób jeszcze go nawet wcale nie widziało.

* * *

— Toż więc jest lord Montecute—mówiła jakaś pani, patrząc na niego przez lornetkę.—Powierzchnowość niepospolita.

— O! moi panowie—szepnął p. Ornsby lordowi Valentine—pospuszczajcie oczy: lord Montecute wszystkich was przyćmi.

— On o tém nie myśli widać, kiedy jedzie do Jeruzalem.

— Do Jeruzalem?—zawołał p. Ornsby, ściskając ramionami—Czegoż on chce w Jeruzalem?

— Nie wiem—dodał lord Milford—mój brat był tam przed kilku laty i mówił, że śmiertelnie się znudził.

— Była tam podobno chmara zwierzyny za czasów Jeremiasza proroka—rzekł p. Ornsby—przynajmniej słyszałem o tém zesłej niedzieli: w kaplicy królewskiej, gdzie téż i po raz pierwszy ujrzałem margrabiego Montecute. Zdaje się, że to miły i dobry chłopiec.

— Teraz w Palestynie i ptaka nie ujrzy—zawołał tragicznie lord Milford.

— Montecute nie pragnie rozrywki—rzekł lord Valentine.

— A o cóż dba, i co lubi? Może amator koni? mogę mu piękne nastroczyć.

— Potrzebuje yachtu, a nie koni. Słyszałem, że Eksmouth swój sprzedaje; muszę mu o tém powiedzieć.

To mówiąc, poszedł za Tankredem.

— Teraz ty Milfordzie i Valentine—ciągnął dalej Ornsby—musicie spuścić nieco z tonu: nowy rycerz wchodzi w wasze szranki. Mówimy o lordzie Montecute — dodał zwracając mowę do zbliżającego się p. Melton—mówię, że nas wszystkich zaćmi.

— Cieszy mnie to — odrzekł Melton—tyle już miałem powodzenia, że dla samój odmiany pragnąłbym, żeby mnie choć raz ktoś przyćmił.

* * *

— No, i cóż Montecute — pytał tegoż wieczora lord Saint-Patrick, dobry i dowcipny człowiek, z wesolém obliczem—kiedyż jedziesz do Jeruzalem?

— Powiedz mi—zawołał zamiast odpowiedzi Tankred, widocznie zajęty—kto to jest?—I wskazał na przechodzącą młodą osobę, wysoką, piękną brunetkę, pełną wyrazu i wdzięku.

— To lady Konstancya Rawleigh. Jeżeli chcesz, mogę cię przedstawić: jestto moja kuzynka, osoba miła i wysoko ukształcona; chodź za mną.—Gdy wchodzili do salonu gdzie tańczono, spotkał się tłum wchodzących z wychodzącymi. Nastąpiła chwila, w której wśród tłoku ani krokiem ruszyć nie było można, a zewsząd dolatywały zamieniane pytania i odpowiedzi.

— Słyszałem, żeś miał jechać do Paryża.

— Właśnie wróciłem.

— Mój Boże! jakto czas leci.

— Prawda.

— Nie wiesz, czy lady Monthorpsy przyjedzie tego roku?

— Wątpię, bo córeczka jój bardzo chora.

— Jaka szkoda!

— Jak się masz, czy jest z tobą p. Conningsby?

— Nie, on w parlamencie zajęty.

— Jak dobrze lady Everyngham dziś wygląda!

— Prawda.

— Będziecie jutro u lady Blair?

— Nie, obiecaliśmy się do p. Guy-Fleming. Najęła Craven-Cottage, i co sobota przyjmuje.

— Jeśli wy tam będziecie, to i my pojedziemy.

— Cały świat się tam wybiera.

Lord Montecute długo z lady Konstancją rozmawiał, potem z nią tańczył i cały wieczór kręcił się koło niej; uważały to najlepiej doświadczone matki. Lady Konstancya już od dwóch lat jaśniała jako pierwsza piękność stolicy, przytém była dowcipna i zręczna. Mówiono, że odrzuciła już kilka świetnych partyj, lecz mimo to odrzuceni zawsze do niej wzdychali; domysłano się więc, że im zupełnie nie odjęła nadziei. Miała sławę bardzo uczonej kobiety, i choć pragnęła wysokiego towarzyskiego położenia, nie byłaby jednakże oddała ręki, najbogatszemu głupcowi:—rozum bowiem więcej od złota ceniła. Tankred przy pożegnaniu prezentował się lady Charmouth, matce ostatniój, i wyrzekł nieśmiało do Konstancyi:

— Przykro mi rozstać się z panią tak wcześnie.

— I mnie także—odpowiedziała Konstancya— ale jedną z korzyści naszego światowego życia jest możność spotykania swych przyjaciół codziennie.

— Wątpię jednak, abym jutro...

— Będziemy u pani Guy-Fleming; czy pan nie wybierasz się do niej?

— Nie znam jój.

— O! to nic nie znaczy, obecność pana uszczęśliwi ją. Mogłabym go przedstawić, bo jeszcze nie opuściła sali balowój, ale niewarto czekać; jutro i tak odbierzesz pan zaproszenie.

— Ależ ja mam jutro zajęcie, muszę szukać yachtu.

— To można bezpiecznie na poniedziałek odłożyć, a zresztą co do yachtów, najlepiej pana objaśni mój brat Fitzheron, który ich już tyle nabudował.

— Może ma jaki na sprzedaż?—zapytał żywo Tankred.

— Być może, mój brat będzie jutro u pani Guy-Fleming.

— W takim razie i ja tam będę za mamową pani—rzekł Tankred—podając rękę lady Charmouth i odprowadzając ją do powozu.

Rozdział VI.

Dziwny jest czasem ten wpływ kobiety. Choć Tankred nie miał jeszcze charakteru wyrobionego, bo ten dopiero w późniejszym wieku może się rozwinąć: jednakże przez samotność, przez własną pracę, głęboko swój umysł wykształcił i doszedł do przekonania, że postanowienie, które było niejako święte w jego oczach, mimo wszel-

kich przeszkód, spełnić musiał. Nie pojmował żadnej trudności, któraby mogła go wstrzymać, i przystał na warunki rodziców jedynie dlatego, że uważał za swoje powinność spełnić ich wolę, i zamiaru swego dokonać, za ich zezwoleniem jednakże. Wszedł w towarzystwo ze wstrętem; nie mógł się z nim zgodzić: milczący i obojętny, czuł się samotnym wśród tłumu. Przykre na nim czyniły wrażenie: pochlebstwo, szyderstwo i ten brak szczeroty i serca. Nie mógł pojąć tego uśmiechu na wszystkich twarzach, który na wielu ustach w skrzywienie się zamieniał. Wszedł do pałacu Deloraine bez żadnej nadziei rozrywki: myśli jego błądziły daleko, pośród miast nieznanymi i zielonymi palm. Pustym był mniej jeszcze niż zwykle w usposobieniu towarzyskim, a przecież w kilka chwil później, przysiadł, by go przedstawiono kobiecie, co mu się po raz pierwszy w życiu zdarzyło.

Powrócił do domu nie zamyślony, ale rozmarzony. Jój głos srebrny dźwięczył mu w uchu, jój postać unosiła się w przestrzeni przed okiem jego, i we śnie nawet go nie odstępowała.

Nazajutrz rano, służący wchodząc do sypialni, oddał bilet zapraszający go przez panią Guy-Fleming do Craven-Cottage, na tańczące śniadanie o godzinie trzeciej. Tankred wziął bilet, popatrzył nań i zdawało mu się, że bilet ten przeobraża się w cudne kształty lady Konstancyi.— Trzebaby jechać—rzekł sam do siebie—muszę się poznać z lordem Fitzheron; będzie mi bardzo potrzebny, dopomoże do kupienia yachtu.— Po krótkim więc namyśle, kazał po sobie zajechać o trzeciej.

* * *

Dzień był prześliczny. Karety i broughamy napelniały drogę do Craven-Cottage w chwili, gdy Tankred przybył. Pani Guy-Fleming gorąco pragnęła jego obecności, i przyjęła go z bardzo miłym uśmiechem. Tankred pierwszy raz w życiu na podobnym znajdował się śniadaniu. Blask słońca, woń kwiatów, brzmienie muzyki i piękność kobiet, odwróciły z wolna od Jeruzalem myśl jego. Bo świat wszystko porywa w swój wir szalony, i każdą myśl wyższą przekształca i przeobrazi. Może też marzeń Tankreda nie można było policzyć do najwznioślejszych i najszczytniejszych; może one były tylko egzaltacją, przesadą młodej wyobraźni: te mgliste, niewysłowione urojenia, nie miały żadnej rozsądnej zasady. Bo i po cóż koniecznie miał spieszyć do Jeruzalem? Posiadał młodość, piękność, zdrowie, majątek, urodzenie, umysł mogący ocenić i zużytkować te korzyści. Czegóż mógł pragnąć jeszcze? Nic rozsądne

dziecię, i po cóż rzucać to wszystko! A któż wie, czy nawet dostawszy się do Ziemi stój, znajdzie szukaną prawdę? Mógł przecież czytać opisy tego kraju, nie puszczając się sam w tak niebezpieczną podróż. Niech go świat wielki, modny, elegancki odwróci od tego szaleństwa, mogącego tak smutnie się zakończyć. Próżne były prośby rodziców; niech więc szyderczy uśmiech świata silniejszy będzie, i bardziej od smutku ojca przekonywający. Łza matki nie wstrzymała go; może więcéj potrafi kochanki westchnienie! Obaczmy.

Rozdział VII.

— Wszyscy mi to opowiadali—mówił lord Eksdale do księżnej Bellamont, która zdawała się go słuchać z największym zajęciem. — Prosił lorda Saint-Patrick, by go lady Konstancyi przedstawił u Delorainów. W sobotę był na tańczącym śniadaniu jedynie by ją spotkać, chociaż miał w Blackwood yacht oglądać.

— Ach! gdyby to była Katarzyna, niczegobym już nie pragnęła.

— Niéma się o co troszczyć, będzie tu jeszcze niejedna Konstancya, zanim natrafimy na Katarzynę.

— To dowodzi tylko, jakem przepowiedział, że skoro znajdzie coś więcéj zajmującego, zapomni o yachtach.

— Masz słuszość, jak zawsze.

Rzeczywiście, lord Eksdale poznał, że u Tankreda najmniejsza rzecz na pozór, nabierała wkrótce olbrzymich rozmiarów, skoro wniknęła w myśl jego. Głęboko myślący, lecz naturalny, znający siebie dokładnie, a bez doświadczenia, przywiązywał się z łatwością do wszystkiego, co potrafiło zwrócić jego uwagę. Wpływ kobiet był zupełnie dla niego nową rzeczą: w jego marzeniach bohaterowie zastępowali bohaterki. Przygotował się w myśli na dysputy, sprzeczki, prośby, zanimby sobie zdołał wyjednać pozwolenie na pielgrzymkę, a nigdy nie pomyślał o przeszkodach ze strony płci pięknej. Dlaczegoż teraz jój głos, wzrok tak głęboko wniknął w serce jego? Odalił anioła marzeń bohaterskich, i zostawił go samotnym i tęskniącym wśród tłumu.

Lord Eksdale, doświadczony i mądry, pojął dokładnie terazniejsze położenie Tankreda, i obrachował, że łatwiej było zrobić wrażenie na młodym lordzie, jak na każdym innym. Lady Kon-

stancya, przebiegła, z umysłem krytycznym i lekkim, czytająca wiele, mówiąca o wszystkiém gładko i śmiało, musiała go zająć.

Dziwiły Tankreda i pociągały go mimowolnie jój żywość i dowcip, chociaż nieraz żałował, że była tak światową. Pragnął ją widzieć więcej idealną, więcej marzącą; mimo to jednak, uśmiechał się mile do téj istoty, co zajęta niepospolitym jego umysłem, świeżą myślą i dziwną pięknoscia, szczerze go uwielbiała i nie tała tegoż uczucia. Lady Konstancya miała niejakié prawo do téj swobody w obejściu, gdyż odmówiła już swéj ręki dwóm hrabióm i możnemu dziedzicowi Clan-Alpin.

W parę dni po śniadaniu w Craven-Cottage, lord Montecute odwiedził lady Charmouth, która przyjęła go bardzo uprzejmie. Gdy wszedł Tankred, lady Konstancya kończyła właśnie jakiś bilecik; uśmiechnąwszy się więc dosyć czule, wskazała ręką na stojące krzesło i pospieszyła dokończyć zaczęte pismo. Tankred tymczasem zaczął jakąś obojętną z matką Konstancyi rozmowę; lecz wkrótce mało zajmująca gawędka ustała, a Montecute pomyślał w duszy dość naiwnie, że bez porównania woli towarzystwo córek, jak matek. Wtém zapowiedziano jakąś znajomą damę z towarzystwa. Tankred powstał i zbliżył się do Konstancyi.

— To lady Brancepeth, wielka przyjaciółka mamy—szepnęła półgłosem Konstancya, co niby miało znaczyć, „możesz im dać pokój, a mówić tylko ze mną.”

— Znasz pan to dzieło—dodała po chwili, biorąc ze stołu jakąś książkę.

Tankred otworzył ją, i spojrział na tytuł. Byłoto „*The Revelations of Chaos*” (1) świeżo wydane, o którémto dziele wszędzie mówiono.

— Nie—odrzekł młody lord—nie czytałem.

— Mogę panu pożyczyć: jestto z tych książek, którą koniecznie odczytać wypada. Tłumaczy ona wszystko, a do tego stylem tak dostępnym.

— Jeżeli wszystko, to zaiste niepospolitéj jest wartości.

— Właśnie może panu posłużyć; przerzucając ją, nieraz o tém pomyślałam.

— Sądząc z tytułu, musi to być coś bardzo niezrozumiałego i głęboko uczonego.

— O! przeciwnie, autor wychodzi ze stanowiska naukowego, i wszystko za pomocą astronomii, geologii i nauk przyrodzonych tłu-

(1) Objawienia Chaosu, t. j. pojęcia o przedświecie.

maczy. Opowiada o tworzeniu się gwiazd; trudno napotkać coś tak ładnie napisanego. Wyobraź pan sobie, mglisty jakiś obłoczek, niby śmietana z mlecznej drogi zebrana, niby z słonecznego odwaru sér niebiański, i ot gwiazda, planeta. Trzeba to czytać.

—Nikt nie widział i nie może powiedzieć, jak się tworzą gwiazdy.

—Być może, jednak radzę mu, przeczytaj *Revelations of Chaos*, a każdy fenomen znajdziesz tam wytłumaczony, jak na dłoni. Mnie jednak ze wszystkiego najwięcej zajęło kolejne przekształcenie człowieka. Jak pan wieś zapewne, świat materialny, równie jak i duchowy, udoskonala się bez przerwy. Naprzód była próżnia, czerzość, wielkie nic; potem nagle jakieś coś; potem, ach! zapomniałam już, ale zdaje mi się, że muszle się utworzyły. Następnie z tych muszli ryby, w końcu ludzie, a później będzie jeszcze jedna przemiana: ukaże coś wyższego od nas przyrodą, coś skrzydlatego, bardziej eterycznego. I tak: byliśmy kiedyś rybami, zostaniemy wkrótce sylfami.

— Nie wiedziałem, że byłem kiedyś rybą! — rzekł zdziwiony Tankred.

— Ależ to dowiedzione, nie trzeba tylko uprzedzać się przedwcześnie. Radzę mu więc jeszcze raz, przeczytaj pan to dzieło, a przekonasz się najlepiej. Ze stanowiska nauk przyrodzonych można dokładnie pojąć i zrozumieć tworzenie się wszechświata: jak wiele jest sfer światów, jak długo trwały, co było na początku, co później będzie. My jesteśmy ogniwem w tym wielkim przeobrażeniu łańcuchu; a jak zwierzęta niższe są od nas, tak my niżsi będziemy od tych, co po nas nastąpią. Otóż to jest prawdziwe pojęcie postępu. Mieliśmy już skrzele, dostaniemy potem skrzydła.

Tankred po tej *tiradzie* umilkł i zamyślił się. Lady Brancepeth wyjechała i on powstał niebawem, lubo spojrzenie lady Charmouth zatrzymywało go widocznie. Pomimo to, lord Montecute skłonił się nisko i pożegnał Konstancyą, która rzekła z przymileniem do niego:

— Spotkamy się wieczorem, nieprawdaż?

* * *

Byłem rybą, a zostanę sylfem — mówił Tankred do siebie, wychodząc od lady Charmouth. — Co za dowcipna osoba! a ja szalony marzyłem wczoraj jeszcze, że będę mógł kiedyś z nią razem klęknąć na grobie Zbawiciela! Muszę wyjechać z Londynu, i to co prędkiej. Jednak ta znajomość Konstancyi nie była bez użytku, bom znalazł nareszcie yacht, tak długo daremnie szukany. Piszę zaraz do Fitzhrona, że układ i warunki sprzedaży przyjmuje.

Niedługo potem spotkał na zakręcie ulicy Grosvenor lorda Eksdale. Ostatni domyślił się z kąd wraca młody lord, lecz zobaczywszy zachmurzone oblicze i przyspieszone kroki Tankreda, zatrzymał go, chcąc wy badać przyczynę złego usposobienia i humoru.

— Ach kochany panie Eksdale! właśnie chciałem się widzieć z tobą — zawołał Tankred. — Obiecałeś wynaleźć mi kamerdynera, znającego dokładnie kraje Wschodu i język.

— Nie przeczę, ale cóż tak nagli?

— Chciałbym jak najspieszniej wyjechać.

— A masz yacht?

— Mam.

— I potrzebujesz koniecznie kamerdynera.

— O! i oprócz tego potrzebować będę jego pomocy. Muszę jeszcze otrzymać weksle jakiego obznajomionego ze Wschodem bankiera, i dostać listy rekomendacyjne.

— A pułkownik Brace i reszta eskorty? — przerwał Eksdale.

— Cóż robić, muszę ich także zabrać ze sobą, dawszy przyrzeczenie w tej mierze rodzicom; lubo jestem przekonany, że mi tylko zawadzać będą. Wszyscy bez wyjątku obiecali, najdalej w tydzień po mojem wezwaniu stawić się na umówione miejsce; dziś więc do nich napiszę. Nie myślę jednak w razie spóźnienia czekać ani chwili.

— A zatem zgodziłeś już yacht; pewnie kupiłeś Bazyliszka.

— Zgadłeś mylordzie.

— Zdaje mi się, że będzie wymagał naprawy.

— W istocie, lecz wolę już zatrzymać się w Gibraltarze, jeżeli tego konieczna okaże się potrzeba.

— Tak ci pilno — rzekł lord Eksdale. — Poczekaj, zatrzymaj się jeszcze trochę. Jeszcze nie masz kamerdynera, listów, weksłów. Czy znasz pana de Sidonia?

— Nie znam.

— To musisz go poznać. Wprawdzie teraz może będzie nie tak łatwo: on teraz tak zajęty, nigdzie nie bywa. Jednakże, postaram się widzieć z nim jutro, a pojutrze, to jest we środę, będę ci mógł coś pewnego powiedzieć. Ale wierzaj mi, nie pisz jeszcze do p. Brace, i wstrzymaj się choć dni kilka.

Rozdział VIII.

We środe rano, Tankred otrzymał następujący list od lorda Eksdale:
Kochany Tankredzie!

„Widziałem wczoraj p. de Sidonia i mówiłem z nim o tobie. Bardzo zajęty w tym czasie, mimo to obiecał przyjąć cię dzisiaj o drugiej po południu; mieszka na Starém-Mieście w Sequin-Court, blisko banku. Radzę ci korzystać z téj sposobności, bo zdaje mi się, że to jest jedyny człowiek, mogący dostatecznie pojąć cię i zrozumieć. Załączam ci bilet do Sidonia, lękając się jakiejś omyłki, a zarazem ostrzegam jednocześnie, że bankier ten jest wyznania Mojżeszowego; nie rozprawiaj więc zanadto o Zbawiciela grobie“.

Eksdale.

Wedle więc otrzymanej informacyi, Tankred o naznaczonej godzinie udał się do *City*, gdzie po raz pierwszy był w życiu. Z wielkiem zadziwieniem przyglądał się ciasnym i błotnym uliczkom, które tak rażąco stanowią sprzeczność z dzisiejszym Londynem. Nagle, wychodząc z ulicy Cheapside na ulicę Paultry, ujrzał ją całą zawałoną jakimiś wozami, a wpośród nich śliczny elegancki powóz ze złamaném kołem. Wokoło pojazdu stał tłum licznie zebranych ludzi i słyhać było sprzeczki, trzaskanie bicia i wołanie policyantów. Tankred zdziwiony zjawieniem się podobnego pojazdu w téj części miasta, zbliżył się do niego i ujrzał wewnątrz młodą i piękną kobietę, która z przerażeniem wołała i wzywała pomocy. Jakiś miejscowy *policeman* radził, by wysiadła, gdyż powóz był zupełnie zepsuty.

— Cóż ja pocznę—wołała—nie mogę przecie pójść piechotą! Trzeba ukarać tych ludzi, co mi zepsuli powóz.

— Oni twierdzą, że to woźnicy wina—odrzekł policyant—zresztą to do nas nie należy. A tymczasem wysiądź pani, gdyż drogi publicznej nie można tamować.

— Lecz cóż ja zrobię—mówiła piękna kobieta prawie ze łzami w oczach.

— Ofiaruję pani mój pojazd—rzekł przeciskający się przez tłum Tankred.

Zagadniona w ten sposób kobieta, zwróciła swe śliczne czarne oczy z wyrazem podziwienia na stojącego przed nią wykwintnego młodzieńca. Rzeczywiście znajdowała się w niemałym kłopotcie.

Otoczający tłum uliczny czuł się obrażony, gdyż jęj woźnica rozpedzał go biczem, a słudzy zbyt ostremi gromili słowami; a co najgorsza, pani ta wiozła z sobą jakiegoś jegomościa z dużemi wąsami, który nie mieszając się wcale do kłótni, mówił tylko (nienawistnym dla ucha angielskiego John Bulla) francuzkim językiem.

— Pan doprawdy zbyt dobrym jesteś — rzekła po chwili namysłu słodkim głosem.

Tankred otworzył drzwiczki, policyant spuścił stopnie, i za chwilę piękna pani, wraz z towarzyszem swoim, zasiadła w *broughamie* (1) lorda Montecute, który oddał go zupełnie pod jęj rozkazy, a sam zbliżywszy się do jednego ze stojących ludzi, spytał o drogę do banku.

— Oto jest właśnie bank — rzekł zagadniony, wskazując na duży gmach, znajdujący się niedaleko. — Czego pan potrzebuje, właśnie tam idę: może mu w czém mogę być użytecznym?

— Mam interes w bliskości banku, do Sequin-Court.

— A! to do pana de Sidonia.

* * *

Gdy Tankred wchodził do Sequin-Court, zastał przed gankiem powóz z nieznanemi herbami. We drzwiach siedział tłusty szwajcar, i za zbliżeniem się młodego Montecute, zapytał niedbale, czego potrzebuje.

— Chcę się widzieć z panem de Sidonia.

— Niepodobna, jest zajęty w tęg chwili.

— Mam do niego bilecik.

— Dobrze, prześlę go natychmiast. Zatrzymaj się pan nieco w piérwszym salonie — dodał, drzwi otwierając. Tankred wolał jednak pozostać w przedsionku i przypatrywać się wspaniałym wschodom, jakie już tak rzadko w nowszym Londynie spotkać można. Na drugim końcu sieni stała porfirowa kolumna, a na nięj popiersie piérwszego de Sidonia, dłuta Chantreya, z napisem „Założyciel.” Po chwili zbliżył się Tankred do szwajcara, mówiąc:

— Mam się widzieć z panem de Sidonia o drugięj — a gdy to mówił, uderzyła właśnie druga na poblizkięj wieży.

— Być może — odrzekł szwajcar — lecz nie mogę mu teraz przeszkadzać, jest zajęty z postem hiszpańskim i wiele już osób czeka na niego. Gdy ambasador oddali się, prześlę panu Sidonia list pański.

W ciągu tęg rozmowy, różne osoby przechodziły przez sieni, niezatrzymywane przez szwajcara.

— Gdzież ci ludzie idą? — zapytał Tankred.

(1) *Brougham*, rodzaj powozów.

Szwajcar spojrział na niego z wyrazem podziwienia i pewnym rodzajem pogardy, mówiąc niedbale:

— Jedni do banku, drudzy do kassy.

To powiedziawszy, wziął gazetę i czytał ją spokojnie.

Wkrótce dał się słyszeć szmer w pobliskich pokojach, drzwi z głębi otworzono, i wyszedł poseł hiszpański.

Teraz, wraz z innemi mogę przesłać list pański. — I wyszedł, zostawując przez kilka chwil samego Tankreda.

List Eksdala był następującej treści:

Drogi Sidonia!

„List niniejszy wręczy ci kuzyn mój, Montecute, o którym mówiłem ci wczoraj. Chce on koniecznie jechać do Jeruzalem. To przedsięwzięcie martwi bardzo rodziców, lękających się o swego jedynaka. Obiecałem jego ojcu i matce, których z całej mojej rodziny najwięcej poważam, uczynić dla młodego Tankreda wszystko, co będzie w mojej mocy; jeżeli mu więc w czém pomożesz, prawdziwą mi łaskę wyświadczysz”.

Eksdale.

Po chwili, ukazał się w głębi sieni młody człowiek w okularach, i spostrzegłszy Tankreda, poprowadził go przez długi szereg komnat, zajętych mnóstwem kommissantów i sekretarzy, i wspaniale umeblowanych, aż do gabinetu pana de Sidonia. Ostatni, siedząc przy stoliku, zajęty był pisaniem. Zobaczywszy wchodzącego Tankreda, odsunął fotel i wskazał miejsce z uprzejmym uśmiechem.

— Pan Eksdale pisze do mnie, że pan masz zamiar udać się do Jeruzalem.

— Oddawna tego pragnę.

— Szkoda, żeś się pan wcześniej nieco nie wybrał, w czasie ogólnej do Ziemi świętej wędrówki.

— Szkoda, w istocie—rzekł Tankred—lecz co do mnie, mało mi na tém zależy, jak i kiedy tam się dostanę, byłem się raz już dostał.

— Sposoby i środki odbycia téj podróży są teraz bardzo ułatwione; ale mnie się zdaje, że główne zadanie każdego podróżującego w dzisiejszych czasach leży w umiejętném odbyciu téj podróży, szczególnież stanąwszy już raz na miejscu.

— To kraj wielkiej przeszłości i prawdziwego natchnienia. Mam nadzieję, że będąc tam, duch Boży oświeci mnie, i wskaże drogę pielgrzymki.

— A tutaj, sądzisz, że ten duch nie oświeci cię właściwie?

— Wątpię, bo do rozbudzenia podobnie świętego ognia w człowieku, potrzeba uprzywilejowanego, świętego miejsca; a gdzież jest kraj na świecie obfitujący w większe wspomnienia i symbole Boga, jak Palestyna?

— W istocie, obadwa możemy znaleźć równe ku temu powody: ja wierzę, że w tamtych stronach Bóg przemówił do Mojżesza na szczycie Horebu, a pan wierzysz, że był ukrzyżowany na górze Kalwaryi; obadwaj przynajmniej cielesnie byli Izraela synami, mówili po hebrajsku do Hebrajczyków. Wszyscy apostołowie byli Hebrajczykami. Nawet i rzymski kościół, który, jak twierdzicie, jest wiecznym i powszechnym, który zwyciężył Druidów, olimpijskiego Jowisza i skandynawskiego Odyna, był także założony przez Hebrajczyka. Po części więc zgadzam się z pojęciem pana, i rozumiem jego gorącą chęć zwiedzenia Palestyny.

Tankred z wielkim zajęciem słuchał mowy pana de Sidonia. Zwykła nieśmiałość opuściła go, słowa wyrzeczone odpowiadały zupełnie jego myśli: uczuł się w swoim żywiole, a ta rozmowa tém mocniej go zajmowała, im mniej był do niej przygotowany.

— Widzę — rzekł po chwili milczenia — że się urodziłem w wieku ogólnego rozprężenia i niewiary. Daremnie szukam kogoś, coby mnie oświecił, nauczył i wskazał, gdzie jest źródło życia i prawdy. Czuję, że potrzebuję wyrobić w sobie silniejszą wiarę, gdyż bez niej obowiązki każdego członka społeczeństwa i życie samo są tylko ciężarem: dlatego chcę, w ślady przodków moich wstępując, jak oni przed sześciu wiekami, przepłynąć morze i.... — tu się nagle zatrzymał.

— I widzieć grób Zbawiciela — kończył Sidonia.

— I widzieć grób Zbawiciela — powtórzył Tankred poważnie — Tak, to moje jedyne życzenie.

— Krucjaty przyniosły wielkie korzyści Europie: odżywiły w niej źródło czucia i wiary, które zawsze Zachód czerpać musiał na Wschodzie. Teraz wprawdzie Azja zdaje się konająca i bez życia, ale to tylko cisza pozorną.

— O! tak być musi, bo któżby śmiał przypuścić, aby kraj uświęcony objawieniem Boga mógł upaść, jak inne kraje. Jakaś łaska Wszechmocnego musi świecić w tej stronie. Zapytam tych gór, na które zstępowali aniołowie, dlaczego przestali odwiedzać już ziemię niebieskie posłanniki. Będę wzywał Pocieszyciela w miejscu, gdzie nam był obiecany, gdy napróżno wzywam go w mojej ziemi!

Zdaje się, że wolą jest Boga, abyśmy go szukali wśród trudu i z zapalem w sercu, abyśmy się tym trudem i pielgrzymką uświęcali.

Sidonia słuchał Tankreda z głęboką uwagą. Dostrzegł on i przeczuł, że to była dusza wielka i niepospolita; a gdy skończył, rzekł patrząc na niego z zajęciem:

— Pan, o ile mi się zdaje, chcesz zbadać tajemnicę i myśl żywotną staréj Azji.

— Tak jest—odparł Tankred—zrozumiałeś mnie najzupełniej.

W téj chwili wszedł młody człowiek, ten sam, co wprowadził Tankreda i oddał list panu de Sidonia. Lord Montecute zmieszał się tém nagłym przerwaniem wysokiego tonu rozmowy. Powstawszy więc z miejsca chciał się oddalić, ale Sidonia zatrzymał go, a wydawszy sekretarzowi stosowne rozkazy, powrócił do swego gościa, mówiąc:

— Obiecałem lordowi Eksdale, iż będę panu użytecznym. Kiedyż pan myślisz opuścić Anglią?

— Za tydzień.

— Sam jeden?

— Sądzę, że będę miał dwór dosyć, nawet zanadto liczny.

— Szkoda, ale mniejsza o to. Gdy pan staniesz w Jeruzalem, udasz się bez wątpienia do klasztoru Terra Sancta; poznasz tam hiszpańskiego przeora Alonza Larę. Nazywa mnie swoim krewnym, gdyż pochodzi z hebrajskiej rodziny, ochrzczonej w XIV wieku. Dlatego kocha kraj swój pierwotny i pojmuje życie Palestyny. Spędził tam czwartą część wieku, a mógłby być arcybiskupem sewilskim. Zna dokładnie świat starożytny i dzisiejszy, a to rzecz bardzo ważna. Często jedno drugie tłumaczy i objaśnia, i w témto leży wyższość kościoła katolickiego nad innemi, że jego pierwotni założyciele byli Hebrajczykami czyli ludźmi starego zakonu. Ty mylordzie chcesz zbadać ten wzajemny stosunek dwóch światów; dam ci więc list do Lary: jestto właśnie człowiek, jakiego ci potrzeba.

— Przykro mi zatrudniać pana podobnemi rzeczami—rzekł Tankred głosem niepewnym—ale ponieważ wątpię, żebym miał to szczęście widzieć go przed wyjazdem, chciałbym się ułożyć co do weksli.

— Pewno się jeszcze zobaczymy. Co się zaś tyczy weksli, jest tylko jeden w Palestynie dom bankierski, tenże sam, co w Alepie, Damaszku, Beirucie i Jeruzalem: jest nim dom pod firmą Besso, dom bardzo zamożny i prawdziwie rządzący Syryą. Wprawdzie chciano niedawno zabrać do Konstantynopola wszystkie bogactwa dzisiejsze-

mu bankierowi, ale się udał do mnie, i potrafiłem mojemu wpływowi uratować go od grożącego niebezpieczeństwa. Dam panu list do niego, a może być użytecznym nie tylko we względzie piędziennych stosunków, ale i pod innymi względami; radzę nawet poznać go osobiście. Mieszka on czasami w Damaszku, lecz częściej w Jeruzalem, do którego przywiązany jak wierny Hebrajczyk. Jest on przytęm z powierzchowności najpiękniejszy człowiek, jakiego dotąd widziałem; na imię mu Adam, i doprawdy przypuszczam, że przedupadkowy musiał być podobnym do niego. Dusza jego równie piękna jak ciało. Na nim możesz we wszystkiem polegać; mów z nim śmiało, a każde twoje żądanie, przez wzgląd na mnie, zaspokoi. Te dwa listy posłużą ci jako klucz do twoich badań w Palestynie, a nawet do dalszych krajów Wschodu, gdybyś je także chciał zwiedzić.

— Jakże mam panu podziękować za tyle dobroci, i wyrazić całą moją wdzięczność — mówił zegnając się Tankred.

— Jeżeli jutro wolny jesteś margrabio, to chcięj ze mną obiad podzielić; lubo sam nigdzie nie bywam, mam jednak łaskawych przyjaciół odwiedzających mnie czasem, a jutro będzie tu właśnie kilka osób, które warto poznać.

— Zaproszenie twoje z wdzięcznością przyjmuję.

— Dobrze, czekam więc go jutro, ale nie tu, tylko w Carlton-Garden.

To mówiąc, Sidonia zabrał się do skończenia przerwane go a zaczętego listu.

Rozdział IX.

Gdy Tankred powrócił do domu, rozmyślając o swojej z panem de Sidonia rozmowie, znalazł następujący bilecik: „Lady Bertie-Bellair odsyła lordowi Montecute powóz, załączając wyrazy prawdziwej wdzięczności“.

Bilecik ten pisany był drobnym, ale wyraźnym charakterem. Nazwisko Bertie-Bellair było bardzo znane, i Tankred dziwił się, że dotąd nie spotkał w towarzystwach tak pięknej kobiety, należącej do wysokiej arystokracji stolicy. Ale rozmowa z Sidonią wybiła mu z głowy ranną przygodę: współczucie myślącego bankiera, rzuciło jakby nowy promień w umysł jego, i rozproszyło mgłę wątpliwości, co mu za każdą chwilę więcej życie zaciemniała.

Dotąd zdawało mu się czasami samemu, że jest ofiarą dziecinnych marzeń, i często z zwątpieniem pytał sam siebie, dłacz-

go nikt nie podzielał jego uczuć, dlaczego wszyscy, lubo mu tego wprawdzie nie mówią w oczy, mają za szalone jego zamiary. Moi rodzice, myślał dalej, choć pobożni i oświeceni, a przez miłość ku mnie, wszystkie moje czyny w dobrém widzący świetle, uważają mnie jednak za półwaryata. Lord Eksdale jest człowiekiem światowym, powszechnie szanowanym, wszyscy polegają na zdaniu jego; a i on znajduje, że gdybym dłużej w Eton był pozostał, a potem bawił jakiś czas w Paryżu, nigdyby myśli podobne w głowie mi nie powstały. Rektor wreszcie, człowiek głęboko uczony, a jako ksiądz pod wpływem ducha świętego, nazwał mnie także marzycielem: wszystko mieszało mój umysł. Lecz teraz, gdy Sidonia niemający żadnego powodu do sądenia mnie z pobłażaniem — myślał dalej nasz hohatér — a znający lepiej świat od Eksdala, głębiej uczony niż wszyscy razem rektorzy, pochwała mój zamiar, zdanie moje podziela i dopomaga nawet do spełnienia mych życzeń: muszę mieć słusność.

* * *

Tego samego dnia, wieczorem na balu u lady Bardolf, Tankred postrzegł w tłumie swą ranną znajomość, lady Bertie-Bellaïr. Rozmawiała z lordem Valentine. Choć krótko ją widział, poznał natychmiast. Mała jej główka, uginająca się pod ciężarem gęstych kruczonych splotów, wielkie czarne oczy, płeć blada lecz delikatna, małe perłowe ząbki i postać wiotka i wysmukła: stanowiły całość tak piękną i znaczącą, iż niepodobna było, raz ją zobaczywszy, zapomnieć. Wyraz jej twarzy był spokojny, oczy i usta śmiejące się.

Gdy spojrzała wokół siebie i dostrzegła Tankreda, skłoniła mu się z czarownym wejrzeniem. Za chwilę młody Montecute był już przy niej.

— Drugi raz się już dzisiaj spotykamy — rzekła cichym głosem.

— Czemużemy się nigdy wprzód nie spotkali? — zapytał Tankred.

— Tylko co wróciłam z Paryża: pierwszy raz dziś dopiero wyjechałam na miasto, i gdyby nie pan, pewniebym na tym balu nie była.

— Lady Bardolf i wszyscy tu obecni, powinni mi być w takim razie bardzo wdzięczni.

— A ja najbardziej.

— To już za wszystkich i za wszystko starczy.

— Jaki pan masz śliczny powóz! Ja już na swój patrzeć nie mogę, i nie gniewam się wcale, że mi go połamali. Muszę sobie kupić taki sam *brougham*.

— Czemużeś pani mego nie raczyła zatrzymać.

— Jakżeś pan wspaniały! Rozrzucasz dary, jakbyś już ze Wschodu powrócił, a podobno, że dopiero wybierasz się pan w tę podróż; przynajmniej tak mi mówił lord Valentine. Kiedyż nas pan opuszczasz?

— Mam nadzieję że wkrótce.

— Doprawdy— odrzekła lady Bertie-Bellair rumieniąc się. Zamilkła przez chwilę, a potem dodała tonem żartobliwym, w którym się jednak smutek nieznacznie przebijał:—Wolałabym prawie, żebyś mi pan nie był przyszedł w pomoc dziś rano.

— A to dlaczego?

— Bo nie lubię na krótko tak miłych znajomości zabierać.

— W takim razie, to ja jestem godnym pożalowania.

— Czyś pan już tak znudzony światem, że go nie poznawszy prawie, porzucasz?

— Tak mało go poznałem, że nie miał czasu znudzić mnie jeszcze. Jestem tu tylko jakby w przejeździe, przypadkiem, tak, jak pani dzisiaj na ulicy Poultry.

— Lord Valentine mówił mi, że pan się udajesz do Palestyny. Ach! to moje marzenie!

— I pani także—zawołał uradowany Tankred—uczulaś potrzebę téj pielgrzymki?

— I nie mogę sobie przebaczyć, że jęj dotychczas jeszcze nie uskuteczniła—rzekła smutnym głosem lady Bertie-Bellair.—Jestto błąd mego życia, którego nic już naprawić nie może. Nie miałam dosyć energii: powinnam była wziąć kij pielgrzymi do ręki, rzucić kraj, rodzinę, i spocząć dopiero nad brzegiem Jordanu.

— O tak, wszyscy powinniśmy to uczynić.

— A jednak nikt tego nie czyni. Żyjemy tutaj z dnia na dzień, bez żadnego celu, li tylko chwilą obecną zajęci.

— Urodziliśmy się w chwili silnie rozwiniętego materyalizmu.

— Mnie życie podobne wystarczyć nie może.

— Bo pani posiadasz duszę, która jeszcze niebiańską pamięta ojczyznę, a to rzadkie w dziewiętnastym wieku zjawisko. Dzisiaj nikt nie pomyśli o niebie, nie śni o aniołach: nadto zajmuje ich przemyśl, statki parowe, koleje.

— Słusznie, że pan opuszczasz te strony.

— Mnie tam wiodą wyższe cele.

— Rozumiem pana, pojmuję; wszak Jeruzalem to i moje marzenie, tyle razy pragnęłam je zwiedzić: ale niestety! byłam tylko... w Paryżu.

— A teraz tak ułatwiona komunikacya z Palestyną! A jeżeli są jakie trudności przywiązane do téj podróży, to chyba na miejscu dopiero spotkać je można. Zależą one głównie, jak mi to mówił dziś jeden wcale niepospolity człowiek, na umiejętném zwiedzeniu téj części świata.

— Któż to taki?

— Pan de Sidonia.

— Pan de Sidonia?—powtórzyła piękna lady z zajęciem.—Pana go zna?

— Nietyle może, ilebym pragnął. Widziałem go dziś po raz pierwszy, za pośrednictwem mego kuzyna, lorda Eksdale, który w moim imieniu prosił o listy i bliższe objaśnienia, bo on sam tyle już podróżował.

— Ach! jakżebym go poznać chciała! Poproszę lorda Eksdale, by dał obiad i zaprosił pana de Sidonia.

— Kiedy on nigdzie nie bywa.

— Dawniej dawał wielkie bale, słyszałam o nich tylko; trzeba go znowu na to namówić: on tak majętny.

— Nie pojmuję, jak człowiek już tak bogaty, i z tak wszechstronnie wykształconym umysłem, może się zajmować interesami pieniężnymi.

— Takie już widać jego przeznaczenie—rzekła smutnie lady Bertie-Bellair.—Ciekawa jestem—dodała półgłosem—czy nabędzie Great-Northen.

— Co takiego?—zapytał Tankred.

— Nic, nic; mówmy raczej o Jeruzalem—zawołała lady.—Otóż i Augustyn, muszę pana poznać z moim mężem.

Tankred sądził, że ujrzy rannego towarzysza swój pięknej powierniczki, lecz omylił się. Lord Bertie-Bellair wysmukły, brunet, był przystojny i miły w obejściu. Podziękował Tankredowi za wyświadczoną z rana przez tegoż przysługę żonie, z wdziękiem i uprzejmością człowieka dobrze wychowanego, i zaprosił na obiad na dzień następny. Ale Tankred obiecał się już panu de Sidonia, nie przyjął więc zaproszenia; przyrzekł tylko wkrótce odwiedzić lady Bertie-Bellair, i obejrzeć z nią razem ryciny Ziemi świętej.

Rozdział X.

— Przykro mi kochana matko, że przy najszczerzej chęci nie mogę ci towarzyszyć—mówił Tankred w tydzień później do księżnej—bo muszę yacht mój obejrzyć, a po powrocie z Greenwich będę miał zajęcie.

— Zawsze ten yacht nieznośny—pomyślała księżna.

Przed rokiem, zajęcie o którym wspomniał jej Tankred, byłoby ją może gorzej przeraziło. Myśl, że jej syn co dzień zamężną odwiedza kobietę, zgrozą i boleścią przeszłyby jej serce; a jednakże tak było. Tankred pół dnia poświęcał oglądaniu yachtu, a drugie pół spędzał u lady Bertie-Bellair: bo ona jedna dzieliła zapał jego i rozumiała jego myśli. Dusza jej, równie jak Tankreda, była w Jeruzalem; całe życie, mawiała, marzyła o grobie świętym; wśród balów, wyścigów i rozrywek stolicy, myśl jej po gruzach Palestyny błędziła.

Rozkochany Montecute patrzył na nią z miłością i poszanowaniem. Oglądali razem ryciny Syrii pana Roberta, a ona obznajmiała go z każdym szczegółem, i jak wieszczka przenosiła go niejako w te upragnione miejsca. Tankred z powodu tak prędko mającego nastąpić wyjazdu, co dzień ją odwiedzał. Obiecywał, że będzie często pisywał, żeby przynajmniej myśl jej wiedziała, gdzie go ma szukać. Nakoniec, pewnego dnia lady Bertie-Bellair zaczęła myśleć o sposobach odbycia wspólnie tej podróży. Tankredowi co dzień potrzebniejszą była jej obecność, i często płakali nad losem, co ich tak późno zbliżyło do siebie. W istocie, ta kobieta z swoją cudowną pięknnością, żywym pojęciem i wzniosłą myślą, zdolna była mocno zająć Tankreda.

Obdarzona bardzo bujną wyobraźnią, szła zawsze za pierwszym serca popędem, i dlatego zdawała się zupełnie niestworzoną do życia praktycznego. Nie mogła zgodzić się z otaczającym ją światem, bo umysł jej lotny, poetyczny, odpychał każdą myśl poziomą i materialną; nie była też szczęśliwą. Choć zawsze na widok Tankreda wyjaśniała oblicze, dostrzegł on jednak często smutek, jakiś gorączkowy niepokój i dziwne bez powodu zamyślenie. W domowym pożyciu była zupełnie swobodną: żyła w najlepszej z mężem przyjaźni i mówiła o nim zawsze z szacunkiem i przywiązaniem. Ale myśl lorda Bertie-Bellair była daleką od Jeruzalem, choć prawdę powiedziawszy, żona nie mogła mieć mu tego za złe, bo zwykle panowie

angielscy zajęci prawem zbożowóm, kolejami i żegluga, tak mało mogli pojąć myśli lorda Montecute, jak ich żony tęsknotę lady Bertie-Bellair za innym światem.

* * *

— No, cóż tam Tankred porabia? — zapytał pewnego rana lord Eksdale księżnej Bellamont.—Zdaje mi się, że jego yacht posłuży mu do pięknej wodnej zabawy, zamiast do téj strasznej podróży.

Księżna Bellamont poznała lady Bertie-Bellair i była nią zachwycona, choć domyślała się, że Tankred nie bez przyczyny co dzień u niéj bywa, i cieszyła się, mimo surowych swoich zasad, z téj między synem a lady przyjaźni. Kobięta, która mówiąc co dzień z Tankredem o Jeruzalem, zatrzymywała go przecież w Londynie, stała się dla księżnej nieocenionym skarbem. Zwolna księżna przyzwyczaiła się spoglądać na yacht Tankreda, jak na dziecinną zabawkę, i co dzień bardziej przekonywała się o głębokiej mądrości lorda Eksdale.

Tankred zaprosił bliższych znajomych do Greenwich dla oglądania *Bazyliuszka*, który wszystkich bez wyjątku zachwycił swoją piękną i kształtną budową. Księżna przekonana, że Tankred zapomniał już o swojej podróży, mówiła do męża wracając z téj wycieczki:

— Jak też niesłusznie rektor nazwał syna naszego marzycielem.

— Zgadza się z tobą.

— Jaka szkoda, że nie ma w naszym towarzystwie pana de Sidonia—mówiła lady Bertie-Bellair do Tankreda, patrząc smutnie na księżyc z pomostu *Bazyliuszka*.

— I mnie przykro; tém więcej, że chcąc zadosyć uczynić pani woli, zaprosiłem go; ale widać, że nigdzie bywać nie pragnie...

— Więc ja go nigdy nie poznam—przerwała lady z wyrazem niecierpliwości.

— Czyż on tak bardzo ją obchodzi? — zapytał Montecute obrażony nieco.

— Mam mu tyle do powiedzenia.

— Doprawdy?—rzekł Tankred z przyciskiem.—Wprawdzie wspomniałem o twojej chęci poznania go bliżej, i gdyby wiedział, że masz pani do niego tak pilny interes, nie wątpię, żeby przybyć nie omieszkał.

— Tyle rzeczy powiedzieć!—powtórzyła zamyślona lady Bertie-Bellair—O, tak! on tyle podróżował, był w Jeruzalem!

— Jakżeż on szczęśliwy! Ach! kiedyż i ja tam będę!

— Chciałeś zapewne powiedzieć, kiedyż my tam będziemy!—rzekła lady Bertie-Bellair dzwicznym głosem, patrząc na niego

czarującym, namiętym wzrokiem. Tankred zadrżał. Już chciał wymówić ogniste miłości słowo — lecz to skonało mu na ustach. Dwa uczucia, dwa przekonania walczyły w jego sercu: konieczność spełnienia zamierzonej pielgrzymki, i niepodobieństwo oddalenia się od istoty, która go jedynie zrozumieć i pojąć była w stanie.

Cóż miał czytać? Dawniej w swoich długich samotnych duma- niach przewidywał wszystkie przeszkody prócz téj, co go zatrzymała, prócz miłości. Wymawiał sobie tę długą zwłokę, a myśl wyjazdu była mu nieznośną. Czemuż dotąd zamiast uświęconych wód Jordanu, widział tylko przed sobą błotniste Tamizy brzegi!...

Rozdział XI.

Tankred przepędził noc bardzo niespokojnie. Nie wiedział sam czego pragnie, i zaczynał już tracić w siebie wiarę. Gdzie się podzielała jój ta wola niezłomna, to silne postanowienie? Gdzie bohater- skie marzenia? Wszystko znikło i rozchwiało się w nicość przed ognistém lady Bertie-Bellair spojrzeniem. Pytał sam siebie, czy rzeczywiście nie wygasła w nim owa gorąca żądza oglądania Zba- wiciela grobu, i wstydział się tego pytania.

Lecz nie mógł znieść myśli rozłączenia, zostawienia samotnej lady Bertie-Bellair. On był jój osłoda w smutku, on jeden po- dzielał jój myśli i marzenia, on jeden rozjaśniał chmurne jój czoło, po- magał dźwigać jój ciężar życia; cóżby teraz bez niego czyniła? Nie, nie mógł jój tak opuścić, i zostawić wśród szyderczego i zimnego świata, pośród ludzi, z któremi żadne nie wiązało ją współczucie. Stała mu ona w myśli jako ideał wcielonej doskonałości, tak pię- kna, miła, słodka, tak zgodna z nim we wszystkiém! Zerwał się z łóżka, szukając w niém nadaremnie spoczynku. Padł na krzesło prawie bez myśli i uczucia, patrząc z pozorną obojętnością na tlejący i dogorywający ogień na kominku. Długo tak zostawał zatopiony w marzeniach, aż węgle do szczytu wygasły, a nocne powietrze wci- skając się do pokoju, owiało go, i ochłodziło nieco wzburzoną krew tyłoma wrażeniami.

* * *

Nazajutrz Tankred wcześniej jak zwykle udał się do lady Bertie-Bellair, spotkawszy we drzwiach wąsatego jegomości, które- go już widział razem z lady na ulicy Poultry. Był to człowiek już podżyły, z pomarszczoną twarzą, lecz przyzwoicie ubrany. Frak

niebieski zdobita czerwona wstążeczka, a gęsty podbródek starannie uczesany, przykrywał szeroko wyłożone kołnierzyki. Poznał on lorda Montecute i bardzo grzecznie go przywitał. Nie pierwszy raz już spotykał go Tankred u lady Bertie-Bellair, i zawsze pytał sam siebie: coto za figura? Lady powiedziała mu raz, że to jest Francuz, który jej rodzinie wielką wyświadczył przysługę, a teraz przybył za swoim do Londynu interesem, w którym mu nawzajem lord Bertie-Bellair dopomaga. Zwano go także baronem.

Tankred dnia tego zastał lady Bertie-Bellair nadzwyczaj zmieszaną i niespokojną. Ręce jej drżały, rumieniła się i bladła na przemian.

— Pani widzę cierpiąca. Lękam się, czy przejażdżka wczorajsza nie zaszkodziła czasem jej zdrowiu?—zagadnął lord Montecute.

— O! nie—odrzekła wstrząsając głową młoda lady—nie wczorajsza to przejażdżka, nie nocne powietrze przyczyną mojego cierpienia. Miałam straszny sen; przeczuwam, że jakieś wielkie grozi mi nieszczęście.

— Nie mów tego, niemogę, nie chcę widzieć cię nieszczęśliwą—zawołał Tankred drżącym głosem.—Moja najdroższa!—dodał z cicha—powiedz, czego wdychasz?

— Bom nieszczęśliwa.

— O, nie! nie mów tego, błagam cię. Powtarzam, nie chcę widzieć cię nieszczęśliwą.

— Wszakżeż się rozstać mamy?

— Nie rozstaniemy się—szepnął cichym głosem Tankred.

— Zostajesz więc?—zawołała lady, wlepiając w niego czarujące oczy.

— Tak, dopóki razem nie pojedziemy.

— O! to nigdy nie nastąpi. Augustyn nie będzie chciał słyszeć o podobnej podróży. On na wsi nie może sześciu tygodni wysiedzieć, tak mu zaraz tęskno do Londynu. Żeby przynajmniej podróż nie była tak męczącą i uciążliwą, żeby naprzykład kolój żelazna....

— Kolój żelazna?—powtórzył Tankred z przerażeniem—kolój żelazna?! do Jeruzalem!

— Ach prawda, to być nie może—ciągnęła dalej lady Bertie-Bellair—to być nie może; nie jestto droga handlowa. I to powodem mego nieszczęścia. Muszę tu pozostać sama, z ludźmi, którzy mnie nie pojmują. Lecz ty lordzie, ty jedź zład daleko, bezemnie. Nie chcę cię uczynić ofiarą mojego położenia. Powinnam była od-

dawna przygotować się na to. Nie zwodziłeś mnie, powiedziałaś od razu, że opuszczasz Anglię. Ja to sama łudziłam się próżnemi marzeniami, sądząc, że razem zwiedzimy Palestynę.—To mówiąc oparła się o krzesło, kryjąc twarz rękami.

Tankred powstał i zaczął się wielkimi krokami przechadzać. Sądził, że serce pęknie mu z żalu. Nie pojmował, co się z nim działo w téj chwili, nie rozumiał, jakim sposobem został tak wciągnięty, że już prawie nie mógł się wydostać z zaczarowanego koła zdarzeń i wypadków, zatrzymujących go w pielgrzymce. Gwałtowne łkanie lady Bertie-Bellair wyrwało go z tego zamyslenia.

— Na Boga! nie zniósę dłużej—zawołał Tankred—przeniósłbym śmierć własną nad twoje nieszczęście. Słuchaj moja najdroższa...

— Nie nazywaj mnie tak—szepnęła—nie mogę znieść twych czułych wyrażen... Przebacz mi—dodała po chwili—jestem dziś tak rozstrojona: myślałam, że byłam dostatecznie przygotowaną do rozstania, lecz mnie siły zawiodły. Jam tak słaba, tak biedna, że powinieneś mi przebaczyć. Nie chcę cię zatrzymywać, może potrafię znieść twoje oddalenie: opuszczę świat na zawsze. Jedź, jedź, niech cię Bóg błogosławi! a jeżeli żyć będę, pisuj czasem do mnie.

Nie mogę jej opuścić, pomyślał Tankred, i gdy się przybliżał, chcąc jej to postanowienie oświadczyć, wszedł lokaj i nie zważając na jego obecność, oddał list swéj pani.

Gorączkowy niepokój zastąpił na twarzy lady rozlaną dotąd rozpacz. Skoro wzięła podane jej pismo, rozdarła pieczęć gwałtownie, krzyknęła i zemdląła.

Tankred poskoczył ku niej. Leżała bez czucia, blada jak alabaster, trzymając jeszcze w ręku list otwarty, na który mimowolnie, chcąc dojść powodu tak nagłej słabości, rzucił okiem młody Montecute, i wyczytał następujące wyrazy:

„Dom Gange i Hambdon zwyciężył i zyskał. My jesteśmy ze szczętem zgubieni; bankructwo zupełne, zwłaszcza ty pani, coś jeszcze wczoraj tyle tych papierów zakupiła.”

— Byćże to może!—zawołał Tankred, i zostawiwszy lady Bertie-Bellair staraniom służących, zbiegł jak szalony ze wschodów i wsiadając do pierwszego, jaki napotkał, pojazdu, kazał się zawieźć do Sequin-Court.

Wysiadłszy, posłał swój bilet panu de Sidonia i natychmiast został przyjęty. We drzwiach spotkał znowu wąsatego barona.

— Co ci jest? co ci się stało?—spytał z podziwieniem Sidonia, patrząc na rozplamioną twarz Tankreda.

— Na miłość Bożką zaklinam pana—przerwał Tankred—choć ci się to może wyda śmieszném i nieprzyzwoitém, powiedz mi, kto jest ten człowiek, co wyszedł ztąd w tój chwili.

— Jestto Francuz, kapitalista —odrzekł z uśmiechem Sidonia, baron Villebecque de Chateau-Neuf. Potrzebuje mojej pomocy w celu skończenia wielkiej kolei strasburgskiej, ale to pana nie może obchodzić. Powiedz mi więc szczerze, dlaczego pytałeś się o niego. Znam go oddawna, był kiedyś intendentem u lorda Monmouth, lecz teraz dorobił się znacznego majątku. Lubię go dosyć, był on kiedyś bardzo dobrym aktorem komicznym; dziś jest baronem i deputowanym.

— Jest w wielkiej przyjaźni z lady Bertie-Bellair —dodał Tankred z niejakiém wahaniem.

— Naturalnie.

— I ona także—ciągnął dalej lord Montecute z bijącym sercem, lecz starając się ukryć swoje wzruszenie—zajmuje się bardzo kolejami.

— Jestto najzjadlejsza spekulantka w całej Europie. Villebecque jest z nią w ścisłych stosunkach. Lady Bertie-Bellair była w wielkich kłopotach finansowych w Paryżu, dlatego nawet tak późno tu przyjechała, a pan baron dużo jej pomógł. Tego właśnie dnia, w którym miałem przyjemność poznać pana, była tu u mnie z baronem Villebecque, lecz nie mogłem jej przyjąć. Ciągłe mnie przesładuje swemi listami, lecz nienawidzę kobiet spekulantek. Może ją i teraz Villebecque poratuje, bo o ile wiem, jest w bardzo złych interesach.

Nastąpiła chwila milczenia, po której Tankred prosił p. Sidonia, aby wedle przyobiecania wygotował listy rekomendacyjne.

— Pamiętam otém dobrze.—To mówiąc, wziął pióro i napisał:

„Do Alonza Lary przeora hiszpańskiego w klasztorze Terra Santa.”

Przewielebny ojcze!

„Młodzieniec, który ci list ten wręczy, chce zgłębić wielką Azyj tajemnicę. Bądź mu przewodnikiem, jak niegdyś byłeś nim i dla mnie, i niech cię Bóg Synai, w którego wszyscy wierzymy, zachowuje i błogosławi.”

Sidonia.

— Pan czytasz zapewne po hiszpańsku—zapytał Tankreda oddając mu pismo.—Drugi list napiszę po hebrajsku: jestto język, którego będąc raz na Wschodzie, koniecznie powinienes się nauczyć.

„Do Adama Besso
w Jeruzalem.“

„Kochany Adamie!—Jeżeli młodzieniec oddający ci list niniejszy, będzie tego żądał, daj mu tyle złota, ile zaważy złoty lew po prawej stronie tronu króla Salomona; jeżeli więcej zażąda, daj mu tyle, ile zaważy lew po lewej stronie, i tak dalej przez wszystkie stopnie tronu królewskiego. Za wszystko odpowiedzialnym będzie syn Izraela, znany pomiędzy wiernymi.”

Sidonia.

(Dalszy ciąg nastąpi).



D O

WŁADYSŁAWA SYROKOMLI.

Słabszy od ciebie, lecz chętny do pracy,
Żądałem pojąć wzniośle starca dumy;
A gdy mię mają osądzić rodacy,
I ich silniejsze od mego rozumy:
Twoje mię zdanie najbardziej obchodzi,
Bo się przejąłeś poety natchnieniem,
Bo nasz Sarbiewski w tobie się odrodzi,
Tobą związany z nowém pokoleniem.

Wpajaj w nas bracie Sarbiewskiego myśli,
Zagrzewaj serca, jego świętém czuciem;
Niech jego cnota nam się w duszy wkręśli,
Niechaj zapłacze nad naszém zepsuciem.
Może niejeden, co z postępu słynie,
Co rusza naprzód przepomniawszy dzieje,
Myślą odkrytą w zagastój łacinie,
Chmury przeszłości zprzed oczu rozwieje;
Może niejeden, co w nas tylko wierzy,
A rzuca kamień na ojców mogiły,
Pojmie swe błędy—w piersi się uderzy,
I powie: lepsze niegdyś serca biły!

Tyś Sarbiewskiemu, jak malarz przyrodzie,
Swém czuciem nowe umiał nadać blaski;
Tyś w swego serca dziewiczej pogodzie,
Zdołał rozjaśnić przyćmione obrazki.
Ja, com go tylko starał się skopiować,
Tak, jeszcze nawet zbyt słaby kopiista,
Tobiebym pragnął przekład ofiarować,
Jako artyście—rzemieślnik-artysta.

TEŚKNOTA DO NIEBIESKIĘJ OJCZYZNY.

ODA XIX, KSIĘGA I SZA.

(Tłumaczenie z Sarbiewskiego).

Pałam méj ojczyzny żądzą, ogniem czystym,
Wzniosłym, ku tym gmachom powietrznym, gwiazdzistym,

Gdzie księżyc jasne promienie rozsnute,
Gdzie światła do złotych podwoi przykute,
Gdzie nocne pochodnie przysięgły krążenie,
Gdzie mnie wabi słodkie ojczyzny wejście.
O zwiastuny ogniów nieziemskiej dziedziny!
Czemu na mieszkańca gwiazdzistej krainy,
Czemu na mnie długo gdzieś z wyniosłej góry,
Na wygnança nieba patrzycie z zachmury?
Tu mi dzieci domów niebieskich, ognistych,
Grób usypcie biały z lilij śnieżystych!
Tu mię z méj śmiertelnej wyzujcie powłoki!
Otrząśnijcie prochy, złóżcie ciężkie zwłoki,
A duch nieśmiertelny. co mi pozostaje,
W nadpowietrzne, lepsze uniesie się kraje.

Jerzy Laskarys.



ROZBIÓR HISTORYCZNY I KRYTYCZNY

ŻYCIA I PRAC NAUKOWYCH WILIAMA HERSCHLA,

przez **Fr. Arago.**

TRANSLACZYŁ

Jan Baranowski.

Wiliam Herschel, jeden z najslawniejszych astronomów, urodził się w Hanowerze d. 15 listopada 1738 roku. Imię Herschla jest zanadto głośnym, abyśmy nie mieli śledzić, postępując wstecz za wątkiem czasu, jakie stanowisko w społeczeństwie zajmowała familia, nosząca jego nazwisko. Sprawiedliwa ciekawość, jaką świat uczony okazał w tym względzie, nie mogła zupełnie być zaspokojoną. Wiadomo tylko, że Abraham Herschel, pradziad astronoma, bawił w Mahren, z kąd potém zmuszony był oddalić się, z powodu zbytniego sprzyjania wyznaniu protestanckiemu; że jego synowie Abraham i Izaak, byli dzierżawcami w okolicach Lipska, i że syn starszy Izaaka, Jakób Herschel, sprzeciwiając się woli swego ojca, który go chciał widzieć oddanym gospodarstwu, chwycił się zawodu muzycznego, i przeniósł się na mieszkanie do Hanoweru.

Jakób Herschel, ojciec astronoma Wiliama, był wybornym artystą muzycznym; odznaczały go również przymioty serca i umysłu. Zbyt ograniczony majątek, nie dozwolił mu dać przyzwoitego wychowania familii, złożonej z sześciu synów i czterech córek. Jednak przez gorliwą pracę i starania tego dokazał, że wszystkie

dzieci były wybornemi muzykami. Najstarszy syn, Jakób, nabył w muzyce rzadkiej biegłości, która mu zjednała miejsce naczelnika muzyki w pułku hanowerskim, z którym się potem udał do Anglii. Trzeci syn, Wiliam, pozostał w domu rodziców; ten nie zaniedbując sztuk pięknych, z wielką pilnością brał lekcyje języka francuzkiego, oddawał się przytém metafizyce, której szczególne zamiłowanie do ostatnich chwil życia zachował.

W roku 1759 Wiliam Herschel mając lat 21, udał się do Anglii, nie w towarzystwie ojca, jak to dotąd mylnie ogłoszono, ale razem z bratem swoim Jakóbem, którego stosunki z osobami tego kraju, zdawały się ułatwiać pierwsze wystąpienie Wiliama. Wszelako ani Londyn, ani hrabstwa prowincyi, nie nastroczały żadnych dla niego korzyści, i dlatego dwa lub trzy pierwsze lata od czasu wydalenia się z ojczyzny, odznaczone były niedostatkiem najdotkliwszym, który jednak zniósł z wielką stałością i szlachetnością. Szczęśliwy traf postawił nareszcie biednego Hanowerczyka w lepszym położeniu; lord Durham wziął go za instruktora oddziału muzycznego przy pułku angielskim, stojącym garnizonem na granicach Szkocyi. Od tego czasu Herschel muzyk nabył sławy, która się rozchodziła daleko, i w ciągu 1765 roku był mianowany organistą w Halifax (Yorkshire). Płaca przywiązana do tego miejsca, oraz lekcyje prywatne muzyki, dawane w mieście i po wsiach, zjednały młodemu Wiliamowi przyzwoite utrzymanie. Korzystając z tego, zamierzył rozpocząć na nowo, albo raczej ukończyć swoją pierwszą edukacyą. Wtedyto nauczył się po łacinie i po włosku, nie mając innéj pomocy, prócz grammatyki i słownika: wtedy nauczył się nieco czytać i po grecku. Taką pałał chęcią do nauk w czasie swego pobytu w Halifax, iż przy mozolnych pracach filologicznych, zrobił znaczny postęp w pilnym zgłębianiu uczącego, lecz nader ciemnego dzieła R. Smitha, obejmującego teorią matematyczną muzyki. Autor dzieła tego przypuszczał już bezpośrednio, już pośrednio znajomość algebry i geometryi, której Herschel nie miał, a których stał się panem w krótkim przeciągu czasu.

W roku 1766 Herschel otrzymał urząd organisty przy kaplicy ośmiobocznej w Bath. Byłoto miejsce korzystniejsze dla niego niż w Halifax; lecz tu nowe obowiązki spadły na biegłego artystę: dawał on się słyszeć nieustannie w oratoryach, w salonach, na zebraniach u wód, w teatrze i na koncertach publicznych. Wśród najwykwintniejszego towarzystwa *faschinoble* An-

gli, Herschel nie mógł odmówić wstępu wielu uczniom, którzy się chcieli uczyć w jego szkole. Trudno jest pojąć, jak wśród tak wielu zatrudnień, i tylu przeszkód wszelkiego rodzaju, Herschel mógł dalej prowadzić swoje nauki, które już w mieście Halifax wymagały z jego strony silnej woli, stałości, i rzadkiej mocy umysłu. Widzieliśmy, jak przez muzykę Herschel przyszedł do poznania matematyki, i nawzajem matematyka doprowadziła go do optyki, tego pierwszego i obfitego źródła jego wielkiej sławy. Nareszcie wybiła godzina, w której wiadomości teoryczne miały wspierać młodego artystę w pracach stosowanych, nienależących do jego zwykłych zatrudnień, a których świetne powodzenie i nadzwyczajna śmiałość, budzą słuszne podziwienie. Teleskop zwyczajny, to jest teleskop dwie tylko stopy angielskie mający, wpada przypadkiem w ręce Herschla, bawiącego wówczas w Bath. Narzędzie to jakkolwiek niedokładne, pokazuje mu na niebie mnóstwo gwiazd gołym okiem niewidzialnych; pokazuje mu niektóre z gwiazd dawnych w ich prawdziwych wymiarach, i odsłania mu niezwykle postaci, o jakich najbujniejsza wyobraźnia starożytnych nie byłaby się nawet domyślała. Herschel przejął się zapalem: będzie miał wkrótce podobne narzędzie, lecz w większych wymiarach. Na odpowiedź z Londynu kilka dni oczekiwał, a te kilka dni zdawały się dla niego wiekami. Za nadejściem odpowiedzi, cena, jakiej optyk żądał, pokazała się przechodzącą możność prostego organisty. Dla każdego innego odpowiedź podobna byłaby uderzeniem piorunu. Przeciwnie w Herschlu, trudność ta niespodziewana budzi nowy zapal; nie mogąc nabyć teleskopu, sam go własnymi rękami zbuduje. Muzyk z kaplicy ośmiokątnej, rzuca się natychmiast na tysiączne próby robienia połączeń metalicznych, któreby odbijały światło z największą siłą; szuka sposobów nadania zwierciadłom kształtu parabolicznego, dochodzi przyczyn, które w czasie gładzenia zmieniają foremność powierzchni zwierciadła. Tak nadzwyczajna wytrwałość odnosi nareszcie nagrodę. W roku 1774, Herschel doznał szczęścia, iż mógł badać niebo teleskopem Newtonskim, pięć stóp angielskich długim, zbudowanym własną ręką. To powodzenie zachęca go do czynienia prób jeszcze trudniejszych. Teleskopy na 7, na 8 i na 10, a nawet i na 20 stóp długie, wieńczą jego gorliwe usiłowania. Jakby dla odpowiedzenia najprzód tym, którzyby chcieli uważać jako przedmiot zbytku i nieużyteczną okazałość, wielkie wymiary nowych narzędzi i ostrożności w ich wykonywaniu: przy-

roda obdarzyła muzyka astronoma dnia 13 marca 1781 r. szczęściem niesłychaném, rozpoczęcia zawodu obserwacyi przez odkrycie nowéj planety (Urań), położonéj wówczas na granicy naszego układu słonecznego. Od téj chwili sława Herschla nie już jako muzyka, ale jako mechanika teleskopów i astronoma, rozeszła się po całym świecie. Król Jerzy III wielki miłośnik nauk, chętnie lubił wspierać i opiekować się Hanowerczykami i tém wszystkiém, co pochodzi z Hanoweru; kazawszy sobie przedstawić Herschla, był bardzo zachwycony wykładem prostym, jasnym, skromnym, w którym skreślił liczne swoje próby. Król przewidział naprzód, jak wiele obserwator tak gorliwy, mógłby przydać chwały jego panowaniu; zapewnił mu pensją dożywotnią 300 gwineów, oraz mieszkanie blisko zamku Windsor, najprzód w Claj-Hall, a potem w Slough. Przeczucie Jerzego III zupełnie się ziściło. Można śmiało powiedzieć o ogrodzie i małym domku w Slough, że to było miejsce, w którym najwięcej w świecie wykonano odkryć. Nazwisko téj wioski nigdy nie zaginie: nauka przekaze je z poszanowaniem naszym najpóźniejszym wnukom.

Korzystam ze sposobności dla sprostowania błędu, którego niewiedomość i lenistwo chcą użyć jako broni zwyciężkiej, albo przynajmniej obracają ją na swą korzyść, jako usprawiedliwienie niezbite. Powtarzają zbyt często, że w chwili w której wszedł w swój świetny zawód astronoma, Herschel nie znał wcale nauk matematycznych. Powiedziałem, że gdy zostawał w Bath organistą kaplicy ośmiokątnej, obznajmił się z zasadami geometryi i algebry. Lecz oto jest dowód pewniejszy: trudne zadanie o *wibracyi* strun obciążonych małemi ciężarkami, podane było na nagrodę w roku 1779; Herschel zadanie to rozwiązał i rozprawa jego umieszczoną była w wielu pismach naukowych z r. 1780.

Anegdotyczne życie Herschla teraz się już skończyło. Wielki astronom nie opuszcza już więcej swego obserwatoryum, tylko wtenczas, gdy ma przedstawić towarzystwu królewskiemu w Londynie, najważniejsze wypadki swoich pracowitych dochodzeń. Wypadki te zawarte są w *sześdziesięciu dziewięciu* rozprawach, sławnego zbioru pamiętników, znanych pod napisem: *Philosophical-Transactions*. Rozbiór chronologiczny i szczegółowy tyłu prac, wymagałby licznych przytaczań. Porządek systematyczny będzie odpowiedniejszy; wskaże on dobitniej świetne stanowisko, jakie Herschel ciągle zajmuje wśród małej liczby gieniuszów współczesnych, imię jego brzmieć będzie w najpóźniejszej potomności.

Nadto na końcu niniejszego pisma, czytelnik znajdzie wyliczenie sześćdziesięciu rozpraw sławnego astronoma, z dokładnem podaniem czasu ich ogłoszeń. Obraz ten, w którym rozmaitość i ważność przedmiotów walczy z ich rozległością, wzbudzi podziw w tych nawet, dla których pierwsze nasze badanie zdawaćby się mogło dostatecznym. Z wielkimi ludźmi dzieje się podobnie, jak z pomnikami sztuki, które wtedy dopiero poznajemy, gdy je rozberzemy dokładnie i pod różnemi względami.

Zrobimy tu jeszcze jedną ogólną uwagę. Rozprawy Herschla są po większej części samemi tylko wyciągami z *niewyczerpanych dzienników spostrzeżeń w Slough*, z przydanemi niektórymi uwagami. Taki rozkład nie odpowiada wcale opisowi historycznemu. Pod tym względem, autor prawie wszystko zostawił do wykonania swoim biografom. Będę się starał zapelnąć przerwy i przyznać poprzednikom wielkiego astronoma część, jaka się im sprawiedliwie należy co do odkryć, któremi publiczność, mówiąc prawdę, niesłusznie zwykła obdarzać wyłącznie tylko Herschla.

Poprzednio miałem myśl, aby rozbierać *każdą* rozprawę sławnego astronoma, dołączyć objaśnienie, zawierające szczegółowy wykaz udoskonalen lub sprostowań, jakie ciągły postęp téj umiejętności za sobą pociągnął. Ażeby jednak rozprawa ta nie była zbyt rozwlekłą, musiałem zaniechać pierwotnego zamiaru. Życie Herschla miało ten rzadki przywilej, iż stanowiło epokę w rozległej gałęzi astronomii: jestto stan umiejętności w téj ważnej epoce, i to jedno przedsięwzięcie tutaj skreślić.

Udoskonalenie środków odbywania postrzeżeń.

Udoskonalenia, poczynione przez Herschla w budowie i używaniu teleskopów, przyczyniły się aż nadto wiele do odkryć, któremi wielki ten badacz zbożacił astronomią, abyśmy się mieli wahać położyć je na pierwszym miejscu.

Sposób, jakiego Herschel używał przy robieniu zwierciadeł do swych teleskopów.

Nim Herschel wynalazł prosty i pewny sposób nadawania zwierciadłom powierzchni, powstającej z obrotu przecięć ostrokągowych, zmuszony był, podobnie jak wszyscy przed nim opty-

cy, starać się osiągnąć ten cel licznymi próbami. Próby jego prowadzone były tak umiejętnie, iż nie mógł w swoich doświadczeniach zrobić wstecznego kroku. W jego rozkładzie pracy, *coraz lepiej*, jak mówi dawne przysłowie, nie było nigdy nieprzyjawnym dobremu. Herschel przedsięwziawszy budowę teleskopu, odlewał i wyrabiał na raz wiele zwierciadeł, dziesięć naprzykład. To z pomiędzy zwierciadeł, któremu postrzeżenia niebieskie naznaczały pierwsze miejsce, odłożył na bok, i na nowo pracował nad dziewięciu innemi. Jeżeli znowu które z tych pokazało się przypadkiem lepsze od odłożonego, takowe zajęło jego miejsce, aż póki inne nie przewyższyło go, i tak następnie. Ażeby dać wyobrażenie, na jak rozległą skalę odbywały się jego doświadczenia, wtenczas nawet, gdy Herschel w mieście Bath był tylko prostym lubownikiem astronomii, wspomnimy, iż tam wykonał 200 zwierciadeł podług układu Newtona o 7 stopach odległości ogniskowej, a 150 zwierciadeł o 10 stopach, i blisko 80 zwierciadeł o 20 stopach odległości ogniskowej (1).

Zdaje się, że w czasie pobytu swego w Slough, Herschel po tysiącznych próbach przyszedł do wprowadzenia sposobów prostych, niemylnych i w miejsce działań prawidlowych, o których później mówić będę. Sposoby te nie są jeszcze znane publiczności. Ich jednak pewność nie może być wątpliwą, wnosząc z tego, co mi Jan Herschel (syn) pod d. 5 lipca 1839 doniósł:

„Postępując ściśle podług prawideł, przez ojca mego wskazanych, używając jego narzędzi, potrafiłem w jednym dniu wygładzić z pomysłnym skutkiem, nikogo nie *używając do pomocy*, trzy zwierciadła Newtonskiego układu, blisko 19 cali angielskich otworu mające“.

Teleskop 39 stóp angielskich długości, a 4 stopy i 10 cali średnicy mający.

Korzyści, jakie Herschel osiągnął w latach 1783, 1784 i 1785 używając teleskopów 20stopowych o znacznej średnicy, zachę-

(1) Czytam następujący ustęp w rozprawie Lalanda, drukowanej 1783 roku, i stanowiącej część przedmowy tomu XIII *Ephemerides des mouvements célestes*: „Ile razy Herschel rozpoczął gładzenie zwierciadła teleskopu, poświęcał na to 10, 12 i 14 godzin ciągłej pracy. Nie opuszczał ani na chwilę roboty, nawet dla brania pokarmów, i wtedy odbierał takowe z ręki swjej siostry; bez nich nie możnaby znieść tak długiego utrudzenia. Za nic w świecie Herschel nie porzuciłby swego dzieła, gdyż podług niego byłoby to jedno, co je popsuć“.

cily go do budowania jeszcze większych. Wykonanie znacznych wymagało nakładów, i te król Jerzy III wziął na siebie. Dzieło rozpoczęte przy końcu 1785 roku, ukończone zostało w sierpniu 1789 r. Wszelako opis teleskopu dopiero w r. 1795 został ogłoszonym. Narzędzie miało rurę walcową żelazną, 39 stóp i 4 stopy angielskie długą (12 metrów), a 4 stopy i 10 cali w średnicy (1,47 metra). Wymiary te są ogromne, w porównaniu z wymiarami teleskopów dotąd znanych.

Teleskop front-view do patrzenia z przodu.

Teleskop Herschla 39 stóp angielskich długi, urzeczywistnił pomysł, którego korzyści byłyby mało znaczące, gdybym tu nie przytoczył kilku faktów. W każdej lunecie albo teleskopie dwie są główne części: to jest część, która tworzy obrazy napowietrzne przedmiotów odległych, i małe szkiełko, za pomocą którego powiększają się też obrazy; tak samo, jakby one były ciałami świecącymi. Gdy obraz utworzy się za pomocą *szkła soczewkowego*, miejsce które zajmuje jest na *przedłużeniu* linii, idącej od przedmiotu do środka soczewki. Astronom uzbrojony małą soczewką, chcący widzieć ten obraz, musi koniecznie stanąć *dalej* za punktem, w którym promienie tworzące obraz krzyżują się za nim i pozwalają wyraźnie go widzieć: to jest musi umieścić się odległej od soczewki przedmiotowej. Głowa i ciało obserwującego nie mogą przeszkadzać do tworzenia się wyraźnego obrazu, jakkolwiek mała byłaby odległość z jakiej mamy przedmiot uważać. Nie tak się dzieje z obrazem utworzonym za pomocą odbicia. Obraz znajduje się wtedy między przedmiotem i zwierciadłem odbijającym, a astronom gdy się zbliża do teleskopu dla postrzegania, zasłania niezawodnie jeżeli nie wszystkie, to przynajmniej znaczną część promieni światła, które bez téj przeszkody byłyby się przyczyniły do nadania obrazowi większej jasności. Pojmujemy teraz, dlaczego w narzędziach optycznych, w których obrazy przedmiotów odległych tworzą się przez odbite promienie, artysta był zmuszonym przenieść te obrazy za pomocą *drugiego odbicia* zewnątrz rury, obejmującej i utrzymującej główne zwierciadło. Gdy małe zwierciadło, od którego powierzchni odbija się powtórnie obraz, jest płaskim i nachylnym pod kątem 45 stopni do osi teleskopu; nadto, gdy odbicie obrazu jest *boczne* ku otworowi, umieszczonemu przy końcu rury i mającemu

szkiełko oczne: gdy jedném słowem astronom patrzy w kierunku prostopadłym do linii, którą przebiegają promienie światła, idące od przedmiotu i padające na środek wielkiego zwierciadła: teleskop wtedy nazywa się *Newtonskim*. W teleskopie *Gregorego* obraz utworzony przez główne zwierciadło, pada na drugie zwierciadelko bardzo małe, nieznacznej wklęsłości, równoległe od pierwszego. Małe zwierciadelko odbija znowu pierwszy obraz poza wielkie zwierciadło, przez otwór zrobiony w środku zwierciadła głównego.

Tak w jednym, jako i drugim z tych teleskopów, małe zwierciadło ustawione między przedmiotem i wielkiem zwierciadłem, jest dla niego rodzajem zasłony, która przeszkadza całej powierzchni tworzyć dokładnie obraz. Małe zwierciadło pod względem jasności obrazu, odgrywa jeszcze inną rolę, bardzo niekorzystną.

Przypuśćmy dla łatwiejszego pojęcia, że masa z której dwa zwierciadła są ulane, połowę tylko odbija promieni padających na ich powierzchnią. W czasie pierwszego odbicia, niezmierną ilość promieni światła padającego przez otwór teleskopu, uważać można jako sprowadzoną do połowy tychże promieni; przy odbiciu od małego zwierciadła, zmniejszenie światła nie jest mniejsze od poprzedzającego; następnie, gdy połowa zmniejszona będzie jeszcze o połowę, pozostanie tylko *czwarta* część promieni światła. Narzędzie zatem przesyłać będzie do oka dostrzegacza tylko *czwartą* część wszystkich padających promieni na powierzchnią zwierciadła teleskopu. Luneta niemająca *dwóch* tych niedogodności zmniejszających światło, tworzy przy równych wymiarach średnicy, cztery razy jaśniejsze obrazy, niż teleskop Newtona lub Gregorego.

W wielkim swoim teleskopie, Herschel usunął małe zwierciadło; środek wielkiego zwierciadła nie odpowiada środkowi rury, która go obejmuje; lecz zwierciadło osadzone jest w niej nieco pochyło. Małe to nachylenie sprawia, że obrazy nie tworzą się już na osi walca, lecz *bardzo blisko* jego obwodu, albo raczej przy jego otworze zewnętrznym. Dostrzegacz zatem może ztamtąd patrzeć wprost za pomocą szkła ocznego. Mała część miejsca zajętego przez głowę astronoma, zasłania wprawdzie otwór walca, i tworzy zasłonę wstrzymującą niektóre promienie; lecz przy wielkim teleskopie, strata promieni nie dochodzi nawet połowy, co by rzeczywiście miało miejsce przy użyciu małego zwierciadła.

Takie teleskopy, przy których dostrzegacz umieszczony u górnego końca otworu, patrzy wprost na zwierciadło, obrócony tyłem do przedmiotów, Herschel nazywa teleskopami *front-view* (z patrzeniem na prost albo z przodu). W tomie 76 *Tranzakcyj filozoficznych* mówi, że pierwszy pomysł takiego układu przyszedł mu do głowy w roku 1776, i że go przystosował wówczas bez pomyslnego skutku do teleskopu 10cio stopowego; że w ciągu roku 1784 robił próbę również bezskuteczną na teleskopie 20sto stopowym. Wyczytuje jednak, że d. 7 września 1784 roku teleskop do patrzenia z przodu, *front-view*, służył mu do postrzeżeń obłoczków i zbiorów gwiazdowych. Cokolwiekby, wnosząc z tych różnych dat, musimy przyznać: że teleskop do widzenia z przodu, *front-view*, był już opisanym w roku 1732 w tomie VI zbioru pod napisem: *Machines et inventions approuvées par l'Académie des Sciences*. Autorem tego nowego pomysłu jest Jakób Le Maire, którego mylnie wzięto za jezuitę angielskiego Krzysztofa Maire, współpracownika Boscowicha, przy mierzeniu południka między Rzymem i Rimini. Jakób Le Maire mając na względzie tylko teleskopy średnich wymiarów, a nie chcąc tracić wiele światła, zmuszony był nadać nachylenie wielkiemu zwierciadłu w ten sposób, ażeby obraz utworzony przez jego powierzchnię, padał ze wnętrza rury narzędzia. Zanadto wielkie nachylenie zwierciadła byłoby zapewne zmieniło postać przedmiotów: dlatego budowa do patrzenia z przodu, a *front-view*, może tylko służyć dla wielkich teleskopów.

Teleskopy o zwierciadłach szklanych, służące do pewnych dostrzeżeń.

Znajduję w zbiorze *Transactions* z roku 1803, że Herschel używał niekiedy do postrzeżeń słońca, teleskopów, w których wielkie zwierciadło było szklane. Tego rodzaju teleskopu używał do uważania przejścia planety Merkurego przez słońce d. 9 listopada 1802 roku. Teleskop miał 7 stóp angielskich długości, a 6 i $\frac{3}{10}$ cali średnicy.

Podstawy czyli podpory teleskopów Herschla.

Praktyczni astronomowie wiedzą, jak wiele podstawy lunet i teleskopów przyczyniają się do dokładności postrzeżeń. Tru-

dność ustawienia stałej, a jednak ruchomój podstawy, zwiększa się w miarę wielkości i ciężaru narzędzia. Można sobie wyobrazić, jak wielkie przeszkody do pokonania miał Herschel, chcąc ustawić stosownie teleskop, którego samo zwierciadło ważyło przeszło 20 centnarów. Rozwiązał on to zadanie z zupełnym powodzeniem, za pomocą pewnego układu masztów, krążków, sznurów, których bez pomocy rysunków niepodobna jest dać tu wyobrażenie. Ograniczymy się tylko na wspomnieniu, że wielki przyrząd i podstawa całkiem innego rodzaju, jaką Herschel wymyślił do teleskopów mniejszych wymiarów, kładą tego sławnego obserwatora w rzędzie najbieglejszych mechaników naszego wieku.

*Wielki teleskop 39stopowy, nie był bez użytku dla nauki.
Dlaczego Herschel nie używał go częściej?*

Ludzie światli, a nawet i większa liczba astronomów, nie wiedzą, jak wielką rolę odgrywał teleskop 39stopowy w badaniach i odkryciach Herschla. Mniejszy błąd popełniłby ten, kto by sobie wystawiał, że dostrzegacz w Slough używał ciągle tego teleskopu, aniżeli utrzymując z *Zachem* (*Monatliche Correspondenz*, ze stycznia roku 1802), że to kolosalne narzędzie nie było wcale pożytecznym dla nauki, że nie posłużyło nawet do jednego odkrycia, i że je uważać należy bardziej jako przedmiot ciekawości. Twierdzenia te zostały zupełnie zbitemi własnymi słowami Herschla w *Tranzakcyach filozoficznych*, w tomie z r. 1795 (na stron. 350), gdzie czytamy naprzykład: „Dnia 28 sierpnia 1789 r. zwróciwszy mój teleskop 39stopowy na niebo, odkryłem 6ty księżyc Saturna i dostrzegłem plamy na téj planecie wyraźniej, niż dotąd.” (Zobacz także co do szóstego księżyca *Tranzakcyje* z r. 1790, str. 10). W tymże samym tomie z r. 1790 na str. 11 znajdujemy: „Wielkie światło mego teleskopu 39 stopowego, było tak użytecznym, iż w d. 17 września 1789 r. dostrzegłem siódmy księżyc Saturna, znajdujący się wówczas w swém największym odsunięciu zachodniem.”

Dnia 10 października 1791 r. Herschel widział pierścień Saturna i jego czwarty księżyc, patrząc tylko gołym okiem w zwierciadło swego 39stopowego teleskopu, bez żadnego szkła ocznego. Wskażmy prawdziwe powody, które odwiodły Herschla od czę-

stego używania ogromnego teleskopu 39stopowego. Pomimo dokładności budowy, władanie narzędziem wymagało ciągłej pomocy przynajmniej dwóch osób, i oprócz tego trzeci, któraby zapisywała czas na zegarze astronomicznym. Podczas nocy, przy znacznej zmianie temperatury, teleskop z przyczyny wielkiej swojej masy, później układał się do równowagi z temperaturą zewnętrzną przy zaszłej zmianie w atmosferze, co wiele przeszkadzało do czystości obrazów.

Herschel doszedł, iż w Anglii nie masz w roku więcej nad 100 godzin, w którychby można pożytecznie zgłębiać niebo teleskopem 39stopowym, opatrzonym szkłem ocznym 1000 razy powiększającym. Uwaga ta doprowadziła sławnego astronoma do wniosku, że dla zrobienia przeglądu całego nieba jego teleskopem, w ten sposób, żeby otwór jego był zwracany tylko przez chwilę na każdy punkt nieba, potrzebaby czasu przynajmniej 800 lat.

Herschel tłumaczy w sposób bardzo prosty rzadkie okoliczności, w których można korzystnie używać teleskopu 39stopowego z *bardzo wielkim* otworem.

Teleskop nie tylko powiększa przedmioty rzeczywiste, ale powiększa także i nierówności ich pozorne, pochodzące z złamania się promieni w atmosferze ziemskiej. Jakoż przy okolicznościach równych, zmiany ze złamania się promieni pochodzące, są tém większe i tém częstsze, im warstwa powietrza, przez którą promienie przechodzą, jest grubsza (1).

(1) Dzienniki angielskie opisały, jak familia Wiliama Herschla postąpiła, ażeby zachować w całości szczytki teleskopu 39stopowego.

Walec czyli rura metalowa teleskopu, mająca w dolnym końcu zwierciadło średnicy 4 stopy i 10 cali. świeżo odczyszczona, poziomo była ustawiona, w kierunku linii południowej, na mocnych słupach murowanych, w środku koła żelaznego, gdzie niegdyś znajdował się mechanizm, służący do poruszania teleskopu. Dnia 1 stycznia 1840 r. Jan Herschel, jego żona, siedmioro dzieci, i kilku z dawnych służących zebrali się w Slough. W samo południe całe zgromadzenie obeszło kilka razy naokoło pomnika; potem wszyscy weszli do walca, zasiedli do przygotowanej naprzód uczyty i zaśpiewali *requiem* wierszem angielskim, ułożonym do téj okoliczności przez Jana Herschla. (Wiersz ten przełożony na język polski przez p. Wikt. Zielińskiego, umieszczony jest w Bibliotece Warsz. z r. 1841. tom III, str. 231). Po wyjściu z walca, towarzystwo stanęło wieńcem około niego; potem otwór został szczelnie zamkniętym. Dzień ten zakończył się uroczystością familijną. Niejeden może, nawykły wszystko oceniać z właściwego stanowiska, w którym go okoliczności postawiły, znajdzie coś nadzwyczajnego w szczegółach obrzędu, o którym wspominałem. Rozumiem wszakże, iż każdy pochwali uczucie religijne, którym się powodował w téj mierze Jan Herschel. Wszyscy przyjaciele nauk wdzięczni mu są za uświęcenie skromnego ogrodu, w którym jego ojciec wykonał tyle wiekopomych odkryć, pomnikiem więcéj znaczącym swoją prostotą, aniżeli piramidy i posągi.

Porównanie powiększeń dawnych lunet i teleskopów Herschla.

Lunety zbudowane przez Galileusza, to jest te, które mu posłużyły do odkrycia księżyców Jowiszowych, odmian światła Wenus, i plam słonecznych, powiększały kolejno *cztery, siedm, i trzydzieści dwa razy*, wymiary linijne ciał niebieskich. Granicy tego ostatniego powiększenia, sławny astronom florencki nigdy nie przeszedł. Sięgając najdalej jak tylko mogłem do źródeł, w których spodziewałem się znaleźć dokładne wiadomości o narzędziach, jakimi Huygens i T. D. Cassini wykonali piękne swoje postrzeżenia, uważam, że lunety 12 i 23 stóp długie (4 metry i 7,5 metrów), a $2\frac{1}{3}$ cale średnicy (63 millimetrów) mające, które doprowadziły Huygensa do odkrycia pierwszego księżyca Saturna, i oznaczenia prawdziwej postaci jego pierścienia, powiększały 48, 50, 92 razy. Niema tedy dowodu, ażeby ci sławni obserwatorowie kiedykolwiek używali przy swoich ogromnych lunetach powiększeń linijskich, większych nad 150 razy.

Auzout, który jako astronom i artysta znał stan optyki praktycznej w owym czasie (1664 r.), przytacza najlepsze lunety sławnego Campaniego, to jest lunety mające 17 stóp długości, (5,5 metrów), które powiększały na niebie 150 razy. Przytacza on nadto: lunetę 35 stóp (11,5 metrów) długą, pochodzącą z zakładu Rivesa, przesłaną w darze przez króla angielskiego księciu orleańskiemu, a której siła powiększająca dochodziła 100 razy; lunetę Hookego 12 stóp (4 metry) długą, której powiększenie nie przechodziło 74 razy; lunetę tegoż (Auzout) 31 stóp (10 metrów) długą, uzbrojoną powiększeniem 140 razy; nareszcie lunetę wykonaną także przez Auzouta, a która przy ogromnej swjej długości 300 stóp (97,5 metrów), powiększała tylko 600 razy. Po wynalezieniu szkieł achromatycznych, usuwających kolory tęczowe, liczby te powiększeń przy równej długości lunet, zostały znacznie dalej posunięte. Mimo to, astronomowie byli nadzwyczaj zdziwieni, gdy w r. 1782 dowiedzieli się, że Herschel przystosował do *teleskopu zwierciadlanego odbijającego*, 7 stóp angielskich długiego (2,1 metr.) powiększenie linijskie tysiąc, tysiąc dwieście, dwa tysiące dwieście, dwa tysiące sześćset, a nawet sześć tysięcy razy.

Równie zdziwione tém było i towarzystwo królewskie londyńskie, i Herschel otrzymał urzędowe wezwanie do ogłoszenia

sposobów, jakich używał do oznaczenia w teleskopie podobnej mocy powiększenia. To stanowiło przedmiot rozprawy, umieszczonej w 72 tomie *Tranzakcyj filozoficznych*, która pod tym względem usunęła wszelką wątpliwość. Nikt nie będzie się dziwił, że nie chciano łatwo wierzyć w powiększenia, któreby pokazały góry na księżycu, tak jak gołym okiem pasmo góry Białej (*Mont blanc*) widzimy z Maçon, z Lugdunu, a nawet z Genewy. Nie wiedziano, że Herschel nie używał z pomyślnym skutkiem powiększeń 3 tysiące i 6 tysięcy razy, tylko w postrzeżeniach gwiazd świetnych; nie myślano, że światło odbite od ciał planetarnych jest zbyt słabym, aby mogło znieść też same powiększenia, co i własne światło gwiazd stałych (1).

O mniemanej granicy siły powiększającej teleskopów, której nie przestąpiono przed Herschlem.

Optycy bardziej z powodów teoretycznych, aniżeli z wypadku doświadczeń dokładnych, zaniechali dawania *bardzo silnych* powiększeń, nawet w teleskopach zwierciadlanych. Mniemali oni, że obraz małego kółka nie może być czystym i dobrze zakończonym przy brzegach, jeżeli wiązka promieni równoległych, wychodzących od tego przedmiotu, po przejściu przez szkło oczne narzędzia, nie ma dostatecznej grubości. To przyjąwszy, wypada przypuścić: że obraz przestaje być dostatecznie wyraźnym, gdy nie porusza w siatce ocznej przynajmniej dwóch włókien nerwowych, któremi ten organ, jak mniemano, jest pokryty. Przypuszczenia te dowolnie w ten sposób czynione, znikły przed postrzeżeniami Herschla. Po zabezpieczeniu się przeciw wpływowi *dyfrakcyi*, to jest przeciwko rozczepianiu się, któremu promień światła podlega, gdy przechodzi blisko brzegów końcowych przedmiotów, sławny astronom okazał w roku 1786, że można czysto widzieć przedmiot za pomocą wiązki światła, którejby średnica nie wynosiła nawet dwutysięcznej części cala angielskiego.

Porównanie dobroci różnego rodzaju szkieł ocznych.

Herschel uważał jako przesąd naukowy bardzo szkodliwy, że szkło oczne, złożone z dwóch soczewek, lepszym jest od szkła

(1) Wiele ważnych szczegółów dotyczących się prac i narzędzi W. Herschla, czytać można w piśmie: *Żywot uczony i publiczny Jana Śniadeckiego, przez Michała Balińskiego*. W Warszawie, 1839, str. 121 — 163.

ocznego o jednę soczewce. Doświadczenie wbrew wszystkim rozumowaniom teoretycznym pokazało: że przy równym powiększeniu, obrazy lunet, a przynajmniej teleskopów (gdyż ograniczenie nie jest może bez powodu), miały więcej blasku i czystości przy pojedynczém szkłe oczném, niż z podwójną oczną soczewką. Jednego razu podwójne szkło oczne, nie pokazało mu wcale pasów Saturna; gdy tymczasem za pomocą jednéj tylko soczewki, widział je dokładnie. Podwójne szkło oczne, mówi Herschel, potrzeba zostawić dla miłośników nauki, i dla tych, którzy do pewnego wyłącznego przedmiotu potrzebują obszernego pola widzenia (*Philos. Transactions*, 1782 str. 94, 95).

Nie dla saméj zalety szkieł ocznych pojedynczych lub złożonych, Herschel odstępuje od zdania powszechnie przyjętego przez optyków; mniema on nadto, iż okazał doświadczeniami stanowczemi, że jedno szkło *oczne wklęsłe* (jakiego Galileusz używał) przewyższa nierównie soczewkę wypukłą, tak pod względem jasności, jako téż i czystości obrazów.

Herschel podaje rok 1776 za epokę doświadczeń, wykonanych w celu rozwiązania tego pytania (*Phil. Trans.* na rok 1815, str. 297). Soczewki *plasko-wklęsłe* albo *podwójno-wklęsłe*, dają też same wypadki. W czémże więc te soczewki różnią się od soczewek podwójnie wypukłych? Oto w jednym tylko względzie, a ten jest: że te ostatnie odbierają promienie odbite od wielkiego zwierciadła po ich zebraniu się w ognisku, gdy przeciwnie soczewki wklęsłe, zbierają też same promienie przed ich skrzyżowaniem się. Gdy postrzegacz używa soczewki wypukłej, promienie idące do oka dla utworzenia obrazu gwiazdy, już się wprzódy skrzyżowały w powietrzu; żadne przecięcie się tego rodzaju nie ma miejsca, gdy dostrzegacz używa soczewki wklęsłej. Przyjmując, że dowiedziona jest podwójna korzyść tego ostatniego rodzaju soczewek, bylibyśmy zmuszeni wraz z Herschlem przyjąć oraz: „że pewny skutek mechaniczny szkodzący jasnemu i wyraźnemu tworzeniu się obrazów, towarzyszy skrzyżowaniu się ogniskowemu promieni światła (1)”. Pomysł ten o wpływie przecinających się promieni, naprowadził genialnego astronoma na doświadczenie, którego wypadki zasługują, aby tu były wspomniane.

(1) Porównywając teleskopy Cassegraina z małym zwierciadłem wypukłym, z teleskopem Gregorego z zwierciadłem wklęsłym, Kater uważa: że pierwsze w których promienie światła nie krzyżują się przed dojściem do małego zwierciadła, mają pod względem natężenia światła korzyści widoczne, nad drugimi, w których skrzyżowanie ma miejsce.

Teleskop 10stopowy naprowadzono na kartę drobném piśmem drukowaną i umieszczoną w stosownej odległości. Soczewkę oczną *wypukłą* ustawiono nie zapomocą zwyczajnej rury ocznej, lecz za pomocą czterech drutów płaskich metalowych niegiętkich, ułożonych pod kątem prostym. To urządzenie zostawiło ognisko wolném prawie na wszystkie strony. Następnie ustawiono zwierciadło wklęsłe w ten sposób: ażeby rzucało z boku obraz *słońca* bardzo silny na to miejsce, gdzie się tworzył obraz teleskopowy liter karty drukowanej. Promienie słoneczne odbite od zwierciadła po skrzyżowaniu się w ognisku, nie napotykały żadnej przeszkody w swoim kierunku, rozchodziły się dalej i nikły w przestrzeni. Zasłona postawiona, dozwalała wstrzymać dowolnie promienie przed zebraniem się w ognisku.

Po zrobieniu tego, gdy Herschel zbliżył się do soczewki ocznej, i zwrócił całą uwagę na obraz karty drukowanej, w teleskopie się malujący, nie dostrzegł przy odsuwaniu i stawianiu zasłony, żadnej zmiany w blasku i czystości liter. Było zatem rzeczą obojętną pod jednym lub drugim względem, czy wielka ilość promieni słonecznych krzyżowała się w samém miejscu obrazu, czy też w *innym kierunku* promienie zbierały się dla tworzenia obrazu liter. Odróżnię tu odmienném piśmem (*kursywą*) wyrażenia, pokazujące dokładnie w czém ciekawe to doświadczenie różni się od pierwszych i nie sprzeciwia się im wcale. Tutaj promienie mające odmienny początek, t. j. *promienie idące od karty i od słońca, przecinają się z sobą oddzielnie w kierunkach prawie prostopadłych do siebie*; gdy zaś porównywano gwiazdy za pomocą szkieł ocznych wypukłych i wklęsłych, promienie, które zdawały się przeskadzać jedne drugim, miały *początek wspólny i przecinały się z sobą pod kątami bardzo ostremi*. Różnica wypadków, jak sądzę, nie przedstawia nic takiego, coby nas mogło zastanawiać.

Ostrożności, jakie koniecznie zachować należy przy uważaniu przedmiotów niewyraźnych i bardzo blisko siebie położonych.

Wiadomo każdemu, iż gdy się przechodzi z światła dziennego do miejsca słabo oświetconego, potrzeba dosyć długiego czasu, aby rozróżnić przedmioty. Oko więcj lub mniej rażone działaniem silnego światła, stopniowo tylko wraca do stanu normalnego; czułość siatki ocznej raz osłabiona, stopniowo tylko przychodzi do właściwej drażliwości.

Skutek ten lubo znany oddawna, żadnego nie miał znaczenia w postrzeżeniach niebieskich przed Herschlem. Baczny astronom postrzegł piérwszy, że słabe światelka dostrzegane w lunetach, dają początek blaskom chwilowym, pod wpływem których światło jeszcze słabsze, staje się zupełnie niewidzialném.

„Kiedy przechodziłem z miejsca oświeconego (1), mówi baczny astronom, upłynęło 20 minut, nim wzrok mój dostatecznie odpoczął, abym mógł odróżnić w teleskopie przedmioty bardzo subtelne. Uważanie przejścia gwiazdy 2iėj albo 3iėj wielkości przez pole teleskopu, przeszkadzało memu oku tak dalece, iż potrzebowalem prawie 20 minut dla przyprowadzenia go do spokojności (*Philos. Transactions*. 1800, str. 54, 55)”. Zjawiska te wydarzyły się przy teleskopie 20 stóp angielskich długim, w którym średnica wiązki promieni równoległych, idących od gwiazdy, nie przechodziła $\frac{12}{100}$ cala angielskiego; wymiar oczywiście mniejszy od tego, jaki ma źrenica podczas nocy. Zmiany w przymrużaniu oka nie sprawiały tu żadnego działania; wszystko pochodziło od utrudzenia wzroku i z odrętwienia cząstkowego i chwilowego siatki ocznej. Długie tylko zostawanie wśród ciemności, było jedynym środkiem zapobieżenia téj wadzie czułości.

Herschel opisuje, iż pewnego razu drażliwość jego oka była tak wielka, że zbliżenie się gwiazdy Syryusza do pola 39stopowego teleskopu, podobném było do słońca, mającego dosięgnąć poziomu przy zmierzchu stopniowo zwiększającym się; a w chwili w której gwiazda w pole teleskopu weszła, zmuszonym był przymrużyć oko tak, jakby tego widok jasnego słońca wymagał.

Jan Herschel mówi w rozprawie z r. 1834, umieszczonej w tomie VIII zbioru pism Towarzystwa londyńskiego: iż dla zobaczenia w wielkich teleskopach księżycy *Ura*na „był zmuszonym trzymać oko przy szkle oczném przez *kwadrans*, i zabezpieczyć się bardzo starannie od najmniejszego wpływu światła zewnętrznego“. Przestroga dla tych, którzy twierdzą, że można ocenić moc lunety jedném przymrużeniem oka, i którzy z tymże pośpiechem wydają zdanie o odkryciach swych poprzedników.

Herschel powiększył liczbę i tak już wielką tajemnic wzroku, gdy wytłumaczył, jakiej drogi trzymać się należy, aby dojść do odróżnienia pojedynczo dwóch obrazów niektórych gwiazd podwój-

(1) To znaczy, jak sędzę, z miejsca oświeconego przez świecę albo przez lampę.

nych, bardzo blizkich siebie. „Jeżeli chcesz, mówił on, przekonać się, czy η Korony jest gwiazdą podwójną, skieruj najprzód twój teleskop na gwiazdę α Bliźniąt, ζ Wodnika, μ Smoka, ρ Herkulesa, α Ryb, ϵ Liry. Uważaj te gwiazdy przez długi czas, ażeby nabyć wprawy w postrzeganiu podobnie słabych przedmiotów. Potém przejdź do ξ wielkiego Niedźwiedzia, gdzie zbliżenie dwóch gwiazd jest większe. W trzecim doświadczeniu weźmiesz gwiazdę i Wolarza, (oznaczoną nr. 44 w katalogu Flamsteedaa, i na kartach Harrisa), gwiazdę, która poprzedza α Oryona w téjże konstellacyi, a wtedy będziesz *przygotowanym* do uważania trudniejszej gwiazdy η Korony. Jakoż η Korony jest niejako miniaturą i Wolarza, a ta znowu jest jakby miniaturą gwiazdy podwójnej α Bliźniąt“ (*Philos. Trans.* 1782, str. 100).

Jakie są najmniejsze przedmioty niebieskie, które największe teleskopy znane, mogą nam pokazać.

Jak tylko Piazzii, Olbers, Harding odkryli trzy planety teleskopowe, Herschel zamierzył wyznaczyć ich wielkość prawdziwą. Lecz ponieważ teleskopy nie były wcale dotąd używane do mierzenia kątów nadzwyczaj małych, potrzeba było koniecznie dla uchronienia się od wszelkiego złudzenia, wykonać kilka doświadczeń wstępnych, mogących wskazać miarę siły optycznej tych narzędzi. Jestto praca niezmordowanego astronoma w Slough, której obecny rozdział zawiera krótki rozbiór. Autor przytacza najprzód, iż w r. 1774 doświadczał oznaczyć praktycznie gołym okiem w odległości widzenia wyraźnego, jaki kąt podierać powinno *kółko*, aby je odróżnić co do kształtu od kwadratu tegoż wymiaru. Z doświadczenia pokazało się; że kąt nie był nigdy mniejszym nad $2' 17''$, a przy największej swój ważności, był blisko czternastą częścią kąta, jaki podiera średnica księżyca.

Herschel nic nie mówi, jakiego rodzaju były *kółka* i kwadraty papierowe, których do doświadczenia użył, i na jakim tle były umieszczone; żałować należy tego opuszczenia, gdyż w zjawiskach tego rodzaju, natężenie światła powinno grać główną rolę. Cóżkolwiekbydź, ścisły dostrzegacz nie chcąc stosować do widzenia teleskopem tego, co znalazł przez widzenie gołym okiem, przedsięwziął usunąć wszelką wątpliwość doświadczeniem bezpośredniem. Herschel patrząc teleskopem 10 stopowym na główki *śpilek*, ustawionych zdaleka w otwartym miejscu, łatwo do-

strzegł, że główki były okrągłe, gdy kąty obejmujące je, wynosiły po ich powiększeniu 2' 19". Jestto prawie tenże sam wypadek, co i gołym okiem otrzymany. Gdy zaś kulki były ciemniejsze, to jest gdy w miejsce główek śpilek użyto małych kulek z laku, kształt kulisty nie był czysto i wyraźnie widzialnym aż wtenczas, gdy kąt obejmujący powiększony, czyli kąt rzeczywisty pomnożony przez liczbę powiększenia, dochodził 5ciu minut.

W ostatnim szeregu doświadczeń, kulki srebrne ustawione w znacznej odległości od dostrzegacza, przedstawiały kształt okrągły nawet wtenczas, gdy kąt obejmujący ich średnicę był mniejszym od 2' minut. Przy tych samych kątach podpierających średnicę, patrzenie teleskopowe z wielkim powiększeniem, okazało się wyższém, od patrzenia gołym okiem. Wypadek ten nie jest maléj wagi.

Jeżeli weźmiemy pod uwagę powiększenia, używane przez Herschla w jego pracowitych badaniach, powiększenia, które często dochodziły do 500 razy, pokaże się dowiedzioném: że teleskopy, jakich tegocześni astronomowie używają, mogą służyć do poznania kształtu ciał okrągłych odległych, to jest kształtu ciał niebieskich, wtedy nawet, gdy średnicę ich nie obejmują w naturze (to jest gołym okiem) kąta większego, nad *trzy dziesiąte* sekundy; albowiem 500 pomnożone przez $\frac{3}{10}$ sekundy, dają rzeczywiście 2' 30".

O sile powiększającej teleskopów, przy uważaniu przedmiotów bardzo odległych i słabo oświetlonych.

Lunety z początku po ich odkryciu, jako narzędzia dobrze niepojęte i uważane tylko za skutek szczęśliwego przypadku, posłużyły jednak do odstonienia ważnych zjawisk astronomicznych. Ich teoria, o ile polega na geometryi i optyce, zrobiła szybkie postępy. Zadanie pod temi dwoma względami mało co dzisiaj zostawia do życzenia. Nie tak się rzecz ma z trzecim względem, dotąd dość zaniedbanym, który się ściąga do fizjologii, to jest sposobu działania światła na system nerwowy. Napróżno szukano po dawnych dziełach optycznych i astronomicznych rozbiórą ścisłego i zupełnego roli porównawczej, jaką wielkość i jasność obrazów, powiększenie i otwór rury teleskopu, mogą odgrywać podczas dnia i nocy w wyraźnym widzeniu gwiazd najslabszych. Tę przerwę Herschel przedsięwziął zapelnąć w 1799 roku; taki bowiem był napis jego rozprawy: *O sile powiększającej teleskopów*

przy zglębianiu przestrzeni. Rozprawa: *On the power of penetrating into space by telescopes* zawiera w sobie wiele wybornych myśli, jednak daleką jest jeszcze od zupełnego wyczerpania przedmiotu. Autor naprzykład nie miał wcale względu na dostrzeżenia w dzień robione. Uważam także, że część przypuszczalna rozbioru nie jest może dość dobitnie oddzieloną, od części zupełnie ścisłej; że liczby dowodzące lub podane w najmniejszych częściach dziesiętnych nie są ściśle, jako granice porównań pewnych wypadków, które są oparte na dostrzeżeniach dokładności matematycznej. Cóżkolwiek może wyniknąć z tych uwag, astronom i fizyk chcący rozbierać na nowo zadanie o wyraźnym widzeniu przez lunety, znajdzie w rozprawie Herschla ważne i trafne postrzeżenia, które im za skazówkę służyć mogą.

Siatka oczna nie ma czułości nieograniczonej. Podobnie jak głos bardzo słaby, nie daje się wyraźnie słyszeć; słabe światełka nie sprawiają w oku żadnego wyraźnego skutku. Tak gwiazda odosobniona, mniejsza od gwiazdy 7 wielkości, nie daje się już widzieć gołym okiem. Mówię gwiazda odosobniona, gdyż zbiór gwiazd 8 i 9 wielkości, a nawet niższego rzędu, może być wyraźnie widzianym.

Po zastanowieniu się nad sposobem, jakim widzenie odbywa się, po przekonaniu się, że każdy punkt przedmiotu tworzy obraz właściwy i oddzielny na siatce ocznej; dziwić się musimy postrzegając, że lubo przedmiot jest widzialnym w swojej całości, jednak jego części nie są widzialne. Na dowód tego faktu Herschel przytacza:

Obłoczek czyli plamkę białawą; którą bystre oko postrzega podczas pogodnej nocy na rękojeści miecza Perseusza (żadna z gwiazd tego obłoczka nie mogłaby być widziana bez pomocy lunety albo teleskopu).

Obłoczek odkryty przez Messiera, położony nieco na północ i na wschód względem gwiazdy H Bliźniąt (gwiazdy tego zbioru słabsze jeszcze od gwiazd obłoczka Perseusza, nie dałyby się z pewnością widzieć okiem gołym uważane oddzielnie, gdy tymczasem ich zbiór jest widzialnym przy zupełnie czystym niebie).

Obłoczek znajdujący się między η i ζ Herkulesa (gwiazdy tworzące ten zbiór są jeszcze drobniejsze, od gwiazd dwóch poprzednich obłoczków).

Nie w samych dostrzeżeniach gołym okiem, ale i w innych, widzialność przedmiotu zależy podług Herschla, od całego światła,

służącego do utworzenia obrazu przedmiotu, a nie od światła każdej jego części. Postrzeżenia, czynione narzędziami optycznymi, przedstawiają podobne zjawiska. Jakoż autor rozprawy przytacza, iż w 1776 roku, przy pierwszych swoich dochodzeniach z teleskopem Newtonskim 20 stopowym, widział dokładnie wieczorem dzwonnice, o której nie sądził, aby ją mógł widzieć *gotém okiem*, chociaż obejmowała kąt optyczny znacznej wielkości (1). W rozprawie, której rozdział niniejszy jest tylko niedokładną treścią, Herschel *zakłada* w ogólności: że wszystkie gwiazdy mają prawie równą wielkość, i że przedziały czyli odległości między niemi, są także sobie równe. Jakoż podług niego, gwiazdy drugiej wiel-

(1) Nie zdaje mi się rzeczą trudną wyjaśnić, jakim sposobem dzieje się: że pewna gwiazda nie może być widzialną oddzielnie *gotém okiem*, gdy przeciwnie zbiór złożony z 10, 20, 50, 100, 1,000 tychże gwiazd, téjże wielkości bardzo blisko siebie położonych, łatwo daje się postrzedz. Moje tłumaczenie może mieć tę korzyść, iż usunie z dowodzenia Herschla to, co ma w sobie wątpliwego. Wskaże ono nadto granicę średnicy, przy której widzialność przedmiotu zawisa od *całkowitego światła*, idącego od przedmiotu do oka. Obraz gwiazdy widzialnej *gotém okiem* wydaje się rozszerzonym i jakby złożonym z promieni rozbiegających się; światło idące od gwiazdy, które źrenica oka przepuszcza, zajmuje przeto na siatce ocznej pewną rozległość. Gdyby całe to światło zebrane było w jeden tylko punkt, włókna nerwowe oka odpowiadające sobie, które wysiękają dno oka, byłyby silnie wstrząśnionemi. Ta sama ilość światła rozłożona na wielką przestrzeń, powinna wydać skutki daleko słabsze. Dajmy, że gwiazda rzeczywiście jest słabego światła; będzie ona widzialną przy zgęszczoném świetle, a przeciwnie zniknie, gdy będzie rozszerzoną.

Doświadczenie bardzo proste pokaże naocznie prawdę tych postrzeżeń. Skieruj lunetę albo teleskop, któregooby szkło oczne było w ognisku, na gwiazdę bardzo małą, jednak dostatecznie widzialną. Potem wsuwaj naprzód i wysuwaj szkło oczne, a gwiazda zniknie zupełnie. Cóż pociąga za sobą ten ruch soczewki? oto zwiększa rozciągłość, i rozszerzenie obrazu, i nie więcej. Szkło oczne będące zewnątrz właściwego swego miejsca, stawia postrzegacza pod względem jasności obrazu w takich samych warunkach, jak patrzenie *gotém okiem*. To dobrze pojąwszy, rozważmy najprzód, co się dzieje w postrzeżeniach słabych gwiazd *gotém okiem*. Gwiazdy 7 wielkości, tworzą podług podziału astronomów pierwszy rząd gwiazd, których zwyczajni ludzie nie postrzegają *gotém okiem*. Obraz rozszerzony gwiazdy 7 wielkości, nie uderza dostatecznie siatki ocznej i nie sprawia uczucia silnego światła. Gdyby obraz nie był rozszerzonym, czucie oka byłoby silniejsze i gwiazda byłaby widziana. Pierwszy zatem rząd gwiazd niewidzialnych *gotém okiem*, nie będzie już wtenczas siódmój, a chcąc go oznaczyć, wypadaloby może zniżyć go aż do 12 wielkości.

Uważmy teraz zbiór gwiazd 7 wielkości tak blizkich jedne drugim, że przedziały między niemi nikną całkiem dla oka. Gdyby widzenie było wyraźnym, gdyby obraz każdej gwiazdy był bardzo małym i dobrze zakończonym, dostrzegacz widzialby to światła, którego każdy punkt miałby natężenie światła gwiazdy 7 wielkości. Światło skupione gwiazdy 7 wielkości jest dostatecznym do widzenia gwiazd *gotém okiem*, zbiór zatem gwiazd byłby przez to samo widzialnym *gotém okiem*. Wystawmy sobie teraz na siatce ocznej obraz każdej gwiazdy do zbioru należącej; zastąpmy każdy punkt dawnego ogólnego obrazu małym kółkiem; te kółeczka zachodząc będą jedne na drugie i zakrywać się wzajemnie; różne zaś punkta siatki ocznej będą oświetlone od światła, idącego jednocześnie od wielu gwiazd. Przy małym zastanowieniu się pokaże się wido-

kości, byłyby oddalone jedne od drugich i od gwiazd pierwszej wielkości tak daleko, jak te ostatnie oddalone są od słońca. Tenże sam rozkład rozciągałby się do gwiazd trzeciej wielkości, porównanych z gwiazdami drugiej, i tak następnie. Według tego przypuszczenia, Syryusz, gwiazda najświetniejsza na sklepieniu nieba, zamieniłaby się na gwiazdę drugiej wielkości, gdyby była przeniesioną do odległości dwa razy większej od tej, w jakiej się teraz znajduje: to jest, gdyby jej moc światła zmniejszyła się do czwartej części.

Taż gwiazda byłaby 3 wielkości, gdyby jej światło sprowadzone było do dziewiątej części teraźniejszego jej blasku. Byłaby

cznie, że wyjawszy brzegi obrazu ogólnego, powierzchnia jasna w ten sposób oświetlona, ma zupełnie z powodu ułożenia na sobie kótek toż samo natężenie światła, co i wtenczas, gdy każda gwiazda oświetla tylko punkt jeden dna ocznego; lecz jeżeli każdy z tych punktów ma światło równej mocy światłu skupionemu pojedynczej gwiazdy 7 wielkości, widoczną jest rzeczą, że rozszerzenie obrazu pojedynczego gwiazd blizkich, nie powinno przeszkadzać do widzenia całego zbioru. Narzędzia optyczne, jakimi są teleskopy, mają chociaż w mniejszym stopniu, wadę przedstawiania gwiazdy z średnicą widoczną i rzeczywistą. Narzędziami temi, podobnie jak i gołym okiem, powinniśmy widzieć zbioru gwiazd, złożone z punktu słabszej mocy światła, niż wtedy, gdy nam je też same lunety albo teleskopy pokazują oddzielnie. Powątpiewam, czy można przyznawać *wyłącznie* tej samej przyczynie zjawisko widzialności, które zapisałem w naszych dziennikach z 1810 roku. Oto jest opis tego zjawiska. Księżyc Jowisza, gdy padają na tarzę planety, osobliwie przy jej brzegach, przedstawiają w ogólności postać *plam świetnych*. Mają one wtedy podobieństwo w mniejszych tylko wymiarach do plamek białych słonecznych, mają przeto na jednostce powierzchni więcej blasku, *niżeli sama planeta*.

Dostrzegałem jednak często, badając skład fizyczny Jowisza, że chmura albo mgła zastaniająca niekiedy widok jego księżyca, dozwalała przecież widzieć bardzo dobrze planetę.

Jeżeli w tym razie dla bardzo małego rozszerzenia, jakiego obraz księżyca, uważany lunetą, doznaje, rozbiór powyższy nie jest już dostatecznym, dlatego należałoby może udać się do środka dawnego i nader osobliwego, to jest, że aby powiększyć czułość siatki ocznej w jednym punkcie, dosyć wzruszyć ten organ w punkcie blizkim pierwszego. Oto jest postrzeżenie, które podawano na poparcie tego przypuszczenia.

α Herkulesa jest gwiazdą podwójną, złożoną z gwiazdy 3 wielkości i drugiej, będącej niegdyś 7 wielkości. Dwie te gwiazdy są wyraźnie od siebie oddzielone.

W dobrej lunecie, dwie te gwiazdy w dzień mogą być widzialne; gwiazdę 7 wielkości postrzegano blizko gwiazdy 3 wielkości, gdy tymczasem gwiazda odosobniona 5ej, a nawet 4ej wielkości, nie była widzialną w okolicy nieba, tak samo oświetloną od słońca.

Dostrzeżenia te, jakkolwiek zdają się być bardzo prostymi i dobitnymi, powątpiewam jednak o pewności ich tłumaczenia, lub też o rzeczywistości zjawiska. Bardzo drobny i bardzo słabego światła przedmiot nie może być wcale postrzeżonym, gdy nie wiemy naprzód dokładnie miejsca, w którym go szukać należy. Większa gwiazda w układzie podwójnym α Herkulesa była pewną granicą porównania, która nadawała wzrokowi, to jest promieniom ocznym, stały kierunek, od którego w części zawista wyraźność widzenia słabych przedmiotów. Kazalem zrobić narzędzie, za pomocą którego zadanie fotometryczne, o którym tu mowa, da się łatwo rozwiązać. Przy pierwszej sposobności staraniem mojem będzie ogłosić wypadki, jakie tem narzędziem otrzymam.

7 wielkości, w odległości 7 razy mniejszej, albo gdyby jej nie pozostało więcej jak 49 części jej światła początkowego. Posuwając porównywanie w ten sposób coraz dalej, Syryusz byłby gwiazdą 100 i 1000 wielkości, w oddaleniu 100 i 1000 razy większym, jak teraz.

Za pomocą szeregu uwag, o których nie możnaby wcale mieć wątpliwości, że są prawdziwe, i chyba w ich stosowaniu do widzialności planet, Herschel doszedł, iż:

Za pomocą swego 20 stopowego teleskopu można się zagłębić w przestrzeń 75 razy dalej, aniżeli gołym okiem, zakładając średnicę źrenicy równą $\frac{3}{10}$ cala angielskiego. Ta siła przenikania przestrzeni dochodziłaby do 96, za pomocą teleskopu 25 stóp długiego.

Nareszcie też same uwagi pokazały: że gwiazda, która wyraźnie jest widzialną gołym okiem w pewnej odległości, mogłaby jeszcze być widzialną 192 razy dalej, za pomocą teleskopu 39 stopowego.

Ostatnie gwiazdy widzialne gołym okiem są 7 wielkości; oczywista jest, iż podług podziału gwiazd Herschla, teleskopem 39 stopowym możnaby iść dalej aż do gwiazd odosobnionych 1344 wielkości, gdyż liczba 1344 jest równa 7, pomnożonej przez 192.

Zakładając zawsze widzialność przedmiotów proporcjonalną do całego natężenia światła wpadającego do oka, *zbiór gwiazd bardzo skupionych*, 25,000 gwiazd 1344 wielkości, byłby widzialnym w odległości, w którejby każda gwiazda stała się 25,000 razy mniejszą, to jest w odległości 158 razy większej od granicy, jaką naznaczyliśmy dla gwiazd odosobnionych.

Promień światła, pomimo swój nadzwyczajnej chyżości biegu, dochodzącej 42 tysięcy mil geogr. (308 tysięcy kilometrów) na sekundę, nie może przebiec odległości od podobnego obłoczka do ziemi prędzej, niż *w pół miliona lat*. Granica co do czasu, wynosząca 3 lata dla gwiazdy 1szej wielkości, dochodzi już do 4000 lat dla gwiazdy 1344 wielkości. Gdy jest mowa o obłoczku mglistym, granica 158 razy większa, wynosi 632 tysięcy lat. Zmiany przeto, jakich doznają obłoczki tego rzędu, mogą od pół miliona lat istnieć, nim zostaną postrzeżone. Podobny obłoczek może zniknąć lub zgasnąć dzisiaj, a jednak z ziemi będzie widziany jeszcze przez więcej jak pół miliona lat. W tém znaczeniu można powiedzieć, że teleskopy służą zarówno do zgłębiania przestrzeni i mierzenia czasu.

W roku 1781, to jest na dwadzieścia lat przed ogłoszeniem rozprawy o *mocy teleskopów przestrzeni przenikającej*, Herschel pokazał dalsze posunięcie siły powiększającej, jako środek do postrzegania najmniejszych gwiazd. Postrzeżenia, na których się to udoskonalenie opiera, są następujące:

Mała gwiazdka blisko gwiazdy α Orła położona, nie daje się widzieć przy powiększeniu 227 razy, staje się zaś widzialną, gdy tenże teleskop 460 razy powiększa.

Najmniejsza z dwóch gwiazd towarzyszących gwiazdzie α Orła nie jest widzialną przy 227 powiększeniu, daje się zaś widzieć przy powiększeniu 460 razy większym.

Małe gwiazdy blisko gwiazdy α Liry, μ Herkulesa, nie są widzialne przy 227, stają się widzialnymi przy 460 razy powiększeniu.

Okoliczności sprzyjające spostrzeżeniom astronomicznym.

Najbieglejsi astronomowie praktyczni nieraz byli zdziwieni, że przy stanie nieba, którego czystość zdawała się być bardzo przyjazną do dochodzeń własności fizycznych gwiazd, wielkie narzędzia źle pokazywały. Okoliczności, które czynią obrazy teleskopowe niewyraźne i źle zakończone, lub falujące, nie są jeszcze ani gruntownie poznane, ani ściśle opisane. Liczne rozprawy Herschla, zawierające o tym przedmiocie różne uwagi oddzielne, zebrałem tutaj wszystkie, w tej myśli, iż będą dobrze przyjętymi przez miłośników astronomii.

Żadne postrzeżenie trudniejsze, to jest postrzeżenie wymagające siły znacznie powiększającej nie uda się, jeżeli je odbywać będziemy patrząc przez okno w pokoju, lub przez przecięcia dachu w obserwatoryum.

Należy się chronić miejsc zasłaniających, nawet gdyby teleskop stał pod gołym niebem.

Jeżeli wiatr wieje, obrazy teleskopowe nie będą w ogólności bardzo wyraźnymi. Wiatr sprawia niewątpliwie zły skutek, mieszając z sobą warstwy atmosfery różnych temperatur (1).

(1) Ten ustęp astronomii praktycznej pisząc Herschel pod wpływem faktu szczególnego, uniósł się zapewne nieco zapędko chęcią uogólniania. Oto jest, co znajduję w *Transactions* z r. 1815, str. 322. Nie wiem, czy wielki astronom uważał, jak dalece sam z sobą jest sprzeczny, pod względem wpływu wiatru na postrzeżenia astronomiczne:

„Wiatr nie przeszkadza wcale do jasności obrazów teleskopowych. Przy gwałtownym nawet wietrze, można użyć powiększenia bardzo znacznego, byle tylko podstawa narzędzia nie była od wiatru poruszana.”

Zorze północne przeszkadzają niekiedy postrzeżeniom astronomicznym; zdają się one sprawiać pewne ruchy kołyszące w przedmiotach. Najczęściej jednak nie wywierają one żadnego wpływu.

Jeżeli jest prawdą, jak Herschel przyjmuje wraz z wielu meteorologami, że zorze północne są skazówką (przyczyną lub skutkiem) wielkich zmian w temperaturze różnych stref atmosfery, wpływ tych ostatnich mógł być wziętym za wpływ bezpośredni wiatru.

Gwiazda nie pokazuje się nigdy dobrze ograniczoną, gdy promienie, które nam je malują, przechodzą w małej wysokości nad dachem budowli: albowiem nad dachem powietrze jest zawsze w poruszeniu, z przyczyny mieszania się warstw nierówno ogrzanych.

Gdy powietrze jest suche, teleskop źle pokazuje obrazy.

Przeciwnie, gdy atmosfera jest zbyt obciążona wilgocią, obrazy gwiazd są bardzo czyste.

Czystość ta, ma nawet miejsce przy stanie nieba zamgloném, osobliwie w czasie mglistym. Mgła sprawia w obrazach teleskopowych wyraźne obwody, aż do chwili całkowitego ich zniknięcia.

Niekiedy zdarza się, iż przy stanie nieba pozornie bardzo przyjaznym, gwiazdy wszelako pokazują obwody źle zakończone. To może pochodzić, jak mówi Herschel, od stanu suchego atmosfery, który wiatr wschodni sprowadza w górne strefy, albo zależeć od mieszania się warstw powietrza różnych temperatur, oraz od spotkania się wiatrów górnych odmiennych kierunków.

Gdy nagle mróz następuje po stanie powietrza ciepłym, lub gdy nagle odwilż następuje po długo trwającym mrozie, wtenczas teleskopy pokazują obrazy gwiazd niewyraźnie.

Nie można również oczekiwać dobrych wypadków w chwili, gdy teleskop zostanie przeniesionym z pokoju ciepłego, na wolne powietrze.

W ogóle powiedzieć można, iż jeżeli zwierciadło narzędzia nie ma temperatury powietrza, które je otacza, obrazy będą niedokładne i wtedy nie można korzystnie użyć wielkich powiększeń.

Skutek ten łączy się zresztą z widoczną przyczyną fizyczną. Jakoż każdy pojmie, że zwierciadło teleskopu, podczas gdy się ogrzewa w swojej osadzie, albo w czasie gdy się oziębia, nie ma tej samej temperatury we wszystkich swoich punktach, i że na-

stępstwem tego nierównego podziału ciepła, musi być zmiana kształtu powierzchni gładkiej i odbijającej zwierciadła, i niedokładność obrazów ogniskowych.

W ten sam sposób tłumaczy się przedłużenie ogniska, jakie Herschel uważał w swoich teleskopach ze zwierciadłami metalicznymi (1), używając ich do postrzeżeń słońca. Tłumaczenie to, sławny astronom stwierdził stawiając blisko zwierciadła z przodu albo z tyłu tegoż, małą kulę żelazną rozgrzaną. Promienie ogrzewające wychodząc od kuli, niejednostajnie ogrzewały zwierciadło metalowe; przez to zmieniały jego kształt i przedłużały jego ognisko.

Porównanie teoretyczne teleskopów i lunet.

Chcąc porównywać teoretycznie pod względem jasności teleskop z lunetą, albo innemi słowy: chcąc poznać, czy narzędzie albo obraz przeznaczony do powiększenia, tworzący się przez odbicie od powierzchni zwierciadła wklęsłego, przesyła więcej albo mniej światła od innego narzędzia, w którym tenże obraz się tworzy przez załamywanie promieni w soczewce szklanej: potrzeba mieć bacny wzgląd na stratę promieni, jaka zachodzi w przechodzeniu promieni światła przez soczewki szklane i ich odbijanie się od zwierciadeł. Ten, ktoby miał wzgląd tylko na średnice rzeczywiste dwóch narzędzi, otrzymałby bardzo błędne wypadki. Herschel opierając się na metodzie fotometrycznej przez Bougera podanej, wykonał doświadczenia, które dostarczają pierwiastków potrzebnych do sprowadzenia za pomocą rachunku teleskopu do lunety.

Pierwiastki te są:

Jeżeli 100,000 promieni padają prostopadle prawie na zwierciadło płaskie, dokładnie wygładzone, i zrobione z mieszaniny, jakiej Herschel używał do swych teleskopów, wtedy nie odbije się więcej od jego powierzchni, jak 67300 tych promieni.

Po powtórnym znowu odbiciu się promieni także prostopadle od powierzchni drugiego zwierciadła, jeżeli zmniejszenie się promieni następuje w takimże samym stosunku co i pierwój, nie po-

(1) Gdy zwierciadło teleskopu jest ze szkła, słońce sprawia skutek przeciwny: to jest skraca odległość ogniskową. Dotąd jednak niewiadoma jest przyczyna tej zmiany.

zostaje więcéj jak 45200 promieni zpomiędzy 100,000, z których się składała cała wiązka padająca.

Przechodzenie promieni przez soczewki szklane, sprawia daleko mniejszą stratę światła. Herschel doszedł, czyniąc doświadczenie z taflą szklaną zwyczajną o ścianach równoległych, dokładnie wygładzonych i mającą grubość prawie równą grubości szkła ocznych wielkiego powiększenia, że z liczby 100,000 promieni padających prostopadłe na podobne szkło, przechodzi przez nie tylko 94800.

Po tych oznaczeniach Herschla, przytoczę tu wyjątek historyczny, który fizyków zadziwi.

Znajduje w tomie X na str. 505 Pamiętników akademii umiejętności niektóre uwagi Huygensa nad teleskopami zwierciadlanymi Newtona. Jedna z nich zawarta jest w tych słowach: „Poczytuję za trzecią korzyść, że przez odbicie od zwierciadła metalicznego niemasz wcale straty promieni, jak to się dzieje w soczewkach szklanych, które znaczną liczbę promieni odbijają od swych powierzchni, oraz zatrzymują część ich przez ciemność masy, z której się składają.” Z tego się pokazuje, że Huygens w r. 1672 nie miał czystego wyobrażenia o stracie, jakiej ulegają promienie światła przez odbijanie się od zwierciadeł metalicznych.

Sposoby osłabienia obrazu słońca w dostrzeżeniach teleskopowych.

Oko nie może znieść silnego blasku obrazu słońca, tworzącego się w ognisku lunety albo teleskopu. Astronomowie patrzą na ten obraz ogniskowy przez szkło kolorowe, pospolicie czerwone albo zielone, które nadaje swą barwę promieniom świetnym; przez to nie widzimy słońca w jego blasku właściwym. Łatwo będzie można wskazać przypadki, w których to zaciemnienie jest szkodliwém.

Wybór szkieł kolorowych, mających się użyć do zmniejszenia mocy światła obrazów teleskopowych słońca, jest bardzo ważném. Toż samo stosuje się i do położenia, jakie dać potrzeba szkłom zaciemniającym. Nie zwracając pilnej uwagi na ten rodzaj dostrzeżeń, różni astronomowie oddający się dochodzeniom własności fizycznych słońca, wzrok stracili. Herschel nie zaniedbał pytania tego rozwiązać na drodze swych doświadczeń roz-

biorowych. Wypadki doświadczeń w tym celu robionych, ogłosił w tomie *Transactions* na r. 1800. Oto z nich są główniejsze:

Szkła czerwonego koloru, pomimo dostatecznego osłabienia promieni słońca, iż takowe łatwo można znieść, przepuszczają jednak wielką ilość promieni ogrzewających, od których oko dostrzegacza wiele cierpi. *Szkła zielone*, wstrzymują wprawdzie znaczną część ciepła, lecz przy niestosownej grubości, przesyłają światło jasności rażącej.

Wiązka promieni światła wychodząca ze szkła ocznego, będąc bardzo zgęszczoną, sprawia w szkłe kolorowém przez które przechodzi, silne miejscowe rozgrzanie, z czego wynika nagłe rozszerzenie, pęknięcie szkła i zniszczenie jego połysku. Tych skutków można uniknąć, umieszczając szkło kolorowe między szkłem ocznym a szkłem przedmiotowém, w miejscu, gdzie wiązka świetna nie uległa jeszcze silnemu zebraniu się, o którym mowa. Ten jest środek, który się udał Herschlowi, nawet w teleskopach wielkich wymiarów. Wszelako środek ten ma wielką niedogodność jak sądzę w tém: iż zmienia czystość obrazu (gdyż szkła kolorowe rzadko są pozbawione smug wewnętrznych) i przenosi znowu te zmiany pod powiększenie szkieł ocznych. W miejscu, w którym zwykle zakłada się szkło kolorowe, gdy to szkło znajduje się zewnątrz szkła ocznego, błąd mogący ztąd wyniknąć nie powiększa się wcale; obraz ogniskowy zachowuje całą swoją czystość, jakiej tylko teleskop dozwala, nie jest on już zmienionym, jakby to miało miejsce patrząc przez szkło gołym okiem, t. j. bez powiększenia.

Herschel zamiast szkła kolorowego, radził używać płynu, który się otrzymuje przepuszczając atrament rozcieńczony wodą przez filtr papierowy. Płyn taki zostawia słońcu jego tło białe właściwe. Nierówności albo przypadłości światła, któremi powierzchnia téj gwiazdy jest zasiana, pokazują się wtedy daleko wyraźniej. Nadto tło białe powinno bardziej ułatwiać poznanie pod każdym względem zjawisk, zawisłych od siły rozpraszającej atmosfery.

Wspomnieć tu jeszcze należy o ważnej okoliczności, którą Herschel, jak mówi, doświadczeniem stwierdził. Zdaniem tego postrzegacza, wpływ o którym mowa, pochłonywa większą część promieni ogrzewających, które są pomieszane z promieniami słońca.

Oko w bliskości szkła ocznego jest przez to zabezpieczone od zapalenia, które nieraz stało się bardzo niebezpiecznym dla niejednego astronoma.

Atrament przefiltrowany, którego Herschel używać radzi w miejsce szkła kolorowego, był zamknięty w małym naczyniu, mającym po obu stronach dwa szkła płaskie, wygładzone, ze ścianami równoległymi. To wszystko stawiał blisko przed szkłem ocznym, tak, ażeby promienie przychodziły do obrazu ogniskowego już osłabione.

Sposób ułatwiający postrzeganie słońca, podany przez Herschla, pomimo całej korzyści, jaką sobie autor zakładał, nie został w użycie wprowadzonym.

Mikrometr do mierzenia kątów położenia.

Załóżmy, że gwiazda przychodzi na południk, to jest do punktu najwyższego w swoim biegu dziennym. Przez środek gwiazdy wyobraźmy sobie poprowadzoną linię poziomą. Linia ta zjedzie się w małej rozległości z łukiem równoleżnika przez gwiazdę w biegu pozornym opisanego. Linia prosta prowadzona od środka gwiazdy górującej do innej gwiazdy bliższej, tworzy z poziomem kąt, zwany kątem położenia tej gwiazdy.

Kąt położenia można wyznaczyć rachunkiem z różnicy wznoszeń prostych i zboczeń dwóch gwiazd. Często jednak ściślej i dogodniej jest wprost go wyznaczyć.

Mierzenie tego kąta dało się skutecznie za pomocą głównej zmiany, jaką Herschel wprowadził do zwyczajnego mikrometru włoskowego. Nowy mikrometr, podobnie jak dawny, składa się z dwóch nitek, jednej stałej, drugiej ruchomej, z tą różnicą: że nitka ruchoma w czasie ruchu nie jest równoległą względem siebie, ani względem nitki stałej, lecz można jej tylko nadać ruch obrotowy. Za pomocą tego ruchu, dostrzegacz nastawia dowolnie nitkę ruchomą pod wszelkimi kątami nachyleń względem nitki stałej, począwszy od 0 do 180°. Wielkość obrotu jaką nitka ruchoma odbywa, odczytuje się na kole podziałowym zewnętrznym.

Nic łatwiejszego, nad oznaczenie kąta położenia względem południka; dosyć bowiem za pomocą rączki teleskopu trzymać pierwszą gwiazdę w jednym miejscu, mającym tworzyć wierzchołek kąta w punkcie krzyżujących się nitek, następnie naprowadza się nitkę ruchomą czyli obrotową tak, aby przechodziła w tej chwili przez drugą gwiazdę. Kółko zewnętrzne podziałowe, któ-

rego obrót odpowiada poruszeniu blaszki zewnętrznej utrzymującej nitkę ruchomą, daje bezpośrednio ważność kąta szukanego.

Założyłem, że jedna z gwiazd znajduje się na południku, a nitka nieruchoma jest poziomą. Oznaczenie kąta położenia wykonywa się podobnie i zewnątrz południka, byleby tylko nitka nieruchoma jakiegokolwiek mając nachylenie do poziomu, odpowiadała łukowi równoleżnika niebieskiego, przechodzącego przez punkt na który teleskop jest zwrócony. Jakoż znajdują się podpory zwane *paralaktycznymi*, które nie przeszkadzając ruchowi teleskopu na wszystkie strony, nadają nitce stałej mikrometru kierunek któregośkolwiek równoleżnika niebieskiego, skoro tylko jedno położenie gwiazdy, na przykład na południku położonej, wyżej lub niżej nitki mikrometru, zgodzi się z łukiem równoleżnika niebieskiego. Dostrzeżenie najprostsze służy zresztą do przyprowadzenia rzeczy do stanu pożądanego.

Mikrometr z nitką wkoło ruchomą, służący do wymierzenia kątów położenia, okazywał się ważnym w pracach Herschla, odnoszących się do księżyców Urana i gwiazd podwójnych. Pierwszy opis tego rodzaju mikrometru, który autor podał, znajduje się w *Philosophical Transactions* z r. 1781.

Pomysł, który tak głośnym się stał przed kilku laty oświecania nitek mikrometru zwyczajnego z przodu, to jest od szkła ocznego w stronie dostrzegacza, należy się, jak sądzę, Herschelowi; tak przynajmniej rozumiem przypis rozprawy *on the construction of the heavens* (*Philos. Trans.* z r. 1785, str. 623).

Mikrometr lampowy.

Mierzenie za pomocą bardzo wielkiego powiększenia, odległości kątowej przedzielającej środki gwiazd, tworzących układy podwójne, doprowadziło Herschla do zrobienia nowego mikrometru, który nazwał *Mikrometrem lampowym* (*lamp micrometer*). Mikrometr dawnego układu nie mógł być użytym do tego rodzaju postrzeżeń, od czasu, jak przez wprowadzenie soczewki ocznej, nitki mikrometru przedstawiały średnicę większą od pozorną średnicę gwiazd. Rzeczywiście, jakże poznać w tym przypadku, czy celowano na środek dwóch gwiazd porównywanych. Herschel chciał również uniknąć małych nierówności i *straconego ruchu*, któremu śruby, chociażby najdokładniej wykonane, zdawały się pod-

legać. Chciał nareszcie usunąć oświecanie sztuczne pola teleskopu, które jest prawie koniecznym w mikrometrach nitkowych, a które nieraz było bardzo słaby księżyc planety głównej.

Dla osiągnięcia tego celu, Herschel wymyślił *lamp micrometer*. W narzędziu tym są dwie małe latarki, zamknięte za pomocą cienkich blaszek mosiężnych. W środku każdej blaszki, jest otwór bardzo mały, odpowiadający knotowi lampki. Przez to tworzą się dwa bardzo małe jasne punkta, które za pomocą stosownych rączek na 10 stóp angielskich długich, można odsuwać lub zbliżać do siebie i nastawiać je podług wszelkich nachyleń względem poziomu.

Herschel opatrzony tym narzędziem, gdy chciał uważać gwiazdę podwójną, patrzył prawym okiem na gwiazdę w teleskopie Newtonskim; w téjże samej chwili lewe oko pokazało mu *wprost*, to jest zewnątrz narzędzia, bez żadnego powiększenia w kierunku pozornego widzenia, dwa punkta jasne mikrometru. Dwa te układy przedmiotów malowały się jeden na drugim. Po kilku próbach i posunięciach za pomocą rączki, można było naprowadzić odpowiednio dwa punkta świecące lampki na obrazy teleskopowe gwiazd dwoistego układu. To zrobiwszy, nie pozostało więcej jak zmierzyć za pomocą podziałki, oddalenie dwóch małych dziurek lampki. Odległość ta linijna dla promienia 10 stóp, była styczną trygonometryczną odległości kątowej powiększonej dwóch gwiazd. Dzieląc ważność tego kąta wziętą z tablic trygonometrycznych, przez liczbę powiększenia teleskopu, otrzymano odległość kątową rzeczywistą dwóch części gwiazdy podwójnej. Narzędzie to wskazywało również dla czasu postrzeżenia, kąt położenia, jaki linia prowadzona od jednej gwiazdy do drugiej, tworzyła z linią pionową albo z poziomem.

Z tego każdy pojmie, że użycie mikrometru lampowego nie ogranicza się na samych dostrzeżeniach gwiazd podwójnych, lecz może być przystosowanym z tą samą łatwością do mierzenia średnic pozornych, prawdziwych lub sztucznych planet, księżyców i gwiazd. Każdy mógł uważać jak wiele sposobów użycia tego narzędzia ma podobieństwa ze sposobem oznaczenia powiększeń lunet, którego dawni dostrzegacze, jak na przykład Galileusz, używali.

(Dalszy ciąg nastąpi).



POMNIK
KS. KRZYSZTOFA KLUKA
W CIECHANOWCU.

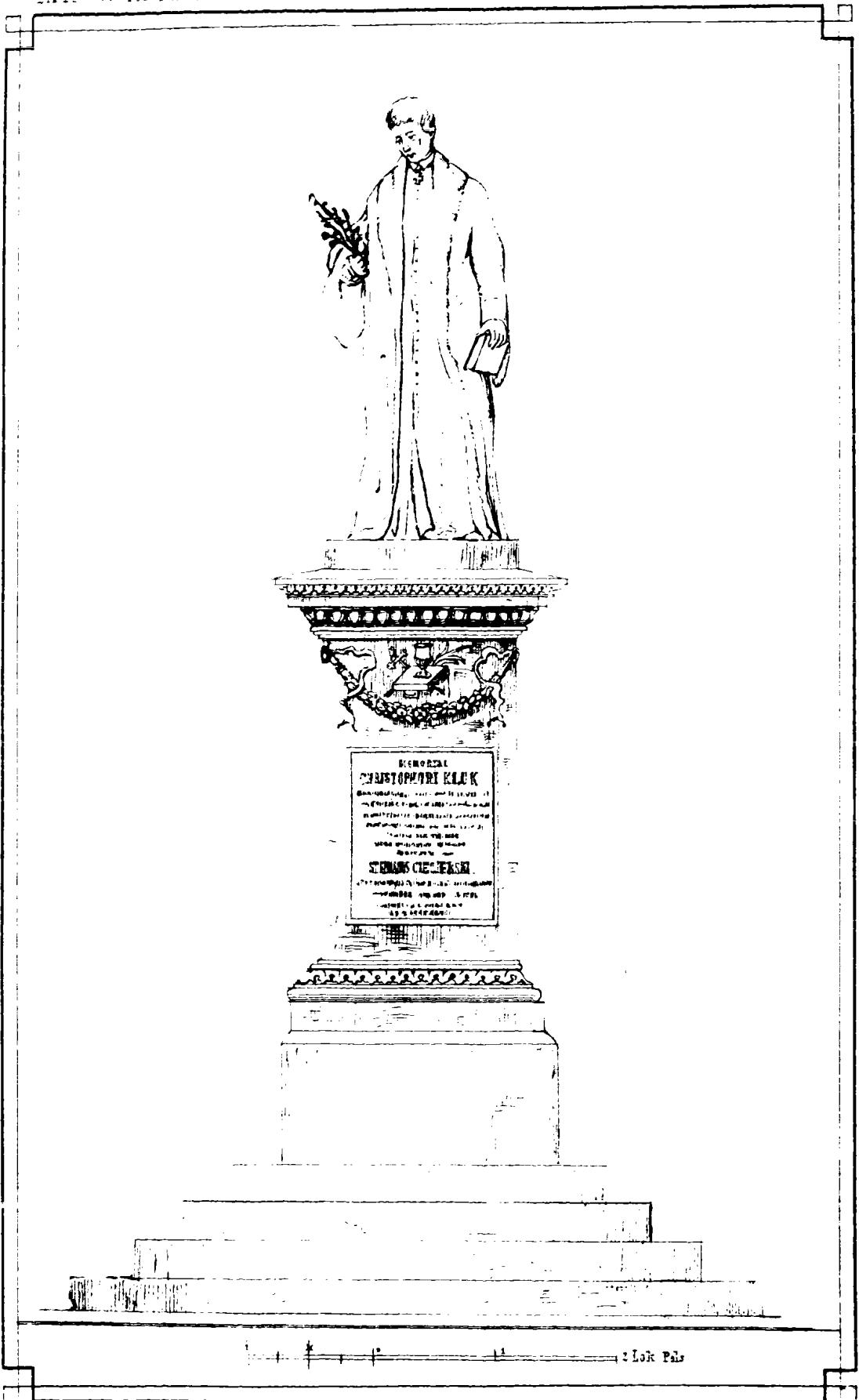
(Z 5 rycinami).

Praojcowie nasi, na cześć i pamięć sławnych współrodaków, sypali z ziemi wzniosłe mogiły i kurhany. Naród rolniczy, godnie uwieczniał takim pomnikiem wielkich mężów swoich: bo z téjże ziemi, którą zlewał krwią i potem, w której spoczywały prochy tylu pokoleń, którą Bóg na wieczystą przekazał mu siedzibę, wznosił nasypy wzgórzyste, i przykował do nich imiona, które pragnął przekazać potomności dalekiej.

I te mogiły przetrwały lat tysiące! Przepłynęło nad niemi kilkanaście wieków, u stóp ich błąka się dotąd w niepewności wiedza historyczna, a badacz dziejowy powtarza wraz z ludem imiona, które stare podania już uświęciły, a poezya upromieniła je cudnie.

Kiedy sztuki piękne poznane, znalazły, jak w narodzie pełnym uczucia i nastroju poetycznego, gościnne przyjęcie i rozwój swobodny: już nie nasypiskami ziemnymi, ale pędzlem i dłutem, zachowywano pamięć zasłużonych mężów. Kamień i marmur przekazywał podobieństwo ich oblicza i postaci. Grobowe pomniki, zacząwszy od starego Wawelu, do najmniejszego kościółka w Polsce, przechowały mnóstwo pomników tego rodzaju.

Mało stawiano posągów wśród naszych grodów. Zygmunt IIIci w Warszawie, wcale nie z woli i życzeń narodu, ale z miłości synowskiej, z krzyżem i mieczem stanął na wysokiej kolumnie: Jana IIIgo w Łazienkach, owéj willi rozkosznej, Stanisław August, jakby krytykę na siebie, po rzymsku wystrojonego postawił. Pomnik je-



POMNIK KLUKA.
w Orlachowcu.

MEMORIAE
CHRISTOPHORI KLUK.

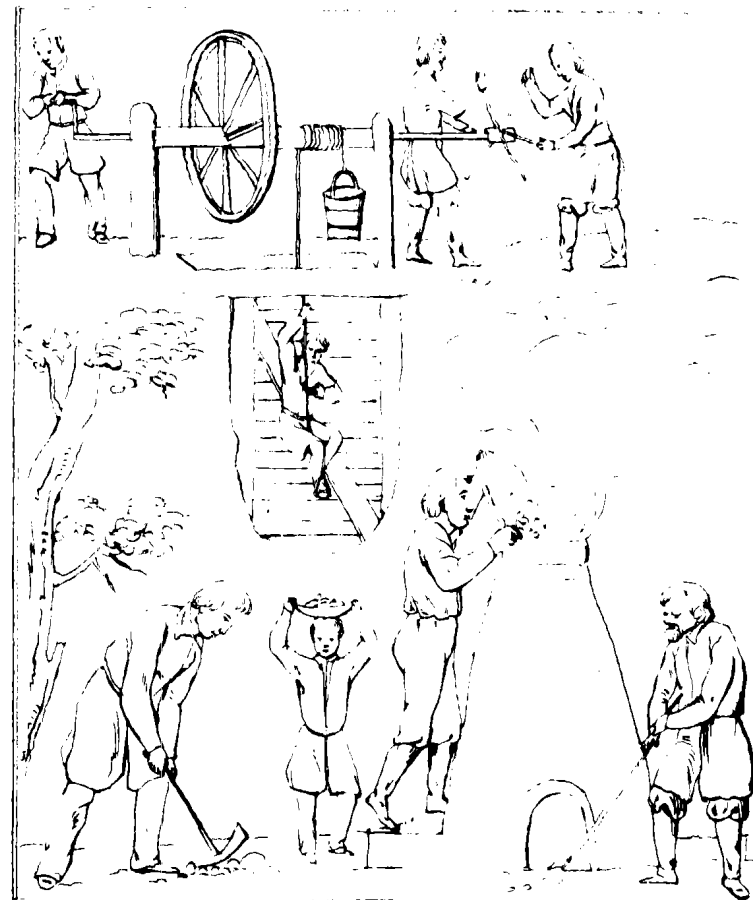
QUA D. MDCCXXXIX IN HOC OPPIDO LUCEM CONSPEXIT
HUIC ECCLESIAE SUMMA CUM DIGNITATE PERPETUO PREFUIT
OPERIBUSQUE SUI. QUIBUS PRIMUS POLONORUM
HISTORIAM NATURALEM EGREGIE ILLUSTRANDO
PATRIUM SERMONEM DITAVIT.
FAMAM IMMORTALEM NACTUS.
A. D. MDCCXCVI. OBIT.

STEPHANUS CIECIERSKI

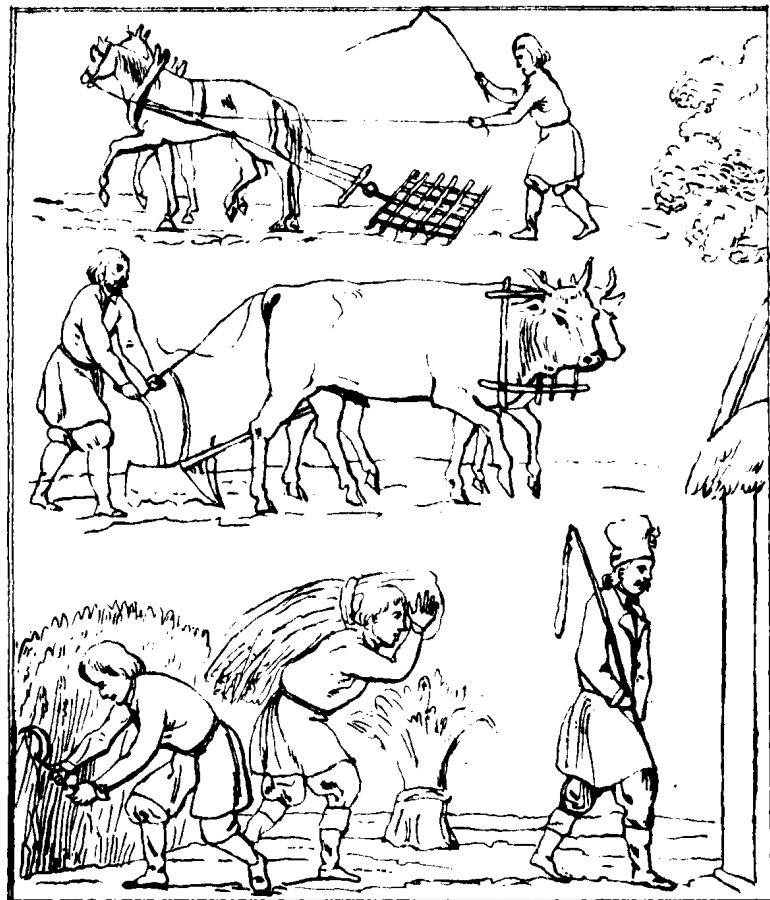
DOMINICI PATRIS CARISSIMI ET JUSTINI FRATRIS
CONSILIUM LIBENTI ANIMO SEQUITUR.

HOC MONUMENTUM POSUIT.

A. D. MDCCCXLVIII.



POMNIK KLUKA. [Napis i płaskorzeźba.]

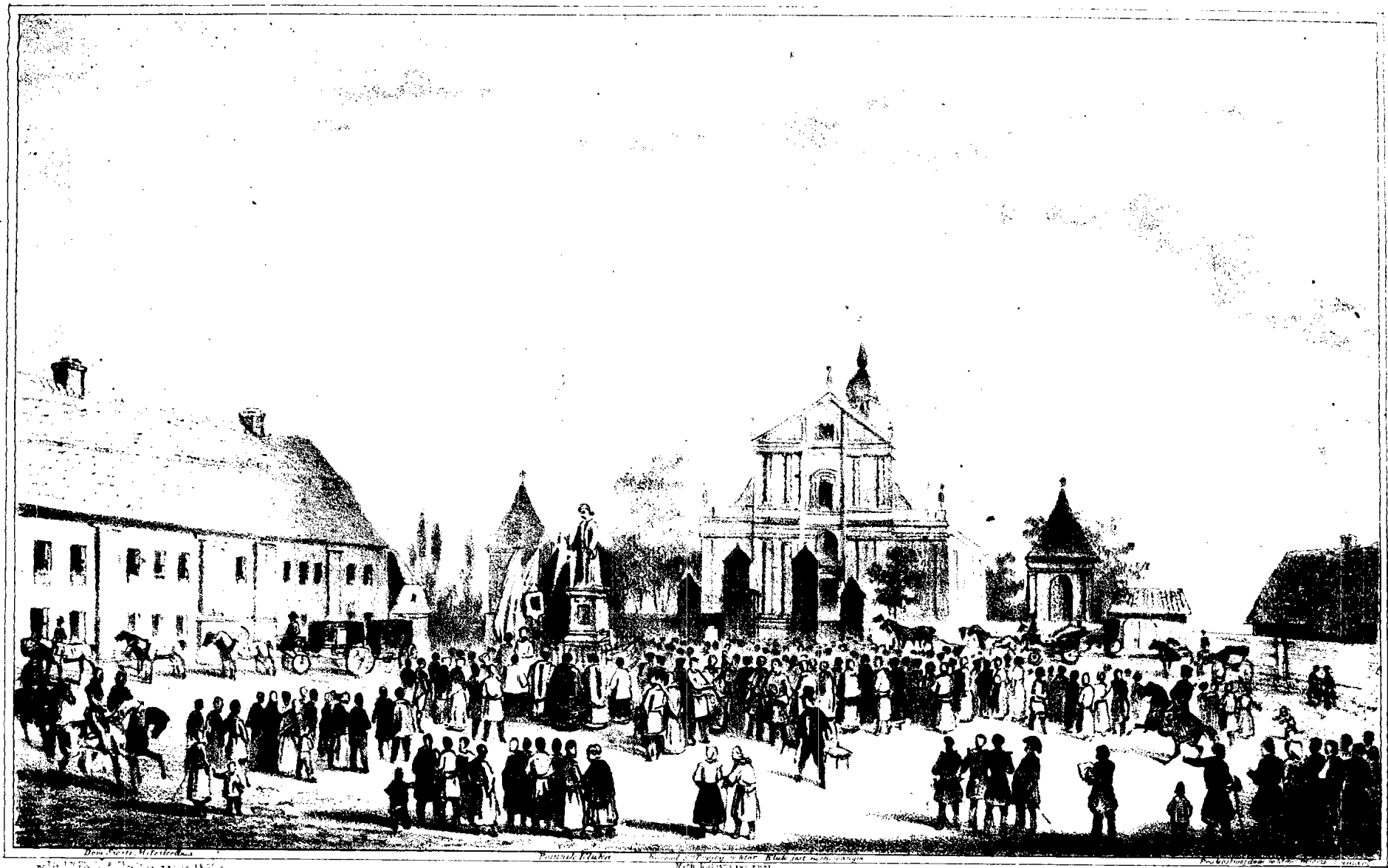




KS. KRYSZTOFOWI KLUK
 Kanonikowi Kraswickiemu, Dyakonowi Drohiczyckiemu
 Proboszczowi Ciechanowieckiemu
 Pierwszemu Prayrodopisaczowi Języka Polskiego
 urodzonemu w M. Ciechanowix roku 1739, zmarłemu
 tamże roku 1796 .
STEFAN CIECIERSKI
 jednocześnie z posiadaniem przed tym Kościołem wniezionym
 nagrobek ten postawił .
 r. 1848 .

w Lit. J.V. Fleck. A. 61

NAGROBEK KLUKA
 w Kościele Ciechanowieckim.



Widok z placu przed kościołem
Widok z placu przed kościołem

Widok z placu przed kościołem

Widok z placu przed kościołem

Widok z placu przed kościołem

ODSŁONIĘCIE POMNIKA KLUKA

w Cracowie, dnia 25 kwietnia

1850 r.

4000 Polaków

dnego z najdzielniejszych bohaterów, Stefana Czarnieckiego, prywatnym nakładem w Tykocinie powstał: Kopernika posągiem głównie (choć i były i składki) Staszic uczcił.

Do szczerpłej liczby pomników, przyozdabiających miejskie place, należy niedawno w Ciechanowcu (1) wzniesiony Krzysztofa Kluka naturalisty naszego, kosztem i staraniem *Stefana Ciecierskiego*, właściciela tego miasta, jako w miejscu, gdzie Kluk się urodził, gdzie przeżył niemal cały swój pracowity żywot, gdzie umarł i pochowanym został.

Sto jedenaście lat upłynęło od jego urodzin, a pięćdziesiąt cztery od zgonu, gdy w rodzinném gnieździe stanął posąg kamienny, zachowujący wierne podobieństwo rysów męża, który tyle zasług naukowych, w literaturze ojczystej położył. Dłuto znakomitego artysty naszego *Jakóba Tatarkiewicza*, z martwej bryły krajowego kamienia, wydoobyło wzniosłą postać i oblicze Kluka.

Uczcić cnoty i zasługi rzetelne, umieją tylko serca prawe i szlachetne: rzadko, aby w godny sposób téj zasłudze, umiano hołd należny złożyć. Zaprawdę ma prawo do naszej wdzięczności dziedzic Ciechanowca, gdy ojca swego i brata piękny zamiar, w rzeczywistość zamienił, nie bacząc na znakomite koszta postawieniem pomnika temu, w którego osobie oddał cześć zarazem nauce i literaturze, téj potędze niezłomnej, téj kotwicy przyszłości każdego narodu.

Nie potrzebujemy tu kreślić życiorysu Kluka; współredaktor naszego pisma *Antoni Waga*, w roku 1843 (2) dopełnił tego z całą ścisłością i znanym talentem: tam odsyłamy naszych czytelników. Dodamy tylko szczegóły przez p. *Wagę* nietknięte, że Kluk został pochowany w r. 1796 w kościele parafialnym w Ciechanowcu w sklepie pod wielkim ołtarzem. Długi czas spoczywały zwłoki jego nietknięte, lecz gdy stara trumna pruchnieć zaczęła, i była blizką rozsypania, *Ignacy Nałęcz Korzeniewski*, zapobiegając rozproszeniu śmiertelnych szczątek znakomitego męża, sporządził inną dębową, i przełożył je do niej w 1840 r. W głowach trumny, przybitą została biała blaszana tablica, z tym napisem:

„Kluk Krzysztof proboszcz ciechanowiecki, kanonik kruszwicki, pisarz historyi naturalnej, umarł 1796 r.“

Dzień 25 kwietnia r. b. przeznaczonym został do odkrycia pomnika, który, w miejsce dawniej drewnianego obudowania, osłoni-

(1) W obwodzie białostockim, powiecie drohickim, 12 mil od Białegostoku

(2) Zob. Bibliotekę Warszawską 1843. Tom III, str. 225.

nym był oponami z białego sukna. Od rana w kościele rozpoczęło się exekwiami solenne nabożeństwo za duszę ś. p. Kluka. O 11tej z rana, wobec zebranych obywateli i ludu, wyszła pontyfikalna summa, przez ks. kanonika *Piotrowskiego* dziekana bielskiego celebrowana. Po niej i po odprawieniu żałobnego konduktu, celebujący postąpił ku pomnikowi w asystencyi kleru, przy odgłosie wszystkich dzwonów; wyszedł na czele ludu, idącego w processyi. Cechy, których bogate starodawne chorągwie odbijały świetnie, okoliły pomnik.

Z przygotowanego wzniesienia, ksiądz *Tupalski Edward* proboszcz po-pijarskiego kościoła w mieście *Drohiczynie*, wśród uroczystego milczenia, wymownie przemówił do obecnych, i w chwili, gdy wskazując na pomnik wspominał, jak świetnie hołd ś. p. Klukowi oddany został, osłony przy odgłosie trąb, dzwonów i okrzyków ludu opadły, a kolosalna postać naturalisty, stanęła widoma.

Sama statua jest wysoka łokci 4, wyrobiona z kamienia *kunowskiego*: cały pomnik wynosi łokci 10. Na postumencie trzy płaskorzeźby wyobrażają: 1) rolnictwo; 2) ogrodnictwo, rybołówstwo i pszczolnictwo; 3) górnictwo. Czwarta strona na tablicy marmurowej, zawiera napis w języku łacińskim ryty i pozłacany, już zamieszczony w *Bibliotece Warszawskiej*, 1847 r. Tom IV, str. 497.

Cała myśl artystyczna pomnika i kompozycja płaskorzeźb należy się p. *Tatarkiewiczowi*. Zdjął on wiernie rysy Kluka z jedynego portretu jego, który się znajduje przy sierpniowym poszycie *Biblioteki Warszawskiej* na rok 1843.

Przywiedzimy tu w końcu *przymówienie* się *Wojciecha Jastrzębowskiego* profesora nauk przyrodzonych w *Instytucie Gospodarstwa Wiejskiego i Leśnictwa* w *Marymoncie*, w czasie odsłonięcia pomnika Kluka:

„Piękny, bo tylko wyłącznie naszej ludzkiej przyrodzie właściwy przymiot uwielbiania dobrego i oddawania należnej czei zasłudze, którymto przymiotem więcej może i z większą dla siebie chlubą odróżniamy się od innych naszych spółstworzeń, aniżeli rozumem i mową: zajaśniał znowu, po upływie blisko 20 lat, na ziemi naszej, i na tém tu właśnie miejscu, które, w téj uroczystej dla nas chwili, zajmujemy. A jeżeli zasługa, którą umiano tu tak pięknie ocenić i godnie uwielbić, nie jaśnieje takim blaskiem, jak owa, którą podobnymże sposobem wieńczyliśmy w inném miejscu i w inném naszym zebraniu, przed dwoma dziesiątkami lat (1), bo wtedy wznos-

(1) Jest tu mowa o odkryciu pomnika *Kopernika* w *Warszawie*, w maju 1830 r.

siliśmy pomnik sławie naszego nieśmiertelnego rodaka za to, że nam dał poznać *świat* i jego wzniosłą budowę, a teraz oddajemy podobną cześć drugiemu naszemu spółziomkowi za to, że nam dał poznać *ziemię* i jój pożyteczne plody: to przecie zasługa ta ostatnia nie jest tak małą, ażeby nie można było naznaczyć jój stosunku z zasługą pierwszą. W rzeczy samój, czém jest *nauka świata* dla naszego umysłu i dla ożywiającej go ciekawości, tém jest *nauka ziemi* dla naszego życia praktycznego, i dla jego niezbędnych potrzeb. A zatem jedna i druga równe, chociaż niejednakowe, mają dla nas znaczenie, i równie obudzać w nas powinna uwielbienie dla pamięci tych, którzy się do ich wzrostu i upowszechnienia jakimkolwiek sposobem przyłożyli.”

„Wprawdzie Kopernik i Kluk, innym zupełnie sposobem przysłużyli się nam przez swoje, i w swoich naukach podjęte prace: bo pierwszy podniósł *astronomię* do takiego stopnia jój znaczenia, na jakim dziś stoi, i taki uczynił w niój krok, jakiego już podobno nikt po nim nie uczyni; drugi nas tylko obeznał z tém, co już gdzieindziej było odkryte w *historiji naturalnej* i dokonane, w jój pożytecznych zastosowaniach. Ale ponieważ przysługa, którą nam i wszystkim naszym współziomkom uczynił Kluk w ostatniej z tych dwóch umiejętności, tyle przyniosła nam rzeczywistego pożytku, ile pierwsza przynosi chluby: przeto i za nią tyle obudzać się powinno w naszych sercach wdzięczności, ile za pierwszą, która, wyznać to przed sobą musimy, więcej dla narodów żeglarskich, i bliższe, że tak powiem, mających sąsiedztwo z niebem, aniżeli dla rolniczych, do jakich właśnie nasz należy, zapewnia z siebie rzetelną w życiu praktycznym korzyść.“

„Te to zapewne, jeżeli nie wyższe uczucia i względy, stały się powodem dla ciebie, szanowny mężu i godny dziedzicu tój po przodkach odziedziczonej przez ciebie części ziemi, do uczczenia chlubnie pamięci tego, który się tyle przez swe naukowe i praktyczne prace przyłożył, do podniesienia jój dla nas i dla naszych następców wartości. A chociaż on tój czei dla siebie już nie potrzebuje: bo nawet za życia sama praca, którą tak kochał, i sama wynikająca z niój poeiecha, byłaby dla niego dostatecznym, za podejmowane około niój trudy, wynagrodzeniem; ale wymaga tego po nas nasze uczucie wdzięczności, którego wynurzenie jest potrzebą duszy, i którego objawienie się przez widome znaki, staje się zachętą dla innych ludzi do dobrych czynów.“

„Gdy więc, jak się domyślamy, z tego aż trojakię mogą być pobudki, skłaniające nas do oddawania, przez takowe widome znaki, należnej czci zasłudze i pracy, to jest: najprzód szacunek dla téjże pracy, jako dla dobra, które jest źródłem wszelkiego innego dobra; powtóre, uczynienie przez to zadosyć potrzebie naszego serca; a po trzecie, pobudzenie innych do naśladowania tych, których uwielbiamy i których pamięć jakimkolwiek sposobem święcimy; a wszystkie takowe pobudki zarówno są chwalebne i żadnej innéj godniejszej nad nie, naszej ludzkiej istoty nie uznajemy: przeto którakolwiek z nich stała się dla ciebie, szanowny mężu, powodem do uczczenia tym pomnikiem pamięci Kluka, niegdyś tutejszego proboszcza, a szczególnie pamięci jego pracowitego i zasłużonego życia: równa należy ci za to z naszej strony i ze strony wszystkich naszych współziomków wdzięczność, którą dozgonnie, za tak szlachetny z twojéj szczodrobliwości i z twoich prawych uczuć wynikły czyn, w naszych sercach zachowamy, i będziemy się starali przekazać ją naszym następcom.”



KRONIKA LITERACKA.

*O Pomorzu zaodrzańskiem, przez D. Szulca. W Warszawie, 1850 r.
w 8ce. Str. 84 i mappa.*

Rzadko kto pracuje tak szczęśliwie w zawodzie krytyki historycznej, jak p. Szulc Dominik. Siłą się i inni i budują systemata, żeby objaśnić stosunki wieków i przeczytać pierwsze słowo narodu, którym zdradził rozwinięte już swoje życie. Siłą się przecież napróżno, bo nie mają ani geniuszu Cuviera, ani jego natchnienia, ani jego potężnej myśli. Szulc nierównie skromniejszy wybrał zakres dla badań swoich. Jemu zwykle nie idzie o początek, o to pierwsze wyrzeczone słowo; umysł jego zwykle uderza fakt jeden ciemny, zagmatwany, a ważny; fakt, którego objaśnienie może błyskawicę rzucić na dzieje narodu dawno ubiegłe. P. Szulc wpatruje się mocno w przedmiot, który go zajął: więcęć przecuciem jak rozumowaniem odgaduje całą jego wartość, bo ma wysoko posunięty zmysł krytyczny, a potem już dopiero gromadzi dowody i wnioski, snuje myśli w logiczny wątek, i w końcu przychodzi do tego, że fakt ciemny rozjaśnia, a tam, gdzie spotykaliśmy same tylko niepewności, znajdujemy prawdę, widzimy rozbudzone życie. To też każda bez wyjątku praca Szulca, dorzuciła zawsze pewnik jakiś do skarbnicy dziejów narodu.

Zaczawszy od pieśni *Bogarodzicy*, o której dziś mocno już przekonani jesteśmy, że pochodzi z czasów Bolesława W., aż do badań o *znaczeniu Prus dawnych*, spotykamy wszędzie niezmierne zasługi p. Szulca. Rzecz to niemałej wagi np. ta pewność dzisiaj, że Toruń był osadą polską, jeszcze przed najściem przez Krzyżaków chełmińskiej ziemi, i że się wtenczas nazywał Tarnowem mazowieckim. Niemcy dowodzili oddawna i dowodzą, że Kopernik był Niemcem, pootmkiem wychodźców z Westfalii, bo rodził się w Toruniu; ale kiedy zaprzeczyć nam nie mogli rodowitości polskiej Chełmna i ziemi na której zbudowany Toruń, rzucili

się do wybiegów i dowodzili, że Toruń, zamek i miasto, były osadą czysto niemiecką, powstałą już po osiedleniu się Krzyżaków na Mazowszu. Chociażby to niczego jeszcze nie dowodziło, co do narodowości Kopernika, Niemcy cieszyli się przecież, że wprowadzie na ziemi polskiej, ale w mieście oddawna, od dwóch wieków niemieckim, urodził się sławny astronom. Tarnów mazowiecki, którego posadę wskazał nam p. Szulc za czasów Konrada mazowieckiego księcia, przed osiedleniem się zakonu w Polsce, rozbije do szczytu te iluzje niemieckie. Możnaby powiedzieć, że jedno odniesione zwycięstwo zapaliło myśl Szulca, bo jął się dowodzić nam rodowitości całego gdańskiego Pomorza aż po Niemen i dawne Podlasie. Myśmy nie potrzebowali tych dowodzeń; dla nas były dowody w sercu i w historii, która nam wskazywała na Bałtyk, jak na granicę polskiego plemienia; ale dla Niemców potrzeba było rozumowań i całego systematu. Podjął się tego p. Szulc, a najpiękniejsze światło spadło nagle na gdańskie Pomorze i poznaliśmy łatwo walczących tam braci naszych, o śmierć i życie z niemieckim zakonem. Dzieło *O znaczeniu Prus dawnych* zadało cios ogromny zatwardziałym przesądom i dziwnym pojęciom, i my nie pamiętamy już dawno w literaturze naszej, tak potężnego zwycięstwa, brzemiennego nieobliczonemi skutkami na przyszłość.

P. Szulc więc dotychczas mało zrobił, jeżeli uwagę zwrócimy na ilość prac; ale zrobił wiele, jeżeli się zastanowim nad prac tych treścią i znaczeniem. Zbudował już sobie pomnik długotrwały, bo nie powieemy wieczny, dlatego, że nie mamy nieśmiertelności. Jednakże pomnik ten, te kilka rozpraw p. Szulca, któreśmy tutaj wyliczyli, są ozdobą bieżącej naszej literatury, która dla przyszłego krytycznego obrobienia dziejów naszych, już nie w duchu szkoły Naruszewicza, zdobyła się doprawdy na znakomite dzieła źródłowe. Chcielibyśmy ciągle czytać zawsze tak coś nowego, coś tak równie wielkiego, jak rozprawa o pieśni Bogarodzicy, o Tarnowie mazowieckim, o znaczeniu Prus dawnych.

Z kolei dał nam p. Szulc badania swoje o *Pomorzu zaodrzańskim*. Widzimy, że działał dotąd odporwie; teraz walczy bronią zaczepną i nie mówi już o narodowości Gdańska i Chełmińskiej ziemi, a dowodzi, że całe pobraże nadbałtyckie, od ujścia Odry aż do Łaby, było od niepamiętnych czasów słowiańskie, i że tam mieszkali ludy polskiego pochodzenia. Dla nas wprowadzie i to nie nowość, a jednak nigdy jeszcze, tak jak dzisiaj po rozprawie p. Szulca, nie znaleźmy zaodrzańskiego Pomorza. Spostrzegamy nowe posady, nowe nazwiska ziemi i okolic; nowe ludy, jakby zpod ziemi pokazują się w tamtych stronach i zaświadcniają o słowiańskim przodków życiu. „Nie rozsypują się w proch za

piérwszém dotknięciem, na wzór zezerniałych postaci pompejańskich, a owszem mówią głośno i zrozumiale do wyobraźni i do serca." Szulc badał na pomnikach napisy tych ludów, zgasła społeczność ze znamieniem właściwém do życia przywracał.

Rozprawa o Pomorzu zaodrzańskim dzieli się na dwie części: w piérwszój dał nam autor starożytną geografią całego pasa Słowiańszczyzny zamkniętego Bałtykiem, Odrą i Łabą, z czasu, kiedy tutaj jeszcze w tym pasie mówiono pomorskim językiem, to jest polskim.

Nie piérwszy dopiéro autor *O znaczeniu Prus dawnych*, trzebił te puszcze bez początku i końca, zamierzczył ciemnością, jakby jeszcze za dni stworzenia. Że pominiemy innych, Naruszewicz i badacz *winulskiej słowiańszczyzny*, bładzili po tych dzikich wertepach. Ale zdaje się, że nasz autor nie zwrócił wcale uwagi na te prace poprzedników, poszedł sam o własnej sile, chciał wszystkiego dochoodzić li tylko własnym rozumem, li tylko z pochodnią krytycznej swojej wiedzy. Naruszewicz jest może za stary i może niewarto przestawać na jego wywodach etymologicznych, albo zbliżeniach dziejowych.

Zkąd pochodzi niepewność przyrodzenia ziemi zaodrzańskiej? rzuca pytanie p. Szulc i odpowiada, że przyczyną tego, jest niedbalstwo kronikarzy saskich, którzy pisząc o tamtym kraju, używali nie nieznaczących, nieobjaśniających wyrazów, jak *Winule*, *Słowianie*; tymczasem kraj ten cały nazywał się *Pomorzem*, a lud był *pomorski*. Na dowód cytuje świadectwo autora życia Ottona Bambergskiego, który ciągle pisze o *Pomorzu*. Świadectwo to może ważne, ale niepodobna mu przyznać tego znaczenia, jakie w niém p. Szulc upatruje. Gdyby nie jeden bezimiennik, autor życia Ottona, a trzech, czterech, pięciu kronikarzy pisało o *Pomorzu* i o ludzie *pomorskim*, nie byłoby co mówić przeciw takiemu świadectwu, ale takiego dowodu właśnie nie mamy. Pisarz życia Ottona mógł tutaj użyć nazwiska, które nie było w życiu, w ustach ludu. Ludy między Odrą i Elbą były pomorskie, to jest leżały w okolicach nadmorskich, ale czy nazywały się same Pomorzanami? o tém nas nie przekona Otto Bambergski. Imię zbiorowe, ogólne ludu jakiego, wskazuje na jakąś centralizacyą, na jakąś władzę naczelną u góry; czemuż téj władzy nie widać w dziejach? Bardzianie czy Lutocyanie, jak chce Szulc, mieli swoje własne nazwisko i pocóż im było ogólne? Były ludy leskie, lechickie, ale czy Polanin, Łęczanin, Mazur, sami nazywali się Lachami? czy było imię zbiorowe Lechii w ustach ludu? nam się nie zdaje. Nam się téż nie zdaje, żeby była osobna centralizacya jakaś, oddzielna gromada pomorskich ludów, i żeby język tych ludów miał się nazywać pomorskim. *Pomorze*, jak i *Lechia*, *Rus*, byłyto książkowe nazwiska uczone. Sam p. Szulc po-

wiada, że język *pomorski*, to język *polski*; więc i Pomorze, to Słowiańszczyzna: nie Polska wprawdzie, bo ta mieściła się koło Gniezna i Poznania, ale taka Słowiańszczyzna, z której potem ukształcił się naród polski.

Nie sądzim zatém, żeby szczęśliwy był pomysł szanownego autora, o téj ogólnej nazwie Pomorza. Kronikarze sascy zwali mieszkańców zaodrzańskich *Winułami*. Nie rozumiemy zarzutu, który im p. Szule robi i gniewa się na nich za to, że Winulów nie nazywali Pomorzanami. Kronikarze sascy pisali jak wiedzieli i jak słyszeli. Że zaś autorowi życia Ottona Bamberskiego podobało się nazwać Winulów Pomorzanami, to jeszcze nie żaden dowód, że takie nazwisko pomiędzy ludem istniało. Sądzimy, że termin ten uczony, nieznajomy był tym kronikarzom saskim, co o ziemiach pomorskich pisali.

Ale co do nas za niedbalstwo tym kronikarzom policzmy to, że nam nie wskazali dobrze posad ludów słowiańskich, zamieszkałych pomiędzy Elbą i Odrą; że nam niemczyzną i łaciną zatarli rodowe tych ludów nazwiska tak mocno, że ich się teraz z piśm i z pieczęci domyślać musimy. Szanowny autor wskazuje nam te posady i nazwiska, ależ kto nam zaręczy, że to wszystko, co on mówi, prawdziwe? Owszem, autor jak nam się zdaje, zbyt jest dowolny w przyswajaniu imion utworzonych przez siebie ludom zaodrzańskim. Zapaliwszy się rodowością słowiańską, nie zostawił ani jednego nazwiska na miejscu, na którym go starożytność uświęciła.

Lutycy i Wilcy są u niego *Lutocyanami*, bo takie imię wyczytał na staréj pieczęci księcia Bolesława z r. 1170. Obotryci są u niego *Bardzianami*, Hawłowie *Chabowianami*, Stoderani *Broniborzanami*. Szczecin to *Szczytno*, Szweryn to *Swierczyn*, Wineta to może *Wojnice*. Liczy nam p. Szule powiaty i ziemie za Odrą: ziemię Pyżską, Więclawską, i znajduje księztwo *słowiańskie*, wpośrodku pomiędzy *Wielogrodzianami* i *Rudgoszczanami*. Doprawdy, szczodrą garścią rzucił pomiędzy nas tłum faktów nowych.

To, co innym dawało dopiero powód do wniosków, szan. autor wziął za fakt niezmienny i podług tego zakreślał granice ludom pomorskim, budował u nich miasta, szlachtę ich po nazwisku wymieniał; jedném słowem, szanowny autor dał nam tak dokładny i szczegółowy opis ziemi Zaodrzańskiej, na jaki nie zdobył się żaden świadek, żaden piszący o Słowianach Niemiec w X wieku, albo później. A jednak rzecz dziwna! wszystkie domysły, wnioski, zastosowania szanownego autora w piśmku O Znaczeniu Prus dawnych, tak mocno trafiały do naszego przekonania, jak słabo mówią dzisiejsze jego wywody i twierdzenia.

O to niema sporu, że Słowianie jednego szczepu, jak Słowianie polscy, łęczyccy, szlascy, mieszkali za Odrą do Elby. Ale o to spierać się będziem z szanownym autorem: dlaczego np. Tollenzi mają być Dołężanami koniecznie, dlaczego nie Doleńcami np., to jest ludźmi mieszkającymi u dołu, w dolinie, jak się tego domyślał badacz Słowiańszczyzny winulskiej? *Linii*, *Linones* dlaczego mają być Łupiewianami? i co znaczy Łupiewianie? Dlaczego nad Solą mieszkali Sierpianie, nie Srby, Serbowie? Na to nam p. Szulc żadnego nie da historycznego objaśnienia. Pieczęć na której wyczytał imię Lutocyanów jest zbyt późna; a zresztą komuż bardziej, jak szan. autorowi nie wiedzieć, jak zmienną była ortografia łacińska u Słowian, którzy nazwisk własnych rodowych, nie umieli wyrażać rzymskimi literami? Na ilużto znówu dyplomatach znajduje się wyraz *Lutici*, i zkadże ta pewność, że *Lutocyanie* lepiej?

Nie można zaprzeczyć, że w pomysłach swoich p. Szulc jest szczęśliwy. Nazwiska Brzeżian, Broniborzan, Radgoszczan, Węgrzan i wiele innych, trafnie dobrane; imiona miast potłumaczone na słowiańskie, odpowiadają [dobrze zniemczonym dźwiękom, przez kroniki podanym]. Ale dla przekonania czytelnika, dla podniesienia wartości książki, wypadło szan. autorowi przytaczać i nazwiska niemieckie, wyjęte z kronik lub z dyplomatów, żeby po nich sądzić można było o prawdzie. Nas p. Szulc nie przekonał, kiedy powiedział, że np. u *Wielunian* były miasta i wsi Retowo, Kolno, Buków, Glinnik, i przytoczył takich miejscowości odrazu kilkadziesiąt. Tém bardziej nie przekona Niemców, którzy z jego książki mają nabyć zupełnie innych wyobrażeń o zaodrzańskij ziemi. Tak samo, kiedy czytamy, że u Radgoszczan z rodzin dawnych wspominali kronikarze Drodzowskich, Międzyrzęckich, Dziewickich, Borzęckich, prostém zacytowaniem tych nazwisk nie przekona wcale nas szanowny autor, że tak było, a nie inaczej. Polska miała już historycznie życie w X wieku, a gdyby kto zapytał nas, jakie rodziny sławniejsze żyły za Bolesława W. czy bylibyśmy w stanie wymienić chociaż jedno nazwisko? Jakże więc zabawnie wydają się ci Międzyrzęccy, Rzyszkowscy na zaodrzańskiem Pomorzu? Mieli oni już nazwiska foremne za czasów Piastowych, kiedy Polacy za Jagiełłów jeszcze, pisali się imionami chrześnemi, przydając do tego imienia, nazwiska wsi, z których pocuodzili. Zresztą trzeba było przytoczyć słowa kronik. Książka zyskałaby na interesie, autor na zaufaniu publiczném. Czytelnik mógłby sądzić o prawdzie podanych faktów; teraz na ślepo nie wierzy, bo i ma silne ku temu powody. Minał czas, że się wierzyło na słowo, a potem powtarzało się na słowo, tak, że rosły uprzedzenia i dziejowe błędy. Dzisiaj trzeba przekonać.

W drugiej części swojego dziełka, szanowny autor zastanawia się nad drugim wielkiej wagi dla historii zadaniem: czy Słowianie byli pierwsiastkowym ludem w Europie i na zaodrzańskiej ziemi? Odrzucając świadectwa Rzymian, którzy w opisie krajów naszych robili błędy nie do przebaczenia, p. Szulc zastanawia się nad słowami starego Herodota i z jego podań wskazuje na widoczne ślady zamieszkiwania Słowian od niepamiętnych czasów w Europie. Germania od wschodu odgraniczała się Wisłą, a za tą Wisłą kto mieszkał, gdzie mieszkał, o tém nie wiedział najędrszy z geografów rzymskich Strabo, i do tego publicznie się przyznał. Zkądże więc przyszli Rzymianie do tego nazwiska *Germanii*?, gdzie ją znaleźli? zkąd Tacyt wziął swoje opisy téj ziemi, która ma być niemiecką na téj jedynie zasadzie, że dzisiaj wyraz Germania znaczy toż samo, co Niemcy? P. Szulc wchodzi tutaj na zupełnie nową drogę badań, na drogę, na której nikt jeszcze nie postąpił, i rozwiązuje zadanie pierwszy raz przez siebie nowym sposobem rzucone. W samej rzeczy, wykład faktów oryginalny tutaj i nowy.

Tacyt narachował trzy plemiona pierwsiastkowe Germanów: Istonów, Ingewonów i Hermionów. Hermionowie, to widocznie Germanie, powiada p. Szulc. Dalej Tacyt stale odróżnia Swewów i Wandalów od Niemców i wskazuje na ich oddzielne pochodzenie. Niemcy, powiada dziejopis Rzymu, nie zwali się pierwsiastkowo Germanami. *Ciemnotą czasów dawnych* stało się, że do Germanów wiele innych ludów zaliczano, a jednak ta nazwa Germanii była świeżą jeszcze w pierwszym wieku ery chrześcijańskiej. Germanami byli wtenczas Tungrowie, którzy przeszedłszy Ren, na Gallów napadli. Nie byli to Tungrowie namurscy (w Belgii), ale Turyngowie, którzy składali część Sierpian nad Solą. Jeszcze w początkach VIII wieku Sierpianie ci zagony swoje za Ren zapuszczali, jak niegdyś za czasów Tacyty. Na tych podaniach dziejowych niepewnych, zagmatwanych, bez związku, p. Szulc usnuł cały systemat.

Podług niego, Sierpianie, czyli ich cząstka, Tungrowie, lud słowiański, w częstych napadach, zwyciężali oddawna zarenkie kraje. Przynieśli oni z sobą do ludów właściwie niemieckich imię Germanów. Imię to powstać mogło z Jerzmanowa, Jerzmanowie, albo Jerzmowa, nazwisk często powtarzanych i w naszych okolicach. P. Szulc jednak nie objaśnia nam, co po słowiańsku mogło znaczyć Jerzmanowice, Jerzmanowo. Imię Germanów było więc słowiańskie i służyło ludom sierpskim, zamieszkałym nad Solą. Tungrowie narzucili je zawojowanym Niemcom. Szanowny autor chce tak pogodzić słowa Tacyty, o *niedawnej* nazwie Germanii u Niemców, ze świadectwami historycznymi, które imię to na 222

lat przed Chr. wspominają. Byłoby to wszystko ciekawe, co powiada p. Szulc, gdyby nie było dowolne.

Oto zbliżenia szanownego autora: Hermundurów, inny lud, Tacyt za lud swewiański poczytywał. Mieszkali Hermundurówie około górnej Elby. Mielito być Hermionowie z zepsutém tylko nazwiskiem. Po słowiańsku nazywali się Jerzmanami. Swevi, to prawie Slavi. Dawni kronikarze Swewów mieszają z Wendami. Więc Swewy a Wendy to wszystko jedno. Wendy są Słowianami, to nie podlega żadnej wątpliwości. Za pomocą tedy misternie zlepionych podań, p. Szulc dochodzi do wniosku, który jest nad spodziewanie nowy, a druzgoczący na miazgę pretensye niemieckie. P. Szulc mówi, że Germania, to *słowiańszczyzna*, nie *niemczyzna*.

Dowodzili już i przedtém uczeni, że Tacyt w swojej Germanii nie opisywał tylko ludy niemieckie, a bardzo rozmaitego pochodzenia ludy. Mówiono, że Germania była mozaiką zrzeszonych ludów, bardzo odmiennych narodowości. Szanowny autor poszedł dalej i mówi nam, że Germania, to całkiem Słowiańszczyzna. Więc Tacyt o Słowianach nie o Niemcach pisał? Więc gdzież były ludy niemieckie przed Tacytem, po Tacycie? Więc aż do Renu dochodziły granice Słowiańszczyzny? Za jakie lat kilka, kilkanaście, znajdzie się może kto, że nazwiska zarenkie będzie wykręcał i tam wskazał siedziby Słowian. Świeżo dowiadujemy się, że Kollar zesłowiańszczył całe północne Włochy. Ależ to wszystko ostateczność!

Myslny chcieli tylko wskazać na excentryczność badań naukowych, do jakiej są czasem zdolni, znakomici bardzo pisarze. Być może, ma prawdę za sobą szanowny autor; ale zamiast dowodów, podał nam prosto wypadki swoich krytycznych wniosków, które są zbyt nacechowane jednostronnością i uczuciem rodowém.

Nie widzimy téj jednostronności w massie dowodów, które świadczą za narodowością zaodrzańskiej ziemi, ale w naciąganiu nazwiska Germanii. Może p. Szulc wziął przykład z Prus: tutaj lud niemiecki, a raczej ziemczony, uczuciem jednak obcy naszemu plemieniu, ma imię słowiańskie i szczyi się niém. Więc i Germanie mają być dlatego Słowianami? Uczucie rodowe nie ucieszy się tym nabytkiem, tym faktem: nie narzucamy przemocą badań naukowych, naszych własnych przekonań Niemcom. Bądźmy zawsze Słowianami.

Jednostronność my téż widzimy, w naciąganiu imion, które mają o rodowości zaodrzańskiej ziemi nas przekonać. Czytając nowe dziełko p. Szulca, dziwimy się nieraz, że sam się zapomina. Kiedy z pewnością mówi nam, że Bardzianami są Obotryci, Łuniewianami Linowie: dziwimy się, że szanowny autor, który tak dobrze czyta w przeszłości dawno-

słowiańskiej, nie wszystkie przecież imiona ziem tamtych, podał nam w brzmieniu słowiańskim. Wszakże rozcinając mieczem gorulyjski węzeł, mógł podobierać imiona podobne do dźwięków zepsutych, jak np. ze *Smeldingów* zrobić *Smolan*, i dać nam geografią zupełnie naszą, nie po-niemieczoną czasami. W *Słowiańszczyźnie winulskiej*, spisanej z geografa bawarskiego z X wieku, nie spotykamy żadnego naszego brzmienia: objaśniacz téj Słowiańszczyzny nie śmiał się domyślać; nasz autor kiedy już raz się puścił na tę drogę, powinien być wszędzie słowiańskim i nazwisk polskich nie przeplatać niemieckimi. Ostrożność kierowała téż piórem badacza winulskiego; p. Szulca podaje tylko wnioski swoje, nie dowody, jak-by historią trochę zakroił na romans.

Bez téj jednostronności zresztą, znakomita to praca i znowu jeden pomnik dla zasług p. Szulca. Jakkolwiek nazwiska polskie ludów zaodrzańskich podane są dowolnie, jednakże już mniej więcej stosować się do nich będziemy musieli w następnych badaniach naszych. Potém, wiele tam rzeczy, w tém małym dziełku, opowiedzianych z natchnieniem. Cudnie skreślony charakter tych ludów zaodrzańskich, kiedy bronili swojej ziemi przed napacją Niemców, i pięknie narysowany obraz ich pojęć religijnych, nacechowanych szlachetnością, miłością. Polityka Bolesława W. względem Zaodrzańców, zręcznie z faktów dziejowych schwytna, przyczyni się wiele do lepszego zrozumienia pierwotnej historii Polski. Doprawdy, że wiele światła spłynęło na dawne Pomorze. Dzikie imiona Stoderanów, Willinów, Brezanów, wpsuły cały urok dziejów Słowiańszczyzny, bo zabawnie wyglądały te ludy, które bronili swojej narodowości przeciw Niemcom, a zwały się same po niemiecku. W znacznej bardzo części zginie teraz ta niedorzeczność, bo niejedno nazwisko da się nawet wyłamać z kronik. Broniborzanów np. wspomina Naruszewicz.

Lubim bardzo czytać szan. autora; badania swoje umie on stylem zalecić. Zawsze też śliczny, malowniczy, jędrny język, we wszystkich pracach Dominika Szulca.

28 sierpnia 1850 r.

Julian Bartoszewicz.

Opis Piotrkowa trybunalskiego pod względem historycznym i statystycznym, przez Oskara Flatt. Warszawa. W drukarni Gazety Codziennej. 1850. Str. 62.

Dziełko to, pierwociny młodego pisarza, ukazało się na świat częściowo w Gazecie Handlowej i Rolniczej, przy Gazecie Codziennej tygodnio-

wo wychodzącej, a zamtąd osobno odbite, do liczby monografij krajowych weszło. Praca to najlepszych chęci, i najszczerzych usilności młodzieńca, który wolne od zatrudnień służby rządowej chwile, poświęca nauce i kształceniu się w dziedzinie tyle dla urzędnika i obywatela korzystnej. Więc chwalić go za to należy i zachęcić wypada; bystre zaś oko krytyki na powyższe względy zważając, surowie obejść się z takim pisarzem nie może, którego błędy nie z umysłu pochodzą, a przyszłość najlepsze o nim wróży nadzieje. Rozbiór ten zatem w sposobie przyjacielskiej rady, życzliwie autorowi czynimy: wiedząc, iż do dokładniejszej w tym przedmiocie pracy zabiera się. Podajemy mu oraz bratnią dłoń pomocy, trzymając go za słowo, iż niniejszy Opis Piotrkowa jest tylko chwilową próbką, na której rozpoczętego nie zamknie zawodu.

Opisywać miasta jakiego historyą, nie jestto rzeczą teraz łatwą; nie zastąpią ją suche kronikarskie fakta, lub szumnie nadęte potoczyste słowa, ani wiadomości na domysłach zbudowane a ogólnikami zbyte. Wiele i bardzo wiele, od pisarza tego rodzaju dziejów wymaga się. Leżą przed nim stopy kurzem okrytych archiwów, akt nieczytelnych, faktów szeroko i Bóg wie gdzie rozrzuconych. A jednak wszystko mu to wypada poznać, odszukać, zebrać, zlać w jedną całość i w najdrobniejsze szczegóły wtajemniczyć się; wtedyto dopiéro: „strząsnąwszy pleśń wieków, czytać będzie pamiątki dziejowego grodu”. Inaczej opis miasta nie będzie opisem, i historia tudzież statystyka nie będzie taką, jaką być powinna. Zaiste, zajmującą, nader ważną a wiele w dawnych krajowych dziejach znaczącą jest historia Piotrkowa, zwłaszcza, iż do napisania jęj dokładnie, materiałów wcale nie brakuje. Pierwsze sejmy tam odbywane, synody duchowne, wreszcie głośny w całym państwie trybunał, które oddzielnych badań i poszukiwań wymagają, dostateczne mają dotąd przechowywane źródła. Należy tylko, uzbroiwszy się w cierpliwość, stopy akt przewartować, gdzieby były dowiedzieć się, znalezione umiejętnie użyć. Zresztą wszystko do wykonania jest możliwe, a niezawodnie na takową pracę zasługuje.

Aby więc choć nieco w tych poszukiwaniach autorowi dopomóż, tudzież iż tak jest istotnie przekonać, wskażę mu część tylko niejaką materiałów, które dotąd do mojej wiadomości doszły, a których autor przy niniejszej pracy zaniedbał. I tak: w Archiwum Główném krajowém, oprócz znacznej liczby rozmaitych, tyczących się historyi miasta Piotrkowa osobnych nadsuń, przywilejów i akt, są odrębne dawne akta byłego trybunału koronnego piotrkowskiego, w których jest 78 ksiąg tak zwanych *Zapisów*, zaczynających się od r. 1468 feria 4 ante F. S. Lucae Evang. a kończących na r. 1791: gdzie opisane są czynności rozmaitego rodzaju;

dziela się zaś na tak zwane *Conventionalia*, gdzie są wyroki sądu sejmowego i inne postanowienia, inskrypcye, relacye, donacye, suscepty, (oblasty) i t. p. Tamże [ksiąg 443 wyroków, waczynających się od roku 1578 feria 2^{da} F. S. Martini Pontf., a kończących na 28 lipca 1798 r. które najwięcej spraw tak kryminalnych, jako cywilnych zawierają. Dalej do dziejów tegoż trybunału ksiąg 127, *Sentencyonarzy*, ksiąg 571, *wpisów*, ksiąg 92, *manualów*, wyroków i t. d. Ze wszystkimi temi aktami, jakkolwiek licznemi, wypada autorowi historyi Piotrkowa obeznać się, a mianowicie, gdy mu wypadnie pisać o butnym i możnym trybunale tamecznym, so jego organizacyi, składzie, atrybucyi w różnych epokach, o szeregu marszałków i prezydentów trybunalskich i t. d. Będą to albowiem nowe a szczególnie dla terażniejszego pokolenia zajmujące dzieje. W archiwum Kommissyi Rządowej Przychodów i Skarbu znajdują się: lustracye miasta i starostwa piotrkowskiego z lat 1569, 1629, 1661, 1765 i 1789, w których doczytać się można ciekawych szczegółów o stanie ówczesnym miasta, o liczbie domów, o cechach rzemieślniczych, murach warownych. Są tam nawet niemniej interesujące szczegóły o pobycie Szwedów w Piotrkowie, wreszcie spisy dawnych przywilejów i wiele innych wiadomości. W archiwum Kommissyi Rządowej Spraw Wewnętrznych znaleźć można materiały do statystyki i historyi tegoż miasta, zwłaszcza tamecznych kościołów. Wszystkie te akta w Warszawie znajdują się, lecz niewątpliwie równie liczne materiały znalazłby autor na miejscu. Wiemy z pewnego źródła, że w archiwum magistratu tamecznego, znajdują się przywileje Piotrkowa, a z tych niektóre nader ważne, bo przepisujące obiór członków magistratu, jego atrybucye, stosunek i niezależność od władzy starostów. Wypadałoby przywileje te spisać, osnowę ich przytoczyć, a ważniejsze całkowicie drukiem ogłosić. W ratuszu piotrkowskim podobnie mają się znajdować dawne pamiątki, zwłaszcza wizerunki; trzeba więc podać o nich wiadomość i do historyi użyć. Według świadectwa uczonego ks. Józefa Gackiego, w rozprawie pod tytułem: „Dzieje instytutów, edukacyjnych mianowicie pijarskich zakładów w Piotrkowie“ umieszczonej w popisie publicznym uczniów szkoły wojewódzkiej ks. Pijarów w Piotrkowie w r. 1830 drukowanym, w tamecznym archiwum pijarskim znajdują się księgi, tyżące się interesów kollegium i obejmują wiele szczegółów statystycznych tegoż miasta, a mianowicie ważną mają być księga pod tytułem: *Historia domus Petricoviensis Scholarum Piiarum*, in folio, gdzie opisane jest dokładnie z przyłożeniem dyplomatów wprowadzenie Pijarów do Piotrkowa w r. 1674 i dzieje ciągle aż do roku 1801 doprowadzone. Tamże księga p. t. *Res externae*, gdzie się znajduje to wszystko, co teraz zwykły mieścić gazety, ze szczególniejszą tylko

uwagą na Piotrków. Szacowne to więc są materiały, których żadną miarą w historii lub opisie tego miasta opuszczać nie należy; owszem trzeba je dokładnie przejrzeć, porównać, krytycznie rozebrać, a niektóre ustępy dosłownie przytoczyć. Wszystkie zaś te źródła, które mnie bynajmniej, historią Piotrkowa wyłącznie niezajmującemu się, pobieżnie są wiadome, wnosić każą, iż gorliwemu w tej mierze badaczowi nierównie w obszerniejszym zakresie znane być mogą. Sądzić zatem wypada, i spodziewać się, że p. Oskar Flatt do przyszłej swjej pracy z obfitszym zapasem wiadomości przystąpi, i o wielu innych, oprócz wyżej wspomnianych źródłach, dowiedzieć się i użyć nie zaniedba.

Lecz niedość na znajomości faktów; należy jeszcze uszykować je umiejętnie, brak uzupełnić, wypadki zaokrąglić, a przedstawiając czytelnikom wierny obraz przeszłości, tém dokładniej stan obecny wydać. Dwa po temu zostawione są autorowi sposoby: albo trzymać się raz przyjętego planu w opisie historyczno-statystycznym, albo skreślić zupełną historią miasta, w którejby przeszłość główniejsze stanowisko zajmowała. Jeżeli więc zachowa pierwsze, tedy wypada mu zacząć od położenia geograficznego, topograficznego i fizycznego miasta, o czém w niniejszej swjej pracy zupełnie zapomniał; należy podać dokładniejszą wiadomość o podziale i stanie tegoż w przeszłości, jego jurydykach, wroście i t. p. Dalej pójdzie statystyka ludności, której liczby nie z jednego roku, lecz z lat o ile być może najdawniejszych porównane, wartość swoją i znaczenie otrzymują. Gdy zaś wiadomo, iż od lat wielu magistraty królestwa podają z urzędu wiadomości statystyczne, jest więc dostateczny a przez przybliżenie nawet dokładny materiał, do ułożenia porządnjej statystyki porównawczej, objaśniającej ruch ludności, przemysłu, handlu i t. p. w różnych epokach. Następnie może iść historia czyli kronika miasta, lecz nie suchemi datami najeżona i przetadowana, gdyż to mogło być kiedyś dobrze przyjęte, teraz zaś wymaga się większego związku dziejów i pragmatycznego ich wykładu. W kronice naprzykład, którą autor w teraźniejszej swjej pracy, znalazłszy już gotową i uzupełniwszy ją, umieścił, brakuje wiele faktów; inne są mylne, lub niedokładnie użyte, we wszystkich zaś brak wskazania zkąd były czerpane. A w pracy takiej potrzeba, zanim pisarz zyska dostateczną u czytającej publiczności wiarę, wesprzeć ją nieco cytacyami. Tak w przytoczeniu synodów w Piotrkowie odbytych, 1 lata i ilość są mylne, bo od roku 1456 czyli od pierwszego synodu za Jana ze Sprowy arcybiskupa gnieźnieńskiego odbytego, do r. 1628 za Jana Wężyka, ośmnaście synodów w Piotrkowie odbyło się, a nie 15, i niektóre wcale w innych latach, jak p. O. Flatt na str. 37 podaje. Historia tych synodów zasługuje także na osobne w opisie miasta miejsce, zwłaszcza, iż

są dzieła drukowane, w których autor znajdzie stosowne do tego wiadomości. W tym samym są wypadku i wzmiankowane sejmy, o których wypadłoby dokładniejsze podać szczegóły, oparte na dawnych kronikach, broszurach i uchwałach sejmowych i t. d. równie jako i o magistraturach w Piotrkowie znajdujących się, od czasów najdawniejszych aż do obecnej chwili. Terazniejszy kościół pijarski nie w r. 1667 był zbudowany, lecz w r. 1689 założony, a dopiero w r. 1718 ukończony; wszystkie zatem daty i fakta, które autor na str. 18 w tym względzie podaje, są mylne i niewłaściwe. W historii miasta nie można opuszczać starostów tamiecznych, ich atrybucyj. uposażenia, a wymienić którzy i jacy nimi byli. Dodać historyczną wiadomość o przywilejach miejscowych starozakonnych, o ich wdzieraniu się w prawa mieszczan, zatargach z magistratem i z uczniami, o ich ludności w różnych epokach. Dobrze obznajmiwszy się z aktami, podać o ile być może wszechstronny obraz charakteru, zwyczajów dawnych mieszkańców palestry, jurystów i t. p. Obraz ten może być bardzo zajmującym, i krasie zkadinać suche w tém dziele szczegóły.

Po tém wszystkiém, można przystąpić do opisu miejscowości i historii osobnych gmachów. Wtedy każdy kościół powinien mieć dokładną i szczegółową swoją kronikę, czerpaną z miejscowych akt i bibliotek; trzeba opisać jego postać, strukturę budowy, obszerność, ozdoby, obrazy, skarbiec; wypisać ważniejsze lub wszystkie nagrobki w kościołach znajdujące się, a nie opuszczać nawet i tych, które teraz inne przeznaczenie otrzymały. Tak radziłybyśmy wiedzieć, jakim był kościół ks. Franciszkanów przed jego suppressją; kiedy kościół dawniejszy popijarski zamieniony został na ewangelicki i jaki jego był stan poprzedni. Podobnie zasługują na dokładne opisanie portrety fundatorów w gmachu pijarskim znajdujące się, o których p. Oskar Flatt na str. 19 wspomina. Napisy na tych obrazach będące, i podane wedle akt miejscowych wiadomości o tychże fundatorach, mogłyby wykryć niejedną pożądaną szczegół historyczny.

Po kościołach skreślić należy historią szkół tamiecznych, chociażby podług doskonałej, a wyżej od nas wspomnionój rozprawy ks. Gackiego, którą można aż do dzisiejszych czasów w tymże samym sposobie uzupełnić, sławniejszych profesorów i uczonych w Piotrkowie żyjących lub z tamtąd pochodzących wspomnieć, a nawet nie zawadziłoby całe ich żywoty umieścić. Do tego dołączyć dzieje drukarni piotrkowskiej w r. 1792 założonój, wymieniając wszystkie książki w niej drukowane; wreszcie podać także i krytyczną wiadomość o tamiecznych programatach szkolnych i t. d.

Przy opisie dawnego zamku wypada być dokładniejszynie, i mniej szumnie brzmiącemi ogólnikami ciekawość czytelnika zbywać; ho wedle tego, jak autor na str. 10 podaje, sądzićby można, że to gmach wielki, tymczasem ma to być tylko kilkopiętrowa rudera, o trzech czy czterech oknach z każdej strony, i tyluż komnatach na każdym piętrze; a bynajmniej nie powiedziano, co się w nim kiedy mieściło, przez kogo był zamieszkiwanym i t. d. Tu podobno odbywał początkowo swoje posiedzenia trybunał; należałoby więc objaśnić, kiedy i dlaczego przeniesienie jego do domu w rynku, dzisiejszego ratusza nastąpiło. Zkąd wreszcie autor poczerpnął tę wiadomość, że mury tego zamku w r. 1658 tak były zniszczone, że sądy w nim obradować nie mogły (str. 14). Niemniej ciekawa jest starożytnością swoją bóżnica żydowska, o której pobieżnie tylko na str. 21 wspomniano, a ponieważ ona jest starożytną, zasługuje zatém na obszerniejszą i historyczną wzmiankę. Niechaj nam autor przy osobnych opisach gmachów lub okolic miejscowych nie opuszcza owych podań, które, jak wspomina na str. 31, 32, 33, istnieją o Bugaju, Wierzejach, i Szczekanicy. Podania te bardzo mogą przydać się, a zawsze w dziele takim są pożądane; mianowicie poeta, romansopisarz i artysta, wdzięczni będą za te zwykle poetyczne i nader zajmujące, chociażby i smutne legendy. Radziłyśmy mieć także dokładniejszy, niż na str. 31 znajdujący się opis Bykowa, dawnego pałacu królowej Bony; należałoby podać historyczną wiadomość o tym zamku, tudzież dać obraz jego stanu i obszerności przed kilku laty, zanim go terazniejszy właściciel w części wyrestaurował. Zresztą, gdyby autor mógł i zewnętrznie dzieło swoje ozdobić, tedy wypadłoby przyłączyć plan miasta, który zapewne w magistracie musi znajdować się, a nadto widok Piotrkowa, celniejszych jego gmachów, tudzież przerys ślicznych fresków ks. Andrzeja Ahorna Jezuitę, z kościoła pijarskiego i t. p.

Owoż takimi są nasze życzenia dla przyszłej historii miasta, którą p. Oskar Flatt z czasem przyobiecuje czytelnikom swoim przysłużyć się. Pragniemy mu z serca pomyślnego w téj mierze postępu, a za terazniejszą pracę, choćby za samą dobrą chęć, jeszcze raz chwalimy.

F. Max. Sobieszczański.

*Przy kominku. Przez Wincentego Kollupajtlę. Wilno, drukiem
T. Glücksberga, 1849. W 8ce, str. 96.*

Zanim zdamy sprawę z treści tego pisma, musimy z góry uprzedzić naszych czytelników, że autor nie użył żadnego pseudonimu. Dzię-

kujemy mu szczerze za to, że nie chciał powiększać tego licznego orszaku dziwołagów literackich, jakich nam ciągle nasylają księgarze wileńscy i kijowscy. Czytaliśmy w jedném z pism wileńskich tłumaczenie szczerze, dlatego niemal wszyscy tamtejsi literaci ukrywają swe nazwiska. „Obecnie (mówi autor obrony) zjadliwość krytyki nikomu nie przebacza; co człowiek z szlachetnej pobudki, dobrej woli wypracuje, zaraz Zoilusy nicują: pocóż więc pocziwe szlacheckie nazwisko swoje dozwalać tym jadowitym istotom szarpać i kalać, kiedy pod pseudonimem, śmiać się z nich można, i w każdym razie, autorstwa się wyrzec skrytykowanego pisma”.

Zostawując sąd o tych *argumentach* obrońcy pseudonimów naszym czytelnikom, przystępujemy do samego dziełka p. Wincentego Kotłupajły. Autor przypisał je pamięci zmarłego *Marcina Ciepłińskiego*, znanego pod imieniem *Ossoryi*. Hołd w kilku wierszach złożony pamięci tak zacnego rodaka, podzielamy z równém współczuciem. Krótka przemowa szczególniej zastanawia: w niej autor uosobiwszy poezją, takie w jój usta kładzie słowa:

„ Czy moja w tém wina, że oprócz kilku, trudno mi było wybrać z pomiędzy was godnych postanników? Ale ja i wierszokletami nie gardzę, owszem błogosławię im: jestto gmin mój pracowity jak mrówka, który po jedném ziarnie idee moje rozniesie, rozsadzi, rozkrzewi. Łącznie z chórem waszych pedagogów narzekacie, że opanowała Litwę; Bóg wie, co i gdzie jest potrzebém: na choroby endymiczne dał on miejscowe zioła i źródła, na wasze naprzykład kołtuny i szkrofuły, macie *Druzgienickie* wody. Owoż i w świecie moralnym toż samo się dzieje: wedle rodzaju zepsucia, pojawiają się zaraz środki zachowawcze. Tak niegdyś Judei spodlonój i przeniwierczój zaradzał ascetyzm, tak ja dziś, śród ludu najnniej poetycznego, mam oddziaływać materializmowi. Litwin zimny, obojętny; widzimy z historyi, że nawet w dzikości swojej, nie miał energii: prawie bez żadnej propagandy skruszył swoje bóstwa opiekuńcze, bez poświęceń, bez żalu, niewdzięcznie. Skoro się on oświeci, przeważa w nim żywioł rozumowy; wszyscy rozumują aż ckliwo, bo też rozumowania ich tak liche, opóźnione, niedołączone, to tylko przynoszą w skutku, że zabijają i tak słabą i kartowatą uczuciowość. Muszę więc pracować z krwawym potem, nad wskrzeszeniem otrupiałego serca: gdyż w niém pierwsza pulsacya życia tak fizycznego, jako i moralnego. Według wyobrażeń waszych, uczucie jest jakąś igraszką, wyrazem, dodatkiem; handlujecie niém na wygodki, przyjemności zmysłów, na zaspokojenie nałogów. Co za zbrodnia! jakie poniżenie, duchowość poświęcać ciału! Powieǳcie, czém jest ewangelia, jeśli nie samém uczu-

ciem, miłością? Bo miłość jest najwyższą potęgą, mądrością, poezją, religią nakoniec, a u was przecie tego *króla-ducha*, to bóstwo ziemskie zaprzęgają w jarzmo rozumu, wówczas, kiedy przeciwnie tenże rozum winien z czcią i pokorą stać w progę, i oczekiwać na jego skinienia. Widzisz więc missyą moję trudną; wszakże nie tracę nadziei, bo działając na człowieka, wszystko z nim dokazać można. Naprózno więc mnie wyprawiasz; nie opuszczę waszego kraju, tém bardziej, że chociaż na małej liczbie, jednakże na niektórych z twoich ziomków lepiej jak gdziekolwiek udało się moje natchnienie”.

Zdania te, wyrzeczone z całą otwartością przez rodowitego Lit wina, wiele nas objaśnić mogą, zwracając uwagę na ducha i dążność tamiecznych wielu pisarzy.

Pan Chorąży, gawęda szlachecka wierszem, (rożna od reszty utworów, stanowiących całe dziełko), zaleca się prostotą w opowieści, i czystym językiem. Przywiedziemy tu wstęp p. n.:

Kto pan Chorąży?

Pan Chorąży dziedzic Hrawicz,
Staroświecka, szczerą duszą,
Niegdyś sławny sejmikowicz,
Dziś na sejmik ani rusza.

Nieraz mówi złany łzami:
— „Co to wasze dziś sejmiki,
Nie ma szlachty z szabelkami,
Same tylko *stoduszniki!*“ (1)

Prawodastwo wtenczas może
Uszczęśliwić społeczeństwo,
Gdy opinii władzę wzmoże,
Dając wszędy jój pierwszeństwo.

Bo opinia nakształt bóstwa,
Łączy w sobie dwa przymioty:
Karci możnych samolubstwa,
Wynagradza biednych cnoty!

Dotąd pamięć mię pociesza,
Co to sejmik dawniej daty!
Toć marszałkiem był Kulesza,
Biędny dziedzic kilku-chaty!

Pan Chorąży, pomimo siwizny, szanuje obyczaj przodków i pamięć; na odpust, na jarmark, na wizytę konno zawsze:

(1) Bogacze, po sto dusz chłopskich posiadający.

To Chorąży na swój siwce,
Siedzi w łęku jak przykuty;
Był w kontuszu, w rogatywce,
I pokręca wąż swój suty.

Cała *gawęda* składa się z dziesięciu małych ustępów, w których autor charakter i sposób myślenia pana Chorążego dokładnie przedstawia. Wybierając młodemu żonę, i dając przestrożę jaką być ma, tak się stary zręda o literatkach wyraża:

„Od uczonej strzeż cię Boże!
Za czytaniem dom ogłodzi,
Zimno dzieli męża łożę,
Zamiast dzieci, książki rodzi.

Chcesz czy nie chcesz zawsze uczy,
Pełna chluby, samolubstwa,
Tak mądrością ci dokuczy,
Że wolałbyś cudzej głupstwa.

Bo kobieta jak piosneczka,
Dowcip, czułość mieścić może;
Ale nauk... ni troszeczka,
Filozofii!...a! broń Boże.

Rozum u niej to źródło czyste,
Co wyżywia drobne rybki,
I powabny, i kwiecisty,
Szele ich rzekom w pędzie szybki.

Jeśli kto w ten źródło wążutki,
Olbrzymiego *suma* wrzuci,
Jakież z tego będą skutki?
I sum zdechnie, i źródło skłóci”.

Lukaszowie powieść znad *Szczary*, wyraźna chęć naśladowania *Wiesława Brodzińskiego*, daleką jest od swego wzoru. Mało autor obeznał się z pieśniami ludu, nie umiał się przejąć ich prostotą i szczerotą mowy i uczuć: a jakkolwiek treścią całego poematu jest ciągle lud na scenie, ckliwość tylko i niesmak obudza. Szlachetna dążność, poczciwe myśli chwalić możemy; ale gdzie poezya, gdzie prawdziwe uczucie, za którym *w przemowie* tak się odzywał autor wymownie?

Zbiór wierszy, jakie się mieszczą po tej powieści, pomijamy bez wspomnienia, uważając je tylko jako konieczność, w celu powiększenia objętości książki.

Utwory p. *Wincentego Kollupajlly* nie wróżą nam wcale poety. Niewłaściwe to pole dla jego zdolności.

Wł.

Broszury Emanuela Jastrzębczyka. Wilno, drukiem Józefa Zawadzkiego, 1850 r. W 8ce, str. 16.

Z godłem:

„Zaprawdę, zaprawdę mówię: jeśli się kto nie odrodzi znowu, nie może widzieć królestwa Bożego.”

Ev. Jana, R. III, w. 3.

Otóż mamy nowy pseudonim, do owego licznego szeregu, jaki się objawił w Petersburgu, w Kijowie i w Wilnie. Widać, że to u braci naszych zaniemeńskich jest panującą epidemią. Każdy się tam chroni wystąpić z własnem nazwiskiem, i pocztą prawdę lub myśl, choćby najszlachetniejszą, pod płaszczem pseudonimu ma tylko odwagę wypowiedzieć.

Broszurka Emanuela Jastrzębczyka nie zwróciłaby uwagi, ani pod względem języka, ani umiejętności oddania myśli, gdyby nie treść jój żywotna. Autor stara się nam ukazać rok 1850.—*Litwę, wieś, główne cechy towarzystwa litewskiego, starych i młodych na Litwie.*

W przemowie myśli główną swęj broszury tak wyraża:

„Pismo, które obecnie przedsiębiore, ma być organem czystych zasad chrześcijańskich, których wyznawcą i mnie Bóg zostać dopuścił. Na nich obecnie wykształcają się powoli w literaturze ojczystej, i w opinii publicznej najżywotniejsze kwestye filozofii, polityki, dziejów, i ekonomii. Usiłowaniem pisma tego: upowszechnić te zasady w ogół czytelników naszych i gotować żniwo, przenikając niemi wszystkie objawy dzisiejszego moralnego życia współziomków“.

„Biorę się po raz piérwszy do ogłoszenia pism moich, nie w celu pozyskania owych ponętnych powabów, które bywają udziałem indywidualności literackiej. Sprawa, której słabym tylko zasiłkiem być mogę, tak olbrzymia, iż w obec jój, mogę myśleć tylko o niej i działać dla niej, a ztąd występować li z celów moralnego użytku współbraci. Sądzę, iż utwór literacki nie chybia swemu przeznaczeniu, gdy nie jest popisem talentów autora, lecz aktem poświęcenia, działaniem”.

Ciekawą jest bardzo charakterystyka Litwy:

„Główne cechy Litwinów: prostota, życie wyłącznie sercowe, i straszny brak życia umysłowego. To są wady i cnoty wspólne ogółu Litwinów. Nikt nie zaprzeczy wielkich zalet tym, u których w piersiach nie wygasa ogień uczuć, u których serce na to, by było czułem. Lecz cóż warte uczucia przy ciemnocie umysłowej? Mogali te uczucia być użytecznymi ludzkości, gdy dla umysłu obca nawet idea ludzkości? Dlate-

gożto na Litwie, mimo życia sercowego, tak ogólny był dotąd brak szczerzej a gorącej sympatii dla nieszczęść dotykających ogół, dlatego Litwa oddycha wyłącznie życiem prywatnym i rodzinnym. Krąg działania tego zachwalonego na Litwie serca, tak stał się drobnym i niewidomy z powodu płytkości umysłowej, że trzeba zanurzyć oko, uzbrojone w podwójne szkła przenikliwości, w domowe szczegóły stosunków rodziny i codzienne czynności prywatnych indywiduów, aby dostrzedz to życie sercowe. Niedarmo dla Litwinów przyjęty ogólnie przez pobratymców hańbiący epitet *ciemny*. Ciemnota umysłowa, to największa klęska, najgłębsza rana zadana Litwie w boju dziejowym: ciemnota umysłowa, to źródło wszystkich wad i grzechów prowincyi litewskiej”.

Po tak dosadnym przedstawieniu stanu umysłowego na Litwie, mówi dalej autor, że od pewnego czasu światło umysłowe zamajaczało wyraźniej na horyzoncie litewskim. I jako dowód tego, przywodzi kilka przymiotów charakterystycznych, nadawanych rozmaitym osobom, w myśli występiania wad towarzyskich, w myśli postępu umysłowego, i doskonalenia się moralnego.

Te przymioty są: *Wilkołak*, *Salonowicz*, *Lafireda*, *Karyerowicz* i *Postępowy*. Tylko ostatnie na pochwałę; wszystkie inne służą dla przygany.

Co jest *Wilkołak*? Przymiot to stworzył pierwszy autor *Jordana*. Stosuje się do ludzi nikczemnego i bezwładnego ducha, do ludzi (jak wyraża sam autor) zatyłych w materji, egoizmie i drobiazgowości. Lafiredę A. E. Odyniec dokładnie określił (*Pamiętnik Literacko-naukowy*). Sam wyraz *Salonowiczów*, wykazuje ich znaczenie; autor dzieli jeszcze na dwa gatunki: pierwszy zniewieściałych, tak nazwanych *delikatnych*; drugi salonowiczów *cichutnych*, usiłujących odznaczyć się od wszystkich, gustownym użyciem salonowych prawideł.

„Niegdyś (mówi autor) salon był żywą formą, żywym ciałem, którego duszą było towarzystwo najwyżej stojących, najwykształconiejszych ludzi. Obecnie to życie salonowe już nie wystarcza wymaganiom towarzystwa wykształconego; duch salonu uleciał, pozostał nam tylko szkielet, których czcicielami, jakby na ironię, są żywe zera dzisiejszej społeczności, owi *Salonowicze*”.

Karyerowicz, jestto renegat towarzyski, przyjmujący islamizm salonowy dla interesu, w celu zrobienia kariery przez hymen posażny.

Pomijając definicye *Postępowego*, jako u nas przedmiot oddawna otarty, musimy jeszcze zatrzymać uwagę nad objaśnieniem, co tam znaczy wyraz *obywatel*. „Ten zaszczytny tytuł (słowa autora) jest w ogóle prostą ironią. Obywatele przez socyalne swe położenie stanowiąc naj-

wyższą warstwę społeczeństwa, przecież haniebnym sposobem są wyobrazicielami najszkaradniejszych wad prowincjonalnych, to jest ciemnoty, ze wszystkimi jój satelitami”!..

„Jakież przecie obowiązki połączone są z godnością obywatela naszego? Obowiązki? czyżto pan obywatel ekonom, albo guwerner, albo cyrulik, żeby miał obowiązki? U nas obywatel wolny od obowiązków! A cnoty obywatelskie? Pchel o tém rzadko bywa mowa. Chyba te są cnoty: zachować w całości fundusz, z parę fetek wydać do roku, i chłopstwa nie rozpuszczać”.

Obywateli litewskich dzieli następnie autor na dwa rodzaje: „na obywateli *panów*, i obywateli *szlachtę*. Piérwsi tém się odznaczają, że ubierają się modnie, dmą się straszliwie, prowadzą życie *salonowe*, i czytają romanse francuzkie. Szlachta zaś ciemna straszliwie, przesądna, unizona; zajęciem się jój jedyném—gospodarka, celem życia—zarobek. Jeżeli przy dobrym bycie materyalnym, egoizm i pycha stanowią cechy arystokracjii takiéj, jak ją pojmują teraz na Zachodzie, to obywatele stanowią arystokracją litewską. Arystokracya ta, tém się jeszcze różni od arystokracjii Zachodu, że jest stokroć ciemniejszą od téj, i niedołęniejszą moralnie. Egoizm obywateli naszych wiadomy; niejeden *wilkołak* chyba ze strachu rzekłby się barbarzyńskich przywilejów swoich. Co zaś do pychy, widzimy ją co chwila w obejściu się z niższymi, widzimy ją w téj poczciwszój, i do najwyższój potęgi doprowadzonój zarozumiałości, niedozwalającój nie doskonałego prócz siebie, prócz kastowego widzimi się. Zarozumiałość i upór, to zwykłe towarzyski ograniczonego umysłu”.

„Na Litwie (mówi autor dalej) życie prywatne jest w znacznym stopniu patryarchalném: synowie idą w ślady ojców, młodzież we wszelkich okolicznościach oddaje piérwszeństwo i przewodztwo starszym. Ztąd niezmierny wpływ ostatnich na rozwinięcie się moralne młodszego pokolenia, i arbitralna przewaga we wszelkich stosunkach towarzyskich, w życiu materyalnym i społeczném, nad młodszymi, wyższymi nierównie od nich w duchowém rozwinięciu”.

Młodzież autor wychwala: „*że jest na dobrój drodze, na drodze postępu*”; ale jedna (jak wyraża) okropna epidemiczna zaraza toczy ducha jój ogółu:—to *preferans*, ten smok potworny, pożerający czas i mózg młodzieży naszej, ten morderca zabawy towarzyskiéj.“

„Raz przy stoliku preferansowym odezwałem się do grających w te słowa: *Czy macie Boga w sercu, gdyby (?) krótkie chwile marnego życia waszego, tak marnie trawić z kartami w ręku?* Jeden z partnerów podniosłszy na mnie oswiałe oczy, odpowiedział z gaskońską naiwnością zapytaniem: „A cóżby my robili, żeby nie grali, he?” Widzicie z téj

gieniałnej odpowiedzi, jak preferans zabija zabawy towarzyskie. I w istocie, zabawy nasze to umierający, udający zdrowego, a raczej umarły galvanizowany. Preferans ukradł całkiem życie zabawom, zatrzymał ich rozwinięcie, ujął zwolennikom swym instynkt do nich. Możeż być coś tkliwszego i bardziej wymuszonego, jak rozinowa w towarzystwie z obu płci złożoném, gdy w niej niema jakowéjs postronnej sympatyj? Gdy nie wierzycie, zapytajcie panien naszych, jak się męczą przy tańcu wymęczonemi z ust tancerza grzecznosciami. Gdyby nie preferans, znaleźlibyśmy zamiast jego coś godniejszego, powabniejszego i weselszego, co by dało życie i wartość zabawom towarzyskim”.

Na tém kończy p. Emanuel Jastrzębzyk pierwszą swoją broszurę, przyrzekając, że w następnej powie słów kilka o płci pięknej na Litwie. Liczby dalszych broszur nie ogranicza, z uwagą, że to zależy będzie od nadarżających się warunków, powodujących autora do prowadzenia dalszego swych broszur.

Utwór ten zasługuje na szczególną uwagę głównie z tego względu, że za przykładem *Gwiazdy Kijowskiej*, ukazuje nam w zarysach swoich społeczność litewską. Dążności, jaką okazuje autor, nie ganimy, bo zdaje się nią kierować myśl szlachetna, i godna każdego uczciwego pióra. Ruch literacki jaki rozwija się obecnie na Litwie, gdy nietylko przeszłość, ale terażniejszość i przyszłość ma na celu, żywo nasze współczucie obudza. I ten sam ruch zadaje fałsz, zbyt ciemnym zarysom p. Jastrzębzyka.

Zaśmiało, zuchwale a nieobacznie rzuca na całą społeczność litewską zarzut ciemnoty, głupowatości nawet. My inaczéj, choć zdala, widzimy; a nasze przekonanie popierają nie deklamacye, ale fakta. Jeżeli autor w jakim zapadłym zakątku mógł znaleźć powody do narzekania na brak oświaty: to życie patryarchalne, o którém nam mówi, powinno go było ukoić. Oświata, rzecz do nabycia, i przyszłość dać może nadzieję; ale cnoty domowego życia, życie potryarchalne, tego żadna oświata nie da.

Litwa stawia nam potężny zastęp zasłużonych mężów pióra i szabli: dziś nawet chlubi się wielu pracownikami umysłowemi, dla których mamy cześć i szacunek. Opluwać zółcią wzgardy całą społeczność litewską, wmawiać, że dopiero *majaczeje* światło umysłowe: jestto fałszować prawdę, a wymowny dawać dowód szczególnego usposobienia do zjadliwéj satyry.

Wszystko ma swoją granicę: chęć choćby najszlachetniejsza, jeżeli nie umie się w szrankach właściwych utrzymać, do smutnych, jak widzimy, doprowadza następności. Daliśmy wierną treść téj broszury, aby czytelnicy nasi mieli pojęcie całości.

Zwracamy w końcu uwagę p. Jastrzębczyka na język: życzilibyśmy więcej dbałości o niego, mniej deklamacyi, a więcej jasności. Cóżto za dziwny np. wykrzyknik na dowód, że generacya starych, jako element wsteczny, nie nie podoła teraz:

„Cóż oni dokonać zdołają ze swém *passiwném* usposobieniem, i *nihilizmem intelektualnym*?

Gorzéj jeszcze wystąpił autor, opisując w uniesieniu, że na wsi litewskiej się urodził, i duch jego tam przyoblekł ciało.

„Tam (mówi) z woli nieba marzący duch mój zszedł z przedświatów, abym się światu przerodził w *ciele!!!*”.

Przyznać musimy, że taki dwuznacznik, może się tylko zbyt bujnym zapalem autora wytłumaczyć. Wł.



ROZMAITOŚCI.

WSPOMINKI Z ŻYCIA WOJSKOWEGO W AFRYCE.

Wyprawa w prowincyi algierskiej.

Do najważniejszych wypadków drugiej połowy bieżącego stulecia, należy bez wątpienia podbicie Algieru przez wojska francuzkie; jestto rzeczywista zdobycz dla cywilizacyi, już teraz znakomite, a w przyszłości niewysłowione mogąca mieć skutki. Afryka ta ziemia złota, kunsztów i przemysłu; ziemia, która w odległej starożytności liczyła tyle znakomych grodów i ludów, wydała tyle wielkich bohaterów i ludzi stanu: Faraonów, Ptolomeuszów, Annibalów i Magonów; współzawodniczka z Europą przez walki Kartagińczyków z Rzymianami; ta ziemia, która przez tyle wieków, bo od upadku dumnego państwa Romula jęczała uciśniona ciężkiem brzemieniem tyraństwa i ciemnoty,—miała wreszcie być wróconą społeczeństwu, cywilizacyi, ludzkości.

Z oklaskami téż Europa przyjęła wiadomość zdobycia Algieru, jednę z najważniejszych strażnic barbarzyństwa afrykańskiego; przez lat kilkanaście z troskliwą gorliwością śledziła postęp francuzkiego oręża w tych stronach, zagrzewając bohaterów publicznemi pochwałami, uważając ich za wojowników cywilizacyi. I rzeczywiście, każdy krok przez tę waleczną armią uczyniony naprzód, każda walka sprowadzająca bezpieczeństwo prowincyi, mogły być uważane jako zdobycz na barbarzyństwie, jako nowa rękojmia postępu cywilizacyi.

Sądźmy zatém, że obszerniejsze szczegóły dotyczące tych walk potrafią zająć publiczność, dając jej obraz jużto samej krainy pod względem politycznym, topograficznym i moralnym, już téż znojów, na jakie wystawioną jest dzielna armia wojowników, i trudów z jakimi musi wywalczać najłatwiejsze napozór zwycięztwa. Korzystając więc z artyku-

łów, jakie świeżo w tym względzie ogłosił jeden z znakomitszych literatów francuzkich, p. Castellane, dołączywszy do nich różne szczegóły z pism innych autorów, podajemy je naszym czytelnikom, sądząc, że tém istotną zrobimy przysługę.

Wspomnione artykuły są ważnemi z jednego jeszcze względu: dają mnóstwo szczegółów rzucających światło na czyny wojenne, sławę, jaką zyskali, i ważność obecną polityczną kilku z najwięcej znajomych generałów francuzkich, jak Lamoricier'a, Cavaignac'a, Changarnier'a. W Algieryi ci generalowie uszczknęli wawrzyny, które zdobią ich czoła; tam jest kolebka ich obecnego wpływu na losy współziomków, a nawet Europy; tam oni nauczyli się walczyć, i w walkach okazali ten wojenny talent, który do świetniejszego rozwinięcia się potrzebuje tylko obszerniejszego pola, działania tylko szczęśliwszych okoliczności. Jak kiedyś armia egipska Napoleona, tak dziś afrykańska Lamoricier'a, kto wie, czy nie jest przeznaczoną do odegrania znakomitej roli w swojej ojczyźnie, kto wie, czy nie jest zarodem przyszłych wielkości Francyi, a może być, i drugi Napoleon z jej szeregów wyjdzie.

II.

Przybywającym morzem, Algier wydaje się miastem uśpioném na szczycie niewysokiego wzgórza, spokojném wśród świeżych i rozległych błoni, które go okrążają. Z pozoru możnaby go wziąć za królowę znającą swoją potęgę, i mogącą bez bojaźni oddawać się spoczynkowi; jednak gdy się więcej przybliżysz, gdy wejdiesz w jego białe mury, dojrzysz odrazu, że ten pozorny spoczynek ukrywa czysto europejską działalność. Rzeczywiście mużulmański Algier znika codziennie, ustępując miejsca francuzkiemu miastu. Z tarasu domu, w którym znaleźliśmy gościnne przyjęcie, mieliśmy prawdziwie zajmujący widok na miasto i jego ulice, zapelnione gwarliwym i ruchawym tłumem; nikt tu zdaje się nie chodzi, każdy biegnie, a jaka rozmaitość ubiorów i ludów! Tu Europejczyk nowo przybyły i niemogący dać sobie rady w okrążającym go tłumie; tam Biskrysy (1) spieszący się krokiem miarowym i szybkim, dźwigający na długich kijach ogromne ciężary; tu się przechadza Arab w swoim burnusie, Turek w zawoju, Żyd w ciemnej, ponurzej odzieży: tam handlujący oliwą, niesie ją w skórzanych kubbach, a wśród tego tłumu uwijają się wózki wiedziane od Negrów, kabryolety i muły pociągowe objucone zapasami wojennemi. Wreszcie biegną galopem mimo zakazu policyi: to kolonista w białym o szerokich skrzydłach kapeluszu, to oficer

(1) Mieszkańcy Biskary, przybywający do Algieru jako wyrobnicy, a szczególnie tragarze.

w świetnym uniformie, sądzący, że wszystko mu wolno w mieście, które strzeże swą szablą. Jednym słowem, wszędzie widzisz ruch, gwar, czynność, energią, nadzieję; a nadzieję prawdziwą i korzystną, bo opartą na pracy. Lecz gdy dolne miasto oddane jest na łup francuzkiemu szaleństwu, w górnym, milczenie, spoczynek i powaga muzułmańska obrwały sobie schronienie. Nie zachodzi w te ulice wązkie i kręte, gdzie dwóch ludzi z trudnością obok siebie postępować może: zgubisz się w tym labiryncie, który zdaje się być wyłącznie zamieszkały od duchów. Od czasu do czasu widmo jakie białe przesunie się obok ciebie, brama zakrzypi; ciekawie odwrócisz głowę, i wszystko zniknie. Ktoby rzekł, iż ze szczytu *Kasby* powiewa jeszcze przerażające poddanych krwawe знаmię dejów; a przecież od lat dwudziestu sztandar francuzki jest tu rękojmnią bezpieczeństwa i spokojności.

Rok 1843 ważnym był dla Algierii. Władza Francji coraz dalej rozciągała się, coraz dalej i silniej. Wojna oddalała się coraz więcej od stolicy. Algier zaczynał nas nudzić, jego domy nie mogły zastąpić namiotów obozowych; rachowaliśmy godziny, oczekując chwili, gdy przyjdzie rozkaz złączenia się z generałem Changarnier. Wreszcie ten rozkaz był dany, i udaliśmy się z pośpiechem do Blidah, rezydencji generała.

Droga z Algieru do Blidah w 1842 i 1843 r. (1) wiodła najprzód ulicą Bab-el-Oued, potem od nagrobku Omera-Baszy skręcała się na lewo, i wznosząc się ciągle w górę, dochodziła do Tagaryn (2). Podróżny miał naprzód pod swemi nogami małą wioskę Mustafa, jej zakłady przeznaczone dla jazdy, zatokę, góry Kabylskie i świeże oazy, wznoszące się na piaszczystym wybrzeżu morskiem; lecz wkrótce zmienił się krajobraz, przez ciąg kilku godzin gdzie zwróciliśmy oko, mogliśmy dojrzyć tylko małe pagórki, kartowatemi palmami pokryte: wreszcie wyszliśmy na szczyt Ouled-Mandil, z którego to miejsca cała Mitidzia rozsuwała się przed naszymi oczyma.

Szeroka na pięć mil Mitydzia, rozciąga się aż do gór równoodlegle od wzgórza Sahel i wybrzeża algierskiego idących w głąbię doliny; drzewa oliwne pokrywają spadzistość tych gór, a szare skały ocienione jodłami i dębami, wznoszą się na ich szczycie. Blisko morza, na wschód, podróżny spostrzeżga Fenduk, przed sobą na równinie Buffaryk, a na prawo Blidah, z pomarańczowemi lasami; dalej Chiffa i Muzaja, miejsca tyle słynne walkami tu stoczonemi, i których wspomnienie zostanie na zawsze

(1) Później urządzono nowy trakt w innym kierunku.

(2) Budowla turecka, znajdująca się za miastem niedaleko Kasby (dawniej rezydencji dejów algierskich).

w dziejach wojennych; wreszcie Oued-Ger i Bu-Rumi, miejsca zbroczone krwią naszych żołnierzy, Oued-Laleg, grób całego batalionu regularnego wojska emira: nakoniec jezioro Allula, dolinę wiodącą do Szerszel, i na samym skraju widnokregu blisko posiadłości Hadzutów, pokolenia arabskiego tyle groźnego okolicom Algieru, szczyt góry *Szenuan*, barometr naturalny, wznoszący się na kilka kroków od grobu chrześcianki (1). Gdy mgła powlecze szczyt téj góry, znak to pewny blizkiego deszczu; w téj zaś epoce (w marcu 1843 r.) miało to często miejsce, dolina téż była bujną zielonością pokryta, i nasze rumaki przebiegały po niej ochoczo,żywione wonią świeżej murawy i ziół aromatycznych, obficie tutaj rosnących.

Wybudowany w miejscu tak niezdrowém, że podług przysłowia arabskiego „wrony tu żyćby nie mogły”, Buffaryk przecież jako ważny strategiczny punkt dość jest znaczną osadą; owszem, rząd wszystkich środków używa, aby osuszyć przyległe mokradła, i zabezpieczyć ludność miasta od niebezpiecznych febr tu grassujących. Jakkolwiek nie mieliśmy wiele czasu, przecież podług starego zwyczaju, zatrzymaliśmy się w słynnej kawiarni „*Matki Gaspard*”. Matka Gaspard jestto bohaterka, zaczerniona dymem niejednej walki. Wylądowawszy w roku 1830 nie opuściła nigdy armii, sprzedając swoją wódkę i arak; wreszcie osiadła w Buffaryk: podobało się jój miejsce, a trudziło koczujące życie. Oberża przez p. Gaspard założona, wkrótce nabrała znaczenia tak, że w ciągu lat kilku przyniosła tyle, że wiwandjerka zakupiła znaczne w pobliżu miasta grunta, założyła hotel i kawiarnię. Ta ostatnia, na sposób paryzki przyozdobioną została malowidłami, marmurami, zwierciadłami, a nadewszystko bardzo pięknymi sztychami, kopiami arcydzieł Horacego Verneta; co więć, wszystkie te sztychy ofiarowane są przez samego artystę. Pewnego dnia umierając z pragnienia Vernet, zatrzymał się u pani Gaspard; ofiarowano mu posiłek i łaki do kupna. Malarz wypił wino i kupił łaki, lecz podpisując układ, spostrzegł, że ściany izby pokryte były nędznymi litografiami jego obrazów. Jako tedy dobry sąsiad, zaofiarował się dostarczyć w ich miejsce sztychy, co téż i uczynił. Pani Gaspard

(1) Tak się nazywa znaczna przestrzeń zapełniona kamieniami, ciągnąca się między Szenuan i Mazafran. Tradycya głosi, że dawno temu, przed kilkoma wiekami, była tu pogrzebana jakaś chrześcianka, i że u jój nóg znaczny skarb złożono; ma go odkryć krowa, jeżeli przy jój wiedzeniu szukający wyrzeknie pewne czarodziejskie wyrazy. Jakkolwiek podanie jest czcze, jednak znalazł się jakiś basza algierski, który chciał szukać skarbu; lecz ludzie pracujący w tym celu zostali odpędzeni żądami nieprzeliczonych pszczół, które mają się gnieździć pomiędzy kamieniami.

dumna z tego wypadku, nie zanedbuje długo i szeroko opowiadać całej téj historyi.

Po opuszczeniu Matki Gaspard, udaliśmy się drogą do Blidah wiodącą. Przed Beni-Mered, widzieliśmy kolumnę wystawioną sierżantowi Blandau i czterem szaserom oddziału afrykańskiego. 11 kwietnia 1840 r. depesze z Algieru przesłane zostały pod strażą brygadiera i 4 szaserów. Sierżant Blandau i 15 ludzi piechoty połączywszy się z nimi, postępowali spokojnie, nie spostrzegając ni jednego Araba; gdy nagle z wawozu, który poprzedza Beni-Mered, wybiegło 400 jeźdźców i rzuciło się na drobny oddział. Dowódca nieprzyjacielski przybiegł do sierżanta wzywając, aby się poddał; wystrzał był mu odpowiedzią, a żołnierze uformowali się w *carré*. Choć co chwila kule przerzedzały walecznych, bili się przecież dzielnie, nagle cios śmiertelny uderza sierżanta; „Bronście się do śmierci!” były ostatnie słowa umierającego. Walka trwa zacięta, lecz wreszcie z 22 żołnierzy nie pozostaje jak pięciu. Zguba ich zdaje się być pewna, gdy zabrzmią kopyta koni puszczonej ewałem; było oddział spahów pod dowództwem dzielnego de Breteuil. Kapitan usłyszał w Bufaryk wystrzały boju, i domyślając się co zaszło, przybiegł z pomocą walecznym. Arabi zostali odparci, depesze ocalone, a król wynagradzając męstwo, ozdobił gwiazdą legii honorowej tak p. de Breteuil, jak i pięciu towarzyszy sierżanta Blandau.

Droga do Blidah przechodzi przez równinę, niedawno jeszcze pokrytą lasem pomarańczowym, lecz który generał Duvivier ze względów strategicznych rozkazał wyciąć; przez dwa lata żołnierze ogrzewali się tém drzewem, a reszty, które pozostały z lasu, stanowią gaiki, uprzyjemniające Blidah. W témto mieście, jak już wspomniałem, generał Changarnier miał chwilowo swoją główną kwaterę. Jój wyszukanie zabrało nam niemało czasu: trudno było pomiarkować się w ulicach wązkich i krętych; wreszcie jakiś Arab wyprowadził nas z kłopotu i powiódł do domu, jak nazwał, generała Changarlo: bez téj usługi nie bylibyśmy w stanie wynalezienia skromnego pomieszkania. Generał Changarnier zamieszkiwał mały domek w mieście arabskiém; jeden tylko żołnierz stał na odwachu przede drzwiami, gubiącemi się wśród innych. Szczególne mieszkanie dla tak wysokiego naczelnika obszernój prowincyi! Generał nie był w domu, wyjechał dla obejrzenia jakichś robót, i nie miał jak za godzinę powrócić; lecz jego adjutant Pourcet ofiarował nam w imieniu dowódcy gościnność. Nic nie mogło być więcej prostego, jak dom i jego rozkład. Z wchodowój bramy wchodziło się do małego sklepionego pokoiku, nad którym znajdowała się sypialnia generała: jedyna izba na pierwszém piętrze. Przeszedłszy sklepiony pokoik ujrzeliśmy się na dziedzińcu oto-

czonym wąską galerią; na lewo znajdowała się długa sala, jak zwykle maurytańskie: kilka białych stołów, zarzuconych papierami i książkami i łóżko za firankami było jej przystrojeniem. Ta izba należała do kapitana Pourcet i była zarazem kancelaryą; naprzeciw niej drzwi w drzwi, znajdowałaś izbę jadalną, na prawo i na lewo przy niej dwie izby bardzo szczupło umeblowane, służyły na przyjęcie gości. W drugim pawilonie znajdowałaś izbę ocienioną gęstym drzewem figowym, wyrosłym na środku dziedzińca, na szczęście dla sąsiednich gołębi; gołębie i goście byli zawsze dobrze przyjmowani w tym domu. W Blidah, jak pod namiotem, gościnność generała weszła w przysłowie nawet między Arabami. Nietrzeba nam było długiego czasu, aby przebiecz to spartańskie mieszkanie i właśnie zabieraliśmy się do odpoczynku, gdy wrócił generał. Jego postępowanie z nami było bardzo uprzejme; przyjął nas jak gości, którzy od przestąpienia progów domu, przyjaciołmi stali się. Z radością dowiedzieliśmy się, że generał ma już nazajutrz przedsięwziąć wyprawę, do której mieliśmy należeć; tak więc zaledwie przybywszy, musieliśmy się do podróży sposobić.

Wojna w tym czasie (1843 r.) trwała już od lat czterech w Algierji, ale od roku przeszłego uspokajać się zaczynała. Gdy w 1839 r. morderstwo wyższego oficera, rabunek i pożary zmusiły nas do wojny, trzeba było ją prowadzić z nieprzyjacielem, który zręcznie korzystał z kilkoletniego pokoju, zbierając wszystkie swoje siły. Trzeba było je pojedynczo niszczyć, jedno po drugim pokolenie uskramiać i świeżą, ale groźną władzę emira zniweczyć: byłoto dziełem lat dwóch. Wyprawa w roku 1840 szczególnie była świetną; w niej się wykształciły i ukazały te talenta młodych wojowników, które obecnie są chlubą kraju. W 1841 r. emir ustąpił z prowincyi algierskiej, a przeszedł do orańskiej, podstawy swojej potęgi. Wtedy rozpoczęła się wojna z pokoleniami. Napadnięte niespodziewanie w zimę r. 1841 na 2gi, uledez musiały; pokolenia zamieszkujące Mitidya, pierwsze zażądały „Amanu”. W czerwcu 1842 kolumny naszego wojska, algierska i orańska złączyły się na dolinie *Chelif*, a w jesieni tegoż roku kolumna algierska, wzmocniona posiłkami zhołdowanych pokoleń, weszła na ziemię orańską, postęp naszego oręza był wprawdzie powolny, lecz ciągły. W zimie 1843 r. Abd-el-Kader skłonił do buntu Kabylów z Beni-Menacers, dzikich mieszkańców gór oddzielających Cherchel od Milianah. Poskromić ten bunt i odzyskać władzę w Ouarsenis, oto było zadanie generała Changarnier, i pomimo trudności, jakie nasuwały pora roku i niebezpieczne przedsięwzięcie, wojsko z ochotą postępowało, gdyż zaufanie, jakie umiał zyskać generał, było tak wielkie, że nikt nie myślał o niebezpieczeństwie. Pod jego przywódem, można było być pewnym zwycięstwa.

Że nazajutrz po naszym przybyciu wojsko miało opuścić Blidah, szum i zamieszanie wielkie były w mieście: sklepy napełniły się żołnierzami, przygotowującemi zapasy kawy, cukru, tabaki i cygar. Administracja wojskowa pod dowództwem oficerów, krzątała się zbieraniem żywności z magazynów rządowych; gdy zaś wieczór nadszedł, wszystkie oberże zapełniły się gwałnym tłumem, żegnającym je na czas długi. Nazajutrz zaś cały oddział w dobrym humorze, i porządku, opatrzony żywnością na dni ośm, wymaszerował do Milianah. Nikt nie myślał o trudach i niebezpieczeństwie; starzy wiarusy przyuczeni do wojny przez la tkilka jój trwania, szli teraz ochoczo do walki, śmiejąc się i dowodząc, że „z Changarnierem czuć zawsze barana” (1).

Armią mieliśmy dogonić w drodze, a nasze muły bardzo rano wysłane naprzód zostały. Trudno sobie wyobrazić, ile muszą dźwigać te biedne zwierzęta! Urządzają na nich pewny gatunek trag', na które rzucają owies, jęczmień, siano, kury, odzież i t. p. jedném słowem wszystko, co ma i czego potrzebuje podróżny. Te zaś przedmioty przymocowane są postronkami, lecz często się zdarzy, że jaki niespodziewany wypadek pomiesza je: wtedy powstają kłatwy i złorzeczenia przewodników na biednych ministrów (2), którzy często cierpieć muszą za niezręczność wcale nie swoją.

Z Blidah mieliśmy się udać do Milianah. Przebyliśmy rzekę Chiffa w bród; woda w niej była głęboka, a potok miał do stu metrów szerokości i nadzwyczaj był bystrym. Musieliśmy bez ustanku mieć oczy skierowane na drugi brzeg, gdyż obróciwszy je na potok, łatwo można było dostać zawrotu głowy. Po przebyciu potoku, droga już była łatwą i niezadługo doszliśmy do Bu-Rumi, gdzie odpoczęliśmy godzinę, dla nabrania dostatecznych sił do przebycia pagórków, oddzielających nas od równiny Ued-Ger.

Sztab nasz nie był liczny. Generał miał przy sobie tylko dwóch oficerów: adjutanta, kapitana Pourcet, który od pięciu lat nie opuszczał go ani

(1) Pomyślne rezultaty licznych razyj gen. Changarnier, Wspomniane wyrazy zmieniły się w przysłowie: 13 czerwca 1849 w czasie powstania w Paryżu, 6ty batalion szaserów, który długo służył w Afryce pod generałem, idąc do boju powtarzał te wyrazy z wielkiem zadziwieniem gwardyi narodowej, niemogącej na żaden sposób zrozumieć ich sensu.

(2) Tak się nazywają muły w Afryce. Gdy się zapytasz o przyczynę nazwiska, żołnierze odpowiadają, że te muły są obarczone *interesami stanu* (*affaire de l'état*) lub, że mają na swe rozkazy telegrafy, t. j. uszy wiecznie będące w ruchu. Zdarzyło się, że pewny prawdziwy minister jadąc do Filipeville, usłyszał na przeprażgu swój urząd obdarzony grubijańskimi tytułami; zdziwiony spytał o przyczynę, i naśmiał się niemało z takiego wytłumaczenia.

na chwilę, i oficera służbowego p. Carayon Latour, wybornego człowieka, zawsze gotowego do śmiechu i boju, bez troski i bez zarzutu: jednego z tych ludzi o charakterze szczerym i pewnym, tyle rzadkim w tych czasach. Lecz choć sztab nie był liczny, za to bardzo czynny; nigdy służba nie cierpiała przez zwłokę lub niedbałość: dzień i noc na nogach, obadwaj oficerowie wystarczyli za kilkunastu. Podług swego zwyczaju generał maszerował na czele milczący, zamysłony. Jego koń znany w całej armii, *kuskus*, był drobny wzrostem, ale zsiadły w sobie i mocny w nogach. W bitwach nie bał się ni kul ni ognia, śmiało szedł przeciw nim; żołnierze nazywali go diabłem, a gdy go generał dosiadał, mówili, że dwóch djablów jeden na drugim jedzie, i nie mylili się wiele.

Nie można przebyć doliny Ued-Ger, gdy komunikacye między Milianah i Blidah nie są wolne; zarośla i parowy mogą bowiem być niebezpiecznymi, jako ukrywające zasadzki nieprzyjaciół. Droga naszych kolumn była dłuższa i przykrzejsza, lecz pewna i dochodziła do Sidi-Abdel-Kader, gdzieśmy mieli biwakować na noc. O trzeciej z południa złączyliśmy się z armią i rozbiliśmy namioty pod cieniem odwiecznych drzew oliwnych, które jeszcze oszczędziła siekiera naszych żołnierzy. W czasie nocy zachmurzyło się, i silny deszcz zaczął padać, lecz szczęściem ustał z porankiem; inaczey trudno byłoby przejść dolinę Oued-Adelia, której grunt tłusty, zwilżony deszczem, utrudzałby pochód koni i ludzi. Od doliny Ued-Ger, droga dzieli się: jedna wiedzie do Milianah przez dolinę Cheliff, druga przez kraj *Rigas*. Tę ostatnią obraliśmy i po długim marszu ujrzelśmy wreszcie cel naszej podróży, miasto Milianah, leżące u stóp dzikiej skały, otoczone ogrodami i łąkami. Kraj, który się rozpościerał przed naszymi oczyma, należał do walecznego pokolenia Arabów *Rigas*, które długo w niewoli, korzystało teraz z sposobności powrotu na ojczystą ziemię.

W 1780 roku *Rigas*'owie powasnili się z Margzen'ami algierskimi; u Arabów, od swaru do bitwy krok tylko jeden. *Rigasowie* dzielnie walczyli i położyli trupem dwóch agów i 40 co najznakomitszych jeźdźców z pokolenia przeciwnego. To rozgniewało baszę wówczas władającego w Algierze; wszystkie siły tureckie wystąpiły przeciw *Rigasom*, którzy, widząc niemożność obrony, musieli się poddać. Przeprowadzeni do Mostagen, zamieszkiwali tam aż do upadku potęgi tureckiej. W r. 1830 korzystając z wypadków ówczesnych, po 50 latach niewoli całe pokolenie udało się w rodzinne strony; lecz anarchia tam władła, i cała ludność miejscowa rzuciła się na emigrantów jak na łup pewny dla siebie. Ale *Rigasowie* dzielnie walczyli i wreszcie udało im się odzyskać ziemię, kie-

dys własność ich przodków. W roku 1842 po długiej z nami wojnie podali się, i zamieszkują okolicę aż do samego Milianah, do którego to miasta weszliśmy z rozwiniętymi sztandarami i przy dźwięku wojennej muzyki.

III.

Zaccar, to jest miejsce na które nie można wstąpić, które odpycha, jest nazwa arabska długiego skalistego wzniesienia, które góruje nad Milianah od strony północnej. Liczne z tego wzniesienia wypływające strumienie odświeżają powietrze. Wkoło miasta ciągną się ogrody, słynne w całej Algierii: bluszcze, mchy różnego gatunku i tysiące roślin o wysokich kiściach, zdają się, że obwijają pasem zieleni białe, o czerwonych dachach domy. Zdaleka tedy wzrok jest miło łudzony, lecz wszystko zmienia się, gdy wejdiesz w wnętrze miasta.

Długa ulica założona przez Francuzów, na którą wychodzą wszystkie sklepy, przechodzi przez połowę miasta, i dożyka do cyrkułu arabskiego, przy minarecie zniszczonej mahometańskiej moskei. Milianah w 1843 roku był tylko obszernym obozem dla armii, od 1841 bowiem roku tu się znajdował środkowy punkt wojennych czynności w Algierii. Strategiczną ważność miasta można było łatwo dopatrzeć ze szczytu minaretu, o którym wspomniałem; cały kraj okoliczny rozpościerał się przed okiem: wzgórza oddzielające od Medeah, dolina Cheliff, i skały Uarsenis, górujące nad temi kabylskimi górami, które mieliśmy podbić. Było wspaniały obraz, lecz gdy oko, porzucając dalsze przedmioty, zwracało się ku miastu, napotykało u stóp murów miejsce smutnej pamięci, cmentarz, który w roku 1840 pochłoniął cały miejscowy garnizon.

Wiele przerażających scen miało miejsce w Milianah, i nazwisko generała Changarnier powinno zostać wiecznie świętym dla miasta, gdyż on je dwukrotnie ocalił. W czerwcu 1840 roku armia znajdowała się z marszałkiem Vallée pod murami *Medeah*; trzeba było opatrzeć żywnością Milianah, niedawno przez nasze wojska zdobyte. Generałowie wahali się jednak, przedsięwzięcie było trudnym dla znużenia żołnierzy. Sam tylko Changarnier, wówczas jeszcze pułkownik, innego był zdania i marszałek bez wahania się powierzył wyprawę temu, który niedawno z 2 lekkim pułkiem tak stanowczo przyłożył się do zdobycia wawozów *Muzaja*. Nazajutrz pułkownik wymaszerował i ukrywając swój pochód przed nieprzyjacielem, w ciągu 30tu godzin zrobił 24 mil drogi, i powróciwszy z szczęśliwym skutkiem we cztery dni, nazajutrz otrzymał poklask całej armii i podziękowanie marszałka.

Gdy czas upałów przyszedł, armia cofnęła się do obozu, rachując, że zapasy żywności wystarczą dla załogi w Milianah aż do jesieni; lecz nie

liczone na choroby i na robactwo, które rozmnożyło się w magazynach, zniszczyło je prawie do szczytu, a woły pozdychały. Załoga nie mogła opuścić wałów miasta, głód coraz więcej czuć się dawał; przyciśnieni nim żołnierze, musieli się żywić dzikimi roślinami i t. p. Niezdrowe pożywienie okropny skutek wywarło: straszne choroby zaczęły się szerzyć. Z 1200 żołnierzy 750 umarło, 400 znajdowało się w lazaretach, reszta z trudnością mogła dźwigać karabiny. Oficerowie musieli strzedz sami wałów; z każdym dniem widzieli zbliżającą się chwilę, gdy miasto będzie straconem dla braku obrońców, a nie można było zawiadomić o swém przykroć położeniu gubernatora w Algierze. Arabi przejmowali listy i zabijali szpiegów; wreszcie udało się jednemu z tych przenieść depeszę z Milianah do Algieru. W tym czasie pułkownik Changarnier, dawszy nowe dowody wysokich zdolności, został generałem; do niego udał się marszałek, jako do znajomego miejscowość i powierzył mu wyprawę do zagrożonego miasta. 2000 ludzi tylko można było zebrać: z tak szczupłą siłą, trzeba było przebyć kraj trudny do przebycia i walczyć z całą potęgą emira. Generał nie wahał się jednak: sama wielkość niebezpieczeństwa do narażenia się na nie podniecała. Udał się wtedy z swym oddziałem w pochód, i rozgłaszając wszędzie, że się udaje do Medeah, aby zaprowiantować to miasto, potrafił ukryć prawdziwy cel wyprawy, i przebiwszy się przez tłum nieprzyjaciół, przybył w sam czas dla ocalenia nieszczęśliwej załogi.

Czasy jednak wiele się zmieniły w Milianah: obecnie w 1843 r. oczekiwała nas nie garstka osłabionych, lecz 5000 dzielnych i pełnych zapału do walki żołnierzy. Od chwili swego przybycia, generał ciągle był zajęty: konferencye z naczelnikami oddziałów, depesze do pisania, a nadewszystko zbieranie wiadomości o kraju, w którym mieliśmy działać, zaprzętały wszystkie jego godziny. Codziennie Ben-Tifur, Aga Beni-Manacers przybywali z 10 ludźmi swego pokolenia do generała, który wybadując szczegółowo każdego, potrafił sobie wreszcie utworzyć ideę o kraju i szczegółach jego. To trwało cały tydzień; przez ten czas komunikacja z Cherchell bardzo była ożywioną za pomocą szpiegów, którym za przeniesienie depeszy lub listu, trzeba było nieraz 500 franków płacić; lecz trudno było nie wynagradzać w podobny sposób ludzi narażających swe życie. Wreszcie po tylu przygotowaniach, plan generała był ułożony i napisany, z tą jasnością, która nie pozwala na żadną uchybę lub nieporozumienie. Ta jasność w wydawaniu rozkazów cechuje generała Changarnier. Łatwo mu być posłusznym, gdyż obowiązek nigdy nie jest podpadającym wątpliwości.

Gdy oficerowie generała zajęci byli dzień i noc mozolną pracą, myśmy umieścili się w jednej z izb pałacu *Milianah*. Ten pałac było

szczupły domek o trzech izbach: jedną z tych zajmował generał, druga była stołową, w trzeciej mieściliśmy się wszyscy w towarzystwie szczurów i myszy. W dzień uczęszczaliśmy do tak zwanego resursy oficerskiej. Było piękny pawilon wybudowany w ogrodzie, okrążony drzewami i strumykiem, miły chłód, przez orzeźwienie powietrza dającym. Wspomniany pawilon jest główną kwaterą oficerów niemających kwater, a wielu znalazło się w tym przypadku. Przy pawilonie znajdowała się kawiarnia i biblioteczka, opatrzona wielu doborowem książkami. Zakład dozorowany jest przez administracją, na której czele był w owym czasie sam generał Changarnier. W miastach afrykańskich latem, jak na okrętach, wszystkie środki są użyte dla uprzyjemnienia samotności. Wieczorem niekiedy chodziliśmy na teatr. Teatr w Milianah! tak, i wyborny teatr, gdzie można było śmiać się z całego serca. Spektatorowie i aktorzy, wszystkoto byli żołnierze, każdy miał wyznaczoną rolę: kapral kochanki, grenadyer ojca, wołyżer subretki. Wiwandyerki dostarczały swych czepków i spódnic na wielką uciechę publiczności. Przypominam sobie, że widziałem w Milianah przedstawioną komedią „Kapral i ziemia nka”. Śmieszek pułkowy grał rolę Artemizy, a z takim czuciem i prawdą, że wzbudzał powszechne oklaski, nawet i samego Changarniera, który lubi podobne widowiska i często na nie uczęszcza. Nie można wyobrazić sobie, jak pomyślny wpływ podobne zabawy wywierają na zdrowie i humor wojska; jak go ożywiają i wzmacniają do znoszenia trudów przykrego życia.

Rozkazy oczekiwane z Cherebell, przybyły; trzeba tedy było wyprawić się w drogę. Według rachuby generała, tydzień był dostatecznym na skuteczenie jego planów. Armia rozdzieloną została na 7 oddziałów, z których każdy miał przeznaczone stałe drogę i działanie. Droga jednak była jak najprzykrzejsza, pełna wąwów i głębokich przepaści: żołnierze musieli postępować jeden za drugim, a niekiedy dla uczynienia możliwym pochodu, inżynierya musiała rozbijać skały. Pomimo tego o przypadki nie było trudno: sam widziałem, jak jeden z szaserów, którego koń potknął się, razem z nim stoczył się w bezdenną przepaść. Koń zabił się na miejscu, lecz żołnierz jakimś szczególniejszym cudem był ocalony.

Często trzeba było całe godziny maszerować, zanim się doszło do gór, które zdawały się, że tuż są przed nami. Lecz objaśnienia, jakie zebrał generał, tak były ściśle, poruszenia kolumn tak biegle wyrachowane, że w dzień oznaczony, wszystkie się zeszyły z sobą i każda szczęśliwie wypełniła odebrane rozkazy, zwalczwszy wszystkie przeszkody. Naczelnicy pokoleń Beni-Menazers zbrali się w namiocie generała, żądając amanu.

Te szczęśliwe rezultaty, których kolumny Cherchell i Milianah nie mogły otrzymać pomimo dwumiesięcznych starań, pozwalały znacznej sile wojskowej działać swobodniej. Na wiosnę generał Changarnier lękając się, aby czas deszczów nie nadszedł, po ułatwieniu stosunków z naczelnikami Beni-Menazers, powrócił do Milianah. Niedługo przecież mógł odpocząć: generalny gubernator Algieru, marszałek Bugeaud, zawezwał go na radę wojenną do Blidah. Tam ułożono plan nowej wyprawy; na wiosnę miano założyć nową militarną osadę na dolinie Cheliff, podbić górali Ouarsenis i ścigać smagę emira, ten jego ruchomy arsenał na wzgórzach *Sersus*. Marszałek, stosownie do planu, miał się zająć założeniem Orleansvillu, urządzeniem i utrzymaniem komunikacji między Algierem a Oranem, ksiązę Aumal miał ścigać Smagę, a generał Changarnier ujarzmić górali.

Ażby sprowadzić materiały potrzebne do założenia Orleansvillu, trzeba było wybudować drogę długą na mil 20, ciągnącą się przez wzgórze, okrążające dolinę Cheliff. Do tej pracy przeznaczono wojsko stojące w Milianah: jakkolwiek trudną była robota, w ciągu dwóch tygodni uskutecznioną została, bez straty jednego człowieka.

W powrocie do Milianah, gdyśmy się zatrzymali na ostatniej stacyi, Bu-Allam i jego brat Bargdadi, naczelnicy Dzendel, kraju leżącego między Medeah i Milianah, przybyli na powitanie generała. Bu-Allam, dawny aga jazdy nieregularnej emira, był imponujący żołnierz: oko równie czarne, jak jego wąs, fyzjonomia energiczna; władał on krajem więcej przez postrach swój szabli, jak przez prawo urodzenia. Długi czas był naszym zaciętym nieprzyjacielem, i należał do wszystkich wypraw emira; widziano go w każdej bitwie wraz z synem, dziecięcim czarującą pięknosci, i jedynym przedmiotem, dla którego biło dumne serce żołnierza. Pewnego dnia jednak aga powrócił sam do namiotu: kula francuzka zabiła dziecko. Od tego czasu znudzony wojną, myślał o poddaniu się. W 1842 r. przybył w nocy do obozu generała Changarniera, obiecując się poddać z 7 pokoleniami Arabów, jeśli mu generał zapewni obronę; przyjęto chętnie ofiarę, zapewniając Bu-Allamowi dawną władzę, którą podziela z bratem jedno-okim Bagrdadi.

Obadwaj wodzowie arabscy towarzyszyli nam do Milianah. Przebywając dolinę Cheliff, znaleźliśmy się na miejscu walki w 1841 r. stoczonej tutaj z jazdą emira. Wspominając o tej bitwie, jeden z towarzyszących nam Arabów dał takie o niej zdanie: „Wasze wojska tak były liczne, i z takim ogólnym zapalem pospieszały do boju, że się wydawały jak pole zasiane zbożem, poruszaném od wiatru.” Na tém miejscu przecież dzisiaj był spokój, pasły się liczne stada owiec, i kobiety strzegące je wybiegały

z radosnemi okrzykami powitania, ju! ju! W Ued-Butan, nowy hakem miasta Milianah, Omar Basza, potomek znakomitej rodziny i syn baszy tego imienia, oczekiwał na nas. Mieliliśmy tutaj nowy dowód, jak głębokie ślady zostawiło po sobie panowanie Turków w Algierji; po 13tu latach ich pamięć jeszcze była tak żywą między ludem, że syn baszy odbierał od naczelników arabskich takie same dowody uszanowania, jak niegdyś w dniach najwyższej potęgi swojego rodu.

W godzinę po tém spotkaniu, stanęliśmy w Milianah. Co było robić tutaj 15ście dni całe? Nie wypadało, jak być cierpliwemi i powtarzać z Arabami „tak napisano“. I rzeczywiście było tak napisano i naznaczono w licznych depeszach które generał Changarnier codziennie zmieniał z marszałkiem Bugeaud. Na szczęście doniesiono, że dawny kalif emira w Milianah, Si-Embarek uorganizował bardzo silny opór między Kabyłami *Uarsenis*. Imię tego wodza było w wielkiem uszanowaniu między Arabami, nawet nasi przyjaciele wymawiali je z pewną trwogą. Żaden lud tak jak Arabcy, nie przywiązują się do przeszłości; tradycya o wielkości dawno minionej téj lub owéj rodziny, dziś jeszcze znaczenie jéj daje. Milianah od dawnego czasu ma przywiléj niejako wpływu nazwisk na ludy całej prowincyi: znakomita rodzina Uled-ben-Jusef ztąd pochodzi, Si-Embarek tu zamieszkiwał, zanim się przeniósł do Coleah; wreszcie Onarowie od lat kilkunastu tutaj się osiedlili. Te trzy znakomite rodziny jakowyś urok rozpostarły nad Milianah. Dwie piérwsze: ben Jusefów i Embaraków pochodzą od Marabutów, Onarowie dziejami swojemi łączą się z historyą władzy tureckiej w Algierze, i dają jeden więcéj przykład zmienności losu.

Wspominki, które się wiążą do Ben Jusefów, są więcéj religijne, jak wojennej treści. Si-Mohamed ben Jusef podróżny nieznanomy, temu lat 400 osiedlił się w Milianah. Sława jego mądrości i cnoty rozniosła się prędko po kraju, i z wszystkich stron zbiegano się, żądając od niego rad i modlitew; w nagrodę za nie, ofiarowano pieniądze, tak, że wkrótce sługa boży ujrzał się bogatym w dary ziemskie. Przyznawano mu możność robienia cudów i wiele mądrych rymowych zdań, które dotychczas powtarzają się między ludem (1). Po śmierci wzniesiono mu py-

(1) Oto kilka z tych zdań, które mi przychodzą na pamięć:

„Kto jest twym ojcem?“ pytano ośla... „Koh jest mój stryj,“—odpowiedział.

„Milczenie, złoto, gadulstwo, srebro.“

„Jédz podług twego gustu, a ubieraj się podług gustu świata.“

„Grzesz dziesięć razy przed Bogiem, ani razu przed ludźmi.“

„Gdy pies ma pieniądze, mówią mu: panie psie.“

szny nagrobek, i dzisiaj jego familia jest otoczona t \acute{e} m samym uszanowaniem, jakim si \acute{e} j \acute{e} y naddziad zaszczycał. Ben Jus \acute{e} fowie s \acute{a} magnatami w Milianah i nie ust \acute{e} puj \acute{a} pierwszeństwa tylko Si-Embarekom, Marabutom z Coleah, których najzapaleńsi stronnicy znajdowali si \acute{e} niedaleko miasta, w pokolenia Haszem. Z rodzin \acute{a} Si-Embarek wi \acute{a} z \acute{a} si \acute{e} tak \acute{z} e religijne tradycje: 1580 r. pewny cz $\acute{ł$ owiek z pokolenia Haszemów wschodnich, nazwiskiem Si-Embarek, opuścił z dwoma słu $\acute{z$ ącymi rodzinne strony, i przybył do Milianah. W Milianah nie mog \acute{a} c si \acute{e} wy $\acute{z$ ywić, odesłał swoich słu $\acute{z$ ących, którzy osiedliwszy si \acute{e} nad Szeliff, dali pocz \acute{a} tek pokoleniu Haszem. Sidi-Embarek udał si \acute{e} do Coleah, gdzie przyjął słu $\acute{z$ ibę u pewnego cz $\acute{ł$ owieka, nazwiskiem Izmael; lecz Embarek zamiast pracować, spał. Jednak rzecz dziwna! woły, które mu były powierzone, oraly same, i wi $\acute{e$ c \acute{e} j robiły ni \acute{z} inne, prowadzone od zdolnych ludzi. Zawiadomiono Izmaela o cudzym przekonaniu si \acute{e} o nim własnemi oczyma, i wtedy upadaj \acute{a} c do n \acute{o} g Embareka, wykrzykn \acute{a} ł: „Jesteś wybrańcem Boga! Do mnie nale $\acute{z$ y być twoim słu $\acute{g$ ą, ty zaś b \acute{a} dź moim panem”. Zaprowadził go do namiotu, i post \acute{e} powal z nim z najwi $\acute{e$ kszym uszanowaniem. Świ $\acute{e$ tość nowego Marabuta zrobiła wra $\acute{z$ enie w okolicy: ze wszech stron przybywano, polecaj \acute{a} c si \acute{e} modlitwom jego, a przynosz \acute{a} c z $\acute{ł$ oto. Wkrótce te \acute{z} zebrał znaczny majątek i zyskał ogromny wplyw nie tylko u Arabów, lecz i mi \acute{e} dz \acute{y} Turkami. Potomkowie tego Marabuta potrafili zwi $\acute{e$ kszyć jeszcze znaczenie przodka, i gdy emir wypowiedział nam wojn \acute{e} , mianował Beu-Ali, naczelnika rodziny Embareków swoim kalif \acute{a} w Milianah. Tego zaś pierwsz \acute{e} m staraniem by $\acute{ł}$ o zniszczyć władz \acute{e} , jak \acute{a} Omarowie od niejakiego czasu potrafili osi \acute{a} gn \acute{a} c w sąsiednich pokoleniach.

Familia Omarów ma jeszcze ciekawsze dzieje, jak rodziny Ben-Jus \acute{e} fów i Si-Embareków. Te dzieje pokazuj \acute{a} , jak łatwo w Turcyi mo $\acute{z$ na przyjść do znaczenia, lecz jak te \acute{z} snadno ze szczytu wielko $\acute{ś$ ci upaść mo $\acute{z$ na. Nadto historia t \acute{e} j rodziny ciekaw \acute{a} jest w ostatnich czasach przez bohaterkie po $\acute{ś$ więcenie si \acute{e} i rzeczywist \acute{e} wy $\acute{z$ szy umysł niewiasty, która dwukrotnie potrafiła wznieść upadaj \acute{a} c \acute{a} famili \acute{a} .

Najsławniejszy z Omarów by $\acute{ł}$ żołnierzem tureckim; jednym z tych, którzy zaci \acute{a} gaj \acute{a} c si \acute{e} do milicyi państwa, mogli mówić o sobie: „Jeśli tak jest napisano, będ \acute{e} basz \acute{a} ”. Mohamed Ali wyprawiaj \acute{a} c si \acute{e} do Egiptu w 1775 roku, napotkał Omara w Militenie; wi \acute{a} zali si \acute{e} ścisł \acute{a} przyjaźni \acute{a}

Zdanie jego o mieszkańcach Medeah by $\acute{ł}$ o nast \acute{e} puj \acute{a} c \acute{e} : „Ten, którego zobaczysz odzianego w biedny haik, trzymaj \acute{a} c \acute{e} go w r \acute{e} ku mały kij, stoj \acute{a} c \acute{e} go na pagórku i mówiąc \acute{e} go w czasie sporu „przyjdź do mnie”, bez w \acute{a} tpienia jestto dziec $\acute{y$ Medeah.”

i obiecali sobie nawzajem, że jeżeli jednemu los wnieść się pozwoli, drugi wspierać go będzie. Lecz za ledwie Omar przybył do Egiptu, gdy tam znalazł list od brata będącego w służbie algierskiego deja, aby przybył do niego; dwaj zatem przyjaciele musieli się rozstać. W Oranie, gdzie znalazł brata kalifem, Omar był dobrze przyjęty; a jego dobra mina, spojrzenie, którego nikt nie mógł wytrzymać, długi czarny wąs i piękność zadziwiająca, dały mu urząd *czausa*. W kilka czasów później Zemna, córka pewnego majątnego Turka, słynna ze swoich czarujących wdzięków, oddała rękę Omarowi; lecz pomysłność tego niedługo trwała: brat jego Mohamed wpadł w niełaskę u beja Oranu, został wrzucony do więzienia i na śmierć skazany. Omar był także zaprowadzony do tej samej ciemnicy. Gdy wszedł kat, aby wyrok beja wykonać, *czaus* rzucił się w obronę brata; lecz ten zatrzymał go, mówiąc, „Moje dziecię, godzina mojej śmierci przyszła, człowiek nie może opierać się woli Najwyższego; prosz go jednak abys stał się kiedyś moim mścicielem, i pamiętaj że jesteś mężem inojej żony i ojcem mych dzieci”. Od tego czasu zemsta stała się ulubioną myślą Omara, i gdy na rozkaz deja został wypuszczony z więzienia, udał się do Algieru, gdzie wszystkich środków używał, aby wnieść się, i tym sposobem przybliżyć godzinę pomsty. Jakoż został mianowany kaidem w Aribis, gdzie się z nim złączyła Zemna.

W tym czasie, dej tunetański wydał algierskiemu wojnę. W jednej z bitew Algierczycy uchodzić zaczęli, gdy nadbiegłszy z 30tu ludźmi Omar, potrafił zmienić stan walki, zachęciwszy do niej pierzchających, i wstrzymując zapęd zwycięzców. Gdy wrócił, milicya okrzyknęła go swoim agą. W tym czasie Mehemed Ali ustalił swoją potęgę w Egipcie i poskromiwszy Mameluków, jako dowód swojej pamięci i przyjaźni, przysłał Omarowi bogaty namiot.

Kraj pod administracją nowego agi zaczął używać pokoju i przychodził do kwitnącego stanu. Zwycięstwo towarzyszyło ciągle Omarowi, powiada jedna z kronik arabskich. Ukrócił dumę buntujących się pokoleń, a spokojni błogosławili jego ramię, gdy bej Orauu, zacięty wróg Omara, zdołał przekonać deja, że nowy aga stara się o pozyskanie najwyższej władzy. Przejęty trafunkiem list, uwiadomił Omara o grążącym mu niebezpieczeństwie; pobiegł natychmiast do koszar i zebrał swoją milicyą: „Wyście mnie wywyższyli, przemówił do niej, wy tylko możecie stracić z urzędu; oddaję się w wasze ręce, wydobądźcie mnie z rąk przeciwników, lub dajcie śmierć sami”. Rozjątrzona milicya napadła na pałac baszy, zamordowała go (1810 r.) i chciała wynieść na ten stopień Omara; ten jednak odmówił. Krasnadzi (skarbnik) został obranym baszą. Wtedy Omar, będąc u władzy, mógł pomyśleć o zemście, ale bej

Oranu widząc grożące sobie niebezpieczeństwo i chcąc je uprzędzić, zbuntował się. Omar poszedł przeciw niemu, pokonał, i wzięwszy do niewoli, kazał żywcem odrzec ze skóry. Dotychczas w prowincyi orańskiej lud mówi o tym wypadku i o beju odartym ze skóry „bej el messelug”.

W 1816 roku basza lękając się Kulugłów, chciał ich wszystkich wytepić i powierzył swój zamiysł Omarowi, który zamiast go podzielać, kazał baszę udusić w kąpieli. Teraz musiał przyjąć baszostwo, a posyłając zwykły podarunek do Konstantynopola, nie zapomniał o Mehmedzie Ali i przesłał mu przez swego syna Mohameda bogaty upominek. Przez ciąg dwóch lat Omar znosił bohaterko wszystkie przeciwności: morową zarazę, szarańczę i bombardowanie lorda Exmuth; lecz biedna Żemna straciła spokojność umysłu. Wiedząc że wszyscy baszowie gwałtowną ginęli śmiercią, i będąc właśnie w cierpieniach porodu (1818 r.) posłyszała salwy artyleryi i chcąc wiedzieć przyczynę, posłała po małżonka wierne go sługę. Sam on jednak powrócił; a Żemna zrozumiała co to znaczyło; upadła zemdlna, w tej chwili wbiegli czausowie nowego deya, aby bogactwa, zostały po Omarze zagarnąć.

Gdy Żemna przyszła do zmysłów, zażądała schronienia u jednego z dawnych przyjaciół męża. Zdjąwszy z siebie bogate odzienie, przywdziała jak najskromniejsze, obwiązała swe dzieci w haiki negrów, pożegnała sto niewolników usługujących jej niedawno, i wyszła w towarzystwie ojca, dwojga dzieci, starego sługi familii i dwóch murzynek, które wychowała. Zamknąwszy zaś pałac, posłała klucze nowemu baszy, zalecając mu powiedzieć: „Wdowa Omara opuszcza jego dom biedniejsza, niż weszła do niego; nie zabiera nic z tych bogactw, które skusiły mordercę; te bogactwa będą nagrodą jego zbrodni; lecz niech ich skwapliwie używa, gdyż Bóg jest wielki, a jego czas długim nie będzie”.

Chociaż trudno byłoby wyliczyć te bogactwa, jakie w ciągu 10ciu lat swojej władzy zebrał Omar: kilka szczegółów przytoczę jednak, na dowód, jak prędko bogacą się Turcy przyszedłszy do potęgi, i ile lubią okazałość. Pałac Omara mieścił w sobie trzysta murzynek niewolnic, sto murzynów, dziesięć Georgianek, dwadzieścia Abissianek, 40 koni czystej rasy, dziesięć klaczy wyborowych. W tym pałacu znajdowała się sala wyłożona srebrem i złotem, ozdobiona drogiemi kamieniami; druga zapełniona kuframi, mieszczącemi w sobie monetę złotą, srebrną i co najdroższe materye. Każdego dnia Żemna zmieniała swój strój i w każdym kufrze prócz kompletnego ubioru, była jeszcze brylantowa ozdoba, składająca się z diademu, egretki, zausznic, dwóch agrafów, 12stu pierścieni, 2ch bransoletek, dwóch pierścieni na nogi, dla utrzymania pończoch

wkładanych, wreszcie kolie pereł o 15 rzędach, i sarma (gatunek tuniki) ozdobiona drogiemi kamieniami.

Wszystkie te bogactwa straciła Żemna, gdy oto w dwa dni po fatalnym zgonie małżonka, nowy déj, Ali Basza, wysłał swego pierwszego ministra do wdowy. „Ali Basza, niech Bóg mu daje zawsze zwycięstwo — tak brzmiało posłannictwo — przysłała pozdrowienie i błogosławieństwo wdowie ex-baszy Omara. Uspokój twój smutek — powiada sławny władzca — twój mąż umarł śmiercią baszów: jego godzina byłaznaczona, niech Bóg ma nad nim miłosierdzie; lecz zostają ci dzieci. Dni twoje nie są dotąd długie, przepędziłaś je w szczęściu i blasku, dłuższe dni być może czekają ciebie: na cóż je masz przepędzać w niedoli i upodleniu? Twój i twoich dzieci los w twym się ręku znajduje: byłaś żoną baszy, rzeknij jedno słowo, a będziesz znowu żoną baszy. Oto jest klucz od twego pałacu, żadna obca stopa dotąd go jeszcze nie dotknęła; powróć i wróc mu najpiękniejszą jego ozdobę, a twój nowy pan podwoi twoje bogactwa i twoich niewolników.” „Boże dobroci i miłosierdzia! — wykrzyknęła wdowa — dlaczegoż nie pozwoliłeś twemu aniołowi Asraelowi przywieść w téj saméj chwili przed twe oblicze dusz Omara i Żemny? Co za zbrodnię karzesz we mnie, dając słuchać hańbiących przedstawień mordercy mojego małżonka? Lecz niech się dzieje twoja wola. Co do ciebie podły służalcze, więcej jeszcze podłego pana, wyjdź czémprędzej z domu, w którym znalazłam schronienie, bo twój oddech zatrzuwa powietrze, którym oddycham. Idź podły zbójco i! powiedz twojemu panu, że wdowa Omar Baszy, umrze wdową Omar Baszy; że jego nagabania są daremne, bo rzeczy ziemskie niczem są dla téj, której szczęście znajduje się w niebiosach, i że jego pogroźki są równie czczemi, bo jest tylko znikomym jestestwem, działającym z woli swego Twórcy.”

Przez ciąg przeszło tygodnia basza wszelkich środków używał, aby uwieść Żemnę: była jednak niewzruszoną. Skąpstwo, panująca wada tego księcia, przemogło nareszcie nad innymi uczuciami, o władnię bogactwa Omara. Jego wzrok nie mógł się napaść widokiem tyle złota i kosztowności i pod wpływem tego to uroku zostając, pozwolił familii Omara udać się do Milianah, gdzie ojciec Żemny posiadał kilka domów.

Ali Basza był zabity w kilka miesięcy później, a Hadzi Mohamed nastąpił po nim. Byłto pierwszy basza, który osiadł w Kasba, nie lękając się tajemniczego napisu na bramie, który głosił, że chrześcianie przyjdą tutaj za władztwa baszy, który zamieszka w Kasbie. Hassan Basza dawny Iman Omara, zastąpił Hadzi-Mohameda, który umarł na dżumę; za ledwie wybrany, dowiódł, że jego serce nie było niewdzięcznym. Żemna otrzymała wspaniałe podarunki, i rozkaz został dany bejowi Oranu,

aby jęj płacił roczny trybut i składał podarunki przy każdym *dennech* (opłatą podatków). Nie ograniczył na tém swoich łask: wziął do swego boku Mohameda, starszego syna Omara, a że młodszy nie był jeszcze zdolny do służby, umieścił go najprzód w swoim pałacu, potem wysłał do Meteliny i do Egiptu, aby poznał swych wujów i Mehemeda Ali, którzy go żądali widzieć. Po dwu latach młodzieniec powrócił zbogacony darami wice-króla, a Hassan dał mu za żonę córkę jednego z Marabutów najznakomitszych w Milianah. Familia Omara używała wtedy przywilejów wielkich dygnitarzy państwa, bez narażenia się na niebezpieczeństwa im właściwe, szczęście zastało w jęj grono, i Zemna zapomniała na łonie dzieci o dawnych troskach; lecz przyszedł rok 1830, a z nim upadek władzy tureckiej. Związki z powszechnie szacowanym Marabutem osłaniały przez jakiś czas familią Omara od Arabów, lecz gdy Mohamed zaczął działać samowolnie niż wypadało, bunt powstał i musiał uchodzić z Milianah, zostawiając tam dwie żony, matkę i brata mającego lat 14, których wziął w swoją opiekę Uled-Si-Achmed-ben-Jusef.

Przez pierwsze lat sześć okupacyi francuzkiej, Omar młodszy syn baszy wzrósł w ciągłych walkach, jakie mieszkańcy Milianah musieli staczać z okolicznemi pokoleniami Arabów. Największa anarchia panowała w mieście, komunikacye z resztą kraju były przerwane, mocny uciskał słabego, wojna domowa niszczyła Algierię, i odwaga i bogactwa Omara dały mu wielu stronników. W 1836 roku jeszcze był więcej poważanym w Milianah, lecz w tym czasie nowe klęski dotknęły jego rodzinę.

Mohamed-ben-Omar zamieszkując między Francuzami w Algierze, stale wzbraniał się przyjąć jakie bądź dowództwo, z bojaźni skompromitowania swojej familii; lecz gdy w roku 1836 marszałek Clausel zaproponował, aby mu towarzyszył do Milianah, wzbraniać się nie mógł. Zmieniły się jednak okoliczności, i marszałek udał się tylko do Medeah, gdzie ustanowił beja tureckiego. Wkrótce potem Hadzi-Abd-El-Kader napadłszy na tę część Algieryi, wypędził beja, okuł w kajdany 60 znakomych Kuluglisów (1) i nałożył znaczną karę na Omara, któremu zarzucił, iż zostaje w związkach z bratem Mohamedem, służącym Francuzom. Następny list, pisany przez Omara przy końcu 1837 r. da dokładną ideę położenia Kuluglisów w tej epoce:

„Gdy dla ukarania Turków za ich niesprawiedliwość, barbarzyństwo i chciwość, Bóg, którego nauką pogardzili, zesłał Francuzów na brzegi Sidi-Ferrusz; gdy z woli tego, który sam tylko daje zwycięztwa, armie mużmańskie pierzchnęły haniebnie przed chrześcianami; gdy nakoniec

(1) Kuluglu, sato dzieci Turków z żon Arabek.

niezdobyty dotąd Algier upadł, mimo 2,000 swoich armat: wszelka nadzieja szczęścia zgubioną została dla Turków i ich następców, mieszkańców Algierji. Tysiąc razy było lepiej dla nich zginąć na polach Sidi-Fer-rusz i Staneli, gdyż byliby zyskali chwałę tu na ziemi i szczęście w niebie; lecz było napisano inaczej”.

„Nasza godzina przeminęła, godzina Marabutów i pasterzy nadeszła. Francuzi zdjęli jarzmo z wołu i nauczyli go walki: podwoił swoją wściekłość od czasu, gdy zmaczał w krwi rogi i zwrócił je przeciw swym panom. Wszędzie gdzie się sami znaleźli Turcy, i Kuluglusowie byli zagrożeni, wszędzie gdzie się zjednoczyli, potrafilo walczyć i nakazywać uszanowanie dawnym swoim niewolnikom; lecz od czasu, gdy władza przeszła w ręce jednego, gdy związek Abd-el-Kadera z Francuzami, zrobił go prawie sułtanem, nasza zguba stała się pewną. Kuluglusowie z Medeah, Tlemcen, Mostaganem, Mazagran, Mazuna, są lub wygnani, lub uwięzieni; zostają się tylko Kuluglusowie w Milianah, lecz i nas klęska nie może minąć. Ja nadewszystko winienem być w obawie, gdyż moje znaczenie niepokoi emira, chciwie pogląda na mój majątek i ma niby powód do jego zagarnięcia w pobycie mojego brata między Francuzami. Gdybym był sam, porzuciłbym moje dziedzictwo, zostawiłbym żonę przy ojcu, pojechałbym do Algieru i wydarłszy ztamtąd brata, udałbym się pod opiekę Mehmeda-Ali, dawnego przyjaciela mojego ojca; lecz mam drogą mi matkę, wierną wdowę Omara-baszy: ona sama zatrzymuje mnie w tym przeklętym kraju. Mogłem być dawniej ocalić majątek, rodzinę; lecz byłem szczęśliwy, władałem jak basza, i dałem się złudzić pochlebcom, żywiącym się u mego stołu. Ci, którzy teraz są mojemi nieprzyjaciołmi, oświadczały się wtedy z uległością i odwodzili od zamiaru. Nie przewidywałem wtedy, jak obecnie, nieszczęść, jakie nam grożą”.

Te przeczucia spełniły się. Wkrótce w miesiącu styczniu 1838 r. Omar został obciążony kajdanami i pieszo zaprowadzonym do Medeah, gdzie się znajdował emir. Stanąwszy przed nim, młodzian zapytał o przyczynę uwięzienia. „Podziękuj Bogu, odpowiedział emir, że moje serce jest litościwe: bo inaczej twoja głowa byłaby już upadła zakarę twych i twego brata zbrodni. Nie przestając na ucisku muzulmanów, gdy wasi ojcowie władali tym krajem, nie przestając na skarbach zebranych przez ucisk Arabów, zapomnieliście o waszej religii i żyjecie w rozpuście. Jeden z was poszedł do chrześcian, ażeby później znaleźć u nich środek podbicia kraju, drugi ułatwiał mu przedsięwzięcie. Czas sprawiedliwości przyszedł. Podług prawideł świętej księgi, wasze głowy powinny upaść i wasz majątek przejść na rzecz *beilik* (skarbu); lecz, jak ci powiedziałem, twoje życie będzie ocalone, pod warunkiem, że mi oddasz

wszystko co posiadasz ty i twoi. Najmniejsze zapomnienie, pociągnie za sobą twą zgubę. Daj poznać mój rozkaz twój matce: biada i jej i tobie, jeżeli będzie chciała stawić mi opór."

Omer napisał do swój matki, i jeźdźcy niosący rozkaz emira, udali się bezzwłocznie do Milianah. Mimo przedstawień Marabutów spokrewnionych z Omarami, mimo prośb służących, biadań i łez matki, z pogardą praw islamizmu wdarli się do domu, zamieszkanego przez rodzinę Omara, i nic nie uszło przed ich drapieżstwem; kobiety zostały pozabawione brylantów i wystawione bez zasłon na urągawisko Arabów, niegdyś ich niewolników, dwóch sekretarzy emira spisywało inwentarz znalezionych kosztowności, gdy inni wyszukiwali nowych. Oceniano na 400,000 franków brylanty i monetę, znaną w domu Omara. Emir na widok tych bogactw, które mu były potrzebne na wysłanie poselstwa do Paryża, nie mógł się nadziwić i nacieszyć; lecz Si-Embarek, osobisty nieprzyjaciel Omara, nie był jeszcze zadowolniony. Utrzymywał, że Żemna ukryła skarb, o którym ona tylko i jej służebna murzynka wiedziała, a na dowód stawał list Mohameda-ben Omara, w którym ten prosi o przysłanie sobie pierścienia ojca, za który chciał nabyć dom wiejski w Algierze. Zachęcony nadzieją powiększenia swych skarbów, nie lękając się żadnego środka w tym względzie, emir dał pozwolenie Żemnie do odwiedzenia syna uwięzionego w Medeah. Biedna matka mniemając, że serce emira zostało wzruszone litością, wyjechała czémprędzej do Milianah i przybyła nazajutrz do Medeah. Stawiono ją przed emirem: jej wzrost, gesta i powaga, wspomnienie jej dawnego znaczenia i nieszczęście wpłynęły na umysły przytomnych, wszyscy milcząc oczekiwali rezultatu. Abd-el-Kader przerwał pierwsze milczenie. „Twoi obadwa synowie, wyrzekł, zasłużyli na śmierć: jeden, że został chrześcjaninem, zamieszkując między niewiernymi, drugi ponieważ utrzymywał związki z nieprzyjaciółmi. Ich życie, żony, dzieci, majątek, wszystko co posiadają, stało się własnością naczelnika państwa; ty jednak możesz ocalić życie tego, który jest moim więźniem. Musisz nam oddać pierścień, który należał do ich ojca baszy, i wskazać miejsce, gdzie ukryłaś skarb niegodziwym sposobem nabyty.“ „O mój synu Omarze! dlaczego nie umarłeś rodząc się „wykrzyknęła nieszczęśliwa Żemna”, i nie powinnamże być przygotowaną na smutny los tobie przeznaczony, gdy twoje urodzenie było zarazem hasłem zgonu twojego ojca? Lecz ty, synu Mehedina, czy zapominasz że twa matka żyje jeszcze? Zapominasz, że masz żony? że masz dzieci? Czy się nie obawiasz, aby ci Bóg nie wydarł władzy, którą chwilowo złożył w twe ręce? i aby cię nie ukarał w tém, co masz najdroższego za nadużycie, jakie czynisz? Spójrz na mnie synu Mahedina: wczo-

raj bylam żoną baszy, przed którym drżał twój ojciec i wszyscy mieszkańcy Algierji; wczoraj błagano mojej protekcyi: dzisiaj błagam o litość tego, który był moim poddanym. Pomyśl więc, jaka jest niestałość losu; pomyśl o Zory twojej matce, o Aisza twojej córce, i miej litość nad niewiastą błagającą za swém dziecięciem. Lękaj się ściągnąć na siebie przekleństw matki, bo one przynoszą nieszczęście. Żadasz odemnie pierścienia Omara-baszy: jestto jedyna pamiątka, jaka mi po nim zostaje; lecz oddaję ci ją, zwróc mi tedy syna. Oddałabym ci z tym klejnotem wszystkie skarby świata, gdybym je posiadała, lecz już więcej nic nie mam.“

Żemna wyrzekłszy te słowa, wydobyła z zanadrza pierścień i rzuciła go pod nogi emirowi (1). Ten dał znak, wyprowadzono wdowę. Za chwilę później przerażające wykrzyki niewieście dały się słyszeć: straszny wyrok był dany, lecz intendent emira i hasza-czaus, ludzie dobrzy i miłosierni, zamiast dać na tortury; jak im zalecono, wdowę Omara-baszy, rozkazali wyliczyć jej murzynce niewolnicy 300 razów w pięty, aby wskazała skarb ukryty. Daremne jednak było to okrucieństwo, gdyż niewolnica nie wiedziała o niczym. Dano o tém raport emirowi, wielka liczba jego naczelników wstawiła się za nieszczęśliwemi. Żemna i Omar uwolnieni zostali, jednak z warunkiem, że ich dobra sprzedane będą; lecz cóż znaczyła ta strata dla matki, gdy widziała zbawioném życie syna?

Lecz czas doświadczenia jeszcze się dla nieszczęśliwej nie skończył. Po sprzedaży całkowitej majątku, udała się pod opiekę starego i wiernego sługi; lecz w kilka dni ten strapiony nieszczęściem dawniej pani, zakończył życie. Przywiedziona do nędzy, zajmowała się jednak doglądaniem w przykrój chorobie syna, w którą popadł skutkiem długiego i przykrego więzienia. Tymczasem w czerwcu 1838 r. z rozkazu emira wszyscy Kuluglisowie musieli ustąpić z Milianah i udać się do Tagdempt: daremnie naczelnicy haszemów szelifskich i dżendżelskich prosili o zmiłowanie dla Żemny i jej syna, ofiarując kaucyą 10,000 budżu; nic nie pomogło, trzeba było opuścić miasto. Smutny orszak postępował pod konwojem kawaleryi Abd-el-Kadera; na wszystkich twarzach malowała się boleść, lecz żadna skarga nie wydobywała się z piersi. Potomkowie najznakomitszych rodzin, szli pokryci łachmanami, lecz spokojni i milezący; nie słyszano jak tylko płacz dzieci trapiionych skwarem słońca. Im większe dotykało nieszczęście, tém się więcej wznosiła odwaga Żemny, zachęcając do cierpliwego poddania się losowi towarzyszków niedoli, podbudzając odwagę syna: była zawsze pełną mocy umysłu, wdową baszy. Po zburzeniu Tagdempt, Omar otrzymał pozwolenie do zamieszkania z matką w poko-

(1) Ceniono ten klejnot na 25,000 budżu; budżu zaś wyrównywa naszym 3 złotym.

leniu Beni Menacers, jednak pod warunkiem, że będzie służył w regularnej jeździe kalifa Milianab. Ten warunek wprawdzie przyjął, lecz gdy emir zwalczony przez marszałka Bugeaud, musiał ustąpić w głąb kraju, Omar wrócił wreszcie do Milianab, gdzie znalazł gościnne u Francuzów przyjęcie. Wrócono mu dom i niektóre posiadłości, a niedługo za zaleceniem głównodowodzącego, został mianowany hakem'em, czyli me-rem miasta arabskiego.

Taka jest historia Omarów. W czasie przejazdu przez Milianab, marszałek Bugeaud, któremu ją opowiedziano, chciał widzieć matkę Omara i oddać jej publiczny hołd swego szacunku. Towarzyszyliśmy mu w téj wizycie razem z całym sztabem; przyjęto nas w skromnym mieszkaniu, niemającym ani szczątku dawniej świetności. Gdy wszedł marszałek, ukazała się niewiasta okryta długim woalem, wspaniałej postawy, prowadzona przez Omara. „Możesz zdjąć twój woal matko—rzekł jej Bugeaud—wszystkie tu oczy są przyjacielskie i nie widzą w tobie tylko żonę baszy i matkę jednego z najwierniejszych poddanych Francyi.” Żemna poważnie zrzuciła swój woal. Podziwiać musieliśmy szlachetność rysów jej twarzy, którym smutek i tyle niedawnych cierpień, nowego powabu dodawały. Głęboko wzruszona Żemna, długo nic nie mogła mówić; lecz wreszcie ośmielona uprzejmym przyjęciem marszałka, wznosząc w górę piękne oczy łzami zalane, rzekła mu:

„Byłam długo bardzo nieszczęśliwa, ale mniemam, że ręka Najwyższego wspiera mnie znowu, gdy cię widzę sultanie francuzki! Wiem, że twoje serce jest tyle dobre, jak ramię potężne; mam też ufać w tobie. Niczego nie żądam dla siebie, jestem stara, i wkrótce złączę się z moim mężem, który był sultanem jak ty; lecz oddaję pod twą opiekę syna. Postępuj z nim jak z własnym dziecięciem, pochodzi z szlachetnego rodu, i będzie godnym dobra, jakim go opatrzysz. Każdodziennie moje modły będą się wznosić do nieba, błagając go o szczęście dla ciebie i twoich, i każdodziennie będę błagać o łaskę widzenia Abd-el Kadera u twych nóg, błagającego o miłosierdzie.”

Wzruszony temi słowami marszałek, przyrzekł wdowie o co prosiła, to jest opiekę nad Omarem. Oddaliśmy się wszyscy z szacunkiem dla niewiasty tyle godnej tego uczucia, lecz w kilka godzin później, to wrażenie zapomnianém zostało: rozkaz do nowego pochodu był dany. Marszałek miał się nazajutrz oddalić ze swoim oddziałem, my zaś z generałem Changarnier wyprawiliśmy się na ściganie Kabyłów w ich niedostępnych kryjówkach.

(Dokończenie nastąpi).

Koncerta małoletnich fortepianistów: Kamilli i Mirosława Marcinkiewiczów, dane w Warszawie w dniach 15 i 23 sierpnia r. b.

Cudnie brzmią opisy podróżników o czarach i osobliwościach stron dalekich, obcych krajów! Człowiek radby ptakiem tam przeleciał, by zobaczyć jaka tam wzniosła natura, jakie tam cuda cywilizacyi, by słuchać, jakim głosem wielcy ludzie do postępu ludzkość nawołują. Ale napatrzwszy się i nasłuchawszy do sytu, człowiek znów ptakiem między swoich radby powrócił: dosyć już podziwiał, teraz kochać pragnie. Więc gdy serce ku dawnym skłoni przyjaciółom, pozna, że i ich boże ożywia tchnienie; gdy tęskne oko na własne zwróci strony, zobaczy, że i im słońce przyświeca: wtenczas nowy Brutus padnie na kolana i ukochaną uściśnie matkę. Miłość rodzinnego kraju, każde pocziwe ożywiająca serce, nie jestże dowodem, że mu natura macochą nie była? że mu dała piękności i przymioty, inne, mniej może wystawne, ale równe przynajmniej tym, które gdzieindziej rozsypała? [A przecież nie brak płochych umysłów z lekceważeniem odwracających wzrok od domowej strzechy, z niewiarą zamykających ucho na to, co jest swojskiego; bo im dla obcych błyskotek całego oka, dla obcych hałasów całego ucha potrzeba. Wiecznie ku zagranicy wychyleni, chwytają każdy, by też najślabszy promyk obcego światelka, każde, by też najślabsze echo obcego odgłosu, i nuż go wydymać i podtrzymywać własnych piersi wysileniem, póki im nie błysnie jako bańka mydlana, póki nie zabrzmi jako szept cichy, trąbą morską w odległość poniesiony: więc podziwiają w tamtój blask słońca, w tym odgłos gromu. Osłepieni i ogłuszeni własnym kłaniają się utworom, a nie widzą ni słyszą, co się wokoło nich dzieje; i dlatego mówią, że na własnej ziemi pusto, czczo, nic nie widać i nie słyszą. Jakiegożto bowiem potrzebaby blasku i głosu, by zmysły całkiem dla obcych oddane, ku swoim nawrócić?

Oto kilka z rozkosznych myśli, jakie nas bardzo często nawiedzają, i teraz po koncertach małoletnich Marcinkiewiczów nawiedziły. Kto umiał dojrzyć, jak silnie dzisiaj tkwi muzyka w życiu towarzyskiem; kto ją dosyć rozumie, by jej wpływ ocenić, prace około niej podejmowane obliczyć: ten się nie zdziwi, że z powodu koncertów dwojga dzieci, skargi wylewamy. Nie o koncerta tu chodzi, ale o całą dążność domową; nie o dzieci, ale o gieniusz domowy: pierwsza pognębia i zabija drugi. Oto dwa młodociane talenta przybyły do nas z cichego litewskiego Mińska; talenta to tak znakomite, że z nich gieniusz wygląda. Dzieci jeszcze, a posunęły sztukę grania na fortepianie do tak wysokiego stopnia, że im nie

jedna dojrzałość zazdrości; oboje bowiem wstępują już w rząd pierwszych wirtuozów, a niedaleki jest czas, że imiona ich z chlubą wymawiać będzie ta sama Warszawa, która ich dzisiaj tak niegościnnie przyjęła. Że na pierwszy koncert kilkadziesiąt tylko osób przybyło, łatwo wytłumaczyć nieufnością do dziecinnego talentu; po pierwszym jednak posłyszaniu trudno było nie zmienić zdania, a czemuż drugi koncert mało co więcej jak pierwszy przywołał słuchaczów? Bośmy się jeszcze nie pozbyli nieszczęsnej pogardy rzeczy swoich! Niema w nas tej miłości rodzinnej, która słabe siły wzmacnia, wysilenia popiera, zasługę wywołuje i nagradza, wielkość stwarza prawie. Nie myślimy o tém, że nasze z nami i dla nas zostanie, obce z wiatrem przybyło, z drugim połeci: sami siebie cenić nie umiemy!...

Z tego, cośmy dotąd powiedzieli, widać już, ile młodych wirtuozów cenimy. Zamiast rozszerzać się nad szczegółami, któreby poparły nasze mniemanie, raczej wdamy się kilkoma wyrazami w ogólny opis charakteru ich działania muzycznego, bo choć to jednej matki dziatki, nie jednej przecież natury. Grę czternastoletniej Kamilli cechuje spokojne wykończenie, okrągłość, rozważa, myśl wreszcie tak już rozwinięta, że wie dzie młodą artystkę, mimo braku stosownego wykształcenia, do wylewania na papier własnych utworów. Jeśli wolno nad poufném rozszerzać się zwierzeniem, powiemy, że w tych myślach muzycznych obok instynktowego ładu, dostrzedz można własne widzenie, w pożyczoną od znajomych utworów sukienkę przyodziane. Gdy czas przyniesie naukę i uczucie sprowadzi, wtenczas myśl we własną oblecze się szatę, a cechą jęj będzie cicha głębokość. Wydatność wczesna tego kierunku w sztuce zapewnia, że jednym z główniejszych zostanie. Młodszy Mirosław odznacza się siłą i dzielnością, w zuchwalstwo nieraz przechodzącą. Z obawą patrzymy na młodego wirtuoza, z obawą słuchamy, ażali śmiałość jego niespodziewaną klęską ukaraną nie zostanie; ale widząc tyle dzielności, powoli nabieramy otuchy. Gra jego jestto strumień z gór leący: im dalej od początku, tém bystrzejszy; im większe spotyka przeszkody, tém gwałtowniejszy i zuchwalszy; czuje, że mu stają w drodze, ale je pokonywa, wywraca.

Wybór kompozycyj do charakteru obojga młodych wirtuozów trąfnie zastosowany; z wyjątkiem małym, np. nokturna i mazura Szopenowskiego dla Kamilli, bo one do późniejszych i głębszych tego autora utworów należą. Fantazyja z pieśni polskich, jedno z najpięrszych dzieł jego, *Presto* z koncertu Mendelsohna Bartholdy, najlepiej się jęj udały. Już w *Łucyi z Lamermooru* Liszta więcej trzeba ognia i potęgi, niż charakter młodej wirtuozki dotąd ich w sobie wyrobił; ale to tylko co do ram ma

się odnosić: sam obrazek, to jest śpiew, pięknie przedstawiony został. Prostota umyślna tematu w *Pompa de festa*, zastosowanego jakby do naprzed obmyślanych już sztuczności i trudności, jedność melodyj węgierskich Liszta, wykłótność mechaniczna przy wewnętrznej czczości wariacji Dreischoka, oto pole popisu dla Mirosława.

Widząc i słysząc to wszystko, jak nie mieć nadziei na przyszłość?

„Dzieckiem w kolébcie kto łeb urwał hydrze,

Młodzieńcem zdusi Centaury...“

powiedział nasz poeta; bodajby i tutaj proroctwo jego się spełniło! Niech zamiłowanie i zapal, jako dwa dobre gieniusze, pilnują młodych artystów na drodze po wieniec w sztuce, a niewątpliwie go osiągną. Wprawdzie wcześniej powzięte nadzieje tyle już razy zawiodły z różnych przyczyn! niezawsze jednak. Nasz nieodżałowany Szopen także jako dziecko, wielkie rozbudził, a najwygórowańsze przeszedł nadzieje. Tylko mierność okrzyczana zawodzi; młodzi Marcinkiewicze dziś dla równych sobie wiekiem są już przykładem i zachętą, dla starszych rywalami; czemuż w przyszłości przywódcami byćby nie mieli?

J. Sikorski.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

Znany sposób przyjmowania pism, podawanych do dziennika przez nią redagowanego, jest rękojmnią ich wartości. Zyskują one wiele, a przynajmniej ochronione bywają od rażących błędów, z powodu światłych uwag i ostrzeżeń, czynionych przy ostatecznym rozstrzygnięciu przyjęcia. Trudno jest przeto pojąć, dlaczego pisarza artykułu pod tytułem „Grammatyka języka polskiego przez Dobromysła Łazowskiego, Kraków, 1848” (zeszyt sierpniowy 1850 r. str. 315) nie ostrzeżono o tém, co strudzona ciągłą i długoletnią pracą uwaga i pamięć, mylnie podała. Nie mówię tu o sposobie układu obecnej krytyki, ani téż o zupełnym w niej braku ocenienia w wyższym tego wyrazu znaczeniu; o niezwróceniu uwagi na okoliczności, pod których przeważnym wpływem dokonywały się w ostatnich latach prace grammatyczne w Galicyi; o różnicy języka książkowego, tudzież potocznego wyższej klasy, od mowy ludu; o stosunkach pisarza grammatyk w Galicyi z ludem, o którym już Jan Śniadecki twierdził, że najlepiej ze wszystkich prowincyj mówi po polsku; o odosobnieniu tychże pisarzy od innych ognisk ruchu literatury krajowej, o ich dążeniu do puryzmu; o pośpiechu w dokonywaniu prac, wywołanym miejscową potrzebą i t. p. i o wyprowadzeniu wniosków okazujących co dobrego lub szkodliwego stąd wynikło dla grammatyki: bo wymaganie takich rzeczy zakrawałoby na instrukcyę, której udzielanie piszącym artykuły, redakcyi zapewne nie liczy do swych obowiązków. Nie wspominam tu nawet o pojedynczych zarzutach poczynionych p. Łazowskiemu, bo chociaż niektóre z nich są bezzasadne lub zostają pod kwestyą, po większej czę-

ści jednak są trafne i oparte na znajomości książkowego języka. Ale jakim sposobem w piśmie umieszczoném w Bibliotece Warszawskiej znalazło się twierdzenie „że Mroziński był prezesem Deputacyi do ustalenia pisowni?” (str. 315). Mroziński nie był nawet jej członkiem. Bo nie będąc członkiem Tow. Przyj. Nauk, nie mógł być wyznaczonym do składu Deputacyi, która choć korzystając ze światła uczonego męża, sama przez się zaprosiła go do dzielenia trudów, jako gościa, nie zaś jako członka, a tórn bardziej nie jako prezesa. Oświadcza to Deputacya w przemowie do „Rozpraw i Wniosków” (str. XII), nazywając Mrozińskiego najczyniejszym *spółpracownikiem* swoim.

Za najnowszą *po dziś dzień* grammatykę polską, autor artykułu podaje Grammatykę Łazowskiego wyszłą przed dwoma laty (str. 315). Tymczasem nie wspominając o wyszłych w r. 1849 dwóch grammatykach J. Muczковского (obszerniejszej i skróconej), zupełnie odmiennych od dawniejszych wydań grammatyki tegoż pisarza, mamy nowego autora Henryka Suchockiego, który *pod orędownictwem Towarzystwa naukowego akademii Jagiellońskiej*, rozwinął szczególniejszą czynność pod względem grammatyki, dostarczając uczniom szkół publicznych swojego dzieła zeszytami, z czego się utworzyły dwie grammatyki: jedna pod tytułem „Nauka języka polskiego”, a druga „Zwięzła nauka języka polskiego”, wyszłe na widok publiczny w r. 1849. Niewiadomość o tych dziełach autor przypisze zapewne zaniedbanym stosunkom księgarskim między Warszawą a Krakowem, które miały być przyczyną, iż skróconych grammatyk Łazowskiego nie otrzymał (str. 315). Mamy jednak przekonanie, iż to wszystko przypisaćby raczej powinien oddalonemu pobytowi swemu od Warszawy, nie zaś winie księgarzy.

Na str. 329 są takie wyrazy: „powinien był (autor) i imiesłów inaczéj nazwać, zwłaszcza gdy go uważa za przymiotnik lub przysłówek czasowy na wzór *Wostakowa*”. Jeżeli recenzent chciał się popisać ze znajomością grammatyk rosyjskich, to powinien był raczej wymienić Grecza, który na lat kilkanaście pisząc swą grammatykę przed Wostokowem, tak samo imiesłowy uważa.

Wymienia recenzent pana Ad. Krz. (str. 328) jako twórcę zasady, że w czasie przeszłym słów polskich, mających dwie spółgłoski na końcu, przedostatnia nie wymawia się; że więc pisać należy „*poszedł, wyszedł*, zamiast *poszedł, wyszedł*. Wiadomo, że Naruszewicz był za opuszczaniem w takich słowach głoski *ł*, np. *szedł, strzegł, strzygł, biegł*, zamiast *szedł, strzegł, strzygł, biegł*; ale dlaczego by te wyrazy miały się zmieniać na *szedł, strzedł, strzył, biegł* i t. p. to zapewne najlepiej sam twórca téj zasady recenzentowi objaśnić może. Ja zaś pospieszę do innego szczegółu, który mnie osobiście obchodzi.

Recenzent na str. 327, powiedział... „pamimo to jednak niepotrzebnie wprowadził, a raczej *zaswilił* wprowadzone przez T. K. wyrazy: *prawidłność, prawidłnie* i t. d.” Jeżeli tu cyfra T. K. ma oznaczać tę samą osobę, o której jest kilka pochlebnych wspomnień w recenzji: tedy twierdzenie szanownego recenzenta, iżem był *wprowadzicielem* do polskiego języka takich wyrazów, jak *prawidłność*, najmocniej odpieram i przeciw niemu protestuję. Mógł recenzent znaleźć w pismach

moich *prawidłowość, prawidłowy* i t. p; za takie wyrazy gotów jestem przyjąć na siebie odpowiedzialność. Ale *prawidłowość, prawidłowy* oczywiście są wyrazy fabryki galicyjskiej, rzeszowskiej, a mianowicie znanego recenzentowi Jana Nepomucena Deszkiewicza. Jakimże sposobem zamiast cyfry J. N. D. znalazły się na str. 327 litery (po galicyjsku krotły) T. K? Czy nie jest to tylko niewinny figiel korektora, który rzucając tym sposobem ziarno niezgody pomiędzy autorem recenzji a mną, uśmiechał się w duchu, myśląc: otóż będzie w odwecie *żywy* artykuł do Biblioteki. Otóż nie będzie. Bo jeżeli mój domysł prawdziwy, tedy najuprzejmiej proszę, aby redakcja poleciła umieścić w następnym zeszycie *errate*, iżby za jej pośrednictwem przywrócić właściwą cyfrę w wierszu 7 od końca, na str. 327 zeszytu sierpniowego.

Warszawa, d. 27 sierpnia 1850 r.

T. K.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

Czytając list p. Kraszewskiego w n. 52 na rok bieżący Tygodnika Petersburskiego, o, czy dla wydawcy Album Wileńskiego pisany, znajduję te słowa: „Otóż wszystko, co w tej chwili wydał p. Wilczyński, którego gorliwość hyleby znalazła uznanie i współczucie, *nowe* już nam *cuda* obiecuje”. Jako chrześcianin, winienem zaprotestować przeciw tak wczesnej kanonizacyi p. Wilczyńskiego, i p. Kraszewskiego zapytać o mandat powszechnego opinii kościoła. *Cuda nowe?* prosimy o wskazanie dawnych. Jakże nazwać czyny Chrystusa, kiedy Album p. Wilczyńskiego cudem się zowie?

Rzeczywiście, dziękujemy i nawet bardzo p. Wilczyńskiemu za jego Album, ale jeszcze „*wdzięczności, admiracyi*”, ani „*podziwienia dla niezmordowanego wydawcy Album*” (słowa p. Kraszew.) nie mamy. Sam p. Wilczyński za tak krótką drogę, pewnoby nie przyjął tytułu „*niezmordowanego*”. Sam p. Wilczyński słysząc od dziecka wyrazy: *wdzięczność, podziwienie, admiracya*, używane ku czci obywatelskich zasług Tyzenhauzów, Małachowskich, Stasziców, Brzostowskich, Jabłonowskiej, Ossolińskich, Czackich, Załuskich, Raczyńskich, i t. d.; gdyby był w kwadrat zarozumiałym, możeby i tak nie śmiał ich laury na swą głowę domierzać, i w nich chodzić. Za cóż tak ubliżać p. Wilczyńskiemu, któremu z serca dziękujemy, że nie handel specyfików, ale przedsięwzięcie artystyczne założył. Jutra nikt nie wie: może wydawca Album Wileńskiego i na pomnik zasłuży? Ale kanonizacyi *prenumerando*, jeszcze nie było przykładu.

Tylko poświęcenia z pobudek zapomnienia siebie wynikłe, cześć wywołują i zowią się obywatelską zasługą. Takięj czci wart *Minin, Pożarski*, i t. d. A w wydawaniu Album Wileń. widzimy jedno przedsięwzięcie pożyteczne i tym, co je kupią, i temu, co je przeda. Toż nie *Karpiowskie zboże*, po małych cenach i darmo rozdawane. To nie *Szablowskiego* mięso, bez pieniędzy biednym w Wilnie przez lat kilkanaście dzielone i t. d. Owszem słyszymy nawet zarzuty, na wyliczeniach oparte, że Album mogłoby daleko tańszej być ceny. Ztąd wnioski o upadku jego, mimo dedykacyjne podpórki.

Kiedy o wdzięczności mowa, nie możemy zamilczec o prawdziwie obywatelskiej postudze, wyrażonej testamentem pana *Berezowskiego* z Ukrainy, którym znaczną sumę przekazał na wsparcie piśmiennictwa. Nie wiemy, czy szanowny testator oznaczył bliżej myśl swoją, czy jęj dowolne wykonanie zostawił exekutorowi. W każdym razie, w imię pocziwęj myśli zmarłego i sumienia exekutora, powiadamy, że i tęj myśli i temu sumieniu wówczasy zadosyć się stanie, gdy ten kapitał obróconym będzie w duchu potrzeb czasu i życia, a nie na smarowidło jakiegoś tam furgonu, ładownego staremi szpargałami i nową uczonością przetrupiałyh zmurszadeł pyłu i pleśni. Wdzięczni być chcemy *Konstantemu Tyzenhauzowi*, nie że hrabia i bogaty, nie za *Ornitologią* nawet, bo sam się nią bawił, jako człowiek światły, któremu łowy, podrady, klęczniki, sejmiki, żarciećta, bale, nie mogą wypełnić szczeręj sfery poznania. Zawsze to korzystniejsza dla społeczności zabawa, ale ma jeno cenę zabawy. Lecz oto za co najszczeręj mu dziękujemy: że odłożył dwie summy, jedną na pomnik w *Horodnicy*, dla *podskarbięgo Tyzenhauza*; drugą na założenie stałego funduszu do utrzymania w ciągu 5ciu lat 6ciu uczniów w szkole malarskięj w Rzymie, i do wykonania już urzędowie przystąpił. Oto za to bardzo, i najbardziej dziękować nie przestajemy p. *Tyzenhauzowi*; ale na kandydata do kanonizacyi nie podajemy, i on pewno nam tego za ubliżenie nie poczyta. Mamy tęż nadzieję być wdzięczni p. *Rucińskięj w Kałudze* za jęj *Album muzyczne*, mające wychodzić podług cen, koszt druku ledwo wracających jako oto *Kijowska Gwiazda*, co bez żadnego swęgo zysku, pocziwie nam od 4ch lat świeci. Słyszymy tęż o pocziwych zamiarach dwóch nowych pism zbiorowych w Wilnie, a jedném w Odessie, mającém ukazać się pod redakcyą p. *Wołodkowicza*. Szczęść Boże ludziom dobrej woli! Wszystko nam wpadnie do serca, co z serca wypłynie.

Pan Kraszew. powiada przy końcu swęgo listu: „*Ci, co mniej mają, umieją cenić pamiątki, i pojmują instynktowo co piękne*”. Tych, co *mniej mają*, jest więcęj; zatęm (podług p. Krasz.) więk szość *pojmuje i ceni*, przeto ta więk szość *pojmuwać i cenić umiejąca*, utrzyma co war te, co niewarte odrzuci. A po cóż te jeremiady i czy one mogą wpły wać na sąd tęj więk szości, którą sam p. Krasz. *umiejąca cenić i pojmuwać*, nazywa? Z tego punktu da się wytłumaczyć „*zwrotka*” litanii wydawców, którą (słowa p. Krasz.) p. Wilczyński i p. Kraszewski razem z p. Podbereskim śpiewają. Niech *Athenaeum* choć trochę żywo tniejsze będzie. Niech p. Podbereski nie zadymia swoich kartek kadzi dłami wierszem i prozą, niech dedykacye zostawi winszowaczom *Nowęgo Roku*; niech rękę swą kartką encyklopedyi jakięj zawiąże, kiedy go spazm *dopiskowania* porywa; niech nas karmi pracami pocziwych talentów Sowy (Żeligowskiego), Zofii K(limańskięj), Gryfa (Marcinkowskiego), Fischy, Habdanka, Janiszewskiego, to będziemy czytać, kochać redaktorów, i na przebój chwytac ich pisma. Cmi się w oczach staremu! Ziomkowie Mazury! wybaczcie i za to, że nie piszę więcęj, i za to, com napisał, że z kiepska po węgiersku wygląda.

Uszanowanie wam składa
Nikodem Karol Miesleszko z Mścistawskiego.



KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1849.

K I J Ó W.

88. Gwiazda (.) Książka składkowa. N. 4. wydawca Benedykt Dołęga. 8ka. Kijów. (Druk Glücksberga). Napisów kart 2, str. IV i 380. Złp. 10.

1850.

WARSZAWA.

72. Kobięca wojna (.) Roman historyczny przez Alexandra Dumas. Wydał W. Świeszewski. 12ka. 5 tomów. Warszawa. 1850. Druk Józefa Tomaszewskiego. Tom I, str. 268, II, 243. III, 199. IV, 259, V, 240. Złp. 26, gr. 20.

73. Opis historyczny trzech kęp na Wiśle pod Warszawą (Polkowska, Bełk, Saska) od najdawniejszych czasów do 1850 r. skreślił Alexander Wejnert, magister Obojga Praw i Nauk administracyjnych, Konserwator akt dawnych miasta Warszawy. Z ryciną. Nakładem autora. 8ka. Warszawa. 1850. Druk Banku Polskiego. Napisów kart 2 i str. 156.

74. Zbiór nabożeństwa dla panien. 12ka. Warszawa. 1850. Nakład G. Sennewalda, druk Ungra. Str. 263, i rejestru str. VI. Złp. 8.

W I L N O.

75. Karpaccy górale. Dramat w trzech aktach (,) przez Józefa Korzenińskiego. Z godłem:

Nyma ryby w Czeremosi,
Wsiu pojiła szuka;
Powisyły Tychończuka
I Rewizorczuka.

Pieśń gminna góralska.

Wydanie drugie. 12ka. Wilno. 1850. Nakład i druk J. Zawadzkiego. Str. 118. Złp. 5.

76. Wielki tydzień dla duchownego pożytku chrześcian wszelkiego stanu. Ułożony przez ś. p. x. Jakóba Falkowskiego zakon. kaznod. prowin. litew. Wydanie nowe, pomnożone modlitwami na Wielki tydzień i na Wielkanoc. Z ryciną na stali. 16ka. Wilno. 1850. Nakład i druk J. Zawadzkiego. Str. XII i 435, Złp. 8.

K R A K Ó W.

77. Dawne zabytki miasta Krakowa. Przypomnienia przeszłości o niektórych starożytnych zwyczajach mieszczan krakowskich, o bramach, basztach i wszelakich tej niegdyś stolicy kraju obronach, z dodatkiem różnych do dziedziny pamiątek należących wiadomości. Z rękopismów zebrał i ogłosił Ambroży Grabowski sędzia pokoju, członek Tow. Nauk., mieszczanin krakow. Z ryciną. 8ka. Kraków. 1850. W drukarni Czasu. Str. IV i 226. Rejestru karta 1. Złp. 13 gr. 10.



Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

Zapowiedzianego dzieła p. n.: „Słownik geografii powszechnej. Opis geograficzno-statystyczny państw, krajów, okolic, miast, mórz, rzek, jezior, wysp: i t. p. ułożony według najlepszych dzieł niemieckich, francuzkich, angielskich i polskich przez Romana Lisickiego”, zeszyt pierwszy wyszedł z druku, nakładem *Henryka Natansona*. Całe dzieło będzie się składać z XII poszytów.

— Nakładem J. Bernsteina księgarza: tomu IIgo Życiorysów wyszło zeszytów cztery. Zawierają biografie: *Aryosta, Marcina Molskiego, Feliksiego, Drużbackiej, Zofii Oleśnickiej z Pieskowej Skąły, A. Bronikowskiego, Jana Kolara, Fabiana Birkowskiego, Krzysztofa Arciszewskiego, Kaldersona, Tassa, i Józefa Korzeniowskiego*. Wydawca w ostatnim poszycie dał nam wizerunki Tassa i Korzeniowskiego z litografii p. Fleck, tak pięknie odbite, że nic do życzenia nie zostawiają.

— Z prac przygotowanych do druku, wspomnieć musimy ważniejsze:

— Księgarz Orgelbrandt nabył rękopis W. A. Maciejowskiego p. n. „Historja literatury polskiej” i zaczęte go wkrótce drukować. Dzieło to obejmować będzie od 3 do 4 wielkich tomów.

— S. H. Merzbach wyda: Powieści hr. Henryka Rzewuskiego we 3ch tomach.

— Leon Glücksberg kończy „Dykeyonarz biograficzny” i w r. b. wyda „Piotr Wielki i jego wiek,” ze stalorytami.

— G. Sennewald rozpoczął drugie wydanie „Ogrodnictwa Czempiuskiego”.

— Henryk Natanson kończy tom IIgi „Kosmos Humboldta”, i drugie wydanie pierwszego tomu. Jako też część Iszą „Pamiętnika sztuk pięknych”, pod redakcją Bolesława Podczaszyńskiego”.

— Współwydawca „Starożytnej Polski”, *Tymoteusz Lipiński* przygotowuje bogaty zbiór przysłów polskich z objaśnieniami.

— K. Wł. Wójcicki przygotował drugie wydanie *Klechdów*, które tłumaczone były w całości na język niemiecki przez Fryderyka H. Lewestam, p. n. *Polnische Volkssagen und Märchen*. Berlin. 1839, w znacznej części po francuzku w *Revue du nord*, a oprócz tego po czesku, i po angielsku. Tenże przygotował także do druku drugie wydanie „Przysłów narodowych”, znacznie powiększone i przerobione. Oba te dzieła już dawno wyszły z obiegu księgarskiego.

— Tom VIIImy „Historji Literatury Polskiej” Michała Wiszniewskiego drukował się w drukarni Akademickiej w Krakowie, i 24 pierwsze arkusze już wydrukowane, wraz z gmachem drukarni zgorzały. Od dwóch tygodni jednak rozpoczął się na nowo druk rękopisu, który ocalony został, i pomimo tak nieszczęśliwego wypadku, wydanie tego dzieła, spóźnionem tylko będzie o kilka miesięcy. Zapewne przed Nowym Rokiem ten tom VIII prępsę opuści.

— P. Romuald Podbereski (obecnie bawiący w Warszawie) wydał w Wilnie Pamiętnika Naukowo-literackiego oddziału pierwszego ostatnie dwa zeszyty, które zawierają:

Zeszyt V. Przygody człowieka, który sprzedał swój cień.—Pani Kaznaczajowa, powieść wierszem, p. *Klewszczyńskiego*.—Cudowny kapelus; poglądy obyczajowe.—Gawęda krytyko-literacka. N. 4. p. *Adolfa z pod Bielska*.—Program dzieła *Alberta Gryfa*, pod tyt. Filozofia dziejów piśmiennictwa polskiego.—Wspomnienie o Ign. Jakowickim, p. *Z. Bartoszewicza*.—O pomniku ks. Kluka, p. *Jana Wolfganga*.—Pamiętka przeszłości: obraz duszy ś. p. Matuszewiczowej.—List Z. Bartoszewicza do W. Smokowskiego.—Wiadomość o pracy p. Roger nad badaniem temperatury ciała dzieciennego.—Wiadomości gospodarskie.—Korespondencya literacka.—*Zeszyt VI.* Gawęda krytyko-literacka N. 5ty, p. *Ad. z pod Bielska*.—Wybryki dobrego humoru (wiersz) p. *Leona Janiszewskiego*.—Przedstoletnie kalendarze. p. *Ign. Chodźkę*.—Spowiedź kozaka, wiersz p. *J. I. Pr.*—Wyjątki z Roxolanii czyli Ziemi Czerwono-Ruskiej, poematu S. Klonowicza, przekład *Wł. Syrokomli*.—Z powodu organizacyi pracy. —Swawola studentów wileńskich z pam. *Filona Osinińskiego*. Korespondencya. Wiadomości gospodarskie. Rozmaitości i t. d.

Pamiętnik Naukowo-literacki widocznie coraz się więcej ulepsza na drodze postępu. Pragnęby należało, aby więcej był upowszechniony pomiędzy naszymi czytelnikami.

— W Wilnie Stanisław Moniuszko wydał wyjątki do śpiewu ze swęj muzyki do opery Włod. Wolskiego: „Halszka”, i wydaje trzeci poszyt „Śplewnika domowego” i „Kantatę”, na mitologii litewskiej osnutą, pod t: „Milda”. Z różnych pieśni do śpiewu tegoż kompozytora, doszły do Warszawy: „Maciek” i „Kozak”, w drugiem już wydaniu.

— Z komedyi boskiej „Dantego”, oddział „Plekło” przekład *Józefa Krzeczakowskiego*, ma się wkrótce drukować u Zawadzkiego w Wilnie. Obejmować będzie 20 arkuszy w 8cc.

— W Petersburgu sprzedaż dubletów Cesarskiej biblioteki publicznej wkrótce nastąpi. Pierwszy tom katalogu, obejmujący spis dzieł historycznych, z których wiele dziejów polskich dotyczy, drukiem został ogłoszony.

— W Poznaniu ogłoszono wydanie „Mapp powiatowych W. księstwa Poznańskiego”, według wielkiej specjalnej mappy Neumana. Wydanie to odznacza się pięknnością, najściślejszą dokładnością, jako też niezwykłą dotąd taniością. Mappy 26 powiatów drogą przedpłaty kosztują talarów 3, sgr. 14. Dotąd wyszło już 21 powiatów.

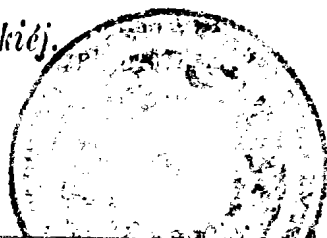
— Ignacy Pietraszewski professor języków wschodnich w Berlinie, ogłosił przedpłatę na dzieło w 3ch tomach p. t. „Opisanie podróży i pożycia w ośmioletnim pobycie na Wschodzie”.

— W Pradze wyszło świeże wydanie rymowanej kroniki „Dalemila”, który żył w XIII wieku, p. n. „Dalemilowa chronika czeska”. Dodane są do niej krytycznie opracowane warianty, wraz z podobizną litografowaną podług najdawniejszego rękopisu krologradzkiego. Jestto już czwarte wydanie tej kroniki.

— W czeskiem czasopiśmie „Kwety” wiele jest tłumaczeń z polskiego: rok bieżący rozpoczęto przekładem powieści Czajkowskiego.



Redakcyja Biblioteki Warszawskiej.



DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE
w Obserwatoryum Astronomiczném

WARSZA WSKIÉM.

Sierpień, 1850.

	mm.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	750.366	27	8.635
Najwyżej dochodził — d. 27 o g. 10 w.	757.96	28	0.001
Najniżej — — d. 19 o g. 10 w.	742.23	27	5.028
Średnia zmiana dzienna barometru	2.963		1.317
Największa zmiana dzienna barometru d. 25—26 o g. 6 r.	10.62		4.675
Średnia wysokość barometru jest wyższa o od stanu normalnego z 24 lat poprzedzających	0.953		0.424
Średnia temperatura Sierpnia wynosi: i ta jest wyższa o od stanu normalnego z 24 lat po- przedzających	749.413	27	8.211
	+ 19 ^o .03 C.		+ 15 ^o .22 R.
	0.96 „		0.76 „
Największe ciepło dochodziło d. 15 o godz. 2 po połud.	+ 18.074 „		+ 14.459 „
Najmniejsze dochodziło d. 28 o godz. 6 rano.	+ 31.3 „		+ 25.04 „
Termometrograf wskazał: Maximum: + 26. ^o R. d. 15 po poł. Minimum: + 3.6 „ d. 28 rano.	+ 7.3 „		+ 5.84 „
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.97 „		2.37 „
Największa zmiana dzienna d. 24—25 o godz. 4 w.	14.1 „		11.3 „
Wody z deszczu spadło wysoko na 41,9 milim., czyli 18,56 lin. par., to jest: o 14,5 milim. czyli 6.43 lin. par. mniej od ilości wody, jak zwykle u nas w tym miesiącu spada.			
Średnia wilgotność powietrza miesięczna wynosi: 67,3; biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do cięż- zaru 10,9 gramów, na jednym metrze sześciennym powie- trza, i ta jest o 6 setnych mniejsza jak zwykle.			
Dni pogodnych było 13; napół pogodnych 14, pochmurnych 4. — deszczu 10 (d. 3, 10, 16, 17, 19, 20, 22, 25, 27, 30). — mgły 1 (d. 26). — grzmotów i błyskawic 5 (d. 3, 13, 15, 17, 22). — błyskawic 3 (d. 2, 10, 16). Wiatr panujący: Zachodni. Wichrow: 1 Z.			
Sierpień r. b. był pogodny, bardzo suchy i gorący, 0.76 stop. R. cieplejszy jak zwykle. Pierwsza połowa miesiąca osobliwie dni: 2, 7, 10, 13, 14, 15, 16, 22, 23, 24 były bardzo gorące. Dnia 15 o godz. 2giej po połud. ciepło dochodziło 26 stop. R. W drugiej połowie miesiąca poranki były chłodne, osobliwie d. 26, 27, 30, 31; grzmoty i błyskawice dość częste. Susza trwała prawie przez cały miesiąc.			
D. 10 o godz. 5 m. 45 po połud.: Wicher gwałtowny Zachodni. D. 27 i 28 przed godz. 9 wieczór. Zorza północna nieznaczna.			

OBRAZKI WIEJSKIE.

PRZEZ

Jana Kantego Gregorowicza.

II.

PAN RZĄDCA.

Łatwiej nie łąć poetom, ministrom nie zwodzić,
 Łatwiej głupiego przeprzeć, wodę z ogniem zgodzić,
 Niż zrachować filuty. Ciżba, wojsko spore:
 Zkąd zacząć? zpośród tłumu na hazard wybiorę.

Dzień drugi zajaśniał pogodą, spełniając przepowiednie Lacha, bo istotnie *przepalkoniło się*. Jak tylko błysnął pierwszy brzask jutrzeńki, tego gońca gwiazdy dziennój, i przebrzmiał w rozkoszném świegotaniu śpiew skowronka, niby modlitwa ziemi do Boga: natychmiast ruch i życie zaczęło się objawiać w wiosce, w poprzednim rozdziale przez nas opisanój.

Stadka biało-piórych gęsi puszczona ze swoich nocnych uwięzi, z głośnym geganiem, z podniesionymi skrzydłami biegły na wyścigi ku małej sadzaweczce, wpośród wsi położonój, i muszcząc jój gładką powierzchnią, w rozlicznych gonitwach stały daleko radosne okrzyki, jakby powitanie niezadługo wejść mającego słońca. Nareszcie wschód coraz bardziej strojąc się purpurą, ukazał na swoim łonie zwolna wznoszącą się tarczę słoneczną, która śląc promienie na drzemiącą jeszcze ziemię, ustroiła szmaragdami, brylantami i złotem zroszone trawki i chwiejące się listki drzew. Powietrze napełniło się świeżością. Kominy domostw strzeliły popielatemi wstęgami dymu, prościutko w górę wznoszącymi się, gosposie popędzając przed sobą ryczące krówki po na-

pojeniu, zbliżały się ku błoniu dla powierzenia ich wspólnej opiece pasterza wiejskiego.

Włóścianie po dwóch, po trzech, z cepami, z kosami, z siekierami pospieszali na pańszczyznę, bo to minęło święto, a z niém i odpoczynek. Chociaż niejednemu głowa ciężała od nadmiary pościągniętego wczoraj trunku, chociaż niejednemu jeszcze oczy się do snu kleiły; ale darmo, trzeba ze wschodem słońca stanąć u roboty, a z zachodem zejść z niój: bo tak dziad, pradziad robili, więc i ich następcy święcie się tego porządku trzymali. A niechcący się który spóźnił, to jak ekonom krzyknął, a inni przystawcy przyskoczyli, to aż strach morem po kościach i skórze przechodził. Niedługo kilkanaście pługów zaprzęzonych wołami, z pieszcząciami i skrzypiąciami kółkami wysunęło się z okolników dworskich, i ciągnęło sznurem przy potrzaskiwaniu biczów, idących za niemi parobków. Mali poganiacze z zaspanemi oczami, wyglądali jak Lilipuci Guliwera przy tych olbrzymach rogatych, w jarzmo wprzęzonych; a jednak śmiałym pokrzykiem, uderzeniem chociaż słabiej ręki, robili je powolnemi na najmniejsze skinienie, na każde zawołanie swoich przewodników. Za wolno krocząciami wołami pokazały się ręce fornalki dworskie z bronami, wozami, spiesząc to na pole, to na łąki, po skopione w sobotę siano; bo słońce ładnie weszło, rosa była obfita, najmniejszy wietrzyk nie powiewa, więc będzie pogoda. A więc dalej do roboty! Ekonom z potężnym batem, w słomianym kapeluszu, ogorzały, rozkładając rękoma, łając, krzycząc wydawał resztę rozkazów i dziennych rozporządzeń, aż nareszcie wsiadł na podanego sobie stępaka; i pogoził za drugimi w pole.

Wysunął się także ze swego pomieszkania i pan rządca w szlafroku, z rękoma w bocznych kieszeniach; i wolno, z powagą, nie dając nawet baczenia na ukłony chłopów, posuwał się ku zabudowaniom dworskim.

— Dominik!—zawołał na kręcącego się karbowego z pekiem kluczków—a gdzie ekonom?—Dowiedziawszy się, że pojechał już w pole, mówił dalej narzekającym i urywanym głosem: —A niech was djabli wezmą, tak późno fornalki i pługi wyprawiać do roboty; a co one zrobią? Niedługo będzie upał, to i popowracają do domu.

A gdy karbowy trzymając w ręku czapkę chciał coś mówić na usprawiedliwienie, przerwał mu, i podniosłszy głos, dalej ciągnął swoje narzekania:

— Cicho osłe stary! Durnieście oba z ekonomem i z waszém gospodarstwem. O! powiadam—dodał wzruszając ramionami i idąc ku oborze jednym zawsze powolnym i poważnym krokiem—gospodarować w tych Zagrach (tak się nazywała wieś, przez nas opisywana), to lepiej świnie paść. Co to wszystko sto diabłów warto! Maciek zarobi, Maciek zjé.

Boto dziedzie o sto kroków śpi, trzeba się zatém okazać czynnym, dbałym, dozorującym. Chociaż dziś wszystko raniéj ruszyło w pole jak dni innych, ale to mniejsza; dlaczego nie krzyzcć, nie hałasować, wyrzekać, kiedy to nic nie kosztuje? A dziedzie przypadkiem może się obudzić i usłyszawszy głos wznoszący się za dobrem pańskim, zaraz nabierze dobrej opinii i nogami i rękoma przywiąże się do człowieka, który o niczém nie myśli, tylko o mieniu jego.

Pan rządcą wszedł następnie do obory. Dojki kończyły dojenie i bydło przerywanym rykiem dawało oznaki niecierpliwości, jakby prosząc się, żeby je puszczono w pole. Jak tylko stanął na progu, napół zwrócony do obory i do okien dziedzica, aby głos nie łamiąc się, mógł wprost iść do jego ucha, zaraz rozpoczął swoje narzekające trele:

— A niech was diabli wezmą, jak wy to bydło pasiecie! A to ledwo obory nie rozwali, tak się z głodu wydziera w pole. Jak po ordynaryą, po zasługi, to umiecie przychodzić: a dbać o dobytek pański, to nie ma komu. O! gałgany, gałgany!

Pastuch chodząc między bydłem, nawet nie słyszał tych lamentów, ale pan rządcą nie dbał o to; krzyczał, żeby krzyzcć, i żeby się tym krzykiem dobrze okazać. Zwracając się więc do jednéj z dojek, dodał jeszcze z większym fukiem:

— Tak doisz małpo, jakby nie swemi palcami; czemu nie ciągniesz lepiéj: coto drewniane masz ręce?— I siląc się na podobne strofowanie, w łajaniu, w krzyku wyszedł z obory kończyć na podwórzu swoje gospodarcze gniewliwe uwagi. Bo to nie bagatela! jakieżto dziedzie nie nabierze opinii, gdy przypadkiem uszów jego doleczą wyrazy, tak jasno dowodzące czuléj troskliwości o jego dochody. Kto tak dbały i dozorujący jest w małych rzeczach, to z potrójną musi czuwać uwagą nad większemi. On téż czuwał, od rana do nocy ciągle narzekał, ganił i łajał; ale czy zawsze i wszędzie był tak troskliwy?—zobaczymy późniéj.

Przeszedłszy koło dworu, który dumnie nazywany był pałacem, udał się wprost do ogrodu zobaczyć, czy ścieżki pograbione,

czy ustrojone kwitnącemi klombami kwiatów, czy do stołu na werty będzie arbuzy lub melon, czy wreszcie nie znajdzie coś takiego, co niemile wpadając w oko, dałoby niekorzystne wyobrazenie o utrzymywanym porządku i pieczołowitości głównego zarządu. Zajęty temi ważnemi przedmiotami doszedł do kołowrotu, zamykającego wstęp do szerokiej drogi, ocienionej starymi lipami, idącej tuż przy oparkaniu ogrodu. Rzuciwszy oczami wokół, odezwał się sam do siebie:

— Gdzie człowiek tylko zajrzy, to musi mieć zmartwienie. Hej! jest tam kto w ogrodzie. Józef! Grześ! A mówiłem, a gadałem, kołowrot zabić kołem, żeby nikt nie przejeżdżał, kiedy dziedzic jest w dobrach; ale powiadam, to nie ludzie, to bydło. Gadaj, gadaj, to tak jak groch na ścianę.—A zobaczywszy zbliżających się ogrodników, z podniesionym głosem tak dalej łajanie prowadził:

— Czemu kołami kołowrotu nie zabiliście? Nie znacie służby, to won do stu djabłów, gałgany! Wszystko pany; spać do ósmej, potem leżeć do góry brzuchem: tyle waszej roboty. Ja was zaraz państwa oduczę, jak każę każdemu po 50 batów wyrznąć. A po pieniądze, do miski, toście pierwsi. Poczekajcie! poczekajcie! tylko raz napotkam kołowrot niezabity.

Zfukani ogrodnicy wzięli się co prędzej do roboty, a pan rządca wsunął się drzwiczkami otwartymi do ogrodu.

Wzrok jego naprzód padł na ścieżki; szczęściem, były pogracowane: ale wodząc ciekawym okiem po kwiatkach, zobaczył kilka łądyg obciętych, które poruszane wiatrem, trąc jedna o drugą wydawały głuchy szelest, jakby skargę o rabunek ich pięknie ustrojonych główek.

— Panie Sakowski—rzekł do przybliżającego się ku sobie ogrodnika—mówiłem, żeby kwiatów nie obrywać przy ścieżkach i drogach; macie ich na bokach i tak jak gnoju, a jednak was zawsze djabeł nosi po klombach, jakby umyślnie na moje zmartwienie.

Ogrodnik chudy, wysoki, 80-letni blisko starzec, w surducie ciemno-granatowym, trzymając w jednym ręku rydel, a drugą uchylając czarnego niegdyś kastorowego kapelusza, odezwał się powolnym, deklamacyjnym głosem:

— Ach panie rządco dobrodzieju! toć i ja to samo powtarzam, ale kto poradzi temu tałajstwu dworskiemu.

— To kijem ś..... uczyc rozumu —przerwał rządca. Ale ogrodnik nie zważając na uczynioną przerwę, dalej swoje usprawiedliwienie prowadził:

— Wczoraj była niedziela, to przyszedł pan ekonom z żoną, p. kassyer z żoną i córką, p. pisarz prowentowy z żoną, p. gorzelany z żoną i dwiema córkami, pan kucharz.....

— Powtarzam jeszcze raz—przerwał rządca zniecierpliwiony—że zwymyślać, jak chodzić będą; a jak to nie pomoże, to kijem do stu tysięcy d.....: to nie dla nich ogród do spaceru.

— Hm, hm, hm! — rzekł ogrodnik zażywając tabaczki i kiwając głową—zwymyślać? kijem? Już pięćdziesiąt pięć lat jestem ogrodnikiem, i nigdy temi rzeczami nie wojowałem. Hm, hm, hm! zwymyślać! kijem!

— No, to się asan naucz, a nie, to z Panem Bogiem. Ogród tylko dla pana, a nie dla wszystkich z całego świata.

— Ja téż im to zawsze mówię i powtarzam, ale co to poradzi! Przyjdzie pan ekonom z żoną, rzucą okiem i tu i tu, już cié jéjmość dobrodziejka skub za kwiatek, pan ekonom skub za drugi, pan kassyer z żoną i córką urwą trzy, a pan gorzelany cztery, a pan kucharz, a pan pisarz; a wszystko z żonami, z dziećmi, to aż głowa mało nie pęknie.

— Co mi tam asan takie prawisz rzeczy—rzekł z zupełną niecierpliwością p. rządca — kwiaty przy drogach mają być nieobrywane, i koniec; a jak jeszcze raz coś podobnego spostrzegę, to za każdą lodygę z urwanego kwiatu, pięć złotych sztrafu zapłacisz. A Boże, Boże z temi ludźmi! Coto zawsze zmartwienia, coto zgryzoty! Muszą wziąć djabli człowieka, to nic nie pomoże!

— Hm, hm, hm! — odrzekł ogrodnik kiwając głową—pięć złotych za kwiatek! Hm, hm, hm! Otoż niech tylko pan rządca dobrodziej porachuje, ileto między samych oficjalistów rozejdzie się kwiatków. Teraz często i obcy skubnie, i pani rządczyni trzeba co dzień dać bukiet do domu, do pałacu do stołu dwa: to i zkądże brać tych kwiatów?—Ostatnie to tłumaczenie do reszty zniecierpliwiło rządcę. Nie czekając końca długiej mowy ogrodnika, mruknął tylko przez zęby:

— A niech cié lichu weźmie z twoją powolną mową, nudny i przemierzły dziadzie—i ruszył dalej kończąc pod nosem przekleństwo, ofiarowane na dzień-dobry staremu ogrodnikowi.

Pan Sakowski ogrodnik, który tyle krwi napsuł szanownemu p. rządcy, pochodził ze szkoły ogrodniczej jeszcze Jacka Ma-

łachowskiego, i wzięty ztamtąd za ogrodnika przez dziada dzisiejszego dziedzica, ciągle pracę swoją dla tego domu poświęcał. Wieloletnią służbą w jednym miejscu, przedstawiał on typ dawnych sług dworskich, którzy stanowili niejako żyjące kroniki zamożniejszych domów polskich. Wypiastowawszy prawie na rękach panów swoich, przyłgnął do nich całym sercem i przywiązał tak, jak się zwykle przywiązuje do własnych dzieci. Nie nazywał ich inaczej jak po imieniu, mianując dzisiejszego dziedzica panem Janem, a ojca, panem Władysławem: bo tylko pierwszego dziedzica, który go przyjął w obowiązki, mianował nazwiskiem pana. Ich mienie uważał za swoje, z ich szczęścia i radości weselił się, ze smutku płakał; a chociaż był z patryarchalnym uszanowaniem, z religijną prawie czcią dla całej rodziny swoich panów, uważał siebie niemal jako jej członka, mianując dalekich i bliższych krewnych stopniami pokrewieństwa, jakimi byli złączeni z jego dziedzicami.

Ci też wypłacali się całą przychylnością dla starzejącego się w ich usługach poczciwego staruszka, a dzisiejszy młody dziedzic kochał go prawie jak ojca, nazywając go dziadkiem lub poczciwym Sakosiem. Takie względy niejednego gniewały, niejednego zazdrościł; ale nikt jawnie nie śmiał przeciw niemu wystąpić, bo Sakowski wychowany w szkole możnego magnata, już za młodu nauczył się umiejętnego i pobłażliwego postępowania między ludźmi, tak jak to mówią: aby wilk był syty i owca cała. Jeżeli nie mógł mówić jak myślał, to zamilkł, lub zupełnie na co innego rozmowę wprowadził. Udzielając odpowiedź, zawsze ją dawał w powolnym tonie mowy, znamionującej zwykle rozwagę; do czego tak się przyzwyczaił, że rozprawiając szczególnie wtenczas, kiedy z rozmowy lub z towarzystwa nie był kontent, to wyrazy tak przewlekał, tak długie robił peryody i liczne przestanki, że najcierpliwszego, najpowolniejszego znudził i zniecierpliwiał.

Nazywali go też przez szykanę nudnym dziadem; ale on nie dbał o to, bo posiadając względy panów, był pewny swego miejsca, a wołał tym sposobem odstręczać od siebie niemiłych lub niechętnych, jak klócić się i drzeć z nimi koty. Przytém serce miał najwyborniejsze: nie widziano, ani słyszano nigdy, aby komu zaszkodził. Jeżeli błędów ludzkich nie usprawiedliwiał, to nigdy nie potępiał; a nadto, rzecz szczególna, rzecz dziwna, nienawidził plotek i nigdy nie doniósł do ucha pańskiego nic takiego, co tylko w tym magazynie miało początek. Nie pochodziło to jednak z nie-

dbałości o mienie, o dobro pańskie: on czuwał nad niem tak troskliwie, tak wiernie, jakby nie czuwał nad swoim własnym; ale powiadał: że pan nic na tém nie straci, jeżeli ogrodnik urwie dla siebie śliwkę lub gruszkę, kucharz kawał chleba umacza w sosie, aby tylko ogrodnik nie wziął się do całego drzewa, a kucharz do pieczenia. Takimi drobiazgami, utrzymywał, że więcej panu niepokoju i zmartwienia, jak istotnej korzyści przynieść można. Lecz niechoby który ze służących lub oficjalistów nie poprzestał na gruszcze lub sosie, i sięgnął ręką po owoc dla siebie zakazany: był wtenczas bez żadnej litości i pierwszy donosił panu o niegodziwym, który osmieszył się krzywdzić jego mienie. Dlatego więc i bano się go i szanowano, a każdy dla niego był z powierzchownym przynajmniej szacunkiem, bo wiedział, że ma w nim surowego, lecz sprawiedliwego sędziego.

Każdemu usłużyć, każdemu grzeczność zrobić, było jedynym jego upodobaniem; ze wszystkimi więc żył w zgodzie, tylko z jednym panem rządcą nie umiał się pogodzić, bo nie mógł znosić jego ciągłych łajañ i strofowań, jakie nieraz chciał wprowadzić w obręb ogrodniczy, podległy jego władzy. Lecz on umiał sobie w takich razach radzić: jeżeli przewlekły i nudny ton odpowiedzi nie nie pomógł, to zaraz niby niechcący wtrącił w rozmowie przypomnienie tego, co dał z ogrodu dla niego, a wtenczas szanowny pan rządcą z podwójnym gniewem opuszczał terytorjum jego władzy, i pod nosem mrużąc, kończył łajanie i fuki dla ogrodnika przeznaczone. Miłośnik wielki ogrodnictwa, radby całe życie tylko o niem rozmawiać; nigdy żadnego kwiatka, żadnej rośliny nie nazwał po polsku, tylko po łacinie: bo utrzymywał, że to jest świętokradztwem w tak boskiej nauce innym się językiem wyrażać. Nigdy mu także wyrazu nie brakło na wszelkie nazwy ogrodnicze, bo jeśli pamięć go zawiodła, to stworzył nowy: i ztąd uformował sobie nomenklaturę własną, przez niego samego tylko zrozumianą, która dla innych ogrodników była prawdziwymi hieroglifami egipskimi. Pomimo jednak tego, doświadczeniem, długoletnią praktyką, a szczególnie zamięłowaniem swego fachu doszedł do wysokiego stopnia doskonałości w obranym zawodzie. Słowem, było poczciwy staruszek: wesoły, trochę gadatliwy i o tyle przyjemny i miły z osobami, które lubił, o ile był nudny i monotony, do których serce jego przystać nie mogło. Nosił się zawsze jednakowo, tak, jak go dziś widzimy; z tą tylko różnicą, że w dni świąteczne wdziewał na siebie cokolwiek nowsze

ubranie, które spoczywając w kufrze, czekało spokojnie nowego następcy, aby przejść na strój codzienny. Gawiedź dworska gdy spostrzegła taką przemianę, czciła go nową nazwą, mówiąc: „że się dziadek wylecił”; a on słysząc to uśmiechał się figlarnie, zażywał tabaczki, i śmielszym groził rydlem, który go nigdy w wędrowce po ogrodzie nie opuszczał.

Był bezzenny: bo jak powiadał, nie miał nigdy czasu rozpatrzeć się między dziewczętami; a długą swoją służbą i odbieranym szacunkiem od swoich panów, przywykł do pewnej niezawisłości, która się innym służącym wcale nie podobała. Z tego powodu głównie był w nienajlepszych stosunkach ze znanym nam już rządcą, bo on jeden tylko z całej administracyi dworskiej i ekonomicznej, ośmielał się mieć swoje wolą, i nieraz dać uczuć, że w pełnionych obowiązkach jest działającym bez ograniczenia, i li tylko posłusznym woli pana.

Mimo tego jednak, pchał wszystko do rządcy co mógł z ogrodu, bo i on równe łaski miał u dziedziców, chociaż nie go dzien był tego, i nadto powiadał: że lepsza zgoda od niezgody, i że dwór nic na tém nie straci, jeżeli okruciami pozostałymi od jego wygody, podzieli ludzi czuwających nad pańskim mieniem; dodając, że tak sługa jak i pan jeden ma język i jeden smak w podniebieniu, i tak temu, jak tamtemu, równie smakować będzie smaczny melon lub soczysty arbuz.

Ale to niedosyc było dla pana rządcy; on nie chciał łaski, tylko powinności; on nie chciał grzeczności, tylko obowiązku i posłuszeństwa: i dlatego chociaż napozór w najlepszej zgodzie, zawsze jeden drugiemu starał się dokuczyć i dać poznać: jeden swoją wyższość, drugi nieuległość.

Gdy ujrzał oddalającego się rządcę, zwrócił się na boczną ścieżkę, i zrobiwszy gest z niechcenia, mruknął sam do siebie:

— Mój bracie, ja takich czterech przetrzymałem, to i ciebie piątego przetrzymam.—A jakby przypominał sobie mianą rozmowę, powtarzał urywanym głosem:—Zwymyślać, kijem, pięć złotych za kwiatek. Hm, hm, hm! jaki mi pan! Idź z Bogiem, a nie przychodzi tu więcej. Jemu się zdaje, że tylko on umie czuwać nad dobrem pańskim. Hm, hm, hm! kwiatki nie da zrywać przy drogach; a tobie co do tego! No, no, no!—I pomrukując szedł dalej z zachmurzonym czołem. Wtém raptem przystanął i dobywając zegarka, zawołał z największym żalem:

— Ach mój Boże! to już po piątą godzinie, a mój *Adonis antomnalis*, *Mudrus catula* jeszcze nie podlane; zwiędną, zwiędną biedne kwiatki. Teraz żebym i konewkę wody pod każdego podlał, to słońce wypije. A niech cię Bóg kocha za takie marudztwo— i przyspieszonym krokiem udał się w przeciwną stronę. Biedny staruszek widać lewą nogą wyszedł rano z łózka, i jakaś fatalność ciążyła nad *Adonidem* i *Mudrusem*, bo na zakręcie drogi usłyszał podniesiony głos rządcy:

— Panie Sakowski! panie Sakowski!

Wstrzymał się w środku swego pochodu, a zwracając głowę ku stronie wołającego, czekał, co ma mu więcej do powiedzenia.

— Panie Sakowski!—mówił zadyszany rządcą, od prędkiego biegu nie mogąc dalej mówić; i wstrzymując się na kilka kroków od ogrodnika, zaczął się wachlować, wciągając w siebie powietrze. Ogrodnik pochmurzył czoło: raz, że mu zabiera czas nie lubiona przez niego osoba; powtóre, że tam może umiera z pragnienia śliczny *Adonis* lub *Mudrus*, gdy tymczasem musi czekać, aż się pan rządcą wysapi; nareszcie bał się jakiejś nowej sprzeczki, widząc taki pośpiech i zainteresowanie się w całej osobie przeszkadzającego: z nieukontentowaniem więc i z ciekawością razem czekał, co się o uszy jego obje.

— Panie Sakowski!—wymówił nareszcie wysapany rządcą—zapomniałem o najważniejszej rzeczy. A macie też melona albo arbuza na wety do pałacu?

Arbuz z melonem był nie jeden w inspektach, że prawie szyby wypychali owalnemi swemi brzuskami, jakby w wywdzięczeniu się za troskliwą opiekę, skrzętnie chodzącej koło nich ręki; ale Sakowski rozgniewany, że zajmowaniem się tém, co uważał za wyłącznie do niego należące, zabierano mu czas i wstrzymywano czynności ogrodnicze: z flegmą właściwą mu w podobnych wypadkach, zażywając także wolno tabaki, odpowiedział:

— Jako pan rządcą Dobrodziej o wszystkiém pamięta; nic nie ujdzie jego czujnego oka! No, no, no!

— A któż będzie myślał, jeżeli nie ja; wszak to wszystko na mojej głowie. Człowiek od rana do nocy ciągle jak koń w kieracie—odrzekł na to rządcą z ukontentowaniem, że go tak pochwalono.—Ale jakże, musi być na wety arbuz albo melon.

— Arbuzy wprawdzie zielone, jeszcze dni kilka potrzebować będą do dojrzewania, a melona ostatniego....

— Jako?—odezwał się rządcą przerywając—więc nic na wety do pałacu nie będzie?

— A melona ostatniego wczoraj właśnie wydałem—mówił dalej ogrodnik nie zważając na uczynioną sobie przerwę—bo te, co są jeszcze w inspektach...

— A niechże jasny piorun trzaśnie takie gospodarstwo!—zawołał rozgniewany rządcą—Co to warto; ten ogród tyle kosztuje, a co z niego jest? Te kilka głupich arbuźów i melonów, to i za gnój nie wystarczą. Za pieniądze, co sam najemnik i pańszczyzna kosztują, tobym dwa razy tyle nakupił, co z niego idzie do kuchni. O gospodarze, gospodarze!

Przez ten czas ogrodnik mruczał, bo był rozgniewany po-
tężnie za zrobioną napaść na jego zarząd ogrodniczy, chociaż każde prawie drzewo, każdy krzak, najmniejszy kwiatek, słowem wszystko było dziełem jego pracy i najlepszym świadkiem ciągłej i niezmordowanej pieczołowitości. Pięćdziesięcioletni przeszło pobyt w jedném miejscu ubielając szronem gęste jego włosy, zrobił go niejako ojcem wszystkiego, co koło niego wyrosło: bo on to drzewo zaszczyił, to wypielęgnował od łokciowego krzaczka, to przesadził ze szkółki, to nareszcie uratował od uschnięcia. Kochał je więc jak dzieci, jak przyjaciół: bo ich tylko jednych miał świadkami swojej młodości, z niemi się razem postarzał, ich cieniem, ich owocem częstował nieraz zmarłych dzieciów, z niemi razem przechodził wszystkie koleje swego życia. Czyż więc co dziwnego, że je kochał z całym przywiązaniem ojca i przyjaciela? Każdego drzewka znał historją i rodowód, a czyszcząc pień, obrzynając uschłe gałęzie lub zrywając dojrzały owoc, rozmawiał z niemi jak z ludźmi, że razem śmiech i rozrzewnienie wzbudzał w słuchających.

Objawione więc zdanie rządcy, że ogród nic nie wart, że dochód z niego nie wart gnoju, który spotrzebuje, musiało w nim wzbudzić najwyższe niezadowolenie; mrucząc zatem ciągle pod nosem przez czas fukającego gniewu rządcy, odezwał się nareszcie po ostatnim tegoż na gospodarzy wykrzykniku:

— Otóż co do melonów właśnie chciałem powiedzieć, że także nie mam, bo wczoraj ostatniego melona i arbuza wydałem dla pana rządcy Dobr. po które...

— A niech djabli wezmą i tych, co przysyłają, i tych, co wydają. Kto z wami ładu dojdzie—odpowiedział rządcą przerywając tłumaczenie się ogrodnika.

— Otóż ja to samo właśnie chciałem powiedzieć, bo pani rządczyni przysłała wczoraj Nastkę, mówiąc, że ma gości, i nie kazała ani kroku ruszyć się odemnie, dopóki nie wydam tego, po co przysłała.

Pan rządcza już wyruszył z miejsca kłótni, jak tylko ogrodnik w ten sposób zaczął się tłumaczyć; lecz ten, chcąc go na długo z ogrodu wypędzić i niejako zemścić się za zadaną zniewagę i jemu i jego ogrodowi, szedł za nim, i ciągle wolnym głosem składał swoje usprawiedliwienie:

— Ja wiem, że pierwszy pałac, jak wszystko; ale trudno poradzić. Daj i daj, daj i daj, a zkadże tu brać? Ogród niewiele wart, mało co się z niego zbiera—i przy tych słowach uśmiechnął się złośliwie—a każdy radby skubnąć. Będzie się musiał dzisiaj jaśnie dziedzic obejść bez wetów, bo nie mam nic w inspektach. Ostatniego wczoraj melona i arbuza wydałem dla pani rządczyni Dobrodziójki!

Rządcza nie odpowiadał, tylko coraz szybszym krokiem zbliżał się do drzwiczek ogrodowych, i z ostatnim wyrazem pożegnał dopiero niemiłego sobie mówcę, który jeszcze jakby na urągowisko zdejmując kapelusz, po kilka razy powtórzył:— Padam do nóg pana rządcy Dobr., padam do nóg! Nie mam nic na wety, chyba wybiorę co z dojrzałych renglod.

Trudno opowiedzieć gniew, jaki wrzał w sercu pana rządcy. Gdyby mógł, zgniótlby na miazgę nudnego marude; ale niepodobna: on równie silny łaską pańską, był niebezpiecznym przeciwnikiem i niełatwym do pokonania; dlatego uzbrojony cierpliwością, słuchał w milczeniu całej mowy ogrodnika, chociaż każdy wyraz, każda zgłoska kłóły go jak szydło. Szedł słuchając, a w myśli snuł tysiące przekleństw, jakimiby rad zatkać usta niemiłosiernemu gadule: bo coto powie dziedzic, co sobie pomyśli, gdy się dowie, że brak wetów przy obiedzie pochodzi z winy jego?

Wypadku tego nie umiał porównać z żadnym nieszczęściem gospodarczém, bo ze wszystkiego można się wykręcić, wywinąć, ale jak tu usprawiedliwić zjedzenie wczoraj arbuza i melona?

Szedł więc spiesźnie na naradę do żony, bo ona wszystkiemu umiała zaradzić. Ścisnął pięście, kiedyniekiedy westchnął, jakby wzywał pomocy nieba na wybawienie go z kłopotu, to znowu zgrzytnął zębami, i ciche przekleństwo w niewyraźnym szmerze na ustach mu usiadło.

Nie miejmy za złe biédnemu panu rządcy, że wypadkiem tak mało napozór znaczącym, tyle kłopotcze sobie głowę; lecz

znał on dobrze obowiązki oficjalisty prywatnego. Służąc bowiem blisko lat 20 poznał, że szykowną powierzchownością pełnionych przez siebie obowiązków więcej dokaże, jak najwierniejszym, najpilniejszym postępowaniem. Służąc od młodego wieku najprzód jako pisarz ekonomiczny, później jako ekonom i zarządca jednego folwarku, od lat 12 został głównym rządcą całych dóbr Zagry, dziedzicznych Jana Zatorskiego, młodego, dwudziestokilkoletniego człowieka.

Przez ciąg swojej służby, z każdym dniem zdobywał nowe zaufanie u swoich dziedziców, aż doszedł do tego stopnia, że bez jego porady nic nie przedsiębrano, i zdaniu jego przeciwieć się nie śmiano. Lecz nie sądzcie, aby zdatność, wierność, pilność, te właściwe i jedyne przymioty dobrego oficjalisty, wiodły go po szczeblach łaski pańskiej; nie, on obrał łatwiejszą drogę, niezupełnie i niezawsze pewną, ale przynajmniej nietyle mozolu przedstawiającą, co prawdziwa zasługa.

Cnoty, o których wspomnieliśmy wyżej, miał je wszystkie, ale w miniaturze, czyli: był zdatnym, wiernym, pilnym—w małych rzeczach. Nikt lepiej od niego nie wiedział, co dziedzica może rozgniewać, a co przyjemność sprawić; co mu ukontentowanie, a co zmartwienie przyniesie. Naturalnym więc następstwem osłaniał go od wszelkich nieprzyjemnych wrażeń, otaczając ciąglem zadowoleniem ze swego zarządu i prowadzonego gospodarstwa. Czyż to więc nie zdatność? Nikt także nie dowiódł mu, żeby grosz wziął od kogo (nie mówi się tu o rubelkach), a o gruszkę, o jabłko, garść słomy lub siana, o najmniejszy patyk z lasu to takiego narobił hałasu, tak fukał, tak złościł się, że widząc go piérwszy raz w takim napadzie paroxyzmu wierności, sambyś niemal przysięgł, że najwierniejszego z najwierniejszych widzisz przed sobą człowieka. Czyż to także nie wierność?

A jakąż pilność rozlana była w codziennym jego zatrudnieniu! Rano wstawszy, najprzód zrzędził, narzekał, łajał, aby go wszyscy słyszeli i widzieli, jak troskliwie dogląda dobra pańskiego; potem pił herbatę i wychodził do browaru i gorzelni, na nowe zrzędenie, łajanie i fukanie; następnie zjadłszy wyborne śniadanie, wyjeżdżał na folwarki, i przejechawszy się parę godzin wracał do domu, gdzie go żona z trzecim śniadaniem i z obiadem oczekiwała. Bo trzeba było po pracy biédaka pożywić, aby niejako powrócić mu siły tyrające się w wypełnianiu obowiązków służby, i pokrzepić ducha w ciągłych zmartwieniach i gniewach nurzają-

cego się. To było zwykłe zajęcie całego roku od rana do południa. W lecie zaś po obiedzie położył jeszcze koło budynków, lub poszedł w pole, jakby spacerem; a wieczorem odziany szlafrokiem, wyciągał się na wszystkie boki z oznakami największego znużenia, powtarzając ciągle:— Ach mój Boże! spracowałem się też, spracowałem! Ze téżto każdemu lekko przychodzi, a człowiek musi jak koń w kieracie (ulubione jego porównanie) pracować na kawałek chleba.

Potém jak tylko mógł najwcześniej, czasem w zimie już o szóstej, witał się z łóżkiem, i chrapiąc i nosem i gardłem, wstawał naturalnie dosyć rano na nowe łajanie i nowe lamenta.

Postępowania takiego lubo może sam w duszy nie pochwalał, ale dlaczegoż miał go zmieniać, gdy trzymając się wiernie doszedł do takiego pierwszeństwa między swemi kolegami? On to znał dobrze, że pan nie pojedzie za nim na folwarki, ani do lasu patrzeć co robi; on wiedział, że zaprowadzając ulepszenia w gospodarstwie, ochraniając lasy od kradzieży, broniąc włościan od krzywdy, nie odkaże się panu: bo z jednych dopiéro kiedyś w przyszłości odbierane korzyści świadczyć będą o jego rzetelnój zdatności; a drugie, jako pochwała, nie dojdą wiedzy pańskiéj. Starał się więc wszystko to, co bliższe jest oka i ucha pańskiego, otaczać całą troskliwością czulego i pilnego gospodarza. Dlatego łajał, fukał i zrzedził, żeby pan słyszał, jak to on wszystkióm jest zajęty. O lada grosz tak się targował, jakby szło o skarby całego świata; dlatego też mniejsi rzemieślnicy z rachunkami kilkunasto - złotowemi odwoływać się musieli nieraz do samego dziedzica, nie mogąc przeprzeć upartego rządcy. A niechnoby z jagodami lub z grzybami bez opłacenia kwitu w kassie, chciał kto iść do miasta na sprzedaż: to na wszystkich drogach ustawieni gajowi sprowadzili do pana rządcy, i zwymyślaną, sfukaną biędną kobięte obdzierano z niesionego na sprzedaż towaru, i zabierano fant jeszcze do tego, na pewnośc wniesienia należytości do kassy.

To samo było w lesie. Tysiące fur drzewa gniło, psuło się, zalegając od niepamiętnych czasów obszerne bory dóbr Zagry; a czy sądzicie, że zbieranie tego, co prędzej lub później miało pójść na pastwę robactwa było komu dozwolone? Nie było jednéj rodziny w całych dobrach, choćby najbiędniejšej, któraby nie była zmuszona do opłaty ugaju lub odrabiania stosownéj robocizny. Przekleństwa téż, żale unosząc się wokoło pana rządcy, nieraz

doszły ucha dziedzica; właśnie on téż tego pragnął, a gdy ciche skargi zaczęły się sypać na jego zdzierstwa, on wtenczas najlepiej zadzierał nosa do góry, bo dopiął celu jaki sobie założył: okazania się troskliwym o powiększanie dochodów. Lubo zrzczeniem się w ten sposób powiększonej intraty, a wynoszącej zaledwie 400 lub 500 złotych można było zaskarbić dla dziedzica serca wszystkich włościan, ale mu nawet nie gadaj o tém: „Gałgany, pijaki! powtarzał—mają przepić, niech płacą — I przeklinając, żaląc się, płacząc, płacili, a pan rządca się puszył, jakby z czegoś najszlachetniejszego, najpiękniejszego. Objeżdżając pola, roboty gospodarcze, najwięcej pilnował pól blisko drogi położonych; na nich kazał więcej i lepszego zawsze kłaść nawozu, i koniczyny w tych miejscach podwójną dozą gipsu posypywać, aby zasiewy objeżdżane przez dziedzica, śliczną swoją obwódką, korzystnie świadczyły o całej swój wartości. Ścieżki i drogi około dworu musiały być wszystkie grabione, oczyszczone; w żadnym płocie nie brakowało koła ani żerdzi, w dachu klinca lub kawałka strzechy: bo każdą rzecz naprawiono, załatano, lub nową żerdzią albo kołem zastąpiono. A jednak, gdy tak był starannym około dworskich budynków, jako za każdym krokiem mogących wpaść w oko dziedzica, na wsi niszczały bez dachów stodoły po upadłych ośmiu czy dziesięciu gospodarzach, chociaż biedaczki walącemi się ścianami, nagiemi krokwiemi i opadłemi wrotniami, niemal błagały pomocy; ale pomoc nie nadchodziła, bo tam oko dziedzica nigdy nie zaglądało, a zresztą ktoby tam dbał o chama, gałgana! Poszedł jeden, przyjdzie drugi: grunta na dwór zabrano i tym sposobem zakończono wszystkie podnoszące się manifestacje.

W niedzielę odbywano sessye ekonomiczne, na które cała drużyna oficyalistów zjeżdżała się z raportami tygodniowemi. Każdy był w jego ręku; popatrzył, spojrział na remanent, podpisał: „Widziano dnia...” i t. d. Pozrzędził, pomarudził bez wyjątku na wszystkich, i już po sessyi, już naradę skończono.

Z miłosierdzia dziedzica utrzymywano we wsi jego kosztem kilka biędnych niedołącznych starców, pobierających przy wsparciu pieniężném małą ilość zboża, co kwartał im wydawaną. Coto on wtenczas dopięro się nagadał, nastękał, naodwlekał, namarudził, gdy przyszło pisać assygnacyą, tobyście niezawodnie przełożyli głodną śmierć, jak takie tetryczne miłosierdzie. Każdy wydatek pieniężny na potrzebę dóbr uskuteczniiony, osnuty był jak nitką jedwabnika, gdy ma odbyć swoje przeobrażenie, narzekaniem,

stękaniami i lamentami: któżby więc nie uwielbiał takiego rządcę, który tak widoczne dawał dowody swojej dbałości o dobro pana?

Nieboszczyk też dziedzic, później opiekun, a następnie i dzisiejszy właściciel, wszyscy go szanowali i uwielbiali; a jeżeli czasem doleciał głos skargi na jego zdzierstwa i uciemężania, to kładziono wszystko na karb jego szczególnej troskliwości i przywiązania do mienia pańskiego. Sypały się też łaski po łaskach, jak już trochę o tém dowiedzieliśmy się z rozmowy karczemnej włościan, w rozdziale poprzednim opowiedzianej; a on coraz więcej wykształcał swoje postępowanie, widząc dotykalnie, że przez nie do względów pańskich najlepszą obrał drogę.

Nie sądzmy jednak, aby zawsze i wszędzie był takim, jakśmy go dotąd opisali: i marudztwo, i lamenta, i łajanie ustawały, gdy widział w tém swoją korzyść, o czém szczególnie i przedewszystkiem pamiętał. Małym datkiem wprawdzie pogardził, nakrzyczawszy i nahałasowawszy się po same uszy, aby słyszano, jak jest bezinteresowny; ale się inaczej rzeczy miały, gdy kuban był większej wartości. Wtenczasbyście go nie poznali, jak zmieniał całe swoje obejście: z wilka stawał się wnet barankiem tak słodziutkim, tak miłym, że, jak to mówią, tylko do rany go przyłożyć. Później lepiej go poznamy.

Zajęty drobiazgami, drogami, ścieszkami, arbuzami, melonami, nie dbał o istotę rzeczy, o dobre gospodarstwo, o polepszenie go, o zarząd lasów, zostawiając to wszystko oficyalistom sobie podwładnym; bo wiedział, że pochlebstwem najlepiej się przypodoba, że niém można trafiać do wszystkich zmysłów człowieka. Łajaniem więc, zrządzeniem, działał na zmysł słuchu; pamięcią o kwiatach—na powonienie; arbuzami, melonami, w ogóle pamiętném zaopatrywaniem przysmakami obiadów dziedzica—na smak; gracowaniem ścieszek, łataniem dachów i płotów, pięknem zbożem około drogi—na wzrok: i brakło tylko wrażeń na ostatni zmysł, a już cała osoba dziedzica byłaby jak w matni. Wiedział i to, że dziedzic się na niczém nie zna, że dlatego nie wejrzy we wszystko gruntownie, a omamiony pozorami, mając pochlebstwo w oczach, uszach, w smaku i powonieniu, ani pomyśli, ani uwierzy, że gdzieindziej przez tegoż samego rządcę traci tysiące, który tak dbały jest w najmniejszych szczegółach. A jednak rzeczywiście tracił tysiące, bo cała podwładna warstwa oficyalistów szła na wyścigi w ślad za swoim przewodnikiem, w najdrobniejszych szczegółach, co do joty go naśladować. Ekonomi po folwar-

kach robili co chcieli: wypasali bydło, drób, trzodę ziarnem dworskiem, pańszczyznę tak ciąglą jak pieszą obracali na swoje korzyść, załatwiając nią wszystkie swoje potrzeby. Starali się jedynie o jak najlepsze upozorowanie swojego zarządu, o porządkowanie dróg, łatanie dachów, płotów, uciemężanie włościan, aby skargami najlepsze wydawali świadectwo, szczególniej dla dobra pana pieczołowitości.

W lasach także Bóg wie nie co się działo; i gdy biędni za jagody, grzyby i gnijące drzewo składali się na kilkaset złotych rocznego dochodu: tysiące fur z sosnami, świerkami, dębami wychodziło za granicę dóbr, za które i trzech groszy nie włożono do kieszeni dziedzica, bo połowę wziął rządca, a drugą połowę dzielił się nadleśny i podleśny, których przez nienawiść chłopi, jakeśmy w rozdziale poprzednim widzieli, nazywali Lisem i Chudym, i cała zgraja innych dozorców i gajowych leśnych.

W raportach jednak tygodniowych wszystko co do joty było wyrachowane; ani w jednej cyfrze nie znalazłeś myłki. A w wydatkach niechby garniec zboża, jeden półkwaterek okowity, najmniejszy chojaczek niewłaściwie wydany, został umieszczony: to tyle było o to krzyku, wrzasku, łajania i narzekań, jakby się świat zapadał, jakby dziedzica już z ostatniej nitki obdzierano. Słowem, był porządek, oszczędność w wydatkach, dobry rząd, dobre gospodarstwo, opieka nad włościaninem, dbałość o dobro dziedzica; ale tylko w słowach, na papierze w réjestrach i raportach, i w powierzchni.

I dlaczegóż miało być inaczej, gdy innego postępowania nie wymagano? Gdy to, jakie było, stawało się aż nadto dostatecznym do pochwał i łask dziedzica. Głupi chyba zmieniłby go, a pan rządca nie należał do téj liczby. O grosz gniewał się, łajał, krzyczał, wrzeszczał; o melony, arbuzy, kołowroty, klócił się z ogrodnikami, ogrodniczkami; dachy, płoty łatał, drogi porządkował, włościan obdzierał, innych rozganiał, i wszyscy go podrzędni naśladowali, krzyczeli, wrzeszczeli, obdzierali, grosz oszczędzali, a sta i tysiące wraz z nim..... kradli. Jeżeli czasem głos prawdy doszedł do ucha dziedzica, odstawiając niegodziwe postępowanie którego z oficyalistów: to go zakrzyczano, zahłasowano, składając wszystko na potwarz, na zemstę za wierną i troskliwą służbę. A gdzie dowód, gdzie świadek? wołano, i biędny śmiałek przytuliwszy uszy uciekał daleko, przysię-

gając w duszy nieprzyjmowania nigdy na siebie roli boeiana błędów i złości ludzkich.

Później lepiej go poznamy, bo trudno słowami określić całą zręczność i subtelność, jakimi umiał znaczyć każdy krok swego postępowania. Chcąc bowiem tę trudność pokonać, trzeba by wszystkie sprawy w całej obszerności opisać, aby choć na małą skalę dać jaki taki obrazek szanownego pana rządcy. Mimo tak rozwiniętego rozumu w praktyce, to jest w tém, co obchodziło jego kieszeń i jego interes własny, był nadzwyczaj mierznych zdolności. Książki lękał się jak powietrza, głosząc niejako z chlubą, że choć zadnej w życiu nie przeczytał, a jednak posiada zaufanie dziedzica, imię dobrego gospodarza, i byt dobry, i zdrowie i apetyt doskonały, i grosz niezły w kieszeni: czegoż téż więcej mógł wymagać? Nowości i wszelkiego postępu gospodarczego nienawidził, chociaż z największą chlubą w rozmowach agronomicznych często wtrącał, jakby nawiasem, ulubione zdanie „jakem się uczył gospodarstwa w Prusach.” Gdybyście go wówczas widzieli jak się puszył wyrazami temi strzelając w ucho słuchacza, to aż śmiech pusty brał człowieka; bo z wyдутым brzuchem, z nosem do góry podniesionym, wyglądał zupełnie jak w bajce ta góra, coto mysz porodziła. A wiecie co robił w Prusach, z którymi tak wszędzie wyjeżdżał? Oto przez pół roku w Księstwie Poznańskim służył za pisarza prowentowego, a przez drugie pół roku użyty będąc przy kupnie baranów, jeździł do Saksonii, i w Dreźnie jadł trzy obiady. Byłby i czwarty zjadł, jak powiadał, ale od nakrytego już stołu zawołany został przez spieszącego się z powrotem swego pana, i rad nie rad, musiał wyjechać i poprzestać tylko na trzech. Bo brzuch u niego najglówniejszą odgrywał rolę, utrzymując zdanie z całym przekonaniem, z całą powagą i pewnością jego wartości, że się żyje dlatego tylko na świecie, aby dobrze jeść; innych bowiem rozkoszy nie rozumiał, nie znał i poznać nie pragnął. Najulubieńsza téż materya do rozmowy, w której był niewyczerpany, była o jedzeniu. Gdy padł na taki przedmiot, wówczas zapalał się jak dzielny żołnierz na widok nieprzyjaciela: oko błyszczało ogniem, wymowa osiadała na ustach, policzki rumieniły się zapałem, ręce, nogi stosownymi gestami dopomagały jasności w mówieniu, a wyrazy: patelnia, indyk, rozen, sos, pieczeń, kotlet, bigos, smażyć, piec, gotować, dusić, odgrzewać, odmieniane przez wszy-

stkie tryby, czasy, osoby, liczby i przypadki, sypały się z ust jak wystrzały karabinowe, niby na uczczenie świętości obranego do rozmowy przedmiotu. Nie była jednak u niego moralna strona pozbawiona zupełnie pewnej drażliwości: lubił bowiem nadzwyczaj pochlebstwo, którym tak dzielnie na swoją korzyść umiał szafować. Kto względem niego podobną wyplacał się monetą, wytargował co chciał, rozumie się z kieszeni dziedzica, bo swojej nawet i w takich razach nigdy nie otwierał. Oto jest obraz szanownego pana rządcy, obraz niestety z małemi odmianami wszędzie między ofycyalistami trafiający się. Jestto tema, a waryacje z niego rozsypane, mamy w całej drużynie ofycyalistowskiej ligi. Bezzaprzeczenia trafiają się wprawdzie wyjątki, ale jakże małe, jak rzadkie!

Gdyby tylko na tém dziedzice i posiadacze ziemscy tracili, byłoby pół biedy; ale traci biędny lud wieśniaczy, od końca do końca zalegający naszą ziemię. Bo ofycyalista, to ogniwo łączące go z panem, który chociażby chciał miłości ręką wesprzeć biędnego kmiotka, to łaska nim doleci z góry do ludu w pracy nurzającego się, w drobne cząsteczki rozerwaną zostanie przez chciwą rzeszę pochlebnych dworaków; a ileżto zwichną najlepszych zamiarów, przedstawianiem w najgorszej barwie téj klasy roboczej?! I biędny kmiotek bez opieki, bez wsparcia, gnębiony i prześladowany, w niewiadomości swojej przeklina ofycyalistę, przeklina i pana, chociaż nieraz z najlepszymi dla niego chęciami. O! gdyby te ogniwa pół serca i pół rozumu miały, co nasi dziedzice, pomimo całego na nich wszędzie sypanego krzyku; gdyby oni czuli to, że chłop to ich brat, tylko biędniejszy, tylko uboższy; gdyby dziedzice bliżej się chcieli zapoznać z ludem wieśniaczym, i środkami praktycznymi z całym wyrozumieniem na ich nędzę moralną, sami przez się, nie przez pośredników nieśli pomoc i wsparcie między tę najliczniejszą klasę ludzkości: o! byłoby wszystko inaczej! Ale niestety, jakże do tego daleko! Ileżto uprzedzeń, ileż jeszcze przesądów trzeba wprzód zwalczyć!

Lecz wróćmy się do przerwanego opowiadania.

Opuściliśmy pana rządcę, jak zgrzytający, wzdychający i rozgniewany posuwał się ku domowi na naradę do żony.

Wszedłszy do pierwszego pokoju, stanowiącego niejako przedsionek głównej audyencyonalnej izby, zastał suplikantów i interesantów, którzy w miarę stosunków swoich z panem rząd-

cą, niskim lub niższym ukłonem powitali dostojnego szafarza łask pańskich. Między innymi była znajoma nam Szczepanowa, która w przechodzie nawet go w rękę pocałowała; ale pan rządca za- nadto był zajęty gnębiącym go interesem, aby miał zważać na podobne rzeczy. W czapce na głowie przeszedł między zgromadzonemi, i wprost udał się do szanownej połowicy. Nic nie mówiąc zaczął się przechadzać popokoju, gdy ona, zajęta robotą, siedziała przy oknie, oparłszy nogi na drugim stolku. Oczy jak dwie kulki żywego srebra biegały na wszystkie strony, a zobaczywszy męża jakoś złego i rozgniewanego, słusznie wniosła, że musi być głodny, i naprzód pomyślała o usunięciu téj przeszkody.

— Nastka!—odezwała się do kręcącej się dziewczuchy—śniadanie dla pana.

Ale jakież było zadziwienie i Nastki i samej pani, gdy pan rządca, który nie było wypadku aby kiedy odmówił takiemu wezwaniu, stawając na środku pokoju z oznaką najwyższej niecierpliwości, odezwał się:

— A niech djabli wezmą i śniadanie i Nastkę; już ja dziś na cały dzień doskonale się najadłem.

Obie słuchając oniemiały, bo następstwa z utraty apetytu dla Nastki najczęściej bólać się kończyły, a zawsze zapowiadały kilkodniową burzę, niesmak i nieukontentowanie między małżonkami. Z niekłamaném téż przerażeniem, cichszym głosem, aby więcej już nie gniewać i tak już rozgniewanego p. rządce, odezwała się czuła małżonka:

— Coto? Cóżto takiego?

— A zawsze was djabeł nosi— rzekł p. rządca siadając na stolku—po ogrodach, po ogrodnikach, a wszystko na moje zmartwienie. Człowiek jednej chwili nie ma spokojności: od rana do nocy martw się i matrw.

— Cóżto? Cóżto się zrobiło?—powtórzyła małżonka.

Ale pan rządca musiał pierwój nalamentować się, nim przystąpił do objawienia powodu swego nieukontentowania; ciągnął więc dalej swoje jeremiady tonem dziada kościelnego, gdy przechodniów o grosz uprasza.

— Muszą wziąć djabli człowieka, boć i żelazo rdza zjada, a tu tylko ciągle zmartwienia. Od rana do nocy jednej chwili człowiek nie ma spokojnej. O Boże, Boże! czy mnie nieszczęście do tych Zagrów przyгнаło, czy co!

— Ależ przecie coż tam zaszło nowego?—zapytała się po raz trzeci.

— Nowego? nowego—powtórzył p. rządcą— oto to nowego, że was djabeł wczoraj poniósł po arbuza do ogrodnika, i teraz ten stary niedołęga powiada, żeśmy ostatniego melona i arbuza zjedli, i dlatego nie ma co dać na wety do pałacu. Otożto takie ja mam przysmaki, takie przyjemności, a wszystko to z was, z waszych gości; niech djabli wszystko wezmą!

Pani rządczyni ledwie nie spadła ze stolka, takim gniewem cała zawrzała. Bo téżto była istna jędza piekielna, godna dowodzić całym pulkiem szatanów; godna małżonka szanownego p. rządcy, i na skalę kobiecą istny jego obraz. Do tego wszystkiego łączyła jeszcze niepohamowaną niczém zajadłość, gdy się na kogo lub na co rozgniewała. Wówczas wszystkiemi drogami, jawnymi, skrytymi, jak tylko mogła, póty chodziła, póty gadała, aż się zemściła na przedmiocie swego gniewu. W takich przypadkach zwykle powolny jój małżonek, którego obiema rękami za nos wodziła, bywał narzędziem jój rozjadłości; a gdy do wewnętrznego rozsróżenia dołała jeszcze spirytusowych kropli, które, mówiąc między nami, porządnie łykać lubiła: to takie piekło, taki hałas siała wokoło siebie, że wszystko milkło, wszystko się przyczajało, jak stado ptastwa drobnego, gdy ujrzy na niebios sklepieniu rozpostarte skrzydła drapieżnego jastrzębia.

Powolny małżonek słuchał i wzdychał, gdy jego połowica mełta językiem, jak kamieniem w młynie się obracającym; a gdy widziała, że samym przedmiotem rzeczy nie mogła go nakłonić do wspólnego działania na korzyść ułożonego planu zemsty, to wynalazła coś takiego, co ubodłszy jego miłość własną, równym gniewem, równą go złością zapalało. Wtenczas powstawał duet ukontentowania i radości, a przedmiot gniewu zgnębiony, zniszczony, w płaczu wznosił oczy do nieba, jakby tam szukał pociechy i sprawiedliwości, w imieniu której tyle ucisku doświadczył. Wszyscy ją téż nazywali jędzą, i słusznie: bo wszystkiemi swemi czynami, każdym krokiem, każdą niemal myślą usprawiedliwiała nadane jój miano. Ta godna małżonka, godnego swego męża, posiadała jeszcze przymiot zazdrości; lecz nie sądzicie, aby wada ta w zwyczajnych formach objawiała się na zewnątrz. Zwykle bowiem zazdrościmy tego, czego nie mamy; u niój daleko w potworniejszej postaci władała tém złośliwém sercem. Bo pominąwszy zazdrość dóbr, urody, dobrego imienia, możności bly-

szczenia w świecie, w stosunku do ułomnej natury ludzkiej tak naturalnej, tak łatwo dającej się wytłumaczyć, ona zazdrościła wszystkiego: co miała, i czego nie miała.

Śmiała się lub płakała, już ją to gniewało.—„Szczególna rzecz”—mówiła zaraz— „że to ludzie zawsze tak mogą się weselić? Szczęśliwi, o niczem widać nie myślą, tylko o zabawie. O! nie każdemu tak, nie każdemu; trzeba ciężko na kawałek chleba pracować.”—Albo téż:— „O! smuci się, smuci, żeby go téż ludzie widzieli i żalowali. Kto szczerze płacze, to się kryje przed oczami ludzkimi.”—Sprawiła sobie nowy surdut lub żonie czepek, przyjałaś kogo u siebie szklanką herbaty, zabawiałaś się wesoło w gronie swych przyjaciół, poszedłaś z żoną na spacer, mogłaś być pewny, że cię obszczeka zjadliwym swym językiem od stóp do głów.—„O pan! pan!—mówiła wtedy— tylko zabawy, sprawiania strojów, goście, festyny. O! nie każdy tak może, nie każdy; lepiej siedzieć w domu, łątać gałgany dla męża lub dzieci, jak spacerować, jak wizytować”.—Biedni téż ofycjaliści, których nieszczęśliwy los rzucił pod zwierzchnictwo takich dwojga poczwar, nie wiedzieli jak zastosowywać się ze swoim postępowaniem: bali się smucić, bali i weselić, bali chodzić przyzwoicie w całym ubraniu, bali się i ubioru więcej skromnego, bo zaraz słyszałaś, jak trzęsąc ręką i zasłaniając, wołała:—„Fe, fe, fe, śmierdzi; wygląda jak dziad zpod kościoła.”—Jedno tylko pochlebstwo ich ratowało i tém szafowali bez żadnego umiarkowania. Kto tego zaniedbywał, lub zbrojny uczciwem postępowaniem nie dbał, czy czynami swemi za obrębem służby spodoba się lub nie, mógł być pewny, że ledwo rok na swoim miejscu popasał. Naturalnem następstwem, każdy ofycjalista porządny, zdatny, z przyzwoitem uczuciem godności własnej, z takiej otchłani głupstwa i złości jak najprędzej uciekał, a szanowni państwo rządcostwo otaczali się innemi prawdziwemi zerami pod względem wartości moralnej, lecz umiającami doskonale pochlebiać, kłaniać się, ścisnąć za kolana, całować w ręce, a najlepiej..... kraść.

A kto na tém tracił?—pan i włościanie. O biedni, bardzo biedni włościanie, gdzie mają takiego rządcę i takich ofycjalistów! A jednak tacy po największej części, z bardzo małym wyjątkiem, znajdują się w większych majątkach naszych ziemskich obywateli! O biedni panowie, biedni włościanie!

Gdy pani rządczyni dowiedziała się o co rzecz idzie, tak strasznym gniewem wszystkie jój członki zadrzały, że o mało ze

stołka nie spadła. W pierwszej chwili nic nie mogła przemówić; rzuciła robotę na stojącą blisko kanapę, wsparła rękę pod brodę, ścisnęła usta aż się wszystkie zęby odrysowały na zewnętrznej stronie warg, i iskrzącym wzrokiem wyjrzała oknem na podwórze. Pan rządcą widząc, że droga jego połowica milczy, mówił dalej.

— Kołowrota b..... nie zabili, i całą drogę ku pałacowi było zbrentowało. A teraz jak ten stary dziad pójdzie z językiem do dziedzica, to coto z tego będzie? Zawsze przez was....

— Dobrze ci tak, dobrze—przerwała nareszcie małżonka z największą furją—mówiłam, mówiłam wypędzić starego dziada; do kościoła pacierze klepać, do kościoła. Trudno, trudno tobie jednemu wystarczyć za wszystkich. O! ho! ho! każdyby chciał lekko chleb zjadać; niech pracuje, niech pracuje.....

— Ależ moja Ewusiu.....

— Nie chciałeś słuchać, nie chciałeś, kiedym mówiła: wziąć innego młodszego; masz teraz....

— Ależ moja Ewusiu—przerwał nadaremnie drugi raz pan rządcą, bo połowica z coraz większym gniewem mówiła dalej:

— Słusznie, słusznie, on pan, wielki pan, za nic cię nie ma. Ustroi się w kapotę sukienną, z kapeluszem jak sterta, i puszy się jak indyk. Huncwota zwymyślać od ostatnich, lajdakowi baty, baty. Tak, tak, dobrze ci tak, dobrze—dodała w końcu uderzając rękoma ściśniętymi w pięście.

— Ależ moja Ewusiu—odezwał się nareszcie po małej chwili pan rządcą —kiedy ty jesteś jak w ukropie gotowana; zamiast mi poradzić, to się rzucasz, gniewasz i do reszty mi dogryzasz. O! kobyto, kobyto! ja nie wiem cobyś ty robiła, gdybyś innego miała męża.

— Ej, bo mnie nigdy nie słuchasz. Co to, czy tylko jeden arbuz albo melon jest w inspektach? Ale daj temu, daj owemu, daj wszystkim świętym, to i brakuje do pałacu; ale b..... stary, niech nie wywołuje, niech nie wywołuje, że ty czasem weźmiesz, bo pracujesz, pracujesz, oszczędzasz, a on co? Won, won dziada, powiadam, zawsze z nim tak będzie, dopóki on ogrodnikiem.

— Ej moja Ewusiu! gadasz tak, jak gdybyś nie wiedziała, jak tu rzeczy idą. Wypędzić? przecieć on u mnie nie służy, a z panami to tak nie można raptem; ja znam ich dobrze.

— Już dalibóg ostatnia mnie niecierpliwość bierze—odezwała się pani rzędczyni, od prędkiego mówienia kaszłąc i spluwając na wszystkie strony—jak ty sobie w niczém nie umiesz radzić. Raptem, raptem! On stary, on nie dowidzi, ani roboty nie przypilnuje; ogrodniczki robią co chcą, łapią, capią, pokrywommu przedają, że nawet dla pałacu nie może wystarczyć. Raptem, raptem!

— Ależ moja Ewusiu.....

— Coto—mówiła dalej poprawiając się na krzeselku i siadając na jednej nodze—czy ty tu więcej znaczysz, czy on? On gałgan w ogrodzie; w ogrodzie kwatery, klomby, kwiateczki, traweczki: tyle jego roboty, a o chlebie, o groszu dla dziedzica kto myśli? Coto z nim tyle robić ceremonij: powiedziéć dziedzicowi. Won huncwota, bo on dobry do jedzenia, do śmieszków, do zabawy, a jak do roboty, to nie ma komu. A nie, to podziękować, i niech on tu rządzi, a ty i tak z głodu nie umrzesz.

— Ależ moja kochana.....

— E, bo ty sobie w niczém nie umiesz poradzić, z każdym grzecznie pan, pan, pan; jabym mu pan powiedziała—mówiła dalej ręką i głową kiwając—huncwocie, gałganie, skórczybyku ma być wszystko z ogrodu dla pałacu i koniec; a nie, to zapłać kochane czku karę, bo baty, baty. Każdy tylko o sobie myśli, a o dziedzicu nie pamięta:

— Wiész co moja kochana, że twoje całe gadanie, to i torby sieczki nie warte. Gadasz, gadasz.....

Ale Ewusia nie dała mu więcej mówić. Nieprędko ona opuszczała plac bitwy; z równą więc złością dalej swoje treny prowadziła.

— Ty myślisz o podatku, o najemniku, o chlebie, o wszystkim; a on co? Niech zna stary, niech zna, jak cię ma szanować. Puszy się, puszy; niedługo, to więcej będzie chciał znaczyć, jak ty sam.

— Gałgan, dureń!—pomruknął pan rządca; co usłyszawszy połowica. widząc, że już wymowa jój zaczyna swój skutek robić, dalej jednym zawsze tonem gruchała do swego gołąbka:

— Ty się martwisz, ty się dręczysz za wszystkich i o wszystko; a ten stary niedołęga roznosi po świecie, żeś tylko do spania i jedzenia. Wczoraj jakem Nastkę do niego posyłała, to się pytał, czy ty śpisz? czy obiadasz? O! huncwocie, jabym mu pano wał! Kij, bat, dla chama, skórczybyka!

Pan rządcą na te słowa skoczył jak dziki koń, gdy poczuje razy batoga. „Duren, gałgan” mruknął głośniej, ale już z gniewem, i sapiąc zaczął się przechadzać po pokoju. Pani małżonka umilkła, bo już zrobiła co chciała. Dłubiąc niby pończochę, rzuciła błyszczącymi oczami wokoło siebie, a najczęściej przez okno na podwórze, bo tam może kogo zobaczyć lub coś takiego spostrzeże, czém przecie zdoła zająć choć przez pół dnia pracowity swój język. Po małej pauzie, pan rządcą stanął na środku pokoju, i odezwał się do swojej żony:

— Ja tego g..... starego nauczę. Niedołęga, że się zęsta-
rzał jak pies w ogrodzie, to zadziera nosa do góry. Poczekaj, po-
czekaj. Ale moja Ewusiu— dodał już wolniejszym tonem— jak tu
zrobimy z obiadem w pałacu. Dziedzic niezawodnie będzie się
pytał o wety, bo on lubi te łakocie.

— To wsadzić pierwszego lepszego na konia, i niech jedzie
do Naborzyc; tam zawsze śliczne arbuzy i melony, nietakie par-
szywce, jak u tego dziada. Dwie mile, to wnet przeleci i stanie
na czas przed obiadem.

— Prawda moja Ewusiu — rzekł uradowany pan rządcą —
człowiek w kłopotach o wszystkiém zapomina. Tylko to najgo-
rzój, że ani jednego konia luznego nie ma w stajni; ja swemi mu-
szę jechać na folwarki, cugowych koni nie można ruszyć, a for-
nalskie wszystkie na łąki po siano poszły.

— Wielkie rzeczy — odezwała się małżonka — jak będą for-
nale wracać z sianem, kazać wyprządz jednego konia, drugi niech
w stajni spoczywa, i cały ambaras skończony. Siano się i tak
zwiezie.

— A to dobrze moja Ewusiu.

Wydano stosowne rozkazy, i w kwadrans obił się o uszy
troskliwych państwa rządców tętent szybko biegnącego konia.
Mniejsza o to, że koń może na takim upale od czteromilowej
prędkiej jazdy zachorować lub nawet paść: bo znamy dobrze, co
to jest chłopą zachęcić kieliszkiem wódki do pośpiechu na dwor-
skim koniu. Mniejsza o to, że para koni z człowiekiem mitrę-
żyć będzie dzień cały, gdy tyle jest w polu do roboty; ale dzie-
dzic będzie miał wety, nie będzie więc miał powodu nieukon-
tentowania, i pan rządcą ochłonie ze strachu, jakiego mu ten
wypadek napędził.

Gdy posłaniec pędzi co koń wyskoczy, a państwo rządco-
stwo we wściekłym gniewie radzą i układają plan zemsty, brzu-

chaty arbus i jak wosk żółty melon wyjęty ręką poczciwego Sakkowskiego rozstawał się ze swoim licznym rodzeństwem, zalegającym okna inspektowe, i szedł na stół kuchenny dopełnić smacznego obiadu dziedzica. Ogrodnik ukończywszy tę czynność, i przykazawszy ogrodnickowi okrycie serwetą owoców swojej pracy, aby zakurzone nie straciły barwy świeżości, wyprostował się, dobył tabakierki, uderzył z wierzchu parę razy palcem, i uśmiechając się mówił sam do siebie, co zwykł tylko czynić, gdy był rozgniewany lub zadowolony z czego:

—He, he, he! wypłatałem też figla panu rządcy Dobr.: pewno się z jedzą za łby pobiorą. Ale bo też ani się opędź przed nami; przysyłają i przysyłają, jak do swego ogrodu. He, he, he!—mówił dalej z tym samym uśmiechem — coto będzie lamentu, wrzasku! Żal mi tylko Nastki, bo ją pewno jedza zaszczypie. Biédna dziewczucha! dam jój za to w niedzielę do ustrojania główki samych *Iris pumila*; albo nie! ładniejsze są *Mirabilis jalappa*. Tak, tak, *Mirabilis jalappa* daleko są ładniejsze.

I ukończywszy ten monolog, jakby z radości, że tak hojnie wynagrodzi biédną dziewczuchę za skutki bolesne wypłatanego figla, zażył tabaki, trzasnął palcami, i ruszył na wędrowkę po ogrodzie, nucąc sobie: „Kiedy ranne wstają zorze”.

Po ukończeniu narady i wyprawieniu posłańca, panu rządcy dano śniadanie. Lubo to nie była pora zwykle na jedzenie przeznaczona, ale troskliwa małżonka osądziła, że po takiej pracy, po tylu przebytych zmartwieniach, i gdy kilku interesantów jeszcze czeka na pana rządcę, można przyspieszyć chwilę posiłku, dla wzmocnienia pod kłopotami upadającego ducha.

Jak tylko rozszedł się po pokoju miły zapach kurzącego się półmiska zrazów, natychmiast rozjaśniło się oblicze spracowanego małżonka, oko błysnęło radością, a gniew i nieukontentowanie, któremi była osnuta cała jego postać, ustąpiły zajęciu się jedzeniem, jak najdobitniej odbijającemu się w każdym ruchu, w każdym geście, w każdym poruszeniu. Z ostatnim kawalkiem smacznego zraza, wsunął się powoli do pokoju żyd Kulig, o którym już także troszkę słyszeliśmy: wysoki, barczysty, śniady, w długim surducie, a kłaniając się nisko przy samych drzwiach, rzekł:

— Dzień dobry Wielmożnemu panu! dzień dobry Wnój pani—i podszedłszy ku pani rządczyni pocałował ją w rękę.

— A dzień dobry, dzień dobry!—odrzekła z uśmiechem pani rządczyni.

— A! pan Kulig! kłaniam, kłaniam—naśladowując ton mowy żydowskiej odezwał się pan rządcza.—Cóżto tak rano? pewno jaki interes!

— Ej nie, proszę Wgo pana; czyżto bez interesu nie godzi się Wnym państwu dzień dobrypowiedzieć? Przecież mi gęby nie ubędzie, a szedłem tędy i zobaczyłem, jak Wna pani chociaż tak rano, a siedzi w oknie i już pracuje, pracuje, ej waj!—Tu żyd fi-lut podrapał się w głowę i zaczął gładzić ręką po brodzie.

— Ha, człowiek nie pan, to musi pracować—odpowiedział na to pan rządcza dłubiąc sobie w zębach, gdy jego małżonka, jakby ze wstydu na tak jawną pochwałę, kręcąc się, spluwając, z oczami niby w pończochę wlepionymi, szeptała jakieś urywane słowa pod nosem.

— Bez urazy Wnej pani, to nawet niezdrowo siedzieć tak zawsze; to może być choroba: dlaczego nie przejść się, robota przecie nie ucieknie. A doktor, a apteka, to więcej wyniesie.....

— O ho! ho! ho! spacer, chodzenia—odezwała się pani rządczyni z ostatnimi jeszcze wybuchami gniewu—nie każdemu tak można, nie każdemu. Pany, pany, tylko spacerują; chudy pacholek niech robi, niech pracuje, to jego spacer. O ho! ho! ho!

Gdyby istotnie pani rządczyni była tak pracowitą i oszczędną, jakby się chciała pokazać, niebyśmy przeciwko temu nie mogli powiedzieć; ale rzeczy zupełnie miały się przeciwnie. Gdy mąż pozorną gospodarstwem oszukiwał pana, ona znów także pozorami oszukiwała powolnego małżonka. Krawcy i szwaczki wyciągali złotówki i ruble za łatanie i szycie, a ona z największą bezczelnością ich pracą chwaliła się przed mężem, jakby ze swojej roboty. W fantazyjach przysposobionych spirytusowym napojem, gdy sypanemi razy między biedne sługi już dostatecznie się zadowolniła, to jakby żalując biednych ofiar swego dziwactwa, gotowa była pół spiżarni między nie porozdawać, i to była jedyna chwila, w której serce działało. Ślepy małżonek nie tego wszystkiego nie widział, robił wszystko co ona chciała, i jak chciała, sądząc, że w żonie swojej ma wzór rozsądku, pracy, oszczędności, gospodarstwa i rządu. Jeżeli nie było zaraz w miejscu krawca lub szwaczki, to robotę posyłała między zręczniejsze żony oficyalistów; a niechnoby która i szybko i dobrze nie zrobiła, lub

skrzywiła się: to gniew raz na zawsze, a z nim prześladowanie, dokuczanie. Biedny małżonek prześladowanej żony najwięcej na tém tracił, bo albo musiał wyjeżdżać ze służby nie wiedząc najczęściej powodu prześladowania, albo téż znizyc głowę i poddać się wszystkim fantazyom, aż przeszło zagniewanie państwa. Lecz nie sądzicie, aby już niczem się nie zajmowała i z próżniactwem wieczne zawarła przymierze; przeciwnie, ona pracowała, i może ciężej od niejednego: siedząc bowiem w oknie cały dzień z pończochą w ręku, śledziła każdy ruch, każdy krok wszystkich bez wyjątku, i o każdym i o każdej z największą dokładnością mogła ci powiedzieć, co przez cały dzień porabiali. Jeżeli obserwacya podwórka, gdzie naturalnym rzeczy porządkiem różni oficjaliści ciągle się przewijali, nie nastroczała jój dość jasnych szczegółów o czynności każdego sąsiedniego małżeństwa: to wysyłała niby w interesie Nastkę, która wyćwiczona w podobnego rodzaju posyłkach, dokładny, ale z tysiącznemi naddatkami składała raport. I ztąd muożyły się plotki, swary, robiąc całe to zgromadzenie istnym obrazem przedsiionka piekieł.

Po szybko wyrzeczonych wyrazach przez panią rządczynią, małżonek jój także głos podniósł:

— Kto ma sześcioro dzieci, i męża siódmego do oblatania, do cerowania, to trudno mu o spacery.

— To rzetelną prawdę mówią Wni państwo—rzekł na to żyd—Ja nie wiem, jak nasi państwo rachmistrzowie, mogą zawsze i wieczór i rano po chłodzie chodzić na spacery. No, no—zakńczył żyd kiwając głową—a i goście często, a gość to pewnie nie przyniesie nic do domu, tylko zawsze wyniesie. Ja nie wiem, jak tam oni wystarczą?

— A! boto pany, pany!—rzekła pani rządczyni — ubrać się, wyelegantować, spacerować, wizytować; a do koszul, a do skarpetek cerować. Tfu—mówiła dalej spluwając — próżniaki, patrzeć nie mogę, jak się prowadzą pod ręce.

— Bez urazy Wielmożnych państwa—odrzekł żyd—to nawet niema nic w tém pięknego: bo kiedy już chcą spacerować, to na co razem? na co pod ręce?

Pani rządczyni nic już na to nie odpowiedziała, tylko rzuciła oczami przez okno, podszeptując pod nosem jakby do siebie: — próżniaki, próżniaki, pany, pany!

Po téj wstępnej rozmowie, nastąpiła chwila milczenia. Żyd stojąc przy drzwiach skrobał się w głowę, głaszcząc brodę i pej-

sy. Pani rządczyni ciągle śledziła ruch podwórzowy, a małżonek jęj wydlubując zęby, piérwszy się odezwał:

— Byłeś wczoraj na jarmarku?

— Byłem, proszę Wielmożnego pana.

— Cóż tam słyhać nowego?

— No, co ma być nowego? To samo, co i u nas—rzekł żyd ruszając ramionami.— Był tylko pan pułkownik z Blesznic; wypytywał się o Wielmożnych państwa....

— Był? był?—przerywając mu odezwała się pani rządczyni— mówięś z nim co?

— A jakże! jeszcze mnie prosił, żebym mu parę wołów stargował. Tak się o Wielmożnych państwa wypytywał, tak się kazał kłaniać! A to dobry pan, chciał mi dać rubla za to, żem mu wytargował woły.

— No i cóż, i dał ci?

— Proszę Wielmożnego pan, a czyto ja się nie obejdę bez rubla? Czy się to nie godzi nic już darmo zrobić dla takiego dobrego pana?

Żyd filut wiedział, dlaczego tak mówił. Pułkownik był dziećcem wsi Blesznic, i żył w bardzo dobrych stosunkach z państwem rządcostwem, bo często od nich pożyczał pieniędzy. Rangą swoją, wytarciem się w świecie w kampaniach Napoleońskich, posiadaną wioską, która mu pozwalała żyć dosyć okazale i niezawisłe, posiadał niejakię znaczenie w okolicy; pożycie więc z nim łechtalo dumę szanownych rządców, w którą żyd oświadczoneym ukłonem tak zgrabnie umiał dmuchać.

— Głupis, głupis!—rzekł p. rządcza—nie znasz tego przysłowia: głupi daje, mądry bierze.

— No, bez urazy Wielmożnego pana, co ja winien, kiedy taka moja natura. Ale ja tu przywiozłem gościńca dla Wielmożnej pani: cukru cztery główek, araku prawdziwego Jamajka parę garnicy i herbaty fein! z Warszawy od Skwarcowa funtów dwa. Bez urazy Wielmożnej pani—mówił żyd dalej całując w łokieć rządcę a w kolano jego małżonkę—niech Wielmożna pani każe Nastce zanieść to wszystko z kuchni do śpizarni.

— O mój Josku, cóż zaś masz się tak szkodować; my weźmiemy, bo właśnie już nam brakło wszystkiego, ale musisz podać, co cię to kosztuje, i zapłacimy: dosyć twojej grzeczności, żeś przywiózł—odrzekła piérwsza pani rządczyni.—A cukier dobry?

— Tak, tak, zapłacimy—dodał małżonek nie śmiejąc pierwszy wyrzec swego zdania.

— Czy dobry?— aj waj! prawdziwy kanar, proszę Wielmożnej pani; a co do zapłaty, niech mi Wielmożna pani tego wstydu nie robi, żeby mi miała dawać pieniądze. Jasek Kulig z łaski Wielmożnych państwa zawsze będzie Kuligiem, a ja przecie nie hussyt. Jak Wielmożna pani da szklanę herbaty, to wypiję—i napół ze śmiechem z powiedzianego dowcipu, znowu całowania na obojgu małżonkach powtórzył.

Pani rządczyni nic nie odpowiedziała, tylko z najprzyjemniejszym uśmiechem przyjęła grzeczność żyda; co widząc jej małżonek, i rozumiejąc już dobrze co taki uśmiech znaczy, odezwał się:

— O! ja wiem, że ty wypijesz i niejedną, aby ci tylko dać.

— No, za co nie mam wypić? Ja i teraz wypiję kieliszek wódki, jeżeli mnie W. pan poczęstuje.

— O! ja wiem, bez twego powiedzenia. Moja Ewusiu! każ dać wódki; trzeba poczęstować naszego Joska.

Gdy kieliszek wypróżniony został, pierwszy odezwał się pan rządcza:

— Ale, ale, pamiętaj, żebyś na św. Jan dostarczył parę półmisków pięknych ryb (żyd bowiem trzymał stawy i jeziora w dzierzawie), bo to imieniny dziedzica, to pewno będzie hurma gości.

— Ja o tém dobrze, bez urazy Wgo pana, pamiętam. No, jak trzeba, to trzeba, to musi być; no, co robić? A ja tam na post dla Wgo pana przysłałem do kuchni ślicznych dwóch szczupaków, lina i okunia; a leto powiadam Wmu panu śliczności, już z pół roku jak takich nie złapałem.

— A żywe jeszcze?—zapytał się z żywością pan rządcza, bo to był czysto dla niego podarunek i jeszcze takmiły, bo dla brzucha.

— Żywusieńkie, proszę Wgo pana. A to bestyjniki tak mi się wiły w płachcie, że myślałem, iż mi powyskakują; na moje sumienie. Wny pan podobno lubi i karpie?

— Och! mój Josku, na szaro, pasyami; aż mi ślina w gębie rośnie—odpowiedział p. rządcza smakując ustami.

— No, a za co Wny pan nie przyśle do mnie? Mam tam u siebie dwóch karpie, to niech będą na zdrowie Wmu panu. Ja wiem jak to jest, kiedy co komu smakuje.

— Dziękuję ci mój Josku! ty poczciwy żyd jesteś, zawsze pamiętasz o mnie.

— No, bez urazy Wgo pana, za co nie mam pamiętać, kiedy Wny pan, to tak jak mój ojciec: nie da mi nigdy krzywdy zrobić. Niech WWnym państwu pan Bóg we troje wszystko wynagrodzi.

— No, siadaj mój Josku—rzekł już napół kupiony pan rządca, gdy żyd ciągle stał przy drzwiach—siadaj, siadaj, boćto nogi masz nie drewniane. Jakże ci tam z mlékiem idzie?

— No—rzekł żyd siadając—ja kontent, że już św. Jan nadchodzi, że się pozbędę tego kłopotu z pachtem; co mi z niego? proszę Wielmożnego pana; na sumienie.

— A czemużeś wprzód nie mówił—rzekł na to dobroduszny rządca—tobym się starał o innego pachciarza.

— No, bez urazy Wielmożnego pana, na co ja mam jak drudy kłopotać głowę Wielmożnemu panu. Wielmożny pan i tak za wszystkich się napracuje.

— Oj prawda, prawda!—przerwał z westchnieniem p. rządca.

— Albo to ja nie wiem, albo to ja nie znam—mówił żyd dalej—niechnoby Wielmożnego pana tu nie było, aj waj! pięknebyto było gospodarstwo. Ale na sumienie powiadam Wielmożnym państwu, że i trzech groszy nie mam z pachtu zysku, a co zmartwienia, a co roboty, i wszystko darmo!

Widząc żyd, że państwo rządcostwo nic nie odpowiadają, tylko słuchają, mówił dalej:

— Przecież Wielmożna pani taka gospodyni, to wszyscy wiedzą, wszyscy o tém gadają—i żyd w tém miejscu ledwie nie ugryzł języka, bo wiedział dobrze, że on i wszyscy za oczy zupełnie przeciwnie o jój gospodarstwie mówią—to najlepiej Wielmożna pani może znać ten interes. Taką dużą summę płacić, a z kąd tu brać? Mleko, to nie złotówki, a rublami trzeba płacić.

— Słusznie, słusznie—odezwała się w cichym szepcie pani rządczyni, jakby do siebie, nie podnosząc od okna nawet oczu na mówiących.—Garnki, powązki, skopki, ubry, to kosztują, kosztują; a praca, a staranie. Kto nie zna, to mu się wszystko lekko zdaje.

— Mój Josek—odezwał się pan rządca—a cóż ja ci winien: to się nie było kontraktować.

— Abo ja to do Wgo pana mówię? Ja przecież to znam dobrze, że Wny pan nic nie winien; ale na sumienie powiadam Wmu panu, że w tym roku tysiąc złotych na pachcie straciłem—

do dał żyd widząc, że najsilniejsza i najwięcej mogąca strona głos za nim zaczyna podnosić.

— Ha! mój Josek—rzekł rządca—to trzeba się z kontraktu luzować. Jak się nie znajdzie pachciarz, to się na dwór krowy doić będą.

— Ja nie mówię tego, bez urazy Wgo pana, żeby się luzować; na co się luzować? na co innych szukać, kiedy ja w miejscu jestem? To, co Wny pan innemu ma spuścić z summy pachtówój, to ja przystanę, i będę znów dalej trzymał.

— Na co mam spuszczać; alboto inny nie da tego, co ty dajesz?

— Na sumienie Wny panie, żaden tylenie da; a na co to chodzenie, to szukanie? Ja powiem Wmu panu bez urazy: mniej jeden grosz na garncu, jeden tylko grosz, jak dotąd płacę, a jeszcze się ten rok odważę. Aj waj! wielkie rzeczy, jeden grosz. Dziedzic i tak dziedzicem będzie, a dobrze, że téż dla moich dzieci czasem się garnuszek mléka dostanie.

Pan rządca milczał, bo i pani rządczyni milczała; nie śmiał więc piérwszy zdanie swoje objawić. Żyd po małej pauzie znówu mówił:

— Moja żona dla Wnej pani przysłała parę garncy masła ślicznego, świeżego. Na sumienie, bardzo jestem szczęśliwy, że póki mam pacht, mogę Wnej pani na śniadanie dać podarunek. A Wny pan podobno lubi cielęcinę? Zabiłem ślicznego cielaczka, już dawno takiego nie miałem, to mój Lejbus przyniesie pośladek.

— Zabites? i przyslesz cielęcinę? a to dobrze, już dawno myślałem o pieczeni z czosnkiem. Śniła mi się nawet raz: a to wyborne rzeczy! Moja Ewusiu! każ mi zaraz upiec, tylko czosnkiem naszpikować jak baraninę; a to wyborne mieć będę pieczone!

— No, to Bogu dzięki, kiedy Wny pan taki kontent; niech Wmu panu będzie na zdrowie. Ja tak szczęśliwy jestem, kiedy mogę się czém przysłużyć.—I zaczął przerzucać między papierami wyjętymi z bocznej kieszeni.

Pan rządca półgębkiem obrócony trochę do żony, trochę do żyda, po małym przestanku odezwał się:

— No, to trzeba się tam będzie rozpatrzyć w tym pachcie, i może się grosz opuści.

— Słusznie, słusznie—zawsze jakby do siebie szeptała szanowna małżonka—każdemu żyć trzeba, każdemu; niech téż i on ten grosz zarobi. Żydzisko pracuje, pracuje; słusznie, słusznie: grosz, grosz, wielkie rzeczy. O ho! ho! ho! dziedzic nie umrze, nie umrze z głodu, że biedny przecie zarobi.

Tym monologiem kwestya została rozwiązana. Chociaż żyd i tak tanio pacht trzymał, ale dlaczegóż nie miał się targować, gdy wiedział, że utarguje? Nie poprzestał jednak na jednym interesie, lubo grosz na garncu mniej gdzie jest sto krów w pachcie, to coś stanowi, lecz zaraz przystąpił do drugiego. Żyd bowiem, kiedy obdarza niby w podarunku blisko trzysta złotemi, to najmniej trzy tysiące musi zarobić; nasz Kulig nie myślał téż ani grosza z téj summy opuścić. Przerzucając między szpargalami, po małej chwili znowu zaczął mówić:

— No, co mam robić? mam obcych ludzi wpuszczać do wsi, to wolę już ja jakie sto złotych mniej zarobić, aby dwór zawsze ze mnie miał wygodę. Bez urazy Wielmożnego pana—mówił dalej wyjmując arkusz złożony papieru i podając go rządcy—śty Jan nadchodzi, chciałbym ukończyć obrachunek w kassie. To jest obrachunek wybranych ryb na kuchnię do pałacu; niech Wielmożny pan będzie łaskaw podpisze. Bez urazy, może Wielmożny pan nie ma teraz czasu, to ja jutro przyjdę.

— Daj, daj—odpowiedział rządcą, i nie czytając zaczął podpisywać; lecz rzuciwszy przypadkiem okiem na ogólną summę funtów zamieszczonych w rachunku ryb, w połowie podpisu wstrzymał się, i z największym zadziwieniem zawołał:

— Tysiąc sto pięćdziesiąt dziewięć funtów ryb od 1go lipca przeszłego roku, do 1go lipca tego roku! A bójże się Boga, któż zjadł tyle?

— No, co Wielmożny pan tak się dziwi? Jużć tak być musi, skoro na rachunku tak stoi—rzekł żyd poruszając ramionami.

— Ale bójże się Boga, mój kochany, kto zjadł tyle, kiedy nawet dziedzica prawie przez rok cały w domu nie było?

— No, bez urazy proszę Wielmożnego pana, kto zjadł, kto zjadł? jużć musiał ktoś zjeść, skoro tyle wydano. Przysyłali a przysyłali, a ja dawał, i wszystko do rachunku zamieszczał. Czyby to ja chciał przypisywać?

— A któż ci wydawał kwity na brane ryby?

— A na co kwity? kiedy ja to wszystko zapisywał; jeszcze większe ambarasy. Przecieć moje sumienie lepsze, jak ryby. Aj waj! jak Wielmożny pan w każdą rzecz wchodzi.

— Ale to musi być omyłka, tyle nie mogło być wybrane: dla kogoż?—rzekł pan rzadca rozkładając rękoma.

— Dla kogo? dla kogo? A wieleżto razy opiekun był, a cały sąd z doktorem, jak kowal nagle umarł, a rewizor od gorzelnii, a i dziedzic kilkanaście tygodni mieszkał w pałacu, nim wyjechał za granicę. Aj waj! a wszystko najśliczniejsze ryby szły do kuchni, a sam Wielmożny pan i Wielmożna pani nie mogli się nieraz nachwalić, nasmakować. Aj waj!—rzekł żyd kończąc klaskaniem języka.

— Słusznie, słusznie—odezwała się zawsze jak do siebie pani rządyczni—rybki, rybki, to nie mięso, to nie mięso; ubywa w gotowaniu, funcika ani znać. O! ho! ho! ho! to nie tak, jak się zdaje: funcik, funcik i zbierze się.

Pani rządyczni odezwała się, bo najlepiej wiedziała, ile z tego rachunku przez jej stół ryb się przewinęło; a lękając się stracić łaskę takiego dostarczyciela potrzeb domowych, poparła żyda, i znowu kieszenią dziedzica ubito drugi interes.

— O ty bestyo żydzie—rzekł p. rzadca z żartobliwym uśmiechem, podpisując rachunek—zawsze się umiesz wyłgać.

— Bez urazy Wielmożnego pana, alboto tak wielki interes, czy co? Ja się tylko zdaję na delikatny rozum Wielmożnych państwa—dodał żyd widząc, że już rachunek podpisany—i jak nadto, jak rachunek nierzetelny, niech Wielmożny pan odkreśli pięćdziesiąt, sto, albo nareszcie i więcej funtów, to ja i tak nie zginę.

— No, no, już nie gadaj, skończyło się. Ryby to mniejsza, ale jak jęczmień do browaru albo zboże na ordynaryą będziesz takie galgańskie kupował, jak to, co wczoraj przystawiłeś, to nie przyjmę.

— Na sumienie moje—rzekł żyd uderzając się w piersi—ja nie wiem, co się to zrobiło? Powiadam Wielmożnemu panu, że próbka jak mi sam dziedzic z Gołdkowic pokazywał, to takie ziarno było, jakby kto wybrał gołębiowi z gardła. A Wielmożny pan sam także widział; no jakże, czy nieprawda?

— No prawda, ani słowa.

— No, to widzi Wny pan, co ja winien, że inne zboże, a inna próbka. Ja sam przy pierwszej odstawie, to tak się przeląkłem. Aj wej! bez urazy Wielmożnego pana, ale to niepięknie takiemu panu tak być nierzetelnym—dodał żyd skrobiąc się w głowę.

— O! panowie, panowie!—odezwiała się pani rządczyni z największym gniewem, bo pan z Gołądkowic miał ładną wieś, dobrze gospodarował, posiadał imię najlepszego człowieka, chociaż żyd szachrajstwo swoje nierzetelnością jego chciał wytłumaczyć. Zazdroszcząc więc mu tego wszystkiego, nienawidziła go; a żyd znając to dobrze, wszystkie swoje nieprawie zyski przy dostawie zboża osłaniał osobą biédnego pana z Gołądkowic, który ani wiedział, ani się domyślał, jaką jest tarczą dla niegodziwości, skubiących kieszenie jego sąsiada.—O panowie, panowie!—mówiła więc pani rządczyni—gałgany, łajdaki! Tu się puszy, rozpiera się w koczu, a tu oszukuje. Fe, fe, fe, nieładnie, niepięknie! Tfu—mówiła dalej spluwając— to obywatel? dziedzic?—gałgan, łajdak! Fe, fe, aż człowiekacoś podnosi.

— Prawdę Wielmożna pani mówi—rzekł żyd kłaniając się—ale na sumienie, ja biédny żyd, ja pacholek, a tegobym nie zrobił; bo coto pięknego dla całego obywatelstwa? Przez jedną owcę, bez urazy Wielmożnych państwa, to wszystkie parszywe.

— No, cóż mam robić—rzekł rządcza—te trzysta korcy jęczmienia do browaru to przyjmę; ale zboże na ordynaryą, weź sobie: ja nie mogę ludzi oszukiwać.

— No, dlaczego nie mam wziąć, kiedy Wielmożny pan każe—mówił żyd—ale bez urazy proszę Wielmożnego pana, tam w śpichlerzu z tego zboża już ani ziarnka niema.

— Jakto? a cóżby się z niem zrobiło?—mówił rządcza z pewnym zaambarasowaniem się.

— Coby się zrobiło? pobrali już od tygodnia ludzie na ordynaryą. Aj wej! żeby tam było i trzy tysiące korcy, to i tak ziarnka jużby dzisiaj nie zostało. Wielmożny pan tak się o nich frasuje, a te łajdaki pół zjedzą, pół przepiją. Co to warto: żeby im zboże jak żołądź dawać, to i tak połowę do karczmy poniosą.

Jak żyd skończył, nastąpiła chwila milczenia. Pan rządcza zamyslił się; zapewne rachując w głowie, ile wynosi na pieniądze odebrany podarunek. A małżonka poprawiając się ciągle na krzeselku, spluwając, kaszląc, urywanemi wyrazami, bez związku, zdradzała w głowie snujące się myśli. Kulig rzucił kolejno wzrokiem po obojgu małżonkach, jakby chciał wybadać, czy długo musi pracować nad skłonieniem ich do swoich widoków, i czy nie zostanie przymuszony nową jaką zrobić ofiarę, na zmiękczenie serca wszystko mogącego pana rządcy; nareszcie tenże przemówił:

— No, już kiedy zboże wzięte i wydane, niechże już tak będzie; tylko pamiętaj drugi raz nie kupować w Goładkowicach, kiedy szlachcic taki nierzetelny. Ale ceny takiéj, jak podałeś, to żadnym sposobem przyjąć nie mogę.

— Ej wej!—zawołał Kulig jakby zniecierpliwiony—Wielmożny pan taki śkąpy, że aż strach. Na sumienie, jabym wołał z samym dziedzicem mieć do czynienia, jak z Wielmożnym panem, i wiem, bez urazy Wielmożnego pana, żebym pewno pół złotka na korcu utargował. Aj waj, aj waj!—kończył żyd kiwając głową.

— Ha, bo dziedzicowi wolno, mój kochany—rzekł ucieszony pochlebstwem pan rządca—On pan, to jego wszystko, to jemu wolno; a ja tylko sługa, i muszę strzedz pańskiego dobra.

— Bez urazy Wielmożnego pana, Wielmożny pan to taki twardy, tak ściska wszystko dla dziedzica, że na sumienie, jak idę do jakiego rachunku do Wielmożnego pana, to aż mnie strach.

— Ej! głupis mój kochany—rzekł z uśmiechem p. rządca—wiem przecie, że kupowałeś wszystko zboże o dwa złote taniéj, jak podałeś do rachunku; a teraz powiadasz, że ja twardy, kiedy ci nie chcę przyjąć.

W tém miejscu żyd troszkę się zmieszał, bo nie spodziewał się, aby właściwa cena kupionego zboża była wiadomą; dlatego skrobiąc się w głowę, nie zaraz mógł zebrać myśli: jednak nie stracił przytomności i odpowiedział:

— Coto jest! dwa złote taniéj; co to jest?—mówił z zadziwieniem.—Aj waj!—aj waj! jakto Wielmożny pan wszystko wie. Choćby człowiek chciał zarobić, to Wielmożny pan nie da. Nie ma teraz interesów; jakto w Gudowie i rządca zarobi, i wszyscy przy nim dobrze się mają, i dziedzic ma. Aj waj, aj waj!

— Mój bracie, to darmo; kto płaci, to temu trzeba wiernie służyć: lepsze mi sumienie, jak krzywda pańska.

— O ho! ho! ho! nie tak drudzy, nie tak drudzy—odezwiała się milcząca małżonka, a Kulig z panem rządcą jak wyroczeni Olimpijskiéj chwyтали każde słowo z ust jéj wychodzące, bo wiedzieli, że od nich zależy rozstrzygnięcie toczącej się kwestyi.—Ty służysz uczciwie, wiernie, zabiegasz, pracujesz, martwisz się, i nic nie masz; jak przyjdzie starość, to cię wypędzą, i trzeba będzie pójść z torbami. O ho! ho! ho!—mówiła dalej—wszyscy myślą o sobie, a ty tylko o dziedzicu.

— Ależ moja Ewusiu—odpowiedział rządcą—już ja innym nie będę; niech sobie tam zarobkuje jak kto chce, ja sumienia swego nie zabiję; wolę ja swoją biędę, jak bogactwo cudze.

— Sprawiedliwie Wielmożny pan mówi—rzekł na to żyd, uśmiechając się skrycie, bo on najlepiej wiedział, że pan rządcą nie zapomina o sobie, i że czterdzieści tysięcy złotych spoczywa już w kufierku—na uczciwości nikt nigdy nie stracił; choć człowiek biędny, ale każdemu śmiało w oczy spojrzy.

— Oj ty stary szachraju—rzekł pan rządcą—tak gadasz o uczciwości, jakby co najlepszego, a chcesz oszukać o dwa złote na korcu. Czekaaj, czekaaj! —mówił dalej, widząc, że mu chce przerwać—jęczmienia do browaru kupiłeś korcy trzysta, na ordynaryą żyta korcy sto, grochu korcy trzydzieści i jęczmienia korcy siedmdziesiąt, to wszystkiego razem korcy pięćset; chcesz więc zarobić złotych tysiąc: mądryś kochanku!

— Ja powiem Wielmożnemu panu tak rzetelnie, na moje sumienie—rzekł żyd troszkę zmieszany, tak ścisłym rachunkiem odniesionych korzyści z kupna zboża dla dworu—niech nie żyje szczęśliwie, jeżeli ja jeden fenig tanięj płaciłem, jak korzec w korzec po złotych piętnaście; a ten złoty na korcu.....

— No, to już złoty dołożyłeś, a i tak łiesz, bo płaciłeś po złotych czternaście—rzekł rządcą.

— Na sumienie Wielmożny panie, jak to słońce świeci nad nami, jak pragnę zdrowia dla moich dzieci, dla mojej żony, tak płaciłem po piętnaście złotych korzec w korzec, a ten szesnasty złoty, to liczę na furmanki.

— Albo to prawda, żebyś ty od korca złoty płacił furmankom?

— Aj waj!—mówił żyd głaszcząc się po brodzie—kto Wielmożnego pana oszuka, to będzie mądry. No, całego złotego furmanka nie kosztuje, ale dobrze, że i ja piątaka na korcu zarobię; a fatyga, a staranie, a targowanie się! Choćby Wielmożny pan faktora wziął z miasta, to i tak pięć groszy od korca musiałby zapłacić, a że ja te pięć groszy chcę zarobić, no, to już bez urazy Wielmożnego pana, zaraz na mnie, że ja szachruję. Aj waj! aj waj! niech Bóg broni, jaki Wielmożny pan skąpy.

Znowu nastąpiła chwila milczenia. Pan rządcą milczał, bo nie wiedział, co dalej robić; Kulig namyślał się, czy dać jeszcze co w podarunku, rachując w myśli zyski i straty, jakie interes ten za sobą ściągnie; pani rządczyni zaś myślała nad tém, co wyrwać

od Kuliga za dokończenie interesu, i po małej pauzie odezwała się:

— Mój Josku, nie masz czasem sztuki weby? Chciałabym kupić, a jakoś trudno pięknej dostać.

Kulig zrozumiał, co znaczy ta chęć kupna; zląkł się więc wielkości żądania, a nie mogąc odrazu zdecydować się, majaczył z odpowiedzią.

— No, a dlaczego nie? Za pieniądze to nie jednej, ale dziesięć i dwadzieścia dostanie.— Lecz zobaczywszy wchodzącą chmurę gniewu na czoło pani rządczyni, i szepeczącą jakby do siebie:—Za pieniądze, za pieniądze: wszyscy mądrzy. Ho! ho! ho!—dodał zaraz poprawiając się:

— A na coto Wielmożnej pani? z przeproszeniem.

— Chciałabym mężowi koszulę sprawić, dzieciom. O ho! ho! ho! tylko płatki z dawnych. Służba, służba, a dziury na plecach świecą.

— No, jabym Wielmożnym państwu—rzekł żyd złośliwie się uśmiechając—radził lepiej pójść na swoje pracę. Wielmożny pan taki gospodarz, tak się zna na wszystkiém; Wielmożna pani taka zabiegliwa, taka staranna, aj waj! to wszyscy nie mogą się nachwalić, i Josek Kulig poszedłby za Wielmożnym państwem, bo..

— Tylkobys mi zboża nie kupował — rzekł naiwnie pan rządca.

— Bo z przeproszeniem Wielmożnych państwa—mówił dalej żyd, jakby nie zważał na przerwę—coto służba? Nic się na niej nie dorobi, każdego roku jedna pensya, i nic więcej.

Po małej chwili, gdy państwo rządcastwo uwagę jego milczeniem pokryli, dodał obracając się do samej pani:

— Z przeproszeniem Wielmożnej pani, weby teraz nie mam, ale mam fein pół sztuki płótna. Na sumienie, jak weba—mówił żyd, widząc, że się od nowego datku nie wykreści, lecz chcąc przynajmniej coś utargować, od wygórowanego, jak uważał, żądania.—Sam pułkownik z Błesznic wziął pół sztuki naienne koszule; fein, fein, powiadam bez urazy Wielmożnej pani.

— Pół sztuki?—odpowiedziała małżonka—kto ma tyle dzieci, to po koszuli, po koszuli jednej ledwo wystarczy; nic nie pomoże, trzeba całą kupić, nie u ciebie, to może zięć twój ma?

Żyd poskrobał się w głowę, połknął w myśli przekleństwo na niegodziwą chciwość, tak szarpiącą go bez żadnej litości, westchnął, ale widząc już oczywiście, że nie robi interesu, jak nie

przychyli się do życzenia pani rządczyni, kontent, że z weby może na płótnie się skończy, odezwał się:

— No, kiedy Wielmożna pani koniecznie potrzebujesz całej sztuki płótna, to na co Josek Kulig ma być gorszy od drugich? Ja jutro wezmę sam od zięcia i przyniosę Wielmożnej pani.

— Tylko mój Josku—rzekła małżonka—zeby było cienkie, równe, bo innego nie wezmę. Trzeba przestać na płótnie, bo weba, to istotnie zadroga dla nas biedaków: to pany, pany tylko w takich chodzą koszulach.

— Na sumienie fein, śliczne jak weba. Sama Wielmożna pani jak zobaczy, to powie, że Josek Kulig jest rzetelny człowiek; albo to Wielmożna pani nie zna się, czy co?

— A bardzo drogie? może się nie zgodzimy?

— Bez urazy Wielmożnej pani, przecieć do wójta na zgodę nie pójdziemy, a przecieć—mówił dalej, jakby nawiasem—zdaje mi się, że my się już zgodzili—I jednocześnie zbliżając się do pani, pocałował ją w kolana, a pana rządcę w rękę, i odchodząc dodał:

-- Jutro rano Wielmożny pan zrobi ze mną rachunek, za dostawione zboże i każe w kassie wypłacić, bo muszę uspokoić się. Na sumienie, aż zapożyczyłem się, żeby zapłacić dziedzicowi z Golądkowic.—I w tysiącznych najniższych ukłonach, prawie do samej ziemi, wyszedł z pokoju zgrzytając zębami ze złości; nie będąc bowiem przygotowany na ofiarę ze sztuki płótna, przymuszenie siebie do jój dania, uważał wprost jako rozbój. Tak więc przebiegłość wprawnego handlarza, ulecz musiała pod zręcznością przeciwników, którzy mimo szczodrze rozsypanego pochlebstwa, nie przestali na dziale dobrowolnie przeznaczonym, i wyrwali ze skąpój, chciwój ręki nowy datek, jako część wspólnego złodziejstwa.

Po wyjściu Kuliga, pan rządcza wyciągnął się kilka razy, ziewnął jak pracujący człowiek, gdy sobie daje chwilę wytchnienia, i otwierając drzwi do pierwszego pokoju, miejsca zwykłego zgromadzeń wszystkich interesantów, zapytał się jednego z włościan:

— A co ty powiesz?

— Proszę Wielmożnego pana—rzekł chłop schylając się do samych stóp rządcy—gajowy mi zabrał wczoraj siekierę; żeby to Wielmożny pan....

— Ty gałganie, lajdaku!—i w tém miejscu uderzył w twarz proszącego się chłopca—to ty nie wiesz, że trzeba w kassie opłacić karę, to ci wydadzą siekierę, nie mnie tu będziesz kłopotał głowę!

— Proszę Wielmożnego pana, a toć ja tylko uciąłem dwie obrączki na pobicie beczki, i zaraz mi gajowy.....

— A ty gałganie! dwie obrączki; to one dla ciebie tam wyrosły, tyś ich tam właśnie położył. Złodzieje! szelmy! żeby mogli, toby cały las wynieśli. Pasy z szelmów drzecz, pasy.

— Wielmożny panie, teraz ciężko na człowieka; zkądże tu wziąć sześć złotych, kiedy na sól w domu nie ma grosza.

— A mnie gałganie co do tego? Kraść szelmo to umiesz, to umiej teraz płacić.

— Proszę Wielmożnego pana, żebyto człowiek był taki już okoliczny złodziej, coby go raz wraz łapali, no, to niechby ta i karę z niego ściągnać; ale świadczę się Bogiem i wszystkimi poczciwymi ludźmi, że pierwszy raz tak mi się przytrafiło. Niech Wielmożny pan zmiłuje się—mówił chłop po kilka razy nisko kłaniając się.

— Poszedł gałganie, a cóżto ty chcesz, żebym ja za ciebie płacił? Huncwoty, psubraty! Kraść, kraść i pić, cała wasza robota. O! ty niewdzięczny psi rodzie!

— To już proszę łaski Wielmożnego pana, kiedyć tak koniecznie tę karę trzeba zapłacić, to niech Wielmożny pan zmiłuje się i poczeka do żniw, to jakoś łatwiej będzie—rzekł chłop wzdychając.

— To i siekiera niech żniw czeka.

— Proszę Wielmożnego pana, kiedy teraz, to tylko z siekierą jest zarobek; a człowiek nie zbiera gruntu, to tylko tyła jego, co wyrobi rękoma: młócić nie pójdzie, bo nie ma co, z kosą już skończyła się robota, a....

— A idźże sobie do kroćset sto tysięcy d..... — zawołał rządca wypychając chłopą kilku szturchańcami za drzwi.—A to się szelma wziął na mnie; jeszcze nudzić będzie, zamiast dziękować Bogu, że batów nie kazałem wypalić.

Między świadkami téj sceny zrobiło się cichuteńko, jakby makiem zasiał; każdy w duchu westchnął dla nabrania męztwa do nastąpić mającego spotkania. Pan rządca spojrzawszy po zgromadzeniu, zapytał się oburkliwym tonem kobiety dosyć młodej, lecz nędznej, jakby schorowanej i biednie ubranéj:

— A cóż tam znowu nowego?

— Wielmożny panie—mówiła z bardzo niskim pokłonem i wolnym, osłabionym głosem—niech Wielmożny pan zmiłuje się nad biedną sierotą, i da chociaż pół korca jakiego ziarna na chleb.

— A! widzisz ją, jak po chléb, to do dworu, a jak robić, to niéma komu; gałgany, próżniaki! Pracuj, pracuj, to będzie chléb.

— Wielmożny panie, chorowałam. Myślałam, że przecie Bóg zlituje się nademną i zamknie mi oczy; ale gdzie tam, człowiek został tylko na większą biędę. Ale Bóg mi świadkiem, proszę łaski Wielmożnego pana, że jak byłam zdrowa, to chodziłam każdego dnia do roboty; noga moja nigdzie nie powstała, tylko za-wy we dworze.

— O! moja święta; a odrobiłaś téż korzec kartofli, coś wzięła do sa dzenia?

— A kiedyż? proszę Wielmożnego pana, kiedy jakem się położyła zaraz po sadzeniu, to nie zwlekłam się z łóżka, aż w sobotę rano.

— I jakieto są gałgany! Jak ty śmieysz przychodzić, kiedyś się z jednego nie zaspokoila. Daj, daj, dwór to właśnie kraść dla was szelmy będzie. Idź sobie do stu djablów, daj mi święty pokój. Będę dawał, będę dawał, a na czémże u diabła będąc cie potem patrzył. Idź sobie.

— A gdzież ja pójdę, proszę Wielmożnego pana, jak nie do Boga, a potem do Wielmożnego pana.

— A idź sobie gdzie chcesz, a daj mi święty pokój. Zwaryowała baba!

— A mój święty Boże! — rzekła kobiéta z płaczem załamując ręce — toć o te pół korca dwór się nie zuboży, a mnie biędną sierotę poratuje; bo przyjdzie człowiekowi zdechnąć jak psu z głodu. Ja przecie nie chcę darmo, bo, aby Bóg dał zdrowie, to..

— No ruszaj z Bogiem do domu, nie nudź mnie: ja nie mam czasu słuchać twoich babskich lamentów. Raz powiedziałem, i koniec; ruszaj, ruszaj — mówił dalej, zamykając drzwi za płaczącą kobiétą, którą bez ceremonii do sieni wypchnął. — Gałgany! ze dworu radziby skórę zedrzeć, jakby dziedzic kopał talary w ziemi. Gałgan! — mruzczał dalej półgłosem, a ujrzawszy Szczepanową, odezwał się:

— A pani Szczepanowa? cóż tam nowego? — i dodał żartobliwym tonem — pewno koniki w nocy ze szkody zajęli, to już baba się kręci.

— A proszę łaski Wielmożnego pana — rzekła Szczepanowa z niskim ukłonem i tym tonem, graniczącym między unizonością,

a pewnym rodzajem poufałości—czyto ja już najgorsza, że mnie Wielmożny pan tak zawstydzą przy ludziach?

— Ej ty babo cyganie—mówił rządcą wchodząc do pokoju, za którym zaraz postępowała i Szczepanowa—musisz mieć jakiś interes, bobyś ty tu nadarmo nie przyszła.

— Tak jest, proszę Wielmożnego pana, mam interes—mówiła Szczepanowa, całując w kolana panią rządczynią—bo dziś mój stary podbierał miód, i oto przyniosłam dla Wielmożnej pani garnuszek miodu.

To mówiąc, wyjęła blisko garncowy garnek, obwinięty starannie płachtą, i postawiła go blisko pani rządczyni, która odkrywając wierzchnie okrycie i kosztując, mówiła:

— A! dziękuję wam, moja Szczepanowa, śliczny miód, a jaki smaczny! Jakże wiodą się wam tego roku pszczoły?

— Dostyc, Bogu dzięki! Z trzech ulów wyroiły się, to wszystko mój stary obsadził; ale coto zachodu koło tego!

— O ho! ho! ho! znam ja to, znam: wszystko lekko, wszystko łatwo, kto koło tego nie chodzi. Słusznie, słusznie, kto pracuje, kto zabiega, to ma, to ma; nie każdy tak, nie każdy.

— Sprawiedliwie Wielmożna pani mówi; od rana do nocy, to człowiek tak jak woda ciągle chodzi wedle swojej pracy. Tylko nam ciężko bardzo o ule, a jeszcze się może będą roić, to nawet nie wiem, co tam mój stary robi, bo nie mamy ani jednego pustego.

— No, kilka uli, to niewielka rzecz — odezwała się pani rządczyni — poproście tylko pana—mówiła dalej z uśmiechem, poglądając ku swemu mężowi—to wam da assygnacyą do lasu. No, idźcie i poproście, poproście—kończyła widząc niejakie wahanie się w Szczepanowój.

— Aha! assygnacyą? Niech przyjdzie, to ja jój dam kijem, a nie ule. Coto nie mają za co kupić? Niech baba płaci—odpowiedział pan rządcą z uśmiechem, mającym znaczyć niby żart delikatny.

— Ja nieśmiem iść do Wielmożnego pana, niech Wielmożna pani sama będzie łaskawa prosić. Wielmożny pan tak skąpi każdej rzeczy, że człowiekowi aż straszno, kiedy idzie z jakim interesem.

— O! moja bojąca osoba—mówił na to pan rządcą, wycinając assygnacyą z kwitariusza—moje niewiniątko. No, na babo na pięć uli, a umykaj pókiś cała.

— Ej! proszę Wielmożnego pana—mówiła Szczepanowa odbierając assygnacyą i całując szczodrego dawcę w kolano—ja jeszcze ani razu nie odeszłam od Wielmożnych państwa, żebym nie wypila kieliszka wódki, a dziś Wielmożny pan tak mnie wygania, jakby już jaką ostatnią.

Szczepanowa miała widać jeszcze jakiś interes, bo o ulach ani myślała; wzięła, skoro same prawie w ręce wpadły. Przymówienie się więc o wódkę było tylko prostém załganiem do dłuższego pozostania, i została; a pan rządca poleciwszy ucześnie, odezwał się do niej zawsze tonem żartobliwym:

— O babo! pijaku! wody, wody, a nie wódki. Jednak widzisz babo, jaki ty jesteś cygan: mówiłaś, że bez interesu przysłałaś, a chociaż konie w szkodzie nie były, to zawsze pięć pni na ule wyszachrowałaś.

— Proszę Wielmożnego pana, przeciećto drzewa w naszych lasach nie brakuje; a co do koni, jak ich tam nie ma bardzo i gdzie pasać, tak i nie ma kto z nimi w nocy wyjechać.

— Jeszcze u was i nie ma kto wyjechać? Przecie masz syna, masz parobka.

— Ej! proszę Wielmożnego pana, teraz młodzi, to tylko o karczmie, o muzyce, o dziewczuchach, o bijatyce myślą, ale nie o robocie. Jak przyjdzie niedziela albo jakie święto, to ludzi kieby mrowia w karczmie, a dobytek suszy zęby w oborze, bo nie ma kto z nim w nocy na pastwisko wyjechać.

— O gałgany! łajdaki!—odezwała się pani rządczyni—tylko gorzałka, gorzałka w głowach. A jak robić, to nie ma komu, a o zasługi, to umieją się upominać: bąty, bąty, szelmom!

— O! już co za ludzie, to niech ich wszyscy djabli wezmą—rzekł pan rządca.—Jak żyję, to takich łajdaków nie widziałem, jak są tutaj. Pewno znów musieli wczoraj co zbroić w karczmie?

— A jakżebyto było inaczej!—odpowiedziała Szczepanowa—toć wczoraj zbili tak Józefa lokaja dworskiego, że mu ze szczeniem surdut podarli.

— Józefa?—zapytali oboje państwo rządcostwo z pobudzoną ciekawością—a o cóż im tam poszło?

— A o cóżby, proszę Wielmożnych państwa; zwyczajnie, jak to między parobkami młodem i o dziewczkę.

— I którzyżto tacy zuchy?—rzekł pan rządca—pewno Tomczek musiał być przywódcą?

— Wszyscy, proszę Wielmożnego pana: i Tomek, i Wojtek, i Walek, i kto tylko był w karczmie.

— O! już ja tego huncwota Tomeczka, to muszę nauczyć— mówił pan rządca— Gdzie się biją, on zawsze pierwszy; nigdzie się bez niego nie obejdzie. To nic nie pomoże, trzeba im będzie gałganom dzisiaj oporzędzić skórę.

— Oho! ho! dziewczki łajdaki, wszetecznice— odezwała się pani rządczyni.— Fe, fe, im baty, żeby aż krew pooblewała; pewno tam Małgośka musiała być między niemi.

Trzeba bowiem wiedzieć, że Małgośki pani rządczyni nienawidziła; a dlaczego? łatwa odpowiedź. Małgosia była ładna, młoda, czysta, chędogą, i z pewnym wdziękiem zawsze była ubrana. Nieraz o uszy pani rządczyni obita się pochwałą jej urody i jej skromności, a więc jej niecierpiała, bo ona nic znieść nie mogła, co tylko przy niej chwalono lub na pochwałę zasługiwało. Szczepanowa więc znając usposobienie pani rządczyni, aż nadto była pewna pomyslnego skutku zabiegów, jakie przedsiębrała dla odstręczenia syna od kochanej przez niego dziewczyny. Jak tylko pani rządczyni zrobiła tak niekorzystny domysł o biędnej dziewczynie, natychmiast Szczepanowa odpowiedziała:

— A jakże, z niej to wszystko poszło. Małgośka tak jak Małgośka, zaznajomiła się zaraz z dworusem, częstowali się, tańcowali. Józef za nią tylko oczy wodził: i Bóg wie, jak tam między niemi nie było. Moje chłopaczysko, bo to głupie, już dawno wedle niej tylko zacharuje; miał też niejedną kieliszek w głowie, Tomek to samo; jak się też z dworusem złapali, inni zaraz dopomogli, tak i skrzywdzili Józefa. O! poganka, poganka!

— Różgi szelmie, różgi— odezwała się pani rządczyni.— Wystroić się, wycackać, wymuskać do chłopów, to na to rozum ma; a dbać o gospodarstwo po ojcu, to nie umiała. Śliczna lalusia, wszetecznica, latawica! Różgi małpie, różgi— kończyła z iskrzącymi się oczami od gniewu.

— Oj prawda, proszę łaski Wielmożnej pani— rzekła Szczepanowa całując w kolano panią rządczynią— przecieć ja byłam we dworze, a jednak nic ludzie nie mogli o mnie powiedzieć, bo się starałam o to: a ta poganka zagubia moje jedyne dziecko— mówiła dalej nawpół z płaczem— i z innemi zbytkuje. Jak Wielmożni państwo temu nie zaradzą, to ten mój Antek na piękne zgłupieje i zagubi i siebie i nas na stare lata— i ponowiła niskie ukłony, z podwójną porcją uścisków kolan.

— A i cóż ja ci za radę dam—odezwała się pan rządca—radź sobie sama. Na wieczór każe wszystkich sprowadzić: i Tomka, i Małgołę, i Antka, i wyrzną skórę co się zowie, to zaraz im kochanie z głowy wyleci.

— Słusznie, słusznie—półgłosem mówiła pani rządczyni.—Baty, baty chłopom, a ślicznej lalusi różgi, różgi, co się zmieści, to się jęż zaraz odechce wszelkich romansów. Paskudnica, wszetecznic! Fe, fe, tfu, tfu!

— Jużta Antkowi, proszę Wielmożnego pana, to niechta Wielmożny pan tę pierwszą winę przebaczy; tylko niech Wielmożny pan go nastraszy, nagada mu przecie do rozumu, bo to głupie, lazietta i lazie; ale tym innym przewódzcom i Małgoście, to skóry nie żałować, bo to najwięksi we wszystkiem przestępcy.

— No, no, już ja ich nastraszę; zjedzą sto djabłów, jakie im dam strachy—mówił pan rządca.—Zberezniiki! huncwoty!

— Dawniej, proszę Wielmożnego pana, to to moje chłopaczkisko było przecie jakoś do ludzi: i z końmi na paszę pojechał, i roboty pilnował; a teraz nic z niego niemamy: wszystko ino Małgoška i Małgoška. Ja téżbym prosila Wielmożnego pana i Wielmożnej pani — mówiła dalej Szczepanowa całując i ściskając kolana—żeby Wielmożni państwo byli łaskawi pozwolić chodzić wółom moim z dworskimi po koniczynie, bo na piękne pomizerują się. Ta te cztery moje woły przecie się pomieszczą.

— Moja kochana—zaczął pan rządca z przeczącym gestem; co zobaczywszy jego małżonka, nie dała mu dalej mówić, i odezwała się:

— Mała rzecz, mała rzecz; cztery woły nie objedzą dworskich, a dobrym gospodarzom należy się od dziedzica pomoc. Trzeba szanować zbiegliwych, trzeba; a łajdakom baty, baty.

Pan rządca już nie śmiał przeczyć, boby wywołał burzę, której niebardzo był spragniony. Po małej więc pauzie odezwał się:

— Ha! toć mniejsza; niechże już tam chodzą z dworskimi, tylko pamiętaj babo szkody niemi nie robić, bo w dubelt karę zapłacisz.

Po tém oświadczeniu, Szczepanowa z zapewnieniem wszelkiej staranności w ochranianiu dworu od szkody, i po licznych ucałowaniach kolan państwa rządców, wyszła z pokoju.

Tak więc przebiegła baba, garncem miodu trzy interesa załatwiła, lubo dwa zawadzały choć troszkę o kieszeń dziedzica;

ale ktoby tam na takie zważał drobnostki! Wszak drzewo, to nie pieniądze, koniczyna nie złoto, a zresztą należy się wesprzeć dobrego gospodarza. I baba zadowolona, że jej się tak wszystko powiodło, spiesznym krokiem maszerowała ku domowi, snując w głowie nowe sidła, na uwikłanie poczciwej i urodnej Małgosi.

Lecz nie lękaj się biedna dziewico, bo Bóg patrzy: jeżeli smuci, to i pociesza. Kto zgadnie, co komu przeznaczone? Nie płacz, może to wszystko wyjdzie ci na dobre.

— A wy co chcecie?—rzekł pan rządca po wyjściu Szczepanowej do dwóch kobiet w średnim wieku, które z bojaźnią i niskim ukłonem posunęły się aż do nóg stojącego w progu pana rządcy.

— Wielmożny panie — mówiły bolejącym tonem — gajowy Walenty przyszedł dziś do nas rano i pobrał pierzynki.

— A i za cóż to? musicie do dworu być winne.

— Albo my wiemy, proszę Wielmożnego pana; onta powiedział, żeśwa u gajowego nie opłaciły.

— A no, to zapłać, to ci pierzynki odda.

— A i z czegoż, proszę Wielmożnego pana? My tylko komornice, bez mężów, nie mawa ani szkapiny, ani wozu. Że-ta człowiek z płachciną wyjdzie i na plecach przyniesie troszkę z lasu gałązczyn i różnego ciarastwa, to już na to zaraz wielkie oczy mają; jak to inni furami wywożą, rąbią....

— A widziałś?

— Choćta może nie ja, proszę Wielmożnego pana, to ludzie widzieli.

— Ludzie? o! ludzie? Gałgany! łajdaki! Że gajowy strzeże dobra pańskiego, że nie da jednej z drugą kraść w lesie, to zaraz złodziej. Widzisz ją!

— Żebyta człowiek nie słyszał, co drudzy gadają....

— No, poszła won! A to zuchwała, ani zamknie pyska, jak w kołowrocie. Dziś pamiętajcie zapłacić, bo pierzyny każę natchmiast jutro posprzedawać: rozumiecie.

— Ale proszę Wielmożnego pana, niech Wielmożny pan się zlituje....

— Won, won plotkarki, łajdaki! Idź do tych, co furami wywożą—i powypychał biedne kobiety za drzwi.

Widać, że kobieciska nie były z jednej szkoły co Szczepanowa, nie umiały bowiem pochlebiać. Skutkiem nieznamomości serca ludzkiego, mówiły jak czuły, i jak te rzeczy uważały, sądząc,

że porównaniem branych przez siebie bezużytecznych gałązek, z wywózką kłoców furami, najprędzej trafią do przekonania pana rządcy i uwolnione zostaną od niesłusznie, jak mniemały, wymaganej opłaty.

Musimy jednak oddać sprawiedliwość: byłby on niezawodnie łaskawym uchem przyjął podobną skargę, gdyby uczyniona była sposobem więcej tajemniczym; wówczas narobiłby hałasu, tumultu, krzyku przynajmniej przez parę tygodni, i pokazał się w opinii dziedzica czynnym, dbałym, troskliwym; gdy przeciwnie jawne, takie głośne przy świadkach oskarżenie, musiał potępić, bo nie chciał siebie w przeciwnym zupełnie świetle przedstawić. Tak więc biedne kobiety, swoje prostoduszność opłacić musiały własną i tak chudą kieszenią, gdy Szczepanowa bogatsza, samą tylko zręcznością wyłudziła w parę minut to, czegoby one w przychylniej odpowiedzi nie wzięły z lasów przez rok cały.

Ale tak zwykle dzieje się w świecie między ludźmi; nie po tępiamy więc za to pana rządcy, boć i on człowiek, a może słabszy, jak wielu innych.

Zaledwie pan rządcza załatwił się w tak niemiły, ale wygodny sposób z biednymi kobietami, nadjechała bryczka, a z niej wysiadł człowiek niewielkiego wzrostu, brunet, przyzwoicie ubrany, i wprost udał się do pomieszkania państwa rządców.

— A witamy, witamy pana Blochowicza—odezwali się oboje małżonkowie z największą grzecznością i najprzyjemniejszym wyrazem twarzy—już téż bardzo dawno nie widzieliśmy. Kiedyż z podróży?

— Wczoraj rano wróciłem z Gdańska, i zaraz pospieszyłem ze złożeniem mego uszanowania państwu Dobr.—rzekł pan Blochowicz, całując w rękę panią rządczynią, a uściskiem witając godnego małżonka.

— Prosimy siedzieć—rzekł pan rządcza wysuwając krzeselko.—Cóż tam słyhać nowego? jakże idą interesa?

Pan Blochowicz byłto bogaty spekulant: wszystko załatwiał, co tylko korzyść przynosiło. W lasach dóbr Zagry zakupił cały znajdujący się starodrzew, który spławiał do Gdańska; zysk ztąd odnosił niemały, do czego przyczyniła się i taniość kupna, i znaczne zasoby, i zręczne, chociaż nieszlachetne w całym tym interesie postępowanie. Znawca słabości ludzkich, uderzając w nie z aktorskim prawie talentem, z całą potęgą doświadczenia, nabytego w ciągłych obcieraniach się między ludźmi, bezczel-

ném pochlebstwem drwił w duszy z głupstwa ludzkiego. Śmiał się pokryjomu, realizował w pieniądź swoje zabiegi.

Takato postać przybyła ze złożeniem, jak powiadał, uszanowania, a uprzejme przyjęcie jakiego doznał, najlepszém powinno być świadectwem stosunków, jakie go wiązały z państwem rządcostwem.

Po uczynioném zapytaniu przez pana rządcę, z najwytworniejszą elegancją siadając zaraz odpowiedział:

— Nowego nie ma nic; polityka mnie nie obchodzi, bo ciekawości nie obudza, i zajmuje wiele chwil; a przy handlu i przy każdej pracy, jak to dobrze wie pan Dobr., to nie ma czasu na czytanie bzdurstw drukowanych.

— Oj prawda, prawda—rzekł pan rządca—książki i gazety, to tylko dobre dla próżniaków; ale człowiek, co całe życie jak koń w kieracie, gdzie tam ma mieć czas na czytanie.

— Sprawiedliwa uwaga pana Dobr., bo naprzykład kto z książki gospodaruje, to zwykle na palcu pieczeń piecze: to wszystko nic nie warto.

— Ale takjest — odpowiedział pan rządca—książki, książki, żebyto uczyły jak pieniądze robić, no, to co innego; ale one uczą, jak ich wydawać na nic. Już ja się tam w nich całkiem nie kocham. Gdyby były drukowane na kapłonie pieczonym albo na skopowej pieczeni, no, to prędzejby się kupiło; bo jakbym się znudził czytaniem, tobym panie Dobr. zjadł, to przeciebym wiedział, że nadarmo pieniędzy nie dałem.

— Po mojemu, panie Dobr.; lepsza pieczeń, lepszy kapłon pieczony, jak tysiąc książek; to u mnie takie zdanie, i tego się święcie w życiu trzymam.

— Ślicznie, ślicznie mój drogi panie—mówił pan rządca z wzrastającym zapałem—jakem się uczył gospodarstwa w Prusach—i w tém miejscu poprawił kamizelki na brzuchu i zadął głowę do góry—otoż mój drogi panie, był tam jeden młodzieniaszek, który jak mól całe dnie siedział w książkach. Zawsze mu mówiłem: pamiętaj Franus, że wyjdiesz na gałgana; ale co tam, gadanie moje, to groch na ścianę: czytał i czytał, i takeśmy się z sobą rozeszli. Aż w przeszłym roku jak byłem w Warszawie, patrzę na Senatorskiej ulicy, idzie ktoś w wytartym surduciku, w czapczynie, dziury na łokciach i w bótach; myślę sobie: on, czy nie on? i tak idę. Aż mijam ten sklep, jak się zowie... Langowej, czy inaczej; ale mniejsza z tém, otoż jak mijam ten sklep,

patrzę, a to on, mój Franuś. Azem struchlał, panie dobrodzieju! A to biedaczysko takie było cienkie, tak mizerne, jak gdyby z tydzień już nie jadł. Przytuliłem uszy panie dobrodzieju i poszedłem, bo jak się tu przywitać na ulicy w samo południe?

— Naturalnie, bardzo słusznie—odpowiedział pan Blochowicz—ja się nigdy nie bratałem z książkami, a mam Bogu dzięki chleb.

— I ja to samo, a przecież żyję, i jako tako gospodaruję.

— O, jako tako? daj Boże, żeby tylko każdy tak gospodarował—odpowiedział Blochowicz.—Przecież ja jeżdżę dosyć po świecie, a mogę sumiennie panu dobrodziejowi oddać tę sprawiedliwość, że mało gdzie znalazłem taki porządek, taką punktualność.

— Ha, mój drogi panie! człowiek się stara jak może. Ale my tu gadu gadu o literaturze, o gospodarstwie, a pan Blochowicz zapewne głodny. Ewusiu! każ dać jakie śniadanie.

Niepotrzebne było zupełnie przypominanie, bo Ewusia zaraz po przybyciu gościa, zajęła się przyrządzaniem stosownego śniadania. Pan Blochowicz choć nie był głodny, chociaż jedzenie w tak rannych godzinach nawet mu przykrość sprawiało, bo przywykły był dopiero około południa brać lekki posiłek; nie odmówił jednak wezwaniu pana rządcy, bo wiedział, że rodzaj i ilość strawy ofiarowanej u nich gościowi w przyjęciu, była w stosunku prostym do względu, jaki posiadał. Kochali cię, to najnieszczęśliwszym byłeś człowiekiem, jeżeli mały miałeś apetyt; paśli cię bowiem i tuczyli, jak gęś na św. Marcin, coto gwałtem gałki z mąki w gardziel wpychają. Nie lubili cię, to mogłeś umrzeć z głodu, a spalić z pragnienia, jeżeli tylko na ich spiżarnią liczyłeś. Blochowicz znał to dobrze, nie mógł więc odmówić; nie mógł nie przyjąć takiej grzeczności, bo byłoby to samo, co zatykać uszy, gdy ktoś robi cinajpochlebniejsze wynurzania przyjaźni, szacunku, a Blochowicz nie był zdolny do tego, potrzebując względów rządcy. Posiadając je, umiał także i utrzymać; a gdy dana okoliczność wymagała rozszerzenia brzucha dla przyjęcia nadzwyczajnego pokarmu, on go rozszerzył, bo wiedział, że rozszerzy także i kieszenie swoje, wynagradzając sownie chwilowo zadany przymus. Jak tylko usłyszał wzmiankę o śniadaniu, jakby sobie coś przypomniał, zawołał przez okno służącego, i kazał mu podać podróżną torbę, a wydobywając z niej sporą paczkę, rzekł do pana rządcy:

— Ze wzmianki o śniadaniu, przypomniałem sobie, że mam w torbie dla pana Dobr. kawałek prawdziwego włoskiego salami. Przewyborny, odjeść się go nie mogłem—mówił Blochowicz, odwijając papiery i szpagat.—W Gdańsku nic nigdy nie jadłem na śniadanie, tylko salami.

— A! to mój gust—odpowiedział pan rządca, gdy mu oczy ledwo z osady nie wyskoczyły, a ślina w ustach rosła, jak wzbierająca Wisła—to mój gust panie Dobr. Jakem się uczył gospodarstwa w Prusach—i przy tych słowach pociągnął kamizelki, schował całą brodę w zawiązaną chustkę na szyi, i poprawił obydwóch kołnierzyków—tośmy na śniadanie zawsze salami jadali.

— A to bardzo szczęśliwy jestem, że choć kawałkiem tego przysmaku, mogę się panu dobrodziejowi przysłużyć—i rozłożył przed uradowanemi oczami pana rządcy blisko ośmioletnią sztukę.

— A śliczny, dalibóg śliczny—rzekł pan rządca z całym zapalem, obwąchując go na wszystkie strony.—A muszę go chociaż kawałeczek skosztować, bobym cały dzień był jak nie swój.

— I owszem, i owszem, proszę pana dobrodzieja; oto nóż—rzekł Blochowicz, podając—tylko cienko, cienko na miłość boską, bo cały smak zginie w grubym kawałku—zakończył z największym przerażeniem, wstrzymując krającą rękę pana rządcy, która bez względu na pożyte już obfite śniadanie, potężną porcyą odkrajać usiłowała.

— Cienko?—zapytał jakby z żalem rządca—nie wiedziałem zupełnie o tych grymasach.

— Niechno pan dobrodziej pozwoli—rzekł na to Blochowicz odbierając nóż—ja się lepiej znam z temi rzeczami. O! trzeba tak—mówił dalej krając cienkie plasterki—żeby się przez nie przejrzeć prawie można było; teraz proszę pana dobrodzieja.

— Prawda, wyborne, tylko ich człowiek mało czuje w ustach; troszkę grubiej, zdaje się, żeby nie zaszkodziło?

— No! można, ale zawsze tak smaczniejsze. W Gdańsku innych nie jadalіśmy.

— To szczególna: jakto co kraj, to obyczaj. Jakem się uczył gospodarstwa w Prusach—rzekł rządca dwa razy chowając brodę w chustce, jak kaczka na wodzie, gdy kłótnię ze swoją sąsiadą prowadzi, mając bowiem palce potłuszczone, nie mógł umykającej kamizelki na brzuch ściągnąć—to mój panie drogi wszyscyśmy grube kawałki krajali.

— To zależy wszystko od gustu i zwyczaju. W Martynice, na przykład, umyślnymi siekaczami siekają w drobne kawałki, i dopiero jedzą; a w Kalifornii, to znów zupełnie inaczej: ot taki cały kawał biorą i póty żują, póty go obracają na wszystkie strony, aż zmięczony wsunie się prawie sam do gardła—mówił Blochowicz z ukrytym uśmiechem ironicznym.—Prawda, że to szczególny zwyczaj, ale jednak tam nie najgorzej być musi, skoro mają takie smaczne rzeczy.

— Tak, prawda, mają salami, mają złoto; ale nie mają chleba, ani mięsa, a te dwa artykuły....

— Wiész pan co?—mówił pan rządca żując ciągle ustami—wszystko dobre, co Bóg dał człowiekowi do jedzenia, ale niema jak byk. U mnie wołowina przedewszystkiém.

— W rzeczy saméj, wołowe mięso nigdy się nie sprzykrzy—odpowiedział Blochowicz.

— Tak, nie ma jak byk; jédz sześć razy na dzień, a zawsze smakuje.

Przyniesione śniadanie przerwało na chwilę tak miłą dla gospodarza rozmowę, który obwijając podarunek papierem, robił miejsce na stole dla kurzących się kilku półmisków, jako tłumaczów życzliwości gospodarstwa dla gościa.

— Wiész pan dobrodziej, że to wyborne salami! Tak mi wzbudziło apetyt, że pomimo tego, iż już śniadaniowałem, powtórnie zabiorę się z panem do jedzenia. Hej! dajcie noża i widelca; prędzój, noża i widelca!

Pan Blochowicz tylko westchnął, bo widząc tak obficie zastawiony stół, przewidywał przyszłe męki, jakich doznawać będzie w przymuszaniu się do jedzenia. Jakże biédak zazdrościł apetytu pana rządcy! Na większe jeszcze utrapienie niezarłocznego gościa, weszła za służącą sama gospodyni, i nałożywszy pełny talérsz wybornych zrazów, podała go z najuprzejmiejszym wdziękiem Blochowiczowi. Pan rządca sam sobie służył, i uczciwą porcyą usprawiedliwił znaleziony nowy przymiot w salami.

— O wilku mowa, a wilk między nami — odezwał się ujrawszy zrazy. — O byku mówiliśmy, otoż i byka będziemy pożywać. Mój drogi panie Blochowicz, bez ceremonii, bardzo prosimy; u nas otwarcie bez wymysłów.

— Bardzo prosimy — przymówiła pani rządczyni—bardzo prosimy. My nie pany, nie pany; co Bóg dał, niech pan pożywa ze zdrowiem nasze ubogie śniadanie—i z całą gościnnością usługi-

wała: to krając chleb, to przysuwając półmiski, to dodając sosu, bigosu lub kaszy.

Blochowicz jadł, bo i cóż miał biédak robić; a niechby się chciał wymawiać ranną jeszcze porą, brakiem chęci do jadła: to by zaraz pani rządczyni furknęła na niego językiem, jak kokosza wodząca pisklęta:— O ho! ho! to pan, to pan; jemu trzeba frykasów, pasztetów, kucharzy. O! to pan, pan! — A ztąd jakież następstwa? Pan rządcza spuściłby nos, pani rządczyni mruczałaby pod nosem:—to pan, to pan!—i jakby przyszło do załatwienia interesu jaki go sprowadził, trzebaby może dwa razy tyle dać, co sobie zamierzył. Więc jadł, klął w duszy i woły, i kury, i kapusty, i pasibrzuchów, i państwa rządców; ale jadł, chwalił, smakował, czyli przyjmował brzuchem tę mowę serca i przychylności dla siebie gospodarstwa.

— Jakże ślicznie wyglądają te zrazy: aż się proszą, żeby je jeść—rzekł Blochowicz—Tylko żałuję mocno, że przed wyjazdem z domu najadłem się na drogę.

— Coto znaczy?—rzekła pani rządczyni, bo małżonek mając pełne usta nie mógł słowa przemówić—mój mąż także jadł, a jak zawija! Może nie smakują?

— O wyborne, przedziwne!—a w myśli rzucił klątwę na gospodarza, który stanowił niejako przeczenie wszystkich jego wymówek.—Jakżebym rad sposobu przyrządzania się nauczyć.

—O! to bardzo łatwo—odpowiedziała gospodyni—bierze się naprzód mięso.....

— Ale moja Ewusiu — odezwał się małżonek robiąc ostatnie łyknięcie zżutego w ustach pokarmu— nie wydawaj sekretu, bo pan Blochowicz gotów do nas nigdy nie przyjechać, a tak, to go choć zrazami może czasem zwabimy.

— O! państwo Dobr. tak łaskawi! Wszystko u nich tak smaczne, tak świeże, naprzykład ten bigos! To rzetelnie powiadam, że nigdy tak smacznego nie jadłem.

— Prawda, prawda — odezwała się gospodyni — bo téżto sekret; kapustę nie każdy umie gotować, to niełatwo, niełatwo, nie tak, jak się zdaje.

— Jak się tylko ożenię, zaraz moje żonę do pani Dobr. muszę oddać na naukę gospodarstwa. Wszystkie te sekreta, co pani Dobr. posiada, są tak smaczne, tak przyjemne.....

— Oj! już to prawda— mówił rządcza— kto chce umieć gospodarstwo, niech się uczy od mojej żony. Ale proszę pana téj

potrawy z kapłona. Pan nic nie jé, ach! nic cierpię tych ceremonij—i zaczął ładować drugi taléřz.

— Prosimy, prosimy!— dołożyła pani rządczyni — u nas, mój drogi panie, po staropolsku, bez obłudy.

— Dziękuję, ślicznie dziękuję, już nie mogę więcej. Przecież pani dobrodziejko mając co jeść, nie robiłbym ceremonij— odpowiedział ledwo oddychający Blochowicz.

— O jédz pan, bardzo proszę— rzekła pani rządczyni, i jednocześnie dołożyła kilka sztuk z potrawy na taléřz gościa—to drób mego tuczenia: jak masłem oblał. Jédz pan, jédz, nic nie pomoże.

— O prawda! tak ślicznie utrzymany, że aż ślinka idzie patrzeć na niego. Mój Boże! coto dozór, coto dobre gospodarstwo!—odezwał się pan Blochowicz, a w myśli pomyślał—czy mnie Bóg ciężko skarał z tém jedzeniem; poszalały pasibrzuchy, pchają jak w worek!

— U mojej żony wszystek drób taki: nigdzie mi tak nie smakuje ani kaczka, ani kapłon, jak w domu. Patrz tylko pan—mówił pan rządcza, biorąc kawałek z półmiska—jakato na nim słoninka! Jakby umyślnie pasiony.

— Prawda, prawda — mówił Blochowicz kiwając głową z zadziwieniem, a w myśli pomyślał:—nie chciałbym ja tu być waszym dziedzicem, bo jakby brakło ziarna w śpichlerzu, tobyście mnie drobiem spaśli.

— Ewusiu! pamiętajno o naszym gościu, bo nic nie jé; na talerzu prawie wszystko zostało.

— O ho! ho! nietrzeba przymuszać, nietrzeba; jak komu nie smakuje, to darmo. U nas babskie gotowanie, nie po kucharzu, nie po kucharzu.

O ho! źle — pomyślał sobie Blochowicz— jak jeszcze znacznie spluć, tak umykaj pókiś cały.— Ach pani dobrodziejko!—mówił głośno wzdychając—żebym całe życie tylko miał tak ugotowane! Nie wiedziałem, że to kobiéta przyrządzała; byłem pewny, że kucharz, i dobry kucharz. Istotnie powinszować tak dobrej kucharki—mówił Blochowicz, udając, że jé i jakby nie wiedział, że sama gospodyni ma pretensją do dobrego gotowania.

— Panie kochany—odezwał się rządcza—u nas właśnie kucharze albo kucharki! A zkądże tu brać? Trzyma się piérwszą lepszą dziewczkę, a żonisko same musi pilnować kuchni.

— A prawdziwie nie wiedziałem—rzekł Blochowicz—u nas w kraju tak rzadko znajdzie gospodynią domu trudniącą się podobnym zajęciem, że nie mogę być jak z rzetelnym szacunkiem dla pani dobrodziejki.—I w tém miejscu pocałował ją w rękę.—To zaszczyt, to chluba mieć taką żonę—kończył odsuwając talerz z nietkniętym prawie jedzeniem.

— Jakem się uczył gospodarstwa w Prusach—rzekł pan rządcą pociągając kamizelki na wypchany brzuch podwójnym śniadaniem, i z kaczym ruchem głowy—toto miałem tam życie! Kuropatwy, bekasy, zające, kaczki dzikie. Mój Boże! kto tam nawet pamięta różne nazwiska; to aż się nam przykrzyły. Pamiętam raz w Dreznie, tak około godziny 10tej rano, idę przez ulicę... jakże się nazywa? bodajcie! na języku mam prawie: św. Marcina, czy jakoś inaczej. No, mniejsza z tém; otóż idę sobie, i jakoś czuję, że mi się jeść chce. Spoglądam po szyldach, patrzę przez ulicę, jest jakaś restauracya. A no, myślę sobie, trzeba wstąpić, bo z głodem nie ma co żartować. Wchodzę, nie zastałem nikogo; pytam się, co jest do zjedzenia: dają mi kartę, panie dobrodzieju, a to taką długą, blisko z łokieć, i różne potrawy na niej wypisane. Czytam, czytam, i to dobre, i to dobre; sam nie wiem, co wybrać: aż mnie markier zapytał się, czy czasem nie zjadłbym kuropatwy pieczonój? Jak mi to powiedział, aż mi ślinka w ustach urosła; tak kazałem dać. Panie dobrodzieju! jak żyję nigdy takiój nie jadłem: bo to najprzód tłusciutka, jak gdyby w domu umyślnie pasiona, a przytém tak upieczona ślicznie, rumiano, jak cytryna. Piersi ponakraiwane, przełożone były ugniecionym masłem z imbirem. Markier jak przyniósł wycisnął na nią cytrynę, a potém wlał na to ukropku i przykrył drugim talerzem. Panie dobrodzieju, jak tak powstało z pięć minut, które mi się wiekiem zdawały, proszę było widzieć, coto za smaczna rzecz była! Panie łaskawy, zjadłem prawie z kośćmi; jeszcze do dziś dnia czuję ten zapach przyjemny. Pytam potém, co się należy; wiesz pan co mnie ten figiel kosztował?

— Może ze trzy złote?

— Gdzie tam, złoty łaskawy panie, złoty. Otóżto można żyć. Bodajto za granicą.

— Istotnie, nie ma jak za granicą życie—odpowiedział Blochowicz—bo to i tanio i smacznie.

— Oj! tak, tak, u nas naprzykład w Warszawie, to trzebaby z pięć złotych dać za pieczoną kuropatwę—mówił pan rząd-

ca, coraz się więcej zapalając—i jeszcze dadzą ci takie paskudstwo, że jeść nie można.

— O! już to prawda—mówił Blochowicz kręcąc się w różne strony na krzeselku—człowiek i zapłacić musi, i niewiele się pożywi.

— Z ryb znów—mówił dalej pan rządca—to nie ma jak sandacz z jajami. Jak moja żona przyprawi, to proszę widzieć.

— A i szczupak naksztalt sztokfisz także dobry—dołożyła małżonka.

— Prawda, prawda, zapomniałem: szczupak taki także wyborńy; do tego na zupę szczaw, a na pieczyście skopowina z czosnkiem i z ogórkami, to gotów panu jestem za trzech zjeść.

Blochowicz siedział jak na mękach, aż nareszcie powstając pan rządca, zakończył to przykre dla niego posiedzenie.

— Przepraszamy łaskawego pana za nasze skromne śniadanie; proszę przebaczyć.

— Przepraszamy, przepraszamy—mówiła rządczyni podając rękę do pocałowania Blochowiczowi—Może co nie było do gustu, to proszę wybaczyć.

— Wszystko smaczne, wszystko wyborne; najadłem się z pewnością na trzy dni—rzekł Blochowicz, ukłonami odpowiadając na mowę państwa rządców.

— Żartuje sobie z nas łaskawy pan Blochowicz—odpowiedziała małżonka, spuszczać oczy skromnie jak panienka, gdy ulubiony szepcze jój słowa miłości.

— O! nie żartuje—dodał z pośpiechem Blochowicz—słowo honoru, jakem poczciwy, jak szanuję państwo Dobr., jak pragnę zbawienia, tak z objedzenia ledwie oddecham.

Bał się biédak nowego dania, nowych półmisków, więc klął duszę, ciało, przeklinał się, aby tylko raz ukończyć objaw na zewnątrz serdecznych wynurzeń chęci gospodarstwa dla siebie.

Państwo rządcostwo zadowoleni ze słów Blochowicza, zabrali się oboje do zwykłego zatrudnienia: on wolno przechadzając się wydłubywał zęby piórkiem, a ona z pończochą w ręku, zajęła miejsce obserwacyjne przy oknie. Blochowicz zaś korzystając z przerwy wyszedł do bryczki, i wkrótce powrócił ze sporém zawinięciem.

— Muszę przecie i ja chociaż czém, czém, odwdzięczyć się za tak częste objadanie państwa Dobr. i te rączki—mówił odda-

jąc zawiniątko pani rządczyni—co się zawsze pieką przy ogniu, niech raczą przyjąć mały gościniec z targu gdańskiego—i rozłożył przed uradowanemi oczyma obojga małżonków całą sztukę atlasu i chustkę francuzką.

— A dziękuję, ślicznie dziękuję—mówiła z najżywszém zadowolaniem oglądając ofiarowane podarunki.—Co za śliczna chustka! dawno sobie takiej życzyłam; a atlas w jak pięknym gatunku! U nas nawet nie dostanie podobnego. Ślicznie dziękuję, ślicznie dziękuję.

— To baba się teraz wyelegantuje!—odezwał się pan rządcza równie ucieszony przywiezionym gościńcem.— Gdyby tu który zobaczył z tych zauszników dworskich, jak pan łaskawy jest na nas, toby zaraz nabajał, że Bóg wie jak krzywdzimy dziedzica, gdy takie odbieramy prezenta.

— Ktoby tam zważał na złe języki—odpowiedział Blochowicz—wszak rachunek drzewa na zbitych tratwach robimy jawnie, przy leśniczych, przy gajowych: to zdaje mi się, że choćbyśmy chcieli jakoś nieuczciwie postąpić, toby się zaraz wydało. A zresztą co uważać na zazdrośników: abyśmy tylko sumienie mieli czyste, to grunt. Nakoniec, kto takie nieograniczone posiada zaufanie u dziedzica, jak pan Dobr., to powinien śmiać się ze złośników.

— Ja téż co do tego nic nie mówię, tylko tak zrobiłem uwagę: bo to pan nie zna służby, na najmniejszą rzecz to zaraz wielkie oczy mają.

— O ho! ho! języki, plotki—mówiła półgłosem godna małżonka—zazdrośniki, zauszniki. Kto tak pocziwie służy jak mój mąż, to wszystkiego może się obawiać.

— Sprawiedliwie mówi pani Dobr., to téż nie mamy czego się lękać, boć przecie tylko nas troje jest w tym pokoju. Pan Dobr. zaś życzył sobie podobno szopy, przywiozłem, mam je w domu: jeżeli się spodobają, to będę mógł odstąpić.

— A życzyłem i bardzo, tylko czy niedrogie. Co pana kosztują?

— Jak pan Dobr. zobaczy, to się z pewnością zgodzimy, bo nie chciałbym zabierać pieniędzy, kiedy przyjechałem żeby je zostawić.

— A tak, tak, to już z temi tratwami, cośmy w zeszłym tygodniu rachunek robili, pan znowu idzie do Gdańska? To spiesznie.

— Tak jest, z temi samemi; nie ma co czekać, na pospiechu w handlu rzadko kto traci. Ale już nie ja pojedę, tylko mój współnik.

— Wieleżto tam było sztuk? — mówił rządcą przewracając między papierami w szufladzie. — Dziedzic się ucieszy, bo będzie miał pieniądze.

— Jak liczyliśmy, było tysiąc siedmset.

— Tak, tak, prawda — mówił rządcą trzymając rachunek w ręku — tylko nam chodziło o pięć sztuk, co później przyczepili do ostatniej tratwy, prawda?

— Co za pamięć u pana dobrodzieja! Przy tak rozlicznych zatrudnieniach, istotnie do podziwienia. Prawda, że o pięć sztuk była kwestya; ale one zostały odbite od innéj już tratwy, którąśmy liczyli, a przyczepione do ostatniej; i dlatego dwa razy weszły w rachunek, i zrobiły go niezgodnym z mojem podaniem.

— To już panie dobrodzieju przepadło — mówił rządcą — raz tylko rachunek się odbywa; a że wyrachowało się sztuk tysiąc siedmset pięć, za tyle pan musisz zapłacić.

— No, o te pięć sztuk, to mniejsza: przyjmuję i zapłacę — i wydobywszy pieniądze, zaczął je odliczać.

Pan rządcą oparty łokciami o stół patrzył i nic nie mówił. Byłby może wzdychał i łykał ślinę, gdyby rozkładane papierki i ruble były kotletami lub innym jakim przysmakiem. Pani rządczyni pobiegła z podarunkami do drugiego pokoju, ukryć je przed ciekawém okiem ludzi. Przez parę minut zupełna cichość panowała, przerywana tylko brzękiem pieniędzy i głośnym czasem rachunkiem Blochowicza; aż nareszcie pan rządcą odezwał się:

— Niech kochany pan nie bierze mi za złe, że o te pięć sztuk tyle panu narobiłem wrzawy przy obliczaniu sztuk zbitych w tratwy; ale to darmo: kto płaci, temu trzeba wiernie służyć. Ja wiem, że pięć sztuk to głupstwo, niewarte były tyle krzyku, kłótni i nowego obliczania; ale cóż robić: służba i sumienie przede wszystkim. Ja nietylko z łaskawym panem tak, ale z każdym, gdzie tylko interes jest pieniężny: już taka moja natura.

— A panie dobrodzieju! ani się gniewałem, ani się myślę gniewać — odpowiedział Blochowicz. — To wszystko jak najpiękniej przemawia za panem dobrodziejem, i nie dziwię się zupełnie, że dziedzic takie w nim pokłada zaufanie. Ja sam bez żadnego pochlebstwa powiem panu dobrodziejowi, że gdybym nie wiem jaki miał majątek, tobym cały bez żadnych rachunków do wiernych

rąk oddał pana. Wszak my, co mamy interesa z panem dobrodziejem, to najlepiej o tém wiedzieć możemy — dodał ze skrytym ironicznym uśmiechem.

Pochlebstwo wybornie się udało. Pan rządca całą twarz rozjaśnił ukontentowaniem, a pociągając kamizelki i kołnierzyków, odpowiedział:

— Jakem się uczył gospodarstwa w Prusach, to panie dobrodziej, inni oficjaliści nieraz mnie namawiali do złego na krzywdę dziedzica, ale nigdy nie namówili. Ani półkwatka wódki, ani goździa, ani śpilki nawet nikomu bez kwitu nie wydałem. Nazywali mnie oni skąpym pochlebnikiem, ale ja z nich kpił, panie dobrodziej, i dziś mam chleb Bogu dzięki, że i innym mógłbym udzielić. A oni cóż? bięda i bięda, pisarki i pisarki; takto, tak.

— Oj prawda, prawda! — odpowiedział Blochowicz podnosząc głowę — zawsze pocziwemu chleba nie braknie. Ale otoż i pieniądze wszystkie co do grosza: siedmnaście tysięcy i pięćdziesiąt złotych za owe pięć sztuk.

— Ja przeliczę, a pan niech przygotuje kwit: zaraz podpiszę — odpowiedział rządca, zabierając się do sprawdzenia rachunku. Gdy był w połowie téj pracy, nagle zwracając się do spekulanta, odezwał się jakby sobie coś przypominając:

— Ale, ale, panie dobrodziej! nadleśny, kiedy go się zapytałem jeszcze przed naszym obrachunkiem, ile na tę kolej wycechował w lesie sztuk, to mi odpowiedział, że dwa tysiące sto pięćdziesiąt; gdzie więc się reszta podziała?

— W tém nie umiem pana dobrodzieja objaśnić; ja wiem tylko, że na *bindudze* (1) w tratwach mam tyle sztuk, ile płacę, a reszta może jeszcze niewywieziona.

— Ale gdzie tam niewywieziona; przecieć mi powiedział, że jak pięćset sztuk ocechowane wywiezli pańscy ludzie, to on znów drugie pięćset cechował; i raz wam wycechował pięćset, zabraliście; drugi raz pięćset, wzięliście; potem znów dwa razy po pięćset, to mamy i dwa tysiące, a przed dwoma tygodniami docechował co wam brakło do kompletu jeszcze sztuk sto pięćdziesiąt, to mamy razem sztuk dwa tysiące sto pięćdziesiąt.

— Doskonale, doskonale — odrzekł Blochowicz — co za dokładność rachunku i do tego na pamięć! prawdziwie, zazdrościć.

(1) Binduga, nazywa się miejsce na rzece sptawnej, w którym zbijają tratwy na sptaw przeznaczone.

Niech pan dobrodziej przyjedzie jutro do mnie po swoje szopy — dodał wyraziście i z przyciskiem — to przekonam go, że tak nie jest, jak nadleśny powiedział; on sam nawet, zaręczam, odwoła swoje zeznanie. A zresztą podług kontraktu jest wyraźnie powiedziane, że dwór nie będzie się trzymał rachunku podług cechowania w lesie, tylko ile się znajduje na bindudze, a na bindudze wiele było?

— No naturalnie tyle, ile pan zapłaciłeś — odpowiedział rządcą.

— Więc o cóż panu dobrodziejowi idzie? Obrachowano, zapłacono, i koniec. Coto za skrupulat, skrupulat! Z lasu nie wywieziono, nie zabrano, i ze mną się klócić — mówił żartobliwym tonem Blochowicz, a w téj chwili obracając się do wchodzącej pani rządczyni, dodał — dobrze, że pani dobrodziejka przyszła, bośmy się o mało nie posprzecziali z pocziwym mężem pani.

— Doprawdy? a to niepięknie.

— Wierzyłabyś téż, wierzyła: mybyśmy się téż kiedy z sobą pokłócili — odpowiedział rządcą. — Zwyczajnie, jakto w służbie, to człowiek musi skrupulizować.

— O znam ja pana dobrodzieja, znam dobrze — mówił Blochowicz — gdyby nie to, możebym wziął za złe dzisiejsze pańskie egzaminowanie, ale znając jego skrupulatność, to się gniewać nie można. Właśnie mówiłem tu do męża pani, że jak jutro przyjedzie do mnie po swoje szopy — i spojrzał ze znaczeniem na małżonkę — to przekonam go, że się myli w swojej rachubie.

— Ej, ktoby tam panu nie wierzył — odpowiedziała pani rządczyni — zwyczajnie mój mąż, jak stary maruda.

— Spodziewam się, że przecie kochany pan — odezwał się pan rządcą — nie gniewa się za moje słowa; ale to darmo, człowiek musi wchodzić w najdrobniejsze szczegóły, kiedy służy.

— Ach Mości Dobrodzieju! nietylko że się nie gniewam, ale z prawdziwém dla pana dobrodzieja jestem uwielbieniem. Coto za pamięć, co za chęć pocziwa! No, ale żegnam państwa dobrodziejów i czekam przybycia jutro po szopy bez zawodu.

Wkrótce warknęła bryczka i odjechał Blochowicz kontent, że za sztukę atlasu, chustkę francuzką i szopy, zdobył czterysta pięćdziesiąt sztuk drzewa, czyli licząc po złotych polskich dziesięć: cztery tysiące pięćset złotych. Państwo rządcostwo także się cieszyli, bo lubo podarunki w nienajlepszym były gatunku, zawsze jednak miały wartość około sześćset, siedmset złotych. A dzie-

dzic? dziedzic ani płakał, ani się śmiał, bo nie wiedział, że jego kieszeńią tak pięknie się dzielą; a zresztą kto ma tak wiernego sługę, czyż może się niepokoić? Jakże ma wglądać w tak małe rzeczy, jak nie używać z całą swobodą wolności, jakiej wieś dostarcza, gdy ciężar kłopotów i zabiegów gospodarczych ponosi tak zdatna głowa, tak doświadczona i tak dbała o pańskie mienie. Biędny dziedzic, jakże go żałuje!

Po wypróżnieniu przedpokoju z interesantów i po czułym pożegnaniu się i w pokoju, i w sieni, i przed bryczką, i na bryczce z Blochowiczem, pan rządca przeciągnąwszy się potężnie, a jeszcze potężniej ziewnąwszy, kazał także zająć koniom i wyruszył na objazd gospodarczy po folwarkach. Otoczony tumanem kurzu, asystowany całą zgrają szczekających psów, rozparty w bryczce, jakby pół świata było jego własnością: jechał prosto przez wieś, rozważając wypadki minionego ranku.

Stary ogrodnik ciągle mu siedział w głowie: — Dureń, gałgan — mrucał pod nosem — co jemu djabli do mnie, czy ja śpię, czy jem: poczekaj stary dziadzie, musisz wylecieć z ogrodu. — A zapalając się coraz więcej, mrucał dalej: — Ktoby się to spodziewał po tym łajdaku Małgośce takich zberezeństw, takich awantur? Poczekaj i ty rumiana i niby skromna laleczko, orznę ja ci wieczorem porządnie skórę i wszystkim twoim kochankom. — A po małej pauzie dodał: — Bo coby i dziedzic powiedział, gdyby doszło jego wiadomości, że krzywdę sługi dworskiego w pierwszych zaraz chwilach pobytu w dobrach, puściłem bezkarnie? — W tém miejscu musimy oddać sprawiedliwość panu rządcy, że pierwsza część odgrózki na Małgoškę, wypływała wprost z moralnych, godnych pochwały zasad życia. Poślubiwszy swoją małżonkę z prawdziwego przywiązania, wiernym był stale w poprzysiężonej miłości, oburzając się na każde zepsucie moralne, jakie mu dosyć często między ludźmi spotkać się nadarzyło. Ścisły przestrzegacz wszelkich przepisów religii, nie łamiąc ani jednego postu, nie opuszczając ani jednego w dzień świąteczny nabożeństwa, głośno modlący się na klęczkach w kościele lub śpiewający psalmy: miał za obowiązek sumienia, karcieć wszystkie najmniejsze wybryki przeciw surowej cnotcie, wstydnoci i skromności niewieściej. Choć o jego małżonce mówiono różnie, że.... ale coto ludzie! zwyczajnie jak ludzie: zawsze dłuższy język mają na cudze grzechy, jak na swoje. Więc dajmy pokój, nie powtarzajmy cudzych domysłów, bo z tego wyrastają najokropniejsze plotki. — Druga zaś

część monologu wypływała wprost z interesu własnego; jeżeli bowiem w sprawach naszego życia można godzić sumienie z kieszenią, dlaczego nie starać się o to braterstwo?

Pan rządcą więc kontent, że podwójnie skorzysta na ukaraniu Małgośki, jechał z największym wewnętrznym zadowoleniem, bo tydzień od poniedziałku ślicznie mu się zaczął, jest więc nadzieja, że w dalszym ciągu fortuna równie uśmiechać się będzie. Może się oberwie jakie porękawiczne przy sprzedaży okowity, wełny, przy zawieraniu kontraktu o propinacyą, lub też przy jakim innym interesie; kto to wie, jakie zdobycze przyszłość chowa jeszcze w swoim łonie?

Więc syty i w brzuchu i w kieszeni, jechał i jechał; lecz jakież było jego zadziwienie, gdy przy zakręcie w wąwóz, prowadzący do jednego z folwarków, przy chałupie Janowej spotkał dziedzica stojącego, na dzielnym rumaku, trzymającego w jednej ręce garnuszek, a w drugiej rękę Małgosi, i coś żywo do niej mówiącego.

Pan rządcą, lis dworski, zwrócił głowę w przeciwną stronę, jak gdyby spotkania tego nie uważał, i dopiero spojrzął z ukosa przy samym wjeździe do wąwozu.

Dziedzic już puścił rękę Małgosi, która jak przykuta stała w jednym miejscu, a przesyłając jej ręką pocałunek, spiął konia ostrogą i pocwałował drogą ku dworowi. Pan rządcą zadumał się: takie względy dla ładnej, chociaż biędnej wieśniaczki, Bóg wie do czego mogą doprowadzić, Bóg wie jak skończyć. Ot i sęk dla biędnej głowy wiernego sługi. Myślał więc i myślał, aż doszedł do tego rezultatu, że najlepiej naradzić się z żoną i opowiedzieć wszystko wiernie ze wszystkimi szczegółami. Niestety! znowu sumienie zaczyna się wahać przed własnym interesem. Niech się waha, może Małgosia na tém dobrze wyjdzie: zobaczymy. I z gnębiącą myślą pojechał dalej.

Jeżeli kiedy obrazek ten wpadnie w ręce pięknych czytelniczek i nie będą się lękać, aby ich ładne oczki nie splamiły się czytaniem opisu scen karczemnych, scen chłopskich i prostaczych: to zapewne będą ciekawe dowiedzieć się, co mógł mówić pan licznych włości, młody, urodny i bogaty, z wiejską, biędną, nieokrzesaną dziewczyną? Aby ich wybawić z kłopotu i nie zostawić spodziewanego zapytania bez odpowiedzi, niech nam pozwolą piękne, choćby i najpiękniejsze czytelniczki, bo my znamy, że płęć nadobna, wyszła z Twórcy ręki, ciekawością najwięcej zgrzeszyła,

że poświęcimy parę słów spotwarzonej, a tak nadobnej i skromnej dziewicy.

Lecz cóż powiemy zajmującego, aby było godne tak pięknych oczów? Życie wiejskiej dziewicy, nurzając się w ciągłej pracy, nie może przedstawiać téj silnej walki uczuć, jaka miota sercami naszych ucywilizowanych piękności. Wschód słońca goni do roboty, zachód dopiero do spoczynku; a takie proste ziemskie zajęcia, czyż może dozwoląć swobodnemu bujaniu myśli, wzrastaniu wrzających, namiętnych obrazów, snutyh przy hafcie w krosnach, przy melodyjnych tonach muzyki, lub przy wzruszających kartkach poezyj naszych cudnych, ślicznych wieszczów?

Jeżeli serce wiejskiej dziewicy czasem silniej zakołata, to uczuciem spokojnem, wznoszącém się i opadającém stosownie do wrażeń zewnętrznych, silniej lub słabiej działających. Więc i Małgosi serduszko po zabawie karczemnej silniej biło, bo było poruszone jawnemi zalecankami Antka, który i urodą, i mieniem wart był tego, aby tak ładna główka kilka myśli dla niego poświęciła.

Lecz ranek rozbudzając ze snu modre jój oczki, zatrzymał tylko odblask z wrażeń dnia wczorajszego, osnuwając je myślą o pracy dziennéj, zabiegach gospodarczych, i starunku o chleb powszedni. Musiała pozostać w domu, bo matka jój nie przyzwyczajona do niewczasu i częstych kieliszków, czuła się cokolwiek niezdrową: więc nie miałby kto załatwić zwykłych domowych zatrudnień. Po ugotowaniu śniadania, nakarmieniu gąsek i prosiaczka, i uporządkowaniu małej, schludnej izdebki, wzięła konewkę i pobiegła po wodę do blisko znajdującej się studni. Naczerpnąwszy czystej, jak tza, krynicznej wody, już była z powrotem przy samej swojej chatce, gdy spotkała jadącego z pola konno młodego dziedzica, którego zjawienie przewróciło zupełnie wszystkie myśli, snujące się w głowie pana rządcy.

Dziedzic spostrzegłszy tak nadobne dziewczę, ustrojone wszystkimi powabami sielankowych pasterek, wstrzymał rączego rumaka, i zawołał na idącą spiesźnie z konewką wody Małgosię:

— Hej! hej! piękne, lube dziewczę! podajno mi wody, bo mi ledwo język nie uschnie z pragnienia.

Małgosia postawiła konewkę na ziemi i pobiegłszy żwawo do domu po garnuszek, podała w nim dziedzicowi świeżej, zimnej wody, który przytrzymany został razem z podającą ręką.

— Moja kochanko—rzekł do niej—teraz się musisz wykupić, albo też pójść razem ze mną do dworu, bo inaczej cię nie wypuszczę.

Ładna Małgosia nic na to nie odpowiedziała, tylko cała oblała się szkarłatem; ręka jęj zadrżała w ręku dziedzica i jeszcze silniej przytrzymaną została.

— Jakże ci na imię? moje ładne dziewczę.

— Małgosia—odrzekła nieśmiało.

— No, nie lękaj się moja Małgosiu, może nie masz pieniędzy na wykupienie się? Ja przyjmę i co innego.

— A cóż ja dam jasnie panu, kiedy ja nic nie mam swego?

— O! masz bardzo wiele, moja Małgosiu! masz ładne włosy, ładne oczy, ładnego buziaka, zgrabną rękę—to mówiąc przycisnął ją silniej—ładną szyję, ładne korale, ładną koszulkę inóżki ładne, i wszystko ładne. Widzisz moja Małgosiu, coto masz rzeczy do rozdania, a ty mówiłaś, że nie masz nic swego.

Tu przestał mówić, jakby czekał odpowiedzi; ale Małgosia tak była pomieszana, tak cała drżała, tak purpurą kraśniało jęj lice, że młody dziedzic ścisnąwszy jeszcze raz trzymaną rękę, jakby litując się, puścił ją z uwięzi, i wtenczasto nadjechał pan rządca.

— No, moja Małgosiu! już nie lękaj się—mówił dalej wyjmując z kieszeni sakiewkę—kiedy się tak boisz, to nie chcę od ciebie żadnego wykupnego. Ja ci nawet co podaruję za ten garnuszek wody—i to mówiąc wsunął jęj za koszulkę rubla srebrnego.—Ale pamiętaj, moja Małgosiu, że później musisz mi podarować: albo ładną buzię, albo białą szyjkę, albo coś takiego, o co cię będę bardzo prosił. Pamiętaj.

To powiedziawszy, oddał jęj trzymany garnuszek, przesłał w powietrzu ręką pocałunek, i powiedziawszy:—Bywaj zdrowa moja Małgosiu—ubódl konia ostrogą i pocałował prostą drogą ku dworowi.

Ładna Małgosia została w miejscu jak wryta. Już ucichł i turkot bryczki pana rządecy i tętent szybko galopującego konia, na którym dziedzic cwałował ku dworowi, a ona stała i stała. Biedna! może się zakochała? Kto to wie. Ale nie z pewnością, nie lękajcie się ładne czytelniczki.

Tak słabe pociski bożka miłości, jak jest uścisk ręki i chwilkowa rozmowa, zranić tylko mogą wasze serca, jako otoczone delikatną tkanką marzeń, uniesień poetycznych, i łatwością przyj-

mowania najsubtelniejszych wrażeń świata zewnętrznego; o serce wiejskiej dziewicy odbijają się one jak pocisk od puklerza ze stali damasceńskiej. Serduszko troszkę zakolata, wstrząśnie się w całej swój posiadzie, i w kilka chwil znowu spokojność wrócona, a groty niespokojnego figlarza leżą połamane u stóp ofiary.

Małgosia stała, bo sama nie wiedziała, cosię z nią dzieje. Ten uścisk ręki serdeczny, namiętny, magnetycznym ogniem przebiegał wszystkie jej nerwy. Ona nie wiedziała, ona nie знаła mowy serca, realizującej się w ognistém spojrzeniu, w serdecznym uścisku i w podobnym doborze wyrażeń. Antek kochał, lecz kochał po swojemu: w karczmie wytańczył, wódką poczęstował, w lecie dał jabłko, gruszkę, czasem kawałek chleba z masłem, séra; gdy byli razem u roboty, to pomógł lub wyręczył, lecz nie drażnił namiętnymi zalecankami, nie karmił duszy ognistemi słowami swego przywiązania.

W dziedzinie słów miłości znał tylko dwa wyrazy: lubię i kocham. Miałże niemi jak grzechotką trajkotać w uszy urodnej dziewicy? Brak wykształcenia, nie pozwalał mu w tysiącznych wariantach przedstawiać ulubionój stanu swego serca, któremi niestety! tak dzielnie, tak obficie szastają ucywilizowani kochankowie. On jeżeli zawiązał rozmowę, to o czémże te dwa serca prawdziwie się kochające z sobą rozmawiały? Oto opowiadał jej sprawy dzienne swego życia: jak będąc na pańszczyźnie i mówiąc w stodole, pan rządca lub ekonom, naśladując ich ton mowy, przyszli odgrażać batami za złą młockę lub niedobrze wytrąsniętą słomę z ziarna; jak po odejściu ich, Tomek albo Walek wrzucił w zapole kilka snopków, aby mieli mniej do młócenia; jak był w miasteczku na jarmarku i widział się z ciotką z Gollondkowie i ze stryjem z Gudowa; jak parobcy dworscy przeklinali i żyda, i rządcę, i dziedzica nawet za złe ziarno, jakie dostali na ordynaryę; i inne tym podobne zdarzenia: bo on nie treścił rozmowy, ale nią samą wyrażał Małgosi swoje przywiązanie, i że ją przekłada nad wszystkie inne dziewczęta. Żadna téż, ani nawet Maryna Patyjak, która się dosyć nastęrczała swoją nieszeptną twarzyczką, nie mogła się pochlubić, aby z nią kiedy Antek razem wracał z pola, lub razem szedł do roboty. Takięto postępowanie było słowami miłości, jego zalecankami i wyrażeniem czułego, stałego do Małgosi przywiązania.

Teraz zapewne ładne czytelniczki nie będziecie się dziwić, że Małgosia po spotkaniu się z dziedzicem, po namiętnym uścisku

ręki i tyłu odebranych pochwałach, stała jak wryta, nie wiedząc co się z nią dzieje. Pierwszy raz w życiu coś podobnego jej się wydarzyło; bo chociaż dobrze wiedziała o swojej urodzie, to nikt jej tak szczegółowo, z tak miłym tonem mowy, nie opisał posiadanych wdzięków, któremi przewyższała wszystkie swoje rówiecnice. Po małej chwili wróciło przecie do spokoju wewnętrzne wzruszenie; westchnęła, jakby zrzuciła ciężar ugniatający jej piersi, i zaraz poczuła nieszczęśliwego rubla, który zimnym dotknięciem zdradzał swój pobyt za śnieżną koszulką. Natychmiast szkarłat oblał jej całą śliczną twarzyczkę: było wstyd instynktowy, którego przyczyny wytłumaczyć sobie nie umiała, a jednak lica jej krasniały coraz więcej, serduszko znów mocniej zakolało, i oczy w dół spuściła, jakby bojąc się spotkać cudze spojrzenie. Nareszcie wyjęła nowy powód wewnętrznego niepokoju, i spojrzawszy na jego lśniąca powierzchnią, radością okryła krasniejący rumieniec wstydu.

Lecz wstrzymajmy wyrok potępienia zbyt surowej cnoty, mogący spaść na głowę biednej dziewczyny. Rubel, to fraszka dla świata, rzucającego niemi jak plewą na wszystkie strony; ale dla wieśniaczki i tak biednej jak Małgosia, to skarb, to radość niczym nieopisana. Żyjąc razem z matką, pracowała i zabiegała, a ona rozrządzała odniesioną ztąd korzyścią; rubla więc ani razu nie miała w ręku, aby ten wyłączną jej tylko samą był własnością. U matki także bardzo rzadko zdarzyło się widzieć tak wielką sumę: bo gdy przyszła wypłata we dworze tygodniowego zarobku, to gdy wytrącono za brane naprzód zboże na chleb, ledwo parę złotych lub kilkanaście groszy, a czasem nic do domu z grosza nie przybyło. Jeżeli zaś czasem zabłąkało się kilka rubli pod tę ubogą strzechę za przedanie odchowanych gąsek, lub z większego zarobku w czasie żniwa: to coto było narady, co projektów, co uciechy, żebyś płakał z rozczulenia, widząc dwoje ludzi takim drobiazgiem, a tak szczerze uradowanych. Rubel więc nie tak mała rzecz dla wiejskiej dziewczyny, jakby się niejednemu zdawało. Małgosi też po ochłonięciu z pierwszego wstydlivego wrażenia, natychmiast w myśli przesunęły się najśliczniejsze paciorki, trzewiki nowe, chustki i wstążki różnobarwne; jak w tém wszystkiem przebiera, jak się stroi do kościoła: bo czuje rubla w dłoni swojej, więc ma prawo zostać panią tak powabnych strojów. I w pierwszym uniesieniu radości chciała pobiedz do matki, aby ją zrobić uczestniczką swojego wesela;

ale nagle wstrzymała się: jak tu opowiedzieć całe spotkanie się z dziedzicem, jego ściskania ręki, jego pochwały wdzięków? Zamilczć nie umiała, opowiedzieć wiernie nie śmiała: co tu robić?

Wtém głos matki dał się słyszeć, wzywający córkę do siebie. Małgosia zwinna jak sarneczka, nie postanowiwszy nic stałego względem kłopotliwego rubla, obwinęła go gałgankiem i wsunęła pod przycieś w sionce, mieszczącój cały ich żywy inwentarz. Co się dalej z nim działo—nateraz zamilczymy: może go kiedyś znowu przywołamy do życia, aby poświęcić wyłącznie dla niego kilka kartek opisu. Dziś dość nam na tém, że jako schowany, pozostał wiernym świadkiem spotkania dziedzica z Małgosią. Jakżeby jednak błogosławiła temu spotkaniu, gdyby wiedziała, że ten zupełnie niespodziewany wypadek, wybawił ją z wielkiego wstydu, z wielkiego zmartwienia!

Po namyśleniu się bowiem, rozważeniu i pokombinowaniu wszystkich szczegółów spotkania dziedzica z Małgosią; po wyciągnięciu ztąd wniosków i domysłów, opartych na praktycznych tego rodzaju wypadkach: szanowni państwo rządcostwo postanowili Małgoście dać pokój, Tomkowi, Wojtkowi i Walkowi obieć skórną porządnie, a Antkowi tylko nagadać do rozumu, jak o to Szczepanowa prosiła. Sumienie więc ustąpiło interesowi. Chwała Bogu! ciesz się Małgosiu!

Nadszedł wieczór, winowajcy stawili się na odebrany rozkaz pana rządcy, i z gołemi głowami czekali wyroku i naturalnie spodziewanej kary. Gdybyś spojrział na nich, nie poznałbyś, że to ta sama wesoła trójka, która w takich figlach, tak radośnie wieczór wczorajszy przepędziła. Głowy na dół spuszczone, ponure spojrzenia, czapki w rękach, jakże niemile, jak sprzeczny przedstawiły obraz z tą szczerą ochotą, z tą nieklamaną wesołością, jakie w radosnych pokrzykach ledwo karczmy nie rozwały.

Wyszedł nareszcie i pan rządcza w szlafroku, z rękoma w kieszeniach, z brzuszkiem wypuczonym, z nosem zadartym. Biédaki ukłonili się do samej ziemi, i potem już co trzecie słowo ukłony swoje powtarzali.

— Co wy tam łajdaki okazujecie?—odezwał się z największym fukiem—nigdy przez was gałgany nie będzie miał człowiek spokojności? Poczekaj jeden z drugim, ja wam dam bitwy w karczmach.

— Wielmożny panie — rzekł Tomek — a cóż my takiego robiewa.

— Ty zuchwalcze, zbereźniku!—rzekł pan rządca—dzie-weczki, gorzałeczka, a potem dopiero rozbójstwa: poczekaj kochanku, dosyć już tego.

— Wielmożny panie!—odezwał się znowu Tomek —a czego nas zaczepiał.

— Zaczepiał, zaczepiał! ty gałganie zawsze znajdziesz wymówki. To dworski sługa—mówił dalej pan rządca grożąc pięścią energicznie—ani wam brat, ani swat, jak wy śmieliście podnieść na niego rękę, hę?

— A po cóżta laźł między nas — odpowiadał zawsze Tomek, najśmielszy w pięści, najśmielszy w języku; koledzy więc jego nic nie odpowiadali, tylko niskim ukłonem potwierdzali składane tłumaczenie.

— Jeszcze będziesz zuchwał? zamiast przeprosić za nocne rozbójstwo dworskiego sługi, to ty osłe, chamie, jeszcze pyskiem szczekasz: poczekaj! Panie Batowski! weźno ich do stodoły—rzekł do stojącego na boku ekonoma. —Tomeczkowi palnij ośmnastkę, bo to psia skóra na tym chłopie; Walkowi i Wojtkowi po dziesiątce: niech na drugi raz wiedzą, jak szanować ludzi—a obracając się do Antka, dodał niby do rozumu:—A ty durniu, osłe głupi, na ten raz ci przebaczę; ale pamiętaj, jak mi się kiedykolwiek będziesz awanturował z takimi łajdaczkami jaki zaciął się w mówieniu, bo przypomniał sobie ranne spotkanie dziedzica; poprawiając się więc, mówił dalej — różnemi wszetecznicami, to tak ci oporzędzę skórę, że raz na zawsze wszystkie kochania wylecą ci ze łba. Ruszaj do domu!—i już po nauce niby do rozumu.

Antek z niskim ukłonem oddalił się od rozdąsanego rządcy, kontent, że uchodzi z całą skórą. Żał mu się jednak zrobiło biednych towarzyszy, których bolesne krzyki, jakby wymówka, biegły do jego ucha. Zatrzymał się za kołowrotem, i dopiero złączywszy się z niemi, wolnym krokiem, ze smutkiem na twarzy i wściekłym gniewem w sercu pomaśzerowali razem w milczeniu do karczmy.

Pan rządca ale dajmy pokój; już słyszę podnoszące się krzyki na potwarcze, czarne przedstawienie obrazku. Zwolna, zwolna panowie! wszak powiedziałem, że chociaż bardzo rzadko, ale zdarzają się wyjątki, i nie cofam mego oświadczenia. Jeżeli jesteście takimi, jak was tu odmalowałem, to przyczyna niezupełnie w was samych spoczywa:—i panowie troszkę są winni. Czytajcie więc dalsze obrazki, a zobaczycie, że tam każdemu powie

się kilka słów prawdy, a tak może się choć troszkę z sobą pogodzimy, bo zupełnie, to wątpię.

Cóż jednak jest głównym powodem tak powszechnie wznoszącego się krzyku na naszych oficjalistów? co robi ich tak nie-milcami, nieuczciwymi, a przynajmniej niedającymi się szanować w oczach samych panów i włościan? Oto brak wykształcenia, brak rzeczywistej wartości w obranym zawodzie, a z niego idącego, jako prostego następstwa: braku uczucia własnej godności. Bo czémże taki oficjalista spodoba się panu? Nie rozumem, bo go nie ma, nie zdatnością, bo téj nie posiada; więc czém? Powiem wam, gniewajcie się jak chcecie, ale powiem, tylko słuchajcie: oto pochlebstwem, plotką, nadskakiwaniem, trafianiem w słabą stronę swego pryncypała, i odznaczaniem się we wszystkim, co bliżej jest oka i ucha pańskiego, czyli powierzchownością. Wyzuty z poczciwych, delikatnych uczuć serca, których jedynie prawdziwa nauka jest matką; uważając służbę swoją jako czasową zdobycz, zależącą od grymasu i widzimisię dziedzica, obraca całą swoją pracę, całą usilność w poznaniu tych grymasów i załatwianiu ich w ten sposób, aby zawsze przez swego pana uśmiechem zadowolenia był witany.

Jakie więc ocenienie służby oficjalisty, taka i służba, taki i oficjalista. Więc nie sarkajcie, bo oni takimi są, jakimi chcecie, żeby byli. A kto na tém traci? Tracą dziedzice, tracą włościanie, traci kraj, traci ogół. Gdyby administracya majątków obywatelskich, w zbiorze swoim stanowiących kraj cały, była prowadzona przez ludzi prawdziwie zdatnych, czujących swoje powołanie: zapomagaliby się włościanie bez żadnej, najmniejszej krzywdy dziedziców; krzewiłaby się moralność, bo nie zapominajcie o polskim przysłowiu: „jaki pan, taki kram”; podnosiłoby się gospodarstwo rolne, a z niem powiększałaby się i produkcyja, stanowiąca prawdziwe bogactwo narodów.

Ale z takimi ludźmi, jak mają przychodzić podobne rezultata? Jeżeli pan rządca głównie będzie przymuszony myśleć o zaspokajaniu w zadowalniający sposób grymasów, przywidzeń dziedzica i innych drobnostek, z których załatwianie w ten lub ów sposób oznaczony będzie stopień jego wartości: to pan ekonom takim będzie względem pana rządcy, pan pisarz względem pana ekonomy, i tak następnie; i wszyscy zajmą się samymi fraszkami, zaniedbując istotnych korzyści. Jeżeli pan rządca, pamiętny na

przysłowie, że „łaska pańska na pstrym koniu jeździ”, będzie myślał tylko o sobie, i ciągnął zyski prawe i nieprawe ze wszystkiego, co mu w ręce wpadnie: to pan ekonom, pan pisarz, pan karbowy, pan leśniczy i t. d. będą robić to samo, i wszyscy będą cicho, bo wspólny interes zawiąże im usta milczeniem.

A jakież będzie chłop, jeżeli ci stróże jego prowadzenia się, jego moralności, będą tak rozdrapywać mienie dziedzica? Naturalnie będzie kraść co się zmieści, bez najmniejszego skrupułu: osłonięty bowiem powagą surdutowych swoich zwierzchników, znajdzie zawsze usprawiedliwienie i przed światem, i we własnym przekonaniu. Wyobraźmy teraz sobie, ile tracą dziedzice, gdy tak w miarę możności i więksi i mniejsi napychają ich intratami własne kieszenie! A gdzie jedyny powód?—w głównym zarządzie. Bo jeżeli pan rządca będzie zdatny, prawy i szlachetny, to dobierze takich samych podwładnych ofycjalistów, i ściganiem postępowania przeciwnego posiadany przymiotom, siał będzie własnym przykładem nasiona moralności, które w przyszłości setnym plonem wywdzieczą się swemu siewcy. A jeżeli pan rządca takim będzie, jakim go tutaj przedstawiliśmy, czegoż można się spodziewać od całej drużyny ofycjalistowskiej? Naturalnie naśladować będą swego zwierzchnika, i w uformowanej sieci kradzieży i powierzchownego odkazywania się, strzedz będą pobłażaniem i patrzeniem na wszystko przez szpary, całości składających ją ogniów, jako w massie swojej przedstawiających silną tarczę przeciwko głosowi prawdy, podnieść się na nich mogącemu.

Czyż już nie ma na to lekarstwa? czyż nazawsze tak pozostanie, jak bez żadnej przesady w obrazku naszym przedstawiliśmy? Nie, jest nadzieja! Witaj zacna młodzieży kształcąca się i już wykształcona w Instytucie Gospodarstwa wiejskiego w Marymoncie! Ty jesteś zorzą, ty jesteś jutrzeńką wschodzącego słońca reformy gospodarczej. Ucz się i pracuj: pamiętaj, że masz przed sobą wielkie posłannictwo podniesienia rolnictwa, a tém samym i bogactwa krajowego; pamiętaj, że na ciebie oczekuje tysiące rodzin wieśniaczych, jak na prawdziwych ojców, bo dzisiaj, to są drapieżnikami dla nich ojczymami; pamiętaj, że masz ich wspierać nie kosztem dziedzica, nie spełnianiem poetycznych marzeń, ale sumienną, względną do ich pojęcia sprawiedliwością, ojcowskim zarządem i pobłażliwym, chociaż energicznym postępowaniem; pamiętaj, że masz podnieść rolnictwo, wprowadzić ulepszenia, przemienić prawie dziewiczą naszą ziemię, w matkę zie-

leniejącą się rok rocznie coraz liczniejszym potomstwem. Ucz się więc i pracuj, a cześć wam w przyszłości, cześć wam i dzisiaj, jeżeli zrozumiecie swoje posłannictwo.

Łącząc bowiem rozum z sercem, zmusicie przyszłych swoich panów, chociażby najuporczywszych, do szanowania waszych czynów, waszej pracy, jako tak zbliżka dotyczących własny ich interes; a dumni odniesionemi korzyściami, dumni spełnieniem pokładanej w was nadziei, zanucicie hymn wesela, jakiego od was przyszłość oczekuje.

W zakończeniu przymuszony jestem oświadczyć, że ktokolwiek podniesie głos żalu, głos skargi po przeczytaniu niniejszego obrazku, to mu odpowiem: że pędziłem do tego malowidła maczałem w czynach rzeczywistego życia; że dotykałem faktów, a stroniłem od osób; że nareszcie niezadowolonym z udzielającego się tłumaczenia, odpowiem słowami Krasickiego, jeżeli z krzykiem i hałasem powstaną na biédnego bociana ich zdrożności; że wszystko co odmalowałem, wszystko co powiedziałem:

„Jeżeli potwarz:—sama pełznąć zwykła;
Jeżeli prawda:—poprawcie się.”

A tak i wy będziecie spokojni, i ja zadowolony, że się myliłem w tak brzydkiej o was opinii.



USTĘP Z WRAŻEŃ ARTYSTYCZNEJ PODRÓŻY.

PRZE

Józefa Brzowskiego.

....**W**krótce omnibus stanął na placu giełdowym. Wsiadłem co prędzej, i znalazłem się przed wspaniałym gmachem.

Gmach ten łatwoby można wziąć za świątynię starożytnej Grecyi, gdy tymczasem wzniesiono go dla nowoczesnego bóstwa, dla bóstwa spekulacyi. Architekt Brogniart miał polecenie zrobić do niego plany. Pierwszy kamień położono dnia 24 marca 1808 r.; prace rozpoczęły się natychmiast, lecz w r. 1814 wstrzymano je z powodu wypadków politycznych; później ponowionemi zostały.

Gmach ten jest przeznaczony zgromadzeniu kupców, wszelkim potrzebom podobnego zebrania i trybunałowi handlowemu. Wzniesiony z początku na miejscu klasztoru córek św. Tomasza, zbudowany jest w kształcie równoległoboku. Z przodu doskonały perystyl, a cztery boki zdobią kolumny porządku korynckiego, i formują wokoło budynku przykrytą galeryą, do której się wchodzi balkonem, zajmującym całą szerokość strony zachodniej.

Skromne balustrady okrążają budynek, a dwa boki tegoż, zieloność drzew osłania. Na przodzie gmachu napis: *Bourse et Tribunal de Commerce.*

Sala publiczna nader jest wspaniała: okazałe galerye służą dla widzów. W téj sali, na dole, odbywają się najznacześniejsze interesa, i tu są szranki dla rozognionych namiętności, pobudzonych grą rentów i handlem rozmaitych papierów publicznych.

Najcelniejszą ozdobą sali są w górze nie dłutowane, ale malowane płaskorzeźby przez panów *Meynier* i *Abel-Pujol*, które zna-

komitością pędzła tak zadziwiające sprawiają złudzenie, iż najbiegłęjszy łatwo omylić się może, jeśli nie jest ostrzeżonym.

Z prawej strony dają się widzieć: Azya, Afryka i gieninusz handlu; na lewo: Ameryka i Franeya odbierające daniny narodów handlujących. W głębi jest sala agentów giełdowych, a przed nią rodzaj półkola, balustradą obwiedzonego, zwanego *parquet*. Światło do sali pada z góry; w porze zimowej ogrzewają ją kaloryferami.

Przybywszy tu, taki gwar zastałem w tłumie zebranej publiczności, w niezliczonych a rozmaitych grupach skupionej, iż za prawdę przypomniał mi się Pocijów warszawski; z tą różnicą, że zamiast roju nieschludnej żydowszczyzny, widziałem porządnie przybranych najznakomitszych spekulantów, nietylko paryzkich, lecz i innych narodów.

Cel znalezienia rodaków nie był chybiony. Między dawnymi znajomymi z Warszawy, spotkałem się z panem M....r, który na kilka miesięcy wprzód przedemną przybył do Paryża. Przyjemną mi była jego obecność, i z nimto odbywałem najczęściej wyprawy dla zwiedzenia osobliwości miejscowych. Od innych otrzymałem adresa mieszkań znakomitszych artystów lub osób, do których polecenia miałem.

Opusciwszy giełdę, wyszliśmy z panem M....r dla odbycia małej naukowej włości w pomieszczeniu; a on, jako o dwa miesiące starszy Paryżanin, był mi w tej mierze mentorem.

Chciałem wieczór przepędzić w Wielkiej Operze, w którymto najznakomitszym teatrze, przedstawiano dnia tego sławną operę Rossyniego: *Wilhelm Tell*.

Przedmiot ten był jednym z najcelniejszych, obudził więc całą moją ciekawość. Nic nie zrówna zajęciu, z jakim oczekiwałem chwili usłyszenia najpięrszej w świecie orkiestry, widzenia sceny opery francuzkiej, i użycia wrażeń od tak wielkiego talentu, jakim był Nourrit.

Aby się nie spóźnić, pospieszyłem na ulicę Lepelletier, gdzie wznosi się gmach królewskiej akademii muzyki: po drugiej stronie teatru znalazłem biuro biletów. Przemysł i w tym przedmiocie znalazł dla siebie źródło; ponieważ przez wczesne tylko nabycie biletu w administracyi teatru, można sobie po cenie zwyczajnej zapewnić miejsce numerowane: kto zatem w ostatniej chwili zgłasza się pobilet, musi już tylko szukać go i przepłacić w poza teatralnym biurze. Tak też ze mną było: godzina zaczęcia widowiska

już ma wybić, bojaźń spóźnienia się wzrasta, okoliczność więc posiadania niezwłocznie biletu zmusza po uporczywym targu do ofiarowania żądanej nadpłaty, i tylko przez wzgląd na stan artysty, odstąpiono mi bilet do krzesła za cenę dziesięciu franków, zamiast siedmiu.

Było jeszcze zawczasie udać się na zapewnione numerem miejsce, przypatrzyłem się przeto tłumowi oblegającemu kasę, zwanemu tu *la queue*. Byłoto coś całkiem dla mnie nowego; podobny rodzaj zbierania się publiczności równie świadczył o upowszechnioném zamiłowaniu do widowisk scenicznych, jako téż dowodził roztropnej dążności zaprowadzenia w tym względzie porządku. Niewolno bowiem zbliżać się w gromadzie do kassy, ale należy stawać rzędem po trzech, i tak w miarę przybywania osób formować ogon, który najczęściej ciągnie się aż na ulicę. Chcąc więc bliżej być umieszczonym przy sprzedaży biletów, trzeba na parę godzin przed zaczęciem widowiska wybrać się na podobną stójkę. I tu przemysł upatrzył dla siebie widoki: są bowiem ludzie, którzy od południa zajmują miejsce na przodzie ogona, bez zamiaru wszakże znajdowania się w teatrze, ale jedynie dla zarobku, aby późno przybywającym za kwotę jednego franka lub dwóch, blizkie pomieszczenie się odstąpić. Okoliczność ta sprządza często sceny żywe i zabawne; sprzedający miejsce życząc drugi raz zarobić, wtłacza się nieznacznie w szereg: inni długiemi staniami okupiwszy miejsca, powstają na nadużycie, żądają wydalenia się defraudanta; ten obstaje uporczywie przy swoim, inni dowcipkują, a scena ta nawpół wesola, nawpół komiczna, przerywa trud i nudy miłośnikom teatru.

Nakoniec otworzono kasę, i policja wypuszczała po trzech z szeregu dla kupna biletów. Trójka cwałem pobiegła ku schodom, a w przysionku członkowie administracji zamieniwszy kupione bilety na inne podobne, wskazali drogę do miejsc właściwych. Ogon coraz się zmniejszał, godzina rozpoczęcia widowiska tylko co miała wybić, a ja przeczuwając, iż i na mnie czas, udałem się ku sali opery.

Przysionek odznaczał się wspaniałością: schody szerokie i wygodne, w odstępach ogromne zwierciadła, szczególnież damom sprawiały przyjemność przejrzenia toalety. Wszedłem do sali, a mając krzesło w pierwszym rzędzie blisko środka, mogłem przypatrzeć się wszystkiemu.

Pierwszy raz będąc w tak wielkim teatrze i tak cudnie urządzonej, sądziłem, że się w czarowanym miejscu znajduję. Orkiestra prawie czwartą część przestrzeni zajmowała, za nią rzędy krzesel, dalej parter ławkami wypełniony, a za nim, na podwyższeniu, znowu rzędy krzesel, w których i damy znajdowały pomieszczenie. Łoże pierwszego i drugiego piętra całkiem odkryte, środkowe tylko odosobnione; w połowie wysokości łóż pierwszego piętra, balkony, gdzie pospolicie elegancka mieściła się młodzież. Nad orkiestrą, po obu stronach, kilka również odosobnionych łóż z lustrzanymi ścianami: z prawej strony łoże dla dworu, po lewej prywatne, z których jedna nosiła nazwę: *Loge des mauvais garçons*. Sala suto gazem oświetlona, bo pięć ogromnych żyrandoli wisało nad głowami widzów. Chwila zaczęcia opery zbliżyła się nareszcie: łoże wypełnił świat elegancki, w toaletach wytwornych, jak na najwspanialszym wieczorze. Płeć piękna dogadzając miłości własnej, zwykła przed udaniem się na wieczorne zebranie, ukazywać się wprzód w teatrze Opery dla zyskania uwielbień z wykwintnego stroju, i dla zwrócenia na siebie powszechnej uwagi. Nieraz łuna biła od balowych brylantowych ozdób, a serce kobiety przyspieszonym bijąc ruchem, rozkosznie jej próżności schlebiało.

Nadto przyjetem tu jest, iż zawsze być musi jakaś piękność w modzie, a ukazanie się jej w łożu Opery, zwraca wszystkich uwagę. Wówczas tą boginią była pani *Lehon*, żona posła belgijskiego. Gdy zajęła miejsce, cały parter powstał na ławki, wszystkich oczy do jej łoża zwróciły się, i powszechny szmer uwielbienia powitał piękność uczczoną.

Wtém orkiestrową przestrzeń poczęli wypełniać artyści: wszyscy zalegli miejsca powołania. Stroju instrumentów nie słysząc, wszystko w milczeniu, wszystko gotowe: tylko przewodca ich *Habeneck* w oczekiwaniu; a z przysposobioną orkiestrą wyglądała go i publiczność, jak upragnionego hasła do rozpoczęcia uroczystości. Na parterze pozamykały się książki, pochowały dzienniki, usłużni roznosiciele wynajmowanych perspektyw ustąpili, ucichły wołania sprzedających: *L'Analyse, vert-vert, la pièce*; cisza jak w grobie, a wzniesiony *Habenecka* smyczek, zwiastował zabrzmienie figury akordu *E mol*, rozpoczynając *Andante* sławnej uwertury *Tella*.

Łatwo wystawić sobie rodzaj wrażenia, z jakim musiałem oczekiwać wykonania znanego mi dzieła, a w nieznanym mi jesz-

cze sile orkiestry (1); orkiestry, której exekucya przedstawić się miała w samym oryginale, gdyż, jak wiadomo, dzieło w mowie będące dla téjże sceny przez Rossyniego jest stworzone.

Zaczęto *Andante*, które tak wysoko poezijném i religijném uczuciem natchnione, tu przez dwanaście wiolonczel, jak przez dwunastu z wyższej sfery duchów do ucha przesłane, w magnetyczny sen widzenia zdawało się każdego pochłaniać. Zgody takię nigdy nie słyszałem; słyszałem zgodę w niemieckich wyborowych orkiestrach, ale tam była tylko zgoda rytmiczna; tu oprócz takowej jest jeszcze zgoda w najdrobniejszych odcieniach, jaką tylko spotkać można w gienialném wykonaniu pojedynczej osoby.

Podobne jakby cząstkowe nadpsucia jednej lub kilku nut, a nawet i taktu, sposobem przetrzymania ich lub przyspieszenia, są łatwe do wykonania pojedynczemu artyście, jeżeli ten wyższy smak i wyższe wykształcenie muzyczne posiada: ale jakiegożto współczucia, porozumienia i wypróbowania potrzeba, aby to wykonało sto indywiduów razem! Takowe odcienia (nuances) często bywają tak subtelne, że nie zdają się bynajmniej z ciągu taktu wychodzić, jak to słyszałem nawet w orkiestrach Musarda i Juliena, wykonywających kadryle do tańca.

Tymczasem *Andante* konało w *pianissimo*, i oddźwięk wiru, jakby podziemnej burzy, ponuro zagotował się w powietrzu: blysk przecinał jaskrawym blaskiem chmurę przyduszono-drżącej harmonii, złowrogi szelest zwiększał się, wichru charakter przybierał, srożył się, huczał, rozwył się, grzmiał, i wreszcie z całym ogromem runęła nawałnica.

Sila orkiestry wywarła tu całą swoją potęgę: w ogromie tym stanął obraz powszechnego zniszczenia, i końca rozpaczy żywiołów nieprzewidywano. Ależ gwałtowność burzy uspokajac poczęła swe fale, uciszało się wszystko potrochu, nawałnica przeniosła swe gromy w podziemia, i znów tylko wir głuchawo warczał, przerywany kiedyniekiedy światłym przelotem urągającego się błysku.

Tu orkiestra przeniosła słuchaczy w niebotyczne Alpy: złoty odbłask pięknego słońca osłonił strwożony widnokrąg, uśmiechnęły się rozkoszne doliny Szwajcaryi, a róg angielski zabrzączał pasterskie *Ranz de Vasches*. Gdy i sielanka ta dogorywała, nagle

(1) Orkiestra bowiem Wielkiej Opery w Paryżu składa się z 25 pierwszych skrzypców, 25 drugich, 16 altówek, 12 wiolonczel, 9 kontrabasów, ze wszystkich dętych instrumentów po parze; prócz tego po jednym solowym, i wiele innych stosownych dodatków.

wojenny odgłos dał się słyszeć, i otworzył czwartą grupę obrazu pełną życia i mocy; lecz ta nie miała już w sobie tyle poezji: *allegro vivace* zakończające uwerturę jest zwyczajnym galopem, który tylko ten koniec świetnym i militarno-hucznym czyni. Dziwiła wszelako nadzwyczajna szybkość tempa, co przy wyborném wykonaniu, wzniesiło powszechnie oklaski zachwyconej publiczności.

Oklaski zamilkły i ucichła nawałność ognistego końca uwertury. Jakże teraz odbiła po tym wojennym huku ciągniona w tryosemkowym takcie kwinta na *g*, zapowiadająca czysto-pasterską helwecką melodyą! Uleciała w górę zasłona, a wzniosły *Cicero* dopełnił to dla oka, co dla ucha *Rossini* zadzwonił. W rzeczy samej, cudny krajobraz malowniczej Szwajcaryi przedstawił się wzrokowi. Widok uroczy! a przedstawienie dekoracyjne do téj już naturalności doszło, iż nie ma kulis, tylko oko widza gubi się na lewo i prawo w przestrzeni niknącej okolicy. Na przodzie sceny liczny chór mieszkańców dolin alpejskich stał w trzech odstąpionych grupach, a doskonała harmonia trzech tych środków działających na publiczność, to jest orkiestry, dekoracyi i chóru, unosiła mnie w najpoetyczniejsze strefy!

W upojeniu takowém, czułem jednakże niedopełnienie wewnętrzznego szczęścia, bo niepokoiła mię żądza usłyszenia talentu, mającego urzeczywistnić wyobrażenie moje o czarownym śpiewie tenorzysty. Nareszcie wśród grzmotu oklasków ukazał się *Nourrit*.

Ustały wkrótce oznaki radości wśród widzów, a głęboka cisza poprzedziła rozpoczęcie pysznego duetu, w którym to *Rossini* tak cudowną melodyą dał ustom *Nourrego*. Dwakroć ten wzniosły śpiewak zanucił: *Ah Matilde! idole de mon ame*.

Nourrit był w całym rozumieniu artystą-śpiewakiem: głos srebrzysty, *expressya* wskrós przenikająca, deklamacya najdramatyczniejsza, zapal porywający wszystko jak potężny prąd rzeki, czucie aż do rzewności; a przytém wytrawny aktor z szczęśliwą powierzchownością, z pięknym wykształceniem i wyborną znajomością wszelkich odcieni towarzyskich. Taki artysta nie dziw, iż był ulubieńcem publiczności.

Wzmiankowany duet nie był jedyném wysileniem talentu *Nourrego*; w tercecie aktu drugiego, odśpiewaniem sławnego *Andantino: Ses jours qu' ils ont osé proscrire*, rozrzewnił wszystkich, a przy końcu opery w wielkiej arii był niezrównanym, tak pod względem wzniesłego czucia, z jakim wykonał melodyą do chatki zabitego ojca, w słowach: *Asile héréditaire, ou mes yeux s'ou-*

virent au jour, jak i pod względem mocy w allegro: *Amis, secondex ma vengeance!*

Obok wrażenia, jakie na mnie Nourrit sprawił, przemilczę o innych artystach, lubo każdy z nich godnie miejsce swe zajmował, jakoto: panna Nau w roli Matyldy, a Derivis w roli Wilhelma; nadmienię tylko, iż na piérwszój scenie opery paryzkiej nie byłaby zbyt mierność lub niewłaściwość cierpiana.

Ogólne przedstawienie wzniosłego dzieła, było dla mnie znakomitą częścią dobiegłej mety, do której z upragnieniem gonilem, a zachwyt mój równał się tryumfowi Nourrego, jaki odniósł był tego wieczora.

Widowisko dopełniał akt ostatni opery Aubera: „Gustaw.” Po silnej próbie uczuć, nadzwyczaj miłym było zajęcie oka świetną z téjże opery sceną balu maskowego. Przy blasku pięciuset sztuk jarzącego światła, massa osób zalegająca ogromną przestrzeń sceny, a w pyszne i rozmaite kostiumy przybrana, nieporównany widok sprawiała. Odbyto marsz uroczysty, a potém rozsunął się ten tłum różnofarbny, i kształtem kwiecistej girlandy sformował szerokie półkole, by zrobić miejsce utalentowanym córom Terpsychory.

Rozpoczęły się tańce solowe, a te lubo nie jaśniały talentami Maryi Taglioni i Fanny Elsler, jednakże zachwycając lekkością, niewymuszonością i szlachetnością ruchów, tak właściwych francuzkim tancerzom, świadczyły o wyborniej szkole baletu Opery. Między innemi odznaczały się panie: Noblet, Fitzjames, Maria, Alexis; panowie: Simon, Coralli, Albert i t. d. Ten ostatni z panną Noblet cudownie wykonał taniec styryjski.

Zakończył galop, wykonany przez wszystkich zalegających scenę. Sunęły się niezliczone pary, a w rączym biegu, w różnorodne stroje przybrane, przedstawiały jakby ruchomy kwiecisty obszar, przystrojony georginami, swawolnym powiewem wiatru miotanych.

Już była blizką północ, gdy upojony opuściłem salę Opery. Zatrzymałem się przecież w przysionku, bo niepodobną wyrzec się było widzenia zbliżka wydalającego się eleganckiego społeczeństwa paryzkiego.

Gdy mnie już nic nie zatrzymywało, udałem się w drogę do domu. Wychodzę na bulwary, aż znajduję, jakby śród dnia najpogodniejszego, ruch, gwar i życie. Mimo północnej pory taki ścisk osób na ulicy i w pasażach, że przecisnąć się trudno: ekwi-

paże turkoczą, toalety błyszczą, cygara dymią, szmer wokół, a widno jak we dnie: bo sklepy, magazyny, kawiarnie otworem będące, pysznego gazowego światła promienie po całej téj mieszaninie roztaczały.

Nie byłem jednym z pierwszych, którzy zaniechali przechadzki; a gdy wróciłem do mego Cité - Bergère, nieprędko się powieki snem zasunęły: tyle umysł zaprzątiony był urokiem pierwszego dnia mego pobytu w tém dziwném mieście.

Następny ranek poświęciłem odwiedzinom Chopina. Przy ulicy Mont-blanc, czyli *rue de la Chaussée d'Antin*, pod numerem 38, w nader czystym i okazałym domu, mieszkał naówczas ten znamenity artysta-kompozytor, prawdziwy przetwórca, Kopernik fortepianu, poeta-opiewacz uczuć, i zaszczytna część chwały kraju naszego.

Kiedym przybył i lekko dzwonek poruszyłem, natychmiast wybiegł lokaj, zdawający mi się być zrazu Francuzem; spytany atoli o pana, dał zabawną odpowiedź, która aż nadto przekonywała, iż nim wcale nie był; zgrubiałe bowiem wydeklamował niby po francuzku: *Mosie kafe, mosie lesq*, co miało znaczyć, iż Chopin pije kawę i ma lekcję. Chciałem zatrzymać się i poczekać, ale Chopin posłyszawszy czyjeś przybycie, przerwał zajęcie, wyszedł, spojrział i poznał mnie natychmiast. Podziw i uciecha naprzemian obu nas ogarniały; nie dał mi się oddalić, i wręcz powiódł do salonu, ponieważ lekcją właśnie już był ukończył, a śniadanie dopiero co przyhiesiono. „Pójdź, zawołał, obaczysz ładną hrabiankę, uczennicę moję.” Rzeczywiście znalazłem ją bardzo piękną; tylko co wstała od fortepianu, zbliżyła się do swojej guwernantki opodal siedzącej, i niebawnie obie zabrały się do wyjścia.

Po ich oddaleniu się wręczyłem Chopinowi listy od rodziny, i medal Mozarta od artysty Teychmana. Razem piliśmy kawę, gawędka była ożywioną, aż wtém nadszedł przyjaciel jego Francomme, wiolonczelista, a później i kilku innych znajomych.

W gronie tak zebranych gości, dobry humor wirtuoza na moje pociechę sprawił, iż z łatwością i uprzejmością zabrał się do fortepianu. Miał grać.... miałem go usłyszeć!.. Znałem dawniej jego talent, ależ jak rozwinąć się musiał, pomyślałem, gdy blaskiem europejskiej sławy jaśnieje.

Grał nam naprzód kilka nowych etudów. Wzniosłość myśli utworu, głębokość uczuć wirtuoza, urok wrażeń i wymowa szczerze poetyczna, mieszały mi istotnie mózg; szczególnie etudem

z *Cis mol*, gdzie lewa ręka trybem wiolonczeli cudnie melodyą prowadziła, skłócił wszystkie uczucia jakie we mnie były, a bożką *expressyą* ścisnął je tak silnie, iż rzewną łzę musiało oko moje potoczyć.

Chopin był dnia tego szczególnie dla nas szczerze usposobionym. Grał nam nieskończenie to mazurki, to ballady, znów scherzo, nokturna, a to wszystko utrzymywało nas w lubym zachwycie: osobliwie mnie, dla którego to, co wykonywał, było nowe i nowem wrażeniem przejmowało.

Przy jego cudownym fortepianie, czas dwóch godzin ubiegł szybkością minuty; minuty brzemiennej rozkoszą duszy... poezją! Słuch mój ścigając każdą najdrobniejszą nutę, najsubtelniejszy odcień *expressyi*, starał się pojmovać owę poezją, a wzrok mimowolnie zatapiał się w jego obliczu: bo oblicze jego było zbyt wiernem zwierciadłem uczuć, jakie na instrument swój wylewał. Trudno bowiem uwierzyć, jak silnie w jego twarzy odbijała się owa wierność, którą pod swemi palcami tak obficie roztrwaniał. Pobladły, z iskrzącym wzrokiem, niepamiętny o sobie, rzekłbyś, że marzył we śnie magnetycznym; czuleś, że pracował, ale pracował duch tylko: ręce były jedynie środkiem do objawienia téj pracy. A tak to wszystko, coś słyszał i w jego obliczu wyczytał, było tak przenikającym, tak unoszącym, iż podziwiać musiałeś wymowę, do jakiej on kompozycją swoje oraz i grę posunął.

Skończył nareszcie upajać nas słodyczą talentu; nastąpiła chwila, w której zwykle karmi się wirtuoza grzecznościami, a ten z udaną skromnością przymusza się do kłamliwego wyznania, iż na nie nie zasłużył.

Chwila takowa inaczéj się tutaj objawiła; śmiesznością byłoby bowiem, a nawet poniżeniem gieniuszu, silić się na cześć i pospolite pochwały: cześć dla siebie Chopin znalazł w mojem osłupieniu, w mojem przyspieszonym biciu serca, w mojej łzie zbłąkanéj w oku, nakoniec w mojem uściśnięciu ręki, które jako wielki artysta zrozumiał, i to było dla niego dosyć.

Wkrótce, gdyśmy wszyscy zaczęli już oddychać, on po głębokiem przejęciu się grą, my zaś ochłonawszy z silnych wrażeń, w pouśnej rozmowie resztesmy czasu spędzili.

Chopin, jak z jednéj strony w grze swojej i tworach wylewał ocean uczuć i głębokość pomysłów; tak z drugiey, w towarzyskiem obcowaniu jaśniał jowialnym humorem i niesłychanym dowcipem. Całą swoją intelektualnością i wyższém wykształceniem, które na-

był w salonach paryżkich i w znoszeniu się ze światem literackim, mile krasił zasób subtelnego dowcipkowania, a nadewszystko zadziwiał niezrównanym darem przedstawiania drugich.

Wyznać wprawdzie należy, iż dar takowy jeżeli w złośliwym sposobie i celu używanym bywa, jakoto na wyśmianie i poniżenie drugich, nie może być ceniony i do darów szlachejnych liczony, jeżeli przytém jest jedynym i wyłącznym przymiotem człowieka; przecież w Chopinie dar ten, obok niezaprzeczonej genialności w sztuce, objawiał się w sposób nader przyjemny i pożądaný nawet, bo bynajmniej nie zniżający się do złośliwości i nieszlachetności. Nikt się więc nie czuł tém być pokrzywdzonym, iż go Chopin naśladuje: tak dobrze jak sławni ludzie, mianowicie artyści, mieli sobie za zaszczyt być przedmiotem pracy pełnej talentu ręki Dantana, pomimo, iż wszelkie wizerunki w przesadzie karykaturalnej przedstawiał.

Tak zajmujący poranek przeciągnął się do godziny pierwszej. Musiałem w tój porze dom Chopina opuścić z powodu koncertu Berlioza który miał się odbyć w sali konserwatorium o godzinie drugiej.

Przybyłem na czas; publiczność tłumnie się zbierała. Otrzymawszy dobre miejsce w ławkach, z zajęciem oczekiwałem zaczęcia. Salę lubo znalazłem korzystnie wybudowaną na cel jój przeznaczenia, nie mogłem jój jednak przyznać elegancyi, czystości i gustu. Śnać w tym przybytku Apollina, tak zwolennikom, jak i diletantom chodziło tylko o potęgę sztuki, której hołdowali, inne względy zostawiając zapomnieniu.

Skromna a brudna ta sala, nosząca nazwę: *Grande salle du garde-meuble de la couronne*, miała kształt sali teatru. Scenę dookoła osłoniętą zajmowała orkiestra, mieszcząca się w ławkach amfiteatralnie urządzonych: przód sceny zostawiony popisującym się solistom lub chórowi, a po części i artyści składający orkiestrę, dla wielkiego natłoku, zalegali go zwykle.

Wszystko gotowe: Berlioz stanął przy pulpicie obciążonym partyturą dla objęcia dyrekeyi. Koncert rozpoczynała symfonia jego kompozycyi, w czterech częściach z altówką solo, pod tytułem: Harold.

Dzieło to zupełną było dla mnie nowością; lecz nie powiem, iż użyłem niebiańskiej rozkoszy, nie przyznam, bym doznał wrażeń, doświadczonych tego poranku w komnacie Chopina.

Powikłanie głównej myśli, ustawiczne nieprzewidziane łamanie rytmu, ponurość, wyszukanie, nieusprawiedliwiony tok pomysłów: oto cechy utworów Berlioza, przy pierwszym uchwycie słuchu dalekie od wzniesienia lubych wrażeń, obce dla natychmiastowego pojęcia.

Gienialny wszakże ten kompozytor, w głębokie wiadomości muzyczne bogaty, przedstawiał w swych utworach rzeczywisty postęp, mianowicie w instrumentacyi i orkiestracyi.

Pomysł brania przedmiotów po części historycznych do utworu symfonii, a czyniący każdą jej część osobnym charakterystycznym obrazem, miał także w sobie coś nowego i postępowego; a nowość była podwójną, bo takiego wykonania orkiestrowego, do tej doskonałości posuniętego, wyznaję, dotąd nie słyszałem. Wprowadzie byłato po większej części orkiestra Wielkiej Opery, zatem już mi znana; ale gdy oryginalność dzieła, do dziwactwa posunięta, nastęczała koloryt w orkiestrze niezwyčajny i wyszukany: pokonane przeto trudności w tej mierze, wykazały mi tu dopiero całą potęgę orkiestry.

Trzecią nowością była publiczność paryzka, z natężeniem słuchająca niepopularnego dzieła. Ręczyłbym, iż mało kto z grona słuchaczy rozumiał owę kompozycyą, a przecież ogół mimo przekonania, że się nie bawi, z zapalem oklaskiwał każdą część symfonii.

Po Haroldzie nastąpiło solo na arfie: *Fête martiale en Ecosse*, skomponowane i wykonane przez Th. Labarre, wybornego arfistę, co też wielki efekt zrobiło. Dalej śpiew: *Une larme, harmonie religieuse de Mr. de Lamartine, musique de Mr. Urhan*, mający być wykonany przez panią Falcon, w towarzyszeniu na wiolonczeli przez pana Chevillard i na fortepianie przez autora. Speliła jednak na niczém nadzieja usłyszenia pani Falcon, gdyż z powodu nagłej słabości, zastąpioną była przez młodą uczennicę konserwatorium, dla której żądano pobłażania.

Nastąpiła wielka arya *Quasimodo* z czwartego aktu *Esmeraldy*, kompozycyi panny *Luizy Bertin*, śpiewana przez pana *Masol*. Kompozycya nędzna: domyślić się łatwo, iż ten sam interes przyczepił aryą *Quasimoda* do koncertu Berlioza, jaki zmuszał niechętną publiczność do słuchania w operze całej *Esmeraldy*. Wiedzieć należy, że panna Luiza, córka pana Bertin odpowiedzialnego wydawcy *Dziennika Sporów*, była przedmiotem uwielbień pana Duponchel, przedsiębiorcy teatru Wielkiej Opery.

Koncert zakończyła fantastyczna symfonia Berlioza w pięciu częściach, pod tytułem: *Episode de la vie d'un artiste*. Podobnych doznając wrażeń jak na Haroldzie, podziwiałem orkiestrę, cudownie wszelkim kaprysom autora zadosyć czyniącą. Koncert trwał do piątej.

Zaprzagnąłem poznać w całej okazałości włoską operę. Obiecywałem to sobie, mając widzieć Purytanów, w których Grysi, Rubini, Tamburyni i Lablache, jakoby cztery olbrzymy, razem występowali. Przywykły odtąd, a raczej zepsuty pożądaniem tylko kolosalnych wrażeń, mniemałem, że myśl moja była dobrą: i była nią w istocie, ale do jej wykonania zabrakło mi cierpliwości; wyrzekłem się jej tedy, i poszedłem na Cyrulika.

Wówczas truppa włoska zajmowała teatr Favart, który wkrótce potem, jak wiadomo, uległ pożarowi.

Znajdując się w sali Favart, spostrzegłem, iż teatr ten był wyłącznie prawie arystokratycznym. Wybór paryzkiej społeczności, zalegał odkryte z gustem i przepychem urządzone galerye. Tocząc wzrok po gronie wykwiśniętej elegancyi, a zatrzymując go na blasku toalet, rzekłbyś, iż się znajdujesz na najświetniejszym arystokratycznym wieczorze.

Nie spostrzeżesz ani kapelusza, ani płaszcza; szal, pragnący osłonić nadobną kibić damy, ani śmie się pokazać. Co tylko podniecić może działalność wrażeń, jest widzialne: staranne sploty włosów, śnieżność szyi i gorsu, gładkość ramion do kości słońców zbliżona, cudność rączek, wyprężoną paliową rękawiczką objętych, i poruszenia od samych gracyj przejęte: wszystko to naraz przytłoczy umysł aż do chwili, kiedy z rozpoczęciem sceny, ulegniesz znowu szczytnemu zachwytowi najpiérwszej w świecie opery.

Dziwném jest zaiste napozór, jak przy narażeniu się na współzawodnictwo, istnieć mogą dwie wielkości obok siebie, bez umniejszenia wziętości jedna drugiej. Przyczyną w téj mierze musi być odrębność rodzajów i dążeń; świetność Wielkiej Opery francuzkiej nie lęka się przyćmienia od włoskiej, a rozkosz, którą ostatnia sprawia, oszczędza tęsknoty za tamtą.

Tę rozkosz spełnił mi Cyrulik Rossyniego, przez wymowne usta najpiérwszych w świecie śpiewaków. W téjto potędze śpiewu, jaką posiadał Rubini, usłyszałem piérwszy raz znaną serenadę: *Ecco vidente il Cielo!*

Śpiewak ten był wówczas jeszcze w całej sile, a skromna i prawie obojętna jego powierzchowność, nieobiecująca w nim znakomitego aktora, przychodziła w pomoc wrażeniu, jakie wywierał wymowny i przekonywający jego śpiew. Lubo w gieniuszach staramy się zwykle pewien niedostatek inaczéj tłumaczyć albo go omijać, tym razem bynajmniej w tym duchu, o braku gry w Rubinim nie przychodzi mi się rozwodzić; owszem dodaję, że gdyby gra jego wydatniejszą była, kto wie, czyby nie przeszkadzała téj wymowności, jaką w każdéj frazie i nucie nawet objawiał: bo cały ogień, cała namiętność i cała myśl zestrzelone były w jego śpiewie.

Nie ochłonałem jeszcze z uniesień, gdy Tamburyni, jako Figaro pełen życia i ruchu, rączo wybiegł na scenę, i w owéj sławnej arii cyrulika: *Largo al factotum della città*, zdziwił mnie srebrnym tonem swego barytonu, niesłychaną wprawą w ruladach, wyborną deklamacją, i przybraniem nadzwyczaj prędkiego tempa, tak, iż w pryskającym ogniu życia, wyrazy z ust jego jak grady iskier wylatywały.

Po cudownéj kawatynie ukazał się Rubini. Tu całkowitą piękność rozmowy w muzyce, to jest *recitativ* dopięro poznałem, i utwierdziłem się w przekonaniu, jak fałszywie niekiedy inni rodzaj ten traktują.

Nie byłto śpiew, nie był monotownie wybąkiwany rytm; ale tak naturalnie wydeklamowany dyalog, jakby nie z tworu autora, ale z indywidualnego natchnienia śpiewaków wypływał.

Rozpoczęty wkrótce duet między Almavivą i Figarem, pocięchą mnie napawał, iż dożyłem go usłyszeć. Koniec, gdzie Almaviva wykonywa rulady, a Figaro towarzyszy zręcznym wyrzucaniem wyrazów, uczynił efekt nieporównany i żądano powtórzenia, a ja także zbyt szczerze wołałem wraz z drugimi *bis*.

W powtórzeniu, Rubini na słowa: *Ah che d'amore la fiamma lenta* odmienne rulady improwizował, co wspólnie z gienialnie ożywioną partją Tamburyniego, *l'oro, viene l'argento*, przedstawiało kunsztownie spojoną mistrzowską całość.

Co do *prima-donny*, ta obok dwóch mistrzów zostawiała niemało do życzenia: jako śpiewaczka nie zbliżała się do nich, a na Rozyne zabrzydka i zaniezgrabna. Śpiewaczka niezła, a jednak nieosobliwa, odbierała przecieź oklaski w miejscach, ze sztuką i dosyć pięknie robionych.

Rola Bartola (Tabellini) była słaba, a Bazyli (Monterazi) niegodziwy. Kto pamięta naszego Bazylego w Warszawie, przyzna, że z Rubinim i Tamburinem onby dopiero doskonały tryumwirat dopełnił; gdziekolwiek tylko Cyrulika napotkał, nigdzie równego jemu nie znalazł, a wszędzie opuszczają arją obmowy i intryg, którą Zdanowicz tak słynnie wykonywał.

Tercet ostatni, pod względem dramatycznego pomysłu kompozytora, dopiero tu zrozumiałem.

W kilka dni doczekałem się wystawienia Purytanów. Znając już tę operę, teraz dopiero oceniłem piękność i wzniosłość talentu Belliniego; a o doskonałości wykonania nikt nie może mieć wyobrażenia, kto nie słyszał dzieła przedstawionego przez tych, dla których było skomponowane; dlatego talenta czterech śpiewaków: panny Giuletty Grysi, Rubiniego, Tamburyniego i Lablacha, tu w całej okazałości błyszczały.

Mój Boże! pomyślałem, za półczwarta franka słyszę czterech najpiérwszych śpiewaków w świecie!

Nic równego, jak Rubini śpiewał wstępną kawatynę, przy towarzyszeniu trzech równych sobie mistrzów.

Romans w akcie 3cim unosił słuchaczy, a w ostatniej scenie, gdzie wsparty efektem scenicznej sytuacji, wzniosłe wykonywa solo, dwakroć go musiał powtórzyć i dwakroć elektryzował lubą rzewnością, pozostawiając czarujące w słuchu wrażenia.

Dwa razy także śpiewali strettę duetu Tamburyni i Lablache; ostatni równie kolosalnością postaci, jak i głosu basowego zadziwiał.

Panny Grysi, według mnie, niepodobna było takiej drugieć mieć na świecie: cud talentu śpiewania, cud talentu gry, i cud piękności kobiety.

Niepodobieństwem, aby trudnemu *alla polacca* w akcie piérwszym kto inny podolał, i zbliżył się wykonaniem do téj śpiewaczki: scenę waryacji w finale piérwszym nie zrównanie, a wielką arją w obląkaniu w akcie drugim, mistrzowsko oddała.

Zbytecznym byłoby rozbierać i przytaczać, z jaką prawdą każde położenie przedstawiała, i z jaką zgodą łączyła talenta wielkiej śpiewaczki i wielkiej tragiczki.

Jeden z następnych wieczorów, jaśniał świetnością w operze włoskiej, gdyż był benefisem Rubiniego. Ulubieniec-artysta dając Otella, nie mógł znamienitszego obrać na ten cel dzieła; publiczność zaś wywiązała się godnie z uczucia czci dla jego talentu,

bo zgromadzenie było tak liczne, iż na wszystkich miejscach przepełnienie niewymownie czuć się dawało; a Rubini do tego stopnia dokazywał, iż w pierwszej zaraz aryi wieńce rzucono mu pod stopy. Po akcie drugim odśpiewał arya Pacyniego z Nioby, jedną ze swych ulubionych, w której szczególnie wykazywał siłę talentu. To też po jej skończeniu, wśród okrzyków powszechnego uniesienia, gromy kwieciste zapelnily scenę, na której stał Rubini, potęgą śpiewu swego rozlawszy po wszystkich zakątach sali więcej niż ludzkie wrażenie.

Takiego śpiewu i takiego uczczenia artysty nie zdarzyło mi się nigdzie napotkać; lecz cóż mnie gorszyło? oto, iż publiczność w lubym rozkołysana uniesieniu, zażądała powtórzenia owęj wielkiej aryi. Gniewał mnie brak względu dla śpiewaka, gdyż żądana arya nie była piosnezką wodewilu, a artysta miał do odśpiewania jeszcze jeden akt opery, niemało sił wymagający.

Rubini jednakże bez wahania okazał gotowość, i cudowne: *I lovi frequenti palpiti* na nowo rozkosznie dzwoniło.

W téj operze pierwszy raz usłyszałem Iwanowa. Naprzód byłem pewny o ile dobrym być musi, gdy zajmuje miejsce w gronie najpierwszych śpiewaków; uprzedzenie nie zawiodło mię, gdyż znalazłem w nim i materyał głosu niepospolity i szkołę włoską szczęśliwie przyswojoną.

Grysi była wyborną: wprawdzie nie była stworzycielką roli Desdemony, przejmując się tylko tradycją niezrównanej Pasty; przy szczęśliwém jednak uposażeniu w środki, z podziwiającym ją skutkiem oddała. Śpiewaczka ta w zadumienie mnie wprawiła sceną kończącą akt drugi; sceną, w której bezwarunkowo trzeba być wielką śpiewaczką i wielką aktorką: bo należy przedstawić tragiczne położenie kochanki, oczekującej wypadku pojedynku swego ulubieńca; i razem położenie córki, wystawionej na gniew rozjątrzonego ojca.

Te dwa względy jednocześnie miotają jęj istotę, gdy w straszliwém oczekiwaniu i wzmagającej się obawie, odbiera co chwila niepewne wiadomości o losie Otella, a w końcu na domiar krytycznego stanu, przybywa groźny ojciec, któremu u nóg czołga się dla wyjednania rodzicielskiego przebaczenia.

Podobne położenie już jest dla samęj gry zbyt męczące, a dopiero w operze cóż za mocy talentu potrzeba, aby razem grą i śpiewem okupić olbrzymi efekt! *Giuletta* Grysi furorę tą sceną ro-

biła, a w akcie trzecim, który wzniosłością kompozycyi przyczynił tyle sławy Rossyniemu, była zachwycająca.

Nie wyjdzie mi z pamięci trzecia zwrotka modlitwy, gdy ją skutkiem złowrogiego przecucia, ze łkaniem odśpiewuje; wreszcie słabnąc, pod wpływem rzewnych łez, dokończyć jej nie może. Ostatnia nakoniec scena z Otellem zwycięzko ogarnęła mnie wrażeniem, którego opisać nie zdołam.

Nazajutrz dla abonamentu powtórzono Otella. Wybierałem się żarliwie na niego, lecz stanęła przeszkoda, której nie należało pomijać; zastałem bowiem w mieszkaniu kartkę Chopina, zapraszającą mnie na wieczór, a to w tych zachęcających słowach:

„Dziś mam parę osób u siebie, między innymi panią Sand; przytém Liszt gra, Nourrit śpiewa. Jeżeli ci to może być przyjemném, czekam cię wieczorem”.

Na czas właściwy przybyłem więc do Chopina.

Przybywszy, nie upłynęła godzina, i zgromadzenie całkowicie się zebrało; a mniemam, że było wyborowe i zajmujące, bo złożone po większej części z osób w literaturze i sztukach aż nadto dobrze znanych. I tak byli: markiz C, Eugeniusz Sue, Schoelcher, Liszt, Nourrit, Pixis, Berryer, Włodzimierz i Bernard hrabiowie P. i inni. Z płci pięknej znajdowały się tylko dwie damy, a temi były: George Sand i hrabina d'Agoult; obiedwie lubo wielce snąć zbliżone sympatyą do siebie, jednak uderzającą różnicą usposobień, zupełnie przedstawiały dwie ostateczności.

Hrabina blondyna, żywa, zalotna, humorem i estetycznie lekkiem obejściem, toaletą w wykwintnym smaku, dopełniała typu nadobnej Paryżanki wyższego społeczeństwa. Pani George Sand przeciwnie: brunetka, poważna i zimna, jakby nie Francuzka, rysów twarzy foremnych, spokojnej albo raczej martwej fizygnomii, w której można było tylko rozum, myśl i dumę spostrzegać. Toaleta fantastyczna, widocznie zwiastująca dążność odznaczania się, złożoną była z białej sukni, szeroką karmazynową szarfą przepasaną, białego gorsecika z rękawami, jakby pasterskiego, o wyłogach i guzikach również karmazynowych, i z czarnych włosów napół głowy rozdzielonych, w lokach po obu stronach twarzy spadających, a nad czołem przepaską objętych.

Typy mężczyzn równie sięgały ostateczności; i tak: Liszt dość wysoki, szczupły, bladawą twarz gienialnością napiętnowaną, otaczały gęste, długie, blond, równo ucięte włosy. Ruch śmiały,

pelen życia, z ust pryskał dowcip i żartobliwość się wysnuwała, a w całym obejściu było coś dziwnego.

Berryer, sławny adwokat i biegły mówca legitymistowski, w wieku dobrze średnim, pełnawej tuszy, twarzy okazałej, cery czerwonej, mocno łysy, tylko poniżej tyłu i boków głowy zachowały się szczątki czarnych włosów; biała chustka wązko obejmująca szyję, frak pod górę zapięty: w spokojnym obliczu malowała się pewność i rozum.

Markiz C. wysoki, w lata dużo ubiegły, typ magnata legitymisty.

Powierzchność Nourrego łagodnym jaśniała kolorytem; na tle godności w postawie, wybijały się w parze wzniosłość talentu, i wykształcenie towarzyskie.

W Pixisie zaś wszystko zbyt przypominało, iż był niemieckowiedeńskim artystą, a krzywe usta nadawały dziwny charakter jego twarzy.

Eugeniusz Sue z Schoelcherem reprezentowali ludzi salonowych i literatów młodej Francji.

Towarzystwo tak zdobiące salon Chopina, z różnorodnych złożone części, różniące się charakterami, usposobieniami, dążnościami, plcią, wiekiem i stanem, zgromadziło się zaprawdę jak koleżeńskie grono, jak stowarzyszenie, jak rodzina zgodą tchnąca, węzłem wzajemnych dobrych życzeń splekana.

Nikt nie był przedmiotem ciekawości drugich, bo wszyscy się znali. Dar, talent, zasługi, sława każdego z nich, nie były tajemnicą dla innych, lub znajdowanie się czyje w tém kole, intrygującą zagadką. Siebie nawet za obcego uważać nie mogłem, bo połowa koteryi była mi już znana. A tak Francuzki, Francuzi, Polacy, Węgier i Niemiec w jedną myśl zestrzeleni, w tém szczególnież zgodę objawiali, że Chopina gospodarza-artystę, jednaką czcią wielbili, i jak jednym wspólnym sercem aż do zapachu kochali.

Wnet się poformowały grupy, i pogadanka była arcyożywioną. W ożywieniu takowej prawie główną sprężyną był Liszt: jego intelligencja, bystrość, dowcip, humor żartobliwy, nakoniec dziwaczność, zdołały wystarczyć wszelkim kwestyom pojawiającym się wokół niego; najwięcej też ku niemu zwracano rozmowę, a on najeczęściej zwycięzko wychodził z podobnych rozpraw.

Jeden Chopin, udzielający się wszystkim z godnością i uprzejmością gospodarza, był dla Liszta ognistym mieczem; ile razy nasz kompozytor-poeta wystrzelił do zapamiętałego fantasty fortepianu,

pocisk był skuteczny, wszyscy zadowoleni, a upokorzony autor dramatycznych fantazyj, nie mogąc silnego stawić odparcia, jedynie żartobliwie rzuconym po dwakroć wyrazem: „Mazurka, mazurka” (jak zwykł Chopina przezywać), usiłował pokryćadaną sobie klęskę.

Co do naszych dam, tych typy ciągle sprzecznością uderzały. Kiedy hrabina d'Agoult figlarną, dowcipną i przynęcającą rozmowę zajmowała obecnych, a słodki uśmiech rozjaśniał czoło, wyglądające pomiędzy długich blond loków *a l'Anglaise*: wtedy George Sand nieporuszona, zajmowała miejsce na kanapce przed kominem, a wypuszczając lekko kłęby dymu z cygara, skąpo i uroczyście odpowiadała na kwestye przysiadających się do niej mężczyzn, przejętych czcią i uszanowaniem.

Zadługo mi trwały owe pogadanki, spory, dowcipy, i wszelkie starcia ludzi, świecących na ówczesnym horyzoncie Paryża. Chciałem niektórych poznać z głównej ich barwy, z barwy artyzmu: mianowicie Liszta, którego dotąd nie znałem. Zatem prawie z mojego poduszczenia zaprosił go Chopin do odegrania na cztery ręce sonaty Moschelesa.

Zasiedli do fortepianu: Liszt przy prymie, Chopin przy sekundzie. Oczekiwanie moje równało się zaprawdę stanowi gorączki, a kiedy już grali, nieznaną mi dotąd Liszta biegłość, porywczosć frazowania i dziwny dar nadania życia kompozycyi i instrumentowi, tamowały mi oddech.

Pixis odwracający im karty, podzielał moje wrażenia, oglądając się na mnie co chwila z odnośzeniem się i podziwem. Reszta towarzystwa, świadoma wielkości talentów dwóch tych pianistów, na spokojnym się ograniczała słuchaniu, obdarzywszy ich po ukończeniu oznaką rzetelnej czci i uwielbienia.

Po sonacie przyjmował Chopin gości podanemi po dwakroć lodami; następnie przygotowano herbatę, której przyrządzeniem zajęła się hrabina, mile prowadząc z drugimi dalszą swoją rozmowę.

George Sand przykuta do swojej kanapki, nie rozłączyła się z cygarem. Spojrzenia zwracała częścią na osobę do niej przemawiającą, a jeszcze częściej na figlarnie migający się płomień w kominie.

Gdy się skończyła herbata, nieporównany Nourrit w części dla przyjaciela gospodarza, a ku radości zebranego grona, co go tak miłowało, postanowił obdarzyć nas śpiewem, i wykonał przy to-

warzyszeniu Liszta na fortepianie kilka utworów Szuberta, do których był wielce zapalony. Śpiewał między innymi: *Erlkönig*, i *La jeune religieuse* z niewymownym efektem. Słyszając go, żywo mi stanęły w słuchu i umyśle wrażenia Tella, Roberta i Hugonotów.

W końcu życzyłem usłyszeć Liszta samego. Tę myśl i Chopin podzielał, lecz wirtuoz stanowczo opierając się zadosyćuczynieniu, wszczął raczej dysputę filozoficzną z Bernardem P., która końca nie miała. Dysputujący zapalali się niesłychanie, a chociaż do ich kwestyj i inni się mieszały, widziałem, że dysputa nie była na rękę towarzystwu i po większej części nudziła obecnych, niszcząc widoki przepędzenia inaczey schyłku tak zajmującego z początku wieczora.

Chopin mocno tém się niecierpliwił, złoty humor pani d'Agoult utracił na blasku, George Sand więcej pobladła i więcej zasępiła wzrok swój myślący, Pixisowi od niezadowolenia mocniej się usta wykrzywiły, a dla mnie, usłyszenia w całej okazałości gry Liszta, mały cień nadziei pozostał.

Późna nareszcie pora przerwała dysputę, moję nadzieję rozchwiała, spłoszyła towarzystwo, i wszyscy zabrali się do pożegnania gospodarza, zachowując dlań w sercu te same przyjaźni uczucia, które ich w próg komnaty jego przywiodły.



POCZĄTKI FILOZOFII KRAJOWEJ.

PRZEGLĄD

PRZEZ

A. Tyszyńskiego.

(Ciąg dalszy).

Taka jest treść. Zastanowić się teraz chcemy oddzielnie nad żywołem teoryi w początkach filozofii naszej krajowej, i oddzielnie nad żywołem praktyki. Za uosobienie względu pierwszego, oznaczamy i obieramy pisma autora Logiki; drugiego, autora Modlitwy.

Autor Logiki, jest dotąd głównym reprezentantem u nas teoryi dyalektycznej. Teorye, o których uczył twórca pierwszych pism naszych filozoficznych z nowym kierunkiem (*Wroński*), nie byłyto właściwie tworzenia dyalektyki nowej: byłoto raczej wynajdywanie formuł, stosujących do praktyki teorye niemieckie. Autor *Filozofii chrześcijańskiej* raczej zasady chrześcijańskie stosował do dyalektycznego pojęcia, nie zaś tworzył teoryę pojęcia, któraby dyalektycznie prowadzić miała do poznania zasad chrześcijańskich. Autor *Modlitwy* sam dziś zapewne nie uważa za szczególnie postępnny owego kroku, gdy zdając się mniemać, iż sprawia z gruntu przewrót w widzeniu filozoficzném i posuwa teoryę Hegla, wyprowadzał np. w pierwszych swych pismach, iż w logiczném kształceniu pojęcia nie kategoria *ilości* iść powinna przed kategorię *jakości*, lecz kategoria *jakości* przed kategorię *ilości*. Autor ten, jak widzieliśmy, wychodzi dziś bezpośrednio z prawd objawienia, nie z dyalektyki.—Literatura filozoficzna nasza

jest dziś wprowadzie w czasie swój okresowej kolei, jak uważaliśmy, zbliżenia kwiatu; i oto, lubo chwila zaledwie, jakieśmy uczynili tę uwagę, a nowe zjawiska moralne ukazały się, aby ją stwierdzić. Otrzymaliśmy właśnie tom Iszy *Wykładu filozofii* przez *Józefa Kremera*, obejmujący *Fenomenologią* i *Logikę*, oraz trzy nowe tomy *Filozofii* i *Krytyki*, wykładające *Umnictwo piękne* i *System umnictwa* (1). O treści, oraz znaczeniu tych pism, powiemy wnet niżej, albo w oddzielném wydaniu tego artykułu; tu dodajemy wszakże, iż znakomite te ogłoszenia, jakkolwiek poświęcone są także sferze teoryi, nie odbierają jednak autorowi *Systemu krajowej logiki* przywileju jój głównej reprezentacyi. Logika *Józefa Kremera*, lubo co do początkowego wyjścia, nazwiska i następstw niektórych kategorii logicznych, a nadewszystko sposobu uważania *idei bezwzględnej* (to jest: przez przyjmowanie jój dopiero za *myśl*, nie zaś *rozum* i tém więcéj *osobę bezwzględną*), jest różną od teoryi *Hegla*, i z téj strony ma nad nią rzeczywiście praktyczną wyższość, zawsze jednak jak w ogóle swoim, tak w terminach i szczegółach przeprowadzenia, jest w gruncie logiką *Hegla*. Autor *Filozofii* i *Krytyki* uznawszy, iż docieczenia filozoficzne były dotąd ułomne przez to, iż stanowiły jedynie zakres filozofii *pojęcia* z niesłuszném potępieniem (jak twierdzi) filozofii *wyobraźni*, zajęty jest i uskutecznia w *Systemie Umnictwa*: tworzenie filozofii *wyobraźni*, wyłącznie *wyobraźni*. Autor ten oświadcza owszem wyraźnie, iż co do sfery filozofii *pojęcia* (myśli) uznaje za rzeczywistą teorią autora *Logiki*, i kategorie umnicze swego systemu, właśnie według kategorii *Logiki* téj szykuje (2). Sam więc tylko, właściwie mówiąc, autor *Logiki*, w początkach naszej filozofii krajowej, jest rzeczywiście nowym, istotnym i najszczególwiej rozwiniętym teoretykiem. Autor ten swą dyalektyczną teorią wyraźnie i jasno przeciw ostatniej, w rozwiciu filozoficzném, to jest niemieckiej postawił; teorią tę w pismach oddzielnych drobiazgowie rozwinął, do zastosowań nagiął; jój żywiołem głównie oddycha

(1) *Wykład systematyczny filozofii, skreślił Józef Kremer. Tom I, 1849, Kraków. Estetyka, czyli Umnictwo piękne. T. I. System umnictwa, czyli filozofii umysłowej* przez *Karola Libelta*. Tomów II, 1850, Poznań.

(2) Zasady myślenia jako myślenia, zawarte w *Systemie krajowej logiki* „kładziemy, mówi autor *Filozofii* i *Krytyki*, jako podstawę naszej filozofii *wyobraźni*. Umnictwo nasze oprze się na *Myślini*, jako na węgielnym swoim kamieniu, i naodwrot *Myślini* znajdzie w *Umnictwie* próbę działania swego.” *System umnictwa*, I, 25.

i tam nawet, gdzie do treści praktycznej wprost schodzić się zdaje (jak np. gdy wyklada w *Vorstudien* chrześcijańskie dogmata, rozwój *natury*, w *Pedagogice* uczynki codzienne, w *Cybernetyce* układ społeczny i t. p.), jest zawsze i jest owszem wyłącznie dyalektykiem.

Ta nowa dyalektyczna teoria autora Logiki, teoria, którą wyżej poznaliśmy, jakaż jest w swojej summie? i czém głównie różną jest od poprzednich?

System filozoficzny autora Logiki tém, jak widzieliśmy, głównie różnym jest od poprzednich, a mianowicie dwóch systemów, będących wyrazem ostatecznego rozwicia drogi dociekań, iż *poznanie rzetelne* istoty rzeczy, oparł nie wyłącznie na świadectwie *zmysłów* (jak *materyalny*), ani wyłącznie *myśli* (jak *idealny*), ale na złąciu tych *świadectw*. Poznanie pierwsze zmysłowe dało nam było, jak uważa autor, tylko *empiryą*, czyli system *realności*; poznanie drugie *umysłem* dało nam *spekulacyą*, czyli system *idealności*; poznanie dopiero łączne jest poznanie bezwzględne, filozoficzne, i rzetelnie daje nam *filozofią*, czyli system *rzeczywistości*.

Jakże możemy uznać, rozróżnić według autora owe poznanie łączne? to jest, że będąc zwrócone do ocenienia danej rzeczy, przedmiotu, poznanie nasze doszło do stopnia swój prawdy, owego złącia? Poznanie nasze jest wtedy w stopniu swój prawdy, uczy autor, kiedy to przekonanie, które je tworzy, jest przekonaniem nie naszego ciała, ani też przekonaniem naszej myśli, lecz ciała i myśli razem, czyli naszej *jaźni*; kiedy je oglądamy nie naszym *zmysłem* albo *umysłem*, lecz *mysłem*; kiedy słowem nie jest ono ani skutkiem wrażeń zewnętrznych, ani przewagi pojęć wewnętrznych, lecz *samodzielne*. Rozważanie téj drogi, tych środków, któremi poznanie nasze do samodzielności przychodzi, jest to umiejętność nabycia *poznania rzeczywistego*; to też, jak widzieliśmy, jest treścią *Logiki* autora.

Do oznaczenia i określenia téj drogi, autor użył jak filozofia niemiecka (Logika Hegla), rozkładu na trzy momenta, lecz zmienił szyk. Główną cechą filozofii niemieckiej, wszystkich odcieni jój, było: uznawanie i oglądanie istoty rzeczy w naszym *wyobrażeniu* o nich, naszym *podmiocie*. Ta cecha stała się źródłem wszystkich wad treści i wypadków téj filozofii, uważa autor. Uznać źródło natury w naszym podmiocie, jest to ją znosić. Podmiot istnieje nie tylko w człowieku, lecz i w naturze. Równą prawdą jak człowiek, jest i natura. Nie duch jest jednością w naturze,

a przeczeniem, przyczyną różnic materya;—lecz owszem materya jest jednością, twierdzeniem, a przeczeniem, przyczyną różnic jest *duch* (prawa natury). Proceder więc ukształcenia *poznania*, wprost odwrotnym być musi od procederu ukształcenia *idei*. Hegel ocenia najprzód w Logice swój nasz *podmiot*, źródło wszech-rzeczy; dalej *przedmiot*, utwór naszego podmiotu; a jego *przedmiot-podmiot*, czyli *idea bezwzględna*, był napowrót jedynie czystém *myśleniem, duchem*, a ztąd *przeczeniem*. Filozofia rzetelna (to jest Logika, o której mówimy), za piérwszy moment pojęcia uważa *przedmiot*, to jest *naturę* w sobie, czyli rozlaną *prawdę*, (i ocenia jój pojęcie przez nasze *zmysły* i główną siłę ich, *rozum*); za drugi: stosowanie do zewnątrzności téj czyli *przedmiotu*, naszej myśli, naszego *podmiotu*, *wiedzy* (Logika autora określa kategorye czyli *blamy* jednych i drugich, podkategorye, wiedniki i t. p.); za trzeci dopiero moment łączący oba, *poznanie rzetelne*, który daje i objawia nam *rzetelność*.

Ta droga i ten system autora Logiki, czyliż nam dały istotnie system *rzeczywistości*? Ten system (system *rzeczywistości*) czyliż istotnie dotąd zdobyty nie był w drodze dociekań? A najprzód: czy szukanie i budowa równego systemu istotnie pożądane być winny? na co przydatne?—Na to tu odpowiedzieć raz jeszcze, i nad tém zastanowić się chcemy.

Szukać i chcieć zbudować system *rzeczywistości* w sferze poznania, jestto zapewne cel, głównie rozwagi dociekającej godny— to szczyt jój *missyi*.

Bieg dziejów, to zbiór uczynków; uczynki, to wpływ myśli. Jaki jest stopień, stan ukształcenia myśli pośród ludzkości, taki stan jój uczynków, jój bytu. Jeżeli stan, system myśli ludzkości w danym okresie jest dobrym, ale jednostronnie dobrym: tedy i uczynki, fakta tego okresu, lubo być mogą dobrymi, będą tylko jednostronnie dobrymi. Nie ukaże się stałe dobro i szczęście w bycie ludzkości, aż nie ukaże się piérwój poznanie ich; lub jaśniej (a mówiąc w odniesieniu do téj nauki, którą tu mamy za przedmiot) nie przyjdzie i nie objawi się piérwój wśród ludzi byt *prawdy* w *rzeczywistości*, aż nie ukształci się piérwój teoria *rzeczywistości* (1).

{1) Nauka katolicka chrześcijańska dostrzega i uczy, iż wprawdzie żadne dobro, szczęśliwość, nie schodzą na człowieka bez *łaski* Twórcy, lecz że na *łaskę* tę Twórcy, człowiek *wolą i pracą* ma zasługiwać. To, co dostrze-

Dotychczasowe metody, systemy, w sferze dociekań, nie doszły były i nie zdobyły istotnie, w swój treści, —rzeczywistości.

Bo oto obejrzelśmy i przypomnieliśmy właśnie, od czego w początkach wyszła, jakie koleje przeszła i do jakich wypadków doszła rozwaga w swych dociekaniach; i cóż widzieliśmy?

Widzieliśmy, jak roślina rozwagi w pierwszym swym wzroście (Grecya) wydała, to jest objawiła była żywo wszystkie zwroty swojej całości; jak uosobiła była w szczególności system sądu idealnego (Plato) i system sądu materialnego (Arystoteles); jak pierwszy ten system, będąc oderwaniem, nie życiem, wnet umarł i nie wszedł w życie; jak drugi, będąc przeciwnie życiem, to jest poznaniem życia, lecz życia w chwili, zmienił życie w część chwili; widzieliśmy wreszcie, jak dalej (to jest już niedawno przed nami) owa rozwaga ludzkości wzrosła i kwiat rozkwitła, a w tarczy kwiatu, wnet już w pierwszym jego objawie, okazała we wzroście i rozszerzeniu owe dwa sądy dawne, uosobione w dwóch wielkich systemach, to jest: *materialnym* i *idealnym*.

Teorie te dwóch tych systemów, jakież były w sprawdzeniu głównym, to jest w odniesieniu do *życia*, czyli *praktyki*?

Trzy są, rzecz można, sfery oddzielne a główne, w których myślenie człowieka przechodzi w stosowanie do życia, czyli teoria w praktykę.

Pierwszą daje stosunek człowieka do *siebie*, to jest do swego losu, a losu nieskończonego (co też przeto nazwać się może stosunkiem do siły twórczej), a sferę tę wyraża *religia*.

Drugą daje stosunek człowieka do innych ludzi, a sfera ta sprawia *dzieje*, ustawy, stosunki, urządzenia *społeczne* i t. p.

Trzecią wreszcie, stosunek człowieka do reszty natury, a sfera ta tworzy *przemysł* i *sztukę*.

Wypadki główne dwóch owych systemów, jakież były w odniesieniu do tych trzech sfer?

Wielki system filozoficzny z końca zeszłego wieku (zwany francuzkim), uznawszy za prawdę jedynie świadectwo zmysłów, za jedyne rzetelne *critérium* zdrowy zmysł (*bon sens*), i będąc w ten sposób systemem jedynie materialności, doszedł był, jak o tém już wzmiankowaliśmy, tylko do pewnych wypadków w zakresie materialności, a potępił przeciwny zakres.

Żonem zostało w zawodzie człowieka na krótszą skalę, dzieje się też pośród świata, ludzkości, na większą skalę. Nie znijdzie i nie zamieszka pośród ludzkości szczęście i dobro, aż nie zasłużą nań pierwój jej *wola i praca*.

Prawd religii takiej lub innej, z treści swój sięgających za zmysły, sprawdzić i uznać nie mogło owe *criterium*, i system ten co do sfery religii wyrzekł, iż fałszem jest wszelka (1).

W zgięciu do sfery sztuk pięknych, za główną w nich prawdę, piękność, uznał prawa ich materialne, pewne warunki formy (tak zwany później w każdej gałęzi sztuki *klassycyzm*).

Śród osiągniętych skutków w stosunkach, urządzeniach społecznych, wyrzekł: iż dostatecznym jest pośród tej sfery byt prawdy zewnętrznej (tylko zewnętrznej) (2).

Wielki znowu system filozoficzny z początku naszego wieku, zwany niemieckim, mieniący się być systemem *absolutu*, czyli *obustronności*, a który wznosił tak wysoko rozbiór idealności, w sprawdzeniu swój misji rzetelnej, w zwrocie do praktyki, stwierdził tylko czyniony mu zarzut, że jest systemem *wyłącznie* idealności, to jest: bez żadnych wypadkowych korzyści śród sfery praktyki.

System ten, uznawszy najwyższosc w *duchu* wszelkiej jedności (a duch ten oglądający w *pojęciu* jój), przy zwrocie do sfery religii uznał, że dobrą jest *każda* (3).

W zwrocie do sfery sztuki, ujawszy za żywioł jój *piękność*, piękność tę (to jest powody i sposób uczucia przez nas piękności) badał, oceniał, rozbiierał i nową nawet badaniu temu poświęconą naukę (*Estetykę*) utworzył; lecz odrzuciwszy przyznanie formy i potępiając ją, w estetykach tych mówił tylko o owój idei piękności, jako idei, i nie dawał wyobrażenia piękności (4).

(1) „*Toutes les Religions*, mówi *Dupuis* (główny reprezentant sądu religijnego owego systemu) sont filles de la curiosité, de l'ignorance, de l'intérêt et de l'imposture”. *Origine des Cultes*. I. Przedm. k. 13.

(2) System ten, jak wiemy, już umarł w swojej teorii. Kraj, który go był nosił, pochwylił był na czas jakiś za teorie następnego okresu, to jest niemieckie; dzisiaj wygląda nowój (*), a misją swą spełnia głównie równie docieceniami, jak praktyką pośród tej sfery trzeciej (to jest stosunków społecznych).

(3) Zatem do ogólnej *praktyki* żadna. Jestto wszakże przyznanie wszystkich dziś prawie teologów racjonalnych niemieckich, czyli protestantyzmu racjonalnego, jak o tém obszerniej niżej przy przejściu do praktyki.

(4) Ztąd też owo twierdzenie (od teorii piękności Kanta w jego *Kritik der Urtheilskraft* do Hegla i estetyków *szkoły Hegla*), że piękność sama sobie jest celem, czyli, iż jest żadną dla praktyki. Ztąd też o tych nie-

(*) Où se formera le foyer nouveau de la pensée européenne? l'avenir seul peut resoudre ce problème.” *Saisset*.

W sferze wreszcie stosunków społecznych doszedł i nawet określił *ideał* ich prawdy, ale sami wyznawcy systemu, w zastosowaniu i formach, umieli i umieją tylko powtarzać i naśladować te, do których już był doszedł system poprzedni, to jest reprezentujący go kraj (1).

Takie były, skracając przedmiot w trzech słowach, wypadki praktyczne dojść, dwóch ostatnich systemów filozoficznych, a wypadki te nie okazują jeszcze, widzimy, na zdobyty śród drogi dociekań system *rzeczywistości*.

I owszem, patrząc na te wypadki, te ostateczne dojścia myślenia i rozwijania rozumu ludzkiego przez wieków XXX, czyliż zamiast iść dalej i myśleć jako iść dalej, nie należy się raczej cofnąć, i wspierając się już na faktach, raz to przyznać: że żaden nie istnieje postęp w drodze dociekań, i owszem, że jest próżną i zgubną ta droga?

Istotnie: wieków blisko trzydzieści, wzruszona myśl do rozwagi, przebyła swego kształcenia, i czegoż doszła?—Filozoficzne dojścia wieku nowego czyliż są w czem postępniejsze nad starożytnie?

Po trzydziestu wiekach kształcenia się i rozwijania, myśl racjonalna ludzka dziś doszła, iż ma dopiero zaczynać od reformy logiki; a dwa ostatnie systemy, które wydała, *materyalny* i *idealny*, były tylko naśladownictwem i powtórzeniem tych, do których już był doszedł wiek stary.

W sferze *stosunków społecznych* powtórzyła tylko te dojścia, które miały już w praktyce dwa pierwsze kraje europejskie w starożytności.

mieckich estetykach wyraził się i sam krytyk niemiecki (krytyk, który pomimo nieprzyjazność ku sobie z powodu osobistości, uważanym jest jednak zawsze za jednego z najznakomitszych żyjących w Niemczech) *Wolfgang Menzel*: że „można przeczytać kilka tomów, poświęconych określaniu piękności i nie dowiedzieć się, co jest piękność.” Ma wprawdzie i literatura niemiecka estetyków i z najnowszych, jak *Bobrik* (w *Frejen Vorträgen ueber Aestetik*), *Grinpenkerl* i t. p., którzy piękność nie oderwane jako objaw idei bezwzględnej, lecz raczej jako dopełniającą część śród wszechharmonii (*Glued des Verhältnisses*) uważają, lecz estetyków tych, zwolenników filozofii niemieckiej *Herbarta*, równie jak i samą filozofią *Herbarta* (powołującą od pół wieku do praktyczności), nie za rzetelnych przedstawców swojej literatury sama krytyka niemiecka uważa.

(1) System ten jeszcze wprawdzie nie umarł, lecz lekko kona. Publikacje filozoficzne niemieckie z lat kilku ostatnich przeszły prawie wyłącznie, częścią w sferę *teologiczną*, częścią w *politykę*.

W sferze *ducha* wiek stary zaczął był swe dociekania od czci żywiołów i doszedł do *deizmu*; wiek nowy wyszedł z chrześcijaństwa, a doszedł do *ateizmu*.

Lecz oto: czyli jest potrzebną lub nie, dla ludzkości droga dociekań? uprawa rozumu? Zapytanie to razby wykreślonym być winno, powtórzmy, z liczby zapytań. Rozum jest organiczną częstką człowieka, ludzkości;—choćby jego uprawę przerwała i zaniechała połowa ludzkości, nie odrzuci i nie zaniecha jęj druga połowa. Jeśli przeto ten rozum, jego nauka, jeszcze są ułomnemi, zbawić tylko może ich ukształcenie, nie odrzucenie.

Czyli zaś rozwijane myślenie przedstawia porękę pewnego celu, nadzieję skutków? Lub jaśniej: czyli w drodze filozoficznego rozwicia, a mianowicie w filozoficznych pismach z czasu naszego, jest postęp przeciwko starym?—odpowiedzią na to jest już sama przyroda czasu.

Zakresem filozofii jest badać, rozważać to wszystko, co widzi wokół siebie, przed sobą. O ile więc przez te wieków trzydzieści wzrosły i rozwinęły się wszelkie gałęzie wewnętrznego i zewnętrznego życia ludzkości, o tyle i zakres pism filozofii nowój stał się bogatszym. *Odkrycia, wynalazki, gałęzie umiejętności, sztuka, nauki, dzieje społeczne, przemysł*, przemieniły prawie postać ludzi i świata przez wieki nowe. Wiek stary poprzedziły tylko prawdy *tradycji*; wiek nowy *objawienie ewangeliczne*. Z wiekiem nowym, z tym mężem z młodzieńca, wzrosłym, wzrosły *miłość, rozwaga* i wszelki *przymiot*, w całości drzewa ludzkości. Kiedy przeto systemata dawne objawiały się jako *oderwania*, nowe wnet do *stosowań* idą;—kiedy dawne kształciły tylko swą gałąź, nowe wszystkie jednoczą; kiedy słowem dawne *umierały* z swemi twórcami, nowe przechodzą w *massy*.

Jakiebykolwiek były dojścia *moralne, społeczne* i t. p. wieku starożytnego, ich losem była śmierć rychła.

Dwa wprawdzie systemy ostatnie nowego okresu w zwrocie do praktyki, a w zwrocie do sfery najgłówniejszej dla każdego człowieka (to jest obejmującej jego stosunek do siebie) doszły do *irreligii*; lecz okres, tę moralną roślinę, tak jak wszelką roślinę, mamy sądzić nie z cierni, nie z listków opadających, nawet nie z ziaren kwiatu, lecz *kwiatu*.

Jakież pisma i myśli stanowiły kwiat dwóch owych systemów?

Kwiatem dojść materyalnych, czyli filozoficzno-materyalnego okresu były, jako widzieliśmy, system i pisma *Locka*, idealnego-*Hegla*.

Locke wyraźnie w swych pismach oświadczył się wyznawcą chrześcijaństwa, i usuwając z przedmiotów badań *pojęciem* krai-
nę *ducha*, dodawał, że „o bytności i prawdzie téj sfery naucza
już *dostatecznie* wiara chrześcijańska” (1). Tych zasad trzymali
się też nieraz uczniowie i następcy Locka (2), i tylko wyklada-
cze i rozwijacze czystej teorii dodali w końcu: iż gdy wszystko,
co istnieje, znamy tylko naszym pojęciem; to zatem, co nie podcho-
dzi pod nasze pojęcie (sfera ducha w ogóle), nie istnieje.

Hegel, mówią zwykle sędziowie Hegla, wniósł w obszar
swego wykładu i swych dociekań *religią* jako rzecz *daną*, rzecz
bytu; lecz nie wyraził jawnie nigdzie, jakiej się trzyma. Zdaniem
naszym, wyraził się jednak i jasno.

Jest przysłowie: „powiedz mi gdzie bywasz, a ja ci powiem,
kto jesteś”; nader prościej wyraziłoby można to drugie: „powiedz
mi, co myślisz, a ja ci powiem w co wierzysz”.

Wypadki racjonalne systematu Hegla, jego twierdzenia
o duchu najwyższym, jego naturze, stosunku do nich człowieka
i t. p. byłyto, jak właśnie widzieliśmy, prawdy, jednobrzmiące
prawie z prawdami katechizmu chrześcijańskiego; te wypadki, by-
łyto następstwa dowolnych formuł;— autor więc, założywszy
w pomysł swego systemu zgodzić jego wypadki z twierdzeniami
chrześcijańskich prawd, widzimy, iż właściwie mówiąc, nie doszedł
był do uznania, ale już wychodził z przyznania tych prawd. Do-
wodami przeciw chrystyanizmowi Hegla zdają się wprawdzie być:
panteizm, który jest wyrazem jego systemu, i uznawanie w nim, iż
rozum wyższym jest nad wiarę, a nad religią filozofia. Lecz
oto jakiebykolwiek było pojmowanie przez uczniów danego sy-
stematu, tego jednak, jak pojmował go autor, najlepszym jest
świadkiem sam autor; a Hegel nieraz i wyraźnie odtrącał czyniony
mu zarzut wszechbóstwa (3). Przenoszenie zaś rozumu nad wiarę
i wynoszenie filozofii nad religią, w duchu systematu, jest odpo-
wiedniem tylko owym (o których wzmiankowaliśmy) twierdzeniom
samyh pierwszych apostołów nauki chrześcijańskiej: iż wiara
w prawdę jest wyższą, kiedy się łączy z *poznaniem* prawdy; iż wa-

(1) *Lock: An essay on the human Understanding. II. 2.*

(2) *Np. u nas.*

(3) Wskazujemy tu dla przykładu na jasną i obszerną w tym wzglę-
dzie protestacyą autora w jego *Estetyce*, w rozdziale *O symbolice w sztuce*,
zaczynając od słów: „Mitt dem Worte Pantheismuss” etc. *Heg. Werke. X. 469.*

zniejszą i przyjemniejszą jest Bogu służba rozumna, niż mechaniczna. Uczniowie Hegla rozdzielili się byli w Niemczech, jak wiadomo, na stronę tak nazywaną *prawą*, *lewą* i *środek*; nazwanie zaś strony prawej, to jest najjawniej zostającej przy chrześcijaństwie (jak *Schleiermacher*, *Rosenkranz* i t. p.) *konserwatywną*, jest już samo przyznaniem, że stanowisko to było i stanowiskiem pierwszego mistrza.

Duch owszem, którym umiał przejmować, do którego kierował Hegel, było duch, z którego wychodził (to jest z kart ewangelii czerpnięty); i najradykałniejsi z następców jego, jak w ogóle wszyscy nowi racjonalści niemieccy, różnią się tylko wykładem i pojmowaniem, lecz nie wychodzą z odrzucenia Ewangelii (1).

To jednak pojmowanie i wykład, którego się trzymają, do którego dochodzą ostateczni rozwijacze i stosowacze systematu; (jako między innymi pisarze, o których u dołu, wśród teologów *Lichtfreindy* i t. p.); to pojmowanie, które zachowuje samo nazwisko chrześcijaństwa, uznawanie Zbawcy za Zbawcę (z powodu nauki), cześć dla pisma, teoretyczny obowiązek *miłości* i t. p. jestże rzeczywiście chrześcijaństwem? Religia, wśród której odrzucone zostały z wiary: fakt zewnętrzny zbawienia, dogmata, kościół, proroctwa, uznawanie Boga jako oddzielność, nieśmiertelność dusz jednostkowych i t. p.; religia taka nie jest już wcale chrześcijaństwem. Religia tak uważana nie może nadać tych cech, wyrzucić tych wpływów na

(1) Głosił np. (zwłaszcza przed kilką laty) w irreligijnym niemieckim świecie, profesorowie teologii Dawid *Strauss* i Bruno *Bauer*, uczniowie Hegla, szukający imienia z nowych domniemań i przypuszczeń już co do początku, już co do wewnętrznego znaczenia Ewangelii, mają się tylko za krytyków literackich i historycznych w odniesieniu do pierwszych wieków chrześcijaństwa, nie za niechrześcijan (*Das Leben Jesu kritisch bearbeitet*, Daw. Fryd. Straussa. *Kritik der Evangelischen Geschichte der Synoptiker* Brunona Bauera). Twórca kierunku, który przez uznawanie żywego i najwyższego bóstwa w osobie każdego człowieka, powiódł był do utworzenia nowej szkoły *poetów*, *polityków* i t. p. pod nazwą: *Młodych Niemiec*, (a w którymto kierunku, w odniesieniu zwłaszcza do społecznej praktyki, odznaczyły się przed innymi *Roczniki Halskie*, a dalej *Niemieckie Arn. Ruge*) Ludwik Andrzej *Feuerbach* ma się tylko za komentatora chrześcijaństwa, i obok wyznawania zasad systematu Hegla, napisał owszem sam obronę tego systematu od zarzutu niechrześcijaństwa (*Ueber Philosophie und Christenthum in Beziehung auf den der Hegelschen Philosophie gemachten Vorwurf der Unchristlichkeit*, 1830). Przytoczymy tu wreszcie miejscowe świadectwo racjonalnego pisarza niemieckiego *Ottona Fock*, który w świe-

naukę, sztukę, społeczność, na wszelką praktykę, jakie musi rzetelne chrześcijaństwo. Tracąc swe obszerniejsze ramy, podstawę, cele, religia taka przestaje być owszem religią, i z religii chrześcijańskiej, tak przemienionej, nie kształci się bynajmniej, jak chcą niektórzy, nowochrystyanizm, ale tylko sturostoicyzm, którego żywotność i dalsze skutki już historycznie są znane.

Dwa ostatnie systemata, materyalny i idealny, zakończyły więc istotnie na irreligii. Te wypadki nie leżały w kwiecie systematów, w pomysłach ich pierwszych twórców, jednak wynikły z nich.

Zkądże to więc?

Ustęp ten wtrąciliśmy właśnie z umysłu, by odpowiedź sama z siebie wypadła.

Jeżeli ostateczne wypadki w logiczném rozwiciu założeń, przez systemata owe objawionych, nie wszystko dały nam z prawdy; jasnym jest, że w pomysle, budowie owych systematów, nie każda część była z prawdy. Jeżeli tych systematów wypadki przyniosły nam pewne prawdy w stronie materyalności i w stronie idealności, lecz nie przyniosły prawd łącznych, rzeczywistości; jasnym jest, iż ogół zasad w systematach tych, nie był z rzeczywistości.

W czémże leżał ten błąd? i na błąd ten, czyliż mamy prawo tu wskazać?

Mamy zapewne.

Nie daliśmy wprowadzić sami wykładu żadnego racjonalnego systemu, a przynajmniej nie objaśniliśmy go dotąd w oddzielnej

zo wydanej *Historyi Socynianizmu*, mówiąc o żywiole socynianizmu w dziesięjszej filozofii niemieckiej, uważa: iż gdy raz uważanie osoby Zbawcy jako *Boga-Człowieka* przestało być *tajemnicą*, a stało się *wiedzą*: wiedza ta łącząc się z teologią, nie może już być z dalszej drogi racjonalnej ludzkiej wytraconą: „*Wie die früheren philosophischen Systeme (mówi on tu między innymi) insuirierten natürlich auch diese letzten Gestaltungen der Philosophie (to jest mającej za treść die Einheit des Subject mit der Obiectivität) wesentlich auf die Theologie. Das Subject ward wiederum dazu hingeführt einen wesentlichen Gehalt in der Obiectivität der Schrift und Kirchen Lehre, so wie überhaupt der ganzen Kirchlichen Entwicklung anzuerkennen. Der Begriff des Gottmenschen war fortan weder ein unbegreifliches Geheimniss mehr, noch auch eine sinnlose Unmöglichkeit, vielmehr war er dieser Begriff, um den sich die ganze Blüthe den philosophischen und theologischen concentrirte.*”
Der Socialismus etc. I. 119.

książce, nie przeprowadzili przez szczegóły, dyalektyczny majestat, i cenimy majestat obcy. Jeżeli jednak wszelki mistrz, wszelki doktor ma prawo sądzić, rozierać wszelką księgę świętą, księgę proroczą, lubo sam nie jest prorokiem, sądzić świat i naturę, lubo sam równych nie stworzył: tedy sądzić o pismach, twierdzeniach samych tych doktorów i mistrzów, tém więcej każdy ma prawo.

A nadto: droga sądu odpowiednią być musi rodzajowi sądu; jeśli manowym być zarzut, tedy i droga; jeżelibyśmy np. za przedmiot zarzutu, jak filozofii w ogóle, tak w szczególności najnowszej, to mieli, iż jedną z cech jęj jest *wielomówność* i *próżnomówność*, iż z nauki *badania* prawdy, uczyniła naukę *gmatwania* jęj, że swoje treść, swe nazwisko zatarła i przemieniła dziś wyłącznie na *dyalektykę*: oczywiście nie mogliśmy zaczynać sami od dyalektyki.

Nietylko autor, nad którego teorią mamy się zastanowić głównie, ale i wszyscy poprzednicy autora Logiki (do Talesa), dając system, mniemali i za cel mieli dawać system *rzeczywistości*, jakkolwiek bez używania tego nazwiska. Tenże zamiar i chęć mieli i najnowsi filozofowie; a jeśli przyprowadzali sumę wykładu rzeczy w ostatecznym pierwiastku do swych *zmysłów* lub *myśli*, to dlatego, że lub wyłącznie w *zmysłach*, lub wyłącznie w *myśli* oglądali tę *rzeczywistość*.

To konieczne, gwałtowne, a jednomyślne prawie skrećanie pierwiastków rzeczy do absolutu (*idei* lub *bezwzględności*), w czémże źródło? i jakie miało następstwo w samym wykładzie?

To gwałtowne skrećanie pierwiastków przez twórców systematów do *jedności*, jakoby prawdy *bezwzględnej*, miało źródło praktycznie w *miłości siebie*, to jest w przyznawaniu pojęciu swemu, możliwości oglądania *prawdy bezwzględnej*.

Budowanie i kształcenie systemów na równym gruncie odbijać w sobie musiało jego właściwość. Brak rzeczywistości w zasadach zastępowanym być musiał tworzeniem, mnożeniem formuł, potokiem słów, rzecby można: zagadywaniem sumienia. Równa cecha stała się cechą wyłączną sfery dyalektycznej. Filozofowie nawet, którzy pisali księgi z istotnej miłości prawdy, dla rzetelnych praktycznych korzyści, nie mogli, czy też nie śmieli oswobodzić się od tej cechy. Wykładając naukę *śród* świata, *śród* złości świata, umieli może oni *śród* sfery treści przestrzegać pewną roztropność, ową może, jak się wyraża Pismo św. (które wszyscy za wyłączne hasło na końcu wzięli): „mądrość węzów”;

ale nie wypełniali w metodzie drugiej części téjże przestrogi, która właśnie objęła i przekazała metodę, to jest: *prostoci gołębi* (1).

Brak prostoci, który się odbił w wykładzie, okazał w ten sposób błąd źródła, to jest, iż w ocenianiu pierwiastków (utworzonym miłością własną), tkwił także ten brak prostoci.

A jednak gdybyśmy idąc po drodze racji, nie szukali nawet gdzieindziej przestrogi, jak w samej racji, i w tym razie za mogącą nas zbliżyć najprędzej ku prawdzie, i z naturą pojęcia naszego jedynie zgodną metodę, powinniśmy właśnie przyznać tę *prostoc*.

Nasze pojęcie ludzkie, pojęcie to, którem musimy sądzić, dociekać, jest to pojęcie nikłe, porąbane, ułomne. Cechą jego nie jest wprawdzie *najniższoc* (jak to wskazuje nam widok pojęć innych otaczających nas istot), nie jest też jednak *najwyższoc*.

Iż udziałem pojęcia naszego nie jest najwyższoc, jasnym dowodem jest to: iż są byty, przedmioty, które podchodzą wprawdzie pod nasze *pojęcie*, a jednak przechodzą jego *objęcie* (jak np. czas bez początku, przestrzeń bez granic, połączenie woli i konieczności i t. p.). Stosunek pojęcia ludzkiego do pojęć niższych, zwierzęcych, objaśnia nam jego przyrodę.

To zwierzę, które biega po ziemi, w drzewach, kwiatach, budowach, wszelkich szczegółach zjawisk, które spotyka, ogląda jedynie *różnoc*; od piasku do gwiazd-na niebie;—od gałązki kwiatu na łące i skrzeli rybięj, do łapek zwierząt i ręki ludzięj;—wśród wszelkich rodzajów zjawisk,—to przed okiem człowieka zbiór *podobienstwo*. Robak na błoncie ziarnka, w środku owocu, patrzy na te ziarnka, na błonkę, sok, mięsność owocu, jako na *oddzielności*; okrąg jego ma za okrąg wszechświata, i ani się domyśla zapewne (choćby rozmyślał), że za tą granicą jest człowiek i jego oko, który ów cały owoc ma za *jednoc*. Człowiek dochodzi praw pewnych w budowie owocu, roślin, w stosunkach i znaczeniu tych roślin, kamieni, zwierząt, wszelkich szczegółów ziemi, szczegółów dziejów, wszechświata; i domyśla się owszem, że za granicami tego wszechświata istnieje jakieś najwyższe Oko, które w wewnętrznej i zewnętrznej całości tego wszechświata (jak on w owym owocu) ogląda *jednoc*.

(1) „Bądźcie tedy mądremi jako węzowie, a prostemi jako gołębi-
ce” (Mat. X. 16), to jest przepis, który podał Zbawca za godło, dla przepowiadających wśród świata naukę zbawienia.

Zwierzę w sferze zewnętrznej widzi więc tylko różność, najwyższe pojęcie *jedność*; my—*podobieństwo*. Zwierzę w sferze wewnętrznej ogląda we wszystkiem zamęt, najwyższe pojęcie *cel*; człowiek *harmonią*.

Nasze pojęcie ludzkie jest więc *pośrednie*; umie ono zgadywać, *jakiem* najwyższe być może, i t \acute{e} m sam \acute{e} m wyznaje, iż ni \acute{e} m nie jest. W tym losie, śród tego stanu, znać nie może żadnej prawdy bezwzględnej; co zna bowiem, to zawsze wzgl \acute{e} dn \acute{e} m być musi do jego skali; zna ono tylko *pośrednio*, przez przybliżenie, czyli, jak zwykliśmy mówić: *figurycznie*.

Jeśli jednak pojęcie to nasze nie jest z przyrody *najwyższe*, nie jest *t \acute{e} ż* *stanne*; nie jest *stanne* w doskonałości (jako *najwyższe*), ani w *sw \acute{e} m* przytepieniu, (jak zwierząt). Losem jego jest *ruch*, więc *dążenie*.

Dążenie to być może w kierunkach wprost sobie przeciwnych; jasnym więc jest, iż: jeśli jeden oddala, drugi przybliża; jeśli jeden przybliża, drugi oddala od stopnia prawdy.

Mamy więc za powinność i *dążyć*, i w t \acute{e} m dążeniu *rozróżniać*, a *rozróżniać* pojęciem, które nie jest zdolnym znać prawdę. Jakiz więc środek?

Nik \acute{e} m jest i ułomnym, jak ciało, to pojęcie, które dan \acute{e} m jest człowiekowi; skoro jednak jest dan \acute{e} m, oczywiście wystarczającym być musi dla potrzeb, dla celów człowieka. Wszelka prawda ludzka o tyle jest prawdą, o ile jest dla tych potrzeb. O tyle jest dla tych potrzeb, o ile mieć może *wpływu*. Pierwszym warunkiem więc tego, co mamy przyjąć, co mamy podać za prawdę, jest zgodność z t \acute{e} m, co jest na dnie pojęć każdego człowieka, na dnie pojęć prostaczka, równie jak mędrca, lub jaśniej: zachowanie t \acute{e} j cechy, którą jest *prostota*.

Wszelki gmach moralny, nauka, wtedy tylko będą prawdziwe, wtedy żywotne, gdy mają za podstawę ten grunt (1). Grunt ten, czyli dno pojęć ludzkości, poznamy za \acute{e} s, i z nim zgodzimy się wtedy, kiedy zgodzimy się najprzód z własnym;—to jest: skoro za prawdę podawać to tylko będziemy, co sami przed sobą mamy

(1) Wszelki człowiek *prosty* wie o t \acute{e} m np. że kamień, z wysokości ciśniony, prędzej doleci ziemi, jak pi \acute{e} rze; że stół w kącie mniej jest oświetlonym od tego, na którym jest świeca;—lubo może nie wiedzieć: że prędkość ciał *spadających*, rośnie w stosunku *kwa \acute{d} ratów* z czasów; że światło słabie w stosunku *kwa \acute{d} ratów* z odległości. Twierdzenia te obce są dla tych, dla których są obce optyka i dynamika; *przeciwnie* jednak nie są *prostotą*, gdyż w samym gruncie zgodne są z t \acute{e} m, co zna prostota.

za prawdę. Miłość własna, brak obcej, wzbrania zwykle, i ledwie niezawsze (we wszelkich rodzajach pisma) ofiary tej. A jednak zawodowi człowieka, jak zawodowi ludzkości, a zawodowi ludzkości, jak zawodowi człowieka, zakreślone zostały pewne koleje, droga, pewna *czasowość*; więc pewna *skala* bytów i pewien *stopień* poznań na dane chwile. Przebyciem tych chwil według prawdy, więc krokiem przybliżenia się ku niej będzie: *stopień zgodności* z tą *czasowością*. Jeżeli fałszem jest wsteczność, fałszem i *przeskok*. Przeskokiem właśnie jest podawanie pojęć naszych za znające prawdę bezwzględną, gdy jeszcze jesteśmy w epoce pojęć względnych. *Dojście* do prawdy w czasie i *zatrzymanie się* według czasu, bez podawania za prawdę tego, czego sami przed sobą nie mamy za prawdę, jest krokiem *żywotniejszym* i *postępniejszym*, niż wszelki *przeskok* (1).

Taką być winna metoda i tak pojmujemy metodę *prostoci* sądu. Z niej wychodząc, jakże ocenimy pierwiastki rzeczy, o których sędzimy? a w szczególności nas samych, którzy sędzimy?

Idealisci, a na ich czele Plato, twierdzili i twierdzą, jako widzieliśmy, iż wszystko co nas otacza, to nasza myśl. Plato sądził, a przynajmniej tak utrzymywał, iż sądził, iż ta przyroda, która go otaczała, nie było w rzeczywistości przyroda, lecz jego myśl. Plato umarł, i z nim myśl jego; — dziś jednak po wiekach dwudziestu patrząc na naturę i świat, widzimy też same szczegóły, które określał Plato: — w *prostoci* sądu wyznać więc i przyznać musimy, że równą prawdą jak myśl, jest i *przyroda*, czyli *materya* (*ciało*).

Materyaliści równie nowi, jak dawni, uznawali znów i twierdzili, jakżeśmy to widzieli, przeciwnie; iż *myśl* jest *nikłością*, *ułudą*; jedyną zaś jest prawdą natura, która trwa, i to tylko natura zmysłowa (to jest, o której przekonywają nas zmysły), czyli *materya*. Lecz oto, jak myśl, równą ułomnością i znikomością są

(1) Tę potrzebę gonienia prawdy i metodę w gonieniu jej, jasno właśnie wyraził *apostoł Paweł*, pisząc do *Philippensów*: „Bracia! jać o sobie nie rozumiem, iżbym już uchwycił (ulaczegom od Jezusa Chrystusa jest uchwycony); lecz jedno czynię, że tego, co nazad jest, zapamiętywając, a do tego się, co przedemną, ciągnąc. Którzyśmykolwiek tedy doskonali, toż rozumiemy; a jeśli co inaczej rozumiecie, i toć wam Bóg objawi. Wszakoz do czegośmy przyszli, abyśmy toż rozumieli, w témże prawidle trwajmy.” *Philipp. III. 12-16*. Uznawanie za Starego Przymierza przez pojęcie hebrajskie, oczekiwanego Messyasa jako zbrojnego wodza, nie było zgodne z prawdą bezwzględną, nie było jednak fałszem na swoją chwilę.

nasze *zmysły*, ułudą i ułomnością więc równie być musi i sąd ich. Jakóż istotnie to, co nam się widzi np. światłem, kolorem, ciepłem, przestrzenią, miarą i t. p. nie jest rzeczywiście w sobie ani światłem, ani ciepłem, ani tą, albo inną wielkością i t. p. (kropla wody dla wzroku w niej żyjątek, jest przestrzenią bez granic, cień nocny przed okiem innych stworzeń jest światłem, daguerotyp chwyta rysy w naszej ciemności i t. p.); lecz tylko są takimi w odniesieniu do naszych zmysłów, i ztąd określonego uczucia przez naszą myśl. Prawdę rzeczy, czyli ich rzeczywistość stanowi więc nietylko treść ich taka lub inna, lecz téż i nasza *myśl*.

Ciało w sobie i nasza *myśl* o tém ciełe, sąto dla nas dwie równej prawdy rzeczywistości każdego z przedmiotów danych, o których sądzymy.

Myśl i *ciało*, sąto tém więcéj dwie równej prawdy rzeczywistości, składające nas, którzy sądzymy.

Lecz oprócz tych dwóch, głównie rozróżnionych treścią pierwiastków, oprócz *ciała* i *myśli*: czyliż nie wchodzi jeszcze w nasz skład jaki trzeci pierwiastek?

Na skład ten zwracaliśmy już uwagę wyżej, i zwracamy ją znowu.

Dzieje ludzkie kształci *czyn* ludzki, oraz *myśl* ludzka. Te dzieje: to pewna zgodność, pewna harmonia. Tę harmonią dzisiaj dopiero (po pewném rozwiciu wieków) *myśl* ludzka dojrzała, dawniej nie znała;— i nie zna jój szczegółów drobnych tak przyszłych, jak i dzisiejszych. Jeśli przeto jój w szczegółach nie zna, nie znała, a jednak ją sprawiała i sprawia: oczywiście więc tkwi w niej jakiś trzeci pierwiastek, który nią nie jest.

Uważano i nieraz, iż zawód jednostki ludzkiej, wielki czy-mięcéj przewrót moralny albo fizyczny (społeczny), jest fatalicznym. Istotnie: jednostka dana, która się rodzi na to, aby ów przewrót sprawić, musi go sprawić. Jest ona jeszcze w kolebce, a wkoło kształcą się już żywioły, dopełniają rozwicia, dla ujrzenia, przyjęcia tych, a nie innych skutków, które przyjść mają. Jednostka ta co do siebie, jeszcze z lat dziecka wszelką słabość przemoże, zgubnych przygód uniknie, tych a nie innych rozmów i nauk będzie świadkiem, ten a nie inny obierze zawód;—rośnie, wypełnia *missyą*, a świat zowie ją dzieckiem *fatum*, Opatrzności narzędziem i t. p. To wszakże, co jest widoczném w zawodzie

takiego (to jest wielkiego) człowieka, istnieje także, lubo na skalę mniejszą (i dlatego widocznym nie jest) w zawodzie *każdego*. W harmonii harmonijnym jest wszystko, a *całość* składa się z *części*. Wyjrzyjmy np. w godzinie rannej na dane miasto, na ten tłum dwiema stronami ulic, w dwóch przeciwnych kierunkach idący. Każdy z tłumu iść mniema we własnej sprawie, i istotnie idzie we własnej;—różność spraw tych, to zamęt przed okiem chwili, ale oto łączność tych spraw, ogół zamętu, kształci dalej ten a nie inny charakter dnia, dnia roku, a lata wieku.

Kiedy zatem raz przyznać musimy (nie przyznać zaś nie możemy), iż w budowie wszechświata i dziejów, w biegu ich szczegółów jest *jedność* nie ślepa *różność*, jest *harmonia* nie zamęt, *rozum* nie *przypadkowość*; więc też wyznać i przyznać musimy: że w skład pierwiastków człowieka, który te dzieje kształci *myślą* i *ciałem*, wchodzi jeszcze jakiś pierwiastek trzeci, jakies *towarzystwo tajemne*, które nie jest ani *myślą*, ani *ciałem*, ale które kieruje *myślą* i *ciałem* danej jednostki do jednej ogólnej harmonii z innymi ciałami oraz *myślami*;—które kieruje *krokami* ciała, kiedy to nie wie jeszcze, coto jest *krok*; kieruje *zwrotami* *myśli*, kiedy ta nie wie jeszcze, iż *myśli*;—które pokierowało niegdyś *ludzką* do ukształcenia okresów takich, nie innych;—które już posuwało, już zatrzymywało (w całym okręgu jej) na pewnych stopniach jej *czyny*, *myśli*, *pojęcia*, w okresach owych;—które już posuwając, już powstrzymując, toż czyni dzisiaj;—które przeto *zawsze równie świadome*, *równie wszechsilne*, ani *rośnie*, ani *rozwija się*, a zatem *nie jest materją*; nie jest ani *materją* widzialną (jaką jest *ciało*), ani *materją* niewidzialną (jaką jest *myśl*); lecz według powszechnego nazwania istności, która nie jest *materją*—jest *duchem*.

Do uznania wprawdzie bytu tego pierwiastku dochodzimy *myślą*; lecz oto i sam byt *ciała*, jego obraz i żywioł taki nie inny, oznaczamy *myślą*; jako więc przed prostością sądu naszego, rzeczywistością, nie *myślą*, jest *ciało*: tak podobnie rzeczywistością w sobie, nie naszą *myślą*, jest i *duch*.

Uznawanie rzeczywistości tej, tego pierwiastku, nie jest też wcale skutkiem jakiegóś przesady, lub jakiegóś wysiłku w sądzeniu; byt jego uznaje owszem w codziennych rozmowach wszelki prostaczek, i przy każdej powieści, przy każdym słowie zowie go *wolą Bożą*, *potęgą Bożą* i t. p.

Trzy więc odmienne treścią, kierunkiem, pierwiastki, składają każdego człowieka: materya widzialna, materya niewidzialna, oraz towarzyszenie tajemne; lub jaśniej:

CIAŁO, MYŚL, DUCH.

Narzędziem w nas czynności pierwszego z tych pierwiastków jest *zmysł*, drugiego *umysł*, trzeciego *natchnienie*. Stan doskonałości pierwszego zowiemy wyrazem zbyt znanym i powszechnym w rozmowie codzienną *zdrowie*; drugiego *rozum*; trzeciego *proroctwo*. Stan doskonałości samego pierwiastku pierwszego (ciała) zowiemy *piękność*, drugiego *mądrość*, trzeciego *świętość* (1).

Te są, według nazwisk użytych przez wszystkie języki ludzkie, a widziane prostotą sądu, trzy równą prawdy i równą rzeczywistości pierwiastki składu człowieka. Te pierwiastki nie są jednak całkiem równością w działaniu, więc i znaczeniu. Pierwiastek pierwszy i drugi są owszem w działaniu swoim uległe zawsze trzeciemu, to jest; iż nie oddzielnie działają *ciało*, *myśl*, *duch*, ale że w każdym kroku ciała, każdym zwrocie myśli, jednoczesną jest *assystencya ducha*, lub jaśniej: iż formą, któraby wyrażała pierwiastki człowieka, nie jest:

ciało + myśl + duch

ale:

DUCH { CIAŁO
MYŚL.

W tém jest wszystko, mówiąc dyalektycznie. W oznaczeniu tém leży oznaczenie pierwiastków według *rzeczywistości*. Oddalanie się lub zbliżanie do téj formuły w uznawaniu owych pierwiastków, jest miarą oddalania się albo zbliżania danego systemu wiedzy do systemu *rzeczywistości*. Nieuznawanie tych trzech pierwiastków, lub téż wnoszenie ich z mowy powszechnéj do rozumowych wykładów istoty rzeczy, nie w ich znaczeniu prostém, jest i było główném i pierwszém źródłem krzywości systemów, to jest fałszów w ich *założeniach* i (co ztąd iść musiało) fałszu w drodze *wywodów*, fałszu w *wypadkach*.

(1) Prosty wzorzec składu ludzkiego taki więc jest:

Pierwiastki składające człowieka	ciało	myśl	duch
Narzędzia tych trzech pierwiastków	zmysł	umysł	natchnienie
Stan doskonałości narzędzi	zdrowie	rozum	proroctwo
Stan doskonałości pierwiastków	piękność	mądrość	świętość

Starożytni w oznaczeniu pierwiastków, składających całość człowieka, rozróżniali *ciało, ducha i duszę* (*sōma, nus, psyche*;—*corpus, spiritus, anima*). Dusza w tém rozróżnieniu najbliższą tam była tego, co rozumiemy przez *myśl* (1); nie uważaną jednak była za tę materią niewidzialną, która jest narzędziem i sługą ducha, jak jest w istocie, ale za pierwiastek ożywiający (*anima*), za żywioł, do którego należały równie uczynki (obyczaje), jak myśli (2); za *duch* zaś miano tylko pierwiastek fizyczny (powietrze) w składzie istoty (3).

System *materyalistów* nowych, jak to widzieliśmy, z wykładu istoty rzeczy odrzucał ducha; wyrazem więc jego był wzorzec:

Ciało + Myśl,

a wzorzec ten powiódł prosto do odrzucenia dalej przez szkołę połowy nauk, z rozwicia moralnego wynikłych;—do odrzucenia z budowy świata, rzecz można, wszystkiego, do niewytłumaczenia niczego.

System Hegla uznał za duch *ideę* do stanowiska łączącego przedmiotowość z podmiotowością (jakoby myśli i ciała) dochodzącą; wyrazem więc tego systemu stała się formuła:

MYŚL }
CIAŁO } DUCH.

Duch, który według rzeczywistości, jak właśnie widzieliśmy, jest *źródłem i kierownikiem* rzeczy, w systemacie tym przedstawił się jako *skutek, wypadek, rzecz można, utwór*. Duch ten nadto będąc tu wziętym za jednoznaczność z *ideą*, wziętym został za jednoznaczność z *myślą*. Ta podwójna w zasadzie błędność (*nierzeczywistość*), doprowadzić też musiała w dwóch drogach do błędnych następstw. Błąd pierwszy, czyli uznawanie ducha za skutek, powiódł (wyznawców szkoły) do *panteizmu*; błąd drugi, to jest uważanie myśli za ducha, do oglądania *najwyższych istności* w jednostkach ludzkich (4).

(1) W tém też znaczeniu idąc za powszechniejszém rozumieniem, mówiliśmy o dziejach tych trzech pierwiastków w artykule: *Rys historyczny ośw. Słowian*, w oddziale: *Ogólne wnioski*. Bibl. Warsz. 1841, wrzesień.

(2) Atque *animae* quidem virtutes, ita distribuimus, ut alias *morum*, alias *cogitationis* esse diceremus. *Aristotel. ad Eudemum* V. 1.

(3) Est autem *spiritus* fluxus aeris in longitudinem continuus. *Arist. Meteorologicorum*. IV, § 109.

(4) „O naturze filozofować, mówi Schelling (w *Natur Wissenschaft* p. 3) jest to samo, co naturę tworzyć.” „Bez człowieka i świata, bez któ-

Te jednak dyalektyczną formułę przyjęli i przenieśli przed kilką laty niektórzy z najznakomitszych naszych pisarzy do naszej literatury, i mimo odrzucanie następnie jawne w późniejszych swych pismach systematu Hegla i tworzenie dyalektyki nowój, przy owém raz zagmatwaném użyciu znaczeń owych trzech pierwiastków, pozostali (1).

rych i w którychby się odbijał, Bóg nie byłby Bogiem, Bogiem zupełnym. (*Heg. Religion's Philosophie*).” Te i tym podobne twierdzenia, następstwa założeń, były nader liczne w pismach samych twórców spekulacyjnych systematów, jakkolwiek wprost wychodzących z chrześcijaństwa; twierdzenia te krok już tylko przedzielał od następstw, o których mówimy.

(1) Stosujemy to właśnie do dwóch pism, o których wspomnieliśmy wyżej. *Duch* w nowo wydanej *Logice* przez *J. Kremera*, dyalektycznie brzmionym jest od jedności z *idea* Hegla, nieprzywrócone tu mu jednak należne (to jest: oparte na rozumieniu powszechném) znaczenie. *Duch* w *Logice* tej jest drugą kategorią idei (jako wyniku pojęcia przedmiot-podmiotowego), i dopiero w połączeniu z kategorią pierwszą (żywotem), daje osobowość bezwzględną (bóstwo). Bóg autora nie jest więc duchem czystym i przedstawia się nam równie jak i idea Hegla, nie jako *pierwiastek* i *Twórcza*, ale jako *wynik* i *utwór*. W jednostce ludzkiej duch ten jest wpływem, następstwem myśli, nie zaś jej źródłem. „Dusza, mówi autor, wznosząca się do *świadomości* siebie i *uznania się* jako podmiot, jest (staje się) duchem” (§ 177). Teorya ta nie przypuszcza więc obecności ducha w dzieciach, kobietach, prostaczkach i t. p. Pierwiastek ducha nie jest też uważanym przez autora jako czynnik, a jeśli kiedy uważanym jest jako czynnik, tedy nie jako czynnik świadomy. „Nie od ducha, naucza autor, zależeć będzie, czyli się wola jego ziści i uda, czyli przypadnie w świecie; ziszczenie oddane będzie *przypadkowi*” (§ 194). Przez pierwiastek więc ducha rozumie autor *Fenomenologii* i *Logiki* raczej pierwiastek myśli, jak ducha rzeczywistego, lub raczej rozumie wprost *idea* owego systemu, który w głównym pomysle za bezbłędny uznał; co też mimo opozycją co do wypadków i zmiany w częściach wykładu, sam nieraz jawnie wyznaje: „Duch, mówi, obejmując trzy pierwiastki w sobie, będąc podmiotem, a razem pojedynczością, jest więc rzeczywiście *idea*” (§ 178). „Duch, jako idea siebie wiedząca, ma zadanie, by siebie roztoczyć, rozwinąć, *poznać*” (§ 197).— Autor *Filozofii* i *Krytyki* przez ducha rozumie istność duchową, łączącą rozum, wyobraźnię i wolę. Wydany przez autora *System umnictwa* przedstawia nam ducha dopiero wśród sfery *wyobraźni*, to jest: nie na stanowisku nawet *dwójcy* (jak się sam wyraża), ale na stanowisku drugiego swego przymiotu. Nie znamy więc jeszcze dobrze ducha autora; z tego jednak, cośmy poznali, widzimy także: iż to jest nietyle duch rzeczywisty, ile raczej wielbionego przezeń-niegdyś systemu. „Duch, mówi autor w *Systemie umnictwa*, jestto jedność *ideałów* i *sił*” (III. 127). (to jest źródło światła *moralnego* i światła *smysłowego*). Określenie to jest zupełnie zgodne z rzeczywistością. Duch ten jednak w przeprowadzeniach autora, zmienia

Autor *Filozofii uniwersalnej i Logiki*, o którym mówimy, nie tylko wszakże nie przyjął tej formuły, ale przeciwko niej no-

dalej naturę swą twórczą i zamienia się w utwór. Sztuka, nauka, dzieje, sama natura, jest to stopniowe *rozwijanie się ducha* według autora (*Estetyka*). Przyznając w *Systemie umniactwa* formy istujące w boskości i wykładając formy *przechodnie*, mówi: „*Wszehobecność* (Boża) zapełnia przestrzeń, *wszehroszów*, czas, *wszehmożność*, wreszcie jest popędem wszehmocy do zapełnienia *siebie samęj*” (IV, 320). Autor oświadcza się wprawdzie wyraźnie, iż utworu wszehmocy nie ma za jedność z wszehmocą; iż te plody idei rozwijającej się uważa za *przedmiotowość duchową*, nie zaś za *duch przedmiotowy*; iż innobyt stworzony nie ogranicza Stwórcy; i dodaje: „Nie ma zatem w tym naszym orzeczeniu panteizmu idealnego.” Widzieliśmy jednak, iż protestował i Hegel, że nie jest panteistą, lecz następcy za *dialektyką* idą, a protestacye mistrzów na karbich czasowej wsteczności kładą. Ta *przedmiotowość duchowa*, którą autor różni od *ducha przedmiotowego*, w gruncie jednak barcziej jeszcze jest samym duchem w systemacie autora, niż ów duch przedmiotowy; autor ją bowiem za *formę* ducha, za *kształt* jego jedynie dla nas jasny uważa. „U nas, mówi autor, idea (duch) nie będzie mogła istnieć niezawisłe, ale musi koniecznie, *aby istnieć mogła*, wystąpić w obłoczy swojej *formalnej*. Idea w naturze (duch w świecie) nie jest zatem w swoim innobycie, ale w swojej formie, i krom tej formy, nie ma ani innego pojawu, *ani innego istnienia*” (IV, 225). „*Przedmiotowość duchowa*, mówi także, wyraża wprawdzie ducha przedmiotowego filozofii rozum, ale *go* przedstawia nie w samym myśleniu, *lecz i formie razem*” (II, 26). Autor więc dobrze wyraził: iż niema w jego systemie panteizmu idealnego, jest bowiem *praktyczny*. Ztąd też autor nie przypuszcza, iżby Bóg mógł istnieć bez świata, albo oddzielnie od świata: „Bóg sam nie istniałby, mówi, gdyby się wciąż nie objawiał”, nie dopuszcza początku świata;— a mając rozwijanie się uczuć i myśli za *rozwijanie się Boże*, zdaje się nie wleźć istnieniu jakiegobądź złości, fałszu wśród świata (przynajmniej mimo wielostronny wykład rozwicia natury, nie znajdujemy o tej stronie wzmianki); nie przypuszcza upadku, i tym samym faktu zbawienia ludzkości (ludzkość ma za idącą od wielu Adamów); i t. p. Autor głosi się wprawdzie w zasadach swych religijnych nie tylko chrześcijańskim, ale katolicko-chrześcijańskim, wskazujemy więc tylko na racjonalne skutki nierozróżniania pierwiastków. „*Rozum, wola i wyobraźnia*, mówi autor, są to trzy władze ducha, jakkolwiek wszystkie trzy razem są *jednym duchem*” (III, 2). Rozum, to *myśl*; wyobraźnia mimo to wszystko, co mówi autor, to tylko przymiot myśli, a nie oddzielność myśli (nie ma istoty myśli bez wyobraźni, ani istoty wyobraźni bez myśli), więc także *myśl*; wola, to *żywość*. Autor *Systemu umniactwa* przez *duch żywy*, rozumiał więc tylko *myśl żywą*.

Na str. 486 *Estetyki* autor mówi: „*Jest w nas coś, nad czem nie mamy panowania, jest coś, co tworzy, a nie jest utworem woli naszej, i dlatego tworzy bez wiedzy ducha naszego.*” Wyznajemy toż właśnie, lecz tylko wyrażamy się proszą tak: jest w nas coś, co tworzy bez wiedzy *myśli* naszej; to zaś coś, które w nas tworzy, jest to *duch*.

wą postawił. Moment wypadkowy autora: *poznanie*, z założenia nie ma być czystą myślą, ideą, ale ma być złączeniem świadectwa ciała i myśli, uczucia i sądu, wiedzy i wiary. W założeniu tém postawionym zapewne został krok wielki do pomysłu, budowy, systemu *rzeczywistości*; autor Logiki jednak nie odróżnił także pierwiastków według *rzeczywistości*, i dlatego rozwinięcie systemu, nie rozwinęło w drodze prostej tego pomysłu. Za władzę główną, która odróżnia nasze świadectwa ciała, czyli zmysłów, uznanym został przez autora *rozum*; za władzę, stanowiącą świadectwo myśli, *rozsądek*; poznanie więc, które powstaje teoretycznie ze zbioru: *rozum*, *rozsądek*, czyli *myśl + myśl*, nie może być niczém inném, jak *myśl*. Sam autor Logikę swoją nazwał tylko processem *myśli*, (*Myślini*), a za warunek, czyli świadectwo zamienienia się téj myśli w *poznanie*, podał tylko (nie bytność w niém zgodności *uczucia*, lecz) samodzielność. Zpatrując się więc nawet według prostoci sądu na wywód autora, to jest: sądząc nie z podchwycenia wyrazów, ale z tego, jak je sam pojmował, to jest biorąc rozum za ciało, a myśl za ducha, wypada zawsze, iż wzorcem jego systemu nie będzie ów *rzeczywisty*:

$$\text{DUCH} \left\{ \begin{array}{l} \text{CIAŁO} \\ \text{MYŚL,} \end{array} \right.$$

ale, że *zarzeczywisty* podał następny:

$$\left. \begin{array}{l} \text{CIAŁO} \\ \text{DUCH} \end{array} \right\} \text{MYŚL.}$$

To powód główny; mamy zaś teraz szczegółowiej ujrzyć: w czém nadto, i dlaczego oddalił autor swój wykład od wykładu *rzeczywistości*; a to

- 1, w oznaczeniu i rozwinięciu *władz i kategorii*;
- 2, w zdobytém *critérium*;
- 3, w wypadkach teoretycznych, które otrzymał na zasadzie tego *critérium*.

(Dalszy ciąg nastąpi).

FANTAZJA.

Już wszechmogącym słowem Jehowy,
Staął w swych zrębach widomy świat;
Pierwszy poranek świeży, majowy,
Błysnął jak zwiastun szczęśliwych lat;
Już różnobarwnych istot tysiące,
Pozaludniały i las, i źródło,
Swobodny rumak bujał po łące,
Skowronek hymn już zanucił swój.

Wówczas to pana chcąc dać naturze,
Coby wyroki swe ku niej stał,
Przewodził wiehrom, hamował burze,
Bóg duszę w człowieka wlał.

I dał mu duszę rozumną, wielką,
Coby z uznaniem hołd swój niostał Pana,
I była jasną na ziemi kropelką,
Z nieskończonego bóstwa oceanu!

I stał już człowiek świata pan,
Z wieńcem na skroni,
Z berłem w dłoni:
Lecz chociaż władcą świata dan,
Czemuż łzy roni?
Szuka ustroni?

Bo Bóg w wyrokach swych niedociężony,
Wraz samym tylko rozumem go darzył,
Aż kiedy ujrzał, że człek przygnębiony,
Ze smutkiem w duszy, z boleścią na twarzy,
Król stworzeń—jeden szalocha;
Skinął, i w pierś jego technio,
Serca, fantazyi, moc:
I człek kolano ze czcią gnie,
Bo znikła zimna nog,
Bo czuje, marzy, kocha!

I odtąd on, prawdziwy król,
 Prawdziwy odtąd świata pan;
 Niczym dla niego troska, ból,
 Niczym trucizna, ognie ran.

Wśród mroźnej zimy stworzy maj,
 Z uśmiechem własną odda krew,
 Marzeniem piekło zmieni w raj,
 Wśród strasznych mąk zanuci śpiew.

Dzięki ci, dzięki Boże mój,
 Za gorącości serca dar,
 Za ten ożywczy uciech zdroj,
 Za te rozkoszne wieńce mar!

W nich mam duszy przyjaciela,
 Co szlachetności obrazem,
 Co radość ze mną podziela,
 Co łzy leje ze mną razem;
 Co czyn szlachetny pochwali,
 Łaje, gdym zboczył w manowiec,
 Lecz się nigdy nie oddali,
 Jeden nam obu grobowiec.

One mnie także niebianką darzą,
 Z uroczym kształtem, z promienną twarzą,
 Z gorącym sercem bijącym w łonie,
 Co serca mego rozumie bicia;
 I w jedno łączą nasze dwa życia,
 Jak palające usta i dłonie!

A gdy mi ludzkie zbyt dokuczają złości,
 I gdy w przyjaźni mojej, ani méj miłości,
 Nie znajduję balsamu na serca katusze:
 Jak niebo, gdy się jego cierpliwość utrudzi,
 Ciskam gromami przekleństw na świat i na ludzi,
 Co zdradą, samolubstwem szarpią moję duszę.

I w jednej chwili staje świat
 Taki, jak ja widziećbym rad:
 Świat piękny dobry, bratni,
 Gdzie miłość, wiara, nie są snem,
 Gdzie się rozstano z dawnym złem,
 Ten piérwszy, ten ostatni:
 Gdzie święta księga wzniosłych cnót,
 Nie leży martwa już jak lód,
 Lecz przerobiona w żywy czyn,
 Jak ją nam wskazał Boży Syn.

I widzę to wszystko, i serce mi rośnie,
I łzami rozkoszy me oczy zalewam:
I biorąc za prawdę, co w duszy mój śpiewam,
Już czuję to słońce, co świeci téj wiosnie.

I z uniesieniem wołam:
Dzięki ci, dzięki Boże mój,
Za gorącości serca dar,
Za ten ożywczy uczuć zdrój,
Za te rozkoszne wieńce mar!

Seweryn Kapliński.



TANKRED DE MONTECUTE

CZYLI

NOWA KRUCYATA.

(Powieść przez d'Israeli napisana).

(Ciąg dalszy).

CZEŚĆ IIIcia.

R o z d z i a ł I.

Księżyc w pełni osrebrzał szczyt góry Oliwnój, zostawując pograżone w ciemności dolinę Getsemanii, grób Absalona i wody Cedronu. Przy tém mdławém i niepewném świetle, święte miasto rysując swoje wieże, mury i minarety na błękitném tle nieba, zdawało się jeszcze jaśnieć dawną potęgą i blaskiem. Księżyc łagodził dzikość otaczającej przyrody, a mgła pokrywała porysowane mury i wałące się domy. Gwiazdy połyskiwały na szafirze nieba niby oczy Jehowy, czuwające nad tą ziemią. Panującą ciszę przerywał tylko lekki powiew wiatru, roznosząc wonie od strony Saronu i jęcząc między grobowcami i gajami cyprysów; drzewa palmowe drżały i zginały korony pod jego tchnieniem. Któż wie, czy to wonny z Saronu wietrzyk, czy jaki żalobny duch proroka, unosił się nad miastem ukochaném, przepowiadając napróžno jego upadek? Czyż wielkie Izraela duchy, nie mogą schodzić z nieba o północnej godzinie na tę górę, gdzie sam Bóg łyzy wylewał, by ujrzyć ruiny świętego i tajemniczego grodu, odwiecznego Jeruzalem!

* * *

Księżyc skrył się za wysoką górę, ostatnie światło zagasło w Betanii, chłodny wiatr powiał od strony północnej i czarne chmury nasunął. Pośród ciemności, błyszczą tylko zdala oświetlony kościół grobu Zbawiciela: bo tam czy mgła, czy księżyc, na świętym grobie klęczy obcy młodzieniec, pomimo, że wiarą swoją nie należał do rzymskiego, ani do wschodniego wyznania. Przybył on z odległej północnej wyspy, by klęknąć na grobie potomka hebrajskich królów, w którym uznawał obiecanego niegdyś Odkupiciela świata. Uciekł przed suchą nauką i zimnym Europy rozumem, szukać natchnienia w miejscu, gdzie go już Bóg tak szczerze udzielił; przybył więc do kraju cudów, do ojczyzny apostołów i proroków.

W starłej Europie wielu mędrców utrzymuje, że Ziemia Święta, że Palestyna, jestto kraj, jak inne kraje; i pół wieku temu jeden z najoświecześniejszych ludów chciał wyprzeć się świętej wiary, pozamykał kościoły, rozwalił ołtarze, wyrzwał lub wypędził księży, i ogłosił, że wiara przyniesiona z Palestyny przez Hebrajczyków Szymona i Piotra, jest fałszem. Cóż ztąd? pomimo przemocy i dowodzeń mędrców, wkrótce znowu kraj cały klęczał przed obrazem Ukrzyżowanego w bezbożnej stolicy, a najpiękniejszy przybytek ofiarowany został Matce Zbawiciela, hebrajskiej dziewicy.

Ziomkowie naszego młodego pielgrzyma nie podzielali wprawdzie tego religijnego XVIIIgo wieku buntu. Nawet dawniej, przed sześciu wiekami, wysłali swego króla i kwiat rycerstwa na uwolnienie z rąk niewiernych grobu Zbawiciela. Lecz dziś, czasy się zmieniły: zamiast przedsięwziąć nową krucyatę, poświęcili swoje energią, siły i życie kolejom żelaznym i statkom parowym. Upadek królestwa jerozolimskiego, które kosztowało tyle krwi, tyle skarbów i wysień, przyłożyło się wiele do osłabienia wiary. A jednak byłato rzecz bardzo zwyczajna; Krzyżowcy nazywali Saracenów niewiernymi, nie zważając, że ci mieli daleko więcej podobieństwa z Hebrajczykami, niż oni sami. Ta sama krew azyatycka płynęła w ich żyłach, tak samo wierzyli w posłannictwo Mojżesza i jego wielkiego następcy. Lecz w XIIym wieku nie zastanawiano się jeszcze nad tajemniczą sympatyą pokoleń, nie rozumiano, że Jerozolimę musi pozostać w ręku Izraela lub Izmaela, że gdyby nawet teraz jeszcze posadzono na tronie Dawida, jakiego księcia Coburg lub Dwóch-Mostów, doznałby niezawodnie losu Baldwinów i Lusignianów, nawet przy największym gieniuszu i poparciu ze strony Europy.

Rozdział II.

W jednym z domów przy Syońskiej bramie, w obszernej komnacie z mozajkową posadzką, przedstawiającą kwiaty i owoce; na miękkiej sofie tureckiej siedziało kilku mężczyzn, puszczając wonny dym z ogromnych wiśniowych cybuchów, i pijąc z maleńkich filiżanek kawę lub sorbet. Gospodarz domu wsparty na adamaszkowych poduszkach siedział między niemi, trzymając w ręku *nargyle*. Był to człowiek mający około lat pięćdziesiąt, olbrzymiego wzrostu, lecz tak kształtny, że ten nadzwyczajny wzrost nie raził. Twarz jego była typem tej doskonałej piękności, którą jedynie w tym kraju, w tej kolebce rodu ludzkiego, napotkać można. Czas jeszcze jój nie pomarszczył, ale dodał tylko powagi i mękości. Te wielkie, czarne i łagodne oczy, prosty nos, małe i rumiane usta, i doskonały owal twarzy, tworzyły niejako prototyp najwyższej piękności ludzkiej; piękności, jaką Bóg musiał obdarzyć w raju pierwszego człowieka. Ubiór wschodni dodawał jego powierzchowności wdzięku, a czarna broda spadała w gestych pierścieniach na szerokie piersi.

Po prawej jego ręce siedział egipski kupiec *Sherif Effendi*, cery oliwkowej, słuchając z niewzruszoną powagą toczącej się rozmowy. Tworzył on raziącą sprzeczność ze swoim sąsiadem, człowieczkiem maleńkim, z spiczastym czerwonym nosem, białą brodą i siwymi błyszczącymi oczyma. Po lewej stronie gospodarza leżała znów jakaś postać owinięta w poduszki i kaszmiry, tak, że na pierwszy rzut oka nie można było jój kształtów rozpoznać. Resztę towarzystwa składali: wysoki jakiś Armeńczyk, bawiący za interesami w Jeruzalem, i młody oficer francuskiej marynarki, którego okręt naprawiano w Smirnie. Gdy wszedł nowy gość, zbliżył się do gospodarza, i przywitał go, przyciskając rękę do czoła, ust i serca; co miało znaczyć, że mu zawsze sprzyja myślą, słowy i uczuciem. Był to *signor Pasqualigo*, potomek dawniej weneckiej rodziny, a nateraz konsul i najpierwszy w Jeruzalem plotkarz. Myle się, mówiąc najpierwszy, gdyż przydomek ten słuszniej przynależało dać panu *Barizi zpod Wieży*, owemu małemu, z siwymi oczkami i białą brodą staruszkowi, o którym już wyżej wspomnieliśmy. Nazywano go *Barizi zpod Wieży*, dla odróżnienia od brata, którego znowu nazywano *Barizi zpod Bra-*

my. Zaledwie wszedł Pasqualigo i zapalił lukę, zaczął rozpowiadać spieszenie, i jakby lękając się, żeby go kto nie uprzedził:

— Coto za pielgrzym przybył do Jeruzalem? Kościół grobu świętego oświecony był przez noc całą, i nikogo, oprócz hiszpańskiego przeora nie wpuszczano. Zapłacił podobno przeszło dziesięć tysięcy piastrów klasztorowi w Terra Santa. Potrzebowali téż już bardzo zakonnicy tego zasiłku, i dawno już łacińskiego pielgrzyma nie widzieli.

— A przecież wszyscy mówią, że on nie należy do rzymskiego kościoła—przerwał Barizi.

— To pewna, że nie jest naszej wiary—rzekł Armeńczyk—bo nie towarzyszyłby mu hiszpański przeor.

— Włoch nie dałby dziesięć tysięcy piastrów na klasztor—dodał Pasqualigo.

— Ani Grek—odrzekł Barizi.—Ale słuchajcie—dodał dalej poważnie—jestto brat królowej angielskiej.

— Zaraz się tego domyśliłem—rzekł Pasqualigo ubodzony tém, że Barizi więcej od niego śmiał wiedzieć—zaraz się tego domyśliłem—powtórzył więc—dowiedziawszy się, że pielgrzym ten jest Anglikiem.

— Anglicy nie wierzą w znaczenie grobu świętego—mówił poważnie Armeńczyk.

— Wprawdzie nie wierzą podobno w Zbawiciela—odpowiedział Pasqualigo—ale mimo to, oddają cześć przynależną grobowi świętemu.

Pasqualigo był najbieglejszym teologiem w Jeruzalem; nikt więc nie śmiał przeciwnego objawić zdania.

— Jakże wiecie, że to Anglik?—zapytał gospodarz, Adam Bessio.

— Mówił mi to jego służący—odpowiedział Pasqualigo.

— Marszałkiem jego dworu jest jakiś generał, śliczny człowiek, spędza większą część dnia u swego konsula.

— Najeli dom przy *Via dolorosa*.

— Czyż to jest rzeczywiście Anglik—odezwał się Sherif Effendi, wyjmując zwolna z ust fajkę.

— Jest on bardzo młody—ciągnął dalej Barizi—młodszy od królowej, i dlatego nie odziedziczył tronu, bo w Anglii najstarsze dziecko, bez względu na płeć, ma prawo do korony.

— Ale dlaczegoż on tu siedzi?—zapytał Armeńczyk—to miasto takie drogie; gotów cały majątek stracić.

— Stracić majątek?—zawołał gospodarz—a wiecież, że on ma do mnie taki weksel, że gdyby mi kazał odbudować świątynię Salomona, musiałbym to uczynić.

— Drogi Besso, kto on jest?—zapytał nieznajomy leżący na sofie, zrywając się i ukazując twarz młodą i piękną.

— Jeden z najznakomitszych lordów angielskich—odrzekł gospodarz.

— Pocóż on tu przyjechał? Anglicy niebardzo skorzy do podobnych pielgrzymek.

— Ten widać odróżnił się od innych.

— Nie, nie—rzekł zcicha młody człowiek—ta pielgrzymka to tylko pozór; ten Anglik musiał tu w innym celu przyjechać. Kto wie, może w jakim politycznym zamiarze, a ty, mój dobry Besso, niewiele znasz się na tém.

— Być może, szlachetny emirze, bo jakieś słusznie powiedział, niewielki ze mnie dyplomata.

— I to nieodżałowana strata—rzekł emir. Potém szepnął mu do ucha:—Widzisz Sherifa Effendi, to dyplomatyczna głowa; obiecał mi sprowadzić pięć tysięcy karabinów i oddać je pod straż Beduinów, którzy mi je w góry dostawią. Powiedz o tém Róży z Saronu, ona mnie zrozumie.

— Dobrze, zobaczę ją jutro.

— A co, czym źle uczynił?

— Zapewne, że nie, kiedy jesteś tak zadowolony z siebie...

— Niezupełnie, mój dobry Besso, bo widzisz, Sherif Effendi nie odda mi karabinów dopóty, dopóki mu za nie nie zapłacę; Beduini zaś nie dostawią ich w góry, jeżeli im nie dam dziesięciu tysięcy piastrow. Ach! gdybyś ty za mnie, drogi Adamie, zapłacił pod jakimibądź warunkami, wyświadczyłbyś mi wielką przysługę. Nieprawdaż, że to uczynisz, że mi nie odmówisz?—dodał z przymileniem.—O! jakżebym cię kochał za to! Zapłać, zapłać tylko, a podziękuję ci na klęczkach i ucałuję rękę twoją, przy tym oto Francuzie, który imię twoje po całej Europie rozniesie. Zapłać za mnie drogi Besso, a Róża Saronu, będzie ci także wdzięczną.

— Książę—odrzekł niewzruszony Besso—zapal świeżą fajkę; nie zwykłem mówić o interesach po zachodzie słońca.

Rozdział III.

W kilka dni potem, około południa, Tankred ze swoim kamerdynerem Baronim, wyszedł z Jeruzalem przez bramę Syońską, chcąc się udać do Gethsemanii. Są chwile w życiu, w których człowiek potrzebuje koniecznie samotności, i Tankred dlatego wybrał się o tej godzinie, że pewnym był, iż o tym czasie nie spotka żyjącej duszy. Tak się też stało. Trudno sobie albowiem wśród lata nawet, wyobrazić podobnego upału, jaki naówczas panował w okolicach Jeruzalem. Nieraz zdarza się, że Egipt, Nubią i Bengal niczem są w porównaniu z Palestyną w czasie skwarów suchego lata. W tych krajach można przynajmniej napotkać drzewa, rzeki, jedném słowem jakiś cień i ochronę przeciwko tym spiekom; lecz Jerozolima w południe, jestto miasto kamienne, na palącym piasku, pod ognistém niebem. Skwar wyrył piętno na otaczającym widnokręgu. Góry zdają się płonąć, a rzeki świecą tylko białém, wyschłém korytem. Wszyscy znamy podanie o ludziach, którzy przez czary nie widzą własnego cienia, a Jeruzalem, to miasto bez cienia.

— Tam—rzekł Baroni, wskazując na kilka uschłych drzew oliwnych—tam jest Gethsemania, a na prawo Bethania.

— Dobrze—rzekł Tankred—zostaw mnie teraz samego; i przeszedłszy Cedron, ujrzał się w uświęconej wspomnieniami dolinie.

* * *

Słońce już zachodziło, gdy Tankred opuścił dolinę. Zatoniony w dumaniu i modlitwie, nie policzył upłynionego czasu, i z podziwieniem spojrzął na zarumieniony zachód. W tej chwili, słowa Baroniego stanęły mu w myśli: „Ta droga na prawo wiedzie do Bethanii”, i jakaś magnetyczna siła ciągnęła go w tę stronę. Załedwie uszedł kilka kroków, cudny uderzył go widok. Spoglądał nań z poszanowaniem i religijném uczuciem. Bo tam każde miejsce jest uświęcone i pamiętne, każda grotka przypomina proroka, każdą dolinę nawiedził anioł z nieba, na każdej drodze stąpał Zbawiciel. Oko jego obejmowało razem Jeruzalem, owe miasto przedstawiające historią świata, więcej powiem, historią nieba, i w oddaleniu błękitniejące wody Jordanu. Ciągłe postępując naprzód, doszedł do wsi Bethanii; znudzony całodzienném błędzeniem, chciał już do miasta powracać, gdy cienisty zwabił go ogród. Ponad wysokim murem wybiegały drzewa pal-

mowe i wysmukłe cyprysy. Tankred, równie jak i księżna Bellamont, namiętnie lubił ogrody. Zbliżywszy się ujrzał otwartą bramę: to go skusiło; mimowolnie więc zapuścił się w cytrynową aleję. W miarę jak postępował, coraz nowe otaczały go piękności i bogactwa bujnej roślinności, aż znużony siadł pod cieniem palmy w bliskości fontanny. Zwolna, szmer wody ukołysał zmysły jego, myśli zmieniły się w marzenia, różne postaci i obrazy majaczyły mu przed okiem, aż wreszcie głęboki sen go ogarnął.

Nazajutrz zbudził się orzeźwiony długim snem, nie pomnąc nawet gdzie się znajdował. Spojrzał wokoło: bogata rozwieszona szata chroniła głowę jego od promieni gorejącego słońca; chciał powstać, gdy nagle ujrzał przed sobą wysmukłą postać kobiety, w ubiorze wschodnim, młodą i doskonale piękną. Delikatny owal twarzy otaczały kruczonych włosów warkocze, spływające z małej okrągłej główki aż do kolan; płeć jej niezbyt biała, ani ciemna, łączyła w sobie gorącą barwę południa, z uroczym wdziękiem północy. Woku tylko błyszczała cała piękność Wschodu: oko to wielkie, czarne, złagodzone długą rzęsą, jaśniało niewypowiedzianą słodyczą; czoło wysokie i gładkie jak marmur, przecięte wązkim łukiem brwi ciemnych, zdradzało niepospolity umysł; małe noski z różowymi rozdętymi nozdrzami, wiśniowe usta, drobne uszko i perłowe zębki, tworzyły całość tak harmonijnie piękną, że bez zachwycenia spojrzeć na nią nie było można. Stała oparta na przeciwnym brzegu fontanny, patrząc na Tankreda z wyrazem łagodnej dobroci. Szumiąca woda i czarowny ogród, przywrócili pamięć lordowi Montecute; podniósł się nieco i rzekł:

— Przebacz mi pani, jestem może natrętnym pielgrzymem.

Ona siadła na odłamku marmuru, i odrzekła srebrnym głosem:

— Nadto blisko jesteśmy pustyni, abys mógł wątpić o naszej gościnności.

— Skusił mnie widok téj zielonej palmy, i sam nie wiem, jakim sposobem ten szmer wody mnie uspił.

— Nadto zaufałeś naszemu słońcu; mogłoby ono być zgubnym dla ciebie; ale ujrawszy to, kazałam ci tym szalem głowę ocienić. Jeżeli dłużej myślisz w tych stronach zabawić, radzę ci nosić turban.

— Ten ogród jest rajem ziemskim: w tych dzikich górach, w téj dzikiej Bethanii, nie spodziewałem się ujrzeć coś podobnego.

— Wy, Franki, kochaciez nasz kraj?

— Jest on dla nas równie świętym, jak zajmującym.

— Czy należysz do tych Franków, którzy wielbią hebrajską niewiastę, czy do tych, co znieważają jój obrazy?

— Szanuję Matkę Boga.

— Matkę Jezusa: on jest Bogiem waszym. Byłto Hebrajczyk, jakże go wielbić możecie?

— A ty nie wierzysz w niego?—zapytał Tankred, wlepiając w nią wzrok przenikliwie.

— Czasami zdaje mi się, że to czynić powinna, bo i ja z tego, co i on, pokolenia pochodzę.

— Jesteś więc Hebrajką?

— Jestem z téj saméj krwi, co Marya, którą szanujesz, chociaż nie wielbisz.

— Słusznie zauważałaś—rzekł Tankred—żeś powinna uznać i wielbić mego Boga: wielu z jego uczniów pochodziło z Bethanii. Szkoda, żeś nie czytała jego żywota.

— Czytałam, dał mi go biskup angielski; jestto wielkie dzieło, znalazłam w niém wiele rzeczy, na które się zgadzam, a wiele znowu takich, których dokładnie nie rozumiałam.

— W takim razie jesteś już napół-chrześcianką?

— Tak, ale mój chrystyanizm różni się od waszego. Pewna jestem, że moje zasady nazwiecie herezyą.

— Kościół chrześcijański oświeciłby cię.

— Ależ który kościół? Nie wiedząc gdzie się udać po prawdziwe światło, wolę umrzeć i pozostać w wierze mych ojców, jak przystało na prawą córkę Dawidów.

— Co do mnie, gdybym w żadnym z kościołów nie pokładał zaufania—rzekł wzruszony Tankred—padłbym na kolana i błagał Boga o prawdziwe światło; a w tym kraju—dodał z zapalem—ufam, żeby wysłuchał méj prośby.

— Powinniśmy naprzód ludzkiej wezwać mądrości, zanim udamy się do Najwyższego. Czytając żywot Jezusa, zauważałam, że on niczym zdaniem nie gardził. Lecz pozwól mi się zapytać, czy dzisiejsze Hebrajczyków położenie, jest stanem pokuty i okupem za dawne grzechy?

— Tankred skłonił tylko głowę.

— Dlaczego tak sądzisz?—zapytała.

— Jestto pokuta, za niepoznanie i ukrzyżowanie Messyasza.

— Gdzież to napisane?

— W tych słowach: „Niech krew jego spadnie na nas i na dzieci nasze”.

— To powiedzieli winowajcy, a nie sędziowie. Czyż w waszych prawach winni sami sobie naznaczają karę? Kto mógł pokutę przekazać swym wnukom? Czyż Bóg sprawiedliwy pozwoliłby na to? wasza wiara inaczej twierdzi. Wszak Jezus na krzyżu prosił Ojca o przebaczenie zbrodniarzom „bo oni nie wiedzą, co czynią”. Lecz przypuśćmy na chwilę, że Pan przyjął tę ofiarę, że pozwolił, by dzieci okupiły ojców winy, co według mnie być nie może: ilużto było w Palestynie niewinnych téj zbrodni, za cóż więc oni i ich potomkowie cierpieć także mają? Ty mi może odpowiesz, że zostali chrześcianami? Dobrze, ale pamiętaj, że lud nasz składał się z dwunastu pokoleń, z których dziesięć na wiele lat przed przyjściem Jezusa dostało się w niewolę, i poszło w rozsypkę. Cóż oni złego uczynili? za co pokutują?

— Jestto fakt bardzo ważny—rzekł zamyślony Tankred—zagadnienie dotąd nierozwiązane. U nas w Anglii jest mniemanie, że Afganie, wyznający wiarę Mojżesza, są ich potomkami; lecz to tylko domysł: najprędzej wniknęli oni i mieszały się z innymi plemionami swych zwycięzców.

— Hebrajczycy nigdy nie mieszały się ze zwycięzcami—odrzekła dumnie dziewczyna.—Wśród ciągłych podbojów, zachowywali zawsze własną i odrębną cechę narodowości, i to jest przyczyną ich upadku. Nadto, byli dumni i dlatego rozproszono ich po świecie. I wy dlatego nami pogardzacie! to niesłusznie. Mój dziad jest naczelnikiem jednego z najmoźniejszych pokoleń beduińskich, które od niepamiętnych wieków koczujące wiedzie życie i wiarę Mojżesza wyznaje, i żaden z tych ludzi, tak jak przodkowie moi, nie słyszeli o Chrystusie; a jednak, gdy moja matka a córka jego szła ulicą, lada żebrak chrześcianin omijał ją, lękając skalać się jój dotknięciem. O! to niesłusznie, dlatego nie zostanę chrześcianką. Téj pogardy nie nakazuje wam wasz zakon—i mówiąc te słowa, oczy młodéj Izraelitki ogniem błyszczały, a lica pałać się zdawały.

Tankred patrzył chwilę na nią z wyrazem współczucia, w końcu odrzekł:

— Mówisz o rzeczach, które mnie mocno zajmują, które mnie do kraju tego przywiodły; jednak nikt nie zaprzecza, że Hebrajczycy cudownym sposobem, jedni pozostali z narodów staroży-

tnych, których wszędzie można spotkać, niby pomnik wielkiej, tajemniczej przeszłości.

— Cóż dziwnego, że Jehowa strzegąc swego narodu, obdarzył go wyższymi zdolnościami, bystrzejszym umysłem od narodów, pomiędzy którymi się tuła.

— W istocie, ludzie bez cudownej pomocy nieba, nie potrafiliby znieść i wytrzymać tak długich i strasznych klęsk i cierpień.

— O! Ludzkie siły są niewyczerpane, kiedy je Bóg wspiera. Wasza Europa taka blada, taka smutna. Byłam kiedyś trzy miesiące w Wiedniu: o! jakżem wtenczas za czarownym wzdychała Damaszkiem! Powiedz mi, co u was na Zachodzie cenią najwięcej?

Tankred odpowiedział po krótkim namyśle:

— Wyznaję tu ze wstydem: przedmiot niemający najmniejszej wartości moralnej—pieniądz!

— Najwięcej więc poważają tych, co go posiadają?

— W ogóle, tak jest niestety!

— Jakież największe w Europie miasto?

— Stolica mego kraju, Londyn.

— Jakto, większe nawet od Paryża?

— Dwa razy tak wielkie.

— A zatem cztery razy większe od Stambułu: cóżto za ogromne miasto być musi! To nowy Babilon! A któż jest najbogatszym w Londynie? czy chrześcianin?

— Nie, należy on do waszego rodu, i waszą wiarę wyznaje.

— A kto najbogatszym w Paryżu?

— Brat jego.

— Nie pytam cię o Wiedeń, bo sama w nim byłam i wiem, co się tam dzieje. Monarcha rozdaje baronije i tytuły moim współziomkom, i słusznie robi: bo bez ich pomocy, możeby i państwo jego zachwiało się nieco. Widzisz więc, że w Europie Hebrajczycy najwyżej się wzniesli. A teraz, jakież jest słowo i symbol chrystyanizmu: czy także pieniądz?

— Odkupienie.

— To wielkie słowo! — zawołała Izraelitka — zgadza się i z naszymi pojęciami, i z naszą tradycją. I ja wierzę w pośrednictwo pomiędzy Jehową a jego stworzeniem; i ja wierzę w tego wcielonego Boga, co przelał krew niewinną na zmazanie grzechów świata; i ja pojmuję ludzkość odkupioną przez syna Dawida.

Lecz cóżby nastąpiło, gdyby żydzi zamiast umęczyć, przyznali Zbawiciela?

— Nie śmiem i nie mogę tego zgłębiać: odkupienie przewidziane było przez Stwórcę od wieków.

— A więc i żydzi spełnili tylko wolę Boga: za cóż są tak strasznie karani? Według mnie, tylko lud wybrany mógł spełnić tę wielką ofiarę; wszakże Abraham chciał własnego syna poświęcić na stosie, a Najwyższy nie poczytał mu tego za grzech. Zamiast więc pogardzać nami, powinniście klękać przed nami, bo przez nas Jehowa świat odkupił; a w logiczném rozwinięciu waszj wiary, tak być powinno. Wasza księga, pisana przez Hebrajczyków, zakazuje nienawiści; za cóż nas prześladowacie i pogardzacie nami?

— Nie należałem nigdy do pogardzających—rzekł Tankred wzruszony—a gdyby nawet i tak było, dzisiejsza rozmowa nawróciłaby i najzawziętszego wroga waszego.

— W wielu rzeczach zgadzamy się z sobą—rzekła powstając dziewczica—całe chrześcijaństwo czi Hebrajczyka. A teraz pożegnam cię jeszcze ostatniem pytaniem: któż ma wyższość, pokolenie czczonego, czy czcicieli?..

Tankred chciał odpowiedzieć, ale już jej nie było; zniknęła w gaju róż i cyprysów.

Rozdział IV.

Długi czas upłynął, zanim Tankred wyszedł z zamyślenia. Wówczas zbliżyło się do niego kilku czarnych paziów, niosąc różne chłodniki na hebanowych, nasadzanych perłami półmiskach, zachęcając różnemi giestami do ich pożywania, i rozstawili je nad brzegiem fontanny.

Mimo oderwanego stanu umysłu od rzeczy poziomych i rozstrojenia duchowego, w jakim znajdował się Tankred, czczość i osłabienie przypomniały mu wszakże, że dzień cały zostawał bez pożywienia, i że o ciele bezkarnie zapominać nie można. Podał się więc ze smutkiem potrzebie fizycznj, i zaczął smaczno zajadać. Gdy znikły owoce i sorbety, zwinne murzynki podały mu nargyle, a Tankred zaciągnąwszy dymu, powstał, i dziękując im, udał się do bramy ogrodu.

Słońce zaszło, gdy lord Montecute wychodził z gajów Bethanii: powietrze ciepłe i wonne, ochładzał wieczorny zefir,

a gwiazdy wysuwające się kolejno na błękit nieba, oświecały srebrnym blaskiem czarowną noc azyatycką. Tankred rozmarzony dziwną przygodą, słuchał z rozkoszą tajemnej nocnej harmonii, i myślą wywoływał cudowny obraz dziewicy. Ach! bo ona była piękniejszą od najidealniejszych utworów malarzy; a ten umysł polotny, śmiały, poważny i łagodny zarazem, zrobił głębokie wrażenie na młodzieńczém sercu Tankreda. Tak rozmyślając, zbliżał się zwolna do miasta. Nagle ujrzał przed sobą młodego jeźdźca: było ten sam emir, którego już u Adama Besso widzieliśmy. Rzucił on bystrym wzrokiem na lorda Montecute, i popędził dalej.

* * *

Piękna dziewczyna z Bethanii opuściwszy Tankreda, weszła wraz z dwiema czekającymi na nią niewolnicami, do pawilonu ukrytego wpośrodku drzew cienistych i woniejących krzewów. Przeszedłszy kilka ozdobnych komnat, spoczęła w swém ulubioném ustroniu. Był to pokój wybity całkiem od góry do dołu różową materją, a sufit zdobiły piękne freski; wielkie lustro ze wszech stron cudną jęj postać odbijały. Wokoło ścian, miękko wysłane sofy także różowa pokrywała materją, a cudnej roboty mozaikową posadzkę, w większej części zaścierał dywan turecki w różnobarbne wzory. Jedna z niewolnic zapaliła srebrną lampę, napelniającą pokój najwykwintniejszymi woniami, a druga podawała jęj sorbet w bogatej czarze, i kryształowe złotem przerabiane nargyle, roboty najbieglejszego mistrza Damaszku. Dziewica pociągnęła zniechęcenia kilka kłębów wonnego dymu, słuchając czytania jednéj z niewolnic, gdy wszedł murzyn w bogatym stroju, i oddawszy jęj pokłon, oznajmił, że młody emir przybył do Bethanii. Zaledwie dziewczyna dała znak murzynowi, żeby się oddalił, ukazał się we drzwiach buduaru jeździec, spotkany przez Tankreda pod Jeruzalem.

— Jak się ma róża Saronu—zawołał, rzucając jęj się donóg, i przyciskając do ust kraj szaty.

— To ty, Fakredeen?—rzekła—dawno z gór przybyłeś?

— Przybyłem wczoraj dopiero do Jeruzalem; nigdy więcéj jak teraz, nie potrzebowałem twéj rady i pomocy. Wojna domowa ucichła w górach za sprawą obcego konsula; ja sam chcąc po-dejrzania uniknąć, skłoniłem się do pokoju: mimo to wrzenie umysłów jest ciągle; mam wielkie plany i wielkie nadzieje. Muszę ci naprzód powiedzieć com uczynił, iczego żądam od ciebie, gdyż mówiąc prawdę, w wielkim jestem kłopotcie.

— Tak jak zawsze, podobno.

— O! ale ty najlepsza, najdroższa moja przyjaciółko, ty mnie wybawisz; nieprawdaż? moja piękna różo Saronńska! Wszakżeśmy wspólnym złączeni celem, a związek dwóch takich umysłów jak nasze, powinien wielkie wydać owoce.

— Nie widzę ich dotąd. Ale wytłumacz się jaśniej. Cóżś uczynił?

— Naprzód, za moją sprawą pokój zawarty, długo trwać nie będzie; w górach wzrasta zaburzenie, pomimo oporu Porty, która całemi siłami dom mój chce od tronu oddalić.

— I ty to zowiesz dobrymi wieściami?

— Słuchaj dalej: obiecałem emirowi Beszir 200,000 piastrów rocznie, jeżeli przekona Najwyższą Portę, że tyłk ksiązę z domu Shehaab może spokojność w Libanie przywrócić.

— I cóż?...—zapytała skwapliwie dziewczica Bethanii, wyjmując z ust nargyle.

— Przymierzeniec mój Risa-Pasza, przedstawi sułtanowi, że najlepiej z całego domu Shehaab, zdoła utrzymać interesa Porty w Libanie emir Fakredeen, gdyż jego wysokie zdolności....

— Lepiej to czynem, niż słowami dowieść—przerwała Ewa.

— Właśnie też—rzekł Fakredeen—obowiązałem się dowieść to mojemu na przyszłość postępowaniem.

— Wątpię, żeby Risa-Pasza miał jaki wpływ w Dywanie.

— Obiecał między innymi, przedstawić na mą korzyść fakt dosyć ważny, to jest, że z całego rodu Shehaab, ja jeden jestem prawowierny Muzułman.

— Ty wierny Muzułmanin? Jakto: czyżeś przed kilku miesiącami nie wysłał do Paryża gońca, prosząc króla Francuzów o pomoc, jako wierny chrześcjanin broniący uciśnionych Maronitów?

— Tak, w istocie; chciałem natenczas połączyć się z Francją, ale cóż, kiedy mi się nie powiodło.

— I to wielka szkoda. Ze wszystkich twoich marzeń i planów, ten był najpraktyczniejszy. Maronici są silni, Francya ich wspiera, a ty z twojemi zdolnościami i jako chrześcjanin, przy ich i naszej pomocy mógłbyś dojść do celu.

— Chrześcjanin czy muzulmański ksiązę, to kwestya uboczna, bo wiesz, że główna myśl moja jest rządzić krajem, w którym mieszkam. Pokoleniem więc Maronitów chcę władać jako chrześcjanin; Matualisów, jako mahometanin; Anserejów, jako

poganin, i Druzów, jako żadnej niewyznający wiary. Co do mnie, najstosowniej będzie trzymać się zasad koranu, pochodzę bowiem w prostą linię od jednego z wodzów Mahometa; wprawdzie, mój dziad dla zyskania pomocy Maronitów, został chrześcianinem, ale to nic nie szkodzi.

— O Fakredeen!—zawołała dziewica potrząsając głową—ty nie masz pojęcia osobistej godności.

— Tak, jak wszyscy w ogóle Stryjczycy.—Wam Arabom lepiej ta godność osobista przystoi, nam na nic się nie przyda.

— I ty dumny z twego urodzenia, z twoich przodków; ty, co chcesz ich naśladować, nie wstydzisz—że się podobnych myśli? W twojem położeniu, stanowisku, każdy krok powinien być nacechowany piętnem szlachetności, godnością prawdziwie książęcą.

—Książęcą? godnością książęcą? Cóż znaczy dzisiaj książę bez dziedzictwa? Daj mi tylko królestwo, a zobaczysz czém będę.

— Powtarzam: droga, którą wybrałeś, i która, jak mówisz, jedna tylko może cię doprowadzić do celu, jest niegodną ciebie. Cóż przerwało twoje z Francją układy?

— Francją zbyt mało zajmują nasze góry; wiedziałem o tém bardzo dobrze i dlatego jednocześnie ofiarowałem usługi moje Anglii, obiecując, że raz na tronie, będę całą siłą wspierał protestanckich misyonarzy. Tym sposobem chciałem naraz pozyskać pomoc i Francji i Anglii; ale cóż, niestety! lord Aberdeen porozumiał się z Guizotem i zabiegi moje spełzły na niczém.

— Słusznie ukarany zostałeś Fakredeen; bo i kiedyż zaprzestaniesz wdawać się w te nieskończone intrygi? One cię zawsze tylko gubią.

— Kiedy zaprzestanę intryg?—zawołał emir, zrywając się nagle—ależ intrygi, to mój żywioł; oneto jedynie doprowadzają ludzi do znaczenia i potęgi. Czyż myślisz że Guizot, Aberdeen, sir Canning, Risa-Pasza, nawet sam Mehmed-Ali bez pomocy intrygi obejśćby się zdołali? Najwięksi ludzie i gienialni nawet używają jój w potrzebie, a ty chcesz Ewo, żebym ja jój na swą nie używał korzyść?

— Czy tylko to miałeś mi do powiedzenia? Nie widzę dotąd, w czém mogę ci być użyteczną.

— Wyłożę ci zaraz rzecz całą obszerniej, cudna różo Saronu, posłuchaj mnie tylko. Mogę się jeszcze wywikłać z tej negocjacji paryzkiej. Wiész, że moim pełnomocnikiem w tym wzglę-

dzie był arcybiskup Miurad; teraz złączyłem się z jego śmiertelnym wrogiem patriarchą Libanu; ogłoszę zatém, że nie miał prawa działać w imieniu mojem, że wszystko co mówił było fałszem, i że ja o niczem wiedzieć nie chcę: tymczasem patriarcha pojedzie do Stambułu i na nowo przez posła francuzkiego rozpocznie układy, a Maronici ogłoszą mnie swoim władcą.

— Ale czy Druzy na to przystaną? czy cię to nie poróżni z niemi?

— Gdzież tam! wszakżeż ja ciągle żyję między niemi, uważają mnie jak brata; pomyślą tylko, że zwiódł Maronitów.

— Bo rzeczywiście, tak jest; cożes dla nich uczynił?

— Obiecałem oddać im broń zabraną przez Ibrahima Baszę.

— Ty?

— Ja sam. Sherif Effendi nabył dla mnie 5,000 karabinów i ułożyłem się z pokoleniem Beduinów, by mi je odstawili w góry.

— Musisz więc posiadać skarby Salomona.

— O! gdybym je miał, odebrałbym zaraz karabiny od Sherifa Effendi; ale ten przekłety syn Eblisa (1) zatrzymuje dostawę w tak ważnej chwili.

— Rozumiem teraz twój kłopot; ale posiadasz zapewne choć część należnej summy?

— Ani jednego piastra, i znikąd nie mam nadziei nawet dostania potrzebnych na ten cel pieniędzy. Moje dobra, moje klejnoty zastawione. Nie ma w całej Palestynie lichwiarza, od którego bym nie pożyczał; wszystkie moje skarby przeszły w ręce Risa-Paszy, w którego wsiąkłoby złoto całego świata.

— To wielka rzecz, żeś zdołał nakłonić na swoje stronę patriarchę; zawsze mówiłam, że wszystkie twoje zamiary spełzną na niczem, dopóki ten człowiek będzie twoim przeciwnikiem. Broni téj dziś koniecznie nie potrzebujesz, bo pewnie nie myślisz o zbrojnym powstaniu.

— Nie, ale gdyby przyszło do walki Maronitów z Druzami, góry stałyby się niebezpiecznym schronieniem. Anglia nie znalazłszy wtenczas spokojnego odbytu towarów, poparłaby moje żądanie, przekonawszy się, że jedynym środkiem uspokojenia Libanu, będzie wyniesienie mnie na tron przodków.

— Widziałeś już mego ojca?

(1) Szatana.

— Widziałem—odrzekł smutnie emir, spuszczać oczy.

— On już tyle dla ciebie uczynił.

— Proś go jeszcze o to—zawołał Fakredeen, padając na kolana—proś go jeszcze sama, różo Saronu. Widzisz, jam w rozpacz, nie mam nikogo na świecie, coby za mną przemówił; tyś była dla mnie zawsze przyjaciółką, siostrą, moim klejnotem, rubinem, perłą uryańską, różą sarońską! Proś go za mną, moja Ewo! zapomnij o błędach moich; znasz moje serce, a więc wstaw się za mną.

Ewa potrząsała tylko głową.

— Przypomnij twemu ojcu, że bratem twoim, jego przybranym synem; że was tak kocham! Wszakże i ja jestem Hebrajczykiem.

— Co? co?—zawołała Ewa.

— Tak, Hebrajczykiem, jeżeli nie krwią, to wiarą.

— Niewolniczy synu!—wykrzyknęła z oburzeniem dziewczyna—ty Hebrajczykiem? Może tak samo jak muzułmanem, chrześcjaninem lub Druzem. Nie kalaj przynajmniej naszego upadłego plemienia.

— O, Ewo! przebac mi, tyś święta, anioł w porównaniu ze mną; przebac mi więc—to mówiąc, wziął jej rękę i oblewał łzami, dopóki nie wyrzekła z uśmiechem:

— Drogi Fakredeenie! zdawało mi się, żeś żartował.

— Nie żartuję, ale rozpaczam, bo widzę, że jedynie z braku pieniędzy najdroższe moje nadzieje upadają.

— Uspokój się.

— Cóż mi po młodości, po zdolnościach, gdy nie uczynić nie mogę, gdy wszystko rwie mi się w rękę—wołał emir mierząc pokój niespokojnym krokiem.—Doprawdy Ewo—dodał po chwili milczenia—powinnabyś nakłonić ojca i wyrobić mi kredyt u niego. Wszakże to mój najlepszy opiekun, dobroczyńca; wszakżeż to żona jego mléką mnie swoim wykarmita. Nie gniewaj się więc, że wychowany w waszym domu, zostałem Hebrajczykiem z przekonania; zresztą pochodzę w prostą linię od jednego z wodzów Mahometa, ten pochodził od Ismaela, a Izmael był przecie bratem Izraela. Twój ojciec nie powinien odmówić mi pomocy.

— Proś go sam o to Fakredeenie, ja nie mogę. Pamiętasz, że gdym ostatnią razą wstawiała się u niego za tobą, musiałam mu przyrzec, że tego już nigdy więcej nie uczynię.

— Widzę, że gniewasz się na mnie—zawołał emir siadając u nóg Ewy.—Mówisz sobie w duchu zapewne: to wielki egoista, i nie zasługuje na moje współczucie. Masz słuszość, jestem może zły, zepsuty, ale przynajmniej mam szlachetne i wzniosłe dążenia. Nie wystarczyło mi miękkie życie w dziedzicznych zamkach moich, ani klejnoty i skarby, jakie posiadałem, bo czułem, że mi czegoś więcej potrzeba. Pragnę, by świat słyszał o mnie: nudzą mnie powtarzane wiecznie jedne imiona Ibrahima Basy, Thiersa, Palmerstona. Czemże ja niższy od nich jestem? dlaczegożby i o mnie mówić i pisać nie miano? Czyż rodzina Shehaabów nie wyrównywa starożytnością i świetnością rodu nawet Burbonom?

— Nie przeczę temu, Fakredeenie, ale nie o to tu chodzi. Mówiliśmy o twoich kłopotach; powtarzam ci, do ojca wstawić się nie mogę, a moje dochody nie wystarczyłyby ci zapewne. W cóż się więc obróćą twe piękne plany.

— Posłuchaj mnie różo Saronu i nakłoń twe ucho, białe jak kwiecie migdałów, ku swemu słudze. Jeszcze nie straciłem zupełnie nadziei; przybył tu przed tygodniem z Londynu młody lord angielski, tak bogaty, żeby mógł cały bazar Damaszku zakupić. Nikt nie wie po co tu przybył; mam jednak podejrzenie, że w dyplomatycznym celu, bo jest tu także od pewnego czasu i francuzki oficer, który mnie bardzo zajmuje. Któż wie, po co oni tu przybyli. Ten Anglik wybiera się na górę Synai, pewnie nie z nabożeństwa, bo Anglicy nie są ani chrześciance, ani żydzi: mają tylko podobno jakąś religią, którą im co rok wymyślają biskupi, a których narady i konsylia zowią parlamentem. Namówiłem więc Beduinów twego dziadka, by zacząwszy się w czasie jego pielgrzymki, wzięli go w niewolę: będzie się musiał okupić, a tym okupem zapłacę Sherifa-Effendi.

Rozdział V.

W jednej z chwil gwałtownych zamieszek i niepokoju domowego, co tak często poprzedzały upadek Janczarów, emir jeden z pokolenia Shehaab, który później zginął w potyczce, powierzył swego małego syna opiece Bessa. Byłoto jego ukochane dziecko; syn, jednak, główny spadkobierca i dziedzic tak majątku, jako imienia i chwały ojca, a nadto był jedyną pamiątką po ukocha-

nój przez niego żonie, pięknej kobiecie rodem z Antyochii, która urodzenie tego dziecka własnem przyplaciła życiem.

Żona bankiera Besso pielegnowała i chowała powierzoną jej staraniom sierotę jak własne dziecię, tak, że sam młody Fakredeen sądził długi czas, że w domu rodziców się znajduje, i małą Ewę, o trzy lata młodszą od siebie, za rodzoną siostrę uważał. Gdy Fakredeen podrósł nieco i umysł jego doszedł do pewnego już stopnia rozwinięcia, uwiadomiono go o prawdziwem jego pochodzeniu, stanie i urodzeniu. Wiadomość ta niewiele jednak sprawiła na nim wrażenia; myśl tylko, że Ewa nie jest siostrą jego, zasmuciła go chwilowo, ale wkrótce widząc, że żadna zmiana nie zaszła, ani w jego stosunkach z mniemaną siostrą, ani w obejściu przybranych rodziców, wszyscy bowiem równą jak dawniej okazywali mu przychyłość, uspokoił się zupełnie.

* * *

Wkrótce po śmierci starego emira, wypogodził się polityczny horyzont Syrii, a Besso zajął się starannie uporządkowaniem majątku swego wychowanka. Rodzice jego bowiem mieli w górach Libanu obszerne posiadłości: piękny, na górze, obronny zamek, ogromne lasy, i obszerne, uprawne pola; a obfity zbiór coroczny jedwabiu, przynosząc ogromne korzyści właścicielowi, stawił go w możności utrzymania na właściwej stopie książęcego imienia Shehaab, którąto godność równie w górach, jak i gdzieindziej niemałym kosztem okupić należy. Gdy Fakredeen skończył lat dziesięć, blizki krewny jego emir Beszir, którego władza uznana była przez wszystkie pokolenia zamieszkujące góry Libanu bez względu na ich wyznanie, zażądał, by Fakredeen zostawał na jego dworze i razem z synami dalsze wychowanie pobierał. Ze smutkiem i gorącemi łzami opuścił spokojny dom Bessa, by zamieszkać Beteladan, zamek niedaleko gór Bejrutu położony.

Działo się to w czasie, gdy Egipcyanie usiłowali zawojować Syryą, a sprawę Mehmeda - Alego popierał równie Beszir, jako władca gór i głowa domu Shehaabów, jak i Besso, potężny znowu naczelnik przemysłowej i handlowej części ludności tegoż kraju. Ta wspólność widoków i celów politycznych ścisłym łączyła ich węzłem, i obie rodziny bardzo często z sobą się widywały. W skutku więc tego zbliżenia, uczucia wzajemnej przychyłości pomiędzy domem Bessa, a jego dawnym wychowancem, nie uległy żadnej zmianie. Ewa często widywała swego przybranego brata, z któ-

rym ją ścisła przyjaźń łączyła; często Fakredeen odwiedzał Damaszek i popisywał się z dumą swemi rycerskimi nawyknięciami, szczyił się pięknnością swych koni, czystej krwi arabskiej, lub doskonałością swych sokołów.

Fakredeen zaczynał już rok szesnasty, gdy w roku 1839, mimo głębokiej napozór spokojności kraju, wspartej nadzieją opieki potężnego mocarstwa, nadeszła straszna chwila przesilenia dla Syrii.

Upadek potęgi egipskiej w Syrii, smutny wpływ wywarł na los emira Beszir, a nawet jakiś czas zdawał się grozić zupełnym upadkiem członkom możnego domu Besso, w Damaszku osiadłym. Książęca rodzina Beszirów powołaną została do Stambułu, gdzie dotąd trzymaną jest w zakładzie. Młody zaś Fakredeen, skoro o wzięciu Akry posłyszał, wyjechał z domu konno pod pozorem polowania, i pędząc z całą szybkością arabskich koni, udał się w pustynię, i spoczął dopiero pod gościnnym namiotem pokolenia Rehab, gdzie opieka dziada Ewy zapewniała mu dalszą spokojność. Poczciwy zaś Besso posiadając własne okręty, potrafił wraz z żoną i córką umknąć szczęśliwie do Tryestu, i kilka lat pozostał na ziemi austriackiej. W końcu za protekcją księcia Metternicha zjednanego mu przez Sidonję, Adam Besso stawivszy się osobiście w Stambule, i wytłumaczywszy w sposób zadowalniający Risa-Paszy swoje postępowanie, powrócił znowu do Damaszku, gdzie wkrótce powetował nietylko swe pieniężne straty, ale i swych braci, także przemysłowi oddanych, które nie były tak wielkie, jak zrazu sądzić było można. Pobyt jego jednak w tych północnych krajach pozbawił go ukochanej małżonki, która zrodzona i wychowana pod gorącym słońcem Arabii, nie mogła znieść europejskiego klimatu.

Jeżeli położenie Bessa żadnej prawie nie uległo zmianie, inaczey rzecz się miała względem jego wychowanka. Fakredeen posiadał wszystkie przymioty i wady swego narodu: próżny, obraźliwy, przebiegły i gorącej wyobraźni, czynny i żywy, wykształconego smaku, był przytym nadzwyczaj chciwy wyniesienia, tak, że wszystko i wszystkich poświęciłby bez wahania, by celu swego dopiąć. Wychowany początkowie w spokojnej i cnotliwej Bessów rodzinie, odbijał zrazu w swém młodem sercu wszystkie ich cnoty; ztąd też sądzono, że jest cichym, potulnym i łagodnym dzieckiem.

Zmiana położenia i stosunków z przybyciem jego do pałacu stryja, zmieniła także stanowczo i charakter jego, który i bez tego może w danym czasie byłby inny wziął kierunek, ale okoli-

czności i zaburzenia miejscowe, wpłynęły na prędsze i silniejsze jego rozwinięcie. Nadto, przypuszczany zbyt wczesnie do tajemnic polityki Wschodu, nauczył się tać prawdziwe uczucia, ceniąc nad wszystko zręczność. Dlatego umiał doskonale pozorami obojętności okryć najgorętsze pragnienia, i wszystkich otaczających go uważał tylko za istoty podrzędne, i za sprężyny przyszłego wyniesienia swego. Cenił także wysoko szybkość w działaniu, uważając ją za główny warunek każdego możliwego powodzenia. Podejścia, zasadzki były jego żywiołem; czując się słabszym, usiłował zręcznością zwyciężyć siłę. Nie miał też żadnych zasad moralnych, żadnego wyobrażenia o religii, tylko trochę przesądów. Napatrzwszy się do woli na licznych władców, baszów, książąt, z którymi dotąd miał stosunki, według nich sądził o reszcie ludzi. Ztądto urosło jego przekonanie, że osiągnięcie celu tłumaczy wszelkie użyte środki, i że siła lub zręczność, są jedynymi sprężynami ludzkości. Charakter jego z natury łagodny, skłaniał go do używania raczej zręczności niż siły, którą za ostateczny dopiero środek uważał.

Fakredeen nadto był młody w czasie wojny syryjskiej, by uleść całej surowości Dywanu. Uniknąwszy szczęśliwie niewoli, jakiej rodzina stryja jego, emira, uległa, po kilku latach powrócił do domu, i żyjąc spokojnie w swoim zamku jednał sobie sąsiadów, którzy radzi widzieli pomiędzy sobą potomka Shehaabów. Młody książę przy każdej okoliczności objawiał głośno swą dla Porty przychylność: to zręczne postępowanie zjednało mu naczelników rządu, którzy radzi byli widzieć potomka tak znakomitego domu swym jawnym zwolennikiem. Różnorodne stronnictwa, jakie w skutku zmian i zaburzeń powstały, patrzyły na niego z równą nadzieją; każdy widział w nim przyjaciela swego szlendaru i opiekuna, bo Fakredeen z taką zręcznością postępował, że te wszystkie osiwiiałe głowy, chyliły się lub podnosiły na jedno jego skinienie.

* * *

Gdy Adam Besso w roku 1843 powrócił do Damaszku, jego wychowaniec był istotnie najznakomitszą osobą i najwięcej mającą wpływu w całej okolicy. Skoro Fakredeen dowiedział się o powrocie przybranego ojca, pospieszył go powitać. Uścił serdecznie Bessa, płakał jak dziecko ujrawszy Ewę, całą noc przesiedział z niemi na tarasie, paląc nargylę, i wypowiedział wszystko, co miał na sercu, nie tając żadnego czynu, żadnej myśli. Z równą szczerotą i prawdą opowiadał swoje haniebne jak i szlache-

ne postęпки. Miał natenczas rok dwudziesty, a Ewa skończyła lat szesnaście. Młody emir nie tait się wcale z tém, że ma nadzieję zostać panującym księciem Libanu, i że z Ewą pragnie wyniesienie się swoje podzielić. Lecz stary i doświadczony Besso, nauczony jeszcze ostrożności niedawnymi i smutnymi wypadkami, dość obojętnie słuchał tych planów: wątpił on, by Fakredeen dopełnił tego, o co się daremnie kusił Mehmed-Ali.

Inne było usposobienie Ewy: wiedziała ona, że Fakredeen mniej potężny od wice-króla Egiptu, mniej posiadał materyalnych skodków; lecz za to większe miał prawa za sobą i większe moralne oparcie swego przyszłego wyniesienia, będąc niejako prawym spadkobiercą przodków, którzy zdawna krajem tym władali. Nadto, ufała ona arabskiej krwi płynącej w żyłach przyszłego bohatera. Ewa bała się wpływu Europy na losy Syrii, więciej niż potęgi Turcyi: bo władcy zachodniej Europy pod pozorem opieki i zastony od nadużyć, mogli ją z czasem przerobić w jaką europejską kolonią. Według niej, świat się ważył i blizki był przesilenia pomiędzy życiem Wschodu i Zachodu. Długo Ewa uwodziła się przysztém postannictwem Fakredeena, długi czas skłaniała ojca do udzielania mu pieniężnych zasiłków, lecz wreszcie i ona przekonała się, że złudzona jest tylko daremną nadzieją. Życie albowiem młodego emira było ciągłą sprzecznością, ciągłą walką jego dobrych i złych przymiotów. I tak: póki był w obecności Ewy, żył tylko jój wpływem, słuchał każdego jój wyrazu jak wyroczeni, przysięgał postępować za jój radami, i obiecywał życie dla niej poświęcić, i mówił to natenczas szczerze, z przekonania; lecz skoro się oddalił, skoro w inném zostawał towarzystwie, zapominał o przyrzeczeniach, szedł wbrew jój radom, byłby ją samą nawet zdradził lub wydał w potrzebie. Mimo to jednak, kochał ją i ubóstwiał również gorąco.

Wplątany w ciągłe zawikłania, w ciągłe intrygi, skutkiem których omało że Syrya nie została oddaną w ręce połączonych sił Francyi i Anglii, Fakredeen stracił odwagę i potrzebną wytrwałość, i płacząc i szlochając jak niedołęzne dziecko, przyszedł u nóg Ewy nowiej zebrać pomocy. Adam Besso na ten raz jeszcze ulegając prośbom córki, od grożącej wybawił go zguby, lecz zaprzysięgił, że to czyni po raz ostatni.

Ewa oddała emirowi wszystkie swoje klejnoty, i wiele osób z swój rodziny w ścisłe z nim wprowadziła stosunki. Gdyby Fakredeen ożenił się z Ewą, jak tego pragnął gorąco, nie tak prze-

cież przez miłość dla niej, choć ją kochał serdecznie, jak dla jej mnogich skarbów, któremiby Syryą nieledwie całą mógł zakupić i zjednać sobie na zawsze potężnej rodziny Bessów pomoc: charakter jego byłby może szczęśliwej uległ zmianie, byłby może nabrał więcej hartu, więcej wytrwałości. Lecz małżeństwo to przyjść do skutku nie mogło; dawnym albowiem Izraelitów obyczajem, młoda Ewa przeznaczoną została swemu krewnemu, najstarszemu synowi Bessa z Alepu: czekano tylko, by Ewa skończyła lat ośmnaście, by małżeństwo doprowadzić do skutku. Bliską więc już była ta chwila, za kilka bowiem miesięcy, młoda narzeczona dochodziła przeznaczonego wieku.

Ewa nawykła od dzieciństwa do tej myśli, że ojciec wyda ją według swjej woli za mąż, na chwilę nie pomyślała o możności zerwania tego związku. Nie zagłębiając się wcale, czy związek ten zapewni jej szczęście, spuszczała się zupełnie w tym względzie na ojca, i schylała głowę z pokorą przed czekającą ją przyszłością. Być nawet może, że gdyby była wolną, nie wybrałaby za męża Fakredeena, bo nigdy niczem nie objawiła życzenia zmiany istniejących pomiędzy nimi stosunków: kochała go wprawdzie serdecznie, pomagała o ile mogła, lecz kochała spokojną, braterską miłością. Fakredeen zaś zwyczajem Wschodu, ojcu, a nie jej życzenia swoje oświadczył; i choć młody książę, chcąc łatwiej pozwolenie Bessa pozyskać, przyrzekał dzieci swoje w hebrajskiej wierze wychować, a nawet gdyby tego ojciec Ewy wymagał, sam gotów przyjąć wiarę żydowską, a tym sposobem najwyższa władza Libanu spoczęłaby w rękach hebrajskiego księcia: stary bankier przecież nie dał się tém omamić, i odpowiedział spokojnie, że lubo w każdym przypadku wydałby tylko córkę za człowieka tegoż, co i ona wyznania, nateraz jednak wszystko jest daremne, gdyż Ewa zaręczoną jest już oddawna.

* * *

Skoro Fakredeen przekonał się, że Ewa mimo swojego beduińskiego poniekąd pochodzenia, ze wstrętem i przerażeniem odrzuciła myśl porwania młodego Anglika, zaraz odstąpił od tego zamiaru i wkrótce ze zwykłą sobie przebiegłością, znalazł możliwość korzystania w innym zupełnie względzie z obecności tego bogatego cudzoziemca, i prosił Ewy o współdziałanie. Według niego, Anglik o którym mówił, gotów był mu pomódz w zaspokojeniu należności Sherifa-Effendi, byle tenże termin wypłaty przedłużył: pewnym będąc, że kupiec egipski nie odmówi tego, jeżeli

Ewa osobiście prosić o to będzie. Po jakimś namyśle Ewa przystała na prośby emira, rada, że chociaż tym sposobem może być mu pomocną, i obiecała, że nazajutrz pojedzie do miasta i rozmówi się z Effendim. Uradowany Fakredeen przycisnął rękę jej do serca, i ze łzami wdzięczności i rozczenia, pożegnał ją.

Owoż, takie było rzetelne położenie Fakredeena. Wciągnął on egipskiego kupca w stosunki handlowe, i obstałował liczną dostawę broni, z tém zapewnieniem, że Besso płacić będzie za niego, a na utwierdzenie go w tém mniemaniu, kazał mu przybyć po wypłatę na dzień oznaczony do Jeruzalem, do domu Bessa. Jednak wiedział on dobrze, że bankier w żadnym przypadku osobiście w podobne ugody nie wejdzie; naprzód, że położenie jego nakazywało mu dużo ostrożności w postępowaniu; powtóre, że wyobrażenia Bessa nie zgadzały się zupełnie z zamiarami Fakredeena; potrzecie, że na tak niepewną spekulacją, przeczorny starzec nie tak łatwo skrzynie swe otwierał.

Mimo to jednak, młody Fakredeen nie tracił nadziei i na dzień oznaczony, lubo zupełnie ogołocony dotąd z możności uiszczenia się z zobowiązań, przybył w wesołym do Jeruzalem usposobieniu; i chociaż blisko dwieście mil angielskich przebył konno, nie znać było na nim ani moralnego, ani fizycznego utrudzenia. Usny w swój rozum i przemysł, pewnym był, że jakimkolwiek sposobem potrafi się z kłopotów wywikłać. Zaraz na wstępie do domu Bessa, powitany został przez akuratnego egipskiego kupca, który od wczoraj już czekał na jego przybycie, paląc spokojnie nargyle. Rozmowa między nim a Fakredeenem, szła zwykłym obyczajem wschodnim, przeplatana długim milczeniem i gęstemu kłębam dymu, dopóki nie zgadało się o przybyciu Tankreda. Tu różne myśli zaczęły się snuć po głowie młodego emira, który łatwo wynalazł sposób pozbycia się swego towarzysza.

Nazajutrz, strawiwszy kilka godzin w łaźni, układał w myśli rozwinięcie dalszego planu, o którego skutkach czytelnik jest już uwiadomiony, a potem udał się do Ewy. Skoro tylko pozyskał jej obietnicę, powrócił znowu do Jeruzalem, i wyszukawszy Effendego, następującą miał z nim rozmowę:

— Wiész co Effendi, nie mów nic o naszym z Besso interesie.

— Zgoda.

— Jeżeli interes przez kogo innego równie dobrze załatwionym będzie, wszak ci to wszystko jedno.

— Ziarnko pszenicy jednakową ma wartość w każdym ręku.

— Kto inny zajmie się tém i ułatwi wszystko.

— Zgoda.

— Róża Saronu równie jak i ojciec, mają zająć się interesami.

— On jest rubinem, a ona perłą.

— Róża Saronu rozmówi się z tobą jutro rano.

— Zgoda.

— Róża Saronu może zażąda od ciebie przedłużenia terminu wypłaty, bo ona jeszcze z kilku osobami w tym względzie rozmówić się musi. Znasz zapewne Alep.

Jakże znać nie mam? jeżeli bowiem Damaszek jest okiem, to Alep uchem Wschodu.

— Nie kłopotcz daremnie Róży Saronu niepotrzebnymi szczegółami tej sprawy; lecz przystań na wszystkie jój żądania. Być może, iż zechce trzymiesięcznej zwłoki, bo kobiety dziwne zawsze mają przywidzenia: boją się, by w chwili wypłaty, rozbójniki skarbów nie zabrali, by klucz od kufra się nie zarzucił, lub coś podobnego. Rozumiész mnie, znasz przecie płec niewieścią. Raz cię więc jeszcze proszę, przystań na każdą propozycyą Ewy Besso, ja zaś zjadę się z tobą w Gaza, pierwszego dnia miesiąca na nowiu. Rzeczeń skończona.

— Zgoda.

Nazajutrz Ewa, wierna swemu przyrzeczeniu, osłonięta długim płaszczem arabskim, który zupełnie postać jój zakrywał, z czarną maską na twarzy, w towarzystwie dwóch kobiet, równie jak ona ubranych, udała się konno do Jeruzalem, do domu ojca, bramą Syońską. Poprzedzała ją straż dobrze uzbrojonych janczarów, a czterech młodych arabskich *groomów*, obok niój. nadzielnych koniach jechało. Fakredeen oczekiwał na jój przybycie, i wkrótce o szczęśliwym skutku swój negocyacji się dowiedział.

— Sherif Effendi—mówiła mu Ewa—przystał na trzymiesięczną zwłokę, z warunkiem, byś mu prawny procent opłacił. Zrobiłam co mogłam; oby teraz nowy twój przyjaciel był dla ciebie użyteczniejszym, a równie jak ja przychylnym.

— Sliczna Rózo Saronu! któż wyrównać ci może w dobroci i szlachetności? Twoje wdanie się w tę sprawę, jest dla mnie najlepszą wróżbą, i zwiastuje szczęśliwe jój rozwiązanie. Pewny jestem, że wcześniej, przed terminem, dostanę pieniędzy.—To powiedziawszy pożegnał ją, aby, jak mówił, bez zwłoki udać się do Bejrutu.

Rozdział VI.

Zaledwie jutrzienka rozpędziła nocy cienie, a już bohater nasz Tankred, wraz z Baronim kamerdynerem i dwoma służącymi, opuszczał Jeruzalem Betleemską bramą. Towarzyszył mu także wysoki i poważny Hassan, szejik Jelaheńskich Beduinów. Wszyscy byli na dzielnych koniach i dobrze uzbrojeni. Szejik trzymał jeszcze w ręku oprócz przewieszonej fuzyi przez ramię, i koniecznego przy boku yatagana, długą i ostrą dzidę, ustrojoną w pierzaste strusie pióra.

Kto nie oddychał rozkoszném Palestyny powietrzem w czasie ciepłego i łagodnego poranku, kto nie widział wschodzącej w tym rozkosznym kraju jutrzienki, otoczony urokiem przyrody i wspomnień świętością; w tym kraju, gdzie przeżyta cywilizacya Europy, nie zepsuła jeszcze smaku i obyczajów: nie pojmie uczucia, jakiego doznawali nasi podróżni, przypatrując się z rozkoszą wesółym skokom gazelli po gór szczytach, i swobodnym uciechom licznych gromad ptastwa w dolinach. Wszystko to przypominało dawne ubiegłe patryarchów czasy, i napępniało serce młodego Anglika tęsknotą; tęsknotą za uwielbioną i ukochaną przeszłością!

Nawpół drogi pomiędzy Jeruzalem i Betleem, nasi podróżni zatrzymali się przy grobie Racheli, gdzie oczekiwało na nich dwudziestu walecznych Jelaheanów, podwładnych szejika Hassana, by ich eskortować do pustyni Arabii. Ich białe burnusy i kaptury ozdobione frendlami, tak odmienne od używanych zwykle na Wschodzie zawojów, dziwnie odbijały swym krojem i barwą od reszty mieszkańców tego kraju. Każdy miał długą fuzyą i obosieczny przytém puginał.

Zwykle wszystkie umowy z Beduinami odbywają się za pośrednictwem konsulów. Tankred jednak chcąc uniknąć na ten raz towarzystwa pułkownika Brace, którego obecność i rubaszne żarty dotkliwie go raziły w tak świętej pielgrzymce, postanowił dokonać wycieczki na górę Synai bez jego wiedzy. Z tego więc powodu, nie udał się do konsula angielskiego w celu zapewnienia sobie potrzebnej do téj podróży eskorty, bo pułkownik, który dni całe trawił w konsulacie, byłby się niezawodnie o tém dowiedział, lecz za pośrednictwem Baroniego, który zdawna znał Hassana, jako uczciwego i wiernego Araba, na którego słowie można polegać, sam się o nią postarał. Od przybycia swego do Ziemi Świętej

Tankred oddawał się z coraz większym zapalem pobożnym i samotnym rozmyślaniami. Wiara jego ożywioną jeszcze była świętością miejsca, ciągłemi postami i częstą z Alonzem Larą rozmową.

Po cało-tygodniowém przygotowaniu, w zupełnej samotności, i po ciągłych umartwieniach ciała, na jakie za ledwie stary pielgrzym z Engadi (1) zdobyć się niegdyś potrafił: Tankred ukląkł nareszcie na tym grobie Zbawiciela, gdzie przed sześciu wiekami przodek jego, także Tankred de Montecute, modlił się i walczył przeciw niewiernym.

Mimo wszystkich wysilen i męstwa poprzedników, grób święty pozostał w ręku niewiernych i nieprzyjaciół krzyża. A dzisiaj chrześcijanie mało już dbają o tę ziemię, zapomnieli o świątyni, gdzie spoczywał Odkupiciel rodu ludzkiego. Dzisiejsza mądra Europa nie troszczy się o podobne drobiazgi, nie myśli o Palestynie. Trawiona wewnętrzną gorączką, morduje się i goni..... goni, za czém? za marą, za urojeniem, za czczém słowem, które mądrość dzisiejszego wieku nazywa postępem!.. Postępem czego? za czém?

* * *

Młody nasz wędrownik w czasie swojej samotnej na świętym grobie modlitwy, doświadczył wprawdzie ulgi, pociechy wewnętrznej, lecz nie dostąpił natchnienia. Żaden głos z nieba nie odpowiedział na jego wezwanie. Lecz świętość miejsca przejęła serce jego do wnętrza głęboką pokorą i poddaniem się woli Bożkiej. Pojął izrozumiał, że nie zasłużył na podobną łaskę, i z nowym zapalem do dalszych gotował się pielgrzymek.

W tej chwili Tankred zbliżał się do Betleem, leżącego na wzgórzu, któremu otaczające mury dają dotąd pozór miasta, chociaż ludność tego miejsca, nie odpowiada jego powierzchowności. Promienie wschodzącego słońca wznosząc się zpoza gór Arabii, złożyły swym blaskiem wspaniałą klasztor, zbudowany na pamiątkę urodzenia Jezusa Chrystusa.

Od Betleem do Hebron, ziemia Judei jest równie prawie bogatą i obfitą, jak ta część kraju, co się na północ Jeruzalem rozciąga, i którą słusznie zowią krainą mlekiem i miodem płynącą. Samarya, Galilea, pyszne doliny Zebadonu i Genezareth, oraz wybrzeża pieniącego się Jordanu, świadczą dotąd o nieprzebranych bogactwach ziemi obiecanej. Niedaleko Betleem wznoszą się dotąd w ścieśnionej dolinie ślady wielkich dzieł, dokonanych nie-

(1) Piotr pustelnik, znany przewodca pierwszej krucjaty.

gdys przez mieszkańców ziemi judzkiej. Rozpoznać tu jeszcze można dokładnie trzy olbrzymie wodociągi, które dostarczały niegdys wody i użyzniały te okolice. Lud miejscowy dotąd wodociągi te „Stawami Salomona“ nazywa, i prawdopodobnie były one dziełem tego mądrego poety – króla, który natchniony wyższem pojęciem, w tych miejscach opiewał chwałę i mądrość Najwyższego na swój harmonijnej lutni. Podania albowiem ludów, zwłaszcza w krajach Azji, gdzie te same dotąd przechowały się obyczaje, są podobno najwierniejszym obrazem przeszłości.

W tych więc opustoszałych miejscach, wznosiły się niegdys wspaniale króla-poety ogrody. Tu może królowa Saba, zdjeta uwielbieniem tego pomazańca Boga i pragnąc przekonać się osobiście o prawdzie jego sławy, przyszła w przytomności zdziwionego i liczego dworu Salomona pytać, który z dwóch wieńców kwiatów, trzymany przez nią w obu rękach, był przeznaczony dla niego?....

* * *

Takiz więc koniec wszelkiej ludzkiej sławy i potęgi! zawołał Tankred rozpatrując dziś te smutne i spustoszone miejsca. Wszystko więc znikome i nietrwałe? Gdzież ci mocarze, których słowa po tylu wiekach z czcią i uszanowaniem powtarzane przez tysiące ludzi, budzą współczucie każdego mieszkańca Wschodu! Gdzie świątynie i pałace ręką ich wzniesione? Trawa i chwasty zarosły już zdawna rozsypane w gruzy pomniki ich ziemskiej potęgi, a echo tylko odpowiada na zapytanie i głośnie wykrzykniki marzącego tu wędrowca. A jednak mimo to niejedyn płasko-nosy mieszkaniec zimnej Europy, wychowany w praktycznych i rzeczywistych zasadach nowoczesnej wiedzy, rozprawia szeroko o dzisiejszej mądrości i o postępie dziewiętnastego stulecia. Lecz pytam raz jeszcze, gdzie ten postęp? Co do mnie, widzę tylko wszędzie upadek. Ocalałe przypadkowo obeliski lub kolumny z dawno minionych wieków, są dotąd największą ozdobą dzisiejszych czasów; odgrzebane z gruzów arcydzieła sztuki, są dotąd najlepszym piękności wzorem; zasypane kanały, świadczą o upadku przemysłu i handlu. I gdzież ów wsławiony postęp? Wszędzie mierność, nikczemna współczesnych zazdrość, wszędzie niewiara i samolubstwo. Nigdzie cnoty, nigdzie miłości! Mylą się zwolennicy dzisiejszych czasów: nie sąto czasy postępu, ale.... wygody, *confortu!*....”

Niedaleko od miejsc wyżej wspomnianych, leży Hebron, uświęcony pobytom Abrahama, którego Arabowie w takiej czi

mają, mimo jego surowe i niesłuszne obejście się z Izmaelem, że żadnemu z chrześcian nie pozwalają zwiedzić jego grobu, jako szczególnego wybrańca i przyjaciela Allaha. Pomiedzy sobą nawet nie nazywają miejsca tego jego dawném judzkiém nazwaniem, lecz go zowią miastem *Przyjaciela*.

Rozkoszne są Hebronu okolice! Zewsząd wznoszą się to piękne okryte zaroślami wzgórza, to lasy oliwne, to starannie uprawione pola i rozległe błonia, po których mnogie pasą się trzody; to nareszcie bogate winnice, starannie murem opasane. Tutaj téż Tankred kazał rozbić swój namiot, by się nacieszyć tym wesołym widokiem, zanim się w smutne, oschłe i piaszczyste zapuści pustynie.

Dzieci Izraela, jak dotąd żydów nazywają Arabowie, pochodzą także pierwiastkowo, według nich, z tegoż samego co i oni pokolenia, z Arabii piaszczystej. Onito pod przewodnictwem mądrego szejka opuścili swą skalistą ziemię, by osiąść na brzegach Syrii; nie mogąc jednak sprostać wykształconym Palestyny mieszkańcom, musieli wrócić do swój pierwotnej ojczyzny; lecz zniechęceni nieurodzajnością téj niewdzięcznej ziemi, dali się zwać bogactwom miast egipskich: porzucili więc twarde, lecz swobodne życie, jakie dotąd wiedli, i stali się Fellahami. Faraonowie bowiem ciężko kazali im opłacać pobyt w swych miastach, używając ich, jak to dziś Mehmed-Ali czyni z Arabami, do najcięższych posług: słowem, obrócili ich na swoich niewolników. Gorąca jednak krew tego ludu i pamięć na dawną wielkość i szczególną Jehowy opiekę, nie tak łatwo przywykły do nowego jarzma: jakoż wkrótce ukazał się wśród nich człowiek wyższym obdarzony gieniuszem, z wszechstronną wiedzą, jedném słowem typ doskonałości ludzkiej, prawypotomek Adama, patriarchy emirów, którego potomkowie opuściwszy rodzinne Kaukazu góry, rozplenili się na błoniach Mezopotamii i skalistej ziemi Arabii. Jakoż Jehowa natchnął wybrańca swego Mojżesza myślą wyzwolenia swych braci szczepu arabskiego z niewoli, i powrócenia im swobód życia Beduinów. Odtąd, za sprawą Boga, w tém wybraném pokoleniu przechowała się władza uświęcona tajemnicą i objawieniem.

* * *

Nazajutrz Tankred powstał ze wschodem słońca, by opuścić bogate strony Hebronu, dla skalistych pustyni. Téż samą drogę przebywali Hebrajczycy udając się do ziemi obiecanej; przejście to jednak jest stopniowe, i długie pasmo wzgórz przedziela tę tak od-

mienną od siebie ziemię. Następnie widać już wprawdzie gdzieś nigdzie obszary piasków, lecz przeplatane jeszcze obficie zielonemi łąkami i zaroślami. Dalej, coraz mniej widać krzewów, coraz radsze łąki, i powoli zieloność zmniejsza się i niknie zupełnie, ustępując piaskom, które znów niedługo przeradzają się w ostry i skalisty żwir, a następnie kamienista już tylko przestrzeń, roztacza się przed okiem zmęczonego wędrowca, przerywana tylko tu i owdzie pasmem równie kamienistych pagórków. Przez trzy dni wędrował Tankred po tej bezludnej pustyni, trzy nocy spędził pod cieniem tylko własnego namiotu, wraz z szeikiem Hassanem i Baronim, posilając się skromnie chlebem, każdego wieczora upieczonym w popiele, kawą i wędzonym ozorem gazelli. Całą osłodą ponoszonych trudów była fajka, którą przy wspólném kurząc ognisku, rozmawiał o celu i blizkim już swój podróży kresie. Byli już bowiem w bliskości góry Synai, i następnego rana przebywać mieli szereg wzniosłych pagórków, co się po obu jej stronach rozciągał. Szeik, który z wielką ostrożnością dotąd drogę tę odbywał i często krył się za pagórki, długo zostając nieruchomy i milczący, by uprzedzić wszelkie możliwe niebezpieczeństwo, wieszował już Tankredowi tak szczęśliwie odbytej podróży. „Nie lękałem się, mówił, napadu, bo wiem, żebym zwyciężył lub zginął; lecz wolę, że do tej jednak nie przyszło ostateczności”.

Hassan jakkolwiek był sam szeikiem i władcą swego pokolenia, zostawał przecież pod zwierzchnictwem wielkiego szeika Jellachinów, i w razie ogólnej potrzeby lub wędrowki całego pokolenia, winien mu był posłuszeństwo.

Od rana nasi podróżni zaczęli przebywać otaczające ich wzgórza, i po kilkogodzinnéj wędrowce, znaleźli się w prześlicznym wąwozie, zewsząd otoczonym górami, któremu wysokie drzewa swym cieniem i zielonością, nowego dodawały powabu. Kwitnące oleandryapełniały szczeliny i przerwy gór.

— Co za cudowny widok!—zawołał Tankred w zachwyceniu—to chyba wzroku złudzenie, i cały ten krajobraz we mgle się rozplynie, zanim zdołamy go dokładnie obejrzyć.

Po półgodzinnéj jeździe w wąwozie, szeik Hassan nagle wszystkich wyprzedził, puściwszy konia całym pędem, zwrócił swą dźbę ze znaczeniem na odosobniony kamienisty pagórek, którego niższa część zakryta była zupełnie oleandrami, a potem dał znak swoim towarzyszom, aby się przybliżyli.

— Spostrzegam—zawołał z niespokojnością do zbliżających się—świeże ślady koni i wielbłądów, które weszły w ten wąwóz; lecz uważam, że nie udali się tą drogą którą my jedziemy: trzeba się mieć na baczności.

— Jest nas dwudziestu pięciu, ludzi dobrze uzbrojonych—odrzekł Baroni—czegoż możemy się obawiać. Nie ośmielą się przecież Tiahassy na nas uderzyć.

— Nie sąto Tiahassy, ani Geherasny, ani Mézeimy, bośmy już minęli ich siedziby; a potem wszyscy ci, sąto nasi sprzymierzeńcy.

— To muszą być Aluiny—powiedział jakiś Arab.

W tej chwili droga skręcała się nieznacznie, i w niezbyt dalekiej odległości, Hassan, który naprzód nieco podjechał, zobaczył kilku jeźdźców.

— Widzę ich—mówił obróciwszy się do swoich towarzyszy—nie sąto Aluiny.

To powiedziawszy, pospieszył na ich spotkanie w towarzystwie Tankreda i Baroniego.

— *Salam*—rzekł zbliżając się do jeźdźców—a zkądżeto jedziecie?—To są jacyś ludzie zupełnie obcy—rzekł obracając się do Baroniego—nie znam ich wcale, nie pojmuję zkąd się wzięli i po co się tu znajdują.

— *Aley-komen*, wiemy zkąd wy jedziecie—rzekł jeden z obcych jeźdźców. Czy to jest brat królowej angielskiej?—dodał tenże po chwili—Jeżeli to on—rzekł wskazując na Tankreda—niechaj jedzie z nami, a wy wracajcie spokojnie do domu.

— To jest mój brat—odrzekł szejik Hassan—brat nas wszystkich: nie masz tu między nami obcego. Kto wy jesteście?

— Jesteśmy dziećmi Jethro, i wielki szejik przysłał nas zdaleka, aby was pozdrowić. To miejsce nieestosowne do pochodu waszych wielbłądów; chodźcie, skończmy prędko rzecz całą, bo nam pilno do naszych zielonych palm powrócić.

— Czy to pokolenie Eblisa?—zapytał szejik Baroniego.

— To chyba dzień sądu ostatecznego!—wykrzyknął Baroni, zbladły i przelęknięty. Nigdy jeszcze nic podobnego nie wydarzyło się w tych stronach. Zginęliśmy!

— Co mówią ci ludzie?—zapytał Tankred.

— Jeden jest tylko Bóg i prorok jego Mahomet—zawołał Hassan, za zbliżeniem się swego orszaku.—Synowie Eblisa puszczajcie nas, lub wielu z was bez duszy zalegnie tę ziemię.

Dziki okrzyk rozlegający się po wszystkich otaczających wzgórzach, był odpowiedzią na słowa Hassana, i zdziwieni podróżni ujrzeli się jednocześnie otoczeni liczną zgrają zbrojnych Arabów, którzy jakby naraz z ziemi wyrastając, całą przestrzeń zalegli.

— Mylordzie, w tym całym wypadku jest coś tajemniczego—mówił Baroni.—Nie jestto zwyczajny napad rozbójniczy na podróżnych. Nie, oni znają ciebie i przybyli umyślnie, zdaleka, aby cię schwytać.

— Ilu was jest, synowie Eblisa?—zapytał Hassan.

— Porachujcie się sami: dodajcie liczbę waszej broni, waszych koni i waszych wielbłądów, i pomnóżcie to wszystko trzykrotnie, a daleko wam jeszcze będzie do połowy sił naszych. Nasz wielki szejik sam na czele 10,000 ludzi byłby tu przybył, lecz nie chciał osobiście mierzyć się z giaurami.

— Powiedz naszemu młodemu wodzowi—zawołał Hassan do Baroniego—że go uważam za brata, i ostatnią kroplę krwi z chęcią za niego przeleję.

— Zapytaj tych ludzi, czego oni chcą?—powiedział następnie Tankred do Baroniego.

— Chcą uprowadzić mylorda do swojego wielkiego szejika—odrzekł Baroni po krótkiej z nimi rozmowie.—Sądzą Waszą Wysokość bratem królowej angielskiej, spodziewają się zatem wielkiego okupu.

— A nie mają oni stosunków z pokoleniem Jellahinów?

— Żadnego, sąto zupełnie obcy przybysze, którzy umyślnie zdaleka w tym celu tu przybyli. Cała ta sprawa musiała być jeszcze ułożoną w Jeruzalem.

— Przykre jest nasze położenie w tym ciasnym wąwozie—powiedział Tankred zamyślony—smutnato ostateczność tych niewinnych ludzi na śmierć narażać. Powiedz im, Baroni, że nie jestem wcale bratem królowej, i że żadnego za mnie nigdy nie dostaną okupu, bo mnie żywym nie pojmą.

W ciągu tej rozmowy, szejik Hassan siedział jak martwy na koniu z wzniesioną dzidą i zaiskrzonym okiem, a potem zbliżając się do stojących dość blisko przeciwników, używał wszystkich możliwych sposobów wywikłania się z biędy. Kłamał bezczelnie, lecz z wielką zręcznością; przysięgał im, że ten młody Anglik nie jest bratem królowej, ale synem angielskiego szejika; że się pokłócił z ojcem, który mu wcale nic nie dał na podróż i pewnie grosza nie wyda na jego okup, bo rad będzie pozbyć się go na zawsze;

w końcu, ofiarował się sam z połową swoich ludzi na zakładników, byle puszczone swobodnie Tankreda: lecz wszystkie jego usiłowania były daremne.

— Na nic nie chcą się zgodzić—rzekł wracając do młodego lorda—cała ta sprawa jest dla mnie zupełnie ciemna.

— W takim razie trzeba nam się przebić wśród nich; przynajmniej zginiemy z bronią w ręku. Powiedz, a szeikowi by uszykował swoich ludzi, i niech każdy weźmie na cel jednego z nieprzyjaciół, by nie stracić darmo strzałów. Moi biedni rodacy—rzekł dalej obracając się do swoich służących Anglików—przezemnie narażeni jesteście na to niebezpieczeństwo, ja to was wyprowadziłem z naszego kraju: otóż jeżeli nam Bóg dozwoli wyjść szczęśliwie z tej walki, każdy z was za swoim do Anglii powrotem, na własnym kawałku ziemi swobodne wieść będzie życie.

— Nie troszcz się o nas mylordzie, da Bóg doczekać, jeszcze nauczymy tych pogan rozumu.

— Czy wszyscy już gotowi?—zapytał Tankred Baroniego.

— Wszyscy, mylordzie.

— Polecam zatem Zbawicielowi duszę moją, w którego sprawie walczę dzisiaj i zginąć mogę.

To powiedziawszy, Tankred strzelił do stojącego na przodzie jeźdźca w czerwonym kaftanie, który spadł z konia natychmiast; z drugiego zaś pistoletu, drugiego zabił przeciwnika. Wszyscy jego towarzysze posuwając się naprzód, toż samo uczynili, a napad ten był tak szybki, tak niespodziany, iż zmieszani przeciwnicy, cofać się zaczęli. Strzały tak nagle po sobie następowały, dym tak był gęsty, że Tankred nic widzieć nie mógł; puścił tylko w całym pędzie rumaka, i słyszał jadących obok siebie towarzyszków. Gdy szybkością biegu swego konia, wydobył się z ciemnych kłębow dymu, ujrzał się z kilku tylko towarzyszami na końcu wąwozu, gdzie ich daleko liczniejszy czekał nieprzyjaciel.

— Bijmy się do upadłego—zawołał.

Lecz zaledwie słów tych domówił, broń wypadła mu ze ranniej ręki, a koń śmiertelnym razem dotknięty, padł pod nim nieżywy. Natychmiast otoczono go i związano.

— Ostrożnie z nim — zawołał dowódca Arabów — każda kropla krwi jego warta najmniej 10,000 piastrow.

(Dalszy ciąg nastąpi).



KRONIKA LITERACKA.

Opis historyczny trzech kęp na Wiśle pod Warszawą (Polkowska, Belk, Saska) od najdawniejszych czasów do 1850 r. Skreślił Alexander Wejnert magister obojga praw i nauk administracyjnych, konserwator akt dawnych miasta Warszawy. Z ryciną. Warszawa. Nakładem autora, w drukarni Banku Polskiego, 1850. 16ka, str. 156.

Po wielokrotnych obietnicach ze strony autora, a długim ze strony czytelników oczekiwaniu, pojawiło się nareszcie pod wyżej przytoczonym tytułem dziełko, które jako dalszy ciąg oddawna wyszłych *Starożytności Warszawskich* uważać należy. Autor jak w poprzednim dziełku, tak i teraz mniej na siebie baczny, kreśląc opis trzech kęp wiślanych, wdaje się w rozumowania, które niestety do żadnego szczególnego nie prowadzą wypadku; a przytém uniesiony estetycznością *niwy dotąd odłogiem leżące*, silnie poetyzuje, jak to na swoim miejscu ujrzą czytelnicy.

Pierwsza wiadomość o kępie Polkowskiej, zwaną później zamkową, a naostatku Syreną, wiele ma zalet tak pod względem szczegółów dotąd o niej nieznanych, jako téż i pod względem treściwego obrobienia. Dziwi nas jednak, z kąd nagle w XVII wyskoczyła wieku, i już z pewnym nazwiskiem. Radzibyśmy wiedzieć wszystko dokładnie, dowody zaś z drugiej połowy XVIII wieku na poparcie jej istnienia i urządzeń przytoczone, nie uczą nas bynajmniej o jej początku. Niepodobna przecież przypuścić, aby ona poprzednio wcale nie istniała, i chociaż żadnego nie przynosiła dla miasta pożytku, to jednak nie mogła tak powstać i zniknąć bez śladu; tém bardziej, gdy w podaniu wiadomości o następnych kępach, autor dawno minionych zasięgnął wieków. Kontrakt względem téj kępy z r. 1762

między Radziwiłłową i magistratem zawarty, i w całej swój treści przytoczony, pomimo zapowiedzenia autora nie sprawdza słów jego, i bynajmniej nie objaśnia „jak obszerną, zyskową, i jak zachwycającą (!) musiała być kępa Polkowska w XVIII wieku”. Chyba więc autor żartem na kilku poprzednich wierszach napisał: „iż miasto nie mając dogodniejszego dla siebie miejsca, urządziło dla wymiaru sprawiedliwości szafot szubieniczny na téjże kępie”. Jakże więc to pogodzić? i jeżeli można przyznać, że przynosiła zysk dla ludzkości, służąc za miejsce traceniu winowajców lub dając schronienie zapowietrzonym, to czy była zachwycającą, wcale wątpić należy. Relacya o téj kępie zakończoną jest w ten sposób: że „o jej zniknięciu żadnych pewnych nie posiadamy wiadomości; prawdopodobnym jest, że wielki wylew Wisły w r. 1813 zniósł może tę kępę”. Nie godzi się dziś tak rzeczy zbywać, bo łatwo autorowi bliższych w téj mierze zasięgnąć szczegółów, jeżeli nie z gazet ówczesnych, to od ludzi żyjących: boćto przecie nie tak dawne czasy, a w Warszawie niemało znajdzie się osób, które o tém dokładnie podać mogą objaśnienie.

Następna wiadomość o kępie przy Belku, poparta przywilejem Bolesława księcia mazowieckiego z r. 1474, wedle słów autora: „powstanie téj kępy dokładnie nam wyświeca”...Odczytując jednak ten przywilej, nie napotkaliśmy bynajmniej żadnej wzmianki o jakiejś kępie, lecz tylko o odnodze wody (łacha), która się wdarła na grunta miejskie i tym sposobem pewien gatunek jeziora utworzyła. Na téjto odnodze czyli lasze, pozwala książę Bolesław mieszczanom warszawskim łowienia ryb i ciągnięcia wszelkich zysków; ale gdzież jest wzmianka o kępie? a tém bardziej znowu: gdzie dowód że jej tam dawniej nie było? Przywilej króla Jana Kazimierza z r. 1651 przepisujący powyższy Bolesławowski, również nas nic o tém nie uczy: wąpimy więc, czy nakręcone to zastosowanie jego, do wytłumaczenia téj okoliczności, na ten raz jest trafne! Sam nawet autor przyznaje się, że: „kępą ta dopiero w XVIII wieku nosi miano Belku, a z kądby to nazwanie początek wzięło, nie mogliśmy dotąd wykryć”. Przytoczone z wieku XVIII dowody nie mają żadnego związku z objaśnieniem wiadomości o téj kępie, a wyrażenie *belg*, *belk*, *belch*, czyli łacha wiślana, nie do gruntu, ale raczej do wody zastosować należy. Tak więc zamiast jakiejś kępy Belku, mamy wiadomość historyczną o odnodze wiślanej, a kępy o której mowa, chyba gdzieindziej szukać potrzeba. Takto autor zaciekając się w subtelne rozumowania, widzi wszędzie to, czego zimny pogląd historycznej krytyki, dopatrzeć nigdy nie może.

Przytoczmy własne słowa dowodów autora, i rozbierzmy, jaką też moc poparcia twierdzeń za sobą mają,

Na str. 22... „Bełg czyli łacha wiślana, pastwiska nieco mająca, oraz grunta, poczawszy od drogi czerniakowskiej aż do Wisły extendujące się, do dyspozycji dalszej miasta zostawują się...”

Autor w wyrażeniu, że bełg ma nieco pastwisk, upatruje, że ten bełg jest gruntem, kępą; tu tymczasem jakkolwiek niejasno, ale jednak widać, że jest mowa o pastwiskach na gruntach ów bełg czyli łachę okalających. Zresztą zaraz dalej przytoczony dowód: na str. 23... „Bełg zaś czyli łachę wiślaną z gruntem przyległym aż do drogi czerniakowskiej...” dobitnie okazuje, że tu tylko o gruntach łasze przyległych jest mowa. Potwierdzają to jeszcze i inne ustępy, jak np.:

Na str. 24... „Król Stanisław August potrzebując dla rozszerzenia tyle ulubionych łązienek, trzech placów, w tamtych okolicach położonych, a sąsiednich kępy przy bełku, postanowił je wraz z rzeczoną kępą nabyć od miasta...” I w następstwie znowu dalej:

... „Urząd ekonomiczny nadawszy konsens na trzy place z gruntów soleckich miasta Stariej Warszawy dziedzicznych... wraz z kępą w środku Wisły naprzeciwko Bełchu będącą...”

Z czego także nie widać, iżby tu jaką kępę Bełk mianowano; ale jest tylko mowa o kępie przy bełku lub naprzeciwko bełchu, która czy miała jakie udzielne nazwisko i jak była obszerną, żadnego nie znajdujemy dowodu: i to się tylko okazuje, że autor dowolnie rzecz tę zrozumiał i po swojemu objaśnił.

Wiadomość otrzeć kępie zwaną Saską, rozpoczęta jest ustępem czysto poetycznym z zapytaniami i wykrzyknikami, który tu w całości przywodzimy:

„Któż z nas nie zna téj kępy? komuż ona nie przypomina mile spędzonych chwil? Czy w wieku pacholęcia, czy w młodzieńczym, czy w sile wieku lub starości, niejednemu z mieszkańców Warszawy sprawiała i sprawia uroczą przyjemność, jużto swém rozkoszném położeniem, już też swą naiwną prostotą. Z drugiej strony, ileż (1) to klęsk i ofiar byliśmy świadkami w latach 1813, 1839, 1844, w których rozbukana rzeka unosząc ostatni zbytek spokojnych i pracowitych mieszkańców téj kępy, pochłonęła w swych nurtach całe ich mienie i majątki! Ileżto niewinnych osób znalazło śmierć w bałwanach Wisły, w obronie ostatniego mienia i życia swych bliźnich! Jeżeli porównamy całą wielkość uroczych chwil i rozrywek, jakiemi się na téj kępie napawamy, z ilością ofiar, jakie jój mieszkańcy każdorocznie w daninie rozbukanemu żywiołowi przesyłają;

(1) Ma być iluz

zdaje się, iż dwie ostateczności: i ogrom klęsk, i ogrom przyjemności, przyroda na niwach téj kępy połączyła“.

„Tém chętniej przeto bierzemy się do pióra, aby tyle słynną dla mieszkańców Warszawy, a od nikogo jeszcze dotąd historycznie nieskreśloną okolicę, z wszelkimi szczegółami opisać“.

Taki jest więc głównie powód autora, który go skłonił do skreślenia rysu historycznego okolicy, *sprawiającej uroczą przyjemność swą naiwną prostotą, a na której niwach połączyła przyroda dwie ostateczności, to jest i ogrom klęsk, i ogrom przyjemności.*

Nie wchodzimy w rozbiór tego rodzaju poezji, bo się na tém nie znamy, ale przystępujemy poprostu do dowodów autentycznych.

Autor opierając się na przywileju Jana starszego, księcia mazowieckiego z r. 1410, przenoszącym wieś Solec na inne miejsce, wyrozumował sobie, że Saska kępa była dawniej wsią Solcem, a to dlatego, że w dowodach XVII i XVIII wieku, kępę tę nazywają Solecką, i że nawet tytuł jéj osobnych akt z XVI, XVII i XVIII wieku pozostałych, nosi takąż nazwę (str. 31). Nie wiemy, czy podobne rozumowanie przekonać kogo potrafi; co do nas, sądzimy, że chyba blizkie położenie wsi Solca na nazwę kępy wpłynęło. W wyświeceniu zaś tytułu własności, jakie magistrat za czasów rządu pruskiego w r. 1800 podał, następuje wyrażenie: „Uważamy naprzód: że ta kępa dawniej z wioską Solec, dziś będącą przedmieściem, razem połączoną była, i z témże w r. 1382 od księcia mazowieckiego Jana miastu nadaną została...“ nie można rozumieć dosłownie, ale raczej, iż połączenie to miało miejsce tylko pod względem praw, a nie pod względem położenia.

W dalszym opisie téjże kępy, autor przywodzi spór o wycięte na niej przez poddanych p. Baryczki krzaki, który mniej jest ważny, niż autor sądzi, bo zanadto specjalny, a co większa, zarozwlekły. Potém następuje wiadomość, że z téj kępy brano chróst na robotę wałów w r. 1624, i zaraz z *obowiązku* jeremiada: „że ciesielstwo tak nędznie u nas stało, że aż z Gdańska 100 taczek sprowadzać musiano!!!“ A jednak wiązania dachów w budowlach z tego czasu, wcale przeciwnie dowodzą.

Najważniejszy z tego opisu jest przywilej magistratu z r. 1629, oddający tę kępę, czyli grunt na zawiślu, w posiadanie Holendrom (olendry), opisujący szczegółowo ich prawa i powinności, który w roku 1650 przez króla Jana Kazimierza potwierdzony został. Również ważną jest ustawa-względem *olendrów* z r. 1643 i 1676, w których kępa ta nosi nazwiska *Kosku* i *Kawca*; z kądby się one jednak wzięły, niewiadomo. Następnie przechodzi autor kolejne zmiany rozmaitych właścicieli téj okolicy, wyliczając przytém czynsze i inne powinności z gruntów do miasta należące.

Tu znowu mogąc być treściwszym, grzeszy rozwlekłością i to bez żadnej potrzeby. Za to ustęp historyczny z czasów wojny szwedzkiej r. 1704, wielkiej jest wagi i wartości, bo przez współczesnego opisany. Tu także w następnych wiadomościach, obejmujących przeciąg lat aż do naszych czasów, poznajemy wiele ciekawych, dotąd ukrytych szczegółów, urządzienia wewnętrznego téj siedziby, część Warszawy składającej, dotyczących; a lubo niektóre z nich zkażinąd już są wiadome, to przecież ogół dość zręcznie i starannie jest obrobiony. Dowodzi to, że autor najwięcej do téj epoki miał materyalów, i że z nich rozsądnie korzystać potrafił.

Lecz nie koniec na tém; p. Wejnert zadowolony, iż dobił do brzegu że *finis coronat opus*, wspomniawszy o prawdziwém zdarzeniu *wścieklej rozpaczy* i oddawszy zasłużony hołd p. Steinkeller za pomysł w zaprowadzeniu żeglugi parowej na Wiśle: jakby nie znalazł już w sobie dosyć sił na zakończenie mozolnej pracy „załącza udzielony mu opis wrażeń zwiedzającego po raz pierwszy tę sielską okolicę“. Na opis ten przyznać należy, że *szkoda czasu i atlasu*, jak dawno niesie przysłowie, i wolelibyśmy chętniej co innego: bo „wonejące technienia wiosenne“ — „obronne od zalewów Wisły wały, które dziś już zaczynają być paryzkimi bulwarami“ — „ów skład filialny Wieliczki i Bochni“ — „rozległy szum bystrolotnego Kopernika“ a nadewszystko „nieustraszona Filis, której suknia w czasie bujania na *wysokonośnej szatańskiej chustawce*, najwyższego kresu półkola dosięgła, i za to huczne brawa pozyskała“ — wskazują bardziej na jakiś jeszcze w pieluchach szkolnych gieniuszek, aniżeli pasują do dzieła poważnego, mającego nas uczyć prawdy, początku i wzrostu tak blizkiej, a istotnie mało znanéj osady.

Załączona rycina widoku Saskiej kępy od strony Pragi, domyślamy się, iż jest czysto historyczną: gdyż wykonaną jest w sposób, jaki był używany wtedy tylko, gdy nauka perspektywy i zdejmowania planów, jeszcze w kolebce były. Dziś zdejmowanie wid oków *a vol d'oiseau* jest śmieszne i pomimo tytułu, że to Saska kępa, pomimo podpisów artystów żyjących, nie możemy uwierzyć, aby w naszych czasach wykonaną była: trudno bowiem dopatrzeć podobieństwa przedstawionego widoku, z obecną rzeczywistością. Żałować przeto należy, iż autor zawsze troskliwy i sumienny w skazywaniu na źródła, co do widoku tego, z jakiej pochodzi epoki, nie objaśnił.

W ogóle mówiąc, pisemko p. Wejnerta rozjaśnia niektóre szczegóły, ale wiele jeszcze zostawia do życzenia. Tymczasem dziękujemy i za to, czém nas autor obdarzyć raczył; i gdyby nie to pobratanie dokumentów autentycznych z poezją w lichą ramotę przyodzianą, moglibyśmy z pobłażaniem przyjąć tę rozprawkę, która w ręku prawdziwego znawcy

oczyszczona z umiesień, błędnych objaśnień, i nakręconych tłumaczeń, znakomitą do badań historycznych Warszawy, z przyczyny załączonych dokumentów, może być podstawą i pomocą.

S..... L.

Statuta nec non liber promotionum philosophorum Ordinis in Universitate studiorum Jagellonica, ab anno 1402 ad an. 1849. Edidit Josephus Muczowski Bibliographiae Prof. et Bibliothecae Universitatis Praefectus. Cracoviae, typis Universitatis, 1849, w 8ce, str. 19 CCXL i 562.

Wydaniem Statutów i Księgi promocyj, p. Muczowski położył nowe i bardzo ważne zasługi dla dziejów uniwersytetu krakowskiego, a więc i oświaty narodowej, dla dziejów literatury i osób. Dowiadujemy się z polskiego tytułu, umieszczonego na czele książki przed łacińskim, że to wydanie stanowi początek bardzo obiecującego przedsięwzięcia. Statuta rozpoczynają: *Zabytki z dziejów oświaty i sztuk pięknych, wydawane staraniem Towarzystwa Naukowego z Uniw. Jagiel. złączonego.*

Czekaliśmy lat kilka na spełnienie obietnicy, bo wydanie Księgi promocyj, dawno już zapowiedział p. Muczowski. Dzisiaj za odrodzonym życiem uniwersytetu, z radością witamy ten pomnik dawnej oświaty.

Wydanie niniejsze sporządzone jest z oryginałów biblioteki akademickiej. 107 kart pergaminowych zawierają statuta i promocyje do roku 1541; późniejsze lata spisane są w dwóch księgach papierowych, z których jedna zawierająca przeciąg lat od 1561—1655, znacznie uszkodzoną została przez ogień, a trzecia obejmuje promocyje od r. 1658 do 1782. Nazwiska doktorów, którzy po r. 1782 wieniec otrzymali aż do naszej chwili, p. Muczowski wyjął z akt wydziału filozoficznego.

Poprzedza samo wydanie rozprawka, zawierająca niektóre szczegóły, o uniwersytecie krakowskim (nonnulla de Universitate Jagellonica). P. Muczowski przechodzi w niej pokrótce dzieje Akademii, pod względem uposażenia. Z jego powieści widać, że król Jagiełło mało zostawił fundusze, i że potem Akademia dźwigała się własnymi siłami. A jednak p. Muczowski wskazuje na kwitnący stan Akademii pod względem nauk, i przywodzi na to świadectwa Niemców z lat dawnych. W samej rzeczy, nie tylko z całej Polski, ale jeszcze do Krakowa zbierała się młodzież z Węgier, Szwajcaryi, Siedmiogrodu, Szwecyi, z ostatnich krańców Niemiec, chociaż już w XV wieku dziewięć akademij w samych Niemczech

liczono. Ta okoliczność, więcej jak każda inna, dowodzi kwitnącego stanu nauk w Krakowie. Nie możemy jednak przystać na niektóre twierdzenia p. Muczkowskiego. Autor dowodzi, że przyczyną upadku nauk w Akademii Jagiellońskiej, był potężny wpływ Jezuickiego zakonu. Mogli się przyczynić i rzeczywiście przyczynili się synowie Lojoli do tego upadku, aleć nie ich wpływem jedynie, znikczemniała Akademia. Czasy dopiéro Zygmunta IIIgo objaśniają nam potęgę Jezuitów, aleć czy przed r. 1586 mało już było zarodów w łonie Akademii do okropnego upadku, czyż tam już przed tym czasem nie rozwijał się swobodnie scholastycyzm? Opatrzność cały ten wiek po-Batorowski nastroiła tak dziwnie, że zniknęło światło i przyciemniało się samo poznanie prawdy. Na to wszystko wpłynęło wiele przyczyn, a nie jedna szczególnie. Jak w organizacyi pojedynczego człowieka, jest fizycznych sił upadek, a żaden lekarz nie może naznaczyć jednéj przyczyny nieszczęścia, bo na nie składało się życie całe i wszystkie jego troski, niepewności, obawy i sama pomyślność; tak i w umysłowym świecie, na rozwinięcie się tego albo owego stanu rzeczy, wpływa całe położenie, cały przebieg wypadków. Jezuici mogli dalej rozwijać raz nadany kierunek, ale sami nic nie stworzyli, za wieki pokutować też nie mogą.

Ale dajmy na to, że winni byli Jezuici. Cóż zrobił złego Hozyusz, że na niego narzeka p. Muczkowski? Stefan Batory miał zamiar zbawienny przeformować Akademią krak. i jakby nową stworzyć. To dobrze: dla czegoż zamiarów swoich nie przywiódł do skutku? Hozyusz odwiódł go od tego przedsięwzięcia, zazdrosny o przyszły wpływ Jezuitów, którym chciał oddać i Akademią krak. Więc Stefan Batory był człowiekiem tak słabego rozsądku, że pod ważnym względem oświaty narodowej, spuszczał się zupełnie na podszepty innych ludzi, a nie wierzył popędowi własnego serca? Hozyusz był także przyjacielem Jezuitów, nic pewniejszego; ale czy sposób obwiniać Hozyusza za wszystko złe, które zakon Lojoli posiał w łonie Rzeczypospolitej? Każdy odpowiedzialny jest za własne postęпки, nie za cudze; za przeszłość, nie za przyszłość. Za przyszłość ten jedynie może być winny przed potomnością, który sieje zły owoc, a Hozyusz nie wiedział jeszcze co siał, kiedy Jezuitów osadzał w Brunzberdze.... Jeżeli Batory rzekł się zamiaru swojego reformy Akademii krak., na to inne mogły wpłynąć przyczyny, a nie odradzania Hozyusza. Wiemy np. o tém, że Muretowi sam papież nie kazał jechać do Polski, zazdrosny o sławę, która Rzym oświecać miała (1). W saméj rzeczy,

(1) Grzegorza de Valentia zatrzymał książę bawarski w Ingolsztadzie na teologa; prawnik Papius musiał zostać w Hiszpanii; Zabarellę nie puściła do nas Rzeczpospolita wenecka. (Statuta str. CLXXIII).

myśl piękna i szczęśliwa, władła wtedy w głowie Batorego, kiedy myślał o tój naukowej reformie; pokazuje to, że król mądry, sam widział wady edukacyi akademickiej, że sam na to otwierał oczy i oceniał w przyszłości skutki; ależ czy ta już sama okoliczność nie dowodzi, że zwichnięty już był wtedy kierunek Akademii, że czasy Grzegorza z Sanoka, Miechowity i Szymona Maryckiego już przebrzmiały? Herbest dobrze już przed Batorym prowadził spór z Jakóbem Górskim o peryody okrągłe, *de lana caprina*, powiedzieliby Rzymianie; szło im o drobnostkę niegodną sporu uczonych, a jednak do tój walki mieszał się tacy ludzie jak Orzechowski, a jednak to jedyna była walka, gdzie nie szło stronom o żadne dogmata religijne. Jak to charakteryzowało i ludzi i rzeczy!

Zarazę jezuicką sprowadził do Polski Hozyusz. Hozyusz tóż jedynym był sprawcą upadku Akademii i światła w narodzie. Przeciw temu zdaniu p. Muczkowskiego protestujemy, bośmy wskazali już i przed pojawieniem się Jezuitów na kierunek fałszywy, jaki Akademia rozwijała. Prawda, że zjawienie się potężnego zakonu zmieniło do szczeru społeczeństwo polskie, ale żadna siła ludzka nie stworzy przeciwnego usposobieniu mass, albo naturze rzeczy. P. Muczkowski przytacza ustęp z Gracjana plebańskiego Szembeka o tój sile zakonu i wpływie na umysł narodu. Obraz tam żywy i prawdziwy, ale kiedy p. Muczkowski powiada później, że ze skasowaniem dopiero Jezuitów zabłysła dla Akademii jakaś zorza, nadzieja lepszej przyszłości, przyznać musimy, że szan. autor zbyt jest uprzedzonym w swoim zdaniu. Przed r. 1775, nikt pomyśleć nie mógł o reformie Akademii, powiada p. Muczkowski, nikty się na to nie odważył, a sam przytacza opis wizyty Sołtyka w r. 1766. Tam przecież chodziło o reformę, a Sołtyk miał upoważnienie do tego od tronu. Jezuiti wtenczas jeszcze żyli i nie przewidywali zapewne śmierci. Akademia potrafiła zwodzić długą walkę z zakonem, zwyciężyła w Krakowie, nie pozwoliła potem Jezuitom otwierać kursów wyższych nauk w Poznaniu i we Lwowie;—a więc dowód, że Akademia nie lękała się zakonu. Owszem przez samą zawiść, akademia winna była obrać kierunek lepszej edukacyi młodzieży, żeby tak, stanowczo, pokonać przeciwników. Czemuż nie zrobiła tego? Widać brakowało jój na woli i rozumie. O scholastyczm, o żarzeniu nas przesadami, oskarżaliśmy zakon Lojoli, a małożto sama Akademia krak. przyczyniła się pismami swojemi, dysputami i dziećmiństwami w których za grosz rozumu nie było, do rozwinięcia tego scholastycyzmu, tych przesądów, tych pojęć o literaturze i sztuce?

Miał Batory inne światłe głosy, które wołały o reformę. Jak na nieszczęście te głosy wyszły od Jezuitów. Kto nie zna Stanisława War-

szewickiego, chociażby tylko z imienia? Byłto człowiek światły niezawodnie, choćbyśmy go tylko sądzili z następnych słów kilku, wyrzeczonych w r. 1580 do króla Stefana: „Ustanowileś już trybunał sprawiedliwości. Będiesz teraz królem sędziego, nie sędzią. Postanów więc jeszcze trybunał oświaty narodowej. Rplita żywi, niechaj i uczy Rplita; a kiedy i z tego się narodowi wywiążesz, będziesz jeszcze i królem naszych prawnuków, bo późne pokolenia imię twoje wdzięcznością otoczą”. Kacper Siemek w r. 1632 zalecał także ustanowienie magistratury oświecenia i pod jej rząd oddawał szkoły publiczne. Czemuż król nie usłuchał tego wezwania? Akademia krak. dla swoich osad, których miała kilkanaście, była prawdziwie ministerjum oświecenia. Cóż zrobiła dla ich dobra? Cóż zrobiła dlatego, żeby mieć czyste sumienie i powiedzieć Jezuitom: „wy źle uczycie, my uczym lepiej?” Zakon Lojoli wiele winien względem całej Europy, a mianowicie Polski, że działał fanatyzmem i wszędzie obudzał ducha nietorelancyi; ależ nad znikczemnieniem oświaty w narodzie tyle działał, co inne członki naszego społeczeństwa. Z Zygmuntem III nowa epoka nadchodziła dla Polski. Było tak w widokach Opatrzności. A śladów tego upadku potrzeba jeszcze szukać pod pierwszemi Zygmuntemi. Wskaże te ślady, przyszły historyk filozofii scholastycznej w Polsce.

Wspomnieliśmy, że p. Muczkowski narzekał i na szczupłość funduszów Akademii. Myśmy przeciwnie sądzili, że te fundusze były ogromne. Łukaszewicz w historyi szkół, zarzuty nawet robi Akademii, że marnowała grosz publiczny, że wielkie summy wyrzucała na niepotrzebne wydatki, a przed światem udawała ciągle świecące nawet nędzą ubóstwo (zacytuję tylko str. 98 2go tomu). A jednak wydział teologiczny mógł miliony wyrzucać ze swojej szkatuły na kanonizację świętych i na inne uroczyste obchody. A tyle kanonij nawet katedralnych, tyle probostw wcielonych do Akademii, czyżto nie było bogactwo? Pan Muczkowski, zdaje nam się, narzeka niestusznie. Za masę światła, jaką cisnęła w naród Akademia w XVII i XVIII wieku, przed reformą Konarskiego, była ona doprawdy szczerze opatrzona funduszami.

Nie mamy doprawdy złego serca do dawniej Akademii. Owszem, będzie ona dla nas zawsze skarbnicą pamiątek, będzie ona zawsze matką ojców naszych, bo z niej dziadowie nasi brali jakie takie nauki i światło. Ale nie uniewinniajmy starych błędów, nie obudzajmy dawnych, uspiołych już namiętności. Możemy z zimną krwią sądzić o tém, co tak już dawno przeszło. Kiedy Jezuita upadali, Akademia się podnosiła, powładają nam;—a jednak kiedyż spotkamy w dziejach zakonu w Polsce, szereg tak znakomitych, uczonych i zacnych ludzi, jak byli np. Naruszewicz,

Bohomolcowie, Poczobut, Pilchowski, Piramowicz, Gawroński, Nagórczewski, Wyrwicz, Narbutt? że inoych pominiem.

Zwróćmy jeszcze na to uwagę p. Muczkowskiego, że Hozyusza, mianuje Krakowczykiem, podług Reszki, kiedy sam kardynał w jednym z listów swoich napisał, że rodził się w Wilnie.

Przejdziemy od małej rozprawki, która dała nam powód do obszerniejszego nieco rozwinięcia naszych myśli, do samego textu wydania. Ale zastanowić się musieliśmy nad tym przedmiotem, bo rozprawka ważnej dotknęła kwestyi, a nam się zdaje, że zamiast dowiedzenia czegoś, dawne przesady obudziła, niechęć może, bo nie było zamiarem p. Muczkowskiego pisać dziejów Akademii, badać przyczyn, wyprowadzać wnioski, a chciał szan. autor wskazać tylko pokrótce czytelnikowi koleje, przez które przechodziła Akademia.

Text Statutów zaczyna się z r. 1404. Wyznaczono wtedy czterech mistrzów dla ułożenia praw stałych, któremi się miała rządzić na przyszłość Akademia. Jędrzej z Maryenburga dziekan, prezydował w tym komitecie. Ustawy ułożone przez tych czterech mistrzów, przyjęte w r. 1406, są pierwszymi prawami Akademii. Widzimy ich tutaj początek i następny rozwój. Nie ma w tych prawach i jednego szczegółu, któryby wiele nie interesował. Przepisy obioru dziekana, jego powaga, examina, akty uroczyste; wszystko to snuje się przed nami, jedną nieprzerwaną nicią. Przepisy opłaty akademickiej, zwyczaje, sygnety, wykład lekcyj, sąto wszystko przedmioty doprawdy zdolne obudzić ciekawość. Szczególniej zastanowiła nas okoliczność, że tak wiele dni świętych obchodziła Akademia. Nawet dzień, w którym znaleziono sławny ów skarbiec w murach uniwersyteckich w r. 1494, który prawie skonfiskował profesorom Fryderyk Jagiellończyk, należał do uroczystości. Do r. 1480 małego dodawano do pierwotnych ustaw Akademii, ale wtenczas rektor Jan z Oświęcimia nowymi przepisami dopełnił niedostatek dawnych uchwał. Potem coraz częściej pojawiają się nowe urządzenia.

Pod r. 1601 są zamieszczone uwagi dziekana wydziału filozoficznego, wyjęte z rękopisu Marcina Slacheińskiego Licencyata Ś. Teologii, zebrane przez Marcina Gilewskiego z Krakowa, wydziałowi ofiarowana. Są tutaj wszystkie drobiazgowo przepisy i formy, podług których np. zwoływano akademików do wyboru dziekana, albo wzywano na examina bakałarskie, jest taxa za lekcyę, sposób examinowania, formuły, podług których, prywatnie albo publicznie, przyjmowano uwieczonych nowo kandydatów. Są dalej wzory szematów na stopnie uczone. Jednym słowem najdrobniejsze szczegóły wszystkich spraw wewnętrznego życia Akademii, tak dalece są opisane w tych uwagach, że ciągle przychodzi czytać wzory

i inne formuły, bo na tém zależała wtenczas cała tajemnica mądrości scholastycznych. Rzeczy te znowu reprezentują wiek i ludzi.

Mikołaj Dobrocieski rektor, jeszcze jedną zaprowadził reformę w r. 1603 i tém zamknął szereg praw akademickich, w których jeszcze dobro młodzieży było na sercu professorom. Synod krakowski Tylickiego w r. 1612 wydawał także swoje rozporządzenia. I Dobrocieskiego i synodalne ustawy, o ile dotyczą akademii, mamy w statutach wydanych przez p. Muczковского.

Od r. 1612 do 1684 jest znaczna przerwa, a potem wkraczamy już w wiek XVIII, który aż do czasów Poniatowskiego także bardzo mało zajmował się reformą Akademii. Wreszcie pokazuje się Andrzej Załuski i Kajetan Sołtyk biskupi krakowscy, potem Kommissya edukacyjna, i Hugo Kollataj. Wielką liczbę stronnic statutów zajmują te ostatnie a najciekawsze urządzenia. P. Muczkowski dał nam text reformy Sołtyka i Kollataja, którego ostatnią datę czytamy tutaj 1 października 1778 r.

Oto pokrótce treść statutów i pierwszej części księgi p. Muczковского. W swojej *Historii Liter. Pol.* czerpał już z tych aktów szczerą ręką Michał Wiszniewski i wiele nam rozpowiedział nowości. Wydanie Towarzystwa Naukowego dopełniło teraz opisu autora *Historii literatury*, a dopełniło w bardzo zajmujący sposób, bo Wiszniewski wiele szczegółów w swoim opowiadaniu opuścił, jak gdyby wcale nie miały prawa zwrócić jego na siebie uwagi. Jednak cały ogromny rozdział 21 w tomie IV *Historii* (od str. 225 do 397) w bardzo znacznej części jest skróceniem teraz wydanych statutów. Wiszniewski najmniej dotknął praw zwyczajowych, tych formulek właśnie, o których wspomnieliśmy, a które stanowiły odrębność i charakterystykę Akademii. W statutach jest wszystko to, co tylko o swojej przeszłości, pod tym względem, wie sławna dzisiejsza świetnie odradzająca się Akademia Jagiellońska.

Ale podług nas, najważniejszą częścią tego wydania jest *Liber promotionum*. Mamy tutaj naprzód listę mistrzów akademickich w r. 1407. Ta lista obejmuje 40 nazwisk professorów krakow., potem rok za rokiem snują się listy bakałarzów, doktorów, mistrzów, porządnie spisane z datami, z porządnym spisem dziekanów, tak, że zaraz na pierwszy rzut oka widać, kto, kiedy i za kogo dostał stopień uczony i jaki? Z początku spis to nagich imion i miasteczek, z których nie wybija się na jaw żadne historycznie wstawione nazwisko. Ale co chwila spis ten robi się coraz więcej ciekawy, coraz więcej rzucający światła na dzieje osób pojedynczych.

Nie zachowały się te spisy w pierwotnej swojej czystości. Późniejsi po brzegach dopisywali rozmaite szczegóły, a jednak te dopisy niczem nie zniszczyły wiarygodności księgi promocyjnej, nie tak jak

w kronikach, gdzie jeden wyraz przez mędrka zmieniony, cały ustęp nieraz narażał na niewiarogodność historyczną. Dopiski te późniejsze, objaśniały przeszłość ludzi, którzy zajmowali w społeczeństwie jakieś znaczniejsze stanowisko, wyszedłszy z murów Akademii; naprzykład pod r. 1479 czytamy, że mistrzem został Maciej z Miechowa. Dopisnik późniejszy na brzegu pisze swoje wiadomości, że to był kanonik krakowski, że fundował medycynę, a katedrę astrologii swoim zapisem ubogacił; że trzy szkoły murowane zbudował, szpitale naprawił, że księgarnie nadał funduszami, a umarł chwalebnie w r. 1523. Z tego opisu dowiadujemy się, że ten Maciej z Miechowa, było to zacnej pamięci kronikarz, rektor Akademii. Wybraliśmy znajome imię, które dla nikogo nie mogło być zagadką; ale są mniej znane nazwiska, z którychbyśmy nigdy wniosków robić nie mogli, gdyby nie te dopiski, które albo pomagają domysłom naszym, albo je niweczą. Znakomita więc ich wartość, bo dostarczają faktów. P. Muczkowski pomieścił te dopiski w texcie, ale w cudzysłowach, przez co dzieło zyskało na dokładności.

Wydrukował je tak, jak znalazł w księgach oryginalnych, opuścił jedynie nazwiska filozofów greckich. Bo w Akademii krak. (str. CXXXI) był zwyczaj, iż mistrzom nadawano rozmaite nazwiska sławnych greckich filozofów; było dowcip Akademii. Chociaż te greckie imiona przypątane do naszych wyglądają zabawnie, żałujem jednakże, że ich tutaj niemasz. Nic zresztą na tém nie straciły dzieje oświaty polskiej.

Ubolewamy nad tém bardzo, że ogień przypadkowy zniszczył te ciekawe spisy uczonych bakałarzy i mistrzów. W żaden sposób, z tego powodu, dzisiaj dopełnić nie można listy promowanych od r. 1541 do 1560 przez lat dwadzieścia. Szymon Waclawski, który był dziekanem filozofów od r. 1670 do 1677, chciał dopełnić tych brakujących kartek, ale pomimo ogromnych usiłowań, nie dożył z téj epoki lat 20stu ani jednego imienia. Jednakże napisał *Liber supellectilis facultatis philosophicae*, która zaginęła. W niej od r. 1561 do 1575 ułożył spisy doktorów krakowskich. Węgier Szepsius bakałarz-poeta, wydał wiérsz p. t. *Laurus*, w którym opiewał pochwały nowo uwieńczonych młodzieńców dnia 4 stycznia 1577 r. Cudem prawie ocalił on pracę Waclawskiego, bo przepisał jego dopełnienia, które w wydaniu naszym ciągną się od str. 200 do 215. Potém znowu następuje text dawny, nieuszkodzony albo uszkodzony bardzo mało.

Same spisy, jako spisy, są bardzo nudne dla tego, co nie zna osób. Ale dla mającego wiadomość o dziejach literatury dawnéj, znajduje się w téj księdze całe niezmiernie morze, dla erudycyi i poszukiwań. Rzadko i bardzo rzadko napotka się imię szlacheckie w szeregu mistrzów i doktorów, a zresztą sami plebeje i mieszczanie. Widać nauka być mu-

siała w Polsce zatrudnieniem ludzi gminu; przesady szlacheckie kałały ten święty majestat nauki. Jeżeli się już kiedy szlachcic pojawił pomiędzy akademikami, znać go zaraz po samej odrębnej formie zapisu. Było już zaraz *perillustris, nobilis*, np. Jędrzej Niemojewski z Lubieńca, kanonik pł. herbu Rola, syn Władysława, sędziego ziemi Inowrocł. krewny Stanisława Dąbskiego biskupa, wnuk Jędrzeja kasztelana bydgoskiego; cały zaraz szereg tytułów i dostojności (r. 1685 str. 354). Imion nieszlacheckich ogromna liczba. I tu dopiero jesteśmy w stanie ocenić wartość dopisków, o których wyżej wspominaliśmy. Bez tych objaśnień nigdy byśmy nie wyszli z ciemności. Ilu np. Pilźnieńczyków w uczyło się w Krakowie? a jeżeli dwóch z nich np. są Marcinami, jak dojść czy fakt ten albo data odnosi się do tego, albo owego? Sławne imię Erazma Ciołka biskupa krak. powtarza się tutaj kilka razy bardzo rozmaicie np. Erazm Vitellinus Erazm z Krakowa i t. d. Widać, że wielu Ciołków, dwóch, trzech przynajmniej uczęszczało do Akademii i otrzymywało stopnie uczone; co większą, wszyscy w jednym czasie; jak teraz dojść, kiedy bakałarzem i mistrzem został biskup? Otóż od takich wątpliwości ratują nas nieocenione dopiski.

Najprawdziwsze daty odtąd wyciągać będziem z téj księgi promocyjnej dla życiorysu Jana Kantego; Wincentego Kota z Dębna; Tomasz ze Strzępina; Grzegorza z Sanoka; Jana Dąbrówki sławnego objaśniaacza Kadłubka, wspomnionego tutaj aż trzy razy pod różnemi laty. Znajdujem tu niepróżne interesu imiona Jędrzeja z Dobczyna Gałki, znanego reformatora, Świętosława z Wocieszyna tłumacza polskiego statutu wiślickiego i ustaw Jagiellońskich; Jakóba Parkosza z Żórawicy, który chciał ustalić prawidła pisowni polskiej; S. Szymona z Lipnicy.

Zacny Miechowita bardzo często tutaj wspomniany, już nie jako uczeń, a jako dygnitarz Akademii. Datę jego śmierci zachował nam Michał z Szadka; nie znał téj daty jeszcze M. Wiszniewski, kiedy o Miechowicie pisał. Marcin z Olkusza sam o sobie w r. 1538 zrobił dopisek. Znamy teraz jego ojca,—było Marcin Byem konsul olkuski, zmarły w grudniu 1501 r. w rodzinném mieście swym Wieluniu (str. 103). Będziem więc teraz spisywali genealogie wstawionych nauką rodzin mieszczańskich, poznawszy bliżej ich stosunki domowe. Znajdujem tutaj i Sebast. Petrycego (str. 226), i Skrobiszewskiego (str. 243), pisarza żywotów arcybiskupów lwowskich. Na str. 126 i 151 są bardzo ciekawe fakta, które rozwidnić mogą pochodzenie rodziny Wietorów i Hallerów, wstawionych w drukarstwie krakowskiém.

Ile biografie uczonych zyskały przez wydanie księgi promocyjnej, bierzemy miarę z Maryckiego. Nie było człowiek zimnych formuł bez

serca, jakich wtedy wielu miała Akademia. Nie filozof to był scholastyczny, co gotów kłócić się do ostatka w sporze dzieciannym, bez myśli i treści. Był to uczonego prawnik i antykwaryusz, obywatel i filozof. W nauce nie zamknął on życia, które przeczuwało przyszłość, rozumiało stan społeczeństwa. Nie było abstrakcyjny i dziwny marzyciel. Umiał żyć dla rzeczypospolitej, jak żył dla nauki. Tylko myśl dumna zasiadła mu na wyniosłym czole i mgłą zwątpienia pomroczyła jego oblicze. Marycki był to myśliciel, co nie żył dla myśli tylko, ale i dla czynu, chciał zastosowania nauki do życia. Ileż może interesować biografia takiego człowieka!

Nie wspomniemy o pracach filologicznych Maryckiego. Te prace przedsięwziął dla zadosyćuczynienia duchowi swojego czasu, który pierwszy raz wydawał, tłumaczył, objaśniał i poprawiał text autorów starożytnych. W naszych czasach, prawo do rzeczywistej zasługi w rzeczypospolitej położył Marycki, przez znakomite dzieło swoje o szkołach, czyli akademiach (*de scholis seu academiis libri duo*, — w Krak. u Szaftenberga 1551). Tutaj Marycki pokazuje się człowiekiem światłym, znającym się na przesądach czasu, dlatego rzuca myśli reformy szkół polskich i nadzoru nad niemi. Nie bije on czołem szlachcie, bo przekonany, że zdolności, nauka i serce, stanowią wartość ludzi. Mówi też śmiało prawdę, bez ogródki, i podnosi wysoko w mniemaniu ogółu stan nauczycielski, godzien lepszego losu w rzeczypospolitej. Ale sam Marycki wiedział, że słowa jego, to wiatr na puszczy.

Pisał o nim rozprawkę w programacie Zoliborskim z roku 1825 ksiądz Maciej Jeżowski. Łukaszewicz w historii szkół zbył zlekka tę postać, a miał w Maryckim właśnie obraz spółczesny szkół i profesorów polskich za Zygmontów Jagiellońskich. Wiszniewski przepisał zupełnie z Jeżowskiego te miejsca, gdzie o filologu była mowa. Pominąwszy więc, że tak mało studyów dotąd robiono u nas nad Maryckim, cóż za szczegóły wyszperaliśmy dotąd dla jego biografii? Ksiądz Jeżowski który najwięcej pisał o nim, nie wie czy Marycki był księdzem, czy świeckim, szlachcicem, czy kmieciem; nie wie jak długo bawił w Akademii krak. i kiedy ją rzucił? Wié tylko, że przy biskupie chełmińskim Lubodziejskim, pełnił obowiązki kanclerza, więc domyśla się że był duchownym. W *Liber promotionum* znajdujemy wzmiankę, że Simon de Pilsno w r. 1535 został bakałarzem za dziekaństwa Sebastjana z Kleparza. Takiż sam Simon de Pilsno w lat cztery potém, r. 1539 został doktorem i mistrzem za Marc. z Ilkusa. I tu i tam o jednej osobie mowa, chociaż kilku Szymonów z Pilzna uczęszczało do Akademii, a żadnego Maryckim nie nazywa *Liber promotionum*. Jedności téj dowodzą dopiski, jeden pod r. 1535, że to

był później *doctor utriusque juris*; i drugi pod r. 1539, że to był *doctor juris, collegiatus major, že resignavit collegiaturas meliora nactus*; a tu i tam powtórzone, jakby dla poparcia tożsamości osoby: *uxoratus Torunii*; dowód, że pojął potem żonę w Toruniu, kiedy oczywiście rzucił Akademię i szukając polepszenia losu, przeniósł się do Chełmińskiej ziemi do biskupa Lubodziejskiego, którego był kanclerzem, jak wiedzieliśmy jeszcze dawniej. Tu wątpliwości nie ma. Simon de Pilsno jest nasz Marycki. Daty cudnie zgadzają się z sobą. Razem z tym Szymonem z Pilzna został mistrzem w r. 1539 Wojciech z Nowogopola, a dopisek uwiadamia, że Albertus de Novopole był *collegiatus major, Joannis Regis Hungariae filii praceptor, mortuus anno 1559, po łacinie nazwany Novicampianus*. Wojciech Nowopolski był potem kolegą Szymona Maryckiego w Akademii. Obadwaj uczyli Nideckiego, sławnego także swoich czasów filologa, później biskupa Inflant. Marycki bardzo niedługo bawił w Akademii jako professor, bo po r. 1539 puściwszy się w podróż za granicę już w r. 1551 bawił przy Lubodziejskim. Urzędowanie jego w Akademii trwać mogło siedm, najwięcej ośm lat.

Z Liber promotionum nauczyliśmy się więc ciekawych rzeczy o Maryckim. Mamy dwie daty niezawodne; mamy też pewność, że nie był księdzem, kiedy się ożenił w Toruniu; widać zatem że biskupi polscy za Zygmuntońskich czasów, niekoniecznie kanclerzów swoich ze stanu duchownego dobierali; potem już dopiero przeciwny zwyczaj zamienił się w prawo. Wiemy jeszcze, że Marycki był nie szlachcicem i doprawdy dziwim się, że ta okoliczność była wątpliwą dla Jeżowskiego. Jan z Tarnowa, Piotr ze Strzelcy, Mikołaj z Moskorzowa pochodzili ze szlachty, ale Erazm z Krakowa, Jan z Warszawy, Szymon z Pilzna byli mieszczan-skiego rodu. Marycki nie był Maryckim w latach dziecińczych, jak Nidecki nie był pierwiastkowo Nideckim. Byłto Szymon z Pilzna, albo byłto Jędrzej, który odrzucił od swojego nazwiska imię rodzinnego miasteczka, a przezwwał się Jędrzejem Patrycem, to jest na sposób rzymski, szlachcicem. Maryccy i Nideccy późno się w Polsce zjawili. Może w tych nazwiskach nowych przybierali chrzest szlacheckości. A uchodziło to widać w tamtych czasach, kiedy Kromer, wyraźnie mieszczanin z Biecza, gwałtem przezywał się szlachcicem, kiedy Hozyusz został biskupem choć nie- uherbowany, bo dopiero w r. 1563 dostał dyplom od Zygmunta Augusta na szlachectwo.

W końcu oznaczymy ściślej i rok urodzin Maryckiego, z pomocą dwóch dat nowych. Przedtem nie byliśmy w stanie tego zrobić, a historycy Akademii krak. nie mogli nam nic powiedzieć, w jakim wieku życia uczył w Akad. Marycki. Oni szukali wszędzie nazwiska Maryckiego, a nie do-

strzegli Szymona z Pilzna. Soltykowicz nawet, taki skrzętny zbieracz faktów do dziejów Akademii, Soltykowicz, który przewrócił całe Liber promotionum, nie o szczegółach życia Maryckiego nie pisze. Ale jeżeli już w r. 1535 został Szymon z Pilzna bakałarzem, to rodzić się oczywiście musiał mniej więcej, około r. 1515. Zostaje nam teraz praca, odszukać szczegóły jego pobytu u Lubodziejskiego na Pomorzu, i daty śmierci, bo do życiorysu zupełniejszego, faktów teraz dostarczą stosunki Maryckiego z Piotrem Kmitą i Samuelem Maciejowskim, oraz przyjaźń jaką miał dla uczniów swoich biskupów Walent. Herburta i Jana Dym. Solikowskiego.

O Hozyuszu znaleźliśmy w Liber promotionum jedną tylko wiadomość, to jest datę, kiedy uzyskał piérwszy stopień uczony, w bardzo młodym wieku, bo w lat 16 życia (w r. 1521). Dalszych śladów jego pobytu w Akademii nie ma wcale, widać że zaraz po otrzymaniu wieńca bakałarskiego, wyjechał za granicę. Nideckiego, Kopernika napróżno szukaliśmy. Więc ci uczeni gdzieindziej starali się o stopnie akademickie, a nie w ojczyźnie; za to Strusiów tutaj cała rodzina (str. 182).

Ze szlachty, powiedzieliśmy, że rzadkie błyszczą imiona. Za to tém ciekawsze szczegóły. Rodziny litewskiej książąt Giedrojciów znaleźliśmy tutaj aż pięć imion. Wojciech uprzedził jeszcze błogostawionego Michała, a Herman uprzedził jeszcze Wojciecha. Ten Herman był kanonikiem krakowskim, mistrzem już w roku 1433. Po Michale byli w Akademii: Gabryel w r. 1475, i Jerzy w r. 1477. Cześć szlachełnej rodzinie, co w XV wieku, aż pięć latorośli swoich znad Wilii, posłała pod Tatry nad brzegi Wisły, żeby potem latoroślami temi użyźnić ziemię rodzinną, Gedyminowską Litwę! Prócz Giedrojciów rzadko spotykają się w Akademii uczniowie litewscy. Jednocześnie z nimi w r. 1488 chodził jednak i otrzymał mistrzowski stopień Jędrzej ze Swira, także litewskie książę, potem kanonik wileński. Nie zapomnimy przecież i o Stanisławie Narkustisie. Był to późniejszy biskup żmudzki, następca Domanowskiego w Miednikach. Człowiek bardzo uczony; umarł na krótko przed objęciem biskupstwa, chociaż mu już rzymskie bulle nadeszły. O Narkustisie bardzo mało posiadaliśmy wiadomości. Nawet Rzepnicki, który już na końcu, po wszystkich szperaczach zbierał życiorysy biskupów polskich, i oczywiście tém samém mógł być najobszerniejszy w swoim wykładzie, bardzo krótko wspomina o Stanisławie. Ossoliński w swoich *Wiadomościach*, dorzucił kilka szczegółów do biografii tego człowieka. Jeżeli co wielkie światło może rzucić na dzieje przedlubelskiej, z roku 1569 Litwy, tém bardziej Żmudzi, to podobne badania o życiu sławnych ludzi, którzy przodkowali swojemu narodowi nauką i zdolnościami, a wreszcie i stanowiskiem w społeczeństwie.

Dla tych badań nieobojętną będzie wiadomość, że Narkustis odebrał zupełnie edukacją polską, że więc naturalnie pierwiastek, żywioł polski reprezentował na Litwie. Narkustis zwany w *Liber promotionum* Narkuszki, był bakałarzem, a potem doktorem i mistrzem w Akademii Jagiellońskiej. Nie pozwoliła mu Opatrzność długo świecić na Żmudzi dla blasku cywilizacji polskiej i Akademii, ale te nowe szczegóły o nim, przydadzą się bardzo dobrze, dla zdjęcia charakterystyki Litwy w jego czasie (str. 186 i t. d.).

Wspomnimy jeszcze o Stanisławie Borku z Krakowa i kanclerzu Ocieskim. Borek doktor prawa, dziekan krak. i kustosz sandomierski, człowiek bogaty, dobroczyńca Akademii, jój winien pierwsze swoje stopnie uczone. W *Liber promotionum*, wiele o nim szczegółów. P. Muczkowski dopełnił tych wiadomości jeszcze, wypisami z metryki uczniów. Mamy tutaj fakta pewne o jego zapisach, mamy zanotowaną datę jego śmierci. Byłto najznamienitszy z członków kapituły karak. pod rządem wielu biskupów, a pochwały jego szeroko opowiada Niesiecki. Kanclerz Ocioski pobierał także nauki i otrzymywał stopnie uczone w Akademii. P. Muczkowski z notat Mich. z Szadka przywodzi nam także datę śmierci uczonego i zacnego kanclerza (str. 167), który jak całe światło swoje był winien wrodzonym zdolnościom, tak te zdolności rozwijał tylko na rodzinnéj ziemi; był szlachetny szlachetnością własną, nie przodków sławnych, którzy nie byli ani Tarnowskiemi, ani Szydłowieckimi, ani panami z Kościelca.

Dobry znajomy nasz, przyjaciel i biograf Reja, Andrzej Trzycieski, powie nam w *Liber promotionum*, że w r. 1520 otrzymał bakałarski wieniec. Z dopisku dowiemy się o nim, że to *vir multanum linguarum peritus simul et humanista*. (Str. 170).

Najciekawsze daty, o ile dotyczą różnych historycznych osób, powymawiał już przedtém z *Liber promotionum* Sołtykowicz i ogłosił w swójém dziele *O stanie Akademii krakow.* ofiarowaném księciu warszawsk. Fryderykowi Augustowi. Zdawałoby się więc, że z tego powodu mniejszy może być interes dla wydania p. Muczkowskiego, a jednak myśmy tego nie dostrzegli wcale. Sołtykowicz przepisał ztąd nawet dat wiele, ale jednak nie wyczerpał i setnéj części ciekawych szczegółów, a niektórych dopatrzeć się nie umiał, jak to wskazaliśmy przykład na Maryckim. Potém, wydanie p. Muczkowskiego, ma tę wyższość nad dziełem Sołtykowicza, że obejmuje nie wypisy, a całość. Musimy także wyznać, że dawniejszy autor, inaczej patrzył na rzeczy jak my dzisiaj; pojęcie nauki dzisiaj znacznie dojrzało. Szczegół niegodzien w r. 1810 Sołtykowicza uwagi, ma dla nas często wielkie znaczenie. A jeżeli na to jeszcze

zwrócimy uwagę, że w dziele *O stanie Akademii krak.* spotykają się często opuszczenia, pomyłki, jakie dzisiaj dopiero z wydania p. M. poznajemy, to zgodzimy się i na to, że interes książki którą rozbieramy, wcale nie stracił na wydrukowaniu tych ciekawych zabytków. Za dowód, że Soltykiewicz nie dojrzał pomyłek w swoim dziele, przytoczym szczegóły o Wincentym Kocie z Dębna, o Grzegorzcu z Sanoka, o biskupie Wileńskim Mikoł. Soleczyńskim, że innych pominiem. Potrzeba tylko porównać Soltykowicza z wydaniem p. M.

Świetności Akademii w latach poprzedzających wiek XVI i w początkach tego wieku dowodzi zapewne moc cudzoziemców, którzy w jej murach pobierali nauki. Już od samego zawiązku Akademii miał Kraków ze stron dalekich gości. Sasów i Szwedów z Upsalu znajdujemy już pod rokiem 1418. Szlązaków nie rachujemy, bo to jeszcze byli Polacy, co lecieli do Krakowa zmyć z siebie uczucia niemieckie. Ale nie zapomnim o Węgrach. Węgrów w Krakowie uczyło się tak wiele, że nie sposób nawet przez przybliżenie oznaczyć ich liczby. Jak naszych polskich miasteczek często pojawiają się imiona w tych spisach, jak możemy liczyć osobne zastępy Pilzneńczyków, Warszawian, Kaliszanów, Opocznianów, Przedborzanów i t. d., tak często znajdujemy tutaj nazwiska małych miasteczek węgierskich, wtenczas mało znanych, dzisiaj sławnych historycznymi wspomnieniami. Pominiem wielkie grody, -- ileż tutaj, w Krakowie, uczyło się Węgrów rodem z Miskolcz, z Pięciu kościołów, z Vasarhely, z Salankemen? ilu z Gyongyos i Temeswaru. Głośne dzisiaj imiona Gara, Madarasz, można tutaj napotkać. Z miasta Batora, siedliska sławnego rodu, w różnych czasach, otrzymywali w Krakowie stopnie: Maciej, Stefan i Tomasz. Może to byli przodkowie późniejszej rodziny królewskiej; ale jeżeli ci trzej nie wspólnego z naszym Stefanem nie mają, to będzie niezawodnie jednym z jego przodków Jędrzej de Somlio (w dopisku powiedziano Batoreus) bakałarz krakowski jeszcze pod rokiem 1467. Jest i Bekiesz jakiś na str. 99.

Mówiliśmy o wartości dopisów marginesowych księgi promocyjnej. Powiemy teraz, że te dopiski nieraz posłużą nie do samych życiorysów tylko, a i do charakterystyki wieku. Dowiemy się z nich np. że Melchior z Gliwic archidyakon opolski i kanonik wrocławski, kiedy się doktoryzował sam jeden w roku 1540, dla akademików krakowskich sprawił obiad za 20 złotych (str. 197). Dowiemy się że np. Jan z Łęczycy, późniejszy niewiele po Melchiorze doktor, zakończył życie z miłości do matematyki, bo go jakaś mania nawet opanowała (str. 198). Czasem rozwijają się przed oczami naszymi i domowe szczegóły pożycia uczonych doktorów. O wielu z nich np. wzmianka, że zostawszy bakałarzem, nie kończył da-

lój nauk, bo się ożenił, *non determinavit*, wyrażają się te dopiski. Wiadac z tego, że żona wtedy, byłoto coś bardzo przeciwnego nauce filozofii. Nieraz można się i roześmiać. Tak w r. 1515 doktorem został Wojciech z Krajny. Dopiśnik nas uczy, że to był później konsul krakowski, professor Akademii i doktor medycyny, że ożenił się naprzód z dziewczcą, (dosłownie z jałówką, juvenam) mającą lat 65 wieku, to jest matuzalową, ale po jój śmierci ponowił śluby i tym razem doprawdy już z młodą dziewczyną i niepośledniego stanu, a potem z trzecią Włoszką, panną z dworu królowej, zapewne Bony, a nareszcie z czwartą i piątą. Dowiemy się jeszcze np. że Jan Kanty słynie cudami, a mistrz Jędrzej, że jest *pessimus hereticus*. Tych heretyków wiele wychodziło z Akademii. Nie w jój murach, a na świecie zarazili się potem nauką, która przybywała z Niemiec. Jednakże prawowierny dopiśnik nie mści się na heretykach, odstępcach katolicyzmu, chociaż synach Akademii; wskazuje ich dalsze obroty na świecie, jeżeli wie o nich, i wylicza ich miejsca pobytu, albo urzędowania, nawet wymienia ich błędy, albo sektę z którejdo której kolejno się przeczucali. W tém widzimy jeszcze ostatki tolerancyi narodowej. Niesieki już tego nie umiał, a opisem heretyków nie chciał kalać pióra swojego i *Korony polskiej*. Z *Liber promotionum* możemy jeszcze śledzić wpływ Akademii w senacie, jeżeli wybieramy z niej imiona wojewodów i kasztelanów, ozdobionych uczonemi stopniami. Poznamy także i sławnego kaznodzieję bardzo dawnych czasów, wziętego na Mazowszu pod koniec XV wieku. Byłto Stanisław z Nartów Rawianin z powiatu bielskiego. (Str. 81).

Na końcu zachowaliśmy sobie przyjemność pomówić o nowój obietnicy p. Muczkowskiego, na spełnienie której bodajbyśmy nie tak długo czekali, jak na wydanie Statutów i księgi promocyjnej. W dalszym ciągu *Zabytków* ma wyjść matrykuła uczniów uniwersytetu, od r. 1400—1600 obejmująca spis znowu samych imion i nazwisk; spis ten ciekawszy, że będzie dopełnieniem księgi promocyjnej. W matrykule znajdziemy pewno imię Kopernika, Nideckiego i innych znakomitości uczonych i literackich, którychbyśmy naprózno w wydaniu terażniejszym szukali.

Tekst księgi promocyjnej, pod koniec nie jest prostym przedrukiem.

Imiona doktorów po r. 1782 sam zebrał p. Muczkowski. Ta właśnie epoka, jest dla nas najciekawsza, bo jest bliska nas, równie jak i epoka Stanisława Augusta. O wielu znakomitościach tej chwili, myśmy słyszeli od ojców naszych, albo od braci i przyjaciół. Poczet tych imion zamyka na d. 5 września 1849 r. ogłoszony doktorem filozofii Józef Kremer, zastępca profesora w uniwersytecie krak., doktor obojga prawa.

Dla dokładności dzieła dodał p. Muczkowski objaśnienia imion łacińskich mniej znanych, technicznych dla życia akademickiego i spis nazwisk podług abecadła, żeby łatwiej było odszukać w tekście osobę, którą chce się odszukać. Sam ten spis od str. 449—562, na stronnicach stu kilkunastu zaświadcza o wewnętrzném bogactwie księgi promocyjnej.

W wydaniu pomagał panu Muczkowskiemu Adolf Mułkowski, professor liceum św. Anny, który dozierał poprawy druku. Zmudna to była robota. Dziękujemy za nią autorowi pięknej wiadomości o Libanie, i przypominamy mu, że nam także coś i dawno już obiecał. Czasby się może i pospieszyć.

D. 10 września 1850 r.

Julian Bartoszewicz.

Broszury Emanuela Jastrzębczyka. Pleć piękna na Litwie. Wilno, drukiem Józefa Zawadzkiego. 1850, w 8ce.

Z godłem:

Zaprawdę, zaprawdę mówię: jeśli się kto nie odrodzi znowu, nie może widzieć królestwa Bożego.

Ev. Jana, R. III, w. 3.

Daliśmy już w Bibliotece Warszawskiej, przegląd pierwszej broszury p. Jastrzębczyka; zapowiedziana druga p. n. *Pleć piękna na Litwie*: wyszła dołączona do *Pamiętnika literacko-naukowego* Romualda Podbereskiego.

Treść jój sam tytuł objaśnia: jak zaś autor wywiązał się ze swego zadania, w przeglądzie niniejszym obaczmy.

„Mówiąc o kobietach (pisze p. Jastrzębczyk) zwłaszcza Litwinkach, niepodobna nie rzucić słów kilka o familii. Familie, to niby ogniwa zespolone z sobą, których summa stanowi jedną społeczność. Życie familijne nie jest zawadą egoistyczną miłości ludzkości, lecz owszem pierwszym wzorem, pierwszą nauką życia społecznego. Musimy wystąpić przeciw nieprzyjaciołom związków familijnych: sympatya wzajemna członków familii jest uczuciem wrodzonym; gasić ten Znicz boży, ten płomień przyrodzony, jestto burzyć jedną część dzieła Stwórcy, jestto wyzwać Twórcę do walki, niszczyć samych siebie, gwałt istocie ludzkości zadawać. Nie idzie nam o niszczenie przyrody, lecz o zawładnięcie nią, a ztąd o jój uduchownienie. Wszelkie uczucie miłości wzdymające pierś człowieka, acz najblahsze, byleby cień tylko poświęcenia nosiło w sobie, już uszlachetnia człowieka, już jest nierozzerwalnym atrybutem istoty jego. Człowiek stworzony dla związków i sympatyj zobopólnych bez liku! Jak

pająkowi tém bezpiecniej i wygodniej, im gęstsza sieć około siebie osnuł; tak człowiek, tém silniej jest w swym żywiole, tém doskonalszym jest i szczęśliwszym, im gęstsza siecią związków, uczuć i sympatyj ku drugim okolił siebie.

„Rzadko strony, gdzieby tak silnym tętnem grało życie familijne jak na Litwie. Na nieszczęście, ta wyłączność życia familijnego stała się uszczerbkiem życiu społecznemu, publicznemu: nigdzie też tak dotkliwie nie czuje się brak życia społecznego, jak u nas. Lecz aby pochwycić ducha Litwy, należy przeniknąć w głąb życia familijnego: tam tylko dają się widzieć prace ducha, tam się odgrywają dramata życia naszego, tam bohaterzy i bohaterki...“

P. Jastrzębczyk nie po raz pierwszy, to wystawiając życie rodzinne na Litwie, to poniżając je zelżywie, upomina się ciągle za życiem *społecznym, publicznym*. Zapytamy go, na jakim polu ma zakwitnąć, i dać świadectwo bytu swego? Na polu literackiej zasługi, Litwa nie stoi ostatnia; a gdyby i na chwilę zamilkła, my się dziwić nie będziemy, licząc z jej łona wyszłych, to gienialnych wieszczów naszych, to mężów pełnych zasługi.

Są chwile w życiu każdego narodu, każdego plemienia, tak szczęśliwe, w których powstaje potężny zastęp to wielkich myślicieli, to ludzi czynu. Przychodzą na nie i chwile takie, że brak i jednych i drugich dotkliwie uczuwa ludzkość. Bo na zawołanie, ni na rozkaz wielkości się nie rodzą. Nie naród, nie plemię też winno, ani godzi się go opluwać wzgardą goryczy, za przewinienie, które nie może na nim ciężać.

W ogólnym ruchu literackim jaki obecnie objawia się na Litwie, widzimy przewagę polemiki, nietylko zwróconą na utwory artystyczne, ale i na życie wewnętrzne. Ruch ten, jak wiele w przyszłości nam obiecuje, tak z drugiej strony oburza: zuchwale narzucane zdania, pozbawione nawet formy przyzwoitości, z jakimi występują młodzi pracownicy, pozbawione nawet zasady prawdy, nie mogą zjednać zaufania. Przeciwno Kraszewskiemu, jak stado kawek i wron, kraczą ustawnie, żeby przestał pisać, a uczyć się zaczął, chcąc wmówić, że powieści jego i prace tylo-liczne żadnej wartości nie mają; a cóż sami lepszego nam dali? Pani Zofia K., nieznanym nam a okrzyknionym gieniuszem, w zapale depcze *Felicyle Odyńca*, i na szanowne imię ulubionego poety i zacnego pracownika niegodny cień rzuca. Takie podjazdowe napady godne surowego skarcenia, nie przystoją aby kalaly szlachetny zawód młodych pisarzy na Litwie.

P. Jastrzębczyk, ciągnie dalej ulubione skargi, na zbyt ścisłe stosunki familijne, gdzie się skupia wszelka myśl i duch, nieumiejące przekroczyć za obręb powszedniości i familii.

Czytajmy najprzód dobrą stronę płci pięknej na Litwie.

„Rzadko (mówi autor) strony w całej Europie, gdzieby ogół kobiet odznaczał się tak wysoką prostotą, szczerością, naiwnością i wewnętrzną czystością, jak dziewice litewskie. Rzeczywiście sąto idealne zalety kobiet, rzadkie w dzisiejszych czasach materyalizmu i rozwiązłości. Ideały tak są nieurodzajne teraz, że ziemia, gdzie one przebywają, jest *ziemią obiecaną*, ziemią łaski pełną. I cóż piękniejszego, bardziej porównującego, i tyle niebieskiej błogości przynoszącego, jak kobieta z cnotami idealnymi? Szczera prostota, czystość duchowa i naiwność, obecnie stały się jakby podaniem jakowéms, lub marzeniem romansowej głowy, albo udaniem zalotnicy. A przecież—o, dzięki Bogu za to szczęście! siostrom naszym, mówiąc o ogóle, nie braknie cnot niewieścich przynajmniej w pewnym stopniu. Niezachwiana wiara religijna, wiejska atmosfera, a przedewszystkiém życie familijne, utrzymały na Litwie te cnoty bajeczne. Zepsucie moralne niewiast nie potrafiło przedrzeć się w zacisze wsi litewskich, przez bory nieprzebyte, mnogie kościoły i krzyże na rozstajnych drogach”.

Życie więc familijne, jak sam autor wyraził, zachowało płec piękną od zepsucia. Ma więc ten żywioł swoje zalety, gdy stoi na straży cnoty i niewinności dziewczic i niewiast litewskich.

Do głównych zarzutów p. Jastrzębczyk policza brak wykształcenia wewnętrznego i gruntowniejszego, brak życia wznioślejszego, duchowego. Cała usilność w wychowaniu zwrócona dla ciała tylko i pamięci; ale w sercu, w umyśle, w duszy, zostawiona próżnia zupełna. Na dowód stawia przykład, że gdy młodzież rozprawiała o *Jordanie*, żadna panna nie wdawała się w rozprawy. To wielce oburzyło autora! Ztąd w zapale wyrzekł o młodych Litwinkach: „Dusze ich śpią snem nieprzerwanym, żadne uczucie wyższe nie wzniesie ich piersi, nie rozplomieni oka, żadna myśl godna czasów obecnych, nie obudzi ich ducha z letargu! Napróżno szukasz młodzieńcze! jeśli pozorem i powierzchownością nie dasz się ułudzić, to tylko ciało i ciało w dziewicy naszej znajdziesz! Jeden cel i jedyna tylko dążność i marzenie porusza życie wewnętrzne w dziewczycy: to miłość i małżeństwo. Mąż i miłość, to jedyny cel pragnień, reszta wszystko marność”.

Po takim zwrocie wymownym, p. Jastrzębczyk powstaje znowu że Litwinki *zesklepiają* uczucia swoje i myśli w drobnym światku familijnym, i woła, że czas już płec piękną wprowadzić na scenę życia taką, jaka jój się należy z woli i planów bożych.

Ciekawi szukaliśmy, azali autor nie odkryje nam téj woli i planów bożych, ale niestety daremnie: ani słówka dalej o tém, tylko rady p. Ja-

strzębczyka, aby w wychowaniu i kształceniu dziewcz litewskich uczono je filozofii, polityki, historii i sztuk pięknych.

Żałujemy że nie rozwija autor dalej przyszłości pięknych Litwinek, jaką dla nich przygotowuje, kiedy się już nauczą polityki, filozofii i t. p. nauk; kiedy przestaną oburzać jego myśl tak powszednimi rzeczami jakimi są teraz dla dziewcz litewskich miłość i mąż, małżeństwo i miłość. Radzibyśmy ujrzeć tę nową generacją Litwinek wedle autora odrodzoną, w naukach wyższych wykształconą, bez myśli o owym *świątku familijnym* (jak nazywa szydersko p. Jastrzębczyk rodzinne koło), bez powszedniego uczucia *miłości* i małżeńskiej przyszłości.

Zaprawdę, nie umiemy sobie skreślić tak uroczego obrazu, gdy nasza niewiasta, wyzwolona z ciasnych szranek domowego życia, ma działać wedle wyobrażeń autora, na obszerniejszym *społeczném, publiczném* polu.

My inaczéj powołanie naszej niewiasty rozumiemy. Życie rodzinne, to świat jéj właściwy, gdzie żyje miłością żony i matki. Tam ona jest owym prawdziwym aniołem-stróżem, który strzeże święcie ów płomień *Znicza*, przelewany wiernie w serca młodego pokolenia. Guibert wyrzekł, a powiedział prawdę: *my stanowimy prawa, a kobiety obyczaje*. Co matka w sercu zaszczerpi, jakiej myśli da polot, to w życiu późniejszym świeci pochodnią. Kobiéta żyje uczuciem, to jéj właśnie daje wyższość, to stanowi jéj potęgę. Jak szczytnie matki nasze spełniają swoją missyę, na to dowody stawiają dzieje, i nasza społeczność.

Że w wychowaniu naszych dziewcz są usterki, nie bronimy; takie wszakże obrazki ciemne i pełne plam brudnych jak p. Jastrzębczyka, budzą w nas wstręt i oburzenie, bo nie możemy przypuszczać, żeby ogół na Litwie stawiał tylko taki wizerunek. Powtórzyć tu musimy, cośmy już wyrzekli w przeglądzie piérwszój broszury: że z małej liczby pojedynczych wzorów, rzucać grom wzgardy na całą społeczność, jestto fałszować prawdę, dawać dowód szczególnego usposobienia do zjadliwój satyry....

Wł.



ROZMAITOŚCI.

REZYDENT DOMOWY.

Z a r y s.

W rzędzie typowych figur po dworach wiejskich napotykanym, mieścić się może *rezydent domowy*. Postać szanowna wiekiem, z dawnym ułożeniem i zwyczajami, której skreślony tu wizerunek njejednemu z nas zapewne miłe wzbudzi wspomnienie lat dziecińczych, i dwór ojcowy na pamięć przywiedzie.

Nie jest tu jednak mowa o rezydentach którzy są ciężarem dla domu, utrzymywanych na karb wdzięczności lub téż próżniaków, których tu po części liczba jest największa, lecz tych tylko skreślić mamy wizerunek którzy osiadłszy przy pewnej rodzinie, skołatani trudami życia, obciążeni latami, za przytułek im dany, przywiązują się zwykle do rodziny całym sercem i duszą, a obcując z państwem poufale, stają się ich serdecznymi przyjaciółmi.

Rezydent domowy, starzec zwykle kilkudziesięcioletni, dawny wojak niekiedy, utraciwszy najdroższe i najbliższe sercu osoby, osiada przy pewnym dworze, przelewa uczucia przywiązania na państwo, ich dzieci, i powoli, powoli wdraża się w ich rodzinne towarzystwo, prawie jako członek téjże familii. I jeżeli dla wieku lub skołatanego zdrowia nie może im być użytecznym, to przynajmniej dobrą, zdrową radą w potrzebie, pociechą i zabawną dykteryjką w smutku, zabawami z dziećmi, słowem serdeczną choćby tylko życzliwością, już się dość odplaca za dany przytułek.

Charakterystyczną jest zwykle postać rezydenta domowego, pana *Jakóba* lub *Marcina*, co jako dawnych czasów pomnik, sam jeden na świecie przetrwawszy wiele burz i przeciwności, spędza w spokoju, na łonie obcej mu rodziny, ostatnie dni skołatanego żywota.

Pan *Jakób* rotmistrz dawny, starzec sześćdziesięcioletni najlepiej posłuży za typ rezydenta domowego.

Słusznego wzrostu, twarz ściągła, nos orli, pod nim dwa wyczerniałe wąsiki do góry koniuszczkami zakręcone, oczy jeszcze dość żywe, nad niemi brwi strzępiaste, z boku nosa i koło ocz kilka zmarszczek, nadających twarzy ten wyraz poczciwości, głowa łysa, po bokach tylko i z tyłu siwemi pokryta włosami.

Zwykłym jego ubraniem jest kapota granatowa z potrzebami, i bóty palone; w święta tylko lub inne fety stroi się w szaraczkową kapotę pasem złotolitym przepasaną; do uzupełnienia obrazu dodać jeszcze porzeba na palcu sygnet niegdyś z krwawnikiem, a na ten raz w miejsce kamienia lakiem zamazany.

Ubiór jego codzienny jakkolwiek wytarty, jednak starannie zawsze oczyszczony: palone bóty wyszuwaksowane i skrzypiące, wąsy uczernione i zawsze jednakowo zakręcone, bo też rezydent dawny wojak, przyzwyczaił się w obozie do ochędóstwa, i starania około siebie.

Jego stancyjka na folwarku najlepiej cię przekona jakim jest lubownikiem systematyczności i porządku, a naprzód: podłoga zamieciona, ściany obielone i okurzone, szyby u okien wymyte, czysto i widno w izdebce; w jednym jej rogu łóżko ze sztukateryami dawnych zapewne sięgające czasów, zasłane biało i skromnie, nad niem obraz patrona, *Matka Boska Częstochowska*, gromnica, palma i wianki święcone. Na stole pod oknem drobiazgi jak najsymetryczniej ułożone, jakoto: kałamarz, pióra, lak, okulary, kalendarz, książki do nabożeństwa i t. p., a wszystko pod pewnym ułożone kątem, wszystko w swoim leżąc miejscu, nawet dwie miseczki z trutką na muchy, w równej stać muszą odległości od środka stołu. Koło drzwi kufer duży, dalej kredens jakiś odwieczny; na kołku czapka zimowa z lisiem futerkiem, w rogu koło pieca kilka łasek różnego kształtu z toporkami, gałkami, rzemyczkami, które rezydent stosownie do kaprysu przy wychodnym wybiera.

Stary rezydent, jako dawny wojak, z wielkim jest zawsze respektem dla pana *pulkownika* u którego dostał przytułek, i dlatego też gdy z nim mówi, przybiera postawę żołnierską, i pomimo lat które krzyż jego i głowę naprzód schylają, prostuje się jak może powtarzając: „Jestem na rozkazy *JW. pulkownika*”.

Lubi go szanowny *pulkownik* za jego otwartość i przychyłność nieinteresowną; lubi go *Adaś* syn *pulkownika*, i codziennie rano, gdy pora nadejdzie w której pan *Jakób* do pałacu na kawę przybywa, siedząc w oknie z niecierpliwością spogląda w lipową aleję, z kąd zwykle przychodzi. Bo też pan *Jakób* rozmaite z nim figle wyprawia: fechtuje się

z nim na drewniane pałasze, uczy go jeździć konno, lub też opowiada przygody wojenne naśladować wystrzały armatnie *be-bęc*, to znów karabinowe *pyk-pyk*, rąbanie pałaszem *ciach-ciach*, i różne przytém stosowne gesta wyprawia rękami dla dobitniejszego oddania rzeczy.

Stary rezydent dawnych zwyczajów i przesądów zwolennik, nowsze nieraz widzi i na nie sarka, a szczerego i otwartego serca, nie wytrzyma, aby nie wypowiedział co mu ciąży na duszy; nie wytrzyma objawić swego zdania, i samemu pułkownikowi nieraz swe inaxymy wprost objawia.

Pan pułkownik przyjął był do Adasia dwóch guwernerów: Niemca i Francuza; stary rezydent za piérwszém ich ujrzeniem zmarszczoném na nich spojrzął okiem, splunął i mruczał: „po licha to te zamorskie istoty sprowadzać i uczyć, *panie tego*, po cudzoziemsku szwargotać; nie lepiej to księdza kapelana przyjąć, jak dawniej u naszych panów był zwyczaj, i uczyć chłopaka świętych prawd naszój religii, nie tam jakichś wimysłów cudzoziemskich”.

I długo mu to ciążyło na sercu; nie objawiał tego jednak dotąd pułkownikowi, którego humor był podówczas niezbyt łagodny, z przyczyny otwarcia się ran dawnych. Lecz pewnego dnia upatrzył chwilę w której zdawało mu się że pułkownik był spokojniejszym, i z miną poważną, jak zwykle gdy miał co do objawienia, ruszając wąsami wszedł do jego sypialnego pokoju.

Pułkownik siedział zamyślony przed kominkiem. Stanąwszy jak zwykle z miną żołnierską, rezydent odezwał się:

— Słanianiam się do stópek JW. pułkownika.

— A, dzień dobry, panie rotmistrzu.—Po chwili, patrząc na niego dodał:—*asan* jak widzę z jakąś nowiną przyszedłeś do mnie, bo wąsami tak strzyżesz.

— To jest, tego... JW. pułkowniku... tak jest, mam coś bardzo ważnego oświadczyć i przestrzedz, *panie tego*...

— No, cóż takiego, prędzój, słucham.

— Oto zdaje mi się JW. pułkowniku, *panie tego*.... czyby nie lepiej było, zamiast trzymania tych zamorskich cudaków do Adasia, przyjąć, *panie tego*, kapelana księdza, coby dziecko oświecając, istotny pożytek dla jego duszy przynieść mógł, tak jak to u dawnych panów bywało... *panie tego* ...

— Czy tylko to przyszedłeś mi *asan* gadać?

— To tylko JW. pułkowniku *panie tego*.

— No, to głupis *asan* na ten raz, i idź sobie, a nie przeszkadzaj mi dumać.

Rezydent strzygnął jeszcze raz wąsami, i nic nie mówiąc wyniósł się po cichu.

Podobna odpowiedź nie była rzeczą nową dla rezydenta, zwłaszcza gdy ze swemi radami w czém występował; mimo to szanował on i kochał pułkownika, mimo to cenił go pułkownik, bo był przekonany że te rady jakkolwiek nie zawsze trafne, ze szczerego pochodziły serca.

Pułkownik wdowiec od lat kilku, tak się był przywiązał do rotmistrza, że bez niego, gdy ten raz wyjechał gdzieś na Litwę na czas krótki, było mu jak bez ręki; Adaś także tęsknił za rezydentem.

Bo też podczas niebytności rotmistrza nie było z kim gawędzić o przeszłości, nie było z kim grać w nałogowego *maryasza* po groszu, i jakkolwiek te partye kończyły się najczęściej połajaniem rotmistrza, gdy karta nie dopisała, nie obeszło się jednakże w zimowe szczególnież wieczory bez téj gry ulubionéj.

I tak bywało: pułkownik ma już 100 punktów z rachuby po pierwszym rozdaniu, rotmistrz zaledwo 50; w drugiej partyi rezydent wyświeca 40 *maryasza*, 20 w czerwieni, np. zadaje tuza, panfila, rachuje, i już ma przeszło 130 i oko. Zniecierpliwiony pułkownik rzuca karty mówiąc z gniewem: „partacz, a wygrał; idź oto asan lepiej spać i kwita”.

A rotmistrz nie mówi, cichutko zaczął się jak lis, zagarnął z slegmą wygranę, a w duchu się śmieje.

Gdy smutek na czole pułkownika osiedzie, gdy obraz ukochanéj żony stanie mu w pamięci, uważa to dobrze rezydent, i wówczas stara się zabawną jaką facecyą rozśmieszyć starego żołnierza. Nietrudno mu to przychodzi, bo ma dar opowiadania facecyj, a gdy się pułkownik z jego opowiadań zaśmieje, wówczas kontent rotmistrz że swego dopiął.

Nie zawsze jednak i rotmistrzowi towarzyszy wesół humor, niekiedy są i dla niego chwile smutnych myśli i dumań; wówczas, to go lada piosnka zdoła rozrzewnić, i do płaczu nawet pobudzić.

Pana pułkownika odwiedza dość często siostra z swą córką Kasią, i gdy one przyjadą, wówczas to tylko otwiera się fortepian od śmierci żony milczący, i jego tony towarzyszą miłemu głosowi Kasi, śpiewającéj ulubioną wujaszka piosnkę.

Siada pułkownik na kanapie, rotmistrz także się gdzie w kącie wciśnie, i słuchają... a w czasie pieśni błyszczą im obu łzy w oczach, usta drżą od wzruszenia, pieśń Kasi znać aż do ich serca przenika.

Pułkownik spojrzął w czasie tego na rotmistrza: wąsy mu drżały i oczy miał pełne łez, widocznie wstrzymywał się od płaczu.

Po skończonéj piosence, gdy rotmistrz siedział jeszcze czas jakiś w zadumaniu, stanął przed nim pułkownik i zapytał:

— A cóż to asan beczysz?

Powstał na równe nogi jak ze snu oczucony rotmistrz, a widząc jeszcze błyszczącą łzę w oku pułkownika:

— Tak jest JW. pułkownika—szlochając odpowiedział.

— Hm, beksa—odrzekł pułkownik, i oba otarli zapłakane oczy.

Stary rezydent lubionym jest w sąsiedztwie dla jego dobrego humoru, bo też pełen jest zawsze dykteryjek z obozowego życia; szczególnież go zaś dzieci kochają dla jego figlów i dobitnych opowiadań.

Doskonałym jest rotmistrz do gawędy; to też w czasie długich wieczorów pułkownik ma z niego niemałą rozrywkę, a jeszcze gdy oba starzy wojacy siedząc przy kominku ciągną z lampeczek doskonałego węgryna, gdy się umysły rozgrzeją, tak jeden jak i drugi w wyborny wpadają humor, szczególnież też rezydent: wówczasto trzymając w ręku lampeczkę pan Jakób z nozdrzami rozdętymi, miną ochoczą, oczami błyszczącymi, chrypliwym głosem wyśpiewuje jaką dawną piosneczkę obozową, zawloruje mu czasem i pułkownik, potem znów żywa o przeszłości następuje rozmowa, w trakcie której występują na plac to miłostki pułkownika, to grzechy młodości rotmistrza.

To życie systematyczne rezydenta, rozkład czynności dziennych zawsze jednakowo powtarzających się, nie zmienił się, jakkolwiek czas swe ślady na jego i na pułkownika wyrzył postaci, jakkolwiek Adas niegdys na ręku rotmistrza piastowany, wyrósł na dorosłego młodzieńca.

Porządek w izdebce na folwarku zawsze jednaki, sprzęty w niej też same, w tym samym nawet porządku ułożone. Rezydent zawsze o jednej porze do pałacu przychodzi; musztruje się tylko z większą trudnością, gdy jest „na rozkazy JW. pułkownika”. Na humorze nie stracił, ulubiony maryasz zawsze na placu; gawędy tylko z pułkownikiem obok dawnych wspomnień i dykteryjek obozowych zmieniły się nieco stosownie do terażniejszych okoliczności; ich osnową jest najczęściej pan Adam, objęcie przez niego zarządu gospodarskiego po ojcu, i skłonność jego sercowa do Maryni córki sąsiadów, a zażytych pułkownika przyjaciół. Radby był temu związkowi ojciec Adasia, i rotmistrz wychwała przymioty Maryni....i dnia pewnego siedząc oba według zwyczaju przy kominku, gdy rozmowa toczyła się o przyszłości, rotmistrz w tak pięknych kolorach wystawił pułkownikowi przyszłe pożycie małżeńskie syna, że ten uściskał serdecznie rotmistrza, popłakali się nawet z rozczulenia, a rezydent cieszył się, że dawno nie widział pułkownika w tak dobrym humorze jak w owój chwili.

W rok potem wielkie zaszły zmiany w Lipowój: ze śmiercią pułkownika odmieniło się w pałacu, odmienił się i stary rezydent; stracił

wiele na humorze, postarzał... bo też to było niemalym ciosem dla rotmistrza.

Smutném było pożegnanie tych dwóch przyjaciół od serca, dwóch starców, którzy się tém tylko pocieszali, że się wkrótce oba na tamtym znajdą świecie.

Przykrym jest widok płaczącego starca, tém smutniejszą jeszcze wydawała się żalność rotmistrza na pogrzebie, gdy znany powszechnie z wesołości, w ubiorze *galowym* postępował za trumną z głową spuszczoną, a łzy, jak groch padały mu po twarzy.....

Oprócz zmiany humoru po śmierci pułkownika, i sposób życia rotmistrza odmienił się nieco; przyjął chłopaka Grześka co mu ubranie czyścił i usługiwał; kupił konia i wózek, przyjął kucharkę starą Małgosię co mu jeść gotowała, rzadko już kiedy pałac odwiedzał, oddzielił się od niego prawie zupełnie. Bo też i nie było po co chodzić do pałacu!... Pan Adam wszedł w stosunki ze zgrają okolicznych birbantów, i niedługo po śmierci pułkownika, tłum ochoczej młodzieży prawie nieustannie napelniał te stare i szanowne mury; przez lipową aleję co wiodła od folwarku do dworu widzieć było można codziennie lekkie najtyczanki żwawo toczące się na dziedzińcu; codziennie prawie odbywały się to polowania, to różne bachanalie.

Dziwił się rezydent téj nagłej zmianie usposobienia pana Adama, bo go znał dotąd jako skromnego i uczciwego młodzieńca; bolało go to niezmiernie, i gdy pomimo licznych jego napomnień i uwag początkowo Adasiowi dawanych, nie widział żadnego skutku, z boleścią serca zamknął się w swéj stancyjce i modlił się tylko.

Bolało to rotmistrza tém bardziej, że się już był po okolicy rozszedł niepoehlebny dla pana Adama rozgłos. Marynia kochanka Adasia często płakała posądzając go o oziębłość, gdy dla ciągłych zabaw rzadziej ją teraz odwiedzał, a jéj ojciec dał się już słyszeć nawet żonie i córce, że nie wie czy co będzie z tego małżeństwa.

W piękny letni wieczór, na ławce przed folwarkiem siedział stary rotmistrz w zwykłym swym stroju i siwy podleśny z dóbr pobliskich a niegdys sługa wierny pułkownika.

Dokoła nich panowała cisza wieczorna, księżyc fantastycznie przeglądał przez gałęzie starożytnych lip, lekki niekiedy szum drzew chłodnym rozbudzony wiatrem dolatywał tylko do ich uszu; zdaleka jaśniał pałac oświecony w kilkunastu oknach.

Promień księżyca mimo liście rozłożystych lip, oświecił twarz rotmistrza na której rozlany był smutek i w oku jak kropla rosy błyszczała

czysta ła...a skarga jego drżącym wymawiana głosem tak brzmiała przed starym leśnikiem.

„Nie ma po co żyć, panie Łukaszu, na tym tu świecie *panie tego*,... ze śmiercią ukochanego naszego pułkownika. Panie święć nad jego duszą, nie ma dla mnie jak widzę tu co, dalibóg że.....a myślałem *panie tego*, że Adaś będzie godnym ojca zastępcą, zdawał się tak dobry, tak pobożny, taże to wyrosło na moich rękach prawie *panie tego*,...od dzieciństwa bytoto skromne, potulne; cieszył się pułkownik nieboszczyk i ja mu wieszowałem *panie tego*, że będzie miał pociechę. Już był dobrym *panie tego* wyrostkiem, a nie wstydził się rano i wieczór klęczący mówić paciérz, i wbrew zepsutej terazniejszej młodzieży bywać na mszy ś. regularnie i modlić się gorąco; prawda, że pułkownik nieboszczyk przestrzegał go często... teraz *panie tego* złe wstąpiło do duszy, czy co? Panie Boże odpuść, sprasza tych *panie birbantów* i sam się nawet nie bawi; jakiś sinutny, ponury; mówiłem, przestrzegałem, prosiłem...et jak groch na ścianę. A panna Maryanna z Dąbrowej płacze, i ojciec coś bąka że nic z *tego* nie będzie...ot tak...*panie tego*, a gdyby żył pułkownik, *tegoby* wszystkiego nie było... Panie Łukaszu! (a głos mu bardziej zadział) w Aścinych lasach stoi dąb duży koło *Wolaszkowego błota*, zdaje mi się, Aśc przygotuj mi ten dąb na trumnę, bo czuję, że długo nie pociągnę.....

— Et, co Aści w głowie rotmistrz! — zaszeplecił powoli stary leśnik, i popłakali się starzy.

I tak gawędzili jeszcze to o przyszłych wypadkach, to terazniejsze rotmistrz wywodził żale, wreszcie poczęstowali się tabaką i pożegnali: leśniczy chwiejącym odszedł krokiem. Rotmistrz został jeszcze czas jakiś szepcząc „*wieczne odpocznienie*” i modlitwę za nawrócenie obłąkanych, której się był na pamięć nauczył.

Nadeszła wreszcie chwila szczęścia dla rotmistrza, od której tryb jego życia, dawny znów, jak za życia pułkownika, przyjął porządek. Po niejakiem bowiem czasie *ustatkował się*, jak się wyrażał rotmistrz, pan Adam; przeprosił starego, zerwał związki z hulacką młodzieżą; przyznał się do winy, i po dawnemu zaczął staranie o rękę Maryni. Rodzice przedłużyli termin ślubu aż do pół roku, a w tym przeciągu czasu pan Adam tak się rządził i sprawował, że rotmistrz który znów po całych dniach w pałacu przesiadywał, i słowa nie miał mu co do zarzucenia.

Rezydent odprawił Małgosię i Grześka, bo się w pałacu stołował, i znów odzyskał prawie zupełnie dawny swój humor, chociaż go lata gniotły do ziemi.

Odbyło się wesele, rotmistrz wystąpił w galowém ubraniu; wesoły był i śpiewający nadzwyczaj, a gdy dzień nadszedł, w którym pan Adam

młodą swą żonę do *Lipowej* miał przywieść, stary był nadzwyczaj zajęty przygotowaniem pałacu i urządzeniem wszystkiego *porządnie*. Od białego dnia już łaził po dziedzińcu i po pałacu, komenderował, ustawiał, okurzał.... i gdy na zakręcie w lipowej alei ukazała się ozdobna karetka, ubrany *galowo*, na czele sług domowych oczekiwał przybycia nowożeńców.

Przedstawił Adaś młodą i piękną swą żonę starego przyjaciela domu, a rotmistrz wówczas stanął jak dawniej przed pułkownikiem, w żołnierskiej postawie, choć mu to już z wielką przyszło trudnością, i na głos się rozbeczał....

W kilka lat potem doczekał jeszcze poczciwy rotmistrz, jakkolwiek już zdziecinniały, tego dla siebie szczęścia, jak się wyrażał, że drżącą już chociaż ręką, i niezgrabnie mógł się fechtować i bawić z małym synkiem Adasia; a gdy syt życia skolatanego na cmentarzu złożył ciało, kilka łez szczerego żalu przez Adasia na pogrzebie uronionych, uświęciło pamięć tego tak rzadkiego, bo prawdziwego przyjaciela domu.

Leon Kunicki.

Do dziejów budowy wielkiego ołtarza w kościele Panny Maryi w Krakowie; przez Ambr. Grabowskiego.

Niezaprzeczoną jest rzeczą, iż kościół Panny Maryi w Krakowie zaszczyca się najznakomitszym utworem snycerstwa wieku XV, dziełem arcy-mistrza Wita Stwosza, przez współczesnych zwanego Stoss lub Stosz, nie zaś Sztos, jak go niektórzy tegocześni pisarze niewłaściwie mianują. Jestto z prac jego najokazalsza i największa, jakie z rąk jego wyszły. Nie przekazali nam przodkowie nasi żadnych do tego ołtarza odnoszących się wiadomości, a przynajmniej źródło z któregoby takowe powziąć można, dotąd jest nieznanie....; poszukującemu przeto dziejów i szczegółów budowy jego, wszelkie usiłowania są bezowocnymi.

Z pisma niegdyś nad tymże ołtarzem złożonego (*Kraków i okolice jego. wyd. 3cie i 4te*) wiadome jest, że ołtarz ten stanął ze składek wiernych, które, jak się to pismo wyraża: „nazebrano po trosze.” Myśl pobożnych Krakowian wzniosła się tu wysoko, stanowiąc przyozdobienie tego najcelniejszego przybytku Pańskiego w mieście tym arcy-dziełem sztuki, którego nam najbogatsze w utwory sztuk pięknych miasta pozazdrościły, gdyby o istnieniu jego były wiadome: bo prawdą jest, iż cudzoziemcy ołtarz ten oglądający, nie mogą utaić zadziwienia nad wielko-

ścią i kunsztownością jego, o czém kraje ościenne żadnej nie mają wiadomości.

Na koszt budowy tego pomnika gorącości wiary Krakowian, składali się najbiedniejsi większym darem, ubożsi przynosili grosz wdowi; lecz o ich imionach ten tylko wie, ku którego chwale ołtarz ten wzniesiony został.... Czy kto wiele, czy mało dał: jeżeli tylko datek jego płynął z serca, jeżeli wyniknął z wiary, zapisany on został w księdze zasług, leżącej otworem przed tronem Przedwiecznego, który najlichszy szeląg kwoli dobremu uczynkowi dany, sowitą nagrodą płaci.

W przebiegu lat pracy około ołtarza, przymnażały się fundusze na koszt budowy, przez zapisy testamentalne mieszczan krakowskich. Imiona niektórych takich dobroczyńców, przechowały się w aktach ławniczych, a mianowicie w księdze: *Liber Dnorum Scabinorum Cracov.* pod Nr. 1474. Przejrzawszy tę księgę, podam te imiona ku powszechniej wiedzy, aby je przed niepamięcią ocalić.

R. 1478. Jan Stano mieszczanin krak., odkazał w testamencie złot. 10 (*), *Ad ymagines supra tabulam; que pro Ecclesia S. Marie constructur.*

R. 1480. Jerzy Lang i Jan Krupek, srebra złożone w sądzie, o które z Ormianinem ze Lwowa spór wiedli, odstąpili Janowi Clethner, Janowi Turzo, Jakóbowi Glaser i Krzysztofowi pisarzowi miejskiemu, jako zawiadowcom i budownikom *der newen tofelen czu unsir libn frawn*, przekazując im użycie ich na budowę w. ołtarza.

R. 1483. Weronika, żona Jakóba Tale, czyniąc ostatnie woli swój rozrządzenie, poleciła mężowi swemu, aby wypłacił 200 złot. węgierskich, *pro nova tabula in magno altari in Eccl. B. Virg. Marie*,—co on też uczynić urzędownie przyrzekł.

R. t. Piotr Scheptez zapisał złot. 10, *czu der toffel czu der Jungfrawn Marie.*

R. t. Anna Gleywicowa ustąpiła i oddała sławetnym PP. Janowi Clethner, Sewerynowi Bethman i Janowi Turzo *tanquam erectoribus et aedificatoribus tabulae in Eccl. B. V. Mariae*, grzywien 24 na fundusz tej budowy.

R. 1484. Bartosz Reich zapisał *czu der newen toffel yn unsir libn frawn Kirche of den hohen Altar* złot. 25.

R. 1485. Paweł Aptekarz, puhar czy też inne naczynie srebrne pozłacane (*eyne silberne Koppe obirgult*) zapisał *czu der toffel czu unsir libn frawn, dyman bawet of den hohen Altar.*

(*) Według dzielka: *Summariusz umiarkowania monety stariej z dzisiejszą &c.*, w r. 1487. te 10. zł. węg. czyniły dzisiejszych zł. 93.

R. t. Jan Gobil zapisał 10 złot. *czu der newen toffelen czu unsir libn frawn.*

R. 1486. Wawrzyniec Gobil ustąpił długu należnego sobie zł. 14, *pro tabula magna in summo altaro ad Beat. Virginem in circulo*, i prócz tego dał gotowemi złot. 10. *pro eadem tabula.*

R. t. Anna, żona Szymona kapelusznika, odkazała dom swój Janowi Turzo, na fundusz budowy tego ołtarza.

R. 1487. Katarzyna płatnerka, legowała *pro fabrica et decoratione tabule sive ymaginis summi altaris Eccl. B. V. Marie* złot. węg. 20.

R. 1488. Barbara wdowa po Kasprze Roth, zapisała pas srebrny i 9 łyżek takichże, *pro tabula nova ad B. Virginem.*

R. t. Jan Korbel przeznaczył w testamencie złot. 10., *pro tabula ad S. Mariam in circulo.*

R. t. Anna Bartoszowa wraz z Martą Aptekarką (siostry), Janowi Turzo odkazały testamentalnie wspólny ich dom w ulicy Żydowskiej, *czu bawen dy grosse toffil czu unsir libn frawn*, który on za złot. 200. sprzedał.

R. 1489. Lazurus Kuśnierz, z kwoty gotowiznianej zł. 80. którą posiadał w groszach, zapisał 5. grzywien *czu der grossen toffil czu unsir libn frawn.* (Mowa i pisownia ówczesne.)

Te są imiona Krakowian, dobroczyńców tego utworu sztuk pięknych, któremi się dawna stolica Polski zdołała, których miłośnikami byli Jagiellonowie, Wazowie i następni królowie, a zamiłowanie to podzielali i możni panowie krajowi. Te to dzieła dawniej sztuki poniszczył czas, wywieziono w napadach nieprzyjacielskich, lub się stały pastwą ognia, jak tego świeży mamy przykład na kościołach Stój Trójcy i S. Franciszka, które ze wszystkimi w nich się znajdującymi skarbami kunsztu i pomnikami, dnia 18. lipca r. 1850 w przeciągu 5 lub 6 godzin doszczętnie wygorzały. Tymto fundatorom, z skromnej klasy mieszczan i rękodzielników idącym, należy się poszanowanie potomnych: oni bowiem ożywieni silną wiarą i pobożnością, przyłożyli się do nakładu na tę budowę, bez którego żaden artysta, tylko pracą rąk swoich na życie zarabiający podobnego rozmiaru dzieła rzeźbienia ani podjąć się, ani dokończyć nie mógł.

Niektóre szczegóły o Mistrzu Wicie Rzeźbiarzu Krak. ().*

O ile się to wynaleźć dało, ogłosiłem już wiadomości o tym znakomitym w kunszcie snycerskim mistrzu. Te dopełnię niektórymi jeszcze

(*) Dodatek do wiadomości w dziełku: *Dawne zabytki miasta Krakowa &c.* wydaném r. 1850.

szczególami, tyczącemi się jego osobistych stosunków, gdyż innego rodzaju wiadomości o nim do nas nie doszły.

Poszukiwałem w Aktach Krak., w czasach, które go poprzedziły, ażali nie znajdzie się nazwisko Stwosz, Stoss, lub Stosz, któreby się do przodków jego odnieść dało?... Wprawdzie nie natrafiłem na takowe, ale i ten brak nie może być dowodem przeciwko przyjętemu pochodzeniu jego z Krakowa; gdyż akta miejscowe, a mianowicie księga: *Registrum Scabinorum Civitatis Cracoviensis*, oznaczona Nrem 1475, pokazuje imiana mieszczan Krak. blisko podobne nazwisku Stoss (jak go zwali współcześni), które przy nieustalonej ówczesnej pisowni, mylnie tylko wyrażone być mogło:

A. D. 1433. *Dom. ante f. Nat. S. Joannis Bapt.*— *Hanus Stochse paxidarius, iturus ad expeditionem contra Pruthenos, resignavit Margarethe uxori sue impregnate, et pueris si quos habebit, omnia bona sua mobilia et immobilia, tam intus quam extra Regnum, cum potestatae faciendi et dimittendi, reservans sibi dominium.*

Jeszcze i drugie podobne nazwisko, napotyka się kilka razy w księdze aktów ławniczych Nr 1474, pod r. 1480, a mianowicie: w akcie sprzedaży domu przez Macieja Aptekarza Wincentemu malarzowi, który niegdyś własnością był Stoxa (*domus ex opposito plateae Canonico-rum, que olim fuit Stox*).—Blizko z czasem życia Wita, nazwisko to, jak n. p. Sthosz z Olbrachoc, w Polsce już było znanem.—W wieku XVI. już się ta rodzina znakomicie rozkrzewiła, a jeden z tego plemienia służył krajowi wojskowo, bo w r. 1520 w spisie: *Centuriones seu Rotmagistri, ad bellum contra Albertum Marchionem Brandenburgensem, Mugistrum Cruciferorum, in Prussia suscepti* pomieszczony jest *Sigismundus Stoss*, jako służyący na 200. koni.—W tymże czasie, już w Krakowie nazwisko Stoszow liczniej występuje, a później już się pokazują i rodziny właściańskie tego imienia, n. p. R. 1556 Jakób z Swieborowic (w Krakowskiem), syn Wojeiecha Stossa.

R. 1481. *Meistr Vit der bildersnytzer*, kupił dom od Zofii Leymiterowey za złot. węg. 300. Dom ten był w ulicy Grodzkiej, i jest jeden z tych dwu narożnych domów na wchodzie do ulicy Poselskiej, a w owym czasie położony był przy domku drzewianym, należącym do Bractwa u S. Barbary.—Że Wit nie był przychodniem do Krakowa, pokazuje i ta okoliczność, że tu zamieszkiwał i brat jego. W r. 1482 pierwszy raz pokazuje się nazwisko Stosz: jestto pełnomocnictwo Wita, udzielone przed aktami ławniczemi Mateuszowi Stoszowi bratu, do zastępywania go w wszelkich sprawach. (*Liber Dnor. Scabinorum Cracov. Nr. 1474*)

Godne uwagi, iż tytuł *Magister, Meister*, w owym czasie służył prawie wyłącznie samemu Witowi, dla odznaczenia pracującego w sztukach pięknych; gdyż wyrazu tego nie dawano przy żadnym rękodzielnictwie, i w Aktach Krak. nigdzie się nie napotyka.—Dla ziemi naszej jest to chlubą niemałą, iż krajom niemieckim dostarczyła dwóch mistrzów, Wita i Stanisława, którzy wyrobami sztuk pięknych miasta ich przyozdabiali.

Odpowiedź p. Jakóbowi Wadze, na artykuł umieszczony przeciw mnie w Bibliotece Warszawskiej na miesiąc maj r. b.

Gdyby p. J. W. wymienił z kąd wziął polską nazwę dla rośliny *Erythraea centaureum* wspomniałbym, że się znajduje inna w ustach ludu. Zwyczaj rozstrzygłby która z tych nazw stałaby się powszechną. Gdy jednak tego p. J. W. nie uczynił, a pisze przeciw mnie w Bibliotece Warszawskiej na miesiąc maj r. b., wypada nad jego pismem kilka zrobić uwag!

W obecnym czasie panuje ogólnie chorobliwa chęć tworzenia nowych nazw dla zwierząt i roślin, bez względu, czy dawno istniejące są dobre lub nie. W tym względzie odznaczają się głównie pisarze powierzchownie obznajmieni z przedmiotem. Tę słabość w całym znaczeniu tego wyrazu dzieli p. J. W. Nie trzeba dowodzić, że podobny rodzaj postępowania nietylko tamuje postępy nauk przyrodzonych, ale jest przyczyną niepospolitego w nich zagmatwania. Nie przejąwszy się tą prawdą, nie pojąwszy znaczenia ludowych nazw, w miejscu nazwy *czantoryjka* wprowadza p. J. W. nową, którą według jego świadectwa w okolicach Jabłonny pod Warszawą, każdy zna. Że kobiety dostarczające czantoryjki aptekarzom warszawskim tak nazywają tę roślinę, nie powątpiewam, ale za tém nie idzie, iżby to była nazwa ludowa, po całym kraju rozpowszechniona, znana tam, gdzie mówią językiem polskim. Téj nazwy nikt nie zna w Krakowskiem, od Przemyśla aż do Cieszy na stoku północnym Bezkidów wszyscy tam nazywają onę *czantoryjka, czenturya*. Obojętną jest rzeczą, kiedy została wprowadzona, tyle tylko jest pewnego, że ją ogólnie lud zna pod nazwą przezemnie przypominaną; od niej otrzymała swą nazwę wysoka góra Czantoryja, wznosząca się nad ustroniem. Nazwa *tysiącznik* wyraźnie jest tłumaczona z niemieckiego, według wszelkiego prawdopodobieństwa nie dawniejsza od pobytu Prusaków w Warszawie. Nazwy późniejsze, gdzie zachodzi wątpliwość, powinny ustępować pierwszeństwa dawniejszym. Może jaki szperacz starożytności zatrudni się,

kiędy została wprowadzoną w życie, co tak zaleca p. J. W. choć to ani botanikę ani wiedzy ludzkiej nie zbogaci. Okazuje się, że p. J. W. nie pojął dostatecznie znaczenia nazw ludowych, i że ich nie umie odróżnić od nazw zrobionych przy zielonym stoliku (?). Gdy czterech autorów pisze o dobrze znaną roślinie polskiej, jako środek lekarski zalecaną, i gdy każdy daje jej odmienną nazwę, której nikt nie zna, a ta jest sztucznie przez nich zrobiona, zdaje się, że godzi się odezwać przeciw podobnej samowolności i że rozsądna krytyka powinna to wytknąć autorowi, który polskie rośliny opisać zamierzył. Niech mi będzie wolno zastanowić się jak dalece ten ostatni był do podobnej pracy przysposobiony.

Od botanika zamierzającego opisać rośliny polskie żądać należy, aby znał co pisali autorowie polscy i obcy o florze polskiej; któż może powątpiewać że od podobnego autora wymagać także należy, aby znał postępy botaniki. Jak dalece zachowuje się p. Waga do tych dwóch żądań, rozbierzmy.

P. Dębosz ogłosił spis roślin jawno-łściowych rosnących w okolicach Krakowa. Przed ogłoszeniem tej pracy zbierał, porównywał rośliny rosnące wokoło tego starożytnego grodu po licznych wzgórzach i dolinach. P. J. W. uznaje tę pracę za mało znaczącą.

Również los spotkał dzieło Wahlenberga, florę tatrową, za wzór służącą, jak należy dokonywać podobne prace. Po zwiedzeniu gór Laponii i części Alp szwajcarskich, po ogłoszeniu flor tych stron, udał się Wahlenberg do Tatrów, zebrał w nich znaczną ilość roślin, radził się zielników znajdujących się u zbieraczy pod Tatrami, i tak przysposobiony udał się do najcelniejszych miast Europy, do Niemiec, Francji, Anglii i Szwecji. Porównywał rośliny tatrowe, które są botanikom znane, i poznał które dotąd były nieopisane: tak usposobiony przystąpił do ogłoszenia swojego dzieła. Później Herbiech na północnych stokach Tatrów, odkrył i opisał wiele ciekawych a nowych roślin; z tą pracą nie raczył się p. J. W. obznajmić, bo niemasz ich nigdzie zacytowanych u p. W.

P. J. W. wymienia rośliny według systematu Linneusza (r. 1846, 1847); systematu który miał kiedyś wielkie znaczenie, który się przyłożył stanowczo do postępów botaniki, a który następnie okazał się niedostatecznym przy rozszerzonej wiedzy o roślinach pokrywających kulę ziemską. Teraz systemat Linneusza jest ogólnie porzucony. Nawet w Szwecji, ojczyźnie jego twórcy, uznany za niedostateczny. We Francji, w Anglii, w Niemczech nikt się go nie trzyma, na wszystkich uniwersytetach wykładają według naturalnego układu Jussiego, lub poprawnego przez Decandolla, Browna i innych. Są rośliny które zgasły i nie istnieją pomiędzy żyjącemi; tak samo ma się z systematami; były żywotnemi, a gdy ich nie-

dostateczność ogólnie uznano, zastąpiły je nowe. Zmarły jak w łonie ziemi zawarte rośliny. Taki ma stosunek sztuczny układ Linneusza do naturalnego Jussiego. Botanik trzymający się takich zasad opuszczonych powszechnie, czyż jest dostatecznie przygotowany do napisania flory jakiej części ziemi? Bezstronnie wyznać muszę, że nie. Inny jeszcze wzgląd doprowadza mię do potwierdzenia zdania, że p. J. W. nie zna dostatecznie roślin, nie umie ściśle odróżniać roślin znanych od nieznanyc. Prawie niepodobną jest rzeczą, aby na przestrzeni 2200 mil kwadratowych, która zajmuje królestwo Polskie, nie znalazły się nowe gatunki roślin. P. J. W. w swojej trzynomowej książce nie odkrył żadnego nowego gatunku. Na tak wielkich przestrzeniach od niewielu botaników zwiedzanych, niepodobna by się nie znalazły nowe postacie roślin. Określiwszy stanowisko w jakim p. J. W. zostaje do tego co napisanem było o roślinach polskich i do postępów umiejętności, cóż dziwnego, że taki autor wielką wagę przykładła do drobnostek, a lekceważy nowe pomysły i ogólne pojęcie wyrobione w umiejętności! W artykule polemicznym, przeciw mnie wymierzonym, jawnie dowiódł, że nie ma jasnych wyobrażeń o nazwach ludowych i sztucznie tłumaczonych. *Erythraea centaureum* jest istotnie jak p. J. W. uważa, *Goryczka żółta ziemna* Kluka.

Kończąc, muszę uczynić parę uwag nad wstępem i zakończeniem artykułu p. J. W. Niepodoba mu się kierunek, jaki obratem w umiejętności, niepodobają mu się monografie często krótkie, a jedne drugie prostujące. Jestto wyznanie, które objaśnia stanowisko, i dowodzi zarazem że p. J. W. nie zna wiele więcej nad imię tej umiejętności którą uprawiam. Dowód tego daje zakończenie jego uwag.

W opisie popularnym podróży do źródeł Wisły, wspomniałem o mineralu zielonym znajdującym się pomiędzy przegrodami numulitów. Nie mogłem go bliżej opisać, bo otrzymałem odrobiny tego mineralu, nie większe od końca śpilki. O wielu rzeczach pierwszy odkrywca czyni wzmiankę, zwraca na nią uwagę, następcy rozpoznawają je, badają. To jest bieg wiedzy ludzkiej, a nie ciasnych pojęć. L. Z.

Odowiedz na powyższą odowiedz.

Prostując gruby błąd botaniczny, jaki p. Z. popełnił w artykule swoim pod tytuł: *Podróż do źródeł Wisły*, umieszczonym w zeszycie Bibl. Warsz. za marzec, nie miałem wcale zamiaru wchodzić z nim w walkę literacką; bo nie lubię tego rodzaju sporów prowadzić zwłaszcza

cza z osobą, która zaledwie słabe mając wyobrażenie o przedmiocie, niczego mnie nauczyć nie może. Gdy jednak p. Z. nie przestając na tém, po pięciomiesięcznej przerwie w nowo ze mną wchodzi zapasy i bezzasadnie florę moję krytykuje, winniem mu przeto na zarzuty jego odpowiedzieć, żeby ktoś pozornego jego rozumowania za prawdziwe nie poczytał. Zarzuca mi najprzód p. Z. chorobliwą chęć tworzenia nazwisk nowych. Jakże grubo się myli! wszak nazwy przezemnie użyte nie są moje, lecz albo w dawnych zielnikach odszukane, albo z nowszych autorów wzięte, albo od pospólstwa używane. Ja sam powstaję we wstępie do flory mojej przeciw niedorzecznemu kłedeniu wyrazów, i nigdy nie byłem tego rodzaju mądrości zwolennikiem. Rodzaj *Erythraea* oddzielony od r. *Gentiana* nazwałem *Tysiącznik*, ponieważ gatunek jego *Erythr. Centaurium* najznajomszy i w medycynie używany, nazywają powszechnie *tysiącznikiem*; jestto nazwa prawdziwie polska, pospólstwu naszemu od wieku znajoma (1) i już w naszej farmakopei (2) przedemną użyta. P. Z. utrzymuje jakoby ją z niemieckiego przetłumaczył, a ja przeciwnie mógłbym mu dowieść że ją raczej Niemcy od nas przejęli, co i z nazwiskami wielu innych roślin miało miejsce. Nie wiem gdzie to p. Z. wyczytał jakoby pracę pana Dembosza mało cenit; chociaż spisu gołego kilkudziesięciu gatunków lekarskich roślin niemal wszędzie znajdujących się, rzeczywiście za arcyważne dzieło uważać nie można; gdyby jednak p. Z. bez uprzedzenia czytał moję florę, byłby w niej znalazł miejsca w których i dziełko pana Dembosza przytaczał.

Wahlenberga flory karpackiej nie miałem, a chociażbym ją nawet wówczas i posiadał, niewielebym z niej mógł korzystać. Wahlenberg i Her-

(1) Oto i teraz w czasie wakacyj będąc we wsi Rzekuniu w gub. płocekiej blisko Ostrołeki, pokazywałem tę roślinę w obecności kilku osób podeszłej kobiecie zbierającej ziołado aptek, a na zapytanie moje jakby ją nazywała?—*tysiącznik* rzekła. Skoroć tedy tak ją zowie pospólstwo w całym Mazowszu, Podlasiu, w Płockiem i w Wielko-Polsce, czyliż to więc nie jest nazwa prawdziwie ludowa? Chociażbym przeto i wiedział, że tam w jakimś kącie Polski lud prosty nazywa ją *czantoryjką*, nigdybym jednak nazwiska tego w dziele mojem nie przyjął, bo jest widocznie z obcego wzięte, i ani uczonym ani pospólstwu naszemu nieznane. P. Zejszner utrzymuje że w okolicy Krakowa lud wiejski powszechnie ją tém nazwiskiem oznacza; pytam się więc, dlaczego p. Dembosz, jako mieszkaniec Krakowa, któremu przeto ta nazwa obca być nie mogła, nie użył jej w swojej florze medycynnej, lecz nazwisko *Czerwieniec*, *Gorycznik* czyli *Serdecznik* położył?..... Zresztą, p. Zejszner obstając przy swoim, chyba nie wie że u nas wiele jest takich roślin, które lud wiejski w każdej okolicy inaczej zowie. Ja dosyć zrobiłem skorom nazwę *Centurya* w cytacyach jako synonimę przytoczył.

(2) Pharmacopœia regni Poloniae auctoritate Ministerii administrationis rerum internarum et discipl. publ. edita a Consilio supremo sanitatis. Varsaviae, 1817, str. 31.

bich zbierali tatrowe rośliny, a ja zamierzyłem li tylko rosnące w obrębie dzisiejszego Króles. polsk. florą moją objąć, o czém we wstępie czytelnika uprzedzam. Zabawnie jest slyszć, jak p. Z. przybrawszy ton wytrawnego botanika, rozprawia o systematach roślin, wynajduje stosunki jednego do drugiego, potępia układ Linneusza, i gniewa się na mnie że nie trzymał się przyrodzonej metody. Sądzę, że dostatecznie wytłumaczył się we wstępie do dzieła mojego, dlaczego poszedłem za systematem Linneusza; tam więc p. Z. odsyłam, a tu winienem dodać, że grubo się on myli utrzymując jakoby system płciowy, tak łatwy do pojęcia i tak prosty w zastosowaniu, ogólnie dziś porzucono, albowiem pomijając dzieło Dietricha (*Synopsis plantarum seu enumeratio systematica, i. t. d. Vimarise*) którego tom IV w 1847 a zatem jednocześnie z florą moją wyszedł, mógłbym mu przytoczyć, gdyby mi czas pozwalał, liczny szereg dzieł botanicznych rozmaitego zakresu, wychodzących dziś za granicą, w których układ ten, ściśle jest zachowany. Nawet autorowie francuzcy czują jego ważność, kiedy w dziełach swoich porządkiem przyrodzonym rośliny opisujących, gromadę i rząd Linneusza przy każdym gatunku zwykle dodają, jak to p. Z. widzieć może we wspaniałej florze *Flore des serres et des jardins de l'Europe*, dziś wychodzącej zeszytami w Gandawie i redagowanej przez sławnych francuzkich botaników Alfon. Decandolla, Brongniarta, St. Hilaira, Decaisna, i innych. Nie jest przeto ten system całkiem zaniedbany, bo on jest skazówką, która łatwo, nawet mniej biegłych, do poznawania praktycznego doprowadza. W tém miejscu winienem (nawiasowo) wspomnieć, że Decandolle nie poprawiał układu Jussiego, jak p. Z. pisze, ale go tylko rozszerzył i większą liczbę gromad przyrodzonych ustanowił. Osobliwszy mi jeszcze p. Z. robi zarzut, że na przestrzeni 2200 mil kwadr. zajmującej Król. Polsk. żadnej nowej, to jest nieznannej dotąd botanikom rośliny nie znalazł. Czyliż ja wszystkie zakątki kraju mogłem zwiedzić, i czyli moja w tém winna że w okolicach przezemnie zwiedzanych nic się nowego nie odkryło? Zresztą, pan Z. jako naturalista, powinien wiedzieć że w tworzeniu nowych gatunków z największą ostrożnością postępować należy. Niedosyć jest roślinę uważaną za nową porównać ze wszystkimi już znanymi gatunkami, lecz na to potrzeba ogólnej zgody botaników. Kto bez zastanowienia i lekkomyślnie tworzy nowe gatunki, ten największe zamieszanie robi w nauce, i nie do jój rozszerzenia, ale raczej do zagnatowania się przykładu; tymto sposobem przybyło wiele synonim i niepotrzebnych nazwisk pamięć obciążających, bo te mniemane nowe gatunki, po pilniejszym zastanowieniu się, za ledwie za odmiany botanicy późniejsi uznają. Dlatego Jundziłł, który 50 lat puszcze litewskie zwiedzał, nie odkrył żadnej

nowój rośliny: a Kluk który całe życie śledził, ledwie parę gatunków rzeczywście nowych odkrył. Nakoniec co do ciasnego pojęcia, jakie mnie niby p. Z. przy końcu swój uczonej odpowiedzi przypisuje, na to odpowiem mu, że pojęcie każdy ma sobie właściwe: moje przynajmniej jest takie, że potrafię z łatwością *tysiącchnik* od *chabru* odróżnić.

Z przyjemnością czytałbym rozbiór flory mojej, której drugie wydanie przysposabiam, gdyby ten pochodził od światłego i biegłego botanika; chętniebym z rad jego korzystał. Lecz dorywcza i namiętna krytyka p. Z. wyobrażenia **nawet powierzchnownego** o botanice nie okazuje. Dlatego też więcéj na żaden jego artykuł, tyczący się flory mojej odpowiadać nie będę, bo czas jest drogi i szybko płynie, a ja chciałbym go korzystnieéj używać.

Pisałem w Warszawie, 24 września 1850 roku.

J. Waga.

Sprostowanie.

W sierpniowym numerze Biblioteki Warszawskiej na karcie 315 napisano, że Mroziński był prezesem deputacyi do ustalenia pisowni, a w nrze z października na kar. 179 twierdzi pan T. K. że „Mroziński nie był nawet członkiem deputacyi, bo nie będąc członkiem Towarzystwa Przyjaciół Nauk, nie mógł być wyznaczonym do składu deputacyi...”. Podpisany, jako ostatni z żyjących członków téjże deputacyi i świadomy rzeczy, najprzód oświadczyć muszę iż: obydwaj panowie mają racyą ale nie zupełnie, a to z następujących powodów. Gdy Mroziński w. roku 1826 obrany był członkiem Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół Nauk i nazwisko jego ogłoszono wraz z innemi członkami; zwierzchnik jego wynurzył mu swą niechęć że ma należeć do rozprawiaczów i pismaków. Gdy później Tow. Przyj. Nauk uznało potrzebę i powinność przybrania Mrozińskiego na członka tegoż towarzystwa, nie ogłoszono jego nazwiska, ale rzeczywście był on członkiem towarzystwa i mianowany do deputacyi. A chociaż deputacya w przedmowie do swych rozpraw na kar. XI nie umieściła nazwiska Mrozińskiego, i owszem na kar. XII wyrzekła iż „upraszała go, aby zechciał dzielić jój prace”, byłoto skutkiem owéj obawy o naganę ze strony zwierzchnika. Wszelako sam Mroziński na kar. 10 rozpraw, mówi: „wdzięczny jestem za zaszczyt iż mnie Towa. Przyj. Nauk (więc nie deputacya) do prac deputacyi powołało”. Co do prezesostwa deputacyi, ks. Szwejkowski był prezesem *de jure*, bo był najstarszy wiekiem, a powaga jego urzędowania i osobistego charakteru nadawały mu pierwszeństwo; lecz *de facto* był nim Mroziński, jak to mu po pierwszym zaraz posiedzeniu i przymówieniu się jego (umieszczoném na czele rozpraw), wszyscy członkowie deputacyi przyznali. W deputacyach bowiem Towarzyst. Przyj. Nauk odbywało się wszystko bardzo kollegialnie, i za zwyczaj członek najswiadomszy przedmiotu, najczynniejszy, stawał się jój prezesem. *Suum cuique.*

W Warszawie d. 8 października 1850 r.

F. Bentkowski.

WIADOMOŚCI

na drodze postępu nauk przyrodzonych.

FIZYKA.

W zwykłej temperaturze, *słabe* magnesy objawiają działanie na nikel, żelazo i kobalt; z wyższych jednak temp., naprzód nikel w temp. $+ 400^{\circ}$, następnie żelazo, bo w cieple czerwono-wiśniowém, a kobalt dopiero w białoczerwoności utracają sposobność magnesowania.

Jeżeli jednak użyjemy *silnych* magnesów lub elektromagnesów, okaże się, że wszystkie bez wyjątku ciała podległe są działaniu siły magnetycznej. Lebaillif i Burgmann (1778) dostrzegli, że bizmut zamiast przyciągania, odpychanym bywa przez każdy biegun magnesu.

Faraday okazał że tę własność objawiają i inne metale, a także fosfor, woda i t. d., i opierając się na swych doświadczeniach, przypuścił istnienie innej siły, odmienniej od objawianej przez żelazo; według tego, rozdzielił ciała na *magnetyczne* czyli przyciągane i *diamagnetyczne* albo odpychane przez magnesy.

Przytém Faraday utrzymuje, że diamagnetyzm nie jest połączony z biegunowością ciał, bo każdy biegun magnesu jednakowo odpycha sztabkę np. bizmutu; że diamagnetyzm jest ściśle związany ze zmianami optycznymi, okazującymi się w ciałach przezroczystych, wystawionych na działanie magnesów silnych.

Ed. Bequerel za pomocą silnego elektromagnesu doświadczając różnych ciał stałych, płynnych i gazów, dowodzi, że każde ciało umieszczone w pewnej odległości od biegunów magnesu jest *przyciągane* *przez* z siłą równą różnicy zachodzącej między przyciąganiem *gątownikowem tegoż ciała, a przyciąganiem środka w którym toż ciało się porusza*. Według tego, ciało może być albo przyciągane albo odpychane przez magnesy, stosownie do tego, czy się porusza w środku innej lub więcej od niego magnetycznym; podobnie jak balon napęczniony gazem,

opada lub wznosi się nad ziemię, a według tego, czy użyty gaz był gęściej czy cieńszym od powietrza. Szkło np. które jest ciąganem w powietrzu, jeżeli zostanie zanurzone w roztwory żelaza lub niklu, bywa przez magnesy odpychanem; podobnie wosk biały, siarka, ciała w powietrzu odpychalne, pogrążone w roztwory skoncentrowane chlorku calcium lub magnesium stają się diamagnetycznymi.

Jestto zasada podobna do prawa Archimedesesa dotyczącego równowagi ciał ciężkich zanurzonych, z tą tylko różnicą, że ciężkość działa na całą masę ciała, wtedy gdy natężenie magnetyczne rozwija się w ciele przez wpływ i nie zależy wcale od masy. (*Annales de Physique* 1850 mars).

* Niektóre ciecze wywierają wpływ na kierunek płaszczyzny polaryzacji światła. Biot śledził sposób zachowywania się pod tym względem wody w temperaturze blizkiej największej jej gęstości i punktu marznięcia.

Wypadki przeczące, dawniej jeszcze z obserwacji otrzymane, jako trudniejsze do zdecydowania, skłoniły go do wykonania powtórnie doświadczeń z większymi massami wody bardzo powolnie zmieniającymi swą temperaturę, i żadnym zewnętrznym ruchom niepodlegającymi. Temperatura masy wody przez którą przechodziło światło polaryzowane, zawierała się między $+6,3^{\circ}$ i $-2,3^{\circ}$. Troskliwe obserwacje stwierdziły ostatecznie, poprzednio otrzymane wypadki, że woda dystylowana płynna, w blizkości największej swój gęstości lub punktu marznięcia *żadnego nie wywiera wpływu* na zboczenie płaszczyzny polaryzacji światła przechodzącego przez jej masę. (*L'Institut* 1850).

* Porro, sardyński inżynier, wraz ze swymi kolegami czynił liczne doświadczenia dotyczące konduktorów ustawianych na domach. Przekonał się, że działanie ostrza, rozciąga się wokoło na promień zmieniający się stosownie do kierunku źródła elektryczności uważanego względnie do osi ostrza; tak że prawo na ustawianie prętów z ostrzami na dachach, w odstępach wyrównywających poczwórnej długości nie powinno być uważanem za ogólne.

Co się tyczy materiału najprzydatniejszego na konduktory, przekonano się, że miedź byłaby bardzo dobrą, że ołów daleko jest wyższym w tym użytku od żelaza, i dla swój ceny powinien je w tém użyciu zastąpić. Ten wypadek doświadczeń gabinetowych stwierdziły zupełnie obserwacje czynione w twierdzy Puin w Genewie, na 522 metry nad poziom morza wzniesionej. W roku 1822 ustawione konduktory, corocznie wymagały naprawy, gdyż tak ich ostrza jak i same druty w pewnych punktach były stapiane. Konduktory były miedziane, a w niektórych częściach żelazne, średnicy 10—12 linii. P. Porro zastąpił miedź i żelazo

przez rurę ołowianą, mającą 15 linii wewnętrzną średnicy, i od chwili téj zamiany dotąd żadne przerwanie konduktora nie było dostrzeżoném. (*L'Institut* 853).

* Jak wiemy, Kaspjskie morze przynajmniej widocznie nie łączy się z Oceanem; przeciwnie Azowskie komunikuje się z Czarném, Śródziemném, a następnie z Atlantyckim oceanem. Już w roku 1812 Parrot i Engelhardt usiłowali rozwiązać pytanie, czy powierzchnie tych mórz zachowują prawo kulistości wód oblewających ziemię, czyli téż w wysokości zwierciadeł ich wód istnieje jaka znaczna różnica. Wypadek barometrycznej niwellacyi, rozciągającej się od ujścia Kubani aż do ujścia Tereku, okazał, że poziom Kaspjskiego morza leży niżej o 107 metrów od poziomu morza Azowskiego.

Praca ta powtarzana w 1839 i 1840 przez p. Hommaire Dehel między ujściami Donu i Kumu wskazała, że powyższa różnica ma być tylko 18 metrów. Struve po obliczeniu i gruntownym rozbiórce wypadków prac geodezyjnych, wykonanych przez pp. Fuss, Sawicz i Sablew w 1836 i 1837 r. w prowincjach kaukazkich, stwierdza przez powyższych uczonych otrzymany wypadek o niższości morza Kaspjskiego, lecz co do liczby metrów, ocenia tę różnicę na 26 metrów, równą prawie 45 polskim łokciom. (*L'Institut* 853).

S. P.



KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1850.

WARSZAWA.

78. Treść nauki przyrodzenia, czyli wiadomości do ogólnego oświecenia potrzebne, z nauki o zwierzętach, czyli zoologii; o roślinach, czyli botaniki; o ciałach kopalnych, czyli mineralogii; o istotach nieważkich, czyli fizyki; o składzie ciał, czyli chemii; o gwiazdach, czyli astronomii, w sposobie dla każdego przystępnym, wyłożyli magistrowie b. Uniwersytetu warszawskiego, nauczyciele nauk przyrodzonych w szkołach rządowych. Z trzema tablicami, i sześcioma wśród dzieła rycinami. Z godłem:

Wtenczas tylko nauka jest prawdziwie użyteczną,
gdy będzie w języku pospolitym wyłożona.

M. J. Girardin.

Ska. Warszawa. 1850. Druk St. Strąbskiego. Kart 2, str. XVI i 340. Złp. 5.

79. Treść nauki przyrodzenia, w sposobie dla każdego przystępnym, wyłożyli magistrowie b. Uniwersytetu warszawskiego, nauczyciele nauk przyrodzonych w szkołach rządowych. Z trzema tablicami, i pięcioma wśród dzieła rycinami. (Tom IIgi). 8ka. Warszawa. 1850. Druk S. Orgeibranda. Od str. 343-610. Złp. 5.

80. Zdanie sprawy z działań Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności za rok 1849. 4ka. Warszawa. 1850. Druk J. Ungra. Str. IX i 54.

L W Ó W.

81. Denary koronne XIV i XV wieku. Ustęp z numizmatyki polskiej. Przez ks. Jana Stupnickiego. (Z tablicą rytowaną). Oddruk z Pamiętnika literackiego. 8ka. Lwów. 1850. W drukarni Zakładu narodowego Ossolińskich. Str. 32. Złp. 1 gr. 20.

82. Grammatyka polska praktyczna dla szkół narodowych, według J. Muczkowskiego i innych, którzy niektóre szczegóły grammatyczne jasno wyłożyli. Przez J. J. Szczepańskiego, profesora publicznego. 8ka. Lwów. 1850. Drukiem E. Winiarza. Karta nap. I i str. 232.

83. Najnowsze powinszowania dla dzieci i dorosłych płci obojęd, w różnych stosunkach ludzkiego życia. Zebrał i pomnożył Łukasz Falkiewicz. 16ka podłużna. Lwów. 1850. Nakład K. Jabłońskiego. Druk Zakładu nar. Ossoliń. Str. 119 i rejestru str. III. Złp. 2.

84. Sybilla czyli gra pytań i odpowiedzi dla zabawki w zebranych towarzystwach ułożona. Lwów. 1850. Nakładem K. Jabłońskiego. Druk Zak. nar. Ossoliń. Kart 6 i str. liczb. 48. Złp. 1.

WADOWICE.

85. O leczeniu chorób koni, bydła, świń, owiec i psów. Wykład popularny dla użytku gospodarzy. Wadowice. Nakład J. Sablińskiego. Druk J. Pokornego wdowy. 1850. 16ka, str. IV, 4, razem 172. Rejestru kart 5.

W I L N O.

86. Grosz wdowi. Pismo zbiorowe (,) wydawane przez Alexandra Grozę. Rok 1850. Śka. Kijów. 1850. Druk TeoŃla Glücksberga. Napisów kart 2 i str. 295. Rejestru karta 1. Złp. 10.

L I P S K.

87. Do matek polskich słów kilka o przyszłości wzrastających pokoleń (,) przez autorkę Pierścionków Babuni. Wydanie drugie J. N. Bobrowicza. 16ka. Lipsk. 1850. Nakładem Księgarni zagranicznej. Str. 308. Złp. 10.

WROCLAW.

88. Obrazy wieku dziecięcego. Zbiór powieści dla dzieci od 6ciu do 9ciu lat. Przez Bronisławę Kamińską. 12ka. Wrocław. (1850). Nakładem Zygmunta Schlettera, drukiem C. H. Storcha. Kart 2 i str. 220. Złp. 13 gr. 10.

*Doniesienia literackie.*

WARSZAWA.

Księgarz S. H. Merzbach rozpoczął druk historyi *Hiszpanii i Portugalii*, jako ciąg dalszy Biblioteki historycznej.

— Księgarz Orgelbrand wydał tom II ważnego dzieła: „Wiadomości historyczne o sztukach pięknych w dawniej Polsce, zebrał i wydał F. M. Sobieszczański” z rycinami na cynku rysowanymi. Całe dzieło składać się będzie z trzech tomów. Tom III wkrótce pójdzie pod prasę drukarską.

— Nakładem Sennewalda, z drukarni Ungra, wyjdzie wkrótce na widok publiczny: „Książka do nabożeństwa dla chrześcian Ewangelików, ułożona podług najlepszych źródeł”. Użyteczne to dzieło, zapewni oddawna czuć się dający brak podobnego modlitewnika w polskim języku, a jeżeli przytém wydanie będzie staranne, uczyni zadość pod każdym względem naglącej potrzebie ewangelickiej gminy.

— Pamiętniki *Orzelskiego*, które tyle zajęcia obudziły, ogłoszone będąc w bardzo małej części w *Zbiorze pamiętników o dawniej Polsce*; obecnie wynalezione w całości, wyjdą w przekładzie polskim, z objaśnieniami i krytycznymi przypisami, nakładem Orgelbrauda. Przekładem tych pamiętników, i wydaniem krytycznym zajmuje się p. Stanisław Lisowski.

— Dzieło p. n. „*Królewicze Biskupi. Żywoty czterech kapłanów*” wyjdzie wkrótce zpod prasy drukarskiej, nakładem S. Orgelbrauda. Jestto praca znanego badacza Juliana Bartoszewicza.

— Otrzymujemy wiadomość, że istnieje egzemplarz opisu Warszawy z czasów Władysława IV przez Jarzemskiego. Zabytek ten znany z nieoso-

bliwego przerobienia wydawcy *Zbioru pamiątek o dawnej Polsce*, będzie wkrótce ogłoszony w wiernym przedruku.

— Jedno z pism naszych ogłosiło o przygotowanych zbiorach przysłów krajowych. Zaczęło od wiadomości, że pierwszy zbiór wynosi 20,000 przysłów, drugi sto tysięcy, i doszło do 200,000. Możemy zapewnić, że te cyfry niemają prawdy w sobie. Znany z sumiennych badań p. Tymoteusz Lipiński zebrał wprawdzie do 20,000 przysłów i przypowieści, ale dołączył do tego szczególne zwroty mowy polskiej, i wyrażenia więcej uderzające wdziękiem, lub jednością i dobitnością. Odjąwszy przeto, to co w tej szanownej pracy, nie może być wcielonym do zbioru prawdziwych przysłów i przypowieści, liczba zmniejszy się do większej połowy. K. Wł. Wojcieki, który pierwszy wydaniem *przysłów narodowych* w 3 tomach 1830 r. zwrócił uwagę na tak ważne pomniki języka, po kilkunastu latach zbierania, już między ludem, już z zabytków piśmiennych, zebrał tylko około 6000 przysłów i przypowieści.

— Teofil Glücksberg ma wkrótce ogłosić drukiem nowy romans Henryka hr. Rzewuskiego, pod napl.: „Paź pierściennowłosa.”

— Z artystów malarzy na Litwie, zaszczytnie wspominają znawcy p. Wincentego Dmochowskiego. Z widoków jego miejscowych szczególniejsz odznaczają się: Ruiny zamku lidzkiego; O północy; Ranek w dolinie pod Kownem, i Wioska poleska w czasie powodzi. Z obrazków zaś jego ludowych, najmiliej się odbija: Rezurekcyja wiejska, gdzie i kościółek modrzewiowy, i plebania z bocianiem gniazdem, i w końcu processya ludu w litewskich strojach, tchną prawdziwą krajową prostotą.

— Pisma Kazimierza Brodzińskiego, których żadne wydanie nie miało, mają wyjść w jednym tomie.

— *Kraków*. W r. b. wyszło dziełko p. n.: „*Kile słów wo Kaszubach e jich siemi*” przez Wójkasena; tudzież rzecz o języku kaszubskim, ze zdania sprawy Prajsa. W 12ce, str. 36.

— P. Jabłoński księgarz we Lwowie, ogłosił wydanie malowideł ściennych Stachowicza w biskupim pałacu, które wiernie przerysował p. Teofil Żychowicz. Wszystkich arkuszy będzie przeszło 20: dotąd wyszło ich 2. Cena każdego ark. 30 kr. k. m.

— Stanisław Pilat przygotował do druku ważne, a osobliwie dla szkół pożyteczne dzieło: „O stylu, wymowie i poezyi polskiej, ze względu na inne języki tak starożytne, jak i żyjące.” Dzieło to ma wyjść nakładem księgarni J. Milikowskiego we Lwowie.

— Księgarnia zagraniczna w Lipsku wydaje tam przekład Szyllera pod tyt.: „Dzieła dramatyczne Fryderyka Szyllera, przekładu Michała Budzyńskiego”. 4 tomy w 8ce, z port. autora. Zawierać będą: Żywot Szyllera; Oblubienica z Messyny (wierszem); Intryga i miłość; Don Karlos (wierszem); Wilhelm Tell (wierszem), i Fiesko.

— „Pamiętniki Jana Chryzostoma Paska, przedstawione w rycinach” wyjdą w 36 do 40 wielkich półarkuszowych rycinach, rysowanych i szytych w *aqua forte* na blasze. Ryciny te przedstawiać będą osoby i miejsca ważniejszych scen, wraz z odpowiednią treścią, wyjętą dosłownie z Pamiętników. Każdy zeszyt składać się będzie z oddzielnych czterech rycin, i ma kosztować Złp. 12.

— Każdemu, kogo tylko piśmiennictwo krajowe zajmuje, znane było znakomite przedsięwzięcie zasłużonej księgarni p. Józefa Zawadzkiego w Wiedniu, w rozpoczęciu wydawania *Obrazu bibliograficzno-historycznego Literatury i nauk w Polsce*, pod redakcją p. Adama Jochera, którego dzieła od r. 1840 do 1843, dwa pierwsze tomy, i trzeciego parę zeszytów z druku wyszły, a dalszy ciąg, z powodu małej liczby przedpłaćcicieli, zawieszony być musiał. Odtąd, przez siedm lat zdawało się, że ukończenie tego ważnego dzieła na zawsze już przerwie się. Allści z radością, z pewnego źródła dowiadujemy się, że znalazł się przecie mąż, który szlachetnie na łożu śmiertelném dostatkę swę rozdzielając, i o piśmiennictwie krajowém nie zapomniał. Tym mężem był czcigodnej pamięci p. Antoni Beresowski, obywatel gubernii kijowskiej powiatu czerkaskiego, który testamentem swoim znaczną sumę na wydanie ważnego jakiego w polskim języku dzieła zapisał, a brata swego *Joachima*, do wykonania téj woli zobowiązał. Ten zaś właśnie teraz sumę tę na dokończenie *Obrazu bibliograficznego* przeznaczył, i o ile słyszeliśmy, już do druku przystąpił. Cześć im i sława obu! Utrwałą oni sobie tym sposobem na długie czasy pamięć i wdzięczność ludzką, szczerzą i pewniejszą nad wszelkie chęci i siły, aby zostawić ślad bytu swego na téj ziemi.

— N. 4ty „Gwiazdy” pisma zbiorowego na rok 1849, wydawanego w Kijowie przez Benedykta Dołęgę, oglądaliśmy przypadkowo zabłąkany jedyny egz. w Warszawie, i treść jego podajemy: Estetyka narodowa *Wincentego Dawida*. Myśli o walnych przedmiotach nowożytnéj literatury, z przedmowy do 3ciéj części *Jordanu*. *Panicz* z wieku XVIII, ballada p. *Szymona Konopackiego*. Kilka słów o nekrologach. Szlacheckie sądy o dzisiejszém naszym piśmiennictwie, gawędka podsłuchana przez *Adolfa spod Bielska*. Nowy *Encelad*, nowy *Don Kichot*, nowy *mojarz Ciemnogroda*, przez *Alfreda Grypsa*. Gościnność źle odpłacona, z przyczyny naszych księgarzy, wydawców, przez *Nep. Sowę*. Notatki wydobyte z myśliwskiej torby jednego wiejskiego filozofa. *Rys życia obozowego*. *Karol Kaczkowski* i jego sługa; wyjątek z listu *Szym. Konopackiego*. *Kontrakty kijowskie* r. 1849, w zarysach *à la kwacz*, przez *Zezona Fisch'a*. *Effekt hubińskiej krytyki*. List *Zofii K.* z *Brzozówki*. *Exkuza z obligacją*, p. *Karola Kaczkowskiego*. *Listy konwersacyjne Wandalińa Habdanka*: 1) o dobrym obywatelu i złym dziekanie; 2) o autorstwie i autorach w ogóle, a w szczególności o *Kraszewskim*, *Korzeniewskim* i *Rzewuskim*; 3) o poezyi.

— Wyszły z druku dwa *Mazury* na fortepian, przez *Oskara Kolberga*, i są do nabycia w handlach muzycznych warszawskich po złp. pięć. Dochód przeznaczony na cele dobroczynne.

† W Dreźnie, d. 20 października r. b., po długich cierpieniach umarł *Henryk książę Lubomirski*, kurator *Zakładu Ossolińskich*.

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE
w Obserwatoryum Astronomiczném

WARSZAWSKIÉM.

Wrzesień, 1850.

	mm.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	752.651	27	9.647
Najwyżej dochodził — d. 17 o g. 10 r.	759.33	28	0.608
Najniżej — — d. 30 o g. 10 w.	744.99	27	6.251
Średnia zmiana dzienna barometru	1.932		0.853
Największa zmiana dzienna barometru d. 2—3 o g. 10 r.	7.6		3.41
Średnia wysokość barometru jest wyższa o od stanu normalnego z 24 lat poprzedzających	1.763		0.825
Średnia temperatura września wynosi: i ta jest niższa o od stanu normalnego z 24 lat po- przedzających	750.788	27	8.822
	+ 11 ^o .73 C.	+ 9 ^o .384 R.	
	2.067 „	1.653 „	
Największe ciepło dochodziło d. 25 o godz. 4 wieczór.	+ 13.797 „	+ 11.037 „	
Najmniejsze dochodziło d. 30 o godz. 6 rano.	+ 20.2 „	+ 16.16 „	
Termometrograf wskazał: Maximum: + 17. ^o 8 R. d. 25 po poł. Minimum: + 1.5 „ d. 30 rano.	+ 3.3 „	+ 2.64 „	
Średnia zmiana dzienna temperatury	1.748 „		1.398 „
Największa zmiana dzienna d. 12—13 o godz. 4 w.	6.7 „		5.36 „
Wody z deszczu spadło wysoko na 71,5 milim., czyli 31,61 lin. par., to jest: o 10,38 lin. par. więcej, niż w stanie normalnym.			
Średnia wilgotność powietrza miesięczna wynosi 82,5, biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną; albo co do ciężaru, 9,01 gramów, na jednym metrze sześciennym powietrza. Wilgotność ta jest o 4 setne większa, niż w stanie normalnym.			
Dni pogodnych było 3, napół pogodnych 12, pochmurnych 15. — deszczu 14 (d. 2, 3, 7, 9, 10, 11, 12, 13, 14, 20, 23, 25, 28, 29). — mgły 8 (d. 16, 18, 19, 21, 24, 25, 26, 30).			
Wiatr panujący: Zachodni, częste były: Południowo-Wschodni i Północny.			
Wichrów nie było.			
Miesiąc wrzesień zwykle bywa u nas pogodny, suchy i ciepły; w tym roku był przeciwnie niepogodny, słotny, wilgotny, i o 1.65 stop. R. zimniejszy jak zwykle. Pierwsza połowa miesiąca była chłodna i dżdżysta; druga ciepła, przy częstych mgłach rannych. Najcieplejsze dni były: d. 19, 21, 22, 23, 24, 25, 26, 27, 28; najchłodniejsze: d. 8, 9, 10, 11, 12, 13, 15, 30.			
D. 25 między godz. 5 i 6 wieczór padał deszcz ulewny.			

PODRÓŻ PO PORTUGALII.

(Dokończenie).

Świtało. Drżące nieśmiałe światło przekradało się cienkim promieniem przez szczelinę okiennic do naszej sypialni, a tam, na dworze, odgłos małej a dźwięcznej jak srebro sygnaturki, wzywa już chrześcian do modlitwy.

Przebudzam się. Ale już nie śpią moi towarzysze: jeden w jednym, drugi w drugim końcu długiej sali ubiera się prawie pociemku i cichaczem, zapewnie żeby mnie nie przebudzić. Zkąd te zbytne względy?

— Ho, ho! panowie! jakoś się bardzo rano wybieracie dzisiaj: czemu tak spieszenie?—zapytałem.

— W istocie jeszcze bardzo rano, ale chciałbym przed odjazdem zwiedzić ruiny owój forteczki, leżącej tam na wzgórzu, i zdjąć jój plan. Mnie to interesuje jako wojskowego; jakieś wcale niezłe pojęte dzieło. Śpij jeszcze, masz prawie godzinę czasu—odpowiedział kapitan T. K.

— A ty doktorze?

— Ja chciałbym obznajmić się jeszcze lepiej z Florą tego kraju. Wiész, że są takie kwiaty, które się najlepiej w rosie porannej rozwijają; naprzykład pewne tak nadobne Krucyfery. Interesująca to rzecz podejść naturę *in flagranti delictu* rozwijania. Prześpij się jeszcze!—odpowiedział znów dr. L.

— Dobrze, dobrze — mówię do nich, ale do siebie samego powiadam: to coś zawikłanego, owe fortece maurytańskie, owe Krucyfery, które *in flagranti delictu* rozwijania podchodzić trzeba. Zobaczymy.

Udaję tedy śpiącego, chrapię. Kapitan wychodzi cichaczem jednemi drzwiami, doktor wykrada się drugimi.

Wyskoczyć z łóżka, ubrać się i wyjść długim korytarzem na dziedziniec klasztorny, było dziełem jednej minuty.

Jeszcze słońce nie weszło nad zębate pasmo gór, przedzielających wschodni widokrąg; tylko obłoki wsparte na jego szczytach jaśniały pyszném purpurowem światłem, i rozwijając się, rozcho-dząc w coraz cieńsze, przezroczystsze złote gazy, rzucały drżącą i niepewną jasność w ciemne tajniki dolin Estrelli. Wielki Busaco, panujący nad całą krainą, otulił się niezmiernym złotolitym płaszczem, i dźwigał na swój głowie ów posąg świętego, zpod stóp którego wczoraj spoglądaliśmy na ten ogromny krajobraz, jakby z balonu bujającego wysoko nad obłokami.

Uderzony, przyciągnięty, oczarowany tym pysznym widokiem, stanąłem, i zapomniałem płochych przyczyn, dla których tak szybko opuściłem me łóżko. Spętane nogi unieść mnie dalej nie mogły, całe me życie skupiło się w mych oczach.

Nie wiem jak długo stałem oczarowany, nie wiem, czy chwila była wiekiem, czy wiek był chwilą, gdy w tém budzi mnie odgłos sygnaturki blizkiego kościołka. Zadrżał on w mém sercu jak głos archanioła, zatętniał w méj duszy całą siłą uroczych wspomnień tego wieku w którym mnie co dzień w małym miasteczku nad rzeką Nidą, głos szkolnego dzwonka powoływał do nabożeństwa i do pracy. I oko me już nie widziało przed sobą, i posłuszne głosowi dzwonka nogi ocknęły się z letargu, i zawiodły mnie do kościoła.

Msza ranna, cicha w kościołku wiejskim! Ludzie, których kształty w słabém świetle zaledwie rozeznac możesz; ludzie korzący się przed Bogiem tak rano, równo z świtem, kiedy jeszcze żadna myśl ziemską zbudzić się nie mogła w ich duchu! To powietrze świeże, ten uroczy pomrok zalegający nieokreśloną żadnemi granicami przestrzeń! Te świece rzucające blask słabo niebieski na ołtarz i na siwą głowę sędziwego pasterza! Westchnienia skruchy i pokory przerywające to święte uroczyście milczenie, i hymn ten jednogłosny tak prosty i serdeczny! Czyż dusza takim oprzeć się zdoła wrażeniom? któż w takiej chwili nie podda się chętnie wzruszeniu, pomimowolnie wdzierającemu się do serca? i któż nie przyzna, że miło je doświadczać? któż nie żałuje, że dobrodziejstw jego częściej nie użyje?

Heżto razy w podobnych chwilach większej nad wszystkie inne rozkoszy, nie pytałem siebie, czemu ich częściej nie szukam? Czyto z obawy, żeby przyzwyczajenie nie stępiło méj czułości, nie pozbawiło mnie wrażliwości? czy téż z obawy, żebym nie doznawszy raz dobroczynnego a tak zbawiennego wpływu, nie zwątpił o sile własnych mych uczuć? Czy téż może z obawy, żeby mnie nie wzięto za jednego z tych świętoszków, którzy wzywają Boga codziennie i *przed łicznymi świadkami*, a bliźnich swych nie kochają, o sobie jedynie myślą; za jednego z owych, którzy Pana Boga skonfiskować usiłują na własny użytek? Nie wiem. Wiem tylko, że niewszędzie wstawać można równo z świtem, że niewszędzie są kościółki ciche, wiejskie, że niezawsze duchowni z sędziwymi *duchownymi* głowami. Wiem także, że trudno w miejskich kościołach zapomnieć téj szalonej wrzawy namiętności dzisiejszego wieku, i uwierzyć, że świat będzie lepszym.

Ależ już świeće gaszą, nabożny lud wolnym krokiem niechętnie opuszcza ten święty przytułek, wychodzi jednakże do pracy, wychodzą i młode *montaneiras*, nasze dobrodziejki z dnia wczorajszego, a za nimi—czy mnie oczy nie mylą? Nie, doprawdy, to oni; za nimi idzie naprzód kapitan, a potem kilka kroków za nim kryjący się w tłumie doktor filozofii.

— To tutaj zbierałeś plan forticy, kapitanie? to tutaj podchodziłeś twe Krucyfery *in flagranti delictu* rozwijania, doktorze?—zapytałem.

Niemiec wstydził się jak kozieł zdybany w kapuscie, a Francuz jak wilk spotkany w owczarni.

— *Ma foi, les beaux esprits se rencontrent partout*—rzecze Francuz; Niemiec zaś utrzymywał, że się kwiaty tą razą nie rozwinęły: zapewne dla pewnych przyczyn telluryczno-atmosferycznych, których działanie będzie przedmiotem jednéj z jego późniejszych rozpraw *in folio majori* z drzeworytami.

Jeszcze się Francuz zarcikami wykpiwał, a Niemiec erudycją wylgiwał, kiedy do nas przystąpił sędziwy przeor, ten sam który właśnie celebrował, i spytał, czy może korzystać z naszego towarzystwa i puścić się razem z nami do miasta Viseu, gdzie się rozpocznie jutro odpust i targ sławny na całą Portugalią, przyciągający zdaleka bardzo wiele ludu.

— A któżby nie chciał podróżować pod opieką twój sukni, księżę dobrodzieju; więcej ona warta w tym kraju, niż cały pluton żandarmeryi—odpowiedzieliśmy.

— Dobrze moi panowie, będę się starał zasłonić was od wszelkiego niebezpieczeństwa, od którego suknia księcia zasłonić może; ale komu czas, temu w drogę tedy mamy siedm mil opętanych przed sobą. Wypada wyruszyć najdalej za godzinę i posilić się przed wyjazdem. Wyświadczcie mi panowie zaszczyt przyjęcia u mnie czekolady, proszę panów jak najserdeczniej.

Już miałem przyjąć szczere zaprosiny przeora, kiedy mi kapitan T. K. przerywa mowę słowami: „Księżę, bądź raczej łaskaw podzielić się naszym śniadaniem; my już zaprosiliśmy na nie owe dwie góralki z Covelinias, które nas wczoraj tak dobrą uraczyły kolacją, i mają prawo do naszej wdzięczności.

— To się wszystko da pogodzić, kochany panie, bylebyś zechciał. Proszę do siebie całe towarzystwo wraz z owymi dobrymi dziewczycami, fundatorkami mszy dzisiejszej, które znam bardzo dobrze. One się podzieliły z Bogiem swym majątkiem, słusznym jest, żebym ja podzielił się z niemi mym chlebem—naglił ksiądz przeor.

— A rygor klasztorny czy pozwala księdzu przeorowi przyjmować u siebie kobiety?

— Od pewnego czasu jestem zostawionym w tym względzie własnemu memu sumieniu, i pozwoliłem sobie przyjmować u siebie kobiety, bylebym to zrobił w przytomności tej siwej siedmdziesiątletniej, głowy którą na karku noszę. Dobry to stróż taka stara głowa, przekonacie się panowie o tém za lat kilkadziesiąt—zaręczał przeor.

Góralki chętnie przyjęły zaprosiny i pocałowały księdza w rękę. Towarzysze widząc to przystali także. Takim sposobem Kowelinianki uszły niebezpieczeństwa zdradzieckich figłów Francyi, i ciężkiej erudycyi niemieckiej, a ja zyskałem znajomość jednego z najmilszych starców, jakich w życiu mém spotkałem.

Ksiądz ten czcił Boga, nie ową bierną miłością, nie z powinności, z przyzwyczajenia, lub téż z trwogi, lecz ową rzewną, głęboką, codziennie świeżą miłością, jaką się kocha najszczytniejsze piękno, najczulszą dobroć, tak jak się kocha jedynego pana świata i ojca wszystkich ludzi. Wiek nie stępił w nim serdeczności, rzeźwości, uczucia, a fanatyzm nigdy się nie mieszał do niego. Owszem, umiał kochać bliźniego i w różnowiercu, nie wyszukiwał nigdy co jest w innych wyznaniach złego, ale czcił

co po nich pozostało dobrego. Myśl o Bogu nie odstępowała go nigdy, ale dlatego nie miał tego usposobienia solennego, które mrozi swém zimnem, czasem nawet odpycha. Owszem, umiał i żart znieść i sam pożartować, lubił ludzi wesołych, bo i w wesołości serca znajdował dowód jego dobroci. Rozumem nabytym w książkach nie sięgał daleko; ale tym rozumem, który się czerpie w prawości i czystości uczuć, w przekonaniu na postrzeganiu doświadczeniu opartém, władał bardzo zręcznie.

Żywot tego kapłana był prosty, tak jak on sam. Jedną się tylko różnił rzeczą od ogółu swych kolegów; był kapłanem z powołania, i został nim nie będąc do tego naglonym potrzebą zabezpieczenia sobie losu, i w wieku, w którym człowiek zna się doskonale i ręczyć może za siebie sumiennie.

Jako syn dość majątnego obywatela, miał po skończeniu w szkole koimbryjskiej wychowania osiąść na roli ojca, gospodarować razem z nim, a potem ożenić się, skoro się objawi Boża wola. Ale wola ta nie objawiła się nigdy z siłą bardzo przemagającą, czyli też inne uczucie daleko głębsze, a ciągle towarzyszące młodemu człowiekowi, zwalczało w sercu jego owe uczucie, które jest najczęściej wynikiem funkcji fizyologicznej. Wczesnie odezwało się w nim powołanie najświętsze, jakie na tym świecie spełnić można, jeśli jest czystém i szczerém: to jest jako *ofiara*. Długo się wahał młodzieniec, długo samemu sobie nie dowierzał, długo i często oddalał pod różnemi pozorami spełnienie życzenia rodziców, namawiających go do połączenia się ślubnym związkiem z jakąś godną siebie towarzyszką. Tak nadszedł dla Don Antonia rok trzydziesty, i wtenczas dopiero będąc pewnym siebie, wyznał rodzicom, że się czuje być powołanym do służby Boga, że nie zaniedbując żadnej z powinności syna i obywatela, kilkanaście lat strawił nad badaniem swój wiary i swój siły, że teraz dopiero widząc się dojrzałym i w stanie ręczenia za sobą, widząc się nieodwołalnie utwierdzonym w swych chęciach, prosi rodziców o błogosławieństwo na zawód tak różny od tego, który mu gotowali. Spodziewał się wielkiego oporu, żalu i wyrzutów ze strony rodziców: „ale jaka radość w me serce wstąpiła—opowiadał dobry starzec—gdy sędziwy mój ojciec otarłszy swe łzy, rzekł: Dobrym byłeś synem, dobrym będziesz i kapłanem, i nie skrzywdzisz nigdy świętej sukni kapłańskiej. Niech się stanie wola Boga. Wstąpiłem wkrótce potem do Augustyanów tutaj w San Romao, poświęcających się tak jak owi zakonnicy

góry św. Bernarda usłudze Boga, chorych i podróżnych, których zimą tutaj nieraz przywalają śniegi. Zamknąłem później powieki memu rodzicowi i méj rodzicy, którzy mnie znali podczas lat kilkunastu kapłanem. Majątek mój darowałem klasztorowi, a teraz, po zniesieniu tych przytułków, żyję tu samotny i prawie z jałmużny w tém miejscu, którego byłem przez lat trzydzieści kilka dobroczyńcą. Niech się zawsze i wszędzie dzieje wola Boga!”

Prosta ta historia bardzo nas wszystkich ujęła. Miłe nam było towarzystwo kapłana, który sam dla siebie był surowym, dla innych zaś pobłażającym; który teraz widząc się prawie żebrakiem w sędziwej starości, nie szemrał nigdy przeciw wyrokowi ludzi; który cały oddany Bogu i ludziom, nie mieszał się nigdy do polityki, nie intrygował, i żadnych nienawiści ziemskich nie był apostołem.

I znów jesteśmy w podróży. Góralki wróciły do Covelinias, pożegnawszy się czule z bogobojnymi podróżnikami. Hospederowi zostawiliśmy piękny upominek za wszystkie doznane grzeczności. Wsiadliśmy na nasze muły, a przeor w długiej czarnej sukni, w kapeluszu z wielkimi podwiniętymi skrzydłami, w butach z wysokimi cholewami i niezmiernymi ostrogami, dosiadł żwawego konika. Służący zaś jego wdrapał się na osła obciążonego przedzą, którą przeor sprzedać zamysłał na targu w Viseu. Podarunek to wieśniaczek okolicy.

Coraz niższymi górami, coraz mniej głębokimi wąwozami doszliśmy powoli do obszernej doliny, zawartej pomiędzy górami Estrelli od południa, od wschodu zaś i północy pomiędzy pasmami gór Caramulo i Marao.

Już minęliśmy powabne wioski Folgoza i Figueredo, leżące na wzgórzu pomiędzy gęstymi lasami drzew rosochatych. Przed nami leży smutna, jednostajna dolina, w której nic nie przyciąga oczu.

Tuż blisko znacznej wsi, zwanéj Santa Sofia, spotykamy liczne grupy wieśniaków, przystrojonych w świąteczne suknie. Kobiety w jaskrawe płaszcze i czepce ubrane siedzą na osiołkach, inne młodsze biją w jakieś czworograniaste tarabany, śpiewają i tańczą, a mężczyźni zaś rozrywają uszy odgłosem piszczałek, skrzypców i gitar. Wszystko to ciągnie do Viseu na odpust, zwabiający z dalekich stron wszystko co żyje. Za wsią, w obszernym ogrodzie wznosi się dziwnie wielki i ozdobny budynek. Jest-

to początek wodociągu. Niezmierne koło, wodą ze spodu pędzone, czerpie żywiół dający mu ruch, wznosi go do wysokości wodociągu na czterdzieści kilka stóp, i tam wylewa w kamienne łoże strumienie czystej wody. Wcale niezłe wymyślona machina hydrauliczna i w bardzo dobrym zachowana stanie, co jest rzadką rzeczą w owiej niedbałej Portugalii.

Po pięknym murowanym moście przekraczamy znów rzekę Mondego, tak krętą i wijącą się, że jej pełno wszędzie na naszej drodze. Wyminąć ją tak trudno, jak nudziarzy lub wierzycieli na tym świecie.

Wpośrodku gaju jodłowego rozwinęła się zupełnie niespodziewanie bardzo piękna i żywa widownia. Tutaj wystawiono wiejski szałas dla wygody podróżnych, udających się na odpust. Pod cieniem drzew stało kilka bud z stołami i piecami, piekły się ryby, kuropatwy i kurczęta, leżały tam wielkie snopy młodej kukurydzy dla koni i mułów, stały beczki z wodą i antałki z winem.

Panią i aniołem tego improwizowanego karawan-seraju była młoda kobieta, wprawdzie bardzo przystojna, ale wcale nieskromna ani też obyczajna. Należała do rodzaju Jewek z pamiętnej marymontskiej Bryłówki, tylko może jeszcze wyuzdańsza w mowie, a może i w czynach. Zobaczywszy nas zdaleka zbliżających się, przybiegła do przeora z serdecznemi okrzykami radości, zaręczając, że jej sen zwiastował przybycie wielebnego ojca.

— To niewielka rzecz, *mi vielha tortolina* (stara turkawko) wiesz dobrze, że się żaden odpust w Viseu bezemnie nie obejdzie, przynajmniej dopóki żyję—rzecze uśmiechając się przeor.

— Ale mi się inna jeszcze rzecz śniła, i wyśnić się musi koniecznie. Oto, że mnie ksiądz przeor pocałował—dodała wdzięcząc się turkawka.

— O ho! z tego nic nie będzie!—krzyknie strwożony przeor. *Appage Satanas!* idź precz ty bezwstydna, idź ty kusicielko!

Opisać nie zdołam wyrazu twarzy wielebnego ojca; w jego świętym gniewie było tyle dziecinnego wstydu, rumieniec tak żywy wystąpił na jego sędziwe lica. Bronił się jak panienka, broniąca się na dobre. Widać było, że pierwszy raz w życiu znajdował się w podobnym położeniu. Konia popędzał ostrogami i walił go gromnicą, którą mu właśnie wieśniaczka jedna w przechodzie darowała.

Ale kusicielka złapała mocną dłoń konia za lejce i rzekła dalej: „A ocknąwszy się ze snu ślubowałam, że jeżeli mi się sen

wyśni, wówczas dam dla hospederyi w San Romao antałek wina dla chorych, i wstąpię na trzy miesiące do klasztoru Wizytek w Viseu na rekolekcyą."

— Tak ślubowałaś kobięto?—pyta ksiądz, przestając konia popędzac ostrogami i gromnicą.

— Jak mi *Nossa senhora de estierros* miłą i świętą, tak ślubowałam i tak ślubuję w tój chwili, w obec wszystkich tu zgromadzonych świadków—zareczyła kusicielka.

— Słuchaj tedy Magdaleno, bo tak ci zapewnie na imię?— spyta przeor.

— Tak mnie przynajmniej zawsze księza nazywają. Oh! bo nie każdy daje się tak prosić jak ksiądz dobrodziej; od innych ledwo się mogą opędzic, zwłaszcza od.....

— Nie kończ Magdaleno, nie kończ, bo głupstwa chcesz pleść najbezpieczniejsze. Słuchaj kobięto! jeśli się w ślubie przenie-wierzysz, wówczas całus mój kością ci w gardle stanie, i na sumieniu ciężć ci będzie jak kamień młyński — powiedział ojciec Augustyanin z namarszczeniem grożąc gromnicą.

— Wiem o tём, księze przeorze, wiem o tём; ale dalej, prędko, inny byłby już sto razy wycałował—odpowie rozpustnica.

Passował się biędny ksiądz z sobą, kapelusz zdjął i do nieba westchnął, i wszyscy przytomni toż samo zrobili. Wybie-rał się na pocałowanie młoděj i pięknej kobięty, jak inny na ścię-cie; ale nastąpiło nareszcie uroczyste pocałowanie na jeden i dru-gi policzek, i wszyscy przytomni krzyknęli: „Niech żyje nasz do-bry ojciec przeor.“ Ksiądz aż się spocił, tak mu trudna była prze-prawa.

Dziwny to lud, ci południowcy: religia u nich miesza się do wszystkich zabaw i do wszystkich śmieszności, a nikt z niój nigdy nie szydzi, nikt nie bluźni nigdy. Śmieszność nieraz miesza się do najuroczystszych obrządków religijnych, a nigdy nie uwłacza ich świętości. Życ bez religii w żaden sposób nie mogą w żadnej chwili: ale żyć według religii.... to rzecz inna: u nich jój świę-tość nie jest celem życia, lecz raczej żywiołem szczęścia, szczę-ścia chwilowego, doczesnego.

Przeor ochłonawszy z pierwszego wzruszenia, sam się pier-wszy śmiał z niego, i to serdecznie.

— Nie pamiętam, kiedym pocałował kobięte—mówił do nas— ale żebym mógł memi całusami zrobic tyle dobrego, ile dzisiaj,

wówczas chętniebym się rozpuścił na starość, i całował wszystkie turkawice.

— Więc ksiądz przeor wierzy w szczerłość ślubu téj Magdaleny?—zapytał kapitan.

— Czy wierzę? Najmocniój. Tego ślubu ona nie złamie: najprzód dlatego, że jest dobrowolnym, a powtóre dlatego, że w obecności tylu świadków ponowiony. Publicznej wzdargy nie chciałaby za nic w świecie ściągnąć na siebie. Kobiéta ta musi przecież mieć coś świętego dla siebie, kiedy się tak bez oporu poddaje natchnieniom zmysłowości. Jedno ją rehabilituje za drugie w oczach świata. Jestem pewnym, że wolałaby znieść wszystkie męczarnie śmierci, jak przeniewierzyć się w tym ślubie. A kto wie? może te trzy miesiące rekolekcyi będą początkiem skruchy, bardzo jój potrzebnej. Młodać ona wprawdzie jeszcze—dodał dobry ojciec przeor smutno kiwając głową—i młoda i czerstwa, zapewnie się tak prędko nie nawróci.

— I mnie się tak zdaje, niestety!—rzecze kapitan—zapewnie będzie chciała spełnić aż do ostatniej kropli kielich rozkoszy, nim rozpocznie pić gorzki kielich skruchy. A potem, są pewne nalogi, które mężczyzn prędej kobiety, niż opuszczają.

— A tak utrzymują pewne książki; nie wiem czemu taka zachodzi różnica pomiędzy jedną a drugą płcią—powie przeor.

— Ale ja wiem—odezwie się z zapalem naturalista—każdy co wie, co jest *acticum* i *passivum*, musi pojąć tę różnicę.

— Prócz tych może, którzy z siebie zrobili *deponens*—dodał śmiejąc się przeor; ale nie zgłębiajmy téj grammatyki, owoż i Dalila z kuropatwami, rzućmy się na nie z sprężystością godną lepszej sprawy.

Pieczone kuropatwy, doskonały chleb z kukurydzy, wcale ładne wino wysokiej Beyry, muzyki licznych wirtuozów, śmiechy młodych dziewcząt tańczących około nas, dla wypoczęcia z trudów podróży, tysiączne i nieraz bardzo dowcipne żarty rozhulanéj gospodyni, wesole rzenie koni, parskanie mułów, śmieszny śpiew ostów, przerywających harmonią swemi trąbami jerychońskim: oto żywiły, między któremi trudno zostać hipokondrykiem, nawet Anglikowi.

Już się słońce chyliło ku zachodowi, kiedyśmy stanęli pod Viseu. Miasto to leży na małym wzgórzu, prawie wpośrodku

równin wysokiej Beyry, pomiędzy dwoma pasmami gór. Mówiąc o równinach portugalskich, nie rozumiem, żeby to były płaszczyny równe jak kręgielnia, ale raczej miejsca otwarte, zabałwanione wzgórzami niezbyt wysokimi. Płaszczyzn jak u nas, nigdzie tam nie zocysz: wszędzie na każdym punkcie widokrąg jest wzniesiony i tworzy dla oczu twych zaporę.

Viseu jest jedném z najstarożytniejszych miast Portugalii; często ono było widownią walk pomiędzy Gotami i Rzymianami, Maurami i Hiszpanami. Wiele tu znajduje się szczątków dawniej potęgi rzymskiej i gotyckiej. Rzymianie mieli tu wielki obronny obóz. Viseu jest bowiem punktem, do którego łatwo ściągnąć żywność z okolicy dla licznego wojska. Obóz ten służył nawet Anglikom w czasie walk Napoleońskich za punkt oparcia.

Ulice miasta są ciasne, kręte, źle brukowane i niebardzo czyste; domy dość niskie, źle budowane i zaniedbane. Jedném słowem, Viseu jest starożytném, od wielu wieków opuszczoném miastem.

Przeor nasz stanął u proboszcza. My zaś z trudnością zdołaliśmy się umieścić w hotelu utrzymanym przez jakiegoś Hiszpana. Jednocześnie prawie z nami przybyło tu kilku Anglików i jegomość jakiś tłusty, gruby, z dobrą porcją fizyognomii tłustej, rumianej i opatrzonej należytą liczbą podbródek. Ubrany był po portugalsku, mówił także płynnie po portugalsku, ale nie wyglądał ani na Portugalczyka, ani na południowca.

Dr. Lange jako naturalista, zaraz wyszedł z opisanych charakterów narodowość tego indywiduum, uznał go za Niemca, i zaczął zaraz do niego gadać po niemiecku.

Ale strzel w łeb — Niemiec już ani słowa w swój ojczystej mowie powiedzieć nie umiał. *Przywędrował tu z wojskiem Napoleona, dezertował podczas wielkiej rejterady z Albufera, rozromansił Portugalkę mającą pieniądze, ożenił się z nią, osiadł, został dyrektorem min w pobliżności, i zapomniał po niemiecku; ale się z bogacił i jest znakomitym obywatelem.*

Poszliśmy wszyscy razem do teatru: Anglicy, Niemcy, Francuz i Polak. Sam pan gubernator raczył tą razą przedstawić widowisko; przemawiał do publiczności i krzyczał: „Niech żyje królowa! niech żyje konstytucya!”

Zwyczajny to manewr agentów partyi ministeryalnej, potrzebny bardzo dla obrachowania z siły okrzyków publiczności, ile

ząd liczy obrońców pomiędzy ludem. Odgłos służy wówczas za puls ludu i za skazówkę, czy można to a to prawo wnieść, taką lub owaką swobodęścieścić, siaki lub taki podatek nałożyć. Można było, bo lud dobrze krzychał: „Niech żyje, niech żyje!”

Aktorowie mniej dobrze swą rolę odgrywali, jak pan gubernator. Krzyczano wprawdzie, ale wcale inaczej; krzyczano *muera!* *muera!* niech ginie, niech ginie!

Pierwszy tenor nie był przy głosie, a Terpsychora jakoś nie przy całej sile swych organów tancerskich.

Nie podobała mi się taka cywilizacya, lepiej było wczoraj w klasztorze. Spaliśmy marząc o górach i kaskadach, i o rusalkach z melonami w koszyku.

* * *

— Ale zwiedzić osobliwości miasta zawsze warto, nim się znów puścimy w góry i wąwozy—przekładał mi następującego poranku dr. L., przecierając swe oczy.

— Dobrze! niechże i tak będzie; odłóżmy pół dnia na to, a potem znów w góry i lasy, między ruiny i dzikich ludzi—odpowiedziałem.

— Ale po obiedzie, rozumie się samo z siebie: niewielkim jestem amatorem głodu i pragnienia—dodał kapitan.

— Jeszcze raz dobrze! przystaję na wszystko, bylebyśmy nie nocowali w Viseu, między samemi synami Merkurego, kupczącemi od rana do wieczora. Nie lubię ludzi, których celem życia *pieniądz*, środkiem życia *towar*, Bogiem *z'oto*, a temperamentem *arytmetyka*. Chodźmy do kościoła panowie, zacznijmy od Boga.

Viseu posiada jedną z najstarożytniejszych katedr w Portugalii. Do niej właśnie zmierzamy. Jestto wielki budynek stylu mieszanego staro-niemieckiego z florenckim. Stylu takiego nie jestem lubownikiem, wolę coś czysto charakterystycznego. Zresztą, tylko styl gotycki w całej swój czystości umie połączyć masowność z lekkością, w sposób oko czarujący.

Ale wewnątrz katedry jako całość jest pięknem, choć kolor biały, którym powleczono filary i nawę, ujmuje przybytkowi uroku starożytności. Sklepienie wznoszące się nad wielkim ołtarzem, wspiera się na wysmukłych złożonych słupach, i całe jest wyłożone cudnymi arabeskami. Chór, na którym umieszczono organy

jest z drzewa kasztanu, precudnie dłutowany, a same organy, obie ambony, krzesła kanoników, ołtarze i sufit, tylko lekko w arabski złocone. Lepsze to sprawia wrażenie, jak owe sute przesadzzone złocone. Katedra ta prawdziwie zasługuje na podziwienie.

Zakrystya mieści w sobie kilka pięknych malowideł, które cudem jakimś potrafiono ukryć przed oczami Francuzów, i podobnego rodzaju tanio rzeczy kupujących miłośników sztuk pięknych.

Jeden Zurbaran, przedstawiający świętego Franciszka, wart ośmset funtów szterlingów, zaręczał mi Anglik umyślnie podróżujący w Portugalii dla spisania arcydzieł sztuki, pozostałych w tym kraju. Musi to być zapewne wysłannik jakiegoś domu handlowego, od którego rząd portugalski pragnie zaciągnąć pożyczkę.

Z portugalskich malarzy, Vasco zostawił tutaj piękne tło, przedstawiające św. Piotra i malowidło na drzewie, wyobrażające św. Hieronima. Gata zaś, inny znakomity malarz Luzytanii, złożył tu malowidło na płótnie, wyobrażające modlącego się anioła.

Trudno widzieć coś piękniejszego; w tej pięknej dziecinniej twarzy, błyszczy razem z wdziękiem niewinności tyle świętego porywającego natchnienia! Przysięgłbyś, że to może istnieć razem w naturze; a to jednakże czysty utwór sztuki bez pierwotworu, bez wzoru, chyba tylko w niebie.

Ale przez co wyjawia się potęga sztuki? Przez to, że zdaje się być naturą, a nią nie jest jednakże.

Więcej o tém, kiedy będzie mowa o Murillu i o Szekspirze, kiedy będziemy w Sewilli.

W kolumnadach kościoła, znajduje się wielka liczba starożytnych grobowców rycerzy i biskupów, wielkich pań i książęcych dzieci. Żadnego pomiędzy niemi nazwiska wstawionego nauką lub sztuką.

Na innym kamieniu grobowym spisano imiona długiego szeregu mężów, poległych w r. 1832 za kraj rodzinny.

Ale Viseu słynie na świat cały jako miejsce, w którym pochowany Rodryg, ostatni król Gotów; a tu jego grobowca niewidzimy. Nie w katedrze, lecz w najstarszym kościółku miasta, poświęconym archaniołowi Michałowi, pochowano króla Rodryga. Leży teraz za miastem ten kościółek. Francuzi odarli go z wszelkich kosztowności, i szukając wszędzie skarbów tak go spustoszyli, że od ich pobytu nigdy w nim nabożeństwa odprawiać nie było można.

Na prawo od wielkiego ołtarza, w bardzo prostej framudze, stoi sarkofag z granitu, a pod nim następujący napis:

Hic jacet, aut jacuit, postremus in ordine regum
Gotorum, ut nobis nuntia fama refert.

Trzeba przyznać, że autor tego napisu wyraża się z wielką ostrożnością:

Tu leży, czyli leżał, ostatni z rzędu królów
Gotyckich, jak nam wysłannicy sławy głoszą.

Wszyscy autorowie napisów grobowych nie są na nieszczęście historii tak sumiennymi. O niejednym nieboszczyku każą nam wierzyć, że był wielkim wojownikiem, świetnym z cnot obywatel, wiernym małżonkiem i dobrym ojcem; a on tymczasem i nietęgo się bił, i rzecz publiczną sprzedawał, i... ale *de mortuis nisi bene*. Mamy dla okazania cnoty wybaczenia, niewyczerpane zasoby w przeszłości.

Wróćmy do Rodryga. I jego życia dzieje giną w grubym niepewności pomroku. Najwiarogodniejsi historycy utrzymują, że król Rodryg zgwałcił (czyli zapewne poprostu zbałamucił) piękną Floryndę córkę hrabi Juliana, szwagra zrzuconego z tronu króla Wissigotów Vitizy, i że tenże hrabia chcąc się pomścić zniewagi, przywołał do Hiszpanii Taryka kalifa Arabów w r. 711 ery chrześcijańskiej. Rodryg wyruszył przeciw Arabom z wojskiem liczącym do 90,000. Obie armie spotkały się na płaszczynach *Xeresa de la Fronteira*, i walczyły zacięcie przez dni dziewięć. Trzeciego już dnia miał zginąć Rodryg, i nie być świadkiem upadku Gotów.

Inni historycy hiszpańscy, idąc zapewne za mylnymi wiadomościami, za podaniami małej wiary godnymi, lub też nawet za natchnieniem własnej wyobraźni, zapewniają, że Rodryg nie poległ, że się długo tułał jako wygnaniec w własnej ojczyźnie, trapiiony wyrzutami sumienia. Jedna kronika uważana za dość wiarogodną utrzymuje nawet, że Rodryg nie mogąc dłużej znieść zgryzotą nękanego życia, poszedł za radą dobrego przyjaciela pustelnika, żyjącego w bliskości miasta *Viseu*, i kazał się żywcem zakopać w towarzystwie żyjącego węża do głębokiego grobu. Brzydki płaz wiarł się w ciało nieszczęsnego króla, i tak długo je toczył, aż doszedł do środka serca, a potem zrobił sobie otwór w ziemi i wylazł nim z grobu.

Tak siebie miał ukarać Rodryg za to, że jedną swą płochością stał się przyczyną wkroczenia Maurów do swjej ojczyzny. Wy-

mierzyl sobie karę w stosunku skutków, a nie w stosunku ich przyczyny. Straszny to przykład sumiennosci! nie każdy posiada podobną: nie starczyłoby węzów.

Idźmy teraz na targ. Odbywa się on za miastem niedaleko *Campo de Viriato*, tak zwanego od obozu zdobytego na Rzymianach przez bohatera portugalskiego nazwiskiem Viriato.

Mnóstwo tu było bud i szałasów, namiotów i kiosków, domów nawet drewnianych wybudowanych na piętro i z gankami umyślnie na tę okoliczność. Wyroby kraju wystawiono w długich budach. Sukna, płótna, trzewiki z drzewa i ze skóry, kapelusze z szerokimi skrzydłami, wyroby żelazne, bawełniane, rymskie, naczynia i narzędzia gospodarskie, chleb i sery, kozie wędliny, gitary, piszczałki i kastaniety: słowem wszystko, co zaspokoić może skromne potrzeby ludu, znalazłeś tutaj w obfitości, ale żadnego artykułu przepychu.

Na wielkim wolnym placu harcowały rumaki. Było ich do sześciuset, niektóre bardzo piękne, choć nigdy nie dochodziły piętnastej miary. Muły były roslejsze, ale te kosztowały do 2000 złp. to jest trzy razy więcej niż piękny koń, zdalny pod oficera huzarów.

Kilkanaście wielkich beczek z wodą ciągnionych przez osły, wałęsało się od jednego do drugiego końca wielkiego placu, odwilżając ziemię i strącając tumany kurzawy z powietrza. To jedyny artykuł przepychu.

Mnóstwo ludu w jaskrawe barwy przybranego otaczało cyrk, na którym popisywali się hecarze na linie i bez liny, konno i pieszo: inni kręcili się około teatru kuglarskiego, inni jeszcze gapili się na scenę, na której wrzeszczały marynetki i poliszynel bił diabła w pyski.

Było niemało uciechy dla tego poczciwego ludu, który lada czém ubawić można. Co mnie zdziwiło, że pomiędzy wieśniakami, których tutaj było ze dwanaście tysięcy, żadnego nigdzie pijaka odkryć nie byłem w stanie. Musi ich nie być tedy.

Istotnie Portugalia ani Hiszpania nie byłyby rajem dla ludzi żyjących z propinacyi.

Z czegoż tedy żyje szlachta tego kraju, zapyta może nie jeden; pańszczyzna tam zniesiona, danin nigdy nie było, lud gorzałki nie pije, a podatki idą swoją drogą: to jakiś kraj dziwny ta Portugalia!

Pewno że dziwny. W nim każdy żyć musi z tego, co istotnie posiada, albo téż z tego, co sumiennie zarobi. O kubanach coś także nie słyhać tutaj.

„Ach, co to, to już utopiją pachnie; co? kubanów nie ma!” rzecze może ktoś.

Oj nie! tu nie utopiją ani uczciwości w winie, ani téż rozumu w wódce. Podczas téj rozmowy samego siebie z samym sobą, doszliśmy do sędziwego budynku z wielkimi kamiennymi schodami, dźwigającymi się własnym ciężarem. Jedyne to schody swego rodzaju w całej Portugalii. Na frontonie tego budynku następujący napis:

Collegium latinum erectum in Nomine Dei omnipotentis anno MDLXV; co nas przekonało, że to była szkoła łacińska założona przed trzystu prawie latami.

Portyk otaczający budynek, dźwigał dwa piętra galeryi, a z tych galeryj liczne drzwi prowadziły do sypialni uczniów.

Młodzież wstępuje tutaj najwcześniej po skończonym dwunastym roku, po złożeniu egzaminu z elementarnych wiadomości, tojest z czytania, pisania, arytmetyki, katechizmu, z geografii i historii, i początkowych wiadomości łacińskiego języka, z grammatyki i t. d. Kurs klasyczny w kollegium łacińskim trwa lat pięć przynajmniej, lat siedm najwięcej. Uczą podczas tych lat łaciny, greckiego i francuzkiego języka, historii, nauk przyrodzonych, matematyki, rysunków, przytém religii, retoryki i loiki. Słowem, tutaj usposabiają uczniów do wyższych nauk uniwersyteckich. Prawie wszyscy professorowie są księżmi. Rząd bardzo mało łoży na ten instytut, posiadający swe własne dobra.

Uczeń płaci za wyżywienie i ubiór, jednostajny dla wszystkich, 120 kruzad tojest 540 złp. rocznie. Rząd utrzymuje 30 stypendystów, miasto także 30, kollegium samo jeszcze 15. Za nauki, książki, papier, atrament, za pranie, liniały, ołówki, stłuczone okna, koszta korespondencyi, podarunki dla professorów, za koszta spacerów, illuzoryczne lekcyje tańców i muzyki, za placki, nie się nie płaci.

„To znowu utopija, taki zakład!” powie może ktoś; ależ bywały i u nas podobne, nim cywilizacya wyższa do nas wkroczyła.

Młodzież zdrowa, silna, wesola, porządnie choć skromnie ubrana, trochę figlarna wprawdzie, ale dobrze się uczy i na zdających ludzi wychodzi.

Professorowie bez czerwonych nosów wprawdzie, ale jednak szczęśliwi: cieszą się miłością uczniów i nigdy nie narzekają na okropność swego zawodu, na niewdzięczność uczniów i ich rodziców.

Nauczyciele i uczniowie zbierają się codziennie o godzinie 9tej w kościele, gdzie po odbyłym apelu, wszyscy razem się modlą, i już nikomu wychodzić niewolno z zakładu, ani uczniom, ani profesorom.

Kollegium to spalone przez Francuzów w r. 1811, odbudowaniem zostało przez dobrego biskupa, który tygodni temu kilka umarł w Lizbonie.

O ile mi się podobała szkoła, o tyle nabrałem wstrętu do więzienia, do którego jestem zniewolony zaprowadzić czytelnika. Ogromny gmach, w nim trzy tylko sale, dla trzech rodzajów przestępców: dla politycznych, cywilnych i kryminalnych; ale obie płcie są pomieszane. Nie było wprawdzie ani żadnej Miguelistki, ani żadnej egzaltowanej w sali politycznej, ale trzy były dłużnice razem zamknięte z dwudziestu dłużnikami, a kryminalistek było z piętnaście z trzydziestu kryminalistami.

Nie chciałbym się przyłożyć do pogorszenia losu żadnego więźnia, ale mi się zdaje, że więzienia nie są przeznaczone na rozmnażanie więźniów. Tych nigdzie nie zabraknie, w żadnym kraju, a najmniej w Portugalii, gdzie takie wrą namiętności w tej gorącej krwi południa!

Zareczano mi wprawdzie, że pan gubernator sam uznaje niestosowność podobnych styczności jednej płci z drugą; że już się buduje nowe więzienie, w którym przestępcy będą rozklassyfikowani według winy, płci i wieku. Ale dla większej połowy kryminalistek, i dla dwóch powabnych dłużniczek będzie wtenczas już zapóźno: mogłem o tém sądzić lepiej, jak ślepy o kolorach.

Wyjdźmy jak najprędzej z tego smutnego domu w którym się rozlegają śmiechy od rana do wieczora. Nie lubię patrzeć na wesołych więźniów: swoboda jest tak pięknym darem niebios, że stratę jej zawsze żałować wypada.

Oto inny zakład więcej czyniący zaszczytu miastu Viseu, oto szpital miejski. Stoi ten pyszny budynek na najwyższym miejscu miasta, zajmuje czworogran bardzo obszerny, a fronton jego jest prawdziwie okazały. Apteka i laboratorium chemiczne umieszczone na prawo od głównego wejścia w najprzykła-

dniejszym znajdują się porządku. Dwóch subjektów i trzech pomocników w ciągłej tu są pracy.

Nieboszczyków z każdego piętra spuszczaają osobnym otworem przez wszystkie piętra, idącym do suterenu, gdzie umieszczona jest sala anatomiczna i szereg salek, w których leżą nieboszczyki po jednym, dopóki się znaki zgnilizny nie pokażą. Osobni są ludzie do pilnowania tych suterenu; każdy trup ma na każdym palcu pierścień komunikujący z bardzo czułymi dzwonkami, a zegar na korytarzu jest opatrzony silnym budzicielem, zrywającym się do nieznośnego hałasu, jeśli go na warcie będący stróż co kwadrans nie poruszy. Takim sposobem dokładnie kontrolować można pilnujących stróżów.

Szpital ten istnieje od sześciu lat zaledwie. W tym czasie umarło w nim 893 osób, ale żadnego w nim jeszcze nie było przypadku letargu, tak, że stróże, infirmary, siostry miłosierdzia, nawet chirurzy nie wierzą w istność pozorną śmierci. Lekarze jednakże tutejsi wierzą w letarg, i dobrze robią, że bliźnich swych zabezpieczają od możliwości okropnych męczarni. Każdy lekarz znający prawa fizjologii wierzyć powinien, że funkcje życia mogą być w jestestwie organicznym do tego stopnia zawieszane, że śladów ich istności zmysły nasze odkryć nie są w stanie, a uciekać się do wstrząśnień bardzo silnych, w celu przekonania się, czy pozostaje jeszcze w człowieku iskierka życia, jest to samo, co je przygasić odrazu.

Czystość w salach mężczyzn pozostawia cośkolwiek do życzenia, pomimo obszerności tych sal; ale w salach kobiecych, choć szcuplejszych, wszystko było w największym porządku: firanki od łóżek bieluteńkie, ołtarze wznoszące się w końcu każdej sali tak pięknymi i świeżymi kwiatami przystrojone!

Kobięta choć chora, choć umierająca, wie do czego była stworzoną: do upiększenia tego świata, na którym najmłodszy, najmłodszy i najstarszy mężczyzna nie znajdzie bez niej ani szczęścia, ani przyjemności.

Przytém siostry miłosierdzia pilnują porządku w salach kobiet, a nie jawią się nigdy na salach mężczyzn. Portugalki mniej są śmiałe jak Francuzki. Portugalska siostra miłosierdzia obawia się chorego mężczyzny, Francuzka i zdrowego się nie zleknie; czerpie zapewne odwagę w świętości swego powołania.

Wygodne wschody prowadzą aż na wysoki dach szpitala. Ztąd widok przepyszny na góry Estrelli, Caramula, Marao i Douro. Gmach ten panuje swym ogromem i wyniosłością nad całą okolicą, ujrzyć go można z najodleglejszych wiosek. Biedny wieśniak trapiiony chorobą, zdaleka patrzeć może na przytułek, w którym wszystko co tylko dobroć i umiejętność ludzka dokazać mogą będzie na jego zawołanie, skoro tylko zechce do niego się udać.

Liczba, wielkość i położenie szpitalów przemawiają więcej jak każde inne pochwały za narodem portugalskim. W czémże się lepiej objawia wartość ludzka, jeśli nie we względach mianych dla bliźniego w nieszczęściu? Cywilizacya wybujała kosztem serca, nie jest cywilizacyą; mieć ona może powierzchownego turystę, lecz człowieka podróżującego dla ocenienia swych bliźnich, nie ułudzi nigdy.

W powrocie przez najstarsze ulice miasta przechodziliśmy około kilku gotyckich i maurytańskich budowli. W jednej z wież czworograniastych urodził się, według podań ludu, Edward Iszy król portugalski. Wielką część domów teraźniejszych zbudowano na sklepieniach starożytnych zamków, a dawne mury miasta służą za ściany nowożytnym budowlom.

Widzieliśmy i owe ciasne wrota, o które sobie Alfons Henriques król Portugalii wypadając konno na Maurów, tak silnie stłukł udo, że potem w skutek tego wypadku umarł.

Dwie także pozostały rzymskie wieże, szczątki owéj groźnéj cytadeli, którą wystawić kazał konsul Deciusz Juniusz Brutus.

Powróciwszy jeszcze raz na plac targu, aby się pożegnać z naszym dobrym przeorem, który tymczasem przedzę swą sprzedał, i za to nakupił lekarstw dla swéj trzody, zwiedziliśmy dawny obóz rzymski, *Campo do Viriato*. Jeszcze stoi wysoki tak dawno usypany wał, jeszcze wodą zalany głęboki rów. Szczyt wału osadzono pięknymi drzewami, i teraz służy za miejsce przechadzki mieszkańcom. Obwód całego obozu przechodzi ćwierć mili, a szaniec przerwany jest czterema bramami, z których jedna nosi nazwisko konsula zabitego przez wojsko Viriata.

Powracamy znużeni do hotelu. Tu nas czekają Anglicy z obiadem, i z prośbą, żebyśmy im odstąpili naszego przewodnika Senhora José. Pokochali się w nim wyspiarze dlatego, że był oryginałem, i że, jak się pokazało później, wcale za kołnierza nie wylewał; z czego jednakże nam nie dał się poznać.

Ofiarowali nam nawet dwa funty i 10 szylingów odstępnego za Senhora José. Anglik przyzwyczaił się okupywać sobie wszystkie grzeczności, dlatego, że sam nikomu z dobrego serca grzeczności nie wyświadczy.

— Nie chcemy waszych pieniędzy, dumne syny Merkurego, ale powiedźcie, kto nas zawiedzie do Oporto?—pytaliśmy się.

— Oto przewodnik, który nas właśnie przyprowadził z tego miasta, i który zakupiwszy jakichś towarów na targu, rad wrócić do Oporto: wprawdzie nie najkrótszą drogą, bo ta bardzo jest niepewną z przyczyny bandytów, ale cokolwiek na lewo przez miasteczko zwane Tendella, zkąd prowadzi do Oporto główny trakt z Koimbry—odpowiedzieli Anglicy.

— I cóż ty Senhor José, zgadzasz się na to, chcesz nas opuścić?—zapytaliśmy naszego mentora.

— Za nic w świecie nie opuściłbym panów: aż do śmierci chciałybym z nimi podróżować; ale ci Anglicy ofiarowali mi prawie trzy razy więcej jak panowie płacą; wiem, że nie chcielibyście robić krzywdy biednemu ojcu rodziny, tak szlachetne macie serce.... Boże wielki!.... tedy.... tedy....

— Dobrze, dobrze stary szczupaku. A ręczysz za twym następcą, zna on drogi?

— Jak za siebie samego, przysięgam na mój lūzytański honor. Drogi zna jak gdyby je sam był sypał; przytém nie zedrże panów, będziecie mu płacić tyle, ileście mnie płacili, to jest 3 kruzady dziennie. Ale panowie raczą mi dać świadectwo, że m ich zdrowych przyprowadził aż dotąd; bez niego nie ważę się pokazać ojcu Anzelmowi—zareczął José.

— Będiesz miał świadectwo i list z pieniędzmi do ojca Anzelma—odpowié kapitan.—Odpowiedzi będę czekał w Oporto na ten list. Piszę w interesie Joakimcina; spodziewam się, że łba nie skrećisz listowi.

— *Ah sante Maria purissima, Senhor capitan*, wołałbym leć skrećić najzdrowszemu człowiekowi, jak listowi bronić się nieumiejącemu. Gwałćić tajemnicę listu! a przecież za to wieszają w porządném towarzystwie!

— I bardzo dobrze robią—rzecze kapitan.

— I bardzo cnotliwie i chwalebnie robią—odrzecze Senhor José.

Następuje obiad, potem korespondencya, nakoniec rachunki i wyruszenie w pochód.

Spaliśmy na naszych mułach, nękał nas upał i jednostajność kraju.

Wieczorem przybywamy do Tendella, miasteczka leżącego o półczwartej mili od Visen. Stajemy w jedyniej oberży tak napelnionej, że niesposób dostać miejsca; z trudnością i za dobre pieniądze wyzebraliśmy sobie kilka snopów kukurydzy, kilka wiązek drzewa i butelkę wina. Nasz przewodnik taki gamoń, że nam do niczego pomódz nie mógł. Uczuliśmy boleśnie stratę Senhora José, który sobie wszędzie umiał dać powagę.

Oberża, jeśli się godzi tak nazwać rodzaj niezmiernego szalasu, podzielonego z jednej strony na szczupłe klatki, a zawierającego z drugiej niekształtny komin, pod którym palił się wielki ogień na ziemi; oberża mówię zajętą była w całości przez rodzinę jakiegoś *fidalga*, który ciągnął z całym taborem, z koczem, karetą, 4 furgonami i wozami do Oporto. Miał z sobą gwardyą przyboyczną, złożoną z pastuchów, owczarzy, ratai, fernali, kuchtów, lokai i strzelców, słowem, z całej służby wiejskiej.

Było ich przeszło trzydziestu, a mułów i koni do sześćdziesięciu, a wszyscy byli pod rozkazami dwóch młodzieńców, z których jeden wyglądał jak katastrofa, a drugi jak farsa. Ten drugi tkwił w mundurze oficera gwardyi narodowej i uzbrojonym był od stóp do głów jak arsenał.

Pomimo tych zbytnich ostrożności, *fidalgo* lękał się bardzo widocznie przeprawy przez pasmo gór przed nami stojące. Zastraszające wieści o rozbojach i ruchach geryłasów dochodziły co chwila.

Fidalgo wysłał więc intendenta swego do poblizkiego miasta z prośbą o eskortę wojskową, i opatrzył go potrzebnymi papierami; nie każdemu bowiem wolno domagać się eskorty wojskowej, nawet za pieniądze.

Nie znalazłszy nigdzie miejsca pod szalasem, zapaliliśmy mały ogień, rozestali słomę i położyli się pod gościnnem choć gołuteńkiem niebem, nie wypuszczając z rąk naszych broni.

Widoczném było, żeśmy nie mieli szczęścia podobać się ani *fidalgowi*, ani jego rodzinie, ani walecznemu hufcowi sług dworskich. Obchodzono nas wokoło, patrzano na nas z ukosa. Ten i ów pozwolił sobie nawet groźnie na nas spojrzeć; nikt nie jest bezwstydniejszym jak tchórz, kiedy się czuje popartym.

Dziwne było nasze położenie; piérwszy raz doświadczyliśmy w Portugalii podobnej nienufności, niechęci i niegrzeczności.

— Dobrze ci tak, spieszyłeś się do twych gór jak do jakiego raj, trzeba było zanoćować w Viseu, i puścić się jutro do Oporto z kupcami, którzy do tego miasta wracają—mówili mi towarzysze podróży.

Nareszcie tętent koni oznajmia nam, że eskorta wojskowa niedaleko.

— Bogu dzięki—rzeknę—w każdym wojskowym jest więcej serca, jak w tych chytrych fidalgach i tych głupich ciurach.

— Kto idzie?—krzyknie ciura, którego postawili z rusznicą w ręku na warcie.

Nie powtórzę, co dragoni odpowiedzieli ciurze: coś bardzo je-drnego, kurdygardą pachnącego.

— *Tant mieux*—powie śmiejąc się kapitan T. K.—*les ennemis de nos ennemis, seront nos amis.*

Zbliża się hufiec dragonów: dwunastu żołnierzy i oficer. Tęgie wiarusy na rączych choć niewielkich koniach. Czerwone buńczuki powiewają na wysokich czarnych kaszkietach, żółte wyłogi, rabaty, lampasy i wypustki dobrze odbijają na tabaczkowym tle mundurów, i na czerwonych, skórą podbitych szarawarach.

Stają, zsiadają, czaty rozstawiają, ogień zapalają, biwakują.

Oficer miał lat przeszło 30: średniego wzrostu, pięknie zbudowany, brunet, opalony, z bystrém i roztroprnym okiem; w każdym ruchu, w każdym wyrazie marsowej a bardzo przyjemnej twarzy wyjawiał, że był żołnierzem z serca, nieubłaganym, kiedy pełnił swą powinność, walecznym zawsze, honorowym wszędzie.

Fidalgo wziął go na bok i długo mu coś przedstawiał, wskazując na nas ukradkiem. Wkrótce potem oficer przybył do nas, uklonił się bardzo grzecznie, ale prosił węzłowatą mową o nasze paszporta.

— Panowie wiecie, że w braku zandarmeryi, my dragoni pełnić musimy jej służbę—powiedział.

Przeczytał najprzód mu wręczony paszport kapitana T. K. z wielką uwagą sprawdzając rysopis o ile się dało na oko. „Wszystko w największym porządku, panie kapitanie“ rzekł salutując po wojskowemu i zwrócił paszport.

Taż sama procedura z doktorem L.

Teraz na mnie kolej przyszła. „A więc pan musisz znać kapitana Michałowskiego w Lizbonie?“ spytał oficer dragonów spojrzawszy w mój paszport.

— Od bardzo dawna go znam, to mój kolega i przyjaciel. Oto jeszcze mappa Portugalii, którą mi podarował na wyjeździe — rzekłem.

— Znam doskonale tę mapę: nie odstępowała go ona ani na chwilę podczas całej kampanii. Kapitan Michałowski był moim zwierzchnikiem, potem moim kolegą, przyjacielem i więcej jak to — moim dobroczyńcą. Jemu jestem winien mą wolność, a zapewne i życie. A że przyjaciele moich przyjaciół są zawsze memi przyjaciółmi, więc niech mi panowie pozwolą przedstawić im się. Jestem don Ramon das Alveyras kapitan trzeciego pułku dragonów, i zapraszam się tutaj do panów na pogadankę i na nocleg. Ale panowie, tu i chłodno i głodno i twardo, i wina także nie widzę.

— Nie mogliśmy nic wykołatać od gospodarza, nawet za wielkie pieniądze; utrzymuje, że mu podróżni całą spiżarnią zjedli i wypili — odpowiedź p. T. K.

— Sprawdźmy to natychmiast — rzecze don Ramon. — Wachmistrzu Barbastro! proszę tutaj.

Idzie wachmistrz Barbastro: stary, pod bronią osiwiwały wiarus, podobny do swego własnego nazwiska, jak jedna kropla wody do drugiej.

— Wachmistrzu! weź te cztery kruzady i tyleż żołnierzy, idź do gargotnika i proś go, żeby mi był łaskaw przysłać tyle owoców suchych, tyle chleba i wina, ile wystarczy przez godzinę na cztery dobre apetyty; przytém tyle drzewa, ile się spali na jednym stosie podczas nocy, tyle słomy, ile trzeba na cztery posłania. Gdyby przypadkiem gargotnik skrobał się w głowę, lub robił trudności, spytaj go tylko pocichu, czy sobie przypomina owego cygana z obciętemi uszami, co go nazywali Marialva. Ho! ho! znam ja sposób na tego łotra. Idź wachmistrzu i spraw mi się dobrze, a żołnierzom każ zdjąć kaszkiety, obwiązać głowy chustkami i przywdziać płaszcze, żeby ich rozpoznać nie można zdaleka od wieśniaków. Bandy ci mogą tu kręcić się nieopodal podczas nocy, wziąć na cel jakiego żołnierza i zabić go lub ranić, jak to nieraz robią.

Prośba kapitana czarodziejski wywarła wpływ na gospodarza Venty, ale dopiero po wymienieniu nazwiska Marialvy. Przy niesiono nam podostatkiem wszystkich do rozgrzania ciała i duszy potrzebnych żywiołów.

Położenie nasze znacznie się poprawiło i wkrótce w najlepszej byliśmy zażyłości z kolegą portugalskim. Widząc to zda-

leka nasz fidalgo, zbliżył się ku nam prosząc don Ramona w ceremonialnych słowach, by go raczył przedstawić miłemu towarzystwu, to jest nam.

Byłto człowiek wysoki, około pięćdziesiąt lat mający, lecz silny, żyłasty. Włosy miał siwe, ale na czarno farbowane i najeżone, nos zgięty jak u krogulca, i oczy także krogulecze zacząjone i śledzące, cerę śniado-żółtawą, zmarszczki arystokratyczne, to jest pociągłe, głębokie, ale regularne, przytém stereotypowy szycerczy uśmiech siedział około ust jego wązkich i wciągniętych, a broda śpiczasta wystająca, wyrażała nieugiętą siłę woli.

Widocznie się starał oczarować nas, odurzyć rozmową swą encyklopedyczną, godnie lekką, dowcipnie uczoną. Znał się na wszystkim, o swój własnej ojczyźnie mówił z pewną chrześcijańską litością: „Pomimo najszczerzego patryotyzmu, trudno w niej wyżyć, nie odświeżając sobie od czasu do czasu zatęchłych myśli w wielkim europejskim świecie.”

Tacy ludzie ojczyzny nie mają, wiemy o tém.

Ztémwszystkiém nie przebłagał nas pan baron swoją porywającą rozmową. Mielśmy ciągle na sercu pamięć jego przeszłego nieufnego obejścia się. Niedługo téż popasał z nami. Ofiarowawszy nam na dalszą podróż protekcją swój prywatnej i wojсковój eskorty, życzył nam bardzo ceremonialnie dobrej nocy, i poszedł sobie precz.

— Coś panów nie podbił don Joao swą grzecznością? — spytał się kapitan das Alveyras.

— Ah bah! czy nas kapitanie liczysz do rzędu owych dobrodusznych ludzi, których jedna dostojna grzeczność tak oczaruje, że natychmiast głowę tracą? Zresztą, sam wyznasz, że w całym ustroju barona, w jego oczach, ustach, minach i słowach wiele się ma luje nieszczerości, chytrości nawet. Trudno pokochać go odrazu bardzo szalenie. Może zapędko o nim wyrokujemy, może on być tak dobrym z serca, jak niezawodnie jest honorowym; ale z pierwszego wejrzenia nic nie przemawia na jego korzyść — mówił pan T. K.

— Ha, ha, ha, dobrym? honorowym? on — przemówi kapitan das Alveyras gorzko się śmiejąc i głos swój tłumiąc — Ha! ha! żebyście panowie wiedzieli, jaką okropną rolę odegrał nasz Fidalgo podczas ostatnich wojennych wypadków, żebyście wiedzieli, co on tam wywozi z kraju w owych zewsząd pozamykanych, pilnie strzeżonych furgonach! dopięrobyście polubili go szalenie.

— Opowiedz kapitanie, zlituj się, opowiedz.

— Chętnie, ale nie dzisiaj, bo to długa historia, a północ niedaleko, nam zaś trzeba wypocząć. Jutro wyruszamy równo ze świtem, będziemy mieli dosyć sposobności mówienia z sobą, gdyż i ja nie łaknę towarzystwa pana barona. Ale panowie, broń opatrzcie doskonale, zdać się ona może każdej chwili. Chcecie wiedzieć dlaczego? Oto nasz don Joao był kilka lat temu przewódcą tych samych bandytów, których dziś tak się obawia. Sam ich wyćwiczył w rzemieśle zrad, zasadzek i okrucieństw, nie myśląc, żeby sam na siebie bicz kręcił. Ale niech wam ta wiadomość snu nie odbiera; jesteście pod protekcją don Ramona i dwunastu dragonów królowej Maryi de Gloria. Dobra noc!

I to mówiąc nasz komendant otulił się w wielki płaszcz brunatny i legł na snopie kukurydzy; a ja naśmiawszy się cokolwiek z miny bladłej i rozstrojonej doktora L., poszedłem za przykładem don Ramona i usnąłem natychmiast.

* * *

Budzą mnie, choć dopiero świta. Ha! niech was!... Ale już wszystko do pochodu przygotowane, nawet nasze śniadanie, dzięki staraniom don Ramona, który się po koleżeńsku nami opiekuje.

Karawana rusza z miejsca. Strzeżoną była jak gdyby z sobą prowadziła skarby całych Indyj przez puszcze Arabii.

Bohaterski synowiec barona, ów młokos tkwiący w mundurze oficera gwardyi narodowej, jechał na czele: goły pałasz dzierzył w dłoni, pistolety miał w olstrach, i za pasem wraz z puginałem i flaszeczkę trucizny, dubeltówkę przewieszoną na ramieniu, karabinek przytwierdzony do siodła. Istna karykatura!

Za nim idzie sześciu chłopów w jednym szeregu z rusznicami na ramieniu, z toporkami przy boku.

Teraz toczy się koczyc zaprzężony czterema końmi, a w koczycy pan baron w własnej osobie, otoczony bronią palną różnych rozmiarów i wieków, pistoletami, szturmakami, gardłaczami; jest i dubeltówka, śmigownica, karabin i sztuciec.

Obok koczycy czterech uzbrojonych fagasów, a za nim wielka karéta ośmiu mułami zaprzężona, karéta zewsząd otoczona firankami i uzbrojonemi wieśniakami.

Kto w tej karecie? nie wiem; żaden z niej głos, żaden szmer nie wychodzi.

Teraz idą cztery furgony woskowaném płótnem pokryte, przy każdym dwóch zbrojnych.

Za furgonami tyleż powózek dwukonnych ze skrzynkami i pakami, także strzeżonych.

W tylnej straży, na czele sześciu zbrojnych jechał na bardzo pięknym koniu, ponury i posepny syn fidalga. Za ledwie dwadzieścia dwa lat mógł liczyć, ale w rysach jego pięknych i szlache-tnych było coś tak smutnego, a zarazem nieugiętego, że zapomnieć nie było można tej twarzy.

Ani słowa, wyglądał jak tragiczna katastrofa.

Dragoni na dzielnych, lekkich koniach galopowali około karawany we wszystkich kierunkach; zsiadali często z konia i z karabinem, bagnetem opatrzonym, drapali się na skały, by wystraszyć gerylasów mogących się znajdować w zasadzce.

Dobry to wcale żołnierz, tylko go niewiele posiada Portugalia.

My z komendantem eskorty jechaliśmy raz przed przednią strażą, drugi raz za tylną, jak nam było najwygodniej.

Kapitan das Alveyras znał każdą piędź zagrożonego gruntu, o każdej dolince, o każdym klombie sosien umiał opowiedzieć legendę.

Pnącą się po skałach, spadzistą, lecz zresztą dobrze utrzymaną szeroką drogą, wdrapaliśmy się na szczyt dość wysokiego wzgórza. Niedaleko drogi rosły trzy wysokie sosny, dalej zaś na prawo pięł się w górę po skałach i przepaściach las okazały. Pół mili za tém wzgórzem wznosiło się inne podobne i podobnemiz drzewami uwieńczone, a na prawo zawsze ten sam ciągnął się las, zawsze też same przepaści, jaskinie i kryjówki.

Oba te wzgórza panowały nad daleką przestrzenią drogi snującej się po grzbiecie góry w jedną i drugą stronę pasma. Każdy podróżny już zdaleka mógł być spostrzeżonym z wierzchołka sosien.

Mówił nam don Ramon, że te szczyty były ulubioném stanowiskiem nielicznej, ale bardzo przemyślniej bandy rabusiów. Było ich za ledwie dziewięciu, ale wszyscy doskonale dobrani, doskonale strzelający i wyśmienicie konno jeżdżący. Panowali tu blisko dwóch lat, popełnili czternaście zabójstw, kilkanaście ładnych kobiet z sobą uprowadzili, i do trzechset ludzi obdarli z mienia.

Konie ich zawsze osiodlane i okietznane stały w krzakach pod sosnami, a dwóch szpiegów, jeden na każde wzgórze, czatowało na szczycie sosien, i podawało sobie za pomocą zwierciadeł odbijających promienie słońca, sygnały.

Dopiero zbliżka napadali na swe ofiary, krzycząc: *rendete picaro!* poddaj się łajdakowi! Rozbijali, kradli i uprowadzali w lasy kobiety, kiedy były piękne, a mężczyzn, kiedysię spodziewali drogiego wykupu.

Stałem wówczas garnizonem w Oporto—mówił dalej don Ramon—i wszystkich użyłem starań i fortelów, żeby zbrodniarzy wylapać i kraj oswobodzić z tak wielkiej klęski. Ale wszystko na próżno. Bandyty u nas wszędzie mają swych przyjaciół, którzy ich ostrzegają o ruchach wojska. Przecież mi się udało dopiąć zamierzonego celu, i to dziwnym przypadkiem. Bawił u nas w Oporto znany w całym świecie jako oryginał lord Waterf..., Anglik zadający sobie nieskończoną pracę, żeby się wszędzie wstawić excentrycznością. Pił niesłychanie i często zapadał na podagrę, co mu bynajmniej nie przeszkadzało włóczyć się po wszystkich kątach, nie konno wprawdzie ani też w powozie, lecz w lektyce, do której noszenia przyjął do swjej służby cztery sfory łapserdaków w Oporto. Razu jednego trapiiony więcej jak zazwyczaj podagrą, powziął myśl szaloną puszczania się lektyką z Oporto do Koimbrzy dla zasiągnięcia od profesorów fakultetu rady lekarskiej. Dowiedziałem się o téj podróży i zaraz plan mój zrobiłem. Nocą, pokryjomu puściłem się z Oporto w pogoń za mylordem, z poczem dość mocnym. Dogałem go na ostatniej stacyi, poprzedzającej to pasmo gór ze strony miasta Oporto, to jest w miasteczku Paos, i właśnie w chwili, kiedy się mylord miał puszcząć w podróż, napadłem na lektykarzy i kazałem ich związać.

Mylord pomimo przybranėj flegmy bardzo się zadziwił i spytał mi się, czemu robię te rozboje: „Uspokój się *Senhor milordo*, odpowiedziałem mu, daję ci sposobność wyświadczenia światu wielkiej usługi; pozwól tylko, żeby moi ludzie przebrali się za lektykarzy i ponieśli cię w dalszą podróż, a mnie pozwól przebrać się za twego *grooma* i siąść na twego konia. Wiem, że na ciebie czekają bandyci, że cię złowić myślą, bo z twemi lektykarzami są w zмовie. Podaję ci sposób, o *Senhor milordo* zrobić to z bandytami, co bandyci umyślili zrobić z tobą.

Trudno sobie wystawić radość mylorda. Na wszystko przystał najchętniej, tylko prosił, żeby mu wolno było zabrać z sobą na tę ekspedycyą swego *grooma* przebranego za lektykarza, na co chętnie zezwoliłem, wiedząc, że Anglik nigdy nie stchórzy.

Ale tu inna rzecz zachodziła. Zaręczyłem Anglikowi, że lektykarze byli w zмовie z bandytami, ale powiedziałem to na chybił

trafił, mając tylko moralne przekonanie, a tu mi chodziło o pewność. Kazałem ich tedy przyprowadzić wszystkich do osobnego pokoju i w ten sposób do nich z serca przemówiłem: „Słuchajcie, szelmy! wiem, że światu tylko zdradą służyć możecie: zdradę kupuje się pieniędzmi, a oto pieniądze! Przyznajcie się, wiem, że jesteście w zmowie z bandytami, wydajcie tajemnicę, a te pieniądze wasze; upierajcie się, a stryczek.” Takim argumentem wymogłem na poczciwcach wyznanie, że bandyci wiedzą o przybyciu mylorda, że jeden z lektykarzy miał im dać znać upuszczeniem płaszcza, że *wszystko dobrze*, nakoniec, że wszyscy lektykarze mieli uciec z placu w chwili, kiedy bandyci napadną na lektykę.

Moi ludzie i *groom* przebiorają się za lektykarzy, a ja za *grooma*. Poświęciłem na to me ukochane wąsy, ale co człowiek nie zrobi dla honoru? Perukę przywdziałem ryżą, a minią twarz uróżowałem, aby mieć minę pijanego, i żeby się niczém nie różnić od syna Albionu. Broni palnej nabitęj podostatkiem umieściłem w lektyce mylorda, każdy z mych ludzi miał przytém pod płaszczem ogromny gardłacz, nabity garścią siekańcu, a zaraz na początku sceny kazałem kilku za chłopów przebranych dragonom pilnować drogi i nie dopuszczać żadnej wiadomości do bandytów.

Wszystko się stało jak przewidywałem. Znak umówiony dał jeden z mych ludzi upuszczeniem płaszcza. Ja się chwiałem na koniu, aby udać pijanego. Uderzają na nas bandyci. Lektykarze nibyto uciekają, ale wydobywszy gardłaczów, palnęli z nich rabusiom w oczy. Mylord strzela jak Apollo. Jeden tylko rabus ucieka; ja puszczam się za nim na angielskim koniu mylorda, i strzałem pistoletu powalam go na ziemię. Wszyscy mniej więcej ranni, ale dwóch straciło oczy, a jeden pachwinę miał przesyta kulą.

— A cóż myślisz robić z temi poczciwemi ludźmi? — pyta mylord wskazując na tarzających się w piasku rannych bandytów.

— Odstawić ich do Oporto, mylordzie! — odpowiedziałem.

— A kto ich sądzić będzie? sąd wojenny, czy też kryminalny? — pyta znowu Anglik.

— Sąd kryminalny sądzić ich będzie; sąd wojenny ustał razem z stanem obłączenia lat temu kilka — odpowiadam.

— Nie! ja tego nie chcę, ja na to nigdy nie pozwolę, ja chcę mieć satysfakcyą za moje trudy — krzyknął mylord jak opętany. — Alboż ja nie znam waszych sędziów kryminalnych? Oni bandytę nigdy nie ukarzą śmiercią, z bojaźni, żeby ich koledzy na

nich się nie mścili. Słuchaj, panie oficerze, chodźmy pod owe sosny, na owe ulubione stanowisko tych łotrów, ja wam opowiem zabawną powiastkę.

Myślałem, że to będzie jakieś nowe dziwactwo Anglika, i przenieść kazałem cały mój tabor pod owe sosny, a mylord nie wysiadając z lekyki postawionej na ziemię, opowiedział nam w swym dziwnym sposobie następującą historyjkę, której pilnie przysłuchiwali się i dragoni i bandyci.

„ Było temu lat dziesięć. Bogaty jeden Anglik podróżował w charakterze dyplomatycznym we Włoszech, z Sienny do Rzymu, i został napadniętym przez bandytów już koło wieczora. Bronił się Anglik wraz z swemi służącymi tak walecznie, że bandyci ustąpić musieli. Anglicy poszli za niemi w pogoń. Tymczasem drugi oddział bandy przypadł do koczka, w którym prócz tych łotrów pocztionów papieżkich żaden nie pozostał mężczyzna; wyciągnął z koczka najstarszą córkę milorda Dan.... i wprowadził ją ze sobą.

Córka ta, cud piękności ubóstwiany przez całą Anglię, miała lat siedmnaście, i słyęła ze swój dobroci i ukształcenia tyle, ile ze swój urody. Była to jedna z owych miłych córek nieba, które się tylko w Anglii rodzą.

Mylord wraca do pojazdu i zastaje swą żonę i swe dzieci w rozpacz; zdaleka zoczył swą córkę omdlałą w rękach bandytów.

Wyprzęga konia, puszcza się za bandytami, ale skały i lasy tamują mu drogę. Jedzie więc dalej do Rzymu, całą wzrusza policją, wszystkich wysyła dragonów papieżkich, sam przewodniczy wyprawie. Wszystko napróżno.

Nareszcie nadchodzi do mylorda list, podpisany strasznym na całe Włochy nazwiskiem Barbone; list, w którym ten zbrodniarz upewnia zmarłego ojca, że córka jego będzie mu wydana nie-
tkniętą, jeśli za dni najdalej cztery złoży w oznaczonym miejscu sto tysięcy funtów szterlingów; inaczéj niech się spodziewa najgorszego rozwiązania rzeczy.

Nieszczęsny ojciec nie mógł zebrać w całym Rzymie téj ogromnej summy; zresztą tyle zaufał powziętym środkom, że nie chciał nawet wejść w układy z bandytami. Myślał, że prawo tryumfować musi w Rzymie, tak jak w Anglii. Nieszczęsne zaślepienie!...

Minął czas oznaczony, pieniędzy nie złożono, śladu bandytów nie znaleziono nigdzie. Jednego poranku poczta składa w hotelu ambassady angielskiej pudło jakieś adresowane do mylorda.

Co było w tém pudle?—Błada, krwią zboczona głowa pięknej Miss Clarissy, przytém list Barbonego, w którym ten potwór pisze mylordowi, że córka jego nie będąc wykupioną przez ojca, przeznaczoną została na najhianiebniejszy użytek całej bandzie, że skończyła nasyciwszy rajską rozkoszą siedemnastu łotrów, że sobie wyprosiła przed śmiercią, żeby jej głowę przesłano rodzinie.

Tak się okropnie skończyła ta tragedia, mówił dalej mylord, i tężą łza błysła w jego stoickim oku. We dwa lata potem schwytano Barbonego i na śmierć go skazano; ale zoczyńca tak dobrze umiał udać skrucę i poprawę, że księza zbudowani jego bogobojnością za nim się wstawili. Ułaskawiono więc tego ludożercę, który paręset swych bliźnich wymordował. Ułaskawiono go na wieczne więzienie. Barbone został wkrótce potem dozorcą innych więźniów: do tego stopnia umiał durzyć władze swą pozorną poprawą. Nareszcie jednej nocy uciekł z twierdzy Civitavecchia i niedługo potem znów całe Włochy zadrziały odgłosem jego okrucieństw.

Drugi jeszcze raz schwytano zoczyńcę, i drugi raz potrafił ująć z kajdan. Dziś jeszcze jest postrachem wszystkich podróżnych.”

Mylord zamyślił się na chwilę; widać było, że walczył sam z sobą, nareszcie rzekł:

„Panowie, wszyscy tu przytomni! Nieszczęsna Miss Clarissa była moją narzeczoną! Teraz osądźcie sami, czy ja przystać mogę na to, żeby ukaranie bandytów powierzano podobnym sądom?”

Tak skończył mylord swe opowiadanie, i spojrzał kolejno na nas i na bandytów. Dragoni wlepili pytające oczy we mnie, bandyci głowy spuścili. Skinąłem. W minutę pięciu bandytów drgało w śmiertelnych konwulsjach na owych gałęziach. Sami uznali sprawiedliwość wyroku; żadnego nie stawili oporu, żadnego nie wydali jęku. Oszczędziłem obu oślepionych i w pachwinę postrzelonego. Oddałem ich sądom. Wszyscy trzej już na wolnej są stopie, ale kalectwo czyni ich mniej szkodliwemi.

Duchowieństwo dowiedziawszy się, że własnym *mym motu proprio* bez absolucyi wyprawił na tamten świat pięciu złoczyńców w stanie grzechu, domagało się kary dla mnie. „Jakto? już nie świętego nie pozostanie na tej ziemi? już i po duszę ludzką sięgać będzie zuchwały rozbestwiony żołnierz?” wołali z ambony nasi księża. „Zabij ciało, ale ratuj duszę, bo ona wieczną! Targać się na nią, jestto wkraczać w najświętsze prawa Boga, jestto popełnić wieczne, niczem odkupić się niedające zbrojstwo. Niech będzie wyklętym potwór, który nie ma litości nad duszą swego bliźniego; niech go wieczna na tamtym świecie ściga kara, jeśli tu, w tym nieszczęsnym Boga się wyrzekającym kraju, nie masz kary na podobnego zbrodniarza”.

Tak gromili księża i już się zabierano do obłożenia mnie klątwą kościoła, kiedy nasz rząd z obawy, żeby sprawa zadaleko nie zaszła, kazał mnie więzić i w kajdany okuć. Tak tedy własną osobą przyplaciłem usługę wyświadczoną ludzkości. W kilka miesięcy uspokoiły się przeciw umysłom żarliwych obrońców praw Boga. Wypuszczono mnie z więzienia, ale przeniesiono do nędznego miasteczka, do Sabugozy, gdzie lepszych czekając czasów wegetuję jak krzew aloesu. Bandytów jednakże ścigam więcej niż kiedykolwiek, rzadko kiedy biorę ich do niewoli, chyba tylko bardzo ciężko rannych. Innych każę ubijać w miejscu, żebym ich wieszać nie miał ochoty.

— A lord Waterf....? jak się z nim rozstałeś kapitanie? — zapytałem.

— Jak najlepiej. Widząc z jaką miłą ochotą moi ludzie wieszali rabusiów, rozczulił się prawie do łez i przysięgał, że nigdy w swym życiu nie widział takich *fashionable and sentimental Dragoons*. Każdemu dał po uncyi złota. Mnie zaś chciał obdarzyć swym angielskim koniem, alem tego nie przyjął, mówiąc, że taki dar byłby uważanym jako cena krwi bandytów. Ofiarował mi tedy swą przyjaźń, i tę nie wzdragałem się przyjąć. W Koimbrze niemało narobił dziwactw wespół z akademikami, których tak rozbalamucił, że go rektor nareszcie musiał prosić, żeby sobie wyjechał. Nie wiem gdzie się teraz obraca.

To wszystko opowiedział nam don Ramon nie w jednym ciągu, lecz w częstych przestankach. Nieraz bowiem badał podróżnych, których spotykaliśmy, nieraz sprawdzał rysopisy, areztował nawet dwóch wieśniaków, którzy mu się wydawali być podejrzaniem.

Raz nawet ścigał na swym bystrym koniu człowieka zajązzonego za krzakami, a którego pies pana T. K. wytropił. Człowiek ten nie miał przy sobie żadnego innego paszportu, jak puginał i parę dubeltowych krucic, przytém krzyżował się w odpowiedziach. Baron zaręczał, że go zna jako wielkiego łotra. Związano mu więc ręce, i uprowadzono go ku Oporto.

Z temi ludźmi nie można być dość ostrożnym. Znają wszystkie drogi, ścieżki, przesmyki, bagna, jaskinie, lasy i góry; posługują się wszystkimi wieśniakami, z natury zawsze lękliwymi i do służenia bandytom gotowymi; przytém strzelają nadzwyczajnie celnie, umieją udawać krzyki i wycia wszystkich zwierząt; przed własném sumieniem zasłaniają się częstém spowiadaniem, słowem ufają w bezkarność na tym i na tamtym świecie. Dlatego téż wielu awanturników w naszym kraju bierze się do rzemiosła bandytów, tak jak inny do rzemiosła szulerów, prosto aby się zabawić dobrze kosztem życia, niewinności i pieniędzy swych bliźnich.

— Kapitanie! opowiedziałeś nam wyborną historią o bandytach i o mylordzie. Ulysses nie byłby ją opowiedział lepiej, i tém nam jeszcze zaostrzyłeś ciekawość na historią naszego fidalga. Prosimy cię, nie trzymaj naszej ciekawości dłużej na torturach, i opowiedz, kto jest ten zagadkowy szlachcic z krogulczemi oczyma.

— Z krogulczemi? z sępiemi chyba. Dobrze panowie, opowiem wam historią naszego Krezusa i jego skarbów: znana ona dobrze całej prawie Portugalii, a za jój wiarogodność ręczę. Mamy właśnie czas, drapiemy się na wierzchołki téj stroméj góry, uwieńczonéj ruinami niegdyś pysznego klasztoru. Historia wystarczy nam na całą drogę. Zaczynam tedy: *Don Pedro Joao José Elisondo de Carsalhao Branco Baron do Castro Vulturno em Estrella* otrzymał wychowanie godne swego wysokiego rodu i szumnego nazwiska. Już w ósmnastym roku życia swego umiał doskonale jeździć konno, bić się na szpady, grać w karty i niezłe bałamucić kobiety. Jako oficer gwardyi przybocznej króla Jana żył hucznie, wydawał wiele pieniędzy, przegrywał jeszcze więcej, i zadłużył swój majątek ile tylko można było. Takie życie potrwało lat kilka; ale później nasz fidalgo syt chwały dworskiej, a raczej dręczony przez wierzcycieli, poddał kark jarzmu małżeńskiemu, i bardzo prozaicznie ożenił się z majątną, ale nieładną

a co gorsza, nieszlachetnie urodzoną panną, i osiadł w swym rodzinnym zamku w górach Estrelli.

Niedługo téż nosił maskę, którą przywdziać potrzeba było dla uzyskania panny: nie oszczędzał ani pieniędzy, ani téż miłości własnej pani baronowej. Długo znosiła żona wszystkie kaprysy swego męża, ale nareszcie zgorszona widokiem rywalek, które pan baron w własnym jej domu utrzymywał, sprosila sobie świadków, przekonała ich o słuszności swych krzywd, zabrała z sobą swego synka, zaledwie kilka miesięcy liczącego, i wróciła do domu rodzicielskiego. Później zaś pomimo intryg męża uzyskała od sądu formalną separacyą, rozwodu bowiem u nas nie ma.

Pan baron widząc się ogołoconym z funduszków, zabrał resztę posagu i wyjechał do Paryża, do Niemiec i do Włoch. Pełno go zawsze było wszędzie gdzie grano wkarty, gdzie się pojedynkowano i gdzie kochano brunetów z krogulczemi nosami. Tu go widziano z niemiecką hrabiną, tam z angielską ladyską, owdzie z włoską księżną. Jednym słowem, nasz Don Joao był prawdziwym Don Żuanem, rozumie XIXgo się wieku, gdyż kwestya pieniężna zawsze była podstawą i celem jego romansów. To życie europejskie potrwało lat coś ze dwanaście. Tymczasem wierzyciele wzięli dobra w sekwestr, a krynice miłości zaczęły się wyczerpywać. Pani baronowa zniszczona kłopotami i nie chcąc się nikim pocieszać, w nieobecności męża umarła, zapisawszy niewdzięcznemu tyle, ile wystarczyło na oczyszczenie z długów zamku Vulturna z przyległościami.

Wraca nasz baron, bo już miał do czego, wraca, ale nie sam, tylko z cudnie piękną, imponującą postaci Rzymianką.

Nigdy nie wiedziano i dziś nikt nie wie jeszcze, czy ta osoba jest jego żoną, czy téż tylko kochanką. Ona sama na to zapytanie nie mogłaby żadnym sposobem odpowiedzieć, jest bowiem głuchoniemą. Wprawdzie, śmiało spoziera na każdego, nie wstydzi się, i w domu swym rozrządza jak pani z wielką godnością, ale bardzo rozkazująco; zdawałoby się, że to żona, ale są znów tacy którzy utrzymują, że baron jeszcze przed śmiercią tamtej żony żył w Rzymie z tą osobą *incognito*. Zresztą co mi do tego, ani dragon, ani téż nawet żandarm nie jest stróżem moralności, tylko stróżem porządku, co niezawsze na jedno wychodzi.

Tak tedy baron przybywa z swą piękną Rzymianką do ojczywego zamku, o syna swego wcale się nie pyta, oddaje się całkiem gospodarstwu i siedzi kamieniem w swych dobrach przez lat kilka.

Tylko od czasu do czasu robi z swą Włoszką wycieczki do pobliskich, a nawet czasem do odleglejszych klasztorów.

Nie sama tylko nabożność barona była przyczyną tych podróży. Baron wiedział, że nasze klasztory zawierały mnóstwo arcydzieł sztuki malarzkiej, rzeźbiarskiej i złotniczej, wyszłych zpod pędzla i dłuta wielkich mistrzów hiszpańskich, włoskich i portugalskich. Z upadkiem ducha religijnego, czyli raczej z przekrzywieniem jego w nietolerancją i fanatyzm, zatraciło się u nas pojęcie piękna artystycznego. Nikt u nas nie znał wartości cudnych utworów pędzla, któreśmy posiadali; nikt u nas nie wiedział, jakie w zakopconych klasztorach posiadamy skarby: gdy we Francji i Anglii najmniejszy utwór pędzla wielkich malarzy, niezmiernemi płacono summami.

Baron stał się za granicą człowiekiem bardzo przenikliwym. Przypatrzył się zbliska światu, przewidywał wielkie zmiany polityczne, i założył sobie korzystać z zamieszanej burzą wody, by w niej ryby łowić. Jednym słowem, wyszedł na spekulanta politycznego, jakich wówczas już mnóstwo było we Francji.

Baronowa zaś od dzieciństwa oddawała się malarstwu; mówi nawet, że córką jest sławnego malarza w Rzymie, i że ją baron przy portretowaniu uwiódł czy też zbałamucił. Zna się tedy, taką szkołę przeszedłszy, na dobroci pędzla. Dlatego ją też baron oprowadzał po klasztorach, aby się dowiedzieć, które malowidło jest dobrém, a które mało warte.

Zachmurzył się horyzont polityczny naszego kraju, przyszło nawet do wybuchu burzy. Potworzyły się tajne i jawne partye, potworzyły się zbrojne fakcye, wspierane domowemi i obcemi wpływami. Do wszystkich uciekano się środków, aby tylko zwyciężyć.

Baron mieszkając w swym niedostępnym zamku, wznoszącym się pomiędzy górami i lasami, gdzie bandyci często przytułku szukali, i swe kryjówki im tylko znane mieli; baron, mówię, musiał dla własnego bezpieczeństwa wchodzić czasem w pewne układy i rozejmy z hersztami bandytów. Stosunki te posłużyły mu przy wybuchu burzy, oddawna przewidzianej, do utworzenia sobie z samych bandytów znacznej siły zbrojnej, na której czele stanął jako partyzant w obronie praw Don Miguela.

W Hiszpanii zniesiono klasztory prawem przez kortezy zawotowaném i wolą królewską zatwierdzoném. W Portugalii zaś na nieszczęście, jeszcze nim zniesienie prawne klasztorów nastą-

piło, rzucono się tu i owdzie do wypędzenia mnichów, zanadto jawny udział w polityce wstecznej biorących.

Baron w takiej chwili nie pozostawał bezczynnym. Stosunki miał przez bandytów i ich przyjaciół z całym krajem. W wielu miejscach umiał podburzyć przez swych tajnych agentów exaltowanych do rzucenia się na klasztory, wysyłał ich na rabunek, a potem zniemacka na obciążonych łupami napadał, odbierał im łupy i brał je do swego zamku, niby dla przechowania.

Takim sposobem upadło wiele klasztorów, upadł i ów piękny klasztor, którego dwie wieże widzimy tam, wysoko, między modrzewiami. Takim sposobem wielka część malowideł, posągów, naczyń świętych, monstrancyj, ornatów perlami i kamieniami haftowanych, dostała się w imieniu religii i króla na zamek pana barona. Pieniądze i mniejszej wartości rzeczy rozdawał hojnie pomiędzy swych bandytów, którzy mienili się być, i wierzyli, że są *obroncami prawego porządku*.

Długo trwały rozruchy, nieporządek, niepewność i prześladowania, wojny i intrygi. Don Miguel tryumfując w Portugalii przez czas niejaki, zawezwał barona do zwrócenia skarbowi łupów kościelnych, które, idąc za popędem szlachetnego swego serca, zechciał własnym wojskiem i własnym kosztem odbić exaltowanym. Pan baron widząc Don Miguela dość mocno i nieubłagane władającego berłem swój młodej bratanki, pospieszył z wielką pompą do Lizbony, i zaniósł w wielkiej processyi łupy kościelne do zamku królewskiego: naturalnie przy odgłosie dział, dzwonów, orkiestr wojskowych i hymnów religijnych, bo bez tego nie się w Portugalii nie dzieje.

Wydzielono nagrody za tak wielką cnotę obywatelską. Don Joao został senatorem, jego współpracownicy kawalerami orderów, a wszystkim dano patent na pargaminie, że się dobrze zasłużyli ojczyźnie. Przytém dano także nowemu dygnitarzowi donacyą dla utrzymania swego domu w świetności.

Teraz wiemy, że pan baron zwrócił co sam chciał, a zatrzymał, co mu się podobało z łupów klasztornych. Któż mu mógł dowieść, co się do jego rąk dostało, a co się w innych uroniło. Rozeszła się potem pogłoska, że pomiędzy malowidłami zwróconemi przez barona, zamiast oryginałów arcydzieł, poznajdywano tylko kopie malowane na starych tłach wziętych z innych obrazów, a naśladowujące skrupulatnie nietylko piękności, ale i wady obrazów, nawet i wiekiem nabyte uszkodzenia.

Utrzymywano, że Rzymianka była autorką tych kopij. Utrzymywano także, że najpiękniejsze i najkosztowniejsze naczynia i ornaty pozostały w rękach barona. Lecz któż mógł mówić lub też tylko myśleć długo o tych podrzędnych sprawach podczas okropnych klęsk, nekających biedną naszą ziemię?

W wojnie Don Pedra przeciw Don Miguelowi, baron popierał sprawę ostatniego; ale gdy go zoczył chwiejącym się, zaczął parlamentować z Don Pedrem. Amnestya i potwierdzenie donacyi były warunkami odszczerpienia, bo senatorstwa sam się zrzekł. Przyszło do zgody. Baron ściągnął swych bandytów do zamku.

Później, gdy się porządek ustalił, fidalgo widząc, że czasy anarchii nie wrócą tak prędko, chciał się pozbyć całej swój armii, która mu się stawała codziennie niewygodniejszą, chciał się uwolnić od owych obrońców niebardzo zadowolonych z odszczerpienia swego wodza. Podzielił ich tedy pod różnemi pozorami na małe hufce i na różnych punktach, ale prawie jednocześnie wydał ich wojsku królowej.

Najlepiej, że pomiędzy dowódcami bandytów, czyli jak ich z grzeczności nazywali gerylasów, był blizki kuzyn barona, kochający się zapamiętale w pięknej niemój Włoszce, i od niej nawzajem kochany. Pan baron był bardzo zazdrosnym i pozbył się rywala, oświadczywszy wprzód, że ten jest jednym z najgorszych. Wszystkich wydanych bandytów, gerylasów, razem z kuzynem barona okuto w kajdany, wrzucono ich na okręty, i odesłano do najodleglejszej kolonii portugalskiej w Afryce, do Angoli.

Kilkudziesięciu jednakże bandytów zdołało uniknąć wydania i transportacyi. Ci rozsypali się w góry, zaprzysięgli się na życie barona, i niezawodnie gdzieś tu oczekują na nas; jestem pewnym, że nam tak na sucho nie przejdzie.

Ale właściwie w naszej historyi nie na tém jeszcze koniec. Jawi się na scenę naszego niedokończonego dramatu jedna jeszcze osoba, syn, którego miał baron z swój piérwszej, żony, a który tymczasem wyrósł bardzo pięknie, jak się panowie przekonują. Wychował się on pod okiem swego dziadka, dawnego bankiera, człowieka nieugiętej rzetelności i fanatycznie zamiłowanego w cnotcie. Młody człowiek nabrał tego samego sposobu myślenia, kształcił się bowiem na wzór spartański swego dziadka. Wszyscy jednogłośnie chwalą tego młodzieńca jako rzadki przykład cnoty, charakteru i zdatności. Szkoda, że nie jest przystępniejszym, bo sami moglibyśmy o tém sądzić.

Dość, że ojciec słyszał pochwały dawane swemu synowi, dość, że wola Boska chciała, żeby się ojciec pokochał w reputacji syna, którego nigdy nie widział. Długo się passował sam z sobą, ale nakoniec zwalczył wszystkie wstręty i udał się do swego syna od tak dawna zapomnianego.

Ale syn, który o swym ojcu słyszał wszędzie tyle złego, nie miał żadnej ciekawości widzieć go; nawet wstręt tak wziął górę w sercu młodego człowieka, że wolał nosić mieszczańską nazwę swjej matki, jak szlacheckie nazwisko ojca. Musiał tedy dumny baron zrobić piérwszy krok do zgody; poszedł więc do domu ojca swjej żony. Spotkanie bardzo było dziwne, serce rozrywające. Syn zadrzał zobaczywszy swego ojca i zapłakał; zdaje się, że sąd Boga przemawiał wówczas przez nieme blade lica młodzieńca, baron bowiem, ten dumny, nieubłagany, w szczęście swe tyle ufający baron, widząc się wzgardzonym przez własne dziecko, padł jak gdyby piorunem rażony na kolana, i przeproszał syna za wszystkie krzywdy jemu, matce i nazwisku swemu wyrządzone.

— Nie za to przepraszaj okrutny, płochy, samolubny człowiecze, coś sobie samemu i twój rodzinie złego wyrządził, ale za to pokutuj, żeś na twój kraj rodzinny tyle okrutnych klęsk sprowadził, a będzie ci może przebaczonóm — rzekł syn do własnego ojca.

I baron, który dotychczas nikomu nie podlegał, piérwszy raz posłuszny w swém życiu, pełni wolą jeszcze małoletniego swego syna, zwraca dane mu przez Don Miguela dobra tym, którym zostały skonfiskowane, opuszcza na lat dziesięć Portugalią, a przed opuszczeniem *daruje narodowi* wszystkie te wozy i furgony napelnione arcydziełami sztuk i rozlicznymi kosztownościami. Tak jest, ojciec widząc się wzgardzonym przez własnego syna, nie dba o łupy, które z takim wysileniem, kosztem tylu krwi i krzywdy przez czas tak długi zbierał; poznał przecież jeszcze na tym świecie, że w dogodzonej chciwości, w skarbach nieuczciwie zebranych nie masz zasobów trwałego szczęścia. Poznał może dlatego, że rozum swego trunkami nie zalewał, i że czucia swego od pewnego czasu niecnymi kartami nie tępił. Nałogi są większemi nieprzyjaciołmi moralności ludzkiej jak same zbrodnie.

Zchodzi tedy nasz fidalgo ze sceny naszego kraju, ze sceny łzami oblanój, ale jeszcze drży ze strachu, bo tu może śmierć na niego czyha w tych wąwozach, a on widzi, że potrzebuje życia dla przebłagania nieba i swego syna.

Niech się jednakże nie lęka! Ja go bronić będę aż do ostatniej kropli krwi. I ja pragnę, by żył długo i służył temu chciwemu światu za przykład.

Taka jest historia życia naszego barona, jego rodziny i jego skarbów.“

Don Ramon skończywszy swe opowiadanie zsiadł z konia wraz z połową eskorty wojskowej, i pobiegł z nią ku ruinom klasztoru dla zapewnienia się, czy gdzie w piwnicach, gankach, pod dachem lub sklepieniem nie kryje się jaki bandyta lub szpieg rozbójników. Tam bowiem mieliśmy odbyć *siestę*: dziesiąta godzina dochodziła, a upał nieznośny ciężył na naszych piersiach, jak Alp nielitościwy.

Szkoda tego kościoła! Budowa jego tak piękna, tak lekka, cały prawie z ciosowego kamienia wielkim kosztem postawiony. Dziś prawie jest opuszczonym: od sześciu lat nie odprawiano w nim nabożeństwa. Staremu pustelnikowi, niegdyś braciszko- wi zakonnemu, powierzono klucze kościoła: on jeden tu mieszka prócz puszczyków, sokołów i stariej sowy uszatěj. Kawki nawet, wróble i jaskółki nie chcą tu przebywać, bo im tu zaęskno; ludzi nie widzą, chyba przechodnia kiedyniekiedy.

W obszernych salach, gankach i korytarzach klasztoru wszędzie głucho i pusto. Starożytne mury opierają się jak mogą zniszczeniu, choć bite nawałnicą, choć dęszcz przecieka przez spalone dachy. Ale burze już naznosiły ziemię w szczeliny, i wiatr tam zagnał nasienie skrzydlate, i już z niego wykwita brzezina. Wileczy bluszcz pnie się po ścianach i drze je ku ziemi, aloes nielitościwy rozpiera gruzy i zwala je w wąwóz, tysiące jaszczurek ładnych jak szmaragdy, a szybkich jak błyskawica gnieździ się pomiędzy kamieniami i wapno wygryzają, torując drogę innym żywiołom zniszczenia. Co człowiek zburzyć nie miał czasu, to dokonają niższe jestestwa, wolniej, ale niechybnie. Wegetacya wybuja tu kosztem mozolnego dzieła ludzkiej pracy i pochłonie w swych chaotycznych pięknościach starożytną zakonników siedzibę.

W świątyni, dawniej tak białej, pięknej, bez zbytku jaskrawych ozdób utrzymywanej, pozostały jeszcze niektóre ślady dawnej świetności: mianowicie chór cały tallami białego marmuru wyłożony, płaskorzeźbą ozdobiony, piękna kazalnica i alabastry białe zdobiące ołtarze.

Znajdzie się zapewne wkrótce jaki lubownik sztuk pięknych, który marmury te zedrze i na paryzkim rynku Anglikom za ruiny w Pompei wydobyte sprzeda.

Z chóru, na którym wprzódy stały organy, widzieliśmy niepostrzeżeni jak Don Joao prowadził milczącą swą rodzinę do zakrystyi na spoczynek. Dwie piękne okazałe postaci! Starsza blada, zaledwie trzydzieści lat mająca, nosiła na swój klassycznie regularnej i szlachetnej twarzy wyraz głębokiego, szacunek wzbudzającego smutku. Spojrzała na te sprofanowane mury, na te z obrazów odarte ołtarze, i łzy błysnęły w jój wielkich ciemno-niebieskich oczach.

Byłyżto łzy wyciśnięte zalem, czy téż zgryzotą? Druga dama, młoda, zaledwie czternaście wiosen licząca, ale już wysoka, piękną była także, ale tą nietrwałą jak kwiatek pięknością, którą daje młodość, a łatwo niweczą lata. Zanadto była podobną do swego ojca z przenikającego wzroku, a brak tak potrzebnego ludziom zmysłu słuchu, dawał młodej dziewczynie wyraz zbytnej niecierpliwości.

Jeszcze troje pomniejszych córek do téj niemój należały rodziny. Dwie milczące murzynki, podobne do dwóch czarnych sfinksów, pilnowały téj rodziny, która nigdy nic nie mówiła.

Syn barona nie uznawał téj rodziny za swoję, nie przybliżał się doń nigdy. Z nikim nie przestawał ten młody Purytanin, jak ze swym starym służącym, wyglądającym tak zimno i surowo, że aż krew krzepła. Czasem tylko posyłał po swego ojca i z nim krótko rozmawiał. Największą część czasu trawił na czytaniu jakiejś książki, bardzo staroświecko wyglądającej. Bardzo żałuję, że bliżej nie mógł poznać tego młodzieńca tak się różniącego od tegoczesnej codziennój młodzieży; ale tak był niedostępnym, jak Mont-Blanc.

Ogród klasztorny obszerny i niegdyś piękny, zarastały wybujałe chwasty. Grunt roztoczyły krety i dzikiój bawełny korzenie; drzewa owocowe dławili okrutny bluszcz, dzikie wino i ów wilk vegetacyi, nardusz koleczasty.

Kapitan das Alveyras rozstawiwszy czaty na szczycie wieży i na wszystkich wzgórzach porośniętych krzewami, zaprosił nas do dawnego refektarza, gdzie w chłodzie, pod cieniem kwitnących gałęzi pomarańczy i akacyi, przyniesionych z ogrodu i pozatykanych w szczeliny ściany, spoczęliśmy na słomie kukurydzy. Okropnie znużeni, zasnęliśmy odrazu.

Spaliśmy ze trzy godziny, kiedy nas nagle zbudził stary wachmistrz Barbastro wiadomością, że żołnierz będący na warcie na wieży, zoczył od strony góry zwanój Monte-alto pośród skał i krzaków człowieka czolgającego się na brzuchu i zbliżającego się pomalu do miejsca, gdzie się zaczyna pole kukurydzy, przytykające z téj strony do napół zwałonego muru ogrodowego. „Pytanie, czy ten człowiek jest przednią strażą bandytów, lub téż tylko ich szpiegiem?” dodał Barbastro.

— Szyldwach musi się mylić—odrzekł kapitan—bandyci zawiele mają rozumu, żeby się pośród jasnego dnia podsuwali w sposób tak widzialny.

— Panie kapitanie, szyldwach byłby nie zdołał odkryć człowieka tego pośród krzaków zasłaniających go prawie całkiem, gdyby mu do tego szczególna okoliczność zaszła w powietrzu, nie była dopomogła. Wysoko pod obłokami krąży całe stado sępów, owych sępów Estrelli, które się zawsze tam ściągają, gdzie wkrótce będą trupy ludzkie. To obudziło uwagę szyldwacha, szukał tedy kandydatów na tych przyszłych nieboszczyków, i znalazł ich właśnie pod sępami za pomocą pańskiej perspektywy. Będzie bójka, panie kapitanie, będzie bójka!—tak zaręczał Barbastro.

Wtém znów wpada kapral i oznajmia, że już trzech spostrzedz można ludzi, zbliżających się jak węże do pola kukurydżowego. „Ludzie ci są uzbrojeni, panie kapitanie. Ciekawość, czy są w zмовie z ludźmi barona? — Ja myślę że są”, twierdził kapral, nasuwając swemu oficerowi domniemywania.

— Niezle się domyślasz, kapralu; idź, proś do mnie barona, a dragonom powiedz jak najskryciej, żeby czuwali nad wszystkimi ruchami owój hołoty, broni z ręki nie wypuszczali, ale zresztą żadnej nie wyjawiali niespokojności. Baczość jak największa wszędzie!

Przyszedł baron i zbladł słysząc co się dzieje.

— Możesz pan liczyć na wierność swych przyjaciół?—pytał go uszczypliwie kapitan.

Oczy barona wyjrzały z swych jam jak dwa puginały; usta się ścięły, rumieniec wystąpił na blade lica.

— To nic, baronie—mówił dalej kapitan—wystarczymy sobie sami. Pojmuję ja myśl nieprzyjaciela. Chce on podkraść się cichaczem do muru ogrodowego i dać nam odciągnąć spokojnie z klasztoru po drodze spadzistój, schodzącój gzygzakiem w głęboką dolinę. Ta droga bieży naprzód z dwieście kroków na północ, potém zwraca się pod kątem ostrym na zachód, tak, że wy-

szedłszy z klasztoru i oddaliwszy się od niego o 200 kroków, potem zwróciwszy się ku zachodowi i uszedłszy z 250 kroków, będziemy zaledwie o 50 kroków poniżej muru ogrodowego. Tu właśnie, za tym murem, chcą nas oczekiwać; parę minut czasu, które strawimy na zejściu ową łamaną drogą, chcą spożytkować na przebieżenie ogrodu i uszykowanie się pod murem. Ztąd nas chcą uraczyć rześistą salwą pionowo z góry spadającą, i ręczę, że tyle będzie pomiędzy nami trupów, ile mają nabojów.

Baron znowu zbladł bardzo.

— Nie lękaj się baronie—mówił dalej nieubłagany Don Ramon:—ja twego życia pilnuję jak zrenicy w oku. Łatwoby mi było zniszczyć plany rabusiów, ale tu idzie o coś więcej: tu idzie o ukaranie ich przykładne, o wytepienie ich, jeśli można. Aby tego dopiąć celu, złudzimy nieprzyjaciela pozorném odciągnięciem. Dwunastu ludzi pańskich przywdzieje cichaczem mundury mych dragonów i siądzie na koń, a dragoni pozostaną tu ze mną ukryci w korytarzach. Pan nam pożyczysz swego arsenału podróznego, żebyśmy mieli jak najwięcej wystrzałów, i poczęstujemy nimi nieprzyjaciół właśnie w chwili, kiedy się zabierać będą do bombardowania pańskiego koczka; a o pana najbardziej im idzie, wiem o tém.

Baron znów mienił się, i z oczów strzelał jak z pistoletów.

— Koniec końcem, panie baronie, przyślij mi tu po jednym z twych ludzi najstosowniejszych do maskarady, przyślij także broń pod płaszczami. Urządź w ten sposób karawanę, żeby nieprzyjaciel spoglądający na was nie spostrzegł się na ubytku ludzi. Wszystko rób ostrożnie, a będziemy mieli sławne polowanie!—rzekł Don Ramon zacierając ręce z zadowolenia.

Myśl kapitana była istotnie gienialną. Tak nas oczarował swą ochotą do boju, żeśmy się ofiarowali podzielić z nim jego niebezpieczeństwa; lecz tego przyjąć nie chciał. „Panowie tam potrzebniejsi w karawanie do utrzymania porządku, w razie, gdyby się nasze zamiary tutaj nie udały—wymawiał się kapitan.—Ale ręczę, że jedynie honor wojskowy nie pozwalał mu przyjąć naszej ofiary, i pojmuję tę ambicyą żołnierza.

Odbyło się przebranie. Strzelec barona, wzrostem do kapitana podobny przywdział jego mundur.

Nareszcie około godziny trzeciej zaczęto przyprzegać konie i muły: pościągano czaty, przebrano w ich mundury resztę sług wybranych przez barona. Ruszamy z miejsca zwykłym porządkiem. Z bijącym sercem oddalamy się od tego klasztoru, który za kilka

minut tak krwawych scen będzie widownią. Na twarzach każdego z nas malowało się głębokie wzruszenie.

Zchodzimy wolno po spadzistój drodze, krok nasz opóźniamy mimowolnie; bo życie ludzkie jest rzeczą niemaléj wagi, a tu wkrótce krew bliznich naszych będzie się lała.

Droga się załamuje. Zstępując coraz głębiej zblizamy się znów ku klasztorowi. Jeszcze więcéj zwalniamy kroku, oddech zatrzymujemy w piersiach, serce puka niezmiernie, oczy zwracamy ku murowi ogrodu, wiszącemu prawie pionowo nad naszymi głowami. Już jesteśmy tuż blisko, słyszymy jakieś spieszne kroki, drapie się coś na mur—wtém, grzmot wystrzałów, jęk rannych, klątwy, i znów wystrzały i jęki—nareszcie okrzyki radości i kiedy-niekiedy pojedyncze wystrzały. Wszystko trwało dwie minuty, a zdawało się że to wieki.

Coś drapie się na mur. To kapitan das Alveyras krzyczy; „Wszystko dobrze! dziewięciu na placu, drugie tyle uciekło. Karawana niech idzie naprzód i stanie dopiero u podnóża góry. Konie nam odprowadzić, i posłać tutaj jedną z powózek, najwygodniejszą. Mamy jeńca, którego trzeba opatrzyć. Pan doktor będzie łaskaw.“

Wracamy na plac boju. Widok okropny! ośm brodatych, strasznych i od stóp do głów uzbrojonych ludzi leży w ogrodzie, brocząc we krwi własnej i ducha oddając. Ślady krwi wszędzie w ogrodzie; widać, że i uciekający byli rannemi.

Jednego tylko nie ubito. Byłto człowiek około trzydziestu kilku lat mający, szlachetnego oblicza, lecz w ubiorze nieróżniącym się niczém od innych. Nosił spiczasty kalabryjski kapelusz, szpencer wyszywany z pęlicami, szeroki pas, krótkie manszestrowe spodnie i kamasze skórzane wysokie i haftowane. Ranny był lekko w łopatkę, ale w udzie miał postrzał, który mu kość zgruchotał, lecz głównej arteryi nie nadwerekzył. Cierpiał bardzo i prosił w wyrazach pełnych godności, by mu życie przedłużyć choć na dni kilka. „Nim umrę, chciałbym oznajmić światu jakiej dziwnéj fatalności jestem ofiarą, i co mnie do tego zamachu skłoniło“, mówił składając ręce do prosby.

— Panowie, miejcie o tym człowieku staranie, ma on ważne tajemnice do wyjawienia—rzekł kapitan polecając nam swego jeńca.

Zrobiłem co można było zrobić w téj chwili: kulę i kilka odłamków kości wydobyłem z dość głębokiej rany, opatrzyłem ją

i zimną wodę obłożyłem. Nareszcie kazałem włożyć pacyenta jak najostrożniej na wóz dobrze wyłożony słomą. Pacjent uczuł ulgę.

Dragoni znów dragonami, a słudzy barona ciurami, to jest, przebrano się znowu. Ruszamy powtórnie z miejsca. Jeniec przykrył twarz swą chustką i prosił pilnujących żołnierzy, żeby go nikomu odsłaniać nie pozwalano. I kapitan to samo polecił.

Dopędzamy karawanę czekającą w dolinie. Baron chce wiedzieć szczegóły przygody. Kapitan opowiada. „A tego jeńca czemu oszczędziłeś kapitanie?”—pyta fidalgo.

— Mam moje w tém powody—odpowiedział Don Ramon, spiął konia ostrogami, i w przelocie znów polecił warcie, żeby się nikomu nie pozwolili zbliżyć do jeńca, oprócz doktora. Baron zasepił się i wrócił do koczka.

Don Ramon wraca do nas. Barbastro zbliża się i mówi: „A cóż panie kapitanie? sępy Estrelli nie kłamią. I tą razą przewidziały dla siebie ucztę, pomogły nam nawet do polowania. Patrz pan, jak krążą nad ogrodem klasztoru, spuszczać się coraz niższemi, węższemi kręgami; jest ich właśnie ośm, jeden trup na każdego. Mądre to ptaki, bardzo mądre! Pamięta pan kapitan, kiedyśmy rok temu maszerowali całym szwadronem z Castel Rodrigo do Monsanto. Od samych stóp Estrelli towarzyszyło nam pięciu sępów. Dzień cały nie spuszczały nas z oka. Ja wówczas mówiłem: „Jeszcze do Monsanto nie dojdziemy, a będzie nas o pięciu mniej.” Śmiano się ze mnie, nazwano mnie starym gadułą, zabobonną babą i tym podobnemi nazwiskami. Aż tu w wąwozie zwanym Smoczą-szyją okropny głaz oddawna nachylony pada między szwadron, pięciu ludzi zabija, sześć koni na kawały łamie i tak drogę tamuje, że reszta szwadronu ledwie za dwa dni bocznemi ścieżkami do nas dojść mogła. A ha! nie miały sępy racji?”

— Starój jesteś daty człowiek, mój wachmistrzu—rzecze Don Ramon—chętnie wierzysz w gusła, upiory i cuda, i dlatego zwracasz uwagę na wszystkie przepowiednie; a raz jak ci ślepy traf potwierdzi twe wyrachowania, zapominasz, żeś się dziesięć razy na nich zawiódł. Patrz i teraz w niebo! wisi tam nad nami jakiś ptak wysoko pod obłokami. Może i to sęp i przepowiednia śmierci.

— Panie kapitanie, to dalibóg sęp z Estrelli, rozpoznaje jego czarne skrzydła, białą pierś i nagą szyję. Umrze z nas ktoś nim do Oporto dojdziemy; zapewne ów ranny jeniec.

— Doktor mi ręczy za niego, zresztą patrz jak leży spokojny—rzecze Don Ramon.

— Co doktor wiedzieć może?—odparł wachmistrz—chyba to, co z książek spamięta lub podczas życia spostrzeże. Sępy mają instynkt wieszczą, i więcéj wiedzą, choć do szkoły z teką nie chodzą. Wierz mi pan kapitan.

— Zresztą zobaczymy—odpowié kapitan—spytaj się więźnia, czyby się nie napił wody z tego pięknego źródła.

Ranny z wdzięcznością przyjął ofiarowany mu nektar, zerwał chustkę z twarzy i napił się. W téj saméj chwili jeden z ludzi barona spojrział jeńcowi w twarz, i oczy słupem mu stanęły. Pobiegł do kocza barona i coś mu powiedział. Baron także zdumiał się niemało.

Zchodzimy z ostatniego podnóża gór w obszerną i kwitnącą dolinę. Oko znękanie blaskiem słońca i nagich skał widokiem, pokrzepia znów zieloność murawy umajonéj kwiatami, ożywionéj strumieniem, dąbrową i wieśniakami. Znów nas dochodziło mruczenie kół windujących wodę z dna głębokich studni, i odgłos tęsknego śpiewu rolników, pracujących w polu.

Lecz sęp towarzyszył nam ciągle; nawet tu, w téj nadobnéj dolinie, gdzie żadnych niemasz skał i opok. Gdzie tu spocznie na noc to ptaszysko?

Już po zachodzie słońca stajemy w malém rolniczém miasteczku, zwaném San Vicente. Wóz dźwigający jeńca wtoczono do stodoly, poruczono go straży dwóch żołnierzy i opiece dziewczki gospodarza, która miała choremu okładać wodą zimną ranę i dawać mu pić od czasu do czasu.

W poblizkim prywatnym domu umieściliśmy się na noc wraz z kapitanem.

— Panie kapitanie! sęp dobrze przewidział!—krzyknie stary Barbastro wpadając przed świtem jeszcze do naszego pokoju z latarką w ręku.

— Bodajżeś milion djabłów zjadł z twemi sępami, sam jesteś sępem—odpowié Don Ramon.

— Panie kapitanie, nasz jeńiec umiera! A cóż, sęp się mylił?

— Jeniec umiera? na co umiera?—krzyknę zdziwiony.

— Na co umiera? na śmierć umiera, zdaje mi się—rzecze wiarus.

Wstaje, ubieram się, wrywam latarkę z rąk wachmistrza, biegnę do stodoly. Prawda! ani słowa. Jeniec już ducha oddaje,

blado-siny, zimny, oczy ma bez życia, w górę wywrócone, twarz zapadła, oddech chłodny. Usta jego drgają, puls prawie nie bije, palce ciągle coś chwytają, tak jak gdyby tonął i chciał się ratować. Czy go krew uszła? Nie, ani kropli. Może krwotok zaskórny? część ranna nie opuchła wcale. Ani też śladu apopleksyi mózgu, ani płucowej. Krzyczę mu w ucho: „Ocknij się na chwilę, powiedz co ci jest człowiecze!” Daję mu wachać amoniak, kilka kropli wlewam mu w usta, każę go trzec i łechtąć, młotkiem we wrzącej wodzie maczanym nacieram mu dołek.

Otwiera przecież oczy, usta drgać przestają. Chce coś mówić, ale język nieposłuszny bełkocze, chwytając ręką w słomie, sili się, pasuje z uciekającą duszą, chce ją przymusić, by mu służyła choć na jedną chwilę, nareszcie wymawia niewyraźnie: *orchada veneno!* chwytając za szklankę wstawioną w słomę, opada na swém łożu, wysiliwszy resztę życia, i kona.

W szklance była mała reszta orszady, może łyżka stołowa, a ta orszada śmierdziała okropnie migdałami gorzkimi.

— Kto podał choremu orszadę?—pytałem dragonów.

— Oto ta dziewczka, której panowie polecili opiekować się jeńcem—odpowiédł dragon.

— Czy on sam zażądał orszady? —pytam dalej.

— Nie, panie doktorze! dziewczka mu ją zaproponowała.

— A kto robił tę orszadę?—pytam młodej dziewczki, drżącój ze strachu.

— Oto kucharz tego pana barona; to on radził mi spytać się rannego, czyby się orszady nie napił, bo woda w naszej studni niezdrówą.

— Kto dał migdały do téj orszady, kto dał cukier? —pytam dalej, ale wtém kapitan das Alveyras, który był przyszedł przed minutą, przysłuchał się mým pytaniom, pojął odrazu rzecz całą, i przerwał mi mowę słowami: „A co pomogą te pytania, panie doktorze? Jeniec umarł, bo miał umrzeć, to rzecz całą; zresztą dobrze zrobił że umarł, byłby i tak nie uszedł śmierci“.

Pocichu zaś dodał: „Na Boga co robisz? rzecz całą pojmuje, rozumiem.. Nie obudzaj nienawiści lwa, który cię rozszarpać może“.

Potém zbliżył się do umarłego, długo się wpatrywał w jego blade, szlachetne oblicze, i rzekł cicho ze łzą w oku: „Biedny Alfons“.

Nakoniec kazał dragonom wziąć kilku chłopów z eskorty barona i zakopać trupa w polu, i porwawszy mnie pod ramię, wrócił ze mną do domu, w którym noc przepędziliśmy.

— Biedny Alfons — rzekł raz jeszcze kapitan — jak marnie zginął! Razem w jednej wychowaliśmy się szkole, razem w jednym przed kilkunastu laty służyliśmy pułku. Potem wystąpił z wojska i osiadł na wsi; później przeszedł do gerylasów Don Miguela pod rozkazy swego kuzyna, pana barona. To on! kochanek owój pięknej Włoszki, wydany tak zdradziecko wojsku królowej. Widać, że zdołał umknąć z fortecy afrykańskiej i wrócił do kraju, by się zemścić na swym kochanym kuzynku. Bóg chciał inaczej! Teraz wszystko się skończyło, ostatnia scena tragedyi minęła.

Umaczałem kawałek ośrodka od bułki w pozostałej w szklance orszadzie, i rzuciłem go kurczęciu, biegającemu w sieni. Kurczę bulkę pożarło i zaraz zdechło.

Teraz wiemy, co się działo w górach Portugalii, na dziesięć lat przed końcem pierwszej połowy XIXgo wieku.

Dr. T. Trippln.



NOWA EPOKA LITERATURY HISTORYCZNEJ POLSKIEJ.

PRZEGLĄD

PRZEZ

Juliana Bartoszewicza.

Materyały historyczne wydane w Warszawie.

**Co rozumiemy pod nazwiskiem materyałów? Biblioteka Starożytna
pisarzy polskich, Wojcieckiego.**

Pisaliśmy o dyplomatach wieków dawnych. Ale oprócz dyplomatów, wiele jeszcze pomników literatury, składa czysty *materyał historyczny*. Powinniśmy się teraz wytłumaczyć, co właściwie pojmujemy pod nazwą *materyałów*; wyraz ten albowiem bardzo rozmaicie rozumieć i tłumaczyć można.

W ścisłym znaczeniu, materyałem historycznym będzie każdy akt, dyplomata, dokument urzędowy albo prywatny, wzięty z przeszłości. Materyałem będzie każde nadanie, prawo, przywilej, każdy list, doniesienie, każdy opis szczegółowy jakiego wypadku, rys każdy, wspomnienie jakiego zdarzenia. Nieraz prywatne, jedną rodzinę w kraju obchodzące szczegóły, mogą wyświecić i sprawę dotyczącą narodu. Wszystko więc: druk czy pismo, nieznanne, stare, jako pomnik przeszłości, będzie materyałem historycznym.

W życiu jest tyle wypadków błahych, nie nieznaczących, na które wcale się nie zwraca uwagi. A jednak wiadomość o każdym takim wypadku z przeszłości, ma dla potomstwa interes wielki: jest faktem, a faktów wiele w jednej treści, rozwidnia dobrze

pojęcia o rzeczy. Wypadek dla przodków naszych mały, dla nas staje się ogromnym, jeżeli rzuca pewne światło na ubiegłe życie. Nie przyda się wreszcie dla historyi, to się przyda dla romansu, a romans historyczny winien wiernie odbijać ducha swojego czasu i miejsca.

Najmniejsza więc drobnostka z przeszłości, doszła do nas, jest materiałem historycznym.

Ale są i dzieła całe, skazane naten los, żeby wiecznie za materiał służyły: mówimy o *kronikach*. Kroniki są wprawdzie już utworem, bo widać w nich chęć opowiadania dziejów. Nieproste to już notatki przodków, nie drobiazgi to małe, co interesować nas mogą. Zatem kronika, jestto niby coś więcej jak dyplomata, jak dokument urzędowy, więcej niby jak prosty materiał: tak się przynajmniej może zdawać na pierwszy rzut oka,—ale tak nie jest. Ludzie dawni nie pojmowali dziejów, jak pojmowali ich następcy, a tém bardziej nie mieli nawet wyobrażenia o naszym pojmowaniu dziejów. Kronikarze posiadali własny sposób pisania, zupełnie odrębny sposób, który świadczył o dzieciństwie sztuki. Jeden tak pisał, jak drugi; a styl, forma, wszystko w nich było jednakowe, podobne do siebie, bliźnięce. W chronologicznym porządku wypadki u nich następowały za wypadkami, opisane błędnie, ustrojone w błędy, poprzeplatane błędami. Byli wprawdzie i kronikarze wyższego polotu myśli; ale zawsze krępowała ich zdolności jedyna, przyjęta forma. Zważmy nadto, że nierównie więcej było kronik na świecie, jak te zbiory, które do naszych czasów doszły. Długosz dobrze np. wertował po kronikach klasztornych, po aktach kapituł, zanim swój latopis ułożył. I dlatego kroniki, które my znamy, z których czerpiemy, powstały z dawniejszych, częściowych latopisów. Są więc jakby urzędowymi wyciągami z akt starych, z akt dawnych, ubezpieczonych podpisami i pieczęcią, to książąt, to biskupów. Z odległych czasów niedużo nam się zachowało przywilejów i pisem. Kroniki zastępują ich miejsce: w nich znajdziemy powieść o nadaniach, o przywilejach, o prawach. Kroniki więc uważać potrzeba, i uważamy też je za materiał historyczny, nie tylko dla ich treści, ale i dla raz przyjętej i ustalonej formy. Inaczej, kroniki jako dzieło zdolności literackiej, która chciała opowiadać dzieje, a nie prosto zbierać suche fakta, powinibyśmy podciągnąć pod oddział *systematów*. I były one systematem, ale dla swojego czasu; dla nas, jako przeszłości odgłos, są materiałem.

Bo kroniki podania zbierają, opowiadają; są jakby dokumentem, do którego odnosim wszystko. Na kroniki spuścić się nie można, a my powołujem się na nie, cytujemy je często. Nieraz do uszu naszych doleci wypadek jaki głośny, którym się wszyscy zajmują, a przecież opowiada każdy inaczéj ten wypadek, z dodatkami, z tysiącem uwag. Więc gdybyśmy notowali zaraz szczegóły tego wypadku, za wiele rzeczy z pewnością ręczyłbyśmy nie mogli. Jakże więc dziwić się kronikarzowi, który często opisuje co widział, często o czém słyszał, a często o czém wie tylko z podania? A jednak każde słowo kronikarza jest dla nas powagą, jest faktem, kiedy nie ma innych faktów na zawołanie. Szczęśliwi jesteśmy, kiedy możemy za pomocą jakich danych poprawić błąd kroniki. A z kąd bierzemy te dane?—z dyplomatów, z dokumentów urzędowych, bo te, jeżeli nie sfalszowane, podają nam czystą prawdę; to pewnik niezaprzeczony. Kronika znowu objaśni niejednen dokument książęcy. Tak światło wzajemnie spływa z jednej warstwy pomników na drugą, i objaśnia przeszłość. Tak więc i kronika, i dyplomata, posiłkujące się ciągle, są oczywiście materiałem historycznym.

Gdybyśmy potrafili zebrać ogromną masę dyplomatów, tak, żeby jeden wiązał się z drugim treścią; gdybyśmy z uszykowanych podług porządku chronologicznego tych dyplomatów, ułożyli jedną wielką kronikę: byłbyto najlepszy latopis. Bo w saméj rzeczy, jak każda kronika jest zbiorem dokumentów, powiązanych jedną myślą, tak znowu zbiór dokumentów jest w swoim rodzaju wybornym latopisem.

Są jeszcze z wieków ubiegłych utwory pisarzy, nie oderwane tylko drobiazgi, ale całe opisy rozciąglejsze pewnego wypadku, relacye, poselstwa, opowiadania. W swoim czasie te urywki mogły należeć do monografii, dzisiaj są materiałem historycznym. Opisy podróży po kraju, tutaj odnosim. A jest wiele tych opisów podróży, zwłaszcza przez cudzoziemców, którzy nas odwiedzali. Wszystko to możemy cytować i przywodzić jak źródła. Dla nas, pomimo wszelkich zalet stylowych, jakimi mogą się odznaczać te zabytki, zawsze to materiał gruby, rodzimy, do wyrabiania. Takich ustępów z przeszłości, małych monografijek bardzo wiele u nas wychodzi, a coraz więcej ciekawszych, coraz więcej piękniejszych. Materiał to szacowny, wydarty zapomnieniu i stracie.

Do materyałów wreszcie policzmy i same utwory, ale nie naszego czasu. Dzieło Nøruszewicza albo Niesieckiego: „Korona” należą już do przeszłości i są źródłem, które z ochotą cytujemy: ztąd wszystkie przedruki dzieł nawet niedawnych, policzmy do materyałów. I zaiste, niejedno pisemko, niejedna broszurka drukowana kiedyś, ukrywa się przed wzrokiem historycznym, bo nieznana; a jednak więcej mieści rzeczy prawdziwie ważnych, jak czasem nowo wyszukany rękopis. Nasza literatura starożytna jest bardzo ważnym materyałem dla badających dzieje Rzeczypospolitej. My jej zupełnie nie znamy, i nie możemy nawet pojąć ogromu skarbów nadrukowanych.

Przedruk nie powinien być nowością, a jednak dla nas, każde dzieło dawne w nowój szacie, jest nowością i wielką: bo my czasem i księgi same znamy, ale z tytułu, nie z treści. Jak cechą naszej chwili jest ta okoliczność, że pracujemy wszyscy z zapałem nad odgrzebywaniem pamiątek i rękopisów, tak téż i cechą być powinno, przedrukowywanie dzieł dawnych. Stare a nieznane, często lepsze od tego, co zupełnie nowe.

Tak wielki zakres obejmują *materyały historyczne*.

Wytłumaczmy się jaśniej.

Podług naszego pojęcia, materyałem wszystko będzie, co jest odgłosem, odbiciem się przeszłości, a jednak nie dziełem naszego czasu, i naszych wyobrażeń. Wszystko co zrobili poprzednicy, ojcowie nasi, będzie więc materyałem. Wszystko co my drukujemy, zabytki z czasów ubiegłych, znane czy nieznane, wytłoczone już, czy w rękopisach leżące: wszystko to więc będzie materyałem.

Takim sposobem, wszystko, cośmy zrobili dla przeszłości wydaniem aktów, dyplomatów, przywilejów, kronik, relacyj, dzieł obejmujących powieść o przeszłości a nieznanych i pierwszy raz dopióro w ciągu ostatnich lat rzuconych na świat, cośmy zrobili wydaniem dzieł wreszcie znanych historycznych, których pokazała się potrzeba przedrukowania dla badań naszych: zrobiliśmy to dla uporządkowania naszych materyałów historycznych.

Wydanie materyałów, jestto praca mechaniczna. Obrabianie materyałów, to praca wyższa polotem myśli. Zobaczmyż więc, jaki mechanizm epoki naszej, zanim zmierzmy nasze zdolności w *utworach*.

Wspomnieliśmy o przedrukach. Od nich zaczniemy nasz przegląd.

Na czele znakomitych przedsięwzięć w Warszawie, stoi *Biblioteka starożytna pisarzy polskich* (1). Myśl do niej podał Kazimiérz Władysław Wojcicki. Myśl tę wcielił w czyn, chociaż niezupełnie, zasłużony nasz i przedsiębiorczy księgarz Orgelbrand.

Naturalna to bardzo myśl była, że „przy obecnym ruchu literackim”, jak się w prospekcie wyraził K. W. Wojcicki, zrobi się i dla czytającej publiczności, i dla literatury miła usługa, wydaniem dzieł znakomitych dawnych pisarzy; dzieł, „które przez swoją rzadkość, trudność do nabycia i zbyt wysokie ceny, jako do osobliwości przywiązane, przestały być dostępnymi ogółowi, będąc jedynie ozdobą księgozbiorów prywatnych”. Dlatego w zbiorze, który pod imieniem *Biblioteki* ogłaszał Wojcicki, miało się to jedynie znajdować, co warte było przedruku pod jakimkolwiek bądź względem. Wybór broszurek i dzieł zrobiony był naprzód. Książki, które tylko znamionowała rzadkość, nic więcej, — nie miały zajmować napróżno stronic w *Bibliotece*. Oczywiście także, *Biblioteka* nie miała być tylko przedrukiem dzieł wielkich, historycznej treści, kilku-tomowych. Chciała zrobić rzeczywistą przysługę dla literatury, a więc zajęła się przedewszystkiém broszurami. Dzieła większe, jak np. opisy panowań w guście Erazma Otwinowskiego, jak np. *Pamiętniki Paska*, nie miały wchodzić w skład *Biblioteki*. Dzieła takie zostawione były innemu przedsięwzięciu. Zbiór Wojcickiego miał dać poznać rzeczy mniejsze, a tém samym już ciekawsze i mniej znane, jak większe. Dzieła większe a) drukowane, są po księgozbiorach prywatnych: uczony więc, gdzie ich szukać, więc zresztą, jaka ich treść i znaczenie. Ale najwięcej, dlatego samego, cudów zawiera się pewno w broszurach. Taka jest mnogość tych broszur, taka ich różnorodność, że największy bibliograf, najzapaleńszy miłośnik literackich rzadkości, nigdy okiem swoim tych skarbów objąć nie potrafi, nigdy powiedzieć nie może, że widział *wszystko*, że słyszał choćby o całości. Zjawily się broszury w Polsce, razem prawie z pierwszymi drukami krakowskimi. Wojcicki pojmował ważność tych

(1) W Warszawie, w drukarni Chmielewskiego. 1843-4. T. I str. 360, II str. 313, III str. 292, IV str. 271, V str. 335, VI str. 347. Tom 1szy wyszedł w kwietniu 1843 roku: następne co 2 miesiące. Na pręnumeratę, oddział z 6 tomów złożony, kosztował złp. 45. Ogłoszenie Orgelbranda o wydawaniu *Biblioteki*, 24 lutego 1843 r.

broszur zupełnie tak, jak my ją pojmujemy, jak będą pojmować wszyscy, którzy zechcą głębiej wniknąć w tajemnice narodu. Charakterystykę broszur tak pięknie określił Wojcicki:

„W broszurach współcześni mówią, a mówią śmiało o tém, na co patrzali, co ich dotykało, na co im krew wrzała, co okrzyk pogardy lub radości wydierało. Na seciny można je liczyć: puszczali je i znamienici mężowie w literaturze naszej, i za poduszczeniem panów bazgracze: to stronnictwa różnych widoków, to najęci dowcipnisie. Słowem, co tylko piórem władać mogło, albo za głosem prawdy i serca idąc, albo w myśli, której chciano opinie zjednać, drukowano i rozrzucano, to po miastach, to na wózkach rozwożono po wsiach i na jarmarkach. Każda niemal wyprawa, każdy czyn wielki lub nikczemny, w broszurach znalazł swój rozgłos, swoje chwałę lub niestawę”.

I znowu:

„Z początku broszury zawierały pieśni nabożne, światowe; później opinia społeczna silnie w nich wsparcie znalazła. Ztąd ważniejsze chwile narodu, jego myśli, uczucia, głos większości, w broszurach odbił się wydatnie; ztąd życie historyczne już zamarte, zapomniane w kronikach, tam tleje dotąd pod pyłem wieków i zagubą. W tym ogromie świstków spleśniałych, grzmią satyry i paszkwile, a obok nich prawda i opinia. Rozpoznasz je łatwo i rozgatunkujesz, znając choć w ogólnych rysach dzieje swego narodu”.

Dzieła zatem większe dadzą nam wprawdzie poznać w ulamkach historią Rzeczypospolitej, ale nie dadzą poznać życia. Na dziełach tych odbiła się indywidualność autorów. Kochowski kiedy Klimaktery pisał, zapatrywał się na wypadki jak zechciał, to jest: jak mógł i jak potrafił. Gruppował zdarzenia podług swego widzimisie, podług raz z góry nakreślonego planu. Tak pisał i dzieje czasów po-Jagiellońskich Fredro, i historią Wazów Kobierzycki, że nie wspomnim o innych. Wszyscy ci autorowie, patrzyli na wypadki przez szkiełko swoich uprzedzeń, i dlatego jednostronnie wystawiają przeszłość. Ganią to, co może naganem nie było, chwala to, co może pomiędzy ogółem narodu nie zyskiwało spólcucia. W broszurach dopiéro, pisanych z powodu rozmaitych wypadków w państwie, w broszurach znajdziemy prawdę, bo różnostronność. Broszury zaświadczenia o życiu społecznem, o życiu chwili. Zapewne, i w tych książeczkach małych niezawsze prawda, czasami namiętność, ale też i rozmaita namię-

tność. I kiedy np. historyk na większą skalę, podług swoich pojęć, gani albo chwali zamiary Maryi Ludwiki, która chciała dla męża siostrzenicy zbudować dziedziczny tron polski, a tém samym zdradza myśl własną, pokazuje do jakiego należał stronnictwa: broszury dopiero pokażą nam dowody za i przeciw zamiarom królowej, i z nich będziemy widzieli jakie było usposobienie narodu. Weźmy drugi przykład. Kiedy stronnik Leszczyńskiego będzie ciskał pioruny na biskupa Hozyusza, że Augusta królem ogłosił, na Lipskiego, że go ukoronował: drugi wskaże nam dowody, że elekcyja Leszczyńskiego przyczyniła się tylko do zguby Rzeczypospolitej. I czytając tę masę broszur o jakimkolwiek wypadku, zdaje nam się, że jesteśmy przytomni obradom całego koła sejmującej w Rzeczypospolitej szlachty. Jeden podaje głos za wnioskiem, drugi *przeciw*, ścierają się i walczą stronnictwa, a po większości tych głosów za jedną lub drugą stroną, widzimy usposobienie ogółu.

Doprawdy, ta masa broszur jest tak ciekawą, godną poznania, studyowania, że raz wpadłszy na ten trop, nie prędko byśmy się może rozstali z naszą myślą, i w długie puścili się rozprawy o wartości, znaczeniu i treści broszur. Jeżeli nie nasze pojęcie, które o nich sobie tworzyliśmy *à priori*, to same przykłady wystarczą na okazanie ich ceny. Maciejowski z broszur utworzył piękne dzieło, które nam w historycznym rozwoju wskazuje na obyczaje dawne i sposób życia. Z broszur dzisiaj pełną ręką czerpią nasi dziejowi pisarze, którzy chcą powiedzieć coś nowego dla ogółu, więcej jak powiedziały kroniki i którzy chcą zbudować dzieła, zasługujące na dłuższe życie. Broszury wydają uczeni, a Kraszewski tworzył kiedyś nawet plany do ogromnej *Ikonotheki*. Wszyscy pojmują tę prawdę, że broszury powiedzą nam wiele, ogromnie wiele, jeżeli jeszcze nie wszystko.

Wojcicki nie przestawał jednak na broszurach, i chciał urozmaicić swoje *Bibliotekę*. Dlatego całe przedsięwzięcie na cztery wielkie działy rozciął: na literaturę, historią, pomniki języka, bibliografią. Pod literaturą miały się mieścić tylko przedruki z broszur i dzieł dawnych poetów naszych. Historia miała zawierać po większej części pomniki z rękopismów dotąd zupełnie nieznanne, albo także przedruki broszur rzadkich. W oddziale pomników języka, było miejsce dla pieśni najdawniejszych polskich, dyplomatów, starych zabytków. W oddziale nareszcie bibliografii, Wojcicki chciał opisywać dzieła, broszury i rękopisma rzadkie, któreby nie znalazły miejsca w poprzednich działach Bi-

blioteki. Zaobszerny to był może zakres dla pięknej myśli, bo myśl ta ubiegała się za całością wtenczas, kiedy dosyć było dla niej szuplejszych granic. Narzekać nie można na zamiar, ale za to narzekać musim na wykonanie. Bo w takim ogromie przedsięwzięcia, nie można było doprawdy zrobić trafnego wyboru, taki właśnie wybór zapowiadał Wojcicki. Ubiegając się za nowością, chcąc drukować rzeczy nieznanne z rękopisów, wydawca Biblioteki zapełnił piękne swoje wydanie rzeczami mniej poważnej treści i mniejszego znaczenia. Tymczasem zamiast artykułu: *Szwedzi w Polsce* (tom 1), albo artykułu: *Panowanie króla Jmci Stefana Batorego* (tom 6), chociaż rzeczy zupełnie nieznanych, wolelibyśmy przedruki takie, jak np. *Zwierciadło żywota Krzysztofa Pieniążka* (tom 1). Dalej, gdzie oznaczyć właściwe granice pomiędzy literaturą, historią, pomnikami, a bibliografią? Wszystko co tylko było pisane, jest już pomnikiem języka, a należy razem i do historii i do literatury. W samej Bibliotece znajdujemy poezye, sielanki, satyry, które wybornie charakteryzują ducha czasu i namiętności, a więc w oczach naszych są utworami, które cytować będzie historyk, formą jednak obrobienia swojego, artystycznością, a może błyskotkami chwilowemi tylko należą, jeżeli nie do poezyi polskiej, to zawsze do dziejów literatury ojczystej. Więc zabytek np. z XIV wieku ma należeć do pomników języka wtenczas, kiedy wiersz taki, jak *Merkuryusz nowy wygranój Sobieskiego*, należeć będzie do literatury? Sam pan Wojcicki uprzedza czytelników swoich, że forma wierszy była u nas bardzo ulubioną, i tłumacząc się z tego powodu na zarzuty, które mu robiono, że Biblioteka zajmuje więcej poezyi jak prozy, powiada: „że ludzie, co mu robią ten zarzut, na nieszczęście żadnego wyobrażenia o starożytniej literaturze swojej nie mają, gdyż ta najbogatsza jest właśnie nie w poezye, ale w mnóstwo dzieł wierszem pisanych”. Mówi dalej: „Czy to poważny historyk dzieje swego narodu opowiada, lub zdarzenia i wyprawy, których sam był świadkiem, czy gospodarz-myśliwiec dla drugich naukę podaje: nie prozą, ale wierszem pisze“ (tom IIIci, str. 9). Jeżeli zatem, na co się bardzo zgadzamy, prawdą jest, że ogromna część dawniej literatury polskiej, zawiera się w broszurach i rękopismach wierszowanych, pytanie: do jakiegoż oddziału, czy literatury, czy historii, czy pomników języka, policzy te utwory zacny wydawca? Wiersz, co opisuje wyprawę, należy do historii, a może formą wyrażenia należeć do poezyi; zawsze przecież będzie pomnikiem języka, za-

wsze przecież będzie utworem literackim. Śmiesznie byłoby czas brać tutaj za normę do gatunkowania broszur i rękopismów: na pomniki języka, na literaturę i na historię.

Podziały zatem Wojcickiego nie były w naturze dzieła, zostały też w przedmowie tylko, jako znak, że szanowny i zasłużony wydawca Biblioteki zamyslał o jakimś planie, o systemacie. Porobiono oddziały *à priori*, a one nie były w istocie rzeczy. Jeden doprawdy tytuł nie raził wcale nielogicznością ogólnego pomysłu: tym tytułem, była bibliografia. My, cośmy już przywykli, czytać wiele artykułów bibliograficznych Wojcickiego, artykułów, w które kiedyś dla dobra swojego i wartości literackiej, tak obficie uposażyła się Biblioteka Warszawska, nie mogliśmy być obojętni dla chęci szanownego wydawcy, który pragnął nas znowu zaznajamiać z rzadkimi cudami dawniej literatury, bo wiedzieliśmy że ich taką moc posiada. Wojcicki, przyzna mu to każdy, pisząc o jakiegokolwiek rzadkiej i dawniej księdze, umiał nas poznać z jej duchem, z jej treścią, z jej znaczeniem ogólnoliterackim. Był czas, kiedy jeden tylko Wojcicki roztwierał nam ciągle przed oczami nowy obraz, pokazywał nowe dzieło, o któreśmy dopiero raz pierwszy z ust jego słyszeli. Nie ubliżamy bibliomanom: oni dusili księgi w tajemnicy i znali się tylko na ich okładkach i wydaniu; ale Wojcicki zapoznawał nas z treścią dzieł i broszur. Z miłości swojej dla tych drobnych a dawnych pomników literatury, pierwszy może najszerszej zasłynął u nas, i im zapewne winien pierwsze pomysły swoje kroki w zawodzie literackim. Kiedy się zjawił Wojcicki w gronie piszących, każdy jego artykuł swojski, a gorący miłością życia przeszło-rodzinnego, powiadał o czémś nowém, czego nie znał ogół, a co Wojcicki w broszurach wyczytał. Nie mówimy, żeby te pierwsze drobne prace w nowym zawodzie, któremi sobie pracował na imię Wojcicki, do dziś dnia przetrwały; ale mówim to, że on w młodzieńczych nawet latach swoich, pojął rozumem ważność tej małej, że się tak wyrazimy, literatury; a później, kiedy dojrzał w swoich pojęciach, on pierwszy stosownie do światła wieku i potrzeb naszych, obznajmiał nas dokładnie z dawnymi piśmami. Wojcicki tak potrafił sok wycisnąć z dziełek, które nam w bibliograficznych rysach swoich przedstawiał, tak potrafił odszukać w tych dziełkach treści, tak umiał znaleźć wybitniejsze miejsca i tak je dobrze zalecić: że doprawdy, każdy, kto sympatyzował tylko z tą małą dawną literaturą, powinien się być ucieszyć z tego poddziału bibliografii, bo wiedział zawczasu, że nie

znając książki, nie widząc jój nawet, nabędzie o nią dokładnego wyobrażenia z opisu jój treści i powierzchowności.

Bo zresztą, oprócz tego podziału bibliograficznego, cały plan Biblioteki Starożytnej, jakieśmy go tutaj podali, uderzał nielogicznością. Nawet sam tytuł ogólny zbioru, nie odpowiadał przeznaczeniu zbioru. *Biblioteka Starożytna pisarzy polskich*, to w naszym rozumieniu znaczyło coś nakształt wydania *Wyboru pisarzów Mostowskiego* i *Biblioteki kieszonkowej Bobrowicza*. Mostowski i Bobrowicz przedrukowali dzieła XVIII wieku; z tytułu tylko sądząc, zdawało się, że pan Wojcicki przedrukuje Kochanowskich, Miaskowskiego, Fredra, Skargę, Strykowskię: mówców, poetów i historyków. Tymczasem miała to być biblioteka broszur, nie więcej. I w samej rzeczy: prócz poematów Zbylitowskiego, prócz Rysińskiego przypowieści, tragedyj: *Jestes*, i Jagodyńskiego: *Wybawienia Ruggiera z wyspy Alcyny*, nie ma tutaj nic w całym tym zbiorze, coby usprawiedliwiało tytuł *Biblioteki pisarzy polskich*. W przedrukach spotykamy mało znane, a może i wcale nieznane imiona Pieniążka, Broniewskiego, Makowieckiego: imiona, które dotąd przecie nie były objęte jeszcze żadnymi dziejami literatury. Są to oczywiście pisarze i pisarze polscy, ale tacy pisarze giną w tłumie innych, a często z imienia i za życia swojego są nieznani światu: a jakże być mają znani po śmierci w dwa, w trzy wieki? Rzadko która broszura należy do prac literackiego rozgłosu. Broszury pokazują tylko usposobienie, nastrojenie ducha narodu w pewnej chwili; ale przecie nie zważą tyle na szali piśmiennej, żeby aż kronika literatury notowała je na swoich stronnicach, jako świeczniki myśli narodowej. Niekoniecznie więc pisarze broszur, są pisarzami z powołania, niekoniecznie są światłami, pokazującemi światło narodowe. Szanowny wydawca w żaden sposób nie mógł sądzić, że przedrukowując broszury, daje powszechności *Bibliotekę starożytną pisarzy polskich*. Bo broszury spisywać może bibliografia i spisuje, a bibliografia dostarcza tylko materiału do dziejów literatury, ale sama przecie literaturą nie jest.

Gdyby Wojcicki nie rozdrabiał przedmiotu i w Bibliotece Starożytnej dał nam li tylko przedruki broszur ciekawych, albo gdyby rzuciwszy broszury, starał się wydawać to, co tylko jest dotąd nieznane, a spoczywa jeszcze w rękopismach: mielibyśmy w 24 tomach, bo tyle ich zrazu zapowiedział, całe massy pięknych i ciekawych wiadomości. Ale tak jak jest dzisiaj, nie spełnił oczekiwań; dał nam wprawdzie broszur kilka, dał nam i rękopi-

smów kilka, ale myśmy się więcej spodziewali po tém piękném przedsięwzięciu. Bo cóżto za myśl cudownie oryginalna, cudownie szczęśliwa! Jedna już taka myśl drukowania broszur, zamieniona w czyn stanowić może przedsięwzięcie, co nie na rok, nie na dwa, ale na dziesięć zajęćby mogło chwile uczonego człowieka. 24 tomy, 48 tomów, 100 tomów, to byłoby jeszcze wszystko za mało. W takim broszur ogromie znaleźlibyśmy wiele rzeczy, ze wszech miar zasługujących na przedruk. Nie potrzebowalibyśmy byle co drukować, wybieralibyśmy tylko to, co wybitniejsze, co szlachetniejsze myślą, co jest cudniejsze formą obrobienia. Byłaby to prawdziwa biblioteka historyczna, a w téj bibliotece możebyśmy wiele i dla dziejów literatury znaleźli. Boć wszakże i Pamiętniki Paska pokazały nam niedawno nowego i znakomitego pisarza.

Wojcicki uchybił powinnościom swoim, jako wydawca. Nie dał nam ani biblioteki starożytnej pisarzy polskich, ani szeregu broszur, nie pomnożył też dziejów naszych wielą nowemi wiadomościami z nieznaných rękopisów. Dał nam wszystkiego potroszku, ale dał tak mało, że doprawdy płakać potrzeba po Bibliotece starożytnej, że tyle pięknych zawiodła nadziei. Zamiast 24 tomów, skończyło się na sześciu. Tak jak jest dzisiaj, zostaje tylko przy Wojcickim zasługa, że pierwszy myśl chciał zamienić w skutek, i zamienić na ogromną skalę.

To jednak, co nam dał w tych sześciu tomach, ma swoje znaczenie przecież i wielką wartość. Nie narzekamy więc wcale na Wojcickiego; wyrzucić jednak musieliśmy tyle zasłużonemu u nas pisarzowi, że źle się wziął do rzeczy, że naraził przedsięwzięcie. Zdaje się nawet, że jakby mu materiałów brakowało, tak pod koniec tych sześciu tomów zapychał Bibliotekę rzeczami mniej ważnemi, obojętnemi nawet. A to jednak przecie zarzut nieprawdziwy: Wojcicki mógł śmiało całą nadrukować Bibliotekę w kilkudziesięciu tomach.

Nie podług podziałów, jakie zakreślił Wojcicki, będziemy przeglądali treść jego Biblioteki, bo te podziały, jak powiedzieliśmy, są dziwne. Myśmy sami nie potrafili na te podziały rozgatkować wydrukowanych dzieł i artykułów w Bibliotece, jak ich nie potrafiłyby pewnie rozgatkować i sam wydawca. Rozpatrzmy więc zbiór Wojcickiego pod dwojakim względem: zobaczymy, co nam dał w przedruku, i zobaczymy, co nam udzielił z nowych rękopisów. Z przedruków ocenim zasługi wydawcy, co zrobił dla

swojej obietnicy, że starą literaturę nieznaną i drobną ukaże nam i potomności naszej. Zobaczymy też, co nowego do skarbów dziejowych przysypały nam rękopisy, które posiadał Wojcicki, a które pierwszy dał poznać uczonemu światu. Obok tego zobaczymy też, jakie nam dzieła pokazał w bibliografii, i ile pod tym względem dobił się nowej zasługi. Bo na te trzy podziały, podług nas, rozpada się Biblioteka, a nie na tamte cztery, jak chciał szanowny wydawca.

Ciekawsze są broszury. Od tych zaczniemy.

Podług porządku chronologicznego, wypada naprzód mówić o Prawie Bartném (tom IV, str. 217—271) (1). Nadzwyczaj wielkiej wagi jest dla nas ten pomnik. Krzysztof Niszczycki w połowie XVI wieku, zebrał odwieczne prawa i zwyczaje, któremi się Kurpiowie od niepamiętnych czasów rządzili, obłócił je w pewną formę, dodał formuły, zwyczajne za jego chwili sądownictwu polskiemu, przezwał tę pracę swoje *prawem*, bo za prawo własne zwyczaje uważali zawsze Kurpie, i wydał je na widok publiczny, nietylko dla pamiątki, ale i dlatego, ażeby od jego czasów bartnicy mieli prawo pisane, do którego, w razie potrzeby, mogliby się odwoływać przed własnymi, sądami i własną sprawiedliwością. Rzecz to właśnie nie z jednego powodu zasługująca na uwagę. Prywatny obywatel, mając w dobrach swojego starostwa osiadłych bartników, przez nikogo nie upoważniony, pisze dla nich prawa, które potem mają pomiędzy bartnikami moc, jakby rządową. Bo nie wątpimy wcale, że na ustawy Niszczyckiego powoływali się w sporach wzajemnych bartnicy: nie wątpimy, że podług tych ustaw wymierzała się sprawiedliwość, lubo żaden sejm pracy starosty nie potwierdził. Niszczycki był jakby ojcem tej rodziny w lasach, jakby patriarchą za życia. Po jego śmierci, jego władzę dobroczynną i wpływ powinniby odziedziczyć po kolei starostowie przasnyscy; ale jednak nie wiemy, czy ją rzeczywiście mieli. Niszczycki kochał ten lud pracowity, bo widać długie z nim strawił lata pośród puszczy Myszenieckiej, bo widać, że często gwarzył ze starcami i z ust ich wyjmował drogie dla siebie wiadomości, które potem w prawny snopek uplątał. Ztąd też Niszczycki więcej

(1) Prawo Bartne, bartnikom należące, którzy według niego sprawować się i sędzić mają, jako się niżej opisze, do Starostwa Przasnyskiego przez Wielmożnego Jmci Pana Krzysztofa Niszczyckiego, Przasnyskiego, Ciechanowskiego Starostę etc. pana miłościwego postanowione, in anno Domini 1559.

poznany, zajmie znakomitsze stanowisko wpośród społeczeństwa swojego czasu. On, szlachcic, nie wahał się zniżyć do ludu i pracował dla ludu. Myśmy szczęśliwi i dumni, że możemy wskazać na fakt taki w dziejach naszych, i to jeszcze w połowie XVIgo wieku.

Ustawy Niszczyckiego dlatego przezwane są *Prawem bartném*, że Kurpie w puszczech wielkich ponad granicami Prus książęcych, zajmowali się nietyle myśliwstwem, co hodowaniem pszczół po lasach, a najważniejszą część ich majątku stanowiły barcie. Dla historii Kurpiów, którą nie wątpimy, że ktoś z większym postępem naszej literatury napisze, Niszczyckiego ustawy będą skarbem nieocenionym. Prawo bartne w dziejach Kurpiów stanowić będzie epokę.

Widać z tych ustaw duch starożytny gmin słowiańskich; widać, że ustawy te odległej sięgały starożytności; widać, że cywilizacja ówczesna Polski jeszcze nie sięgła do przasnyskich i ciechanowskich lasów, i nie zmroziła dawnych uczuć, kiedy w całej świeżości i wdzięku, zachowały się aż do czasów Niszczyckiego, w niedostępnych i pełnych zwierza dzikiego puszczech, starodawne i szanowne zwyczaje. Widać, że ta cywilizacja mało wiedziała o Kurpiach, mało się nimi zajmowała, kiedy nie naród na sejmie stanowił dla nich prawa, ale najbliższy ich dozorca, jakby władca, starosta przasnyski. We wszystkiém téż, w każdym artykule ustawy widać, że to dawna była rzeczpospolita, nietroszcząca się o świat cały, a tylko myśląca o swoich lasach i pszczołach.

Oczywiście z prawa samego, najwyższy rząd w puszczech, jako namiestnik królewski, zostawiał sobie starosta przasnyski; ale z ramienia swojego dla bliższego dozoru i wymiaru sprawiedliwości, ile że sam często zajmować się musiał rzeczą publiczną, wyznaczał starostę bartnego, który miał być koniecznie szlachcicem, osiadłym oddawna właścicielem w puszczech. Cała gmina bartna obierała prócz tego dwie osoby na sędziów i dwie na pod-sędków. Starosta przasnyski z téj listy wybierał dwa tylko imiona. Tak, starosta bartny mianowany, a sędzia i pod-sędka obrani, stanowili starszą gminę. Wszyscy ci trzej urzędnicy przysięgali, że wiernie prawa przestrzegać będą. Starosta bartny wyznaczał jeszcze dwóch podstarości, jednego do Przasnysza, drugiego do Ciechanowa. Podstarości przysięgał również, a pełnił też same obowiązki, co instygator w Koronie, to jest: pozywał, re-acye w sądzie czynił, towarzyszył sprawdzaniom rozmaitych for-

malności sądowych, odbierał podatki bartne dla starosty ziemskiego i mostów doglądał. Był jeszcze pisarz bartny: „persona jawna, godna ku spisowaniu spraw sądowych, jasnymi, własnymi, nietrudnymi i wyrozumnymi słowy”.

Dla wszelkich czynności prawnych, służyły księgi bartne; księgi te zastępowały grody i ziemstwa dla Kurpiów. Chował je u siebie starosta bartny w skrzynce dobrze warownej, od której klucz miał jeden z Kurpiów, obrany do tego umyślnie przez całą gminę bartną. Do ksiąg tych zapisywały się wszelkie rozporządzenia majątkowe Kurpiów, testamenta, zapisy, legata, kontrakty kupna i sprzedaży, darowizny: i dlatego księgi te miały zupełną moc prawa, jakby konstytucye sejmowe. Widać, że księgi bartne od niepamiętnych czasów były utrzymywane. Niszczycki wyraźnie wspomina, że i stare i terażniejsze sprawy przasnyskie są w jedne akta wpisane.

Roki bartne zwyczajne całego starostwa przasnyskiego, od niepamiętnych czasów sądziły się w dwóch miasteczkach: w Ciechanowie co wtorek, w Przasnyszu co czwartek. Roki te utrzymał prawodawca. Zasiadali na nich wybrani od gminy. Apellacya od nich szła do roków walnych, które znowu według starożytnego obyczaju, odbywały się w Przasnyszu corocznie na św. Wojciech. Na rokach tych zasiadał sąd przasnyski, urząd ciechanowski i starosta bartny, każda osoba pod winą trzech grzywien. Bywał na rokach walnych i subdelegat starosty głównego ziemskiego. Od tych roków szedł jeszcze odzew do samego pana starosty, który w sprawie ostatecznie wyrokował, bo wyżej prawo nie dopuszczało apellacyi, z téj wychodząc zasady, że u dworu „z trudna kto wie prawo bartne; kto zaś tego świadom, zrozumieć ma, że ani majdeburksiém, ani prawem ziemskiém, ale *ex antiquo usu* prawem, bartnicy sądzić się zwykli“. Był i czas wolny od sądzenia roków bartnych, gatunek dzisiejszych feryj sądowych; czas ten trwał od św. Małgorzaty aż do św. Bartłomieja. We czwartek po św. Bartłomieju zaczynały się sądy na nowo, i trwały aż do niedzieli Białej. Odtąd znowu do niedzieli Przewodniej, następowały ferye. Samo z siebie wynika, że w dni uroczyste sądów także nie było. Na rokach przasnyskich i ciechanowskich z obowiązku bywać zawsze musiał bartnik, który miał klucz od ksiąg bartnych.

Ciekawe są téż szczegóły o sposobie, jakim się popełniało to szczególne i interesujące bartników bractwo. Widzimy, że

nie jedne ciągle osoby je składały, syn po ojcu, wnuk po synu; ale że w grono rodzinne wchodziły osoby obce, których prawo *przychodniemi bartnikami* nazywało. Nowowchodzący powinien był przed urzędnikami bractwa wywieść ród swój, pochodzenie i zatrudnienie dotychczasowe: metrykę dlatego prezentował przed sądem, a sposób życia poprzedni udowodniał świadkami. Nie miał miejsca pomiędzy zacnemi bartnikami człowiek, któryby miał np. „urodzenie niedobre, jako z bękartów spółdzony, albo też bękart sam, albo gdyby po jego rodzicach zła sprawa była jaka“. Prawo zastrzegało: „takowy nie ma być przyjęty między bartniki; wszak to kąkol lubo zielsko, oset z wszelakiego zboża wyrrywają, aby zboże czyste było; tak też, aby bartnicy między sobą tak złodziejów, jako bękartów nie mieli“. Jeżeli się z tych zarzutów oczyścił przychodzić, wtedy składał przysięgę, iż chce być wierny i posłuszny staroście bartnemu, sądowi jego i juryzdykcyi bartnej, iż tajemnic bractwa nikomu nie wyjawi, iż opierającym się prawu nie poda otuchy, ale go poniży, i że to wszystko czynić i spełniać będzie, „co należy ku pożytkowi i rozmnożeniu bartnemu“.

Kurpie płacili mały podatek do starostwa przasnyskiego z części swoich w lasach, które *borami* nazywali. Podatek nazywał się *nadstawą*. Odwoził każdy bartnik tę nadstawę do wsi, na miejsce wyznaczone przez starostę bartnego, w dzień św. Michała. Od boru dawało się miodu *po rączce* i pieniędzy według starodawnego zwyczaju: „co nazywają *izunowe* (?)“. Niszczycki znosił tą razą zwyczaj, że co roku w inne miejsce zwozili bartnicy nadstawę. Oznaczyć teraz chciał jedną wieś raz nazawsze, ale w ustawach nie ma tego oznaczenia. Przy tej okoliczności spotykamy w prawach Niszczyckiego jeszcze jeden patryarchalny zwyczaj, który także charakteryzuje to ciekawe bractwo bartnicze. Odwozić nadstawę i stawać do sądu na dzień śś. apostołów Szymona i Judy, jako też św. Stanisława biskupa, powinni byli wszyscy razem bartnicy w gromadzie. O nieobecnych sądzono, że szkodę w boru czynić myśli. Chyba jakie przeszkody miał do tej wspólnej wszystkim spółbraciom podróży: albo się żenił, albo chował kogo, albo sam ciężką złożony był chorobą. Wtenczas przez dobrego i sprawiedliwego bartnika opowiedzieć się powinien był w sądzie. Gdyby w czasie nieobecności bartnika wtenczas, kiedy wyjechał z nadstawą albo na sądy, stała mu się w boru jaka szkoda; ten, corazem z innemi nie jechał z domu, a został

w lasach: „bez żadnej wymówki“ miał być karany, jako sprawca szkody; wyłączali go z grona swojego bartnicy i bór miał mu być odjęty, ażeby się więcej nie ważył z powrozami chodzić do boru. Wyrok ten zapisywano w księgach, a podstarości bartny publicznie ten wyrok po borach ogłaszał. Uporny mógł być nietylko na sośni, ale w domu nawet uwięziony i sądzony, jako zło-
czyńca. Na żadne jego przysięgi i zaklęcia nie zważano, jeżeli chciał tém dowodzić swojej niewinności, „bo zwyczajnie każdy złodziej szubienicy się odprzysięga“. Przysięgę przyjmowano li tylko od bartników, w dalekiej drodze zbłąkanych, albo tych, co doznali jakiej przeskody. Wtenczas uniewinniający stawiał 7 dmiu świadków i odprzysięgał się, ale w każdym razie płacił 10 grzywien kary sądowi i od każdego świadka po groszy 12. Poszkodowanemu płacił obwiniony według tego, jak podstarości bartny i przy nim dwóch bartników z sądu naznaczonych do widzenia szkody, całą tę szkodę ocenili i zważyli.

Doprawdy wszystko w tych ustawach Niszczyckiego jest dla nas nowością, chociaż to już trzecie wydanie tych ustaw dał nam Wojcicki w *Bibliotece Starożytnej*. Wydanie drugie wyszło w roku 1730; pomimo tego jednak księga Niszczyckiego jest tak rzadka, że i biblioman niezawsze z nią spotkać się może. Dlatego z radością witamy to *prawo bartne*, które nam nowy, nieznanym prawie świat stawia przed oczy. Kochaliśmy Kurpiów; wiedzieliśmy, że celni są z nich strzelcy, podziwialiśmy ich męstwo, granice ludzkiego męstwa przechodzące, w krwawej walce z Karolem XII, który pierwszy z nieprzyjaciół kraju, nawiedził lasy myszenieckie. Walka ta właśnie zwróciła na Kurpiów oczy dziejopisarzów. Przyjemnie nam teraz napotkać ślady ich dawniej cywilizacji, w której może i niejeden szczegół sięga jeszcze czasów pogaństwa. Od wieku XVI do dziś dnia zmniejszały się wielce te puszcze, osiadłe ludem poczciwym i rządym, myśliwym i bartniczym, a przecież i znakomicie wojennym. Puszcze te rozciągały się do Przasnysza i Ciechanowa jeszcze za Niszczyckiego; dzisiaj ścisnęły się tylko około Myszeńca i Ostrołęki. Za Niszczyckiego i nazwiska Kurpiów jeszcze nie znano, a pisano tylko prawo dla *bartników* w puszczech. Kurpiami, późniejsze już czasy nazwały mieszkańców tych puszczy ciechanowskich. Dzisiaj to już historyczne i wsławione nazwisko. Dobrze więc, że poznaliśmy prawa tego ludu, bo te prawa odkryły nam jakby wyspę nową i piękną, na oceanie dziejów polskich.

W kilku jeszcze słowach zamkniemy treść księgi Krzysztofa Niszczycykiego.

Przedewszystkiém zajmowało go prawo i dawne zwyczaje. Przedewszystkiém zacny starosta przasnyski chciał zapobiedz sporom bartników, i dlatego daje nam wiele przepisów, oznacza nam wiele formalności prawnych, bez ścisłego zastanawiania się nad samym ludem, jego stanem obecnym i jego przeszłością. Dlatego pisze o świadkach, o jednaniu przed żałobą, o złodzieju zdybanym przy cudzym pszczałniku, o złodzieju siana, o wycinającym dąb cudzy (sosnią zawsze dąb Niszczycycki nazywa), o kradzieży czółna, pieńka, strawy, garnka i powroza. Na każdy wypadek, zwyczajowe prawo inne stanowiło przepisy. Dalej Niszczycycki mówi o rojach i zadziałkach. Dalej jeszcze wdaje się w sprawy dziedziczenia majątków leśnych. Mówi o spadkach na wdowy, o dziewczkach dziedzicznych, o spadku na męża po żonie, o składzie bordów, o sierotach i opiekunach. Potém następują artykuły o długu zapisanym i niezapisanym, o rękojemstwie, o długu letnich dzieci, o wdowie zadłużonej.—O złoczyńcach ciekawy bardzo artykuł: „Gdyby jaki złoczyńca, na puszczy szkodę czyniący, był pojman, mówi prawo, tak, żeby gardło utracić zasłużył; na takowy akt mają podstarościowie bartni wszystkie bartniki zezwać, do którego sąd bartny obojga miastek ma zasieść z bartniki godnemi wiary i bogoboju, a prawo rozumiejącemi; a iż jest rzecz wielka, kwapić się o sędzenie na śmierć człowieka, dla którego Pan Bóg wszechmogący krew swoje najświętszą raczył przelać, tego najpilniej potrzeba, aby do takowego aktu sąd bartny wezwał do siebie sądu prawa majdeburckiego miasteczka onego, w którémby się sąd odprawował nad złoczyńcą”. Wyrok wypadł na powieszenie, bo w lasach ta kara śmierci najprzyzwoitsza. Podstarości wyrok ogłaszał, a wykonywał go mistrz z miasteczka, gdyby nie było mistrza, sami bartnicy. Wszyscy wtenczas rękami brali za powróż, na którym miał wisieć złoczyńca, biorąc niby przez to na siebie odpowiedzialność za wyrok. Potém zpośródka siebie dwóch wybierali, którzy mieli powinność zawiesić występnego na drzewie. Obrani wymawiać się nie mogli od téj smutnej posługi, ale sprawiedliwój: „bo im to szkodzić nie może ani przed Panem Bogiem, ani téż na sławie“. Prawo, które w każdym kroku swoim, chciało zgody między bartnikami i które im zawsze jedno i w jednymże czasie dla tego celu zatrudnienie przepisywało, stanowiło znowu, że nieobecny przy spełnieniu wyroku bartnik, uwa-

zany był za będącego w porozumieniu ze złączywą. Tracił więc bór i pszczoły, a ta konfiskata dotykała razem i żonę jego i dzieci.

Daléj przepisywał Niszczycki, że sędzia nie wedle wiadomości swojej, ale wedle zeznania stron sądzić ma. Starosta bartny, sędzia i podsędek w sądzie bartnym odpowiadać winni. Gdyby który z nich nie zasiadł do sądu, winny miał być skarany i płacił wtedy trzy grzywny. Przy sądzie uczciwość ma być zachowana. Sąd miał trzeźwo sądzić. Daléj następowały przepisy co do kary, jeżeli kto sąd naganił, albo się ręką na sąd targnął, albo mu nałajał, albo naszedł go z bronią w rękę; że opuścim wiele jeszcze tytułów. Były tam przepisy o pozywaniu, o zapłacie od pozwu, o zeznaniu fałszywém, o niestaniu na pozew, o przedawnieniu, o sprawdzeniu na gruncie, o przeniewierzeniu się świadków i pisarza. Kończył ustawy artykuł: wina o rany, o razy krwawe.

Ze Niszczycki nic a nic swojego do tych ustaw nie dodał, że wszystko zebrał ze zwyczajów i z podania, widać to z każdej stronnicy prawa bartnego. Ciągłe powtarza, że to a to postanowił gmin bartny, że to a to sięga niepamiętnych czasów, że to a to uświęcił obyczaj stary. Na początku nawet zeznaje, że prawo wydał „za oznajmieniem i suppliką całej juryzdykcyi bartnej, do starostwa przasnyskiego należącój“. W takim razie, sam Niszczycki stawiał się w położeniu człowieka, nie prawodawcy, a spisującego, redagującego dawne zwyczajowe prawo: Żałować tylko musimy, że wcale nieszczególna ta redakcyja, że nie ma wcale w niej porządku, że materye poprzerywane, że nawet niejasno wyraża się, i to nie w jedném miejscu, Niszczycki. Ztąd nie wiadomo, czego z pewnością się trzymać. Ale zawsze ogół, całość tych praw, jest precudownym dla dziejów nabytkiem. Błogosławić potrzeba pamięć starosty, że nie wprowadzał w prawodawstwo leśne nowych zwyczajów, że tém samém od zmazy cywilizacyi zachował całą oryginalność bractwa bartniczego. Bractwo to religijne i poczciwe było. Nie miało pojęcia o wielkich zbrodniach na świecie, kiedy prostą kradzież, albo łupież w pszczelnikach, śmiercią na drzewie karało.

Napomknąć téż musim, że Krzysztof Niszczycki, starosta ciechanowski i przasnyski, który roku 1559 prawa zebrał dla bartników, niekoniecznie mógł być wojewodą bełzkim, jak o tém, na mocy podań Niesieckiego, zapewnia nas szanowny wydawca *Biblioteki*. Sama prosta rachuba czasu pokaże, że to niepodo-

bieństwo. Krzysztof Niszczycki, który był kasztelanem raciążskim i koło r. 1619, nie pierwój, został wojewodą bełzkim, nie może być jedną i tą samą osobą, co starosta. Od roku 1559 do r. 1619 upłynęło lat 60. Przypuścićby zatem chyba należało, że Krzysztof w roku życia 20tym najpóźniej wydał prawo bartne, jeżeli zastanowimy się, że umarł dopiero po r. 1620. Kiedyż więc zbierał to prawo, kiedy go układał? Wypadnie, że w latach bardzo dziecinnych. Albo więc Krzysztof, twórca prawa, nie był Krzysztofem wojewodą bełzkim w r. 1620, albo był znacznie pierwój tym wojewodą, jeszcze przed r. 1620. Niesiecki powiada, że w roku 1597 umarł Piotr Niszczycki wojewoda bełzki. Może ten Piotr jest Krzysztofem, przez zmyłkę imienia, albo może ten Krzysztof był wojewodą w jakim innym czasie, o którym nie wie Niesiecki. Może być wreszcie, że Krzysztof starosta z r. 1559 i Krzysztof wojewoda z r. 1620 jest jedną i tą samą osobą, ale w takim razie prawodawca bartników musiałby żyć lat przeszło 90, prawie całe stulecie. W aktach metryk koronnych (księga 114) znaleźliśmy, że 2 maja 1576 roku król Stefan, Krzysztofa Niszczyckiego, który był wojewodziecm plockim, mianował starostą w Przasnyszu. Może ten szczegół rzuconą tu okoliczność objaśni.

Nie powiemy tyle dobrego o *Kronice sławnej pruskiej ziemi*, księdza Marcina Muriniusza (tom IV, str. 7—204) (1). Prawdziwa to kronika, a raczej jeszcze—tylko niedołączna kompilacya kronik, a więc już książka drugiej ręki, pośredniego pochodzenia. Ksiądz Murinius starannie zebrał wszystkie bajdy i plotki o dawniej pruskiej ziemi, a nie miał tyle krytycznych zdolności, tyle dziejopisarskiego na rzeczy poglądu, żeby w tej massie niejednoznacznych i omylnych podań, potrafił odróżnić prawdę od fałszu, a nawet i wskazać choćby na pozór prawdy. Etymologiczne wywody i erudycya z czasów rzymskich i greckich była wtenczas w modzie. Ksiądz Murinius téż seryo powiada, że Prussyasz, król Bitynii, którego Hannibal namówił do wojny z Rzymianami, zwyciężony i z państwa swojego wyzuty, przybył do Ulmigamii, która na jego cześć, odtąd Prusami się przezwała. Ubodło sumienie historyczne Muriniusza drugie podanie, że Bruten pierwsi pano-

(1) *Kronika, albo krótkie z kronik rozmaitych zebranie, spraw potocznych ziemi zdawna sławnej pruskiej, przez księdza Marcina Muriniusza. W Thoruniu. Drukował Malcher Neringk. Roku pańskiego 1582. Cum gratia et privilegio S. R. M.*

wał na Pomorzu nadwiślańskim, i że ta cała ziemia Brutenią się zwała; ale dodaje zaraz: „o to sporu wieść nie potrzeba.“ Powiada potem o Romnowie, i zgadza się na to w myśl swojego czasu, że to imię, znaczy *Rzym nowy*. Dalej rozprawia o Wejdeducie, że został bojotorem, to jest królem pszczoł, piérwszym naczelnikiem pruskiego narodu, który ulem nazwał, żeby sam został matką w tym ulu. Pląta znowu wypadki, a nie umie pogodzić ogromnego tłumy podań narodowych. Napomyka coś o mitologii dawniej, o zwyczajach i o pogrzebach, potem o Krywekrywejcie. Wdaje się potem w rzeczywistą historiją, która pod jego piórem jest prawdziwym romansem o niebywałych rzeczach. Rozpowiada o Mieczysławie, Bolesławie Wielkim, o Masławie, o wyprawach Śmiałego i Krzywoustego, o Świętopelku i Krzyżakach. Wszystko bez ładu i poplątane dziwnie. Zdaje się, że Murinius i jednej bajki z kronik polskich nie przepuścił, żeby nie ozdobić zmyśleniem swoich dziejów przesławniej pruskiej ziemi. Postronne nawet miesza rzeczy, które żadnego związku nie mają z historiją Pomorza; np. opowiada o wyprawie Krzywoustego do Danii, i wierzy w to, że go Duńczycy królem swoim obrali. Zaczepiwszy raz o Krzyżaków, w tytule swoich rozdziałów, (których jest bardzo wiele, bo dwie, trzy stroniczki najwięcej i znowu rozdział), pomieszcza imiona mistrzów, co panowali nad ziemią pruską, i niby opowiada ich dzieje, znowu pełne bajek i bez żadnego krytycznego ocenienia. Miał wiele kłopotu z każdym mistrzem, bo wypisawszy jego imię i nazwisko, pisał zaraz, że obrany był i rządził za tego a tego cesarza, za tego a tego papieża, za tego a tego króla w Polsce. Widać z całej treści opowiadania, że Murinius sprzyjał Polsce i był nieprzyjacielem Krzyżaków, bo téż za każdą sposobnością maluje, ile malować umiał, nieszczęśliwe położenie Polski, i ubolewa nad temi nieszczęściami. Nawet pisze o porażkach bukowińskich szlachty polskiej za Kazimiérza Wielkiego i Jana Olbrachta. Pod koniec swojego opowiadania, Murinius jest nierównie rozmowniejszy i snuje dłuższe rozdziały zpod historycznego pióra. Kończy kronikę na Olbrychcie Fryderyku księciu królewieckiego Pomorza i królu Stefanie Batorym. Wspomina o buncie gdańskim i skreśla krótką kronikę klasztoru Cystersów w Oliwie. Napomknąwszy wreszcie o wyprawie pskowskiej i o pokoju zawartym w Zabłoniu (tak) d. 15 stycznia, 1582 r., kończy Murinius życzeniami: „Powinniśmy Panu Bogu dziękować i za jego Królewską

Mość modlitwy nabożnie wylewać, aby go nam Pan Bóg długo dobrze zdrowego ku obronie, ozdobie koronnej chować raczył.“

Był Murinius pobożnym katolikiem, może i zacnym obywatelem, ale nie był dziejopisarzem swojej ziemi. Broszurkę jego zapewne czytano w XVI i XVII wieku, bo wtedy czytano i wiele innych rzeczy, mniej poważnych, a więcej jeszcze dziecinnych; ale w naszym czasie trudno się czegoś nauczyć z kroniki Murinusa. Tę broszurkę nikt z uczonych naszych cytować nie będzie: wątku w niej mało i prawdy mało. Trudno zatem pojąć, dlaczego ta broszura mieści się w zbiorze Wojcickiego:—chyba dla osobliwości i pamiątki. Zapewne i to ważne powody, ale my tymczasem wolelibyśmy co innego na jej miejscu.

Murinius, trzeba to jednak mu przyznać, pisze po polsku czysto, nawet pięknie czasami; a ma taką obfitość wysłowienia, że w tém się wielce różni od wielu swoich spółbraci-kronikarzy.

Z kolei następuje: *Droga do Szwecyi, odprawiona w r. 1594 przez Jędrzeja Zbylitowskiego*. (Tom IIgi, str. 13—93) (1).

Jestto poemat wielki, na cztery księgi podzielony, w którym autor na wzór klasyków dawnych, cały Olymp poruszył, a przecież są i tutaj historyczne fakta, nieobojętne dla ogółu dziejów. Poemat ma dla nas i tę wartość, że należy do pierwszych prac Andrzeja Zbylitowskiego, jak to widać z dedykacyi:

Przyjmij eny senatorze, wdzięczną twarzą, moje,
Te rymy niewyprawne; a ja potem swoje
Pióro na co większego nagotuję sobie,
Czymbych lepij (niż teraz) mógł dogodzić tobie.

Poprzednie prace naszego poety były tak małe, że *Drogą do Szwecyi* dopiero chciał nabyć sobie imienia.

Zbylitowski opisuje w tym poemacie podróż króla Zygmunta IIIgo do rodzinnego królestwa, po śmierci ojca Jana Wazy, dla objęcia rządów i koronacyi. Księga Isza obejmuje wyjazd króla z Warszawy, podróż do Torunia, Grudziąza i Gniewa, gdzie go przyjął wspaniale młody Czema i matka jego wdowa księżniczka Radziwiłłówna, wreszcie pobyt w Gdańsku. W drugiej księdze jest opisana podróż morską Zygmunta, burze, które

(1) *Droga do Szwecyey, najmożliwszego w północnych krainach pana, Zygmunta IIIgo, polskiego i szwedzkiego króla, odprawiona w r. 1594 przez Andrzeja Zbylitowskiego, teraz nowo-wydana. W Krakowie, w druk. Jak. Siebeneichera, Roku pan. 1597. Dedykacya Mikołajowi Zebrzydowskiemu.*

mało co nie zniszczyły jego małej floty, przybycie do Szwecyi, powitanie króla przez Karola sudermańskiego i panów szwedzkich, radość narodu i uroczystości w kościele, wreszcie przybycie do mieszkania królów szwedzkich, gdzie w pokojach powitała Zygmunta wdowa po ojcu, pełna cnót i gładkości, że zrównała i samym boginiom, Belkówna z domu i jej synaczek malutki. W IIIciej księdze opisuje poeta pogrzeb króla Jana i koronację Zygmunta, ubiór jego świetny w czasie tego uroczystego obrzędu; wreszcie i pobyt w Szwecyi, do której raz wraz panowie polscy, coraz inni przybywali. Nareszcie król spowodowany prośbami posłów Rplitej, umyślił powrócić do Polski. Podróż jego odwrotna, przygody w ciągu niej zaszły, przybycie do Gdańska i wyjazd do Krakowa, kiedy konie nadeszły z Sambora, opisuje poeta w IVciej księdze. Znajdował się sam w orszaku Zygmunta: opisał więc wszystko co widział i słyszał, a opisał w poemacie, nie w wierszach tylko.

Pod względem literackim i historycznym, ten pomnik końca XVIgo wieku zwraca na siebie uwagę.

Pod względem literackim widzimy, że Zbylitowski był bardzo uczonym człowiekiem i rozczytanym nadzwyczaj w rzymskich starożytnościach. Natrąca bardzo często wyrażenia z Enejdy i Przemian Owidyuszowych. Mitologią znał doskonale i widać po wszystkiem wielkie pretensye, żeby jeżeli nie dorównać, to przynajmniej przypomnieć czytelnikom wielkie wzory starożytności, które naśladował. Formę, tok rzeczy, nawet samo opowiadanie, podciąga pod prawidła, jakie wtedy i później jeszcze, za klasyczne uważano. Przynać nawet musimy, że Zbylitowski nadużywa nawet pod tym względem cierpliwości naszej. Darowalibyśmy mu to ciągle zbaczanie od przedmiotu dzieła do mitologii, bo umielibyśmy w tém widzieć błąd chwili i pojęć, jakich z dzieciństwa i ze szkoły może nacerpał poeta; darowalibyśmy mu porównania, zapal dla starożytnych; ale darować mu nie sposób tego, że z mitologii robi to, co się w eposejach dawnych nazywało *Deus ex machina*. W poemacie jego gra rolę Jowisz, Mars, Bellona, Juno, Dryady, Najady, Nimfy i tyle innych podobnych niedorzeczności. W *Drodze do Szwecyi* więcej niezawodnie jest tych bóstw greckich i rzymskich, jak samego opisu. Przy najpoważniejszych rzeczach wtrąca swoje cudowne bogi i boginie, a to nieraz doprawdy wygląda tak śmiesznie, że gasi całą załugę, jeżeli jest jaka, poematu. Zbylitowski wszędzie widzi bóstwa.

stwa: i w rzece Wiśle, i w morzu, i w skałach nadbrzeżnych, i w drzewach, i w kamieniach i w lasach. Za dotknięciem czarodziejskiego pióra naszego poety, zpod wody wychodzą Najady i przyglądają się w niemém milczeniu flotylli królewskiej. Kiedy Zygmunt przyjechał do Gdańska, w mieście wybuchnął rozruch, który w samej rzeczy wielkie przyjął rozmiary. Poeta, żeby wytłumaczyć powody tego rozruchu, opowiada, że orszak królewski stanąwszy w Gdańsku „palil wszystkim bogom ofiary spokojne i czynil im wszystkim, prócz Marsowi, dzięki nabożne”. Rozgniewana Bellona pobiegła zaraz z gniewem do Gradywa i podbudzała gniew boga wojny. Mówiła, że Cytherea i Bachus więcej doznają czci w Gdańsku, jak on, „co nosi żelazny szyszak i miecz w ręku krwawy”. Ale Mars rozsądniejszy jak siostra, odpowiedział Bellonie: „Pozwól, niech dogodzę cnemu królowi, a podróży mu nie zepsuje, a nastąpi przecież czas inszy, kiedy mi w tém mieście będą czynić zwykle ofiary”. Bellona rozgniewana z takiej odmowy, chciała się pomścić za brata i z obłoku spuściła się do miasta gdańskiego. Z jój przybyciem stał się rozruch wielki, nikt nie wie dlaczego, ani swój, ani cudzoziemiec. Bachus wartogłowy i Cypryda, wchodzą w związek Bellony przeciw królowi. Skutkiem téj konfederacyi bóstw Olimpu, następuje w mieście strzelanie z rusznic, w bębny biją, świecą się w ulicach dobyte miecze, szpady, oszczepy i szable. To Polacy biją się z Niemcami. Czyż to wszystko w naszym czasie doprawdy nie śmieszne i nie zabawne?

Wstęp, wierny pojęciom klassycznym, głosi: „Niechaj Meonides śpiewa o wyprawach dawnych, jako Grekowie ze Sparty w nawach żeglowali do Trojan, jak zdobyli Ilion, jak Antenor zdradził swoje drugą ojczyznę, Achilles zabił Hektora i Memnona poraził i t. d.

A ja nieco wspomnę teraz piórem mojem,
 Jakośmy żeglowali niegdy z królem swoim
 Do jego państw dziedzicznych z sarmackiego brzegu,
 Jakicheśmy użyli strachów w morskim biegu,
 W który czas kazał maszty podnosić wysokie,
 I liny długie wiązać i żagle szerokie
 Wiatrolotnych okrętów.....

Potém zaklina poeta muzę, żeby mu przypomniiała wszystkie nieszczęścia, jakie im w podróży zrządził Neptun, i prosi Kalliopy, żeby za jój staraniem, ludzie z chęcią słuchali jego pieśni.

Kiedy na drodze do Gdańska, na Wiśle jeszcze przed Zakroczymiem, burza zaskoczyła królestwo, Zygmunt modlił się do Boga, a żona jego Anna Rakuzka z pannami, do bogiń i do Wandy:

Wando, śliczna bogini wiślnej bystrzej wody,
 Coś swój wiek wiecznym bogom poświęciła młody,
 Któraś nigdy rządziła toż królestwo dawne,
 W którym cnoty twe i dziś wspominają sławne:
 Jakoś nieprzyjaciele mężnie poraziła,
 I wolności dzielnością swoją obroniła,
 Za co dziś siedzisz między boginiami w niebie,
 Śliczna Nimfo słowieńska, pilno proszę ciebie,
 Ucisz Wisłę, ucisz wiatr, daj szczęśliwą drogę;
 Ty sprawuj nasze łodzie, a odpędź tę trwozę!
 A ja, gdy da Bóg stanę u twojej mogiły,
 (Gdzie lechijskie Dryady twe ciało włożyły),
 Pachniące tobie każę zapalić ofiary,
 I położę na ołtarz twój przystojne dary.
 Śliczna Wisło sarmacka, która swe potoki
 I źródła bystre lejesz w ocean głęboki!
 Nie bądź nam tak przeciwną, stań się nam życzliwą:
 Twój to król, twój pan jedzie, daj drogę szczęśliwą!

Po tej modlitwie, „wiatr wstąpił w swoje podziemne komnaty”, i królestwo zawinęli do Zakroczymia. Poeta nasz tak lubił zmyślenia dawne, że do każdego swego obrazu wcielać musiał i postaci mitologiczne: Wiślnie boginie, Feronia, Pegaz, Dryady, Glaukus z Palemonem, Proteusz, Hyperyon, jak nanizane na jeden łańcuch postaci przesuwają się ciągle przed naszymi oczyma; ale najwięcej lubił przemiany i porównania, i niejeden ustęp w tym poemacie poświęcił tym przemianom i porównaniom, ukutym także podług wszelkich przepisów klassycznej sztuki.

Pod względem historycznym, poemat ten nabył prawa do nieszczupłej zasługi.

Mamy w *Drodze do Szwecyi* dokładny spis osób, które składały orszak królewski w czasie podróży. Niejedno tutaj znajdzie się imię, któregośmy napróżno w innych opisach szukali. Wiemy, jakim porządkiem płynęły te łodzie, skutury i komiegi. Na szkucie Tarły przygrywała muzyka królewska. Jechał z Zygmuntem i sławny poeta-improvizator Niegoszewski, który dziwił Wenecyą i Włochy żywą zdolnością swoją, a my przyznamy się szczerze, że nie wierzymy w tę wielkość, jak i w wielkość wszystkich improvizatorów. Niegoszewski dziwił więcej mechanizmem i drobnostkami sztuki, jak sztuką; bo układać wiersze na zadane tema,

na wyznaczone końcówki, popisywać się z dowcipem takim, że wiersze czytają się tak dobrze z prawej strony na lewą, jak z lewej na prawą, jest zapewne dowodem zdolności w swoim rodzaju, ale nie zdolności poetycznych. Wieszczy nigdy się takimi dzieciństwami nie bawił. Dobrze jednak, że mamy jeden więcej szczegół do życiorysu tego w swoim czasie podziwownika Europy. Był obok Niegoszewskiego i drugi poeta w orszaku króla, Dzierżanowski. Imię to dla nas zagadką, a przecież Zbylitowski wynosi go pod obłoki. Mówi, że „jego kamenysą przyjemne u wszystkich i niemałej ceny, że wiersze jego, uczonym przyjemne, mogły błagać i bogi podziemne, jak niegdyś Orfea pieśni smutne ubłagały Plutona i parki okrutne“ (str. 41). Był między innymi i Rębowski sekretarz, ludzki, grzeczny, zdolny i poczciwy, tak, że go chociaż młodego, mógł słać syn pięknej Latony (str. 43).

Król uśmierzywszy bunt w Gdańsku, który dosyć obszernie jest opisany, puścił się na morze. Opis burzy przy brzegach Szwecji jest także ciekawy i historyczny: bo oprócz mitologii, w poemacie Zbylitowskiego wszędzie zacna prawda. Podróż trwała 9 tygodni; po samém morzu król błędził od 9 do 30 września. Mowa księcia sudermańskiego także jest pewno przetłumaczona w treści. Pogrzeb króla Jana skreślony tak, jak w żadnym ze znanych nam pamiętników polskich spółczesnych. Nastąpiły potem nieporozumienia pomiędzy Zygmuntem a Szwedami z powodu religii, ale król usunął spór na czas dalszy, zajął się tymczasem koronacją, która nastąpiła w dniu 1 marca 1594 roku we wtorek. Zbylitowski opisuje ubiór królewski. Miał Zygmunt na sobie szatę długą brunatną, aksamitną, haftowaną gęsto perłami, nader szacowną dla kamieni drogich; u dołu szaty ciągnął się wokoło bram szeroki nasadzony z pereł, a na piersiach zwieszał się królewski łańcuch, błyszczący od rubinów, szmaragdów i topazów z dyamentami. Po koronacji odezwały się armaty i okrzyki: to lud radością uczucia swoje tłumaczył. Następnie w kościele składali królowi hołd książę sudermanii i brat jego przyrodni, Jan małeński. Kiedy król z Upsali do Sztokolmu powrócił, powitał go pierwszy przybysz z Polski, ksiądz Jezuita Warszewicki. Opisuje dalej poeta łagodność Zygmunta i sądy, jak go pokochał lud szwedzki, kiedy na tronie swoim ujrzał prawdziwe królewskie cnoty i dobre serce. Poświęcił potem wierszy kilka muzykowi królewskiemu, nazwiskiem Sowka, którego porwała okrutna Prozerpina w kraje podziemne: tak się jej podobał z grania

swojego. Zbylitowski chciał powiedzieć, że w czasie téj podróży umarł Sowka. Następnie nadjechali do Sztokolmu Łaski siedzący wojewoda, potomek rodu w Polsce, z którego, jak niegdyś z trojańskiego konia, mąż sławny wychodził za mężem. Za Łaskim pośpieszyli Kryski i podczaszy Choiński, potem Garwański, a wszyscy prosili króla, żeby wracał do Polski, bo tęsknią bez niego stany koronne, a ważnym bardzo nieszczęściom kraju zapobiegać muszą. Byłby Zygmunt zaraz wybrał się z powrotem, ale królowa leżała w połogu. Urodziła w Szwecyi córkę Katarzynę, która żyła tylko dni 32. Tymczasem nowi nadjechali posłowie, już uroczyste wyprawieni od stanów, bo właśnie Tatarzy wpadli na Pokucie. Byli w tém poselstwie: Czarnkowski kasztelan nakielski i Jan brat jego, Bykowski kasztelan Konarski, Adam Stadnicki, Warszycki starosta czerski, Daniłowicz i wielu innych. Król, spowodowany natarczywemi prośbami posłów, posłał Niewieścińskiego do Gdańska po okręty, i powrócić do Polski. Dwa dni i dwie nocy tylko trwała ta nowa podróż.

Oto treść poematu Zbylitowskiego bardzo ścieśniona. Prócz podanych szczegółów, jest tutaj wiele innych ciekawych faktów, chociaż to wszystko omówione i dziwne, bo ubrane w szatę mitologiczną. Książd Fogelweder sławny dyplomatyk owych czasów dwa razy wspomniony: dwa więc fakta do jego życiorysu (str. 56, 88). Zbylitowski nawet i o romansie napomyka. Jeden z Polaków, Gostomski, zawarł w czasie pobytu tego w Szwecyi związku małżeński z panną Groffówną. Widzimy go w IVtój księdze, jak się żegna z kochanką, i jak łyzy toczą oboje. Daje to zaraz powód pocię do wtrącenia całej historyi o Dydonie i Eneaszu. A nie wspomina nic Zbylitowski, jak się ten romans zakończył, chociaż i kawaler i panna, zdaje się, już po oświadczeniach i zaręczynach może, rozstawali się z sobą ze drzeniem.

Dziwne ma doprawdy wejrzenie, ta *Droga do Szwecyi*. Jestto historia, a jednak ze wszystkimi pretensjami do poematu. Zbylitowski rozwodzi się z erudycją i malować chce obrazy. Skreśla wizerunki historycznych osób, które przedstawia, ale te wizerunki są mdłe i bez kolorytu. Obraz Zygmunta, Anny i siostry ich królewnój szwedzkiej, wystawił w Iszój księdze (str. 28, 29); prócz słów jednak niema tam nic, coby charakteryzowało osobę. Tak samo skreśla i portrety osób, o których przyszło mu wspomnieć. Nikogo bez pochwał nie przepuścił, nawet ludzi najmniej znanych. Czasem napomyka i szczegóły ich poprzedniego życia.

Kobiety są u niego wszystkie przecudownie piękne: w opisie ich pochwał, wszędzie też same wyrażenia, a w ogóle wszystkim mogą zazdrościć boginie. Czasami i wymową chce się popisać. Przytoczyliśmy już apostrofę Anny Rakuzkiej do Wandy, wspomnim tutaj i o modlitwach króla Zygmunta. Zygmunt w burzy, na morzu czy na Wiśle, puszczając się w podróż i wracając z podróży nie rozkazuje, nie kieruje wyprawą, ale wciąż się modli, i albo dziękuje za coś niebu, albo o co niebo prosi. Modlitw kilka jest w poemacie; ostatnia w Gdańsku za powrotem, nawet bardzo obszerna (str. 90). Często się też i powtarza Zbylitowski, np. w opisie radości podróżnych, kiedy wylądowali w Szwecyi, i w opisie radości ludu, kiedy króla swojego zobaczył (str. 49, 57) ze pominiem wesele Gdańszczan. Ztémwszystkiém Zbylitowski ma i piękne miejsca, a wszędzie język polski dosadny i czysty, chociaż poemat sam bez poezyi. Nie byłto prosty kronikarz, jakich niedługo zobaczymy, bo nie miał na celu pozostawić opisów swoich li tylko w wierszu: Zbylitowski chciał zachwycić i zapaleć swojego natchnienia. A jednak, gdyby erudycyi chciał unikać, byłby zostawił nam dzieło wyższej nierównie zasługi: to płatanie bóstw helleńskich tak jest nieznośne! Poemat ma w sobie, że się tak wyrazim, dużo i uroczystości, i polskości, a te Dryady tak przy tém wszystkiém niemile wpadają w ucho, tak rażą okropnie, żegniew nawet porywa na tak grube zapomnienie prawideł czystego smaku i przyzwoitości. Gdyby Zbylitowski wyrzucił poezyą, zostałaby czysta historia, a *Droga do Szwecyi*, mniejsza o połowę, byłaby na tém wiele zyskała. I dlatego powiedzieliśmy, że dziwne jest wejrzenie tego poematu. My przynajmniej w dobrej wierze cytowalibyśmy w szkicach historycznych najdrobniejsze szczegóły tój *Drogi*; a przecież jestto poemat podług wszelkich prawideł. Zalety jednak przewyższają wady. Radziśmy widzieć Zbylitowskiego w odnowioném ubraniu.

Po Jędrzeju Zbylitowskim, Piotr Zbylitowski. Po *Drodze do Szwecyi*, *Schadzka ziemiańska*, nowy poemat, *najprzedniejszej i najchwalebniejszej cnotie trzeźwości świętej* ofiarowany od towarzysza *wiecznego*. (Tom IIIci, str. 23-69) (1).

Poemat ten do historii obyczajów w Polsce wiele dorzuci światła. Piotr Zbylitowski, człowiek zacny i uczony, zdolno-

(1) *Schadzka ziemiańska*, wydana przez Piotra Zbylitowskiego ze Zbylitowic. W Krakowie, drukowano roku Pańskiego 1605.

ściami nierównie wyższy od Andrzeja, żył w czasie, kiedy to już ustały szlachetne staro-polskie obyczaje, a na ich miejsce nastawała moda i przyzwyczajenia zamorskie. Serce też jego przepełnione było boleścią na ten widok, i dlatego z głębi duszy snuł obrazy, czasami nie próżne woni poetyckiej; obrazy, w których albo przyganiał strojom białogłowskiemu, wymyślnym, albo narzekał na zbytki, zniewieściałość i zaparcie się podań przodków. W *Schadze ziemianskiej* znowu tenże sam temat, też same ciemne obrazy, to zawsze mocne spółczucie do zwyczajów i praw narodowych. Z samej dedykacji widać, że Piotr chciał napisać satyrę przeciw pijaństwu, które już za jego czasów wkradło się, nareszcie za królów saskich zupełnie zbezecniło i panów produkujących, i szlachtę. Od pijaństwa przeszedł Zbylitowski do wady sadzenia się nad możność. Razi piorunami gniewu zbytek i pokazuje go w rządzie i w wojsku, w obywatelstwie i w całym życiu rzeczypospolitą. Nastaly złote roty, powiada, i dlatego żelazne niszczały. Żołnierz strojny szedł na bój jak na zabawę, a ztąd upadek wojennego ducha w narodzie, bo rotmistrz nie mógł już wystawić roty, a towarzyszy tysięcy potrzebował.

Jeśli by też nieborak wedle swojej miary,
Wyprawił się, jako był on obyczaj stary:
Nie kosztowno, nie srebrno, ale proste rzędy,
Allé wnet w lekkiej cenie będzie w rocie wszędy.
A nawet i rotmistrze takiemi brakują,
Kto turskich koni nie ma, do rot nie przyjmują. (Str. 44).

Wymowne są także bardzo narzekania na zbytki po dworach pańskich:

U każdego pańczęcia, prawie, patrzeć miło,
Na odziane dworzany, co pierwój nie było:
Ten delią barwianą ma w skrzyńi z rysiemi,
Ten złotogłów, ten z welpią, a ten zaś z kunami.
Lepiej było w żupanie jeszcze chodzić szarym,
Lepiej i w skórze łosiej i w kaftanie starym.
Bo wtenczas, gdy panowie tak dwory nosili,
Każdego sługę prawie dobrze opatrzyli, i t. d. (Str. 47).

Dla właściwej historyi nie ma tu wcale faktów, ale to nieoceniona książka dla poetów, powieściopisarzy i historyków. Piotr Zbylitowski cały zbytek spółczesny w wierszach swoich uwięził.

Będziem teraz mówili o broszurce, podług nas, tak wysokiej historycznej wartości, że oprócz może bartnego prawa, które nam

ukazało świat całkiem nowy, nie ma nad tę broszurkę ciekawszego, piękniejszego i tak polskiego dziełka, w całym tym zbiorze, chociaż zresztą bardzo interesującym. Mówim o *Zwierciadle żywota Krzysztofa Pieniązka* (tom Iszy, str. 140—184) (1).

Rotmistrz, na Lassochowie dziedzic, przypisał dziełko swoje „Ich Mościom miłościwym panom wobec wszystkim stanu rycerskiego”. Zaczawszy od Katona, „onego senatora rzymskiego przedniego“, Pieniązek przykładami z dziejów dowodzi, że „ludzi wielkich, równie uczciwego próżnowania, jako i inszych zabaw i postępków słuszność, a przyczyna (powinna być) drugim wiadoma”. Cytuje w tym celu przykłady „srogiego i strasznego świata burzyciela”, Gajusa Juliusza Cezara, potem Augusta, który podług Swetoniego, miał także opis dzieł swoich w trzech księgach zostawić; natrąca wspomnienia Tyberyusza i Antonina cesarzów i Justyna, który skrócił Troga Pompeja. Bardzo uczony i odcytany był nasz rotmistrz. Za ich przykładem idąc, dziedzic na Lassochowie i o swojej przeszłości, i przygodach życia postanowił coś napisać dla nauki stanu rycerskiego. A nie chciał narażać się na zarzut, robiony Józefowi historykowi żydowskiemu, że pisze już po niewczasie, i dlatego drukował zaraz swój żywot, pokazując tém, że szczerą prawdę pisze i zarzutów o zmyślanie wypadków nie lęka się wcale. Jeszcze żyli hetmani i rycerstwo, jako świadkowie prac i posług jego, a pomnieli oni wszyscy, mówi rotmistrz, „żem raczej pracę i trudności, a nie fortunę znał, co największa od indywidyej, która mi szczęścia większą połowicę odcięta, wolen nie był. W czym ja przecię, acz mam nieleda żal, tulę się jednak rozumem, tak sobie obiecując, że nań, jako na kompas jaki pewny patrząc, nie zbłądzę“. Przygody swoje stawiając za przykład dla młodzi, żeby wiedziała, jak ma służyć ojczyźnie, dodaje w końcu: „Naostatek com miał z własnej experyencyej o koniach, tom też i tu położył, tak rozumiejąc, że człeku rycerskiemu, który sławy nieśmiertelnej szuka, broń a koń, drogę utorowaną i gościniec wielki do niej ukazują.“

Przedmowa ta, datowana z Lassochowa w dzień św. Łucyi, roku 1608. Żywot sam napisany w r. 1607. Wyszedł zatem na początku 1609 roku.

(1) *Ethica, albo Zwierciadło żywota Krzysztofa Pieniązka, Rotmistrza i dworzana Królów Stefana i Zygmunta IIIgo, na Lassochowie i gdańdzkiej dziedzica etc. tu przykładowi braciej okazana. Pisana anno Domini 1607.*

W małych paragrafach, na wzór rzymskich historyków, opowiedział nam swój żywot Pieniążek. Paragrafów tych jest 81. Po krótkim wstępie, następuje wieków cztery: piérwszy młodość, wtóry młodzieństwo, trzeci małżeństwo. Styl, cały tok opowiadania, myśli, język, są tak wszędzie czysto-polskie, że zdaje nam się, widzimy jeszcze te szlachetne rysy starego rotmistrza, który wiek cały służył królowi i Rzeczypospolitej: starca zawiedzionego w nadziejach; mężnego, pełnego poświęcenia się i miłości dla braci, oddychającego prawdą i mówiącego zawsze prawdę, prostego w swoim postępowaniu, śmiałego przed starszyzną narodu, chociaż na niego zagniewaną za otwarte słowo, podnoszącego rękę do nieba, żeby pobłogosławić na służbę kraju nowe pokolenie wzrastających mościwych, rycerskich braci.

Jest tak wiele pięknych, zdrowych zdań, wyrażonych tak po staro-polsku i z takim uczuciem w ciągu tego opowiadania, że wiele z nich za dewizę do prac dziejowych, za godło do obrazu przodków, wybrać i uświęcić można. Oto jak np. Pieniążek powód swojego pisma pięknie określa: „Przywiedzionym do téj pracy, mówi, abym wam okazał żywot, ku przykładowi związku tego z przodków swych.... abyście jako latorośle z bujnego korzenia cnotliwych ojców i matki patryej téj, pięknymi sprawami kwitnęli, jeśliż w naukach, jeśliż na żołnierskiej, jeśliż na dworze pańskim. Potym za postanowieniem pędzącego wieku, za dobrym i porządnym życiem i postępami ku sławie i pozyskaniu łaski Bożej, z dziwnych fortun i przypadków wzór biorąc. A nie kryjąc się, jako bydło zwykłe, po krzewinach pastwy szukając. Lecz objaśniając na każdym placu sprawy swe, jako na jakim teatrze okazując je, w ustawicznym przemyśławaniu, czego dobrego ku odprawowaniu, za dobrym onym sporządzaniem, przysparzając sobie wszęgo dobrego i pociesznego rozmnożenia. A nietylko sobie, ale i ludziom dobrym przykładem i pomocą użytecznym.”

Zdaje nam się, że to język Wujka, że to wyrażenia wzięte z jego *Wulgaty*, tłumaczenie natchnione pisma św., pełne tajemnic i namaszczenia.

Rysunek, skreślony z podań Pieniążka i o ile możności podług słów jego, da czytelnikowi najlepsze o nim wyobrażenie.

O rodzicach swoich nie pisze. Widać, że w równości szlacheckiej zrodzony, nie sądził za rzecz potrzebną szeroko rozprawiać o starych przodkach. Uczył się u Jezuitów, gdzie według swojego stanu, każdy młodzian uprawował lata swoje, do-

wcip i zdrowie. Jezuici podnosili umysł swojej młodzieży to *peroracyami*, to *dysputacyami*, to przez komedye, „w których jako we zwierciadle żywot ludzki widzieć”; potem urządzali *kontrowertowania*, a chęci dodawali to podarkami, książkami, obrazkami, to pochwałą zwycięzców, a zwyciężonych „urąganiem, nasmiewiskami turbując, a tępość, gnustwo ku wzgardzie przywodząc”. Na takich zabawach czas schodził, a jeden tydzień godziną się widział. W święta śpiewali jedni, szermowali inni, a inni znowu harcowali na koniach. Do nabożeństwa i chwały Bożej pobudzały bractwa i dyscypliny. „A przecię ku pojęciu zawsze co nowego pojęciem rozum obostrzyć się musiał”. Z trojańskiego konia nie wyszło tylu mężów, „co z tych szkół osobliwych znacznej nauki, godności wielkiej, do spraw prawa biegłości i wiadomości w rzeczach, tak potocznych jako koronnych, biskupów, arcybiskupów, kardynałów.” Pieniążek lat tylko kilka zostawał w szkołach Jezuickich, „prze oderwanie rodzicielki swój, dla której rozkazania pod błogostawieństwem oderwać się musiał, a bardzo żałośny.” Postanowił jednak co najprędzej wrócić do szkół dla ukończenia przedsięwziętej nauki, ale domowe zabawy sąto sidła dla ludzi młodych. Rodzice, dom, służkowie, konie, myślistwo, pola, oderwały go od nauki i nie mógł z drugimi owego Koryntu dojść. Za inszemi więc wiatrami, insze w nim żądze i myśli następowały. Był właśnie w Koronie czas bezkrólewia, po ucieczce Henryka. Bakalarz, który bawił przy Pieniążku, żeby mu do wprawowania dawać pobudki, wziął dwie plebanie, skrzydleńską i mszańską, i oddalił się na własne gospodarstwo. Nasz młodzian schwyił za szablę, a rzucił pióro.

Z Mikołajem Witowskim, *drugim informatorem*, udał się Krzysztof do rotty brata, pana podczaszego krakowskiego. Urody i wymowy było dosyć w tym nowym nauczycielu, jedno co najlepszego nie było. Kiedy więc młodzian szedł do kościoła, mój Witoś kogo jedno zaciągnąć mógł, jako starszym będąc, tak w kościele, jako po ulicach, na dobrą myśl zapraszał. Przed Krzysztofem mówił, że to robi dla niego, że potrzeba starać się o ludzką znajomość i zachowanie. Opatrzył więc Witoś wysmienicie kuchnię, a trunek miał jak najkosztowniejszy w Krakonie. Po obiedzie zasiadali przyjaciele Witowskiego do kart, warcabów, kostek, na kilka warsztatów. Czasem było kości drabowanie aż do nocy. Czasem i noc całą aż do dnia białego brali się w szury bracia i do tesaków, aż drugi bez ucha, ręki, nogi, czasem

i bez głowy został. Schodził więc czas znowu prędko, ale nie z pożytkiem.

Pan nauczyciel był rządym szafarzem do odbierania dochodzących pieniędzy, ale też i bez miary wydawał. Więc sreberka zastawiał i z żydami szachrował na handle. Symon z Będzina, żyd, był na to najstawniejszy koadjutor: wnet umiał dostać pieniędzy. Za kilka tysięcy złotych, brał Witowski kilkaset, a potem dawał fanty: sukna, futra, korzenie, sól, ołów i nawet co podlejszego. Za zabawą nie widziało się nic złego, cieszył się Krzysztof płonniemi nadziejami, na myśl nie przyszedł bolesny smutek, ale prędzej radosne wesele z dziwną uciechą; obiecywał sobie nasz wojak złote góry, a ołowianych nie było. Kiedy i tego zabrakło, trzeba się było puścić na fortele. Rychtował więc karty, składał, załamywał, nakładał, podmykał, a w warcabach i kostkach, woskował, żywem srebrem kostki napuszczał, wyrównywał. Czasem się na te fortele do kilku tysięcy wygrywało, a czasem jednak nie było co dać na obiad, nie było sukni w którejby się można było do ludzi przyzwoicie ukazać.

Wspomina potem Pieniązek kilku znajomych swoich i braci, co takim sposobem potracili majątki. Przez delikatność tych jedynie wspominał, co pomarli bezdzietni.

Co do naszego rotmistrza, kiedy się miarka przebrała, a do rozumu przyszło, jako to bywa, że głodnych mucha zwadzi, zaczął się liczyć Pieniązek z Witowskim. Rozgniewany nauczyciel powiedział wtedy, że uczeń pisząc nie umie liczyć, ale że tam są kryski wydatków. A to co kryska to grosz, co krzyżek to dziesięć groszy, co kółko to złoty. Witowski mówił: „Rachujcie, co pisać umiecie, ja pisać nie umiem, służyć też młodzikom do rachowania nie godzę się“. Rozstali się więc. A miał wtedy Krzysztof lat 24, wiek pędzącemu bez dobrego stróża najniebezpieczniejszy. Ale pan Bóg nie zwykł opuszczać ludzi, którzy mu ufają. Wczas się zobaczywszy Krzysztof, uwodzić frantom dalej nie chciał się dać. Za przykładem tedy cnych przodków swych, udał się na dwór króla Stefana, świętej pamięci.

Następuje wiek wtóry, młodzieństwo. Do króla Stefana przystał razem z panem Janem Gołuchowskim z Chwałowic i szedł z nim pod Gdańsk i na wszystkie wyprawy, i rotę wodził. Wszędzie o łaskę u pana starał się statecznością, trzeźwością i pilnością. Nie byłyto czcze słowa w ustach Pieniązka. Król Stefan był kontent z posług swojego dworzanina. Co dzień, okrom nie-

dzielę, na przejażdżki przychodziło jeździć, to ze psy, to z sokolą, to jezda, to piechota, a zawsze coś dworzanie znaleźć musieli. Jak się do puszczy jechało, król w jednej, a dworzanie w drugiej budzie z płachtami siedzieli, a chłopci pędzili na nich żubry, losie, wilki, sarny i niedźwiedzie. Od poranku aż do wieczora rozmaite krotofile. Zazdrości nie było, bo wedle zasług każdemu wiernie nagradzano pracę, a była owszem miłość w tém gronie.

W porównaniu z czasami, w których żył i pisał nasz Pieniążek, jak niebo wydawały się rotmistrzowi czasy króla Stefana. Kreśli téż ich wizerunek zacny, poczciwém sercem, jakby do nich tęsknił, do czasu swojej młodości, kiedy to wszyscy jednemu służyli, fakcyi w Koronie, rozruchów po sejmikach nie było, a sejmy dobre stanowiły prawa, a podatki obracane były ku ćwiczeniu i zasługom ludzi rycerskich i rozszerzeniu państwa. Każdy doznał łaski Stefana. On był ojcem, a poddani jego dziećmi.

Pod Połockiem np. utracił Pieniążek skarbane wozy i konie w lesie, którego było przez kilka a dwadzieścia mil, a w którym zostało do kilka tysięcy koni, tak, że po nich jechać było, jak po moście. Cnotliwi panowie wstawili się za nim do króla, a Stefan dał mu zaraz kwit na kilka tysięcy do poborcy krakowskiego, który mu szkody wszelkie wynagrodził. Sprawiedliwość króla w każdym kroku wysławia Krzysztof. Starostwa rozdawał dobrze zasłużonym, a bogate królewszczyzny rozdzielał na mniejsze części.

W wojnie toczonéj na północy, tak miłe po sobie zostawił pamiątki u ludu prostego Pieniążek, że wszędzie spotykał żywe między ludem dla siebie spółczucie. A pamięć tę lud zachował głęboko, bo kiedy po zabiciu samozwańca Dymitra, potem w lat dobrze kilkanaście, synowcy jego wzięci byli do więzienia, Szujski Wasil ich wypuścił i udarował jeszcze na drogę pieniędzmi.

Z rotą półtorasta koni, którą Pieniążek pod Wielkimi Łukami dowodził, był obrócony potem na Podole i na Wołyń. W Torczynie miał najdłuższą leżę, bo pięć ćwierci lata. Kilka tu potrzeb odprawił z Tatory, jako pod Zaslawiem np. A w tém zaśzło dla niego słońce chmurą. Umarł król Stefan.

Na elekcyi obadwa stronnictwa, Pieniążkowi obiecywały złote góry, żeby do nich przyprowadził swoją rotę. Obietnice te chował do śmierci. Były na piśmie. Po nominacyi Zygmunta IIIgo był z rycerskiego koła posłem do Anny, z oznajmieniem o wyborze szlachty. Anna dała mu list do króla, potem dał list także arcybi-

skup prymas, i trzecie pismo hetman koronny. Pieniązek pojechał do Szwecyi i piérwszy Zygmuntowi zawiózł, nie wiemy przyjemną, czy nieprzyjemną nowinę. Zastał go w Kalmarze. Król dał mu wtedy koniustwo, starostwo ojcowskie i leżajskie i zrobił go sługą swoim rękodajnym. Poczet zatém niemały prowadził teraz królowi Pieniązek aż na szczęśliwą koronacyą, z wielkim kosztem swoim i trudnościami, bo pod Przedborzem utracił skarbowe wozy i rzeczy, bydło i konie, i kilkoro sług, którzy się do niewoli dostali.

Zmieniła się teraz strona medalu. Czasy Stefana nie było już czasy Zygmunta IIIgo. Obraz téż drugi bardzo wymowny, bardzo, niestety! prawdziwy, skreśla znowu Pieniązek. Panowie teraz rządili królem, jak król Stefan rządził kiedyś panami. Starostwa sami rozrywali na siebie, nagrodę dobrze zasłużonym zabierali dla siebie. O sprawiedliwości ani myśleć było; wszystko i wszędzie prywata. Namietności wybuchły, a król poczciwy, zacny, sam nie wiedział, co ma robić ze stronnictwami, rozdzierającemi Rplitą.

W takim rozerwaniu, Pieniązek nie dostał nic za swoje zasługi. Panowie wydarli mu starostwo ojcowskie, a ledwie i leżajskiego nie stracił. Król mu dał już przywilej na Nitawę w Inflanciech; panowie i na to mu nie pozwolili. Napomyka téż Pieniązek, że Bóg ich śmiercią i nieszczęściami pokarał.

Obraz Zygmunta IIIgo przecudownie skreślony: sama w nim prawda. Byłto pan bardzo osobliwy, skłonny, k' temu hojny, miłosierny, w rozmowie z każdym rozprawny. Król jegomość szwedzki, oddawał synowi sprawiedliwość na wyjezdnem z Kalmaru, mówiąc, że będzie wszystkim według myśli i upodobania, tylko, aby mu umiano dogadzać. Bo naród polski, mówił Jan król, pyszny i wyniosły, a król Henryk dla niczego nie uciekł, jedno dla zbytnej presumpcyi panów. Sam Pieniązek doznał dobrego serca Zygmunta. W podróży z Kalmaru do Gdańska kazał sekretarzowi ojca z pościeli ustąpić dla niego i prawie gwałtem umieścić go blisko siebie. Toż było i za innym razem. Pieniązek powtarzał, że tak z nim postępował pan z panów, król z królów. A takowa powaga była w Zyguncie, że jedno dworstwem, a trafniemi powieściami przyjemnemi, mizeryą onę sobie słodkował. I Bóg nawet królowi oddał sprawiedliwość, kiedy mu panowie jej nie oddali. Żaden nieprzyjaciół nigdy nad nim wskórać nic nie mógł. Synaczek króla jegomości (mówi tu o Władystawie, który miał wtedy 13—14 lat), żywy to przykład ojca,

bo dobry z dobrego się rodzi; jaka w nim układność wielka, w rozmowie wdzięczność, zmieszana z wielką ludzkością, przystojną królewskiemu stanowi, że każdy jako obcy tak swój, musi znać łaskawą twarz, a miłościwe oko. A to dlatego, że jeszcze nie przyszedł na mistrzowanie naszych. Bo do dobrego gruntu, potrzeba też dobrego sprawcę.

Wyjął nam z duszy ten charakter króla Zygmunta, zacny rotmistrz, na Lassochowie dziedzic. Rzecz dziwna, że pierwszego Wazę naszego tak mało dotąd znamy, że takie uprzedzenia krążą jeszcze o nim po historycznych niby dziełach naszych. Nie był król Zygmunt mężem czynu, poradzić sobie ze stronnictwami nie umiał, nie posiadał tyle mocy nad sobą i charakteru, żeby Stefana wzorem, panami władał; ale było człowiek ze wszech miar zacny, przyjacielski, prosty w obejściu, kochany, godzien szacunku, powiemy nawet uwielbienia. Świątobliwe życie jego w gronie rodziny, przykładna miłość dla żony i wszystkich, których bliżej do poufałości i serca przypuścił, wskazuje na jego poczciwy charakter. Królem był złym, bo się na obywatela, nie na rządcę urodził. Ależ któż zatruł jego życie, kto zmartwieniami narodu, klęskami, zasiał to najświetniejsze może panowanie? Wielkoradcy! Rplitéj, książęta, wojewodowie. Narzekali na Zygmunta, że korzystać nie umiał z chwil; mówili, że chciał zdradzić ufność narodową, że wchodził w znowę z cesarzem; robili go nawet tyranem. Dzisiaj umilkły namiętności; możem powiedzieć z mocnym przekonaniem w duszy, że w tém wszystkiém nie a nie prawdy nie było. Życie Zygmunta przynajmniej pod tym względem wolne od wszelakięj skazy, żeby powstawał na przywileje i swobody Rplitéj. Panowie go na tron wybrali, panowie go utrzymali na tronie, kiedy chciał powrócić do Szwecyi, albo złożyć koronę. Gdyby miał Zygmunt więcej mocy charakteru i z początku zaraz dał poznać godność swoją Zamojskiemu, nie przyszłoby może ani do sejmu inkwizycyjnego, ani do konfederacyi Zebrzydowskiego i spółki. Czas zapomnieć, powtarzanych od dawna i na oślep oskarżeń. Co tylko mógł dobrego zrobić król Zygmunt, to zrobił; co tylko złego było za jego panowania, to było nie z winy króla. Nie Zygmunt był niedołężny i złej woli, ale panowie występni i złośliwi.

Gdyby się kto znalazł w naszych czasach, coby zechciał opowiedzieć narodowi panowanie Zygmunta IIIgo, to przy ogromnym mnóstwie nowych faktów i odkryć dziejowych, które rozświetliły

niejedną zagadkową postać historyczną, o! jakżeby się inaczej wydał ten Zygmunt, co choćby chciał, złego zrobić nie umiał: dobrowolny i słaby, postawiony obok swoich społecznych znakomitości! Mybyśmy mieli dzisiaj trzy razy więcej treści, jak treści jest w dziele zachwalaném kiedyś, wynoszonym pod obłoki, sławioném!

Pieniązek nie pochlebiał królowi: on pisał prawdę, jak ją widział i pojmował. I jemużto było, rycerskie serce nagiąć do pochlebstwa, myśl do fałszu nakłonić, kiedy taka szczerosc i cnota w jego obrazach; kiedy on panom Rplitej takie święte prawdy pisał i nie obwijał myśli swoich w bawełnę?

„Jeśli się téż co wykroczyło, wszystko to z panów; czego dobrze doznawamy, jako proporce swe rozciągają, że téż mają pana po sobie, że nas uboższych z lekkiego poważenia i w sąsiedztwach jakie łakomstwa: biorąc, bijąc, wiążąc, dosyć nad nami dowodzą, ku upodobaniu swemu ściskając nas, gruntów nam ujmując. A zaś przez prokuratorów fortelmi dziwnymi, spraktykowaniem sprawy, swemi dostatkami zaś wszystkiego uchodzą. A toż to wykroczenie nie z pana (z króla), ale z panów, co działają co chcą, jako i panowie pieczętarze przeszli.”

Dobry katolik, rotmistrz Pieniązek, patrzmy, jak narzekał na wyższe duchowieństwo:

„I to pewna, żeby się była nie kołysała ta Łódź, Rplita, jako się to już przez 20 lat kołysze i jeszcze stanąć nie może, jedno dla złego baczenia panów duchownych i t. d.“

Na kanclerzów zagniewany jest srodze Pieniązek i śmiało prawdę rzuca im w oczy. Na nich spycha winę całego bezrządu. Oni forytowali przed królem ludzi zasłużonych dla siebie, oni się dopuszczali wszelkiego rodzaju niesprawiedliwości i ucisku. Starostwo np. o 20,000 dochodu, oni dawali takiemu, który nigdy żołnierzem nie był, a oleju téż niewiele: a onby się był kontentował wioską, bo jój jako żyw nie miał i w domu jego nie była, ani dziedzicznej, ani chłopa: sami sobie umieli dobrze orać. Z całej liczby pieczętarzów Zygmuntofskich, nasz rotmistrz jedynie tylko dla księdza Pstrokońskiego robi wyjątek, bo był sprawiedliwy a nieinteresowany, i służył sercem rzeczypospolitej. Dawni zasłużeni, a niewynagrodzeni dworzanie królewscy, garnęli się więc do Pstrokońskiego i przypominali mu dawne sprawy swoje. Ksiądz téż podkanclerzy ludzi animuszów rozróżnionych zwiódł do kupy królowi jegomości jedno ludzkością swą, i tak wszyscy,

i dwór i żołnierz, przy panu został. To jedna osoba baczeniem dobrém wiele zbudowała, rozumem i układnością swoją.

Pieniążek nic i od Pstrokońskiego nie dostał, a przecież mówi: „Bo prawda musi się zeznać, choć mi téż i nic nie zjednał, jednak dla takiej chęci i ofiarowania, gardła i majątności, jako dla pana, tak i jego wazyć nie lutowałbym“. To najcudniejsza Pstrokońskiego pochwała.

Za Zygmunta IIIgo trzymali pieczęć koronną: Jan Zamojski, Wojciech Baranowski, Jan Tarnowski, Piotr Tylicki, Maciej Pstrokoński, Stanisław Miński i Wawrzyniec Gębicki. Z całej téj liczby obywateli, dla jednego tylko wyjątek. Cenzury surowej nie uszedł więc i Jan Zamojski. Dzisiaj, dzień za dniem, wyjaśnia się coraz więcej położenie w kraju, pierwszego ordynata w Koronie.

Rotmistrz nasz dobrze krajowi radzi, kiedy tak dalej o pieczętarzach pisze:

„Baczyłbym do tego urzędu takiego, którymby się musiała wszystka Korona kontentować, dla rozrodzenia zacnego z zacności, z przednimi przedniego, sexennarium, który wiek za długim rzeczy doświadczeniem, baczenie i rozsądek doskonalszy, w każdym człeka sprawuje niegłodnego, intraty mającego do 20,000, zasłużonego na dworze panów: urzędami, legacyami do wiadomości rzeczy, Koronie polskiej należących tak gotowy, iż w tém żadnemu nie dałby naprzód. Invidia by być (która wszystko złe robi) już nie mogła“.

I dalej:

„Trzeba nam tedy panów pieczętarzów możnych i dobrze rozrodzonych, coby się z wakancyami na osoby nie oglądali, a braku między osobami nie czynili..... Za takim umiarkowaniem dopierobychmy się mogli pokoju i wszego dobra spodziewać; nie byłoby emulacyi, wzruszenia sejmików, szkodliwych zjazdów. A panu by pomagały ku rozszerzeniu państwa i wszego dobrego rozmnożeniu, jedno dobrym takim porządkiem a sprawiedliwością. Czym każde państwa dobrze stoją i krzewią się. Bo zaprawdę, za złą sprawą panów pieczętarzów, zechmy byli oszukani w nagrodziech za służby, miało nas co obchodzić, widząc podlejszego przed sobą i w zasługach mniejszego, bliżej, jako mówią, misy siedzącego, bardzo musiała być to bolesna“.

Za sprawiedliwym porządkiem rozdawania starostw, mówi nasz rotmistrz, byłoby prędkie ubogacenie Korony i osadzenie.

„Abowiem, gdy teraz starosta w starostwie siedzi sam jeden, a któż go złamnąd w czym spostrzegłszy, odniesie: jeśliż poddani, ci mało kiedy niebożęta wyskarzą, jedno co czas strawią, a potrawią się. A często im czasem za to dobiją; zkąd widzimy, że w takim starostwie, który siedzi *absolute*, pustek najwięcej“. Rotmistrz nasz, jak widzimy, był twórcą projektu, który potem za sejmu wielkiego, cokolwiek inaczej, ale mówił jednak w podobnym duchu o urządzeniu starostw.

Że jeszcze raz zaczepim króla Stefana. Przypomnimy to, co pisze Pieniążek o chęciach obywatelskich rycerzy, kiedy widzieli, że trud ich marno nie ginie i kiedy, oprócz wewnętrznego zadowolenia, że dopełnili powinności, nagrody z rąk króla odbierali. Nowych starostów Zyguntowskich, nie wywabiłby teraz do potrzeby i za pieniądze, a Stefanowscy żołnierze z własnej chęci lecieli do szturmów, na strzelbę, na działa. A gdy piechota zaczęła się, dawniej było, rozmyślać, zsiadłszy z koni kagańcowali rotom jeźdźnym Stadnicki, Pieniążek, Struś, Potocki; jak to żołnierzy po żołniersku, ale prawdziwemi wierszykami wyraził był:

„Pieniążek Prokop,
Skoczył przez przykop,

A Struś
Za nim tuż, tuż“.

„Pan co komu naznaczył, już tam pieczętarz próżno odwoździć miał, albo zadzierzywać którą wakancyą dla konsolacyej albo honorariej; już tam musiał być respekt na zasłużonego więcej, aniżeli na osoby“ i t. d.

Rotmistrz naprzykład stawia siebie i własną rodzinę, jak to jego imię teraz pobladło od Stefana czasów. Od sta i kilkudziesięciu lat, było za zacnem i zasługami Pieniążków, w jego ojczystym domu, za łaską królów, do kilkudziesięciu wsi, nie rachując już miasteczek. Starostwo jedno po drugim, przesuwało się przez ręce Pieniążków; a on przecie, jednej wioski nawet w dożywocie nie mógł dostać, za zasługami swemi jasnemi. Miał za sobą przyczynę wielkich ludzi, wojewodów, hetmana, referendarza, których wylicza tytuły; miał polecenia za sobą od zjazdów i sejmów dla pokazania wyniosłości ich, którzy chcąc się popisować potencyą swą, dowieść nie zaniechali, władzę swoje ukazując, że wolą i rozkazaniem królewskim odmienić mogli. Jakoż dowodzili co chcieli, już i nad dostojenstwo pańskie więcej coś sobie uzurpując, że już ledwo przed sobą padać nie kazali, Bogu się prawie podobnymi czyniąc.

Wspomina Pieniążek brata, kawalera, który się sprawiedliwości nie doczekał; wspomina i drugiego brata rodzonego, Nikodema, po którym zostały drobne dzieci. Opieka nad ich majątkiem, złożonym z kilku wsi leżących o pięć mil od Krakowa, spadła na Krzysztofa i czwartego brata, Piotra. Pieczętarze jednak obeym ludziom, mimo rodzonych stryjów, opiekę oddali. Piotr nie spodziewał się, aby w tej majątności dziedzicznej, z dziadów i pradziadów, potkać go co przeciwnego miało. Objął majątność i za oną opiekę z kancelaryi wydaną, zabit i zamordowan, a działkom stało się szkody do kilkunastu tysięcy. Bo nowy opiekun majątności używał, a nie można go było zeprzcć przez prawo. Więc i ubliżenie w majątności, i złe wychowanie dziatek tych, i zamordowanie krwie niewinnój, cnotliwego człowieka, spokojnego, brata Krzysztofa miłego, zatém się stało.

Nie spodziewając się zatém, żeby z pychy i łakomstwa co dobrego w ojczyźnie wynikło, umyślił nasz rotmistrz waledykować Rplitęj i tam się udać, kędy świeże zasługi i dzielne w dobrym poważeniu były, brata pana kawalera, do Malty. Ale zjawił się przyjaciel jakiś i ze słusznemi przyczynami odwiódł Krzysztofa od tego przedsięwzięcia. Sposobiąc się jednak do drogi, rotmistrz sprzedał swoje wioski w krakowskiej ziemi: Zamoście, Rutkę, Krasinkę, Zarabie, Łopuśnę, Irzędę, Zawiadkę; i w sandomierskiej: Dąbrowkę, Lupczę, Żarczyce; i w sieradzkiej: Niedośpielin, Wolę Koźniowską, Odrowąż i Niestrzyków. A sprzedał to wszystko, bo umyślił się żenić, i towarzyszowi swojemu nie chciał być niepraw: bo nierówny dostatek małżeństwo zwykł wadzić, a wzajemny dostatek czyni statek i przystojne życie. Znowu cecha charakterystyczna rotmistrza.

Wtém przyjaciel jeden, słodki jako chrzan, dowiedziawszy się o zamiarach Krzysztofa i odjeździe jego za granicę, chcąc co na nim zarobić, kupił jedną z jego wsi, na której jednak dług zostawił rotmistrz. I cnotliwą sztuką pozwów nie kładąc, banicyą na niewinnego wyrobił. Obruszył się zacny rotmistrz, i ze swojej strony obłożył go infamią, i zastraszył go *confiscatione bonorum*. A jeszcze, jako mówią, jedna nędza nie uczyni nic człowiekowi. Chrzan się uspokoił wprawdzie, ale nowa bięda spadła za kołnierż. Krzysztof był z królem w Rewlu, gdzie w pewnej zwadzie zabity dobry, cnotliwy człek i pokrewny jego, Stanisław Kempanowski. Intryga, niewinnego Pieniążka udała za winnego zbrodni, a prawdziwych złoczyńców za jego pomocników. Kilka

więc sejmów nasz rotmistrz odprawić musiał, i kilka tysięcy złotych uronił, ale miasto wskórania, do większej zguby przyszedł; i dlatego wolał się już w inną sukienkę oblec i pługą się ująć dla błogosławieństwa pańskiego, do inszego postanowienia, dla pogodniejszych wiatrów przystąpić.

Nastąpił więc w żywocie jego wiek trzeci,—małżeństwo. Pojął Urszulę Leżyńską, w domu zacnym, cnotliwym, starożytnym, wnuczkę kasztelana małogoskiego, a przedborskiego starosty od Maciejowskiej. Drugą żonę miał Annę Howską, wnuczkę wojewody plockiego. Trzecią Helżbietę Bużeńską, wnuczkę kasztelana krakowskiego. Bóg mu pobłogosławił i przysporzył majątku: miał Krzysztof pełno w gumnie, pełno w oborze i miłe potomstwo. Zagasił więc w sobie ogień złej żądz, a wolą dobrego czynienia wziął przed się ku pomnożeniu dobrego swego. Jako synowi koronnemu przystoi, myślał tylko o rzeczypospolitej. Szedł przykładem cnych przodków swych według prawa i zwyczaju, stateczną chęć i życzliwość ojczyźnie miłej na każdym placu oddając, przestrzegając coby przeciwnego było, ku ubliżeniu i każdemu niebezpieczeństwu jej. Szukał miary w postępowaniu swoim i znalazł ją, żeby prawa i wolności nie wyciągać dalej, jedno jako rzemień w sobie jest. Trzymał się we wszystkiem sprawiedliwości, która skromności jest przyjaciółką i ludzkiego dobra, która nas zawsze czynić uczy co przystoi, od tego zaś odwodzi, co przeciw przystojności. A skromność, w której zaburzenia żadnego niemasz, taka jest, jako hetman, który bez rozlania krwi wygrywa, i zostaje wszystkiego panem.

Temi cnotami żywot swój dobrze obwarowawszy, pozyskał miłość ludzką nasz dziedzic na Lassochowie. Przystojnie obchodził się z poddanymi, był dla nich dobrotliwy, kopał, rolę sprawował, stawy budował, stada chował, bydła i owiec co najwięcej, bo tém folwarki stoją; chmielniki naprawiał, pszczołniki budował. Mnożyły mu się też stada i ryby; z koni też miał ogromny przychówek. Widział teraz na prawdę, że sianie, szczepienie, kopanie, sadzenie i innych pożytków przyczynienie, sąto uczciwe zabawy; żywot się niemi trybuje i dobrém zdrowiem potwierdza. Już gospodarza nie strapi tam wydurność dworska i wyniosłe przemysły dobrego mienia; już go nie strapią one nowiny, zachodzące z różnych państw; ani sen przerwan nie bywa żądliwą dworską zazdrością, ani zrząca nienawiścią. Ani bliźniego ku podejściu zamysławanie. Czego wszystkiego dworski żywot

pełny, to jest zabaw niepotrzebnych. Spokojność sumienia, to nieśmiertelna rozkosz i nad inne najpożądliwsza.

Rozszerzyliśmy się może więcej, jakeśmy sami pragnęli, nad żywotem Krzysztofa Pieniązka. Wart też był zastanowienia się dłuższego: bo co do nas, wyznać musimy, że myśmy przynajmniej nie znali dotąd cudniejszego czasów Zygmunta Wazy obrazu. Ten żywot sam w sobie wzięty, stanowi całość tak piękną, tak artystyczną całość, że myśmy się zachwycali każdym jego szczegółem, każdym zwrotem staropolskiej w nim myśli. Rys wychowania ówczesnego młodzieży, jej pierwsze chwile na świecie i ten Witoś, cóżto za piękne a prawdziwe obrazy! Nazwał Pieniązek dziełko swoje *etyką*: jestto w samej rzeczy, piękny wykład praktycznej, szlacheckiej moralności. Skromny w swych żądaniach, Pieniązek nie narzeka na panów, że mu nie dali, nawet tego, co mu się słusznie należało; ale wytyka im brudny interes osobisty, że nie dawali nic zasłużonym, że łupieżyli rzeczą publiczną. Nieprzyjaciołom swoim darował błędy i zdradę, której sam był ofiarą. W całym tym obrazie ginie autor, a zostaje wszędzie obywatel. I rozumowaniem swoim i opowiadaniem, Pieniązek obudza najżywsze dla siebie spólcucie. Żył w czasach, kiedy rządna rzeczpospolita, za niego zaczynała się już nachylać do nierządu. Pieniązek wskazuje środki ocalenia rzeczy publicznej: szczęśliwy i spokojny, że dopełnił drogiej serca powinności! Niedoleżna ręka władała wtedy mieczem Bolesławowym i trzymała berło starych Jagiellonów, Zygmunatów; a jednakże ta ręka chciała tylko szczęścia rzeczypospolitej. Kiedy upadały, jedna za drugą, w bezdno błędów narodowych, sprężyny ciała towarzyskiego, znalazł się wtedy na pograniczu dwóch różnych bardzo od siebie epok, człowiek, co zbierał te sprężyny i objaśniał naród. Sam potomek znakomitego, historycznego rodu i spokrewniony przez potrójne małżeństwo z panami, gniewa się przeciw na panów i bluźni im w oczy. Religijny, narzeka na duchowieństwo, a w obrazie pieczętarzów dotknął najwięcej ówczesnych biskupów. Obraz Pieniązka mały, szczupły co do ilości kartek; ale jest tak zupełny, że nic do niego dodać, nic odjąć nie można. Jestto jeden z najpiękniejszych zabytków naszej literatury z początku XVIIgo wieku, zabytków, jakie gorliwość nasza wydarła obojętności i zapomnieniu.

My i cała czytająca publiczność polska, nie wąpimy, serdecznie będzie wdzięczną Wojcickiemu, za ten miły, cudowny, wonny kwiatek, jaki uszczknął na polu naszej starożytności.

Jagodyńskiego dramat, z włoskiego tłumaczony: „*Wybawienie Ruggierrą z wyspy Alcyny*”, nie ma nic co do treści wspólnego z naszym przedmiotem (tom IIIci, str. 249 — 292) (1), prócz chyba spisu osób przedniejszych narodu polskiego, które na téj akcey przy królewicu J. M. we Florencyey były. Ale i ten spis znany z innych źródeł. Jednakże Jagodyńskiego lista będzie ze wszystkich najdokładniejsza.

„Przypowieści polskie Rysińskiego” (tom IIgi, str. 95 do 204) (2), radziśmy znowu powitać w tym zbiorze. Piękneto dzieło filozofii narodowej. Pod względem przysłów i przypowieści położył w literaturze naszej Wojcicki tak wielkie zasługi, że bije zaraz w oczy jego sumienna i szlachetna praca. I poszukiwaniami historycznymi i spisywaniem samych przypowieści, stoi on na czele pisarzy naszych; a tém bardziej na czele, że prawie sam jeden. Wznowił te dawne sposoby mówienia przodków, zapoznał nas z ich duchem i treścią. Przy téj okoliczności zwrócimy uwagę i na jedną jeszcze stronę téj jego zasługi: tém bardziej, że musim się odezwać przeciw tak upowszechnionemu u nas przesądowi, który ma niby przyzwoitość na względzie. Wojcicki nic z przysłów Rysińskiego nie opuścił, a drukował wszystko: i to, co przyzwoite, i to, co nieprzyzwoite. Przyznajem, my doprawdy nie rozumiemy wcale tego gładzenia i tresowania autorów dawnych, które za epoki zeszłej tak było w modzie. Przedrukowywać jakiego pisarza z XVI, XVII wieku, i wypuszczać z niego to, co razi nasze salonowe względy i usposobienie, jestto doprawdy barbarzyństwo. Przedruk powinien się dać nowemu czytelnikowi tak, jak wyszło dzieło z pióra autora. Inaczej nie będzie to przedruk, a z pracy zepsutej nie nabędziem wyobrażenia o człowieku. Prze-

(1) *Wybawienie Ruggierrą z wyspy Alcyny gwoli Najjaśniejszemu Władysławowi Zygmuntowi, Królewicowi Polskiemu i Szwedzkiemu etc. z Woli Najjaśniejszej arcy-księżny Rakuskiej, Wielkiej Xiężny Florenckiej, w pałacu nazwanym Villa Imperiale przy Florencyey, podczas mięsopustu w roku 1625. Komedya z tańcem i muzyką po włosku representowane, a teraz na polskie przez S. S. Jagodyńskiego, który tam był praesens spectator, przetłumaczone. W Krakowie, w drukarni Cezarego, Roku Pańskiego 1628. Dedykacya z Krakowa w końcu stycznia 1628 r. do Jausza Kiszki, wojewody połockiego, Parawskiego, Bolnickiego starosty.*

(2) *Przypowieści polskie przez Salomona Rysińskiego zebrane, a teraz nowo-wydane i na centuryj osmnaście rozłożone. Nakładem Jakóba Wirowskiego bibliopole Lubelskiego. Roku Pańskiego 1620.*

rabiać autorów dawnych niewolno; chwalmy w nich, co godnego pochwały, gańmy, co nagannego, ale ich nie dotykajmy, nie psujemy całości, w której im tak dobrze. Jeżeli co nieprzyzwoitego znajdziem w dawnym pisarzu, nie zacytujęm tego zapewne w pracach naszych historycznych, ale dlaczegoż wiedzieć nie mamy, jak on pisał i co on pisał? A przecież i on także miał swoje uczucie przyzwoitości i żył na świecie, który się rządził zawsze jakimiś prawidłami towarzyskimi. A może to, co w naszych ustach nieprzyzwoite, w jego ustach nie trąciło tak wielką gminnością i prostactwem. Wojcicki dał nam wszystkie przypowieści polskie Rysińskiego, i za to godzien wdzięczności naszój; tém bardziej, że nawet Kraszewski, jak to zobaczymy, przedrukowując broszury dawne, całe z nich wiersze i ustępy wypuszczał, co ni by nieprzyzwoite były. Szanujmy również i cnoty, i wady, i słabości przodków, bo dla nas są oni przeszłością. A psuć ich tekst to tak samo dziecinnie wygląda, jak ze słownika wypuszczać wyrazy, których nie spotykamy na salonach, w potoczném życiu. Wstydzmy się lepiej za siebie, jak za drugich: bo ci drudzy może i serce mieli i czystość, pomimo błędów swoich, większe, jak my je mamy.

Dziwośćab dworski mięsopustny ucieszny (tom V, str. 263 do 307) (1), znany już po większej części z rozprawek Wojcickiego i z rozlicznych cytacyj. Jestto dyalog z czasów Władysława IV, co pomiędzy wszystkimi zabytkami sztuki dramatycznój, oryginalnością pomysłu zasługuje na uwagę. Rozprawiają w tym dyalogu: marszałek, galant, pochlebca, skoczek, śpiewak, gęba, pamiłus, śmierć, wąglik, smołka, anioł, doktor i t. d. Poemat satyryczno-zabawny.

Ekonomia, albo gospodarstwo ziemiańskie (tom IIIci, str. 99 do 222) (2) w wydaniu Schedla, jest już przedrukiem z dziełka dawnego. Autorem téj ekonomii jest jakiś Gostomski, jak to

(1)napisana (?) przez Maćka Pochlebę, gwoli zabawom ucziwym, pacholikom młodym. Potém wiersz:

„Roku się możesz nie pytać, dawszy sześć groszy i czytać.

„Tamci suadnie możesz baczyć, czém się twa myśl chce uraczyć.“

(2) *Oekonomia, albo Gospodarstwo ziemiańskie, dla porządnego sprawowania ludziom politycznym dziwnie pożyteczne*. Nil sine Deo. W Krakowie, w drukarni Krzysztofa Schedla J. K. M. typografa. Roku Pańs. 1644. Dedykacya przez Schedla Stanisławowi Lubomirskiemu, wojewodzie krakowskiemu.

widać z dedykacji. Książka ta już w roku 1644: „dawnością w niepamięć ludzką była zaszła”.

Dziółko także bardzo ciekawe i bardzo dlatego w porę przedrukowane. Jestto cała filozofia praktyczna dawnego obywatela polskiego, hreczkosieja. Lubo nie zawiera faktów do ogólnej historyi kraju, przecież jak dla nas, jest dziełem historycznym, bo obrazem swojej chwili, i pokazuje ówczesny sposób zapatrywania się obywateli, chociaż nie wszystkich, na stosunki społeczne kraju. Gostomski dzieli swoje *Gospodarstwo* na listy; zaczyna jednak od godła, że początkiem mądrości, bojaźń Boża. Listy pisze do swojego urzędnika na wsi, to jest do podstarościego, jak go wtedy nazywano. Uczy więc podstarościego obowiązków względem Boga i wskazuje mu, jaki być powinien początek gospodarstwa. Udziela przestroóg, jak się ma przy panu i gościu rządnie we dworze zachować, jak obchodzić się z kmiotkami, jak chodzić koło gumna w każdym folwarku. Następują przestrogi dla klucznika i młynarza. Potém porządne przepisy gospodarstwa, zastosowane do pory roku, który na wsi zaczyna się od ś. Bartłomieja i jesieni. Wtenczas piesza robota i około wytyczy. Zima w polu już jest na św. Marcin; wtenczas ładują się skutki na rzekę. Św. Paweł wskazuje przybliżanie się mięsopustu, a mięsopust zapowiada wiosnę. W lato przepisuje Gostomski porządek około gęsi i kokoszy, i zajmuje się przedziwem. Potém listy o dworze, jako się ma rządnie zachować, bo na dworze wszystko zależy. Wdowiec, pani i rządny młodzieniec, może dobrej dworze poruczyć nie jeden folwark, ale i wszystkie, by ich miał najwięcej. Po nauce dla piwowara, idzie list o rządzie w miasteczkach ziemiańskich, o burmistrzu i dziesiętnikach, o pożarze w miasteczku, o zachowaniu się w czasie morowej zarazy. Potém obowiązki pana, skreślone pokrótce, i wreszcie spis robót dorocznych z wielkiego inwentarza wyjętych, dla łatwiejszego znalezienia ku czytaniu. Kończy książkę Gostomski zapewnieniem, że czas i rząd ostatka douczy.

W tej *Ekonomii* i gospodarz, i prawnik, i polityk, i powieściopisarz znajdzie dla siebie zajęcie.

PODRÓŻE I PAMIĘTNIKI

Tomasza Kajetana Węgierskiego.

Przypadek, to bóstwo wszelkich wynalazków i odkryć, rzucił w ręce pewnego miłośnika starych autografów wór papierów, kupiony przez żydów na licytacji w Krakowie, którego smutnym przeznaczeniem było pójść do sklepów korzennych na zawijanie pieprzu. Instykt amatorski nie zawiódł naszego antykwaryusza; odkrył bowiem w steku nic nieznaczących szpargałów wiele listów pisanych ręką znakomitych osób, a przede wszystkim kilkanaście zeszytów podróży, pamiętników i listów w języku francuzkim, przygotowanych jakby do druku przez Jana Węgierskiego posła województwa podlaskiego.

Wiedzieliśmy tak z życiorysu Węgierskiego w klasykach polskich, które wydał Mostowski, jak z Bentkowskiego *Historii literatury polskiej* tylko ten szczegół, że Węgierski (Kajetan) „po wielu przykrościach wyjechał z kraju, zwiedził znaczną część Europy, opisał w języku francuzkim podróże swoje we Włoszech i we Francji południowej, w którym opisanii umiejętność doskonała obcej mowy i częste błyskawice dowcipu jego okazują się; a wkrótce, mało zdrowia szanowawszy, umarł w roku 1787, dnia 7 kwietnia, w Marsylii, gdzie w kościele katedralnym jest pochowany”.

Tymczasem ten sam przypadek, który towarzyszył odkryciu, sprawił, że z tego worka, część pamiętników i podróży i listów powędrowała już na drogę swego przeznaczenia—do sklepów korzennych. W tém, co pozostało, okazały się niezmierne luki; i tak: listy z podróży po Włoszech mają początek i koniec, brakuje środka, traktującego o pobycie w Rzymie; z pamiętników jego

doprowadzonych aż do 5 stycznia 1787 r., a zatem na trzy miesiące przed śmiercią, zostały cztery ostatnie ćwiartki. Za to dowiadujemy się, o czém biografowie nasi nie wspomnieli, że zwiędzał Martynikę, St. Domingo i Stany Ameryki północnej; świadczą o tém listy w kształcie pamiętnika, opisujące żeglugę do Martyniki (rękopis zupełny), i cztery zeszyty (pierwszego niedostaje), obejmujące amerykańską podróż, a nakoniec kilkanaście listów do znakomitych osób w kraju i za granicą, datowanych z Londynu i Spa, pierwotnie pisanych po angielsku, a na francuzkie wytłumaczonych przez Jana Węgierskiego, który, ile się zdaje, miał zamiar podać do druku cały zbiór téj pisanéj puścizny po zmarłym swoim krewnym.

Nie sądziłem, aby materyały te, jakkolwiek rozerwane i niezupełne, zasługiwały na zapomnienie, lub na los, jaki spotkał utraconą ich część; aczkolwiek ściśle wzięwszy, opisy Włoch i podróży morskich przed 80ciu laty, jeśli nie nacechowane osobistemi przygody, nie mogą dziś budzić wielkiego interesu: jednakże da się z nich wyczerpać wiele ciekawych szczegółów, odnoszących się już do osoby autora, już do epoki w której żył: co niepoślednią jest dla nas zdobyczą, zwłaszcza, żeśmy tak bardzo ubodzy w szczegóły bibliograficzne. Większa część osób, grających w dziejach naszych, lub w zawodzie naukowym i literackim ważniejszą rolę, ledwo w szkieletowych rysach przechowuje się: urodził się wtedy a wtedy, taki lub owaki urząd piastował, miał żonę lub nie miał żony, pisał wiersze, odprawiał poselstwo, i leży pochowany w tym lub owym kościele.

Dzisiaj, kiedy koniecznie ciekawiśmy wiedzieć w jakich stosunkach żył autor lub człowiek publiczny, jakie okoliczności wpływały na czyn jego w polityce, lub na utworzenie jakiego wiersza lub dzieła; kiedy nas żywo obchodzi atmosfera jego, łamanie się z przeciwnościami, rozkosze tryumfów, smutne koleje upadku; kiedy słowem, chcemy zajrzeć w tajemnice duchowe, i widzieć go, że tak powiem, w negliżu: pytam, jak tu zrozumieć, jak poznać fizyognomią i charakter człowieka z takiej suchej notatki? Jak np. dowiedzieć się czego z akademickich, szumnych a pustych pogrobowych pochwał, jakie miewał *ex officio* na posiedzeniach Towarzystwa Przyjaciół Nauk Stanisław Potocki?

Jakkolwiek tedy, częśćka znalezionych rękopisów nie uzupełnia żywota Kajetana Węgierskiego; ale go przecież poznać daje z téj strony, z jakiej dotąd nie znaliśmy go wcale. W ogóle

wiedzieliśmy tylko, o ile każdy mógł sądzić z pozostałych po nim wierszy, że miał dużo dowcipu zaprawnego na Wolterowskiej szkole, dużo złośliwości także z téj szkoły, i cynizmu z jakim się zwykle popisywali nasi ówcześni nowatorowie, którym tak wszystko było niesmak wrodzinie, że nawet poczciwe obyczaje i wstyd staropolski wystawiali na pośmiewisko. Kapłani zwierzęcego materializmu nie przestawali szerzyć go przykładem i piórem, jakby wychodząc z téj zasady: że chciawszy naród na swoje zreformować kopyto, trzeba mu odjąć cnoty domowe, ochrzcić je mianem grubego przesądu i na bezwstydy rozpasać. Węgierski, aczkolwiek bardzo obcięty w swoich utworach, wydanych przez Mostowskiego, nosi to piętno właściwe ówczesnym modnym dowcipom. Poczujesz za każdym słowem, że duch encyklopedystów całym legionem wstąpił w dwudziestoletniego młodziana. Postawiwszy się na jakimś *quasi* racjonalnym stanowisku, nie wie już co do czego należy, żadnej tradycyi nie pojmuje, ani chce pojąć; powstając na zepsute obyczaje stolicy, nawet dla słabiej płci nie ma względu. Z drugiej strony, w jakichżeto przedmiotach czerpie natchnienie? Myślałbyś, że w lupanarze osadził swój Helikon! Takie rymem napłodził Pironowskie bezwstydy, że nawet duch czasu, acz tak osławiony, nie śmiał je drukiem ogłaszać; do dziś też krążą w rękopisach ku wielkiej uciechu starych rozpustników i zbudowaniu ciekawych studentów.

Zawód Węgierskiego jako poety, odrazu został zwichniony. Serce, co jeszcze nie doświadczyło, co nie miało czasu zetrzeć się ze światem, ani się przeżyć, zamiast uczucia swoje wlewać w to wszystko, co je otacza: czyto w boską naturę, czy kochankę, czy naród—odrazu przeczy, bluźni, wyszydza lub filozofuje; lub znowu chcąc niby szczepić swoją naukę, wpada w suchy morał, w deklamacyą i ogólniki. Sądzony jako wierszopis nie wytrzyma porównania z Krasickim, z którym go łączy niejaki powinowactwo; Krasickiemu płynął wiersz szczęśliwy, tryskał dowcip niewymuszony, samorodny; utwory jego zdobyła gładka i piękna polszczyzna, przyprowadzona do form najbardziej może popularnych; a co najważniejsza, w Krasickim przebijała wytrawność męża, co żył doświadczeniem, i ta filozofia praktyczna, ten zdrowy rozsądek i talent spostrzegania, które aczkolwiek nie liczą się za główny przymiot poezyi, odpowiadały ówczesnej potrzebie, nie wchodząc, czy zawsze dobrze lub źle zrozumianej. Węgierski

„mniej jeszcze z Trembeckim może stać na równi. Sam to w wierszu do niego wyznaje: .

„Jam szukał sławy—cieble zaś szukała sława.”

Śpiewak Zosiówki, to mistrz w rymowania sztuce, to rzeźbiarz, którego każdy wiersz, jest jakby misternej roboty fryzą, choć przyklejoną na murach świątyni bez bóstwa. Trembecki pełną piersią żyje jeszcze duchem starożytnych; dźwięki mowy Zygmuntofskich pisarzy nie zamarły mu w uchu: gdy u naszego starościca korytnickiego rozplynęło się to wszystko w pustej gadatliwości francuzkiej; gdy od niego, można twierdzić, wychodzi zawiązek tej szkoły rymotwórców, których apoteozą były czasy Księstwa Warszawskiego. Owoż, jak widzimy, Węgierski nie zajmuje, ani mógł zajmować tak wysokiego stopnia w plejadzie poetów Stanisławowskich; chociaż dowcip złośliwy musiał go czynić upragnionym gościem na takich czwartkowych obiadach, kiedy dla obudzenia dobrego humoru, a razem strawności, ciskał strzały po strzałach w nieszczęśliwego a nieumiejącego się odcinać autora *Natretów*. I sam Węgierski w późniejszym wieku doświadczeniem życia, dojrzałą rozwagą wiedziony, gdy głowę nauką świata i rzeczy wzbogacił, sądzi pierwotne prace swoje surowo i dość sprawiedliwie, jak to wyczytujemy w liście z Londynu r. 1785, pisanym do Rogalińskiego:

„Gniewam się, że wydrukowano tę nędzotę, *Organy*. Kiedy je składał, miałem zaledwo lat 18. Śmiało powiem, że wydawcy niemało dodać musieli błędów, do błędów autora; ale mniejsza o to. Już blisko ośm lat jak wierszy nie piszę; a zatem ty, i twoi przyjaciele, grubo się zawiedziecie, oczekując odemnie poetycznych utworów.”

W ogóle rozpatrując się w jego wierszach, spostrzegamy niewytrawny umysł młodzieńczy, który zarwał wyobrażeń przesadzonych, jakimi J. J. Rousseau tak wymownie a tak niepraktycznie świat częstował. Ztądto owe marzenia o uszczęśliwieniu rodu ludzkiego, o ideale, którego szukać mamy w dzikim człowieku, o bezwzględnej równości, o filozoficznej republice; a wszystko pomieszane z jakimiś odłamkami epikureizmu, z nieświadomością celu w tém i przyszlém życiu, a przeto z rozpaczaniem we wszelką inną szczęśliwość, krom tej, którą się złotem osiąga; nakoniec z szyderczym politowaniem dla cierpiącej cnoty, to znowu wychwalaniem Horacyuszowskiej maxymy: *medium tenere beati*. Zbrojny takim bigosem wyobrażeń bez podstawy i busoli, ogni-

sty, ambitny, z siłami nie obrachowawszy się, rzuca rękawicę stolicy i jej społeczeństwu, drwiąc z panów, z mnichów, z urzędów, z obyczajów; myślałbyś, że drugi Kato równie surowy i dla siebie, gorąca dusza, zatopiona w swoich ideałach; ale przeciwnie! to młokos, co dopiero *piąty lustr zaczyna*, a już się gniewa, że światu nie uczył (1). Używać, używać! przed 80 laty godło to błyszczało na chorągwiach reformatorów, kapłanów materyjalizmu, tak samo jak dzisiaj błyszczy.

Posłuchajmy, jak się też sam odmalował w wierszu do Bielińskiego. Spowiedź ta, to jedyny w swoim rodzaju wizerunek wewnętrzny; mało który z autorów zdobył się na tyle szczerości. Rozmiłowany w filozofii swego wieku, prawdziwy roztargniony kochanek, ani postrzegł, w jak niepoczesnym stroju przedstawił się potomności. Otóż i treść spowiedzi: „Gdyby być panem dobrej wioski (bardzo skromne życzenie), gdyby moi przodkowie byli zbijali grosz do kupy, a mniej dbali o buławy i krzesła (takie marności obywatelskie!), byłbym miał pieniądze, a za pieniądze zaszczyty i tytuły; ale wziąć zaszczyt i tytuł w puściznie, cóż po tém: za to nikt i szeląga nie da!” A dalej: „przy licznym majątku,

Nigdybym się nie kwapił do żadnych urzędów.

Co komu po tym kłopotcie? Wreszcie urzędując trudno utrzymać imię nieskażone (dobre imię, to nie pieniądze), a potem, że:

Mule dobre wychowanie i względna natura,
Kazała naśladować ściśle Epikura.

Otóż i tajemnica życia; ale żeby przywoicic rolę Epikura utrzymać, potrzeba mieć duży majątek i wszystkie wygody: dla gołego nie pozostaje nic innego, tylko albo sobie kamień do szyi uwiązać, lub naśladować Cynika:

Który w beczce zamknięty pędząc nudne lata,
Dziwem i obrzydzeniem stał się razem świata.”

Tu znowu westchnienie do losu, czemu go nie uczynił panem! Gdyby tylko mógł się państwa dochrapać, zobaczymy jakiby plan w zawodzie życia nakreślił. Oto:

„Najpierwój, twe Paryżu szedłbym widzieć dziwy,
I z źródła różnych zabaw czerpając potrosze,
Chwilebym na nauki dzielił i rozkosze;
Póki by krew gorąca i potrzebne siły,
Takiego mi sposobu życia pozwoliły.

(1) Patrz wiersz jego do Bielińskiego: *Mysł moja*, 386, wyd. Mostowskiego.

Ale, jakbym się tylko zbliżał do starości,
 Gdzie mniej trzeba uciechy, a więcej wolności,
 Tamby najpiérwsze osłąść było me staranie,
 Kędy ojczyzna Russa, Woltera mieszkanie.
 Tam, wespół z pracownemi obcując Szwajcary,
 Paliłbym tym dwom mężom niezgasłe osłary;
 I od brzegów Genewy rzekłbym sobie z cicha:
 Darmo Polak do dawnój szczęśliwości wzdycha!"

Otóż i całe życzenie, cała niejako treść życia w tych wierszach zawarta! Ileżto nędzy w téj filozofii XVIII wieku! Używać, póki siły i zdrowie starczą; a gdy krew oziębnie, palić kadzidła genewskim i fernejskim mędrcom, i litować się nad rodziną ziemią, że tam są tak niepostępowi ludzie, co mogą wzdychać do duchowój potęgi wiary, która nas czyniła przedmurzem chrześcijaństwa, do prostego obyczaju, do cnót patryarchalnych, do poświęceń się i gotowości obywatelskiej. Przesiawszy to wszystko na pytlu bezwzględnej negacyi, zważywszy na wagę grubego materializmu, cóż zostanie?—garść plewy. I prawda: w ręku tych reformatorów plewy tylko zostały z ojczystego ziarna!

Takimi pomysłami harcowała młodość Węgierskiego. Zuchwały wyobraziciel zbroceń swojego czasu ma tę zaletę, że nie obwija w bawelnę, i świeci całym cynizmem nagości. Inni, mniej od niego niezawiśli, a raczej co są na drodze pewnych widoków, garną się pod płaszczyk protekcyi, modyfikują się podług dworu, gestym dymem kadzideł osłaniając swoje nędzoty. Węgierski acz szambelan J. K. Mości, rozpuszcza bicz satyry i smaga nim niekiedy zbyt nieuważnie, z obrazą niejednej miłości własnej, a zawsze z obrazą dobrego smaku i moralnego uczucia. Dlatego téż, jak suchy biograf jego powiada: „Wyszędłszy ze szkół, wkrótce zbytnią wolnością myślenia i pisania zrobił w stolicy wrażenie; wyznać trzeba, iż niedosyć miał pomiarkowania w używaniu tego łatwego, ale mylnego sposobu nabywania sławy, którą na cudzej krzywdzie swawolny dowcip buduje”. Dziwneto zaiste musiało być wówczas wychowanie szkolne, kiedy Węgierski, jak wiemy, pobierał naprzód nauki w konwikcie u Jezuitów na Nowém-Mieście, a później u Teatynów w Warszawie. Mury klasztorne nie były zapewne dość grube, kiedy przepuszczały ze światowém zepsuciem tyle wyobrażeń wręcz przeciwnych zasadom edukacyi, zostając w ręku duchownych; lubo z drugiej strony wiemy i to, że w pewnych epokach, wyobrażenia stają się jak atomy, które pierś młoda mimowolnie wciąga w siebie z powietrzem.

Nie posiadamy szczegółów, odnoszących się do wstępu na świat młodego dowcipnisa i wierszopisa; zapewne gładysz, przystojny, światły i cięty podobał się damom, i te go ze salonu do salonu podawały sobie jak piłkę, a stare fircyki słysząc, jak cytuje Wolterowskie wiersze i z kiepska po węgiersku jego fraszki przebiera, roznieśli sławę gieniuszka po całej Warszawie. Łatwo przypuścić, iż tą drogą dostał się, wsparty jakimś osobliwym protektorem, na dwór królewski, gdzie, jak to napomknęto w wierszu Bielawskiego, musiał urzędować w kancelaryi królewskiej, bo mu radzi:

..... przepisuj raczej ustawy i listy,
Kiedy masz i zapłatę, i godność kopiisty."

Żywość dowcipu, prędkie, śmiałe odpowiedzi, czasem jakie *impromptu* wierszami, które się podobało królowi: wszystkie te zalety, popłatne wówczas, zjednały naszemu kopiście tytuł szambelański.

Wysoka protekcyja, dużo zarozumienia o sobie w które go wprawiły pochwały i adoracye tych, co się jego uszczypliwości lękali, wreszcie i gust ówczesny, sprawiły, że pióro rozpuścił na wiatry, i językowi też nie folgował. Wiersze Bielawskiego, w których tenże odcina się na zaczepki młodzika, napomykają cośkolwiek o nieprzyjemnościach, jakie ztąd go spotkały. Coś tam jest i o wypędzeniu od szlachetnych stołów, coś i o szarpaniu literackiej sławy autora Doświadczyńskiego, za co omal nie został zhańbiony; a wreszcie i podanie napomyka, nie wiem ażali wiarogodne, że za wiersz: *Cztery Elżbiety*, spotkała go naprawdę nieprzyjemna konfuzya. Niewiadomo mi, ażali te wszystkie ugryzki za ugryzki, czy też napisanie poematu obrażającego pewne wysoko położone osoby, spowodowało wyjazd jego za granicę, ile się zdaje nieprzymuszony żadnym wyższym rozkazem, lecz wynikający z drażliwego położenia, w jakim się przez lekko-myślność postawił.

Słyszając go lamentującego nad niedostatkiem fortuny, a wnosząc po skłonnościach do pańskiej ostentacyi i szumnego życia, przypuścić można, że nienajlepiej musiał być opatrzony w fundusze na podróż; w takim razie jeden pozostawał ratunek, udać się pod skrzydła jakiego możnego pana, coto jeszcze sobie miał za obywatelską zasługę robić młodzieży karierę. Wiersz Trembeckiego pisany z pożegnaniem do odjeżdżającego, objaśnia nas cokolwiek w tej mierze. Węgierski pojechał za *łukowskie bory*:

„Gdzie ładne dziewczę domu wyrządza honory. ...
 Co to wiernością znańsze wyrówna małżonki.....
 Ni ją szluczne przysięgi, ni grodzczy pisarze,
 Przez kontrakt z *urzędowskim* umieścili w parze”....

Wiersz ten zostałby hieroglifem, gdyby go nie wytłumaczyć na prozę. Podług niego, Węgierski udał się do Radzyna, za łukowskiemi borami, gdzie Ignacy Potocki starosta urzędowski, później marszałek nadworny litewski, zrezygnowawszy i z duchownego stanu i kanonii warmińskiej, żył z piękną Francuzką, panią Etoubville; z niemito więc poeta nasz miał do Paryża wyjechać.

Owóż tak, marzenie jego wypowiedziane w wierszu do Biełlińskiego, spełniło się. Węgierski podług dat na listach pisanych z Włoch, które odnoszą się do r. 1779, mógł wtenczas mieć nie więcej nad lat 24. Umysł przepadający za nowością, wyobraźnia łaknąca niezwyčajnych przygód, dowcip całkiem wykształcony na sposób francuzki, pragnęły szerszego, świetniejszego dla siebie pola; co wszystko ponętném czyniło to wygnanie w krainę sztuk pięknych i życia tak rozwolnionego, jakie się wówczas objawiało w Paryżu, przechowującym tradycyę regencyi i dworu Ludwika XV. Ta swoboda i lekkość niefrasobliwa, przebija szczególnie w listach pisanych z podróży włoskiej, którą odbywał zwiedziwszy naprzd stolicę Francyi. Władając doskonale francuzkim językiem, przyswoił sobie całą powierzchowność i dowcip pisarzy tego narodu, będących najbardziej w modzie; a chcąc przytém powagę uczonego zachować, lubi przytaczać starożytnych autorów, i takie źródła, które dziś nie mają krytycznej wartości, ale o erudycyi zaszczytnie świadczą: w czém widać jeszcze szczątki jezuickiego trybu wychowania. Daleko byłby nas więcej zainteresował, gdyby był pisał co czuł i widział, a nie to, co czytał. Ztąd podróż ta, aczkolwiek trafami niekiedy przeplatana obrazami, nie ma nawet téj zasługi, co lada *przewodnik podróży*. Gdyby przynajmniej poszukiwania swe zwrócił był do rzeczy polskich, jużby niemałą ściągnął na siebie zasługę; ale on np. w Padwie, acz zwiedzał uniwersytet, nic nie znalazł, nic nie widział, krom jakiegoś pana A. . . wiołonczelistę, wielkiego gadułę, brokantera w Wenecyi, a nadającego sobie szumny tytuł: ajenta polskiego.

Ażeby dać wyobrazenie o jego stylu, przytaczam początek pierwszego listu, pisanego z Werony pod dniem 13go listopada 1779 r.:

„Niegodziwy czas towarzyszący mi od Spa aż dotąd, i szybkość jazdy, nie dozwoliły mi korzystać z przyjemności, jakie mogłem być zebrać na tej drodze. Wyjechałem ze Spa załując towarzystwa, które tam pozegnałem, pieniędzy które przegrałem, i czasu strawionego bez żadnej korzyści. Dwie pierwsze straty powetować można, lecz ostatniej niczem nie powetuję. W półtoręj doby stanąłem z Akwisgranu we Frankforcie nad Menem. Ani trzej królowie w Kolonii, ani szynki mogunckie, nie zdołały zatrzymać mnie dłużej jak trzeba było do przeprzegu koni. Jednakże dla nabożnisia bardzo ciekawem miastem byłaby Kolonia. Oprócz trzech królów pochowanych tamże, pogrzebiono także i jedenaście tysięcy panien. Tylu świętych obojój płci pogrzebionych, i tysiące innych cudownych rupieci, przyczyniły się, że Kolonia została miastem świętym i niejako Rzymem niemieckim.... Aniby nikt nie wpadł na myśl, że Moguncya da się w czem porównać z Polską. A tymczasem szczury, podobnie jak u nas, zjadły tam księcia, a do tego biskupa. Hattona ten sam los spotkał co Popiela; śmierć ostatniego Sarmaci uświęcili przynajmniej poematem prześlicznym, kiedy tutaj, w tej stolicy szynek, zaledwie wiedzą o smutnym końcu biskupa. Trithemus w swoich kronikach i Kamerarius w Medytacyach szeroce się rozpisali o bohaterskich czynach szurzego rodu.”

W podobnym tonie pisane są wszystkie listy z Werony, Wicencyi, Padwy, Wenecyi i Rzymu. Czasami przeplata je powiastką jaką, opisem publicznej ceremonii, obiadu, balu, sądem krytycznym o jakim autorze, jak to uczynił z powodu sonetów Petrarki. Zdanie jego, jak na ów czas, warte uwagi:

„Przypominam sobie jakieś mi recytowała kilka jego (Petrarki) sonetów, lając mię, że nie znalazł tak zachwycającemi, jak Labé M.... w mówić w nas usiłował. Nie masz bowiem nic łatwiejszego jak dowieść ludziom nieuprzedzonym, iż obok mnóstwa piękności znajdujących się w jego utworach, jest co niemiarą tak nazwanych *Concetti*, stek myśli wyalembikowanych, wymuszonych, i to, co Boalo nazywa *du Galimathias double*. Lecz inaczej być nie może, kiedy kto pisze 317 sonetów i 50 pieśni w jednym i tym samym przedmiocie. Choćby kto miał dziesięć razy więcej gieniuszu niż Petrarka, musiałby popaść w podobne płaskości.... Przeczytałem uważnie wszystkie sonety pana Franciszka, i nie mogłem zrozumieć, azali był szczęśliwy lub nieszczęśliwy w miłości. Prawda jest, że często się żali, ale za to często od-

daje się uroczym nadziejom, i prawie powiada, że jest kochanym. Najpodobniej z wszystkiego, że nadobna Laura więcej była z nim kokietką, niż tkliwą kochanką....”

To zdanie Węgierskiego, li oparte na zdrowym rozsądku, uderzyło mię tém mocniej, że dzisiejsi badacze poezji Danta, Petrarki i Bokacyusza, dostrzegli wiele symboliki i tajemniczości w ich utworach. Owe Beatryxy, Laury, Fiametty niekoniecznie mają znaczenie i przymioty zwyczajnych kochanek; uważać je raczej trzeba jako pewne umówione godła, odnoszące się do średnio-wiecznej walki Gwelfów i Gibelinów. Nie dziw więc, dlaczego dzieje miłostek Petrarki, przedstawiły mu się tak zawile; śledząc historię serca, natrafił na polityczny zamęt.

W ostatnim liście, który acz bez początku pokazuje, że pisany z Rzymu, napomyka, iż ma zamiar udać się do Wenecyi, aby widzieć zaślubiny Doży z morzem. Z powrotem jednakże przyrzeka opisać Rzym szczegółowiej. Z rękopisu wniesćby można, że więcej listów nie pisał, bo zaraz następują przypiski i objaśnienia.

z pozostałych rękopisów nie dowiadujemy się nic, co robił, gdzie przebywał od czasu włoskiej podróży, czyli od 1779 do 1783 r. w którym przedsięwziął zwiedzić nowy świat. Zdaje się, że prędko skończywszy z Włochami, przepędził te lata w Paryżu, już w sposób, w jaki zwykle przepędzali czas nasi wojażerowie w tej stolicy, to jest na grze i miłostkach, już na kształceniu się umysłowém, do którego Węgierski miał i pociąg i usposobienie niepospolite. Rzecz pewna, że ruch sprawiony we Francyi z powodu wojny o niepodległość w Stanach Zjednoczonych, i jego porwał. Wiemy, jak Francya przez antagonizm ku Anglii, dzielnie poparła kolonie amerykańskie, jak filozofowie klaskali patrząc na urzeczywistnienie swoich teoryj. Węgierski sympatyzując i z Francją i z filozofami, a przytém syn rozpadającego się narodu, niewątpliwie uderzony został wielkością scen i charakterów. Taki Washington, Jefferson, Franklin, zasługiwali aby ich bliżej poznać; również instytucye, zapewniające tak szeroką wolność i niezawisłość koloniom, aby je zbadać na miejscu. Że ta myśl przewodniczyła mu w przedsięwzięciu tej żeglugi, świadczy ustęp jeden z dziennika pisanego w Ameryce. Pewnego razu z okien domu gościnnego widząc smutną sosnę, a pod nią mizerny grobowiec Sir Francis Clarke, adjutanta generała Bourgogne, który ranny śmiertelnie pod Stillwater i wzięty w niewolę, tu oddał ducha, taki robi zwrot myśli do siebie: „Jakiżto smutny los

umierać w obcej stronie! Nie mogę się wstrzymać od wzruszenia i nad sobą samym nie zadumać. Jeżeli zdrowie moje nie wytrzyma trudów podróży, i wpływów zmiennego klimatu—umrę—nim jeszcze pożytecznym się stanę memu krajowi, nim zdołam ułożyć w *dzieło* materiały, zbierane z tak ciężkim móżdżem“.

Podróż do Martyniki pisana jest w listach do jakiegoś Julii w Paryżu. Szczegóły zawarte w niej ubogie i mało zajmujące. Za to co niemiara wrażeń i strzelistych uniesień do opuszczonej kochanki. Węgierski daje raczej obraz wewnętrznych uczuć, spowiedzi miłosnych, obaw o utratę ubóstwionego przedmiotu (na którego stateczność zdaje się niewiele liczył), niż swoich przygód lub ścisłych postrzeżeń. Jestto ustęp całkiem roman-sowy z życia poety. Widać, że oderwanie się od Julii, kosztowało go wiele; ale darmo! świątynia sławy wabiła go..... „Ty Julio—wyraża się w jednym liście—jesteś niezbędną do upięknienia, do ugruntowania tej budowy.... Nie ma bowiem istoty, któraby mogła własne szczęście czerpać z siebie samej”. A dalej: „Miłość moja wyrównywa méj niecierpliwości, i nigdy nie martwię się bardziej, jak gdy pomyślę, jaki czas i jaka przestrzeń nas dzieli; za to w obec nagrody, która mnie czeka, czémże jest długość chwil, czém cierpienia moje?”.

Możnaby twierdzić, że prawdziwe przywiązanie ciągnęło go do tej osoby; nie mogłem się jednak nigdzie dowiedzieć, jak się ten romans skończył: czy Julią za powrotem znalazł wierną, czy już w objęciach jakiego kawalera de Narbonne, do którego smagłej twarzy musiała mieć niejaki pociąg, kiedy z tego powodu żartuje z niej, pisząc za przybyciem do portu św. Piotra w Martynice: „Widzę dokoła same czarne i żółte twarze; twoja skłonność do podobnej cery miałaby tu piękne pole, a wtenczas płeć pana de Narbonne wydałaby się twym oczom białą jak alabaster”.

Najpewniej, że intryga ta skończyła się jak tyle innych: *les absents ont tort*, powiada przysłowie: wreszcie dla obu stron próba zdawała się może zadługą. Wiemy przytém, że z obyczajem ówczesnym niebardzo się zgadzał wyexaltowany sentyment: lada kaprys wpływał na zmianę lekkich uczuć. Jeden list, zaplątany przypadkiem, rzuca światło na naturę ówczesnych miłostek. Sąd to wyrzuty jakiegoś Alexandryny, która pierwój panowała w jego sercu, nim to miejsce Julia zajęła. Istota tkliwa i silnie kochająca pyta go: „Czyliż się nigdy nie dowiem, jakie uczucie kierowało tobą, gdyś mię odepchnął? Czyliż ta nowa kochanka zą-

dała od ciebie téj ofiary? Czyliż dla ujęcia jój musiałeś poświęcić tkliwą istotę, powierzając ci się bez obrony? Czyliż to poświęcenie się zapłaciła ci choćby dwakroć silniejszą miłością? Ale nie! onaby nie kazała ci być tak niehumanym!.. Mnie ją wystawiano jako osobę czułą, słodką, uczciwą w swym stanie... Kto wie, możeby więcej nad moim losem okazała litości, niż ty pokazujesz!..“ Mimo téj niestałości ze strony kochanka, nie przestaje ubóstwiać go; wyrazy te malują stan jój serca: „Uczyniłeś mię najnie-szczęśliwszą z istot na ziemi; nic mię od ciebie oderwać nie może. Jakażto męka kochać pomimo woli! kochać i wątpić, że kiedykolwiek byłam kochaną, i że za moje przywiązanie, czeka mię tylko wzgarda... Biedne to serce nie może skruszyć bożyszcza, które stworzyło samo, a które miłość odziała takim urokiem.“ Tutaj następuje historia całego romansu; pokazuje ona, że poeta nasz jedném wejrzeniem umiał podbijać serca kobiet. Ciekawito ustęp; posłuchajmy go: „W przeszłym roku, na tym balu, jedyném źródle wszystkich moich nieszczęść, na balu, gdzie nigdy już noga moja nie postanie, rozmawiałam z baronem de Staël. Zbliżyłeś się do niego. Spojrzawszy na ciebie, nie mogłam już oczu moich oderwać, i każdą razą coś przechodził, choć byłam innym jakim przedmiotem zajętą, mimowolnie wzrok mój kierował się ku tobie. W kilka dni potem znajdowałam się na wieczery u barona; mówił ze mną o balu dawanym przez gwardye (Gardes du Corps), gdzie pewna kobieta, którą mniemał że ja byłam, bardzo go zaintrygowała; nieznajoma ta miała wiele z tobą rozmawiać. Gdy twoje nazwisko wymienił, zmieszałam się tak okropnie, że baron nabrał prawie pewności w swoim domyśle. Na drugi bal znowu poszłam. Oczy moje szukały cię wszędzie. Sama nie wiedziałam, dlaczego cię szukam; a jednakże upatrywałam, dopóki cię nie znalazłam. Chciałam zawiązać rozmowę, a nie wiedziałam co powiedzieć... zapytałam tylko, czy nie wiesz gdzie się baron obraca? Zajęty maskami, przyjąłeś mię dość zimno. Ubole dło mię to, lecz nie przestałam wypytywać o ciebie; wszyscy mówili z pochwałami. Jednego słowa nie uroniłam z tych pochwał, i nie widząc cię potem przez cały rok, z wspomnień tworzyłam sobie twój obraz. Nakoniec na pierwszym tegorocznym balu, kiedy cię znowu ujrzałam, serce tak mi gwałtownie zabiło, że bojąc się bym nie zemdląła, a nie mając na czém usiąść, oparłam się o łożę. Tyś kilka razy przechodził koło mnie; każdą razą chciałam do ciebie zagadać, a nie mogłam się zdobyć na słowo. Odwa-

zylałam się jednakże; tyś zaledwo mi odpowiedzieć raczył. Chciałam już bal opuścić...i toby mię ocaliło. Pani de Gou.... i de Mon.... które mi towarzyszyły, zagadały się ze mną; hrabia de... miał nas odprowadzić. Tymczasem ty nadszedłeś. Nie mogłam się wstrzymać i nie wymówić twego nazwiska; zatrzymałeś się i słuchałeś mię po raz pierwszy. A kiedy te panie oddaliły się szukając kogoś, drżałam i radowałam się na tę myśl, że z tobą zostanę samnasam. Jednakże niedługoś bawił. Odtąd obraz twój nazawsze został w méj głębi.“

Nieskończony to labirynt zamaskowanych intryg, prześliczna historia serca kobiety, rzucającej się na ślepo w objęcia ukochanego przedmiotu, którego jednakże przykuć do siebie nie mogła, pomimo tylu delikatnych uczuć, pomimo poświęcenia mu dobrego imienia i cnoty. Julia wszystko jój wydarła. Zdaje się, że sentymentalizm Alexandryny, jak sonety Petrarki, znudzić musiał Węgierskiego. Julia żywa, dowcipna, kokietka, lubiąca lecieć z balu na operę, z przechadzki na przechadzkę, szastać się po wodach w towarzystwie dawnych adoratorów, bardziej mu zapewne przypadła do gustu, niż ta czuła istota, co widząc exystencją swą złamaną, postanawia wstąpić do klasztoru... Ale téż Julia ta niemało wznieca obaw i zazdrości w sercu kochanka, bijącego się z burzami oceanu. Posłuchajmy kilka ustępów z listów, jakie do niej pisał z St. Domingo:

„Widzę z przerażeniem i rozpaczą, że w chwili, kiedy to piszę, w sercu twojém miejsce moje zastygło. Jakżeby miłość twoja zdołała wytrzymać siedmio-miesięczną próbę? jakżeby oparła się szatańskim podszeptom osób, które cię otaczają, a mnie nienawidzą?“ Dalej znowu łagodząc swoje podejrzenia, przysięga jój, że ona jest celem jego życia: „Jeżeli potrzeba, powiedz, żeś połączona ze mną węzłem małżeńskim: ja się ciebie nie wyprę. Wszystko uczynię, aby twe szczęście zapewnić; bo moje od niego zawisło. Znasz przesady twego narodu: w tym stanie nie możesz pozostać. Przy mnie będziesz na całe życie ubóstwioną i szanowaną od moich krewnych. Jeżeliś tedy padła w objęcia uwodziciela, zrób krok heroiczny, i zerwij ten związek hańbiący cię.“

Trudno jest połąpać wszystkie pasma tych romansowych komeraży, i złożyć z nich jakową całość. Kto były te kobiety? na pewno niełatwo odgadnąć. Alexandryna, acz taka uczuciowa, ciągle tylko rozpowiada o balach maskowych, o kolacyjkach z ba-

ronem de Staël, o śniadaniach to w klasztorze, to w Kolizeum, Julia ma być *uczciwą w swym stanie*, tak o niej rywalka wyrokuje: ale lubi kręcić się po świecie w tłumie wikontów i markizów. Miałyżbyto być kapłanki Talii lub Melpomeny, czy téż coś z rodzaju Ninony? **K**oniec końców, cała podróż do Martyniki i Hajti jest raczej romansem w listach, niż podróżą. Z wielu nieznaczących postrzeżeń i uwag, to jedno mię uderzyło, że stan Negrów na Martynice, daleko znośniejszym uważa, nizeli stan chłopów w Węgrzech i Polsce. Powierzchnowość sądu nie do darrowania! Zapomniał filozof-poeta, że chłop mógł u nas zostać szlachcicem, że miał sobie stan duchowny otwarty, że żadne potępienie nie ciąży na jego rasie; gdy tymczasem nie Negr, ale Mulał w czwartém pokoleniu, wyłączonym jest do dziś z towarzystwa białych... W ogóle nasz Saint-Preux nie mając czém zapłacić nudnej żeglugi, w ciągu której trapiła go niemiłosiernie morska choroba, pisał epopieję serca, i to mu zapewne przynosiło ulgę i zajęcie. **P**rzeciwnie, listy ze Stanów Zjednoczonych adresowane do jakiegoś hrabiego, noszą wręcz odmienną cechę. Widać, że autor stanął u celu swych poszukiwań; społeczeństwo, historia, charaktery osób, miejscowości, zajęły go potężnie. O tém, co go więcej uderza, sądzi rozumnie; rzucony między ludzi praktycznych, praktyczniej zaraz rozumuje: rozmarzenie kochanka zostawił na Antylach.

Nieodżałowana szkoda, że w dzienniku podróży amerykańskiej, brakuje pierwszego zeszytu, w którym zapewne powiedziałby nam, do kogo listy te pisał, i niechybnie musiałby zrobić wzmiankę o pobycie Kościuszki i o zgonie Pułaskiego; zaraz bowiem na początku drugiego zeszytu opisując szance Clintona i Montgommery, napomyka o Grabowskim w tych wyrazach: „Generał Clinton pokazując mu te szance, które mniemał, że mogą łatwo być wzięte, pytał go w téj mierze o zdanie. Grabowski miał mu odpowiedzieć, gdy wtém uczuł się przeszytym kulą i zaraz ducha wyzionął. Prędko przebiegliśmy szance Clintona i Montgommery, zdobyte przez Anglików po morderczej obronie. Młody Grabowski zginął przy tym ostatnim szancu; był on kapitanem w służbie angielskiej, zasłużywszy na przyjaźń i poważanie swoich generałów.“

Pokazuje się, że i w wojnie amerykańskiej rodacy nasi i na jednej i na drugiej walczyli stronie. Ta część jego zamorskiej wycieczki interesuje trafniem i niepretensjonalniem opowiadaniem;

choć opisy miejsc zwiedzanych przez niego, daleko dziś mamy dokładniejsze, jednakże potrafił zachować im rysy i charakter ówczesny. Tam, kędy teraz przebiegają koleje żelazne lub bite gościńce, kędy po szerokich strumieniach z szumem statek parowy przepływa, kędy kanał przerzyna błota i łączy jeziora; koń jego zapadał po biodra, obłęd wśród przedpotopowych borów sprowadzał na bezdroże, a krucha łódź przemykała się gnana siłą wioślarzy. Nudna i mozolna musiała być podróż po tych pustyniach nowego świata, do których dało się wtedy zastosować to, co lord Baltimore wyrzekł o naszym kraju: że w Polsce zawsze wbród musisz jechać obok mostu, a przez most, gdzie wody nie ma; a co jeszcze dobitniej Krasicki scharakteryzował:

Nocleg, popas niewygodny;
Przewodniki bałamutne,
Droga ciemna, lasy smutne.

Za to gościnność wszędy zastawał najpatryarchalniejszą; każdy dom rad był, jeżeli mógł podróżnego jak najdłużej zatrzymać i ugościć; lubo z drugiej strony po domach zajezdnych tacy kapitanowie, majorowie, pułkownicy, karczmarze, zdzierali niemiłosiernie, z niemalém podziwieniem i zgrozą Polaka, przywykłego do tych tytułów przywiązywać pewną rycerską wspaniałość, niezgodną z kupiectwem. Podróż ta wydana na dobie, mogła sprawić niepoślednie wrażenie: autor bowiem za świeża zwidza miejsca wielu bitew, kędy jeszcze po okopconych i kulami pooranych sosnach, słaniały się kruki i inne drapieżne ptastwo, ogryzając kości poległych, a tu i owdzie znać było ślady niedawnych spustoszeń i pożóg; lubo przemysł i czynność amerykańska, spieszenie usiłowały zacierać te krwawe pomniki domowej wojny.

Uważałem, że gdy przytacza sceny wojenne, malujące jakiś wielki czyn rycerski, lub heroizm poświęcenia się, szuka ich raczej w obozie angielskim, niż amerykańskim: zimny i sztywny purytańizm nie obudza w nim wielkiej sympatii. Dla instytucyj republikańskich i dobrego bytu Stanów Zjednoczonych ma głębokie poszanowanie; ale Polak, syn rycerskiego narodu, nie może upodobać sobie w płaskościach i prozie demokratycznego społeczeństwa, które jeszcze samo nie wie, gdzie dąży, i gdzie zajdzie. Dlatego też robi długi wyciąg z opisu krwawej rozprawy pod Freemans-Farm podług relacji samego generała Sir Bourgonne, w którym napotykamy precudny i pełen starożytniej wierności i powagi ustęp o pięknej Henryecie Ackland, żonie majora tegoż nazwiska,

przedzierającą się wśród największych niebezpieczeństw wojennych do obozu amerykańskiego generała Gates, aby opatrywać śmiertelnie ranionego małżonka. „Któż jest, coby nie żałował losu majora Ackland — wola z uniesieniem Węgierski — z taką kobietą jak Milady, nie można być nieszczęśliwym!”

W inném miejscu swego korespondencyjnego dziennika, mówiąc o kanclerzu Livingstone, którego cnoty obywatelskie w uroczém świetle maluje, wspomina o rysach charakterystycznych osób grających główną rolę w rewolucyi amerykańskiej, które zebrał podług opowiadań Livingstona i panów J...n, i D...n; początkowe te litery oznaczać mogą: Jeffersona i Dickinsona. Żałować trzeba, że te charaktery nie znajdują się w pismach jego, które mamy pod ręką. W ogóle instytucye społeczne zdawały się zajmować go przed wszystkiém inném. Widząc pomysłność i przyszłość Stanów Zjednoczonych wyobrażał sobie zapewne, że dość przesadzić na naszą ziemię ich prawa, organizacyą rządu, obyczaję, a błogie te owoce wznijdą i dla nas. Jestto obłąd, któremu hołdowało i hołduje tylu, co radzi gonią za radykalną abstrakcyą. Jednakże przemawia tu na korzyść Węgierskiego jego zdrowy rozsądek i krytycyzm. Chciwy nauki, powiada, że przeglądał wielką księgę, gdzie są zebrane ustawy krajowe. „Przekonałem się, że jak wszędzie tak i tu powstały z widoków bardzo ciasnych, i że się zużywają prawie co dwa lata. Gieniusz człowieka, który rozszerzył granice tylu nauk oderwanych za obręb właściwy niedoskonałości natury naszej, zbyt mały uczynił postęp w naukach obchodzących go najbliżej. Ta odrobina wiadomości jaką mamy o kształcie rządu, i o prawdziwych zasadach handlu, nie wystarcza do utworzenia rozumnego systematu, a ciągle usterek prawodawców i polityków, świadczą tylko o ich niewiadomości. Niezliczone mnóstwo tomów napisanych w tym przedmiocie, okazały tylko próżność autorską, najzawołani zaś ludzie stanu, przekonują nas bardziej o swych niedostatkach, niż o rozległości swych planów i pewności zasad. Wierzaj mi hrabio, najdoswiadczeni w rzeczy tej są jeszcze zakami, ponieważ, jeżeli mi wolno użyć przysłowia Sancha: Mniej postępuje ten, co ewałuje po złej drodze, niż ów, co kroczy po dobrej; a o ile wiem, nikt jeszcze nie trafił na drogę właściwą.”

Podróżny nasz w wycieczkach swych na północ do Albany i granic Kanady, na południe do Charlestown i Konnekticut, zbiera ciekawe spostrzeżenia co do sposobu życia mieszkańców,

ich zwyczajów i obyczajów, nie pomijając tu i owdzie wspaniałej natury, którą maluje w pięknych i żywych opisach, jak to mianowicie zrobił z wodospadem na rzece Mohawek, z jeziorem George i Champlain, po których puszczał się łodzią przy efektowém świetle księżycy. Wynurzając zdziwienie swoje, że po wojnie świeżo skończonej wszystko wróciło do porządku i spokoju, że po drogach śród puszczy nie spotkał ani włóczących się band, że żadna nie zdarzyła mu się przygoda; przytacza tylko jedną, która bardziej komiczno-humorystyczne nosi piętno, niż romansowo-tragiczne: „W przejeździe z Albany do Bostonu, mówimy jego własnymi słowy, drogi były tak niegodziwe, żeśmy nie mogli ujechać przed południem tylko ośm mil (angielskich). Ludzi naszych wysławszy przodem, zatrzymaliśmy się w gospodzie Moor. Mój koń zgubił podkowę, nie mogłem więc zdążyć za moim towarzyszem; on zaś zniecierpliwiał się, i zostawił mię samego. Słońce już zaszło, gdym go stracił z oczu, a niebawem straciłem i drogę. Od godziny zdałem się być na wolą mego konia; lecz w końcu dojrzałem ścieżkę i puściłem się po niej, pewny, że mię gdzieś zaprowadzi. Zniecierpliwiony i przemarzły zacząłem kłusować, i po jakich trzech kwadransach, ujrzałem światelko. Niedługo i dom się pokazał; słysząc żeń rozlegający się hałas i śmiechy, sądziłem, że to karczma, w której wesołe grono zabawia się. Lecz jakież było moje zdziwienie, gdy wszedłszy do izby, ujrzałem człowieka rozciągniętego na ziemi w okropnych konwulsjach, otoczonego siedmią lub ośmią osobami skaczącymi, płaczącymi i wyprawiającymi najdziwaczniejsze gesta. Rozumiałem, iż ów konający był ojcem rodziny, i że dzieci jego potraciły głowę z wielkiej rozpacz. Gdy nikt z obecnych nie zważał na moje przybycie, zbliżyłem się do kominka, gdzie tęgi ogień się palił, czekając cierpliwie końca tego osobliwego obrzędu. Blisko ćwierć godziny nie zmieniał się stan rzeczy; aż nagle ów konający człowiek zerwał się na równe nogi, dał trzy lub cztery szalone skoki, i ryknął tak przeraźliwie, że włos dębem mi stanął na głowie. Aż tu znowu jakaś kobięta zaczyna się kręcić wkółko z takim zamachem, że najskrytsze części ciała jęj przestały być tajemnicą.”

Długo jeszcze odgrywały się podobne komedye, i nasz podróżny mimo zapytań gdzie jest i kto są owi opętani, zaledwo wkońcu usłyszał od owęj kręcącey się kobięty te wyrazy: „Cudzoziemcze! wiemy od wczoraj, żeś tu miał przybyć. Ciesz nas to. Brzydź się grzechem, kochaj Boga, a pomożemy ci do twego

odrodzenia się.“—, „Dziękuję uniżenie, odrzekł Węgierski, ale ten świat tak mnie nie bawi, że wcale nie mam ochoty narodzić się powtórnie.“ Na to owa niewiasta: „Jestem matką Izraela; o mnie wzmiankuje 12ty rozdział Apokalipsy: mam księżyc pod nogami, a koronę z dwunastu gwiazd na czole“.... Po dłuższej rozmowie niedorzecznej ze strony matki Izraela, a dowcipnej ze strony podróżnego, znalazł nakoniec przewodnika, i rad wielce wyrwał się z domu tych fanatyków. W rzeczy samej dowiedział się, że to była sekta tak zwanych *Shaking Quakers*, która wtenczas liczyła już około 300 wyznawców.

Przelotne swoje obrazy przeplata bardzo trafnymi postrzeżeniami. Między innymi charakterystycznym jest, co powiada o umysłowym zajęciu się Amerykanów. Rozmowa toczy się tylko w dwóch przedmiotach: o religii i o polityce. Czytają tylko biblią lub gazety. Kobiety równie biegłe w tém rzemiośle jak mężczyźni, gotowe wyzwać do walki najbiegłego teologa, i najwyrafinowanego polityka. Ztąd też najgłupsze nowiny krążą lotem błyskawicy, a gazety, jak echo powtarzają te wszystkie brednie.

Ostatnia data dziennika jest 20 listopada 1783, z Filadelfii, i tak pod nią pisze: „Otóż kończę moją podróż. Wsiadam na okręt i płynę do Europy, zrobiwszy wycieczkę aż do Portsmouth i Castle-Bay. Mam zamiar wylądować w Cork, przebieść Irlandyą, Szkocyą i Anglią. Umizgałem się do niewdzięcznej córki, teraz odwiedzę matkę zapłakaną“. Opis téj przejażdżki w porze burzliwej, zawiera się w niecałym liście, pisany z Cork do hrabiny Boufflers do Paryża, pod 7 lutego 1784 r.

Z oddziału listów, będących niejako dopełnieniem podróży jego i wyjaśnieniem stosunków z najpiérwszemi osobami, zostało ledwo kilka; strata téj części rękopisów jest najdotkliwszą, wszystkie bowiem, wnosząc z pozostałych, musiały być arcyciekawe i ważne. Uważam za pożyteczne porobić z nich wyjątki.

W liście do pana Dickinson, prezydenta rady pensylwańskiej, tak się w jedném miejscu wyraża: „Będę się miał za szczęśliwego, jeżeli Waszmość pozwoli, aby obywatel rzeczypospolitej umierającej pisywał do ciebie, ujmując się za rzeczpospolitą nowonarodzoną. Ztémwszystkiém korzyść téj korespondencji będzie na mojej stronie; bo jeżeli mówić będziesz o cnotach i postępie nowego świata, mnie nic nie pozostanie, jak rozpowiadać o upadku i występkach staréj Europy.“

Niemniej ciekawy jest list do generała Washingtona: *Rocky-hill Prince Town, 18 października*:

„Tuszę sobie, że czas pozwoli W. Panu odwiedzić mię dnia jutrzejszego; pochlebiam sobie oglądać go raz jeszcze.

„Zrobiłem kilka tysięcy mil, aby widzieć i poznać założycieli rzeczypospolitej amerykańskiej; nie w celu, aby szukać chwały z widzenia ich, lecz aby nauczyć się od nich, jakim sposobem można zachować ludowi najświętsze jego prawa. Jestem synem narodu, dziś w upadku i bezrządzie. Większej nie pragnąłbym pociechy, jak rozmawiając z Panem, wyobrazić sobie, że kiedyś, wstępując w jego ślady, stanę się krajowi użytecznym!”.

Nierównie dobitniej wyraża myśl Węgierskiego korespondencya druga dop. Dickinson w Bostonie. Pełno tam głębokich postrzeżeń i obszernego ogarnięcia biegu polityki i stosunków społecznych. Ten jeden pomnik pióra jego, usprawiedliwia niejakim zarozumieniem tchnące słowa w liście do gen. Washingtona. Widać już zakrój na niepospolitego publicystę, i żal serce ściska, że zdobyczy umysłowych, chorobami zwątlone ciało, nie umiało donieść aż do ojczyzny! Winszując p. Dickinson, że Anglicy opuścili Nowy York, tak rozprawia o widokach politycznych Stanów Zjednoczonych:

....„Lecz teraz, kiedyście spokojni i panami we własnym domu, cóż poczniecie, drodzy panowie? Jakaż będzie polityka wasza nadal? Jakie postępowanie wewnątrz? Do jakiego punktu rozwiną się wzajemne zazdrości? Kto je uśmierzy? Ażaliż przeniesiecie dobro powszechnie kontinentu, nad szczęśliwość własnego kraju? Czyliż bogaty kolonista georgijski, drogo swój ryż i indygo sprzedając, będzie miał wzgląd na to, że mieszkaniec Hampshire nie zbywa swego budulcu i potażu? Ów duch patryotyczny, który was utrzymywał w ciągu rewolucyi, zdołał się ostać obok pomysłności handlu; obok zbytku, jaki zeń się rozwinie, i obok podbechtań nieprzyjaciół, usiłujących waszą jedność rozerwać?

„Wasz kongres przenoszący się z miejsca na miejsce, będzieli mógł natchnąć cześć przynależną reprezentantom wszechwładztwa, cześć tak niezbędną w rzeczypospolitej? Zechcą obywatele znani z talentu i majątku, opuszczać swoje domy i gospodarstwa, narażać wpływy i kredyt swój, aby włóczyć się za sejmem i widzieć figurujące swe nazwiska po gazetach? Czy podobna obejść się wam bez floty? a mając flotę, któż będzie płacił ją? nie mając, kto będzie zasłaniał handel na odległych morzach? Czynność waszego

narodu wielką jest; wszędzie gra młodość i zdrowie silne; lecz któż wam zaręczy, że państwa, które protegowały was, nie pozazdroszczą z czasem téj pomysłności, i nie zechcą byt wasz podkopać? Póki lew młody, głaszczą go, lecz niech dojdzie do sił, znajdzie się nań kaganiec i klatka....

„Podług mego zdania, żaden kraj nie może stawić się w równi ze Stanami Zjednoczonymi, mianowicie pod względem pomysłności; nigdzie bowiem dary fortuny nie są tak równo rozdzielone. Zwiedzając te krainy, uczę się porównywać życie fermierów z życiem dawnych patryarchów. Tutaj napotykam wiek złoty, tak chwalony w starożytności. Wprawdzie nie płyną tu strumienie mléką i miodem, za to rzeki są szerokie i głębokie; wprawdzie pagórki nie skaczą jak furkadelka, za to rodzą obficie: i lada rolnik europejski przybywszy tu, znajdzie sposób zmienić niezbędną potrzebę na życie wygodne. Dość mu dwa lata tu przebyć, a wyobrażenia jego rozwiną się: staje się człowiekiem, a nawet i obywatelem.... Widziałem tu oddawna z dóbr biskupich rozumujących wolno o rzeczach religii; i rozprawiających o polityce rodowitych Szampańczyków. Otóż wyobrażenia, jakie powziąłem Panie o twoim kraju. Jeżelibyś chciał objaśnić mię w rzeczach wątpliwych dla mnie, dodasz tylko nowy wzgląd do łask, jakiemiś mię zawsze zaszczycał. Nie spuszczać nigdy ojczyzny mojej z widoku, pragnę uczyć się zawsze i wszędy, nie tylo dla własnej przyjemności, ile abym potrafił kiedyś wywiązać się godnie z obowiązków obywatela.”

Inne listy rzucają niejakié światło na osobę Węgierskiego i jego stosunki z krajem. Do króla Stanisława Augusta pisze, że nie ma już nadziei, aby go obrano posłem z powiatu bielskiego, a to dla krótkości czasu; zresztą doznając osobliwszych względów księcia Galli (później panującego pod nazwiskiem Jerzego IV), zmuszony jest przedłużyć pobyt swój w Londynie. Ów książę Galli znany swojego czasu wartogłów, widać że pokochał się w naszym Węgierskim, którego dowcip musiał mieć wiele dlań powabu, jak lekkość obyczajów nastęrczać musiała wybornego towarzysza do zabaw. Węgierski w liście do Rogalińskiego, tak się o nim wyraża: „Książę Galli zawsze okazuje mi swoje przyjaźń. Przynęcił mi dać swój portret. Na lato ma zamiar podróżować, ale projekt ten najniepewniejszy ze wszystkich jego projektów.“

W tymże samym liście, tak o sobie mówi: „Los zaczyna mi sprzyjać w karty: wygrałem w ciągu roku 5,000 funtów szter-

lingów, a już wydałem z połowę. W tym miesiącu (8 kwietnia 1785) wysłałem część moich książek, piękną karetę, szory i wiele innych rzeczy do Polski; ale kiedy sam powrócę, nie wiem. Zdaje mi się, że nie wrócę dopóki nie będę panem niezawistej fortuny: a wtedy czas i zdolności moje, poświęcę na usługi ojczyzny i umieszczę się w świątyni sławy. Ztémwszystkiem nie mam stałego planu. Kilka dróg krzyżuje się przedemną; okoliczności rozstrzygną. Prawda jest, prosilem o order św. Stanisława; toby mi dopomogło w dobrém ożenieniu się... Odmówili mi; nie gniewam się o to. Ta fraszka nie minie mię z czasem; czuję się powołanym do czegoś lepszego”.....

Bukaty mianowany pełnomocnikiem rzeczypospolitej w Londynie, podaje Węgierskiemu sposobność do listownej zamiany myśli. Węgierski prosi go, aby mu wszystko donosił, co o nim mówią w Polsce, i tak się z własnego zdania tłumaczy: „Opinia, jaką mam o sobie, ustalona jest na zawsze; stoi bowiem na nie-wzruszonych zasadach, jakiemi zachwiać nie zdoła krzyk gminu; lecz miałbym uciechę dowiedzieć się, co myślą ludzie w tém oddaleniu o człowieku, który nie idzie zwykłą drogą, a szuka nowój, coby go doprowadzała do celu“. W tymże samym liście datowanym z Akwisgranu, gdzie był dla poratowania zdrowia, taki zwrot czyni do siebie: „Prowadzę tu życie umiarkowane i regularne, a jednak to nie zastania mię od nowych symptomatów zastraszających, i od chorób skomplikowanych, nad którymi doktorzy rozum tracą... To mnie zabija na umyśle, i psuje najlepiej ułożone plany... Życzę ci, abys zawsze miał staranie o zdrowiu, jako jedyném źródle uciech naszych“.

Ten list, wrzędzie ostatni, jest jakby wstępem do kilku ostatnich kart jego pamiętnika. Widać, że nadwątlone zdrowie nie znachodziło ulgi ani w Bath, ani w Spa, ani w Akwisgranie; trzeba mu było południowego nieba...

Z Awinionu pod dniem 13 grudnia 1786 r. czytamy te wyrazy: „Mój koniec zbliża się, czuję to; zdrowie coraz się pogorsza, a jam zawsze niekonsekwentny.“

17 i 31 grudnia. „Te dwa tygodnie rozstrzygły wszystko. Nie umiałem się szanować. Plucie krwią i zapalenie piersi odjęły mi wszelką nadzieję powrotu do zdrowia; żołądek już nic nie trawi, widocznie opadam na siłach i niszczeje; cała machina zaatakowana z gruntu. Muszę więc umierać, a umierać z własnej winy, nie budząc w nikim lży żalu, będąc zapomnianym od najbliższych znajomych, nie oddawszy najmniejszej usługi ojczyźnie,

ludzkości, krewnym; nie uporządkowawszy nawet interesów moich z odpowiednią korzyścią dla spadkobierców. Przywykły od dzieciństwa iść za popędem fantazyi i kaprysu, przeżyłem lat 30 bez żadnego systematu, bez planu, rzucony na wolę namiętności, które przecież nie były tak gwałtowne. Biada człowiekowi, który nie umie systematycznie pojmować szczęścia i odpowiednie zachować prowadzenie się; kto się zdaje na łaskę bałwanów, w końcu musi utonąć... Choroba ta osłabiła mi władze umysłowe; całkiem straciłem pamięć; czytam bez korzyści, męcząc ciało i oczy, a nie zdobywając pokarmu dla ducha. Obcemi języki mówię z większą trudnością niż dawniej; do żadnej pracy wziąć się nie mogę..“

1 stycznia 1787. „Pewny byłem, że już skończę z tym nieszczęśliwym rokiem. Niestety! rozum, słaba to broń przeciw nawykniom, jeżeli charakter duszy w pomoc mu nie przyjdzie...“

2 stycznia wyjechał z Awinionu, opisał jeszcze Aix, a 5 stanął w Marsylii. Tu rękopis urwany, ale nie przez autora, który cierpienia swoje skończył w trzy miesiące: zgasł bowiem dnia 7 kwietnia 1787 roku.

Tak zeszedł w 32 roku życia młodzieniec niepospolitych zdolności. Dotąd kraj znał go tylko w połowie, z wierszów rozpustnych i uszczypliwych: smutna zasługa, gorsząca pamięć! Ciesząc się, zem acz z niedostatecznych źródeł, zdołał wydrzeć zapomnieniu drugą jego połowę, szlachetniejszą i wyższą; połowę, która wróżyła w nim męża mogącego godnie służyć krajowi świeżą myślą, ognistemi chęciami. Ale robak wylęgły z grzechu źle użytej młodości, przedwcześnie stoczył ten piękny owoc!... Pokój jego popiołom, oplókiwanym falą prowanckiego morza!

L. S.

CZARODZIELSTWO ODINA.

(ZE STARÉJ EDDY).

Wiem ja, jak stare runy się krésłą,
I jak ich tajną zawładnąć myślą.

Umiem pieśń czarów, skutek jój wielki:
Od duszy smutek odgania wszelki.

Umiem ja pieśni takie, co zleczą
Słowy samemi niemoc człowieczą.

Znam pieśń, co niszczy wrogów podstępny,
Oreż ich ostry, przemienia w tępy.

Umiem pieśń, więzy twarde co zrywa,
Wolnym ten będzie, kto ją zaśpiewa!

Umiem pieśń, którą jeśli zanucisz,
Zgodę wśród braci zwaśnionych wrócisz.

Umiem pieśń, którą kiedy powtórzę,
Konają wichry i milkną burze.

Spojrzeniem jedném czarne zamiary
Przenikam, niszczyć złośliwe czary.

Umiem wisielca klątwą tajemną
Zwołać, by przyszedł rozmawiać ze mną.

Znam zdroj: kto ciało skapie w tym zdroju,
Bezpieczny będzie w morderczym boju.

Taka jest pieśń ma, wysoka, święta,
W skrytych méj duszy głębiach poczęta,
Ludziom znajoma—lecz niepojęta!
Błogostawieni, co ją słyszeli,
Błogostawieni, co ją pojęli,
Obyż z niój korzystać chcieli!

MARGRAF GERO.

(Z CZESKIEGO, „CÓRY SŁAWY”, KOLLARA).

Czterech posłańców k' sobie przyzwał hrabia Gero:
 „Pójdźcie mi, rzecze, w okrag od włości do włości,
 Pokłon nieście sąsiadom, i proście, niech w gości
 Oranku jutro u mnie w Łużycach się zbierą.”

„Wszystkich zaśię trzydziestu osobliwie sproście
 Słowiańskich wojewodów, w starych ze mną swarach
 Trwających; raz nareszcie niesnaski i złościę
 Przy bratniej uczcie w pełnych by utopić czarach.”

I stało się jako rzekł. Z ranem tłumem męży
 Zatętniał, zawrzał cały podwórzec zamkowy,
 I były: uczta, pieśni, męzkie gry oręży.
 A z jutrem, po skończonej braterskiej biesiadzie,
 Trzydziestu wodzów Słowian, gości święte głowy,
 Krwawém gardłem świadczyły o niemieckiej zdradzie.

R.

TANKRED DE MONTECUTE

CZYLI

NOWA KRUCYATA.

(Powieść przez d'Israeli napisana).

(Ciąg dalszy).

CZEŚĆ IVta.

Rozdział I.

Gdzie Besso?—mówił Barizi zpod Wieży, gdy konsul Pasqualigo wszedł na zgromadzenie kupców, w dziesięć dni po wydaleniu się Tankreda z Jeruzalem.—Gdzie Besso? już tu kilka wypaliłem fajek, a nikogo jeszcze nie widziałem. Słyszałeś zapewne o nowój i ważnej wiadomości?

— Któżby o tém nie słyszał?

— Cóżes słyszał?—zapytał z ciekawością Barizi.

— To, co już wszyscy wiedzą i to, czego jeszcze nikt nie wie.

— Czy tak—powiedział Barizi nadstawiając ucha—przypuszczam, że widziałes kogoś dobrze obznajmionego z tym wypadkiem.

— W istocie, widziałem kogoś—odrzekł Pasqualigo otaczając się kłębem dymu z przyniesionój mu fajki.

— Ale nikt jeszcze nie widział tego kogoś, co był na miejscu.

— Nie rozumiem, co nazywasz na miejscu.

— A ja widzę, że bardzo niepewne źródło twoich wiadomości.

— A jednak zdołałem zaczerpnąć z niego istoty prawdy.

— Jest ona nieco wątpliwą; chyba sam twój przyjaciel był tam osobiście.

— Był.

— W takim razie musisz wiedzieć, czy młody książę angielski zamordowany był rozmyślnie, czy tylko uległ przypadkowej śmierci.

— A... a!...—zawołał Pasqualigo, który dotąd o niczem nie wiedział—tak, to wielkie pytanie.

— Ależ wszystko na tém właśnie zależy—odrzekł porywczy Barizi.— Jeżeli przypadkowej uległ śmierci, po długich sporach rzecz się spokojnie zakończy. Anglicy pragną Cypru i przyjmą tę wyspę jako wynagrodzenie za nieszczęśliwy ten wypadek; jeżeli zaś morderstwo było rozmyślnie, niezawodnie nastąpi wojna: prawa albowiem angielskie domagają się koniecznie krwi za krew, a do tego za krew książęcą.

Konsul Pasqualigo głęboko się zafrasował, i po chwili rzekł z niespokojnością: „Niebezpieczna chwila przesilenia.“

— Tak, to chwila przesilenia, lecz nie wiadomo jeszcze na czyją korzyść skutek z tego przesilenia wypadnie; a naprzód pytanie, kto będzie odpowiedzialny za morderstwo: czy Wysoka Porta, czy też wice-król Egiptu?

— To zależyć będzie od tego, w czyjém państwie zbrodnia spełnioną została.

— Tak, ale to właśnie trudno sprawdzić. Ja twierdzę, że pustynie Arabii należą do wice-króla; mój krewny Barizi zpod Bramy, twierdzi znowu, że do Porty; a Rafael Tafna mówi, że do nikogo, ponieważ Beduini nikomu nie podlegają.

— Tak, lecz niepodległość ich nie jest uznana—odrzekł uroczyście Pasqualigo—a możeż być rzetelny byt polityczny bez urzędowego sąsiednich mocarstw uznania? Anglia wszystkie okoliczne państwa do odpowiedzialności pociągnie. O! morderstwo angielskiego księcia nie może ujsć bezkarnie. Wszystkie załogi tureckie pomaszcerują wprost do pustyni, zobaczysz!

— Bardzo się też lękają Arabowie zniewieściałych załóg tureckich!

— Jest ich w pobliżu do ośmiu tysięcy dzielnego żołnierza—dodał Barizi.

— Raczej ośm tysięcy niewieściuchów. Dobrze mówił Tafna, że jeden tylko Mehmed-Ali umiał trzymać Arabów na wodzy; lecz Turcy, w chwili nawet swój największej potęgi, nie umieli rządzić

niemi, i dzisiaj, gdyby tylko basza Damaszkę podniósł oręż, to Arabowie zburzą pierwój jego harem, zanim fajkę wypalić zdoła.

— Ale Anglia i Egipt poruszy.

— Nie wątpię o tém. Anglicy przysła tu niebawem wojenny okręt pod wodzą jakiego słynnego marynarza i napiszą protokół, domagający się, aby pokolenie, które poważyło się zamordować angielskiego księcia, w pień wycięte zostało. Mehmed-Ali odpowie, że dopóki on rządził, nigdy podobny wypadek nie nastąpił i z uszanowaniem zatknie za turban protokół; lecz Palmerston nie da się tém ulagodzić.

— Cóż Palmerstonowi do tego?—zawołał Pasqualigo.—Palmerston nie jest już Reis-Effendim; jest na wygnaniu, podobno został gubernatorem wyspy Wight.

— Czy sądzisz, że nie wiem o tém—odrzekł pogardliwie Barizi z pod Wieży—lecz go przywołają napowrót. Anglia nie odważy się na wojnę ze Wschodem bez przewodnictwa Palmerstona; otrzyma on główną komendę lądową i morską, by nikt nie opierał się jego zamiarom, i cała ta sprawa skończy się z wielką Anglii korzyścią, a ze szkodą Turków: zagarną oni jedno z miast naszych na własność, bo potrzebują coraz nowych faktoryj handlowych. Wierzaj mi, że niedługo cała ludność w Jeruzalem nosić będzie z angielskiego płócienka turbany.

* * *

W czasie téj ważnej rozmowy naszych politycznych antagonistów, dowiadujemy się wraz z Barizim zpod Wieży, gdzie się znajduje i co porabia nasz bankier Besso.

Smutny, niespokojny siedział on w swojej najskrytszej komnacie i wyglądał powrotu córki; a taka cichość panowała wokoło niego, że go doszedł odgłos wracających z łaźni, skoro w pierwszym stanęli dziedzińcu.

— Potrzebujesz mnie mój ojczy?—zapytała wchodząca Ewa po chwili.—Lecz cóż ja widzę? tyś zmartwiony? co ci jest? co się stało?

— Dotknęła nas dziesiąta plaga Egiptu; od czasu upadku Ibrahima nie miałem tak ciężkiego zmartwienia.

— Może Fakredeen?

— Nie, nie on powodem mego dzisiejszego kłopotu i zmartwienia; chodzi o innego młodzieńca, którego nie znam wprawdzie, ale się mocno losem jego zajmuje.

— Nie znasz go, a tak cię obchodzi? nie rozumiem mój ojciec: powiedzże, wytłumacz, co znaczy to wszystko?

— Jestto smutne, bardzo dla mnie smutne i przykre wydarzenie, chociaż idzie nam tu o osobę zupełnie nieznaną. Słyszałaś zapewne moja córko o przybyciu młodego angielskiego księcia do Jeruzalem.

— Słyszałam—odrzekła Ewa poważnie.

— Przywiózł mi on list od najlepszego, od największego i najznakomitszego człowieka; od człowieka, któremu winien jestem, albo raczej któremu winni jesteśmy życie, wolność, majątek, słowem wszystko, co posiadamy. W liście tym prosi on mnie usilnie, abym w każdym przypadku i zdarzeniu pomógł młodemu wędrownikowi. O! jakże sobie wymawiam moje względem niego opieszałość i obojętność; ale niestety, teraz już zapóźno. Gdy albowiem młody lord przesał mi list przez swego służącego, zamiast wręczyć mi go osobiście, nie chciałem przeto być mu natrętnym i nie odwiedziłem go; nadto, słysząc że jest zagorzałym chrześcianinem, sądziłem, że brzydzi się ludźmi mego wyznania i dlatego mnie unikał.

— Cóż się stało?—zapytała Ewa niespokojnie, dzielając widocznie ojca zmartwienie.

— Przed kilku dniami opuścił on Jeruzalem, dobrze uzbrojony i pod silną eskortą, udając się na górę Synai. W drodze został napadnięty i po krwawej walce dostał się do niewoli.

— Krwawój?

— O tak, krwawój! Wprawdzie napastnicy radzi byli uniknąć bitwy, lecz waleczny młodzieniec choć zewsząd otoczony, bił się zapamiętale. Przeciwnicy wielką stratę ponieśli i tylko znacznie przemagającą siłą potrafili go zwyciężyć, niewielu nawet zabiwszy mu ludzi; chodziło im bowiem o życie i całość młodego księcia.

— Czy raniony?

— Mam nadzieję, że nie ma niebezpieczeństwa. Prysłano tu do Jeruzalem jego kamerdynera pod eskortą, po wymagany okup. Jak sądzisz, wiele też żądają? zgadnij.

Ewa nie odpowiedziała na zapytanie ojca, nie mogąc mieć właściwego wyobrażenia o żądanej ilości pieniędzy.

— Dwa miliony piastrow.

— Dwa miliony piastrow!—powtórzyła Ewa z zadziwieniem.—Ale może to da się zmienić; oni tylko tak straszą, a może przestaną na połowie téj summy.

— Nie o to jeszcze chodzi. Ojciec księcia ma być bardzo bogaty i zapewne bez wielkiej straty potrafi zwrócić te pieniądze. Gdyby żądano czterech, sześciu milionów piastrów, dałbym je bez wahania, bo pomyśl tylko: młodzieniec ten do mnie niejako przysłany, pod moje oddany opiekę, a ja go nawet nie widziałem i nie znam go zupełnie, i do tego jest ranny, jest w niewoli!

— Jednak, jeżeli cię tak unikał...

— Unikał mnie, cóż to znaczy? Nie znał mnie, nigdy mnie nie widział i zapewne w jego pojęciu byłem tylko prostym bankierem i dostawcą potrzebnych funduszków.— Czémże zresztą jest Izraelita względem chrześcianina, a do tego magnata? Należało mi co dzień czekać pod drzwiami jego, w proch schylać me czoło przed jego obliczem, byle pozyskać jego zaufanie i czuwać nad jego osobą.

— O nie, mój ojczy, mylnie sądzisz o tym Angliku; przynajmniej—dodała spiesźnie—tak mi się zdaje. Ten, co tak gorącą wiarą zagrzany, że tak odległą przedsięwzięcie pielgrzymkę z samych tylko pobożnych pobudek, nie może gardzić, poniżać istoty sobie podobnej; przypuszczam raczej, że nadto oddany duchowym swym rozmyśleniom, zapomniał o towarzyskich stosunkach.

— Co on pomyśli o tych, w których ręce się dostał. Ach! to jest dopiero największym mego zmartwienia powodem. Czy wiesz Ewo, kto sprawcą tego całego nieszczęścia? Nigdy nie zgadniesz. To mój teść, ojciec twojej matki!

— Nikczemny zdrajca! — zawołała Ewa, kryjąc twarz rękami—nie zawiodło mnie przecucie, słusznie go się lękałam.

— Przesadzasz, moje dziecko, zanadto się unosisz; jakkolwiek bowiem Amalek srodzecznie tym czynem dotknął, nie mogę go przecież o zdradę posądzać: nie wiedział on jakie mnie stosunki łączą z młodym Montecutem, a napadając na niego w pustyni, dopuścił się tylko zwykłego w tym kraju bezprawia, uświęconego niejako obyczajem i własnym niebezpieczeństwem.

— Prawda—odrzekła roztargniona Ewa—lecz nie rozumiałeś mnie ojczy: kogo innego miałam na myśli. Ale cóż myślisz czynić i jak zamierzasz złemu zaradzić?

— Naprzód zrzucić ciężar, co mi tak tłoczy serce i sumienie, to jest uwolnić go. Bo uważ sama, któż sądzić będzie, że w całej tej sprawie jestem zupełnie niewinny. Młody ten człowiek polecony niejako mojej opiece, z nieograniczonym kredytem,

udaje się w pustynię i wpada w niewolę mego teścia, który jakby wiedząc o wszystkiém, czeka na niego w miejscu, gdzie nigdy przedtém nie bywał, i wprost do mnie po okup za swego więźnia przysyła. Straszne to są przeciw mnie pozory, czuję to najlepiej; fakta zabijające. Domyślam się zawczasu różnych przypuszczeń i domysłów krążących w mieście z tój przyczyny; i to któż wie, nietylko w mieście, ale we własnym moim domu.

— Kto ma czyste sumienie, nie troszczy się o potwarz.

— Sumienie i cześć mego dumu każą mi z własnych funduszów okup ten zapłacić. Nie o to więc chodzi, chociaż przyznam ci się, że stracić tak dwa miliony piastków bez żadnej przyczyny, to przykre; ale stokroć mi przykrzej, że powodem tego zwartwienia jest teść mój, któremu niezbyt dawno jeszcze wyrobilem wolność eskortowania przez lat pięć karawan idących do Mekki, i w pierwszym zaraz roku zyskał na tém dwanaście tysięcy wielbłądów. O! gdyby nie ty moja córko, przeklinałbym dzień połączenia mego z pokoleniem Jetro, które zawsze jest tylko szczepem nędznego Izmaela.

— Nie mów tak, mój ojciec, pošlesz do wielkiego szeika, przełożysz mu rzecz całą, on się da przekonać, zmiękczyć.

— Ja miałbym posyłać do wielkiego szeika? ja miałbym go o co prosić? Widać, że chyba nie znasz ani mnie, ani jego; my się wzajemnie nie lubimy, gardzimy, że tak powiem, sobą, naszym pochodzeniem; za każdym spotkaniem się ta nasza niechęć zwiększa się tylko i jątrzy. O! piérwój dziesięć podobnych bez szemrania zapłaciłbym okupów; lecz jak go zapłacić? czyż myślisz, że zago-rzały fanatyk, który w imię Chrystusa (broniąc się wprawdzie) z zimną krwią swych napastników zabijał, który przebijając się przez mnogie nieprzyjaciół zastępy, przenosił śmierć nad niewolę; czy myślisz (mówię), że taki człowiek przyjmie wolność z rąk ży-da? O, nie! prędzej spaliłby grób święty własną ręką, niżby na podobne poniżenie zezwolił. Nie wiesz jeszcze, moje dziecko, jak silne są przesady chrześcian, i jak wielką jest przytém duma możnych owego wyznania panów, a jeszcze do tego Anglików! Anglik jest dumny, zarozumiały, chciwy, samolubny, swoje tylko zawsze dobro mający na względzie; krew jego zepsuta gorącemi napojami i surowém prawie mięsem czyni go dzikim, nieubłaganym; czas swój trawi zwykle na polowaniach, pijatyce lub gwałtownych gimnastycznych ćwiczeniach. Chciwy bogactw i wziętości, gdy nie może własnych krajowców ujarzmiąć, szuka gdzieindziej mo-

zliwego łupu i najczęściej rzuca się na biednych królów indyjskich, których kraj i skarby stają się jego ofiarą.

— Lecz mówileś mój ojczu, że ten młody książę angielski pobożny.

— Co do jego osoby, nie wprawdzie nie wiem z pewnością: ani pocią przybył do Jeruzalem, ani co go tu ściągnęło, i co go jeszcze wiąże z tym krajem. Jego kamerdyner oczekujący na mnie, jest naszego wyznania i wybrany był przez pana Sidonia; co nowym jest dowodem, jak go bardzo młody ten Anglik obchodzi. Muszę spieszyć, pragnąc najmocniej dowiedzieć się bliższych téj katastrofy szczegółów. O dniu, pełny cierpień i smutku! O dniu zgrozy i hańby! — zawołał starzec z goryczą.

— Mój ojczu, drogi mój ojczu, uspokój żal ten gwałtowny; wspomnij na tak słusznie sławioną przez wszystkich twą głęboką mądrość, i miej nadzieję, a może Bóg pozwoli, że cios ten nie tak strasznie nas dotknie, i sprawa łatwiej jak sądzisz się ukończy. Probujemy, szukajmy, a ratunek się znajdzie. Pozwól, niech osobiście z kamerdynerem jego się rozmówię: wypytam go się o najmniejsze szczegóły, a któż wie, może obmyślimy jaki sposób ocalenia nietylko jego, ale i naszej sławy i honoru.

Rozdział II.

Pośród pięknej doliny, otoczonej zewsząd górami, Amalek, wielki szejka rehabicckich Beduinów, założył swój obóz na gruzach dawnego idumeńskiego miasta. Namiot samego szejka wznosił się pośród dawnego amfiteatru, gdzie większa część otaczających ławek była jeszcze nietknięta. Na spadzistościach zaś gór widoczne były ślady świątyń i mogił, które dziś żywi zajmowali mieszkańcy. Zpomiedzy nich wypływał strumień, który całą okolicę przebiegał i ożywiał, lubo brzegi gęsto obrośnięte oleandrami i drzewem figowem, kryły przed spragnionym wzrokiem to dobroczynne źródło. Tu i owdzie rozsypane były pomiędzy źródłem a górą grupy czarnych namiotów, gromady koni i obładowane wielbłądy. Cały ten krajobraz obłany z jednej strony jaskrawo-fioletowym promieniem zachodzącego słońca, a z drugiej lekko oświecony srebrnym młodego księżyca blaskiem, cudny widok przedstawiał.

Pod namiotem rozpostarto dywan, na którym siedząc samotnie stary patryarcha, palił tytoń z cybucha daktylowego i spo-

kojnie rozmyślał. Ubiór jego składał się z czerwonego kaftana i takiegoż koloru czapezki, ozdobionój złotym haftem i takimże kutasem. Takiegoż koloru bóty zakrywały szerokie białe spodnie. Był on zdrow, rześwy, pięknego jeszcze i regularnego oblicza; jedna tylko długa, biała broda zdradzała wiek jego podeszły: oczy miał myślące, przenikliwe, a zęby białe jak perły. Jako naczelnik jednego z najliczniejszych beduińskich pokoleń rozrządzał znaczną siłą, i na jedno jego skinienie 10,000 jeźdźców mogło stanąć w potrzebie do boju.

Panujące wokoło szejka milczenie, przerwał tętent szybko biegnącego konia i jeździec z podniesioną włócznią, cały kurzem okryty, stanął przed jego namiotem.

— *Salam*—rzekł on szejkowi szejków—stało się zadosyć twój wszechwładnej woli: brat królowej angielskiej jest w twojej mocy.

— Dobrze—odrzekł szejk Amalek poważnie, wyjmując zwolna z ust cybuch.—Oby twoja matka pożywiła się pieczeniem młodego wielbłąda! Kiedy go zobaczę?

— Zanim księżyc cieniem ziemię zaściele.

— Dobrze. Czy szejk Salem jest z bratem królowej angielskiej?

— Jeden jest tylko Bóg—rzekł z uszanowaniem postaniec—szejk Salem już do ziemskiej uczyty nie zasiądzie.

— Czyż szejk Salem wpadł w studnię Nummuli, pijąc wodę?

— Nie, lecz wiele nas złych przygód dziś spotkało. Czterech zajęcy przebiegło nam drogę dzisiejszego rana. Pozdrowienie nasze nie zostało przyjęte po przyjacielsku od angielskiego księcia; walczył on uporczywie, nie zważając na słowa zgody i pokoju. Widać brat królowej angielskiej zacięty wojak: ugodził on w głowę szejka Salema i zabił.

— Jeden jest tylko Bóg, i niech się dzieje święta wola Jego, ale straciłem z oka mego żrenicę. Czy książę angielski żyje?

— Żyje.

— Damy dużo wielbłądów wdowie szejka Salema i wybieremy jej innego męża. Czy oprócz tego, jeszcze jaka strata nas dotknęła?

— Jedno ziarnko jakkolwiek duże, przecież nie stanowi grona.

— Mówże wszystko, śmiało.

— Jeden jest tylko Bóg; daremnie wołać będziesz na Malgrabi-Tueba, Tueba-ben-Amina i Ibrahima-ben-Hassana, wszyscy oni snem wiecznym posnęli. Jest także wielu rannych.

— Głoś całemu ludowi, że jeden jest tylko Bóg. Czy to szeik Jellahinów dopuścił się tych czynów zgrozy?

— Prawda przedewszystkiém. Szeik Jellahinów radził młodemu Anglikowi nie wdawać się w niepotrzebną walkę, lecz on go nie usłuchał: to istny szatan wcielony. Dużo jest czartów na świecie, lecz i najgorszy nie zrówna Frankowi w okrągłym kapeluszu.

Wkrótce po téj rozmowie dał się słyszeć szmer, zwiastujący powrót oczekiwanej wyprawy. Jedna część jeźdźców krzycząc i wesoło wywijając bronią rozbiegła się po obozie, druga udała się wprost przed namiot szeika. Naprzód postępował konny oddział, następnie gromada dromaderów, za któremi poważnie i spokojnie kroczył szeik Hassan, jakby się nic nadzwyczajnego nie zdarzyło, chociaż on i ludzie jego byli rozbrojeni; dalej Baroni pomiędzy dwoma Beduinami. Za nimi dopiero widać było Tankreda rannego, z przewiązaną ręką i otoczonego liczną czeredą Arabów; siedział on na dromaderze i wszyscy z uszanowaniem i zajęciem spoglądali na niego: raz dlatego, że jako znakomity książę był uosobieniem bogatego okupu; powtóre, że jako mąż waleczny dał niezaprzeczone dowody męstwa.

Mimo cierpien fizycznych w skutku odebranej rany i wewnętrznego niepokoju z powodu całego tego wypadku, Tankred z upodobaniem i ciekawością spoglądał jednak na dziwny i powabny obraz, rozwijający się przed okiem jego. Słyszał on wprawdzie o tych ruinach i zgliszczach, co się znajdują wśród pustyń, a które świadczą o dawnéj ludności, bogactwach i upadłej potędze tych krain, lecz ich dotąd nie spotkał.

Wszyscy zatrzymali się przed namiotem wielkiego szeika i naraz cała ta przestrzeń pusta dotąd, przepelnioną została widzami, ciekawemi oglądania tak znakomitego jeńca. Gdy Tankred przy pomocy kilku Arabów zsiadł z dromadera, szeik posadził go obok siebie; dla Hassana zaś i Baroniego przyniesiono dwa mniejsze dywany.

— *Salam*—rzekł wielki szeik do lorda Montecute—*Salam*, bracie trzech królowych. Od téj chwili, wszystko co cię otacza do ciebie należeć będzie. *Salam* i ty także szeiku Hassanie, jesteśmy braćmi. *Salam* i tobie także—dodał Amalek patrząc na

Baronięgo.—Słyszałem, że mówisz naszym językiem, który jest tak piękny, jak światło księżyca i zieloność drzew palmowych; powiedz zatem odemnie księciu a bratu kilku królowych, że nie zrozumiał moich postów: nieśli mu oni słowo pokoju i zaproszenie na ucztę, a nie na wojnę; powiedz, że go uważam jak brata.

Tankred mając sobie przetłumaczone te słowa szejka przez Baronięgo, odpowiedział:

— Powiedz szejkowi, że wcale do ucztę usposobiony nie jestem, i pragnę wiedzieć, z jakich powodów pojmany zostałem do niewoli.

— Zapewnij księcia, że nie jest jeńcem, lecz gościem.

— Kiedy tak—rzekł Tankred— to zapytaj szejka, czy możemy natychmiast się oddalić?

— Przedstaw księciu i bratu kilku królowych, że niegościnnie byłoby z méj strony pozwolić na jego odjazd wśród nocy.

— To zapytaj szejka, czy jutro rano będę się mógł oddalić?

— Powiedz mu, że zanim ranek nadejdzie, zostanę przyjacielem i bratem jego.

Tomówiąc, Amalek odjął od własnych ust cybuch i podał go Tankredowi, co jest jednym z największych dowodów czci i poszanowania.

— Teraz niczego obawiać się nie możesz—powiedział Baroni Tankredowi—podanie ci własnej fajki Amaleka przez niego samego, jest dostateczną rękojmią twego bezpieczeństwa. Nie pozostaje nam jak tylko wynaleźć sposób najłatwiejszego wydobycia się z rąk niewiernych. Bywaliśmy nieraz już w gorszym z panem de Sidonia położeniu. Co myślisz na przykład mylordzie o malajskich piratach? a przecież wyszliśmy żywi i cali z rąk tych ichmościów.

Podczas tych słów, młody jakiś człowiek przeszedł zwolna i spokojnie wśród tłoczących się do namiotu ludzi, i spoglądając zniechęcenia na Tankreda, usiadł obok szejka na dywanie. Ubiór jego, swobodą w obejściu i miejsce, które obok Amaleka zajął, dowodziły jasno wysokiej godności. Był on jeszcze bardzo młody i niezmiernie zajął uwagę Tankreda, przypatrującego się z upodobaniem jego regularnym, szlachetnym i doskonale pięknym rysom.

W ciągu rozmowy szejka zajmowano się ciągle przygotowaniem do ucztę. Słychać było ryczenie zarzynanych baranów,

palenie i tłuczenie kawy; kręcili się tu i owdzie niewolnicy, nosząc dzbany pełne przyrządzonego napoju i kosze świeżo pieczonego chleba.

Wielki szejik rozpytywał się ciągle swego gościa o różne szczegóły obyczajów zachodniego ludu. Chciał, wiedzieć który z krajów potężniejszy: Francya czy Anglia; następnie pytał o nazwisko trzeciego potężnego państwa, którego mieszkańcy są jasno-włosy i noszą zielone kaftany; dowiadując się, czy ludzie tego kraju również bitni są jak Anglicy i czy potrafiliby wziąć jak oni Akre, gdyż wzięcie Akry było w jego mniemaniu jednym z najbardziej stanowczych w historii faktem, i dowodem niepospolitej odwagi i potęgi. Pytał także o ilość posiadanych przez królowę angielską koni; o niewolników, czy broń angielska dobra? czy Anglicy piją wino? czy są chrześcianami, muzułmanami, czy też poganami? Następnie zaprosił Tankreda i jego dwóch towarzyszy na ucztę do własnego namiotu.

— Nie mogę służyć wielkiemu szejikowi—rzekł Tankred za pośrednictwem Baroniego;—jestem ranny, zmęczony i potrzebuję spoczynku.

— Jesteś ranny—odezwał się z współczuciem w języku francuzkim, młody szejik, siedzący koło Amaleka.

— Lekko tylko—odpowiedział łagodniejszym niż dotąd głosem—ale to moje pierwsze pole, i być może, że się trochę pieszczę. Jednak czuję wielki ból, a ręka sztywna i spuchnięta; pragnienie mi dokucza i nie dziw, że po tém wszystkiém co zaszło, potrzebuję spoczynku.

— Wielki szejik przeznaczył na twoje mieszkanie część własnego namiotu, lecz nie znajdziesz tam potrzebnej w tém położeniu spokojności; mam i ja tu mój namiot, wprawdzie nie tak wspaniały, ale za to spokojniejszy; bądź więc lepiej moim gościem.

— Dziękuję za to oświadczenie; chętnie przyjąłbym ofiarowaną mi gościnność, lecz zapominasz jak widzę, że jestem więźniem—dodał wyniośle—i nie mogą własną wolą rozrządzać.

— Da się to jakoś załatwić—rzekł młodzieniec i obróciwszy się w stronę Amaleka, rozmawiał z nim chwil kilka. Po chwili zbliżył się do Tankreda i rzekł:

— Jesteś pod moją opieką, nie lękaj się, nie straszny ze mnie dozorca, zwłaszcza dla ciebie.—To powiedziawszy obadwaj młodzieńcy skłonili się wielkiemu szejikowi i wyszli. Baroni

chciał udać się za nimi, lecz młody emir ostrzegł go, że wielki szeik wyraźnie żądał jego obecności przynajmniej przy uczcie.

— Nie lękaj się o twego towarzysza—dodał—będę miał o nim dobre staranie.—I zbliżając się do Tankreda, prosił, by się wsparł na jego ramieniu, mówiąc:—Twoja rana mocno mnie niepokoi.

Tankred uczuł przyjazne usposobienie dla swego towarzysza: uprzejme i łagodne obejście tegoż i okazywane mu jawnie współczucie, pozyskały jego serce. Chętnie zatem udał się do jego namiotu stojącego nieco opodal, przed którym siedziało kilkunastu ludzi w półkole, rozmawiając i paląc fajki. Namiot ten nie był wcale ubogim i ciasnym, jak go nieznajomy wystawiał; przeciwnie, był on dosyć obszerny i odmiennego od otaczających koloru i kształtu. Wewnątrz na kilka podzielony części, napelniony był mnóstwem drogich sprzętów, rozmaita bronią, miękkimi sofami i dywanami. Na niskim stole spostrzegł nawet Tankred z wielkiem podziwieniem kilka numerów francuzkich gazet, wychodzących w Smyrnie.

— Ach!—zawołał Tankred, rzucając się z rozkoszą na miętko usłaną sofę—co za miła niespodzianka! Jak słodkie wytchnienie po dniu tak przykrym i utrudzającym!

— Jesteś u siebie—odrzekł młody książę arabski—i skoro wydam stosowne rozkazy dotyczące się twoich potrzeb i wygody, oddalę się zostawiając cię tu samowładnym panem, a sam zajmę dalszą część namiotu.

Po tych słowach odwrócił się, przemówił kilka wyrazów do czekającego na rozkazy Araba, który niebawem przyniósł srebrną lampę napelnioną palmowym olejem i postawił ją na ziemi.

— Mam tu z sobą—rzekł Tankred—dwóch służących Anglików; nie wiem co się z nimi stało i jak sobie dali radę, mówią bowiem li tylko swoim narodowym językiem.

— Każę ich poszukać, a tymczasem posil się i odpocznij swobodnie.

Po chwili weszli liczni służący niosąc mnóstwo rozmaitych potraw. Tankred z początku nic jeść nie chciał, lecz zagniony prośbami emira, skosztował jednej potrawy, którą mu gospodarz szczególnie jako zdrową i posiłną zalecił: byłto krem z daktyłów zaprawiony różnemi przysmakami, który Tankred, mimo nawyknień do europejskiej kuchni, znalazł wyborym i z wielkim spożył smakiem. Po skończonej biesiadzie, zapalono fajki i dwaj młodzi ludzie zaczęli między sobą swobodnie rozmawiać.

— Spotkanie twoje, oraz uprzejme przyjęcie jakiego tu doznaje, wynagradza mi po części — mówił Tankred — wszystkie doznane w dniu tym przykrości; ale przyznam ci się, że nigdy nie spodziewałem się pod namiotem Araba znaleźć francuzkie dzienniki.

— Nie jestem Arabem — odrzekł z powagą emir.

— Doprawdy?

— Jestem księżę chrześcijański.

— Czy być może?

— Księciem Libanu i szczerym Anglii stronnikiem, dla której dużo już wycierpiałem.

— Czy jesteś równie jak ja jeńcem?

— Nie, przybyłem tu, by wyprosić jaką pomoc tym, co byliby dziś mojemu poddanymi, gdyby mnie nie pozbawiono berła, które przodkowie moi przez siedm wieków piastowali. Szeik Amalek naczelnik potężnego pokolenia rozbija często swoje namioty wśród wielkiej Syryi pustyni, w bliskości Damaszku, i w różnych zdarzeniach może przyjść w pomoc mojemu ludowi.

— Co za piękne, wzniosłe przeznaczenie — zawołał zachwycony Tankred — być chrześcianinem a przytém księciem Libanu!

— Tak — ciągnął dalej z uniesieniem młody emir; — gdyby Anglia zrozumiała dobrze stan rzeczy, przy mojem współdziałaniu mogłaby z łatwością Syryą opanować.

— Anglia? — powtórzył zdziwiony Tankred — cóż Anglii po Syryi?

— To ją Francya lada chwila opanuje.

— Nie sądzę.

— Ale trzeba przecie coś przedsięwziąć. Porta nie może długo władać tym krajem; czy sądzisz, że mieszkańcy Libanu boją się baszy Damaszku? Gdyby Egipcyanie nie rozbroili naszych górali, to w ciągu kilku dni Turcy byliby zmuszeni opuścić Syryą nazawsze.

— Księciem syryjskim i chrześcianinem! — powtarzał zamyślony Tankred. — Ależ tém nietylko Portę, ale Francją i Anglią zwalczyć można. Syrya była już wielkiem państwem, gdy Zachód w dzikości był pogrążony. Twój kolorowy sztandar zwyciężył na chwilę całą Europę, przeszedł Alpy i zostawił na szczycie tychże swęj potęgi ślady, a i tego potężnego przeciwnika przemożła przecież Anglia; jednak mimo to, gdybym był księciem Libanu, zatknąłbym sztandar Chrystusa i nikogo o pomoc nie prosił.

— Ach, gdybym mógł tylko zaciągnąć stosowną pożyczkę, oszczędłbym się i ja bez cudzej pomocy.

— Pożyczkę?— powtórzył zdziwiony Tankred.— Jak widzę, fałszywe pojęcia Europy zaraziły już i pustynie. Wierzaj mi, nie w samym tylko złocie leży potęga narodu.

W tój chwili dał się słyszeć jakiś hałas zewnątrz namiotu, spowodowany przybyciem służących lorda Montecute. Ci uparci wyspiarze idąc śladem większej części swych panów, ciągle się do otaczających ich ludzi odzywali po angielsku, lubo byli przekonani, że ich nie rozumieją. Powodowani jednak fałszywie pojęciem narodowości uczuciem, nie przestawali łajać i kląć Arabów swym niezrozumiałym i barbarzyńskim dla arabskiego ucha językiem. Hałas i wrzawa stawały się coraz głośniejsze, aż wreszcie Freeman i Trueman weszli do namiotu.

— Jak się macie?—zawołał Tankred.— Cóż się z wami dzieje, co tam słyhać?

— Wszystko dobrze, mylordzie— odrzekł jeden z nich zartobliwie— obiadowaliśmy z dzikimi.

— To nie są dzicy.

— Nie może być? wszakżeżto oni zaledwie odziani, i nie znają użytku noża ani widelca.

— Przed parąset laty i w Anglii nie znano jeszcze widelców, a dlatego nie byliśmy już wtenczas dzikim narodem; cały zamek Montecute dawno już przedtém był zbudowany.

— Bodajbyśmy tam byli jak najprędzej.

— I ja także pragnę. Ale cóż robić, trzeba się stosować do okoliczności; nateraz chciałbym tylko wiedzieć, czy dostarczono wam żywności. Baroni o waszych kwaterach pomyśli; w każdym przypadku, możecie się rozłożyć wokoło mego namiotu i przykryć waszemi, a nawet mojemi rzeczami.

— Dziękujemy ci mylordzie, ale nie masz się o co frasować: co do twoich rzeczy, nie wiem co jutro będzie z obuwiem Waszój Wysokości, bo dżicy wynaleźli butelkę szuwaksu i wypili go jako najlepszy przysmak.

— Mniejsza o bóty.

— A mówiłem im, może ze sto razy, że to nie napój; ale gdzie tam, nie chcieli ani słuchać.

— Uparte psy—dodał Trueman.

— Boże odpuść—ciągnął dalej Freeman— oni to wzięli za wino; to takie bydłeta!....

— Jak widzę, oceniacie korzyści dobrego wychowania.

— O tak, mylordzie, i serdecznie za to wdzięczni jesteśmy matce Waszój Wysokości. Gdyśmy tu dziś w wieczór dojeżdżali, i gdym ujrzał te liczne porozkładane ogniska, sądziłem, że nas żywcem spalą, jeżeli się nie wyrzekniemy naszej wiary; przez całą więc drogę powtarzałem w duchu katechizm i gotowałem się na śmierć męczeńską.

— Mam w Bogu nadzieję—rzekł uśmiechając się Tankred, — że jakoś nie przyjdzie do tego, i że wyjdziemy ztąd cali i żywi. Lubo sam nie na wiele mogę być wam użytecznym, gdybyście jednak czego koniecznie potrzebowali, powiedzcie mi, a postaram się życzenia wasze zaspokoić.

Na te słowa Freeman i Trueman spojrzeli po sobie i naradzali się czas jakiś w cichości. Wreszcie jeden z nich zbliżył się do Tankreda, i rzekł z niejakiém wahaniem:

— Nie radziłyśmy nadużywać łaski mylorda, ale gdyby Wasza Wysokość wyprosiła dla nas trochę cukru do kawy, wielkąby nam łaskę uczyniła. Nie możemy bowiem, tak jak ci dzicy, pić kawy bez cukru.

Rozdział III.

— Nie chciałem mówić ci tego wczoraj mylordzie—rzekł Baroni—i tak dosyć już miałeś kłopotów.

— Lecz teraz przypuszczasz, że mam dosyć sił do nowych może jakich przykrości.

— Mówił po hebrajsku, żeby ani ja, ani szejik Hassan nie mógł go zrozumieć; lecz język ten nie jest mi zupełnie obcy.

— Po hebrajsku? lecz dlaczegoż tym a nie innym mówił językiem?

— Bo to pokolenie jest w gruncie Mojżeszowego wyznania.

— Sądzisz więc, że to żydzi?

— Nie nazywają się wprawdzie żydami, ale Rehabitami, lecz to wszystko jedno; zawsze sąto starego zakonu wyznawcy.

— Rehabitami?—powtórzył Tankred zamyślony.—Słyszałem już coś dawniej o téj sekcie; być może—ciągnął dalej—że moja wycieczka do Bethanii sprowadziła ten wypadek.

— Cała ta rzecz ułożoną została w Jeruzalem: zaraz ja poznałem, że to nie zwyczajne, zdarzające się czasem spotkanie. Ci

ludzie wiedzą wszystko, o każdym szczególe dokładne posiadają wiadomości; posyłają natychmiast gońca do Bessa; nie tajno im bowiem, że on jest twoim mylordzie bankierem, i że masz u niego otwarty, nieograniczony kredyt, i jeżeli nie opłacimy się im sowiec, zaprowadzą nas z sobą w głąb' pustyni.

— Jakaż twój rada?

— Naprzód radziłbym jak najdłużej zwlekać ułożenie warunków okupu. Dowodziłem wprawdzie szeikowi, że nie jesteś z panujących książąt, lecz on temu nateraz wierzyć nie chce, bo mu tkwi żywo w pamięci wszystko, co mu o tobie nagadali, ale z czasem przekona się o prawdzie mego twierdzenia, i natenczas rad nie rad będzie musiał zmniejszyć żadaną sumę. Wszystko więc zależy najwięcej na tém, by umieć korzystnej chwili użyć w swym czasie.

— Jak widzę, umiesz wnioskować i rozumować, ale tu potrzeba działania, a nie filozofii.

— Niedarmo podróżowałem przez pięć lat z panem de Sidonia; często bywaliśmy w gorszych niż obecnie okolicznościach, a pan de Sidonia ze wszystkiego głozoficzną naukę wyciągał.

— Masz wprawdzie porę do zastosowania jój praktycznie. O ile mi się zdaje, nasze położenie smutne, lecz łatwe do rozwikłania: trzeba nam jakim bądź kosztem z niewoli się okupić. Gdyby mnie ta przygoda spotkała na końcu mojej krucyaty, byłbym na wzór Ryszarda Lwie Serce zniósł ją spokojnie; lecz na samym wstępie osłabia tylko moje przedsięwzięcie, bo nie wiem, czy znajdę w sobie dosyć odwagi, by odbyć dalszą pielgrzymkę. Gdyby o mnie samego chodziło, nie przystałbym na żaden okup, uważałbym ten wypadek za przeznaczenie, za kamień probierczy mój wiary; usiłowałbym jakim bądź innym sposobem wydostać się na wolność, lub z pokorą zdać się na losy; lecz tu nie idzie już o moją tylko osobę: wciągnąłem w tę podróż ciebie, poczciwego Hassana i kilku moich współziomków; jakim prawem żądałbym od was poświęcenia? Nie ma więc rady, trzeba z wodą płynąć.

— Tak, ale ostrożnie. Nie mogę się zgodzić z tobą, mylordzie: widzisz same ostateczności, a tu należy nam pośrednią drogę wynaléć, a takową tylko jakieś niespodziewane i przyjazne okoliczności mogą nam wskazać.

— Wątpię, żeby wielki szeik zmienił w czémkolwiek swoje postanowienie; wpadliśmy już w zastawione poprzednio sidła.

— Tém bardziej powinniśmy dołożyć starania, żeby się z nich wydobyć.

— Czy sądzisz, że nie mogliśmy zasięgnąć rady w tym względzie? Właściciel tego namiotu—rzekł Tankred głos zniżając—wydawał mi się bardzo przyjacielski.

— Emir Fakredeen?

— To on się Fakredeen nazywa?

— Tak słyszałem. Jest on potomkiem znakomitego, lecz upadłego domu Shehaab.

— Jest on chrześcianinem—dodał Tankred.

— Czy tak? znałem kilku członków téj rodziny, ale wiara ich stosowała się do tych, z którymi przestawali.

— Może nam w czém poradzić.

— Nie wątpię o tém, ale tu nie rady, lecz czynu potrzeba.

*

*

*

W tym samym czasie, kiedy trwała niniejsza rozmowa, Fakredeen walczył z najsprzeczniejszemi uczuciami. Od chwili w której ujrzał po raz pierwszy Tankreda, został jakby oczarowany przez niego. Szlachetne margrabięgo obejście, wyższe wykształcenie, hart duszy w tak smutném położeniu i wszechstronne pojęcie stosunków towarzysko-politycznych, które w kilku słowach objawił, a do tego jego młodość i wabna powierzchowność, podbiły zupełnie wrażliwe serce i umysł młodego emira. Czuł on, że z pomocą takiego przyjaciela wieleby mógł dokazać, że bliższy z nim stosunek i ściślejsze zapoznanie, rozwinięłyby jego własne szlachetne uczucia, które dotąd były tylko chwilowemi popędami, w tłumie nagannych czynów ginącemi. W jakimże świetle przedstawi się Tankredowi, co o nim pomyśli, jeżeli się kiedy dowie, że on jest sprawcą jego nieszczęścia, jego niewoli? Głównie więc teraz przemyślał Fakredeen nad sposobami wyswobodzenia lorda Montecute z położenia, w jakie go sam uwikłał; a jednak, gdy pomyślał, że inaczej może nigdy nie spotkałby Tankreda, nie żałował swego postępowania. Przedsięwziął czekać sposobnej pory, by siebie i jego wypłatać zarazem z matni i uwolnić z rąk wielkiego szeika. Nazajutrz rano Fakredeen posłał z zapytaniem do Tankreda, czy nie życzy sobie zwyczajem Europejczyków, zwiedzić niedaleko ztamtąd leżące ruiny, i że w takim przypadku konie jego są na rozkazy mylorda. Lecz rana Tankreda zmuszała go pozostać na miejscu. Natenczas Fakredeen zapytał, czy może choć na chwilę gościa swego odwiedzić; lecz raz za-

siadłszy obok młodego Anglika, rozmowa z nim tak go zajęła, że dzień cały razem przepędził. Tankred z niemniejszym zajęciem wpatrywał się i słuchał młodego emira: jego żywa imaginacya, wrażliwy umysł i tak niepospolita, zwłaszcza na Wschodzie, szczerość jego mowy, czyniły go niejako ciekawym typem mało dotąd znanéj narodowości wschodnich pokoleń góralskich. Opowiadał on swojemu nowemu przyjacielowi z zupełną szczerotą i wylaniem ubiegłe życie swego wypadki, zarówno swe najszlachetniejsze popędy, jak i najhaniebniejsze czyny; wtajemniczył go w życie ciągłych intryg, ciągłych podstępów, cechujących ich obyczaje, a w ciągu tego całego opowiadania przebijała często głęboka żalność, delikatne czucie obok wyuzdanych namiętności i cierpkiej zimnej jak lód ironii.

—Niesłusznie uskarżasz się na twoją gwiazdę złowieszczą— rzekł Tankred do Emira, gdy ten użalał się że dotąd po tylu zabiegach, poświęceniach i pracy równie dalekim jest od osiągnięcia swego celu.—Nie jój to, lecz twoja wina, bo błędną postępujesz drogą. Tak wzniosłe przedsięwzięcia nie są dziełem intryg i rachuby, lecz wiary i prawdy. Minął już czas podejść, jestto jeszcze zabytek nędznego i zepsutego XVIIIgo wieku: pod jego to nieszczęśliwym wpływem wszelka wielkość, szlachetność, wiara, słowem wszystko, co podnosi i uzacnia człowieka, tak ciężko upadło; lecz dzisiaj, w innych już czasach żyjemy: wiara i prawda znowu zwycięzko powstały, w ich więc imieniu przemawiać trzeba do ludzi, a słowa te będą zrozumiane, wszędzie znajdą współczucie, i w każdym odbiją się sercu. Jeżeli chcesz wskrzesić potęgę Syryi, nie wysyłaj daremnie gońców do Londynu i Paryża, bo ten Londyn i ten Paryż wyczerpał już sam własne siły żywotne i do upadku się chyli. Nie wyglądaj więc daremnie obcej pomocy, lecz działaj jak działali wielcy ziemi téj bohaterowie, jak działał Mojżesz i Mahomet.

— Zapominasz o najgłówniejszej widzę trudności: zapominasz o różnicy wyznań tego ludu. Gdyby wszysey moi współbracia byli chrześcianami, lub muzułmanami, lub żydami, lub nareszcie poganami, jużby cel mój był osiągnięty: zatknąłbym krzyż lub półksiężyc, arkę lub stary kamień na szczycie jednéj z tych gór, i zgromadziłbym wokoło tego godła mieszkańców Damaszku i Alepu, stanowiących całą ludność i potęgę tych krajów; lecz pozbawiony jestem tego bodźca, będąc zmuszony odzywać się tylko do narodowości; a ponieważ naród ten z różnych składa się pokoleń, które

się między sobą gorzej nienawidzą niż Turków, zostaje mi tylko jeden sposób: wpływ osobisty, a dla utrwalenia go, utrzymania wspomnień rodziny niegdyś im panującej, różnych potrzebuję chwycić się środków, które niesłusznie zowiesz intrygami. Bądź co bądź, najzręczniejszy potomek rodziny Shehaab osiągnie prędzej czy później najwyższą władzę w Libanie.

— Jeżeli ograniczasz swoje chęci i żądania jedynie na władzy w Libanie, to cel ten niezawodnie łatwo i wkrótce osiągniesz; lecz do czegoż to doprowadzi? Wartaż ta władza zachodów i starań, jakie od tylu już latłożysz bezprzestannie? Zapomniałeś już przed godziną rozwijanych planów, by cały Wschód w jedno wielkie wcielić państwo, i zapewnić niepodległość wszystkim tych obszernych krain mieszkańcom?

— Ach! — zawołał Fakredeen — dla takiego celu warto żyć na tym świecie.

— Lecz takie cele osiągnają się tylko wiarą, a nie widzę, byś w cokolwiek wierzył stale i niezłomie.

— Wiarą? — powtarzał z namysłem Fakredeen, jakby badając znaczenie tego niezrozumiałego dla niego wyrazu. — Wielkie to słowo: można doprawdy wiarą świat podbić?

— Słuchaj — mówił Tankred z niezwykłą żywością — gdybym był na twoim miejscu, nie starałbym się o założenie nowej dynastji, lecz o ustalenie nowej myśli; bo idea jest wieczną, potęga zaś li ludzka koniecznie znikomą. Lecz jaką myślą? myślą żywotną; w tém właśnie leży cała trudność, całe zadanie dzisiejszego społeczeństwa. Wśród ogólnego duchowego zwątpienia, upadku państw, pośród francuzkich rewolucyj, angielskich reform, osłabienia katolicyzmu i epileptycznych wysilen protestantów, zakłócony świat pyta i szuka téj myśli żywotnej: szuka prawdy i znaleźć jej nie może. Jeżeli Azja upada, to Europa jest w zamieszaniu; jeżeli wasza spokojność ma być śmiercią, to życie Zachodu jest tylko anarchią.

— Myślę — rzekł z wolna Fakredeen — jakimby sposobem obudzić i do czegooby w Syrii wiarę skierować można. Wierzyłem w Mehmeda-Alego, lecz on jest Turkiem, i dlatego zawiódł moje nadzieje: zamiast ogłosić się wielkim kalifem i powołać całą ludność Wschodu pod swe berło, ograniczył się na wypowiedzeniu posłuszeństwa Porcie, i z bohatera zeszedł na zbuntowanego baszę. Arabowie są ludem młodym i pełnym życia. Arab się nie

starzeje, nie ulega zepsuciu; ja sam jestem Arabem i przyznam ci się, że czasami tylko to pochodzenie utrzymuje moją energią.

— I ja jestem wiarą Arabem, lecz uczucie tej wiary silnie jest wryte w mych piersiach, i broni od upadku na duchu. Wiem ja dobrze, choć urodzony gdzieś w odległych północnych stronach, że Stwórca świata upodobał sobie kraj ten szczególnie, że tu tylko objawił się ludziom, i tu tylko do nich przemówił, i dlatego też tutaj przybyłem.

Słyszając te słowa, młody emir spojrział badawczo na Tankreda, lecz powierzchowność jego była, mówiąc te słowa, poważna i spokojna.

— Wierzysz zatem?

— Biernie tylko— odrzekł Tankred.— Wiem, że kiedyś, przed wiekami, Bóg objawił się ludziom, że im swą wolę ogłaszał, lecz nie wiem, czego dziś po nas wymaga, i dlatego wiara moja jest tylko bierną; nie wiem jak żyć i co przedsięwziąć, by spełnić obecnie świętą jego wolę, i byłbym uległ zupełnej niemocy duchowej, gdybym wszelkimi siłami nie oparł się temu moralnemu kalectwu. Dlatego przedsięwziąłem tę daleką pielgrzymkę, gdzieśmy się tak dziwnym przypadkiem zetknęli.

— Macie przecie wasze księgi święte, waszych proroków.

— Były wprawdzie święte księgi, gdy Jehowa objawiał się Salomonowi i Mojżeszowi; było ich daleko więcej, gdy tenże Jehowa duchem swym natchnął proroków, a najwięcej ich się zjawiało po przyjściu na świat Zbawiciela, by prawda objawiona po wsze kraje się rozeszła. Lecz już blisko 2,000 lat się kończy, jak żaden głos z nieba się nie ozwał, jak żaden prorok boską potęgą natchniony, nowego nam słowa prawdy nie objawił.

— Lecz przełożony klasztoru Maronitów w Mar-Hanna często przytaczał mi jako dowód fałszywego proroctwa Mahometa, że Jezus Chrystus mówił: „Powstanie dużo fałszywych proroków“; a tém samém ostrzegał przyszłe pokolenia by im nie wierzyły.

— Sąto słowa naczelnika ludu Izraela, a nie Odkupiciela świata. Ostrzegał on niemi ludy hebrajskie, by wystrzegały się fałszywych proroków, lecz nigdy nie miał na celu bezwzględного przerwania stosunków ludzi z Bogiem; przeciwnie, jego narodzenie samo było tylko silniejszém, trwalszém uwidocznieniem węzła, jednoczącego Stworzyciela ze stworzeniem.

— W takim razie zkądże wiecie, że Mahomet był fałszywym prorokiem?

— Ja tego nie twierdzę, nie przeczę daru proroctwa potomkowi Abrahama, co nawet nietylko ja, ale wielu doktorów naszego kościoła przyznają niejaka świętość Mahometowi; ale w każdym razie powołanie jego ograniczone miejscem i czasem, zastosowane było li do kraju, w którym nową wiarę zaprowadził.

— Czy Stwórca nigdy nie objawił się Europejczykowi?—zapytał ciekawie Fakredeem.

— Nigdy.

— Ależ i ty jesteś Europejczykiem.

— Tak jest, niestety! — odrzekł Tankred głosem zmienionym — i ta myśl bardzo często mnie niepokoi. Póki byłem w Anglii, modliłem się napróżno o jaki oczywisty dowód łaski i natchnienia: sądziłem, że Stwórca tylko w pewnych, uświęconych, uprzywilejowanych miejscach woła swoje ludziom objawia; dziś, gdy równie bezskutecznie na jego grobie i tylu innych miejscach uświęconych życiem, o tę samą łaskę błagałem, nabrałem przekonania w smutném zwątpieniu, że nietylko miejsca, ale jest i ród uprzywilejowany, któremu Bóg łaski swojej udziela. Daremnie błaga o nią ten, co z krwi téj nie pochodzi.

— W takim razie, dziękuję Bogu że jestem Arabem.

— O! gdybym równie jak ty, nietylko duchem, ale i krwią był Arabem, nie marnowałbym życia nad chęcią rządzenia kilku pokoleniami górali.

— Wiész co—zawołał młody emir zrywając się z miejsca z żywością i rzucając zdaleka fajkę od siebie, którą dotąd trzymał w ustach:—przy nas wygrana; jeżeli zdołamy wytrwać, upatruję możność przywrócenia państwa Wschodniego i zmienienia politycznego systemu świata. Nie jesteś wprawdzie bratem królowej angielskiej, ale jesteś zawsze księciem z potężnego rodu, i królowa usłucha cię, jeżeli do niej w takich słowach i z takim czuciem przemówisz, jak do mnie mówiłeś. Wracaj do Anglii, powiedz wszystko coś widział. Tyś pierwszy otworzył mi oczy: nie ma wątpliwości, że potęga Albionu zginęła już nazawsze: dla wielu przyczyn, chwila ta wkrótce nastąpi. Pierwszą, jest potęga O'Connela, drugą jest przesycenie świata bawełnianemi wyrobami: dziś każdy żąda jedwabiu, i pewny jestem, że same góry Libanu, dobrze uprawione, dostarczyłyby jedwabiu dla całej kuli ziemskiej; trzecią przyczyną para: z odkryciem téjże wasze olbrzymie żaglowe okręty stały się tylko przedmiotem ciekawości, są one już dzisiaj, jakby zabytki przedpotopowego świata. Fakt to

już dowiedziony, że dziś Francya gdyby tylko chciała, zdobyłaby Windsor równie łatwo, jak Anglicy Akrę. Lecz nowym obrotem rzeczy królowa angielska stokroć może być potężniejszą niż dotąd: niech zgromadzi ogromną flotę, i nawzór Portugalii, lubo na większą daleko skalę, założy gdzie nowe, ogromne państwo. Niech zabierze z sobą wszelkie klejnoty, pieniądze, broń, niech jój towarzyszą wszyscy najpierwsi w kraju panowie, cały dwór; i niech przeniesie siedlisko swojej potęgi z Londynu do Delhi: tam znajdzie uorganizowany już kraj, potężne wojsko i wielkie dochody. Nadto ułożę się z Mehmedem-Ali, by jój ustąpił Bagdadu i Mezopotamii, a tak wysyłać będzie mogła swoje beduińską jazdę aż w głąb Persyi; ja zajmę się urządzeniem Syrii i Azyi Mniejszej. Za naszym przykładem pójdą Afganowie, uznamy wszyscy władczynią Indyi za naszą zwierzchniczkę, i oddamy jój w posiadanie brzegi Lewantu; jeżeli zechce, owładnie Alexandryą, podobnie jak Maltą. Wszak wasza królowa jeszcze młoda i długą przyszłość ma przed sobą. Nie przedstawia jój podobnego projektu ani Robert Peel, ani Aberdeen: zanadto są oni starzy i do jednego trybu włożeni; ale ty, co tutaj jesteś naocznym świadkiem wszystkiego, pojmujesz ogrom tego przedsięwzięcia i łatwość wykonania; ty jój to przedstawisz, usamowolni się tym sposobem z więzów, jakie jój obie izby narzucają. Jednym słowem, to, czego nie mógł Alexander Wielki dokazać, natychmiast urzeczywistnionóm będzie.

Rozdział IV.

Zwątpienie, jakie się objawiło w umyśle Tankreda, podczas rozmowy jego z Fakredcem, nie było wszakże jeszcze głęboko wkorzenione w serce młodego pielgrzyma; ale nieszczęśliwe powodzenie jego wędrówki, niewola w którą się dostał, rana na którą coraz mocniej cierpiał: wszystko to obudziło w nim nowe czucia i myśli o różności pochodzenia, i zaczął wątpić, by człowiek zachodniego szczepu dostąpił bliższych z niebem stosunków, będących wyłącznym wschodnich ludów przywilejem. Zapytany dniem piérwój, odmiennego byłby zdania; umysł bowiem jego, jakkolwiek wzniosły i szlachetny, nie miał téj męzkości, tego hartu, co nowe upatruje powaby w większych do zwalczania trudnościach, co żartuje z niebezpieczeństw, co sam o własnych siłach ostoi się w każdym przypadku, i niczyjój nie wygląda pomo-

cy. W miarę jak Tankred przyglądał się otaczającym go zewsząd śladom upadku, ogromnym wokół ruinom, stawał mu w myśli obraz rodzinnego dachu w Montecute, gdzie wszystko tchnęło miłością i pokojem; wspominał na to tkliwe okazywane mu przez rodziców przywiązanie, z których objęć wydarł się samowolnie, by gonić, jak mniemał *wówczas*, za wyższém natchnieniem, a jak *dzisiaj* przypuszczał, ze strachem może tylko za urojeniem gorącej wyobraźni: i nieskończona gorycz przepełniła mu serce, i łza powieki zwilżyła, bo Bóg ciężkie na niego dopuścił strapienie, na ciężką wystawił go próbę; bo... zwątpił o sobie.

Któż w ciągu swego życia, nie doświadczył tych chwil zwątpienia i upadku ducha, gdy wszystko co wzniosłe, wszystko za czém z upragnieniem goniliśmy, wszystko na cośmy dotąd z uwielbieniem spoglądali, cała mądrość i wielkość upłynionych wieków, zdaje nam się mdła i obojętna. W uszach Tankreda brzmiał tylko rzewny głos matki, w oczach stawała mu tylko smutna ojca postać. Bo i po cóż tu przybył? na co mu było, jemu dziecku, północy, błądzić po skalistej Arabii ziemi, zdala od swoich, do których wiązało go serce i powinność? I złowrogie jakieś przecucie ogarnęło umysł jego, zdawało mu się, że całe jego życie gdziekolwiek upłynie, stanie się czerpnięciem i bezużytecznym.

A jednak, myślał Tankred, ja tu nie jestem zupełnie obcym; tajemnice których te miejsca były świadkami, równie mnie obchodzą, jak i tutejszych mieszkańców, ztąd ja równie jak oni czerpię źródło méj wiary, i Jezus Chrystus za wszystkich ludzi, a nie za samych téj ziemi mieszkańców, poniósł śmierć męczeńską. Nie przywiodła mnie tu próżna ciekawość, ani przesyt zbytowego życia, lecz gorąca miłość dla samego Stwórcy, lecz pamięć na krzyż i mękę Zbawiciela, którym od kolebki niosę cześć powinną; ztamtądto jako ze źródła każdej ludzkiej pociechy, płynie dla biednych i cierpiących wszelka w życiu tym osłoda. Gdy ciężko spracowany wyrobnik spocznie po tygodniowej pracy dzień jeden swobodnie, komuż ten odpoczynek zawdzięcza? oto prawom nadanym od Boga, prawom objawionym Mojżeszowi w téj oto ziemi. Gdzie zranione serce szuka ochłody i ulgi dla cierpień? jakie pienia wrywają się ze zbolanej piersi? Człowiek prawdziwie cierpiący nie będzie powtarzał wstawionych pieśni Bajrona, Szekspira; lecz ze łzami w oczach pieśń pokutną izraelskiego ludu zannuci. Temuto ludowi tak niesłusznie prześladowanemu, zawdzięczamy nasze pojęcia religijne, nasze prawa tak wzniosłym, tak nadziejskim nacechowane duchem, w ich księgach i pieśniach czerpiemy

pociechę i naukę. Tak, pytam raz jeszcze, za co Zachód przesładuje ten szczerp Wschodni arabski, co nam przyniósł kiedyś światło i wiarę. Trudneto i niezbadane dotąd zagadnienie, którego nawet nasz przemądry wiek XIX rozwiązać nie potrafi. Stuszne więc mam powody mego tu pobytu, mam niejako prawo dopominać się w tym kraju cudów i świętości, o część łaski i na mnie przypadającą, i wołać będę z sercem żalem przepelnioném: „Czemużeś mnie opuścił o Panie, wszak i ja dziełem rąk Twoich? I ja przychodzę błagać Cię, abys zesał Twego anioła, jak to już przed wiekami uczyniłeś. Niestety! płaczę i wołam daremnie, nie widzę Twego posłańca; nie otaczają już Twego tronu mnogich archaniołów zastępy? Gdzie oni, gdzie cherubiny, gdzie serafiny? gdzie Michał archanioł? gdzie Gabryel Twój ulubieniec?“

*

*

Tętent zbliżających się koni wyrwał Tankreda z głębokiego dumania, w jakim był pogrążony; spojrział przez okno i zobaczył mnogą liczbę Arabów, zbliżających się do jego namiotu. Trzech z nich zsiadło z koni: było sam szejik Amalek w towarzystwie Hassana i młodego syryjskiego emira, który przybył odwiedzić dostojnego jeńca. Amalek powitał Tankreda znakiem pokoju, przykładając prawą rękę do serca i zasiadł na rozestłanym dywanie i zapalił fajkę, podaną przez Freemana i Truemana. Hassan był równie jak przedtém poważny i spokojny, młody zaś emir czulszy niż zwykle.

Po pierwszym przywitaniu i zwyczajnej potocznej rozmowie o koniach, strzelbach i dromaderach, Fakredeem, który tuż przy Tankredzie usiadł, jakby szukając jego protekcji jako istoty wyższej, zapytał swobodnie, nieledwie z lekceważeniem Amaleka:

— Szejiku szejików, wszak jeden jest tylko Bóg, ale czy nim jest Allah czy Jehowa?

— Drzewo palmowe nazywają czasem daktylowém—odrzekł Amalek—a przecieżto zawsze jedno i toż samo drzewo.

— Zgoda—powiedział Fakredeem—lecz ty nie modlisz się do Allaha.

— Modłę się, jak się modlili moi ojcowie.

— Modlisz się do Jehowy?

— Powiedziałeś.

— Szejiku Hassanie—pytał znowu Fakredeem—jeden jest tylko Bóg, nazywają go Jehową: czemu się nie modlisz jako szejik szejików do Jehowy?

— Jeden jest tylko Bóg i Mahomet jego prorok; on nauczył ojców moich, by się do Allaha modlili, i ja się też modłę do niego.

— Czy Mahomet jest prorokiem Boga?—zagadnął znowu Fakredeen szeika szeików.

— Być może—odrzekł Amalek, pochylając głowę na znak przyzwolenia.

— Czemuż się nie modlisz równie jak Hassan?

— Bo Mojżesz także niewątpliwie prorok boski, bo go wszyscy wyznają, tak szeik Hassan, jak emir Fakredeen i jak ten oto młody książę, brat wielu królowych. Prorok ten wybrawszy sobie z naszego pokolenia żonę, nauczył nas modlić się do Jehowy; być może, że więcej jest proroków, lecz po cóż dzieciom Jethro pytać o innych, mając Mojżesza?

— Macie jego pięć ksiąg?—zapytał Tankred.

— Mamy od początku, i do końca przechowywać je będziemy.

— I wyczytaliście tam, że Mojżesz córkę Jethro poślubił?

— Czyż to potrzebuje potwierdzenia, że posiadamy wielbłądy i konie? Nie potrzeba nam ksiąg, by wiedzieć, za kogo córki nasze wydajemy.

— Dawneboto już czasy, jak Mojżesz uciekł z Egiptu do Medyi.

— Mogą być dawne dla mieszkańców miast, gdzie przy jednej bramie mówią że południe, a przy drugiej że zachód słońca; gdzie ludzie żyją kłamstwem i tajemnicą; gdzie jeden przed drugim czyny swe ukrywa: lecz u nas, w pustyniach, nic się nie zmienia, ani nasze słowa, ani nasze czyny. Pijemy dotąd z tych samych źródeł, gdzie Mojżesz czerpał wodę; tak samo strzżemy nasze trzody, pod te same chronimy się namioty. Wśród nas nic się nie zmieniło, ani strój, ani obyczaje, a tém mniej i przeszłości pamięć. Co mój ojciec słyszał od swego ojca, tego i mnie nauczył, a ja znowu toż samo synowi przekazałem. Czémże jest czas względem prawdy, bym mógł zapomnieć, że wybraniec Pański poślubił córkę mego rodu.

— Gdzie mało faktów, tam i słów niewiele—dodał jakby na poparcie szeik Hassan.—Milczenie jest matką prawdy. Od czasu hedziry nic nowego nie zaszło w Arabii; przedtém był Mojżesz, a przed nim wielkoludy.

— Prawda przedewszystkiém—ponowił szeik Amalek—niekoniecznie tak było, jak mówisz Hassanie: ani dzieci Rechaba, ani pokolenia Senitów nie połączyły się nigdy z prorokiem Mekki,

bo mając pięć ksiąg Mojżeszowych poprzestały na nich i udały się w głąb' pustyni, gdzie w mnogie ludy się rozrodziły. Ale synowie Koreidhu chociaż także mieli księgi Mojżesza, lecz nie byli dziećmi Rechaba i przybyli na pustynię, i w bliskości Medyny osiedli po zniszczeniu El-Kudhu przez Nabuchodonozora. Ci pierwsi poszli do Mekki z Mahometem, następnie wytoczyli mu wojnę, lecz ich prorok zwyciężył, zniszczył prawa i poprowadził do niewoli, a potomkowie osiedli w miastach Yemenu. Tak jest, dzieci Izraela zamieszkujące Yemenu miasta, są pokoleniem Koreidhów.

— Nieszczęśliwe dzieci Koreidhu, które walczyły z prorokiem i mieszkają po miastach—zawołał szejik Hassan, nową zapalając fajkę.

— A może i ty równie z innemi szejiku szejików, gdybyś nie był synem Jethro, wyznawałbyś prawa Mahometa?

— Jeden jest tylko Bóg, choć wielu może być proroków—odrzekł Amalek—lecz synowi Jethro należy się trzymać Mojżesza. Nie ublizam ja przez to wcale koranowi, który równie może głosić słowo Boga, zwłaszcza, że pisany był przez syna pokolenia Koreiszy, a Koreiszowie są potomkami Abrahama.

— Sądysz więc, że Bóg potomkom tylko Abrahama objawić się może?—zapytał Tankred skwapliwie.

— Ja i moi ojcowie i pradziady, żyliśmy tu na pustyni od niepamiętnych czasów—odpowiedział Amalek.—Widzieliśmy Faraonów, Nabuchodonozorów, Iskandrów, następnie Rzymian, a wreszcie i francuzkich sułtanów; a miecz ich jakkolwiek wszechwładny, nigdy nas przecie zupełnie podbić nie potrafił. Gdzież oni, gdzie ich potęga?—rozplynęła się w nicości, przeszła jak błyskawica. O wszystkiem wprawdzie człowiek wątpić może, lecz to jest pewne i niewątpliwe, że od stworzenia świata Bóg samym Arabom się objawiał.

Na te słowa Tankred zakrył twarz rękoma, i długo w tym stanie zostawał. Następnie podniosłszy się, rzekł:

— Szejiku szejików, jestem twoim jeńcem, lecz zanim dostałem się w niewolę, odprawiałem pielgrzymkę na górę Synai; miejsca, które zarówno oba za święte uważamy. Mówiono mi, że ztąd do Synai jest tylko dwa dni drogi; pozwól, bym pod jaką chcesz strażą, pielgrzymki tej dokonał, a zaręczam słowem szlachetnego chrześcianina, że nie będę nawet myślał o ucieczce, i powrócę daleko prędzej od posłańca wysłanego do Jeruzalem

Jakikolwiek będzie skutek negocjacji Baroniego, przynajmniej osiągnę pierwotny cel méj podróży.

— Książę i bracie wielu królowych—odrzekł Amalek z uprzej, mością, właściwą władcom arabskim:—jesteś tu panem i wszystko do woli możesz rozrządzać. Jedź gdzie chcesz i kiedy chcesz; ludzie moi nie będą cię strzedz, ale ci towarzyszyć.

To mówiąc, szejik szejików powstał i wyszedł.

* * *

Gdy Tankred po wyprowadzeniu wielkiego szejika powrócił do swego namiotu, głęboko się zamyslił: cała jego przeszłość stała mu na myśli; przebiegł on wspomnieniem swoje urodzenie w krajupółnocnym, zupełnie dawnym patryarchom nieznanym; swoje wychowanie tak niezastosowane do jego dążeń i skłonności; swoje upodobanie od lat najmłodszych do powieści z pisma świętego; swój niesmak do obyczajów Zachodu; przekonanie o upadku przemądrój Europy, gdzie nędza ducha kryje się pod udaną wesołością lub niezrozumiałemi dowodzeniami tegoczesnych filozofów; rozmyślał także, dlaczego mimo jedności wiary, tak wielka zachodzi różnica, tak mało styczności między obrządkami wschodnich ludów a Europą. Wszystko to nowym żarem serce jego przepełniło i głębokie westchnienie wy dobyło z piersi.

Nagle uczuł lekkie ściśnienie ręki i obejrzawszy się, ujrzał klęczącego przy sobie emira, z wyrazem rozczulenia na twarzy.

— Jesteś nieszczęśliwym—rzekł Fakredeen z współczuciem.

— To jeden z koniecznych warunków naszego życia; zresztą, w mojem położeniu smutek nie powinien zadziwiać cię.

— Przekleństwo dziesięciu tysięcy matek temu, kto cię zabrał w niewolę. Przekleństwo dwudziestu tysięcy matek, temu, co się zranił.

— Sąto przypadkowe tylko zdarzenia, o które dbać tak bardzo nie warto, a zresztą może i nie to dręczy mnie.

— Czy wiesz, dlaczego po raz drugi już dzisiaj odwiedzam cię? oto dlatego, żeby ci powiedzieć, że jeżeli zechcesz, téj nocy jeszcze możesz być wolny. Wielki szejik pozwolił, byś się udał na górę Synai; mam tu właśnie dwa dromadery szybkie jak gazy. Gdy staniemy na noc, upoję wódką, której szczęściem mam dostateczny zapas, lub opium pomieszaném z tytuniem, towarzyszących nam Beduinów; zresztą możesz się już na mnie spuścić, znam pustynię jak dom własny. Zanim się przebudzą uspieni to-

warzysze, będziemy już bezpieczni. Powiedz mi tylko, że na to przystajesz.

— Gdybym był sam jeden bez żadnej straży, jeszczebym dobrowolnie tu powrócił.

— A dlaczego?

— Dlatego, że dał na to słowo szlachetnego chrześcijanina.

— Komu? człowiekowi, który nie wierzy w Chrystusa; a to przecież grzech dotrzymać obietnic heretykom.

— Dałby Bóg, bym równym jak on był heretykiem. Wyznaje on, równie jak my, Mojżesza, a pochodzi z rodu Abrahama.

— Jeżeli mnie tylko kiedy zechcesz odwiedzić na Libanie, to cię poznam z patriarchą, z którym do woli nagadasz się o teologii. Co do mnie, małym się tej nauce oddawał; położenie moje było wyjątkowe pośród tylu różnowierców. Lecz powiedz mi książę, czy mam przygotować wszystko do ucieczki?

— Gdyby Amalek był wyznawcą Baala, powróciłbym wiedząc nawet, że mnie czeka śmierć męczeńska. Oprócz tego nie mogę tak moich ludzi porzucać; cóżby się stało z Baronim?

— Nie troszcz się o to, zdołałbym i dla nich środki ucieczki obmyśleć. O! jakżebym rad pozbawić tych łotrów twojego okupu!

— Nie mówmy daremnie o tém: albo zostanę na miejscu, lub pojechawszy, powrócę.

— Cóż cię może prowadzić na szczyt góry Synai? Gdyby na Liban, to co innego; tam mógłbyś niepospolitą działalność rozwijać; możnaby polepszyć byt prostego ludu, udoskonalić roli uprawę, pozakładać fabryki, obudzić przemysł, zakupić zbiór cały jedwabiu po sześćdziesiąt piastrow oko, a spieniężyć go w Marsylii po dwieście, i mimo to, jednocześnie możnaby pracować nad rozkrzewieniem prawdziwej wiary.

(Dalszy ciąg nastąpi).



KRONIKA LITERACKA.

Historya szkół w Koronie i W. X. Litewskiém od najdawniejszych czasów aż do r. 1794. Przez Józefa Łukaszewicza. W Poznaniu, nakładem księgarni Jana Konst. Żupańskiego. T. I, w 8ce, 1849, str. VIII i 470 T. II roku 1850, 492 str.

Autor tak dalece przejął się ważnością szkół i zakładów wychowania, iż przedmowę swoją zaczął od zdań następujących:

„Każdy naród ma takich obywateli, jakich sobie wychowuje: a następnie tak się w publicznych i prywatnych sprawach rządzi, jakich ma obywateli. Samo tylko wychowanie młodzieży, w miarę jak jest złém lub dobrém, gubi albo wznosi domy i narody całe”.

Autor więc przypuszcza, że wychowanie tworzy całe usposobienie i charakter człowieka; gdy tymczasem widzimy, że dzieci jednychże rodziców i jednostajnego wychowania, bardzo się często różnią i usposobieniem, i charakterem, i całém prowadzeniem się następnie, tak w życiu prywatném, jak publiczném. Zkąd więc ta różnica? Bo zdolności i usposobienia wrodzone, i skłonności owych braci rodzonych były różne (i w Paryżu nie zrobią z kaszy ryżu). Zdaniem więc mojem, wychowanie wpływa wiele i bardzo znakomicie, ale nie wyłącznie i jedynie, na utworzenie i ukształcenie obywateli. Podobnież nie samo wychowanie, złe lub dobre, gubi lub wznosi domy i narody całe, ale wiele jest innych okoliczności, które się do tego przyczyniają, jakoto nadewszystko: zdolności i charakter naczelników rodzin lub narodów; duch i sposób gospodarstwa domowego lub krajowego, a zatém: i duch prawodawstwa narodowego; co wszystko tworzy się i kształci według zdolności i charakteru naczelnika, nadającego doń popęd i kierunek, tudzież osób go otaczających lub wpływ nań, albo w większym obrębie wywierających. (Jaki pan, taki sługa. Jaki pan, taki kram) i t. d.

Nie wdając się w dalszy wykład méj myśli, nie wątpię, iż pan Ł. zgodzi się ze mną, że gdyby zaraz po Kazimierzu W. objął był rządy Stefan Batory i panował tak długo, jak nabożny Zygmunt III; niezawodnie innych mielibyśmy obywateli, inne szkoły, inne prawodawstwo, inną administracyę krajową, niż te, jakie się potworzyły za rządów Ludwika i rozwinęły następnie za nieudolnych a rozrzutnych aż do Zygmunta Igo Jagiellonów. Rossya bardzo potężném jest państwem, chociaż w stosunku do rozległości i ludności z innymi Europy krajami, mniej miała i ma szkół i ludzi uczonych (1).

Wytknąwszy dalej w przedmowie autor trudności w zebraniu materiałów do dzieła obecnego, tak ważną lukę w literaturze naszej mającego wypełnić, żali się, iż nie mogąc sam puścić się w podróż do Litwy i Galicyi, prosił kilku tamtejszych literatów o małą pomoc, o przepisanie jego kosztem kilku broszur drukowanych, których w Poznańskim i w bibliotekach pruskich nie znalazł; prosił o objaśnienia niektórych jego wątpliwości co do stosunków miejscowych Litwy i prowincyj przyległych.

„Przecież (dodaje) nietylko że téj małej usługi, nie mnie zaiste, lecz dziejom krajowym nie wyświadczyli, ale nawet na odezwy moje nie odpowiedzieli?” Jakież mogły być powody nieodpowiedzenia?— Obojętność czy niedbalstwo lub lenistwo, a może i obrzydła zazdrość spowodowały to milczenie. Niechże ten ogólny zarzut uczyni ich względniejszemi na inne tym podobne prośby.

Historyą szkół w Polsce dzieli pan Ł. na 5 okresów:

Pierwszy obejmuje czasy najdawniejsze do r. 1364 lub 1400, czyli do założenia akademii krakowskiej;

Drugi do r. 1564, czyli do zaprowadzenia Jezuitów;

Trzeci do roku 1740, czyli do reformy szkół przez ks. Konarskiego;

Czwarty do ustanowienia Kommissyi Edukacyjnej w r. 1773;

Piąty do r. 1794.

Dziwić się prawdziwie trzeba nad ogromem dat i materiałów, które autor do przedmiotu w takiej rozległości, dotąd piórem polskim nietkniętego, szukać musiał po niektórych archiwach katedralnych, miejskich i grodzkich, po tysiącznych dziełach i broszurach drukowanych rozmaitej treści, jakoto po synodach, regułach zakonnych, panegirykach, kazaniach pogrzebowych, programmatach, rozprawach i książkach szkolnych, dziełach historycznych, polemicznych, i t. d., aby, nagromadziwszy je, utworzył z nich harmonijną całość, któraby dziejowego czytelnika za-

(1) Obacz Mattera dzieło: *De l'influence des moeurs sur les lois, et de l'influence des lois sur les moeurs.* Paris, 1832, pag. 396.

spokoila; a śmiało wyrzec możemy, iż dzieło pana Ł. nietylko w ogólności, ale nawet w szczegółach po większej części zaspokaja. Jakoż obraz ten budzi naprzemiany to radość lub rozrzewnienie, to wstręt i pogardę lub politowanie, to pochlebną otuchę lub oburzenie przy spoglądzie na postęпки i działania pojedynczych osób lub zgromadzeń całych, które się do podniesienia i lepszego urzędzenia lub pogorszenia i upadku szkół przyczyniały. Nie przestaje bowiem autor na suchym kronikarskim spisie organizacyi szkoły lub instytutu, podaniu planu nauk, wyliczeniu nauczycieli i uczniów, wymienieniu ksiąg szkolnych i t. p., ale wskazuje oraz dążność główną tych instytucyj, wynurza swe zdanie co do przywar lub zalet w ich organizacyi lub w wykonaniu takowej, po większej części z naszym zapatrywaniem się i sądem zgodne.

Może który z badaczów dziejowych przy bujnej imaginacyi i gorącej chęci rozszerzenia i uświetlenia starożytności słowiańskich, mianowicie lechickiego plemienia, wyrozumuje bytność szkół w ziemiach staropolskich za czasów bałwochwalczych. Lecz p. Łuk. bez wybryków poetycznych, idąc za datami prawdziwie historycznymi, dopiero z zaprowadzeniem u nas chrześcijaństwa w X wieku, upatruje najpierwsze instytutu naukowe w szkołach katedralnych, benedyktyńskich i późniejszych parafialnych lub klasztornych.

A lubo w całym tym pierwszym okresie ogółowe i ułomkowe tylko podaje p. Ł. wiadomości (gdy prócz W. X. Poznańskiego, zwłaszcza miasta Poznania, z którego głównie przytacza data; archiwów zaś katedralnych i klasztornych i innych prowincyj dawniej Polski nie miał sposobności zwiedzić i przetrząsnąć), niebardzo nad tém ubolewamy; gdyż wypadki badań takowych, zaspokoilyby wprawdzie więcej ciekawości, ale co do wpływu na oświatę krajową, niebardzoby się okazały owocowymi. Wszelako, zwiedzenie i przejrzanie archiwów katedralnych i miast: Krakowa, Gniezna, Włocławka, Lwowa, Przemyśla, Chełmna i t. d. byłoby pożądanem dla uzupełnienia obrazu.

Wyłożywszy następnie organizacyę szkół katedralnych i zakonnych, dzielących się jak w reszcie Europy, na *trivium* i *quadrivium*, (*trivium* obejmowało grammatykę, retorykę i dyalektykę; *quadrivium* arytmetykę, geometryę, astrologią i muzykę), wymienia książki szkolne i przedmioty nauki, między któremi wylicza język polski i niemiecki, mówiąc: „Lubo *trivium* i *quadrivium* nie obejmowało wyraźnie nauki języka polskiego, wszakże nie podpada żadnej wątpliwości, że go już w XIII i XIV wieku, po szkołach naszych uczono. Na cóżby bowiem Fulko r. 1237 i Jakób Swinka 1285, arcybiskupi gnieźnieńscy, nakazywali, aby na nauczycieli tylko znających dobrze język polski brano, gdyby tego języka po

szkołach nie uczono?" Powtarza toż samo p. Ł. na kar. 13 i 23, że po szkołach miejskich już w XIV wieku uczono języka polskiego i niemieckiego, „bo osadnicy miast na prawie magdeburgskim, w wielkiej części Niemcy, używali go przez długi przeciąg czasu w życiu domowym i w sprawach publicznych“. Mimo takowych twierdzeń autora, jabym utrzymywał, że nie tylko w XIV, ale i później, nawet w większej połowie XVIII wieku, nie uczono w szkołach polskich języka polskiego.

Żeby języka jakowego uczyć, potrzebny jest przewodnik czyli grammatyka. Ponieważ zaś nie tylko w średnich wiekach, ale i później uważano, iż każdy umie i posiada swój język ojczysty; prawdziwie przeto mówiąc, nie uczono go wcale po szkołach, tak u nas jak i w innych narodach. Dopiero przy wzroście nauk, gdy język ojczysty (*lingua vulgaris*) stawał się językiem piśmiennym, a raczej książkowym, zwracać zaczęto uwagę na ustalenie pisowni, a później dopiero na właściwą grammatykę, gdy pisarze z gienuszem w dziełach swoich stawiali wzory, z których prawidła grammatyczne wyprowadzano. Nie dlatego, że hr. Montluc polecając Polakom Henryka Walezjusza za króla, między innymi pochwałami narodu francuzkiego, powiedział, że Francuzto był, który *piérwszy* mowę polską w prawidła grammatyczne ujął, ale że rzeczywiście, ile nam wiadomo, śladu dawniejszej grammatyki polskiego języka nad Statoryusza z Tyonville (między 1560—1570) nie znamy, należy się Statoryuszowi, jeśli nie Seklucyanowi, pierwszeństwo w tej mierze (1).

Nie uczono przeto w szkołach polskich języka polskiego w XVI i XVII wieku, bo mieliśmy tylko Grammatyki polskiego języka dla Niemców lub cudzoziemców pisane, jak się z wyliczeń dzieł podobnych przez Bentkowskiego (Hist. Lit. 1,205) przekonać można; ale praktycznie w nim się wprawiano, podobnie jak w Niemczech i Francyi. Dopiero po 1778 r. czyli po wydaniu grammatyki Kopczyńskiego, język polski stał się u nas przedmiotem naukowym. Owe więc postanowienia arcybiskupów gnieźnieńskich nie ściągały się do wykładu odrębnego nauki języka polskiego, ale do tłumaczenia autorów łacińskich i należytego ich zrozumienia, jak przytoczone wyrazy okazują: *non ponantur rectores scholarum, nisi linguam polonicam proprie sciant et possint pueris auctores exponere in polonica lingua*; a dodano wyrazy: *ad conservationem et promotionem-linguae polonicae*, dowodzą, iż myślano

(1) Na k. 86 wspomina autor o nieznanej dotąd naszym bibliografom grammatyce polskiej Henrychmana, wydanej przed rokiem 1532, według przytoczenia z Hontera.

i o ustnym lub na piśmie wysłowieniu się w języku ojczystym, ale nie o właściwej nauce języka samego. Tę bowiem za przyrodzoną, że tak powiem, umiejętność poczytywano; stosowne wysłowienie lub wypisanie się zostawiając osobistym zdolnościom i praktycznemu ćwiczeniu się. Dziś nawet znajdują się osoby, i osoby naukowe, które grammatyczną naukę języka ojczystego, zwłaszcza tak jak bywa często traktowana po szkołach, poczytują za zbytęzną, gdy drobiazgowościom grammatycznym poświęcają zbyt wiele czasu; przez co, od rzeczy i materji odwracają uwagę i przytępiąją samodzielność.

W drugim okresie bolesne rodzą się uczucia, widząc, że zaprojektowana przez W. mistrza krzyżackiego akademja w Chełmnie r. 1387, i zatwierdzona przywilejem Urbana VI nie przysłała do skutku, z powodu wojen zakonu to z Litwą, to z Polską, i nareszcie z samemi Prus mieszkańcami.

Po opisanju założenia i urzędzeń akademji Jagiellońskiej. wylicza autor jój zasługi, a obok tego wady. Między temi zaś najgłówniejszą była, zwyczajem wieków owych, organizacya zupełnie duchowna i niemal zakonna, której niestety! ze szkodą kraju, akademja uporczywie się trzymała aż do czasów Kommissyi Edukacyjnej czyli r. 1780.

Monarchowie z rodu Jagiellońskiego niewiele przyłożyli się do wzrostu szkół polskich. Co większa, król Alexander wielce zaszkodził wychowaniu publicznemu w Polsce, swoim niemal staro-egipskim prawem, niedozwalającym wieśniakom tylko po jednym synie do szkół oddawać; jako też ustawą, która plebejuszów od kanonii oddalała. Bardzo dobitnie wystawił Petrycy w swojej *Polityce Arystotelesowej* szkodliwość ustaw powyższych dla kraju, co p. Ł. przytacza własnymi jego wyrazami. Tylko Zygmunt I tém się odznaczył, że professorów akademji szlachectwem obdarzył; lubo ten zaszczyt niewielki mógł wpływ wyrzucić, gdy się zważy, że wszyscy niemal professorowie byli księża.

Teologia zaś była głównym celem akademji, jużto przez pierwotne urządzenie, już przez ponętne widoki bogatych prebend, które się wysłużonym professorom dostawały. Teologią też celowała akademja krakowska w ciągu XV i początku XVI wieku, podług ówczesnych zwyczajów, nie ujrawszy w swém łonie męża wyższego nad swój wiek pomysłem, jak np. akademja paryzka Piotra Ramus. Żaden też akademik krakowski nie ujął się za śmiaćm, i można powiedzieć, zuchwałém na owe czasy zdaniem Ramusa. I owszem, Broscyusz, jeden z genialniejszych krakowskich professorów, wystąpił przeciw niemu z obroną Arystotelesesa, jak o tém Sołtykowiez w *Hist. Akad. Krak.* wspomina. Scholastyka więc w parze z Arystotelizmem zaprzętnawszy umysł, naukę prawa i medycynę

zostały odłożone, jak to się okazuje najwidoczniej z przytoczonych książek, do wykładu nauk używanych.

„Duchowieństwo zaś polskie, mówi autor rozpoznając epokę *trzecią*, nie znajdując w Akademii Krakowskiej i szkołach jej podległych, żadnej pomocy przeciwko szerzącej się po całym kraju reformacyi, zaniechało zupełnie myśli, tylekroć na synodach prowincjonalnych objawianej, reformowania po swojemu tej szkoły głównej krajowej, i zaczęło się obierać za innymi szkołami, któreby dla kościoła katolickiego zbawienniejsze owoce wydać zdołały. Stanisław Hozyusz kardynał i biskup warmiński, znajdując się na soborze trydenckim, miał sposobność zapoznania się tam z kilku członkami świeżo wówczas założonego zakonu Jezuitów, trudniącego się wychowaniem młodzieży, i wnet postrzegł, że zakon ten jest właśnie takim, jakiego sobie w ówczesnym stanie kościoła krajowego duchowieństwo polskie życzyć mogło. Sprowadził przeto Jezuitów natychmiast r. 1564 z Rzymu i Niemiec do Brunsberga w Warmii, oddał im opuszczony od Franciszkanów klasztor, i zaopatrzył w dostateczne fundusze”. Za przykładem Hozyusza zakładali inni biskupi w swoich dycezyjach kollegia szkolne Jezuitów, jakoto Noskowski biskup płocki w Pułtuskum roku 1565, Protaszewicz biskup wileński w Wilnie roku 1569, a następnie inni biskupi; Stefan Batory i możni panowie, w Jarosławiu, w Poznaniu, w Płocku, w Rydze, w Dorpacie, w Lublinie, w Nieświeżu, w Gdańsku, Kaliszu, Krakowie i Lwowie 1585 r.

Gdy Zygmunt IIIci wychowawiec Jezuitów zasiadł na tronie polskim, zakon Jezuitów jednając sobie przychylność mieszkańców swoją gorliwością w służbie Bożej, pokorą, nauką, czystością obyczajów (1), nietylko się rozpostarł po wszystkich stronach Polski (w Grodnie, w Warszawie, w Krożach, w Płocku, Przemyślu, Toruniu, Łucku, Orszy i Dynaburgu, Kamieńcu Podolskim i t. d.), ale nadto rosnąc w majątek i znaczenie zyskał niestłuchany wpływ w rządzie krajowym.

(1) Mówimy tu o ogóle, bo pojedynczych osób zdrożności, od których żadne zgromadzenie wyjątkiem nie jest, nie stanowią prawidła. Tymczasem tak dawniejsi, jak nowsi przeciwnicy Jezuitów, zarzucają temu towarzystwu, Bóg wie jakie występki w życiu prywatnym; chociaż w ogóle Jezuici w swoim życiu prywatnym, przykładnymi byli zakonnikami; uległych bowiem jakimkolwiek nalogowi lub słabości, oddalano natychmiast ze zgromadzenia. Ztąd też pochodziło, że gdy w innych zakonach, i pomiędzy duchowieństwem świeckim, dość często natrafiano na oddających się trunkom, lub wylanych na nierząd; Jezuitę zdołała pospolicie skromność, wstrzemięźliwość i porządek, jak to p. Ł. słusznie im przyznaje. Dodałbym tylko uwagę, że w ocenieniu Towarzystwa Jezusowego, odróżniać trzeba zwyczajnych jego członków różnych stopni (*Novicii, Fratres, Scholastici, Coadjutores*), od członków wyższego stopnia *professami* (*Professi*)

Tymczasem akademia krakowska nieczemniejąc coraz bardziej, po większej części z własnej winy, odebrała cios śmiertelny w zatargach, które przez cały niemal wiek XVII toczyła z Jezuitami, wdawszy się z niemi w emulacyą, nie o lepszy wykład nauk po szkołach swoich, ale o prawo zakładania szkół: o co i w innych krajach europejskich liczne Jezuici prowadzili procesa. Początkiem do tych zatarg u nas był przywilej uzyskany przez Jezuitów od Zygmunta IIIgo r. 1612 na zamienienie ich szkół poznańskich w akademią, o dwóch wydziałach: filozoficznym i teologicznym, z mocą kreowania w tych wydziałach *Baccalaureos*, magistrów i doktorów. Akademia krakowska mając w Poznaniu swoją kolonią, uważała ten krok Jezuitów za nadwreżenie swych praw, utrzymując według przywileju Władysława Jagielly, że gdzie ona szkoły utrzymuje, tam inne nieakademickie zgromadzenie, szkół nowych otwierać, a istniejących już do rzędu akademij wnosić nie może.

Spór ten wylaczany na sejmiki, przed biskupa krakowskiego jako kanclerza akademii, przed Zygmunta IIIgo i sejm, w końcu przed samego papieża, zakończył się wyrokiem kardynałów i bullą Ojca św, które nie uznały akademii jezuickiej w Poznaniu, a prawa szkoły Jagiellońskiej potwierdziły.

Po takowém zwycięztwie nad Jezuitami, niedługo cieszyła się akademia, pokojem. Jezuici bowiem, mając sobie przez króla Stefana oddany kościół ś. Barbary w Krakowie 1583 r., i po ukończeniu wspaniałej budowy kościoła i kollegium św. Piotra, otworzyli w Krakowie swoje szkoły, na mocy układu z akademią przed 40tu laty zawartego (układ przez Broscyusza podstępny i podrobiony nazwany, a przez pana Ł. w obronę wzięty), i przywileju Zygmunta III, którym monarcha ten wystawionemu przez siebie kollegium św. Piotra uczyć młodzieży dozwolił. Akademia gwałtem chciała przymusić Jezuitów do zamknięcia szkół u św. Piotra. Sprawa ta, obszernie przez pana Ł. opisana, toczyła się na sejmikach, sej-

zwanych. a właściwie dyplomatami zwać się mających. Jak pierwsi byli ludźmi uczciwymi, uczonemi, którzy dobrodusznie wypełniali obowiązki powołania swego i rozkazy starszych: tak i drudzy mogli działać *bona fide*, w duchu rad zawartych pod napisem *Monita secreta Societatis Jesus*, już jako inicjowani do wyższych widoków hierarchii i panowania teokratycznego, w przekonaniu, że dla osiągnięcia dusznego dobra, wszelkich środków użyć jest wolno, według ich godła: *Ad majorem Dei gloriam*. Jakoż stosownie do ich reguły i nadzwyczajnych przywilejów papieżkich, tworzyli monarchię niepodległą na tonie państw całej kuli ziemskiej. — Najdobitniej objaśniają metę ostateczną tego towarzystwa (nie od Ignacego Lojoli, ale od Laineza wytkniętą), rządy Jezuitów w Paragwai i wojna ich z Hiszpanią i Portugalią, zakończona dopiero 1756 roku.

mach, i w sądach duchownych, zaszczipiając nienawiść między instytutami naukowymi i ich wychowawcami, odwodząc młodzież od nauk, a przyzwyczajając ją do burd i gwałtów, i zarażając cały naród złym przykładem, ukończyła się dopiero po śmierci Zygmunta III, za wdaniem się Władysława IV do stolicy apostolskiej, która Jezuitom szkoły ich w Krakowie zamknąć poleciła.

Pomijamy dalsze zatargi akademii z Jezuitami, z powodu ich po kilkakroć ponawianych zabiegów o otworenie akademii to w Poznaniu, to we Lwowie, równie jak wyliczenie szkół nowych, pozakładanych w różnych miastach tak przez Jezuitów, jak przez akademią krakowską; lecz pominąć nie możemy ogólniej o Jezuitach następnej uwagi (na kar. 125). „Pięknemi przymiotami imponowali Jezuita społeczeństwu, w której żyli i dążyli szybko do zamierzonego celu, to jest do panowania nad narodem. Tém winniejsi, że dla dogodzenia dumie całego towarzystwa, dla ogarnienia bogactw i osiągnięcia niczém nieograniczonego wpływu, zgłupili naród przez swoje szkoły, i tym sposobem wystawili go na łup nierządu, swawoli, a następnie na ostateczny upadek”.

Że w wychowaniu jezuickim starano się skępować wolę człowieka, stłumić w nim ducha samodzielności, występującej za granicę nauczanej wiary, i uczynić go prostém narzędziem woli, przemawiającej w imieniu skrzywionej religii, nie chcemy zaprzeczać. Ale, jeżeli według autora, szkoły i wychowanie jezuickie tak okropne pociągnęły za sobą skutki w Polsce, czemuż nie nastąpiły podobne w Niemczech i we Francyi, gdzie Jezuita mieli także swoje szkoły? Wszak Wolter, Helwecyusz i tylu innych byli uczniami szkół jezuickich, a przecież z jakimito ci autorowie występowali pismami w publiczności?.... Nie Jezuita więc zgłupili naród, i wystawili go na upadek, ale okoliczności (z powodu przedmowy), wyżej po części napomknione, do których przyłożyli się Jezuita także, ile im można było.

Jak każda nowość na świecie, tak i Pijarzy w r. 1642 sprowadzeni do Polski, znaleźli w narodzie wielu wielbicieli. Dopóki jednak Pijarzy zdawali się Jezuitom mniej niebezpiecznemi współzawodnikami, patrzali ci obojętnie na mnożenie się szkół tego zgromadzenia. Lecz skoro szkoły pijarskie zaczęły się bardzo widocznie napętniać, nawet uczniami dawniej jezuickimi, wnet Jezuita wziętość w narodzie Pijarów podkopywać poczęli, upowszechniając w potocznych rozmowach i pismach drukowanych, że szkoły pijarskie są niepotrzebne, gdyż w kraju znajduje się podostatkiem szkół jezuickich, że Pijarzy mniej są w wierze świętej gorliwi, a zatem są szkodliwemi. A następnie nie przestając na pokątnych

i publicznych sztydzeniach, poczęli toż samo robić, co dawniej przeciwko akademii krak. czynili, to jest, otwierać swoje szkoły tam, gdzie je Pijarzy oddawna mieli, aby takowe przytłumić. Ztąd nowe zgorzenia, nowe kłótnie i pieniactwa instytutów, nowe bijatyki między uczniami. Nienawiść ta pomiędzy uczniami szkół różnych dochowała się tradycyjonalnie, nawet długo po skasowaniu Jezuitów. Corocznie w Warszawie po skończonych egzaminach i odśpiewaniu *Te Deum laudamus*, zgromadzali się uczniowie szkół pijarskich i akademickich (jezuickimi zwanymi, że się mieścili w gmachu po Jezuitach) i staczali uliczną walkę. Podpisany nosi dotąd bliznę na czole, od kamienia z bójki tego rodzaju r. 1793 stoczonej.

Obszerne opisane są na kar. 178 i nast. zatargi i procesa Jezuitów z Pijarami w Piotrkowie, Wilnie i t. d. Następnie przedstawia autor organizację szkół akademickich i jezuickich, wykład w nich nauk, ksiąg do nauki używanych, zatrudnień naukowych pisanych przez uczniów, stan nauk w samej akademii krakowskiej, której powtarzane w ciągu XVII i XVIII wieku nazywanie *alma mater scientiarum*, okazuje się bardzo przesadzonem i wcale dla niej niewłaściwem; gdy się zważy, że ta, proponowanych przez jej kanclerza biskupa Tylickiego reform zba-wiennych, przyjąć nie chciała, że wydział lekarski tak dalece był zaniedbanym, iż po kilka a nawet i kilkanaście lat doktoryzacyi nie bywało (p. 200), że emulując z Jezuitami co do kanonizacyi św. Stanisława Kostki, akademia ogromne summy przez lat sto (od 1666 do 1767) marnowała na proces, a w końcu na sam obchód kanonizacyi swego niegdyś profesora Jana Kantego, zamiast pomnażania bibliotek użytecznymi dziełami, i gabinetów narzędziami potrzebnymi. Z obrazu tego okazuje się najja-wniej, że jeśli Jezuiti konsekwentni w całym swym postępowaniu, zaszkadzili wychowaniu publicznemu; to akademia krakowska i Pijarzy, nie znalazłszy w gronie swoim ludzi wyższych nad swój wiek, jako słabsi, emulowali z niemi, ale tylko co do przywar naukowych, jak tego dowodzą bractwa i sodalistwa akademii krakowskiej i pijarskie, przez p. Ł. opisane, tudzież nieprzeliczone akademików pisma panegirycznej treści, przy promowaniu na stopnie akademickie (cfr. p. 207) i przy lada podanej okoliczności drukiem ogłaszane, a niesmacznością swoją co do rzeczy i co do języka, zarażające czytelników. Że ludzie światlejsi czuli bardzo dobrze niestosowność edukacyi i instrukcyi dla przyszłych obywateli po szkołach jezuickich i w akademii krakowskiej, w których dewocye za główny uważano przedmiot, bardzo trafnie wystawił to Wielki Jan Zamojski w swoim testamencie, gdzie wychowanie syna swojego rozporządza, a pan Ł. wyrazy jego (na k. 439) przytacza.

Nie pojmuję, jakim sposobem na k. 256 pomieszczona uwaga: „Występków, które wówczas panowały w narodzie, jakoto: pijąństwa, najazdów, swawoli i t. d. nie obrzydzały Jezuici uczniom swoim; owszem, kazali im pisać panegiryki na cześć ludzi odznaczających się w tych występkach”. Nietylko to jest sprzeczność ze zdaniem autora o czystości obyczajów XX. Jezuitów (na k. 125), ale przeciwne zdrowemu rozsądkowi, aby nauczyciele pochwalali występki. Zdaje się, iż ta uwaga przypadkiem tu się zabłąkała, z jakiegoś pisma protestanckiego z XVIIIgo lub XIXgo wieku.

W opisanu szkół protestanckich różnych wyznań w Polsce, okazuje pan Ł. planami wykładu nauk, że te głównie wyznanie tylko swoje mając na celu, do prawdziwej oświaty nie wiele się przyłożyły, i że od współwyznawców, niektóre z nich przechwalone, wcale nie zasłużyły na szczególniejsze zalety, jakie im pisarze późniejsi, nieprzychylni katolicyzmowi, przyznawali; a szkoła w Rakowie, Atenami polskimi od Socynianów nazwana, według pana Ł. nie była lepsza od jezuickich, a szkodliwszą jeszcze przez swą dążność, gdy wpajali w swych uczniów, iż grzechem jest służyć krajowi orężem lub na urządzie. Gimnazya zaś w Toruniu, Elblągu i Gdańsku (zwłaszcza ostatnie), odznaczały się starannością o literaturę starożytną i nauki historyczne. Opisuje je pan Ł. obszernie co do przedmiotów wykładanych, planu lekcyj, karności i t. d.

Co do kobiet stanu szlacheckiego, lub mieszczan zamożnych, prócz wychowania domowego, klasztory żeńskie były jedynymi dla nich szkołami. A między temi odznaczyły się Wizytki i Sakramentki, zaprowadzone przez Maryą Ludwikę i Maryą Kazimirę, małżonki Władysława IV, i Jana IIIgo. Piérwsza zaś szkoła prywatna czyli pensjonat dla dziewcząt, zaprowadzony był w Warszawie, ale już w następnym okresie, roku 1750.

Następnie wymieniwszy pan Ł. dobroczyńców wychowania publicznego, wystawia okoliczności nie sprzyjające instytutom naukowym, podaje liczbę szkół i uczniów okresu IIIgo w różnych czasach, i przytacza ważniejsze pisma z tego okresu o wychowaniu młodzieży traktujące, na zakończenie obrazu opłakanego stanu wychowania i nauk leżących odłogiem, gdzie cały naród, według wyrazów autora, w czynach prywatnego i publicznego życia, podobny był do człowieka, którego zmysły trunkiem gorącym do pewnego stopnia są odurzone (1).

(1) Zdaje się, iż król Stanisław August uwieczniając pamiątkę Stanisława Karnarskiego za jego rozliczne i nieśmiertelne w narodzie zasługi, medalem na cześć jego wybitym, myśl o wczesnym odurzeniu narodu miał na uwadze, gdy położył napis bardzo treściwy: *Sapere auro* (który się odważył wystąpić ze zdrowym rozsądkiem).

W drugim tomie rozpoczyna się czwarty okres dziejów szkolnych, od reformy przez ks. Konarskiego w szkołach pijarskich zaprowadzonej, aż do utworzenia Kommissyi Edukacyjnej po zniesieniu Jezuitów.

Konarski przy bystrości rozumu i tęgości charakteru, po kilkoletnim pobycie we Włoszech, Francyi i Holandyi, zamyślał o przekształceniu szkół pijarskich. Lecz rozważywszy wszelkie okoliczności krajowe, postanowił naprzód założyć szkołę wzorową dla majątniejszej szlachty, na wzór *Collegium Nobilium Nazarenum* w Rzymie, gdzie przez dwa lata był professorem. Z wielkim interesem dowiaduje się tu czytelnik, jak trafnie postępował Konarski, naprzód przez usposobienie młodych Pijarów na nauczycieli w seminaryum rzeszowskiem, według nowego planu nauk; z jakimi trudnościami walczyć mu przychodziło i z kolegami, i z przełożonemi swego zgromadzenia, tudzież w zebraniu funduszków na zaprowadzenie takowej instytucyi w Warszawie, jako też wyjednanu u stolicy apostolskiej, przemiany ustaw zgromadzenia pijarskiego, zastosowawszy je do postępu nauk, ulepszonego w Europie, dawania ich sposobu, niemniej do formy rządu i potrzeb kraju. Wyznać jednak należy że do zalet osobistych Konarskiego, w przywiedzeniu do skutku jego chwalebnych zamiarów, przyłożyły się niepomalu jego stosunki rodzinne (z urodzenia był kasztelanem zawichostskim, brat jego starszy Michał był kasztelanem sandomierskim, Tarło biskup poznański wujem i t. d).

Wyliczywszy autor zasługi Konarskiego w narodzie, tak reformą szkół pijarskich, jak pismami swemi zdziałane (ustawa dla konwiktu jest w całości przytoczona), wykazuje następnie, że Jezuici w obawie, aby im się wychowanie młodzieży wyższych stanów z rąk nie wymknęło, zaczęli także zakładać konwikty szlacheckie przy bogatszych kolegiach swoich, zaopatrywać je w narzędzia fizyczne, matematyczne, w zbiory historyi naturalnej i wyborniejsze dzieła naukowe. W ich więc konwiktach szlacheckich uczono tego wszystkiego, co i w pijarskich: bo Jezuici mieli w ręku więcej środków ułatwiających udzielanie nauk i więcej ludzi prawdziwie uczonych. Zamiany atoli tej instrukcyi nie rozciągnęli Jezuici do swoich szkół pospolitych. Zostawiano je nietknięte w dawnym składzie, planie i trybie wykładania nauk. Nową metodę wychowania mieli oni tylko dla paniczów.

Kiedy Konarski zbawienne w szkołach swego zgromadzenia wprowadzał zmiany i na wychowanie w całym kraju dzielnie wpływał; akademii krakowska nie dopuszczając żadnej odmiany u siebie, oparła się reformie, jaką zamierzał uskutecznić w jej łonie biskup Stanisław Załuski jej kanclerz; niekzemniała przeto przy swojej stagnacyi. Natomiast postanowiła kończyć proces kanonizacyi błogosławionego Jana Kantego,

prowadzony od stu lat przeszło, i zakończony dopiero 1767 r. Między różnemi przyczynami takowej przewłoki była i ta, że ponieważ akademia pragnęła nie tylko kanonizacyi Jana Kantego, ale i wyniesienia go na dostojność doktora kościoła (jak św. Augustyn, Tomasz z Akwinu i inni), trzeba więc było złożyć dzieła jego teologiczne i komentarze pisma ś. Gdy rękopisma te posłano do Rzymu, kongregacya obrządków dostrzegłszy w nich propozycye uznawające wyższość soboru nad papieża (1) jako heretyckie, postanowiła zaraz nie tylko odmówienie Janowi Kantemu dostojności doktora kościoła, ale nadto wymazanie imienia jego z liczby błogosławionych. Kosztowna narada z prawnikami rzymskiemi podała sposób, aby akademia krakowska dowiodła, że pisma w kongregacyi złożone nie są Jana Kantego. Akademia idąc za powyższą radą, gdy po długich korowodach zadość jej uczyniła, kongregacya wydała wyrok, że błogosławiony Jan Kanty może być umieszczony w liczbie świętych; o doktorstwie zaś kościoła nie było już żadnej wzmianki. Uroczystość obchodowa w Krakowie rocznicy kanonizacyi, konfederacyą barską przerwana, dopiero 1775 r. z wielkim przepychem dopełnioną została, jak to opisuje p. Ł. według Putanowicza. Opis całego tego obchodu może niejednemu z czytelników zdawać się będzie w dziele niniejszém zadługi, a przeto mniej potrzebny; my jednak uważamy go za ważny i potrzebny, jako przedstawiający w bramach tryumfalnych, obrazach, emblematach, godłach i napisach, nie tylko ducha czasu, ale oraz brak smaku i całą napuszystą panegiryczną mądrość ówczesnych akademików (*ex ungue leonem*).

Tymczasem Jezuici wskrzesili na nowo pretensye do otworzenia swęj akademii we Lwowie. I dopiero po dziesięciu lécich walki piśmiennej, ohydzenia i czernideł wzajemnych i zgorszenia, zapadł w tęg sprawie w Rzymie wyrok, uchylający pozyskaną bullę erekcyi akademii jezuickięj we Lwowie, i nakazujący jęg zamknięcie.

Weselsze następują przedmioty, których opisanie zostawując czytelnikom, tytuły ich tylko przytaczamy: Założenie korpusu kadetów w Warszawie przez Stanisława Augusta. Organizacya tego instytutu. Urządzenie wewnętrzne. Wykład nauk w korpusie. Wady korpusu. Korpus kadetów księcia Karola Radziwiłła w Nieświeżu, i Potockiego w Niemirowie. Sołtyk biskup krakowski zaprowadza niektóre reformy w akademii krakowskięj. Rozkład w nięg nauk r. 1755. Reforma aka-

(1) Zdanie utrzymywane na soborze Konstancyeńskim 1414 roku, przez doktorów teologii akademii krakowskięj i paryzkięj, rzeczywiście wykonane, jak wiadomo z historyi.

demii Zamojskiej. Stan nauk po koloniach akademickich. Stan i rozkład nauk po szkołach pijarskich, i po kollegiach szlacheckich Jezuitów. Kollegia szlacheckie Teatynów. Szkoły bazylikańskie i ks. Komunistów. Seminarja duchowne, nowicyaty i studia zakonne. Pierwsze seminarjum uniackie. Szkołki elementarne gdzie były, wyliczenie. Szkołki protestanckie. Wychowanie kobiet. Wychowanie prywatne; podróże młodzieży. Palestra.—Bardzo krótko zbył autor ten paragraf, mówiąc: że „młodzież, nie mająca zamiaru poświęcić się stanowi duchownemu lub wojskowemu, udawała się do palestry po grodach i trybunałach, gdzie odbierała praktyczną i teoryczną naukę prawa krajowego i postępowania sądowego”. Z wyrazów autora: odbierania nauki praktycznej i *teorycznej*, mniej świadomy dziejów naszych wniesie, że palestra była rodzajem szkoły prawa; gdy tymczasem teoria prawa, właściwa *juris prudentia*, nie pielęgnowana wcale po szkołach, w samej akademii krakowskiej poślednie zajmowała miejsce. Przez palestrę zaś rozumiano w Polsce zgromadzenie ludzi prawnych (mécenasów, adwokatów) z ich dependentami, którzy w sprawach sądowych po trybunałach, ziemstwach i grodach od stron stawali. Palestrant więc był aplikant z różnym usposobieniem, przy adwokacie, od zwyczajnego kopisty, do dalszych zatrudnień w poznaniu procedury zwyczajną rutyną sposobiący się, aby z czasem przy protekcyi mógł zostać prawdziwym adwokatem. O teorycznym kształceniu palestrantów, t. j. aplikantów przy patronach, pospolicie drobnej szlachty, lub bogatszych mieszczan, nie było wcale mowy, bo całą kwalifikacją do urzędów administracyjnych i sądowych (wyjąwszy pisarzy zazwyczaj rutynistów), było szlacheckie urodzenie i fawor lub protekcyja. Ztąd poszło, iż przy niewykształconém u nas naukowo prawodawstwie sądowém, znajomość przebiegów i kruczków prawnych podsycala pieniactwo; a nazwisko adwokata po części było w ohydzie, tak dalece, że je za równoznaczące brano z krętaczem, mataczem (1). Ztąd poszło dalej, że tak uboga jest literatura nasza prawnicza, i prawie samych pisarzy niemieckich przedstawia. Jakże zaś było prowadzenie się palestry przy trybunale piotrkowskim i lubelskim, jako młodzieży bez wyższego ukształcenia, rozpasanej i rozhukaniej, obszernie to wystawił Kitowicz w swoich pamiętnikach.

W dalszych paragrafach tego okresu mówi p. Ł. o pierwszej szkole rzemieślniczej w Opolu, i nakoniec o dobroczyńcach wychowania młodzieży.

(1) Że wielu dawnych, z innych względów znakomitych Polaków, całą naukę prawa uważali za wcale niepotrzebną, a nawet szkodliwą, jako naukę prostego wykretarstwa, mamy dowód w klassycznej zresztą *Mowie Katona* przez *Kajetana Koźmiana*.

Okres piąty od ustanowienia Kommissyi Edukacyjnej do r. 1794, lubo najkrótszy co do czasu, bo tylko 21 lat zawierający, w wykładzie jest najobszerniejszy; gdyż od karty 166 ciągnie się aż do karty 492, czyli do końca tomu.

Przy schyłku poprzedniego okresu, za przykładem Konarskiego, zaprowadzono, według autora, w szkołach publicznych w Koronie i W. X. Litewskiem znaczne zmiany i ulepszenia w wykładzie nauk. Jednakże zmiany te po szkołach akademickich, jezuickich i bazylikańskich, były tylko cząstkowe, niejednostajne, nie rozciągające się do wszystkich szkół, każdego zgromadzenia, i do wszystkich przedmiotów, jakie w tych szkołach wykładano. Zależały bowiem zupełnie od położonego każdego instytutu, który je, w miarę swego usposobienia naukowego i zapatrywania się osobistego, w miarę interesu lub przepisów zgromadzenia, do którego należał, w obszerniejszym lub szczuplejszym zakresie w szkole swojej zaprowadzał.

Zupełna zmiana po szkołach naszych nastąpiła dopiero w okresie obecnym, a sposobność do całkowicie nowój organizacyi szkół, nastąpiło krajowi zniesienie zakonu jezuickiego 1773 roku.

Właśnie téż na ówczesnym opłakany sejmie pod laską Adama Łodzian Ponińskiego, uczyniony przez Joachima Chreptowicza podkanclerzego litewskiego wniosek ustanowienia Kommissyi Edukacyjnej, przyjęty i uchwalony sejmową w prawo zamieniony. Przytacza autor całe to ustanowienie Kommissyi, nad edukacyą młodzi narodowej szlacheckiej (1) dozór mającej, i opowiada działanie lustratorów, do zinwentaryzowania majątku po-jezuickiego wyznaczonych. Gdy ci zdali sprawę o opłakany stan dóbr jezuickich, jużto z powodu kilkoletnich zaburzeń krajowych, podczas konfederacyi barskiej, jużto że Jezuiti, przeczuwając zniesienie zakonu swego, zaniedbali je i tym sposobem wystawili na łup ludzi złych i chciwych, którzy z równą skwapliwością rzucili się na rozszarpanie wszelkich ruchomości; wyznaczył r. 1774 sejm, osoby do dwóch kommissyj, (jednej dla Korony, drugiej dla Litwy) rozdawniczemi nazwanych, które sprzedażą czyli oddaniem w wieczystą dzierżawę dóbr po-jezuickich zająć się miały. Kommissyje te, mówi p. Ł. (k. 200) pod sterem Ignacego Masalskiego biskupa wileńskiego, dopuściły się świętokradzką dłońią nie-

(1) W pierwotnej uchwale z r. 1773 użycie wyrazu *mlodzi szlacheckiej*, okazuje ducha czasu. W roku już następnym 1774 namysłano się przecie, i pisano już o edukacyi *mlodzi krajowej*. Jednakże w uchwale sejmowej z r. 1776, jeszcze znajdujemy wyrazy: o funduszu na utrzymanie edukacyi *mlodzi szlacheckiej* w państwach Rzplitej (Vol. Leg. VIII, 861).

zmiernych łupieztw i kradzieży. Dobra po-jezuickie rozdzieliły za bezcen pomiędzy siebie, lub członków swoich familij. Kapitały zaś po-jezuickie lokowały na dobrach zadłużonych, a często i takich, które się wartości summ pożyczonych nie równały, i dlatego poprzepadały znaczne summy z funduszków jezuickich. Aby zapobiedz temu nadal, rozwiązał sejm kommissyie rozdawnicze, ustanowił dwie kommissyie sądowe, a Kommissyi Edukacyjnój oddał nadzór, nietylko co do wychowania, ale i co do wszystkich funduszków po-jezuickich. Prócz pierwotnego ustanowienia Kommissyi Edukacyjnój i zakresu jój czynności, dołączył także autor w całości raport jój z r. 1781 o stanie funduszków po-jezuickich, w dobrach i kapitałach z grabieży uratowanych, wraz z tabellami; tudzież uchwałę sejmu grodzieńskiego z r. 1793, oznaczającą ściślej prawa, obowiązki i atrybucyie téjże magistratury. Przy staraniach Kommissyi o ocalenie funduszków edukacyjnych, zajmowała się ona zarazem organizacją i zakładaniem szkół nowych, ustanowieniem towarzystwa do ksiąg elementarnych.

Daléj opisuje autor zesłanie do Krakowa Kołłątaja, który reformował tamtejszą akademię. Potém reorganizacya akademii wileńskiej; zaprowadzenie seminaryów nauczycielskich. Z wyciągu z dzieła: *Ustawy dla stanu nauczycielskiego* i dla szkół wszelkich w krajach Rzeczypospolitej, rozciągającego się od k. 268 do 330, okazuje się jawnie wyborny duch i dążność Kommissyi Edukacyjnój. Potém następuje opis dalszych działań téj szanownej magistratury, i zdanie Klewitza radcy prezydującego w departamencie instrukcyi publicznej Prus południowych, który, jako urzędnik pruski, mimo uprzedzenia przeciwko wszystkiemu, co było polskiém, lecz jako człowiek uczony i zacny, wyrzekł między innymi pochwałami Kommissyi Edukacyjnój: „iż zastano przedziwno prawa rządu polskiego co do urządzenia szkół, tylko wykonania brakło!.. Aktórz nowy rząd nie chciałby się chętnie do szkół takich przychylić?” Autor zaś przytacza wprawdzie wady szkół Kommissyi Edukacyjnój i ich przyczyny (w czém się z nim zgadzamy, wyjąwszy greczyznę), w ogóle jednak daje o nich zdanie: „Młodzieniec kończąc szkoły Kommissyi Edukacyjnój, nie wynosił wprawdzie z nich wielkiego zasobu wiadomości, ale, co jest stokroć lepszym, wynosił zdrowy rozsądek, nie obładowany drobiazgowościami i pedanteryą; wynosił usposobienie należyte do kształcenia się daléj, w jakimkolwiek życia zawodzie.“ A dodaćby można: skoro szkoła przy należytych doborze przedmiotów i do nich nauczycieli, zaszczerpi w młodzieży zamiłowanie w nauce, resztę wykształcenia uzupełni obcowanie, ale obcowanie z ludźmi światłemi i zacnemi.

Pomówiwszy następnie autor o podrózach młodzieży za granicę na dalsze nauki, i o wychowaniu domowém, zwraca szczególniej uwagę na

troskliwość Kommissyi względem szkół elementarnych i parafialnych, i przytacza w tym względzie jéj wyborne przepisy co do organizacyi, tudzież obowiązki nauczyciela co do sposobu uczenia (od k. 355 do 421) w tych szkołach. Prawdziwie dziękować należy panu Ł., za przedrukowanie téj informacji (pióra Grzegorza Piramowicza), tak ważnej pod względem instrukcyi elementarnéj, tak pedagogicznie mądréj i oglédnej, że poczytaéby ją można za dziś napisaną, a nie przed 70 przeszło laty. Serdecznie przeto polecamy jéj odczytanie wszystkim nauczycielom prywatnym i publicznym. Treść dalszych rozdziałów jest następująca: Seminaria duchowne i uwagi nad niemi. Nowicyaty i studia zakonne. Wychowanie kobiet. Maryawitki. Szkodliwość pensyj żeńskich. Kommissya poddaje je pod dozór rektorów szkół. Wychowanie domowe kobiet, i ogólne w téj mierze uwagi. Duchowieństwo uniackie. Ks. Prymowicz ofiarując 200,000 złp. zamierzał założyć seminaryum duchowne w Żytomierzu. Biskup Ryłto zakłada seminaryum w Chełmie. Ustawa z roku 1764 o popowiczach (k. 443), od pana Ł. barbarzyńską nazwana, zbawienne wydała skutki. Przeszkody jakich Kommissya Edukacyjna w działaniach swoich doznawała. Liczba szkół różnych i w nich uczniów. Książki szkolne i uwagi nad Grammatyką Kopczyńskiego. Dobroczyńcy wychowania publicznego. Książki o wychowaniu młodzieży (których szereg bardzoby się dał rozszerzyć).

Z powyższego podania treści dzieła, co do głównych jego zarysów, jawną jest rzeczą, że jeśli ta *Historya Szkół w Polsce* nie jest jeszcze właściwą historią oświaty (cywilizacyi) ; w narodzie, to niezawodnie nader obfitym dla niéj materiałem, z którego przy wyższym poglądzie łatwo prawdziwe dzieje oświaty naszéj wyciągnąć się dadzą.

Obok imion i czynów z uwielbieniem wymienionych, wykrył autor i niepochlebne dla narodu naszego data, oznaczył piętnem niesławy imiona osób, którym mamona jedyném była bożyszczem; i słusznie to uczynił, skoro miał dowody w ręku. *Historya* bowiem jest nieubłaganym trybunałem, przed którym nie błyskotki, lecz sama prawda ma znaczenie.

Nie wątpimy przeto, iż dzieło pana Ł. licznych znajdzie czytelników; bo któregoż rodaka nie obchodzi tak ważna część dziejów krajowych, w takiéj całości dotąd nie przedstawiona? Wkrótce więc ujrzymy powtórne jego wydanie, przejrane i pomnożone. Bodaj życzenie nasze spełniło się jak najprędzój! może jeszcze przed wyjściem na widok publiczny trzeciego tomu, który ma obejmować dzieje każdego z osobna zakładu. Przy umieszczonym spisie rzeczy, radzibyśmy widzieli wymienienie stronicy do każdego paragrafu, dla łatwiejszego znalezienia przedmiotu.

Życiorysy znakomitych ludzi, wstawionych w różnych zawodach.
Tom Iszy. Warszawa, w 8co większej. 1850.

Znaném i powtarzaném jest powszechnie to zdanie starożytnego pisarza, iż „najciekawszym przedmiotem badania dla człowieka jest—człowiek.” Istotnie; gdy głównym i ostatecznym celem dociekań ludzkich jest właśnie sam człowiek, to jest jego znaczenie i przeznaczenie: główna żywotność badań jest w rozwadze jego istoty.

Historja, czyli dzieje ogólne krajów, nie przedstawiają nam wierne zawodu szczególnych ludzi; dzieje te kreślą tylko te czyny ich, które są bezpośrednio związane z biegiem ogólnym, więc tylko ich jednostronność. Żywot wszelki przeciwnie—to różnostronność. Żywot ten ma swe prawa szczególne, prawa walki ze światem, chwilą, własnym zawodem i t. p. Prawa te zdają się wprawdzie należeć oderwanie tylko do danej jednostki, lecz w gruncie nie są oderwaniem. Żywot dziejów, to łańcuch; wszelkie, i wagi większej, i wagi największej wypadki, to wpływ najmniejszych przyczyn, jednego mgnienia. Zbiór wyrobionych żywotów ludzi szczególnych, a zwłaszcza ludzi, którzy wpływ znakomitszy na dzieje wyrzucić za zadanie swe mieli, jest to rzetelny i nader żywotny materiał do badania układu rzeczy, machiny świata, do wyrabiania charakterystyki epok szczególnych, i słowem: do kształcenia téj, tak dalekiej jeszcze od ukształcenia, *Historji wewnętrznej*.

Jakoż, im bardziej nauka dziejów z prostego wyliczania faktów wznosi się do pojęcia wykładu przyczyn i skutków, im więcej kształci się, tém więcej zwracać się musi do wglądania i wyrabiania żywotów ludzi szczególnych. Same fakta dziejów literatury dawniej i nowiej, sprawdzeniem są tego. Plutarch w Grecyi, a w Rzymie Korneliusz Nepos zjawili się już po rocznikarzach i historykach swojego kraju. Taka jest kolej moralna w zawodzie krajów, taka w ludzkości. Mężniejąca rozważa jej w sferze naukowej uprawy dziejów, wydała nam dziś między innymi skutkami, i nieznaną dawnym zbiory żywotów ludzi, rozsianych po krajach i dziejach, czyli *Biografie powszechne*. Kraj, przodkujący w dociekaniach społecznych praktyką, kraj dzienników i memoarów, pierwszy też uznał potrzebę i zajął się wykonaniem téj czynności. Pierwszą tego rodzaju publikacją, jest publikacja już za dni naszych, pod napisem: „Biografia powszechna dawna i nowa” (*Biographie universelle ancienne et moderne*) *Michaud’a*, wydawana od r. 1811 do 1832 i obejmująca 72 tomy. Tamże ukazały się też następnie liczne inne w podobnym rodzaju, jak np. *Biographie des hommes vivants*, 1816; *Biographie uni-*

verselle et portative des contemporains, 5 tomów, 1830; *Galerie des contemporains illustres* i t. p. Na wzór Michaud'a wydawaną być zaczęła spółcześnie prawie: „Biografia powszechna” we Włoszech (*Biografia universale antica e moderna*), i objęła tomów 65; ukazały się też dalej biografie powszechnie, układane dla użytku porządkiem abecadłowym, czyli słowniki biografijne, jak np. ile wiemy, w Anglii: przez Watkinsa, *Universal biographical Dictionary*, 1825; we Włoszech: *Dizionario biographico-universale*; w Szwecyi: *Biographisk lexicon* i t. d. tomów 10, 1835 r. w Upsalu, i t. p.

W literaturze naszej od żywota Mikołaja Reja przez Trzecieckiego, mieliśmy nieraz kreślone biografie pojedyncze, ale wyłącznie pojedyncze, przy wydaniach pism szczególnych autorów. W ostatnich czasach niektórzy pisarze, jak *Bohomolec*, *Krasicki*, *ks. Bogusławski* i inni, spisywali i podali nam wprawdzie zbiorowe żywoty znakomitych mężów krajowych; żywoty te jednak nieliczne i jednostronne (tojest obejmujące prawie wyłącznie ludzi rzemiosła wojennego), są też tylko prawie jakby wyjątkiem z dziejów i kronik, tojest: obejmują te tylko o swych figurach fakta, o których już wspomniała *historja*. Biografie *Ossolińskiego* mają raczej za przedmiot poszukiwania o pismach danych autorów, jak o ich życiu.

W roku bieżącym p. *Kazimiérz Władysław Wojcieki* rozpoczął ogłoszenie rodzaju biografii powszechnej w języku naszym, pod napisem: *Życiorysy ludzi znakomitych, wstawionych w różnych zawodach*.

Publikacya ta ukazuje się poszytami (co dni kilkanaście), obejmującami po trzy życiorysy; mamy zaś już przed sobą tom pierwszy, złożony z 12stu poszytów, a zatém obejmujący życiorysów 36, oraz kilka poszytów tomu IIgo. Nie dołączamy tu szczegółowej krytyki artykułów, ani obszerniejszych uwag, które nastręczać musi przyniesiony przed czytelnika przedmiot tak bogaty; lecz dodajemy tu tylko bieżącą charakterystykę téj publikacyi.

Wydające się obecnie dwa tomy objąć mają, według zapowiedzenia autora, życiorysy samych literatów i artystów. W kolei ogłoszeń autor nie trzyma się ani chronologii, ani krajowości, ani rodzaju lub stopnia zasług opisywanych osób, ale za godło wziął: *rozmaitość*. W ogłoszeniach idą po sobie w przeplataniu: uczeni, poeci, artyści z różnych wieków, krajów, różnej wielkości zalet i t. p. Wyszukanie wszakże nazwisk żądanych, ułatwia dołączony do końca tomu spis ich abecadłowy.

Żywot opisywanych osób chciał autor przedłużyć i postawić przed czytelnika nietylko moralnie, ale też można rzec, i fizycznie; i przy każdym, prócz treści życia i zasług, dołączone są wizerunki autorów i podo-

bizny ich pisma. Życiorysy pisane są częścią ręką samego wydawcy, częścią innych autorów; wszystkie jednak mają swój spólny, zastosowany do celu publikacji charakter.

Własnością ogólną każdego życiorysu w *Zbiorze*, jest: iż podaje nam główne rysy zewnętrznego żywota danego autora, kilka szczegółów, malujących jego życie domowe, wyliczenie i charakterystykę dzieł (a charakterystyka ta, dodać winniśmy, jest tu zawsze na stopniu i stanowisku sądu nam spóczesnego); i wreszcie, o ile się to daje uskutecznić, i krótkie żywe przykłady zasług autora.

W ogłoszeniu dotychczasowém najbogaciej reprezentowaną znajdujemy *poezyą*. Z poetów włoskich, są tu: *Dante, Tass, Aryost*; z angielskich: *Szekspir, Moore, Bajron*; z francuzkich: *Beranger, Victor Hugo*; z niemieckich: *Bürger i Kerner*; z hiszpańskich: *Kalderon*; z rosyjskich: *Puszkין*; z czeskich: *Jan Kollar*; z krajowych mamy tu pierwszego poetę polskiego, *Mikołaja Reja*, i pierwszą poetkę *Zofią Olesnicką*; z wieku XVIIgo są: *Szymonowicz, Klonowicz, Drużbacka*; z epoki nam bliższej oraz spóczesnej: *Krusicki, Bohomolec, Trembecki, Książnin, Karpiński, Molski, Feliński, Brodziński, Bronikowski, Jaraczewska, Józef Ignacy Kruszewski i Józef Korzeniowski*. Z artystów umieszczeni są do-
tąd: *Vernet, Auber i Orłowski*; z pisarzy naukowych: pierwszy historyk krajowy, piszący w języku polskim, *Marcin Bielski, Władysław Alexander Łubieński*, dwaj *Bandtkowie, Siarczyński, Święcki, Józef Dunin Borkowski, Józef Jakubowski, Marcin Nikuta, Thiers, Guizot, i Józef Dobrowski*.

Uposażenie przez autora publikacji swój w żywoty poetów, głównie też treść jej w życie i zajęcie biografijne przybrało. Jest twierdzenie często powtarzane przez ludzi, iż „śmierć i żona od Boga przeznaczona”; nie żeby i inne szczegóły życia nie były od tegoż Boga, lecz że w szczegółach, dla zawodu człowieka bardziej stanowczych, jawniej są widne wyżej i nie od człowieka zależnej ręki zrządzenia. Podobnie też powtarzaném jest nieraz, iż poeci już poetami przychodzą na świat, *poetae nascuntur*, nie żeby i wojownicy, i matematycy nie przychodzili z gotową, tą a nie inną skłonnością, usposobieniem i misją, lecz że zawód poety, jako poety, z zadania swego więcej odbija od prozy, czyli potoczności zwykłego życia. Stosunki ludzi do chwili, konieczność wewnętrzna spełnienia tych, a nie innych zadań, sprzeczność między biegiem rzeczy czasowym i wiecznym, rzeczywistym i idealnym, najczęściej przypominają, najdobitniej nam przedstawiają szczegóły życia tych figur, razem z pismami ich, przez wiek uidealizowanych. Jakoż np. kiedy czytając te różnoczesne i różnokrajowe życiorysy, znajdujemy w nich: iż *Tasso* był pro-

fessorem geometrii, *Berenger* posługaczem w domu zajezdnyim, August *Bürger* professorem filozofii, *Feliński*, sędzią ziemskim i spekulantem na drzewo, *Auber*, kupcem; jak zawód *Brodzińskiego* wahał się w dzieciństwie między professją garncarską, a naukową; jak artysta *Orłowski* wodził małpy z kuglarzami, i t. p. Kiedy podobnie czytamy, jak np. ów *Torquato Tasso* (wnet i za życia jeszcze do uwieńczenia na Kapitolu powołany) przybywszy na dwór księcia Ferrary w dzień jego ślubu, nie był wpuszczonym do dworu dlatego, że było dzień ślubu księcia; lub kiedy w przytoczonym przez biografa wierszu Franciszka *Karpińskiego*, po powrocie z Warszawy (pod napisem: *Powrót na wieś*) czytamy te np. dwa wiersze:

„Nic się z moim lepszego nie zrobiło stanem,
Prócz marnego wspomnienia, że *gadałem z panem*”.

rysy te i przypomnienia sądów chwilowych, o których sąd potomny tak zwykle wyrokuje naodwrot, ile rozrywką, tak też źródłem nauki być muszą, tak w ocenieniu rzeczywistej przeszłości, jak obecności. Te życiorysy poetów są nadto i przez to żywsze, iż dopuszczają stawienie przed oczy i żywych ich talentu przykładów. Przykłady te w biografjach poetów krajowych dobierane są trafnie, w obcych podane w przekładach, z talentem dokonanych.

Życiorysy, pisane przez samego wydawcę *Zbioru*, odznaczone są mianowicie zebraniem i przechowaniem drobiazgowych szczegółów biografijnych, a takimi np. są artykuły: *Brodziński*, *Jerzy Samuel Bandtkie*, *Święcki*, *Kraszewski*, *Korzeniowski* i t. p., z którymi, albo z blizkiemi znajomemi których, łączyła oczywiście osobista znajomość autora. Podawanie tego rodzaju szczegółów, u nas jak wszędzie, o ile z jednej strony drażliwem być musi dla osobistości autorów, lub ich żyjącej rodziny, o tyle z drugiej ma zbyt więcej znaczącą korzyść dla długiego szeregu następców, porękę wierności. Szczegóły o społecznych z łatwością bowiem dopełniane, lub prostowane być mogą.

Życiorysy: *Józef Dunin Borkowski* i *Szymon Szymonowicz* są pióra *Augusta Bielowskiego*. Życiorys pierwszy zawiadamia nas o ciekawej treści, zajęciach się i pozostałych rękopismach młodo zmarłego autora, poświęconych społecznej literaturze greckiej; życiorys *Szymonowicza* donosi nam między innymi o niektórych nowych poezjach łacińskich i polskich tego poety, odkrytych przez autora w bibliotece Ossolińskich we Lwowie.

Życiorys: *Allighieri Dante* jest pióra świeżo zgasłego młodego pracownika *Wilhelma Radomickiego*; życiorys ten (źródłem natężnienia do którego był oczywiście *Wilmen*), lubo krótko, ale wiernie określa

piśmienny i historyczny stosunek *Dante*go do swego wieku. We wzmiance o istniejących przekładach na język polski wyjątków z *Boskiej komedyi* opuszczone tu próby przekładów *Sękowskiego* (późniejszego autora *Collectaneów*) w *Dzienniku wileńskim* z r. 1818.

Pan *Smokowski* w biografii *Alexandra Orłowskiego* dał nam kilka zajmujących szczegółów o tym artyście; lecz żałujemy, że nie odczytał swego wspomnienia: to ujęłoby parę po dwakroć powtarzanych szczegółów, a wyjaśniłoby parę niedokończonych lub sprzecznych. Albo bardzo mylimy się, albo od pewnej lekkiej wady, zarzucanej tu Orłowskiemu (tojest: zajmowania się zbyt osobistością z poświęceniem słuchaczy), i sam jego biograf niezupełnie jest wolny. Co do owych wyjaśnień: za co np. autor od początku do końca str. 165 łaje swego artystę, nie mówi nam. Na str. 171 mówi: „Nieraz słysząc się dało, że tylko ten, co sam z orężem w rękę walczył, może należycie bojowe obrazy malować; jestto sódzmat nieuków.... Orłowski przecież walczył i bił się.... i dlatego właśnie obrazki bojowe Orłowskiego są napiętnowane najwyższą poezją“; czytelnik nie mógłby tu powtórzyć terminu matematycznego: „a że nasze założenie zgadza się z dowodzeniem” i t. d. W ogólności niewszystkie życiorysy *Zbioru*, o którym mówimy, poświęcone są wznoszeniu sławy swych bohaterów: niektóre mają za cel, przeciwnie, zmniejszanie jej. Biograf *Kollara*, mówiąc o drugiej części najznakomitszego poematu tego autora: *Córa sławy* (Sławy Dcera), twierdzi: „iż trudno wyobrazić sobie płaskość tego utworu”. Biograf *Kalderonu* zaprzecza, iżby się autor ten kiedy wznosił do wysokości poezji dramatycznej, i twierdzi, iż jego gieniusz jest tylko utworem kaprysu Szległa; niektórzy autorowie owszem, zdają się tylko na to być wprowadzeni przed czytelnika, aby od początku do końca byli łajani, jak np. *Trembecki*, *Molski*; w tej liczbie znalazł się właśnie i *Orłowski*.

P. Juliana *Bartoszewicza* spotykamy dwie biografie: *Ignacy Krasicki* i *Władysław Alexander Łubieński*. W osobie p. *Bartoszewicza* przybył nam w tych ostatnich latach nowy autor do literatury. Autor ten za zadanie zwykle obiera, badanie strony wewnętrznej ubiegłych dziejów, tojest: rozwijanie obrazu ich przez obrabianie monografij. Obrabianie to dało już nam kilka zajmujących artykułów; ile zaś z pierwszych, a czynnych kroków wnieść możemy, autor ten ma raczej artystyczne, jak czysto-naukowe spełnić zadanie. Dowodem tego jest umiejętność przejmowania się z kilku zebranych faktów czasem ubiegłym, i stawiania naocześnie drobiazgowego obrazu przed czytelnikiem; dowodem są (ogłaszane gdzieindziej) artykuły tego autora, jak *Pani błękitnego pałacu* i t. p; dowodem jest umieszczony w obecnym zbiorze pod życiorysem *Alex. Puszkina* przekład przez autora z *talentem*, wyjątków z poematu

tegoż Puszkina: „*Godunow*” i t. p. Biografie *Krasickiego* i *Lubieńskiego* noszą także na sobie cechę umiejętnego wskrzeszenia w obrazie: wieku i tych okoliczności, wśród których żyli; drobiazgi upłynionego czasu, przypominane i zbliżane tu przez autora, nadają życie obrazowi. Ze względu na ramy ogólne, mielibyśmy nawet niekiedy do zarzucenia ich zbytek. W artykule np. o *Krasickim*, wolelibyśmy raczej mieć więcej charakterystyki prac tego poety, lub wyprowadzenia więcej szczegółów jego charakteru i życia z samych pism jego, jak czytać np. że na balu u pani Załuskiej, był pan Franciszek Szembek; lub kto niósł ogon księżnej Sanguszkowej, kiedy przystępowała do ślubu. Życzylibyśmy, aby redakcja *Zyciorysów* wcieliła do swego dalszego ciągu biografią biskupa *Naruszewicza* tegoż pióra, w innym piśmie umieszczoną niedawno; biografia ta, w połączeniu z umieszczonemi już zyciorysami *Kniaźnina*, *Karpińskiego*, *Krasickiego*, *Trembeckiego*, *Bohomolca*, *Molskiego* i t. p. dałaby już nam pełny prawie i wykończony obraz poezji i zawodu poetów z wieku Stanisława Augusta.

W zakresie, który miał być poświęconym wyłącznie literaturze i artystom, mniej spodziewanie spotkały nas zyciorysy i wizerunki *Krzysztofa Arciszewskiego* i *Franciszki Krasieńskiej*; tytuł sławy pierwszego nie jest z literatury, druga była artystką chyba w miłości. Czytelnik nie uczuje wszakże zapewne urazy za niespodziankę, zwłaszcza, iż artykuł *Krzysztof Arciszewski* (pióra p. F. M. Sobieszczańskiego), ma rzetelną wartość krytyczną.

W ogóle więc, to panorama dziejowe, artystyczno-biografijne, które nam dał pan *Wojcicki*, ile z jednej strony z zadania swego przynoszącym jest umysłowi i oczom rozrywkę moralną, o tyle z drugiej w swém wykonaniu jest rzetelną wagą, dla literatury naszej, przybytkiem.

Spółpracownictwo autora w tém piśmie nie może nam być przeszkodą do wyrażenia wdzięczności literackiej za przedsięwzięcie, i powiedzenie tego, czego każdy czytelnik jest świadkiem. Kto wie, ile trudu i zabiegów kosztuje zebranie szczegółów do jednego zyciorysu, wyznalezienie jednego wizerunku, ten tylko ocenić może całą zastęgę wydawcy.

P. *Wojcicki*, który nam pierwszy niegdyś dał *Zbiór pieśni ludu polskiego*, pierwszy zbiór jego *Klechd*, zbiór *Przysłowiów*, dziesięć tomów *Starodawnych Obrazów i Gawęd*, najpełniejszą *Historją literatury krajowej* i t. p. ma oczywiście jakąś szczególną odwagę i tajemnicę: i pomyślenia na rozległą skalę przedsięwzięć, i wykonywania ledwo nie piórwój, jak pomyślenia.

Kile słow wo Kaszebach e jich ziemi, przez Wójkasena. Tudzież rzecz o języku kaszubskim, ze zdania sprawy Prajsa. Cena złp. 1. Dochód przeznaczony dla ochron krakowskich. Kraków. Nakładem księ-garni i czcionarni pod Sową, 1850, w 16ce. Przd. 2, razem 36 str.

W roku 1848 za przykładem ojców frankfurckich poczęto w całej Europie krajać ludy na rozliczne narodowości, w skutek czego znaleźli się Niemcy i t. d. tam, gdzie ich rzeczywiście ani wówczas, ani przed wiekami nie było. Stary system wystąpił w nowój formie, i stał się godłem tych nowych etnograficzno-filologicznych podziałów. Zabytkiem owych w 1848 poczętych, a dziś już gasnących usiłowań, chociaż nie w celu politycznym, ale tylko lingwistycznym jest książeczka, której tytuł przytoczyliśmy z góry. Poczciwy sobie Kaszub p. Wójkasen nie zna piśmiennego języka polskiego, ale pisze tak, jak się inowić nauczył. Oto np. (str. 6): „Powjastki Greków e Rzimianów, jakbe na zemji nasi njegdesz mjele Mjemce mjeszkać, pomijają, bo ju dose vjele pjsorzi Mjemjeckich je za decht niegvesne wuznale. Tak povjodo Seel zaros na początku swóje historiji xęstwa Pomorskjeho” i t. d. Każdy co przeczyta choćby tylko próbkę, którą tu przytoczyłem, przyzna, iż nasz wieśniak niedouczony grammatyki, nieinaczej napisze, a zatém nie poczyna narzecza kaszubskiego za język jaki osobny, ale wprost za prowincjonalizm, za odmianę, która innój dla siebie literatury tworzyć nie może i nie powinna. Szanowny jednak wydawca pan Lesław Łukaszewicz mówi na wstępie: „Wójkasena pismo jest piérwszym owocem pióra kaszubskiego, które na świat wyszło. Pociecha i korzyść, gdyż każdy będzie mógł przekonać się *własnymi oczyma*, co to za język i do której rodziny należy”. Co do nas, słysząc czytane to pismo nawet *własnymi uszama*, nie możemy razem z wydawcą podawać w wątpliwość, do której rodziny narzecze kaszubskie należy, bo je nawet za język nie uznajemy, ale tylko prowincjonalizmem mianujemy. Tém bardziej, iż sam p. Prajs 1840 r. (str. 33) słusznie twierdzi, iż najważniejszą różnicą języka kaszubskiego od polskiego jest przemiana głoski *a* na *o*; taż sama przemiana dzieje się w wymowie chłopów naszych, a przecież oni nie po kaszubsku mówią. Za słowniczek idyotyzmów kaszubskich dziękujemy p. Prajsowi, bo słowniczki podobne zebrane ze wszystkich prowincjonalizmów mowy naszój, pokazałyby nam dowodnie, co z pięknej naszój Zygmuntofskiej mowy z pisma wypadło, a u ludu się przechowało; okazałyby nam wreszcie, jak lud lepiej nieraz od nas nazywa przybyłe do wiedzy ogólnej przedmioty.

ROZMAITOŚCI.

WSPOMINKI Z ŻYCIA WOJSKOWEGO W AFRYCE.

Sceny z życia wojskowego w Afryce.

(Ciąg dalszy).

III.

Kraj znany pod imieniem Ouar Senis, rozciąga się między doliną Szelif od północy i małą pustynią od południa, w długości 15 mil francuzkich. Jestto rozległe zebranie wzgórz, parowów, przepaści i skał, między którymi góruje wysoki opoczysty szczyt góry, która zdaje się być matką okolnych pagórków; wierzchołek jej prawie jest niedostępny. Obok wznosi się skała, porwana i stroma, a wązka i wysoka w kształcie wieży kościelnej.

Można sobie wyobrazić trudność przebycia tej krainy nastroszonej przepaściami i skałami, której drogi są ścieżkami, po których ledwie jeden człowiek przechodzić się może. Ludność miejscowa składa się z Kabylów, ludu dzikiego i wojowniczego, wyprowadzającego swoje pochodzenie z *tej starej krwi* barberyjskiej, w której ciągle przechowuje się duch zuchwałego oporu przeciw każdej istniejącej władzy. Beni-Ejndel, Beni-bu Duan, Beni-Balia, Beni-bu-Alah i t. d. sąto pokolenia republikańskie, ulegające tylko *dżeman*, to jest radzie wybranej przez siebie: niepodległe, ciągle kłócące się między sobą, jednak łączące się przeciw spólnemu nieprzyjacielowi. Już kilkakrotnie te pokolenia walczyły z naszymi żołnierzami: pierwszy raz przy Ued-Fuelha, później w 1842 r. w listopadzie; wprawdzie uległy nam wtedy, lecz ta podległość niedługo trwała, i za ukazaniem się Abd-el-Kadera w styczniu 1843 r. wzięli się do broni

Sidi Embarek znajdował się ze swą regularną jazdą w Uar-Senis i starał się podniecać umysły do boju.

Trzy kolumny wojska miały działać w tym kraju pod zwierzchniém dowództwem generała Changarnier; każda miała swe osobne polecenia, lecz wszystkie miały się złączyć w Medina-des-Beni-Duan, we wsi a raczej mieście kabylskiem, położoném w środku kraju. Co się nas dotyczy, szliśmy w kierunku *katedry*: tak nazywali żołnierze wspomnioną powyżej spiczastą skałę. Generał Changarnier dowodził osobiście oddziałem.

10 maja przy pięknej pogodzie, weseli i rzeźwi opuściliśmy Milianah i pomaszerowaliśmy wąską ścieżką, wiodącą ku dolinie *Szeliff*. 150 jazdy towarzyszyło nam; mieliśmy bowiem nazajutrz napaść na pewną wieś arabską, w której, jak donoszono, krył się z rodziną swoją *Barkani*, naczelnik potężnego pokolenia *Beni-Menacers*. Wszedłszy na dolinę ścisnęliśmy się w kolumnę, i jako w kraju przyjacielskim, odbywaliśmy pochód bez ścisłego porządku, chociaż bronie nasze były nabite. Na czele postępował generał, za nim jazda, dalej piechota poprzedzona przez kompanię saperów i inżynierów, i muły obciążone jej narzędziami; ta kompania miała rozkaz maszerowania zwykłym krokiem, bez zwracania uwagi na jazdę i generała. Na samym końcu szła artylerya ze swemi małemi armatami, ciągnionemi przez konie góralskie, ambulans, konie pociągowe, muły i osły z jukami, wreszcie mocny oddział piechoty, zamykający pochód.

Od czasu do czasu przebiegali służbowi oficerowie doglądając porządku, i co godzina szef sztabu dawał znak wypoczynku. Ten wypoczynek trwa dziesięć minut, wtedy, gdy piechota musi dźwigać z sobą tygodniową żywność; na pół drogi marszu wytchnienie trwa półtorą godziną, i wtedy żołnierze mają pozwolenie posiłku, który składa się zwykle z kawy, a raczej z zupy kawowej, pomieszanéj z sucharami, którą podają w stosownych rondelkach. Taki jest zwykły porządek marszu w Afryce.

Szliśmy tedy doliną *Szeliff*, przez bujne pola, kurząc fajki, śpiewając, rozmawiając i śmiejąc się, lub też milcząc, stosownie w jakim kto był humorze; rzadko przecież znalazł się kto smutnym. Mówiliśmy zaś o wszystkiém co przyszło na myśl: o awanturach naszych wojennych i miłosnych, o naszych dowódcach, i wreszcie o koniach. Co do tych, przyznaliśmy, że dotąd historia mało oddaje sprawiedliwości tym milczącym bohaterom, które jednak i niejednokrotnie czynią sławnemi swych jeźdźców. Pan Carayon-Latour zanucił wtedy piosnkę dotyczącą ulubionego konia generała Changarnier: istotnie, podjeździek generała słynny z swego bohaterskiego zgonu na polu walki, do najświetniejszych w swém pokoleniu należy, i słusznie został uwieczniony rymami. Oto są:

Biedny Max poległ (*)
 Mironton, mironton, mirontalne,
 Biedny Max poległ,
 Polegli i nie pochowany.

Przybył on z Niemiec,
 Mironton, mironton, mirontalne,
 Przybył on z Niemiec,
 Aby pójść do Algieru.

Uczył się sławnym,
 Mironton, mironton, mirontalne,

Uczył się sławnym
 Kontem generała.

Mnóstwo ran otrzymał,
 Mironton, mironton, mirontalne,
 Mnóstwo ran otrzymał,
 I generał także.

W końcu biedne zwierzę,
 Mironton, mironton, mirontalne,
 W końcu biedne zwierzę,
 Oddało pod nim ducha.

Lecz dość na tych strofkach; opuszczam kilkadziesiąt innych: dają one próbkę militarnéj poezji żołnierzy walczących w Afryce.

Po kilku odpoczynkach, kolumna doszła wreszcie do kamiennego mostu, wybudowanego na rzece Szelif przez Omara baszę; tu mieliśmy biwakować. W kilka chwil, miasto namiotów stanęło gotowém. Generał zanim zsiadł z konia, wydał rozkaz adjutantowi, w jakim porządku mają stanąć bataliony. Stosownie do zalecenia generała, jak tylko która kompania stanęła na przeznaczoném dla siebie miejscu, składała broń w kozły i zrzucała léderwerki; żołnierze zaś rozbiegali się, każdy w swą stronę: ten za drzewem, drugi za wodą, inny rozpałał ogień lub urządzał namioty. Dobrze jeść i dobrze spać są dwie główne rzeczy dla żołnierza; z armią dobre żywioną i wypoczętą, wszystko można przedsięwziąć. Największy z filozofów, Sancho Pansa, powiedział wszakże: „Człowiek nie robi swego żołądka, lecz żołądek robi człowieka”; tego zdania był i generał Changarnier, dlatego usilném jego staraniem było, aby oszczędzać żołnierzom fatygi; nie pozwalał więc im opuszczać biwaków, bez zjedzenia zupy.

W nocy zostaliśmy nagle obudzeni; znajdowaliśmy się wprawdzie w przyjacielskim kraju, lecz przyjaciele nasi byli doskonali złodzieje: dwa konie zostały skradzione. Według zwyczaju w podobnym razie, Arabycy całkiem nago, wysmarowani grubo tłustością, wsuwają się jak węże do obozu i upatrzwszy konie, obcinają im wędzidła, skaczą na grzbiet i uciekają cwałem, schyleni i zgarbieni, aby im kule mniej mogły szkodzić. W ten sposób, jak rzekłem, udało się dwom dzisiejszym złodziejom, lecz trzeci mniej był szczęśliwym. Żołnierz stojący na warcie spostrzegł na prawo, niedaleko od siebie krzak palmowy; gdy się jednak zwrócił i zwykłą odbył przechadzkę, ten krzak przeszedł na lewo. Naturalnie, że po-

(*) Wspomniony koń miał nazwisko Max; był sprowadzony z Niemiec, i znany był od wszystkich żołnierzy. Generał dosiadł go w bitwie pod Muzaja (1841 r.), w której został raniony.

dobny spacer rośliny zadziwił żołnierza; milcząc chciał wiedzieć na czém się to skończy, przecież miał się na ostrożności i broń nabił. Krzak tymczasem powoli wprawdzie, lecz coraz się przybliżał, nagle podniósł się na nogi, i oto Kabył rzuca się z sztylblem w rękę na żołnierza; lecz ten nie czekał napaści, i bagnet w jego piersi utopił. Cios był śmiertelny i żywy palmowy krzak nie podniósł się więcej.

Te były małe nocne zdarzenia. O świcie muzyka 58 pułku piechoty zagrała pobudkę: wszyscy przetarli oczy i pokrzepiwszy się wódką, uformowali się w szeregi i poszli w pochód jak wczoraj doliną *Szeliff*. Wieczorem zatrzymano się w Ued-Ruina, a w nocy rozkaz był dany jeździe, aby się miała na pogotowiu; o drugiej zrana wymaszerowała w milczeniu, w towarzystwie dwóch batalionów piechoty, bez pakunków. Obadwa oddziały miały swoich przewodników, i z generałem na czele. pomaszerowaliśmy, aby napaść na Berkanisów. Równie ze dniem ujrzeliśmy się na małej równinie między dwoma pagórkami; u naszych stóp była przepaść głęboka i skalista, za którą wznosiły się chaty kabylskie, otoczone drzewami palmowemi i kasztanami o szerokich liściach. Wystrzały karabinowe rozlegające się od wsi, prędko nas przekonały, że wyprawa została chybioną: wszyscy znakomitsi mieszkańcy wsi uciekli.

Generał dał rozkaz jeździe zejścia z koni; szasery odstrzelili się z Kabylami, oczekując na przybycie piechoty. P. Carayon-Latour i jeden z moich towarzyszy mieli karabiny niosące nadzwyczajnie daleko: nabito je, i zakładano się o cel, jakby rzecz szła o uбиcie gołębi; lecz w tym razie gołębiami byli Kabyle, którzy ze swojej strony potrafilo także dobrze używać broni, i niejedna kula zerwała korę z drzewa, za którym byliśmy ukryci.

To powiększało naszą radość i śmiechy, zwłaszcza, że nasze strzały były pewniejsze. Wtém nadeszli strzelcy orleańscy, ich zręczność przewyższała naszą; skoro też wystrzelili kilka razy, cała horda Kabyłów usunęła się do wsi.

Wieczorem wróciliśmy do biwaków, a nazajutrz jazda odeszła do Milianab; my zaś weszliśmy na dolinę *Ued-Ruina*. Zła droga zaczęła się teraz; jeden za drugim, ludzie i konie postępować musieli wąską ścieżką, ciągle pnącą się w górę między krzakami jodły i świerku; piechota szczególniej cierpiała, gdyż musiała strzedz bagażów i amunicji, a niejednokrotnie dopomagać do ich przeprowadzenia przez głębokie przepaści, wzgórza i wąwozy: fatyga to niezmierna, lecz konieczna w wojennym pochodzie.

Przez dwa dni chociaż znajdowaliśmy się w kraju nieprzyjacielskim nieprzyjaciół jednak nie napotkaliśmy. Wszędzie w okrag nas była cisza

pustyni, gdy oto, na skrajnie skały górującej nad wąską ścieżką, ujrzeliśmy 500 do 600 Arabów, wydających przerażające wykrzyki. Nakazano wstrzymanie się; generał zebrał strzelców orleańskich i na ich czele rzucił się naprzód, aby drogę oczyścić. Przechodząc od drzewa do drzewa, ze skały na skałę, dzielni żołnierze dostali się do Arabów i zaatakowali ich bagnietami. Mnóstwo nieprzyjaciół poległo, inni uciekli; my wróciliśmy z trzodą baranów znaną w lesie: kilku z nas wprawdzie zginęło, kilku zostało rannych, lecz od czegoż wojna?

W czasie naszej walki, konwój przebywszy wąwóz wstrzymał się przy mieście Beni-Dubuar. Domy tego miasta wybudowane z drzewa, bardzo były podobne do chat wieśniaków pikardzkich; są mocne i deszcz im nie szkodzi, a jednak nasi żołnierze umieli je niszczyć: wysuszone drzewo budynków przez dwa dni służyło im za paliwo. Kilka chat na ten cel zużyto, i niezawodnie całe miasteczko spłonęłoby z czasem, gdyby na szczęście dla niego, pułkownik Picouleau nie nadszedł z swoim oddziałem, co było hasłem wynarszu.

Co się tyczy kolumny pułkownika, droga którą szła, dłuższa, przykreszysza była od naszej; nadto, nieprzyjaciół silny stawiał opór: znalazło się tedy wielu rannych, których generał dla ułatwienia dalszego pochodu odesłał do Milianah. Szczególny wypadek zdarzył się przy tym odmarszu. P. Laurient oficer strzelców orleańskich, amputowany poprzedniego dnia, był umieszczony w lektyce i zawieszony na koniu; z drugiej strony, dla zrównoważenia ciężaru, w podobny sposób przytwierdzono żołnierza dotkniętego gwałtowną zgniałą febrą, i już prawie konającego. Na drodze koń się potknął i upadł w przepaść; poskoczono za niemi, wszyscy byli pewni że nieszczęśliwi zginęli; jakież jednak było nasze zdziwienie, gdy żelazo lektyki zasłoniło od stłuczenia p. Laurient, a upadek tyle wstrząsnął żołnierza, że febrę stracił. Po odmaszerowaniu rannych, z 2,800 ludźmi udaliśmy się w góry na prawo, gdzie według wiadomości przyniesionej od szpiegów, schronili się Kabylowie.

Podczas tego marszu nie mogliśmy się nadziwić wytrzymałości naszych żołnierzy od piechoty, którzy byli tak obciążeni, że sami śmiejąc się dawali sobie nazwisko objuczonych wielbłądów; pomimo tego maszerowali wesoło, nie zważając na okropny skwar słońca, trudność drogi i utrapienia rozlicznego rodzaju. Lada co mogło ich zabawić i rozśmieszyć; tak np. pewnego dnia przy biwakowaniu, gdy już broń była złożoną i każdy miał się zająć przeznaczoną sobie pracą, powstaje przerażający hałas; rozbiegano się na prawo i na lewo, hałasowano, krzyczano, sam generał wyszedł przed namiot. Zgadnijcież jaki temu był powód? Zajac, biedny zajac został wypędzony z legowiska, i nie mając nic lepszego

go do roboty, począł uciekać: otóż żołnierze na wyścigi rzucili się za tą żyjącą potrawą; ten mu drogę zabiega, inny rzuca kijem, wreszcie jakiś wołyżer zręczniejszy i szybszy, zarzucił na zwierzę swoje kapotę. Zając tedy kabyłski dostał się w ręce, a wkrótce i w żołądek francuzkiego żołnierza.

W biwaku to można w całym świetle poznać przemysł naszych żołnierzy. Wstrzymawszy się przed którymbądź z namiotów, spostrzeżesz, jak sierżantowi znoszą raki, żółwie, wodne węże i różne gatunki gadów i ryb, na które nie ma nazwiska, lecz które mogą stanowić wyborny posiłek. Zbierają także krew z wołu, która trzykrotnie przegotowana w rondelku, i tyleż razy ostudzona, tworzy gatunek czarnego sera; ten rozarty na sucharze daje pożywienie, wprawdzie niebardzo wykwintne, ale posilne i przyjemne dla wygłodzonych żołdaków.

Ze jednakże woły i barany kabyłskie lepiej smakują, nasi żołnierze z niecierpliwością oczekiwali na zejście się z niemi; że to nastąpi wkrótce, mieliśmy nadzieję, wszędzie bowiem na drodze ślady pędzonych trzód były widoczne. Szpiegi arabscy jednomyślnie zawiadamiali o pobycie Kabyłów przy samej górze Uar-Senis, że zaś nie oszukiwali nas, przekonaliśmy się wkrótce, gdyż w chwili po przebyciu Ued-Fodda, wszedłszy w głęboki parów dojrzeliliśmy kilku jeźdźców, a wyszedłszy na dolinę, dojrzeliliśmy i nieprzyjaciela zebranego w massie.

Oto jaki był obraz miejsca: przybyliśmy od strony wschodu, przed nami rozciągała się obszerna równina, pokryta drzewami, winnicami, ogrodami i domami; na zachód tworzyła ona rodzaj wzgórza, mającego formę głowy cukru, oddzielonego od głównej góry wąwozem, służącym za drogę od południa; głęboką przepaścią płynął wartki strumień. Ściany głównej góry były spadziste i skaliste; gdzie zaś pochyłość mniejsza, zarosłe jedliną. Szczyt góry, bardzo stroma skała, wznosił się na 600 stóp przynajmniej nad innymi pagórkami; zresztą bardzo piękna byłato dolina, istotna oaza wśród kamienistej i wzgórzystej okolicy.

Przybywszy, widzieliśmy mnóstwo jeźdźców Sidi-Embarka, kierujących się w stronę południową; wielu zaś Kabyłów uciekało w zarośla góry, z której szczytu dochodził naszych uszu szum broni, szum jaki wydaje mnóstwo ludzi razem zebranych i wreszcie groźne wykrzyki. Od czasu do czasu ukazał się jaki góral, i rzecz dziwna, jego postać wyraźnie odbijała się na błękitnie niebios, właśnie jak cień jakowego przedmiotu na murze, gdy go słońce oświeci. Dwudziestu pięciu ludzi jazdy, jedyna nasza kawalerya tego dnia, zwróciło się ku stronie wąwozu, a strzelcy orleańscy tworzący przednią straż, pospieszyli za niemi w pomoc; dwie kompanie piechoty spędzały bagnetem nieprzyjaciela z pochyłości góry, a re-

szta wojska osadziła się w ogrodach dla biwakowania. Wkrótce atak został urządzony: podpułkownik Forej z 58 pułku liniowego, z 6 batalionem strzelców i kilkoma kompaniami swego pułku, miał przypuścić szturm na górę, w kierunku wschodnim; a pułkownik Illens szedł na nią ścieszką, w rozpadlinie skały znajdującej się. Właśnie była pierwsza z południa: przy pogodnym słońcu błyszczały bagnety, cała góra wspaniale oświetloną była: żołnierze uradowani nadzieją blizkiej walki, postępowali obojętnie, nie zważając na groźne wykrzyki i strzały nieprzyjaciół. Generał zatrzymał się w ogrodach, gotów w każdej chwili wsiąść na konia; wydawał rozkazy z stanowczością i jasnością sobie właściwą. Byliśmy przy nim, gdy nagle rozległy się wystrzały stanowczego boju, i zabrzmiały bębny naszych oddziałów, dające znak do ataku: ta muzyka wlewa w duszę niezwykły zapach i siłę. W tej chwili generał ostatnie swoje polecenia wydał pułkownikowi Illens, i w kilka sekund później kompania strzelców znajdująca się w zaroślach, toczyła walkę z Kabyłami i złączyła się z swym batalionem.

Wystrzały ze strony wschodniej stawały się coraz żywszemi, bęben brzmiał ciągle, i generał już miał się tam udać, gdy przyprowadzono negra z oddziału regularnej jazdy Sidi-Embarek; ten nam dał wiadomość o zdobyciu smali emira, przez księcia Aumale. Tak tedy przed dwiema godzinami Sidi-Embarek musiał się dowiedzieć o stracie całego swojego majątku i rodziny. Negr nie mógł nam dać obszerniejszych wyjaśnień, lecz z tego co opowiadał, przekonani byliśmy o prawdzie wypadku, a wiadomość ta rozniesiona po całym naszym wojsku, natchnęła go nową odwagą, pobudziła do emulacji ze zwycięzkimi towarzyszami.

Udaliśmy się ku stronie wschodniej góry. Przybywszy do stóp skały, podpułkownik Forej dał rozkaz swemu batalionowi do ataku: „Dzieci! wykrzyknął im, idźcie śmiało, pamiętając, że jesteście zwani powszechnie dzielnymi orleańskimi strzelcami”. Bęben zabrzmiał, i cały oddział nie zważając na skały, ciernie i nierówności drogi, przebywając z zręcznością wszystkie zawady, poskoczył naprzód. Kabyłowie przyjęli nas strzałami karabinów i miotali ze szczytu góry kamienie i odłamki skał; pomimo tego, żołnierze wdarli się więcej niż na połowę góry, lecz dalej nie można było postąpić, bo spadzistość skały nie dozwalała. Ukrywszy się więc między rozpadlinami dawali ognia do Kabyłów, gdy się tylko który pokazał; jednak od czasu do czasu, niejedyn z odważniejszych próbował, czy się nie uda wdrzeć dalej. Był to szczególniejszy widok, scena z średnich wieków, przypominająca szturm do tych starożytnych zamków, wybudowanych nad przepaściami.

Za śwém przybyciem generał dał znak do odwrotu; nie chciał na próżno marnotrawić krwi dzielnych żołnierzy, i dał polecenie batalionowi wzmocnionemu przybyciem innego oddziału, aby strzegł wszystkich przejść, biwakując po téj stronie skały. Jeden z jeńców kabylskich wskazywał wprawdzie dwie ścieżki, któremi jego współziomkowie dostali się na szczyt góry, lecz te ścieżki tak były strome i przykre, że nie sposób było pójść niemi, a Kabylowie tylko za pomocą lin mogli bydło i sprzęty wciągać; dodał nadto, że mieszkańcom braknęło wody. Oparci na téj wiadomości, byliśmy pewni swojego, i urządziliśmy blokadę góry, ufając, że nieprzyjaciele w ciągu dni trzech poddać się muszą.

Pułk 58, który z innéj strony poszedł do szturm, był z początku szczęśliwszy: przez chwilę żołnierze mniemali, że wedrą się na szczyt góry, ich radość była zatém wielka: sądzili, że już mają w ręku Kabyłów, że ich strącą w przepaść; lecz zatrzymani przez głęboką przepaść, musieli się ograniczyć na strzeżeniu przechodów. Ich strata była wprawdzie niewielką, lecz pułkownik Illens został zabity; gdy pierwszy szedł do ataku, kula go przeszła na wylot. Zwłoki walecznego odniesiono do obozu.

Kolumna rozdzieliła się tedy na dwa oddziały: jeden strzegł pochyłości północnej, drugi południowej i wschodniej; rezerwa i konwoje zostały w ogrodach, gdzie drzewa granatu, łącząc swoje purpurowe kwiecie z łądogami wina, dawały chłód i przyjemne schronienie. Wieczorem, ognie biwaków rozpostarte na pochyłości góry i ogromny pożar na szczycie skały, zapewne jako znak niebezpieczeństwa rozniecony przez Kabyłów, przedstawiały czarujący widok. Spoczywając przy ognisku nałożoném z drzew oliwnych, zajmowaliśmy się wesołą pogadanką, oczekując, rychło sen nie sklei powiek, gdy nagle p. Carayon-Latour, jeden z najlepszych trębaczy francuzkich, zagrał myśliwską piosnkę. W milczeniu słuchaliśmy, jak ją echo roznosiło i stokrotnie powtarzało wśród niezliczonych skał, aż wreszcie trzeba było spoczynkiem przygotować się do trudów, jakie nazajutrz nas oczekiwały. 19 t. m. blokada trwała ciągle, każdy czuwał na swoim miejscu; w nocy dopełniliśmy świętej powinności: pułkownik Illens został pochowany w jednym z domów arabskich. Gdy głęboki grób wypełniony był ziemią, podpalono dom, ażeby zwłoki ukryć przed profanacją Arabów. Dowiedzieliśmy się później, że nasz pomysł szczęśliwie się udał.

Tymczasem brak wody dotkliwie dawał się czuć na górze: żaloszny ryk bydłał przekonywał nas o tém, i istotnie 28 koło południa, naczelnicy kabyłscy przybyli z prośbą o „aman” i oddali się w ręce generała. Właśnie gdy parlamentarze znajdowali się w naszym obozie, bydło nie mogąc dłużej znieść pragnienia, rzuciło się z góry, i jak potok, którego nie nie

może wstrzymać, pobiegło jak szalone do rzeki; za niem udała się cała ludność. Byłto krzyk, wrzawa, kurz nie do opisania; woły, krowy, barany, kozy, mieszały się z kobietami i dziećmi, potraçały się i rozbijały, aby czémprędzej dopaść ożywczej wody; dzieci rzucały się nawet do żołnierzy, wrywały im flaszki napelnione napojem, noszone u pasa i chciwie piły. Żołnierze zawsze litościwi, śmiejąc się nie odmawiali pomocy. Co się tyczy mężczyzn, ci z miną ponurą, z dumnym spojrzeniem znosili pragnienie w milczeniu, i poddając się jeszcze nam grozili; lecz ich pogróżki mało miały wpływu na umysł żołnierzy, szło im jedynie o zdobycie bydła. Wieczorem tedy ogólna uroczystość miała miejsce w obozie, święcono zwycięstwo uctami, na których éwiartki baraniny, mózg i łby głównemi były potrawami.

Po rozbrojeniu pokoleń i zatrzymaniu ich naczelników, cała strona południowa kraju *Uar Senis* uskromioną i podbitą została. Trzeba teraz było myśleć o podbiciu strony północnej, lecz przedewszystkiém o uwolnieniu się od masy bydła i jeńców. 24go zatém puściliśmy się drogą do *Tenieh-el-Had*, nowo ustanowionego wojennego stanowiska, a znajdującego się o 3 mile w dolinie *Sersus*. W dwa dni później przebyliśmy cedrowy las, z kąd już widać *Tenieh-el-Had*: rozmaitość widoków, obszerność pięciomilowa i grubość odwiecznych drzew, czynią ten las jednym z najpiękniejszych w Afryce; jednak nie radziłbym pojedynczo przebiegać go, gdyż wszędzie można widzieć ślady nóg ogromnych lwów. Pułkownik Korte z 1go pułku strzelców afrykańskich, główny komendant w *Tenieh-el-Had*, przybył na spotkanie generała, dosiadłszy dzielnego białego konia; wiódł zaś go z całym urokiem jeźdźca starzej daty. Któżby się spodziewał ujrzeć w tych dzikich stronach, wśród Arabów, człowieka wyuczonego jazdy konnej w małych stajniach wersalskich, w szkole, jakiej równiej nie posiadała Europa? Lecz pułkownik nie przestawał na zaszczycie pierwszego jeźdźca armii, liczył się i do najdzielniejszych jej żołnierzy, a z miejsca na którym byliśmy, można było dojrzec tę dolinę *Sersus*, gdzie niedawno pod rozkazami generała *Changarnier* wykonał jedną z najchlubniejszych *razzij*. Oto jak było:

1go lipca 1842 r., w chwili gdy oddział generała *Changarnier* zbierał się do biwakowania, doniesiono wodzowi, że ze szczytu okolicznych pagórków można było widzieć niezliczoną liczbę arabskich emigrantów, dążących ku południowi. Generał pojechał, aby ich widzieć, i za powrotem rozkazał pułkownikowi i 220 szaserom, aby uderzyli na pierzchających. Żuawy mieli im dopomagać w razie potrzeby. Jeźdźcy, bydło, trzody, wielbłądy i dzieci Arabów tworzyły poczet rozciągający się blisko na 3 mile francuzkie, konwojowany przez 1500 jazdy emira. Najmniejsza trwo-

zliwością byłąby zgubiła pułkownika, nie wahał się tedy ni chwili, i znając jaki popłoch w Arabach szerzy kawalerya konnych strzelców, rzucił się w sam środek oddziału, i rozbitwszy nieprzyjacielski czworobok, rzucił się na jazdę emira. Strzały były liczne, wielu z naszych poległo, lecz wreszcie rozbiwszy przedmurze z wielbłądów obciążonych *palankinami*, przeznaczonemi do dźwigania dzieci i niewiast znakomitych arabskich rodzin, szasery przyprowadzili do obozu 2,000 wielbłądów, 80,000 sztuk różnego bydła i wielką liczbę jeńców. Podczas, gdy nam opowiadano szczegóły tego wypadku znanego i podziwianego powszechnie w Algierze, przybyliśmy do nowej osady Tenieh-el-Had (*wąwóz niedzielny*), dlatego tak nazwanej, że tu w ten dzień odbywają się targi Arabów. Osada była założoną w maju 1842 r., nie było więc czasu na wzniesienie jakiegobądź budowli; żołnierze zatem musieli zamieszkiwać pod namiotami w okopanym obozie: lecz powietrze było zdrowe, moralność wielka, i mało chorych w ambulansach. Za staraniem generała, który poprzedniego dnia przysłał tutaj kuryera z zawiadomieniem o naszym przybyciu i stosownemi rozkazami, nasz oddział znalazł chleb świeżo upieczony w piecach ziemnych, umyślnie na ten cel urządzonych. Nie zatrzymaliśmy się jednak jak tylko przez czas potrzebny, aby się opatrzyć w żywność i oddać zyskane przez nas trzody administracyi rządowej (1). Generał spieszył się w góry; 25go zatem, po ułatwieniu wszystkich czynności, udaliśmy się znowu drogą na Uar-Senis; lecz świeża lekcyja dana południowym Kabyłom skutkowała na północnych: wielu z nich przybyło poddając się. Niezawodnie uczyniliby to i inni, lecz brak żywności skłonił generała do powrotu do Milianah (7 czerwca); tam jednak tylko tydzień odpocząć mogliśmy, gdyż już 15go wyprawiliśmy się, aby skutecznie pomyślnie zaczęte przedsięwzięcie.

IV.

Poddania się pokoleń szybko następowały po sobie. Ggenerał Changarnier przebiegał teraz jako przyjaciel kraj, gdzie zaledwie rok temu przy całej swojej zręczności i odwadze, z trudem mógł tylko oswobodzić się od jednego z największych niebezpieczeństw, na jakie kiedybydź był narażonym. Działo się to w wąwozie Ued-Fodda, gdzie na niego uderzyła cała ludność kraju.

(1) Oddawanie bydła i owiec wykonywa się w dosyć szczególny sposób: żołnierze szykują się w dwa rzędy otwarte pod kątem mniej więcej ostrym, inni napędzają bydło w ten otwór. Dwaj żołnierze stojący w zetknięciu linii trzymają stępel karabinowy, przez który pojedynczo bydło skakać musi; każdy skok liczony jest przez urzędnika administracyi; tym sposobem rachuba szybko postępuje.

Przypadek teraz przywiódł nas na to miejsce: w oddziale znajdowało się kilka kompanij, mających udział w ówczasowej walce; zamiast tedy opisać spokojny nasz pochód, skreślę szczegóły téj bitwy, sądząc, że one potrafią czytelników zająć.

W odległości czterech dni drogi od Milianah, w środku doliny Szeliff, wznoszą się stare mury rzymskie, pomnik władztwa w tych stronach dzieci Romula. U stóp tych murów, przepyszne ogrody, piękne owocowe drzewa granatów, oliwne i pomarańczowe, strumienie czystej wody i dzikie wino pnące się to po ziemi, to przenoszące swoje bujne łodygi z drzew na drzewa, wzywają cię do odpoczynku, orzeźwiają chłodem i posiłkiem jaki dają. W témto miejscu oddział generała Changarnier, liczący 1200 piechoty, 300 regularnej jazdy i 400 uległych Arabów, odpoczywał po licznych trudach wycieczek, w czasie skwarów sierpnia 1842 r. uskutecznionych. Odpoczynek jednak jego nie był próżniaczy: udzielał pomocy uległym pokoleniom, zapewniał ją tym, które przybywały z żądaniem „amanu”. Odpoczywano w podobny sposób jakiś czas, gdy przyszedł list od agi południowego; zagrożony od Abd-el-Kadera, Ahmed-ben-Ferrah żądał pomocy od generała, błagając aby pospieszał, jeżeli nie chce zguby pokoleń, którym Francya zapewniła opiekę. Danie téj opieki było tedy zadaniem wodza, lecz udając się przez Milianah, droga zwiększała się o cztery dni; przeciwnie maszerując górami, można było w dwóch dniach stanąć na miejscu: wszystko mówiło za tą drogą. Usposobienie umysłów pokoleń zdawało się być spokojnem. Naczelnicy arabscy zapewniali, że uni jeden wystrzał nie nastąpi. Wspominali wprawdzie o pewnym trudnym wąwozie, lecz jednozgodnie upewniali, że w dwie godziny przebyć go można. Prócz tego, ten wąwóz nie był niebezpiecznym, jak tylko w razie oporu mieszkańców, a ich naczelnicy w wilią tego dnia właśnie przybyli do generała, żądając amanu. Wreszcie generał miał pod swemi rozkazami żuawów, strzelców orleańskich i afrykańskich, dowodzonych przez pułkowników Cavaignac, Morris i majora Forej; z takim wojskiem i z takimi dowódcami nie było obawy niebezpieczeństwa; postanowienie téż silnie było wzięte, droga przez góry uchwaloną została.

W wilią odmarszu, chorzy zostali odesłani pod eskortą do Milianah, a groby rzymskie przyjęły zwłoki tych, którzy ulegli pod brzemieniem trudów. Kopiąc ziemię, znaleziono krzyż i ten był postawiony jako godło chrześcijańskie nad mogiłami poległych. Nazajutrz, 17 sierpnia, wojsko ruszyło w pochód, 18 przyjęło poddanie się kilku pokoleń, a 19 ranó, między 9tą a 10tą, zatrzymało się na wielki przestanek nad rzeką Ued-Fodda.

Jazda korzystając ze spoczynku wyszła na furazowanie w eskorcie dwóch oddziałów piechoty, mając najsurowszy rozkaz wstrzymywania się od wystrzałów. Pomimo tego jednak usłyszano w obozie mocny karabinowy ogień. Kapitan Pourcet wysłany od generała, aby się dowiedzieć o przyczynie, doniósł, że furazujący napadnięci zostali od silnego oddziału Kabyłów, którym, stosując się do rozkazu, nie odpowiadali na zaczepkę, jak tylko w nagłym niebezpieczeństwie. W istocie obozujący dojrżeli w niejakiem oddaleniu swych towarzyszy napadniętych od zgrai Beduinów w białych burnusach, pomiędzy którymi uwijali się oficerowie w czerwonym odzieniu, zachęcający do walki. Przerażające krzyki i wyście zagłuszały powietrze. Otóżto był pokój zapewniony nam przez Arabów, kilka dni przedtem! Lecz niepodobieństwem było cofnąć się, trzeba było iść naprzód, bo cofnąć się przed tą rozbukaną ludnością byłoby więcej jeszcze podburzyć i zachęcić do ogólnego buntu; nadto, w odwrocie rozlanoby krew bez korzyści; przeciwnie, idąc naprzód strata nawet jakabyśmy ponieśli nie byłaby próżną. Dlatego, skoro tylko zaraportowano generałowi o usposobieniu i pozycji Kabyłów, rozkaz marszu był dany, i czoło kolumny weszło w okropny wąwóz Ued-Fodda.

W tej chwili jeźdźcy arabscy ukryci w załamku wąwozu napadli na jedną z kompanii 26 pułku, lecz kapitan *Lacoste* odparł ich dzielnie; ruchy kompanii w tym razie były bardzo wzorowe: zdawało się, że je wypełniali na placu musztry. Gdy tu toczyła się bitwa, kompania strzelców orleańskich posiłkująca jazdę wysłaną na furazowanie, a dowodzona przez kapitana *Ribains*, korzystając z dogodnej okoliczności przedsięwzięła odwrót, zręcznie przebiegając od drzewa do drzewa, od krzaku do krzaku; zasłonięni niemi żołnierze, odpowiadali na wystrzały nieprzyjaciół. Była to walka tyralierska, pełna niebezpieczeństwa, lecz zarazem dowodząca niewyczerpaną odwagą i zręcznością naszych wojowników; bito się zaś nie tylko zdaleka, lecz często wręcz, żołnierz z żołnierzem, bo niejednokrotnie za krzakiem lub ułamkiem skały, za którymi nasz żołnierz szukał schronienia, znajdował ukrytego Araba; wreszcie udało się kompanii z małą stratą dostać się do korpusu i wejść w wąwóz.

Teraz dopiero rozpoczęła się mordercza walka: ze szczytu niedostępnej góry Kabylowie wznosili okrzyki: „Stąpiliście w wasz grób, nie wyjdziecie z niego żywi“; zapomnieli jednak z jaką armią mieli do czynienia i kto nią dowodził. Spokojny, niewzruszony generał *Changarnier*, był w aryergardzie, ubrany w swój biały kaban, służąc za cel wystrzałom wrogów: wydawał rozkazy z zimną krwią i rozwagą zapewniającą zwycięstwo i wlewającą zaufanie w wojsko.

Ażebym pojąć całą ważność bitwy, trzeba dobrze zrozumieć położenie miejsca. Pięćdziesiąt łokci szerokości wąwóz przechodził piaszczystym łożyskiem strumienia; na prawo i lewo wznosiły się skały spadziste, prawie prostopadłe i spiczaste, pokryte karłowatemi jodłami. Wyobraźmy sobie teraz ten wąwóz, skały i zarośla, zapelnione tłumem Kabyłów, rozjuszonych trunkiem i nadzieją zwycięstwa, podniecanych przez fanatycznych dowódców i uderzając na nas gardzących niebezpieczeństwem, w nadziei sławy i pewnego łupu; jednak dzielni nasi żołnierze nie upadli na duchu, energią i ścisłym wypełnianiem rozkazów oficerów odpychali zajadłą tłuszczę i udaremniiali wszystkie jej usiłowania. Lecz też trzeba przyznać, że byli mądrze prowadzeni, i w dzielności dowódców znajdowali rękojmię wygranej. Oficerowie i ich naczelnik nie wahali się na chwilę, każdy był na swoim miejscu, każdy godnie wykonywał powinność. Generał przedsięwziął przebyć wąwóz i rozpadliny w jak najkrótszym czasie; nie zatrzymywano się więc tylko tyle w pochodzie, ile było potrzeba do odparcia Kabyłów. Aryergarda zostawioną była samą sobie, i miała rozkaz bagnietami torować sobie drogę przez tłum nieprzyjaciół. Jedną z przyczyn pośpiechu była obawa, aby nieprzyjaciel nie zepsuł do szczętu drogi, i nie umocnił wyjścia wąwozu.

Kolumna jednak wolnym tylko postępowała krokiem: mogłoby być inaczej, gdy co chwila nowa jaka wstrzymała ją przeszkoda? Zbliżono się wreszcie do skały panującej na skrócie wąwozu: obsadzona nieprzyjaciółkami tamowała przechód, trzeba ją tedy było zdobyć. Kompania karabinierska strzelców orleańskich została w tym celu odkomenderowaną, lecz ściany skały były spadziste, żołnierze z trudnością postępować mogli. Kapitan Ricot stanął na czele i wdarł się na szczyt, gdy go kula wskrós przeszła; porucznik Martin i dwóch karabinierów chcących ocalić zwłoki dowódcy zginęli także. Ruffiat, ostatni z oficerów idzie na pomoc kolegom i ciężko zostaje raniony. Kompania była tedy pozbawioną oficerów, a nawet sierżantów, a tymczasem grad kul sypie się na nią. Wreszcie udaje się karabinierom odbić zwłoki porucznika Martin, lecz inne zostały w ręku Arabów i porąbane od nich na kawałki.

Generał nakazał przestaniek; żuawów i 3 kompanie orleańskich strzelców przeznaczył na zdobycie pozycji; jeździe rozkazał odeprzeć nieprzyjaciół ku rzece: pułkownik Cavaignac i major Forej postąpili ku skałom. Generał złączył się z nimi i jeden z pierwszych wdarł się na opokę; jego przykład pociąga żołnierzy, zawiewuje się mordercza walka. Laplanche oficer sztabowy pada zabity, major Garderius traci konia, adjutant Pourcet ranny w ramię, sam generał zawdzięcza życie przytomności umysłu żołnierza nazwiskiem Brunet, który zadał śmiertelny cios Kabyłom.

wi w chwili, gdy ten znajdując się na kilka kroków od generała, wymierzył do niego karabin. Wreszcie, zdobyliśmy pozycyą; walka jazdy również była szczęśliwą i odparła Kabyłów; trupami zasłano plac boju; między ległemi zaś znaleziono kilka trupów niewiast, i te bowiem brały udział w walce, zagrzaane nienawiścią ku nam.

Te dwie silne zaczepki dały nam nieco spoczynku, lecz wkrótce walka z nową zaciętością zawiązała się: oficerowie pierwsi w napadzie, pierwsi téż ginęli: pięciu żuawów i trzech od strzelców orleańskich zginęło, a przecież walka nie trwała jak godzinę. Pułkownik Cavaignac z swemi żuawami chcąc pomścić zgon dzielnych towarzyszy, walczył nie z odwagą, ale z szaleństwem! Każdy z jego żołnierzy dwudziestu zastępował, narażając się na niebezpieczeństwo, uderzając na wrogów. Co się tyczy dowodzącego generała, przykre położenie, świst kul i szczęk mieczy zdawało się, że zwiększyły jego krew zimną: blyszczącym okiem przeglądał plac boju i wszędzie dopatrywał wypadki i starał się z nich korzystać. Kolumna postępowała ciągle, przy huku wystrzałów, przy wrzawie wykrzyku nieprzyjaciół, które powtarzając echa gór, zmieniały w łoskot gromów straszliwej burzy. Jazda postępowała na czele, mając rozkaz za nadejściem nocy odpoczynku na jakim sposobnym do tego miejscu.

Wojsko doszło do miejsca, w którym góry ścisnęły się więcej jeszcze ku rzece, tworząc szyję wąwozu. Kabyłowie korzystając z tego usadowili się na skale górującej nad przejściem; kapitanowie: Magagnoz żuawów i Castagny strzelców orleańskich otrzymali rozkaz spędzenia ich z pozycyi: niebezpieczna byłato wyprawa. Skala bardzo pochyła, rosochata, zarosła krzakami jedliny i ślizga, bo zwilżona strumieniem toczącym się do rzeki. Kapitanowie spędzili Arabów i zajęli wzgórze, lecz gdy trzeba się było wracać, nieprzyjaciele uderzyli na mały hufiec, kilku żołnierzy chcących iść prosto potoczyło się ze wzgórza i tocząc się ze skały na skałę, z wysokości 80 stóp wpadli w rzekę: reszta kompanii widząc niebezpieczeństwo zwróciła się na bok i tocząc się od drzewa do drzewa, zdołała wreszcie złączyć się z głównym oddziałem. Jeden ze strzelców, nazwiskiem *Callmette* był oddzielony od kolegów, otoczony przez Kabyłów i popchnięty na brzeg przepaści; kółbą karabina zabija jednego z wrogów, a dwóch innych bagnetem, i gdy już ma spaść w przepaść chwytając dwóch Kabyłów, chcąc pomścić swoją śmierć i zginąć z niemi. Skala była prostopadła i wysoka, lecz niesłychanym szczęściem, w czasie upadku jeden z Kabyłów dostał się pod żołnierza, i swą zgubą ocalił go od zgonu.

Co do kapitana Ribains, ten schodził z góry ostatni nie dbając na kule i nacisk nieprzyjaciół, gdy oto trzech Kabyłów rzuca się na niego

i wystrzeliwszy na kilka kroków, gruchoczą mu ramię. Żołnierze jednak spostrzegłszy niebezpieczeństwo wodza przyszedli mu na pomoc i zdołali go odbić. Dzielny kapitan stanąwszy przed generałem Changarnier był obsypany od niego pochwałami, przynależnemi odwadze i dzielności; nikt bowiem od niego nie rozlał więcej szlachetnej krwi w obronie więcej szlachetnej sprawy.

Walka podwoiła się jeszcze w zaciętości, rzeka rozszerzyła się nieco, i część jazdy przeszła do tylniej straży. Nie było artylerji, zastąpił ją generał strzelcami afrykańskimi, których rzucał jak kule w tłum Kabyłów, aby odbić rannych i ległych; lecz wkrótce wycieńczony na siłach ten szwadron, został zastąpiony przez oddział kapitana Berard, i w ciągu dziesięciu minut nikt w nim nie był zdolny do dalszego boju. Panowie Sebastiani, Correard, Paër, Fraiche, żuawy, byli ranieni lub zabici, jeden blisko drugiego. Jednak wojsko dobrze się trzymało: jakże mogło nie trzymać się dzielnie, dowodzone przez takich oficerów; gdy naprzykład widziało kapitana Correard ranionego w ramię, a wiodącego swych ludzi na nieprzyjaciela, i pana Paër, któremu choć kula przeszła gardło i odjęła mowę, bijącego się przeciw? Godziny tymczasem upływały, noc się zbliżała, i przednia straż kolumny, korzystając z obszerniejszego miejsca, stanęła aby biwakować. Natychmiast wszystkie środki ostrożności zarządzone zostały, i złożono chorych i rannych w namiotach ambulansyjnych, które rozbito tuż przy namiocie generała Changarnier.

Generał zsiadłszy z konia, wydał natychmiast rozkazy: naprzód zajął się rannymi, potem amunicją, tą żywnością boju. Naczelnicy arabscy musieli ustąpić część swych mulów pod transporta potrzebne. Następnego dnia rozdano ładunki żołnierzom, 6ty batalion piechoty otrzymał rozkaz, aby o drugiej po północy obsadził rozliczne punkta wzdłuż rzeki, w której kierunku armia jeszcze postępować musiała; uczynił to z zręcznością i bez żadnego hałasu. Potem wszyscy zabrali się do odpoczynku. W biwaku nie było smutku ani niespokojności, wszyscy byli zadowoleni wypadkami dnia poprzedniego i długo w wieczór trwała gadanka, bo jeszcze nie ostygł zapal sprawiony bojem. Każdy po kolei opowiadał swe czyny, poświęcał wspomnienie poległym i wyjawiał swe nadzieje na jutro. Kabyliowie przeciw nie byli tyle spokojni, przepędzili noc obwinieni w swoich burnusach, rozciągnięci przy koniach na ziemi, bez ognia i pożywienia, smutni i osłabieni.

Ambulans tylko przerażający widok przedstawiał: całą noc rozlegały się w nim krzyki i skargi, tyle niedawno otrzymane rany były dotkliwymi. Ciężko ranni umieszczonemi zostali pod namiotami, mniej ranni przy namiotach na kołdrach; trzech chirurgów opatrywało bez ustanku cierpią-

cych, obwiązując rany, rozdając lekarstwa, lub też amputując członki. W ciągu nocy ośm amputacyj miało miejsce, i już nasze światła dawno pogasły, gdy ambulansowe jeszcze błyszczały; namioty bowiem rannych ciągle były odwiedzane, spieszyli się oficerowie, aby swoją obecnością pokrzepić odwagę, ucieszyć kolegów lub podwładnych. Między ranionymi 4go pułku strzelców afrykańskich, znajdował się żołnierz, nazwiskiem Cayem. Czując się blizkim zgonu kazał przywołać swego kapitana, poleciwszy mu swoją matkę: „Podziękuj pan, wyrzekł, pułkownikowi Tartas, dzielny to człowiek, kocha tych którymi dowodzi; powiedz mu, że jeden z umierających żołnierzy dzięki mu składa” — Tkliwy i piękny wspominek, a zarazem pochwała tak dla żołnierza, jak i dla dowódcy. Tęj samej nocy doktor Laquille naczelnik ambulansu pracował przez 45 minut nad ramieniem kapitana Ribains, który tym staraniom zawdzięczał, że mu ręka amputowaną nie była. W czasie tak długiej operacji, kapitan siedział na pace od sucharów wśród umarłych i umierających, i pokazał się równie odważnym w bólu, jak na polu bitwy: żadna skarga nie wyszła z ust, od czasu do czasu tylko, gdy ból był przykrzejszy, zwracał się do operatora, mówiąc: „Istotnie doktorze każesz mi cierpieć”.

Tak więc każdy wypełniał swoje powinność: oficerowie i żołnierze; niekiedy nawet robiono więcej niż nakazywał obowiązek.

Braknęło lektyk do przeniesienia rannych, ścięto więc kilkanaście drzew i lektyki były gotowe. Na godzinę przede dniem wszyscy polegli byli zebrani, oddział inżynierii odwrócił bieg rzeki i wykopawszy w jej łóżysku głęboką fossę, złożył tam trupy; potem bieg rzeki został przywrócony; sądzono, że tym sposobem uchronią się zwłoki współbraci od znieważenia Arabów.

Zdaleka w górach słychać było gwar i poruszenie, lecz wokół biwaków zalegała cisza głęboka: nie było ni ognia, ni żadnych znaków, któreby zdradzały czynność głównej przedniej straży; jednak była ona czujną, i gdy generał zakazał wystrzałów, niejednokrotnie używała bagnetów. O drugiej godzinie, batalion majora Forej uskutecznił rozkaz generała: równo z dniem, gdy zabrzmiała pobudka i kolumna wzruszyła się, Kabylowie wydali gwarne okrzyki, przyzywając jedni drugich do mordu Francuzów. Lecz wyobraźcie sobie ich zadziwienie gdy ujrzeli, że wszystkie pozycje były zajęte, i że kolumna nie może być zaczepioną. Owszem, z naszej strony było kilka działań zaczepnych, w których żuawy z chlubą, jak zwykle, dla siebie działali. W jednej z tych wycieczek przechodzono z wielką radością żołnierzy przez rozległe winnice i każdy mógł się posilić gronami. Generał sam, któremu żołnierze ofiarowali pierwiastki zdobyczy, nie pogardził niemi. W tej chwili pułkownik Cavaignac nadjechał. „Dalejże

pułkowniku, wyrzekł mu, podając bardzo piękne grono, masz potrzebę ochłodzenia się po twych rycerskich znojach'. I obadwa zaczęli rozmawiać wśród świstu kul, ze wszystkich stron lecących. Nagle wezwano pułkownika: jeden z jego oficerów, kapitan Magagnoz, ugodzony kulą o kilka kroków dalej, wzywał go do siebie, aby mu polecić swą siostrę i matkę i oddać swoją gwiazdę legii honorowej; łączył tym sposobem uczucia serca z militarnemi.

Wreszcie wąż przebyty został; nagle rozszerzyło się miejsce, i wzgórze na które wstąpiła kolumna wydały się równiną przy przepaściach, które niedawno trzeba było przebywać. Kabylowie postępowali jeszcze za nami, lecz ogólna szarża jazdy położyła koniecięż zacięż walce, która od dwóch dni trwała. Wieczorem odpoczywano spokojnie w *Suk-el-Sebt* (targu sobotnim). Pokolenia *Beni-Szaib*, poległe w tym dniu zostały pogrzebane, i pan de Nantes oficer strzelców algierskich znalazł ostatni spoczynek pod cieniem laurowego drzewa, w jednym z starożytnych grobów rzymskich. Jednakże ta jego mogiła została sprofanowaną, o czem przekonano się później w kilka miesięcy.

21go generał Changarnier nakazał odpoczynek; opatrywanie chorych i rannych skłoniło go do dania wojsku wytchnienia; nadto po dwóch dniach zacięż walce, oddalony z małą garstką żołnierzy na 60 mil od Milianah, przemyślał nad jedną z tych śmiałych wycieczek, która miała roznieść popłoch między nieprzyjaciółmi i przyłożyć się do uskutecznienia głównego planu. Podczas nocy batalion piechoty, składający się ze strzelców orleańskich, żuawów i części 26 liniowego pułku, odmaszerował pod rozkazami majora Forej dla wspierania jazdy, która miała wykonać *razzie*. Zawiadomiony od szpiegów generał wiedział o miejscu, gdzie się znajdowały trzody i niewiasty Kabyłów, przez dwa dni poprzednio walczących z nami. Rozkaz wydany był natychmiast, i wyprawa udała się. 800 niewolników i 12,000 sztuk owiec i bydła było owocem śmiałej wycieczki.

Tak tedy bój był skończony, mały oddział Francuzów przełamał wszystkie przeszkody i przeszedłszy *wąż śmierci*, jak nazywali Arabcy, utrzymał godnie swą dawną sławę. Nigdy armia francuzka w Algierji nie znalazła się w równie krytycznym położeniu i nigdy z niego nie wy dobyła się chlubniej dla siebie.

22 zwycięzka armia opuściła biwak i nie była już napastowaną. Marsz był przykry; pod ognistym słońcem postępował szereg rannych, z których wielu trzeba było prowadzić pod rękę; dalej pędzono zdobyte trzody, wreszcie jeńców. Było to przypomnienie dawnych tryumfalnych rzymskich pochodów. W taki sposób armia przebyła 50 mil drogi wśród

ludności zdziwionej i niemogącej pojąć, jak taka garstka Francuzów potrafiła przebyć góry i nie zginęła pod kulami Kabyłów; owszem odparta nieprzyjaciół i karała tych, którzy śmieli ją zaczepiać. Lecz wytłumaczenie łatwe: żołnierze, oficerowie i generał wszyscy nie oszczędzali siebie. Naczelnik umiał dowodzić, żołnierz umiał rozumieć i być posłusznym. Wspomnienie téż téj walki jest zaszczytem dla wszystkich, i dotąd z uszanowaniem pogląda się na tego, który może powiedzieć: „Byłem pod Ued-Fodda”.

W miesiącu lipcu 1843 r., ośm miesięcy po walce, pokolenia kabylskie ostatecznie poddały się generałowi, a gdy wszedł do Milianah, i tam zrobił ogólny przegląd wojska, znalazł je opaloném od słońca, pyłem walki okryte, lecz zawsze piękne, dzielne, wspaniałe.

Od téj chwili wojna kończyła się w prowincyi. Od Tenieh-el-Had, i Milianah, od pustyni do Algieru, znajdowano, według wyrażenia arabskiego „pokój i dobro.” Abd-el-Kader nie mógł już głosić i pisać: „Nie posiadacie nic w Afryce tylko ziemię którą depczą nogi waszych żołnierzy”. Wszędzie poddawały się pokolenia i pokój panował w całej prowincyi. Nieprzewidziane okoliczności zmusiły generała do proszenia o pozwolenie wrócenia do Francyi. W podróży z Milianah do Algieru, naczelnicy arabscy przybyli go powitać i między nimi napotkałem starego kaida Hadzetów, którego poznałem w Blidah. Mówiliśmy o licznych razziach i wycieczkach, które zmusiły do poddania się pokolenia starca. Jego imię, rzekł mi mówiąc o generale, znaczy w naszym języku „poskromiciel dumy, pokonywający nieprzyjaciół” (1) i dowiódł prawdy imienia. Wskazując zaś na pasmo gór ciągnących się od Mitidzia do morza, dodał: „Gdy się zbliża burza, błyskawica przebiega w jednej sekundzie całą tę linią wzgórzy, i przenika wszystkie ich tajniki; z taką samą szybkością spojrzenie generała umie nas dopatrzeć. Gdy zaś nas dojrzy, kula prędzej nie dochodzi celu jak on.” I rzeczywiście, stary kaid miał słuszość. Główną zaletą i odznaczającą generała jest pojęcie hystre i pewne, niez mordowana energia: umie dowodzić. W niebezpieczeństwie podwaja się jeszcze jego odwaga; wtedy, gdy się zbliżysz do niego, jego siła umysłu owłada cię i nie wątpisz o zwycięstwie. Najpierwszy raz dał się poznać pod Konstantyną, i od tego czasu ani raz nie zmylił świetnych nadziei, jakie o nim powzięto. Jeżeli kiedykolwiek znajdziesz się w biwaku lub pod namiotem z których starych wiarusów afrykańskich, służących pod generałem, spytaj, a posłyszysz, jakie da o nim zdanie.

(1) Arabcy nazywali generała Changarnier, Changarli, lub Szangarlo, *Szangar* znaczy po arabsku wstrz ymywać, niszczyć. *Ma szangarsz alina*, nie niszczy mnie, nie depcz mnie.

Godzina odjazdu przyszła, generał wszedł na okręt, aby odpłynąć do Francji; towarzyszyliśmy mu aż na pokład, i nie mieliśmy chęci powrotu aż dzielny Martinique sternik algierski zawiadomił, że czas już opuścić statek. Trzeba się było pożegnać, uścisnęliśmy tedy raz ostatni rękę mężnego dowódcy, lecz długo poglądaliśmy ze łzą w oku na okręt, który go unosił.

(Dokończenie nastąpi).

Adam Oehlenschläger poeta duński.

W roku bieżącym umarł dnia 22 stycznia w Kopenhadze wielki poeta duński Adam Oehlenschläger. W zeszyte lipcowym naszego pisma, daliśmy przekład jednej sagi skandynawskiej, z dzieł jego. Słuszny żal i powszechna niemal żaloba w narodzie, uczciły pamięć prawdziwego narodowego wieszca.

Oehlenschläger urodził się w r. 1779 w okolicy Kopenhagi; pochodził z rodziny szleswickiej. Ojciec jego z początku organista, był później ogrodnikiem: nie mógł więc młody Adam odebrać porządnego wychowania: wczesnie okazał skłonność do teatralnego zawodu. Po skończeniu szkół oddany do uniwersytetu, wziął się do nauki prawa. W roku 1801 w czasie napadu floty angielskiej na Kopenhagę, służył w oddziale studenckim. Wkrótce zwrócił całą usilność do studyów nad językami i historią ludów skandynawskich. W r. 1803 ogłosił zbiór swoich poezyj. W r. 1805 ukazały się dwa tomy jego pism poetyckich. W tym zbiorze *Ataddin i Vaulundurs Saga*, ukazały pierwsze próby odrodzenia skandynawskiej poezji. Oehlenschläger w tym czasie udał się w podróż: w Berlinie uczęszczał na kursa Fichtego, i poznał się ze Schlejermachem: wszedł też w bliskie stosunki z Goethem, i Ludwikiem Tieck. Udał się następnie do Paryża, gdzie dwa lata bawił. W tym przeciągu czasu wyszły (1807 r.) na widok publiczny *Poezye północne*, a między niemi śliczny, dziś na wiele języków tłumaczony utwór *Haken Jarl*. Duński wieszcz sam tę pracę na język niemiecki przełożył. W ogóle od pobytu w Berlinie pisał już dużo po niemiecku, i zbiór swoich niemieckich wierszy w przejeździe do Włoch księgarzowi *Cotta* sprzedał. Pięć miesięcy zatrzymał się Oehlenschläger w *Coppet* u pani *Stäel*; poznał tam Benjamina Constant, historyka Sisoni,² Wilhelma Schlegla i Wenera. We Włoszech napisał kilka sztuk dramatycznych: do tego okresu odnoszą się skandynawskie tragedye *Palnatoke*, *Axel* i *Walberg*, i także

powszechnie znany dramat *Corregio*. Za powrotem do ojczyzny został Oehlenschläger w r 1810 professorem estetyki, i przez lat kilka z katedry wykładał. W téj epoce brał czynny udział w sporach literackich. W latach 1817 i 1818 jeździł jeszcze do Niemiec i Włoch, opis téj podróży wydał 1819 r. Kolejno ukazały się: wielki epiczny poemat *Nordens Guder* i zbiór pieśni północnych p. n. *Helge*. Wiele nowych tragedyj poety wraz z dawniejszemi wyszło w 10-tomowym zbiorze *Tragoedier* 1831—1838. Wszystkie jego ważniejsze poezye duńskie ukazały się p. n. *Digterværker* 10 tomów 1835. Niemieckie utwory duńskiego pisarza po dwukroć w Wrocławiu w zupełnej edycji ogłaszano: ostatnia jest z 1839 r. Życie swoje, a przynajmniej ważniejsze ustępy, sam Oehlenschläger w 2ch tomach opisał. Powszechny szacunek otaczał poetę aż do śmierci. Uniesienie Duńczyków dla swego narodowego wieszca, często nie miało granic. Europa choć nie tak wysoko naznacza mu miejsce, uznaje w nim jednego z prawdziwie natchnionych wyobrazicieli zwrotu do źródeł poetycznych każdego narodu podać.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

Każdy naród, równie jak kościół chrześcijański, który swoje świętości szanuje, poważa, i jako wzory wystawia dla swych czcicieli i wyznawców, zabytki swoje jako drogą spuściznę, jako świętość jaką przechowuje i drogo ocenia. My odziedziczyliśmy nieoceniony skarb w dzielnych myślach, grutownych bo z własnego doświadczenia wyczerpanych, zdaniach, trafnych i zbawiennych przystosowaniach, i nader wiele zdrowej i czystej moralności obejmujących przysłowia, owéjto filozofii ludowej. Bogata nasza umysłowa niwa, obfita w tego rodzaju pomniki, rozrzucony karb po różnych częściach kraju, wkłada na nas święty obowiązek zgromadzić, jako pomnika ukształcenia umysłowego, téj części starożytnego i wielkiego ludu słowiańskiego. Te pomniki z naszej Pompei wykryć i wysnuć, z naszego Herkulanum wydobyć, i ile możność pojedynczego indywiduum pozwoli, zgromadzić, zebrać, uporządkować, i jako małą cegielkę do pomnika przyrzucić i podać na użytek publiczny, osądziliśmy za rzecz potrzebną i pożyteczną dla naszych następców; tém bardziej, kiedy wszystkie olbrzymie siły są skierowane na to, aby wszystko, co niszczący czas zagładzić usiłuje, wydrzeć niepamięci i z bezdennéj przepaści zapadającej przeszłości wycofać. Pomiedzy wielu innymi troskliwemi zbieraczami tych pamiątek, ważne u nas zajmuje miejsce mało już nam zna-

ny, przed dwoma przeszło wiekami żyjący niegdyś Grzegorz Knapski, który na téj niwie znakomite położył zasługi. Ten bogaty jego skarbiec z zapomnienia odgrzebać, przejrzyć, i do dzisiejszego użytku tak przygotowany wydać, zamierzylśmy. Jestto jedna cegiełka do ogromnego gmachu, jaki dzisiejszy wiek stawia na niwie literackiej przeszłości, jestto część jedna zebranych przez nas licznych zdań, przypowieści, myśli i przysłowiów. Dwie szczególnie epoki zajęły naszą uwagę: złote wieki literatury polskiej, panowanie Stanisława Augusta, a w części i tegocześni pisarze. Co na tém obszerném polu zebraném zostało, przygotowuję na publiczny użytek.

Warszawa, 23 listopada 1850 r.

A. Bartoszewicz.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

W zeszycie 118 Biblioteki Warszawskiej wyczytałem list p. Mielezki, w którym *jako chrześcianin* protestuje przeciw tak wczesnej mojej kanonizacyi i zapytuje p. Kraszewskiego o mandat powszechnego opinii kościoła. Chociaż mógłbym zaprotestować także przeciw uczuciom chrześciańskim p. Mielezki, gdyż wcale nie po chrześciańsku rzucił na mnie kamieniem, skrywszy się za płot pseudonimu; gdy jednak wyskok jego o mojej kanonizacyi, a do tego prenumerando, jest oczywiście niedorzecznym, więcej na p. Kraszewskiego niż na mnie wymierzonym: uważam go za niegodny odpowiedzi i spodziewam się, że go p. Kraszewski także za taki poczyta.

Ale w tymże liście znajduję następujące wyrazy: „Toż nie Karpio-wskie zboże, po małych cenach i darmo rozdawane; to nie Szablowskiego mięso bez pieniędzy biédnym w Wilnie przez lat kilkanaście dzielone. Owszem, slyszymy nawet zarzuty na wyliczeniach oparte, że Album mogłoby daleko tańszej być ceny. *Ztąd wnioski o upadku jego, mimo dedykacyjne podpórki.*”

Nikt rozsądny wymagać po mnie nie może, abym Album moje rozdawał ochotnikom w półdarmo, albo zupełnie darzył nim każdego, kto-by tylko chęć posiadania go oświadczył. Żaden z najmoźniejszych nawet ludzi, wydając na widok publiczny jakiegokolwiek użyteczne dzieło nie rozdarowywał go, ale przedawał. Awansować fundusz znaczny już jest dosyć straty, bo się go odbiera zwolna, cząstkowo, lub się nie odbiera

wcale. W procencie zaś dostają się najczęściej takie podziękowania, jakie ja od p. Mielezki odebrałem. Nie mając więc żadnej pretensyi równania się z Karpiem i Szablowskim, dodam tylko, że wyłożywszy znaczny kapitał, poświęciwszy temu przedsięwzięciu tyle trudów, tyle mozół, postępuję sumiennie, jeżeli skutek mojej pracy i nakładu zbywam za cenę każdemu amatorowi dostępną, umiarkowaną i taką, że bez wielkiej mojej straty mniejszą być nie może. Nie wiem więc z kąd wziął p. Mielezko te wyliczenia, na których opierając się utrzymuje, że Album moje mogłoby być daleko tańsze. Zdaje mi się, że one z tego samego źródła płyną, z kąd i wnioski o upadku Album, t. j. z owój chrześcijańskiej miłości, z którą rzucił się na mnie, i która mu nakazuje żądać, aby Album to jak najprędzej upadło.

Że wyliczenia te urosły w głowie p. Mielezki i nie zgadzają się z prawdą, toby mi łatwo było udowodnić rachunkami. Że jednak złożenie ksiąg rachunkowych w redakcyi Biblioteki Warszawskiej jest niepodobnem, niech mi więc będzie wolno przytoczyć dwa tylko dowody.

1. Dołączony tu wizerunek Zbawiciela, znajdującego się w kościele ś. Ducha w Wilnie, wykonany został *au burin* przez najslawniejszego w tym rodzaju artystę w Paryżu, p. Audibrand. Obliczywszy dokładnie, ile potrzeba zapłacić za model, narytowanie, stempel koronki i jej odbicie, za odbicie ryciny, za odbicie modlitwy na stronie odwrotnej, za papier, za przesłanie do Wilna przez Królewiec i Tylżę, obliczywszy koszt sześciu komisantów między Paryżem i Wilnem, rozmaite poprawy, przerabiania, braki i t. d. łatwo się redakcyja przekona, że 40 groszy za tak artystyczny obrazek jest cena zbyt umiarkowana. Do tego dodać należy bardzo ograniczoną wyprzedaż, która jak jest trudną, tenże obrazek pokazuje. Jest on już wespół z całą kolekcją podobnych wizerunków, od pół roku w obiegu, a ile się ich znajduje w Warszawie (1)?

2. Książkę Gagaryn, przejęty chęcią usłużenia nietylko krajowi, ale i całemu ucywilizowanemu światu, wydaje w Paryżu widoki Kau-

(1) Niestusznie p. Wilczyński obwinia o to Warszawę. Co dobrze wiadome w Wilnie, może być zupełnie nieznanem w Warszawie, jeżeli wydawca zaniedbał ogłosić swoją publikacyą za pośrednictwem pism warszawskich i nie wskazał składu, gdzie się taż publikacya w Warszawie nabywa. Redakcyja oddając zupełną sprawiedliwość starannemu wydaniu tych kilku obrazków, które widziała, poleca je amatorom i zachęca wydawcę, aby je przysłał do Warszawy i przez pisma publiczne ogłosił, komu ich wyprzedanie poruczył. Redakcyja przekonana, że dopełniwszy tego koniecznego warunku, wydawca nie będzie miał powodu żalić się na obojętność. Obrazki te w wielu, a w bardzo wielu książkach do nabożeństwa znajdować się będą.

kazu (1). Widoki te formatu 2gięj seryi Album wileńskiego, złożone tylko z litografii i w okładce drukarskiej prostej, kosztują w Paryżu na miejscu 4 sztuki fr. 25, czyli 12 sztuk fr. 75. Jakaż więc jest wielka różnica od ceny Album Wileńskiego, w którym 12 sztuk złożonych nietylko z litografii, ale mieszczących w sobie mistrzowskie ryciny *au burin*, chromolitografie i ozdobione tak wspaniałą okładką, kosztują nie w Paryżu, lecz w Wilnie po opłaceniu kosztowném modeli i po przebyciu takiej drogi, fr. 60. Widoki Kaukazu idą na cały świat; Album zaś wileńskie może się rozchodzi tylko w 7miu guberniach, gdyż za granicą z powodu niepodobnej kontroli, wcale się nie znajduje. Widoki Kaukazu szczycą się opieką N. Pana, któremu są dedykowane, proteguje je arystokracja; a kilka słów pochlebnych p. Kraszewskiego dla Album już obudziło gniew i życzenie jak najprędzszego upadku.

Jeżeli p. Mieszkowski przyjmuje za zasadę w oznaczeniu ceny Album rozkład nakładu na tysiące egzemplarzy, to się i w tém bardzo myli: bo ja każdego mogę łatwo przekonać, że kompletnych egzemplarzy Album i 100 dotąd zbyć nie mogłem. A przecież komplet ten składa się nie z kilku i kilkunastu sztuk dorywczo i gdzie nie bądź wykonanych, ale liczy już 127 sztuk wykonanych przez najpiérwszych mistrzów paryzkich, i może być ozdobą każdej biblioteki i gabinetu najwymyślniejszego amatora.

Mam nadzieję, że redakcyja Biblioteki Warszawskiej raczy przyjąć te kilka słów na moje usprawiedliwienie i w następnym nrze umieścić.

Wydawca Alb. Wil. J. K. Wilczyński.

(1) Oto jest tytuł widoków Kaukazu: *Le Caucase pittoresque dess. d'après nature p. le prince Grégoire Gagarin, dédié à S. M. L'Empereur Nicolas 1. Paris, rue des petits Augustin. 5. chez Gide et J. Baudry.* Ceny są drukowane na okładce.



KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1850.

WARSZAWA.

89. Nauki niedzielne z poprzedzającym krótkim wykładem Ewangelii Ś. przez X. Piotra Błachowicza zgromadzenia XX. Bernardynów. 12ka. 2 tomy. Warszawa. 1850. Druk Jana Jaworskiego. Tom 1, kart 4 i str. 316. II, 310. Złp. 10.

90. Przyczyny nierówności bogactw. Rozprawa przez Hipolita Passy, członka Akademii Umiejętności Moralnych i Politycznych, z jej polecenia napisana i ogłoszona. 12ka. Warszawa, 1850. Druk Gazety Codziennej. Str. 84. Złp. 2.

91. Rodzina na bezludnej wyspie czyli Robinson szwajcarski (.) Tłom. F. S. D. 2 tomy. Warszawa. 1850. 12ka. Nakładem Merzbacha, druk Jaworskiego. Tom I, str. XI i 230. II, 230. (Z 4 kol. rycinami). Złp. 10.

92. Wykład początkowy Chemii o metalloidach i ich związkach (z VIII tabl. fig.) przez J. Sew. Zdzitowieckiego. 12ka. Warszawa. 1850. Druk J. Ungra. Kart 4 i str. 430. Złp. 10.

L W Ó W.

93. Pierwsze Zasady grammatyki języka polskiego. Przez Józefa Mrozińskiego. 16ka. Lwów. 1850. Nakład K. Jabłońskiego, druk Zakładu narod. Ossolińskich. Str. 78. Złp. 1 gr. 20.

1851.

WARSZAWA.

1. *Dr. Joachim's alter und neuer astronomischer Geschichts- und Haushaltungs-Kalender für das Jahr 1851 welches ein Gemeinjahr von 365 Tagen ist, (Berechnet für den Warschauer Horizont und Meridian.* 12. *Warschau. Gedruckt bei S. Orgelbrand.* Kart 14 i str. III. (z tabelką pocztową). Złp. 2.

2. Kalendarz powszechny na rok zwyczajny 1851, mający dni 365..... 4ka. 1851, nakładem i drukiem Orgelbranda. Kart 4, str. 54 i XII. Złp. 2 gr. 10.

3. Kalendarz Warszawski popularno- naukowy na rok zwyczajny 1851 mający dni 365. Rok szósty. 4ka. Warszawa. Nakładem i drukiem J. Ungra. Kart 4, str. 48 i 8. Złp. 2 gr. 10.

4. Kalendarz astronomiczno-gospodarski na rok 1851, który jest rokiem zwyczajnym mającym dni 365. Opisy roślin, rok czternasty. 4ka. Warszawa. Nakładem i drukiem J. Jaworskiego. Str. 44 i 8 (z tablicą roślin). Złp. 2.

5. Mały Kalendarzyk pugilaresowy na rok 1851. (Warszawa). Nakład Nowoleckiego, druk Banku Polskiego. Kart 12, str. VIII, i 22. Złp. 1 gr. 20.

6. Królewicze Biskupi. Żywoty czterech kapłanów przez Juliana Bartoszewicza. 8ka. Warszawa. 1851. Nakład i druk S. Orgelbranda. Str. VI i 267. Złp. 10.

7. Magnaci i szlachta. Szkice przeszłości przez Ad. Am. Kosłńskiego. Warszawa. 3 tomy. 12ka. 1851. Nakład Merzbacha, druk Ungra. Tom I str. 346. II, 287. III, 247. Złp. 20.

8. Tajemnice magii dawniejszych i nowszych czasów czyli sztuki czarodziejskie według Pinett'ego, Petronell'ego, Bosc'a, Com'a, Enselin'a, Eckartshausena i innych, oraz rozmaite rzadkie doświadczenia, oparte na nauce fizyki, chemii, optyki, mechaniki, matematyki, arytmetyki. Z niemieckiego przełożone. 12ka. Warszawa. 1851. Nakład i druk S. Orgelbranda. Kart 2, str. 249 i 14. Złp. 6.

WROCLAW.

9. Obrazy z podróży lądem i morzem odbytych (,) skreślone dla młodzieży przez Jana Grabowskiego. Z 8 obrazkami. Wrocław. 12ka. 1851. Nakład i druk W. B. Korna. Str. 237. Złp. 14.



Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

Księgarz Orgelbrand drukuje tom Vty „Wykład dziejów powszechnych“, i trzy tomy nowych powieści A. Kosłńskiego.

— Poszyt Ilgi „Pamiętnika sztuk pięknych“ pod redakcją B. Podczaszyńskiego, wkrótce opuści prasę drukarską.

— Tom Ilgi: „Litwa. Starożytne dzieje, ustawy, język, wiara, obyczaje, pieśni, przysłowia, podania“ i t. d. J. I. Kraszewskiego, już wyszedł z druku. Obejmuje historią od początku XIII wieku do roku 1386.

— Księgarz Bernstein kończy przed Nowym Rokiem: „Życiorysy znakomitych ludzi“. Wyszłe obecnie poszyty obejmują biografię *Węgierskiego, Bogusławskiego, Klonowicza, Kruszyńskiego, Jerzego Sand, i Karamzyna*. Tenże ukończył druk dziełka z rycinami dla dzieci p. n.: „Zwierzęta słynne w historii“.

— Heuryk hr. Rzewuski pisze nową powieść historyczną z czasów Jana Kazimierza p. n.: „Rycerz Lezdejko“.

— Nakładem księgarni H. Natansona wyszedł tom Ilgi dzieła, p. n.: „Kosmos. Rys fizycznego opisu świata Alexandra Humboldta, przełożył Hipolit Skrzyński“.

— F. M. Sobieszczański pracuje nad: „Opisem miasta Warszawy“, w którym obejmie wszystkie historyczne pomniki tego starego grodu.

— W drukarni St. Strąbskiego wyszło: „Pismo święte, wybrane z ksiąg starego i nowego testamentu“ przez autorkę Pamiętki po dobrej matce. Tom Iszy. Tom Ilgi jest pod prasą.

— Księgarnia Józefa Zawadzkiego w Wilnie wydała:

1) Seryą drugą: „Wędrówek Oryginala“, przez Józefa Korzeniowskiego. Tom Iszy. 2) Pamiętniki Kwestarza, Ig. Chodźki. Wydanie drugie poprawne, 3 tomy w jednym. Ze stalorytem. 3) Anna. Powieść Michała Czajkowskiego. Wydanie nowe poprawne. Dwa tomy w jednym. 4) Prze-

kłady poetów polsko-łacińskich. Rymy łacińskie Jana Kochanowskiego, tomik drugi. Tomik trzeci zawiera poemat S. Klonowicza: *Ziemia Czerwonej Rusi*; przekład Władysława Syrokomli.

— Taż księgarnia nabyła od p. Józefa Kremera tom IIgi: „Listów z Krakowa“ i tom IIgi „Historji filozofji“; oba te dzieła wkrótce wyjdą z druku. Nabyła także od A. Kosmńskiego rękopis p. n. „Dzieci królewskie“. Tom Iszy już wyłoczony.

— W Wilnie wkrótce wyjdą z druku: 1) „Historja rewolucji francuzkiej 1789 przez Poujoulat'a. Przełożył z francuzkiego i notami objaśnił Władysław Syrokomla. 2 tomy w 12ce, ozdobione 8mią rycinami na stali. 2) „Obrazki miejskie i parafalne“ przez Zofią K* z Brzozówki. 3) „Dramata i komedye mniejsze Józefa Korzeniowskiego.“ Nowa Serya. 2 tomy.

— Redaktor Tygodnika Petersburskiego p. Przeclawski wydał częściowo w Tygodniku drukowane powiastki Henryka hr. Rzewuskiego pod tytułem: *Nie-bajki*. Powieści tych jest ośm, tworzą one tom, 150 stronnic niewielkiego formatu, lecz ścisłego druku, i na pięknym papierze. Tom ten w nadziei, że mogą być dalsze wydane, nazwany jest tomem pierwszym. Cena exemplarza kopiejek srebrem 60 czyli złp. 4.

— Zapowiedziane dawniej w Krakowie dzieła wyszły już na widok publiczny. „Historja Kalwaryi Zebrzydowskiej“. „Żywot św. pamięci Jana Tarnowskiego.“ „Przygody Zosi“, powieść p. Ludwikę hr. Ossolińską. „O sztuce chowu koni“ p. Wł. księcia Sanguszkę. Wkrótce wyjdzie zpod prasy: „Piotr Skarga i wiek jego“ dzieło we 2ch tomach z rycinami.

— Józef Kremer professor filozofii przy uniwersytecie krakowskim mianowanym został prezydującym w Kommissji Examinacyjnej na rok 185^o/₁.

— Augustyn Bielowski drukuje we Lwowie „Pierwotne dzieje Polski.“ Dzieło to jest owocem dwunastoletniej pracy i badań.

— W Poznaniu wyszedł z druku tom IIgi: „Historji powszechniej“ zawierający dzieje średnich wieków, przez profesora Poplińskiego.

— P. Nagajski, jeden z młodych krakowskich artystów-malarzy wykonał litografią: „Widok kościoła Dominikanów po spaleniu“; jestto pierwsze jego usiłowanie, które się dość dobrze udało.

— P. Kurowski w Krakowie zrobił rysunek, który wyjdzie w jednej z wiedeńskich litografij, przedstawiający widok ruin ze szczytów kościoła Dominikańskiego. Obecnie wykończa rysunek przedstawiający pierwszą mszę na gruzach Dominikańskiego kościoła. Wykończył także piękny rysunek dla ministeryum w Wiedniu, wyobrażający nowy most na Podgórzu; nadto, portret ś. p. Jana Bogdana hr. Tarnowskiego, litografowany w Paryżu.

— Prof. Stattler pracuje nad obrazem na wielki rozmiar. Jestto *Zbawiciel na krzyżu*, u podnóża mdlejąca Marya w objęciach Magdaleny i innych niewiast, a na pierwszym planie, dwaj żołnierze grający obojętnie w kości o suknię Chrystusa. Piękne to dzieło przeznaczone jest do kościoła w Sławucie, majątności książąt Sanguszków.

— P. Szajnocha we Lwowie zaprzęgnął się do długoletniej pracy, to jest do potocznego opowiedzenia historyi dwóch wieków Jagiellońskich. Wielka ilość materiałów, przestrzeń tak wielkiej epoki w dziedzinie historyi, jak słusznie miarkować można, zajęcie pisarzowi niemało czasu; ztąd zaledwo w przyszłym roku będzie mógł ogłosić część tego opowiadania, to-

jest: „Panowanie Władysława Jagiełły i Warneńczyka.“ Całą pracę chce rozdzielić na trzy części; dwie następne obejmowałyby tym sposobem czasy Kazimierza Jagiellończyka i jego dwóch starszych synów, i wreszcie czasy Zygmuntowskie.

— Dnia 26 października b. r. odbyło się w Krakowie publiczne posiedzenie Towarzystwa Naukowego z Uniwersytetem Jagiellońskim złączonego. Prezes Towarzystwa i rektor uniwersytetu profes. Majer zagaikł posiedzenie sprawozdaniem prac i czynności Towarzystwa. Według tego sprawozdania, członkowie Towarzystwa odczytali 26 rozpraw w przedmiotach: teologii, historii, literatury, sztuk pięknych, prawa i administracji, medycyny i t. d. Na honorowych członków zaprosiło Towarzystwo hr. Leona Thuna ministra wyznań i oświecenia publicznego w państwie austriackim. Nadto zaproszono mężów znanych w świecie literackim, jakeimi są: Konstanty hr. Tyzenhaus, Jastrzębowski, Batys Górski, Leszczye Sumiński, L. Klucki, Al. Sembera; z miejscowych: Alex. Cukrowicz, ks. Staroniewicz, F. hr. Bąkowski, ks. Janutka i ks. Górnicki. Pomiędzy darami oddanemi Towarzystwu pomnożona została biblioteka znaczną ofiarą przez W. Szastrową, która oddała 682 tomów i rękopisa trzech braci Szastrow, i Andrzeja Badurskiego. Dary w zabytkach starożytności złożone licznie, tak przez członków komitetu archeologicznego, jak i od obcych osób, rokują pomyślną przyszłość temu zakładowi. W końcu posiedzenia profes. Muczkowski bibliot. uniwersytecki odczytał: Rys historyczny z czasów Jana Kazimierza, którego treścią było: Oblężenie Krakowa przez Szwedów, prowadzonych przez samego Karola Gustawa 1655 r.

— Towarzystwo Naukowo-Krakowskie zatwierdziło wydawanie pisma treści archeologicznej, pod przewodnictwem swego komitetu archeologicznego, pod napisem: „Skarbiec archeologiczny.“

— Chotomski Ferdynand z Galicyi, dr. medycyny, wygotował zbiór rycin dotyczących się starożytności słowiańskich, a szczególnie polskich, pod tytułem: *Récueil des Antiquités Slaves* p. F. Ch. etc. w 4ce, kart LVI. Jestto zbiór wzerków starożytności naszych, najobfitszy, choć niezupełny.

— L. Jastrzębski paleolog polski pisze: Historią kościoła polskiego.

— Kunaszowski Kazimierz wygotował w języku francuzkim pierwszy tom „Starożytności słowiańskich“ Szafarzyka, wyłożony z czeskiego i starannie porównany z wydaniem niemieckim, polskim i rossyjskim, mając zapewnione od ministra oświecenia publicznego, iż to dzieło zostanie wyłożone kosztem rządu.

Wyjątek z listu Maxym. Fajansa, z Paryża 10 paździer. 1850 r.

„Przybywszy do Paryża, po oddaniu części listów polecających, postarałem się bez zwłoki wstąpić do zakładu litograficznego, najdoskonalszego w Europie, Lemerciego. Niemaló trudności przedstawiało moje pomieszczenie w tym zakładzie, gdzie wiele korzystam pod względem drukarstwa, litografii. W tym zakładzie, za naukę 25 franków miesięcznie płacę, pracuję pięć godzin dziennie, które nadzwyczaj są męczące; znoszę je jednak cierpliwie, ponieważ tylko przez usilną pracę można nabyć doświadczenia i wprawy w tym zawodzie, i mylnie u nas sądzą, że są tajemnice, których tu używają do odbijania nadzwyczaj pięknych rycin. W tym wzorowym zakładzie, mam także sposobność uczenia się odbijania wszelkich spo-

sobów litografii, jako: tonami, kolorami i aqua tincta. Od 7 do 13 przeszłego miesiąca konkurowałem aby zostać przyjętym do tutejszej akademii sztuk pięknych, i starania moje pomyslnym skutkiem uwieńczone zostały. W akademii pracuję od godziny 7 do 9 wieczorem: rysuję studia z natury przy oświetleniu gazowem. Resztę dnia po pracy w litografii Lemerlego, używam na studia litograficzne pod kierunkiem p. Monilleron, znakomitego litografa i rysownika. Słowem, staram się wszelkimi sposobami korzystać z każdej chwili mego tu pobytu, aby wróciwszy do kraju, urządzić zakład wzorowy.

Pierwszy poszyt mego zbioru zamierzam około 1 stycznia r. p. wydać: zamieszczę w nim wizerunki Józefa Elsnera i Ed. hr. Raczyńskiego.

† W dniu 21 września b. r. rozstał się z tym światem w Zurich (w Szwajcaryi) Kasper Napoleon Wysocki, znakomity artysta muzyczny, w wieku lat 40. Później więcej o nim szczegółów umieścimy.

UWIADOMIENIE

OD

REDAKCYI BIBLIOTEKI WARSZAWSKIÉJ.

Biblioteka Warszawska wychodzić będzie bez żadnej zmiany i w roku następnym **1851**.

Cena też sama na przyszłość pozostaje: to jest złotych 60 rocznie w granicach Królestwa, z małym podwyższeniem ceny w Galicyi Ces. Austr., gdzie także można prenumerować na wszystkich urzędach pocztowych, a w Cesarstwie Rossyjskiem złp. 80 (rub. sr. 12).

Z wyjściem niniejszego poszytu, otwartą jest prenumerata na Bibliotekę Warszawską rok 1851 według zwykłych warunków, za opłatą całkowitą lub częściową.

Komplet Biblioteki Warszawskiej z każdego roku, złożony z dwunastu poszytów, czyli czterech tomów, kosztuje złp. 60. Cały komplet z lat dziesięciu, złożony ze 120 poszytów, czyli tomów 40, nabyć można za złotych 600.

Redakcja Biblioteki Warszawskiej



DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE
w Obserwatoryum Astronomiczném

WARSZA WSKIÉM.

Październik, 1850.

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 377 stóp paryzkich nad poziom morza,
czyli w łuku 18°41'25,"5 na wschód

jego szerokość geogr. 52°13'5", długość w czasie 1^h 14^m 45^s,7
względem południka paryzkiego.

Dnia	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stustopniowy				Wilgotność na 100 cz. sredn. dzienna
	6	10	4	10	6	10	4	10	
	god. rano	god. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	god. rano	god. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	
1	743.65	743.74	741.81	741.22	+ 9.6	+11.7	+14.4	+ 11.8	72.2
2	741.93	743.58	744.75	747.11	11.2	13.1	16.5	13.0	90.0
3	747.54	748.04	748.10	747.67	12.2	14.8	14.6	14.8	81.5
4	747.09	747.34	747.21	747.85	12.6	12.2	13.7	11.7	84.5
5	746.55	747.14	747.47	747.67	8.5	9.3	+ 8.9	6.7	82.5
6	748.91	749.73	749.90	750.78	+ 5.8	+ 8.5	11.2	+ 9.2	81.3
7	750.62	751.00	750.98	749.77	8.7	9.0	9.4	8.7	89.0
8	749.25	750.08	749.20	748.93	8.7	10.2	14.3	10.2	94.5
9	748.96	749.24	747.97	748.33	8.7	14.4	17.7	12.4	90.8
10	748.46	748.85	747.16	744.29	10.4	11.6	11.1	8.9	92.0
11	738.77	738.80	742.26	743.27	+ 9.8	+ 7.7	+ 7.4	+ 5.3	95.7
12	744.38	745.18	746.59	748.79	4.6	7.4	8.9	4.8	88.3
13	749.03	749.17	747.56	747.54	3.4	4.6	4.6	3.1	80.5
14	746.85	747.55	747.22	746.61	1.6	3.8	5.0	5.8	70.5
15	747.66	747.62	747.39	749.35	7.3	7.9	6.7	3.7	81.3
16	750.65	751.39	752.85	752.74	+ 3.7	+ 6.9	+ 8.4	+ 5.5	72.5
17	751.12	751.40	750.90	750.56	6.4	8.6	10.7	7.7	77.2
18	747.64	747.27	745.35	744.40	6.1	7.1	9.8	8.4	87.5
19	745.76	745.99	740.14	736.14	4.4	6.1	8.9	9.6	92.5
20	735.95	739.48	740.07	740.44	4.2	5.2	5.5	2.9	87.0
21	741.48	742.96	743.95	746.55	+ 0.4	+ 4.3	+ 5.2	+ 3.3	79.0
22	750.05	751.48	750.89	750.40	1.2	4.4	4.2	0.9	86.5
23	744.62	742.99	740.30	738.54	0.3	1.0	4.2	4.9	100.
24	740.82	742.30	741.79	736.93	2.8	4.6	5.0	3.4	93.5
25	730.87	731.53	732.82	732.79	8.7	13.5	11.8	9.1	90.8
26	739.27	742.64	744.24	744.13	+ 3.4	+ 5.8	+ 6.9	+ 4.6	81.7
27	741.17	741.40	746.19	748.48	5.2	7.5	4.8	3.8	93.2
28	750.03	751.38	751.13	750.79	0.6	5.5	6.1	0.9	89.0
29	746.59	745.18	741.42	741.40	1.7	4.8	6.7	6.7	99.2
30	744.58	745.81	745.84	745.56	4.9	6.3	8.9	4.3	90.0
31	745.13	746.28	746.65	747.10	3.4	2.9	4.2	3.2	95.5
Śre.	745.335	746.017	745.810	745.682	+ 5.82	+ 7.77	+ 8.89	+ 6.75	86.8

STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				Wysokość wody spadłej w milim. z	
6	10	4	10	6	10	4	10	dé- szczy	śnie- gu
godz. rano	godz. rano	godz. wiecz.	godz. wiecz.	god. r.	god. r.	god. w.	god. w.		
lek. pochm.	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		2.4
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pr. pogodny	PdW.	Pd.	PdW.	Pd.		
lek. pochm.	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	PdW.	W.		0.8
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	W.	W.	PdW.	PdW.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pr. pochm.	PdW.	Pd.	Pd.	Pd.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		4.8
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdW.	Pd.	Pd.	Pd.		
pr. pogodny	napót pog.	napót pog.	pogodny	PdW.	Pd.	Pd.	Pd.		4.8
pochmurny	napót pog.	pochmurny	pochmurny	Pd.	Pd.	Pd.	PnZ.		
pochmurny	pochmurny	dészcz dr.	dészcz dr.	Z.	PdZ.	PdZ.	Pn.		13.5
dészcz i mg.	dészcz	pochmurny	pr. pogodny	PnW.	PnZ.	PnZ.	PnW.		35.1
lek. pochm.	pr. pochm.	pr. pochm.	pochmurny	Z.	Z.	PnZ.	Pn.		1.2
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PnZ.	PnZ.	PnZ.	PnZ.		
pochmurny	pochmurny	napót pog.	pochmurny	Z.	Z.	PdZ.	PdZ.		4.9
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pogodny	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.		
pr. pogodny	napót pog.	napót pog.	pogodny	Z.	Z.	Z.	PdZ.		
lek. pochm.	lek. poch.	pochmurny	pr. pogodny	Z.	Z.	Z.	Z.		10.8
pr. pochm.	dészcz b. dr.	pochmurny	napót pog.	PdZ.	PdZ.	Z.	Z.		13.3
lek. pochm.	dészcz b. dr.	dészcz drob.	dészcz drob.	PdZ.	Z.	PdZ.	PdZ.		24.7
lek. zamgl.	pochmurny	pr. pochm.	pochmuray	PnZ.	—	—	—		
pochmurny	napót pog.	pr. pochm.	lek. pochm.	Z.	Z.	Z.	—		
lek. zamgl.	pr. pochm.	napót pog.	pr. pochm.	—	—	PnW.	W.		
śnieg drob.	pochmurny	mgła lekka	dészcz	W.	W.	PdW.	—		9.5
pochmurny	pochmurny	napót pog.	dészcz dr.	—	—	PnW.	PnW.		10.6
pochmurny	pogodny	napót pog.	pochmurny	PdW.	PdZ.	—	—		21.5
pochmurny	pr. pochm.	napót pog.	dészcz	Z.	Z.	—	PnW.		20.0
dészcz	pochmurny	pochmurny	pr. pogod.	—	Pd.	Z.	Pd.		11.8
pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	Pd.	Pd.	Pd.	Pd.		
pogodny	lek. zamgl.	dészcz	pochmurny	—	PdW.	—	PdZ.		18.0
pochmurny	pogodny	pr. pogod.	pochmurny	—	—	—	Pn.		
mgła gruba	lek. zamgl.	lek. pochm.	pogodny	Pn.	PnZ.	—	—		
Śre.								193.4	9.5

	mm.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	745.711	27	6.570
Najwyżej dochodził — d. 16 o g. 4 w.	752.85	27	9.736
Najniżej — — d. 25 o g. 6 r.	730.87	26	11.992
Średnia zmiana dzienna barometru	3.68		1.632
Największa zmiana dzienna barometru d. 22—23 o g. 10 w.	11.86		5.221
Średnia wysokość barometru jest niższa o od stanu normalnego z 24 lat poprzedzających	5.154		2.286
Średnia temperatura Październ. wynosi: +	7 ^o .31 C.	+5 ^o .848 R.	
i ta jest niższa o od stanu normalnego z 24 lat po- przedzających	0.838 „	0.662 „	
Największe ciepło dochodziło d. 9 o godz. 4 wieczór.	+ 8.148 „	+ 6.51 „	
Najmniejsze dochodziło d. 23 o godz. 6 rano.	+ 17.7 „	+ 14.16 „	
	+ 0.3 „	+ 0.2 „	

Termometrograf wskazał:

Maximum: + 15.^o2 R. d. 9 po poł.

Minimum: — 0.8 „ d. 21 rano.

Średnia zmiana dzienna temperatury	2.34 „	1.87 „
Największa zmiana dzienna d. 24—25 o godz. 10 r.	8.9 „	7.12 „

Wody z deszczu spadło wysoko na 193,4 milim., czyli 85,68 lin. par., z śniegu 9.5 milim. czyli 4.21 lin. par., razem z deszczu i śniegu 202.9 milim. czyli 89.89 lin. par., to jest: 66.91 lin. par. więcej, od ilości wody jaka zwykle u nas w tym miesiącu spada.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna wynosi: 86,8 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru, 7.31 gramów, na jednym metrze sześciennym powietrza. Wilgotność ta jest o 2 setne większa jak zwykle.

Dni pogodnych było 1, napół pogodnych 5, pochmurnych 25.

— deszczu 17 (d. 1, 2, 4, 8, 10, 11, 12, 15, 18, 19, 20, 23, 24, 25, 26, 27, 29).

— śniegu 1 (d. 23).

— mgły 5 (d. 11, 23, 29, 30, 31).

Wiatr panujący: Południowo-Wschodni, często Zachodni.

Wicher 1, Pn.

Wiatrów mocnych 6, to jest: PdW=1, PnZ=2, Z=3.

Październik r. b. był słotny, wilgotny i chłodny, przeszło o pół stopnia zimniejszy jak zwykle. Pierwsze dziesięć dni przy wietrze południowo-wschodnim były znacznie ciepłe; przeciwnie dni dziesięć ostatnie, przy znacznych zmianach barometru i częstych deszczach, chłodne. Deszcze padały często i obficie, osobliwie w ostatnim tygodniu miesiąca. Najcieplejsze dni były: d. 1, 2, 3, 4, 8, 9, 10, 25; najchłodniejsze d. 13, 14, 20, 21, 22, 23, 24, 28, 29, 31.

Dnia 21 był pierwszy mróz; dnia 23 pierwszy śnieg tej jesieni który na parę cali pokrył powierzchnię ziemi. Tego samego dnia 23 Października we Francji w okolicy Blois, spadł śnieg obfity, jakiego nie pamiętają tak wcześniej w tej okolicy.

W pierwszych dniach miesiąca bardzo liczne stada dzikich gęsi przelatywały nisko nad Warszawą, dążąc w stronę południowo-wschodnią.

D. 16 między godz. 8 a 10 koło białe otaczało księżyc.

D. 12, 21, 25, 28, 30 było wiele plam na słońcu.

Skanowanie i opracowanie graficzne na CD-ROM :

Digital-Center

Ul. Ostatnia 17

60-102 Poznań

www.digital-center.pl

biuro@digital-center.pl

tel./fax (0-61) 665 82 72

tel./fax (0-61) 665 82 82